

HISTORIA MIŁOSNA
~ WSZECH CZASÓW ~

ANNA KARENINA

LEW TOLSTOJ

FILM W KINACH OD 23 LISTOPADA 2012

znaki

LEW TOLSTOJ

ANNA KARENINA

TYTUŁ ORYGINAŁU: ANNA KARIENINA
PRZEŁOŻYŁA: KAZIMIERA IŁAKOWICZÓWNA

TOM PIERWSZY

CZEŚĆ PIERWSZA

Mnie pomsta, ja oddam — mówi Pan.

I

Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób.

W domu Obłońskich zapanował całkowity zamęt. Żona dowiedziała się, że mąż ma romans z Francuzką, była guwernantką ich dzieci, i oświadczyła, że nie może mieszkać z nim pod jednym dachem. Ten stan rzeczy trwał już trzeci dzień i dawał się srodze we znaki zarówno małżonkom, jak i wszystkim członkom rodziny i domownikom Obłońskich. Wszyscy członkowie rodziny i domownicy wyczuwali, że ich współżycie nie ma sensu i że ludzie, którzy przypadkowo spotkali się w jakimś zajeździe, mają ze sobą więcej wspólnego niż oni, członkowie rodziny i domownicy Obłońskich. Pani nie wychodziła ze swoich pokoi; pana od trzech dni nie było w domu; dzieci błąkały się z kąta w kąt; Angielka pokłóciła się z klucznicą i napisała list do przyjaciółki prosząc o wyszukanie nowej posady; kucharz ulotnił się jeszcze poprzedniego dnia w czasie obiadu; kucharka gotująca na drugi stół i stangret prosili o zwolnienie.

Na trzeci dzień po kłótni z żoną ksiązę Stiepan Arkadjicz Obłoński — Stiwa, jak go nazywano w towarzystwie — obudził się o zwykłej porze, to jest o ósmej rano, a obudził się nie w sypialni żony, lecz na safianowej kanapie w swoim gabinecie. Obrócił na sprężynach kanapy swe zażywne, wypielegnowane ciało, jakby chciał znowu na długo zasnąć, objął mocno oburącz poduszką i przywarł do niej —

policzkiem; lecz naraz zerwał się, usiadł i otworzył oczy.

„Tak, tak, jakże to było? — myślał przypominając sobie sen. — Tak, jakże to było? Tak! Ałabin wydawał obiad w Darmstademie; nie, nie w Darmstademie, raczej coś amerykańskiego... Tak, ale we śnie Darmstadt był w Ameryce. Tak, Ałabin wydał obiad na szklanych stołach, tak, i stoły śpiewały: *Il mio tesoro*, ale to nie było *Il mio tesoro*, tylko coś ładniejszego... A jakieś małe karafeczki, karafeczki, a zarazem kobiety...” — przypominał sobie.

Oczy zabłyśły mu wesoło, zamyślił się z uśmiechem. „Tak, było przyjemnie, bardzo przyjemnie. Wiele tam jeszcze było różnych wspaniałości, ale na jawie niepodobna tego wyrazić słowami ani nawet myślą.” I — zauważywszy pasmo światła, które przeniknęło z boku jednej z sukiennych stor — rażno spuścił nogi z kanapy, po omacku wsunął je w pantofle wyhaftowane przez żonę i obszyte złocistym safianem (zeszłoroczny podarunek na urodziny), po czym, posłuszny staremu, dziewięcioletniemu przyzwyczajeniu, nie wstając wyciągnął rękę w stronę, gdzie w sypialni wisiał jego szlafrok. I wtedy nagle przypomniał sobie, że śpi nie w sypialni żony, lecz w gabinecie — i dlaczego; uśmiech znikł z jego twarzy, a czoło przecięła zmarszczka.

— Ach, ach, ach!... Aa! — jęknął przypominając sobie, co się stało i w jego wyobraźni znów zarysowały się wszystkie szczegóły nieporozumienia z żoną, cała beznadziejność sytuacji i — co było najboleśniej — jego własna wina.

„Tak. Nie przebaczy i przebaczyć nie może. A najstraszniejsze, że ja sam jestem przyczyną wszystkiego, chociaż to nie moja wina. Na tym właśnie polega cały dramat” — myślał. — Ach, ach, ach! — powtarzał z rozpaczą, przypominając sobie najprzykrzejsze wrażenia z owej kłótni. Najgorsza była pierwsza chwila, kiedy

wróciwszy z teatru, wesół i dobrej myśli, niosąc ogromną gruszkę dla żony, nie zastał żony w salonie, nie znalazł również — ku swemu zdziwieniu — w gabinecie, aż wreszcie zobaczył ją w sypialni, trzymającą ów nieszczęsny liścik, który wszystko zdradził.

Dolly, ta wiecznie zatroskana, krzątająca się i — jak mu się zdawało — ograniczona Dolly, siedziała nieruchomo, z liścikiem w rękę, i spoglądała na męża z wyrazem przerażenia, rozpaczony i gniewu.

— Co to jest? Co to? — pytała raz po raz, wskazując na list.

I przy tym rozpamiętywaniu bolało Stiepana Arkadajicza, jak to nieraz bywa, nie tyle samo zdarzenie, ile — jak się zachował w odpowiedzi na słowa żony.

Działo się z nim w owej chwili to, co się dzieje z ludźmi, których niespodzianie przyłapano na jakimś uczynku nazbyt już hańbiącym. Nie potrafił dość prędko przybrać miny stosownej do sytuacji, w której znalazł się wobec żony po odkryciu przewinienia. Mógłby się być obrazić, wypierać, usprawiedliwiać, prosić o przebaczenie, a bodaj nawet zachować się obojętnie — wszystko byłoby lepsze od tego, co uczynił! Tymczasem na twarzy jego ukazał się całkiem mimo woli („refleks mózgu”. — pomyślał Obłoński, który miał słabość do fizjologii) właściwy mu, zwykły, dobroduszny i dlatego niemądry uśmiech.

Tego właśnie niemądrego uśmiechu nie mógł sobie darować. Ujrawszy ów uśmiech Dolly drgnęła jakby pod wpływem bólu, wybuchnęła z właściwą sobie popędliwością potokiem okrutnych słów i wybiegła z pokoju. Od tej chwili nie chciała męża widzieć.

„Wszystkiemu winien ten głupi uśmiech — myślał Obłoński. — Ale co począć? Co począć?” — mówił sobie z

rozpaczą i nie znajdował odpowiedzi.

II

Stiepan Arkadjicz Obłoński był człowiekiem wobec siebie szczerym: nie potrafił się okłamywać ani wmawiać sobie, że żałuje swego postępu. Nie mógł na zawołanie odczuwać skruchy, że w trzydziestym piątym roku życia, przystojny i kochliwy, nie kocha się we własnej o rok tylko młodszej żonie, matce pięciorga żyjących i dwojga zmarłych dzieci. Żałował jedynie, że nie potrafił lepiej ukryć przed nią zdrady. Rozumiał jednak całą trudność swej sytuacji i żal mu było żony, dzieci i samego siebie. Może byłby potrafił lepiej zataić swe grzechy przed żoną, gdyby się był spodziewał, że ich odkrycie tak na nią podziała. Dokładniej nigdy nie zastanawiał się nad tym zagadnieniem, miał tylko niejasne wrażenie, że żona od dawna domyśla się jego niewierności i patrzy na to przez palce. Zdawało mu się nawet, że wyniszczona, postarzała, nieładna już kobieta, zwykła, niczym się nie wyróżniająca, tyle że dobra matka i żona, powinna być pobłażliwa, chociażby z poczucia sprawiedliwości. Okazało się, że było wprost przeciwnie.

„Ach, to okropne! Aj, aj, aj! Okropne! — powtarzał i nic nie mógł wymyślić. — A tak było dotąd dobrze, takeśmy ze sobą dobrze żyli! Była zadowolona, cieszyła się dziećmi; ja w niczym jej nie przeszkadzałem, pozwalałem jej krzątać się koło dzieci i gospodarstwa, jak sama chciała. Prawda, to niepięknie, że tamta była przedtem u nas guwernantką. Niepięknie!... Jest coś trywialnego, pospolitego w zalecaniu się do własnej guwernantki. Ale co to była za guwernantka! (Żywo przypomniały mu się czarne, szelmowskie oczy m–lle Rolland i jej uśmiech.) Ale przecież, dopóki była u nas w

domu, na nic sobie nie pozwalałem. A najgorsze, że ona już... Trzebaż tego było... Wszystko jak na złość! Aj, aj, aj! Ale co teraz począć, co począć?"

Nie było na to odpowiedzi, poza tą jedną ogólną, jaką życie daje na wszystkie najbardziej skomplikowane i nierozwiązalny pytania: trzeba żyć tym, co dzień przynosi, czyli szukać zapomnienia. Szukać go we śnie już nie można, przynajmniej przed nastaniem nocy; niepodobna już wrócić do tej muzyczki, którą nuciły karafeczki — kobiety; trzeba więc szukać zapomnienia w śnie życia.

— Ano, zobaczymy — rzekł do siebie Obłoński, wstał, włożył popielaty szlafrok na błękitnej jedwabnej podszewce, zawiązał końce sznura na węzeł, nabrał jak najwięcej powietrza w szeroką klatkę piersiową i właściwym sobie rześkim krokiem, stawiając na zewnątrz stopy, które tak lekko niosły jego zażywnie ciało, podszedł do okna, podniósł storę i przeciągle zadzwonił. Na odgłos dzwonka zjawił się natychmiast stary przyjaciel, kamerdyner Matwiej, niosąc ubranie, buty i depezę. Tuż za nim wszedł fryzjer z przyborami do golenia.

— Czy są jakie papiery z biura? — zapytał Obłoński biorąc depezę i siadając przed lustrem.

— Są na stole — odpowiedział. Matwiej spoglądając pytająco i ze współczuciem na pana, a po chwili dodał z przebiegłym uśmiechem: — przychodzili tutaj z remizy.

Stiepan Arkadjicz nic nie odrzekł, tylko popatrzył w lustro na Matwieja; spojrzenia ich, które spotkały się w lustrze, świadczyły, jak bardzo się rozumieli. Spojrzenie pana zdawało się pytać: „I po co ty mi to mówisz? Wiesz chyba?"

Matwiej włożył ręce w kieszenie, wysunął nogę w bok i w milczeniu, pocziwie, z leciutkim uśmieszkiem spojrział na pana.

— Kazałem przyjść w niedzielę i — żeby przed tym terminem nie trudzili księcia pana i siebie nadaremnie — powiedział wreszcie. Najwidoczniej miał to zdanie w pogotowiu.

Obłoński rozumiał, że Matwiej po prostu zażartował, by zwrócić na siebie uwagę. Otworzył depeszę, przeczytał ją, odgadując poprzekęcane jak zwykle słowa, i twarz mu się rozpromieniła.

— Matwiej, siostra moja, Anna Arkadiwna, przyjeżdża jutro — rzekł zatrzymując na chwilę połyskliwą, pulchną rękę fryzjera, który właśnie wygalał różową drózkę między jego długimi, kędzierzawymi bokobrodami.

— Chwała Bogu — odpowiedział Matwiej dowodząc tym, że i on tak samo jak jego pan rozumie znaczenie tego przyjazdu, wiedząc, że Anna Arkadiwna, ulubiona siostra Obłońskiego, może się przyczynić do pojednania małżonków.

— Jaśnie pani sama czy z małżonkiem? — spytał Matwiej.

Obłoński nie mógł odpowiedzieć, ponieważ fryzjer był właśnie zajęty jego górną wargą, podniósł więc tylko palec. Matwiej skinął głową do lustra.

— Sama. Przygotować pokój na górze?

— Zamelduj Darii Aleksandrownie; przygotuj tam, gdzie każe.

— Darii Aleksandrownie? — powtórzył z powątpiewaniem Matwiej.

— Tak. Zamelduj. Weź tę depeszę, oddaj i zrób, jak ci Daria Aleksandrowna powie.

„Chcesz spróbować” — domyślił się Matwiej, ale rzekł tylko:

— Słucham.

Obłoński był już umyty, uczesany i zaczynał się ubierać, gdy Matwiej, powoli stąpając i skrzypiąc z lekka butami,

powrócił z depeszą w ręku. Fryzjera już nie było.

— Daria Aleksandrowna kazała powiedzieć, że wyjeżdża. Róbcie tak, powiedziała, jak książę pan zarządzi — zameldował z roześmianymi oczyma, po czym, włożywszy ręce w kieszenie, przechylił głowę i utkwiał nieruchomy wzrok w panu.

Stiepan Arkadjicz wciąż milczał. Po chwili dobroduszny i trochę żalony uśmiech ukazał się na jego przystojnej twarzy.

— I cóż ty na to, Matwiej? — spytał kręcąc głową.

— Nic to, proszę księcia pana; jakoś się ukształtuje — odrzekł Matwiej.

— Ukształtuje się?

— Tak jest..

— Tak myślisz? A tam kto znowu? — zapytał Obłoński słysząc za drzwiami szelest sukni.

— To ja — energicznie odpowiedział miły głos kobiecy i we drzwiach ukazała się surowa, ospowata twarz niańki, Matryony Filemonowny.

— No i cóż, Matriosza? — spytał podchodząc do drzwi. Chociaż Stiepan Arkadjicz ciężko zawinił wobec żony i sam się do tego poczuwał, prawie wszyscy domownicy, nawet niania, najbardziej oddana księżnej, byli po jego stronie.

— No i cóż? — powtórzył posepnie.

— Niech książę pan jeszcze raz pójdzie i okaże skrucę. Może Pan Bóg da... Bardzo się męczy, niebożę, aż litość bierze patrzeć, a jaki rozgardiasz w domu! Trzeba mieć litość nad dziećmi, proszę księcia pana. Niech książę okaże skrucę. Co robić? Kto piwa nawarzył...

— Ależ ona mnie nie przyjmie...

— Trzeba robić swoje. Bóg jest miłosierny, trzeba się modlić, proszę księcia pana, modlić się.

— No, dobrze, idź już — rzekł Obłoński czerwieniąc się

nagle. — Podajże mi wreszcie ubranie — zwrócił się do Matwieja i energicznym ruchem zrzucił szlafrok.

Matwiej już trzymał nadstawioną niby chomąto koszulę, zdmuchując z niej niewidzialny pyłek, i z widoczną satysfakcją włożył ją na wypięlegnowane ciało swego pana.

III

Obłoński skropił się perfumami, poprawił mankiety koszuli, machinalnym ruchem rozmieścił po kieszeniach papierosy, pugilares, zapałki, zegarek z podwójnym łańcuszkiem i brelokami, strzepnął chusteczkę do nosa i czując, że jest czysty, pachnący, zdrow i pomimo zmartwienia niejako organicznie wesół, przeszedł, z lekka balansując z nogi na nogę, do jadalni, gdzie już czekała kawa, a obok kawy — listy i akta z urzędu.

Przeczytał listy. Jeden z nich był bardzo nieprzyjemny, od kupca, który chciał kupić las w majątku żony. Las ów należało sprzedać; lecz teraz, przed pogodzeniem się z żoną, nie mogło być o tym mowy. Najprzykrzejsze jednak było, że w ten sposób do jego pogodzenia się z żoną jakby wmieszany był interes pieniężny. Obłoński czuł się dotknięty na samą myśl, że mógłby dla korzyści, dla sprzedaży lasu, dążyć do pojednania z żoną.

Skończywszy czytać listy sięgnął po akta, prędko przewertował dwie sprawy, wielkim ołówkiem napisał kilka uwag, odsunął papiery i zabrał się do śniadania. Popijając kawę rozwinął wilgotną jeszcze gazetę poranną i zaczął czytać.

Obłoński prenumerował i czytał pismo liberalne o tendencji nie skrajnej, lecz takiej, jakiej trzymała się większość. Mimo że nie interesowała go właściwie ani nauka,

ani sztuka, ani polityka, stale podzielał w tych wszystkich sprawach poglądy większości i jej dziennika, a zmieniał je tylko wówczas, gdy zmieniała je większość. Mówiąc ściślej, nie on zmieniał poglądy, lecz one same się w nim niedostrzegalnie zmieniały.

Obłoński nie wybierał kierunku ani zapatrywań; prądy i zapatrywania przychodziły do niego same, podobnie jak nie wybierał fasonu kapelusza ani kroju surduta, lecz nosił to, co wszyscy. Żyjąc w określonym społeczeństwie i odczuwając potrzebę pewnej aktywności umysłowej, która zazwyczaj rozwija się w wieku dojrzałym, nie mógł obejść się bez zapatrywań, tak jak nie mógł się obejść bez kapelusza. Jeśli nawet miał jakiś powód, dla którego przekładał kierunek liberalny nad zachowawczy, liczący także wielu zwolenników wśród jego znajomych — to bynajmniej nie dlatego, by miał uważać tendencję liberalną za bardziej rozumną, lecz dlatego, że liberalizm był bliższy jego trybowi życia. Partia liberalna twierdziła, że w Rosji wszystko jest złe, — i w istocie Stiepan Arkadjicz miał wiele długów, a pieniędzy stanowczo za mało. Partia liberalna twierdziła, że małżeństwo jest instytucją przestarzałą, że koniecznie należy je zreformować, i w istocie życie rodzinne dostarczało Stiepanowi Arkadjiczowi mało przyjemności i zmuszało go do kłamstwa i udawania, tak niezgodnych z jego naturą. Partia liberalna twierdziła, a raczej dawała do zrozumienia, że religia jest tylko wędzidłem dla barbarzyńskiej części ludności, i w istocie Stiepan Arkadjicz nie mógł bez bólu w nogach wytrzymać krótkiego nawet nabożeństwa i nie rozumiał, na co są potrzebne te wszystkie straszne i wzniosłe słowa o tamtym świecie, skoro i na tym można by pożyć sobie bardzo wesoło. W dodatku Obłońskiemu, który lubił dobry żart, miło czasem było wprawić, w zakłopotanie

jakiegoś spokojnego człowieka powiedzeniem, że jeśli już ktoś chlubi się swymi przodkami, to dlaczego ma się zatrzymywać na Ruryku¹, a odżegnywać od pierwszego protoplasty — małpy? Tak więc liberalizm stał się dla niego przyzwyczajeniem; lubił swoje pismo, jak cygaro po obiedzie, za lekką mgłę, którą mu ono wytwarzało w głowie. Przeczytał właśnie artykuł wstępny, dowodzący, że niepotrzebnie się w naszych czasach biada, jakoby radykalizm miał pochłonać wszystkie czynniki konserwatywne, i niepotrzebnie podnosi się krzyk, że rząd winien poczynić kroki, by zdusić hydrę rewolucji. Wręcz przeciwnie, „naszym zdaniem, niebezpieczeństwo należy upatrywać nie w rzekomej hydrze rewolucji, lecz w uporczywości tradycjonalizmu hamującego wszelki postęp itd.” Przeczytał również inny artykuł, ekonomiczny, w którym była mowa o Benthamie* i Millu* i gdzie robiono ukryte docinki pod adresem ministerstwa. Z właściwą sobie szybkością orientacji Obłoński rozumiał znaczenie każdej szpileczki: przez kogo, przeciw komu i dlaczego była skierowana — a to jak zwykle sprawiało mu pewną przyjemność Tęgo dnia jednak przyjemność była zatruta przypomnieniem o radach Matryony i o tym, że w domu wszystko się tak źle układa. Przeczytał również, że hr. Beust*

1* Ruryk — wódz Waregów, według podania był wezwany w roku 862 przez mieszkańców Nowogrodu w okresie walk wewnętrznych; zapoczątkował ród Rurykowiczów, książąt panujących w księstwie kijowskim po połączeniu Nowogrodu i Kijowa pod władzą Olega, rzekomego syna Ruryka.

* Jeremiasz Bentham — (1748–1832) — myśliciel angielski; twórca teorii moralności opartej na uznaniu egoistycznego dążenia do szczęścia poszczególnych ludzi.

* Jakub Mill — (1773–1836) — angielski filozof i ekonomista; głosił zasadę równowagi popytu i podaży; z tej zasady wysnuwał wnioski, że kryzysy gospodarcze są niemożliwe

* Fryderyk Ferdynand Beust — (1809–1886) — początkowo saski, potem austriacki działacz państwowy. Od r. 1866 minister spraw zagranicznych,

podobno wyjechał do Wiesbadenu, i wzmiankę, że już nie będzie więcej siwych włosów; przeczytał ogłoszenie, że jest na sprzedaż lekka karetka, oraz ofertę pewnej młodej osoby; wiadomości te wszakże nie dawały mu odczuwanego zazwyczaj cichego, ironicznego zadowolenia. Po drugiej filiżance kawy z rogałem i przeczytaniu gazety wstał, strzepnął okruszki z kamizelki i prężąc szeroką klatkę piersiową uśmiechnął się radośnie, nie dlatego, by miał być w dobrym nastroju — radosny uśmiech był wywołany dobrym trawieniem.

Radosny ów uśmiech natychmiast jednak przypomniał mu o wszystkim, i Obłoński zamyślił się.

Dwa głosy dziecięce (Stiepan Arkadjicz poznał głos Griszy, młodszego synka, i Tani, starszej córeczki) rozległy się za drzwiami. Coś, co dzieci wiozły, spadło właśnie na ziemię.

— Mówiłam ci, że na dach nie można sadzać pasażerów! — wołała po angielsku dziewczynka. — Teraz masz, zbieraj!

„Wszystko się pokręciło! — pomyślał. — Biegają bez dozoru.” Podszedł do drzwi i zawołał. Dzieci porzuciły natychmiast szkatułkę wyobrażającą pociąg i weszły do pokoju.

Dziewczynka, jego ulubienica, wbiegła śmiało, uściskała go i jak zwykle ze śmiechem uwiesiła mu się na szyi, ucieszona znajomym zapachem perfum, bijącym od bokobrodów. Wreszcie ucałowała go w pochyloną nad nią, jaśniejącą od czułości, poczerwieniałą twarz, po czym rozplotła ręce i zamierzała wybiec z pokoju, ale ojciec ją zatrzymał.

— Co robi mama? — zapytał głaszcząc delikatną, gładką szyję córeczki. — Jak się masz? — rzekł z uśmiechem do

następnie (1867) kanclerz Austrii

chłopczyka, który się z nim witał.

Obłoński zdawał sobie sprawę, że chłopca mniej kocha, i zawsze starał się nie robić różnicy między dziećmi; ale chłopczyk to czuł i nie odpowiedział uśmiechem na chłodny uśmiech ojca.

— Mama? Już wstała — odpowiedziała, dziewczynka. „Stiepan Arkadjicz westchnął. „Znowu więc nie spała całą noc” — pomyślał.

— I cóż, czy jest wesoła?

Dziewczynka wiedziała, że rodzice się poróżnili, więc matka nie mogła być wesoła, a ojciec z pewnością wie o tym i tylko udaje pytając o matkę tak, mimochodem. Zarumieniła się za ojca. On ze swej strony zaraz to zrozumiał i też poczerwieniał.

— Nie wiem — rzekła. — Mama nie kazała nam się uczyć, tylko kazała iść na spacer do babci z miss Hull.

— Idź więc, moja Tańczurko. Ale prawda, zaczekaj. — dodał zatrzymując ją i gładząc jej delikatną rączkę.

Zdjął z kominka pozostawione tam poprzedniego dnia pudełko cukierków i wybrał dla niej dwa jej ulubione. — czekoladkę i pomadkę.

— To dla Grizy? — spytała dziewczynka wskazując na czekoladkę.

— Tak, tak... — I pogłaskawszy ją raz jeszcze po ramionku, pocałował w szyję u nasady włosów i pozwolił odejść.

— Karetą zajechała — oznajmił Matwiej. — I jest jakaś petentka — dodał.

— Czy dawno czeka? — spytał Obłoński.

— Będzie z pół godzinki.

— Ileż razy kazałem ci natychmiast meldować!

— Trzeba przecie dać księciu panu wypić spokojnie kawę

— odpowiedział Matwiej tym poufale gburowatym tonem, za który nie można się było gniewać.

— Prośże ją, czym prędzej — rzekł Obłoński marszcząc brwi z niezadowoleniem.

Petentka, pani sztabskapitanowa Kalinin, prosiła o coś niemożliwego i bezsensownego; Obłoński jednak swoim zwyczajem poprosił ją, żeby usiadła, wysłuchał uważnie, nie przerywając, i poradził szczegółowo, do kogo i w jakiś sposób ma się zwrócić. Co więcej, swym dużym, szeroko rozstawionym, pięknym i wyraźnym pismem z rozmachem i rzeczowo skreślił bilecik do osobistości, która mogła jej pomóc. Pożegnawszy kapitanową wziął kapelusz i stał przez chwilę, zastanawiając się, czy czego nie zapomniał. Okazało się, że oprócz tego, o czym chciał zapomnieć — to jest o żonie — nie zapomniał o niczym.

„Ach, tak!” Spuścił głowę; piękna jego twarz przybrała wyraz żaloszny. „Iść czy nie iść?” — wahał się. I głos wewnętrzny mówił mu, że iść nie należy, że nic oprócz fałszu wyniknąć z tego nie może, że się nie da naprawić ani załatać ich wzajemnego stosunku, niepodobna bowiem znów uczynić z żony kobiety pociągającej, zdolnej wzbudzać miłość, ani z niego zrobić starca niezdolnego do miłości. Nic nie mogło z tego teraz wyniknąć oprócz kłamstwa i fałszu, kłamstwo zaś i fałsz były przeciwne jego naturze. „Jednak trzeba będzie przecież raz; kiedyś... To tak zostać nie może” — myślał starając się dodać sobie animuszu. Wyprężył pierś, wyjął papierosa i zapalił, dwa razy pociągnął, rzucił go do konchy z perłowej masy, służącej za popielniczkę, szybkim krokiem przemierzył ponury salon i otworzył drzwi wiodące do sypialni żony.

IV

Daria Aleksandrowna z zapadniętą, chudą twarzą i wielkimi oczyma, które przy szczupłej twarzy wydawały się przestraszone, stała w kaftaniku, z upiętymi na karku warkoczami przerzedzonych już, gęstych niegdyś i pięknych włosów, wśród rozrzuconych po pokoju rzeczy, przed otwartą szyfonierką*, z której coś wyjmowała. Słyszając kroki męża przerwała swe zajęcie i patrzyła — na drzwi, na próżno usiłując przybrać wyraz surowy i wzdurliwy. Czuła, że boi się męża i lęka się tego spotkania. Przed chwilą, po raz dziesiąty w ciągu tych trzech dni, starała się powybrać swoją i dziecięcą garderobę, którą miała wziąć ze sobą do matki, i znowu nie mogła się na to zdobyć. A przecie i teraz, jak przy poprzednich próbach, mówiła sobie, że tak dalej być nie może, że musi coś przedsięwziąć, ukarać męża, okryć go wstydem, zemścić się na nim choć w części za ból, który jej zadał. Ciągle jeszcze mówiła sobie, że go porzuci, czuła jednak, że to niemożliwe; było to istotnie niemożliwe, nie mogła bowiem odzwyczaić się od myśli, że to jej mąż, nie mogła go przestać kochać. Poza tym rozumiała, że skoro tutaj, we własnym domu, ledwie może dać sobie radę z doглядaniem pięciorga dzieci, to tam, dokąd chce je zawieźć, będzie im o wiele gorzej. Przecie już w ciągu tych trzech dni najmłodszy zdążył się rozchorować, bo go nakarmiono kiepskim rosółem, a poprzedniego dnia pozostałe dzieci musiały się obejść prawie bez obiadu. Czuła, że wyjazd jest niemożliwy, okłamując się jednak, odkładała na bok rzeczy i udawała, że wyjedzie.

Na widok wchodzącego męża zagłębiła ręce w szufladę szyfonierki jakby czegoś szukając i obejrzała się dopiero, gdy

* Szyfonierka — komódka, szafka do przechowywania bielizny i drobiażków.

stanął tuż przy niej. Na jej twarzy, której usiłowała nadać surowy i stanowczy wyraz, widać było bezradność i udrękę.

— Dolly! — rzekł cichym, nieśmiałym głosem. Wtulił głowę w ramiona i chciał przybrać wygląd żalony i pokorny, lecz mimo to promieniał czerstwością i zdrowiem.

Żona szybkim spojrzeniem zmierzyła od stóp do głów tę postać, od której aż biła rzeškość i zdrowie. „Tak, on jest szczęśliwy i zadowolony — mówiła sobie. — A ja?... I ta odrażająca dobroć, za którą go wszyscy tak lubią i chwają; nienawidzę tej jego dobroci” — pomyślała. Usta jej zacisnęły się, mięsień prawego policzka zadrgał w bladej, nerwowej twarzy.

— Czego pan sobie życzy? — powiedziała szybko jakimś obcym, głębokim głosem.

— Dolly — powtórzył z drzeniem w głosie — Anna dzisiaj przyjeżdża.

— Co mnie to obchodzi! Nie mogą jej przyjąć — zawołała.

— Ale trzeba przecież, Dolly...

— Proszę wyjść, wyjść, wyjść! — krzyknęła nie patrząc na niego, jak gdyby krzyk ten był wywołany jakimś fizycznym bólem.

Stiepan Arkadjicz — mógł zachować spokój, gdy myślał o żonie, mógł się wtedy łudzić, że wszystko się jakoś ukształtuje, jak się wyraził Matwiej, mógł spokojnie czytać gazetę i pić kawę. Skoro jednak zobaczył wymęczoną, zbolaną twarz żony i usłyszał dźwięk jej głosu, zarazem zrezygnowany i pełen rozpacz, zabrakło mu tchu, coś go ścisnęło w krtani, a łzy błysnęły w oczach.

— Boże wielki, co ja zrobiłem! Dolly! Na miłość boską!... Przecież... — nie mógł dalej mówić, szloch uwiązał mu w gardle.

Zatrzasnęła szyfonierkę i spojrzała na niego.

— Dolly, cóż ci mogę powiedzieć?... Jedno tylko: przebac, przebac... Przypomnij sobie... Czyż dziewięć lat życia nie może odkupić jednej chwili, chwili...

Spuściła oczy i słuchała czekając, co powie, i jakby błagając go, by ją w jakikolwiek sposób przekonał.

— ...Chwili zapomnienia... — wyrzekł i chciał mówić dalej, lecz na dźwięk tego słowa, jakby, pod wpływem fizycznego bólu, znów zacisnęły się jej wargi i mięsień w prawym policzku zadrgał.

— Proszę wyjść, proszę stąd wyjść! — krzyknęła jeszcze przeraźliwiej — i nie opowiadać mi tu o swoich chwilach zapomnienia i innych obrzydliwościach!

Chciała odejść, lecz zachwiała się i uchwyciła poręczą — krzesła, żeby nie upaść. Twarz i wargi Obłońskiego jakby nabrzmiały, oczy napęłniły się łzami.

— Dolly — wyrzekł głosem, który przerywało łkanie. — Na miłość boską, pomyśl o dzieciach, one nic nie zawiniły. To ja jestem winien, mnie ukarż, każ mi okupić moją winę. Gotów jestem zrobić wszystko, co leży w mej mocy! Jestem winien, brak mi słów, aby wyrazić, jak bardzo jestem winien! Ale ty mi przebac, Dolly!

Usiadła. Słyszał jej ciężki, głośny oddech i było mu jej niewypowiedziane żal. Ona kilkakrotnie chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła. Czekał.

— Pamiętasz o dzieciach, żeby się z nimi bawić, ale ja naprawdę o nich pamiętam i wiem, że są teraz zgubione. — Było to z pewnością jedno ze zdań, które w ciągu tych trzech dni niejednokrotnie sobie powtarzała.

Powiedziała mu „ty”. Spojrzał na nią z wdzięcznością i zrobił ruch, jakby chciał wziąć ją za rękę, lecz ona odsunęła się ze wstrętem.

— Ja pamiętam o dzieciach i dlatego zrobiłabym wszystko w świecie, żeby je uratować; ale nie wiem sama, jak mam je ratować: czy zabierając je ojcu, czy też zostawiając z rozpustnym, tak rozpustnym ojcem... No, proszę powiedzieć, czy po tym... co zaszło... możemy żyć razem? No, proszę powiedzieć, czy to możliwe? — powtórzyła podnosząc głos. — Po tym, jak mąż mój, ojciec moich dzieci, nawiązał stosunek miłosny z guwernantką tych dzieci...

— Ale co począć? Co począć? — pytał żałośnie, sam nie wiedząc, co mówi, i coraz niżej spuszczał głowę.

— Wzbudza pan we mnie obrzydzenie i odrazę! — wołała unosząc się coraz bardziej. — Pańskie łzy — to woda! Nigdy mnie pan nie kochał, nie ma pan ani serca, ani szlachetności! Czuję do pana wstręt, obrzydzenie, jest mi pan obcy, tak, najzupełniej obcy! — z bólem i złością wypowiedziała to straszliwe dla niej słowo obcy.

Spojrzał na nią i złość, jaką wyczytał na jej twarzy, zadziwiła go i przestraszyła. Nie rozumiał, że drażni ją jego litość; wyczuwała w nim współczucie, nie miłość. „Ona mnie nienawidzi. Nie przebaczy mi” — pomyślał.

— To straszne, straszne! — zawołał.

W tej chwili w pokoju obok, przewróciwszy się zapewne, krzyknęło dziecko. Daria Aleksandrowna zaczęła nasłuchiwać i twarz jej nagle złagodniała.

Widać po niej było, że przez parę sekund zbierała myśli, jakby nie wiedząc, gdzie się znajduje i co ma robić. Wreszcie zerwała się i poszła ku drzwiom.

Spostrzegłszy zmianę, jaka zaszła w jej twarzy na krzyk dziecka, Obłoński pomyślał: „Kocha przecież moje dziecko. Moje dziecko... Jakże więc może mnie nienawidzić?”

— Dolly, jeszcze słówko — odezwał się idąc za nią;

— Jeśli pan pójdzie za mną, to zawołam służbę, dzieci!

Niech wszyscy wiedzą, że pan jest nikczemnikiem! Wyjeżdżam dzisiaj, a pan niech tu zostanie ze swoją kochanką!

I wyszła trzasnąwszy drzwiami.

Stiepan, Arkadjicz westchnął, otarł twarz i po cichu wyszedł z pokoju. „Matwiej powiada: to się jakoś ukształtuje, ale jak? Nie widzę nawet żadnej możliwości. Ach, ach, co za okropność! I jak ona trywialnie krzyczała — myślał przypominając sobie krzyk i słowa: nikczemnik i kochanka. — A może i dziewczęta słyszały! To okropnie trywialne, okropnie.” Stał przez chwilę sam, otarł oczy, westchnął, wyprostował się i wyszedł z pokoju.

Był piątek: w jadalni zegarmistrz Niemiec nakręcał zegar. Obłońskiemu przypomniało się, jak punktualność tego łysego Niemca nasunęła mu pewnego razu powiedzenie, że Niemiec był sam jakby raz na zawsze nakręcony po to, żeby nakręcać — zegary. Uśmiechnął się, lubił bowiem dobry żart. „A może naprawdę jakoś się ukształtuje! Dobrze powiedzenie: ukształtuje się — pomyślał. — Trzeba je puścić w ruch.”

— Matwiej! — zawołał. — Przygotujcie więc tam wszystko z Marią dla Anny Arkadjewny, w małej bawialni — zlecił, gdy służący się zjawił.

— Słucham. Stiepan Arkadjicz włożył futro i wyszedł na ganek.

— Czy książkę pan nie będzie jadł w domu? — zapytał Matwiej, który go odprowadzał do drzwi.

— Jak wypadnie... Masz tu na wydatki — dodał wyjmując z pugilaresu dziesięćiorublowkę. — Wystarczy?

— Wystarczy albo i nie, trza jakoś sobie poradzić — odrzekł Matwiej zatraskując drzwiczki karety i cofnął się na ganek.

Tymczasem Dolly uciszyła dziecko i poznając po turkocie karety, że mąż odjechał, wróciła znów do sypialni. Było to jedyne jej schronienie przed troskami domowymi, które oblegały ją natychmiast, gdy tylko stamtąd wychodziła. Już i teraz, zaledwie weszła do dziecinnego pokoju, Angielka i Matriona zdążyły zadać w sprawach nie cierpiących zwłoki kilka pytań, na które tylko ona mogła odpowiedzieć: „Jak ubrać dzieci na spacer? Czy dać im mleka? Czy posłać po innego kucharza?”

— Ach, dajcie mi spokój! Dajcie spokój! — rzekła i wróciwszy do sypialni usiadła na tym samym miejscu, gdzie niedawno rozmawiała z mężem, mocno zacisnęła ręce tak wychudzone, że z kościstych palców zsuwały się pierścionki, i zaczęła powtarzać w myśli całą niedawną rozmowę. „Pojechał! Ale jak zakończył sprawę z t a m t ą? Czyżby się z nią i nadal widywał? Czemu go o to nie zapytałam? Nie, nie, nie możemy się pojednać. Choćbyśmy nawet mieszkali w jednym domu, będziemy sobie obcy. Na zawsze obcy! — powtórzyła nadając temu straszному dla niej słowu specjalne znaczenie. — A ja go tak kochałam, mój Boże, jak ja go kochałam!... Jak kochałam! A i teraz — czyż go nie kocham? Czyż nie kocham go bardziej niż poprzednio? To straszne, a zwłaszcza że...” Nie dokończyła swej myśli, w progu bowiem stanęła Matriona.

— Niechże już księżna pani każe posłać po mojego brata — rzekła — zawsze jakoś ten obiad ugotuje; bo znowu dzieci aż do szóstej będą bez jedzenia, jak wczoraj.

— Dobrze, zaraz pójdę i wydam polecenie. Czy ktoś poszedł po świeże mleko?

I Daria Aleksandrowna pogrzyżyła się w powszednie troski zapominając chwilowo o swym strapieniu.

V

Stiepan Arkadjicz uczył się dobrze w szkole dzięki zdolnościom, ale że był leniuchem i psotnikiem, ukończył szkołę jako jeden z ostatnich. Mimo hulaszczego życia, niewysokiej rangi i młodego wieku pełnił jednak zaszczytną i dobrze opłacaną funkcję naczelnika jednego z moskiewskich urzędów. Zawdzięczał ją swemu szwagrowi, Aleksemu Aleksandrowiczowi Kareninowi, zajmującemu jedno z najpoważniejszych stanowisk w ministerstwie, któremu podlegał wspomniany urząd; ale nawet gdyby Karenin nie był mu wyjednał tej posady, Stiwa Obłoński z pomocą setki innych osób — braci, sióstr, krewnych, kuzynów, wujów, ciotek — otrzymałby, jeśli nie taką samą, to inną, podobną, z co najmniej sześciu tysiącami poborów, których potrzebował, interesy jego bowiem, mimo poważnego majątku żony, były w nieładzie.

Połowa Moskwy i Petersburga była spokrewniona i zaprzyjaźniona z Obłońskim. Urodził się w środowisku ludzi, którzy albo byli, albo stali się możliwymi tego świata. Jedna trzecia starców — dygnitarzy była zaprzyjaźniona z jego ojcem i pamiętała Stiwę w dziecinnej koszulce; jedna trzecia była z nim na „ty”, a jedna trzecia składała się z dobrych znajomych; szafarze dóbr tego świata, posad, koncesyj, dzierżaw itp. byli więc z nim wszyscy w przyjaźni i jako swego człowieka, nie mogli go pominąć; Obłoński nie był zmuszony specjalnie zabiegać o intratną posadę: dość byk) tylko nie odmawiać, nie być zawistnym, nie kłócić się i nie obrażać, czego, powodowany wrodzoną dobrodusnością, i tak nigdy nie miał w zwyczaju. Gdyby mu powiedziano, że nie dostanie posady z takimi poborami, jakie mu były potrzebne, uważałby to za żart, tym bardziej, że nie żądał nic

nadzwyczajnego: pragnął mieć tylko tyle, ile otrzymywali jego rówieśnicy, a spełniać funkcje tego rodzaju potrafił nie gorzej niż ktokolwiek inny.

Znajomi lubili Stiepana Arkadjicza nie tylko za dobre, pogodne usposobienie i niewątpliwą uczciwość; w całej jego osobie, w jego pięknej, sympatycznej powierzchowności, błyszczących oczach, czarnych brwiach i włosach, w białości i rumieńcach twarzy było coś, co po prostu fizycznie wzbudzało radość i życzliwość u ludzi, którzy go spotykali „Ach! Stiwa! Obłoński! Otóż i on!” — mówiono prawie zawsze z radosnym uśmiechem na jego widok. I jeśli nawet zdarzało się niekiedy, że z takiej rozmowy nic szczególnie radosnego nie wynikało, to w dwa, trzy dni później znów wszyscy tak samo się cieszyli przy spotkaniu.

Piastując już trzeci rok godność naczelnika jednego z urzędów w Moskwie Stiepan Arkadjicz oprócz sympatii zjednał sobie u kolegów, podwładnych, szefów i u każdego, kto miał z nim do czynienia, także i szacunek. Głównymi zaletami Obłońskiego, dzięki którym zdobył ogólny mir w urzędzie, były: przede wszystkim niezwykła wyrozumiałość w stosunku do ludzi, oparta na świadomości własnych wad; po drugie — całkowity liberalizm, nie ten znany mu z gazet, lecz ten, który miał we krwi i na zasadzie którego zupełnie równo i jednakowo traktował wszystkich, jakakolwiek była ich sytuacja majątkowa i społeczna; po trzecie — co najważniejsze — doskonała obojętność wobec spraw, które załatwiał, dzięki czemu nigdy nie tracił równowagi i nie popełniał omyłek.

Po przybyciu na miejsce urzędowania Obłoński w asyście gorliwego portiera, który niósł za nim tekę, udał się do swego malutkiego gabinetu, przebrał się tam w mundur i wszedł do

biura. Wszyscy kanceliści i urzędnicy wstali, kłaniając się wesoło i z uszanowaniem. Obłoński szybko, jak zawsze, podszedł do swojego biurka, podał rękę kolegom, usiadł, pożartował i porozmawiał dokładnie tyle, ile wypadło, po czym przystąpił do pracy. Nikt lepiej od niego nie potrafił ustalić owej granicy swobody, prostoty i oficjalnego autorytetu, która jest warunkiem przyjemnego urzędowania. Sekretarz wesoło i z szacunkiem — jak wszyscy w obecności Obłońskiego — zbliżył się z aktami i powiedział poufałym, liberalnym tonem, zaprowadzonym przez Stiepana Arkadjicza:

— Udało się nam jednak zdobyć te informacje od penzeńskiego urzędu gubernialnego. Proszę, jeśli łaska...

— Ach, dostaliśmy je nareszcie? — rzekł Obłoński zakładając palcem akta. — A więc, panowie... — I urzędowanie się rozpoczęło.

„Gdyby oni wiedzieli — myślał, z poważnie pochyloną głową słuchając sprawozdania — jak bardzo ich prezes pół godziny temu przypominał skarconego malca!” I patrzył na czytającego roześmianymi oczyma. Do drugiej urzędowanie miało trwać bez przerwy, o drugiej — przerwa i śniadanie.

Nie było jeszcze drugiej, gdy wielkie szklane drzwi nagle się otworzyły i ktoś wszedł na salę. Wszyscy panowie siedzący pod portretem obok trójkątnego metalowego symbolu praw* obejrzeni się, radzi z urozmaicenia, ale woźny stojący u drzwi natychmiast wyprosił przybysza i zaniknął je za nim.

Po przeczytaniu sprawy Stiepan Arkadjicz wstał, przeciągnął się i — składając hołd liberalizmowi epoki — wyjął na sali papierosa, po czym wrócił do swego gabinetu. Dwaj jego koledzy, zasiedziały stary służbista Nikitin i

* Symbol praw — trójkątny metalowy graniastosłup z wypisanymi na trzech jego ścianach „ukazami” Piotra Wiekiego

kamerjunkier* Hryniewicz, wyszli z nim razem. — Zdążymy skończyć po śniadaniu — rzekł Obłoński.

— Ależ na pewno! — potwierdził Nikitin.

— To musi być nie lada krętacz, ten Fomin — określił Hryniewicz jednego z uczestników sprawy, którą rozpatrywali.

Stiepan Arkadjicz na te słowa zmarszczył brwi, dając w ten sposób do zrozumienia, że jest rzeczą niewłaściwą przedwcześnie wydawać sąd, i nic nie odpowiedział.

— Kto to wchodził? — spytał woźnego.

— Taki jakiś, wasza ekscelencjo, wlaźł bez pytania, ledwie się odwrócił. Pytał się o waszą ekscelencję. Powiedziałem mu: kiedy panowie wyjdą, wtedy...

— Gdzież on jest?

— Chyba w sieni, bo dotychczas ciągle tutaj się przechadzał. Oto on — dodał woźny wskazując na atletycznie zbudowanego, barczystego mężczyznę o kędzierzawej brodzie, który nie zdejmując baraniej czapki, szybko i lekko wbiegał po startych stopniach kamiennych schodów. Schodzący wraz z innymi chudy urzędnik z teczką zatrzymał się, spojrzął najpierw krytycznie na nogi biegnącego, a potem pytająco na Stiepana Arkadjicza.

Stiepan Arkadjicz stał u góry. Twarz, jaśniejąca dobroduszością nad haftowanym kołnierzem munduru, rozpromieniła się jeszcze bardziej, gdy poznał spieszącego przybysza.

— Naturalnie! Lewin! Nareszcie! — zawołał z przyjacielskim, nieco ironicznym uśmiechem, przyglądając się wbiegającemu na schody Lewinowi. — Że też się nie zawahałeś odszukać mnie w tej norze! — dodał i nie poprzestając na uścisku dłoni, ucałował przyjaciela. —

* Kamerjunkier — niższy szambelan dworu w carskiej Rosji

Dawno przyjechałeś

— Dopiero co, i bardzo chciałem się z tobą zobaczyć — odparł Lewin, który z niepokojem rozglądał się dokoła, zarazem nieśmiało i gniewnie.

— No to chodźmy do gabinetu — rzekł Stiepan Arkadjicz, a wiedząc, jak bardzo przy swym gwałtownym i ambitnym usposobieniu przyjaciel jego jest nieśmiały, chwycił, go za rękę i pociągnął za sobą, jakby przeprowadzając go przez niebezpieczeństwa.

Obłoński był na „ty” prawie ze wszystkimi swymi znajomymi: z sześćdziesięcioletnimi starcami, z dwudziestoletnimi chłopcami, z aktorami, ministrami, kupcami i generał — adiutantami. Toteż wielu z tych, którzy byli z nim na „ty”, stało na dwóch krańcowo przeciwległych szczeblach drabiny społecznej i niejeden z nich zdziwiłby się wielce, gdyby mu powiedziano, że poprzez Stiepana Arkadjicza ma coś wspólnego z innymi. Obłoński był na „ty” ze wszystkimi, z którymi pijał szampana, a szampana pił z każdym, i dlatego spotykając się w obecności podwładnych ze swymi wstydliwymi „ty”, jak żartobliwie nazywał wielu spośród swych przyjaciół, potrafił z właściwym sobie wyczuciem oszczędzać podwładnym nieprzyjemnego wrażenia. Lewin nie zaliczał się do wstydliwych „ty”. Mimo to Obłoński taktownie odgadł, że Lewin przypuszcza, iż przyjaciel nie życzy sobie okazywać wobec podwładnych, jak bardzo są sobie bliscy. Dlatego zaprowadził go od razu do gabinetu.

Byli prawie rówieśnikami i zaczęli sobie mówić „ty” nie przy szampanie. Lewin był kolegą Obłońskiego i przyjacielem wczesnej młodości. Lubili się bardzo mimo różnicy charakterów i upodobań, jak lubią się ludzie zaprzyjaźnieni od najmłodszych lat. Mimo to jednak, jak to

często bywa z ludźmi, którzy obrali w życiu różne rodzaje działalności, każdy z nich, chociaż — biorąc na rozum — uznawał działalność drugiego, w gruncie rzeczy nią pogardzał. Każdemu z nich wydawało się, że jedynie życie, które on sam prowadzi, jest pełnym życiem; to zaś, którym żyje przyjaciel, jest tylko cieniem. Obłoński na widok Lewina nie mógł powstrzymać z lekka ironicznego uśmiechu. Ileż to razy widział go przyjeżdżającego do Moskwy ze wsi, gdzie Lewin czymś się zajmował, ale czym — tego Stiepan Arkadjicz nigdy nie mógł dobrze zrozumieć, zresztą nie interesowało go to wcale. Lewin, gdy przyjeżdżał do Moskwy, zawsze był podniecony, zawsze się śpieszył, zawsze czuł się trochę skrępowany, a tym samym — zirytowany, i przeważnie wygłaszał zupełnie nowe, nieoczekiwane poglądy — Stiepan Arkadjicz wprawdzie śmiał się, ale lubił to w nim. I zupełnie tak samo Lewin właściwie gardził miejskim trybem życia przyjaciela i jego służbą państwową, którą uważał za niedorzeczność i z której kpił. Różnica polegała na tym, że Obłoński robiąc to, co wszyscy, śmiał się dobrotliwie i nie tracił wiary w siebie, Lewin zaś — niepewnie, a niekiedy ze złością.

— Od dawna już cię oczekujemy — rzekł Stiepan Arkadjicz wchodząc do gabinetu i puszcżając rękę Lewina, jakby na znak, że tutaj już niebezpieczeństwa się skończyły. — Rad jestem, bardzo rad, że cię widzę. Co porabiasz? Jak się miewasz? Kiedy przyjechałeś?

Lewin milczał spoglądając na nieznanym sobie twarze kolegów Stiepana Arkadjicza, a zwłaszcza na rękę eleganckiego Hryniewicza, który miał tak długie białe palce, tak długie żółte, zagięte na końcu paznokcie i tak olbrzymie błyszczące spinki u koszuli, że ręce te najwidoczniej pochłaniały całą uwagę Lewina i krępowały swobodę jego

myśli. Obłoński spostrzegł to od razu i rzekł z uśmiechem:

— Ach prawda, pozwolą panowie, że ich przedstawię; moi koledzy: Filip Iwanowicz Nikitin, Michał Stanisławowicz Hryniewicz i — obracając się w stronę Lewina — działacz ziemstwa*, nowy ich człowiek, atleta podnoszący jedną ręką pięć pudów, hodowca bydła, myśliwy, a mój przyjaciel Konstanty Dmitrycz Lewin, brat Sergiusza Iwanycza Koźnyszewa.

— Bardzo mi miło — powiedział starsuszek.

— Mam zaszczyt znać pańskiego brata, Sergiusza Iwanycza — rzekł Hryniewicz podając mu swą szczupłą rękę o długich paznokciach.

Lewin spochmurniał, chłodno uściśnął podaną sobie dłoń i natychmiast zwrócił się do Obłońskiego. Mimo że bardzo szanował swego przyrodniego brata, znanego w całej Rosji pisarza, nie cierpiał, gdy się do niego zwracano nie jako do Konstantego Lewina, lecz jako do brata znakomitego Koźnyszewa.

— Nie, nie jestem już działaczem ziemstwa. Pokłóciłem się ze wszystkimi i nie bywam już na zebraniach — rzekł zwracając się do przyjaciela.

— Tak prędko? — zdziwił się z uśmiechem Obłoński. — Jakże się to stało? Dlaczego?

— To długa historia; kiedy indziej ci opowiem. — Rozpoczął jednak opowiadać od razu: — No więc, krótko mówiąc, przekonałem się, że w ziemstwie nic się nie robi i nic zrobić nie można — wypowiedział to tak, jakby go ktoś w tej chwili obraził — Z jednej strony, to zabawka: bawią się w parlament, a ja nie jestem ani dość młody, ani dość stary, by się bawić zabawkami, z drugiej (tu zaciął się), jest to jeden sposób więcej dla powiatowej koterii, by dorobić się grosza.

* Z i e m s t w o — w Rosji carskiej instytucja samorządu terytorialnego. W skład ziemstwa wchodził przedstawiciele szlachty.

Dawniej bywały opiekuństwa, sądy, a teraz ziemstwo, nie jako okazją do łapówek, ale jako synekura — mówił tak gwałtownie, jakby ktoś z obecnych sprzeciwiał się jego zdaniu.

— Aha, widzę, żeś znów wszedł w nową fazę: jesteś konserwatysta — rzekł Obłoński. — Zresztą, pomówimy o tym później.

— Dobrze, później. Ale ja musiałem się koniecznie z tobą widzieć — powiedział Lewin, z nienawiścią wpatrując się w rękę Hryniewicza.

Stiepan Arkadajcz uśmiechnął się nieznacznie.

— Jak to? Mówiłeś przecież, że nigdy więcej nie włożysz europejskiego stroju? — rzekł oglądając jego nowe ubranie, najwyraźniej od francuskiego krawca. — Tak! Już widzę: to nowa faza.

Lewin zaczerwienił się nagle, ale nie tak, jak czerwienią się ludzie dorośli — z lekka, sami nie zdając sobie z tego sprawy — lecz jak mali chłopcy, którzy czują, że ich nieśmiałość jest śmieszna, i ze wstydu czerwienią się jeszcze mocniej, prawie do łez. I tak dziwnie było widzieć tę rozumną, męską twarz tak po dziecinnemu zmienioną, że Obłoński odwrócił wzrok.

— Więc gdzie się zobaczymy? Koniecznie, koniecznie muszę z tobą pomówić — nalegał Lewin.

Obłoński jakby się namyślał.

— Wiesz co, chodźmy na śniadanie do Gurina, tam porozmawiamy. Jestem wolny do trzeciej.

— Nie — odpowiedział Lewin po namyśle — muszę przedtem gdzieś pojechać.

— No, więc dobrze, w takim razie zjedźmy razem obiad.

— Obiad? Ależ mnie nie chodzi o nic takiego, chcę tylko powiedzieć parę słów, o coś zapytać, a potem sobie

pogadamy.

— Więc powiedzże od razu te twoje dwa słowa; pogadamy przy obiedzie.

— No, więc te dwa słowa — zaczął Lewin — nic zresztą takiego...

Z wysiłku, który robił, żeby przewyciężyć nieśmiałość, twarz jego przybrała nagle gniewny wyraz.

— Co porabiają Szczerbaccy? Czy nic się u nich nie zmieniło? — zapytał.

Stiepan Arkadjicz, który od dawna wiedział, że Lewin kocha się w jego szwagierce Kitty, uśmiechnął się prawie niedostrzegalnie, a oczy błysnęły mu wesoło.

— Powiedziałeś „dwa słowa”, a ja w dwóch słowach nie mogę odpowiedzieć, ponieważ...Przepraszam cię na chwilę.

Wszedł sekretarz z aktami, zbliżył się do Obłońskiego z szacunkiem nie pozbawionym poufałości i z pewnym, właściwym wszystkim sekretarzom; skromnym „poczuciem przewagi nad szefem w znajomości spraw, zaczął w formie zapytania wyjaśniać mu jakieś trudności. Stiepan Arkadjicz, nie wysłuchawszy go do końca, położył mu przyjaźnie dłoń na rękawie.

— Nie, niech już pan zrobi tak, jak powiedziałem — rzekł, uśmiechem łagodząc upomnienie i, po krótkim wyjaśnieniu, jak — jego zdaniem — należy rozumieć sprawę, odsunął akta i zakończył: — Niech więc pan tak robi, proszę, tak właśnie, Zacharze Nikiticzu.

Sekretarz wyszedł skonfundowany. Lewin w czasie tej narady zdołał zupełnie opanować zakłopotanie, stał oparty obu łokciami o poręcz krzesła, a twarz jego wyrażała żartobliwe skupienie.

— Nie rozumiem, nie rozumiem — powiedział.

— Czego nie rozumiesz? — ze zwykłym sobie wesołym

uśmiechem zapytał Obłoński biorąc papierosa. Oczekiwał od Lewina jakiegoś dziwnego wysoku.

— Nie rozumiem tego, co wy tu robicie — rzekł Lewin wzruszając ramionami. — Jak ty możesz brać to na serio?

— Dlaczego?

— Dlatego, że nie ma tu nic do roboty.

— Tak ci się tylko zdaje. Jesteśmy zawaleni pracą.

— Papierową pracą... Ty zresztą masz do tego specjalny talent.

— Czy to znaczy, że masz mi coś do zarzucenia?

— Może i tak — odparł Lewin. — Ale mimo to podziwiam twoją wspaniałość i czuję się dumny, że mój przyjaciel jest tak wielkim człowiekiem. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie — dodał patrząc Obłońskiemu prosto w oczy z rozpaczliwym wysiłkiem.

— Dobrze, dobrze. Poczekaj trochę, i ty do tego dojdiesz. Łatwo tak gadać, jak się ma trzy tysiące dziesięcin w karazińskim powiecie, do tego takie mięśnie, a poza tym świeżość uczuć dwunastoletniej dziewczynki; Jeszcze i ty kiedyś do nas zapukasz. A jeśli chodzi o odpowiedź na twoje pytanie, to nic się nie zmieniło szkoda tylko, żeś tam tak dawno nie był.

— Bo co? — przeraził się Lewin.

— Ależ nic — odpowiedział tamten. — Pomówimy o tym. Ale po coś ty właściwie przyjechał?

— Ach, o tym także pogadamy później — Lewin znowu zaczerwienił się po uszy.

— No, dobrze. Ma się rozumieć — rzekł Obłoński. — Otóż widzisz, zaprosiłbym cię chętnie do siebie, ale żona nie jest całkiem zdrowa. Wiesz co, jeśli chcesz ich wszystkich zobaczyć, to spotkasz ich dziś na pewno w Ogrodzie Zoologicznym między czwartą a piątą. Kitty będzie na

ślizgawce. Pojedźże tam, a ja po ciebie wpadnę i zjemy gdzieś razem obiad.

— Doskonale. A więc do widzenia.

— Tylko pamiętaj; bo ty, już ja cię dobrze znam, gotów jesteś zapomnieć albo nagle wyjechać na wieś — śmiejąc się zawołał za nim Stiepan Arkadjicz.

— Nie. Będę na pewno!

I Lewin wyszedł z gabinetu. Dopiero za drzwiami przypomniał sobie, że się nie pożegnał z kolegami Obłońskiego.

— Ale to musi być energiczny jegomość! — zauważył po jego wyjściu Hryniewicz.

— Tak, bracie — rzekł kręcąc głową Stiepan Arkadjicz — to dopiero szczęściarz! Trzy tysiące dziesięcin w powiecie karazińskim, cała przyszłość przed nim i — co za świeżość! Nie to co my.

— Książę jeszcze narzeka

— Cóż, kiedy kiepsko jest; całkiem źle — westchnął ciężko Obłoński.

VI

Gdy Obłoński zapytał Lewina, po co właściwie przyjechał, Lewin zaczerwienił się, a potem rozzłościł się o to na siebie, nie mógł bowiem odpowiedzieć przyjacielowi: „Przyjechałem oświadczyć się twojej szwagierce”, chociaż właśnie w tym tylko celu przyjechał.

Rodziny Lewinów i Szczerbackich należały do starej szlachty moskiewskiej i były zawsze w bliskich i przyjaznych ze sobą stosunkach. Więzy te utrwały się zwłaszcza w okresie, studiów Lewina, który przygotowywał się i wstąpił na uniwersytet razem z młodym księciem Szczerbackim,

bratem Dolly i Kitty. W owym czasie Lewin bywał często w domu Szczerbackich i zakochał się w ich rodzinie! Jakkolwiek może się to wydawać dziwne, Konstanty Lewin był zakochany właśnie w domu, w rodzinie, a zwłaszcza w niewieściej połowie rodziny Szczerbackich. Własnej matki nie pamiętał, a jedyna jego siostra była od niego starsza, dopiero więc w domu Szczerbackich poznał to środowisko: starą, szlachecką, światłą i uczciwą rodzinę, taką, jakiej sam został pozbawiony przez śmierć ojca i matki. Wszyscy członkowie tej rodziny, zwłaszcza niewieścia jej połowa, wydawali mu się przesłonięci jakąś tajemniczą, poetyczną zasłoną. Nie tylko nie dostrzegał w nich żadnych wad, lecz domyślał się za ową poetyczną, okrywającą ich zasłoną — najwznioślejszych uczuć i najrozmaitszych doskonałości. Czemu te trzy panienki musiały jednego dnia rozmawiać po angielsku, drugiego — po francusku? Dlaczego w pewnych godzinach grały kolejno na fortepianie, którego dźwięki słyhać było na górze u brata, gdzie uczyli się studenci? Po co przychodzili ci wszyscy nauczyciele literatury francuskiej, muzyki, rysunku i tańca? W jakim celu o pewnych określonych godzinach wszystkie trzy wraz z młde Linon jeździły kareta aż na Twerski bulwar, ubrane w swe atlasowe szubki — Dolly w długą, Natalie w półdługą, a Kitty w zupełnie krótką, tak że widać było w całości jej kształtne nóżki w bardzo obcisłych czerwonych pończoszkach? Dlaczego przechadzały się po Twerskim bulwarze, eskortowane przez lokaja ze złotą rozetką u kapelusza? Tego i wielu innych rzeczy, które działy się w ich tajemniczym świecie, Lewin nie rozumiał, ale wiedział, że wszystko, cokolwiek się tam działo, było piękne, i kochał się właśnie w tajemniczości tego piękna.

Jeszcze Jako student omal nie zakochał się w najstarszej,

Dolly, lecz wkrótce wydano ją za mąż za Obłońskiego. Potem zaczął się durzyć w drugiej z rzędu, jak gdyby czuł, że powinien zakochać się w jednej z sióstr, tylko nie mógł się połapać w której. Lecz i Natalie, ledwo zaczęła bywać, zaraz wyszła za mąż za Lwowa, dyplomatę. Kitty była jeszcze dzieckiem, kiedy Lewin skończył uniwersytet. Młody Szczerbacki, który wstąpił do marynarki, utonął na Bałtyku i stosunki Lewina z rodziną Szczerbackich, mimo jego przyjaźni z Obłońskim, rozluźniły się. Kiedy jednak w tym roku na początku zimy Lewin przyjechał do Moskwy po całorocznym pobycie na wsi i spotkał znowu Szczerbackich, od razu zrozumiał, w której z trzech sążone mu się było zakochać.

Na pozór nie mogło być nic prostszego: Lewin, który pochodził z dobrej rodziny, był człowiekiem raczej bogatym niż biednym i miał trzydzieści dwa lata, mógł śmiało oświadczyć się o rękę księżniczki Szczerbackiej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa uznano by go bez wahania za dobrą partię. Lewin wszakże był zakochany i dlatego wyobrażał sobie, że Kitty to taka pod każdym względem doskonałość, istota tak bardzo przewyższająca wszystko, co ziemskie, on zaś sam jest tak bardzo ziemski i pospolity, że nawet mowy być nie może, by mógł być uznany za godnego jej ręki przez nią samą czy przez innych.

Spędziwszy jak w odurzeniu dwa miesiące w Moskwie, podczas których niemal codziennie widywał Kitty w domach, gdzie zaczął bywać, aby ją spotkać, nagle zdecydował, że to się stać nie może, i wrócił na wieś.

Przekonanie Lewina o nieziszczalności jego, zamiarów opierało się na tym, że w oczach jej krewnych musi uchodzić za partię niekorzystną, niegodną prześlizgnięcia Kitty i — że sama Kitty nie może go kochać. Z punktu widzenia krewnych

nie miał żadnego określonego zajęcia ani pozycji towarzyskiej, gdy jego rówieśnicy — Lewin miał trzydzieści dwa lata — byli już pułkownikami, fligiel-adiutantami*, profesorami, dyrektorami banków i kolei lub, jak Obłóński, prezesami różnych instytucji. On natomiast (wiedział aż nadto dobrze, co o nim muszą sądzić inni) był obywatelem ziemskim zajmującym się hodowlą krów, strzelaniem bekasów, stawianiem budynków, to znaczy — niezdarzonym młodzikiem zajmującym się według pojęć światowych tym właśnie, czym się zajmują ludzie do niczego niezdatni.

Tajemnicza i przesłiczna Kitty nie mogła kochać tak brzydkiego — jak mniemał — człowieka, a przede wszystkim takiego przeciętnego prostaka. Poza tym jego dawny stosunek do Kitty — stosunek dorosłego mężczyzny do dziecka, wynikały z przyjaźni z jej bratem — wydawał się Lewinowi jeszcze jedną przeszkodą w miłości. Brzydkiego pocziwca, za jakiego się miał, można było, jego zdaniem, lubić jak przyjaciela, ale na to, aby być kochanym taką miłością, jaką on darzył Kitty, trzeba było być człowiekiem pięknym, a przede wszystkim — niezwykłym. —

Słyszał, że kobiety nieraz kochają brzydkich, przeciętnych mężczyzn, ale nie wierzył temu, sądził bowiem po sobie, gdyż sam potrafił kochać tylko piękne, tajemnicze i niezwykle kobiety.

Po dwumiesięcznym samotnym pobycie na wsi przekonał się jednak, że to nie jest jedno z owych zakochań, jakim ulegał w latach pierwszej młodości; że uczucie to nie daje mu ani chwili spokoju; że wprost nie będzie mógł żyć, jeśli nie rozwiąże zagadnienia — czy Kitty zostanie, czy też nie zostanie jego żoną. Doszedł do wniosku, że jego poprzednie zwątpienie było tylko wytworem wyobraźni i że nic nie

* Fligiel-adiutant — oficer zaliczony do świty cesarza

wskazuje na to, by miała go spotkać odmowa. Toteż teraz przyjechał do Moskwy z mocnym postanowieniem, by oświadczyć się i ożenić, jeżeli zostanie przyjęty... Albo... Nie mógł nawet znieść myśli o tym, co się z nim stanie, jeśli się spotka z rekuzą.

VII

Po przybyciu rannym pociągiem do Moskwy Lewin zatrzymał się u swego starszego przyrodniego brata, Koznyszewa, przebrał się i wszedł do gabinetu chcąc od razu powiedzieć, po co przyjechał, i poprosić o radę. Brat jednak nie był sam. Siedział u niego znany profesor filozofii, który przybył specjalnie z Charkowa, żeby wyjaśnić powstałe między nimi nieporozumienie na temat bardzo ważnego zagadnienia filozoficznego. Profesor toczył zażartą polemikę z materialistami, a Sergiusz Koznyszew z zainteresowaniem śledził jej przebieg i po przeczytaniu ostatniego artykułu profesora napisał do niego list wyrażając mu swoje sprzeciwy i zarzucając zbyt duże ustępstwa na rzecz materialistów. Profesor natychmiast przyjechał, żeby się z nim porozumieć. Chodziło o modne zagadnienie: czy istnieje w działalności człowieka granica między zjawiskami psychicznymi a fizjologicznymi i gdzie ona przebiega?

Sergiusz Iwanowicz przywitał brata swoim zwykłym, jednakowym dla wszystkich, grzecznym, oziębłym uśmiechem i po dokonaniu prezentacji wiódł dalej rozmowę.

Malutki człowieczek w okularach, o żółtej cerze i wąskim czole, na chwilę oderwał się od dyskusji, by przywitać się z Lewinem, po czym mówił dalej, nie zwracając na niego uwagi. Lewin usiadł czekając, aż profesor wyjdzie, wkrótce jednak zainteresował się treścią rozmowy.

Natrafił w pismach na artykuły, o których była mowa, i czytał je z zaciekawieniem, gdyż dotyczyły podstaw przyrodoznawstwa znanych mu, jako przyrodnikowi z wykształcenia, lecz nigdy nie zestawiał naukowych wniosków o pochodzeniu człowieka jako zwierzęcia, o refleksach, o biologii i socjologii — z tymi spośród zagadnień sensu życia i śmierci, które dotyczy jego samego, a które w ostatnich czasach coraz częściej zaprzątały jego umysł.

Śluchając rozmowy brata z profesorem spostrzegł, że łączyli oni zagadnienia naukowe z bardziej bliskimi człowiekowi zagadnieniami, że kilkakrotnie zbliżali się do tych właśnie zagadnień, jednocześnie jednak miał wrażenie, że ilekroć prawie już dotykali ich istoty, natychmiast cofał się z pośpiechem i znów grzęźli w dziedzinie subtelnych rozróżnień, omówień, cytatów, napomknień, powołując się na liczne autorytety, i Lewin z trudem rozumiał, o czym właściwie rozmawiają.

— Nie mogę się zgodzić — mówił Koznyszew z właściwą sobie jasnością, dokładnością w doborze słów i wyszukaną dykcją — nie mogę w żaden sposób zgodzić się z Keithem, by całe moje wyobrażenie o świecie zewnętrznym opierało się na wrażeniach. Najbardziej nawet podstawowego pojęcia: istnienie, nie zawdzięczam doznaniu, nie ma bowiem w ogóle specjalnego narządu do przekazywania tego pojęcia.

— Tak, ale oni wszyscy — i Wurst, i Knaust, i Pripasow — odpowiedzą panu, że pańska świadomość istnienia wynika z całokształtu wszystkich doznań, że jest więc rezultatem doznań. Wurst twierdzi wprost, że tam, gdzie nie ma doznań, nie ma też i pojęcia istnienia.

— Powiedziałbym przeciwnie... — zaczął Koznyszew. Lewinowi w tej chwili znów poczęło się zdawać, że

rozmawiający, ledwo zbliżywszy się do istoty sprawy, na nowo się cofają, i postanowił zadać profesorowi pytanie:

— A zatem, skoro zmysły moje zostaną unicestwione, skoro ciało moje umrze, nie będzie już żadnego istnienia?

Profesor zirytowany, jakby go ta przerwa do żywego zaboląła, obejrzał się na dziwnego interpelanta, wyglądającego raczej na burłaka* niż na filozofa, po czym przeniósł spojrzenie na Koznyszewa, jak gdyby zapytując: „I po co w ogóle z nim gadać?” Koznyszew, który mówił z większą łatwością niż profesor i był mniej zacietrzewiony mając umysł dość szeroki, by replikować uczonemu, a zarazem rozumieć prosty i naturalny punkt widzenia, z jakiego zrodziło się pytanie brata, uśmiechnął się i rzekł:

— Tej kwestii nie mamy jeszcze prawa rozstrzygać.

— Nie ma danych — potwierdził profesor i ciągnął dalej swoje wywody. — Nie — mówił — muszą podkreślić, że jeśli, jak twierdzi Pripasow, podstawą doznania jest wrażenie, to istotnie powinniśmy ściśle rozgraniczać te dwa pojęcia. Lewin już dalej nie słuchał i czekał tylko, kiedy profesor wyjdzie.

VIII

Po wyjściu profesora Sergiusz zwrócił się do brata:

— Cieszę się bardzo, żeś przyjechał. Czy na długo? A jak tam gospodarstwo?

Lewin wiedział, że starszy brat mało się interesuje gospodarstwem i że zadał to pytanie jedynie przez wzgląd na niego, toteż w odpowiedzi wspomniął tylko o sprzedaży pszenicy i pieniądzech.

Zamierzał powiedzieć bratu, że chce się ożenić, i zapytać

* Burłacy — w dawnej Rosji robotnicy holujący barki w górę rzeki

go o radę; zdecydował się nawet na to z całą stanowczością. Gdy jednak zobaczył brata, gdy wysłuchał jego dyskusji z profesorem, a potem usłyszał ów mimowolnie protekcyjny ton, jakim Sergiusz wypytywał go o sprawy gospodarcze (majątku po matce nie podzielili i Lewin zarządzał zarówno częścią brata, jak i własną), poczuł, że” nie może jakoś wszcząć z bratem rozmowy o zamierzonym małżeństwie. Obawiał się, że Sergiusz nie będzie się zapatrywał na to tak, jak on by sobie tego życzył.

— A jak tam wasze ziemstwo? — zapytał Koznyszew, który bardzo się tą instytucją interesował przypisując jej doniosłe znaczenie.

— Doprawdy nie wiem...

— Jak to?... Przecie jesteście członkiem zarządu!

— Nie, już nie jestem; wystąpiłem — odpowiedział Lewin, — Nie bywam już na zebraniach.

— Szkoda — mruknął Sergiusz Iwanowicz i zasepił się. Lewin na swoje usprawiedliwienie zaczął opowiadać, co się działo na zebraniach w jego powiecie.

— Zawsze tak bywa! — przerwał mu Sergiusz. — My, Rosjanie, zawsze tak postępujemy. Może to nawet i dodatnia cecha, ta zdolność dostrzegania własnych błędów, ale my stanowczo przesadzamy, a pocieszamy się ironią, którą zawsze mamy w pogotowiu. Powiem ci tylko, że gdyby którykolwiek inny naród w Europie miał takie uprawnienia jak nasze instytucje ziemskie, to Niemcy lub Anglicy dawno by już wypracowali z nich wolność, podczas gdy my wciąż się tylko ze wszystkiego wyśmiewamy.

— Ale co począć? — zapytał Lewin ze skruchą. — To była moja ostatnia próba. Staralem się całym sercem... Nie mogę. Nie jestem zdolny.

— Zdolności ci nie brak, tylko zapatrujesz się na rzeczy

nie tak, jak należy.

— Być może — odpowiedział ponuro Lewin.

— A czy wiesz, że Mikołaj jest tu znowu?

Mikołaj był to rodzony starszy brat Konstantego, a przyrodni Sergiusza, człowiek wykolejony, który strwonił większą część własnego majątku, obracał się w najdziwaczniejszym, najgorszym towarzystwie i poróżnił się z braćmi.

— Co ty mówisz?! — zawołał z przerażeniem Konstanty.

— Skąd wiesz o tym?

— Prokofij widział go na ulicy.

— Tu w Moskwie? A gdzie on jest? Nie wiesz? — Lewin zerwał się z krzesła, jak gdyby zamierzał iść tam niezwłocznie. .

— Żałuję, że ci to powiedziałem — rzekł Sergiusz Iwanowicz kręcąc głową na widok wzburzenia młodszego brata. — Kazałem się dowiedzieć, gdzie mieszka, i posłałem mu jego weksel, który wykupiłem od Trubina. Oto, co mi odpowiedział.

Wyjął spod przycisku kartkę i podał bratu.

Lewin przeczytał słowa skreślone dziwnym, a tak mu bliskim pismem: „Proszę unizenie, aby mnie zostawiono w spokoju. To wszystko, czego żądam od mych drogich braciszków. Mikołaj Lewin.”

Lewin przeczytał i nie podnosząc głowy stał z kartką w rękę przed Sergiuszem.

W duszy jego toczyła się walka: pragnął zapomnieć o nieszczęsnym bracie, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że postąpiłby źle.

— Najwidoczniej chce mnie obrazić — ciągnął dalej Sergiusz — ale to mu się nie uda. Z całego serca pragnąłbym mu dopomóc, chociaż wiem, że nic się nie da zrobić.

— Tak, tak — powtórzył Lewin. — Rozumiem i cenię twój stosunek do Mikołaja. Ja jednak do niego pojedę.

— Jedź, jeśli masz ochotę — rzekł Sergiusz. — Ale nie radzę... Naturalnie, jeśli chodzi o mnie, to odwiedzin tych się nie obawiam: nie uda mu się nas poróżnić; ale przez wzgląd na samego ciebie radzę ci — lepiej nie idź. Tu nic pomóc nie można. Zresztą, rób, jak uważasz.

— Może pomóc się już nie da, ale czuję, zwłaszcza w tej chwili — no, ale to już całkiem inna rzecz! — że nie miałbym spokoju.

— Tego znów nie rozumiem — powiedział Sergiusz Iwanowicz. — Jedno wiem — dodał — że jest to lekcja pokory. Inaczej i o wiele pobłaźliwiej zacząłem zapatrywać się na wszystko, co ludzie nazywają podłością, odkąd Mikołaj, nasz brat, stał się tym, czym jest... Wiesz, co on zrobił...

— Ach, to straszne, straszne! — powtarzał Lewin. Otrzymawszy od służącego adres brata Lewin wyszedł, zamierzając natychmiast się do niego wybrać, rozmyślił się jednak i postanowił zaczekać do wieczora. Przede wszystkim, dla osiągnięcia spokoju wewnętrznego, należało załatwić sprawę, która go sprowadziła do Moskwy. Wyszedłszy od brata pojechał więc do instytucji, w której urzędował Obłoński, i zasięgnąwszy informacji o Szczerbackich udał się tam, gdzie — jak mu powiedziano — mógł zastać Kitty.

IX

O godzinie czwartej Lewin z bijącym sercem wysiadł z dorozki przed Ogrodem Zoologicznym i poszedł ścieżką ku torowi saneczkowemu i ślizgawce wiedząc na pewno, że zastanie tam Kitty, ponieważ widział przed bramą karetę

Szczerbackich.

Był jasny, mroźny dzień. Przy wjeździe stały rzędy karet, sanek, dorożek, żandarmów. U wejścia i na oczyszczonych drózkach, pomiędzy domkami w stylu rosyjskim, o belkach szczytowych wycinanych w deseń, roiło się od dobrze ubranych ludzi; w jaskrawym słońcu połyskiwały kapelusze. Stare kędzierzawe brzozy, o gałęziach uginających się pod śniegiem, zdawały się przybrane w nowe uroczyste szaty.

Lewin szedł drózką w stronę ślizgawki i mówił sobie: „Nie trzeba się denerwować; trzeba się uspokoić. O co ci chodzi? Czego chcesz? Milcz, głupie” — tak przemawiał do swego serca. Im bardziej usiłował zapanować nad sobą, tym bardziej brakło mu tchu. Po drodze spotkał go znajomy i zawołał na niego; Lewin go nawet nie poznał. Podeszedł do toru, gdzie szczękały łańcuchy ustawianych i wciąganych saneczek, które z łoskotem leciały w dół, i gdzie rozlegały się wesołe okrzyki. Przeszedł jeszcze parę kroków, zobaczył przed sobą ślizgawkę i natychmiast wśród tłumu ślizgających się rozpoznał Kitty.

Strach i radość, które ogarnęły jego serce, zwiastowały mu jej obecność. Kitty stała na przeciwległym końcu ślizgawki, rozmawiając z jakąś panią. Zdawało się, że nie było nic szczególnego ani w jej stroju, ani w postawie, Lewin wszakże rozpoznał ją w tym tłumie z taką łatwością, jak poznaje się różę wśród pokrzyw... Oświeblała wszystko. Była uśmiechem, który opromieniał wszystko dokoła. „Czyż doprawdy wolno mi zejść tam, na lód, zbliżyć się do niej?” — pomyślał. Miejsce, gdzie stała, wydawało się Lewinowi niedostępne i święte i była chwila, że omal nie odszedł, taki ogarnął go lęk. Musiał się opanować i wytłumaczyć sobie, że przecie Kitty otaczają rozmaitego rodzaju ludzie, że przecie i on mógł przyjść tutaj tylko po to, żeby się ślizgać. Zeszedł na

dół starając się nie patrzeć na nią zbyt długo, jak nie patrzy się na słońce. Ale nawet nie patrząc na nią widział ją, jak widzi się słońce.

W tym dniu tygodnia i o tej właśnie porze na ślizgawce zwykły zbierać się osoby należące do tego samego kółka i znające się nawzajem. Byli tu i zawołani mistrzowie łyżew, popisujący się swą sztuką, i tacy, którzy dopiero uczyli się jazdy trzymając się fotelików, początkujący, o nieśmiałych i niezgrabnych ruchach, i mali chłopcy, i starzy ludzie zażywający ślizgawki dla higieny. Wszyscy wydali się Lewinowi wybranymi szczęśliwcami, ponieważ byli tu, w pobliżu Kitty, a tymczasem wszyscy wyprzedzali ją, doganiali i nawet rozmawiali z nią całkiem obojętnie lub zupełnie niezależnie od niej bawili się ochoczo, korzystając z doskonałego lodu i pogody.

Mikołaj Szczerbacki, stryjeczny brat Kitty, w krótkiej kurtce i wąskich spodniach, siedział z łyżwami u nóg na ławce. Ujrawszy Lewina zawołał:

— A, pierwszy łyżwiarz Rosji! Dawno — pan jest tutaj? Pyszny lód, niechże pan przypina łyżwy.

— Kiedy nawet nie mam ze sobą łyżew — odpowiedział Lewin dziwiąc się takiej odwadze i swobodzie obejścia w obecności Kitty. Nie tracił jej z oczu ani na sekundę, chociaż wcale na nią nie patrzył. I naraz poczuł, że słońce się do niego zbliża. Była na zakręcie i posuwała się ku niemu z widocznym lękiem, ostrożnie stawiając swe wąskie stopki w wysokich bucikach. Chłopak w rosyjskim stroju mijał ją wymachując zamaszycie rękoma i pochylając się ku ziemi. Jechała niezupełnie pewnie; wyjąwszy ręce z mufki zawieszanej na sznurze, trzymała je w pogotowiu i spoglądała na Lewina, którego poznała, uśmiechając się trochę do niego, a trochę z własnego strachu. Za zakrętem

odepchnęła się sprężystą nóżką, podjechała prosto do Szczerbackiego i uchwyciwszy się go, z uśmiechem skinęła głową Lewinowi. Była piękniejsza, niż sobie wyobrażał. .

Kiedy o niej myślał, mógł ją z łatwością wywołać w pamięci całą, a zwłaszcza urok tej niewielkiej jasnowłosej główki, od której biła dziecięca pogoda i dobroć, tak swobodnie osadzonej na mocnych dziewczęcych ramionach. Dziecięcy wyraz, w połączeniu z wiotką urodą postaci, nadawał jej swoisty urok, który Lewin tak dobrze pamiętał. Co w niej jednak zawsze oszałamiało jak niespodzianka, to wyraz oczu, łagodnych, spokojnych i szczerych, a zwłaszcza uśmiech, przenoszący Lewina w zaczarowany świat, gdzie odnajdywał w sobie rzewność i miękkość i znów był takim, jakim pamiętał siebie z niewielu dni wczesnego dzieciństwa.

— Dawno pan w Moskwie? — zapytała podając mu rękę. — Dziękuję dodała, gdy podniósł chusteczkę, która wypadła jej z mufki.

— Ja... ja... niedawno, wczoraj... to jest dzisiaj... — odrzekł, ze wzruszenia nie od razu rozumiejąc jej pytanie. — Chciałem państwa odwiedzić... — zaczął, ale przypomniał sobie, w jakim celu jej szukał, więc zmieszał się i zaczerwienił. — Nie wiedziałem, że pani się ślizga, i to tak doskonale.

Spojrzała na niego uważnie, jakby chciała zrozumieć powód jego zmieszania.

— Pochwałę pana należy cenić. Przechowały się tu legendy o panu jako o najlepszym łyżwiarzu — rzekła strzepując malutką rączką w czarnej rękawiczce igielki szronu, które osiadły na mufce.

— Tak, niegdyś ślizgałem się z pasją: chciałem dojść do perfekcji.

— Zdaje się, że pan wszystko robi z pasją —

odpowiedziała z uśmiechem. — Tak bym chciała zobaczyć, jak pan się ślizga. Niechże pan weźmie łyżwy, będziemy się razem ślizgali.

„Ślizgać się razem! Czy to możliwe?” — myślał Lewin spoglądając na nią.

— Zaraz wezmę — powiedział. I poszedł po łyżwy.

— Dawno pan u nas nie był — przywitał go posługacz podtrzymując mu nogę i przyśrubowując łyżwę do obcasa. — Od czasu pana nie ma już u nas takich mistrzów. Czy tak będzie dobrze? — zapytał ściągając rzemyk.

— Dobrze, dobrze, proszę prędej — odpowiedział Lewin, ledwo mogąc zapanować nad bezwiednym uśmiechem szczęścia. „Tak — myślał. — To jest życie, to jest szczęście! Razem — powiedziała — będziemy się razem ślizgali. — Czy powiedzieć jej teraz? Ależ ja właśnie dlatego boję się powiedzieć, ponieważ jestem szczęśliwy, szczęśliwy bodaj nadzieją... A co będzie potem?... Ale przecież trzeba! Trzeba, trzeba! Precz ze słabością!”

Lewin stanął, zdjął palto, nabrawszy rozpędu na chropowatym lodzie koło domku, wyjechał na gładki lód i pomknął bez wysiłku, jakby samą tylko wolą przyspieszając pęd i wyznaczając kierunek. Zbliżył się do niej nieśmiało, ale uśmiech jej uspokoił go znowu.

Podąła mu dłoń i sunęli obok siebie zwiększając coraz bardziej szybkość, a im szybciej mknęli, tym ona mocniej ścisnęła jego rękę.

— Z panem nauczyłabym się o wiele prędej; nie wiem dlaczego, ale mam do pana zaufanie.

— Ja również czuję się pewniejszy, gdy pani wspiera się na mnie — powiedział, ale wnet przeraził się tego, co wyrzekł, i poczerwieniał. Jakoż w istocie, ledwo powiedział te słowa, z twarzy jej znikła cała serdeczność, jakby słońce

skryło się za chmurą, i Lewin ujrzał znajomą sobie grę wyrazu: na jej gładkim czole ściągnęła się fałdka, świadcząca o wysiłku myślowym.

— Czy spotkała panią jaka przykreść? Zresztą, nie mam prawa pytać — dodał prędko.

— Dlaczego?... Nie, nie spotkała mnie żadna przykreść — odparła chłodno. I zaraz spytała: — Nie widział pan m–lle Linon?

— Jeszcze nie.

— Niech pan do niej podejdzie; ona pana tak lubi.

„Co się stało! Czyżbym ją uraził?... Boże, ratuj!” — pomyślał Lewin i podbiegł do siedzącej na ławce starej Francuzki z siwymi loczkami. Uśmiechając się i pokazując swe sztuczne zęby przywitała go jak starego przyjaciela.

— Otóż i dorastamy — rzekła wskazując oczyma na Kitty i — starzejemy się. *Tiny bear** już dorósł! — dodała ze śmiechem, przypominając mu jego dowcip o trzech panienkach, które niegdyś przyrównywał do trzech niedźwiadek z angielskiej bajki. — Pamięta pan, że pan je tak nazywał?

Nie przypominał sobie tego zupełnie, ale m–lle Linon od dziesięciu lat stale śmiała się z tego wielce przez nią ulubionego żartu.

— Niechże pan wraca na lód. Nasza Kitty zaczęła się już wcale nieźle ślizgać, prawda?

Gdy Lewin znowu podjechał do Kitty, twarz jej nie była już surowa, oczy znów patrzyły szczerze i serdecznie; Lewinowi wszakże zdawało się, że owa serdeczność nabrała jakiegoś szczególnego, rozmyślnie spokojnego odcienia. Posmutniał. Zamieniwszy z nim kilka słów na temat starej guwernantki i jej dziwactw poczęła go wypytywać o jego

* *Tiny bear* — niedźwiadek

życie.

— Czy naprawdę nie nudzi się panu zimą na wsi? — rzekła.

— Nie, nie nudzę się, jestem bardzo zajęty — odpowiedział czując, że Kitty narzuca mu swój spokojny ton, z którego on nie potrafi się wyłamać. Tak już bywało na początku zimy.

— Na długo pan przyjechał? — spytała Kitty.

— Nie wiem — odrzekł z roztargnieniem. Przyszło mu na myśl, że jeśli ulegnie owemu tonowi spokojnej przyjaźni, to znowu wyjedzie z Moskwy bez żadnej decyzji, i postanowił się zbuntować.

— Jak to pan nie wie?

— Nie wiem. To zależy od pani — odrzekł i natychmiast przeraził się własnych słów.

Czy nie dosłyszała, czy też nie chciała dosłyszeć, dość, że potknęła się jakby, uderzyła dwa razy nóżką o lód i szybko się oddaliła. Podjechawszy do młle Linon powiedziała jej parę słów i ruszyła w stronę domku, w którym panie zdejmowały łyżwy.

— Boże, co ja zrobiłem! Panie Boże, dopomóż mi, oświeć mnie! — szeptał Lewin modlitewnie, a czując zarazem potrzebę szybkiego ruchu rozpędził się i począł kreślić na łyżwach koła pochylając się to w prawo, to w lewo.

W tej chwili jeden z młodych ludzi, najlepszy z nowych łyżwiarzy, z papierosem w ustach wyszedł na łyżwach z kawiarni, nabrał rozpędu i puścił się po schodach podskakując z łoskotem na każdym stopniu. Runął pędem aż na sam tor, nie zmieniając nawet swobodnego układu rąk, i pomknął po lodzie.

— Ach, to nowa sztuczka! — rzekł Lewin i natychmiast wbiegł na górę, żeby tę nową sztuczkę wykonać.

— Niechże pan tylko nie skręci karku. Trzeba mieć wprawę! — krzyknął za nim Mikołaj Szczerbacki.

Lewin wszedł po stopniach, wziął z góry rozpęd, na ile się dało, i pomknął w dół, utrzymując podczas tak niezwykłego dla siebie ruchu równowagę rękoma. Na ostatnim stopniu zahaczył o coś nogą, ledwo musnął ręką lód, lecz natychmiast silnym ruchem odzyskał równowagę i ze śmiechem sunął dalej.

„Najlepszy... kochany...” — pomyślała Kitty wychodząc z pawilonu wraz z młode Linon i patrząc na Lewina z uśmiechem tkliwej przyjaźni, jak na ukochanego brata. „Czy to istotnie moja wina? Czy naprawdę zrobiłam coś złego? Powiadają: kokieteria. Wiem, że Kocham nie jego; ale tak mi zawsze z nim wesoło, taki jest poczciwy. Tylko po co on mi to powiedział?...” — myślała.

Widząc wychodzącą Kitty oraz matkę, która czekała na nią na schodkach, Lewin, zaczerwieniony od szybkiego ruchu, przystanął w zamyśleniu, po czym zdjął łyżwy i dogonił obie panie przy wyjściu z ogrodu.

— Bardzo się cieszę, że pana widzę — rzekła księżna. — Przyjmujemy, jak zawsze, we czwartki.

— A zatem dzisiaj?

— Bardzo nam będzie miło widzieć pana — rzekła oschle księżna.

Oschłość ta zmartwiła Kitty; nie mogła się powstrzymać, by tego tonu nie złagodzić. Odwróciła głowę i rzekła z uśmiechem:

— Do zobaczenia.

Właśnie wtedy Obłoński, w kapeluszu na bakier, z jaśniejącą twarzą i błyszczącymi oczyma, wchodził do ogrodu jak wesoły triumfator. Kiedy jednak stanął przed teściową, ze skruszoną już i smutną miną odpowiadał na jej

pytania o zdrowie Dolly. Przez chwilę rozmawiał z nią cicho i melancholijnie, po czym wyprostował się i ujął Lewina pod ramię.

— No i cóż, jedziemy? — zapytał. — Myślałem wciąż o tobie i bardzo, bardzo jestem rad, żeś przyjechał — rzekł patrząc mu znacząco w oczy.

— Jedziemy, jedziemy — odpowiedział uszczęśliwiony Lewin słysząc wciąż dźwięk głosu, który powiedział mu „do zobaczenia”, i mając jeszcze w oczach uśmiech towarzyszący tym słowom.

— Do „Anglii” — czy do „Ermitażu”?

— Wszystko mi jedno.

— Więc do „Anglii” — odrzekł Stiepan Arkadjicz wybierając raczej „Anglię”. Ponieważ był tam winien więcej niż w „Ermitażu”, uważał za niestosowne unikać tego hotelu.

— Masz dorożkę? To doskonale, bo odesłałem karetę. Przez całą drogę przyjaciele milczeli. Lewin zastanawiał się, co znaczyła u Kitty owa zmiana wyrazu twarzy, i to wmawiał sobie, że jest nadzieja, to wpadał w rozpacz i widział wyraźnie, że nadzieja ta jest szaleństwem. Czuł się jednak zupełnie innym człowiekiem, niepodobnym do tego, którym był, zanim Kitty się uśmiechnęła i powiedziała mu „do zobaczenia”.

Obłoński po drodze komponował menu obiadu.

— Lubisz chyba turboty? — rzekł do Lewina, nim wysiedli.

— Co takiego? — spytał Lewin. — Turboty? Tak, przepadam za turbotami.

X

W chodząc z Obłońskim do hotelu Lewin nie mógł nie

zauważyć pewnej niezwykłości w wyrazie twarzy oraz całej postaci Stiepana Arkadjicza, od której biło jakby przyćmione światło. Obłoński zdjął palto i w kapeluszu na bakier wszedł na salę wydając polecenia lepiącym się niemal do niego wyfraczonym Tatarom z serwetkami pod pachą. Kłaniając się na prawo i na lewo witającym go radośnie znajomym, których — jak zresztą wszędzie — miał i tutaj, Obłoński podszedł do bufetu, przegryzł wódkę rybką i powiedział wyszminkowanej, strojnej we wstążki i koronki, ufryzowanej Francuzce, która siedziała przy kasie, coś takiego, że nawet ta Francuzka serdecznie się roześmiała. Lewin natomiast tylko dlatego nie pił wódki, że raził go widok tej Francuzki, która zdawała się cała złożona z cudzych włosów, *poudre de riz* i *vinaigre de toilette**. Oddalił się od niej spieszenie, jak od zanieczyszczonego miejsca. Całą jego duszę przepełniało wspomnienie Kitty, a oczy błyszczały mu uśmiechem triumfu i szczęścia.

— Książę pan pozwoli tutaj, tutaj nikt nie będzie przeszkadzał — zapraszał najbardziej nadskakujący, blady, stary Tatar o szerokich biodrach i rozwiewających się nad nimi połach fraka. — Służę waszej ekscelencji — zwrócił się do Lewina, starając się na znak respektu dla Obłońskiego traktować jak najuprzejmiej także i jego gościa.

Położył w mgnieniu — oka świeży obrus na już nakryty obrusem okrągły stolik pod kinkietem z brązu, przysunął obite aksamitem krzesła, po czym z serwetką i kartą w rękę stanął przed Obłońskim, oczekując zleceń.

— Gdyby książę pan życzył sobie, zaraz będzie wolny osobny gabinet. Książę Golicyn zajmuje go z damą. Dostaliśmy świeże ostrzygi.

— A, ostrzygi...

* *Poudre de riz*... — puder ryżowy... ocet toaletowy

Stiepan Arkadjicz zamyślił się.

— A może by zmienić plan, co, Kostia? — rzekł wreszcie, kładąc palec na jądłospisie. Na twarzy jego odmalowała się poważna rozterka. — Czy aby dobre są te wasze ostrygi? Powiedz no bez blagi.

— Flensburskie, proszę księcia pana, ostendzkich nie ma.

— Niechże będą i flensburskie, ale czy świeże?

— Wczoraj dostaliśmy.

— Więc jak? może by zacząć od ostryg, a potem już zmienić cały plan? Co?

— Wszystko mi jedno. Wolałbym kapuśniak i kaszę. Ale oni tego tu nie mają.

— Kasza a la rious*, do usług? — zapytał Tatar pochylając się nad Lewinem jak niańka nad dzieckiem.

— Nie, bez żartów, zgodzę się na to, co ty wybierzesz. Ślizgałem się i chce mi się jeść. Tylko nie myśl — dodał Lewin spostrzegając na twarzy Obłońskiego wyraz niezadowolenia — że nie potrafię ocenić twojego wyboru. Z przyjemnością zjem coś dobrego.

— Ma się rozumieć! Bądź co bądź jest to jedna z rozkoszy życia — odpowiedział Stiepan Arkadjicz. — Daj nam więc, bracie, ostryg ze dwa, nie, to za mało, ze trzy dziesiątki, zupę z jarzyn...

— Prentanier — podchwycił Tatar. Obłoński jednak nie chciał widocznie sprawić kelnerowi satysfakcji i nazywać potraw po francusku.

— Z jarzyn, rozumiesz? Następnie turbot w gęstym sosie, rozbef, ale uważaj, żeby był dobry. Potem jeszcze kapłony i jakiś kompot.

Kelner, który przypomniał sobie, że Stiepan Arkadjicz nigdy nie nazywa potraw według francuskiego menu, przestał

* A la rious — á la russe: po rosyjsku. (Zniekształcone, Tatar mówi źle po francusku.)

je za nim powtarzać; natomiast dla własnej satysfakcji powtórzył całe zamówienie według karty: sup prentanier, tiurbo sos bomarsze, pulard a lestragą, masedian de friui* — po czym natychmiast, jak na sprężynach, położył jeden spis w oprawie i chwytając drugi — kartę win — podał go Obłońskiemu.

— A oo będziemy pili?

— Co każesz, byle niedużo... Choćby szampana — powiedział Lewin.

— Jak to? Na początek? A zresztą, może masz rację. Lubisz z białą kapslą?

— Kasze blan* — podchwycił Tatar. .

— Podaj więc to z białą kapslą do ostryg, a potem zobaczymy.

— Słucham księcia pana. A jakie wino stołowe?

— Podaj Nuits, nie, lepiej klasyczne Chablis.

— Słucham księcia pana. Czy podać ser? Ten co zwykle?

— Tak, parmezan A może ty wolisz inny?

— = Nie, wszystko mi jedno — odrzekł Lewin nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu.

Tatar o rozwianych połach wybiegł i po pięciu minutach powrócił z półmiskiem pełnym otwartych ostryg na perłowych muszlach i z butelką, którą trzymał w palcach.

Obłoński zmiął nakrochmaloną serwetkę, wsunął ją sobie za kamizelkę — i wygodnie oparłszy ręce, zabrał się do ostryg.

— O, wcale, wcale niezłe — chwalił wydzierając srebrnym widelczykiem mlaskające małże z ich perłowych muszli i połykając jedne po drugich. — Wcale niezłe — powtarzał podnosząc wilgotne, błyszczące oczy na przemian

* Prentanier... soupe printanière...: zupa jarzynowa, turbot w sobie Beaumarchais, pularda z tragankiem, krem owocowy

* Kasze blan — cachet blanc: biała kapsla

to na Lewina, to na Tatarą..

Lewin jadł ostrygi, chociaż bardziej smakowała mu bułka z serem, ale z przyjemnością patrzył na Obłońskiego.

Nawet i Tatar, odkorkowawszy butelkę i rozlewając pieniające się wino w złocone, cienkie kieliszki, z widocznym uśmiechem zadowolenia poprawiał swój biały krawat i zerkał na Stiepana Arkadjicza.

— A ty? Może nie bardzo lubisz ostrygi? — zapytał Lewina wychylając wino. — Albo może masz jakie troski? Co?

Chciał, żeby przyjaciel był wesół. Lewin jednak był nie tyle marnotny, co skrupowany. Z tym, co miał na sercu, przykro mu było siedzieć w restauracji, w sąsiedztwie gabinetów, gdzie się jadało z daniami, wśród bieganiny i krzątany; całe to otoczenie — brązy, zwierciadła, lampy gazowe, Tatarzy — wszystko go drażniło. Bał się, że zbruka to, co przepęłniało mu serce.

— Ja? Tak, mam swoje troski, ale poza tym, to wszystko mnie razi. Nie możesz sobie wyobrazić, jakie mnie, wieśniakowi, wszystko to wydaje się dziwaczne, choćby na przykład paznokcie tego pana, którego u ciebie poznałem...

— O tak, widziałem, że paznokcie biednego Hryniewicza bardzo cię zainteresowały — rzekł śmiejąc się Stiepan Arkadjicz.

— Cóż ja na to poradzę! — odparł Lewin. — Postaw się na moim miejscu i popatrz na to, wszystko ze stanowiska mieszkańca wsi. My na wsi staramy się doprowadzić .. ręce do takiego stanu, żeby można było nimi wygodnie pracować: obcinamy paznokcie i niekiedy zakasujemy rękawy. Tymczasem tutaj ludzie umyślnie zapuszczają tak długie paznokcie, jak się tylko da, a po to, żeby już nic nie można

było robić rękami, przyczepiają sobie do mankietów istne spodki zamiast spinek.

Obłoński uśmiechał się pogodnie.

— Tak, to dowód, że taki człowiek może się obejść bez ciężkiej pracy... Umysł na niego pracuje.

— Być może. Niemniej wydaje mi się to dziwaczne... Tak samo w tej chwili wydaje mi się dziwaczne, że podczas gdy my, wieśniacy, staramy się zaspokoić głód jak najprędzej, by móc wykonać swoją robotę, my tutaj z tobą usiłujemy jak najdłużej się nie najeść i dlatego jemy ostrygi.

— Ma się rozumieć — potwierdził Obłoński — ale na tym właśnie polega cywilizacja, by ze wszystkiego czerpać rozkosz.

— Jeśli to ma być celem cywilizacji, to wolałbym być dzikusiem.

— Jesteś nim i tak. Wy wszyscy, Lewinowie, jesteście dzicy.

Lewin westchnął. Przypomniawszy sobie Mikołaja; ogarnął go smutek, poczuł wyrzuty sumienia i zasepił się; lecz Obłoński wnet poruszył temat, który od razu pochłonął jego uwagę.

— No i cóż, czy będziesz dzisiaj wieczorem u nich, to jest u Szczerbackich? — zapytał ze znaczącym błyskiem oczu odsuwając puste, chropowate muszelki i przysuwając ser.

— Tak, będę na pewno — odpowiedział Lewin — chociaż zdawało mi się, że księżna niechętnie mnie zapraszała.

— Co znowu! Głupstwo! To taka maniera... Dawaj no, bracie, zupeł!.. To jej maniera *grande dame**. Ja również tam będę, ale przedtem muszę być na próbie chóru u hrabiny Bonin. Powiedz sam, czyś ty nie dzikus? Jakże inaczej wytłumaczyć twoje nagłe zniknięcie z Moskwy? Szczerbaccy ciągle się o ciebie dopytywali, tak jakbym ja powinien był

* *Grande dame* — wielkiej damy

coś o tym wiedzieć. Ja zaś wiedziałem tylko jedno: że zawsze robiłeś to, czego nikt nie robi.

— Tak — odrzekł Lewin panując nad wzburzeniem. — Masz rację, jestem dzikus. Ale nie mój wyjazd jest tego dowodem, tylko obecny mój powrót. Przyjechałem teraz...

— Ach, jakiś ty szczęśliwy! — przerwał znów Stepan Arkadjicz wpatrując się w niego.

— Czemu?

— Poznają rumaki chyże po znakach, które noszą, a zakochanych młodzieńców poznają po ich oczach... — zadeklamował Obłoński. — Ty masz jeszcze wszystko przed sobą.

— A ty, czyżbyś miał już wszystko poza sobą?

— Nie, może jeszcze nie wszystko, chociaż... Ale przed tobą cała przyszłość, a ze mną bardzo różnie bywa.

— Jak to?

— Niewesoło... Zresztą, nie chciałbym mówić o sobie, a poza tym wszystkiego wytłumaczyć się nie da — odparł Stepan Arkadjicz. — Więc po co przyjechałeś do Moskwy? ... Ej, ty tam,, sprzątnij no! — zawołał na Tatarą.

— Może się domyślasz? — zapytał Lewin nie spuszczać z przyjaciela do głębi rozjaśnionych oczu.

— Domyślam się, ale mi nie wypada pierwszemu o tym mówić. Możesz więc już z tego wnioskować, czy domysł mój jest słuszny, czy nie — odpowiedział Obłoński patrząc z wiele mówiącym uśmiechem na Lewina.

— No, więc cóż mi powiesz? — zapytał Lewin drżącym głosem czując, jak mu w twarzy drgają wszystkie mięśnie. — Jak się na to zapatrujesz?

Obłoński powoli wypił swoją szklanę Chablis nie spuszczać wzroku z Lewina.

— Ja? — rzekł. — Niczego bym tak nie pragnął, jak tego

właśnie! Tak byłoby najlepiej. —

Czy ty się nie mylisz? Czy wiesz, o czym mowa? — dopytywał się Lewin wlepiając wzrok w przyjaciela. — I sądzisz, że to możliwe?

— Sądzę, że możliwe. Dlaczegoż by miało być niemożliwe.

— Nie... Czy naprawdę przypuszczasz, że to możliwe? Nie, nie... Powiedz mi wszystko, co myślisz! A jeżeli... Jeśli mnie spotka odmowa!... Jestem nawet pewien...

— Dlaczego tak sądzisz? — I Stepan Arkadjicz uśmiechnął się widząc podniecenie Lewina.

— Tak mi się czasem zdaje. To będzie przecież straszne i dla niej, i dla mnie.

— W każdym razie dla dziewczyny nie ma w tym nic strasznego. Każda bywa dumna z oświadczyn.

— Tak, każda, ale nie ona.

Stepan Arkadjicz uśmiechnął się. Dobrze znał to uczucie u Lewina; wiedział, że dla niego ogół dziewcząt na świecie dzieli się na dwa gatunki: pierwszy — wszystkie dziewczęta na świecie prócz niej; są to zwykle sobie dziewczęta, mające wszelkie ludzkie niedoskonałości; i drugi gatunek — ona jedna, bez żadnej ułomności, górująca nad wszystkim, co ludzkie.

— Zaczekaj, weź trochę sosu — rzekł i przytrzymał za rękę odtrącającego sos Lewina..

Tamten posłusznie nabrał trochę sosu, ale nie dał jeść przyjacielowi.

— Nie... Pozwól, pozwól — powiedział. — Zrozum, że to jest dla mnie kwestia życia i śmierci! Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem i z nikim tak jak z tobą o tym mówić nie mogę. Przecie ja i ty jesteśmy różni we wszystkim; mamy odmienne poglądy, upodobania, właściwie — wszystko, ale

wiem, że ty mnie lubisz i rozumiesz, i dlatego ja ciebie też strasznie lubię. Tylko na miłość boską, bądź zupełnie szczerzy.

— Mówię ci to, co myślę — odrzekł z uśmiechem Stiepan Arkadjicz. — Powiem ci więcej nawet: moja żona to zupełnie niezwykła kobieta — tu Obłoński westchnął na wspomnienie złych stosunków z żoną i po chwili milczenia mówił dalej: — Moja żona ma dar jasnowidzenia. Widzi ludzi na wskroś; ale to jeszcze nic — ona wie, co się stanie, zwłaszcza jeśli chodzi o małżeństwa. Przepowiedziała na przykład, że Szachowska wyjdzie za Brentelna. Nikt nie chciał temu wierzyć, a jednak tak się stało... Otóż ona jest po twojej stronie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To znaczy, że nie tylko cię lubi, ale powiada, że Kitty na pewno będzie twoją żoną.

Na te słowa twarz Lewina nagle rozjaśniła się uśmiechem bliskim łoż rozrzewnienia.

— Tak powiada! — zawołał Lewin. — Zawsze twierdziłem, że twoja żona to cudowna istota! Ale dosyć już, dosyć o tym — dodał wstając z fotela.

— Zgoda, ale siadajże!

Lewin jednak nie mógł usiedzieć na miejscu. Przeszedł się dwa razy swym energicznym krokiem po maleńkim pokoiku, mrugając oczyma, by ukryć łzy, i potem dopiero wrócił do stołu.

— Zrozum — zaczął — że to nie jest miłość. Kochałem się już, ale teraz to co innego. To nie moje własne uczucie mną zawładnęło, ale jakaś obca siła. Przecież ja wyjechałem, bo doszedłem do przekonania, że to się stać nie może, rozumiesz, byłoby to bowiem szczęście, jakie się nie zdarza na ziemi. Ale po walce ze sobą, widzę, że niema dla mnie bez niej życia. Trzeba to raz rozstrzygnąć...

— Po co żeś wyjeżdżał?

— Ach, poczekaj! Ach, ileż myśli!... O ile rzeczy muszę zapytać!... Słuchaj! Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jaką przysługę wyświadczyłeś mi tym, coś teraz powiedział. Jestem tak szczęśliwy, że aż staję się podły, o wszystkim zapominam. Dziś dowiedziałem się, że Mikołaj, mój brat... wiesz, on jest tutaj... Zapomniałem nawet o nim. Zdaje mi się, że i on musi być szczęśliwy. To jakieś wariactwo. Jedno w tym tylko jest straszne... Żeniłeś się kiedyś, znasz więc to uczucie... Okropne jest to, że my, ludzie starzy, którzy mamy już za sobą przeszłość — nie w miłości, ale w grzechu — nagle zbliżamy się do istoty czystej, niewinnej. To ohydne, i dlatego — jakże tu nie czuć się niegodnym.

— No, ty masz grzechów niewiele.

— Ach, jednak — westchnął Lewin — jednak „ze wstrętem odczytując swe życie, drzę i przeklinam, i gorzko się żalę”^{*}. Tak!

— Cóż robić, tak już ten świat jest urządony!

— Jedna tylko pociecha — jak w owej modlitwie, którą zawsze tak lubiłem, że „nie wedle mych zasług odpuść mi, lecz wedle miłosierdzia”. „I ona tak tylko może mi przebaczyć.

XI

Lewin wychylił swój kieliszek. Przez chwilę obaj milczeli.

— Jedno tylko muszę ci powiedzieć. Znasz Wrońskiego? — spytał Obłoński.

— Nie, nie znam. Dlaczego mnie o to pytasz? — Podaj no drugą butelkę — zwrócił się do Tatara, który dolewał wina i dreptał koło nich właśnie wtedy, gdy był najmniej potrzebny.

— Dlaczego miałbym znać tego Wrońskiego?

* „Ze wstrętem odczytując...” — z wiersza Puszkina *Wspomnienie*

— Dlatego masz go znać, że to jeden z twoich rywali.

— Co to za jeden ten Wroński? — zapytał Lewin i twarz jego straciła ów wyraz dziecięcego uniesienia, który przed chwilą tak się podobał Obłońskiemu, a stała się gniewna i odpychająca.

— Wroński to jeden z synów hrabiego Kiryła Iwanowicza Wrońskiego i jeden z najświetniejszych okazów petersburskiej pozłacanej młodzieży. Poznałem się z nim w Twerze, kiedy byłem tam urzędnikiem, a on przyjeżdżał na pobór rekruta Bogaty, przystojny, ogromnie ustosunkowany, fligiel-adiutant, a przy tym nadzwyczaj miły, pocziwy chłopak. A nawet więcej niż pocziwy: poznałem go bliżej i przekonałem się, że jest w dodatku wykształcony i całkiem niegłupi. To człowiek, który wysoko zajdzie.

Lewin posepniał coraz bardziej i milczał.

— No, więc zjawił się tutaj wkrótce po tobie i o ile się orientuje, jest po uszy zakochany w Kitty, rozumiesz więc, że matka...

— Wybacz, ale nic nie rozumiem — przerwał Lewin, jeszcze bardziej zasepiony. I od razu stanął mu w pamięci Mikołaj i to, że o nim tak niegodnie zapomniał.

— Poczekaj, poczekaj — zawołał Stiepan Arkadjicz, z uśmiechem dotykając jego ręki. — Powiedziałem ci, co wiem, ale powtarzam, że w tej subtelnej i drażliwej sprawie szanse, o ile można się domyślać, są po twojej stronie.

Lewin wsparł mocno plecy o krzesło; twarz mu pobladła.

— Radziłbym ci jednak załatwić twoją sprawę jak najprędzej — mówił dalej Obłoński dolewając mu wina.

— Nie, dziękuję, więcej pić nie mogę — rzekł Lewin odsuwając kieliszek. — Jeszcze się upiję. A co u ciebie słychać? — spytał” chcąc widocznie zmienić temat rozmowy.

— Jeszcze słówko: w każdym razie lepiej to załatwić

prędko. Dzisiaj nie radzę nic mówić. Ale jutro rano jedź z klasycznymi oświadczeniami i niechaj ci Bóg błogosławi...

— Tyle razy się do mnie wybierałeś na polowanie: przyjedźże na wiosnę — powiedział Lewin.

Teraz żałował z całego serca, że zaczął o tym mówić, i to z Obłońskim. Jego niepowtarzalne uczucie było zbrukane tą rozmową o rywalizacji z jakimś petersburskim oficerem, a także domysłami i dobrymi radami Obłońskiego.

Ten uśmiechnął się: rozumiał aż nadto dobrze, co się działo w duszy Lewina.

— Przyjadę kiedyś na pewno — odparł. — Tak; bracie, kobieta to śruba, która wszystkim obraca. Ze mną też jest kiepsko, bardzo kiepsko. A wszystko przez kobiety. Powiedz no mi całkiem szczerze — ciągnął dalej, wyjmując z ust cygaro i sięgając po kieliszek — daj mi dobrą radę.

— A mianowicie?

— Mianowicie... Przypuśćmy, że jesteś żonaty, że kochasz żonę, ale zaplątałeś się w romans z inną kobietą.

— Wybacz, ale ja tego stanowczo nie rozumiem, tak jak na przykład nie rozumiałbym, jak mógłbym teraz, najedzony, przechodząc obok piekarni ukraść rogała.

Oczy Stiepana Arkadjicza błyszcząły mocniej niż zwykle — Czemuż by nie? Rogal czasami tak pachnie, że trudno się oprzeć.

*Himmlisch ist's, wenn ich bezieungen
meine irdische Begier:
Aber noch, wenn's nicht gelungen,
Hatt'ich auch recht hubsch Plaisir!**

* „*Himmlisch ist...*” — „Hest niebiańsko, gdy przemogłem moją ziemską żądzę, lecz również, gdy mi się to nie udawało, miałem niemalą przyjemność” (Heine)

To mówiąc uśmiechnął się znacząco i Lewin także nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

— Tak, ale żarty na bok — mówił dalej Obłoński. — Zrozum, że owa kobieta — to miłe, łagodne, kochające stworzenie, że jest biedna, samotna i że wszystko poświęciła. Teraz, gdy już jest po wszystkim, czyż można ją porzucić? Przypuśćmy, że trzeba się rozstać, — aby nie burzyć ogniska domowego, ale jakże tu nie litować się nad nią, nie zająć się jej losem, nie złagodzić go?

— Przepraszam cię, ale widzisz... Dla mnie wszystkie kobiety dzielą się na dwa rodzaje... To jest nie... raczej: są kobiety i są... Czarujących upadłych istot nigdy nie widziałem i nie zobaczę, a takie, jak na przykład ta farbowana, ufryzowana Francuzka przy kasie, to dla mnie gadziny, jak wszystkie upadłe kobiety.

— A ta z Ewangelii?

— Ach, daj pokój. Chrystus nigdy by tych słów nie wyrzekł, gdyby był wiedział, jak ludzie będą ich nadużywali. Z całego Nowego Testamentu tylko to jedno się pamięta. Zresztą mówię nie to, co myślę, ale to, co czuję. Mam wstręt do upadłych kobiet. Ty się boisz pajaków, a ja tych gadzin. Zapewne nigdy nie przeprowadzałeś badań nad — pajakami i nie znasz ich obyczajów. To samo i ja.

— Łatwo ci tak mówić. Przypominasz mi tego jegomościa z powieści Dickensa, który miał zwyczaj przerzucać lewą ręką przez prawe ramię wszystkie kłopotliwe kwestie. Ale zaprzeczenie faktu nie jest odpowiedzią. Powiedz mi, proszę, co ja mam poczuć? Co robić? Żona się starzeje, a człowiek jest pełen życia. Ani się obejrzyś, a już czujesz, że nie jesteś w stanie kochać żony prawdziwą miłością, mimo całego dla niej szacunku. A tu nagle nawinie się miłość, i wówczas zginąłeś, przepadłeś z kretesem — smętnie żalił się

zrozpaczony Stiepan Arkadjicz.

Lewin uśmiechnął się.

— Tak, tak, przepadłeś — powtórzył Obłoński. — I co począć?

— Nie kraść rogali.

Stiepan Arkadjicz roześmiał się.

— Ach, ty moralisto. Zrozum, że chodzi o dwie kobiety: jedna domaga się tylko swoich praw, a te prawa — to twoja miłość, której dać jej nie jesteś w stanie; druga poświęca dla ciebie wszystko i nic w zamian nie żąda. Co robić? Jak postąpić? Co za straszliwa tragedia.

— jeśli chcesz, bym ci się wypowiedział, co myślę, to ci powiem, że nie wierzę, aby tu był jakikolwiek dramat. A oto dlaczego: moim zdaniem, miłość:.. obie miłości, których definicję, jak pamiętasz, Platon daje w swej *Uczcie* — są dla ludzi kamieniem probierczym. Jedni rozumieją tylko jedną z nich, inni — drugą. I ci, którzy uznają tylko miłość nieplatoniczną, niesłusznie mówią o dramacie: w takiej miłości żadnego dramatu być nie może. Dziękuję unizenie za przyjemność, moje uszanowanie — ot i cały dramat. A znów w miłości platonicznej nie może być dramatu, bo wszystko w niej jest jasne i czyste, bo...

Tu Lewin przypomniał sobie o swoich grzechach i o walce wewnętrznej, którą stoczył, więc dodał niespodziewanie:

— A zresztą, może to ty masz rację. Bardzo być może... Bo ja nie wiem, stanowczo nie wiem.

— Widzisz — rzekł Stiepan Arkadjicz — ty jesteś człowiekiem bardzo jednolitym; to twoja zaleta, a zarazem wada. Masz sam naturę z jednej bryły i wymagasz, by życie składało się ze zjawisk niezłożonych, a to się nie zdarza. Gardzisz więc służbą publiczną, ponieważ chciałbyś, aby praca zawsze odpowiadała celowi, a to się nie zdarza. Chcesz

także, aby działalność człowieka zawsze miała jakiś cel, żeby miłość i życie rodzinne zawsze szły w parze. I to się również nie zdarza. Cała różnorodność, cały urok życia, całe jego piękno składa się ze światła i cienia.

Lewin westchnął i nic nie odpowiedział; był pochłonięty własnymi myślami i już nie słuchał, co mówi Obłoński.

Nagle poczuli obaj, że chociaż są przyjaciółmi, chociaż jedli razem obiad i pili wino, które powinno było ich jeszcze bardziej zbliżyć, to przecież każdy z nich myśli tylko o tym, co go osobiście interesuje, i jeden drugiego nic nie obchodzi. Obłoński nieraz już doznawał tej — ogarniającej często ludzi po obiedzie — niezwyklej obcości zamiast zbliżenia i wiedział, jak postępować w takich wypadkach.

— Płacić — zawołał i wyszedł do sąsiedniej sali, gdzie spotkał znajomego adiutanta, z którym wszczął pogawędkę o pewnej aktorce i jej protektorze. Rozmowa ta od razu przyniosła Obłońskiemu ulgę: odetchnął po dyskusji z Lewinem, który zawsze zmuszał go do nazbyt wielkiego umysłowego i duchowego wysiłku.

Gdy nadszedł Tatar z rachunkiem na dwadzieścia sześć rubli z kopiejkami nie licząc napiwku, Lewin, którego kiedy indziej, jako mieszkańca wsi, przeraziłaby przypadająca na niego kwota czternastu rubli, teraz nie zwrócił na to uwagi, zapłacił i udał się do domu, aby się przebrać i pojechać do Szczerbackich. Tam miał się rozstrzygnąć jego los.

XII

Księżniczka Kitty Szczerbacka miała osiemnaście lat. Dopiero tej zimy zaczęła bywać. Miała większe powodzenie w towarzystwie niż swego czasu jej obydwie siostry, większe, niż się spodziewała nawet sama księżna. Nie tylko

że cała prawie młodzież tańcząca na moskiewskich balach kochała się w Kitty, ale już w ciągu pierwszej zimy trafiły się jej dwie poważne partie: Lewin, a zaraz po jego wyjeździe hrabia Wroński.

Zjawienie się Lewina na początku zimy, jego częste wizyty oraz widoczna miłość do Kitty były powodem pierwszej poważniejszej rozmowy i pierwszych sporów między rodzicami co do przyszłości ich córki. Księżę trzymał stronę Lewina, twierdząc, że nic lepszego dla Kitty nie pragnie. Księżna, zwyczajem kobiet omijając sedno sprawy, mówiła, że Kitty jest za młoda, że Lewin niczym nie okazuje, by miał poważne zamiary, że Kitty nie jest nim zajęta, i wysuwała różne inne argumenty, lecz nigdy nie wytaczała głównego, mianowicie: że spodziewa się lepszej partii dla córki, że nie ma sympatii do Lewina i nie rozumie go. Kiedy Lewin nagle wyjechał, księżna była rada i z triumfem mówiła do męża: — Widzisz, miałam rację. — Radość jej wzrosła jeszcze, kiedy zjawił się Wroński, utwierdzała ją to bowiem w mniemaniu, że Kitty powinna zrobić nie tylko dobrą, ale po prostu świetną partię.

Zdaniem matki, nie mogło być żadnego porównania pomiędzy Wrońskim a Lewinem. Matce nie podobały się dziwne i rażące wypowiedzi Lewina, nieobycie towarzyskie, które przypisywała zarozumiałości, wreszcie to jakieś w jej pojęciu dziwaczne życie na wsi i to zajmowanie się bydłem i chłopami. Brała mu również za złe, że choć kochając się w Kitty, bywał u nich przez półtora miesiąca, ciągle niby na coś czekał, podpatrywał, jakby się obawiał, czy nie robi im zbyt wiele zaszczytu oświadczając się o rękę ich córki — a nie rozumiał, że jeśli się bywa w domu, gdzie jest panna na wydaniu, to należy się w jakiś sposób zdeklarować. A potem nagle, bez żadnego wyjaśnienia, wyjechał. „Szczęściem, jest

tak mało pociągający, że przynajmniej Kitty się w nim nie zakochała” — myślała księżna.

Wroński czynił zadość wszystkim wymaganiom matki: bardzo bogaty, inteligentny, znacznego rodu, miał przed sobą świetną karierę wojskową i dworską, a w dodatku był czarujący. Nie można było więcej pragnąć.

Wroński na balach wyraźnie asystował Kitty, tańczył z nią, bywał u nich, a więc — bez wątpienia musiał mieć poważne zamiary. Mimo to matka przez całą zimę była strasznie niespokojna i zdenerwowana.

Księżna wyszła za mąż przed trzydziestu laty, wyswatana przez ciotkę. Narzeczony, o którym już z góry wszystko było wiadome, przyjechał, zobaczył pannę i jego również obejrzano, swatka — ciotka zawiadomiła obie strony, jakie było wzajemne wrażenie. Wrażenie było dodatnie. Potem w oznaczonym dniu książę oświadczył się rodzicom i został przyjęty. Wszystko poszło bardzo łatwo i prosto. Tak się przynajmniej zdawało księżnej, lecz na przykładzie swych córek przekonała się, jak niełatwą i nieprostą rzeczą jest — na pozór tak pospolite — wydawanie za mąż córek. Ileż obaw się przeżyło, ile trudnego namysłu, ile poszło pieniędzy, ile wynikło nieporozumień z mężem, zanim wydano dwie starsze córki, Darię i Natalię. Teraz, z okazji wprowadzenia w świat najmłodszej, przeżywano te same obawy, te same wątpliwości, a z mężem wynikało jeszcze więcej kłótni niż dawniej. Stary książę, jak wszyscy ojcowie, był nader drażliwy na punkcie czci i niewinności swych córek, a poza tym — niepoczytalnie o nie zazdrosny, zwłaszcza o Kitty, swoją ulubienicę, toteż na każdym kroku robił żonie sceny za rzekome kompromitowanie córki. Księżna, która przywykła do tego jeszcze wówczas, gdy chodziło o starsze córki, teraz czuła, że drażliwość księcia jest bardziej uzasadniona.

Widziała, że w ostatnich czasach zwyczaje towarzyskie wielce się zmieniły i że obowiązki matek stały się jeszcze trudniejsze. Widziała, że rówieśnice Kitty zakładają jakieś stowarzyszenia, chodzą na jakieś kursy, swobodnie rozmawiają z mężczyznami, same jeżdżą powozem po mieście, że wiele z nich przestało dygać, a co najważniejsze — wszystkie są przeświadczone, że wybór męża jest ich rzeczą, a nie rodziców. „Dziś już nie wydaje się panien za mąż tak jak dawniej” — myślały i mówiły wszystkie młode dziewczęta, a nawet i wszyscy starzy ludzie, lecz jak obecnie wydaje się córki za mąż, tego księżna od nikogo dowiedzieć się nie mogła. Francuski zwyczaj, że rodzice stanowią o losach dzieci, nie był przyjęty: uznano go za szkodliwy. Nie był również stosowany zwyczaj angielski, uznający zupełną swobodę dziewcząt, całkiem zresztą w rosyjskim społeczeństwie niemożliwy. Rosyjski zwyczaj swatania uważano za coś potwornego, wyśmiewali go wszyscy, nawet sama księżna. Jak należy jednak wychodzić i wydawać za mąż, tego nikt nie wiedział. Kogokolwiek księżna o to zagadnęła, wszyscy mówili to samo: — Ależ na miłość boską! W — naszych czasach trzeba już raz zapomnieć o tym anachronizmie. Przecież to młodzi pobierają się, nie rodzice, więc niechaj młodzi robią, jak im się podoba. — Łatwo było tak mówić tym, którzy nie mieli córek, ale księżna zrozumiała, że przy takich możliwościach zbliżenia córka jej może się zakochać, i to zakochać w człowieku, który bądź nie ze — chce się ożenić, bądź nie będzie stosowny na męża. I choć starano się niejednokrotnie przekonać księżnę, że w naszych czasach młodzież sama powinna stanowić o swym losie, nie mogła dać temu wiary, podobnie jak nie mogłaby uwierzyć, że w jakichkolwiek czasach najodpowiedniejszą zabawką dla pięcioletnich dzieci są nabite pistolety. I dlatego

księżna bardziej była niespokojna o Kitty niż o starsze córki.

Obawiała się teraz, by Wroński nie ograniczył się tylko do zalotów. Zauważyła, że Kitty już się w nim kocha, lecz pocieszała się, że Wroński jest człowiekiem uczciwym i nie postąpi w ten sposób. Wiedziała zarazem, jak łatwo przy obecnej swobodzie obejścia zawrócić pannie głowę i jak lekko na ogół zapatrują się na to mężczyźni. W ubiegłym tygodniu Kitty powtórzyła matce rozmowę, którą miała z Wrońskim podczas mazura. Treść tej rozmowy nieco uspokoiła księżnę, ale całkiem uspokoić jej nie mogła. Wroński powiedział Kitty, że i on, i brat do tego stopnia przywykli we wszystkim ulegać matce, że nigdy nie decydują się przedsięwziąć nic ważnego bez jej rady. — I teraz oczekuję przyjazdu matki z Petersburga jak osobliwego szczęścia — mówił.

Kitty opowiedziała to nie przypisując tym słowom żadnego znaczenia, ale matka zrozumiała je inaczej. Wiedziała, że stara hrabina jest oczekiwana z dnia na dzień i że będzie zadowolona z wyboru syna; wydało się jej więc dziwne, że Wroński się nie oświadcza, rzekomo obawiając się urazić matkę; tak bardzo jednak pragnęła tego małżeństwa, a zwłaszcza uspokojenia wszystkich swych obaw, że w to uwierzyła. Jakkolwiek z goryczą patrzyła na niedolę starszej córki, która właśnie zamierzała rozejść się z mężem, niepokój o rozstrzygające się losy młodszej pochłaniał wszystkie jej uczucia. Ten dzień przysporzył jej nowej troski w postaci powrotu Lewina: obawiała się, by Kitty, która — jak się jej zdawało — miała kiedyś dla niego sentyment, przez zbytek skrupułów nie odrzuciła oświadczyn Wrońskiego, i w ogóle, aby przyjazd Lewina nie powikłał i nie zahamował sprawy — tak bliskiej zakończenia.

— No i cóż, czy dawno przyjechał? — zapytała księżna po

powrocie do domu.

— Dzisiaj, *maman*.

— Chciałabym ci powiedzieć.... — zaczęła księżna i Kitty z jej poważnej i przejętej miny odgadła, o czym będzie mowa.

— Mamo — odpowiedziała rumieniać się i szybko zwracając się ku niej — proszę, proszę bardzo, nie mów mi nic. Ja wiem, wiem wszystko.

Kitty pragnęła tego samego co matka, lecz pobudki księżnej urażały ją.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, że gdy się dało nadzieję jednemu...

— Mamo najdroższa, na miłość boską, niech mama nic nie mówi. To takie okropne — mówić o tym.

— Już nie będę, nie — powiedziała matka widząc łzy w oczach córki — jedno tylko, moja duszko: obiecałaś, że nie będziesz miała przede mną żadnych tajemnic. Pamiętasz?

— Nigdy, droga mamo, żadnych — odparła Kitty rumieniać się i patrząc matce prosto w oczy. — Ale teraz nie mam nic do powiedzenia. Ja... ja... gdybym nawet chciała, nie wiedziałabym, co powiedzieć i jak... Nie wiedziałabym.

„Nie, z tymi oczami nie mogłaby mówić nieprawdy” — pomyślała księżna uśmiechając się na widok jej wzruszenia i szczęścia. Uśmiechała się, ponieważ biednej Kitty to, co się teraz działo w jej sercu, wydawało się takie wielkie i ważne.

XIII

Od obiadu aż do początku przyjęcia Kitty doznawała uczucia podobnego do nastroju młodzieńca przed bitwą; serce jej biło mocno i nie mogła na niczym skupić myśli.

Czuła, że wieczór ów, kiedy Lewin i Wroński spotkają się

po raz pierwszy, rozstrzygnie o jej losie. Wyobrażała ich sobie nieustannie, to każdego z osobna, to obu na raz. Gdy myślała o przeszłości, chętnie i z rozrzewnieniem zatrzymywała się na wszystkim, co ją łączyło z Lewinem. Wspomnienia z dzieciństwa i pamięć o przyjaźni Lewina ze zmarłym bratem nadawały ich znajomości osobliwy, poetyczny urok. Miłość jego, której była pewna, pochlebiała jej i cieszyła ją. O Lewinie myślała bez przymusu; do myśli o Wrońskim natomiast, choć był to człowiek o niezwyklej światowej ogładzie i wielkim spokoju, wkradało się jakieś skrepowanie, jakby jakiś fałszywy ton dźwięczał, nie w nim — był bowiem bardzo naturalny i sympatyczny — lecz w niej samej, podczas gdy z Lewinem czuła się prosta i szczerą. Za to, gdy myślała o życiu u boku Wrońskiego, widziała przed sobą perspektywę świetności i szczęścia, natomiast przyszłość z Lewinem przesłaniała mgłą.

Kiedy weszła na górę do swego pokoju, aby się przebrać na wieczór, i spojrzała w lustro, z radością stwierdziła, że jest to jeden z jej dobrych dni i że nie zawiodą jej siły, tak potrzebne wobec tego, co miało nastąpić. Czuła, że wygląda na pozór spokojna i że ruchy jej są wdzięczne i nieskrepowane.

O wpół do ósmej, ledwo zeszła do salonu, lokaj zaanonsował: „Konstanty Dmitrycz Lewin.” Księżna była jeszcze w swoim pokoju, a księżę także się nie ukazał. „Stało się” — pomyślała Kitty i wszystka krew spłynęła jej do serca. Spojrzała w lustro i przeraziła się własnej błądzością.

Wiedziała już teraz na pewno, że Lewin dlatego tak wcześniej przyjechał, by zastać ją samą i oświadczyć się. I w tej chwili dopiero, po raz pierwszy, rzecz cała ukazała się jej z innej, zupełnie nowej strony. Teraz dopiero zrozumiała, że chodzi nie tylko o nią samą — z kim ona będzie szczęśliwa i

kogo ona kocha — ale że za chwilę będzie musiała zranić człowieka, który jest jej drogi... I to zranić okrutnie. I za co? Za to, że on, najmilszy, kocha ją, że jest w niej zakochany. Ale co począć, tak trzeba. Tak być musi.

„Mój Boże, czyż naprawdę ja sama mam to mu powiedzieć? — pomyślała. — Cóż więc powiem? Czy powiem, że go nie kocham? Będzie to nieprawdą. Cóż więc powiem? Czy powiem, że kocham innego? Nie, to niemożliwe. Pójdę sobie lepiej, pójdę.”

Była już niedaleko drzwi, gdy usłyszała jego kroki. „Nie. To nieuczciwe. Czego mam się lękać? Nic złego nie zrobiłam. Co będzie, to będzie. Powiem prawdę. Nigdy mnie nie onieśmiał... Otóż i on” — rzekła sobie w duchu, widząc już jego barczystą, a pełną zakłopotania postać i błyszczące, utkwione w nią oczy. Spojrzała mu prosto w twarz, jakby błagając o litość, i podała mu rękę.

— Przeszedłem nie w porę, za wcześnie, zdaje się — zaczął Lewin rozglądając się po pustym salonie. Skoro stwierdził, że przewidywania jego się spełniły i że nikt mu nie przeszkodzi wypowiedzieć tego, co zamierzał, twarz jego spochmurniała.

— O nie — odrzekła Kitty i usiadła przy stole.

— Ale tego właśnie pragnąłem: zastać panią samą — zaczął nie siadając i nie patrząc na nią, żeby nie stracić odwagi.

— Mama zaraz nadejdzie. Bardzo się wczoraj zmęczyła. Wczoraj...

Mówiła, sama nie wiedząc, co wymawiają jej wargi, i nie spuszczając z niego błagalnego i serdecznego wejrzenia.

Spojrzał na nią: zarumieniła się i umilkła.

— Powiedziałem pani, że nie wiem, czy na długo przyjechałem, że to zależy od pani...

Coraz niżej schylała głowę, nie wiedząc sama, jaką dać odpowiedź na to, co miało nastąpić.

— Że to zależy od pani — powtórzył. — Chciałem powiedzieć... chciałem powiedzieć... Po to przyjechałem... aby... być moją żoną — wypowiedział, sam nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi, i skoro czuł, że najstraszniejsze jest już poza nim, zamilkł i podniósł na nią oczy.

Oddychała ciężko, nie patrząc na niego. Ogarnął ją zachwyty. Dusza jej przepelniona była szczęściem. Nie spodziewała się zupełnie, że jego wyznanie miłosne wyrwe na niej tak wielkie wrażenie. Lecz trwało to tylko chwilę. Przypomniała sobie Wrońskiego. Podniosła na Lewina przejrzyste, prawdopodobne oczy i widząc jego zrozpaczoną minę odpowiedziała szybko:

— To niemożliwe... Niech mi pan wybaczy.

Jakże była mu bliska jeszcze przed chwilą, jak pełna znaczenia w jego życiu! I jakże mu się stała teraz obca i daleka!

— Nie mogło być inaczej — rzekł nie patrząc na nią. Skłonił się i chciał odejść.

XIV

W tej samej wszakże chwili weszła do salonu księżna Gdy ujrzała ich samych i spostrzegła ich zmieszane miny, na twarzy jej odmalowało się przerażenie. Lewin skłonił się, nic nie mówiąc. Kitty milczała nie podnosząc oczu. „Bogu dzięki, odmówiła mu — pomyślała matka i twarz jej rozjaśniła się zdawkowym uśmiechem, jakim co czwartek zwykła była witać gości. Usiadła i poczęła wypytywać Lewina, jak spędza czas na wsi. Lewin usiadł znowu, czekając na przybycie gości, by wymknąć się

niepostrzeżenie. W pięć minut później weszła do salonu zamężna od roku przyjaciółka Kitty, hrabina Nordston.

Była to koścista kobieta o żółtej cerze i czarnych, błyszczących oczach, chorowita i nerwowa. Lubiła bardzo Kitty i przyjaźń jej, jak zawsze przyjaźń mężatek dla panien, wyrażała się w pragnieniu wydania Kitty za mąż według swego własnego ideału szczęścia; dlatego chciała wydać ją za Wrońskiego. Lewin, którego na początku zimy często spotykała u Szczerbackich, był jej zawsze niesympatyczny. Stałym i ulubionym jej zajęciem przy tych okazjach było strojenie z niego żartów.

— Bardzo lubię, gdy spogląda na mnie z wyżyn swej wielkości, gdy urywa swą zbyt mądrą rozmowę ze mną dlatego, że jestem za głupia, lub gdy się łaskawie zniża do mego poziomu... Podoba mi się to! On się zniża... Cieszę się, że mnie nie cierpi — mawiała o nim.

Miała rację: Lewin istotnie jej nie znosił i lekcewał ją za to właśnie, z czego była dumna i co poczytywała sobie za zaletę — za jej nerwowość, za wyszukaną pogardę i obojętność wobec wszystkiego, co prostackie i zbliżone do rzeczywistego życia.

Pomiędzy Nordstonową a Lewinem ustalił się stosunek dość częsty w towarzystwie, kiedy dwie osoby zachowując pozory życzliwości lekceważą się nawzajem do tego stopnia, że nie są już w stanie brać jedna drugiej na serio i nie mogą się nawet wzajemnie obrazić.

Hrabina Nordston od razu zaatakowała Lewina.

— A, Konstanty Dmitrycz! Znów przyjechał pan do naszego rozpustnego Babilonu — rzekła podając mu malusieńką żółtą rączkę i robiąc aluzję do słów, których użył na początku zimy mówiąc, że Moskwa to Babilon. — Cóż, czy Babilon się nawrócił, czy też może pan się zdeprawował?

— dodała spoglądając z uśmiechem na Kitty.

— Wielce mi pochlebia, że pani tak dobrze pamięta moje słowa — odrzekł Lewin, który zdążył odzyskać zimną krew i z przyzwyczajenia przybrał swój zwykły wobec przeciwniczki żartobliwie wrogi ton. — Widocznie robią na pani wielkie wrażenie.

— Ach, jakżeby mogło być inaczej. Wszystko sobie zapisuję... A ty, Kitty, byłaś dziś na ślizgawce?

I poczęła rozmawiać z Kitty. Jakkolwiek wydawało się Lewinowi rzeczą niestosowną wyjść w tej chwili, jednak łatwiej było popełnić taką niezręczność niż pozostać przez cały wieczór i widzieć Kitty, która co pewien czas spoglądała na niego unikając wszakże jego wzroku. Lewin chciał właśnie wstać, lecz księżna, zauważywszy jego milczenie, zwróciła się do niego z zapytaniem:

— Czy na długo przyjechał pan do Moskwy? Zdaje się, że pan jest czynny w ziemstwie i że nie może pan na długo wyjeżdżać.

— Nie, proszę księżnej, już nie zajmuję się ziemstwem

— odparł. — Przyjechałem na kilka dni.

„Dzieje się z nim coś szczególnego — pomyślała hrabina Nordston wpatrując się w jego surową, poważną twarz — nie rozpoczyna jakoś swoich wywodów, ale już ja go podjudzę: ogromnie lubię wystrychnąć go na dudka w obecności Kitty i na pewno to zrobię.”

— Proszę pana — rzekła — niech mi pan wyjaśni, co to ma znaczyć — wszak pan się na tym wszystkim zna — że w naszej kałuskiej wsi wszyscy chłopci i wszystkie baby, co tylko mieli, to przepili, i teraz nam nic nie płacą. Co to ma znaczyć? Pan zawsze tak chwali chłopów.

W tej chwili weszła do salonu jeszcze jakaś dama: Lewin wstał.

— Pani wybaczy, doprawdy nie znam się zupełnie na tym i nic nie potrafię pani odpowiedzieć — odparł i obejrzał się na wchodzącego tuż za damą oficera.

„To musi być Wroński” — pomyślał i chcąc się upewnić spojrzął na Kitty. Ta zdążyła już popatrzeć na Wrońskiego, po czym rzuciła okiem na Lewina. To jedno spojrzenie jej bezwiednie rozpromienionych oczu zdradziło Lewinowi, że Kitty kocha tego człowieka; zrozumiał to tak dobrze, jak gdyby mu to powiedziała słowem. Ale co to za człowiek?

Teraz, bez względu na to, czy to było dobrze, czy źle, Lewin już wyjść nie mógł: musiał się przekonać, kim był ten, którego Kitty kochała.

Bywają ludzie, którzy przy spotkaniu szczęśliwego w czymkolwiek rywala od razu zamykają oczy na wszystkie jego zalety i widzą w nim samo zło. Bywają także tacy, którzy — wręcz przeciwnie — pragną dostrzec w szczęśliwym współzawodniku te zalety, dzięki którym tamten ich pokonał, i szukają w nim, z dojmującym bólem serca, wyłącznie dobrych stron. Do tych właśnie zaliczał się Lewin. Nietrudno mu było zresztą doszukać się we Wrońskim cech dodatnich i budzących sympatię, od razu bowiem rzuciły mu się w oczy. Wroński był to niewysoki, dobrze zbudowany brunet, o twarzy, pięknej, a zarazem, dobrodusznej, nadzwyczaj przy tym spokojnej i energicznej. W rysach jego i postaci, od krótko ostrzyżonych czarnych włosów i świeżo wygolonego podbródka aż do luźnego, nowiutkiego, jak z igły munduru, wszystko było proste i wykwintne zarazem. Przepuściwszy wchodzącą damę Wroński podszedł do księżnej, a potem do Kitty.

W miarę jak się do niej zbliżał, piękne jego oczy nabierały szczególnie tkliwego blasku, a na usta występował ledwo dostrzegalny uśmiech, skromny i (jak się zdawało Lewinowi)

zwycięski; powoli, z szacunkiem pochylił się nad nią; i podał jej swą małą, ale szeroką dłoń.

Po przywitaniu się i zamienieniu kilku słów ze wszystkimi usiadł ani razu nie spojrzawszy na Lewina, który nie spuszczał z niego oczu.

— Panowie pozwolą, że ich zapoznam: Konstanty Dmitrycz Lewin — rzekła księżna zwracając się w stronę Lewina — hrabia Aleksy Kiryłłowicz Wroński.

Wroński wstał i życzliwie patrząc Lewinowi w oczy uściśnął jego rękę.

— Miałem, zdaje się, tej zimy spotkać się z panem na jakimś obiedzie — rzekł uśmiechając się prosto i szczerze — ale pan niespodzianie wyjechał na wieś.

— Pan Lewin gardzi miastem i nienawidzi go, a wraz z nim nas, mieszczuchów — wtrąciła hrabina Nordston.

— Widocznie moje słowa robią na pani wielkie wrażenie, skoro je pani tak dobrze pamięta — odciał się Lewin i zaczerwienił się, gdyż uprzytomnił sobie, że już raz to powiedział.

Wroński spojrział na Lewina i na hrabinę Nordston i uśmiechnął się.

— Pan stale mieszka na wsi? — zapytał. — Przypuszczam, że w zimie musi tam być nudno.

— Nie jest nudno, jeśli kto ma zajęcie; zresztą, ja sam ze sobą nigdy się nie nudzę — szorstko odparł Lewin.

— Lubię wieś — mówił dalej Wroński, który zauważył, ale zignorował ton Lewina.

— Spodziewam się jednak, że pan nie zgodziłby się stale mieszkać na wsi? — wtrąciła hrabina Nordston.

— Tego nie wiem: nigdy nie próbowałem mieszkać na wsi dłużej. Doznawałem niekiedy dziwnego uczucia — ciągnął dalej. — Nigdy nie tęskniłem tak za wsią, za prawdziwą wsią

rosyjską, z jej łapcami i chłopami; jak pewnej zimy, którą spędziłem z matką w Nizy. Nizza, jak państwo wiecie, sama przez się jest nudna, Neapol i Sorrento też są dobre tylko na krótko, i właśnie tam szczególnie żywo przypomina się człowiekowi Rosja, a zwłaszcza nasza wieś. Zupełnie jak...

Wroński mówił zwracając się do Kitty i do Lewina i przenosząc na nich po kolei swe spokojne, życzliwe spojrzenie; mówił najwidoczniej to, co mu przychodziło na myśl.

Widząc, że hrabina Nordston zamierza coś powiedzieć, Wroński umilkł, nie dokończył zaczętego zdania i począł uważnie słuchać.

Rozmowa nie gasła ani na chwilę, toteż księżna, która zawsze miała w pogotowiu, na wypadek gdyby zabrakło tematu, dwa działa ciężkiego kalibru — klasyczne czy realne wykształcenie oraz powszechną służbę wojskową — nie miała potrzeby ich wytaczać, a hrabina Nordston nie miała sposobności droczyć się z Lewinem.

Lewin chciał, ale nie potrafił wtrącić się do rozmowy, mówił sobie co chwila: „Teraz wyjdę”, ale nie wychodził, jakby na coś czekał.

Rozmowa zesła na temat stolików wirujących i duchów i hrabina Nordston, będąc zwolenniczką spirytyzmu, zaczęła opowiadać o cudach, które widziała na własne oczy.

— Ach, na miłość boską, proszę pani: musi, musi pani mnie tam ze sobą zabrać! Nigdy w życiu nie widziałem nic nadzwyczajnego, chociaż szukam nieustannie — rzekł z uśmiechem Wroński.

— Dobrze, w przyszłą sobotę — odpowiedziała hrabina Nordston. — A pan, Konstanty Dmitryczu, czy pan wierzy? — zapytała Lewina.

— Po co pani mnie pyta? Przecież pani wie, co powiem.

— Ale ja chcę usłyszeć pańskie zdanie.

— Moim zdaniem — odrzekł Lewki — te wirujące stoliki są dowodem, że tak zwane kulturalne sfery stoją nie wyżej od chłopów. Oni wierzą w złe oko, w uroki, w czary, my zaś....

— A więc nie wierzy pan?

— Nie mogę wierzyć, proszę pani.

— Skoro mówię, że widziałam na własne oczy?

— Baby wiejskie także opowiadają, że widziały na własne oczy domowego skrzata.

— Więc pan sądzi, że mówię nieprawdę? — roześmiała się z pewnym przymusem.

— Ależ nie, Masza, Konstanty Dmitrycz powiada tylko, że nie może uwierzyć — wtrąciła Kitty rumieniąc się za Lewina. Zrozumiał i jeszcze bardziej zirytowany, chciał coś odpowiedzieć, ale Wroński ze swym szczerym, wesołym uśmiechem natychmiast pośpieszył z pomocą rozmowie, której groził przykry obrót.

— Więc pan stanowczo nie uznaje takiej możliwości? — zagadnął. — Dlaczegoż to? Przyjmujemy przecież, że istnieje elektryczność, o której nic nie wiemy; czemuż więc nie mogłaby istnieć nowa, dotąd nam nie znana siła, która...

— Kiedy odkryto elektryczność — przerwał szybko Lewin — odkryto tylko zjawisko; nie wiadomo było, skąd ono pochodzi i w jaki sposób działa; wieki całe minęły, zanim pomyślano o zastosowaniu go w praktyce. Tymczasem spirytyści, na odwrót, zaczęli od tego, że stoliki dla nich piszą i że duchy ich odwiedzają, a dopiero potem zaczęli utrzymywać, że to jakaś nieznaną siłą.

Wroński słuchał Lewina uważnie, tak jak w ogóle zwykł był słuchać, wyraźnie zainteresowany jego słowami.

— Tak, lecz spirytyści powiadają: „Nie wiemy jeszcze, jaka to siła, ale siła ta istnieje i działa w następujących

warunkach.” Niechże uczeni badają, na czym owa siła polega. Nie, nie rozumiem, czemu to nie miałyby być jakaś siła, skoro...

— A dlatego — przerwał Lewin — że jeśli chodzi o elektryczność, to za każdym razem, gdy potrze pan żywicę o wełnę, następuje określone zjawisko, podczas gdy tutaj — nie zawsze, więc nie jest to zjawisko przyrody.

Spostrzegłszy prawdopodobnie, że rozmowa staje się — jak na salonową konwersację — zbyt poważna, Wroński nic nie odpowiedział, tylko pragnąc zmienić temat uśmiechnął się wesoło i zwrócił się do pań.

— A więc spróbujmy zaraz, proszę pani — zaczął. Le — win jednak chciał wypowiedzieć swoją myśl do końca.

— Myślę — ciągnął dalej — że usiłowania spirytystów, by wytłumaczyć swoje cuda istnieniem jakiejś nowej siły, są w najwyższym stopniu nieudane. Mówią wyraźnie o sile duchowej, a chcą ją poddać eksperymentom materialnym..

Wszyscy czekali, aż skończy swoje wywody — i Lewin wyczuwał to.

— A ja sądzę, że z pana byłoby doskonale medium — przerwała mu hrabina Nordston — jest w panu coś ekstatycznego.

Lewin na te słowa już otworzył usta, ale zaczerwienił się i zmilczał.

— No więc, księżniczko, spróbujmy stołów — zawołał Wroński. — Czy księżna pozwala?

I podniósł się szukając oczyma odpowiedniego stolika.

Kitty wstała zza stołu. Mijając Lewina napotkała jego spojrzenie. Było, go jej żal z całego serca, tym bardziej że sama była przyczyną jego cierpienia. „Jeśli możesz mi przebaczyć, przebacz — mówiły jej oczy. — Jestem taka szczęśliwa.”

„Nienawidzę wszystkich, i pani, i siebie” — odpowiedziało jego spojrzenie. Sięgnął po kapelusz, lecz nie było mu sądzone odejść. W chwili gdy miano zająć miejsca przy stoliku, wszedł — stary książę i przywitawszy panie podszedł do Lewina.

— O! — zaczął radośnie. — Dawno przyjechał? Nie wiedziałem, że jesteś tutaj. Cieszę się, że pana widzę.

Stary Szczerbacki mówił Lewinowi czasami ty, czasami pan. Uściskał go i rozmawiając z nim nie zwracał uwagi na Wrońskiego, który tymczasem wstał i czekał cierpliwie, aż pan domu do niego się zwróci.

Kitty rozumiała, jak po tym, co zaszło, serdeczność ojca musi być bolesna dla Lewina. Widziała również, jak chłodno książę odpowiedział wreszcie na — ukłon Wrońskiego i z jakim dobrodusznym zakłopotaniem ten na niego popatrzył starając się zrozumieć, a nie rozumiejąc, jak można być dla niego źle usposobionym i co jest tego przyczyną — i zarumieniała się.

— Niech nam książę odda pana Lewina — zawołała hrabina Nordston — chcemy zrobić eksperyment.

— Jaki znowu eksperyment? Kręcić stoły? Wybaczcie mi, moi państwo, ale moim zdaniem, zabawniej już jest grać w pierścionek — rzekł stary książę patrząc na Wrońskiego i domyślając się, że to jego pomysł. — Pierścionek ma przynajmniej jakiś sens.

Wroński spojrział ze zdziwieniem na księcia swym twardym wzrokiem i uśmiechnąwszy się nieznacznie, natychmiast wszczął z hrabiną Nordston rozmowę o wielkim balu, który miał się odbyć w „następnym tygodniu.

— Mam nadzieję, że pani będzie? — zapytał Kitty.

Skoro tylko stary książę się odwrócił, Lewin niepostrzeżenie wyszedł. Ostatnim wrażeniem, jakie odniósł

z tego wieczoru, była uśmiechnięta, uszczęśliwiona twarzyczka Kitty odpowiadającej Wrońskiemu na jego pytanie o bal.

XV

Po skończonym przyjęciu Kitty opowiedziała matce swą rozmowę z Lewinem i pomimo całego współczucia, jakie w niej wzbudzał, cieszyła ją myśl, że się jej oświadczone. Nie miała wprawdzie wątpliwości, że postąpiła, jak należało, ale w łóżku długo nie mogła zasnąć. Jeden obraz nie przestawał jej prześladować: twarz Lewina o ściągniętych brwiach i spoglądających spod nich z głębokim smutkiem pocziwych oczach, gdy stał rozmawiając z jej ojcem, a patrząc na nią i na Wrońskiego. I taki ją ogarnął żal, aż się jej łzy w oczach zakręciły. Natychmiast jednak pomyślała o tym, który miał jej tamtego zastąpić. Jak żywa stanęła jej przed oczyma ta energiczna, męska twarz, ten szlachetny spokój i ta promieniejąca z całej jego postaci dobroć dla wszystkich. Przypomniała sobie, że ten, którego kocha, kocha ją nawzajem, i znów radość napełniła jej serce. Z uśmiechem szczęścia złożyła głowę na poduszce. „Żal mi go, żal, ale cóż robić! To nie moja wina!” — powtarzała sobie, głos wewnętrzny jednak mówił jej co innego. Nie wiedziała, czego żałuje: czy tego, że podbiła serce Lewina, czy też, że nie przyjęła jego oświadczyn. Ale szczęście jej było zatrute wątpliwościami. — Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się! — szeptała raz po raz, aż zasnęła.

Tymczasem na dole, w małym gabinecie księcia, odbywała się między rodzicami jedna z często powtarzających się utarczek z powodu ukochanej córki.

— Co? A to! — krzyczał książę wymachując rękoma i

pospiesznie otulając się w swój podbity popielicami szlafrok. — To, że nie masz ambicji ani godności, że hańbisz i gubisz córkę tym podłym, głupim swataniem!

— Ależ, na Boga żywego, zlituj się, co ja takiego zrobiłam?! — mówiła księżna omal nie z płaczem.

Szczęśliwa, zadowolona po rozmowie z córką, przysłała jak zwykle powiedzieć mężowi dobranoc i nie zamierzając mu wspominać o oświadczeniach Lewina i odmowie Kitty napomknęła za to, że według niej sprawa z Wrońskim dobiega już końca i że rozstrzygnie się, gdy tylko przyjedzie jego matka. I wtedy właśnie, słysząc to, księżę nagle wybuchnął i począł wykrzykiwać nieprzystojne słowa.

— Co zrobiłaś? Po pierwsze, zwabiasz starającego się, o czym cała Moskwa będzie gadała, i słusznie. Jeżeli urządzasz przyjęcia, to zapraszaj wszystkich, a nie tylko paru wybranych konkurencików. Zaproś tych wszystkich lalusiów (tak księżę nazywał moskiewską młodzież), sprowadź tapera i niechaj sobie tańczy, lecz nie tak jak dzisiaj — samych konkurentów, żeby im córkę stręczyć! Aż mnie wstręt bierze patrzeć na to, doprawdy wstręt! i postawiłaś na swoim: zawrócili dziewczynie głowę. Lewin jest tysiąc razy lepszy. A tamten — to petersburski fircyk... Ich tam hurtem fabrykują, wszystkich na jedno kopyto, a wszystko to hołota. Niech sobie będzie nawet księciem krwi, mojej córce nikogo nie potrzeba! .

— Cóż ja takiego zrobiłam?

— Właśnie to, co powiadam! — gniewnie zawołał księżę.

— Wiem tylko, że jeśli ciebie będę słuchała — przerwała księżna — to nigdy nie wydamy córki za męż. W takim razie najlepiej wyjechać na wieś.

— Oczywiście, że lepiej wyjechać!

— Ależ pozwól, czy ja zabiegam o czyjeś względy?

Bynajmniej... A młody człowiek, i to bardzo przyzwoity, po prostu zakochał się, i ona, mam wrażenie...

— Otóż to, masz wrażenie!... A jeśli ona naprawdę się zakocha, on zaś tyle będzie myślał o żeniactwie, co nie przymierzając ja?... Och, niechby moje oczy tego nie widziały!... „Ach, spirytyzm! Ach, Nizza! Ach, na balu!”... — i księżę, przeświadczony, że naśladuje żonę, za każdym słowem wykonywał dyg. — Dopiero kiedy unieszczęśliwimy Katię, kiedy ona naprawdę wbije sobie w głowę...

— Ale dlaczego tak sądzisz?

— Ja nie sądzę, ja wiem: od tego mamy oczy my, a nie wy, baby. Widzę człowieka, który ma poważne zamiary, i widzę trzpiota, wiercipiętę, który chce się tylko bawić...

— No, jak ty już sobie coś ubrdasz...

— Przypomnisz sobie moje słowa, ale wówczas będzie za późno... Jak z Daszą.

— No, już dobrze, dobrze... Nie mówmy o tym — przerwała żona przypominając sobie nieszczęsną Dolly.

— Dobrze, nie mówmy... Dobranoc! Przeżegnawszy się nawzajem, małżonkowie ucałowali się i rozeszli, czując wszelako, że każde z nich zostało przy swoim zdaniu.

Księżna zrazu była niewzruszenie pewna, że tego wieczoru los Kitty rozstrzygnął się i że nie może być żadnych wątpliwości co do zamiarów Wrońskiego, lecz słowa męża ją stropiły. Wróciła do swego pokoju i czując — podobnie jak Kitty — lęk przed nieznaną przyszłością, powtórzyła kilka razy po cichu: — Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się!

XVI

Wroński nie zaznał nigdy rodzinnego życia. Matka jego, za

młodu jaśniejąca świetnością w salonach, miała jeszcze jako mężatka, a zwłaszcza po śmierci męża, wiele głośnych w towarzystwie romansów. Ojca Wroński prawie nie pamiętała, wychowywał się w Korpusie Paziów*.

Ukończywszy szkołę, jako bardzo młody, elegancki oficer od razu przyswoił sobie tryb życia zamożnych petersburskich wojskowych. Chociaż nawet bywał z rzadka w petersburskim wielkim świecie, jednak wszystkie jego miłosne sprawy rozgrywały się poza obrębem towarzystwa.

W Moskwie poznał po raz pierwszy — po zbytkownym, a prostackim życiu petersburskim — urok obcowania z miłą, niewinną młodą dziewczyną z towarzystwa, która go pokochała. Nawet na myśl mu nie przyszło, że w jego stosunku do Kitty mogłoby być coś złego. Z nią przeważnie tańczył na balach, bywał u nich w domu. Mówił z nią o tym, o czym zwykle rozmawia się w towarzystwie: o różnych głupstewkach, lecz o głupstewkach, w które bezwiednie wkładał na jej intencję określony sens. Mimo że nie powiedział jej nic takiego, czego nie mógłby powiedzieć przy wszystkich, czuł, że dziewczyna staje się coraz bardziej od niego zależna, a im mocniej to wyczuwał, tym większą mu to sprawiało przyjemność i tym tkliwsze stawały się dla niej jego uczucia. Nie wiedział, że postępowanie jego wobec Kitty posiada określoną nazwę, że jest to zwykłe rozkochywanie panien, bez zamiaru małżeństwa. Nie zdawał sobie sprawy, że takie rozkochywanie jest jednym ze złych uczynków przyjętych w gronie świetnej młodzieży jego pokroju; Wydawało mu się, że on pierwszy wynalazł tę

* Korpus paziów — powstał w r. 1802 jako zakład naukowy. W r. 1863 przekształcony w siedmioklasową szkołę wojskowo-ogólnokształcącą. Dopuszczani tu byli jedynie synowie arystokracji rodowej i wyższych urzędników. Absolwenci zajmowali wysokie stanowiska w wojsku, dyplomacji, administracji państwowej.

przyjemność, toteż upajał się swym wynalazkiem.

Gdyby mógł być usłyszeć, co tego wieczoru mówili jej rodzice, i spojrzeć na rzeczy z ich punktu widzenia, gdyby mu powiedziano, że Kitty będzie nieszczęśliwa, jeśli on się z nią nie ożeni, zdziwiłby się wielce i nie uwierzyłby temu. Nie mógłby uwierzyć, że coś, co jemu, a zwłaszcza jej, sprawia tak wielką a niewinną przyjemność, może być złe. Tym bardziej nie mógłby uwierzyć, że powinien się ożenić.

O żeniactwie nigdy nie myślał jako o czymś możliwym. Nie tylko nie lubił rodzinnego życia, lecz — zgodnie z powszechną opinią kawalerskiego świata, w którym się obracał — upatrywał w rodzinie, a zwłaszcza w osobie męża, coś obcego, wrogiego, a przede wszystkim śmiesznego. A jednak chociaż nawet się nie domyślał, o czym mówili jej rodzice, wyczuł wychodząc tego wieczoru od Szczerbackich, że ten duchowy tajemny związek łączący go z Kitty nabrał od dziś takiej mocy, iż należało coś przedsięwziąć. Lecz co należało i co można było przedsięwziąć, tego Wroński domyślić się nie mógł.

„To właśnie jest urocze — myślał wracając od Szczerbackich z przyjemnym jak zawsze uczuciem czystości i orzeźwienia (które po części pochodziło stąd, że przez cały wieczór nie palił), a poza tym z nowym uczuciem rozrzewnienia wobec miłości Kitty — to właśnie jest urocze, że ani ja, ani ona nicśmy sobie nie powiedzieli, a przecie tak rozumieliśmy się w tej niedostrzegalnej rozmowie spojrzeń i intonacji, że dziś wyraźniej niż kiedykolwiek powiedziała mi: kocham. I jak ładnie, jak po prostu, a przede wszystkim z taką ufnością! Czuję się sam lepszy i czystszy. Czuję, że mam serce i że jest we mnie wiele dobrego... Te śliczne zakochane oczy! Gdy powiedziała: Nawet bardzo!...”

„No, więc co? No, więc nic. Mnie jest dobrze i jej jest

dobrze”... — I począł się zastanawiać, gdzie spędzić resztę wieczoru.

Przebiegł myślą miejsca, dokąd by mógł się udać. „Klub? Partia bezika? Szampan z Ignatowem? Nie, nie pojedę. «Château des Fleurs»? Zastanę tam Obłońskiego, będą kuplety, kankan... Nie, mam tego dosyć. Za to właśnie lubię Szczerbackich, że u nich staję się lepszy. Pojadę do domu.” Poszedł prosto do swego numeru u Dussot, kazał sobie podać kolację, potem rozebrał się i po chwili, zaledwie zdążył przyłożyć głowę do poduszki, zasnął — mocnym i jak zwykle spokojnym snem.

XVII

Nazajutrz o jedenastej rano Wroński pojechał na dworzec petersburski po matkę. Pierwszą osobą, na którą natknął się na stopniach szerokich schodów, był Obłoński, oczekujący przyjazdu siostry tym samym pociągiem. .

— A, wasza ekscelencja! — zawołał Obłoński. — A ty po kogo?

— Po mamę — z uśmiechem, jak wszyscy na widok Obłońskiego, odpowiedział Wroński ściskając mu rękę i razem z nim wszedł na schody. — Powinna dziś przyjechać z Petersburga.

— A ja czekałem na ciebie do drugiej. Dokądże pojechałeś od Szczerbackich?

— Do domu — odrzekł Wroński. — Wyznaję, że czułem się tak jakoś przyjemnie po wieczorze u Szczerbackich, że nie chciało mi się już nigdzie jechać.

— Poznają rumaki chyże po znakach, które noszą, a zakochanych młodzieńców poznają po ich oczach — wyrecytował Stiepan Arkadjicz, podobnie jak niedawno

Lewinowi.

Wroński uśmiechnął się. Z miny jego można było wnosić, że się nie zapiera; od razu jednak zmienił temat rozmowy.

— A ty na kogo czekasz? — zapytał.

— Ja? Na piękną kobietę — odparł Obłoński.

— Ach, tak!

— *Honny soit, qui mai y pense!** Na moją siostrę Annę.

— Ach, na panią Karenin!

— Znasz ją zapewne?

— Zdaje się, że znam. A może nie... Doprawdy, nie pamiętam — odparł z roztargnieniem Wroński łącząc mgliście to nazwisko z czymś nudnym i afektowanym.

— Za to Aleksego Aleksandrowicza, mego znakomitego szwagra, na pewno znasz. Cały świat go zna.

— Znam go z opinii i z widzenia. Wiem, że jest rozumny, wykształcony, podobno bardzo pobożny... Ale wiesz, że to nie w moim... *not in my line** — odpowiedział Wroński.

— Jest to doprawdy człowiek niezwykle: trochę konserwatywny, ale wielkiej zacności — zauważył Stepan Arkadjicz — wielkiej zacności.

— No, to tym lepiej dla niego — rzekł Wroński z uśmiechem. — A, jesteś i ty — zwrócił się do wysokiego, starego lokaja matki, który stał u wejścia. — Wejdź no tutaj.

Wroński w ostatnich czasach, niezależnie od sympatii, jaką powszechnie budził Obłoński, czuł mu się specjalnie bliski, ponieważ w wyobraźni łączył go z osobą Kitty.

— No cóż, urządzamy w niedzielę kolację dla divy? — zapytał biorąc go pod rękę z uśmiechem.

— Naturalnie. Zbiorę składkę. Ach, poznałeś chyba wczoraj mego przyjaciela Lewina? — zapytał Obłoński.

— A jakże; ale jakoś prędko wyszedł.

* *Honny soit*... Niechaj się wstydzi, kto na złe to sobie wytłumaczy.

* *not in my line* — nie w moim guście

— Miły, zacny chłop — mówił dalej Obłoński. — Nieprawdaż?

— Nie wiem dlaczego — zauważył Wroński — wszyscy moskwiczanie, z wyjątkiem oczywiście tych, z którymi rozmawiam — dodał żartobliwie — mają w sobie coś szorstkiego. Jakoś ciągle stają okoniem, gniewają się, jakby chcieli dać człowiekowi coś specjalnego do zrozumienia...

— Masz trochę racji... — odpowiedział Stiepan Arkadjicz śmiejąc się wesoło.

— No co? Czy już prędko? — zapytał Wroński urzędnika kolejowego.

— Pociąg wyszedł — poinformował go kolejarz.

O zbliżaniu się pociągu świadczyły coraz ruchliwsze przygotowania na stacji oraz obecność osób przybyłych na spotkanie podróżnych, przebiegający tragarze, zjawienie się żandarmów i urzędników. Przez mroźny opar widać było robotników w kozuchach i miękkich filcowych butach, jak przechodzili przez szyny zakręcających torów. Rozlegał się gwizd lokomotywy i odgłos przesuwania czegoś ciężkiego.

— Nie — Obłoński miał wielką ochotę opowiedzieć Wrońskiemu o zamiarach Lewina wobec Kitty. — Nie, źle sądzisz mego przyjaciela. To człowiek nadzwyczaj nerwowy i czasami bywa nieprzyjemny, to prawda, ale za to niekiedy — przemily. To taka uczciwa, prawa natura i serce złote. Wczoraj były specjalne powody — ciągnął dalej ze znaczącym uśmiechem, zupełnie zapominając, że w przeddzień okazywał szczere współczucie przyjacielowi, i żywiąc obecnie to samo współczucie, ale tym razem dla Wrońskiego. — Tak, były powody, dla których mógł być albo specjalnie szczęśliwy, albo też specjalnie nieszczęśliwy.

Wroński przystanął i zapytał wręcz:

— Co to było? Czy może oświadczył się wczoraj twojej

*belle-soeur**?...

— Możliwe — odpowiedział Obłoński. — Tak mi się coś wczoraj zdawało. Tak. Jeśli odszedł wcześniej, i do tego był w złym humorze, to na pewno, tak... Tak dawno się w niej kocha. Żal mi go bardzo.

— A więc to tak?!... Zresztą, sędzę, że księżniczka może liczyć na lepszą partię — zauważył Wroński i prostując ramiona zaczął się znowu przechadzać. — Cóż, nie znam go zupełnie... — dodał. — Tak, to trudna historia. Dlatego właśnie większość z nas woli znajomości z różnymi Klarami. Tu niepowodzenie dowodzi tylko, że ci nie starczyło pieniędzy, tam zaś w grę wchodzi wartość człowieka. Ale, otóż i pociąg.

Istotnie, z dala już rozlegał się gwizd lokomotywy. W kilka minut później peron zatrzęsł się i dysząc opadającą na mrozie ku dołowi parą, wtoczyła się lokomotywa. Miarowo i powoli pochylała się i prostowała dźwignia środkowego koła. Opatulony i osędziały od szronu maszynista salutował. Za tendrem coraz wolniej i coraz silniej wstrząsając peronem podjeżdżał wagon z bagażem i ze skowyczącym psem, na końcu zaś — podrygując przed zatrzymaniem się — wtoczyły się pasażerskie wagony.

Dziarski konduktor gwizdnął i wyskoczył w biegu na peron, a za nim poczęli wychodzić jeden za drugim niecierpliwi pasażerowie, wyprostowany oficer gwardii rozglądający się surowo dokoła, ruchliwy, wesoło uśmiechnięty kupczyk z torbą podróżną i chłop z workiem przerzuconym przez ramię..

Wroński, stojąc obok Obłońskiego, oglądał wagony i pasażerów i zupełnie zapomniał o matce. Podnieciło go i uradowało to, czego przed chwilą dowiedział się o Kitty.

* *Belle-soeur*... — szwagierka

Bezwiednie rozprostował ramiona, a oczy mu zabłysły. Poczul się zwycięzcą.

— Hrabina Wrońska jest w tym przedziale — rzekł dziarski konduktor podchodząc do Wrońskiego.

Słowa konduktora sprawiły, że ocknął się i przypomniał sobie o matce i mającym nastąpić spotkaniu. Wroński w gruncie rzeczy matki nie szanował — i nie zdając sobie z tego sprawy, nie kochał. Lecz pod wpływem pojęć środowiska, w którym się obracał, i, na skutek otrzymanego wychowania nie wyobrażał sobie, by można było zachowywać się wobec matki inaczej niż z najwyższą pokorą i szacunkiem. Tym więcej okazywał matce zewnętrznej pokory, i szacunku, im mniej w duszy kochał ją i szanował.

XVIII

Wroński wszedł za konduktorem, do wagonu i przy wejściu do przedziału zatrzymał się, aby przepuścić wychodzącą damę. Jedno tylko przelotnie rzucone, spojrzenie na jej powierzchowność wystarczyło Wrońskiemu, by instynktem światowca zaliczyć ją do najlepszego towarzystwa. Powiedział pardon i już miał iść dalej, gdy poczuł, że musi raz jaszcz na nią spojrzeć: nie dlatego, że była bardzo piękna, i nie dlatego, że od całej jej postaci bił jakiś wytworny i dyskretny urok, ale ponieważ w chwili gdy go mijala, wyraz jej ślicznej twarzy tchnął szczególnie łagodną tklivością. Obejrzał się i zobaczył, że ona również odwróciła głowę: spojrzenie jej błyszczących, szarych oczu, które od niezwykle gęstych rzęs wydawały się ciemne, zatrzymało się na jego twarzy przyjaźnie i z uwagą, jak gdyby wyrażając uznanie, i natychmiast, wyraźnie kogoś szukając, — przeniosło się na nadchodzący tłum. W tym

krótkim spojrzeniu Wroński zdążył zauważyć powściąganą żywość, która grała na jej twarzy i przelatywała od błyszczących oczu do ledwo dostrzegalnego uśmiechu wyginającego kąciki czerwonych warg... Jakby istotę jej przepełniał jakiś nadmiar, który pomimo jej woli przejawiał się to w blasku oczu, to w uśmiechu. W oczach zdołała ów blask rozmyślnie zgasić, lecz jaśniał on ciągle, wbrew jej chęciom, w ledwo dostrzegalnym uśmiechu.

Wroński wszedł do przedziału. Matka jego, zasuszona staruszka uczesana w loczki, przypatrując się synowi mrużyła czarne oczy i uśmiechała się leciutko wąskimi wargami. Podniosła się z miejsca, oddała pokojówce torebkę, wyciągnęła do syna drobną, wyschlą rękę i uniósłszy jego głowę, schyloną nad jej dłonią, pocałowała go w twarz.

— Czyś dostał depezę? Jesteś zdrow? Bogu dzięki.

— Czy mama szczęśliwie dojechała? — zapytał syn siadając obok niej i mimo woli przysłuchując się głosowi kobiecemu, który dolatywał zza drzwi. Wiedział, że to głos damy, którą przed chwilą spotkał przy wyjściu.

— A ja jednak nie mogę się z panem zgodzić — mówił głos.

— Petersburski pogład, proszę pani.

— Nie petersburski, ale po prostu kobiecy — odparła.

— Pani pozwoli ucałować swą rączkę...

— Do widzenia panu. Niechże pan zobaczy, czy nie ma tu gdzie mego brata, i niech go pan do mnie przyśle — rzekła nieznamym już we drzwiach, po czym wróciła do przedziału.

— I cóż, znalazła pani brata? — zapytała Wrońska zwracając się do wchodzącej.

Wroński uświadomił sobie naraz, że to jest pani Karenin.

— Brat pani tu jest — rzekł wstając. — Niech mi pani

wybaczy: nie poznałem pani, ale znajomość nasza była tak przelotna — mówił z ukłonem — że pani z pewnością mnie nie pamięta.

— Przeciwnie, poznałabym pana od razu, bośmy z matką pana, zdaje się, przez całą drogę rozmawiały tylko o panu — odrzekła dając wreszcie w uśmiechu wyraz hamowanej żywości. — A mojego brata wciąż jeszcze nie ma.

— Zawołajże go, Alosza — powiedziała stara hrabina.

Wroński wyszedł na peron i krzyknął:

— Obłoński! Tutaj!

Lecz pani Karenin nie doczekała się jego nadejścia; ujrzawszy go z daleka, lekkim krokiem wyszła z wagonu i jak tylko zbliżył się do niej, stanowczym ruchem, który zachwyił Wrońskiego, objęła brata lewą ręką za szyję, szybko przyciągnęła do siebie i mocno ucałowała. Wroński patrzył nie spuszczać z niej oczu i uśmiechał się, sam nie wiedząc dlaczego. Przypomniawszy sobie jednak, że matka na niego czeka, wrócił do wagonu.

— Prawda, jaka miła? — hrabina miała na myśli panią Karenin. — Mąż umieścił ją w moim przedziale, z czego byłam bardzo rada. Cała droga zeszła nam na rozmowie. A o tobie powiadają... *Vous filez le parfait amour. Tant mieux, mon cher, tant mieux**.

— Nie rozumiem tej aluzji, *maman* — chłodno odpowiedział syn. — I cóż, czy idziemy?

Pani Karenin wróciła do wagonu, aby pożegnać się z towarzyszką podróży.

— A więc pani spotkała syna, a ja brata — zawołała wesoło. — I wszystkie moje historyjki właśnie się wyczerpały: nie miałabym już nic więcej do opowiadania.

— Ależ nie — odpowiedziała hrabina ujmując jej rękę —

* *Vous filez le parfait...* — Kochasz się idealnie. Tym lepiej, mój kochany, tym lepiej.

w towarzystwie pani mogłabym objechać świat dokoła i nigdy bym się nie znudziła. Pani jest jedną z tych miłych kobiet, z którymi przyjemnie jest i porozmawiać, i pomilczeć. Niechże pani nie myśli o synku: niepodobna nigdy się nie rozstawać. Pani Karenin stała bez ruchu, trzymała się niezwykle prosto, a w oczach miała uśmiech.

— Anna Arkadiewna — zwróciła się matka do Wrońskiego — ma ośmioletniego, zdaje się, synka, z którym się nigdy dotąd nie rozstawała, i teraz martwi się, że zostawiła go samego.

— Tak... Przez cały czas rozmawialiśmy: matka pana o swoim synu, a ja o moim — rzekła pani Karenin i twarz jej znowu rozbliżyła przyjaznym uśmiechem skierowanym do Wrońskiego.

— Zapewne bardzo to panią znudziło — odpowiedział Wroński, w lot chwytając rzuconą mu piłeczkę kokieterii. Widocznie jednak pani Karenin nie miała zamiaru prowadzić dalej rozmowy w tym tonie. Znowu zwróciła się do starej hrabiny.

— Dziękuję pani stokrotnie. Nawet nie zauważyłam, jak mi zeszedł wczorajszy dzień. Do widzenia pani!

— Do widzenia, moja duszko — odpowiedziała pani Wrońska.. — Niechże mi pani pozwoli ucałować swoją śliczną twarzyczkę. Ja, stara, szczerze mówię, że pokochałam panią.

Jakkolwiek frazes ten był zupełnie zdawkowy, pani Karenin widocznie uwierzyła w jego szczerłość i naprawdę się ucieszyła. Zarumieniona, pochyliła się z lekka, przysunęła policzek do warg hrabiny, po czym wyprostowała się i z tym samym uśmiechem, który zdawał się wahać pomiędzy ustami a oczyma, podała Wrońskiemu rękę. Uścisnął podaną mu drobną rączkę, a energiczny ruch, którym mocno i śmiało

potrząsnęła jego ręką, ucieszył go, jakby to było coś niezwykłego. Wyszła szybkim krokiem, który tak przedziwnie lekko niósł jej raczej bujne kształty.

— Bardzo sympatyczna — rzekła staruszka.

Syn był tego samego zdania. Ścigał panią Karenin wzrokiem, aż wdzięczna jej postać znikła z peronu, a uśmiech nie schodził mu z twarzy. Widział przez okno, jak podeszła do brata, położyła mu rękę na ramieniu i zaczęła mu coś z ożywieniem opowiadać, zapewne coś, co z nim, Wrońskim, nie miało nic wspólnego. To go zirytowało.

— Jakże ze zdrowiem, *maman*? — zapytał zwracając się do matki.

— Dobrze, zupełnie dobrze. Alexandre był bardzo miły, a Marie bardzo wyładniała. Naprawdę wygląda interesująco.

I dalej zaczęła opowiadać o tym, co ją najwięcej obchodziło, o chrzcinach wnuka, na które pojechała do Petersburga, i o szczególnych łaskach cesarza dla jej starszego syna.

— Otóż i Ławrientij — rzekł Wroński patrząc przez okno — jeśli mama sobie życzy, możemy teraz iść.

Stary kamerdyner, który przyjechał z hrabiną, wszedł do wagonu i zameldował, że wszystko gotowe. Staruszka podniosła się, by opuścić przedział.

— Chodźmy, teraz nie ma tłoku — rzekł Wroński. Panna służąca wzięła torebkę i pieska, kamerdyner i tragarz resztę bagażu. Wroński podał matce ramię, lecz gdy już mieli wysiadać, obok wagonu przebiegło kilku ludzi o przerażonych twarzach. Przebiegł również zawiadowca stacji w czapce jakiegoś niezwykłego koloru. Najwidoczniej stało się coś nadzwyczajnego. Wszyscy biegli ku ostatnim wagonom.

— Co?... Co?... Gdzie?... Rzucił się!... Przejechało go!...

— wołano wśród tłumu.

Powrócił i Obłoński z siostrą pod rękę — oboje także wystraszeni — i trzymając się z daleka od tłumu, stanęli u drzwiczek wagonu.

Panie weszły do środka, a Wroński ze Stiepanem Arkadjiczem poszli dowiedzieć się o szczegóły wypadku.

Okazało się, że stróż kolejowy, pijany czy też zanadto opatulony z powodu mrozu, nie dosłyszał cofającego się pociągu i został przejechany.

Zanim jeszcze Wroński i Stiepan Arkadjicz powrócili, panie dowiedziały się o wypadku od kamerdynera.

Obaj panowie widzieli zmasakrowane zwłoki.

Obłoński wyraźnie cierpiał, twarz mu drgała i zdawał się bliski płaczu.

— Ach, jakie to okropne! Ach, Anno, gdybyś ty to widziała! Ach, jakie to okropne! — powtarzał.

Wroński milczał; piękna jego twarz była poważna, lecz zupełnie spokojna.

— Ach, gdyby pani widziała — mówił Stiepan Arkadjicz do hrabiny. — I żona jego tam jest... Aż strach patrzeć na nią... Rzuciła się na zwłoki. Powiadają, że sam jeden utrzymywał bardzo liczną rodzinę. To straszne! .

— Czy nie można by czegoś dla niej zrobić? — szepnęła pani Karenin, wzruszona.

Wroński spojrział na nią i natychmiast wyszedł z wagonu.

— Zaraz przyjdę, *maman* — rzekł do matki odwracając się we drzwiach.

Kiedy po paru minutach wrócił, Obłoński już rozmawiał o jakiejś nowej śpiewaczce z hrabiną, która niecierpliwie spoglądała na drzwi wypatrując syna.

— Teraz już chodźmy — rzekł Wroński wchodząc. Wyszli razem: Wroński z matką na przedzie, a za nimi pani Karenin

z bratem. Przy wyjściu dogonił ich zawiadowca stacji i podszedł do Wrońskiego.

— Pan rotmistrz wręczył memu pomocnikowi dwieście rubli. Proszę mi łaskawie powiedzieć, dla kogo je pan rotmistrz przeznacza?

— Dla wdowy — odpowiedział Wroński wzruszając ramionami. — Nie rozumiem, jak można się jeszcze pytać.

— Dałeś?! — zawołał Obłoński i przyciskając ramię siostry dodał: — To bardzo ładnie, bardzo ładnie! Co za pocziwy chłopak! Moje uszanowanie pani.

I na chwilę wraz z siostrą zatrzymali się szukając oczyma jej panny służącej.

Gdy wyszli z dworca, karety Wrońskich już nie było. Dokoła ludzie wciąż jeszcze rozmawiali o wypadku.

— Jaka to okropna śmierć — zauważył jakiś przechodzień — podobno przecięło go na pół.

— A ja myślę, że przeciwnie, bardzo lekka, natychmiastowa — powiedział inny.

— Że też nie zachowują środków ostrożności — rzekł trzeci.

Pani Karenin wsiadła do karety; brat ze zdziwieniem spostrzegł, że wargi jej drżą i że z trudnością powstrzymuje łzy.

— Co ci jest, Anno? — zapytał, gdy odjechali o kilkaset sążni od stacji.

— Zła wróżba — odpowiedziała.

— Co za brednie! — zawołał Stiepan Arkadjicz. — Przyjechałaś, to najważniejsze! Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak ja na ciebie liczę.

— Czy dawno znasz Wrońskiego? — zapytała.

— Tak. Wiesz, mamy nadzieję, że ożeni się z Kitty.

— Tak?! — rzekła cicho Anna. — No, ale pomówmy teraz

o tobie — dodała potrząsając głową, jakby chciała wprost dotykalnie odpędzić coś, co było zbyt ciche i dokuczliwe. — Mówmy o twoich sprawach. Odebrałam twój list, i oto jestem.

— Tak, cała moja nadzieja w tobie — westchnął Stiepan Arkadajicz.

— Opowiedz mi wszystko.

I Obłoński począł opowiadać.

Przed domem pomógł siostrze wsiąść, westchnął, uściśnął jej rękę i ruszył do biura.

XIX

Gdy Anna weszła do pokoju, Dolly siedziała w saloniku, a przy niej lnianowłosa, pulchny chłopczyk, który już teraz był podobny do ojca i z którym miała lekcję francuskiego czytania. Chłopiec czytał kręcąc w rękę i usiłując urwać ledwo trzymający się guzik od kurtki.

Matka parę razy odsuwała jego rękę, ale pulchna rączka znów powracała do guzika, aż Dolly oderwała go i włożyła do kieszeni.

— Daj pokój, Grisha — rzekła i znów wzięła się do dawno zaczętej roboty na drutach: była to kołdra, którą robiła, ilekroć trafiały się jej ciężkie chwile; i teraz także pracowała popychając nerwowo palcem drut i licząc oczka. Chociaż poprzedniego dnia kazała powiedzieć mężowi, że ją nic nie obchodzi, czy jego siostra przyjedzie, czy też nie, poleciała dla niej wszystko przygotować i z niepokojem czekała na szwagierkę.

Dolly była zmiażdżona swym nieszczęściem i całkowicie przez nie pochłonięta. Pamiętała jednak, że jej szwagierka Anna jest żoną jednej z najważniejszych osobistości w

Petersburgu i stołeczną *grande dame*, i ze względu na to nie postąpiła tak, jak zapowiadała mężowi, to znaczy — nie zapomniała o przyjeździe jego siostry. „Ostatecznie Anna nic tu nie jest winna — myślała Dolly. — Znam ją tylko z najlepszej strony. Dawała mi zawsze dowody serdeczności i przyjaźni.” Co prawda, o ile pamiętała wrażenia z pobytu u Kareninów w Petersburgu, to dom ich się jej nie podobał. W całej treści ich rodzinnego życia był jakiś fałsz. „Ale czemuż bym nie miała jej dobrze przyjąć?! Żeby tylko nie chciała mnie pocieszać... — myślała. — Wszystkie te pocieszenia, perswazyje i przebaczenia chrześcijańskie sama już tysiąc razy przemyślałam i wszystko to na nic się nie zda.”

Przez wszystkie te dni Dolly była z dziećmi sama. O swoim nieszczęściu mówić nie chciała, a z tym nieszczęściem w sercu nie mogła mówić o rzeczach obojętnych. Wiedziała, że tak czy owak zwierzy się Annie ze wszystkiego, i to cieszyła się myślą, w jaki sposób jej to opowie, to znów gniewało ją, że będzie musiała mówić o doznanym upokorzeniu z nią, jego siostrą, i wysłuchiwać z góry obmyślonych perswazji i konwencjonalnych frazesów pociechy. Oczekując lada chwila przybycia Anny i ciągle spoglądając na zegarek, Dolly, jak to nieraz bywa, właśnie przeoczyła moment przyjazdu i nie zwróciła uwagi na dzwonek.

Usłyszała dopiero szelest sukni i lekki krok we drzwiach. Obejrzała się i mimo woli na jej umączonej twarzy odbiła się nie radość, lecz zdumienie. Podniosła się i uściskała szwagierkę.

— Jak to, już przyjechałaś? — rzekła całując ją.

— Dolly, jakże się cieszę, że cię widzę!

— I ja się cieszę — odrzekła Dolly ze słabym uśmiechem, starając się odgadnąć ze spojrzenia Anny, czy ta już wie o

wszystkim. „Zapewne wie” — pomyślała, gdy spostrzegła na jej twarzy wyraz współczucia. — Chodźmy, zaprowadzę cię do twego pokoju — dodała starając się odwlec chwilę wyjaśnień jak najdalej.

— To Grisza? Mój Boże, jak on urósł — rzekła Anna całując bratanka i nie spuszczać oczu z Dolly. Nagle przerwała i zarumieniła się. — Nie, pozwól mi zostać tu z tobą.

Zdjęła szal, kapelusz i potrząsała głową starając się uwolnić pasmo czarnych falujących włosów, wplątanych do kapelusza.

— Promieniejesz po prostu szczęściem i zdrowiem! — zauważyła Dolly prawie z zazdrością.

— Ja?... Tak — odpowiedziała Anna. — Mój Boże! Tania! Rówieśnica mojego Sierioży — zawołała na widok dziewczynki, która wbiegła do pokoju. Wzięła ją na ręce i pocałowała. — Śliczna dziewczynka, rozkoszna! Pokaż no mi je wszystkie.

Zaczęła wyliczać dzieci, po imieniu, pamiętając nie tylko imiona i lata, lecz również miesiąc urodzenia oraz charakter, a także choroby, które każde z nich przebyło Dolly nie mogła tego nie ocenić.

— No, więc chodźmy do nich. — rzekła. — Szkoda tylko, że Wasia teraz właśnie śpi.

Obejrawszy dzieci, usiadły obie w salonie przy kawie. Anna sięgnęła po tackę, po czym odsunęła ją...

— Dolly — zaczęła — on mi już powiedział...

Dolly spojrzała niechętnie na Annę; oczekiwała frazesu nieszczerego współczucia, Anna jednak nic podobnego nie powiedziała..

— Dolly, moja droga — rzekła — nie chcę ani stawać w jego obronie, ani też pocieszać ciebie; to niemożliwe. Tylko,

serce moje, po prostu żal mi ciebie, żal z całej duszy!

W jej błyszczących oczach spoza gęstych rzęs ukazały się łzy. Przysiadła się bliżej do bratowej i ujęła jej dłoń w swą drobną, energiczną rękę. Dolly nie odsunęła się, ale twarz jej nie zmieniła oschłego wyrazu.

— Po tym, co zaszło, nie ma dla mnie żadnej pociechy. Wszystko stracone, wszystko przepadło!

Ledwo to powiedziała, wyraz jej twarzy nagle zmienił się, jakby zmiękł. Anna uniosła do ust szczupłą, wychudłą rękę Dolly, pocałowała ją i rzekła:

— Ale, Dolly, co robić, co robić? Jak postąpić najlepiej w tej okropnej sytuacji? Oto, nad czym powinniśmy się naradzić.

— Wszystko skończone i nie ma na to rady — rzekła Dolly. — A najgorsze jest to — zrozum tylko — że przecież nie mogę go porzucić: dzieci... Jestem związana. Żyć zaś z nim także nie mogę; już sam jego widok jest dla mnie męką.

— Dolly najdroższa, chociaż on mi już o tym mówił, chciałabym od ciebie wszystko usłyszeć: powiedz mi.

Dolly popatrzyła na nią pytająco.

Na twarzy Anny malowała się serdeczność i najszczerze współzucie.

— Niechże i tak będzie — zgodziła się nagle Dolly. — Ale będę opowiadała od początku. Wiesz przecie, w jaki sposób wyszłam za mąż: dzięki wychowaniu *maman* byłam nie dość że niewinna, byłam głupia; nie wiedziałam o niczym. Wiem... tak powiadają... że mężowie wyznają żonom swoją przeszłość, ale Stiwa... — poprawiła się — Stiepan Arkadjicz nic mi o sobie nie powiedział. Ty mi pewno nie uwierzysz, ale ja naprawdę dotąd myślałam, że jestem jedyną kobietą w jego życiu... Tak zeszło mi z nim osiem lat. Proszę cię, zrozum, że nie tylko nie podejrzewałam go o

niewierność; ale uważałam zdradę za coś niemożliwego... i nagle, pomyśl tylko, przy takich zapatrywaniach dowiedziałam się o tej całej okropności i ohydzie... Zrozum mnie, Anno! Być zupełnie pewną swego szczęścia i nagle... — mówiła dalej Dolly powstrzymując łkanie — dostać do rąk list... list pisany przez niego do kochanki, do guwernantki moich dzieci. Nie!... To zbyt okropne! — szybko wyjęła chustkę i zasłoniła nią twarz. — Rozumiałabym jeszcze jakieś zapomnienie się chwilowe — zaczęła znowu po krótkim milczeniu — ale oszukiwać mnie tak świadomie, tak przebiegle, i to z kim? Być jednocześnie moim mężem i jej. To potworne! Ty chyba nie możesz nawet tego zrozumieć.

— O, przeciwnie, rozumiem!... Rozumiem cię, kochana Dolly, aż nadto dobrze rozumiem — mówiła Anna ściskając jej rękę. — A czy myślisz może, że on zdaje sobie sprawę, w jak okropnym jestem położeniu?. — ciągnęła dalej Dolly. — Ani trochę: jest szczęśliwy i zadowolony.

— O nie! — szybko wtrąciła Anna. — Wzbudza litość, jest przybity, skruszony...

— Czy on jest zdolny do skruchy? — przerwała jej Dolly wpatrując się uważnie w szwagierkę.

— Tak, ja go znam. Litość mnie brała, gdy patrzyłam na niego. Obie przecież go znamy: jest” dobry, ale i ambitny, a teraz czuje się taki upokorzony. Najwięcej wzruszyła mnie (Anna odgadła, co może najbardziej podzielać na Dolly), że gnębią go dwie rzeczy: wstyd przed dziećmi i to, że kochając ciebie... tak, tak, kochając ciebie więcej niż wszystko w świecie — przerwała szybko Anna chcąc zaprzeczyć bratowej — wyrządził ci taką krzywdę, po prostu tak, jakby cię zabił.....Nie, nie, ona mi nie przebaczy” — powtarza bez ustanku.

Dolly zamyśliła się nie patrząc na Annę; słuchała wszakże

jej słów.

— Tak, rozumiem, że sytuacja jego jest okropna: winowajca czuje się gorzej niż niewinny — rzekła — o ile wie, że to z jego winy stało się nieszczęście. Ale jakże mogę mu przebaczyć, jakże mogę być teraz znowu jego żoną... Po niej? Pożycie z nim będzie dla mnie udęczeniem dlatego właśnie, że miniona moja miłość do niego jest mi tak droga.

I łkanie przerwało jej słowa.

I znowu, jakby umyślnie, ilekroć już zaczynała mięknać, wracała do tego, co ją najbardziej bolało.

— Przecież ona jest młoda, przecież jest ładna — mówiła. — Czy rozumiesz, Anno, że mnie moją młodość i urodę zabrano... A kto je zabrał? On i jego dzieci. Odsłużyłam swoje i w tę służbę włożyłam całą siebie, a jemu teraz oczywiście miłsze jest młode, pospolite stworzenie. Z pewnością nieraz rozmawiali o mnie lub, co gorsza, pomijali mnie milczeniem; czy ty to rozumiesz? — I znów oczy jej błysnęły nienawiścią. — I po tym wszystkim będzie mi mówił... I ja mam mu może wierzyć? Przenigdy! Nie... Skończyło się już wszystko, wszystko, co było dla mnie pociechą, nagrodą za tyle pracy, za moje cierpienia... Czy uwierzysz? Przed chwilą uczyłam Griszę: dawniej była to dla mnie rozkosz, a teraz męczarnia. Po co ja się staram i trudzę? Na co te dzieci? Okropne jest to, że nagle serce mi się odmieniło, i zamiast miłości i czułości dla niego mam tylko złość, tak, złość. Zabiłabym go i...

— Dolly, miła moja, rozumiem cię, lecz nie zadrećcaj się tak. Dotknięto cię tak głęboko, jesteś taka rozdrażniona, że wiele rzeczy widzisz na opak.

Dolly przycichła i przez chwilę milczały obie.

— Pomyśl ty, Anno, co począć... Pomóż mi! Przemyslałam wszystko i nic przed sobą nie widzę.

Anna wprawdzie nie potrafiła znaleźć żadnego wyjścia, lecz każde słowo, każde drgnienie twarzy bratowej znajdowało bezpośredni oddźwięk w jej sercu.

— Powiem ci tylko jedno — zaczęła. — Jestem jego siostrą, znam jego charakter, tę jego łatwość zapominania o wszystkim (zrobiła ruch, jakby coś odpędzała od czoła), tę łatwość całkowitego zapominania się, ale za to i zdolność do absolutnej — skruchy. On teraz sam nie wierzy, nie rozumie, jak mógł tak postąpić.

— O nie, on to dobrze rozumie, on to rozumiał — przerwała jej Dolly. — Ale ja... zapominasz o mnie... czyż mnie jest przez to lżej?

— Czekaj... Kiedy mi to opowiadał, przyznaję, że nie zdawałam sobie sprawy z całej okropności twojego położenia. Myślałam tylko o nim i o tym, że rodzina zaczyna się rozpadać; było mi go żal. Ale po rozmowie z tobą widzę — jako kobieta — co innego: widzę twoje cierpienie i wprost nie potrafię wypowiedzieć, jak bardzo mi żal ciebie. Ale, Dolly, moje serce... Pojmuję najzupełniej twoje cierpienie, jednej rzeczy tylko nie wiem, nie wiem... Nie wiem, ile miłości pozostało ci jeszcze w sercu. To już ty wiesz sama. Czy masz jej na tyle, żeby móc przebaczyć? Jeśli tak, to przebacz!

— Nie — zaczęła Dolly. Ale Anna przerwała jej, całując znowu jej rękę.

— Ja znam lepiej świat od ciebie — rzekła. — Znam ludzi w rodzaju Stiwy i wiem, — jak patrzą na takie rzeczy. Powiadasz, że Stiwa rozmawiał z nią o tobie... Na pewno tak nie było! Tacy ludzie mogą popełnić zdradę, ale ich własne ognisko domowe i żona — to dla nich świętość. Tak jakoś bywa, że dla tamtych mają właściwie pogardę, że tamte jakoś nie są dla nich przeszkodą w życiu rodzinnym. Oni

przeprowadzają taką jakąś nieprzekraczalną linię między rodziną a tamtą stroną życia. Ja tego nie rozumiem, ale wiem, że tak jest.

— Tak, ale on ją całował...

— Czekaj, Dolly kochana... Widziałam Stiwę, gdy się kochał w tobie. Pamiętam czasy, gdy przyjeżdżał do mnie i mówiąc o tobie płakał: wiem, że byłaś dla niego uosobieniem poezji i wzniosłości, a im dłużej z tobą żył, na tym wyższym piedestale ciebie stawiał. Aż śmieliśmy się nieraz z niego, bo dodawał po każdym zdaniu: „Dolly to zdumiewająca kobieta.” Byłaś zawsze dla niego bóstwem i pozostałaś nim, a to był tylko szal chwilowy. W duszy cię nie zdradził.

— A, jeśli ten chwilowy szal będzie się powtarzał?

— Jestem przekonana, że się nie powtórzy, to niemożliwe...

— Tak, ale czy ty byś przebaczyła?

— Nie wiem, nie mogę o tym sądzić... Nie, owszem, mogę — powiedziała po krótkim namyśle; a gdy już podsumowała sytuację i jakby zważyła ją na jakiejś swojej wewnętrznej szali, dodała: — Owszem mogę, mogę, mogę! Tak, ja bym przebaczyła. Nie byłabym już tą samą, co przedtem, ale przebaczyłabym, i to przebaczyłabym tak, jakby nigdy nic się nie stało.

— Ma się rozumieć — przerwała jej szybko Dolly, jakby wypowiadając coś, o czym już nieraz myślała. — W przeciwnym razie nie byłoby to przebaczenie. Jeśli przebaczyć, to już zupełnie, zupełnie. No, chodźmy teraz, odprowadzę cię do twego pokoju. — Przeszły razem kilka kroków, po czym Dolly objęła Annę mówiąc: — Droga moja, jakże się cieszę, żeś przyjechała. Lżej mi na duszy, znacznie lżej.

XX

Cały ten dzień Anna spędziła w domu, czyli u Obłońskich, i nikogo nie przyjmowała, chociaż kilka znajomych osób, które już zdążyły dowiedzieć się o jej przyjeździe, tego samego dnia przybyło z wizytą. Cały ranek spędziła w towarzystwie Dolly i dzieci. Wysłała tylko bilecik do brata, prosząc go, aby koniecznie był na obiedzie w domu. „Przyjedź, Bóg jest miłosierny!” — pisała.

Obłoński zjawił się na obiad; rozmowa przy stole była ogólna i Dolly mówiła mężowi „ty”, co przedtem było wykluczone. W ich wzajemnym stosunku znać było jeszcze obcość, lecz nie było już mowy o rozstaniu i Stiepan Arkadycz przewidywał możliwość wyjaśnień i pojednania.

Zaraz po obiedzie przyjechała Kitty. Znała już panią Karenin, ale bardzo mało, jechała więc teraz do siostry z pewną obawą, nie wiedząc, jak ją przyjmie ta petersburska światowa dama, o której wszyscy mówili z takim uznaniem. Tymczasem spodobała się Annie i od razu to wyczuła. Pani Karenin zachwycała się wyraźnie jej urodą i młodością. Kitty nie zdążyła się spostrzec, a już nie tylko czuła, że ulega wpływowi Anny, lecz była w niej zakochana, jak tylko potrafią kochać się młode panny w starszych od siebie mężatkach. Anna nie wyglądała na światową damę ani na matkę ośmioletniego syna. Gdyby nie poważny, chwilami smutny wyraz oczu, który zastanawiał i pociągał Kitty, sprawiałaby raczej wrażenie dwudziestoletniej dziewczyny, tak sprężyste były jej ruchy, tak była świeża i tyle było żywości w jej uśmiechu i spojrzeniu. Kitty była pewna, że Anna jest wprawdzie pełna prostoty i że nic nie ukrywa, ale że nosi w duszy jakiś inny, wyższy świat, świat niedostępnych dla Kitty zainteresowań, zawiłych i

poetycznych.

Po obiedzie, gdy Dolly poszła do swego pokoju, Anna zerwała się z miejsca i mrugnęła wesoło na brata, który zapalał cygaro.

— Stiwa — rzekła kreśląc nad nim znak krzyża i wskazując oczyma na drzwi. — Idź i niech ci Pan Bóg dopomoże.

Zrozumiał, rzucił cygaro i znikł za drzwiami.

Po jego wyjściu Anna wróciła na kanapę, na której siedziała otoczona dziećmi. Może dlatego, że matka lubiła tę ciotkę, a może same wyczuwając w niej szczególny urok, dwoje starszych, a za nimi i młodsze — jak to bywa u dzieci — jeszcze przed obiadem przyłgnęły do nowej cioci i nie odstępowały jej ani na chwilę. Urządziły sobie nawet rodzaj zabawy polegającej na tym, by siedzieć jak najbliżej cioci, dotykać jej, trzymać je drobną rękę, całować ją, bawić się jej pierścionkiem lub przynajmniej skubać falbanki jej sukni.

— Dobrze, dobrze, ale siadajmy jak przedtem — i Anna usadowiła się na dawnym miejscu.

Grisza znowu więc wsunął główkę pod ramię ciotki i promieniejąc dumą i szczęściem przytulił się do jej sukni.

— Kiedyż więc odbędzie się ten bal? — zwróciła się Anna do Kitty.

— W przyszłym tygodniu. Wspaniały bal. Jeden z tych, na których zawsze bywa wesoło...

— A więc zdarzają się i takie, na których zawsze bywa wesoło? — w głosie Anny brzmiała leciutka ironia.

— To dziwne, ale tak jest. U Bobryszczewów jest zawsze wesoło, u Nikitinów również, natomiast u Mieszkowów zawsze nudno. Czy pani tego nie zauważyła?

— Nie, kochanie, dla mnie minął już ten czas, gdy mi na balach bywało wesoło — odparła Anna i Kitty ujrzała w jej

oczach ten osobliwy świat, który przed nią był jeszcze zamknięty. — Znam tylko takie, na których bywa mniej nudno i które są mniej męczące...

— Jak pani może być nudno na balu?

— Dlaczego mnie nie może być nudno na balu? — spytała Anna.

Kitty zauważyła, że Anna dobrze wie, jaka będzie jej odpowiedź.

— Ponieważ pani jest zawsze najpiękniejsza ze wszystkich.

Anna potrafiła się rumienić. Zarumieniła się i rzekła:

— Po pierwsze, nigdy nie jestem najpiękniejsza, a po drugie, gdyby nawet tak było, to co mi po tym?

— Pani będzie na tym balu? — spytała Kitty.

— Sądzę, że nie będę mogła się od tego wymówić. Masz, weź sobie ten — powiedziała do Tani, która ścigała luźny pierścionek z jej białego, smuklejszego ku końcowi, palca.

— Byłabym taka rada, gdyby pani tam była. Tak bym chciała widzieć panią na balu.

— Więc jeśli trzeba będzie tam pojechać, będę się chociaż pocieszała myślą, że sprawiam pani przyjemność... Grisza, mój drogi, nie szarp tak, i tak już jestem potargana — zwróciła się do chłopca poprawiając luźne pasmo włosów, którym się bawił.

— Wyobrażam sobie panią na balu w sukni lila...

— Dlaczego koniecznie lila? — uśmiechnęła się Anna. — No, dzieci, idźcie już, idźcie. Czy słyszycie? Miss Hull woła was na herbatę — mówiąc to, siłą odrywała od siebie dzieci i popychała je w stronę jadalni.

— A ja wiem, czemu pani zaprasza mnie na ten bal: pani się wiele po nim spodziewa i dlatego pani pragnie, żeby wszyscy byli obecni, żeby wszyscy brali w nim udział.

— Skąd pani o tym wie? Tak jest rzeczywiście!

— Szczęśliwy, szczęśliwy wiek — mówiła dalej Anna. — Znam, pamiętam ową błękitną mgłę, podobną do tej, która leży na górach w Szwajcarii... Mgła, która wszystko okrywa w tym okresie najszcześniejszym, gdy lada chwila skończy się dzieciństwo, gdy ten ogromny krąg, pełen szczęścia i wesela, przemienia się w coraz węższy szlak. Radośnie, choć z lękiem, człowiek wkracza w tę amfiladę, mimo że zdaje się ona piękna i jasna... Któż z nas przez to nie przechodził?!

Kitty uśmiechnęła się w milczeniu. „Ale jak ona sama przez to przeszła? Tak bym chciała znać całą historię jej miłości” — pomyślała przypominając sobie niepoetyczną powierzchowność Aleksego Aleksandrowicza, męża Anny.

— Wiem coś niecoś... Brat mi mówił... Winszuję pani: bardzo mi się podoba — mówiła Anna. Spotkałam rotmistrza Wrońskiego na kolei.

— Tak, był tam? — spytała zapłoniona Kitty. — I cóż Stiwa pani mówił?

— Stiwa wypaplał mi wszystko. Bardzo bym się cieszyła... Wczoraj — mówiła dalej — jechałam z jego matką, starą panią Wrońska, która przez całą drogę nie przestawała o nim mówić. To jej ulubieniec: wiem, że matki bywają zaślepione, ale...

— I cóż jego matka pani opowiadała?

— Ach, mnóstwo rzeczy! Wiem, że to jej faworyt, ale i tak widać, że to istny rycerz... Opowiadała mi na przykład, że chciał ustąpić całą fortunę bratu, że dzieckiem jeszcze zrobił coś niezwykłego, wyratował jakąś tonącą kobietę. Słowem, bohater — uśmiechnęła się Anna przypominając sobie owe dwieście rubli, które Wroński podarował na stacji.

O tych dwustu rublach jednak nie opowiedziała; przykro jej było jakoś o tym wspominać. Czuła, że w jakiś sposób

sama była w to wmieszana i że było w tym coś niewłaściwego.

— Pani Wrońska prosiła mnie bardzo, abym ją odwiedziła — mówiła Anna. Chętnie staruszkę zobaczę i jutro do niej pojedę. No, dzięki Bogu, Stiwa długo bawi u Dolly — dodała po chwili, zmieniając temat, i wstała. Kitty wydało się, że Anna była jakby z czegoś niezadowolona.

— Nie, ja pierwszy! Ja! Nie, ja! — wołały dzieci, które wypity już herbatę, a teraz rzuciły się hurmem ku cioci Annie.

— Wszystkie razem! — zawołała Anna śmiejąc się i biegnąc na ich spotkanie, po czym objęła całą gromadkę wierzgających i piszczących z uciechy dzieci i przewróciła je na kanapę.

XXI

Kiedy podano herbatę dla starszych, Dolly wyszła ze swego pokoju. Stiepan Arkadjicz nie pokazał się. Zapewne opuścił pokój żony innymi drzwiami.

— Obawiam się, czy na górze nie będzie ci za zimno — odezwała się Dolly dci Anny. Miałabym ochotę przenieść cię na dół: byłybyśmy bliżej siebie.

— Ach, nie róbże sobie ze mną ambarasu — odrzekła Anna uważnie wpatrując się w twarz Dolly i próbując odgadnąć, czy nastąpiło pojednanie, czy też nie.

— Będzie ci za jasno...

— Powiadam ci, że zawsze i wszędzie śpię jak suseł.

— O czym mowa? — zapytał Stiepan Arkadjicz wychodząc ze swego gabinetu i zwracając się do żony.

Anna i Kitty z tonu jego głosu od razu poznały, że między małżonkami nastąpiła zgoda.

— Chcę Annę przenieść na dół, ale należałoby przedtem zmienić firanki. Nikt tego nie potrafi i będę musiała sama to zrobić — odpowiedziała Dolly zwracając się do męża.

„Bóg raczy wiedzieć, czy się już zupełnie pogodzili?” — pomyślała Anna słysząc jej chłodny i spokojny ton.

— Dajże spokój, Dolly, zawsze wynajdujesz jakieś komplikacje — powiedział mąż. — Chcesz, to ja wszystko załatwię...

„Chyba się pogodzili” — pomyślała Anna, — Już ja wiem, jak ty wszystko załatwisz: polecisz Matwiejowi coś niewykonalnego, sam wyjdiesz z domu, a on wszystko zrobi na opak — sznurując ironicznie usta odrzekła z uśmiechem Dolly.

„Zgoda, zgoda, całkowita zgoda — zdecydowała Anna — Bogu dzięki” — i uradowana, że to się stało za jej sprawą, podeszła do bratowej i uściskała ją.

— Ależ bynajmniej, skąd ta pogarda, dla mnie i dla Matwieja? — powiedział Stiepan Arkadjicz uśmiechając się nieznacznie.

Przez cały wieczór Dolly traktowała męża ze zwykłą sobie lekką ironią, Obłoński zaś był zadowolony i pogodny, lecz tylko na tyle, by ten dobry humor nie wyglądał na zbyt szybkie zapomnienie winy.

O wpół do dziesiątej wesołą i przyjemną pogawędkę familijną przy wieczornej herbacie u Obłońskich zakłócił najblahszy na pozór wypadek, który jednak nie wiadomo dlaczego wszystkim wydał się dziwny. Wśród rozmowy o wspólnych petersburskich znajomych Anna zerwała się:

— Mam tę fotografię w albumie — rzekła — a przy sposobności pokażę wam mojego Sieriożę — dodała z uśmiechem macierzyńskiej dumy.

Koło dziesiątej zazwyczaj mówiła synkowi dobranoc, a

nieraz, przed pójściem na bal, sama kładła go do łóżeczka, więc żał ją ogarnął, że był od niej tak daleko. O czymkolwiek była mowa, Anna raz po raz wracała myślą do swego kędzierzawego Sierioży, a wreszcie zapragnęła spojrzeć na jego fotografię i przy tym pogawędzić o nim. Skorzystawszy z pierwszego lepszego pretekstu wstała i swym lekkim, energicznym krokiem poszła po album. Schody prowadzące na górę do jej pokoju wychodziły na podest ogrzewanych wewnętrznych głównych schodów.

W chwili gdy Anna wychodziła z salonu, w przedpokoju rozległ się dzwonek.

— Kto by to mógł być? — powiedziała Dolly.

— Po mnie jeszcze za wcześnie, a na kogo innego za późno — dodała Kitty.

— Zapewne do mnie z papierami — zauważył Obłoński. Anna właśnie mijiała frontowe schody, kiedy lokaj wbiegał na górę, by zaanonsować przybyłego, a sam przybyły stał na dole pod lampą. Spojrzawszy w dół, od razu poznała Wrońskiego i dziwna radość pomieszana z nieokreśloną obawą targnęła nagle jej sercem. Wroński stał nie zdejmując palta i wyjmował coś z kieszeni. W chwili gdy Anna zrównała się z wylotem schodów, podniósł oczy, spostrzegł ją i jakby zawstydził się czy przestraszył. Anna skinęła mu lekko głową i poszła dalej, a za nią rozległ się donośny głos Stiepana Arkadjicza, który zapraszał przybyłego na górę, oraz cichy, miękki i spokojny głos Wrońskiego, który się wymawiał.

Kiedy Anna wróciła z albumem, Wrońskiego już nie było, a Stiepan Arkadjicz opowiadał, że Wroński wstąpił tylko, aby się upewnić co do obiadu urządzanego nazajutrz dla przyjezdnej znakomitości.

— Za nic w świecie nie chciał wejść. Był jakiś dziwny —

dodał Stiepan Arkadjicz.

Kitty oblała się rumieńcem: zdawało, się jej, że tylko ona jedna wie, po co Wroński przyjeżdżał i dlaczego nie wszedł na górę.

„Był u nas — pomyślała — nie zastał mnie i zgadł, że jestem tutaj; nie wszedł, bo uważał, że jest zbyt późno, a zresztą kępowała go obecność Anny.”

Wszyscy popatrzyli na siebie w milczeniu. Zaczęto przeglądać album Anny.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego ani dziwnego, że ktoś wstąpił do przyjaciela wieczorem, o wpół do dziesiątej, by omówić szczegóły projektowanego obiadu, i że nie chciał wejść do salonu; a jednak wszystkim wydało się to dziwne. Zwłaszcza dziwne i niewłaściwe wydało się to Annie.

XXII

Bal dopiero się zaczynał, gdy Kitty wchodziła z matką na szerokie, zalane światłem schody, na których ustawiono kwiaty i upudrowanych lokajów w czerwonych kaftanach. Z salonów dobiegał jednostajny, jak w ulu, szmer poruszającego się tłumu i podczas gdy Kitty i księżna poprawiały uczesanie i toaletę przed lustrem umieszczonym na podeście pomiędzy drzewkami, z sali balowej poczęły dolatywać delikatne, lecz wyraźne dźwięki skrzypiec: orkiestra rozpoczynała pierwszego walca. Jakiś staruszek cywil, który przed innym lustrem poprawiał siwą fryzurkę na skroniach i od którego bił zapach perfum, otarł się na schodach o wchodzące i usunął się, wyraźnie zachwycony urodą nieznajomej Kitty. Jakiś młodzieniec bez zarostu, jeden z tych, których stary książę Szczerbacki nazywał lalusiami, w nadmiernie wyciętej kamizelce, poprawiając

w pędzie biały krawat, uklonił się paniom, a wyminąwszy je kłusem, zawrócił i poprosił Kitty do kadryla. Kitty przyrzekła już była pierwszego kadryla Wrońskiemu, obiecała więc młodzieńcowi drugiego. Podziwiał różową Kitty także wojskowy, który usunąwszy się z drogi stał u drzwi zapinając rękawiczki i muskając wąsa.

Mimo że strój, uczesanie i wszystkie przygotowania do balu kosztowały dużo zachodu i namysłu, Kitty w swej skomplikowanej tiulowej sukni na różowym spodzie wchodziła teraz na bal z taką swobodą i prostotą, jak gdyby ani ona, ani domownicy nie poświęcili wszystkim tym kokardkom i innym szczegółom toalety ani chwili uwagi, jakby się od razu taka urodziła, w tym tiulu i koronkach, z tą różą o dwóch listkach na czubku wysokiej fryzury.

Kiedy stara księżna przed wejściem na salę chciała poprawić córce podwiniętą w pasie wstążkę, Kitty leciutko odsunęła się od niej. Czuła, że wszystko samo przez się musi być na niej ładne i pełne wdzięku i że nie trzeba nic poprawiać.

Był to jeden z tych dni, kiedy jej się wszystko wiodło: suknia nigdzie nie uciskała, koronkowa berta* nigdzie się nie obsunęła, rozetki nie zgmiotły się i żadna się nie odpruła, różowe, na wysokich obcasach pantofelki nie uwierały, lecz sprawiały radość nóżce. Gęste *bandeaux** jasnych włosów trzymały się na maleńkiej główce, jakby były jej własne, a trzy guziki długich rękawiczek, obcisłych, ale nie zniekształcających ręki, zapięły się wszystkie łatwo i żaden się nie urwał. Czarna aksamitka medalionu pieśczośliwie] niż zwykle okalała szyję. Cudowna była ta aksamitka, i Kitty stojąc w domu przed lustrem czuła, że ta aksamitka po prostu przemawia. Co do całej reszty można było mieć wątpliwości,

* Berta — falbanka koronkowa okalająca wycięcie sukni ałowej

* *Bandeaux* — pasma sztucznych włosów wplatanie w uczesanie

lecz aksamitka była cudowna. Kitty uśmiechnęła się także i tu, na balu, spojrzawszy w lustro na swoją aksamitkę. Na obnażonych plecach i ramionach czuła chłód marmuru: bardzo lubiła to wrażenie. Oczy jej błyszczały, a czerwone wargi, świadome swego czaru, nie mogły powstrzymać uśmiechu. Nie zdążyła jeszcze wejść na salę i dotrzeć do tiulowej — zdobnej we wstążki, koronki i kwiaty — ciżby dam czekających na zaproszenie do tańca (Kitty nigdy nie stała w tej ciżbie), gdy już poprosił ją do walca najlepszy tancerz, tancerz dzierżący prym w balowej hierarchii, znakomity wodzirej balów, mistrz ceremonii, żonaty, piękny i postawny mężczyzna, Jegoruszka Korsuński. Po odprowadzeniu na miejsce hrabiny Bonin, z którą przetańczył pierwszą turę walca, dokonywał właśnie przeglądu swojego gospodarstwa, czyli tych kilku par, które już zaczęły tańczyć, kiedy dojrzał wchodzącą Kitty. Podbiegł ku niej w osobliwych, właściwych tylko wodzirejom posuwistych podskokach, uklonił się i nawet nie, pytając o pozwolenie, wyciągnął rękę, aby objąć jej smukłą kibić. Kitty obejrzała się komu by zostawić wachlarz; pani domu wzięła go od niej z uśmiechem.

Jak to dobrze, żeście panie punktualnie przyjechały — rzekł Korsuński obejmując jej talię — bo cóż to doprawdy za sposób spóźniać się na bal!

Zgięła lewą rękę i położyła ją na ramieniu Korsuńskiego, a małe jej nóżki w różowych trzewiczkach prędko, lekko i rytmicznie jeły poruszać się w takt muzyki po śliskiej posadzce.

— Walc z panią to odpoczynek — powiedział Korsuński przy pierwszych powolnych taktach. — Co za cudowna lekkość i *précision**! — Powtarzał jej to, co mówił prawie

* *Precision* — precyzja

każdej dobrej znajomej.

Kitty uśmiechnęła się na tę pochwałę i ponad jego ramieniem rozejrzała się po sali. Nie była debiutantką, dla której wszystkie twarze zlewają się w jedno czarodziejskie wrażenie; nie należała również do panien, które tyle razy ciągnano na bale, że wszystkie twarze są im już znajome aż do znudzenia. Kitty do nich się nie zaliczała: była podniecona, ale zarazem panowała nad sobą na tyle, aby móc obserwować. Zauważyła, że w lewym rogu salonu skupiła się śmietanka towarzystwa. Była tam nieprawdopodobnie wydekoltowana znana piękność, żoną Korsuńskiego, Liddy, tam również była pani domu, tam świecił swą łysiną, zawsze trzymający się najlepszego towarzystwa, Kriwin. Młodzież patrzyła w tę stronę, nie mając odwagi podejść. Tam także Kitty znalazła oczyma Stiwę, a potem zobaczyła zachwycającą głowę i postać Anny w czarnej aksamitnej sukni! I on tam był. Kitty nie widziała go od owego wieczoru, kiedy dała kosza Lewinowi. Teraz spostrzegła go od razu swymi bystrzymi oczyma i zauważyła nawet, że na nią patrzy.

— Może przetańczymy jeszcze jedną turę? Czy pani nie zmęczona? — zapytał Korsuński, nieco zadyszany.

— Nie, dziękuję.

— Dokąd mam panią odprowadzić?

— Zdaje się, że pani „Karenin jest tutaj... Niech mnie pan odprowadzi do niej.

— Jak pani rozkaże.

I Korsuński nie przerywając walca, tylko zwalniając kroku, skierował się wprost ku grupie skupionej w lewym rogu sali. Powtarzał co chwila: „*Pardon, mesdames, pardon, pardon, mesdames**”, i lawirował w morzu koronek, tiulu i wstążek nie zaczepiając nawet o piórko. W końcu okręcił swą

* *Pardon, mesdames...* — przepraszam panie, przepraszam, przepraszam panie

damę tak gwałtownie, że widać było przez chwilę jej szczupłe nóżki w ażurowych pończoszkach, a tren roztoczył się jak wachlarz i nakrył Kriwinowi kolana. Korsuński skłonił się, wyprostował wygorsowaną pierś i podał ramię Kitty, aby ją zaprowadzić do Anny. Kitty, zarumieniona, zdjęła tren z kolan Kriwina i czując lekki zawrót głowy obejrzała się szukając oczyma pani Karenin. Anna nie była w sukni lila, jak tego pragnęła Kitty, ale w czarnej, głęboko — wyciętej aksamitnej toalecie, odsłaniającej jej jakby toczone ze starej kości słoniowej, rozkwitłe ramiona, pierś i okrągłe ręce o szczupłych, drobniutkich dłoniach. Cała suknia była obszyta wenecką gipiurą. Na głowie, na — czarnych własnych — bez domieszek sztucznych — włosach miała maleńką girlandę z bratków i taką samą girlandę u czarnej wstążki paska, wśród białych koronek. Sama jej fryzura była jakby niedostrzegalna, rzucały się tylko w oczy i zdobiły ją owe kapryśne, króciutkie pierścienie kędzierzawych włosów, stale wymykających się na kark i na skronie. Na mocnej, toczonej szyi nosiła sznurek pereł.

Kitty widywała Annę codziennie, była w niej zakochana i wyobrażała ją sobie koniecznie w sukni lila, teraz jednak, ujrawszy ją w czarnej sukni, przekonała się, że nie miała dotąd pojęcia o całym uroku Anny. Zobaczyła ją teraz zupełnie inną, niż się spodziewała. Zrozumiała teraz, że Anna nie mogła być w sukni lila. Urok Anny na tym właśnie polegał, że zaćmiewała swą własną toaletę, tak że ta stawała się na niej jakby niewidoczna. Tej czarnej sukni ze wspianymi koronkami również nikt nie dostrzegał, tworzyła jedynie ramę; widać było tylko samą Annę, naturalną, prostą, wykwinną, a zarazem wesołą i ożywioną.

Stała trzymając się jak zawsze niezwykle prosto i w chwili gdy Kitty zbliżyła się do ich gromadki, rozmawiała z panem

domu, z lekka zwracając ku niemu głowę.

— Nie, nie rzucę kamieniem — odpowiadała mu na coś — chociaż nie rozumiem tego — wzruszyła ramionami i w tej chwili z czule opiekuńczym uśmiechem zwróciła się do Kitty. Zmierzywszy pobieżnym kobiecym spojrzeniem jej toaletę, zrobiła głową ruch prawie niedostrzegalny, lecz dla tamtej zrozumiała: była to pochwała jej stroju i urody. — Pani nawet na salę wchodzi tańcząc — zauważyła.

— To jedna z moich najbardziej niezawodnych pomocnic — rzekł Korsuński, ukłonem witając Annę, której tego wieczoru jeszcze nie widział. — Księżniczka sprawia, że każdy bal staje się piękny i wesoły. Proszę panią o jedną turę walca! — dodał i skłonił się przed Anną.

— Państwo się znają? — zapytał gospodarz.

— A kogoż my nie znamy? My z żoną — jesteśmy jak zły szeląg: wszyscy nas znają — odpowiedział Korsuński. — Proszę panią o jedną turę walca!

— Jeśli tylko można nie tańczyć, to nie tańczę — odrzekła Anna.

— Ale dzisiaj nie można — odpowiedział Korsuński. W tej chwili zbliżył się Wroński.

— Cóż, jeśli nie wolno dziś nie tańczyć, to chodźmy — powiedziała Anna, nie dostrzegając ukłonu Wrońskiego, i szybko położyła rękę na ramieniu wodzireja.

„Dlaczego ona się na niego gniewa?!” — pomyślała Kitty, dostrzegła bowiem, że Anna rozmyślnie nie odkloniła się Wrońskiemu. Wroński podszedł do Kitty, przypominając jej o pierwszym kadrylu, i wyraził ubolewanie, że przez cały ten czas nie miał przyjemności jej widzieć. Kitty słuchając go przyglądała się z zachwytem tańczącej Annie. Była pewna, że Wroński poprosi ją teraz do walca, a gdy tego nie uczynił, spojrzała na niego pytająco. Zaczerwienił się i pośpiesznie

skłonił się przed nią; zaledwie jednak objął jej smukłą talię i zrobił pierwszy krok, muzyka nagle umilkła. Kitty spojrzała w twarz Wrońskiego, która była teraz tuż blisko... Długo potem, po kilku latach, to pełne miłości spojrzenie, którym go wówczas obdarzyła i na które on nie odpowiedział, nieznośnym wstydem paliło jej serce.

— *Pardon, pardon!* Walc, Walc! — zawołał z drugiego końca sali Korsuński i pochwyciwszy pierwszą napotkaną pannę pocałował z nią tańczyć.

XXIII

Wroński przetańczył z Kitty kilka tur walca, po czym Kitty podeszła do matki i zaledwie zdążyła zamienić parę słów z panią Nordston, gdy Wroński znów przyszedł po nią prosząc ją do pierwszego kadryla. Podczas tego tańca nic decydującego sobie nie powiedzieli; toczyła się między nimi urywana rozmowa, to o obojgu Korsuńskich, których Wroński nader zabawnie określał jako miłe czterdziestoletnie dzieci, to o będącym w projekcie teatrze amatorskim. Tylko raz jeden obeszło ją coś żywej: Wroński zagadnął ją o Lewina — czy jest także tutaj, dodając, że mu się on bardzo podobał. Zresztą Kitty nie spodziewała się nic więcej po kadrylu. Oczekiwała z zamierającym sercem mazura. Zdawało się jej, że wtedy wszystko się rozstrzygnie. Chociaż podczas kadryla nie prosił jej o mazura, nie była zaniepokojona. Pewna, że tego dnia, jak i na poprzednich balach, tańczyć go będzie z Wrońskim, odmówiła pięciu tancerzom oświadczając, że już jest zaangażowana. Aż do ostatniego kadryla bal wydawał się jej czarodziejskim snem, w którym wszystko było radosne: kwiaty, dźwięki i ruchy taneczne. Nie tańczyła tylko wtedy, gdy czuła się zbyt

zmęczona i sama prosiła, by jej pozwolono odpocząć.

Tańcząc wszakże ostatniego kadryla z młodzieńcem, który ją nudził, a któremu nie wypadało odmówić, znalazła się *vis à vis* Anny i Wrońskiego. Kitty nie miała sposobności spotkać się z Anną od przybycia na bal i nagle teraz Anna znów wydała się jej zupełnie nowa i zdumiewająca. Spostrzegła w niej dobrze znane jej samej objawy podniecenia wywołanego przez sukces. Zobaczyła, że Anna upiła się jak winem zachwytem, który sama budziła. Kitty знаła to uczucie, pamiętała jego objawy i zauważyła je u Anny. Znała ten migotliwy, zapalający się nagle blask oczu, ten uśmiech radosnego uniesienia, bezwiednie wyginający wargi, ten świadomy wdzięk, tę precyzję i lekkość ruchów.

„Kto jest tego przyczyną? — zadała sobie pytanie. — Wszyscy czy tylko ktoś jeden?” Nie starała się przyjść z pomocą tańczącemu z nią młodzieńcowi, który zgubił wątek rozmowy i nie potrafił go nawiązać — był więc jak na mękach — i na pozór poddając się wesołym, głośnym rozkazom Korsuńskiego, który rzucał tańczące pary to w *chaîne*^{*}, to znów w *grand rond*^{*}, poczęła obserwować, a serce jej ścisnęło się coraz bardziej. „Nie, to nie ogólne uwielbienie tak ją upoiło, ale zachwyty jednego z tancerzy. A ten jeden — czyżby to był on?” Za każdym razem, gdy mówił do Anny, w jej oczach zapalał się radosny błysk, a po czerwonych wargach przelatywał uśmiech szczęścia. Anna jakby usiłowała zapanować nad sobą i nie zdradzić owych objawów radości, lecz nie potrafiła ich ukryć. „A cóż on na to?” Kitty spojrzała na niego i ogarnęło ją przerażenie. To, co jasno jak w zwierciadle odbijało się w twarzy Anny, ujrzała w nim również. Gdzie się podział jego zawsze spokojny, stanowczy sposób bycia i pewna siebie, opanowania mina? Teraz,

* *Chaîne* — łańcuch

* *Grand rond* — wielkie koło

ilekroć zwracał się do Anny, pochylał nieco głowę, jakby chciał paść przed nią na kolana, a w” spojrzeniu jego nie malowało się nic prócz pokory i obawy. „Nie chcę pani obrazić — zdawało się mówić każde jego spojrzenie — pragnę się jedynie ratować, lecz nie wiem jak.” Twarz jego miała wyraz, jakiego Kitty nigdy dotychczas nie widziała.

Rozmawiali o wspólnych znajomych, mówili o rzeczach najbardziej błahych, lecz Kitty miała wrażenie, że każde wypowiedziane przez nich słowo rozstrzyga losy ich trojga. I rzecz dziwna, chociaż oboje mówili przecież tylko o tym, jak śmieszna jest francuszczyzna Iwana Iwanowicza, i stwierdzali, że Jelecka mogłaby być zrobić lepszą partię, słowa te miały dla nich jakieś szczególne znaczenie. Na pewno czuli to równie dobrze jak Kitty. Bal cały, cały świat — wszystko zasnuwało się w jej duszy gęstą mgłą. Jedyne surową dyscyplina wychowania podtrzymywała ją i zmuszała do wykonywania wszystkiego, czego od niej żądano. Tańczyła, odpowiadała na pytania, rozmawiała, a nawet uśmiechała się... Ale gdy miał się rozpocząć mazur, gdy zaczęto już usuwać krzesła i gdy niektóre pary przeszły z bocznych salonów do dużej sali, ogarnęła ją desperacja i zgroza: odmówiła pięciu tancerzom i teraz została bez partnera. Nie było żadnej nadziei, by ją ktoś poprosił, właśnie dlatego, że miała nazbyt wielkie powodzenie w świecie, i nikomu nawet przez myśl przejść nie mogło, że dotychczas nie ma tancerza. Trzeba było powiedzieć matce, że jest chora, i wrócić do domu. Na to nie starczyło jej sił. Czowała się zdruzgotana.

Odeszła w głąb małego saloniku i osunęła się na fotel. Zwiewna spódniczka jak obłok uniosła się wokół jej wiotkiej figurki; lewa obnażona, delikatna, szczupła dziewczęca ręka opadła bezsilnie, tonąc w fałdach różowej tuniki; W prawej

Kitty trzymała wachlarz i szybkimi, krótkimi ruchami chłodziła rozpalone policzki. Mimo jednak pozorów motyla, który dopiero co zawisł na źdźble trawy i tylko patrzeć, jak pofrunie na rozwiniętych tęczowych skrzydełkach, rozpacz straszliwa ścisnęła jej serce.

„A może ja się mylę? Może tego wcale nie było?”

I znów uprzytomniła sobie wszystko, czego była świadkiem.

— Kitty, a to co takiego?! — zawołała pani Nordston, która cichutko zbliżyła się po dywanie. — Nic nie rozumiem! Kitty zerwała się z miejsca, dolna jej warga drżała.

— Kitty, nie tańczysz mazura?

— Nie... nie... — wyjąkała Kitty drżącym od łez głosem.

— On przy mnie prosił ją do mazura! — rzekła pani Nordston wiedząc, że Kitty zrozumie, kim są on i ona. — A ona spytała: czy pan nie tańczy z księżniczką Szczerbacką?

— Ach, wszystko mi jedno! — odparła Kitty.

Nikt, prócz niej samej, nie rozumiał jej sytuacji, nikt nie wiedział, że wczoraj odmówiła ręki człowiekowi, którego może nawet kochała, a odmówiła, gdyż zaufała innemu.

Pani Nordston odszukała Korsuńskiego, który miał być jej tancerzem w mazurze, i kazała mu zaprosić Kitty.

Kitty tańczyła w pierwszej parze i na swoje szczęście nie potrzebowała rozmawiać, Korsuński bowiem jako wodzirej przez cały czas biegał organizując swoje gospodarstwo. Wroński i Anna siedzieli prawie naprzeciw niej. Widziała ich dobrze swymi oczyma dalekowidza. Widziała ich także z bliska, gdy łączyli się z innymi parami, a im dłużej na nich patrzyła, tym mocniej była przekonana, że spotkała ją klęska. Widziała, że czują się sami w tej pełnej sali. I na twarzy Wrońskiego, zazwyczaj tak stanowczej i pewnej siebie, wciąż widziała ten uderzający wyraz bezradności i pokory;

wyglądał jak mądry pies, kiedy coś zbroi.

Anna uśmiechała się i uśmiech udzielał się także i jemu. Wpadała w zamyślenie — i Wroński poważniał. Jakaś moc nadprzyrodzona przykuwała wzrok Kitty do twarzy Anny. Była zachwycająca w swej skromnej czarnej sukni, zachwycające były jej niezbyt szczupłe, kształtne ręce w bransoletach, zachwycająca — mocna szyja okolona sznurem pereł, zachwycające — faliste, nieco rozrzucone włosy, zachwycające — wdzięczne, lekkie ruchy drobnych stóp i rąk, zachwycająca — ta piękna, dysząca życiem twarz... Ale w tej piękności było coś przerażającego, coś okrutnego.

Kitty zachwycała się pięknnością Anny bardziej niż poprzednio — i cierpiała coraz boleśniej. Czowała się zupełnie zmiażdżona i można to było po niej poznać. Gdy Wroński spotkawszy ją w mazurze spojrział na nią, nie od razu ją poznał, tak była zmieniona.

— Jaki piękny bal! — odezwał się do niej, byle coś powiedzieć.

— Tak... — odpowiedziała.

W środku mazura, wykonując zawiałą figurę świeżo ułożoną przez Korsuńskiego, Anna stanęła w kole, wybrała dwóch panów, po czym skinęła na jedną z pań i na Kitty. Kitty podeszła patrząc na Annę z lękiem: ta przyjrzała się jej zmrużonymi oczyma, po czym ścisnąwszy jej rękę uśmiechnęła się. Gdy zauważyła, że Kitty odpowiada na jej uśmiech jedynie spojrzeniem pełnym rozpaczy i zdumienia, odwróciła się od niej i zaczęła wesoło rozmawiać z inną damą.

„Tak, jest w niej coś obcego, szatańskiego, ale zachwycającego” — pomyślała Kitty.

Anna nie chciała zostać na kolacji, mimo próśb pana domu.

— Niech pani zostanie — począł nalegać Korsuński i wziął ją pod rękę tak, że rękaw jego fraka zakrył jej nagie ramię. — Jaki ja mam pomysł do kotyliona! *Un bijou*!

I powoli sunął naprzód, usiłując pociągnąć ją za sobą. Pan domu uśmiechał się z aprobatą.

— Nie, nie zostanę — odpowiedziała Anna z uśmiechem. Pomimo uśmiechu zarówno Korsuński, jak i pan domu zrozumieli ze stanowczego tonu odpowiedzi, że pani Karenin nie zostanie dłużej.

— Nie, i tak już w Moskwie na tym jednym waszym balu tańczyłam więcej niż w Petersburgu w ciągu całej zimy — dodała i obejrzała się na Wrońskiego, który stał obok niej. — Muszę odpocząć przed podróżą.

— Więc pani stanowczo jutro wyjeżdża? — zapytał Wroński.

— Myślę, że tak — odpowiedziała, jakby zdziwiona obcesowością tego pytania; nie mogła wszakże zapanować nad przelotnym uśmiechem, a niepohamowany blask jej oczu sparzył go jak płomień.

Pani Karenin nie została na kolacji i pojechała do domu.

XXIV

Tak, jest we mnie coś wstrętnego, coś, co odpycha — myślał Lewin idąc pieszo do brata po wyjściu od Szczerbackich. — Bo też wcale się do obcowania z innymi nie nadaję. Pycha — powiadają... Nie, nawet pychy we mnie nie ma. Gdybym miał choć pychę, nie byłbym się znalazł w takiej sytuacji.” I Lewin wyobrażał sobie, że Wroński — ów szczęśliwy, dobry, mądry i spokojny młody człowiek — na pewno nigdy w życiu nie był w tak straszliwej sytuacji jak

* *Un bijou* — klejnot, cack

on, Lewin, tego wieczoru. „Tak, jego musiała wybrać, tak być powinno i na nikogo i na nic skarżyć się nie mogę. Sam jestem wszystkiemu winien. Jakim prawem przypuszczałem, że ona zechce połączyć swój los z moim? Któż ja jestem? Czym jestem? Ot, marny człowiek, nikomu i na nic niepotrzebny.” Przypomniawszy sobie swego brata Mikołaja i z radością zatrzymał się na tej myśli. „Czyż nie ma on słuszności, że wszystko na tym świecie jest złe i wstrętne? Wątpię, czyśmy wszyscy sprawiedliwie sądzili i dziś jeszcze sądzimy Mikołaja. Naturalnie, ze stanowiska Prokofija, który go widział w obdartym futrze i pijanego, jest to człowiek godny pogardy; ale ja go znam z innej strony. Znam jego duszę i wiem, że my obaj jesteśmy do siebie podobni. A tymczasem ja, zamiast pojechać na poszukiwanie go, wybrałem się na obiad, a później — tam...” Lewin przystanął i w świetle latarni odczytał adres brata, który miał w pugilaresie, po czym zawołał dorożkę. Jadąc do Mikołaja, przez całą drogę odtwarzał sobie żywo w pamięci wszystkie znane mu wydarzenia z jego życia! Przypomniawszy sobie, jak na uniwersytecie i przez cały rok następny brat, pomimo szyderstw kolegów, żył jak mnich ściśle przestrzegając obrzędów religijnych, nabożeństw, postów i unikając wszelkich uciech, a przede wszystkim kobiet. I potem nagle — jak gdyby wybuchł w nim jakiś paroksyzm — począł się zadawać z najohydniejszymi ludźmi i pogrążył się w najbardziej wyuzdanej rozpuście. Lewin przypomniał sobie historię z chłopcem, którego Mikołaj wziął ze wsi na wychowanie i którego w przystępie złości tak zbił, że wytoczono mu sprawę sądową o okaleczenie. Przypomniawszy sobie dalej historię z szulerem, do którego Mikołaj przegrał pewną sumę i wystawił mu weksel, a potem zaskarżył go do sądu, dowodząc, że padł ofiarą oszustwa (to były właśnie

pieniądze zapłacone następnie przez Sergiusza Koznyszewa), i przypomniał sobie, jak brat spędził kiedyś noc w cyrkule za burdę pijacką. Przypomniał sobie jeszcze skandaliczny proces wszczęty z Sergiuszem o rzekome niewypłacenie należnej części spadku po matce, a wreszcie ostatnią sprawkę, kiedy to Mikołaj przyjął jakąś posadę rządową w zachodnich guberniach i tam dostał się pod sąd za pobicie wójta... Wszystko to było wprawdzie niesłychanie obrzydliwe, Lewinowi wszakże nie wydawało się wcale aż tak ohydne, jak się wydawać mogło tym, co nie znali całej historii Mikołaja i nie znali jego serca.

Lewin pamiętał, jak wówczas, gdy Mikołaj przeżywał okres pobożności, postów, mnichów, cerkiewnych nabożeństw, gdy w religii szukał oparcia i hamulca dla swej żywiołowej natury, nie tylko nikt go nie podtrzymał, ale wszyscy, nawet on sam, Konstanty, natrzęsali się z niego. Dokuczano mu, przezywano Noem, mnichem; gdy zaś puścił sobie wodze, nikt się nim nie zajął, wszyscy się od niego odsunęli ze zgrozą i wstrętem.

Lewin czuł, że Mikołaj w najgłębszych pokładach duszy, pomimo całej ohydy swego życia, nie bardziej błędził niż ci, którzy nim pogardzali. Nie z własnej winy urodził się z nieposkromionym charakterem i jakby nieco zacieśnionym umysłem, mimo to zawsze chciał być dobry. „Powie mu wszystko, co myślę, zmuszę, by i on mi wszystko powiedział, i dowiodę mu, że kocham go i rozumiem” — postanowił Lewin zajeżdżając o jedenastej w nocy przed wymieniony w adresie hotel.

— Na piętrze, dwunasty i trzynasty pokój — odrzekł portier na pytanie Lewina.

— Czy jest w domu?

— Zapewne tak:

Drzwi dwunastego numeru były do połowy uchylone, szedł stamtąd wraz ze smugą światła gęsty dym słabego i lichego tytoniu i rozbrzmiewał nie znany Lewinowi głos. Natychmiast jednak poznał, że brat tam jest: usłyszał jego pokasływanie.

Gdy Lewin stanął w progu, nieznamy głos mówił:

— Wszystko zależy od tego, czy się tę sprawę poprowadzi rozumnie i czy się ją dobrze obmyśli.

Konstanty Lewin zajrzał i zobaczył młodego człowieka w kazakinie*, z ogromną szopą włosów na głowie. Młoda, z lekka ospowata kobieta, w wełnianej sukni bez mankietów i kołnierzyka, siedziała na kanapie. Brata nie było widać. Konstantemu serce ścisnęło się z żalu na myśl, że jego brat przebywa w środowisku tak bardzo obcym. Nikt nie usłyszał jego wejścia. Zdejmując kalosze przysłuchiwał się młodemu człowiekowi w kazakinie, który mówił o jakimś przedsiębiorstwie.

— Niech je raz diabli wezmą, te uprzywilejowane klasy — odezwał się Mikołaj pokasłując. — Masza, pomyśl o kolacji i daj nam wina, jeśli jeszcze jest, a jeśli nie ma, to poślij kogo.

Kobieta wstała, wyszła spoza przepierzenia i zobaczyła Konstantego.

— Jakiś pan, Mikołaju Dmitryczu — powiedziała.

— A do kogo to? — rozległ się zirytowany głos Mikołaja Lewina.

— To ja — odpowiedział Konstanty Lewin ukazując się w pełnym świetle.

— Co za ja? — jeszcze gniewniej powtórzył głos. Słysząc było, jak Mikołaj szybko się zerwał, o coś zawadził,.. I Lewin ujrzał przed sobą na progu ogromną, chudą, przygarbioną postać brata i jego wielkie, jakby wystraszone oczy, postać

* K a z a k i n a — krótki surdut haftowany

tak mu znajomą, a jednak zawsze niespodziewaną, schorowaną i dziwną.

Był jeszcze bardziej wychudły niż trzy lata temu, gdy ... Konstanty widział go po raz ostatni. Miał na sobie krótki surdut. I ręce, i szerokie kości wydawały się jeszcze bardziej olbrzymie niż dawniej; włosy przerzedziły się i takie same jak ongi proste wąsy nawisały mu na wargi. Te same dziwne oczy naiwnie patrzyły na wchodzącego.

— Aa... Kostia! — zawołał poznając brata i w oczach jego zabłysła radość. W tejże jednak chwili obejrzał się na młodego człowieka i zrobił tak dobrze znany Konstantemu kurczowy ruch głową i szyją, jak gdyby krawat go uwierał, i na jego wychudłej twarzy ukazał się zupełnie inny wyraz: dziki, bolesny i okrutny.

— Pisałem przecie do ciebie i do Sergiusza, że was nie znam i znać nie chcę. Czego chcesz? Czego chcecie?

Był całkiem nie taki, jakim go sobie wyobrażał Konstanty, który myśląc o nim nie pamiętał najtrudniejszych i najprzykrzejszych cech jego charakteru, tak bardzo utrudniających wszelkie z nim obcowanie. Uprzytomnił sobie to wszystko teraz, gdy zobaczył jego twarz, a zwłaszcza owo kurczowe kręcenie głową.

— Nic — odrzekł nieśmiało. — Przyjechałem po prostu, żeby cię zobaczyć.

Nieśmiałość brata ułagodziła widocznie Mikołaja. Usta mu drgnęły.

— Więc to tak?... — powiedział. — No, to wejdz i siadaj. Będiesz jadł kolację? Masza, przynieś trzy porcje. Nie, poczekaj... Czy wiesz, kto to jest? — zapytał brata wskazując młodzieńca w kazakinie. — To pan Kricki, mój przyjaciel jeszcze z Kijowa, bardzo niepospolity człowiek. Oczywiście, policja prześladowuje go, ponieważ nie jest

łajdakiem.

I wedle swego zwyczaju, obrzucił wzrokiem wszystkich obecnych w pokoju. Widząc, że kobieta stojąca we drzwiach zbiera się do wyjścia, krzyknął: „Zaczekaj, mówiłem ci przecież”, i nieumiejętnie, z dobrze Konstantemu znanym przeskakiwaniem z tematu na temat, począł oglądając się na wszystkich opowiadać mu historię Krickiego: jak go wypędzono z uniwersytetu za założenie stowarzyszenia pomocy ubogim studentom oraz szkół niedzielnych, jak później został nauczycielem w szkole ludowej i jak go stamtąd wydalono; jak go potem sądzono za coś;..

— Pan był na uniwersytecie kijowskim? — zapytał Konstanty Lewin Krickiego, aby przerwać kłopotliwe milczenie, które na chwilę zapadło.

— Tak, na kijowskim — odburknął zasepiony Kricki.

— A ta kobieta — przerwał mu Mikołaj Lewin wskazując na nią — to towarzyszka mego życia, Maria Nikołajewna. Wziąłem ją z domu publicznego. — I mówiąc to znowu zrobił gwałtowny ruch szyją. — Lecz kocham ją i szanuję, i wszystkich, którzy chcą mnie znać — dodał podnosząc głos i marszcząc brwi — bardzo proszę, żeby ją lubili i szanowali. Jest dla mnie jak żona, zupełnie jak żona... Teraz już wiesz, z kim masz do czynienia. A jeśli ci się zdaje, że tobie to przynosi ujmę, to fora ze dwora.

I znów wzrok jego pytająco obiegł dokoła. .

— Nawet nie rozumiem, dlaczego by mi to miało przynosić ujmę... .

— W takim razie, Masza, każ podać trzy porcje, wódki i wina... Nie, zaczekaj... Nie, nie trzeba... Idź.

XXV

Widzisz więc — ciągnął dalej targany nerwowym skurczem Mikołaj marszcząc z wysiłkiem czoło. Widać było, że nie może się zdecydować, co powiedzieć ani co zrobić. — Popatrz... — wskazał w kącie jakieś małe żelazne sztabki związane sznurkami. — Widzisz to? To zaczątek nowego dzieła, do którego przystępujemy. A to dzieło — to stowarzyszenie wytwórcze...

Konstanty prawie nie słuchał. Wpatrywał się w schorowaną, suchotniczą twarz brata i czuł coraz większą litość. Nie mógł się przymusić do słuchania tego, co mu brat opowiadał o stowarzyszeniu, bo widział, że jest to dla Mikołaja tylko kotwica zbawienia, stanowiąca ratunek przed pogardą dla samego siebie. A Mikołaj mówił dalej:

— Wiesz, że kapitał ciemieży robotnika. Robotnicy, u nas — chłopci, dźwigają cały ciężar pracy, a znajdują się w takich warunkach, że gdyby nie wiem jak harowali, nigdy nie będą mogli wydobyć się ze swego bydlęcego położenia. Wszystkie zyski z pracy zarobkowej, za które mogliby polepszyć swą dolę, pozwolili sobie na odpoczynek, a co za tym idzie na kształcenie się, wszystkie nadwyżki zabierają kapitaliści, Obecny ustrój społeczny tak się ułożył, że im ciężiej oni będą pracowali, tym bardziej będą się bogacili kupcy i właściciele ziemscy, oni zaś pozostaną zawsze bydlęciem roboczym. Trzeba zmienić ten porządek rzeczy — zakończył i pytająco spojrział na brata.

— Tak, naturalnie — odpowiedział Lewin przypatrując się rumieńcom, które wystąpiły na twarzy Mikołaja poniżej wystających kości policzkowych.

— Zakładamy więc spółdzielnię ślusarską, gdzie i wytwórczość, i zyski, a co najważniejsze, narzędzia pracy — wszystko będzie wspólną własnością — A gdzie ją zakładacie? — zapytał Konstanty. — We wsi Wozdriemie, w

guberni kazańskiej.

— Ale dlaczego na wsi? Po wsiach, zdaje się, i tak jest dużo pracy. Na co wiosce spółdzielnia ślusarska?

— A na to, że chłopci są obecnie takimi samymi niewolnikami, jakimi byli dawniej, i dlatego to właśnie tobie i Sergiuszowi Iwanyczowi jest niemiło, że ktoś chce ich z tego niewolnictwa wyzwolić — odparł Mikołaj Lewin, podrażniony sprzeciwem.

Konstanty westchnął oglądając tym czasem pokój, ciemny i brudny. Westchnienie to zdało się jeszcze bardziej rozjątrzać Mikołaja.

— Znam ja te wasze, twoje i Sergiusza, arystokratyczne poglądy. Wiem, że on całą siłę swego rozumu oddaje na usprawiedliwienie istniejącego zła.

— Ależ nie, a zresztą, co tu ma do rzeczy Sergiusz? — z uśmiechem wtrącił Konstanty.

— Sergiusz? A właśnie że ma! — wykrzyknął nagle Mikołaj Lewin na wspomnienie Sergiusza. — Właśnie on!... Zresztą, co tu gadać... Jedno tylko... Po coś ty do mnie przyszedł? Gardzisz tym — pięknie, idźże więc sobie z Bogiem, idź! — krzyczał Mikołaj zrywając się z krzesła. — Idź, idź!

— Ależ ja bynajmniej nie gardzę — nieśmiało perswadował Konstanty. — Przecież ci nawet nie przeczę.

W tej chwili powróciła Maria Nikołajewna; Mikołaj obejrzał się na nią gniewnie. Podeszła spieszenie do niego i coś mu zaczęła szeptać.

— Jestem niezdrów, łatwo się iryтую — rzekł Mikołaj uspokajając się i ciężko dysząc. — Po co zresztą mówisz mi o Sergiuszu i o jego artykule. To takie brednie, takie łgarstwa, takie zakłamanie. Co może napisać o sprawiedliwości człowiek, który nie ma o niej pojęcia? Czytał pan ten artykuł?

— zwrócił się do Krickiego, znów siadając za stołem i chcąc zrobić miejsce odsunął na bok do połowy nabite papierosy.

— Nie czytałem — ponuro odburknął Kricki nie mając widocznie ochoty brać udziału w rozmowie.

— Dlaczego? — zapytał rozdrażniony z kolei na Krickiego Mikołaj Lewin..

— Dlatego że nie uważam za potrzebne tracić czas na takie, rzeczy.

— Przepraszam, skąd pan wie, że to będzie strata czasu? Dla wielu artykuł ten jest niedostępny, bo nie dorośli do niego. Ale ja — to co innego: przejrzałem jego myśli na wylot i wiem, dlaczego ten artykuł jest słaby.

Wszyscy zamilkli. Kricki powoli wstał i wziął czapkę.

— Nie chce pan zostać na kolacji?... Więc żegnam! Niech pan jutro przyjdzie ze ślusarzem.

Ledwo Kricki wyszedł, Mikołaj uśmiechnął się i mrugnął znacząco.

— Też do niczego — rzekł. — Już ja to widzę... W tej chwili Kricki stanął znowu we drzwiach i poprosił go na korytarz.

— Cóż tam znowu? — zapytał Mikołaj i wyszedł za nim. Zostawszy, sam na sam z Marią, Lewin zwrócił się do niej:

— Pani od dawna już jest z moim bratem?

Już drugi rok. Zdrowie jego bardzo się pogorszyło: dużo pije — odpowiedziała.

— Pije? Jak to — pije?

— Wódkę pije, a to mu szkodzi,

— Czy dużo? — spytał Lewin szeptem.

— Tak — odpowiedziała oglądając się lękliwie na drzwi, w których właśnie stanął Mikołaj.

— O czym rozmawialiście? — zagadnął Mikołaj marszcząc brwi i patrząc wystraszonymi oczyma to na niego,

to na nią. — O czym?

— Tak, o niczym... — pośpieszył z odpowiedzią zmieszany Konstanty.

— Jeśli nie chcecie powiedzieć, to nie mówcie. A tobie w ogóle z nią rozmawiać nie warto; to dziewczka, a tyś

jaśnie pan — mówił z ponownym skurczem szyi. — Jak widzę, wszystko zrozumiałeś i należycie oceniłeś, a teraz z ubolewaniem spoglądasz na moje przewinienia — tu podniósł głos.

— Mikołaju Dmitryczu! Mikołaju Dmitryczu! — szepnęła znowu kobieta podchodząc do niego.

— No, już dobrze, dobrze!... I cóż z tą kolacją?... Otóż i ona — dodał na widok lokaja, który wszedł z tacą. — Tu, tutaj postaw — zawołał gniewnie i natychmiast sięgnął po wódkę, napełnił kieliszek i chciwie wypił. — Chcesz? Napij się! — zwrócił się do brata, od razu rozweselony. — No, dość już o tym Sergiuszu. Mimo wszystko cieszę się, że cię widzę. Co tu gadać, bądź co bądź nie jesteśmy sobie obcy. No, wypijże! Opowiedz, co porabiasz? — ciągnął dalej, żując łąpczywie kawałek chleba i nalewając sobie drugi kieliszek. — Jak ci się powodzi?

— Mieszkam sam jeden na wsi, tak jak dawniej: gospodaruję — odparł Konstanty, z przerażeniem przyglądając się żarłoczności, z jaką Mikołaj jadł i pił, i starając się nie okazać, że go obserwuje.

— Czemu się nie żenisz?

— Jakoś się nie złożyło — zaczerwienił się Konstanty.

— Dlaczego?! Ze mną koniec! Zmarnowałem życie. Powiedziałem to już i raz jeszcze powtarzam, że gdybym był dostał moją część wtedy, gdy mi była potrzebna, całe moje życie inaczej by wyglądało.

Konstanty pośpiesznie zmienił temat rozmowy.

— Czy wiesz, że twój Waniuszka jest oficjalistą u mnie w Pokrowskiem? — zapytał.

Szyja Mikołaja znów spazmatycznie drgnęła. Zamyślił się. — Opowiedz mi, co tam słyhać w Pokrowskiem. Czy dom zawsze stoi na dawnym miejscu i brzozy, i nasz pokój do nauki? A ogrodnik Filip czy jeszcze dotąd żyje? Tak dobrze przypominam sobie altankę i kanapę!... Pamiętaj, tylko nic nie zmieniaj w domu, żeń się czym prędzej i znów wprowadź to wszystko, co dawniej było. Wtedy do ciebie przyjadę, o ile będziesz miał dobrą żonę.

— Jedź do mnie najlepiej zaraz — zapraszał Konstanty. — Dopiero byśmy tam sobie życie dobrze urządzili!

— Przyjechałbym, gdybym był pewien, że nie będzie tam Sergiusza.

— Nie będzie go na pewno. Mieszkamy zupełnie osobno.

— Dobrze, ale tak czy owak musisz wybrać pomiędzy mną a nim — powiedział Mikołaj, zaglądając bratu nieśmiało w oczy.

Nieśmiałość ta wzruszyła Konstantego.

— Skoro chcesz, żebym szczerze wyznał, co o tym sędę, to powiem ci, że w tej waszej kłótni z Sergiuszem nie stoję ani po jego, ani po twojej stronie. Żaden z was nie ma racji. Ty raczej zewnątrznie, on zaś — , wewnątrznie.

— A więc zrozumiałeś to, zrozumiałeś?! — zawołał z radością Mikołaj.

— Jednak osobiście, jeśli chcesz wiedzieć, bardziej cenię przyjaźń z tobą, dlatego...

— Dlaczego? Dlaczego?

Konstanty nie mógł powiedzieć bratu, że dlatego ją bardziej ceni, ponieważ Mikołaj jest nieszczęśliwy i potrzeba mu przyjaźni. Mikołaj jednak zrozumiał to i ze ściągniętymi brwiami zabrał się znów do wódki.

— Dostyc już, dostyc, Mikołaju Dmitryczu! — odezwała się Maria Nikołajewna wyciągając pulchną, obnażoną rękę po karafkę.

— Puść! Odczep się, bo cię zbiję! — wykrzyknął Mikołaj.

Maria Nikołajewna uśmiechnęła się łagodnym, dobrotliwym uśmiechem, który udzielił się również Mikołajowi, i zabrała wódkę.

— Ty może myślisz, że ona nic nie rozumie? — rzekł Mikołaj. — Rozumie to wszystko lepiej niż my — wszyscy. Prawda, że jest w niej coś dobrego i miłego?

— Pani nigdy dotąd nie była w Moskwie? — zapytał Konstanty nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Nie mówże do niej p a n i . Ona się tego boi. Nikt nigdy nie mówił do niej p a n i oprócz sędziego pokoju, gdy miała sprawę o to, że chciała opuścić dom publiczny. Mój Boże, jaki bezsens panuje na świecie! — zawołał nagle Mikołaj. — Te wszystkie nowe instytucje, te sądy pokoju, to ziemstwo — co za potworność!

I zaczął opowiadać o swych zatargach z nowymi instytucjami.

Konstanty Lewin słuchał, ale mimo że sam podzielał to zdanie i nieraz je wypowiadał, razila go teraz, że brat odmawia racji bytu wszystkim instytucjom społecznym.

— Zrozumiemy to wszystko na tamtym świecie — rzekł żartobliwie.

— Na tamtym świecie? Ach, jak ja nie lubię tamtego świata! Nie lubię — mówił Mikołaj wpatrując się przestraszonymi, dzikimi oczyma w twarz brata. — Zdaje się człowiekowi, że dobrze byłoby uciec od całego tego paskudztwa, tej gmatwaniny swojej i cudzej, a jednak ja się boję śmierci, boję się jej straszliwie — wzdrygnął się. — Ale wypijże coś! Może chcesz szampana? Albo lepiej jedźmy

gdziekolwiek? Jedźmy do Cyganów! Wiesz, bardzo polubiłem Cyganów i rosyjskie pieśni!

Język zaczął mu się płatać. Wciąż przeskakiwał z tematu na temat. Konstanty i Masza ledwo zdołali go namówić, by nigdzie nie jechał. Położyli go w końcu całkiem pijanego do łóżka.

Masza przyrzekła Lewinowi, że napisze w razie potrzeby i że będzie namawiała Mikołaja, by przeniósł się na stałe do niego na wieś.

XXVI

Nazajutrz rano Konstanty Lewin wyjechał z Moskwy i pod wieczór był już w domu. Po drodze, w wagonie, rozmawiał z sąsiadami o polityce, o nowych kolejach żelaznych i tak samo jak w Moskwie, przez cały czas gnębiła go gmatwanina myśli, niezadowolenie z siebie i nieokreślony wstyd... Ale kiedy wysiadł na swojej stacji i zobaczył stangreta, ślepego na jedno oko Ignata, z podniesionym u burki kołnierzem, gdy ujrzał w przyćmionym świetle, padającym z okien stacji, swoje wysłane dywanem sanie i konie o podwiązanych ogonach, w uprzęży z kółeczkami i frędzlą, gdy stangret Ignat wkładając rzeczy do sanek opowiedział mu wszystkie wiejskie nowiny: że przychodził przedsiębiorca, i że Pawa się ocielila — Konstanty poczuł, jak powoli cały zamęt zaczyna się w nim układać, a wstyd i niezadowolenie z siebie mijają. Poczul to już na sam widok Ignata i koni; lecz gdy włożył przywieziony z domu kożuch, gdy dobrze nim opatulony wsiadł do sanek i ruszyli, to wówczas namyślając się nad dyspozycjami, jakie wypadnie wydać w domu, i coraz to spoglądając na przyprzężonego konia (był to doniec, dawny wierzchowiec, zerwany, ale jeszcze pełen ognia), zgoła

inaczej począł się zapatrywać na to, co go spotkało. Czuł się sobą i innym być nie chciał. Pragnął teraz tylko stać się lepszym niż dotychczas. Po pierwsze, postanowił odtąd nie liczyć już więcej na jakieś nadzwyczajne szczęście, które mógłby mu dać ożenek, i — co za tym idzie — nie lekceważyć tak teraźniejszości. Po drugie, nigdy już nie pozwoli się porwać niskim popędom, których wspomnienie tak go dręczyło, gdy miał się oświadczyć. Potem pomyślał o Mikołaju i postanowił, że nigdy już o nim nie zapomni, że będzie zawsze czuwał nad nim, by móc pośpieszyć mu z pomocą, gdy z nim będzie źle. Czuł zaś, że to stać się może już niedługo. Wreszcie słowa brata o komunizmie, które Lewin wówczas tak lekko potraktował, teraz skłoniły go do namysłu. Przebudowę warunków ekonomicznych uważał za nedorzeczną, zawsze jednak, ilekroć porównywał własny dostatek z nędzą ludu, miał świadomość, że jest to niesprawiedliwe. Postanowił sobie teraz, że dla zdobycia całkowitego spokoju sumienia będzie jeszcze więcej pracował niż dotychczas, a żył jeszcze mniej zbytkownie, chociaż zawsze pracował ciężko i nie pozwalał sobie na żadne zbytki. Wszystko to wydawało się Konstantemu tak łatwe do osiągnięcia, że cała droga zesła mu na najprzyjemniejszych marzeniach. Pełen otuchy i nadziei na nowe, lepsze życie, o dziewiątej wieczór zajechał przed dom.

Z okien pokoju Agafii Michajłowny, starej niani piastującej obecnie godność klucznicy, padało światło na zaśnieżony placyk przed domem. Agafia jeszcze nie spała. Obudzony przez nią Kuźma, zaspany i bosy, wybiegł na ganek. Wyźlica Łaska o mało nie przewróciwszy Kuźmy wypadła także; skowycząc ocierała się o kolana Lewina i stawała na tylne łapy; chciała położyć przednie na piersi pana, lecz nie miała odwagi.

— Coś prędko, synku, wróciłeś — witała go Agafia.

— Znudziło mi się, nianiu! W gościnie dobrze, ale najlepiej w domu — odpowiedział Konstanty i przeszedł do gabinetu.

Wniesiona świeca z wolna oświetliła pokój. Wystąpiły z mroku znajome szczegóły: jelenie rogi, półki z książkami, błyszcząca powierzchnia pieca z juszka*, którą od dawna należało naprawić, ojcowska jeszcze kanapa, wielki stół, na nim otwarta książka, nadłuczona popielniczka, zeszyt zapisany jego własnym pismem. Gdy Lewin ujrzał to wszystko, na chwilę opadło go zżwątlenie, czy zdoła rozpocząć to nowe życie, o którym marzył przez drogę. Wszystkie te ślady jego dotychczasowego bytowania jak gdyby osaczały go i mówiły: „Nie, nie uciekniesz od nas i nigdy nie będziesz inny; na zawsze pozostaniesz taki, jaki byłeś dotąd, z tymi wątpliwościami, z wiecznym niezadowoleniem z siebie, z daremnymi próbami poprawy i upadkami oraz wiecznym oczekiwaniem szczęścia, którego nie osiągnąłeś i które jest dla ciebie niemożliwe.”

Tak przemawiały wszakże tylko należące do niego przedmioty, inny zaś, wewnętrzny, głos, twierdził, że nie należy poddawać się przeszłości i że człowiek wszystko może ze sobą zrobić. Posłuszny temu głosowi, poszedł do kąta, gdzie leżały dwa pudowe odważniki, i aby się rozruszać, zaczął się gimnastykować. Za drzwiami zaskrzypiały czyjeś kroki; Lewin szybko postawił odważniki na miejsce.

Wszedł rządcą i oznajmił, że — Bogu dzięki — wszystko w porządku, ale dodał, że gryka przypaliła się w nowej suszarni. Wiadomość ta zirytowała Lewina. Sam postawił nową suszarnię, częściowo według własnego pomysłu.

* J u s z k a — zasuwa zamykająca wylot pieca

Rządca był temu zawsze przeciwny, i teraz ze skrytym triumfem oznajmił, że gryka się przypaliła. Lewin natomiast był głęboko przekonany, że jeśli się przypaliła, to tylko dlatego, ponieważ nie zastosowano środków ostrożności, które on setki razy kazał stosować. Rozgniewał się i począł robić rządęcy wymówki. Zaszło za to inne, radosne wydarzenie: ocielila się Pawa, kupiona drogo — na wystawie, najlepsza w majątku krowa.

— Kuźma, podaj no mi kozuch. A pan niech każe wziąć latarnię, pójdę zobaczyć — rzekł Lewin do rządęcy.

Obara przeznaczona dla najkosztowniejszych krów była tuż obok dworu. Przeszedłszy przez podwórze Lewin ominął zasy śnieżne koło — krzaków bzu i znalazł się przed oborą. Skoro tylko otworzyły się przymarzniete wrota, wionęło stamtąd ciepłym oparem nawozu; krowy, zdziwione niespodziewanym światłem latarni, poruszyły się na, świeżej słomie. Mignął gładki, czarno-biały, szeroki grzbiet holenderki. Byk Berkut ze swym kółkiem w nozdrzach zamierzał się podnieść, ale rozmyślił się i tylko dwukrotnie sapnął, gdy koło niego przechodzili. Pawa, czerwona piękność ogromna jak hipopotam, odwrócona zadem, obwąchiwała cielaka zasłaniając go przed wchodzącymi.

Lewin wszedł do przegrody, obejrzał Pawę i podniósł czerwono-laciate ciele pomagając mu stanąć na długich, chwiejnych nogach. Zaniepokojona Pawa ryknęła, lecz uspokoiła się, skoro tylko Lewin przysunął do niej ciołkę, i ciężko westchnawszy znów zaczęła ją lizać szorstkim jęzorem. Ciołka szukając wymienia szturchała matkę pyskiem w pachwinę i kręciła ogonkiem.

— Fiodor, poświeć no tutaj, dawaj latarnię — wołał Lewin oglądając ciołkę. — Wdała się w matkę, mimo że maść wzięła po ojcu. Bardzo ładna. Długa i rozłożysta. Prawda, że

ładna, Wasiliju Fiodorowiczu? — zwrócił się do rządcy wybacząc mu całkiem grykę, tak był ucieszony z cielęcia.

— Po kimże miałyby być brzydka? Siemion, przedsiębiorca, przychodził tu nazajutrz po wyjeździe pana dziedzica: trzeba się będzie z nim ułożyć — powiedział rządcą. — O maszynie już poprzednio mówiłem.

Już ta jedna sprawa przypomniła Lewinowi o wszystkich szczegółach dużego i skomplikowanego gospodarstwa; z obory skierował się więc prosto do kancelarii, a po rozmowie z rządcą i przedsiębiorcą Siemionem wrócił do dworu i poszedł od razu na górę do bawialni.

XXVII

Dwór był duży, staroświecki, i Lewin, chociaż mieszkał sam, opalał go i zamieszkiwał w całości. Wiedział, że tak robiąc postępuje nie tylko niemądrze, ale i źle, że to sprzeciwia się jego obecnym postanowieniom, lecz dom ten był dla niego całym światem, tym światem, w którym żyli i umarli jego rodzice. Ci zaś żyli życiem, które wydawało mu się ideałem wszelkiej doskonałości i które w marzeniach pragnął rozpocząć na nowo z własną żoną, własną rodziną.

Lewin ledwie pamiętał matkę. Obraz jej był dla niego świętym wspomnieniem i jego przyszła żona winna była, w jego pojęciu, być wiernym powtórzeniem tego uroczego, świętego ideału kobiety, jakim była dla niego matka.

Nie tylko nie mógł sobie wystawić miłości do kobiety poza małżeństwem, ale wyobrażał sobie przede wszystkim rodzinę, a dopiero później kobietę, która mu tę rodzinę miała stworzyć. Stąd poglądy jego na małżeństwo w niczym nie przypominały poglądów większości jego znajomych, dla których małżeństwo było tylko jedną z wielu powszednich

spraw. Dla Lewina było ono sprawą główną, od której zależało całe szczęście jego życia. I oto teraz musiał się go wyrzec!...

Gdy wszedł do saloniku, gdzie zawsze pijał herbatę, i usiadł z książką w fotelu, gdy Agafia przyniosła mu herbatę i ze zwykłym: „A ja sobie siadę, serce”, usiadła na krześle pod oknem, Lewin stwierdził, że — jakkolwiek się to mogło wydawać dziwne — nie wyrzekł się swych marzeń i bez nich żyć nie może. Z nią czy też inną — ale to się stać musi. Czytał książkę, zastanawiał się nad jej treścią, od czasu do czasu przerywał czytanie, by posłuchać, co mówi Agafia, która gawędziła bez przerwy, a jednocześnie wyobrażnia podsuwała mu różne niepowiązane ze sobą obrazy, których treścią było gospodarstwo i przyszłe rodzinne życie. Czuł przy tym, jak mu się głęboko w duszy coś ustala i harmonijnie układa.

Lewin słuchał, co opowiadała Agafia o Prochorze, który Boga się nie boi: za pieniądze, podarowane mu przez Lewina na kupno konia, bez przerwy pije, a żonę zbił prawie na śmierć... Słuchał, czytał i przypominał sobie całkowity przebieg myśli powstałych pod wpływem tej książki. Była to dysertacja Tyndalla* o ciepłe. Przypomniał się Lewinowi, jak nieraz krytykował chełpienie się Tyndalla ze zřęczności, z którą ten wykonywał swoje doświadczenia, i jak zarzucał mu brak filozoficznego poglądu na świat. I nagle z tych medytacji wynurzały się radosne myśli: „Za dwa lata będę miał w stadzie dwie holenderki (sama Pawa zapewne będzie jeszcze żyła), dwanaście młodych jałówek po Berkucie, a na pokaz można będzie dodać także i tamte trzy... Cudownie!” Zabrał się znów do książki. „Dobrze więc, elektryczność i ciepło to jedno i to samo, ale czy można w równaniu, chcąc

* Tyndall (1820–1893) — fizyk angielski, zajmował się zagadnieniami cieplnymi

rozwiązać zadanie, podstawić jedną wielkość zamiast drugiej? Nie można. I cóż z tego? Łączność między wszystkimi siłami przyrody tak czy owak wyczuwamy instynktem... Jakie to będzie niesłychanie przyjemne, kiedy córka Pawy stanie się już czerwono — łaciatą krową i całe stado, do którego doda się jeszcze tamte trzy... Znakomicie! Wyjdzie się wtedy z żoną i gośćmi naprzeciw powracającego stada... Żona powie: — Kostia i ja pielęnowaliśmy tę cieliczkę jak dziecko. — Że też panią to tak interesuje — zdziwi się gość. — Wszystko, co jego zajmuje, zajmuje i mnie! — Ale kim będzie ta ona?" I Lewin przypomniał sobie wszystko, co go w Moskwie spotkało. „Cóż robić?!... To nie moja wina. Ale teraz wszystko pójdzie innym trybem. To głupstwo, że życie na to nie pozwoli lub że przeszłość stanie na przeszkodzie. Trzeba się z całych sił postarać, by żyć lepiej, daleko lepiej..." Podniósł głowę i zamyślił się. Stara Łaska, która nie całkiem się jeszcze oswoiła z powrotem pana i wybiegła, aby posz czekać na dworze z radości, wróciła teraz do pokoju merdając ogonem i wnosząc ze sobą zapach powietrza. Zbliżyła się do Lewina, wsunęła łeb pod jego rękę i żalonym skomleniem domagała się, aby ją pogłaskał.

Tyle tylko, że nie gada — odezwała się Agafia Michajłowna. — Choć to pies... Rozumie, że jej pan przyjechał i że markotno mu.

— Dlaczego markotno?

— Alboż to ja nie widzę, paniczu? Czy to ja nie znam panów? Od małego u państwa się chowałam. Nic to, nic, paniczu... Aby tylko zdrowie było dobre i sumienie czyste.

Lewin przypatrywał się jej uważnie, dziwiąc się, że tak odgadła jego myśli.

— No co, może przynieść jeszcze herbaty? — spytała i wzięwszy filiżankę wyszła.

Łaska ciągle podsuwała pysk pod jego dłoń. Pogłaskała ją, a ona zwinęła się w kółko u jego nóg, opierając łeb na wysuniętej tylnej łapie. Na znak, że teraz wszystko już jest dobrze i w porządku, otworzyła z lekka pysk, cmoknęła, ułożyła wygodniej lepkie wargi wkoło, starych zębów i zamarła w błogim spokoju. Lewin z uwagą obserwował ten jej ruch.

— Zupełnie jak ja! — powiedział sobie. — Zupełnie jak ja! Co tam!... Dobrze jest!

XXXVIII

W czesnym rankiem po balu Anna Arkadiwna zatelegrafowała do męża, że tego samego dnia wyjeżdża z Moskwy.

— Nie, ja muszę jechać, muszę — tłumaczyła bratowej zmianę swych projektów w taki sposób, jak gdyby nagle przypomniała sobie, że w domu czeka na nią niezliczona ilość ważnych spraw. — Nie, już lepiej dzisiaj!

Stiepan Arkadjicz nie był w domu na obiedzie, ale przyrzekł, że wróci na siódmą, by odprowadzić siostrę.

Kitty również nie pokazała się, przysłała tylko bilecik, że ją boli głowa. Dolly i Anna jadły obiad same, z dziećmi i Angielką. Czy dlatego, że dzieci bywają zmienne, czy że są bardzo wrażliwe i wyczuły od razu, że Anna jest dziś nie ta sama co wówczas, gdy ją tak pokochały, i nie zwraca już na nie uwagi — dość, że nagle przestały się bawić z cicią, miłość ich ostygła i zupełnie nie interesowały się jej wyjazdem. Anna przez cały ranek była zajęta przygotowaniem do podróży: pisała liściki pożegnalne do znajomych, notowała wydatki i pakowała rzeczy. Dolly w ogóle miała wrażenie, że Anna straciła pogodę ducha i że

opanovał ją ten rodzaj zatroskania, który — jak Dolly dobrze wiedziała z własnego doświadczenia — nigdy nie zjawia się bez powodu, a przeważnie pokrywa niezadowolenie z siebie. Po obiedzie Anna udała się do swego pokoju, aby się przebrać, a Dolly poszła za nią.

— Jakaś ty dzisiaj dziwna! — zauważyła.

— Ja? Tak ci się zdaje? Nie jestem dziwna, tylko — zła. To mi się czasem zdarza. Chce mi się ciągle płakać! To bardzo niemądre, ale prędko mija — pośpiesznie odpowiedziała Anna i pochyliła zarumienioną twarz nad miniaturową torebką, do której wkładała swój nocny czepeczek i batystowe chustki do nosa. Oczy jej płonęły niezwykle blaskiem, a łzy stawały w nich co chwila. — Tak nie chciałam wyjeżdżać z Petersburga, a teraz znów stąd mi się wyjechać nie chce.

— Przyjechałaś i spełniłaś dobry uczynek — rzekła Dolly wpatrując się badawczo w szwagierkę.

Anna podniosła na nią wilgotne od łez oczy.

— Nie mów tego, Dolly! Nic nie zrobiłam ani zrobić nie mogłam. Często dziwię się, czemu Judzie jakby się zmówili, by mnie psuć... Cóż ja takiego zrobiłam i co mogłam zrobić? Znalazłaś w sercu dosyć miłości, by przebaczyć...

— Gdyby nie ty, Bóg wie, czym by się to skończyło! Jakaś ty szczęśliwa, Anno: w tobie wszystko jest czyste i jasne!

— Każdy ma w duszy swoje *skeletons**, jak powiadają Anglicy.

— Cóż ty masz za *skeletons*?! U ciebie wszystko jest takie przejrzyste.

— A jednak mam! — odpowiedziała nagle Anna niespodzianie i ledwo otarła łzy, uśmiechnęła się wesoło i przebiegle.

* *Skeletons* — szkielety; tu: przykra, wstydliva tajemnica

— Widzę, że twoje *skeletons* nie są ponure, tylko zabawne — zauważyła z uśmiechem Dolly.

— Przeciwnie, ponure. Czy ty wiesz, dlaczego wyjeżdżam dzisiaj, a nie jutro? Otóż wyznam ci, bo mnie to gnębi — powiedziała Anna, stanowczym ruchem zagłębiając się w fotel i patrząc bratowej prosto w oczy.

Ku zdziwieniu Dolly, Anna zarumieniła się przy tym aż po skronie, aż po czarne faliste sploty spadające na szyję.

— Tak mówiła dalej. — Czy wiesz, dlaczego Kitty nie przyjechała na obiad? Jest o mnie zazdrosna. Ja popsulałam... ja byłam przyczyną, że ów bal przyniósł jej zamiast radości cierpienie. Ale doprawdy, doprawdy, wcale nie jestem winna, albo winna bardzo niewiele — powiedziała przeciągając cieniutko wyrazy „bardzo niewiele”.

— Jakaś ty to powiedziała! Zupełnie jak Stiwa! — roześmiała się Dolly.

Anna poczuła się dotknięta.

— O nie, o nie! Ja nie jestem Stiwa — odrzekła marszcząc brwi. — Dlatego ci to mówię, że nawet przez chwilę nie zgodziłabym się na to, żeby wątpić o sobie.

Lecz w chwili gdy wypowiadała te słowa, wiedziała, że nie są zgodne z prawdą; nie tylko bowiem powątpiewała

o sobie, ale myśl o Wrońskim wywoływała w niej niepokój; przyspieszyła nawet, wyjazd, żeby się z nim więcej nie spotkać.

— Tak, Stiwa mówił mi, że tańczyłaś z nim mazura i że on...

— Nie możesz sobie wyobrazić, jak to się zabawnie złożyło. Miałam tylko zamiar swatać i nagle wywiązało się... zupełnie coś innego. Może niechcący...

Zarumieniła się i urwała.

— O!... Oni od razu to wyczuwają! — zaczęła Dolly.

— Ale ja doprawdy byłabym w rozpaczy, gdyby z jego strony było w tym coś poważniejszego — przerwała jej Anna. — I jestem przekonana, że wszystko to pójdzie w niepamięć i że Kitty przestanie mnie nie cierpieć.

— Zresztą, Anno, prawdę mówiąc, nie bardzo sobie życzę tego małżeństwa dla mojej siostry i lepiej, żeby się ono rozchwiało, skoro Wroński mógł zakochać się w tobie w ciągu jednego dnia.

— Ach, mój Boże, to byłoby takie głupie! — zawołała Anna i znów mocny rumieniec radości wystąpił na jej policzki, gdy usłyszała wypowiedzianą w słowach myśl, która ją pochłaniała. — Wyjeżdżam więc, zyskawszy wroga w Kitty, a tak bardzo ją polubiłam. Jakaż ona przemiła! Ale ty, Dolly, naprawisz to? Prawda?

Doiły ledwie mogła powstrzymać uśmiech. Kochała Annę, lecz było jej przyjemnie przekonać się, że i ona ma swoje słabostki.

— Wroga? To niemożliwe!

— Tak bardzo pragnę, byście mnie wszyscy kochali tak, jak ja was kocham, a teraz jeszcze bardziej pokochałam! — zawołała Anna ze łzami w oczach. — Mój Boże, jaka ja dzisiaj jestem głupia!

Przesunęła chustką po twarzy i zaczęła się ubierać.

Tuż przed jej odjazdem zjawił się spóźniony Stiepan Arkadjicz. Miał czerwoną, wesołą twarz i pachniał winem i cygarami.

Tkliwy nastrój Anny udzielił się również Dolly; obejmując po raz ostatni szwagierkę szepnęła:

— Wiedz, Anno, że nie zapomnę nigdy tego, co dla mnie zrobiłaś. Pamiętaj, że cię pokochałam i zawsze będę kochała jak najlepszą przyjaciółkę.

— Naprawdę, nie rozumiem za co — odrzekła Anna

całując ją i starając się ukryć łzy.

— Zrozumiałaś mnie i rozumiesz. Żegnaj, moja śliczna!

XXIX

No, wszystko się skończyło, Bogu dzięki!” — było pierwszą myślą Anny Arkadiewny, gdy po raz ostatni pożegnała brata, który aż do trzeciego dzwonka zagradzał swą osobą przejście w wagonie, Usiadła na swej kanapce obok Annuszki i rozejrzała się w półmroku sypialnego wagonu.

„Bogu dzięki, jutro” zobaczę Sieriożę i męża, i dobre, zwyczajne życie potoczy się po dawnemu.”

Nie mogąc się otrząsnąć z niepokoju, który ją tego dnia ustawicznie trapił, Anna mimo to z przyjemnością i systematycznie instalowała się na czas podróży. Małymi, zręcznymi rękami otworzyła i zamknęła czerwoną torebkę; wyjęła z niej poduszeczkę, położyła na kolanach i starannie otuliwszy nogi pledem, wygodnie się usadowiła. Jakaś chora dama już układała się do snu. Dwie inne panie usiłowały nawiązać z Anną rozmowę; otyła starsza jejmość otulała sobie nogi i wypowiadała uwagi o ogrzewaniu wagonów. Anna odpowiedziała tym paniom parę słów i nie spodziewając się po tej konwersacji nic ciekawego, poleciła Annuszce wyjąć latarkę i przymocowała ją do poręczy siedzenia, po czym wydobyła nożyk do przecinania kartek oraz powieść angielską. Zrazu trudno jej było czytać z powodu krzątaniny i ciągłego ruchu w wagonie. Potem, gdy pociąg ruszył, niepodobna było nie przysłuchiwać się jego odgłosom; później rozproszył jej uwagę śnieg, bijący w lewe okno i przylepiający się do szyby, i widok przechodzącego owiniętego po uszy konduktora, który jeden bok miał całkiem

obsypany śniegiem, i przeszkadzały rozmowy na temat strasznej zadymki na dworze. Dalej powtarzało się wszystko od nowa: te same wstrząsy i stukot: wagonu, ten sam śnieg bijący w okno, te same nagłe przejścia od parnego upału do zimna, a potem znów do gorąca, to samo majaczenie w półmroku widzianych już twarzy, te same głosy — aż wreszcie Anna zaczęła czytać i rozumieć to, co czytała. Annuszka już drzemała trzymając czerwoną torebkę na kolanach szerokimi dłońmi odzianymi w rękawiczki, z których jedna była podarta. Anna Arkadiwna czytała i rozumiała, ale czytanie, czyli obserwacja życia innych ludzi w odbiciu, nie cieszyło jej; sama miała w sobie zbyt wiele chęci życia. Czytając, jak bohaterka romansu dogląda chorego, Anną sama miała ochotę chodzić cichymi krokami po pokoju pacjenta; czytając o członku parlamentu wygłaszającym „przemówienie, pragnęła sama wypowiedzieć tę mowę; czytając, jak lady Mary konno cwałowała za gońcami, jak dokuczała bratowej i jak zadziwiała wszystkich odwagą, Anna pragnęła czynić to samo. Ponieważ nie było to jednak możliwe, usiłowała czytać, a małe jej ręce bawiły się odruchowo nożykiem.

Bohater powieści zaczynał już osiągać szczyt swego typowo angielskiego szczęścia — tytuł baroneta oraz majątek — i Anna właśnie miała ochotę wybrać się z nim razem do jego posiadłości, gdy nagle poczuła, że właściwie powinien on się wstydzić i że tak samo ona się wstydzi. „Czegóż to on ma się wstydzić? Czemu, i ja się wstydzę?” — spytała sama siebie, urażona i zdziwiona. Porzuciła książkę i zagłębiła się, w fotel, mocno ściskając oburącz nożyk do przecinania kartek. Nie było czego się wstydzić. Anna przebiegła myślą wszystkie swoje wspomnienia z pobytu w Moskwie: wszystkie były dobre i przyjemne. Przypomniała sobie bal,

Wrońskiego i jego zakochaną, pokorną twarz, przypomniawszy sobie wszystko, co między nimi zaszło. Nie było nic, czego by trzeba się wstydzić. A jednak w tym właśnie miejscu łańcucha wspomnień uczucie wstydu wzrastało w niej, jak gdyby jakiś wewnętrzny głos szeptał jej na myśl o Wrońskim: „Ciepło!... Bardzo ciepło... Gorąco!!” — „Więc i cóż? — powiedziała sobie z energią, poprawiając się nieco w fotelu. — Co to ma znaczyć? Czyżbym się lękała przyjrzeć temu szczerze? I cóż w tym takiego? Czy między mną a tym oficerkiem istnieje, czy może istnieje jakikolwiek inny rodzaj znajomości niż taki, jaki łączy mnie z każdym znajomym?” Uśmiechnęła się pogardliwie i zabrała się znów do książki, ale teraz już zupełnie przestała rozumieć to, co czytała. Przesunęła nożykiem po szybie, potem przyłożyła jego gładką i chłodną powierzchnię do policzka i omal nie roześmiała się na głos pod wpływem radości, która ją nagle bez powodu ogarnęła. Miała wrażenie, że nerwy jej niby struny napinały się nawijane na jakieś kołeczki, które coraz mocniej przykręcano. Czuła, że oczy jej coraz szerzej się otwierają, że palce u rąk i nóg poruszają się nerwowo, że coś zapiera jej oddech w piersiach i że wszystkie obrazy i dźwięki w tym kołyszącym się półświatle aż ją oślepiają swą niezwykłą wyrazistością. Nieustannie ogarniały ją wątpliwości: czy wagon posuwa się naprzód, czy w tył, czy też stoi w miejscu, czy to Annuszka siedzi koło niej, czy też ktoś obcy? „Co tam wisi: futro czy jakieś zwierzę? I czy to ja jestem tutaj? Ja sama czy ktoś inny?” Bała się poddawać temu majaczeniu, ale coś ją wciągało: mogła dowolnie ulegać albo stawiać opór. Wstała, by się ocknąć, zrzuciła pled i zdjęła z ciepłej sukni pelerynkę. Na chwilę opamiętała się i zdała sobie sprawę, że chudy człowiek w długiej płóciennej bluzie z oberwanym guzikiem to palacz, że spogląda on na

termometr i że za nim przez nie domknięte drzwi wtargnął wiatr i śnieg... Potem znowu wszystko się pogmatwało... Ów chłop o zbyt długim tułowiu począł coś gryźć w ścianie; staruszka wyciągnęła nogi przez całą długość wagonu i napełniła go czarnym obłokiem, potem zaś straszliwie zaskrzypiało i stuknęło, jak gdyby kogoś rozdzierano na części, czerwony płomień oślepił jej oczy, aż wreszcie wszystko znikło za ścianą. Anna uczuła, że się zapada, wszystko to jednak nie było straszne, przeciwnie — radosne. Otulony po uszy i zasypany śniegiem człowiek krzyknął jej coś nad uchem. Wstała, oprzytomniała i zdała sobie sprawę, że dojechano do stacji i że ów człowiek to konduktor. Kazała Annuszcze podać sobie zdjętą uprzednio pelerynę oraz chustkę, włożyła je i skierowała się ku drzwiom. — Jaśnie pani wychodzi? — spytała dziewczyna. — Tak, chciałabym zaczerpnąć trochę powietrza; bardzo tutaj gorąco.

I otworzyła drzwi. Zamieć i wichur porwały się ku niej i wszczęły z nią spór o te drzwi... Nawet i w tym było coś wesołego. Otworzyła je i wyszła. Zdawało się, że wiatr tylko na nią czekał: gwizdnął radośnie i chciał ją porwać, ale chwyciła się lodowatego drążka, przytrzymując suknię zeskoczyła na peron i schroniła się za wagonem. Na platformie wagonu dął silny wiatr, ale na peronie za wagonami panowało zacisze. Anna z rozkoszą chłoneła pełną pierśią śnieżne, mroźne powietrze i stojąc koło pociągu rozglądała się po peronie i oświetlonej stacji.

XXX

Potężna zamieć wypadła z za węgła stacji gwizdząc pomiędzy kołami wagonów od słupa do słupa. Wagony, słupy, ludzie, wszystko, jak okiem sięgnąć, było z jednej

strony zasypane śniegiem, który kładł się coraz to grubszą warstwą. Wichura słabła na chwilę, lecz zaraz potem uderzała z taką gwałtownością, że wyglądało, jakby nic się przed nią nie miało ostać. Pomimo to jacyś ludzie przebiegali porozumiewając się wesoło i ciągle to otwierając, to zamykając jakieś wielkie drzwi. Kroki ich skrzypiały po deskach peronu. Pochylony cień człowieka prześliznął się pod nogami Anny i zaraz potem rozległy się uderzenia młotka o żelazo. — Dawaj depezę! — krzyknął gniewny głos po drugiej stronie z burzliwej ciemności. — Proszę tutaj, numer dwudziesty ósmy! — wołały jeszcze jakieś głosy i opatuleni, obsypani śniegiem ludzie przebiegali w rozmaitych kierunkach. Jacyś dwaj panowie ze świecidełkami żarzącego się papierosa w ustach przeszli obok niej. Odetchnęła mocno, raz jeszcze chcąc zaczerpnąć powietrza, i już wyjęła rękę z mufki, by ująć za poręcz i wrócić do wagonu, gdy tuż przy niej ktoś w oficerskim płaszczu przesłonił jej migotliwe światło latarni. Anna obejrzała się i od razu poznała rysy Wrońskiego. Skłonił się salutując i zapytał, czy jej czego nie potrzeba i czy mógłby jej czymś służyć. Anna wpatrywała się w niego dość długo bez słowa i chociaż stał w cieniu, widziała — a może się jej tylko tak zdawało — wyraz jego twarzy i oczu. Był to ten sam wyraz pełnego czci zachwyty, który tak silnie wstrząsnął nią w przeddzień. Nieraz powtarzała sobie w ostatnich dniach, a nawet jeszcze przed chwilą, że Wroński jest dla niej jednym z wielu setek wiecznie tych samych, wszędzie napotykanym młodych ludzi i że nigdy nie pozwoli sobie nawet myśleć o nim. Teraz wszakże, w pierwszej chwili spotkania, ogarnęło ją uczucie radosnej dumy. Nie potrzebowała pytać, po co się tu znalazł. Wiedziała to tak dobrze, jak gdyby sam jej to powiedział, że jest tutaj po to, aby być tam, gdzie ona.

— Nie wiedziałam, że i pan jedzie. Po co pan jedzie? — zapytała opuszczając rękę, którą już trzymała na poręczy... I twarz jej ożywiła się i zajaśniała niepohamowaną radością.

— Po co jadę? — powtórzył Wroński, patrząc jej prosto w oczy. — Pani wie, że jadę po to, aby być tam, gdzie i pani... Nie mogę inaczej.

W tej samej chwili wiatr przełamał jakby jakiś opór i jął sypać śniegiem z dachu wagonów, kołatać jakąś oderwaną blachą, na przedzie zaś płaczliwie i ponuro ryknął basem gwizdek lokomotywy. Cała groza śnieżnej zawieruchy wydała się teraz Annie jeszcze o wiele piękniejsza. Wypowiedział właśnie to, czego pragnęło jej serce, a czego lękał się rozsądek. Stała w milczeniu, ale z twarzy jej wyczytał toczącą się walkę wewnętrzną.

— Raczy mi pani wybaczyć, jeśli słowa moje sprawiły jej przykrość — wyrzekł z pokorą.

Mówił z wielką kurtuazją, ze czcią niemal, z taką jednak siłą i takim naciskiem, że Anna długo nie mogła się zdobyć na odpowiedź.

— To, co pan mówi, jest złe. Proszę, jeśli pan jest dobrym człowiekiem, niech pan zapomni o tych swoich słowach. I ja o nich zapomnę — powiedziała wreszcie.

— Żadnego słowa pani, żadnego jej ruchu nie zapomnę nigdy i zapomnieć bym nie potrafił...

— Dosyć już, dosyć! — zawołała, na próżno starając się nadać surowy wyraz twarzy, w którą Wroński chciwie się wpatrywał. Uchwyciwszy za zimny drążek Anna spiesznie weszła po stopniach do wnętrza wagonu, lecz w maleńkim przedsiionku zatrzymała się próbując odtworzyć sobie w myśli to, co zaszło. Nie przypominając sobie ani jego, ani swoich słów, mimo to sercem pojęła, że ta minuta rozmowy straszliwie ich ze sobą zbliżyła. Przeraziło ją to, a zarazem

napełniło szczęściem. Stała tak kilka sekund, po czym weszła dalej i usiadła na swoim miejscu. Stan nerwowego napięcia, który jej przedtem dokuczał, nie tylko powrócił, ale nawet wzmógł się jeszcze; poczuła z przerażeniem, że za chwilę zerwie się w niej coś, co było już zbyt naprężone. Nie spała całą noc. W tym napięciu nerwów i w marzeniach, które wypełniały jej wyobraźnię, nie było jednak nic przykrego ani przynębiającego, wprost przeciwnie — wszystko było radosne, płomienne i ożywiające. Nad ranem Anna siedząc usnęła, a gdy się obudziła, był już biały dzień i pociąg zbliżał się do Petersburga. Natychmiast osaczyły ją myśli o domu, o mężu, o synku, o powszednich kłopotach dnia najbliższego i dni następnych.

W Petersburgu, skoro tylko pociąg stanął, pierwszą osobą, którą Anna dostrzegła, był mąż. „Ach, mój Boże, skąd mu się wzięły takie uszy!” — pomyślała patrząc na sztywną, imponującą postać męża, a zwłaszcza na rażące ją nagle małżowiny uszne, podpierające rondo okrągłego kapelusza. Na widok Anny podszedł do pociągu z właściwym sobie ironicznym uśmiechem na ustach wpatrując się w nią wielkimi, zmęczonymi oczyma. Jakieś niemiłe uczucie ścisnęło jej serce, gdy spotkała się z tym nieruchomym, znużonym spojrzeniem, jakby się była spodziewała, że mąż będzie jakiś inny. Zaskoczyło ją zwłaszcza niezadowolenie z siebie, które odczuła przy tym spotkaniu. Uczucie to znane jej od dawna, a zawsze obecne w jej stosunkach z mężem, przypominało dwulicowość i choć dotychczas tego sobie nie uświadamiała, za to teraz odczuła to wyraźnie i boleśnie.

— Jak widzisz, czuły twój mąż, czuły niczym w rok po ślubie, płonął pragnieniem ujrzenia cię — rzekł Aleksy Aleksandrowicz swym powolnym, wysokim głosem i tym tonem, którym prawie zawsze zwracał się do żony, jakby

kpiąc z kogoś, kto by w ten sposób mówił naprawdę.

— Czy Sierioża zdrów? — spytała Anna.

— I to ma być cała nagroda za moje płomienne uczucie?
— zapytał. — Zdrów, zdrów...

XXXI

Wroński przez całą noc nawet nie próbował zasnąć. Siedział na swoim miejscu, to patrząc wprost przed siebie, to przyglądając się wchodzącym i wychodzącym. Zawsze zaskakiwał i intrygował nieznanymi swym niewzruszonym spokojem, ale teraz wydawał się jakoś szczególnie wyniosły i opanowany. Patrzył na ludzi jak na przedmioty. Siedzący naprzeciw niego nerwowy młody człowiek, urzędnik sądu okręgowego, znienawidził go za ten wygląd. Poprosił Wrońskiego parę razy o ogień, zaczynał z nim rozmowę i nawet potraçał go, byle tylko dać mu do zrozumienia, że nie jest martwym przedmiotem, ale człowiekiem. Wroński jednak nadal spoglądał na niego jak na słup od latarni, aż młodzieńcowi twarz skurczyła się grymasem złości i czuł, że to nieuznawanie go za człowieka działa na niego jak zbyt wielkie ciśnienie, tak że traci panowanie nad sobą.

Wroński nie widział nic i nikogo: czuł się po królewsku, nie dlatego, by sądził, że wywarł wrażenie na Annie — jeszcze w to nie wierzył — ale ponieważ wrażenie, jakie ona na nim wywarła, napawało go szczęściem i dumą.

Co z tego wszystkiego miało wyniknąć, nie wiedział i nawet o tym nie myślał. Czuł, że wszystkie jego siły, dotychczas rozdrobnione i chaotyczne, zwały się i z potężną energią dążą do jedyne go, błogie go celu. I to mu dawało szczęście. To jedno było dla niego pewne: powiedział prawdę mówiąc jej, że jedzie tam, gdzie jest ona, bo całe szczęście

życia, jedyny jego sens upatrywał teraz w tym, aby ją widzieć i słyszeć. I gdy wyszedłszy w Bołogowie z wagonu, by napić się wody selcerskiej, zobaczył Annę, w pierwszych zaraz słowach odruchowo powiedział jej to, co myślał, i rad był, że jej to wyznał, że ona teraz o tym wie i myśli. Nie spał noc całą. Po powrocie do swego wagonu rozpamiętywał nieustannie wszystkie sytuacje, w jakich miał sposobność ją widywać, każde jej słowo, a przed oczyma stawały mu obrazy tego, co się w przyszłości stać może, od których zamierało serce.

Gdy Wroński w Petersburgu wysiadł z wagonu, czuł się po bezsennej nocy rześki i wypoczęty jak po zimnej kąpieli. Czekając na wyjście Anny stanął koło swego wagonu. „Jeszcze raz ją zobaczę — myślał uśmiechając się mimo woli — zobaczę jej chód, jej twarz... Powie coś, obróci głowę, spojrzy, może się nawet uśmiechnie!” Zanim ją wszakże zobaczył, dostrzegł jej męża, któremu naczelnik stacji z ugrzecznieniem torował drogę wśród tłumu. „Ach, tak! Mąż!” Teraz dopiero Wroński po raz pierwszy uświadomił sobie wyraźnie, że mąż jest postacią nieodłączną od Anny. Wiedział, że Anna ma męża, ale nie wierzył w jego istnienie i uwierzył w nie naprawdę dopiero, gdy go zobaczył z głową i ramionami, z nogami w czarnych pantalonach, a zwłaszcza gdy zobaczył, jak ten mąż z pełnym poczuciem, że Anna jest jego własnością, spokojnie ujął jej dłoń.

Ujrzawszy Karenina, jego cerę z petersburska zdrową, jego surowo pewną siebie postać, jego okrągły kapelusz i z lekka przygarbione plecy, Wroński dopiero wtedy uwierzył w niego i doznał przykrego wrażenia, pokrewnego uczuciu, jakie ogarnia człowieka dręczonego pragnieniem, który dotarłszy wreszcie do źródła znajduje tam psa, owcę lub świnie, która wypila i zmacila wodę. Raził Wrońskiego zwłaszcza chód

Karenina, który idąc poruszał nie tylko niezgrabnymi nogami, ale i całą miednicą. Wroński uważał, że tylko on jeden ma niewątpliwe prawo kochać Annę... Ona wszakże była wciąż ta sama i widok jej znowu wpłynął na niego ożywiająco, krzepiąc go i wzniecając szczęście w duszy. Poleciał lokajowi Niemcowi, który przybiegł z wagonu drugiej klasy, by zabrał rzeczy i jechał, sam zaś podszedł do Anny. Widział pierwsze spotkanie męża z żoną i z przenikliwością zakochanego zauważył w jej zachowaniu ślad leciutkiego zakłopotania. „Nie, ona go nie kocha i kochać nie może” — zdecydował.

Zbliżając się zauważył z radością, że wyczuła jego obecność, obejrzała się bowiem i poznawszy go, znów zwróciła się do męża.

— Czy dobrze pani spała? — spytał i ukłonił się jednocześnie obojgu, pozostawiając do uznania Karenina, czy weźmie, ten ukłon również do siebie i czy pozna go lub nie pozna — jak mu będzie dogadzało.

— Dziękuję panu, bardzo dobrze.

Twarz Anny wydawała się znużona; w jej wyrazie nie znać było owej żywości migocącej to w oczach, to w uśmiechu; tylko w chwili gdy na niego spojrzała, coś błysnęło w jej oczach i chociaż płomyk ów od razu zgasł, chwila ta go uszczęśliwiła. Popatrzyła na męża, by się przekonać, czy się znają. Karenin patrzył na Wrońskiego z niechęcią i roztargnieniem; nie bardzo go sobie przypominał. Spokój i dobre o sobie mniemanie Wrońskiego trafiły tu, jak kosa na kamień, na chłodną pewność siebie Aleksego Aleksandrowicza.

— Hrabia Wroński — przedstawiła Anna.

— A! Zdaje się, że się znamy — obojętnie rzekł Karenin podając mu rękę. — W tamtą stronę jechałaś z matką, a z powrotem z synem — rzekł dobitnie, darząc rozmówców

każdym słowem jak rublem. — Pan zapewne wraca z urlopu? — i nie czekając na odpowiedź zwrócił się do Anny swym żartobliwym tonem: — Cóż, czy wiele łez wylano w Moskwie przy rozstaniu?

Zwracając się w ten sposób do żony Karenin dawał Wrońskiemu do zrozumienia, że pragnie pozostać z nią sam na sam, przy czym spojrzawszy na niego dotknął kapelusza: mimo to Wroński zatrzymał Annę na chwilę mówiąc:

— Mam nadzieję, że będzie mi wolno złożyć państwu wizytę?

Karenin popatrzył na niego znużonym wzrokiem.

— Bardzo nam będzie miło — odpowiedział chłodno. — Przyjmujemy zawsze w poniedziałki. — A pożegnawszy na dobre Wrońskiego rzekł do żony: — Jak dobrze się złożyło, że miałem właśnie pół godzinki czasu, żeby cię przywitać i dać ci dowód moich uczuć — dodał tym samym żartobliwym tonem.

— Zanadto podkreślasz swoją czułość, bym ją mogła bardzo cenić — odparła w tym samym tonie, przysłuchując się mimo woli odgłosom kroków Wrońskiego, który szedł za nimi. „Ale co on mnie właściwie obchodzi?” — pomyślała i zaczęła wypytywać męża, jak spędzał bez niej czas Sierioża.

— O, świetnie! Mariette powiada, że był bardzo grzeczny i że — przykro mi, jeśli cię to zmartwi — nie tęsknił za tobą... Nie tak jak twój małżonek. Ale jeszcze raz *merci*, moja droga żeś podarowała mi jeden dzień... Nasz miły Samowar będzie zachwycony. (Samowarem nazywał Karenin słynną hrabinę Lidję Iwanownę, ponieważ zawsze się wszystkim przejmowała i zapalała do wszystkiego.) Pytała o ciebie. I wiesz, jeśli wolno mi doradzać, bądź u niej dzisiaj. Ona wszystko tak bierze do serca. Teraz poza swymi zwykłymi kłopotami interesuje się pogodzeniem Obłońskich.

Hrabina Lidia Iwanowna była przyjaciółką Karenina i zarazem ośrodkiem jednego z kółek petersburskiego świata, z którym Anna była przez męża najbliższej związana.

— Przecież pisałam do niej.

— Tak, lecz ona jest spragniona szczegółów. Odwiedź ją, moja droga, jeśli nie jesteś zbyt zmęczona; Kondratij zaraz zajedzie kareta. Ja muszę być w Komitecie*. Znów więc będę jadał obiady nie w samotności — ciągnął dalej Karenin, ale teraz już serio. — Nie uwierzysz, jak ja się przyzwyczailem...

I Karenin długo ścisnął rękę żony, zanim ze znaczącym uśmiechem pomógł jej wsiąść do karety.

XXXII

Pierwszą osobą, która przywitała Annę w domu, był syn. Wybiegł do niej na schody, nie zważając na wołania guwernantki, i nieprzytomny z zachwytu krzyczał:

— Mamo! Mamo! — Dopadłszy matki zawisł jej na szyi.

— Mówilem pani, że to mama — zawołał zwracając się do guwernantki. — Ja wiedziałem!

Anna na widok syna, podobnie jak poprzednio na widok męża, doznała jakby rozczarowania. Wyobrażała go sobie piękniejszym, niż był w istocie. Musiała więc zstąpić do rzeczywistości, aby móc zachwycać się synem takim, jaki był. Lecz nawet i taki, jakim był w istocie, był prześliczny: miał jasne kędziory, błękitne oczy i jędrne, zgrabne nóżki w obcisłych pończochach. Anna doznawała nieledwie fizycznej rozkoszy czując jego bliskość i jego pieszczoty, a moralnego uspokojenia — patrząc w jego szczerze, ufne, kochające oczy i

* K o m i t e t — zapewne mowa tu o Komitecie Ministrów. Było to ciało doradcze, które miało za zadanie oceniać i rozważać projekty zarządzeń wykonawczych przed ostatecznym ich zatwierdzeniem przez cara.

sluchajac jego naiwnych pytań. Wypakowała upominki, które przysłały mu dzieci Dolly, i opowiedziała, że w Moskwie jest dziewczynka Tania i że owa Tania umie czytać i uczy już nawet młodsze dzieci.

— No i co? Czy ja jestem gorszy od niej? — zagadnął Sierioża.

— Dla mnie jesteś lepszy niż wszyscy w świecie.

— Wiem o tym — uśmiechnął się Sierioża.

Anna nie zdążyła jeszcze wypić kawy, gdy już zaanonsowano hrabinę Lidie. Była to wysoka, tęga kobieta, o niezdrowej, żółtej cerze i pięknych, zamyślonych, czarnych oczach. Anna lubiła ją, lecz tego dnia jak gdyby po raz pierwszy dostrzegła ją wraz ze wszystkimi jej wadami.

— No i cóż, moja droga, czy zawiozła pani gałązkę oliwną? — zapytała od progu.

— Tak, już po wszystkim, ale też nie było to wcale takie poważne, jakeśmy sądziły — odpowiedziała Anna. — W ogóle, moja *belle-soeur* jest zbyt krańcowa.

Hrabina Lidia wprawdzie interesowała się wszystkim, co do niej nie należało, lecz miała zwyczaj nigdy nie słuchać tego, co powinno ją było obchodzić, przerwała więc Annie:

— Tak, dużo jest nieszczęść i zła na świecie, a taka jestem dzisiaj wymęczona.

— Co się stało? — spytała Anna usiłując ukryć uśmiech.

— Zaczyna mnie nużyć to daremne kruszenie kopii o sprawiedliwość i chwilami jestem zupełnie do niczego. Sprawa siostrzyczek (chodziło o filantropijną religijno — patriotyczną instytucję) była już na najlepszej drodze, ale z tymi panami nie sposób pracować — dodała z ironiczną rezygnacją. — Skwapliwie podjęli ten pomysł, wypaczyli go, a teraz krytykują tak płytko i tak małostkowo! Dwóch, trzech ludzi zaledwie, w tej liczbie i mąż pani, ocenia całą

doniosłość tej sprawy, inni tylko szkodzą. Wczoraj pisał mi Prawdin...

Prawdin był to znany powszechnie panslawista*; przebywał za granicą. Hrabina Lidia powtórzyła Annie treść jego listu.

Potem opowiedziała jeszcze o przykrościach i intrygach przeciwko zjednoczeniu kościołów chrześcijańskich i wyszła śpiesząc się wielce, tego dnia bowiem miała być jeszcze na posiedzeniu pewnego stowarzyszenia oraz w Komitecie Słowiańskim.

„Tak samo było przecież i dawniej. Czemu nie zauważyłam tego przedtem?” — zadawała sobie pytanie Anna. — A może była dziś wyjątkowo rozdrażniona? Bo to jednak w gruncie rzeczy zabawne: Lidia Iwanowna dąży przecież tylko do cnoty, jest chrześcijanką, a mimo to nieustannie się gniewa i wszystkich uważa za wrogów, ponieważ mają inne poglądy właśnie na chrystianizm i na cnotę.

Po hrabinie Lidii zjawiała się przyjaciółka Anny, żona dyrektora, i opowiedziała wszystkie miejskie ploteczki. O trzeciej pożegnała się i ona, obiecując wrócić na obiad. Aleksiej Aleksandrowicz był w ministerstwie. Resztę czasu przed obiadem Anna spędziła asystując przy obiedzie synka (Sierioża jadał osobno) i porządkując swoje rzeczy. Przeczytała wszystkie bileciki i listy, które nagromadziły się na biurku, i odpowiedziała na nie.

Nieuzasadnione zawstydzenie, którego doświadczała w podróży, oraz zamęt uczuć — znikły. Wśród zwykłych warunków życia poczuła się znów niezłomna i bez zarzutu.

Ze zdziwieniem, przypomniała sobie swój wczorajszy nastrój. „Co to było? Doprawdy nic. Wroński powiedział coś

* Panslawizm — reakcyjny kierunek polityczny powstały w XIXw., mający na celu zjednoczenie Słowian pod władzą cara rosyjskiego

absurdalnego, coś, czemu łatwo położyć kres, a ja mu dałam właściwą odprawę. Mężowi tego opowiadać nie trzeba, a nawet nie można. Mówić o tym znaczyłoby przywiązywać wagę, do incydentu bez żadnego znaczenia.” Anna przypomniała sobie, jak pewnego razu opowiedziała mężowi, że jeden z jego podwładnych młodych urzędników niemal wyznał jej swoją miłość, i jak Aleksy Aleksandrowicz odpowiedział, że każda kobieta bywająca w towarzystwie jest na takie rzeczy narażona, lecz on najzupełniej ufa jej taktowi i nigdy nie ubliży zazdrością ani jej, ani sobie. „Wobec tego — postanowiła Anna — nie ma celu o tym mówić... A Bogu dzięki, nie ma też i o czym.”

XXXIII

Karenin powrócił z ministerstwa o godzinie czwartej, lecz — jak to „się często zdarzało — nie miał czasu zajrzeć do żony, od razu wszedł do gabinetu i zaczął przyjmować oczekujących petentów oraz podpisywać papiery, które przyniósł szef kancelarii. Na obiad (u Kareninów zwykle na obiedzie bywały ze trzy osoby) zjawili się: stara kuzynka pana domu, dyrektor departamentu z żoną i pewien młody człowiek, polecony Kareninowi w drodze służbowej. Anna weszła do salonu bawić gości. Dokładnie o godzinie piątej, zanim brązowy zegar z epoki Piotra I uderzył po raz piąty, ukazał się pan domu w białym krawacie i we fraku z dwiema gwiazdami, zaraz bowiem po obiedzie musiał dokądś jechać. Każda minuta w życiu Aleksieja Aleksandrowicza była z góry zajęta i miała swoje przeznaczenie; toteż aby zdążyć wykonać to, co każdy dzień niósł ze sobą, przestrzegał jak najściślejszej punktualności. „Bez pośpiechu i bez wychnienia” — było jego dewizą. Wszedłszy do salonu

przywitał gości i spiesznie usiadł uśmiechając się do żony.

— Tak, tak... skończyło się moje osamotnienie... Nie uwierzysz, jak mi było nieswojo (Karenin położył nacisk aa słowie n i e s w o j o) siadać samemu do obiadu.

Przy obiedzie zamienił kilka słów z żoną na moskiewskie tematy, nie bez ironii dopytując się o Stiepana Arkadjicza, ale przeważnie rozmowa była ogólna i dotyczyła życia światowego oraz spraw publicznych w Petersburgu. Po obiedzie Karenin spędził pół godziny z gośćmi i znów z uśmiechem uściskawszy rękę żony wyszedł, by udać się na posiedzenie Rady*. Anna nie pojechała tego dnia ani do księżnej Betsy Twerskiej, która wiedząc o jej powrocie zaprosiła ją na wieczór, ani do teatru, gdzie miała na ten dzień łożę. Nie pojechała głównie dlatego, że suknia, na którą liczyła z całą pewnością, nie była jeszcze gotowa. W ogóle zajmawszy się po wyjściu gości swą garderobą bardzo się zirytowała. Przed wyjazdem do Moskwy Anna — istna mistrzyni sztuki ubierania się nie nazbyt drogo — dała krawcowej trzy suknie do przerobienia. Należało je tak zmienić, żeby ich nie można było potem poznać, a miały być odesłane już trzy dni temu. Okazało się jednak, że dwie suknie wcale nie były gotowe, trzecia zaś przerobiona nie tak, jak sobie Anna życzyła. Krawcowa przyszła się tłumaczyć i utrzymywała, że tak będzie lepiej, i Anna wówczas tak się uniosła, że na samą myśl o tym było jej później przykro. Chcąc się całkowicie uspokoić, poszła do dziecinnego pokoju i cały wieczór spędziła z synem: ułożyła go sama do snu, przeżegnała i otuliła kołderką. Rada była, że nigdzie nie pojechała i tak dobrze spędziła ten wieczór. Było jej tak lekko i spokojnie na duszy; wyraźnie uświadamiała sobie, że wszystko, co w podróży wydało się jej ogromnie ważne, było

* R a d a — zapewne mowa tu o Radzie Ministrów

tylko jednym z błahych i zwykłych zdarzeń towarzyskiego życia i że nie ma się czego wstydzić ani przedsobą, ani w ogóle, przed kimkolwiek. Usiadła przy kominku z angielską powieścią, czekając na męża. Dokładnie o wpół do dziesiątej rozległ się dzwonek i Karenin wszedł do pokoju.

— Jesteś nareszcie! — zawołała Anna wyciągając do niego rękę.

Karenin pocałował jej dłoń i usiadł przy niej.

— Widzę, że na ogół powiodła ci się ta podróż.

— Nawet bardzo — rzekła Anna i zaczęła opowiadać wszystko od początku: o swojej podróży ze starą Wrońska, o przybyciu do Moskwy, o wypadku na stacji. Następnie opowiadała, jak z początku żał jej było brata, a później Dolly.

— Chociaż to twój brat, uważam, że dla takiego człowieka nie ma usprawiedliwienia — odezwał się surowo Aleksy Aleksandrowicz.

Anna uśmiechnęła się; zrozumiała go. Chciał przez to dowieść, że wzgląd na pokrewieństwo nie może go powstrzymać, od wypowiedzenia szczerego sądu. Znała i lubiła ten rys charakteru męża.

— Rad jestem, że wszystko skończyło się szczęśliwie i żeś wróciła — mówił dalej. — Cóż mówią w Moskwie o nowym dekreście, który przeprowadziłem w Radzie?

Anna będąc w Moskwie nic o tym nie słyszała i zrobiło jej się przykro, że mogła tak łatwo zapomnieć o czymś, co dla niego było takie ważne.

— Tu, przeciwnie, narobiło to wiele hałasu — uśmiechnął się, zadowolony z siebie.

Anna widziała, że mąż ma ochotę opowiedzieć jej o tej sprawie coś, co mu sprawiało przyjemność, więc zręcznymi pytaniami naprowadziła go na ów temat. Z tym samym chępliwym uśmiechem opowiedział jej o owacjach, które mu

zgotowano z powodu przeprowadzenia dekretu.

— Byłem bardzo, bardzo rad. To dowodzi, że zaczyna się u nas ustalać rozumny i — zdecydowany pogląd na tę sprawę.

Drugą szklanę herbaty Aleksy Aleksandrowicz wypił ze śmietanką i zjadł kawałek chleba, po czym wstał, by udać się do swego gabinetu.

— A ty wcale nie wyszłaś? Pewno się wynudziłaś?

— O, nie! — zapewniła Anna wstając również i odprowadzając męża przez salon do gabinetu. — Co ty obecnie czytasz?

— Czytam *duc de Lille'a Poésie des enfers** — odrzekł. — Znakomita książka.

Anna uśmiechnęła się, jak zwykliśmy się uśmiechać nad słabostkami naszych najbliższych, i biorąc męża pod rękę, odprowadziła go do drzwi gabinetu. Wiedziała, że mimo zajęć służbowych, które pochłaniały mu cały dzień prawie, uważał za swój obowiązek poświęcać wiele uwagi wszystkim wybitnym zjawiskom z dziedziny intelektualnej. Wiedziała również, że naprawdę interesują go dzieła polityczne, filozoficzne i teologiczne, a sztuka jest mu organicznie obca i mimo to, a raczej właśnie dlatego, nie pomija ani jednej głośnej nowości z tego zakresu i uważa za swój obowiązek czytać wszystko. W kwestiach polityki, filozofii, teologii Aleksy Aleksandrowicz miewał wątpliwości i starał się je rozstrzygnąć, lecz gdy chodziło o sztukę i poezję, a zwłaszcza o muzykę, której w ogóle nie rozumiał, wyznawał jak najbardziej określone i niezłomne poglądy. Lubił mówić o Szekspirze, Rafaelu, Beethovenie,

O znaczeniu nowych prądów w poezji i muzyce i miał je poszufladkowane jasno i konsekwentnie.

* *duc de Lille'a* ... księcia de Lille'a *Poezja piekiel*

— Czytaj sobie z Bogiem — powiedziała Anna do męża u wejścia do gabinetu; na stoliku koło fotela już były przygotowane dla Karenina: świeca z abażurkiem i karafka z wodą. — A ja tymczasem napiszę do Moskwy. Znów uścisnęła i pocałowała jej rękę.

„Mimo wszystko to dobry człowiek: prawy, szlachetny i wybitny w swojej specjalności — myślała Anna po powrocie do swego pokoju, jakby broniąc męża przed kimś, kto go oskarżał i twierdził, że go nie można kochać — Ale dlaczego ma tak dziwnie odstające uszy? Może się inaczej ostrzygł.”

Dokładnie o dwunastej, kiedy Anna siedziała jeszcze przy biurku i kończyła list do bratowej, rozległy się miarowe kroki i Karenin, w pantoflach, umyty i uczesany, z książką pod pachą zjawił się w jej pokoju.

— Czas już, czas — rzekł uśmiechając się znacząco i wszedł do sypialni.

„I jakim prawem on tak na niego patrzył?” — pomyślała Anna uprzytomniając sobie spojrzenie, jakim Wroński zmierzył jej męża na dworcu.

Rozebrała się i ..weszła do sypialni... Ale na twarzy jej brak było tego ożywienia, które podczas pobytu w Moskwie iskrzyło się w jej oczach i uśmiechu; teraz przeciwnie, płomień wydawał się zgaszony lub głęboko ukryty.

XXXIV

Wyjeżdżając z Petersburga Wroński pozostawił obszerne mieszkanie przy ulicy Morskiej Petryckiemu, przyjacielowi i ulubionemu koledze z pułku.

Petrycki był to młody porucznik, niezbyt świetnego rodu i nie tylko niezamożny, ale zadłużony po uszy. Wieczorami zawsze bywał pijany i często za różne i zabawne, i brzydkie

sprawki siadywał na odwachu. Pomimo to koledzy i przełożeni go lubili. Gdy Wroński jadąc koło południa ze stacji był już blisko domu, ujrzał przed bramą, znajomą krytą dorożkę. Za drzwiami, w odpowiedzi na dzwonek, usłyszał głośny śmiech męski, szczebiot kobiecy i okrzyk Petryckiego: „Jeżeli to ktoś z tych łotrów, to nie puszczaj!” Nakazawszy ordynansowi milczenie Wroński po cichutku wszedł do pierwszego pokoju. Baronowa Shilton, przyjaciółka Petryckiego, siedziała przy okrągłym stole w błyszczącej atlasowej sukni lila i przyrządzała kawę napełniając jak kanarek swym paryskim szczebiotem cały pokój. Otaczali ją: Petrycki w palcie i Komierowski, który zapewne przed chwilą wrócił ze służby — w przepisowym mundurze.

— Brawo! Wroński — zawołał Petrycki wstając i z hałasem odsuwając krzesło. — Sam gospodarz! Pani baronowo, kawy z nowego imbryka dla Wrońskiego! Nie spodziewaliśmy się ciebie! Mam nadzieję, że cieszysz się z takiej ozdoby swego gabinetu? — mówił wskazując baronową. — Państwo się przecież znają?

— A jakże! — uśmiechnął się wesoło Wroński, ściskając maleńką rączkę damy. — Toż to stara przyjaźń.

— Pan wraca z podróży — rzekła baronowa — więc już uciekam. Naprawdę w tej chwili wychodzę, jeśli przeszkadzam!

— Pani jest wszędzie u siebie! — przerwał Wroński. — Jak się masz, Komierowski — dodał podając mu ozieble rękę.

— A pan nigdy nie potrafi mówić takich miłych rzeczy — droczyła się baronowa z Petryckim.

— Ja? Dlaczego nie! Po obiedzie i ja będę gadał nie gorzej od niego.

— Po obiedzie każdy to potrafi! No, więc dam panu kawy, niech pan tymczasem idzie się umyć i przebrać — to mówiąc baronowa znów usiadła i przekreśliła ostrożnie śrubkę w nowej maszynie. — Pierre, proszę mi podać kawę — zwróciła się do Petryckiego, którego nazwisko skracała w ten sposób. Stosunku swego z nim nie ukrywała. — Muszę dosypać.

— Zepsuje pani kawę.

— Nie, nie zepsuję! No, a pańska żona? — przerwała Wrońskiemu rozmowę z kolegami. — Myśmy już tutaj pana ożenili. Czy przywiózł pan z Moskwy żonę?

— Nie, droga pani! Urodziłem się jako cygan i jako cygan umrę.

— Tym lepiej, tym lepiej! Podajmy sobie ręce.

I pani Shilton, nie pozwalając Wrońskiemu odejść i syjąc żarcikami, zaczęła mu opowiadać o swoich najświeższych życiowych projektach i pytać go o radę.

— On wciąż nie chce mi dać rozwodu. Co ja mam począć? (On — to był jej mąż.) Mam zamiar wytoczyć mu proces. Jak mi pan radzi?... Komierowski, niech pan pilnuje kawy, bo wykipi... Widzi pan, że jestem zajęta ważnymi sprawami! Chcę wyprocesować od niego zwrot mego majątku Czy rozumie pan ten absurd: ponieważ jestem mu rzekomo niewierna — rzuciła z pogardą — on rości sobie prawo do mojego majątku.

Wroński z przyjemnością słuchał wesołego szczebiotu ładnej kobiety, potakiwał, udzielał na pół żartobliwych rad i w ogóle z miejsca przybrał ton, który zawsze stosował wobec kobiet jej rodzaju. W jego petersburskim świecie wszyscy ludzie dzielili się na dwa zupełnie odrębne gatunki. Pierwszy — niższy: ludzie pospolici, głupi, a przede wszystkim śmieszni, ludzie przekonani, że każdy mężczyzna powinien

żyć z jedną kobietą, własną żoną, że panny mają być niewinne, kobiety — cnotliwe, mężczyźni — dzielni, powściągliwi i energiczni, że należy dbać o wychowanie dzieci, zarabiać na chleb powszedni, płacić długi i — różne tego rodzaju brednie. To był gatunek ludzi — staroświeckich i śmiesznych. Istniał wszakże również i inny gatunek. Byli to ludzie jak się patrzy i do nich zaliczał się on sam, Wroński, z kolegami. Należąc do tego gatunku wypadało przede wszystkim być przystojnym, eleganckim, hojnym, odważnym, wesołym i nie rumieniąc się folgować swym namiętnościom, a „lekceważyć wszystko inne.

W pierwszej chwili wrażenia przywiezione z Moskwy, a pochodzące jakby z innego świata, sprawiły, że Wroński był oszołomiony, wnet jednak wrócił do dawnego, wesołego i przyjemnego otoczenia, jak się wsuwa nogi w stare pantofle.

Kawy się nie doczekano, opryskała wszystkich i wykipiała; osiągnęła jednak pożądaný skutek, gdyż wywołała dużo wrzawy i śmiechu i zalała kosztowny dywan oraz suknię baronowej.

— No, a teraz żegnam, bo inaczej pan się nigdy nie umyje i będę miała na sumieniu największy występki, jaki może popełnić przyzwoity człowiek: niechlujstwo. A więc pan mi radzi przyłożyć mu nóż do gardła?

— Koniecznie, i to w taki sposób, by rączka pani znalazła się jak najbliżej jego ust. Baron pocałuje rączkę i wszystko skończy się szczęśliwie — doradzał Wroński.

— A więc dzisiaj we Francuskim! — zawołała i zaszeleściwszy suknią znikła.

Komierowski wstał również, Wroński zaś nie czekając, aż ten wyjdzie, podał mu rękę i poszedł do ubieralni. Podczas gdy się mył, Petrycki opisywał mu pokrótce zmiany, które zaszły w jego sytuacji od czasu wyjazdu przyjaciela. Jest bez

grosza. Ojciec zapowiedział, że nic nie da i że nie zapłaci długów. Krawiec grozi więzieniem, inny wierzyciel — również. Dowódca oświadczył, że jeśli te skandale się nie skończą, to trzeba będzie wystąpić z pułku. Baronowej ma już powyżej uszu, zwłaszcza że stale proponuje mu pieniądze. „Ale jest jedna... pokażę, ją Wrońskiemu, cudo, śliczności, najczystszy typ wschodni, *genre** niewolnicy Rebeki, rozumiesz?” Z Berkoszewem sobie wczoraj nawymyślali, miał zamiar przysłać mu sekundantów, ale oczywiście nic z tego nie będzie. Na ogół jednak wszystko jest jak najlepiej i jak najweselej. I nie dając koledze zagłębić się w szczegóły swej sytuacji Petrycki wysypał mu wszystkie ciekawe nowiny. Słuchając tak dobrze sobie znanych opowieści Petryckiego wśród równie dobrze sobie znanych ścian i mebli zajmowanego od trzech lat mieszkania, Wroński doznawał miłego uczucia powrotu do normalnego, beztroskiego życia w Petersburgu.

— Niemożliwe! — wołał naciskając pedał umywalni i oblewając wodą swą mocną, czerwoną szyję. — Nie może być — zdziwiła go wiadomość, że Lora porzuciła Fertinhofa i żyje teraz z Milejewem. — A Fertinhof, czy zawsze taki głupi i zadowolony z siebie? A co porabia Buzulukow?

— Ach, zdarzyła mu się wspaniała historia! — zawołał Petrycki. — Bale to przecież jego namiętność, tak że nigdy nie opuszcza żadnego dworskiego balu. Wybrał się więc na wielki bal, i to w nowym kasku. Znasz nowe kaski? Są bardzo dobre, lżejsze... Stoi więc sobie... Ale ty słuchaj!

— No przecież słucham — odpowiedział Wroński nacierając się kosmatym ręcznikiem.

— Przechodzi wielka księżna z którymś z ambasadorów i na nieszczęście Buzulukowa zaczęli rozmawiać o nowych

* *genre* — rodzaj, typ.

kaskach. W pewnej chwili wielka księżna chciała pokazać ambasadorowi taki kask... Widzą, że nasz przyjaciel stoi tuż (Petrycki pokazał, jak to Buzułukow stał z kaskiem). Wielka księżna prosi go, żeby jej podał swój kask — a on nie daje. Co się dzieje? Mrugają na niego, kiwają, marszczą brwi: podajże go! On nie daje. Zdrętwiał.

Czy możesz sobie coś podobnego wyobrazić? Ten... jak mu tam, chce wziąć kask od niego... Nie daje. Wreszcie ów wrywa mu go i podaje wielkiej księżnej. „To jest właśnie nasz nowy model” — powiada księżna do ambasadora. Odwraca kask i — wyobraź sobie tylko! — z kasku... buch! leci gruszka, cukierki, ze dwa funty cukierków. Ściągnął to ze stołu, biedaczysko! Wroński pokładał się ze śmiechu. I długo potem, mówiąc już zupełnie o czym innym, ilekroć przypominała mu się historia z kaskiem, zanosił się od śmiechu, pokazując mocne, równe zęby.

Dowiedziawszy się wszystkich nowin ubrał się przy pomocy lokaja w mundur i pojechał zameldować się w pułku. Potem zamierzał odwiedzić brata i Betsy oraz złożyć kilka wizyt. Wizyty te miały na celu nawiązanie stosunków z towarzystwem, gdzie bywała pani Karenin. Jak zawsze w Petersburgu, Wroński wyjechał z domu, by powrócić dopiero późną nocą.

CZEŚĆ DRUGA

I

Pod koniec zimy odbyło się w domu Szczerbackich konsylium, które miało orzec, jaki jest stan zdrowia Kitty i co należy zrobić, aby wzmocnić jej słabnące siły. Była chora, a z nadejściem wiosny miała się coraz gorzej. Lekarz domowy dawał jej tran, później żelazo, potem lapis, ale gdy żaden z tych środków nie pomógł i gdy na wiosnę lekarz począł zalecać wyjazd za granicę, wezwano lekarską znakomitość. Znakomity doktor, jeszcze dość młody, bardzo przystojny, zażądał przede wszystkim, by mu pozwolono zbadać chorą. Ze szczególną jakby przyjemnością podkreślał, że wstyd dziewiczy to barbarzyński przeżytek i że jest rzeczą całkiem naturalną, gdy niestary mężczyzna obmacuje młodą, obnażoną pannę. Uważał to za rzecz naturalną, gdyż codziennie to czynił, nie czując i nie myśląc przy tym — jak mu się zdawało — nic zdrożnego, dlatego też wstydlivość dziewczyny nie tylko wydawała mu się przeżytkiem barbarzyństwa, ale ponadto obrażała go osobiście.

Trzeba się było temu poddać, bo chociaż wszyscy doktorzy uczą się w takiej samej szkole i czerpią naukę z takich samych książek i chociaż byli tacy, co twierdzili, że znakomitość jest kiepskim lekarzem — w domu księżnej i w kole jej znajomych nie wiadomo dlaczego wierzono, że tylko ów znakomity doktor posiada jakąś nadzwyczajną wiedzę i że on jeden potrafi uratować Kitty. Po starannych oględzinach i opukaniu przestraszonej i oszołomionej ze: wstydu pacjentki, znakomity doktor umywszy dokładnie ręce stał właśnie na środku salonu.. i rozmawiał z księciem, który słuchając go marszczył brwi i chrząkał. Będąc człowiekiem

doświadczonym, niegłupim i zdrowym, nie wierzył w medycynę i złościł się skrycie na tę całą komedię, tym bardziej że kto wie, czy nie on tylko dokładnie rozumiał właściwą przyczynę choroby Kitty. „A to dopiero łgarz” — myślał książę słuchając gadaniny słynnego lekarza o symptomach choroby Kitty. Doktor ze swej strony z trudem maskował pogardę, jaką stary pan w nim budził, i z trudem zniżał się do jego poziomu umysłowego. Zdawał sobie sprawę, że ze starym nie ma co gadać i że głową rodziny jest tutaj matka, przed nią tedy miał zamiar wysypać swoje perły. W tej chwili księżna w towarzystwie domowego lekarza weszła do salonu. Książę oddalił się starając się nie okazać, jak śmieszna wydawała mu się cała ta komedia. Księżna była zbita z tropu i nie wiedziała, co robić. Poczowała się do winy wobec Kitty.

— A więc, panie doktorze, niech pan decyduje o naszym losie” — rzekła wreszcie. — Niech pan nic przede mną nie ukrywa. — „Czy jest jeszcze jakaś nadzieja?” — zamierzała dodać, lecz usta jej zdrząły i nie mogła wypowiedzieć tego pytania.

— Zaraz, proszę księżnej, muszę tylko pomówić z kolegą, a potem będę miał zaszczyt przedłożyć moją opinię.

— Czy mamy zostawić panów samych?

— Jak księżna uważa. Księżna westchnęła tylko i wyszła.

Gdy lekarze zostali sami, domowy doktor nieśmiało począł formułować swoje zdanie, mianowicie, że są to początki gruźlicy, że jednak... itd. Znakomity jego kolega słuchał, w połowie wszakże tych wywodów popatrzył na swój duży złoty zegarek.

— Tak... — powiedział. — Ale...

Domowy lekarz z szacunkiem zamilkł w środku zdania.

— Jak panu wiadomo, rozpoznać początku procesu

gruźliczego nie jesteśmy w stanie; dopóki nie pojawią się kawerny, nic pewnego powiedzieć nie można. Możemy natomiast podejrzewać. Są pewne objawy: niedożywienie, podniecenie nerwowe itp. Sprawa więc tak się przedstawia: co należy zrobić, aby polepszyć odżywienie, gdy zachodzi obawa gruźlicy czynnej?

— Jednak...Jak wiadomo koledze, tego rodzaju wypadki mają zawsze moralne, psychiczne podłoże — ośmielił się wtrącić lekarz domowy ze znaczącym uśmiechem.

— Tak, ma się rozumieć — zgodził się znakomity doktor patrząc znowu na zegarek. — Przepraszam, czy naprawiono już Jauski most, czy też trzeba wciąż jeszcze objeżdżać naokoło? — zapytał. — A, już naprawiono?! Tak... W takim razie mogę tam być za dwadzieścia minut. Mówiliśmy tedy, że sprawa przedstawia się następująco: polepszyć odżywienie i doprowadzić nerwy do porządku. Jedno łączy się z drugim, należy więc podzielać na owo błędne koło jednocześnie w dwóch punktach.

— A wyjazd za granicę?

— Jestem wrogiem wyjazdów. Rozumie pan, panie kolego, jeśli to jest początek procesu gruźliczego, czego stwierdzić nie możemy, to wyjazd za granicę nie pomoże. Potrzebny jest jakiś nieszkodliwy środek, który by wpłynął na polepszenie odżywienia.

Tu znakomity doktor wyłożył swój plan leczenia wodami sodeńskimi*, na wybór których oczywiście wpłynęła przede wszystkim ich nieszkodliwość. Lekarz domowy wysłuchał sławnego kolegi z uwagą i szacunkiem.

— Ale na korzyść wyjazdu za granicę przemawia, moim zdaniem, konieczność zmiany nawyków i warunków, które budzą niepożądane wspomnienia. A wreszcie... Matka ma na

* S o d e n — miejscowość kuracyjna w Niemczech

to ochotę.

— A w takim razie niechże sobie jadą! Byle im tylko nie zaszkożdzili ci niemieccy szarlatani... Trzeba koniecznie, żeby te panie przestrzegały... no, ostatecznie cóż, niech jadą...

Znowu spojrzął na zegarek.

— O, ale już na mnie czas — powiedział i skierował się ku drzwiom.

Znakomity doktor oświadczył księżnej, że musi raz jeszcze obejrzyć pacjentkę (nakazywała mu to zwykła przyzwoitość zawodowa)

— Co takiego?! Jeszcze raz ją badać?! — zawołała przerażona księżna.

— Chodzi mi tylko o pewne szczegóły, proszę księżnej.

— Bardzo proszę.

I matka wprowadziła doktora do saloniku, gdzie wychudzona Kitty. — cała w rumieńcach niedawnego zawstyżenia i z nienaturalnie błyszczącymi oczyma — czekała stojąc pośrodku pokoju. Gdy wszedł doktor, zapłonila się na nowo, łzy nabiegły jej do oczu. Cała ta choroba zarówno jak i leczenie wydawały się jej takie głupie, a nawet śmieszne! Równie śmieszne jak sklepanie kawałków stłuczonego wazonu. Serce jej było rozbite, a chciano ją leczyć pigułkami i proszkami... Nie można było jednak ranić matki, tym bardziej że księżna i tak już winę przypisywała sobie.

— Zechce pani usiąść, księżniczko — rzekł doktor. Usiadł z uśmiechem naprzeciw Kitty, ujął ją za puls i począł znów zadawać swoje nudne pytania. Odpowiadała mu, lecz nagle zerwała się, zirytowana.

— Niech mi pan wybaczy, panie doktorze, ale te wszystkie pytania są bezcelowe... Pyta się pan po trzy razy o jedno i to

samo.

Znakomity lekarz nie obraził się.

— Chorobliwe zdenerwowanie — zwrócił się do księżnej, po wyjściu córki. — Zresztą już skończyłem.

I począł naukowo wyjaśniać księżnej — jako osobie wyjątkowo inteligentnej — stan zdrowia córki, zakończył zaś wskazówkami, jak należy pić owe całkiem zbyteczne wody. Na pytanie, czy jechać za granicę, doktor pograżył się w zawile rozważania, jak gdyby rozwiązywał niezwykle trudne zagadnienie. W końcu decyzja została powzięta: jechać, ale nie wierzyć żadnym szarlatanom i ze wszystkim zwracać się do niego.

Po wyjściu doktora dała się odczuć taka ulga, jakby przytrafiło się coś pomyślnego. Matka wróciła do córki weselsza, a Kitty udawała, że jest także lepszej myśli. Teraz często, niemal ciągle, musiała udawać.

— Naprawdę, *maman*, jestem zdrowa. Ale jeśli mama chce jechać, to jedźmy! — I usiłując okazać zainteresowanie podróżą zaczęła omawiać przygotowania do drogi.

II

Zaraz potem zjawiała się Dolly. Wiedziała, że tego dnia miało się odbyć konsylium, i chociaż niedawno wstała była po połogu (w końcu zimy powiła córeczkę), chociaż miała wiele własnych zmartwień i kłopotów, zostawiła bowiem w domu niemowlę oraz starszą córeczkę, która świeżo zachorowała — przyjechała jednak dowiedzieć się o losach Kitty, mających się tego dnia właśnie rozstrzygnąć.

— I cóż? — zapytała wchodząc do salonu nie zdjawszy nawet kapelusza. — Jesteście wszyscy, jak widzę, w doskonałych humorach. Pewnie wszystko dobrze?

Usiłowano powtórzyć jej, co orzekł doktor, lecz niestety okazało się, że wprawdzie doktor mówił bardzo ozdobnie i długo, niepodobna jednak było opowiedzieć tego własnymi słowami. Ważne było tylko jedno: to, że postanowiono wyjechać za granicę.

Dolly mimo woli westchnęła. Najlepsza jej przyjaciółka, młodsza siostra, miała wyjechać, a jej własne życie było takie niewesołe. Pogodziła się wprawdzie z mężem, ale dalsze ich stosunki stały się dla niej upokarzające; spojenie rozdarcia, dokonane przez Annę, nie było trwałe i zgoda rodzinna znów zaczynała się rysować w tym samym punkcie. Nie stało się nic określonego, lecz Obłoński nigdy prawie nie bywał w domu, a i pieniędzy niemal zawsze brakowało. W dodatku księżnę Darię znów trapiły podejrzenia, że mąż ją zdradza, choć starała się je odpędzać ze strachu przed doznanymi już mękami zazdrości. Pierwszy paroksyzm, raz przeżyty, powtórzyć się wprawdzie nie mógł i nawet odkrycie nowej zdrady nie mogłoby już na nią tak podziałać. Jak za pierwszym razem: takie odkrycie teraz pozbawiłoby ją jedynie resztek nawyków rodzinnych, pozwalając się więc oszukiwać pogardzając mężem, a jeszcze bardziej sobą — za tę słabość. Ponadto dręczyły ją nieustannie troski związane z liczną rodziną: to miała kłopoty z karmieniem niemowlęcia, to niania odchodziła, to znów, jak w tej chwili, chorowało jedno z dzieci.

— Jakże się mają wszyscy twoi? — zapytała matka.

— Ach, *maman*, mama i tak mą dosyć swoich zmartwień! ... Teraz znów Lili zachorowała i obawiam się, że to szkarlatyna. Na chwilę wyjechałam, by wpaść do was, bo później, jeśli to, broń Boże, naprawdę szkarlatyna, zamknę się w domu na dobre.

Stary książę po odjeździe doktora także wyszedł ze swego

gabinetu, nadstawił starszej córce policzek do pocałowania i po krótkiej z nią rozmowie zwrócił się do żony:

— Więc jakąż zapadła decyzja? Jedziecie? A ze mną co macie zamiar zrobić?

— Myślę, Alexandre, że powinieneś zostać w domu — odpowiedziała żona.

— Jak chcecie.

— *Maman*, dlaczego papa nie miałby z nami pojechać? — wtrąciła Kitty. — I jemu, i nam będzie różniej.

Stary książę wstał i pogłaskał Kitty po włosach. Podniosła głowę i patrzyła na niego usiłując się uśmiechnąć. Zawsze miała wrażenie, że z całej rodziny ojciec rozumie ją najlepiej, choć rzadko do niej się odzywa. Kitty, jako najmłodsza, była ulubienicą ojca; zdawało się jej czasem, że miłość dla niej czyni go wręcz przenikliwym. Teraz, gdy wzrok jej napotkał wejrzenie jego niebieskich, dobrotliwych oczu patrzących na nią badawczo, wydało się jej, że ojciec widzi ją na wylot i domyśla się, ile się w niej złego kryje. Rumieniąc się podniosła ku niemu twarz, oczekując pocałunku, lecz książę poklepał ją tylko z lekka po włosach i rzekł:

— Głupie te koki! Człek do prawdziwych włosów własnej córki dobrać się nie może, tylko musi głaskać włosy jakichś zdechłych bab. No, Doleńko — zagadnął starszą córkę — a twój frant co porabia?

— Nic papo — odparła Dolly domyślając się, że mowa o jej mężu. — Ciagle jest w rozjazdach i prawie zupełnie go nie widuję — dodała mimo woli z ironicznym uśmiechem.

— Jak to, nie wyjechał dotąd na wieś, żeby sprzedać las?

— Nie, wciąż się tylko wybiera.

— Więc to tak! — rzekł książę. — Więc i ja mam się zbierać do drogi? Rozkaz — zwrócił się do żony, po czym usiadł. — A ty, wiesz co, Katia — uśmiechnął się do

młodszej córki — ty pewnego pięknego poranku zbudź się i powiedz sobie: przecież ja jestem zupełnie zdrowa i wesoła i znów pójdziemy wczesnie rano przejść się z ojcem po mroziku. Co?

Zdawało się, że to, co ojciec powiedział, było całkiem zwyczajne, a jednak przy tych słowach Kitty stropiła się i zmieszała jak zbrodniarz schwytyany na gorącym uczynku. „Tak, papa wie wszystko, wszystkiego się domyślił i daje mi teraz do zrozumienia, że gdy kogo spotka wstyd, to trzeba jednak ten wstyd przemóc.” Kitty nie mogła się zdobyć na odpowiedź; wyjąkała parę słów, naraz rozplakała się i wybiegła z pokoju.

— Widzisz, do czego prowadzą twoje żarty! — oburzyła się księżna. — Bo ty zawsze... — i rozpoczęła mowę oskarżycielską.

Księżę wysłuchiwał dość długo w milczeniu wyrzutów małżonki, ale twarz jego stawała się coraz bardziej chmurna.

— Ona jest taka nieszczęśliwa, niebożatko, taka biedna, a ty nie czujesz, że rani ją każda aluzja do przyczyny jej cierpienia. Ach, jak można tak się zawieść na ludziach! — Z tonu księżnej Dolly i księżę odgadli, że ma na myśli Wrońskiego. — Nie rozumiem, dlaczego prawo nie ściga takich wstrętnych, podłych ludzi.

— Wolałbym tego nie słuchać! — odezwał się posepnie księżę wstając z fotela, jakby zamierzał wyjść, zatrzymał się jednak w progu. — Są na to ustawy, mamusiu; ale jeśli mnie już do tego doprowadzasz, to powiem ci, kto wszystkiemu, winien: ty, ty i tylko ty. Prawa na takich zuchów zawsze były i są! Tak, gdyby nie okoliczności, których nie powinno być, to choć jestem stary, sam zażądałbym od tego franta satysfakcji. Tak... A teraz; lecz ją sobie i sprowadzaj do domu tych szarlatanów.

Księżę zdawał się mieć jeszcze dużo do powiedzenia, lecz usłyszawszy ton jego głosu księżna od razu — jak zwykle w kwestiach poważnych — spokorniała i poczuła się skruszona.

— Alexandre, Alexandre! — szepnęła zbliżając się do męża i wybuchnęła płaczem.

Na widok jej łez księżę zaraz złagodniał i podszedł do niej.

— Dobrze już, dobrze! — pocieszał ją. — Wiem, że i tobie jest ciężko! Cóż zrobić! Nic strasznego się nie stało... Pan Bóg jest miłosierny... Dziękuję ci... — mówił sam już nie wiedząc co i czując na dłoni mokry od łez pocałunek żony ucałował ją również, po czym wyszedł z pokoju.

Już w chwili gdy Kitty z płaczem opuściła salonik. Dolly, wiedzona instynktem matki, wnet zdała sobie sprawę, że ma przed sobą zadanie wymagające kobiecej ręki, i rozpoczęła swe przygotowania: zdjęła kapelusz i — zakasawszy niejako w duchu rękawy — zabrała się do dzieła. Gdy matka zaatakowała ojca, starała się powstrzymać księżnę na tyle, na ile pozwalało uszanowanie, jakie była winna matce. Kiedy księżę wybuchnął gniewem, milczała; wstyd jej było za matkę, dla ojca natomiast poczuła tkliwość: dobroć u niego tak szybko brała górę nad gniewem. Kiedy ojciec wyszedł, postanowiła uczynić to, co było najważniejsze, najbardziej pilne: pójść uspokoić Kitty.

— Chciałam już dawno powiedzieć, *maman*... Mama może nie wie, że Lewin miał zamiar oświadczyć się Kitty, kiedy był tu ostatnio. Mówił o tym Stiwie.

— I cóż z tego? Nie rozumiem...

— Możliwe, że Kitty dała mu kosza. Czy nic mamie nie powiedziała?

— Nie, nic mi nie mówiła ani o jednym, ani o drugim; jest na to zbyt ambitna. Wiem tylko, że to jest powodem wszystkiego...

— Ale niech mama sobie wyobrazi, że jeśli odmówiła Lewinowi... A nie odmówiłaby mu, gdyby nie tamten... wiem to na pewno... A potem tamten zawiódł ją tak straszliwie...

Księżna tak była przerażona swą winą wobec córki, że aż ją gniew ogarnął:

— Ach, ja już nic nie rozumiem! Dzisiaj każdy chce żyć według własnego rozumu; nic się matce nie mówi, a potem — masz...

— Pójdę do niej, *maman*.

— A idź! Czy ja ci bronię? — odpowiedziała matka.

III

Dolly weszła do gabinetu Kitty; był to ładniutki, różowy pokój, z laleczkami *vieux Saxe*^{*}, równie młodzieńczy, różowy i wesoły jak sama Kitty jeszcze dwa miesiące temu. Dolly przypomniała sobie, z jakim staraniem w zeszłym roku urządziły wraz z siostrą ten pokój i jak im było wesoło... Serce jej się ścisnęło na widok Kitty, która z oczyma wlepionymi w róg dywanu siedziała na niskim krześle, stojącym najbliżej drzwi. Kitty podniosła oczy na siostrę, lecz chłodny; nieco surowy wyraz jej twarzy ani trochę się nie zmienił.

— Zaraz muszę wracać do domu, a jak już raz tam się zamknę, nie wolno ci będzie mnie odwiedzać — rzekła Daria Aleksandrowna siadając obok niej. — Chciałabym z tobą pomówić.

— O czym? — spytała szybko Kitty, z lękiem podnosząc głowę.

— Oczywiście o twoim zmartwieniu.

* *vieux Saxe* — ze starej saskiej porcelany

— Nie mam żadnego zmartwienia.

— Dajże spokój, Kitty! Czy naprawdę sądzisz, że ja mogę o tym nie wiedzieć? Wiem wszystko... I wierzę mi: to takie błahe!... Wszystkieśmy przez to przechodziły.

Kitty milczała, twarz jej nadal była surowa.

— On nie jest wart, byś z jego powodu cierpiała — rzekła Daria Aleksandrowna przystępując wprost do rzeczy.

— Tak... Dlatego, że mną wzgardził — łamiącym się głosem odrzekła Kitty. — Nie mów tak! Proszę cię, nie mów!

— Któż ci to powiedział? Nikt ci przecież tego nie mówił. Jestem przekonana że był w tobie zakochany i dotychczas kocha się w tobie, ale...

— Ach, najgorsze są te kondolencje! — wykrzyknęła Kitty unosząc się nagle gniewem. Obróciła się na krześle, rumieniec wystąpił na jej twarz i poczęła szybko poruszać palcami, ściskając „trzymaną na przemian to w jednej, to w drugiej ręce klamerkę od paska. Dolly знаła to przyzwyczajenie siostry, która w chwilach wzburzenia zwykła była przekładać przedmioty z ręki do ręki, i wiedziała, że Kitty potrafi w podnieceniu stracić panowanie nad sobą i nagadać wiele zbytecznych i przykrych rzeczy. Chciała ją uspokoić, ale było już za późno.

— Co, co chcesz mi dać przez to do zrozumienia? Co? — mówiła prędko Kitty. — To, że byłam zakochana w człowieku, który mnie znać nie chciał, i że umieram z miłości do niego?!... I to mówi mi siostra, której się zdaje, że... że... że współczuje ze mną!... Nie potrzebuję takiego współczucia, dość mam tej obłudy!

— Jesteś niesprawiedliwa, Kitty.

— To czemu mnie dręczysz?

— Ależ nie! Ja, przeciwnie... Widząc, że masz zmartwienie...

Kitty wszakże była zbyt wzburzona, żeby ją w ogóle słyszeć.

— Nie mam czego żałować ani się po czym pocieszać. Mam na tyle ambicji, że nigdy nie pozwolą sobie pokochać człowieka, który by mnie nie kochał.

— Ja też wcale tego nie mówię... Jedno tylko — proszę cię, powiedz mi prawdę. — Daria Aleksandrowna wzięła siostrę za rękę: — Powiedz, czy Lewin mówił ci?...

Na wzmiankę o Lewinie opanowanie Kitty do reszty przysło: zerwała się z krzesła, cisnęła klamerkę na podłogę i zawołała, szybko gestykulując:

— Po co wtrącasz, do, tego Lewina? Nie pojmuję, jaki cel masz w tym, żeby mnie dręczyć? Powiedziałam już i powtarzam, że mam swoją dumę i nigdy, nigdy nie zrobię tego co ty: żeby wrócić do człowieka, który zdradził, który pokochał inną. Ja tego nie rozumiem, nie rozumiem! To ty to potrafisz, nie ja!

Po tych słowach spojrzała na siostrę i widząc, że Dolly milczy ze smutnie zwieszoną głową, Kitty zamiast — jak zamierzała — wyjść z pokoju, usiadła przy drzwiach, ukryła twarz w chustce i spuściła głowę.

Milczenie trwało ze dwie minuty, Dolly rozmyślała nad sobą. Położenie, którego była nieustannie świadoma, odezwało się szczególnie boleśnie, gdy je siostra jej wypomniała. Nie oczekiwała od niej takiego okrucieństwa i zdjął ją gniew... Naraz jednak usłyszała szelest sukni i jednocześnie wybuch długo tłumionego łkania; czyjeś ręce z dołu sięgnęły ku niej i objęły ją za szyję. To Kitty klęczała przed nią.

— Doleńko, jestem taka nieszczęśliwa! — wyszlochała ze skruchą. I urocza, zalana łzami twarzyczka ukryła się w fałdach spódnicy Darii Aleksandrowny.

Jak gdyby łyzy były tym niezbędnym smarem, bez którego nie mógł dobrze funkcjonować mechanizm uczuć siostrzanych, obie siostry po wyplakaniu się rozpoczęły wynurzenia, nie o tym wprawdzie, co je interesowało, lecz rozumiały się już teraz mówiąc nawet o rzeczach postronnych. Kitty zdała sobie sprawę, że rzucone przez nią w uniesieniu słowa o niewierności Stiwy i o braku ambicji do głębi zraniły biedną jej siostrę, że Dolly już jej to jednak przebaczyła. Dolly ze swej strony dowiedziała się wszystkiego, co chciała wiedzieć. Przekonała się, że domysły jej były słuszne, że przyczyną zmartwienia i nieutulonego żalu Kitty było to, że Lewin oświadczył się jej i że ona mu odmówiła, gdy tymczasem Wroński ją oszukał... Że gotowa jest kochać Lewina, a nienawidzić Wrońskiego, Kitty nie wspomniała o tym ani słówkiem, zwierzyła się jej tylko ze swego wewnętrznego stanu.

— Ja się wcale nie martwię — mówiła już spokojniej — ale nie masz pojęcia, jak wszystko, a zwłaszcza ja sama, wydaje mi się wstrętne, obrzydliwe, ordynarne. Nie możesz sobie wyobrazić, jakie ohydne myśli przychodzą mi przy każdej sposobności do głowy.

— Jakież ty możesz mieć ohydne myśli? — uśmiechnęła się Dolly.

— Jak najbardziej, najbardziej plugawe i ordynarne... Nie potrafię ci nawet opowiedzieć. To nie melancholia ani nuda, to coś znacznie gorszego. Jak gdyby wszystko, co było we mnie dobre, przepadło, a zostało tylko to, co wstrętne. Jak by ci to powiedzieć? — ciągnęła dalej, poznając po oczach siostry, że ta nie rozumie. — Papa przed chwilą zaczął do mnie mówić... A ja miałam wrażenie, że ma na myśli tylko jedno: że powinnam wyjść za męża. Mama jedzie ze mną na bal, a mnie się zdaje, że wiezie mnie tam tylko po to, by mnie

czym prędzej wydać i pozbyć się z domu. Wiem, że to nieprawda, lecz nie potrafię odpędzić od siebie tych myśli. Na tak zwanych konkurentów patrzeć nie mogę; wydaje mi się, że biorą ze mnie miarę. Dawniej było mi po prostu przyjemnie wybrać się gdziekolwiek w balowej sukni, nawet zachwycalam się sobą... Teraz mi wstyd, czuję się zażenowana. No, cóż chcesz! Doktor... Więc...

Kitty zacięła się. Chciała jeszcze powiedzieć; że od czasu kiedy zaszła w niej ta zmiana, czuje nieprzewyciężony wstręt również i do szwagra, a gdy go widzi, przychodzą jej do głowy najordynarniejsze i najszkaradniejsze wyobrażenia.

— Widzisz więc, że patrzę na wszystko z najohydniejszej, najbardziej brutalnej strony — tłumaczyła Kitty. — Na tym polega moja choroba. Może to przejdzie...

— Więc nie myśl o tym wszystkim...

— Nie mogę... Tylko z dziećmi jest mi dobrze i tylko u ciebie.

— Jaka szkoda, że nie będziesz mogła teraz u mnie bywać.

— Przeciwnie, przyjadę do ciebie. Miałam już szkarlatynę i uproszę mamon, żeby mi pozwoliła.

Kitty postawiła na swoim, przeniosła się do siostry i przez cały czas trwania szkarlatyny, która istotnie wybuchła u Obłońskich, doglądała dzieci. Obie siostry skutecznie wykurowały całą szóstkę, ale Kitty wciąż niedomagala, i z początkiem wielkiego postu Szczerbaccy wyjechali za granicę.

IV

Wyższe sfery Petersburga stanowią właściwie jedno zamknięte koło: wszyscy znają się nawzajem i bywają u siebie. W tym dużym kole istnieje jednak wiele podziałek.

Anna Arkadiwna Karenin miała przyjaciół i utrzymywała bliskie stosunki towarzyskie w trzech różnych kołach. Jedno z nich — to było oficjalne, urzędowe koło jej męża, złożone z jego kolegów i podwładnych, którzy w hierarchii towarzyskiej byli w najrozmaitszy i najbardziej kapryśny sposób bądź ze sobą związani, bądź od siebie odgradzeni. Anna z trudnością przypominała sobie teraz ten zbożny niemal szacunek, jaki z początku budziły w niej owe osobistości. Dziś już znała je wszystkie tak dobrze, jak się znają wzajemnie ludzie w powiatowym miasteczku. Znała ich zwyczaje i słabostki, wiedziała, kogo jaki trzewik uwiera; znała ich wzajemne stosunki i stosunek do punktu centralnego. Wiedziała, kto kogo i jak popiera i kto dzięki czemu utrzymuje się na stanowisku. Wiedziała, kto z kim i w czym zgadza się lub różni. Ów krąg oficjalnych, czysto męskich zainteresowań nigdy jednak, mimo perswazyj hrabiny Lidii, nie potrafił Anny zająć, toteż starała się go unikać.

Drugim kółkiem bliskim Annie było to, któremu mąż jej zawdzięczał karierę. Ośrodek stanowiła tu hrabina Lidia. Była to koteria złożona ze starych, brzydkich, cnotliwych i pobożnych kobiet oraz mądrych, uczonych i ambitnych mężczyzn. Jeden z mądrych ludzi należących do tego kółka nazywał je „sumieniem petersburskiego towarzystwa”. Aleksy Aleksandrowicz miał je w wysokiej estymie i Anna, która tak dobrze umiała dostroić się do każdego, znalazła i tutaj przyjaciół zaraz na wstępie swego pobytu w Petersburgu. Teraz jednak, po powrocie z Moskwy, koteria ta wydała się jej nie do zniesienia. Miała wrażenie, że zarówno ona sama, jak i wszyscy inni coś udają, i było jej tak nudno i tak nieswojo w tym towarzystwie, że zaczęła coraz rzadziej odwiedzać hrabinę Lidię Iwanownę.

Trzecie wreszcie koło, z którym miała do czynienia, to był właściwy wielki świat, świat balów, obiadów, olśniewających toalet, świat trzymający się jedną ręką dworskiej klamki, by nie stoczyć się do poziomu półświatka, którym światowcy owi, jak im się zdawało, pogardzali, chociaż w gruncie rzeczy mieli upodobania nie tylko z nim pokrewne, ale nawet zupełnie jednakowe. Z tą sferą Anna utrzymywała stosunki przez żonę swego kuzyna, księżną Betsy Twerską. Księżna miała sto dwadzieścia tysięcy rocznego dochodu i od chwili ukazania się Anny w towarzystwie wielce ją polubiła, okazywała jej szczególne względy i wciągała ją w swoją orbitę, wyśmiewając zarazem otoczenie hrabiny Lidii Iwanowny.

— Kiedy się zestarzeję i zbrzydnę, będę taka jak ona — mawiała Betsy. — Ale dla młodej, ładnej kobiety jak ty, kuzynko, jeszcze za wcześnie na ten przytułek dla starców.

Anna zrazu unikała, na ile mogła, kółka księżnej Twerskiej, ponieważ pociągało to za sobą wydatki ponad stan i ponieważ rzeczywiście wołała koteryjkę hrabiny Lidii. Lecz po powrocie z Moskwy, przeciwnie — unikała swych cnotliwych przyjaciół i zaczęła bywać w wielkim świecie. Spotykając tam Wrońskiego doznawała za każdym razem radosnego wzruszenia. Najczęściej widywała go u Betsy, która jako Wrońska z domu, była jego stryjeczną siostrą. Wroński ze swej strony bywał wszędzie, gdzie mógł spotykać Annę, i przy każdej sposobności wyznawał jej swą miłość. Niczym go do tego nie upoważniała, za każdym jednak widzeniem ogarniał ją ten sam ożywczy płomień, co wówczas w wagonie, gdy go po raz pierwszy ujrzała. Czuła, jak na jego widok radość rozjaśnia jej oczy i układa wargi do uśmiechu, lecz nie mogła stłumić wyrazu tej radości.

Z początku szczerze wierzyła, że bierze mu za złe

zuchwalstwo, z jakim ją prześladował. Wkrótce jednak po powrocie z Moskwy na jakimś wieczorze, gdzie go wbrew spodziewaniu nie spotkała, po smutku, jaki ją ogarnął, poznała wyraźnie, że okłamywała się sama i że natarczywość Wrońskiego nie tylko nie sprawia jej przykrości, ale przeciwnie — jest jedyną rzeczą w życiu, która ją obchodzi.

Znakomita śpiewaczka występowała po raz drugi i cały petersburski wielki świat był w teatrze. Wroński ze swego fotelu w pierwszym rzędzie zobaczył kuzynkę i nie czekając antraktu poszedł do jej łoża.

— Czemuż to nie przyjechałeś na obiad? — zapytała go Betsy. — Podziwiam u zakochanych ten dar jasnowidzenia — dodała z uśmiechem, po cichu, by nikt prócz niego nie słyszał — jej nie było... Ale przyjdź do mnie po operze.

Spojrzał na nią pytająco. Betsy skinęła głową. Podziękował jej uśmiechem i usiadł obok niej.

— Kiedy sobie przypomnę twoje kpinki... — mówiła żartobliwie księżna Betsy, która ze specjalnym upodobaniem śledziła postępy tej namiętności. — Gdzie się to wszystko podziało?! Dałeś się schwytać, mój drogi...

— Niczego tak nie pragnę, jak być schwytanym — odparł Wroński ze swym pogodnym, dobrodusznym uśmiechem. — Jeśli kiedy narzekam, to tylko na to, że — skoro już mam być szczery — nie dość jeszcze jestem schwywany. Zaczynam tracić nadzieję.

— Jakąż ty możesz mieć nadzieję? — zachnęła się Betsy, urażona za przyjaciółkę. — *Entendons nous**... — Lecz iskrzące się w jej oczach błyski świadczyły, że wie o tym bardzo dobrze i zupełnie tak samo jak on rozumie, jaka to mogła być nadzieja.

— Żadnej — zaśmiał się pokazując swe nieskazitelne

* *Entendons nous* ... — porozumiejmy się

zęby. — Przepraszam — dodał i wyjąwszy jej z ręki lornetkę, począł wpatrywać się ponad jej obnażonym ramieniem w przeciwległy rząd „łóż. — Obawiam się, że staję się śmieszny.

Wiedział doskonale, że w oczach kuzynki i całej socjety śmieszność mu nie groziła. Wiedział aż nadto dobrze, że w ich oczach rola niefortunnego wielbiciela panny na wydaniu i w ogóle kobiety wolnej może się wydawać śmieszna, natomiast rola mężczyzny, który za wszelką cenę stara się skłonić do cudzołóstwa kobietę zamężną, ta rola ma w sobie jakieś imponujące piękno i nigdy nie może być przedmiotem drwin. Uśmiechnął się więc pod wąsem chętnie i wesoło, opuścił lornetkę i spojrzał na kuzynkę.

— A dlaczego nie przyjechałeś na obiad? — spytała Betsy patrząc na Wrońskiego z uznaniem.

— Muszę ci to opowiedzieć. Byłem bardzo zajęty, a wiesz czym? Stawiam sto, tysiąc na jeden, że nie zgadniesz... Godziłem męża z kimś, kto obraził jego żonę. Tak, naprawdę!

— No i jakże, pogodziłeś ich? — Prawie że tak.

— Musisz mi to koniecznie opowiedzieć — rzekła wstając. — Przyjdź, podczas następnego antraktu.

— Nie mogę; jadę do Teatru Francuskiego.

— Nie dosłuchasz Nilsonki* do końca? — przeraziła się Betsy, mimo że sama nie potrafiłaby odróżnić śpiewaczki Nilsson od byle chórzystki.

— Cóż robić! Mam z kimś spotkanie, także w związku z moją akcją pojednawczą.

— Błogosławieni pokój czyniący, albowiem będą zbawieni — rzekła Betsy przypominając sobie, że coś w tym

* Krystyna Nilsson (1843–1921) — znakomita śpiewaczka szwedzka. Występowała w Moskwie i w Petersburgu w latach siedemdziesiątych XIX stulecia.

rodzaju od kogoś słyszała. — Siadaj więc i opowiedz mi, jak to było. — To mówiąc usiadła znów na swoim miejscu.

V

Trochę to nieprzyzwoite, ale takie urocze, że mam wielką ochotę ci opowiedzieć — rzekł Wroński patrząc na nią roześmianymi oczyma. — Nazwisk nie będę wymieniał.

— Ale ja i tak je odgadnę... Tym lepiej.

— Posłuchaj więc: jedzie sobie dwóch wesołych młodych ludzi...

— Oczywiście, oficerów twojego pułku?...

— Nie powiedziałem: oficerów... Po prostu: dwóch młodych ludzi zaraz po śniadaniu...

— Chcesz powiedzieć: pod dobrą datą.

— Być może... Jadą więc w jak najróżowszych humorach do kolegi na obiad i widzą, jak mija ich w dorożce ładna kobieta, która ogląda się i tak im się przynajmniej zdawało, daje im ze śmiechem jakieś znaki. Oczywiście, oni — za nią. Pędzą co tchu. Ku ich zdumieniu ślicznotka owa zatrzymuje się przed tym właśnie domem, do którego jadą i oni. Ślicznotka wbiega na piętro. Widać tylko różane usteczka spod woalki i prześliczne maleńkie nóżki.

— Opowiadasz to z takim przejęciem, jak gdybyś sam był jednym z tych dwóch...

— A przed chwilą co mówiłaś? No, więc młodzi ludzie zachodzą sobie do tego kolegi. Był tam obiad pożegnalny. Tu, rzeczywiście, może i piją nieco za wiele, jak zawsze na pożegnalnych obiadach... A przy stole dopytują się, kto mieszka na górze... Nikt nie wie. Tylko lokaj pana domu na pytanie, czy na górze mieszkają *m a m z e l e**, odpowiada, że

* *M a m z e l* — *mademoiselle*: panna

pełno ich tam mieszka. Zaraz więc po obiedzie młodzi ludzie udają się do gabinetu pana domu i piszą list do nieznajomej. Napisali namiętny list, wyznanie miłosne, i sami niosą go na górę, chcąc osobiście wyjaśnić to, co w liście mogłoby być niezrozumiałe.

— I po co opowiadasz mi takie paskudztwa? No, i co dalej?

— Dzwonią. Służąca otwiera im drzwi. Oddają jej list i zapewniają, że obaj są tak zakochani, że gotowi są umrzeć na miejscu, pode drzwiami. Ośłupiała dziewczyna zaczyna z nimi pertraktować, gdy wtem zjawia się jegomość z baczkami w kształcie kielbasek, czerwony jak rak, oświadcza, że oprócz niego i żony nikt więcej w domu nie mieszka, i wyrzuca ich obu za drzwi.

— Skąd wiesz, że miał, jak powiadasz, baczki w kształcie kielbasek?

— Słuchaj tylko dalej. Byłem tam dzisiaj, żeby doprowadzić do pojednania.

— No i co?

— To jest właśnie najciekawsze. Okazało się, że jest to szczęśliwa para małżeńska, radca tytularny i radczyni tytularna. Radca oskarża, a ja gram rolę rozjemcy, i to jakiego rozjemcy!... Zapewniam cię, że w porównaniu ze mną Talleyrand* jest zerem.

— A na czym polegają trudności?

— Posłuchaj tylko... Przepraszaliśmy, jak należy: „Jesteśmy w rozpacz; zechcą państwo wybaczyć to nieszczęsne nieporozumienie.” Radca tytularny z kielbaskami już zaczyna mięknać, ale pragnie także dać upust swym uczuciom, a jak tylko zaczyna je wypowiadać, gniew go ponosi i mówi rzeczy obrażające. Znów więc muszę puszczać

* Karol Talleyrand-Perigord (1754–1838) — francuski mąż stanu i dyplomata, znany z przebiegłości

w ruch cały mój kunszt dyplomatyczny: „Zgadzam się z panem, że z ich strony był to brzydki postępek, lecz proszę wziąć pod uwagę pomyłkę, młodość... Przy tym młodzi ludzie byli świeżo po śniadaniu. Pan rozumie,.. Żałują z całej duszy i proszą o darowanie im winy.” Radca tytularny znów mięknie. „Zgadzam się, hrabio, gotów jestem przebaczyć, ale sam pan rozumie, że żonę moją, kobietę uczciwą, napastowano, obrażono w grubiański, impertynencki sposób i że uczynili to smarkacze, szubr...” Tymczasem ten smarkacz, rozumiesz, jest tam obecny, a ja mam za zadanie doprowadzić do zgody. Uciekam się więc ponownie do dyplomacji, ale cóż, kiedy sprawa dobiega końca, mój radca zaczyna się znów unosić, czerwienieje, kiełbaski się jeżą, a ja znów jestem zmuszony sięgać po moje dyplomatyczne finetje.

— Ach, muszę to pani koniecznie opowiedzieć! — śmiała się Betsy zwracając się do znajomej, która właśnie weszła do łoży. — Mój kuzyn tak mnie ubawił!...

— A więc, *bonne chance** — dodała podając Wrońskiemu jedyny palec nie zajęty trzymaniem wachlarza i ruchem ramion tak zsuwając w dół wycięcie sukni, by wydać się, jak to było przyjęte, zupełnie naga, gdy wyszedłszy ku przodowi łoży, znajdzie się W świetle gazu i w ogniu skierowanych na nią spojrzeń.

Wroński pojechał do Teatru Francuskiego, gdzie istotnie miał się zobaczyć z dowódcą pułku, który nie opuszczał ani jednego przedstawienia w tym teatrze, i pomówić o swej misji pokojowej. Zajmowała go ona i bawiła już od paru dni. Do sprawy zamieszani byli — Petrycki, którego Wroński lubił, i młody, niedawno przybyły do pułku książę Kiedrow, dobry chłopak i doskonały kompan. Przede wszystkim jednak

* *Bonne chance* — powodzenia

chodziło tu o honor pułku.

Obaj należeli do szwadronu Wrońskiego.

U dowódcy pułku zjawił się urzędnik, radca tytularny Wenden, ze skargą na oficerów, którzy ubliżyli jego żonie. Młoda małżonka, jak opowiedział Wenden — żonaty od pół roku — była z matką w cerkwi; nagle na skutek wiadomego stanu zrobiło się jej niedobrze. Nie mogąc dłużej stać, wzięła pierwszego napotkanego rysaka* i udała się do domu. Wówczas oficerowie poczęli ją gonić: przestraszyła się więc, poczuła się gorzej i wbiegła po schodach na górę. Wenden ze swej strony po powrocie z biura posłyszał dzwonek i nieznanym głosem wyszedł do przedpokoju i widząc pijanych oficerów z listem wypchnął ich za drzwi. Domagał się surowego ukarania winnych.

— Nie, jak pan sobie chce — powiedział dowódca pułku Wrońskiemu zawezwawszy go do swej łoży — Petrycki staje się niemożliwy! Nie ma tygodnia bez skandalu. Ten urzędnik nie puści tego płazem, pójdzie z tym wyżej.

Wroński widział, że to brzydka sprawa i że o pojedynku nie może być mowy, rozumiał więc, że należy uczynić wszystko, by ułagodzić owego radcę i całą historię zatuszować. Dowódca pułku poruczył to właśnie Wrońskiemu, ceniał bowiem jego szlachetność i rozum, a przede wszystkim miał go za człowieka dbałego o honor pułku. Po wspólnej naradzie postanowili byli, że Petrycki i Kiedrow powinni pojechać wraz z Wrońskim i osobiście przeprosić radcę tytularnego. Dowódca pułku i Wroński — obaj zdawali sobie sprawę, że nazwisko Wrońskiego i jego fligiel-adiutancka cyfra mogą się walnie przyczynić do udobruchania radcy. I rzeczywiście oba te środki częściowo dowiodły swej skuteczności, wynik akcji pojednawczej był

* R y s a k — rasa oni rosyjskich; tu: dorożka zaprzęgnięta w rysaki

wciąż jednak, jak to Wroński opowiadał kuzynce wątpliwy.

Po przybyciu do Teatru Francuskiego Wroński wyszedł z dowódcą pułku do foyer i zdał sprawę ze swych sukcesów i niepowodzeń. Dowódca pułku po namyśle postanowił nie wyciągać z tej historii żadnych konsekwencji, ale później — przez ciekawość — zaczął wypytywać o szczegóły widzenia z Wendenem i długo nie mógł stłumić śmiechu słysząc od Wrońskiego, jak radca, już prawie ułagodzony, raz po raz od nowa się unosił na wspomnienie szczegółów incydentu i jak Wroński — wciąż lawirując — przy ostatnim półsłówku układow wypychał Petryckiego naprzód, a sam się wycofywał.

— Paskudna sprawa, ale umrzeć można ze śmiechu. Przecież Kiedrow nie może się bić z tym panem! Więc radca tak się bardzo sierzcił? — ze śmiechem dopytywał się pułkownik. — A jak się panu dzisiaj podoba Claire? Cudowna! — podziwiał nową aktorkę francuską. — Ile razy się na nią patrzy, tyle razy jest inna. Tylko Francuzi to potrafią.

VI

Księżna Betsy opuściła teatr przed końcem ostatniego aktu. Ledwo zdążyła wejść do ubieralni, upudrować swą długą, bladą twarz, zetrzeć puder i poprawić toaletę, ledwo kazała podać herbatę w dużym salonie — gdy przed jej ogromny dom przy Wielkiej Morskiej poczęły jedna po drugiej zajeżdżać karety. Goście wysiadali na szerokim dojeździe i otyły szwajcar, który co dzień rano za szklanymi drzwiami czytał ku zbudowaniu przechodniów gazety, bezszelestnie otwierał te wielkie podwoje i usuwał się na bok, wpuszczając przybywających.

Prawie jednocześnie do obszernego salonu o ciemnych ścianach i puszystych dywanach weszli przez jedne drzwi świeżo upudrowana i uczesana pani domu, przez drugie — goście. Na rzęsiście oświetlonym stole jaśniała w ogniach świec biel obrusu, srebro samowara i przezroczysta porcelana serwisu do herbaty.

Pani domu usiadła przy samowarze i zdjęła rękawiczki. Goście z pomocą dyskretnych lokajów poprzysuwali sobie krzesła, dzieląc się od razu na dwie grupy: jedna przy samowarze w pobliżu Betsy, druga na przeciwnym końcu salonu, dokoła pięknej żony zagranicznego posła. Dama owa miała czarną aksamitną suknię i czarne ostro zarysowane brwi. W obu tych centrach — rozmowa — przerywana co chwila wchodzeniem nowych gości, powitaniami, roznoszeniem herbaty — jak zwykle na samym początku wciąż się rwała, jakby szukała, na czym by się zatrzymać.

— Jest doskonałą aktorką; widać od razu, że wystudiowała Kaulbacha* — mówił dyplomata spośród otoczenia żony posła. — Zauważyliście państwo, jak ona upadła?

— Zlitujcie się, nie mówmy o Nilsonce! Nic nowego o niej powiedzieć się nie da — zaprotestowała ubrana w starą jedwabną suknię gruba, czerwona na twarzy blondynka bez brwi i bez szynionu*. Była to księżna Miagkaja, znana ze swej bezpośredniości i prostackiego obojętności, o przezwisku *enfant terrible**. Siedziała teraz pośrodku, między jedną a drugą grupą, przysłuchując się i biorąc udział w rozmowie to tu, to tam. — Już trzy osoby powiedziały mi dzisiaj ten sam frazes o Kaulbachu, jakby się wszyscy zmówili. Nie wiem doprawdy, dlaczego to zdanie tak im się spodobało.

* Wilhem von K a u l b a c h (1805–1874) — malarz niemiecki. Ilustrował dzieła dramatyczne Szekspira i Schillera

* S z y n i o n — sztuczny warkocz wpleciony w fryzurę

* *Enfant terrible* — osoba naiwna i nietaktownie szczerą

Uwaga księżnej Miagkiej urwała rozmowę i trzeba było znaleźć nowy temat.

— Niech pan nam opowie coś zabawnego, ale niezłośliwego — podjęła znów żona posła, wielka mistrzyni wykwintnej konwersacji, zwanej przez Anglików *small-talk*, zwracając się do dyplomaty, który również nie wiedział, od czego teraz zacząć.

— Powiadają, że to bardzo trudne, że tylko złośliwość jest zabawna — rozpoczął z uśmiechem. — Ale spróbuję. Proszę o temat. Wszystko zależy od tematu. Gdy się już ma kanwę, można z łatwością na niej haftować. Często myślę, że nawet znakomici gawędziarze zeszłego stulecia byliby w kłopotcie, gdyby teraz zapragnęli powiedzieć coś mądrego. Wszystkie mądrości już nam tak obrzydły...

— I to też dawno już powiedziano... — przerwała ze śmiechem żona posła.

Rozmowa rozpoczęła się bardzo przyjemnie — ale właśnie dlatego, że była tak niezmiernie gładka, znów utknęła. Trzeba było sięgnąć po wypróbowany, niezawodny środek — obmowę.

— Czy pani nie uważa, że Tuskiewicz jest trochę w stylu Ludwika XV? — spytał dyplomata wskazując oczyma na stojącego przy stole pięknego młodego blondyna.

— Istotnie! Jest w tym samym guście co i salon. Dlatego tak często tutaj bywa.

Rozmowa utrzymała się, za pomocą bowiem aluzji poruszono właśnie to, o czym niepodobna było mówić w tym salonie, a mianowicie stosunek Tuskiewicza do pani domu.

Przy samowarze, w otoczeniu pani domu, rozmowa także przez pewien czas ważyła się pomiędzy trzema nieuniknionymi tematami: najświeższą nowiną towarzyską, teatrem i” krytyką bliźnich, aż w końcu, po natrafieniu na ten

ostatni, to jest na obmowę, ustaliła się.

— Słyszeliście państwo, że Maltiszczewa — matka, nie córka — sprawia sobie także kostium *diable rose**?

— Nie może być! Nie!... To wspaniałe!

— Dziwię się, jak przy jej inteligencji — jest przecież niegłupia — można do tego stopnia nie zdawać sobie sprawy z własnej śmieszności.

Każdy miał coś do powiedzenia, każdy krytykował i ośmieszał nieszczęsną panią Maltiszczew, i rozmowa zaiskrzyła się wesoło, jak rozgorzałe nareszcie ognisko.

Mąż księżnej Betsy, poczciwy grubas, namiętny zbieracz sztychów, dowiedziawszy się, że żona ma gości, przed wyjściem do klubu zajrzał do salonu i podszedł bez szmeru po miękkim dywanie do księżny Miagkiej.

— Jak się księżnej podobała Nilsonka? — zapytał. — Kto widział tak się skradać! Ach! jakże księżę mnie przestraszył! — zawołała. — Proszę z łaski swojej nie mówić ze mną o operze: księżę nic a nic się nie zna na muzyce. Już wolę się poświęcić i rozmawiać o majolikach i rycinach księcia. Jakż skarb kupił świeżo księżę na tandecie?

— Jeśli księżna chce, to mogę pokazać.... Cóż, kiedy księżna na tym się nie zna.

— Proszę pokazać. Nauczyłam się tego u tych... jakżeoni się nazywają?... u tych bankierów. Mają śliczne ryciny, pokazywali je nam.

— Jak to, byliście u Schutzburgów? — zdziwiła się pani domu.

— Byliśmy, *ma chère**. — Zaprosili nas z mężem na obiad...

— Mówiono mi, że sos na tym obiedzie kosztował tysiąc rubli — opowiadała głośno księżna Miagkaja, dobrze

* *Diable rose* — w kolorze jasnoróżowym

* *Ma chère* — moja droga

wiedząc, że wszyscy słuchają — a sos był wręcz obrzydliwy... Coś zielonego. Trzeba było z kolei i ich zaprosić. U mnie był sos za osiemdziesiąt pięć kopiejek i wszystkim bardzo smakował. Nie stać mnie na tysiącrublowe sosy.

— Ona jest jedyna w swoim rodzaju! — zawołała księżna Betsy.

— Zdumiewająca! — potwierdził ktoś inny.

Efekt, jaki wywoływała księżna Miagkaja, był zawsze niezawodny, a tajemnica jego polegała na tym, że księżna mówiła rzeczy proste i mające sens, chociaż nie zawsze — jak choćby teraz — stosowne. W towarzystwie, do którego należała, tego rodzaju powiedzenia działały jak najdowcipniejszy żart. Księżna nie rozumiejąc, dlaczego tak było, zdawała sobie jednak z tego sprawę i umiała to wykorzystać.

Ponieważ podczas opowiadania księżnej wszyscy jej słuchali i rozmowa wokół żony posła umilkła, pani domu, pragnąc zespolic towarzystwo, zwróciła się do niej:

— Czy pani naprawdę nie chce herbaty? Prosimy panią do nas.

— Dziękuję, jest nam tu bardzo dobrze — uśmiechnęła się żona posła i znów podjęła przerwana rozmowę.

Rozmowa była bardzo zajmująca: krytykowano oboje Kareninów.

— Anna zmieniła się bardzo od powrotu z Moskwy; jest teraz taka dziwna. — zauważyła jedna z przyjaciółek Anny.

— Najważniejsza zmiana polega na tym, że przywiozła ze sobą cień, Aleksego Wrońskiego — dodała żona posła.

— I cóż z tego? Istnieje bajka Grimma* o człowieku bez

* Jakub Grimm (1785–1963) — wraz z bratem Wilhelmem wydał oparte na niemieckich podaniach ludowych bajki, bardzo popularne i tłumaczone na wiele języków obcych.

cienia, człowieku, którego pozbawiono cienia; miało to być dla niego karą za coś, nigdy jednak nie mogłem pojąć, na czym ta kara polegała... Ale kobiecie musi być bez cienia przykro.

— Tak, to prawda, tylko że kobiety z cieniem zwykle źle kończą — orzekła przyjaciółka Anny.

— A bodajbyś pani pypcia dostała! — powiedziała nagle księżna Miagkaja. — Anna to przeurocza kobieta. Męża jej nie lubię, ale ją samą — bardzo.

— A dlaczego księżna nie lubi jej męża? — To taki wybitny człowiek — zainteresowała się żona pośła. — Mąż mój twierdzi, że niewiele jest takich głów w Europie.

— I mój mąż jest również tego samego zdania, ale ja się z nim nie zgadzam — rzekła księżna. — Gdyby mężowie nasi nic nam nie mówili, widziałybyśmy rzeczy tak, jak one są. Karenin, moim zdaniem, jest po prostu głupi. Mówię to po cichu... Prawda, jak wszystko od razu staje się jasne? Przedtem, gdy mi kazano uważać go za rozumnego, wciąż łamałam sobie głowę i znajdowałam, że sama jestem głupia, bo nie widzę jego rozumu. Jak tylko jednak powiedziałam sobie, ale po cichutku, szeptem: on jest głupi — od razu wszystko stało się jasne, prawda?

— Jaka księżna dzisiaj złośliwa!

— Ale gdzież tam! Po prostu nie mam innego wyjścia ktoś z nas dwojga jest głupi. No, a jak państwu wiadomo o sobie nigdy tego powiedzieć nie można.

— Nikt nie jest kontent ze swojej fortuny, każdy — ze swego rozumu — zacytował dyplomata wiersz francuski.

— Otóż to właśnie — potwierdziła szybko księżna Miagkaja zwracając się ku niemu. — Ale tu chodzi o to, że Anny wam nie oddam na pastwę. Taka urocza, taka miła! Cóż ona może na to poradzić, że wszyscy się w niej kochają i

chodzą za nią jak cienie?

— Ależ ja ani myślę jej potępiać — usprawiedliwiała się przyjaciółka Anny.

— To, że za nami nikt jak cień nie chodzi, nie — jest jeszcze powodem, byśmy miały prawo krytykować innych.

Dawszy w ten sposób porządnie po nosie przyjaciółce Anny księżna wstała i wraz z żoną zagranicznego posła zbliżyła się do stołu, przy którym toczyła się ogólna rozmowa o królu pruskim.

— Kogoście tam państwo obgadywali? — zapytała Betsy.

— Kareninów. Księżna skreśliła nam sylwetkę Aleksego Aleksandrowicza — odpowiedziała z uśmiechem żona posła siadając przy stole.

— Szkoda, żeśmy tego nie słyszeli — zauważyła pani domu spoglądając na drzwi. — A, nareszcie! — powitała uśmiechem Wrońskiego, który wchodził właśnie do salonu.

Wroński nie tylko wszystkich znał, ale tych, którzy tu byli, widywał codziennie, wszedł więc do salonu ze swobodą, z jaką się wchodzi do pokoju pełnego osób, które się dopiero co pożegnało.

— Skąd przybywam tak późno? — odpowiedział na pytanie żony posła. — Trudno, muszę się przyznać: z teatru Bouffes. Zdaje się, że byłem tam po raz setny, a zawsze z nową przyjemnością. Zachwycające! Wiem, że to wstyd, ale ja na operze drzemię, natomiast w Bouffes siedzę zawsze do ostatniej sekundy i dobrze się bawię... Dzisiaj...

Tu wymienił z nazwiska francuską aktorkę i chciał coś o niej powiedzieć, ale żona posła przerwała mu z żartobliwą zgrozą:

— Proszę, niech nam pan nie opowiada o tych okropnościach!

— Dobrze, nie będę... Tym bardziej że wszyscy i tak już

te okropności znają.

— I wszyscy by tam pojechali, gdyby to było tak przyjęte jak opera — dodała księżna Miagkaja.

VII

Za wejściowymi drzwiami rozległ się odgłos kroków i księżna Betsy, wiedząc, że to pani Karenin, spojrzała na Wrońskiego. Ten spoglądał na drzwi i twarz jego nabierała dziwnego, nowego wyrazu. Z radością, uważnie, a zarazem nieśmiało patrzył na przybyłą i z wolna podnosił się z miejsca. Anna wchodziła do salonu. Trzymając się jak zwykle nadzwyczaj prosto i patrząc wprost przed siebie — szła szybkim, pewnym i lekkim krokiem, który ją tak różnił od innych pań z towarzystwa; przeszła niewielką przestrzeń dzielącą ją od pani domu, podała jej rękę, uśmiechnęła się do niej i wciąż z tym samym uśmiechem obejrzała się na Wrońskiego. Wroński skłonił się nisko i przysunął jej krzesło.

Anna odpowiedziała tylko skinieniem głowy, zarumieniła się i uśmiech znikł z jej twarzy. Zaraz potem, kłaniając się pospiesznie znajomym i ściskając ręce, które się ku niej wyciągały, zwróciła się do Betsy:

— Byłam u hrabiny Lidii. Chciałam wcześniej przyjechać, ale zasiedziałam się tam. Był u niej sir John. To bardzo ciekawy człowiek.

— Ach, ten misjonarz?

— Tak, opowiadał nadzwyczaj interesujące rzeczy o życiu w Indiach.

Rozmowa, przerwana przybyciem Anny, znów zawahała się jak płomień lampy, na którą dmuchnięto.

— Sir John! Tak, sir John. Widziałam go. Ślicznie mówi.

Własiewa jest w nim całkiem zakochana.

— A czy to prawda, że młodsza Własiewa wychodzi za Topowa?

— Tak, podobno to już ostatecznie, postanowione.

— Dziwię się rodzicom! Mówią, że to małżeństwo z namiętnej miłości.

— Z namiętnej miłości? Jakie pani ma przedpotopowe pojęcia! Któż dzisiaj mówi o namiętnościach — odezwała się żona posła.

— Cóż robić! Ta głupia stara moda wciąż się jeszcze nie da wykorzenić — powiedział Wroński.

— Tym gorzej dla tych, co jej hołdować nie przestają. Znam szczęśliwe małżeństwa, ale tylko z rozsądku.

— Tak, a za to jak często w małżeństwach z rozsądku szczęście ulatnia się jak dym, właśnie dlatego, że nagle pojawia się owa miłość, której nie chciano uznać — zaoponował Wroński.

— Małżeństwami z rozsądku nazywamy przecie takie, w których obie strony zdążyły się już wyszumieć, ale przed ślubem. To jest jak szkarlatyna: trzeba przez to przejść.

— W takim razie należałoby nauczyć się sztucznie zaszczeptać miłość, jak się szczepi ospę.

— W młodości kochałam się w diaczku* — wyznała księżna Miagkaja. — Nie wiem, czy mi to co pomogło.

— Nie, bez żartów, myślę, że najlepiej poznaje się miłość, gdy się najpierw popełni omyłkę, a potem ją naprawi — powiedziała księżna Betsy.

— Nawet po ślubie? — żartobliwie spytała żona posła.

— Nigdy nie jest za późno na skrucę — zacytował angielskie przysłowie dyplomata.

— Właśnie — potwierdziła Betsy — trzeba dopełnić

* D i a k — śpiewak cerkiewny

omyłkę, a potem ją naprawić. A ty co o tym myślisz, kuzynko? — zwróciła się do Anny, która z wyrazem nieustępliwości i nieznacznym uśmiechem przysłuchiwała się rozmowie.

— Ja sędzę. — odrzekła Anna bawiąc się zdjętą rękawiczką — że jeśli prawdziwe jest powiedzenie: ile głów, tyle rozumów, to również prawdziwe: ile serc, tyle rodzajów miłości.

Wroński patrzył na Annę i z zamierającym sercem oczekiwał, co powie. Po tych jej słowach odetchnął, jakby ominięło go jakieś niebezpieczeństwo.

Nagle Anna zwróciła się do niego:

— A ja dostałam list z Moskwy; piszą mi, że Kitty Szczerbacka jest bardzo chora.

— Doprawdy? — zasepił się Wroński. Anna zmierzyła go surowym spojrzeniem.

— Pana to nie interesuje?

— Przeciwnie, bardzo. Czy można wiedzieć, co mianowicie piszą?

Anna wstała i podeszła do stołu.

— Proszę o filiżankę herbaty — rzekła stając za krzesłem Betsy.

Podczas gdy Betsy nalewała herbatę, Wroński podszedł do Anny.

— Więc cóż jest w tym liście? — zapytał znowu.

— Nieraz myślę, że mężczyźni nie zdają sobie sprawy, co jest nieszlachetne, a tymczasem zawsze o tym mówią — zauważyła Anna nie odpowiadając wprost na pytanie. — Chciałam to już dawno panu powiedzieć — dodała siadając przy stoliku z albumami o parę kroków dalej, w kącie salonu.

— Niezupełnie rozumiem, co pani ma na myśli — rzekł podając jej filiżankę.

Spojrzała na miejsce obok siebie na kanapie i Wroński pospieszył je zająć.

— Tak, chciałam powiedzieć panu — nie patrzyła na niego — że źle pan postąpił, źle, bardzo źle.

— A czyż ja nie wiem, że źle postąpiłem? Ale kto jest tego przyczyną?

— Dlaczego pan mi to mówi? — zapytała spoglądając surowo na Wrońskiego.

— Pani wie dlaczego — odpowiedział zuchwale i radośnie, szukając oczyma jej wzroku i wytrzymując jej spojrzenie.

Nie on się teraz zmieszał, lecz ona.

— To tylko dowodzi, że pan jest bez serca — rzekła. Bijący wszakże z jej oczu lęk zdradzał, że Anna przejrzała serce Wrońskiego i dlatego właśnie boi się go.

— To, o czym pani przed chwilą wspomniała, było omyłką, to nie była miłość.

— Pan pamięta, że zabroniłam panu wymawiać to słowo, szkaradne słowo — i mówiąc to Anna wzdrygnęła się; poczuła od razu, że powiedziawszy „zabroniłam”, zgłosiła niejako pewne prawa do osoby Wrońskiego, a tym samym zachęciła go do wyznań miłosnych. — Już dawno chciałam to panu powiedzieć — mówiła dalej, patrząc mu stanowczo w oczy i cała płonąć rumieńcem, który jej palił policzki — dzisiaj umyślnie przyjechałam, wiedząc, że pana tutaj spotkam, przyjechałam panu powiedzieć, że to się musi skończyć. Nigdy dotychczas nie rumieniłam się przed nikim, a pan sprawia, że ciągle czuję się tak, jakbym popełniła jakąś winę.

Patrzył na nią: uderzyła go nowa, uduchowiona piękność jej twarzy.

— Czego pani żąda ode mnie? — zapytał poważnie i z

prostotą.

— Chcę, aby pan pojechał do Moskwy i prosił Kitty o przebaczenie.

— Pani nie chce tego naprawdę.

Widział, że Anna zmusza się do tej odpowiedzi, że nie mówi tego, co by powiedzieć chciała.

— Jeśli, jak pan twierdzi, pan mnie kocha — szepnęła — to niech pan sprawi, abym była spokojna.

Wroński rozpromienił się.

— Czyż pani nie wie, że pani jest całym moim życiem? Ale i ja nie znam spokoju, i pani go dać nie mogę. Całego siebie, miłość — tak! Nie mogę rozdzielić myśli o pani od myśli o sobie: pani i ja to dla mnie jedno. I na przyszłość nie widzą spokoju ani dla siebie, ani dla pani... Widzę rozpacz, nieszczęście... albo też — szczęście, i to jakie szczęście!... Czyż ono nie jest możliwe? — dodał najcichszym szeptem. Ale Anna go dosłyszała.

Cała skupiła się w sobie, chcąc powiedzieć to, co powiedzieć było jej powinnością... Lecz ogarnęła go tylko spojrzeniem pełnym miłości — i nic nie rzekła.

„A więc nareszcie! — myślał w upojeniu. — Gdy już byłem bliski rozpacz i zdawało się, że tak będzie bez końca... Nareszcie! Kocha mnie... Przyznaje się do tego.” — Niechże pan to dla mnie zrobi i nie mówi tak do mnie nigdy, a będziemy przyjaciółmi — wyrzekły jej usta, podczas gdy oczy mówiły całkiem co innego.

— Przyjaciółmi nie będziemy; pani sama o tym wie. A czy będziemy najszczęśliwszymi, czy też najniezszczęśliwszymi z ludzi — to jest w pani mocy.

Chciała coś odpowiedzieć, ale Wroński jej przerwał:

— Tylko o jedno przecie proszę: proszę, by pani nie odbierała mi nadziei i pozwoliła dalej cierpieć jak dotąd. Jeśli

i to jest niemożliwe, niech mi pani każe zniknąć, a zniknę. Jeśli obecność moja sprawia pani przykrość, nie będzie mnie pani widywała.

— Ja nie chcę pana nigdzie wypędzać.

— Niech pani tylko nic nie zmienia. Niech wszystko zostanie tak, jak było dotychczas — rzekł drżącym głosem. — Oto mąż pani!

Istotnie, w tej chwili Karenin wchodził do salonu swym spokojnym, niezgrabnym krokiem.

Spojrząwszy mimochodem na żonę i na Wrońskiego, podszedł do pani domu, dostał filiżankę herbaty przy — stole i począł mówić po swojemu, powolnie i dobitnie, zwykłym swym ironicznym tonem, jakby kpiąc z kogoś.

— Rambouillet* księżnej jest w komplecie — tu obrzucił wzrokiem towarzystwo. — Gracje i muzy.

Księżna Betsy wszelako nie cierpiała tego tonu Karenina i nazywała go *sneering** Jak o wytrawna pani domu skierowała rozmowę na poważny temat: obowiązek powszechnej służby wojskowej. Karenin zaraz dał się wciągnąć w dyskusję i zaczął całkiem poważnie bronić nowej ustawy przed atakami Betsy.

Wroński i Anna wciąż siedzieli przy małym stoliku.

— To zaczyna być nieprzyzwoite — szepnęła jedna z pań wskazując wzrokiem na Wrońskiego, Annę i jej męża.

— A co nie mówiłam?! — zauważyła przyjaciółka Anny.

Ale nie tylko te panie, lecz prawie wszyscy obecni, nawet księżna Miagkaja i Betsy — raz po raz spoglądali na oddaloną od reszty towarzystwa parę, jak gdyby to im

* Rambouillet — mowa o paryskim salonie markizy de Rambouillet, gdzie w latach 1720–1760 zbierali się wybitni ludzie epoki i towarzystwo dworskie. Salon ten odegrał pewną rolę w kształtowaniu się literatury francuskiej.

* *Sneering* — szydlerczy

przeszkadzało. Jeden tylko Aleksy Aleksandrowicz ani razu nie spojrział w tę stronę i nie odrywał się od ciekawej konwersacji.

To niemiłe ogólne wrażenie nie uszło uwagi księżnej Betsy, podsunęła więc Kareninowi na swoje miejsce kogoś i podeszła do Anny.

— Zawsze podziwiam jasność i ścisłość określeń twego męża — powiedziała. — Kiedy o czymś mówi, najbardziej transcendentalne pojęcia stają się dla mnie dostępne.

— O tak! — potwierdziła Anna z promiennym uśmiechem szczęścia.

Nie rozumiała ani jednego słowa z tego, co mówiła Betsy. Zbliżyła się do dużego stołu i wzięła udział w ogólnej rozmowie.

Karenin odczekał pół godziny, po czym podszedł do żony i zaproponował jej wspólny powrót do domu; odpowiedziała mu nie patrząc na niego, że zostaje na kolacji. Ukłonił się wszystkim i wyszedł. Stary, gruby Tatar w błyszczącym skórzanym płaszczu, stangret Kareninów, z trudnością powstrzymywał zziębniętego lewego siwka, stojącego dęba pod gankiem. Lokaj stał przy otwartych drzwiczkach karety, a szwajcar przytrzymał drzwi wejściowe. Pani Karenin, odczepiając pośpiesznie drobną rączką koronkę rękawa od haftki futra, z lekko pochyloną głową słuchała w zachwycie słów Wrońskiego, który ją odprowadzał.

— Pani nic nie powiedziała; dajmy na to, że i ja nic nie żądam, ale pani wie, że nie o przyjaźń mi chodzi. Jedno tylko szczęście może mnie spotkać w życiu: to słowo, którego pani tak nie lubi... Tak, miłość...

— Miłość... — powtórzyła powoli z głębi serca i nagle, w tej właśnie chwili, kiedy wreszcie odczepiła koronkę, dodała: — Dlatego nie lubię tego słowa, że dla mnie znaczy zbyt

wiele, znacznie więcej, niż pan może sobie wyobrazić! — i popatrzyła na niego badawczo. — Do widzenia!

Podala mu rękę, szybkim, sprężystym krokiem minęła szwajcara i wsiadła do karety.

Spojrzenie Anny, dotknięcie jej ręki przeszły Wrońskiego jak ogień. Pocałował na swej dłoni miejsce, którego ona dotknęła, i udał się do domu szczęśliwy, w przeświadczeniu, że ten wieczór bardziej zbliżył go do celu niż poprzednie całe dwa miesiące.

VIII

Karenin nie widział nic nadzwyczajnego i niestosownego w tym, że jego żona siedziała z Wrońskim przy osobnym stoliku i z ożywieniem o czymś z nim rozmawiała. Zauważył natomiast, że inne osoby w salonie uznały to za rzecz niewłaściwą i nieprzyzwoitą, dlatego i jemu wydało się to niewłaściwe. Postanowił, że należy powiedzieć o tym żonie. Po powrocie do domu poszedł, jak to zwykł był czynić, do swego gabinetu, usiadł w fotelu, otworzył w miejscu założonym nożykiem książkę o papizmie i wedle swego zwyczaju czytał do pierwszej. Chwilami tylko pocierał wysokie czoło i potrzasał głową, jak gdyby pragnąc coś od siebie odpędzić. O zwykłej porze wstał i zrobił wieczorną toaletę. Anny wciąż jeszcze nie było. Z książką pod pachą wszedł na górę. Tego wszakże wieczoru głowa jego — zamiast jak zwykle myślami i koncepcjami dotyczącymi spraw urzędowych — była zaprzątnięta myślą o żonie i o czymś przykrym, co się z nią wiązało. Wbrew przyzwyczajeniu nie położył się do łóżka, lecz założywszy splecione ręce do tyłu, zaczął chodzić tam i z powrotem po pokojach. Nie mógł się położyć; czuł, że najpierw musi się

zastanowić nad nowymi — warunkami, wobec których się znalazł.

Karenin powziął decyzję, by rozmówić się z żoną, i wydawało mu się to bardzo łatwe i proste; teraz jednak, gdy począł się zastanawiać nad sytuacją, jaka się wytworzyła, wydało mu się to nader trudne i skomplikowane.

Nie był zazdrosny. Zazdrość, zdaniem jego, ubliżała żonie: do żony należy mieć zaufanie. Czemu należy mieć zaufanie, czyli zupełną pewność, że jego młoda żona zawsze go będzie kochała — tego pytania nigdy sobie nie zadawał. Ponieważ nie odczuwał nieufności, miał zaufanie i mówił sobie, że mieć je należy. Teraz jednak, chociaż pozostał wierny przekonaniu, że zazdrość jest uczuciem hańbiącym i że powinno się ufać żonie — poczuł, że stoi wobec czegoś nielogicznego i bezsensownego, i nie wiedział, co począc. Stał twarzą w twarz z życiem, z możliwością, że żona kocha kogoś poza nim, i wydało mu się to całkiem bezsensowne i niezrozumiałe, ponieważ to było właśnie — samo życie. Karenin zawsze tkwił i pracował w sferach urzędowych, które miały do czynienia jedynie z odbiciem życia, więc ilekroć zdarzało mu się zetknąć z samym życiem, natychmiast się usuwał. Obecnie doznawał wrażenia, jakiego doznałby człowiek, który by spokojnie przekroczył po moście przepaść i nagle zobaczył, że most został rozebrany i że jest tam tylko otchłań. Ta otchłań to było życie rzeczywiste, mostem zaś. — życie sztuczne, jakie pędził dotąd Karenin. Po raz pierwszy postawił sobie w myśli pytanie, czy żona mogłaby pokochać innego, i myśl ta nappełniła go przerażeniem. Nie rozbierając się chodził swym miarowym krokiem po dającym dźwięczny odzew parkiecie jadalni, oświetlonej jedyną lampą, po dywanie ciemnego salonu, gdzie światło odbijał tylko jego własny, niedawno malowany,

wielki portret, zawieszony nad kanapą, i po gabinecie żony, gdzie paliły się dwie świece, oświetlając portrety jej krewnych i przyjaciółek oraz ładne, od dawna mu znane drobiazgi na biurku. Przez ten jej pokój dochodził do sypialni i znów zawracał.

Na każdym etapie tego spaceru, a najczęściej na parkiecie jasno oświetlonej jadalni Karenin zatrzymywał się i mówił do siebie: „Tak, trzeba to koniecznie rozstrzygnąć i położyć temu kres, wypowiedzieć swoje zdanie i powziąć decyzją...”, i szedł z powrotem. „Lecz co mianowicie wypowiedzieć? Jaką powziąć decyzję? — zapytywał sam siebie w salonie i nie znajdował odpowiedzi. — A wreszcie — mówił sobie przed wejściem do jej gabinetu — cóż się takiego stało? Nic. Rozmawiała z nim długo. Z iluż ludźmi kobieta zwykła rozmawiać w towarzystwie!... A poza tym zazdrość poniża i mnie, i ją” — rozumował wchodząc; lecz argument ten, który przedtem miał dla niego taką wagę, teraz już nic nie ważył i żadnego nie miał znaczenia. I Karenin od drzwi sypialni wracał znów do salonu, a z chwilą znalezienia się w ciemności słyszał jakiś głos, że to nieprawda i że skoro inni coś zauważyli, to niewątpliwie coś w tym być musi. I znów powtarzał sobie w jadalni: „Tak, tak, należy to koniecznie rozstrzygnąć, położyć temu kres i wypowiedzieć swoje zdanie”... I znów w salonie, zanim zawrócił, zadawał sobie pytanie: „Jak rozstrzygnąć?”, a potem zapytywał: „Cóż się takiego stało?” I odpowiadał: — „Nic”, przypominając sobie, że zazdrość jest uczuciem poniżającym żonę; lecz w salonie znowu dochodził do przekonania, że jednak coś zaszło. Myśli jego, podobnie jak i jego ciało, zakreślały doskonałe koło nie natrafiając na nic nowego. Zdał sobie z tego sprawę, potarł czoło i usiadł w gabinecie żony.

W chwili gdy wzrok Karenina padł na jej biurko, na

malachitową suszkę oraz rozpoczęty liścik, rozważania jego zmieniły tok: zaczął myśleć o Annie, o tym, co ona myśli i czuje. Po raz pierwszy żywo wyobraził sobie jej życie osobiste, jej poglądy i pragnienia, i myśl, że ona może mieć i zapewne ma swoje własne osobne życie, wydała mu się tak przerażająca, że czym prędzej ją od siebie odrzucił. To była owa otchłań, w którą lękał się zapuścić wzrok. Funkcja psychiczna polegająca na wnikanii myślą i uczuciem do duszy innej istoty była Kareninowi obca. Uważał to za szkodliwe i niebezpieczne fantazjowanie.

„A najstraszniejsze jest — myślał — że właśnie teraz, gdy moja sprawa dobiega końca (miał na myśli projekt, który w tym czasie przeprowadzał), gdy potrzebny mi jest jak największy spokój i skupienie wewnętrzne, teraz właśnie wali się na mnie ten nieuzasadniony alarm. Ale cóż robić?! Nie należę do ludzi, którzy poddają się zaniepokojeniu i popłochowi nie mając dość siły, by zajrzeć im w oczy.”

— Powinienem obmyślić, rozstrzygnąć i skończyć z tym — wyrzekł głośno.

„Kwestia jej uczuć, to, co się działo i co się dziać może w jej duszy, nie należy do mnie, to rzecz jej” sumienia i rzecz religii” — powiedział sobie czując ulgę na myśl, że znalazł rozporządzenie wykonawcze regulujące nowo powstałą okoliczność.

„A więc — mówił sobie Karenin — kwestia jej uczuć i tak dalej to rzecz jej sumienia i to mnie dotyczyć nie może. Moja powinność określona jest wyraźnie: jako głowa rodziny, obowiązany jestem nią kierować, na mnie tedy częściowo spada odpowiedzialność. Powinienem wskazać żonie niebezpieczeństwo, które dostrzegam, ostrzec ją, a nawet użyć mego autorytetu. Muszę jej to powiedzieć.”

I w głowie Karenina ułożyła się wyraźnie cała treść

mającej nastąpić rozmowy z żoną. Obmyślając to, co powie, stwierdził z pewnym żalem, że musi poświęcić tyle czasu i sił umysłowych, bez żadnego poklasku, na domowy użytek. Mimo to forma i plan przemówienia do Anny ułożyły mu się tak jasno i dobitnie jak raport. „Winiem powiedzieć i wyłuszczyć, co następuje: po pierwsze, objaśnić, jakie jest znaczenie opinii publicznej i względów przyzwoitości; po drugie, wytłumaczyć znaczenie, jakie małżeństwu przypisuje religia; po trzecie, w razie potrzeby wskazać, że syna może dotknąć nieszczęście; po czwarte, przestrzec, jakie nieszczęście jej samej zagraża.” Tu Karenin splótł palce opuszczonych w dół dłoni i wyprężył je, aż zatrzeszczały w stawach.

Ten odruch — złe przyzwyczajenie splatania rąk i trzaskania w palce — zawsze go uspokajał i przywracał mu równowagę, która teraz była mu tak potrzebna, właśnie bowiem dał się słyszeć odgłos zajeżdżającej karety. Karenin zatrzymał się na środku salonu.

Kobiece kroki rozległy się na schodach.” Karenin, przygotowany do swego przemówienia, stał zaciskając splecione palce i nad słuchując, czy który jeszcze raz nie trzaśnie. Jeden staw zatrzeszczał.

Już po odgłosie lekkich kroków na schodach poznał, że to żona się zbliża, i chociaż był zadowolony z przygotowanego dyskursu, zdjął go strach przed mającą nastąpić rozmową.

IX

Anna szła ze schyloną głową, bawiąc się chwastami baszłyka*. Twarz jej jaśniała ostrym blaskiem, nie było w nim wszakże radości, przypominał raczej groźny blask pożaru

* B a s z ł y k — kaptur na głowę z długimi końcami do wiązania.

wśród ciemnej nocy. Na widok męża podniosła głowę i uśmiechnęła się jak zbudzona ze snu.

— Jeszcze się nie położyłeś? To istny cud! — rzekła zrzucając baszłyk, po czym nie zatrzymując się przeszła dalej, do ubieralni. — Czas już, mój drogi! — rzuciła zza drzwi.

— Anno, muszę z tobą pomówić.

— Ze mną? — zdziwiła się. Stała w progu i spojrzała na niego. — I cóż to takiego? Na jaki temat? — dopytywała się siadając. — Porozmawiajmy więc, jeśli to konieczne, ale doprawdy lepiej byłoby pójść spać.

Anna mówiła odruchowo, bez najmniejszego namysłu, i przysłuchując się sobie, sama się dziwiła, że tak potrafi kłamać. Jak proste i naturalne były jej słowa i jak prawdopodobne było, że się jej chce spać! Poczula się jakby zakuta w nieprzenikniony pancerz kłamstwa, pewna, że pomaga jej i podtrzymuje ją jakaś niewidzialna siła.

— Anno, muszę cię ostrzec! — zaczął Karenin.

— Ostrzec? — spytała. — Przed czym?

Wejrzenie jej było tak naturalne i pogodne, że nikt, kto nie znał jej tak jak mąż, nie mógłby zauważyć nic sztucznego ani w brzmieniu, ani w treści tych słów.

Dla Karenina wszakże, który ją znał, który pamiętał, że gdy czasami kładł się spać o pięć minut później, zaraz zwracała na to uwagę i pytała o przyczynę, który przywykł do tego, że żona dzieliła się z nim natychmiast każdą radością i każdym zmartwieniem — to, że obecnie Anna nie chciała zauważyć jego nastroju, że nie chciała mu powiedzieć ani słówka o sobie, było wielce zastanawiające. Dostrzegł, że głąb jej duszy, dotychczas zawsze dla niego dostępna, dziś była przed nim zasłonięta. Nie dosyć na tym, z tonu Anny poznał, że ona bynajmniej się tym nie trapi i zdaje się wręcz

mówić mu: „To prawda. Tak być powinno i tak będzie nadal.” Karenin doświadczał uczuć człowieka, który po powrocie do domu zastaje dom zamknięty. „Ale może klucz się jeszcze odnajdzie” — myślał.

— Chcę cię ostrzec — zaczął cichym głosem — że przez nieopatrność i lekkomyślność możesz dać powód do plotek w towarzystwie. Twoja dzisiejsza, nazbyt ożywiona rozmowa z hrabią Wrońskim (dobitnie i nie śpiesząc się wymówił to nazwisko) zwróciła uwagę.

Mówił i jednocześnie patrzył w jej roześmiane, a przez swą nieprzenikliwość dla niego przerażające oczy, i mówiąc czuł, że słowa jego są nieskuteczne i daremne.

— Z tobą tak zawsze — odpowiedziała Anna, jakby zupełnie go nie rozumiejąc i ze wszystkiego, co powiedział, rozmyślnie biorąc pod uwagę tylko ostatnie wyrazy — raz ci się nie podoba, że jestem znudzona, to znów że jestem wesoła. Dziś nie nudziłam się. Czy cię to razi?

Karenin drgnął i wygiął dłonie zamierzając trzaskać w palce.

— Ach, proszę cię, tylko nie trzaskaj, ja tego tak nie lubię!
— zawołała Anna.

— Anno, nie poznaję cię! — cicho wyrzekł Karenin opanowując odruch; ręce jego znieruchomiały.

— Ależ co się stało? — zdumiała się tak zabawnie i szczerze. — Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

Karenin milczał chwilę, pocierając ręką czoło i powieki. Spostrzegł, że zamiast tego, co postanowił uczynić, to jest zamiast ostrzec żonę przed potknięciem się towarzyskim, mimo woli z niepokojem bada jej sumienie i usiłuje przebić jakiś mur rysujący się w jego wyobraźni.

— Oto, co zamierzam powiedzieć — zaczął znów chłodno i ze spokojem — i proszę cię, byś mnie wysłuchała. Uważam,

jak wiesz, że zazdrość ubliża człowiekowi i poniża go, i nigdy nie pozwolę, by uczucie to mną kierowało. Ale są pewne przepisy przyzwoitości, którym nie można bezkarnie uchybiać. To nie ja osobiście dziś zauważyłem, ale sądząc z ogólnego wrażenia wszyscy dostrzegli, że zachowałeś się nie całkiem tak, jakby sobie można było życzyć.

— Doprawdy, nic nie rozumiem — rzekła Anna wzruszając ramionami. „Jemu osobiście jest to obojętne, ale w towarzystwie coś spostrzeżono i to go niepokoi” — pomyślała — Jesteś niezdrów, mój drogi — dodała wstając i podeszła do drzwi, lecz on zrobił kilka kroków, jakby chciał ją zatrzymać.

Twarz Karenina była w tej chwili brzydka i ponura; Anna nigdy go jeszcze takim nie widziała. Zatrzymała się i przechyliwszy głowę w tył, zaczęła szybko wyjmować szpilki z włosów.

— No, słucham cię — powiedziała spokojnie, z ironią. — I nawet słuchać będę z zainteresowaniem, bo chciałabym zrozumieć, o co chodzi.

Mówiła i dziwił ją jej własny, naturalny i spokojny, odpowiedni ton, zarówno jak i trafny dobór słów.

— Nie mam prawa wnikać we wszystkie szczegóły twych uczuć i w ogóle uważam to za rzecz bezcelową, a nawet szkodliwą — zaczął Karenin. — Grzebiąc w duszy wydobywamy nieraz to, co leżałoby tam niepostrzeżenie. Twoje uczucia to rzecz twojego sumienia. Ja wszelako mam obowiązek — wobec ciebie, wobec samego siebie i wobec Boga — przypomnieć ci o twoich powinnościach. Jesteśmy ze sobą związani; nie ludzie nas złączyli, ale Bóg.. Tylko występki może rozerwać taki związek, a występki tego rodzaju pociągają za sobą ciężką karę.

— Nie rozumiem... Ach, mój Boże, a na dobitkę tak mi

się chce spać! — Anna przebierała szybko palcami szukając pozostałych we włosach szpilek.

— Anno, na miłość boską, nie mów tak — rzekł łagodnie. — Może ja się mylę, ale wierzaj mi, że to, co mówię, mówię równie dobrze dla siebie, jak i dla ciebie. Jestem twoim mężem i kocham cię.

Na jedno tylko mgnienie pochyliła głowę i szydercza iskra w jej oczach zgasła, słowo „kocham” na nowo jednak ją oburzyło. „Kocha? — pomyślała. — Czyż on potrafi kochać? Gdyby nie znał miłości ze słyszenia, nigdy by nawet nie używał tego wyrazu. On nie wie, co to jest miłość.”

— Mój drogi, doprawdy zupełnie ciebie nie rozumiem — rzekła. — Mów wreszcie, co takiego zauważyłeś?

— Pozwól, daj mi skończyć. Kocham cię... Ale nie o mnie przecież tu chodzi: główne osoby to nasz syn i ty sama. Bardzo być może, raz jeszcze powtarzani, że słowa moje wydadzą ci się niewłaściwe i zupełnie bezpodstawne; może są wynikiem pomyłki... W takim razie przepraszam cię. Ale jeżeli sama czujesz, że mają jakieś, choćby najmniejsze podstawy, to proszę cię, zastanów się i rozmów się ze mną tak, jak ci serce podpowie...

Karenin bezwiednie mówił całkiem nie to, co sobie z góry przygotował.

— Nie mam nic do powiedzenia. A zresztą... — powiedziała nagle prędko, z trudnością powstrzymując uśmiech — doprawdy, czas już spać.

Aleksy Aleksandrowicz westchnął i nic już nie mówiąc więcej udał się do sypialni.

Gdy weszła tam z kolei Anna, leżał już w łóżku. Wargi miał surowo zaciśnięte, a oczy jego nie patrzyły w jej stronę. Położyła się na swoim miejscu oczekując, że mąż raz jeszcze się odezwie. Lękała się, że przemówi do niej, a zarazem

pragnęła tego. Ale Karenin milczał. Długo czekała leżąc nieruchomo, zapomniawszy już całkiem, o mężu. Myślała o kimś innym, widziała go przed sobą i czuła, jak niepokój i występna radość napełniają jej serce... Nagle usłyszała równy i spokojny świst przez nos. W pierwszej chwili śpiący jak gdyby sam zląkł się tego dźwięku, zatrzymał się, przeczekał dwa oddechy, po czym świst rozległ się w nowych, miarowych już odstępach.

— Późno... Późno już, późno — szeptała Anna z uśmiechem. Długo leżała nieruchomo z otwartymi oczyma, których blask — zdawało się jej — sama dostrzegała w ciemnościach.

X

Od tego wieczoru zaczęło się dla Karenina i jego żony nowe życie. Nie zdarzyło się nic osobliwego. Anna, jak zwykle, bywała w towarzystwie, a zwłaszcza często u księżnej Betsy, i wszędzie spotykała Wrońskiego. Karenin o tym wiedział, lecz nic nie mógł na to poradzić. Wszystkie jego usiłowania, by doprowadzić do jakichś wyjaśnień, natrafiały u niej na nieprzebyty mur pogodnego niezrozumienia. Pozornie wszystko było niezmienione, lecz wewnętrzne ich stosunki zmieniły się całkowicie. Karenin, człowiek tak niezachwiany, gdy chodziło o działalność państwową, tu czuł się bezradny. Ze zwieszoną kornie głową, jak wół, czekał na uderzenie obucha, który — czuł to — był nad nim wzniesiony. Ilekroć zaczynał o tym myśleć, zdawał sobie sprawę, że trzeba by raz jeszcze spróbować, że dobrocią, czułością, namową można by ją jeszcze uratować, skłonić do opamiętania, i co dzień postanawiał się z nią rozmówić. Skoro tylko jednak zaczynał mówić, czuł, że duch

przewrotności i fałszu, który ją opętał, opanowuje również i jego, tak że mówił z nią nie o tym i nie takim tonem, jakim zamierzał. Wpadał mimo woli w swój zwykły wobec niej ton, jakby podrzywając z kogoś, kto by tak mówił naprawdę. W tym tonie niepodobna było powiedzieć jej tego, co należało.

XI

To, co przez cały prawie rok stanowiło dla Wrońskiego jedyne pragnienie jego życia, to, co zastąpiło mu wszelkie dawne pragnienia, a o dla Anny było niemożliwym, przerażającym, a przez to samo tym bardziej czarującym marzeniem o szczęściu — spełniło się. Stał nad nią blady, z drgającą dolną szczęką i błagał, by się uspokoiła. Nie wiedział, ani dlaczego rozpacza, ani jak ją ukoić.

— Anno! Anno! — prosił drżącym głosem. — Anno, na miłość boską!

Ale im głośniej przemawiał, tym niżej opuszczała swą niegdyś dumną, radosną, teraz zhańbioną głowę i cała chyliła się i nieomal zsuwała z kanapy, na której siedziała, na podłogę do nóg Wrońskiemu. Byłaby upadła na dywan, gdyby nie to, że ją trzymał.

— Boże mój, przebacz mi! — szlochała przyciskając, jego ręce do piersi.

Czuła się tak bardzo występna i winna, że nie pozostawało jej nic innego, jak korzyć się i prosić o przebaczenie, a że nie miała odtąd w życiu nikogo poza nim, do niego zwracała swe błaganie. Widok jego budził w niej uczucie poniżenia podobne do fizycznego urazu i nie była w stanie powiedzieć nic więcej. On zaś czuł w tej chwili to, co zapewne czuje

morderca na widok ciała, które pozbawił życia. Ciałem, które postradało życie, była ich miłość, pierwszy jej okres. Było coś przerażającego i wstrętnego we wspomnieniu o tym, co okupiono tą straszną ceną hańby. Wstyd duchowej nagości przytłaczał ją i udzielał się także i jemu. Mimo jednak całej zgrozy, jaką odczuwa zabójca wobec ciała zamordowanego, trzeba przecież pokrajać na kawałki, ukryć te zwłoki — i morderca winien wykorzystać to, co przez morderstwo uzyskał.

Podobnie jak zabójca, gdy z wściekłością pokrewną namiętności rzuca się na zwłoki, wlecze je i kraje — tak Wroński pokrywał teraz twarz i ramiona Anny pocałunkami. Trzymała jego rękę i nie poruszała się. „Tak, te pocałunki — oto, co zostało kupione za cenę hańby. Tak, i ta jedyna ręka, która zawsze będzie do mnie należała — ręka współnika.” Uniosła ją i pocałowała. Ukląkł przed nią i chciał jej zajrzeć w twarz, lecz Anna kryła ją bez słowa. Wreszcie, jakby się przemagając, wstała i odsunęła go od siebie. Twarz jej wciąż była równie piękna, ale tym większą budziła litość.

— Wszystko skończone — wyrzekła. — Nie mam już nic prócz ciebie... Pamiętaj o tym.

— Jakżebym mógł zapomnieć o czymś, co jest moim życiem. Za jedną chwilę takiego szczęścia...

— To ma być szczęście! — powiedziała z taką odrazą i przerażeniem, że przerażenie to mimo woli udzieliło się i jemu. — Na miłość boską, ani słowa, ani słowa więcej.

Szybko wstała i odsunęła się od niego.

— Ani słowa więcej — powtórzyła i z niepojętym dla niego wyrazem zastygłej rozpacz rozstała się z nim. Czuła, że w tej chwili uczucia wstydu, radości i strachu przed wstąpieniem w nowe życie nie dadzą się ująć w słowa, nie chciała więc o nich mówić, by ich nie pospolitować źle

dobranymi wyrazami. I później wszakże, na drugi i na trzeci dzień, nie tylko nie znalazła słów wyrażających całą zawilość tych uczuć, lecz nie potrafiła nawet znaleźć myśli, za pomocą których byłaby w stanie zastanowić się nad tym, co się w jej duszy działo.

Mówiła sobie: „Nie, teraz nie mogę o tym myśleć; może potem, gdy będę spokojniejsza.” Spokój ów wszakże nigdy nie następował; ilekroć uprzytomniała sobie, co uczyniła, co się z nią stanie i jak powinna postąpić, ogarniało ją przerażenie i odpędzała te myśli od siebie.

„Później, później — mówiła sobie — gdy będę spokojniejsza.” Za to w snach, gdy opuszczała ją władza nad myślą, sytuacja przedstawiała się jej w całej swej potwornej nagości. Jedna zwłaszcza senna zjawa nawiedzała ją prawie każdej nocy. Śniło się jej, że była żoną ich obu, że obaj obsypywali ją pieścizotami. Aleksy Karenin płakał całując ją po rękach i mówił: „Jak dobrze jest teraz!” I Aleksy Wroński także był przy niej, i również był jej mężem. I dziwiąc się, że przedtem wydawało jej się to niemożliwe, tłumaczyła im ze śmiechem, że przecież tak jest daleko prościej i że teraz obaj są zadowoleni i szczęśliwi... Ów sen przytłaczał ją jak zmora i budziła się, przerażona.

XII

Już w pierwszych dniach po powrocie z Moskwy Lewin, który dotąd za każdym wspomnieniem sromotnego odkosza wzdygał się i czerwienił, rzekł sobie: „Tak samo wzdygałem się, czerwieniłem i uważałem wszystko za stracone, gdy dostałem pałkę z fizyki i nie przeszedłem na trzeci kurs. Tak samo uważałem, że przepadłem na wieki, gdy źle załatwiłem sprawę powierzoną mi przez siostrę.

Tymczasem teraz, gdy minęły lata, przypominam to sobie i dziwię się, że mnie to w ogóle martwić mogło. Tak samo będzie i z obecnym zmartwieniem. Przejdzie czas i będą na to patrzył obojętnie.”

Upłynęły jednak trzy miesiące, a Lewin nie zobojętniał; wspomnienie rekuzy było dla niego równie bolesne jak w pierwszych dniach. Nie mógł się uspokoić, marząc bowiem od dawna o rodzinnym życiu do którego czuł się tak prawdziwie dojrzały, ciągle nie był jeszcze żonaty, a obecnie nawet był bardziej, niż kiedykolwiek oddalony od żeniaczki. Odczuwał boleśnie — jak zresztą odczuwali wszyscy z jego otoczenia — że w jego latach źle jest człowiekowi być samemu. Przypomniawszy sobie, jak przed wyjazdem do Moskwy mówił do pastucha Mikołaja, naiwnego chłopca, z którym lubił czasem pogawędzić: „No, Mikołaju, chcę się żenić”, i jak Mikołaj od razu odpowiedział z pośpiechem, niby o rzeczy, co do której nie mogło być żadnej wątpliwości: „Od dawna już czas, Konstanty Dmitryczu.” A teraz małżeństwo odsunęło się od niego na czas nieokreślony. Miejsce było zajęte. Gdy w wyobraźni stawiał tam jakąś inną znajomą dziewczynę, czuł, że to zupełnie niemożliwe. Poza tym trapiło go i zawstydzalo wspomnienie odmowy i roli, jaką przy tym odegrał. Chociaż mówił sobie, że nie ma w tym ani trochę jego winy, wspomnienie to, pospołu z innymi wstydliwymi wspomnieniami w tym samym rodzaju, sprawiało, że wzdrygał się i czerwienił. Były w przeszłości Lewina, jak to bywa u każdego człowieka, złe postęпки, z których sobie zdawał sprawę, za które sumienie powinno byłoby go dręczyć, pamięć o złych uczynkach nigdy go jednak tak nie dręczyła, jak te błahe, lecz żenujące wspomnienia. Te rany nigdy się nie zablizniały. Na równi z owymi wspomnieniami stała teraz odmowa Kitty i ta

żałosna sytuacja, w której widzieli go inni owego wieczoru. Czas i praca robiły wszakże swoje. Nieznaczące, a jednak doniosłe wydarzenia wiejskiego życia coraz bardziej przesłaniały mu bolesne wspomnienia. Z każdym tygodniem rzadziej myślał o Kitty. Czekał niecierpliwie na wiadomość, że już wyszła lub właśnie wychodzi za mąż, i miał nadzieję, że to uleczy go równie skutecznie jak wyrwanie chorego zęba.

Tymczasem nadeszła wiosna, piękna, życzliwa, bez zwykłego ociągania się i bałamuctw, jedna z tych rzadkich wiosen, którą cieszą się pospołu rośliny, zwierzęta i ludzie. Piękna ta wiosna jeszcze bardziej podniosła na duchu Lewina i umocniła go w zamiarze, by wyrzec się całej przeszłości i zorganizować swoje samotne życie na niewzruszalnych i niezależnych zasadach. Chociaż zaniechał wielu spośród projektów, z którymi powrócił był na wieś, rzeczy najważniejszej, czystości życia, dochował. Nie doświadczał tego wstydu, który zwykle dręczył go po upadkach; mógł śmiało patrzeć ludziom w oczy. Jeszcze w lutym dostał był od Marii Nikołajewny wiadomość, że zdrowie Mikołaja pogarsza się i że chory pomimo to nie chce się leczyć. Na skutek tego listu Lewin pojechał do Moskwy do brata i zdołał go nakłonić do zasięgnięcia porady lekarskiej i wyjazdu do wód za granicę. Udało mu się tak gładko namówić brata, nie rozdrażniając go, by przyjął pożyczkę, że i pod tym względem mógł być zupełnie z siebie zadowolony. Poza zajęciami gospodarskimi, wymagającymi na wiosnę szczególnej uwagi, i poza lekturą Lewin owej zimy rozpoczął jeszcze pisać dzieło o gospodarstwie wiejskim. Chodziło mu o przeprowadzenie zasady, by charakter robotnika był uważany w gospodarstwie rolnym za taką samą daną absolutną jak klimat i gleba i aby w konsekwencji wszelkie

założenia wiedzy gospodarczej nie opierały się wyłącznie na danych klimatu i gleby, lecz ponadto także na określonym, niezmiennym charakterze robotnika. Tak więc Lewin pomimo osamotnienia, a może dzięki niemu, miał życie wypełnione po brzegi zajęciami i tylko z rzadka odczuwał chęć zwierzenia się z błądzących mu po głowie myśli komuś poza starą Agafią, chociaż i z nią zdarzało mu się dość często rozprawiać o fizyce, o różnych teoriach gospodarczych, a zwłaszcza o filozofii... Filozofia była ulubionym tematem rozmów starej niani.

Wiosna długo nie nadchodziła. W ostatnich tygodniach wielkiego postu pogoda ustaliła się jasna i mroźna. W dzień na słońcu bywała odwilż, a nocą temperatura dochodziła do siedmiu stopni poniżej zera; skorupa lodowa na polach była tak mocna, że jeżdżono na przełaj, bez drogi. Na Wielkanoc leżał śnieg. I nagle na drugi dzień świąt powiał ciepły wiatr, nadciągnęły chmury i przez trzy dni i trzy noce lał rześisty i ciepły deszcz. We czwartek wiatr ucichł i nastąpiła gęsta, szara mgła, jakby kryjąc tajemnicę dokonujących się w przyrodzie przemian. W tej mgle popłynęły wody, kry lodowe zatrzeszczały i drgnęły, szybciej ruszyły mętne, spienione strugi i w samą Przewodnią Niedzielę przed wieczorem mgła się rozpełzła, chmury rozbiegły się przybierając kształt baranków, niebo się przetało i nastąpiła prawdziwa wiosna. Rankiem mocne słońce pożarło cienką warstwę lodu, która przez noc ścięła wody, i całe rozgrzane powietrze zadrgało od napełniających je oparów zmartwychwstałej ziemi. Zazieleniła się zeszłoroczna i nowa, strzelająca igielkami z ziemi trawa, napełniały pączki kaliny, porzeczek i lepkiej, pełnej pieniących się soków brzozy. Na osypanej złocistym kwieciem łożynie zahuczała wysłana na zwiady, znużona lotem pszczoła. Zaniósł się od śpiewu niewidzialne

skowronki nad aksamitem ozimin i nad zamarzniętym ścierniskiem; zapłakały czajki nad bagnami i nad zalanymi burą, nieskoro spływającą wodą niżami, a wysoko przeciągnęły z głośnym klangorem klucze żurawi i gęgające stada dzikich gęsi. Zaryczało wyliniałe nierówno bydło na wygonach, krzywoniwie jagnięta poczęły wyskakiwać dokoła tracących wełnę, beczących matek. Po niezupełnie jeszcze suchych, pokrytych śladami stóp ludzkich ścieżkach rozbiegły się lekkonogie dzieci; nad stawem zaterkotały wesole głosy bab niosących płótno, a po podwórzach zastukały topory chłopów szykujących sochy i brony. Przyszła prawdziwa wiosna.

XIII

Lewin wciągnął długie buty, po raz pierwszy w tym roku włożył nie futro, lecz sukienny kabat, po czym poszedł do gospodarstwa przeskakując strumyki wody, która na słońcu raziała blaskiem oczy, i stąpając to po lodzie, to po lepkiem błocie.

Wiosna jest porą planów i postanowień. Po wyjściu z domu Lewin — jak drzewo na wiosnę zrazu nieświadome, w którą stronę i jak rozrosną się zawarte w nabrzmiących pączkach pędy i gałęzie — sam jeszcze dobrze nie wiedział, do czego się teraz weźmie w ulubionym gospodarstwie, czuł się jednak pełen jak najpiękniejszych planów i najlepszych zamierzeń. Przede wszystkim poszedł obejrzeć bydło. Wypuszczone na okólnik, wygrzane w słońcu krowy, połykując gładką po wylinieniu sierścią, ryczały prosząc się w pole. Nacieszywszy się widokiem krów, które znał aż do najdrobniejszych szczegółów, Lewin kazał je wypędzić na wygon, a do okólnika wpuścić cieleta. Pastuch wesóło

pobiegł przygotować się do wyjścia w pole. Baby skotarki, unosząc samodziałowych spódnic i pluskając po błocie bosymi, białymi jeszcze, nie opalonymi nogami, z prętami w rękę biegały za porykującymi, oszalałymi z wiosennej uciechy cielętami, wpędzając je na podwórze. Po nacieszeniu się młodym przychówkiem, który tego roku był niezwykle dorodny — wczesne cielęta były tak duże jak chłopskie krowy, a trzymiesięczna córka Pawy wyglądała na roczną jałówkę — Lewin kazał wynieść dla nich na dwór koryta i ponakładać świeżego siana za drabki. Tu wyszło na jaw, że w nie używanym przez zimę okólniku świeżo sporządzone w jesieni drabinki były połamane! Posłano po cieślę, zgodzonego do naprawy młocarni, lecz okazało się, że ten naprawia właśnie brony, które miały być zreperowane jeszcze w ostatki. Zirykowało to wielce Lewina. Gniewało go niewymownie, że znów powtarza się to wieczne niedbalstwo w gospodarce, z którym od tylu lat z całych sił się borykał. Dowiedział się, że niepotrzebne zimą drabinki, przeznaczone tylko dla cieląt i dlatego bardzo lekko sklecone, zostały przeniesione do stajni fornalskiej, gdzie je oczywiście połamano. Poza tym okazało się, że brony i wszystkie inne narzędzia rolnicze, które kazał obejrzeć i naprawić jeszcze zimą, do czego specjalnie najęto trzech rzemieślników, były nie naprawione, a brony naprawiano właśnie teraz, gdy już trzeba było skrudlić. Lewin posłał po rządcę i nie czekając sam poszedł go szukać. Rządca, rozpromieniony tego dnia jak wszystko dokoła, szedł właśnie z gumna w kożuszku obszytym barankiem, krusząc w rękę słomkę.

— Dlaczego majster nie jest przy młocarni?

— Chciałem zameldować jeszcze wczoraj, że należy przede wszystkim naprawić brony. Wypadnie już wnet bronować!

— A zimą coście robili?

— A panu dziedzicowi na co majster potrzebny? .

— Gdzie się podziały drabki z cielętnika?

— Kazałem poznosić na miejsce. Co począć z takimi ludźmi! — odparł rządcą i machnął ręką.

— Nie z takimi ludźmi, ale z takim rządcą! — wybuchnął Lewin. — Na co ja pana trzymam? — krzyknął. Ale uprzytomniwszy sobie, że to nic nie pomoże, urwał w pół zdania i tylko westchnął. — No i cóż, czy można już siać? — spytał po chwili.

— Za Turkinem jutro, pojutrze już będzie można.

— A koniczyna?

— Posłałem Wasilija i Miskę — sieją. Nie wiem tylko, czy wszędzie przejdą, bo bardzo grząsko.

— A na ilu dziesięcinach sieją?

— Na sześciu..

— Dlaczego nie na wszystkich? — wykrzyknął Lewin. Było tym bardziej irytujące, że koniczynę siano tylko na sześciu dziesięcinach, a nie na dwudziestu, bo zarówno z teorii, jak i na mocy osobistego doświadczenia Lewin wiedział, że koniczyna udaje się tylko w tym wypadku, gdy sieje się ją jak najwcześniej, prawie jeszcze przed zejściem śniegu, i nigdy nie mógł się o to doprosić.

— Za mało mamy ludzi. Co ja z nimi pocznę... Trzech w ogóle nie przyszło. Ot, choćby taki Siemion...

— Trzeba było wziąć ludzi od roboty przy słomie.

— Właśnie to zrobiłem.

— A gdzież jest reszta?

— Pięciu robi kompot (miało to znaczyć „kompost”), a czterech szufluje owies, żeby się nie zagrzał.

Lewin doskonale wiedział, co znaczą słowa: „żeby się nie zagrzał”, na pewno angielski owies nasienny był już na nic,

znowu więc nie wykonano czegoś, co polecił zrobić.

— Przecie jeszcze w poście mówiłem, żeby założy rury...
— zawołał.

— Niech się pan dziedzic nie kłopotczy, wszystko zrobimy na czas.

Lewin machnął gniewnie ręką i poszedł do spichrza, gdzie obejrzał owies, po czym zawrócił ku stajniom. Owies jeszcze nie ucierpiał, ale parobcy przesypywali go szuflami, chociaż można go było od razu zsypać na niższe piętro spichrza. Po wydaniu odpowiednich zarządzeń Lewin zabrał stąd dwóch ludzi do koniczyny; to uśmierzyło jego złość na rządcę. Dzień był tak piękny, że nie sposób było długo się gniewać.

— Ignat! — zawołał na stangreta, który z zawiniętymi rękawami mył koło studni powóz. — Osiodłaj mi...

— Którego pan dziedzic każe?

— Niechże będzie choćby Kołpik.

— Słucham.

Podczas gdy siodłano konia, Lewin przywołał znowu kręcącego się umyślnie w pobliżu rządcę, by się z nim pojednać, i począł omawiać nadchodzące wiosenne roboty w polu i różne plany gospodarskie.

Wywózkę obornika należało zacząć wcześniej, tak aby do pierwszego sianokosu była już całkiem skończona. Pole leżące najdalej powinno być stale orane, tak aby móc je przetrzymać jako czarny ugór. Pokosy trzeba sprzątnąć całe — nie za pół trawy, tylko za pomocą najemnej siły.

Rządca bacznie słuchał i starał się przybrać taki wygląd, jakby się ze wszystkim zgadzał, lecz zachowywał mimo to swą beznadziejnie zrezygnowaną minę, którą Lewin znał tak dobrze i która tak go drażniła. Z miny tej można było wyczytać: „Dobrze, dobrze... ale będzie, jak Bóg da.”

Nic tak nie przygnębiało Lewina, jak ów ton właściwy

wszystkim rządcom, jakich kiedykolwiek zatrudniał. Wszyscy oni mieli ten sam stosunek do jego projektów, toteż obecnie już się nie unosił, gryzł się tylko i czuł w sobie jeszcze większą ochotę do borykania się z tą jakąś żywiołową siłą, której nie umiał nazwać inaczej niż „jak Bóg da”, a która mu się wciąż przeciwstawiała.

— Jeśli zdążymy, Konstanty Dmitryczu — rzekł rządca.

— Dlaczegoż mielibyśmy nie zdążyć?

— Musielibyśmy koniecznie donajac przynajmniej z piętnastu ludzi. Jakoś nikt nie przychodzi... Dziś wprawdzie było paru, ale żądają po siedemdziesiąt rubli za lato.

Lewin zamilkł: znowu mu się ten żywioł sprzeciwiał. Wiedział sam, że mimo wielu wysiłków nigdy nie można było zgodzić za normalną cenę więcej niż trzydziestu siedmiu, trzydziestu ośmiu, najwyżej czterdziestu robotników. Tylu ich się godziło, nigdy więcej. Mimo to nie mógł zaprzestać walki.

— Poślij więc pan do Sur, do Czefirówki, jeżeli tutejsi nie przyjdą. Trzeba poszukać.

— Posłać, posłę — odparł ponuro Wasilij Fiodorowicz. — Ale poza tym konie mamy słabe.

— Dokupi się. Wiem ja dobrze — zaśmiał się Lewin — że pan by zawsze rad był zadowolić się byle czym, ale w tym roku nie pozwolę już panu robić po swojemu. Sam się wszystkim zajmę.

— Pan dziedzic już i tak nie dosypia. A jeśli o nas chodzi, to nam przecie weselej, kiedy sam gospodarz ma na nas oko...

— Więc za Brzozowym Dołem sieją koniczynę? Pojadę zobaczyć — i Lewin dosiadł małego bułanka, Kołpika, którego podprowadził Ignat.

— Przez strumień pan dziedzic nie przejedzie! — krzyknął

stangret.

— No, to lasem!

Dobry, dawno nie jeżdżony konik, chrapiąc przy każdej kałuży i domagając się wolniejszych cugli, w śmiałych susach przebył błotniste podwórze, i Lewin? wyjechał za bramę w pole.

Było mu już wesoło w oborze i na gumnie, ale jeszcze bardziej rozweselił się w polu. Kołyszając się łagodnie w takt idącego skroczem* poczciwego konika i oddychając ciepłą, a zarazem świeżą wonią powietrza i śniegu, który w lesie osuwał się zetlały na rozplyniętych śladach — Lewin cieszył się z każdego ze swoich drzew, z ich ożywającym mchem na korze i nabrzmiałymi pączkami. Gdy znalazł się za lasem, przed nim na ogromnej przestrzeni rozciągnęły się jak gładki aksamitny dywan oziminy, pola bez jednej łysinki lub wymokłego miejsca, tu i ówdzie tylko we wgłębieniach znaczone resztkami topniejącego śniegu. Nie rozgniewał go widok chłopskiej szkapiny i roczniaka ogierka traktującego zasiewy (kazał go spędzić na bok spotkanemu chłopu) ani z głupia frant odpowiedź przechodzącego polem chłopca Ipat, którego zapytał: „I cóż, Ipat, niedługo zaczniemy siewy?” „Wpierw trza zaorać, Konstanty Dmitrycz”, odparł Ipat. Im dalej Lewin jechał, tym było mu weselej i tym bardziej ponętne plany gospodarskie przychodziły mu do głowy. Czy nie można by na przykład obsadzić wszystkich pól łożyną, oczywiście wzdłuż linii południka, tak by śnieg pod łożynami nie leżał zbyt długo, i pociąć w ten sposób całość, co da sześć pól pod nawóz oraz trzy, zapasowe pod posiew mieszany? I czyby nie postawić nowej obory na najdalszym krańcu pól, nie wykopać stawu, a dla polepszenia gruntów nie urządzić przenośnych zagród dla bydła? Wówczas miałyby się trzysta

* Skroc z — rodzaj biegu końskiego. Polegający na tym, że koń stawia jednocześnie przednią i tylną prawą, a potem przednią i tylną lewą nogę.

dziesięcin pszenicy, sto — kartofli, sto pięćdziesiąt — koniczyny i ani jednej dziesięciny wyjąłowanej.

Tak sobie marząc i ostrożnie kierując konia miedzami, by nie tratować własnych zasiewów, dojechał do robotników siejących koniczynę. Wóz z nasieniem stał nie na miedzy, lecz wprost na roli, tak że koła poryły, a kopyta stratowały wschodzącą pszenicę. Obaj robotnicy siedzieli na miedzy i kurzyli, zapewne na przemian, wspólną fajeczkę. Ziemi na wozie, z którą było zmieszane nasienie, nie porozgniatało: była zmarznięta lub zbita w grudki.

Na widok dziedzica Wasilij podszedł do wozu, Miszka zabrał się do siania. Nie było to w porządku, lecz Lewin rzadko gniewał się na robotników. Gdy Wasilij podszedł bliżej, kazał mu tylko wyprowadzić z pola konia z wozem

— To nic, panie dziedzicu, zarośnie.

— Dużo nie gadaj i rób, co ci kazano.

— Słucham — odrzekł Wasilij i wziął konia za grzywę. — Uprawa pod siew, panie dziedzicu, przednia! — przypochlebiał się Lewinowi. — Tylko że trudno chodzić: na każdym łapciu po pudzie błota się dźwiga.

— Czemużecie ziemi nie przesiali?

— Ano, rozgniatamy ją — wyjaśnił Wasilij nabierając nasion i rozcierając ziemię w dłoniach.

Oczywiście Wasilij nie był winien, że nasypano mu do wozu nie przesianej ziemi, było to jednak irytujące. Lewin nieraz z dobrym skutkiem stosował znany sobie sposób, by poskromić złość i wszystko, co mu się wydawało złe, obrócić na dobre; zastosował go i teraz. Patrzał przez chwilę, jak Miszka krocząc miesi olbrzymie kawały ziemi oblepiającej „mu nogi, po czym zsiadł z konia, wziął od Wasilij a płachtę z nasieniem i poszedł siać.

— Dokąd zasiałeś?

Wasilij pokazał znak zrobiony nogą i Lewin wziął się do rozrzucania ziemi z nasieniem, jak umiał najlepiej. Po roli chodziło się ciężko jak w bagnie. Przeszedłszy raz tam i z powrotem, spocił się i oddał płachtę.

— Żeby mnie pan dziedzic tylko potem nie kłął za ten smug — zażartował Wasilij.

— Bo co? — spytał Lewin czując, że środek na rozdrażnienie zaczyna działać.

— Zobacz pan dziedzic, jak się ten pas latem będzie różnił. Proszę tylko spojrzeć, gdzie ja siałem zeszłej wiosny. To dopiero siew! Ja dla pana dziedzica tak się staram jak dla rodzonego ojca. Sam nie lubię niedbałej roboty i innym nie pozwalam. Jak gospodarzowi dobrze, to i nam dobrze! Na sam widok — dodał wskazując pole — aż serce rośnie.

— Piękną mamy wiosnę, Wasilij.

— Taka wiosna, że najstarsi takiej nie pamiętają. W domu byłem, to tam mój stary też trzy ośminy* pszenicy posiał. Powiada, że ją od żyta odróżnić trudno.

— Dawno już siejecie pszenicę?

— Toć pan dziedzic nas nauczył jeszcze zaprzeszłego roku. Dostaliśmy dwie miary, ćwierć sprzedaliśmy, a trzy ośminy zasiali.

— No, więc pamiętaj: rozcieraj starannie grudki i pilnuj Miszki — polecił Lewin wracając do konia. — A jak ładnie wszędzie, dostaniesz po pięćdziesiąt kopiejek od dziesięciny.

— Dziękuję pięknie. My i tak nie mamy krzywdy u pana dziedzica.

Lewin wsiadł na konia i pojechał na pole zeszłorocznej koniczyny, a potem na inne, zorane pługiem pod jarą pszenicę.

Koniczyna rosnąca na rżysku była wspaniała; cała już

* O ś m i n a — ½ świerci = 110 litrów

ożyła i zieleniła się mocno, wyglądając spoza połamanych zeszlorocznych ździebeł pszenicy. Koń grzązał aż po pęciny, każde z jego kopyt osobno cmokało, wrywane siłą z na pół odtajanej ziemi. Przez zaorane pługiem pole nie można było wcale przejechać: trzymało tylko tam, gdzie było trochę lodu, w rozmiękłych bruzdach noga końska więzła jeszcze wyżej. Orka była znakomita; jeszcze dwa dni, a już można będzie bronować i siać. Wszystko było tak udane, budziło taką radość. Wracął inną drogą, przez strumień, licząc na to, że woda już opadła, i rzeczywiście z łatwością przejechał płosząc dwie kaczki. „Powinny już być i słonki” — pomyślał Lewin. Istotnie, gdy skręcał ku domowi, spotkał gajowego, który to potwierdził.

Wrócił do domu klusem, by zdążyć zjeść obiad i przygotować strzelbę na wieczór.

XIV

Już blisko domu, wracając w jak najlepszym humorze, Lewin usłyszał od strony ganku dzwonki zajeżdżającego pojazdu.

„To ze stacji — pomyślał. — O tej porze właśnie przychodzi pociąg z Moskwy... Kto by to mógł być? Kto wie, czy nie Mikołaj? Mówił przecie, że albo pojedzie za granicą, albo wybierze się do mnie.” W pierwszej chwili z obawą i przykrością pomyślał, że obecność brata zmąci mu na pewno wesoły wiosenny nastrój. Zaraz jednak zawstydził się, w duchu jakby otworzył ramiona i teraz już ze wzruszeniem i radością pragnął, aby to był brat. Trącił więc konia i wyjechawszy zza akacji zobaczył trójkę pocztową z kolei i podróżnego w futrze. To nie był brat. „Ach, żebyż choć jaki przyjemny człowiek, z którym, by można trochę

pogawędzić” — pomyślał Lewin.

— A-a! — wykrzyknął z radością, podnosząc do góry obie ręce. — A to dopiero miły gość! Jakże się cieszę! — poznał Obłońskiego.

„Dowiem się zapewne, czy wyszła albo kiedy wychodzi za mąż” — pomyślał.

I stwierdził, że w ten uroczy dzień wiosenny wspomnienie o niej zupełnie przestało go boleć.

— A co? Nie spodziewałeś się mnie? — zapytał Stiepan. Arkadjicz, który wysiadał z sanek tryskający zdrowiem i humorem, pomimo grudek, błota nad nosem, na policzku i na brwi. — Przyjechałem odwiedzić — cię — to raz — mówił obejmując i całując Lewina — zapołować na słonki — to dwa, sprzedać las w Jerguszowie — to trzy.

— Słicznie! Prawda, co za wiosna! Jakaś ty w ogóle na saniach dojechał?

— Na kołach jeszcze gorzej, Konstanty Dmitryczu — zauważył znajomy pocztylion.

— Bardzo, bardzo się cieszę — mówił Lewin ze szczerym, dziecięco radosnym uśmiechem.

Zaprowadził przyjaciela do gościnnego pokoju, dokąd wniesiono też jego rzeczy: worek podróżny, strzelbę w futerale i torbę do cygar, i zostawił gościa samego, by mógł się umyć i przebrać. Sam tymczasem poszedł do kancelarii, by wydać dyspozycje co do orki i co do koniczyny. Agafia Michajłowna, zawsze wielce dbała o honor domu, zasypała go w przedpokoju pytaniami na temat obiadu.

— Róbcie, jak chcecie, byle prędzej! — odrzekł i poszedł rozmówić się z rządcą.

Gdy wrócił, Obłoński, umyty, uczesany, promieniejący uśmiechem, wychodził właśnie ze swego pokoju. Poszli razem na górę.

— Jakże się cieszę, że na koniec do ciebie dotarłem! Zrozumiem wreszcie, na czym polegają te misteria, które ty tutaj odprawiasz. Wiesz, doprawdy zazdroszczę ci! Co za dom, jak tu ładnie! Jasno, wesoło — zachwycał się Obłoński zapominając, że nie zawsze bywa wiosna i takie jasne dni jak ten. — A twoja niania, jakże urocza! Wolałbym, co prawda, ładną pokojóweczkę w fartuszkach, ale przy twoim mniszym usposobieniu i surowym stylu życia to bardzo dobrze pasuje.

Obłoński opowiedział wiele interesujących nowin, a zwłaszcza przywiózł ciekawą dla przyjaciela wiadomość, że Sergiusz Koznyszew wybiera się tego lata do niego na wieś.

O Kitty ani w ogóle o Szczerbackich nie powiedział słowa, oddał tylko ukłony od Darii Aleksandrowny. Lewin był wdzięczny za tę delikatność i wielce rad z przyjazdu gościa. Jak zwykle, przez długi okres osamotnienia nabierało mu się bardzo wiele myśli i uczuć, którymi nie mógł dzielić się z otoczeniem; teraz więc zwierzał się przyjacielowi i z poetycznych uciech wiosennych, i z niepowodzeń i planów gospodarskich, i z myśli i uwag na temat przeczytanych książek, a przede wszystkim z przewodniej idei dzieła, które pisał, a którego istotą, chociaż sobie tego nie uświadamiał, była krytyka wszystkich dotychczasowych dzieł o gospodarce rolnej. Obłoński, zawsze miły, rozumiejący wszystko w lot, był tym razem jeszcze więcej niż zazwyczaj sympatyczny, a ponadto Lewin zauważył w jego zachowaniu cechę, która mu pochlebiała: szacunek i pewną jakby czułość.

Starania Agafii Michajłowny i kucharza, aby obiad był szczególnie dobry, miały ten skutek, że obaj zgłodniał przyjaciele zasiadłszy do zakąsek nasycili się chlebem z masłem, półgęskami i solonymi grzybkami i że Lewin kazał podać zupę bez pasztecików, którymi kucharz zamierza, zadziwić gościa. Gościowi wszakże, chociaż był

przyzwyczajony do zgoła innych obiadów, wszystko znakomicie smakowała: i ziołowa nalewka, i chleb, i masło, a już specjalnie półgęsek i grzybki. I zupa z pokrzywy, i kura w białym sosie, i białe wino krymskie — wszystko było wyśmienite i cudowne.

— Pyszności, pyszności! — powtarzał Obłoński zapalając po pieczystym okazałego papierosa. — Jakbym z wrzawy jakiegoś kiwającego się, hałaśliwego parostatku wysiadł u ciebie na cichy brzeg... Więc powiadasz, że robotnik rolny jako osobny czynnik powinien być przedmiotem badań i rozstrzygać o wyborze systemu gospodarczego? Jestem w tych rzeczach laikiem, ale zdaje mi się, że zarówno ta teoria, jak i jej zastosowanie wywierałyby wpływ także i na robotnika.

— Owszem, ale zważ, że mówię nie o ekonomii politycznej, lecz o nauce gospodarstwa. Dyscyplina ta powinna jak inne nauki przyrodnicze badać dane zjawiska, więc także i robotnika z jego ekonomicznym, etnograficznym...

Tu weszła do pokoju Agafia Michajłowna niosąc konfitury.

— No, Agafio Michajłowno — zwrócił się do niej Obłoński całując koniuszki swych pulchnych palców — co wy” macie tutaj za półgęski, a co za żubrówkę!... I cóż, Kostia — dodał — czy nie czas na nas?

Lewin spojrział przez okno na słońce, powoli znikające za nagimi jeszcze wierzchołkami lasu.

— Czas; czas... — zawołał. — Kuźma, niech zaprzęgają do linijki! — I pobiegł na dół.

Obłoński, zeszedłszy na parter, sam ostrożnie zdjął płócienny pokrowiec z lakierowanego pudła, otworzył je i począł składać swą kosztowną, nowego systemu strzelbę.

Kuzma, który przeczuwał hojny napiwek, nie odstępował gościa i wciągał mu usłużnie na nogi pończochy i buty, na co zresztą Obłoński chętnie zezwalał.

— A powiedz tam, Kostia, na wypadek gdyby przyjechał kupiec Riabinin, niech zaczeka Kazałem mu dzisiaj tu być.

— To ty Riabininowi sprzedajesz las?

— Tak jest. A ty go znasz?

— A jakże; znam go. Miałem z nim różne interesa „faktycznie i ostatecznie”.

Stiepan Arkadjicz roześmiał się „faktycznie i ostatecznie” były bowiem ulubionymi wyrażeniami kupca.

— Tak, niesłychanie zabawnie gada... Zrozumiałaś, dokąd pan się wybiera?! — dodał klepiąc Łaskę, która skomlać kręciła się dokoła Lewina i lizała mu to rękę, to strzelbę i buty.

Kiedy wyszli na ganek, linijka już czekała, — Kazałem zaprząć, choć to niedaleko. A może byśmy poszli pieszo?

— Nie, lepiej jedźmy — odrzekł Obłoński podchodząc do linijki.

Usadowił się, owinął nogi tygrysim pledem i zapalił cygaro. — Jak ty możesz nie palić! Cygaro to właściwie nie tyle przyjemność, co ukoronowanie przyjemności, jej symbol. To dopiero życie! Ach, jak tu dobrze! Tak właśnie chciałbym żyć i ja!

— A któż ci w tym przeszkadza? — uśmiechnął się Lewin.

— Nie! Jaki z ciebie szczęśliwy człowiek. Masz wszystko, co lubisz. Lubisz konie — masz konie; lubisz psy — masz psy; lubisz polowanie — masz polowanie; lubisz gospodarstwo — masz gospodarstwo.

— Może dlatego wydaję ci się szczęśliwy, ponieważ cieszę się tym, co mam, a nie tęsknię za tym, czego nie mam — odrzekł Lewin przypominając sobie Kitty.

Tamten spojrział na niego: zrozumiał, co ma na myśli, lecz nic nie powiedział.

Lewin był wdzięczny przyjacielowi za to, że ten ze zwykłym sobie taktem nie wszczął rozmowy o Szczerbackich, domyślając się, że Lewin się jej obawia. Teraz wzięła go chęć dowiedzieć się wreszcie o tym, co go tak dręczyło, nie śmiał się jednak o nic zapytać.

— A jakże twoje sprawy? — zagadnął spostrzegłszy się, że to niepięknie z jego strony myśleć tylko o sobie.

Oczy Obłońskiego Wesoło rozbłysły: zrozumiał pytanie Lewina po swojemu.

— Cóż, kiedy ty nie uznajesz, żeby człowiek poza należną mu ordynarią mógł jeszcze dopominać się o rogate. Według ciebie jest to przestępstwo, ja zaś nie uznaję życia bez miłości. Cóż robić, takim mnie już Pan Bóg stworzył. I doprawdy, to tak niewiele szkodzi komukolwiek, a mnie sprawia taką przyjemność.

— Czyżbyś miał co nowego?

— Mam, bracie! Czy znasz ten typ kobiet osjanowskich, kobiet, jakie widuje się w snach?... Otóż takie kobiety istnieją i na jawie... i są niebezpieczne. Kobieta, uważasz, to jest taki przedmiot, że choćbyś go nie wiem jak długo studiował, zawsze wszystko w nim będzie dla ciebie nowe.

— W takim razie czy nie byłoby lepiej nie studiować?

— O, nie! Jakiś matematyk powiedział, że rozkosz polega nie na odkryciu prawdy, lecz na jej poszukiwaniu.

Lewin słuchał w milczeniu i mimo trudu, jaki sobie zadawał, nie zdołał wnikać w psychikę przyjaciela i zrozumieć uroku studiów nad tego rodzaju kobietami.

XV

Miejsce ciągów było niedaleko, nad rzeczką, w niewielkim osiniaku. Dojechawszy do lasu Lewin zsiadł i zaprowadził Obłońskiego na koniec grząskiej, mchem pokrytej polanki, która już była wolna od śniegu. Sam powrócił na skraj przeciwległy, pod bliźniaczo zrosnięte dwie brzozy, i oparłszy strzelbę o rozwidlenie suchego dolnego sęczone, zdjął okrycie, opasał się mocno i wypróbował, czy może swobodnie poruszać ramionami.

Stara, osiwiła Łaska, która szła za nogą pana, teraz siadła ostrożnie naprzeciw niego i nastawiła uszu. Słońce zachodziło za starodrzew i na blasku zorzy zarysowywały się wyraźnie rozsiane po osiniaku młode brzożki z napęczniałymi, niemal pękającymi pączkami u zwisających gałęzi.

Z gęstwiny, gdzie jeszcze pozostał śnieg, ciekła ledwo dosłyszalnie krętymi, wąskimi strumyczkami woda. Drobne ptactwo świergotało i od czasu do czasu przelatywało z drzewa na drzewo.

W przerwach głębokiej ciszy słyhać było szelest poruszających się zeszlórocznych liści; to zaczynała pod nimi tajać ziemia i kiełkować trawa.

„No proszę!... Słyhać i widać, jak trawa rośnie!” — pomyślał Lewin dostrzegając, jak obok źdźbła młodej trawki poruszył się ciemnopopielaty, jak gryfel, mokry liść osiny. Stał, słuhał i patrzył w dół na „wilgotną, omszałą ziemię i nadśluhującą Łaskę, to znów w górę na ścielące się przed nim morze nagich wierzchołków lub na mierzchnące niebo, pokreślone białymi pasemkami chmur. Jastrząb, łopocąc z wolna skrzydłami, przeleciał: wysoko nad dalekim lasem, za nim tak samo poszybował drugi i znikł. Ptaki coraz głośniejsze i niecierpliwiej świergotały w gąszczu; nie opodał zahukał puchacz. Łaska drgnęła i zrobiła ostrożnie parę kroków, po

czym przechyliła łeb i jęła z uwagą nadśluchiwać. Z drugiej strony rzeczki dobiegało kukanie kukułki. Zakukała dwa razy zwykłym głosem, po czym ochrypla, zaczęła się śpieszyć i zmyliła takt.

— Jak to, już kukułka?! — zawołał Obłoński wychodząc spoza krzaku.

— Tak jest, słyszę! — odrzekł Lewin. Przykro mu było zakłócać ciszę leśną głosem, który go w tej chwili samego raził. — Teraz już niedługo.

Postać Obłońskiego znikła znów za krzakiem i Lewin widział tylko jaskrawy płomyk zapałki, a potem żarzące się światełko i błękitnawy dymek papierosa.

Czyk! Czyk! — szczęknięty kurki odwodzone przez Obłońskiego.

— A to co za głos? — zapytał zwracając uwagę Lewina na przeciągłe kwilenie; zdawało się, że jakieś rozbrykane źrebiątko rzy cieniutkim głosem.

— Nie poznajesz? To zając, samiec. Ale przestańmy już gadać. Słuchaj, leci! — prawie krzyknął Lewin odwodząc również kurki.

Rozległ się daleki cienki świst i — w zwykłym rytmie, tak dobrze znanym myśliwemu — po dwóch sekundach drugi i trzeci; po trzecim słyhać było wyraźne chrapanie: chor—chor—chor.

Lewin rozejrzał się w prawo i w lewo i oto przed nim na niewyraźnym błękitnie nieba, nad zlewającymi się z tłem delikatnymi pędami wierzchołków osin ukazał się nadlatujący ptak. Lecił wprost na Lewina i odgłos jego chrapania, podobny do miarowego naddzierania mocnej tkaniny, rozległ się tuż nad uchem myśliwego. Widać już było długi dziób i szyję ptaka. W chwili gdy Lewin złożył się do strzału, spoza krzaka, za którym stał Obłoński, wytrysła

czerwona błyskawica. Słonka jak strzała opadła w dół i znów porwała się do góry. Po raz drugi zamigotał błysk, uderzył piorun, i ptak trzepiąc skrzydłami, jakby usiłując utrzymać się w powietrzu, zawisł i trwał tak przez chwilę, zanim ciężko runął na grząską ziemię.

— Czyżbym spudłował? — zawołał Obłoński, nic nie widząc poprzez dym.

— Jest — odpowiedział Lewin i wskazał na Łaskę, która uniósłszy jedno ucho, jakby uśmiechnięta, wysoko machała koniuszkiem puszystego ogona i — wolnym krokiem, niby chcąc przedłużyć tę przyjemną chwilę — aportowała swemu panu zabita słonkę. — Rad jestem, że ci się udało — rzekł Lewin odczuwając przy tym jednak zazdrość, że to nie on zabił tę słonkę.

— Paskudne pudło z prawej lufy — zauważył Obłoński, nabijając broń. — Pst... leca!...

Istotnie, znowu rozległy się przenikliwe, szybko następujące po sobie świsty. Dwie goniące się swawolnie słonki nadciągnęły tuż nad głowy myśliwych ze świstem tylko, nie z chrapaniem. Rozległy się cztery strzały, słonki zrobiły nagły zwrot, jak jaskółki, i znikły z oczu.

Ciąg słońek był znakomity. Stiepan Arkadjicz zabił jeszcze dwie sztuki, Lewin dwie, z których jednej wszelako nie mógł odnaleźć. Zaczęło się ściemniać. Spoza brzołek, nisko na zachodzie, świetlista srebrna Wenus jaśniała już swym łagodnym blaskiem, a wysoko na wschodzie mienił się czerwonymi ogniami posepny Arkturus. Ponad swą głową Lewin to chwycił, to znów gubił gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy. Słonki przestały już ciągnąć, postanowił jednak poczekać, aż Wenus, którą dostrzegł poniżej pewnego sęczka na brzozie, wzniesie się ponad ów sęczek i aż wszystkie gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy staną się

wyraźnie widzialne. Wenus wzniosła Się już ponad sęczek, wóz Niedźwiedziy był cały wraz z dyszlem widoczny na ciemnobłękitnym tle nieba, a Lewin jeszcze ciągle czekał.

— Czy nie czas na nas? — przerwał milczenie Obłoński.

W lesie było już zupełnie cicho: ani jeden ptaszek się nie ruszał.

Zostańmy jeszcze trochę — rzekł Lewin.

— Jak chcesz.

Stali teraz w odległości piętnastu kroków jeden od drugiego.

— Stiwa — niespodzianie zapytał Lewin — dlaczego nic mi nie mówisz o twojej szwagierce? Czy wyszła albo kiedy wychodzi za mąż?

Lewin czuł się w tej chwili spokojny i niewzruszony. Zdawało mu się, że żadna odpowiedź nie zdoła nim wstrząsnąć. Zupełnie się jednak nie spodziewał tego, co odpowiedział Obłoński.

— Ależ ani myślała i nie myśli o zamążpójściu; rozchorowała się i za radą doktorów wyjechała za granicę. Zachodzi nawet obawa o jej życie.

— Co ty gadasz! — wykrzyknął Lewin. — Czy bardzo chora? Cóż jej jest? Jak się teraz miewa?...

Podczas gdy tak rozmawiali, Łaska z nastawionymi uszami to patrzyła w górę na niebo, to z wyrzutem na myśliwych.

„Znaleźli też czas na rozmowy — myślała. — A słonka sobie leci... Otóż i ona. Nie mówiłam?! Przegapią...” — tak myślała Łaska.

W tej samej jednak chwili obaj rozmawiający usłyszeli nagle świsnięcie tak przejmujące, jakby ich kto smagnał po uchu. Obaj nie zwlekając pochwycili strzelby: zamigotały dwie błyskawice i rozległy się jednocześnie dwa uderzenia gromu. Ciągająca wysoko słonka od razu złożyła skrzydła i

spadła w gąszcz, gnąc pod sobą młode pędy.

— To świetnie! Wspólna — krzyknął Lewin i pobiegł z Łaską w gęstwinę szukać słońki. „Ach, prawda, co to takiego przed chwilą się stało? Coś nieprzyjemnego... — przypomniał sobie. — Tak, Kitty jest chora... — Cóż robić! Jaka szkoda” — myślał.

— A, znalazłaś?! Mądra suka — pochwalił wyjmując Łasce ciepłą jeszcze słońkę z pyska i kładąc ją do prawie już pełnej torby myśliwskiej. — Znalazłem, Stiwa! — zawołał:

XVI

W drodze do domu Lewin wypytywał Obłońskiego o wszystkie szczegóły choroby Kitty oraz o projekty Szczerbackich i — chociaż wstydziłby się do tego przyznać — to, czego się dowiedział, sprawiło mu przyjemność nie tylko dlatego, że mógł mieć jeszcze jakąś nadzieję, ale także, a może jeszcze bardziej, ponieważ ta, która zadała mu tyle bólu, sama teraz cierpiała. Kiedy jednak Obłoński zaczął mu opowiadać o przyczynach choroby Kitty i wymówił nazwisko Wrońskiego, Lewin przerwał mu:

— Nie mam najmniejszego prawa wnikać w tajemnice rodzinne, a nawet, prawdę mówiąc, nie jestem ich ciekaw.

Obłoński uśmiechnął się nieznacznie na widok dobrze sobie znanej nagłej zmiany w twarzy Lewina, który stał się równie ponury, jak zaledwie przed chwilą był wesół, — Czyś już całkiem załatwił z Riabininem sprzedaż lasu? — spytał Obłońskiego.

— Tak, całkiem. Cena świetna — trzydzieści osiem tysięcy rubli. Osiem z góry, a reszta rozłożona na sześć lat. Miałem z tym wiele zachodu, nikt nie chciał dać więcej.

— To znaczy, że oddałeś las za darmo — chmurnie

mruknął Lewin.

— Niby dlaczego za darmo? — uśmiechnął się dobrodusznie tamten, wiedząc już, że teraz nic się nie będzie Lewinowi podobało.

— Dlatego że las jest wart co najmniej pięćset rubli za dziesięcinę — wyjaśnił Lewin.

— Ach, ci wiejscy dziedzice — żartobliwie rzucił Obłoński. — Paradny jest ten wasz ton pogardy wobec nas, mieszczuchów!... Ale gdy naprawdę chodzi o zrobienie interesu, to zawsze my potrafimy go zrobić lepiej od was. Wierzaj mi, wziąłem wszystko pod uwagę i las sprzedałem korzystnie. Obawiam się nawet, czy Riabinin się nie cofnie. Przecież to nie jest las użytkowy (słowem użytkowy chciał ostatecznie przekonać Lewina), ale raczej opałowy, i z dziesięciny nie da więcej niż trzydzieści sążni*, a Riabinin płaci mi po dwieście rubli.

Lewin uśmiechnął się lekceważąco. „Znam ja — pomyślał — ten zwyczaj, właściwy nie tylko jemu, lecz wszystkim mieszkańcom miasta, którzy bywając na wsi ze dwa razy na lat dziesięć, zapamiętają sobie dwa, trzy wiejskie wyrażenia i używają ich potem ni przypiął, ni przyłatał, wierząc niezachwianie, że wszystkie, rozумы zjedli. Użytkowy, tyle a tyle sążni z dziesięciny — rzucają takimi słówkami nie mając pojęcie

o niczym.”

— Ja cię nie będę uczył, co i jak masz pisać w twoim biurze — powiedział — a w razie potrzeby spytam się ciebie o radę. A ty jesteś tak bardzo pewny, że posiadłe; całą mądrość, gdy chodzi o las. To rzecz trudna. Czyś ty na przykład policzył drzewa?

* S a ż e ń — dawna miara długości używana w Rosji przed wprowadzeniem systemu metrycznego; tutaj sążeń drzewa — miara kubiczna, równa się ok. 3,3m³

— Jak , to? Czy policzyłem drzewa? — zaśmiał się Obłoński wciąż usiłując rozproszyć zły humor przyjaciela. — „Policzyć piaski i gwiazd blaski choć mógłby rozum nasz wysoki...”

— No tak, a jednak wysoki rozum Riabinina potrafi tego dokonać. I żaden kupiec nie kupi lasu nie policzywszy drzew, chyba że mu je kto, tak jak ty, oddaje za darmo. Znam dobrze twój las, co roku bywam tam na polowaniu. Wiem, że dziesięcina warta jest pięćset rubli gotówką, on zaś daje ci tylko dwieście, i to na raty. To znaczy, że podarowałeś mu ze trzydzieści tysięcy,

— Daj pokój, nie unos się — żałośnie prosił Obłoński. — A dlaczego nikt więcej od niego nie dawał?

— Dlatego że Riabinin jest w zмовie z innymi kupcami i dał odstępnę. Miałem ja z nimi wszystkimi do czynienia, znam ich dobrze. To nie kupcy, to spekulanci. Żaden z nich nie weźmie się do interesu, jeśli spodziewa się zarobku na dziesięć, piętnaście procent; każdy wyczekuje okazji, by za dwadzieścia kopiejek kupić rubla.

— Dajże pokój. Jesteś po prostu w złym humorze.

— Ani trochę — rzekł ponuro Lewin. Zajeżdżali właśnie przed dom.

Przed gankiem stała już mocno okuta żelazem i obita skórą bryczka, z mocno zaprzężonym w szeroką uprząż spasionym koniem. Na koźle zamiast furmana siedział pomocnik Riabinina; mocno krwistej kompleksji i mocno ściągnięty pasem. Sam Riabinin wszedł już był do domu i teraz powitał obu przyjaciół w przedpokoju. Był to wysoki, chuderlawy mężczyzna w średnim wieku, z wąsami, ogolonym wystającym podbródkiem i mętnymi, wypukłymi oczyma. Miał na sobie długopóły niebieski surdut z guzikami umieszczonymi poniżej siedzenia i długie pofałdowane w

kostce, a gładkie na łydce buty z cholewami. Na butach miał jeszcze ogromne kalosze. Okrągłym ruchem otarł chustką twarz, dokładnie obciągnął na ramionach surdut, który i tak się z nich nie zsuwał, i z uśmiechem powitał wchodzących, wyciągając do Obłońskiego rękę w taki sposób, jakby chciał nią coś schwytać.

— A więc przyjechał pan — podał mu rękę Obłoński. To doskonale.

— Nie ośmieliłem się nie spełnić rozkazów księcia pana, chociaż drogi są nazbyt okropne. Faktycznie, całą drogę szedłem piechotą, ale stawilem się na termin. Moje uszanowanie, Konstanty Dmitryczu — zwrócił się do Lewina usiłując schwytać także i jego rękę. Ten jednak zmarszczył brwi i dalej wyjmował z torby słonki udając, że nie widzi wyciągniętej dłoni kupca. — Panowie raczyli zabawiać się polowaniem? Co to mianowicie będzie za ptak? — dodał oglądając z lekceważeniem słonki. — Pewnie dobrze smakuje — i pokiwał niechętnie głową, jakby powątpiewając, czy skórka stanie za wyprawę.

— Czy chcesz przejść do gabinetu? — spytał przyjaciela po francusku posepnie nachmurzony Lewin. — Przejdź z nim do gabinetu, tam się rozmówicie.

— Owszem, pójść można, gdzie wola — rzekł Riabinin ze wzgardliwą godnością, jakby chcąc dać do zrozumienia, że kto inny może nie wiedzieć, jak się z kim znaleźć, lecz on sam nigdy w niczym nie napotyka trudności.

Po wejściu do gabinetu kupiec rozejrzał się z przyzwyczajenia, jakby szukając ikony, ale znalazłszy ją nie przeżegnał się. Obejrzał szafy i półki z książkami. Z tym samym powątpiewaniem, z jakim oglądał słonki, uśmiechnął się pogardliwie i pokiwał głową z dezaprobatą. Tutaj już w żaden sposób nie mógł się zgodzić, by ta skórka warta była

wyprawy.

— No i cóż, przywiózł pan pieniądze? — zapytał Obłoński. — Niech pan siada.

— O pieniądze nam nie chodzi. Przyjechałem zobaczyć się z księciem panem i pogadać.

— O czymże mamy gadać? Ale niech pan siada.

— Owszem, czemu nie — rzekł Riabinin siadając i opierając się łokciami o tylną poręcz fotela, co musiało być prawdziwą torturą. — Trzeba coś opuścić, proszę księcia pana. Inaczej byłby prawdziwy grzech. A pieniądze są przygotowane, ostatecznie, co do kopiejki. Przez pieniądze interes się nie odwlecze.

Lewin wstawił tymczasem dubeltówkę do szafy i był już w drzwiach. Na te słowa kupca zatrzymał się.

— I tak już pan wziął las za darmo — rzekł. — Za późno przyjaciel mój do mnie przyjechał, bo inaczej ja bym cenę wyznaczył.

Riabinin wstał i bez słowa, z uśmiechem zmierzył Lewina spojrzeniem.

— Konstanty Dmitrycz jest bardzo skąpy — zwrócił się do Obłońskiego — u niego ostatecznie nie sposób nic kupić. Próbowałem targować pszenicę; ładne pieniądze dawałem.

— Po cóż mam swoje dobro oddawać panu za darmo? Przecie nie znalazłem tego na ulicy ani nie ukradłem.

— Zlituj się pan, Konstanty Dmitryczu, przecie w dzisiejszych czasach faktycznie niemożliwe jest kraść. W dzisiejszych czasach sądy są ostatecznie jawne i wszystko odbywa się szlachetnie, a nie żeby kraść. Mówiliśmy honorowo. Księżę pan za drogo wycenił las, tak że nie wyszedłbym na swoje. Proszę cośkolwiek opuścić.

— Czy wasz interes jest już ubity, czy nie? Jeśli ubity, to nie ma się o co targować, a jeśli nie, to ja kupuję las — rzekł

Lewin.

Z twarzy Riabinina znikł uśmiech. Wystąpił na niej jastrzębi, drapieżny i brutalny wyraz. Kościstymi palcami pośpiesznie rozpiął surdut — odsłaniając wypuszczoną na spodnie koszulę, mosiężne guziki kamizelki i dewizkę od zegarka — i z pośpiechem wydobył gruby stary pugilares.

— Proszę, las jest mój — rzekł prędko, robiąc znak krzyża, i wyciągnął rękę. — Bierz pieniądze, las jest mój.

Oto jak Riabinin robi interesa, a nie, żeby grosze liczyć — marszczył brwi i wymachiwał pugilaresem.

— Ja bym się na twoim miejscu nie śpieszył — rzekł Lewin.

— Co też ty mówisz — zdziwił się Obłoński — przecie dałem już słowo.

Lewin wyszedł z pokoju trzasnąwszy drzwiami. Riabinin popatrzył na drzwi i pokręcił z uśmiechem głową.

— Wszystko to młodość, ostatecznie zwykła dziecinada. Sumieniem się świadczę, że kupuję tylko dla honoru, że to niby Riabinin, a nie kto inny, nabył ten gaiczek od Obłońskiego. A i to Bóg jeden wie, czy mi się opłaci. Na Boga, proszę mi wierzyć. Jeśli łaska, spiszemy waruneczki...

W godzinę później kupiec, otulony starannie w kaftan, zapiąwszy haftki surduta, z umową W kieszeni wsiadł na swą mocno okutą bryczuszkę i pojechał do domu.

— Oj, ci jaśnie panowie! — rzekł do pomocnika. — Wszyscy — jedno lichy.

— Wiadoma rzecz — odparł pomocnik oddając mu lejce i zapinając skórzany fartuch. — A jak tam sprawuneczek, Michale Ignatyczu?

— At...

XVII

Obłoński poszedł na górę, z odstającymi kieszeniami pełnymi banknotów, które kupiec wpłacił mu za trzy miesiące naprzód. Załatwił sprzedaż lasu, pieniądze miał, ciąg słońek był świetny, toteż Stiepan Arkadjicz wpadł w jak najlepszy humor i zależało mu specjalnie na rozproszeniu złego nastroju Lewina. Miał ochotę przy kolacji miło zakończyć dzień tak przyjemnie rozpoczęty.

Istotnie, Lewin był bez humoru i jakkolwiek usiłował być uprzejmy i serdeczny dla sympatycznego gościa, nie potrafił się przemóc. Oszołomienie wywołane wiadomością, że Kitty nie wyszła za męża, zaczęło go powoli odurzać.

Kitty wolna, Kitty chora... Chora z miłości do człowieka, „który ją zlekceważył. Zdawało mu się, że cień tej zniewagi spada na niego. Wroński wzgardził nią, ona wzgardziła Lewinem, a zatem Wroński miał prawo lekceważyć go, był więc jego wrogiem. Lewin w myśli nie formułował tego tak wyraźnie i tylko niejasno odczuwał, że jest w tym wszystkim coś, co go obraża osobiście. Złościł się teraz nie na to, co było powodem jego irytacji, ale czepiał się pierwszego lepszego pozoru. Gniewała go niemądra sprzedaż lasu, oszustwo, którego ofiarą padł przyjaciel w jego własnym domu.

— No, czy już skończyłeś? — zwrócił się na górze do Obłońskiego. — Czy podać kolację?

— I owszem. Jaki ja mam apetyt na tej twojej wsi! Coś niebywałego! — Dlaczego nie kazałeś poczęstować czymś Riabinina?

— A niech go diabli!...

— Jednak... Jak ty go traktujesz! — zgorszył się Obłoński.
— Nawet mu ręki nie podałeś. Dlaczego miałoby się nie

podawać mu ręki?

— A dlatego, że lokajowi nie podaje się ręki, a lokaj jest sto razy więcej wart od niego.

— Mój Boże! Jaki z ciebie wstecznik. A zespolenie wszystkich stanów? — zawołał Obłoński.

— Kto ma ochotę się zespalać, niech mu będzie na zdrowie! Ja mam do tego wstręt.

— Widzę, że jesteś zdecydowanym wstecznikiem.

— Doprawdy, nie zastanawiałem się nigdy nad tym, kim jestem. Jestem Konstanty Lewin, i tyle.

— I to Konstanty Lewin w bardzo złym humorze — uśmiechnął się Stiepan Arkadjicz.

— Istotnie, jestem w złym humorze, a wiesz dlaczego? Wybacz, ale z powodu tej twojej głupiej sprzedaży...

Obłoński skrzywił się dobrodusznie jak człowiek, którego niesłusznie gnębią i napastują.

— Daj pokój! Czy nie tak zawsze bywa, że jak tylko ktoś coś komuś sprzeda, to zaraz po sprzedaży powiadają: „To o wiele więcej warte”. Tymczasem, póki rzecz jest na sprzedaż, nikt grosza nie daje. Nie. Widzę już, że masz zęba na tego nieszczęsnego Riabinina...

— Być może, a wiesz dlaczego? Znów będziesz mi wymyślał od wsteczników lub użyjesz jakiego innego strasznego słowa. Ale gniewa mnie i boli, gdy widzę wszędzie dokonujące się ubożenie szlachty, do której i ja należę, a z tej przynależności jestem pomimo twego zespalania się stanów szczerze zadowolony... I ubożenie to nie jest bynajmniej rezultatem zbyt kownego życia; to by nie szkodziło, przeżyć po pańsku życie to rzecz szlachecka, tylko szlachta to potrafi. Teraz chłopci w moich okolicach skupują ziemię i to mnie wcale nie gniewa! Pan nic nie robi, chłop pracuje i zajmuje miejsce nieroba. Tak być powinno i dlatego

cieszę się z takiego chłopca. Boli mnie jednak, gdy stwierdzam zubożenie wskutek jakiejś — nie wiem, jak to określić — naiwności. Tu dzierżawca Polak kupuje za pół ceny od jaśnie pani, mieszkającej stale w Nizy, śliczny majątek. Gdzie indziej znowu oddają w dzierżawę kupcowi po rublu dziesięcinę wartą dziesięć rubli. A choćby i ty... Bez żadnej racji darowałeś temu krętaczowi trzydzieści tysięcy.

— Więc, cóż? Mam liczyć każde drzewo?

— Oczywiście, że liczyć. Ty ich nie rachowałeś, ale Riabinin to z pewnością zrobił. Toteż dzieci Riabinina będą miały z czego żyć i za co się kształcić, a twoje, kto wie — może nie.

— Wybacz mi, ale jest coś małostkowego w tym liczeniu. My mamy swoje zadania, oni swoje; im potrzebne są zyski. Zresztą sprawa jest już załatwiona, i koniec. Ale otóż i jajka sadzone, ulubiona moja potrawa, i Agafia Michajłowna da nam tej cudownej żubrówki...

Obłoński siadł do stołu i począł się przekomarzać z Agafią zapewniając ją, że tak smacznego obiadu i kolacji dawno już nie jadł.

— Księżę to przynajmniej pochwali — ucieszyła się — Ot, Konstanty Dmitrycz, cokolwiek mu się poda, niechby i skórę od chleba, zje tylko i pójdzie sobie... Mimo usiłowań, by się przemóc, Lewin nadal był posepny i milczący. Pragnął koniecznie zadać przyjacielowi jedno pytanie, lecz w żaden sposób nie mógł: nie znajdował ani właściwego sformułowania, ani stosownej okazji. Stiepan Arkadjicz już zeszedł na dół do siebie, rozebrał się, jeszcze raz się umył, włożył nocną koszulę z rurkowanym żabotem i położył się, a Lewin wciąż marudził u niego w pokoju, gawędząc o rozmaitych błahostkach i nie mogąc się zdobyć na to swoje zapytanie.

— Jakie niesłychane mydła teraz fabrykują — mówił oglądając i rozwijając kawałek pachnącego mydła, które Agafia Michajłowna przygotowała, którego jednak Obłoński nie używał. — Popatrz tylko, przecież to dzieło sztuki.

— Tak, obecnie we wszystkim znać postęp — odparł Obłoński ziewając soczyście i błogo. — Choćby na przykład teatry i te wszystkie rozrywkowe... a—a—a — ziewał. — I to światło elektryczne wszędzie... a—a!

— A tak. Światło elektryczne — powtórzył Lewin. — Tak. A gdzie jest obecnie Wroński? — spytał i położył nagle mydło.

— Wroński? — odrzekł Stiepan Arkadjicz przerywając ziewanie — jest w Petersburgu. Wyjechał niedługo po tobie i potem nie był już więcej w Moskwie. I czy wiesz, Kostia — ciągnął dalej, kładąc łokcie na stole i opierając na rękach przystojną rumianą twarz, w której jaśniały, jak gwiazdy, poczciwe, wilgotne, zaspane oczy — sam byłeś sobie winien. Niepotrzebnie zląkłeś się rywala. A tymczasem, jak ci już wtedy mówiłem, nie wiem, po czyjej stronie było więcej szans. Czemuś ty nie poszedł przebojem? Mówiłem ci przecież, że... — Obłoński ziewnął samymi tylko szczękami, nie otwierając ust.

„Wie czy nie wie, że się oświadczyłem? — pomyślał Lewin patrząc na przyjaciela. — Tak, w wyrazie jego twarzy jest coś podstępnego, dyplomatycznego” — i czując, że się czerwieni, w milczeniu patrzył Obłońskiemu prosto w oczy.

— Jeśli nawet coś tam wówczas z jej strony było, to działały raczej tylko rzeczy zewnętrzne — perswadował Obłoński. — Ten, wiesz, jego skończony arystokratyzm i świetne w przyszłości stanowisko w towarzystwie zawróciły głowę nie jej, ale matce.

Lewin sposepniał. Uraza, którą odczuł z powodu odkosza,

znów ukuła go w serce, jakby kto dotknął świeżej rany. Był wszelako we własnym domu, a powiadają, że we własnym domu nawet ściany spieszą człowiekowi z pomocą.

— Czekaj, czekaj — zawołał przerywając. — Powiadasz: arystokratyzm. Ale pozwól, że cię zapytam, na czym on polega u Wrońskiego lub u kogokolwiek innego. Co to za arystokratyzm, który upoważnia do lekceważenia mojej osoby? Ty uważasz Wrońskiego za arystokratę. Ja nie. Człowiek, którego ojciec był niczym, a wybił się dzięki intrygom, którego matka Bóg wie z kim nie miała romansu... Nie, wybacź, proszę, ale ja za arystokrację uważam siebie i ludzi takich jak ja, mogących się powołać w przeszłości na trzy, cztery ucziwe pokolenia rodzin, które osiągnęły najwyższy poziom kultury (talent i rozum to jeszcze co innego), ludzi, którzy nigdy przed nikim się nie płaszczyli, nigdy na nikogo nie liczyli, tak jak mój ojciec i dziadek. I znam wielu takich... Tobie się zdaje, że jest coś pospolitego w tym, że ja liczę drzewa w lesie, podczas kiedy ty darowujesz Riabininowi trzydzieści tysięcy. Ale ty możesz dostać dzierżawę, i kto wie co jeszcze, ja zaś tego nie dostanę, dlatego cenię to, co dziedziczne i zdobyte pracą pokoleń... To my jesteśmy arystokratami, a nie ci, którzy mogą się utrzymać tylko dzięki darowiznom od możnych tego świata, nie ci, których da się kupić za dwadzieścia kopiejek.

— Kogóż ty masz na myśli? Zgadza się z tobą — szczerze i wesoło odpowiedział Obłoński, chociaż wiedział, że Lewin mówiąc o tych, których można kupić za dwadzieścia kopiejek, godził także i w niego. Spodobała mu się szczerze żarliwość Lewina. — Więc kogo masz na myśli? Choć wiele z tego, co powiadasz o Wrońskim, jest niesłuszne, nie o to mi chodzi. Mówię ci wręcz: ja na twoim

miejscu pojechałbym ze mną do Moskwy i...

— Nie. Nie wiem, czy wiesz, czy nie, ale mniejsza o to. Wiedz, że oświadczyłem się i dostałem kosza. Wspominam obecnie księżniczkę z przykrością i zawstydzeniem.

— Cóż znowu? Co za głupstwa!

— Ach, nie mówmy już o tym. Wybacz mi, proszę, że byłem z tobą szorstki — rzekł Lewin. Teraz, skoro się całkowicie wy wnętrzył, powrócił do swego porannego nastroju. — Nie gniewasz się na mnie, Stiwa? Nie gniewaj się, proszę cię — i uśmiechnął się biorąc przyjaciela za rękę.

— Ależ nie, ani trochę, a zresztą nie ma o co. Rad jestem, żeśmy się rozmówili. Wiesz co, ciągi bywają dobre rano. Może byśmy tak pojechali? Ja bym nawet potem nie kładł się spać i prosto z polowania pojechał na stację.

— Doskonale.

XVIII

Mimo że namiętna miłość do Anny wypełniła wewnętrzne życie Wrońskiego po brzegi, bieg jego zewnętrznego życia toczył się bez zmian i niepowstrzymanie dawną, zwykłą koleją towarzyskich i pułkowych stosunków i spraw. Sprawy pułku odgrywały u niego znaczną rolę nie tylko dlatego, że był doń przywiązany, ale jeszcze bardziej dlatego, że i jego w pułku lubiano, i to nie tylko lubiano, lecz szanowano i szczycono się nim. Pułk był dumny z tego, że ten człowiek o wielkim majątku, wysokim wykształceniu, człowiek bardzo zdolny, przed którym stała otworem droga do wszelkiego rodzaju sukcesów dostępnych dla ambicji i próżności, wszystko to lekceważył i ze wszystkich spraw życiowych najbardziej brał do serca sprawę pułku i życia koleżeńskiego. Wroński znał opinię, jaką cieszył się u kolegów, i nie dość, że

istotnie lubił to życie, ale poczuwał się do obowiązku podtrzymania raz ustalonej o sobie reputacji.

Wroński, rzecz oczywista, nie rozmawiał nigdy z żadnym z kolegów o swej miłości, nie wygadał się z nią nawet na największych pijatykach (zresztą nigdy nie upijał się do utraty przytomności) i zamykał usta tym spomiędzy lekkomyślnych kolegów, którzy próbowali robić aluzje do jego romansu. Mimo że całe miasto o tym wiedziało, bo wszyscy mniej lub więcej trafnie domyślali się, co łączy go z panią Karenin, większość młodych ludzi zazdrościła mu właśnie tego, co było w tej miłości najprzykrzejsze, mianowicie wysokiego stanowiska Karenina, a co za tym idzie — sensacji, jaką związek ten budził w towarzystwie.

Młode kobiety, zazdrosne o Annę, którym od dawna sprzykrzyło się słuchać, jak ją zowią sprawiedliwą, cieszyły się z tego, czego się domyślały, i czekały tylko potwierdzenia ogólnych pogłosek, aby móc zwalić na nią cały ciężar swej pogardy. Te panie przygotowały, już grudki błota, by cisnąć nimi w Annę, gdy nadejdzie stosowna chwila. U większości starszych osób i u ludzi na wysokich stanowiskach przeważało niezadowolenie z przygotowującego się skandalu towarzyskiego.

Matka Wrońskiego dowiedziawszy się o romansie zrazu była rada, ponieważ, według jej pojęć, nic nie daje takiego poloru olśniewającemu już i tak młodemu człowiekowi, jak wielkoświatowy romans. Anna, która jej się bardzo podobała i która tyle mówiła o swoim synku, była jednak taka sama, jakimi — według pojęć starej hrabiny — bywają wszystkie piękne i przyzwoite kobiety, i to ją cieszyło. Ostatnio jednakże dowiedziała się, że syn jej odrzucił proponowane mu ważne dla przyszłej jego kariery stanowisko, byleby pozostać w pułku, co mu pozwalało nadal widywać panią

Karenin, i że wywołało to złe wrażenie u najwyższych osobistości. Wówczas matka Wrońskiego zmieniła zdanie. Nie podobało jej się również, że jak wynikało ze wszystkiego, czego się o tym stosunku dowiedziała, nie był to ów elegancki, pełen gracji wielkoświatowy romans, któremu by przyklasnęła, lecz jakaś werterowska, desperacka — jak jej opowiadano — namiętność, która mogła pchnąć syna do popełnienia głupstwa. Nie widziała Aleksego od czasu jego niespodziewanego, wyjazdu z Moskwy i za pośrednictwem starszego syna domagała się, aby do niej przyjechał.

Starszy brat był również niezadowolony: Ten nie analizował, jaka to była miłość — wielka czy mała, namiętna czy nienamiętna, grzeszna czy niewinna (on sam, ojciec dzieciom, utrzymywał baletnicę i stąd pobłażliwość) — wiedział natomiast, że jest to miłość, która nie podoba się tym, komu należy się podobać, toteż nie pochwałał postępowania brata.

Oprócz zajęć służbowych i bywania Wroński miał jeszcze jedno zajęcie — konie, które namiętnie lubił.

Tego roku miały się odbyć zawody oficerskie z przeszkodami. Wroński zgłosił się już do wyścigu, kupił angielską klacz pełnej krwi i pomimo swej miłości do Anny, interesował się z pasją, chociaż z pasją tłumioną, mającymi nastąpić zawodami.

Obie te namiętności nie przeszkadzały sobie nawzajem. Przeciwnie, jakieś zajęcie i jakaś pasja nie związana z jego miłością były mu potrzebne dla oderwania się i wytchnienia od zbyt gwałtownych wrażeń.

XIX

W dzień wyścigu w Krasnym Siole Wroński poszedł

wcześniej niż zwykle zjeść befsztyk do ogólnej sali pułkowego kasyna. Nie potrzebował przestrzegać ścisłej diety, gdyż waga jego odpowiadała właśnie ustalonej normie czterech i pół puda, ale nie wolno mu było utyc i dlatego unikał słodkich i mącznych potraw. Siedział w rozpiętym mundurze, spod którego widać było białą kamizelkę, wsparty oburącz na stole i czekając na zamówiony befsztyk patrzył w leżący na talerzu tom francuskiej powieści, by nie rozmawiać z wchodzącymi i wychodzącymi oficerami i móc spokojnie rozmyślać.

Myślał o tym, że Anna przyrzekła mu schadzkę na dziś po wyścigach. Nie widział się z nią wszelako od trzech dni i nie był pewien, czy się będą mogli tego dnia zobaczyć, ponieważ Karenin powrócił z zagranicy. Nie wiedział również, w jaki sposób o tym się dowiedzieć. Po raz ostatni widział Annę na lotnisku u kuzynki Betsy. Do willi Kareninów jeździł możliwie rzadko, tego dnia jednak zamierzał tam pojechać i namyślał się, jakby to zrobić. „Powieм, naturalnie, że Betsy przysłała mnie, by się dowiedzieć, czy Anna wybiera się na wyścigi. Oczywiście, że pojedę” — postanowił Wroński podnosząc głowę znad książki... I aż mu twarz pojaśniała, gdy sobie wyobraził, jakim szczęściem będzie to spotkanie.

— Poślij kogoś do mnie do domu i każ powiedzieć, żeby natychmiast zaprzęgali trójkę do powozu — polecił służącemu, który podał mu befsztyk na ogrzonym srebrnym półmisku. Wroński przysunął go sobie i zabrał się do jedzenia.

Z sąsiedniej sali bilardowej dolatywało stukanie kul, rozmowa i śmiech. W drzwiach wejściowych ukazali się dwaj oficerowie: jeden bardzo młody o delikatnych, miękkich rysach, dopiero niedawno przybyły do pułku z Korpusu Paziów, drugi — stary oficer z bransoletą na rękę, nalany, o

małych, zapłnionych tłuszczem oczkach.

Wroński rzucił na nich okiem, zmarszczył brwi i jakby nie dostrzegając ich, tylko patrząc z ukosa w książkę, pograżył się jednocześnie w jedzeniu i w czytaniu.

— Nabierasz sił do pracy? Co? — zapytał otyły oficer i usiadł obok niego.

— Jak widzisz — niechętnie odparł Wroński nie patrząc na niego i ocierając usta.

— A nie boisz się utyc? — rzekł tamten i podsunął krzesło młodziutkiemu koledze.

— Co takiego? — gniewnie rzucił Wroński, z grymasem obrzydzenia pokazując cały rząd równiutkich zębów.

— Nie boisz się utyc?

— Kelner! Xeresu! — zawołał Wroński nie odpowiadając na pytanie i przełożywszy książkę na drugą stronę czytał dalej.

Opasły oficer wziął kartę win i zwrócił się do młodziutkiego.

— Wybierz sam, co będziemy pili — rzekł i podał mu kartę wpatrując się w niego.

— Może reńskie — odrzekł ten i spojrzał nieśmiało na Wrońskiego starając się ująć w palce swój ledwo syjący się wąsik. Widząc, że Wroński się ku nim nie odwraca, wstał.

— Chodźmy do sali bilardowej — zaproponował. Tłuszcioch posłusznie wstał i obaj skierowali się ku drzwiom.

W tej chwili wszedł do pokoju rosły, postawny rotmistrz Jaszwin i skinąwszy z wysoka pogardliwie głową dwóm oficerom, podszedł do Wrońskiego.

— Mam cię nareszcie! — zawołał uderzając go mocno swą wielką dłonią po epolecie. Wroński obejrzał się gniewnie, lecz natychmiast twarz jego rozpogodziła się i nabrała właściwego mu wyrazu spokojnej, niezmiennej

serdeczności.

— Masz rację, Alosza — pochwalił rotmistrz donośnym barytonem. — Zjedz coś teraz i wypij jeden kieliszek.

— Nie chce mi się jeść.

— A otóż i dwaj nierozłączni — uśmiechnął się ironicznie Jaszwin, spoglądając na dwóch oficerów, którzy właśnie wychodzili z pokoju, po czym usiadł obok Wrońskiego, zginając pod ostrym kątem swe zbyt długie uda, nie dopasowane do wysokości krzeselka, oraz golenie w wąskich raj tuzach. — Dlaczego wczoraj nie byłeś w teatrze w Krasnem? Numierowa była wcale niezła... Gdzie byłeś?

— Zasiedziałem się u Twerskich — powiedział Wroński.

— Aha — mruknął Jaszwin.

Jaszwin, karciarz, hulaka, człowiek nie tylko bez jakichkolwiek zasad, lecz o zasadach wręcz niemoralnych, był najlepszym przyjacielem Wrońskiego w pułku. Wroński lubił go za niepospolitą siłę fizyczną, którą Jaszwin ujawniał przeważnie w tym, że mógł pić bez miary, zupełnie nie sypiać, a mimo to zawsze zachować normalny wygląd — i za dużą siłę charakteru, jaką wykazywał w stosunkach z przełożonymi i kolegami, budząc szacunek i postrach. Siła ta spełniała również swą rolę przy grze, którą Jaszwin uprawiał stawiając na kartę po kilkadziesiąt tysięcy rubli, i to z takim wyczuciem i zimną krwią — bez względu na to, ile wypił — że uchodził za najlepszego gracza w Angielskim Klubie. Wroński szanował i lubił rotmistrza, gdyż czuł, że ów przyjaźni się z nim nie dla jego nazwiska i pieniędzy, lecz dla niego samego. Z nim tylko jednym w świecie mógłby był mówić o swojej miłości. Czuł, że jeden Jaszwin, mimo pozornej wzgardy dla wszelkiego sentymentu, był w stanie zrozumieć tę przemożną namiętność, która obecnie wypełniała całe jego życie. Poza tym był przekonany, że

przyjaciel na pewno nie znajduje upodobania w plotkach i skandalach towarzyskich i bierze to jego uczucie tak jak powinien, to jest wie i wierzy, że ta miłość to nie żart, nie pusta zabawa, ale rzecz serio i wielkiej wagi.

Wroński nigdy nie mówił z Jaszwinem o swym romansie z Anną, był jednak przeświadczony, że przyjaciel, wie o wszystkim i że wszystko należycie rozumie; było mu przyjemnie widzieć to po jego oczach.

— Aha! — mruknął Jaszwin słysząc, że Wroński był u Twerskich. Czarne jego oczy błysnęły, ujął za lewy wąs i wsunął go do ust, miał bowiem ten zły nawyk.

— A ty czego dokonałeś wczoraj? Wygrałeś? — spytał Wroński rotmistrza.

— Osiem, tysięcy. Ale z trzech — figa, nigdy ich na pewno nie dostanę.

— No, to teraz możesz pozostałe na mnie przegrać — zaśmiał się Wroński. (Jaszwin postawił znaczną sumę na Wrońskiego.)

— Na pewno nie przegram... Jeden tylko Machotin jest niebezpieczny.

I rozmowa przeszła na perspektywy obecnych wyścigów, gdyż o niczym innym Wroński nie był w stanie teraz myśleć.

— Chodźmy, skończyłem — Wroński wstał i skierował się ku drzwiom. Jaszwin podniósł się również i rozprostował swe olbrzymiej długości nogi i długi grzbiet.

— Dla mnie na obiad jeszcze za wcześnie, trzeba by jednak coś wypić. Zaraz przyjdę... Ej tam, wina! — zawołał swym słynnym na cały pułk tubalnym głosem, od którego drżały szyby. — A zresztą, nie trzeba! — huknął zaraz ponownie. — Jeśli idziesz do domu, to pójde z tobą. I obaj wyszli z kasyna.

XX

Wroński kwaterował w obszernej, czystej, przegrodzonej na dwie części czuchońskiej* chacie. Petrycki mieszkał z nim również i w letnim obozie. Kiedy Wroński i Jaszwin weszli do chaty, jeszcze spał.

— Wstawaj, dość już tego spania — Jaszwin za przepierzeniem tarosił za ramię wtulonego nosem w poduszki, rozkudłanego Petryckiego.

Petrycki nagle zerwał się na kolana i zaczął rozglądać się wkoło.

— Był tutaj twój brat — rzekł do Wrońskiego. — Obudził mnie — niech go diabli! — i powiedział, że przyjdzie jeszcze raz. — Tu Petrycki, naciągając na siebie koc, opadł znów na poduszkę. — Dajże mi pokój — irytował się, gdy Jaszwin przemocą ściągał z niego koc. — Zostaw mnie! — Obrócił się wreszcie i otworzył oczy. — Powiedz mi lepiej, czego mam się napić... Czuję taką obrzydliwość w ustach, że...

— Najlepiej wódki — odezwał się basem Jaszwin. — Tereszchenko, przynieś panu porucznikowi wódki i ogórków — zagrzmiał znowu, z widoczną przyjemnością przysłuchując się własnemu głosowi.

— Wódki, powiadasz... Co? — pytał Petrycki marszcząc się i przecierając oczy. — A ty będziesz pił? Już jak pić, to razem! A ty, Wroński, napijesz się? — gadał wstając i owijając się po ramiona pluszowym tygrysim pledem.

Wyszedł z za przepierzenia, wzniosł w górę ręce i zaśpiewał po francusku: „Był sobie raz król w Thule...”* — Wroński, napijesz się?

* Czuchoński — fiński

* Był sobie raz król w Thule... — ballada Goethego muzycznie opracowana dwukrotnie: przez Gounoda (w *Fauście* i Berliozą (w *Potępieniu Fausta*)

— Odczep się — ofuknął go Wroński wkładając mundur podawany mu przez lokaja.

— A ty dokąd się wybierasz? — zainteresował się Jaszwin. — Otóż i twoje konie — dodał po chwili, widząc zajeżdżający powóz.

— Do stajen, a później muszę zobaczyć się z Briańskim w sprawie koni — rzekł Wroński.

Wroński istotnie obiecał był Briańskiemu, który mieszkał o dziesięć wiorst od Peterhofu, że będzie u niego i przywiezie mu pieniądze za konie. Zamierzał, o ile zdąży, wpaść także i tam, koledzy jednak zaraz odgadli, że wybiera się nie tylko do Briańskiego.

Petrycki nie przestając śpiewać zmrużył jedno oko i wydał wargi, jak gdyby chciał powiedzieć: wiemy, co to za Briański!

— Pamiętaj tylko, żebyś się nie spóźnił! — przestrzegł krótko Jaszwin i chcąc zmienić temat spytał patrząc przez okno: — Jakże ci tam moja szkapa służy? — Miał na myśli dyszlowego konia, którego niedawno Wroński od niego kupił.

— Czekaj no! — zawołał Petrycki, gdy Wroński już był w progu. — Twój brat zostawił dla ciebie list i kartkę. Poczekaj! Gdzie ja to położyłem?

Wroński zatrzymał się.

— Gdzież więc są?

— Gdzie? Oto jest pytanie! — uroczyście wygłosił. Petrycki przykładając wskazujący palec do nosa.

— Powiedzże wreszcie. Nie błażnij! — rzekł Wroński z uśmiechem.

— Na kominku przecież nie paliłem, muszą gdzieś tutaj być.

— Dostyc już tych głupstw! Gdzie list?

— Naprawdę, zupełnie zapomniałem. Ale może mi się to wszystko śniło! Poczekaj no, poczekaj! Czego się złościysz? Gdybyś ty wypił wczoraj po cztery butelki na głowę, tak jak ja, to zapomniałbyś nawet, gdzie leżysz. Poczekaj, zaraz sobie przypomnę!...

Wszedł za przepierzenie i położył się na łóżku.

— Czekaj, mówię ci! Ja leżałem tak, a on stał tam, Tak-tak-tak... Mam go! — i Petrycki wyjął list spod materaca, gdzie go zasunął.

Wroński wziął list oraz bilecik brata. Tego się właśnie spodziewał: list od matki zawierał wymówki, że nie przyjeżdża, a brat prosił go o chwilę rozmowy. Wroński wiedział, że obojgu im chodzi o to samo.... „Co im do tego?” — pomyślał, zmiął i wsunął między guziki munduru oba listy, by je w drodze uważnie przeczytać. W sieni spotkał się z dwoma oficerami: jeden był z jego pułku, drugi innego.

Kwatera Wrońskiego była zawsze miejscem spotkań różnych oficerów.

— Dokąd to?

— Do Peterhofu.

— A czy koń przyszedł już z Carskiego Sioła?

— Już jest, ale go jeszcze nie widziałem.

— Podobno Gładiator Machotina okulał.

— To brednie! Ale jak wy pojedziecie po takim błocie? — wtrącił drugi oficer.

— Otóż i moi zbawcy! — zawołał na Widok wchodzących Petrycki, przed którym stał ordynans trzymając tacę z wódką i kwaszonym ogórkiem. — To Jaszwin każe mi pić na wytrzeźwienie.

— Aleście nas wczoraj urządzili! — rzekł jeden z przybyłych oficerów. — Całą noc nie daliście nam spać.

— Najlepiej było pod koniec — opowiadał Petrycki. —

Wołkow wylazł na dach i powiada, że mu smutno. Więc ja komenderuję: „Muzyka, marsza pogrzebowego!” I tak tam sobie zasnął na dachu przy dźwiękach tego marsza.

— Wypij koniecznie, wypij najpierw wódki, a potem wody selcerskiej i dużo cytryny — doradzał Jaszwin stojąc nad Petryckim jak matka, gdy zmusza dziecko do zażycia lekarstwa — a potem będziesz mógł wypić troszkę szampana, może z buteleczkę.

— Mądre słowa! Zaczekaj no! Wroński, napijmy się!

— Nie. Do widzenia, panowie! Dzisiaj nie będę pił.

— Boisz się, że ci przybędzie wagi? No, to napijemy się sami. Dawajże tej wody selcerskiej i tej cytryny.

— Wroński! — krzyknął ktoś, gdy ten był już w sieni.

— Co takiego?

— Może byś sobie włosy ostrzygł, bo one za dużo ważą, zwłaszcza na łysinie.

Wroński rzeczywiście zaczynał przedwcześnie łysieć. Roześmiał się wesoło, błyskając wspaniałymi zębami, nakrył łysinę czapką, wyszedł i wsiadł do powozu.

— Do stajen! — zawołał i wyjął listy, by je przeczytać, lecz po chwili rozmyślił się nie chcąc się niczym rozpraszać przed obejrzeniem konia. — „Później!...”

XXI

Tymczasowa stajnia, buda byle jak sklecona z desek, stała tuż koło placu wyścigowego; klacz Wrońskiego miano tam przyprowadzić poprzedniego dnia. Wroński jej jeszcze nie widział — w ciągu ostatnich dni sam jej nie przejeżdżał, zleciwszy ją trenerowi — nie miał więc w ogóle teraz pojęcia, w jakim stanie przyszła i w jakim jest obecnie. Zaledwie wysiadł z powozu, gdy jego stajenny (*groom*), tak

zwany „chłopak”, który już z daleka poznał powóz, zawołał trenera. Suchy Anglik w długich butach i krótkiej kurtce, z kępką włosów pozostawioną tylko na podbródku, wyszedł naprzeciw niego niezgrabnym chodem dżokejów, kołysząc się i rozstawiając łokcie.

— Jak tam Frou–Frou? — spytał po angielsku Wroński.

— *All right, sir*, wszystko w porządku — odpowiedział mu głos Anglika gdzieś z głębi gardła. — Lepiej tam nie wchodzić — dodał uchylając czapki — włożyłem jej kaganiec, więc się denerwuje. Lepiej nie wchodzić, to konia niepokoi.

— Ja jednak wejdę. Chcą ją obejrzeć.

— Chodźmy — wciąż nie otwierając ust rzekł Anglik i wiosłując łokciami poszedł naprzód swym jakby porozkręcany w spojeniach krokiem.

Weszli na mały placyk przed stajniami. Dyżurny, dziarski wyelegantowany stajenny w czystej kurtce, z miotłą w rękę, wyszedł na ich spotkanie i przyłączył się do nich. W stajni stało pięć koni w osobnych boksach. Wroński wiedział, że właśnie tego dnia został przyprowadzony i że już tu stoi najgroźniejszy jego rywal, mierzący pięć werszków* kasztan Machotina, Gladiator. Znacznie bardziej niż własną klacz Wroński pragnął obejrzeć tego Gladiatora, którego jeszcze nie widział. Wiedział jednak, że we — — dług etykiety przyjętej w sporcie końskim, nie tylko nie wolno mu go oglądać, ale że mu się nawet nie wypada o niego dopytywać. Gdy przechodzili korytarzem, stajenny uchylił drzwi do drugiego boksu na lewo i Wroński dostrzegł dużego złotego kasztana o białych nogach. Wiedział, że to Gladiator, toteż wiedziony uczuciem człowieka odwracającego oczy od

* Werszek — = 4,4cm, arszyn =0,71m. Właściwie winno być: dwa arszyny i pięć werszków. Określając wzrost podawano tylko ilość werszków powyżej dwóch arszynów.

cudzego otwartego listu, odwrócił się i podszedł do Frou–Frou.

— Tu stoi koń Mak... Mak... nigdy nie mogę wymówić tego nazwiska — rzekł przez ramię Anglik wskazując długim palcem o brudnym paznokciu boks Gladiatora.

— Machotina? Tak, to mój jedyny poważny współzawodnik — zauważył Wroński.

— Gdyby pan na nim jechał — powiedział Anglik — stawiałbym na pana.

— Frou–Frou ma więcej temperamentu, on zaś jest mocniejszy — odrzekł Wroński, z uśmiechem przyjmując pochwałę Anglika.

— Gdy chodzi o branie przeszkód, cała rzecz polega na jeździe i na *pluck* — zauważył Anglik.

Wroński czuł w sobie nie tylko dosyć *pluck*, czyli energii i brawury, lecz — co jest znacznie ważniejsze — miał niezachwianą pewność, że pod względem tego *pluck* nikt na świecie mu nie dorówna.

— Czy pan jest naprawdę pewien, że nie należało jej jeszcze więcej wypościć?

— Nie, nie należało — orzekł Anglik. — Nie trzeba głośno mówić: klacz się niepokoi — dodał — wskazując głową na zamknięty boks, przed którym stali i z którego dobiegał odgłos przestępowania kopyt po słomie.

Otworzył drzwi i Wroński wszedł do boksu, słabo oświetlonego przez jedno okienko. Wewnątrz, przebierając kopytami na świeżej słomie, stała skarogniada klacz w kagańcu. Wroński rozejrzył się w półświetle boksu i odruchowo raz jeszcze ogarnął jednym spojrzeniem wszystkie cechy swej faworytki. Była to klacz średniego wzrostu, budowy nie całkiem bezbłędnej. Kości miała wąskie i płaskie i — chociaż klatka piersiowa mocno wystawała ku

przodowi — także dość wąską pierś. Zad był nieco ścięty, a w przednich, zwłaszcza zaś tylnych nogach zaznaczała się mocno szpotawość. Mięśnie tylnych i przednich nóg nie były zbyt rozwinięte, ale za to w popręgu klacz była niezwykle głęboka, co szczególnie uderzało teraz, przy wychudzeniu od treningu i podkasaniu brzucha. Kości nadpięcia, widziane z przodu, wydawały się nie grubsze niż palec, za to z boku wyglądały niezmiernie szerokie. Cała klacz była — z wyjątkiem żeber — jak gdyby ściśnięta z boków i wydłużona w dół. Posiadała jednak w najwyższym stopniu zaletę pozwalającą zapomnieć o wszystkich usterkach: tą zaletą była krew, która, jak twierdzą Anglicy, mówi sama za siebie. Wydatne mięśnie rysujące się spod siatki żył, rozpiętej pod cienką, ruchomą i gładką jak atlas skórą, wydawały się mocne jak kość. Sucha głowa o wypukłych, błyszczących i wesołych oczach rozszerzała się przy chrapach i rozdęte nozdrza przeświecały różowo. Cała jej postać, a zwłaszcza głowa, miała określony wyraz: energiczny, a zarazem pieśczośliwy. Było to jedno z tych stworzeń, które tylko dlatego, zdawałoby się, nie mówią, że im na to nie pozwala mechanizm ich pyska.

W każdym razie Wrońskiemu wydało się w tej chwili, że klacz rozumie wszystko, co on patrząc na nią odczuwa.

Gdy tylko wszedł do boksu, wciągnęła głęboko powietrze i spoglądając tak dalece z ukosa, że białko od przeciwnej strony napłynęło krwią, patrzyła wypukłym okiem na wchodzących, potrząsając kagańcem i sprężyście przestępując z nogi na nogę.

— No widzi pan, jaka zdenerwowana — rzekł Anglik. — Ho, najmilsza, ho! — przemawiał uspokajająco Wroński podchodząc do klaczy.

Lecz im był bliżej, tym bardziej się gorączkowała. Dopiero

gdy podszedł do samej głowy, nagle przycichła i mięśnie jej poczęły drżeć pod cienką, delikatną sierścią. Poglaskał jej mocną szyję, poprawił przerzucone na drugą stronę karku pasmo grzywy i przybliżył twarz do jej rozdętych, cieniutkich jak skrzydło nietoperza, nozdry. Frou–Frou głośno wciągnęła i wypuściła powietrze z napiętych chrap, drgnęła, stuliła spiczaste uszy i wyciągnęła sprężystą, czarną wargę ku Wrońskiemu, jak gdyby chciała chwycić go za rękaw. Przypomniawszy sobie wszakże o kagańcu, potrząsnęła nim i znów zaczęła przestawiać jedną po drugiej swe toczone nóżki.

— Uspokój się, miła, uspokój! — rzekł Wroński głaszcząc ją po zadzie, i z radosnym przeświadczeniem, że koń jest w doskonałej formie, opuścił boks.

Zdenerwowanie konia udzieliło się i jemu. Czuł, jak krew napływa mu do serca i jak podobnie do Frou–Frou ma ochotę ruszać się, a nawet kąsać. Było mu jednocześnie bardzo wesoło i trochę się bał,

— Liczę na pana — rzekł do Anglika — o wpół do siódmej na placu.

— Wszystko jest w porządku — zapewnił Anglik. — A pan dokąd jedzie, *my lord?* — zapytał tytułując go niespodziewanie, czego prawie nigdy nie robił.

Wroński, zdziwiony bezceremonialnością tego zapytania, podniósł głowę i popatrzył na trenera tak, jak to on potrafił — nie w oczy, lecz powyżej; wnet jednak zrozumiał, że Anglik zwracał się w tej chwili nie do swego chlebodawcy, lecz do dżokeja. Odpowiedział więc:

— Muszę się jeszcze zobaczyć z Briąńskim. Za godzinę będę z powrotem.

„Po raz który zadają mi dziś to pytanie?” — pomyślał i zaczerwienił się, co mu się rzadko zdarzało. Anglik spojrział

na niego badawczo i jakby zgadując, dokąd Wroński jedzie, dodał:

— Przed gonitwą należy przede wszystkim zachować spokój. Proszę unikać rozdrażnienia i wszelkich wzruszeń.

— *All right* — uśmiechnął się Wroński, wskoczył do powozu i kazał się wieźć do Peterhofu.

Zaledwie ujechali kilka kroków, gdy nadciągnęła od rana już grożąca deszczem chmura i lunęło jak z cebra.

„Oj, niedobrze! — pomyślał Wroński podnosząc budę powozu — już i tak było błoto, a teraz zrobi się prawdziwe bagno.” Był sam w zamkniętym powozie, wyjął więc list od matki oraz kartkę od brata, aby je przeczytać.

Tak, powtarzało się wciąż jedno i to samo. Wszyscy, matka, brat, wszyscy uważali, że wtrącanie się do jego sercowych spraw jest ich obowiązkiem. Budziło to w nim złość — uczucie, którego nieczęsto doświadczał. „Co im do tego? Dlaczego każdy uważa za swój obowiązek zajmować się moją osobą? I dlaczego się mnie czepiają?... Chyba — ponieważ zdają sobie sprawę, że jest w tym coś, czego pojąć nie mogą. Gdyby to była zwykła, pospolita, salonowa miłostka, zostawiliby mnie w spokoju. Czują jednak, że to coś całkiem innego, że ta kobieta nie jest dla mnie zabawką, że jest mi droższa nad życie. Tego nie są w stanie zrozumieć i to ich drażni. Jakikolwiek jest i będzie nasz los, myśmy go sami sobie stworzyli i nie skarżymy się — mówił w duchu Wroński, jednocząc w pojęciu my siebie i Annę. — Ale nie! Korci ich, żeby uczyć nas, jak żyć należy, a sami nie mają pojęcia o tym, czym jest szczęście, nie rozumieją, że bez tej miłości nie ma dla nas ani szczęścia, ani nieszczęścia, po prostu nie ma życia” — rozmyślał.

Gniewało go to wtrącanie się wszystkich, czuł bowiem, że oni, ci wszyscy, właściwie mają słuszość. Czuł, że miłość

łącząca go z Anną to nie chwilowy szal, który minie, jak mijają światowe miłostki nie pozostawiając po sobie w życiu obojga innych śladów poza przyjemnym lub nieprzyjemnym wspomnieniem. Udręczała go niewymownie ich sytuacja: musieli, będąc oboje tak bardzo na widoku w towarzystwie, z największą trudnością ukrywać swą miłość, kłamać i oszukiwać. A musieli kłamać, oszukiwać, obmyślać podstępny i nieustannie zważać na innych, gdyż namiętność wiążąca ich była tak silna, że zapomnieli o wszystkim poza swoją miłością.

Żywo stanęły mu w pamięci owe często powtarzające się wypadki, gdy trzeba było uciekać się do fałszu i udawania, tak przeciwnych jego naturze. Żywo zwłaszcza uprzytomnił sobie, że Anna, jak to nieraz zauważył, również wstydzi się tego ustawicznego kłamstwa i wprowadzania w błąd. I opanował go dziwny nastrój, który często go nawiedzał, odkąd zaczął się ich romans. Była to jakaś odraza: do Karenina? do samego siebie? do całego świata? — Wroński sam dobrze nie wiedział, lecz zawsze starał się przemóc to dziwne uczucie. I teraz również otrząsnął się z niego i wrócił do swoich myśli.

„Tak, przedtem była może nieszczęśliwa, ale dumna i spokojna, teraz zaś utraciła spokój i godność, mimo że tego nie okazuje. Tak — postanowił w duchu — trzeba raz z tym skończyć.”

I po raz pierwszy zaświtała mu wyraźna myśl, że trzeba zerwać z tym ciągłym fałszem, a im prędzej — tym lepiej.

„Musimy oboje rzucić wszystko i ukryć się gdzieś samotnie z naszą miłością” — rzekł sobie Wroński.

XXII

U lewa trwała niedługo i gdy Wroński dojeżdżał do Peterhofu, słońce znowu wyjrzało. Dyszlowy koń szedł ostrym klusem, pociągając za sobą galopujące po błocie i już wcale nie trzymane w lejcach przyprężne. Dachy letnich will i stare lipy w ogrodach, ciągnących się po obu stronach głównej ulicy, połyskiwały mokrym blaskiem; z gałęzi wesoło kapąło, a z dachów spływała woda. Wroński nie myślał już teraz o tym, jak dalece deszcz popsuje tor wyścigowy, ale cieszył się, że dzięki tej ulewie na pewno zastanie Annę w domu, i to samą, wiedział bowiem, że Karenin, który niedawno powrócił z kuracji, nie — przeniósł się dotąd z Petersburga na lotnisko.

W tej nadziei wysiadł z powozu nie dojeżdżając do mostku, co zawsze czynił, by nie zwracać na siebie uwagi, i szedł pieszo, dążąc nie na ganek od frontu, lecz na podwórze.

— Czy jaśnie pan przyjechał? — spytał ogrodnika.

— Jaśnie pana nie ma, ale jaśnie pani jest. Niech pan hrabia pozwoli na ganek od frontu, tam jest służba, to otworzą — informował ogrodnik.

— Nie, wejdę przez ogród.

Upewniwszy się w ten sposób, że Anna jest sama, pragnął ją teraz zaskoczyć, gdyż nie zapowiedział się na ten dzień, i z pewnością nie spodziewała się jego przybycia przed wyścigami. Podtrzymując szablę i ostrożnie stąpając po piasku ścieżki wysadzonej kwiatami, zmierzał na taras położony od strony ogrodu. Zapomniał już teraz o wszystkim, o czym rozmyślał przez drogę; sytuacja przestała mu się wydawać bolesna i zawiła, przed oczyma miał tylko jedno — że ją zaraz zobaczy, już nie w wyobraźni, ale żywą, taką, jaka jest w rzeczywistości. Już wchodził stawiając od razu całą stopę, by nie hałasować, na płytke stopnie tarasu, gdy nagle uprzytomnił sobie coś, o czym zawsze zapominał, a co

stanowiło najdokuczliwszą stronę jego stosunku do Anny — jej syna, z jego pytającym i jak się Wrońskiemu zdawało, wrogim spojrzeniem.

Chłopiec był częściej niż ktokolwiek inny zawadą w ich stosunkach. W jego obecności nie tylko oboje nie mówili nic, czego by nie mogli powtórzyć przy wszystkich, lecz wystrzegali się nawet napomknienia o rzeczach, których by Sierioża nie mógł zrozumieć. Nigdy się co do tego nie umawiali, ale tak się samo przez się ułożyło. Uważali, że oszukiwanie dziecka przyniosłoby im samym ujmę, toteż przy nim rozmawiali ze sobą jak zwykli znajomi. A jednak mimo tej ostrożności Wroński nieraz spostrzegał skierowane na siebie badawcze, nie rozumiejące spojrzenie dziecka. Chłopiec był wobec niego jakoś dziwnie lękliwy i nierówny: to serdeczny, to znów chłodny i nieśmiały. Jak gdyby dziecko czuło, że Wrońskiego i jego matkę łączy coś bardzo istotnego, czego ono zrozumieć nie potrafi.

I rzeczywiście, Sierioża czuł, że nie może tego zrozumieć, i daremnie usiłował się zorientować, jakie mianowicie uczucia powinien żywić dla tego człowieka. Z wrażliwością każdego dziecka na objawy uczuć dostrzegał wyraźnie, że ojciec, guwernantka, niańka — nie tylko nie lubią Wrońskiego, lecz nawet, chociaż się o tym nie mówi, patrzą na niego z wyraźną odrazą i lękiem, tymczasem matka traktuje go jak najlepszego przyjaciela.

„Co to ma znaczyć? Kto to jest? Jak ja go mam kochać? Czy to moja wina, że tego nie rozumiem? I czy to znaczy, że jestem głupim albo złym chłopczykiem?” — myślało dziecko i stąd pochodziło jego badawcze, pytające, trochę może wrogie wejrzenie oraz nieśmiałość i zmienność w obejściu, które tak zbijały z tropu Wrońskiego. Obecność tego dziecka wywoływała w nim zawsze i niezmiennie ów dziwaczny

nastrój niczym niewytłumaczonego obrzydzenia, jakiego doznawał od pewnego czasu. Obecność Sierioży budziła nie tylko u niego, ale i u Anny uczucie, jakiego doświadcza żeglarz, gdy stwierdza na busoli, że kierunek, w którym szybko zmierza, jest całkowicie rozbieżny z kierunkiem właściwym, a on okrętu zatrzymać nie może. Żeglarz wie, że każda sekunda oddala go coraz bardziej od wytyczonego szlaku, lecz uznanie, że się z nim rozminął, równałoby się stwierdzeniu, że zguba, jest nieuchronna.

Dziecko to, ze swym naiwnym poglądem na życie, było jak busola pokazująca im stopień odchylenia od prawdy, którą znali, lecz o której woleli nie wiedzieć.

Tym razem Sierioży nie było w domu. Anna zupełnie sama na tarasie czekała na powrót syna, którego na spacerze musiała zaskoczyć ulewa. Wysłała służącego i pokojówkę, by go szukali, a sama — w białej sukni z szerokim haftowanym szlakiem — siedziała wyczekując w kącie tarasu za grupą kwiatów i nie słyszała kroków Wrońskiego. Pochyliwszy głowę o czarnych kręconych włosach, przyciskała czoło do chłodnego metalu stojącej na balustradzie konewki, przytrzymując ją prześlicznymi rękoma, zdobnymi w tak dobrze znane Wrońskiemu pierścionki. Niezwykle piękno całej jej postaci, głowy, szyi, rąk, za każdym razem zdumiewało Wrońskiego jak niespodzianka. Przystanął, wpatrzony w nią z zachwytem. Nie zdążył jednak postąpić ku niej nawet kroku, gdy już odgadła jego obecność, odsunęła konewkę i zwróciła ku zbliżającemu się rozgorączkowaną twarz.

— Co pani jest? Czy pani źle się czuje? — spytał po francusku. Byłby przy niej jednym skokiem, lecz pamiętał, że ktoś mógłby ich zobaczyć; spojrzął w górę na drzwi od balkonu i poczerwieniał tak, jak zwykł się czerwienić, ilekroć

sobie uświadamiał, że jest zniewolony” bać się i oglądać.

— Jestem zdrowa — odrzekła Anna podnosząc się i mocno ściskając wyciągniętą do niej rękę. — Nie spodziewałam się... ciebie.

— Mój Boże, jakie zimne ręce! — zawołał Wroński.

— Przestraszyłeś mnie — powiedziała. — Jestem sama i czekam na Sieriożę, który poszedł na spacer; będą tędy wracali.

Mimo że starała się nakazać sobie spokój, wargi jej drżały.

— Niech mi pani wybaczy, że jestem tutaj, ale nie mogłem przeżyć dnia nie widząc pani — ciągnął dalej po francusku, chcąc, jak zawsze, uniknąć zarówno niemożliwego pomiędzy nimi chłodnego po rosyjsku pani, jak i niebezpiecznego ty.

— Co mam wybaczyć?... Tak się cieszę!

— Ależ pani jest niezdrowa albo ma pani zmartwienie — mówił Wroński nie puszczając jej ręki i pochylając się nad nią. — O czym pani tak myślała?

— Ja... Zawsze o tym samym — powiedziała Anna z uśmiechem.

Mówiła prawdę. Kiedykolwiek, w jakiejkolwiek porze by ją zapytano, o czym myśli, mogłaby zawsze bez zająknięcia odpowiedzieć: o jednej jedynej rzeczy, o swym szczęściu i o swym nieszczęściu. W chwili gdy nadszedł Wroński, zastanawiała się właśnie, czemu inne kobiety, na przykład Betsy (Anna wiedziała o jej, ukrywanym przed światem romansie z Tuszkiewiczem), biorą to tak lekko, a ona tak się dreczy. Ta myśl z pewnych względów dziś ją zwłaszcza prześladowała. Zagadnęła go o zawody. Odpowiedział, a widząc jej wzburzenie i chcąc ją rozerwać począł opowiadać najnaturalniejszym tonem różne szczegóły przygotowań.

„Powiedzieć czy nie powiedzieć? — wahała się Anna napotykać jego pogodne, serdeczne spojrzenie. — Taki jest

szczęśliwy i taki przejęty tym dniem, że nawet tego nie zrozumie jak należy, nie uprzytomni sobie, co to dla nas znaczy.”

— Ale nie powiedziała mi pani, o czym pani myślała, gdy wszedłem — przerwał swą opowieść. — Proszę bardzo, niech mi pani powie!

Nic nie odrzekła, pochyliła tylko głowę i spojrzała na niego głęboko, pytająco swymi błyszczącymi zza długich rzęs wielkimi oczyma. Ręka jej bawiąca się zerwanym liściem drżała. Wroński zauważył to i twarz jego przybrała ów wyraz pokory i niewolniczego oddania, któremu Anna nie umiała się oprzeć.

— Przecie widzę, że coś się stało. Czy mogę mieć bodaj sekundę spokoju wiedząc, że pani ma zmartwienie, którego nie mogę z panią podzielić? Niech mi pani powie, na miłość boską, co się stało? — powtórzył błagalnie.

„Nigdy mu nie przebaczę, jeśli nie oceni całej doniosłością... Lepiej nic nie mówić. Po co wystawiać go na taką próbę?” — myślała, wciąż w niego wpatrzona, czując, jak ręka jej drży coraz mocniej wraz z liściem.

— Na Boga! — powtórzył i ujął jej dłoń.

— Mam powiedzieć?.

— Tak, tak, tak...

— Jestem w ciąży — wyszeptala z wolna.

Liść w jej ręku zadygotał jeszcze gwałtowniej. Nie odwracała od Wrońskiego oczu chcąc się przekonać, jak on to przyjmie. Zbladł, chciał coś powiedzieć, lecz zamilkł, puścił jej dłoń i pochylił głowę. „Zrozumiał, docenił, jakie to ważne...” — pomyślała i z wdzięcznością uściśnęła mu rękę.

Mylila się wszakże sądząc, że zrozumiał znaczenie tej wiadomości tak, jak je pojmowała ona, kobieta. Na jej słowa Wroński dziesięćkroć mocniej odczuł ów dziwny,

opanowujący go chwilami wstręt nie wiedząc do kogo. Jednocześnie jednak zdał sobie sprawę, że oto nastąpił wreszcie upragniony przez niego przełom, że niepodobna dłużej ukrywać prawdy przed mężem i należy tak czy inaczej czym prędzej skończyć z tą fałszywą sytuacją. Prócz tego wzburzenie Anny udzieliło się i jego nerwom: rozrzewniony, spojrział na nią z pokorą, ucałował jej rękę, wstał i w milczeniu przeszedł się parę razy po tarasie.

— Tak! — rzekł stanowczo, podchodząc do niej. — Ani ja, ani pani nigdy nie zapatrywaliśmy się na nasz związek jak na zabawkę. Teraz los nasz się rozstrzygnął. Trzeba koniecznie — tu rozejrzał się dokoła — skończyć z tym fałszem, w którym żyjemy.

— Skończyć? W jaki sposób, Aleksy? — spytała cicho. Uspokoila się już i twarz jej jaśniała pełnym czułości uśmiechem.

— Opuść męża i połączmy nasze życie.

— Ono i tak jest złączone — powiedziała najcichszym szeptem.

— Tak... Ale zupełnie, całkowicie!

— W jaki sposób, Aleksy? Naucz mnie, jak się to robi — uśmiechnęła się smutnie nad swym położeniem bez wyjścia. — Czy bywa w ogóle jakieś wyjście w takich wypadkach? Czyż nie jestem żoną mego męża?

— Z każdej sytuacji jest jakieś wyjście. Trzeba się tylko zdecydować — nalegał. — Wszystko jest lepsze od warunków, w jakich żyjesz. Przecież widzę, jak się wszystkim zadręczasz: i opinią świata, i synkiem, i mężem...

— Ach, byle nie mężem! — rozweseliła się szczerze. — Po prostu nic o nim nie wiem, nigdy o nim nie myśle.

On właściwie nie istnieje.

— Nie mówisz — tego szczerze, Anno. Już ja cię znam:

zadreczasz się także i z jego powodu.

— Ależ on nawet nie wie... — rzekła. I nagle twarz jej spłonęła mocnym rumieńcem: policzki, czoło, nawet szyja zaróżowiły się i łzy zawstydenia stanęły jej w oczach. — I nie mówmy więcej o nim.

XXIII

Wroński już kilkakrotnie, chociaż nigdy tak energicznie jak teraz, próbował skłonić Annę, aby z nim razem rozpatrzyła poważnie swoją sytuację, zawsze jednak spotykał się z takim powierzchownym i lekkomyślnym zdaniem, jakim i dzisiaj odpowiedziała na jego propozycję. Jak gdyby w tym wszystkim było coś, z czego nie mogła lub nie chciała wyraźnie zdać sobie sprawy, jak gdyby — ledwo rozpoczynała o tym mówić — ona, ta prawdziwa Anna, uciekała gdzieś daleko w głąb siebie, a na jej miejsce zjawiała się inna, dziwna i obca mu kobieta, której nie kochał, której bał się i która stawiała mu opór. Dzisiaj jednak postanowił wypowiedzieć wszystko.

— Czy on o tym wie, czy nie wie — rzekł stanowczo i spokojnie jak zwykle — czy wie, czy nie wie, to nie nasza rzecz. My nie możemy... Pani nie może tak pozostawać dłużej, zwłaszcza teraz.

— Cóż więc, zdaniem pana, należy uczynić? — spytała znów trochę drwiąco. Przedtem tak się obawiała, czy Wroński nie potraktuje zbyt lekko wiadomości o jej ciąży, teraz znów drażniło ją, że wysnuwa stąd konieczność poczynienia jakichś kroków.

— Powiedzieć mu wszystko i opuścić go.

— Doskonale, przypuśćmy, że to „zrobię”. Czy pan wie, co z tego wyniknie? Powiem z góry, jak będzie... — Tu

złośliwy błysk zapalił się w jej tkliwych przed chwilą oczach. — „Więc to tak?! Pani kocha innego i nawiązała z nim pani występny stosunek? (Anna, naśladując Karenina, położyła nacisk na wyrazie występny, tak jak uczyniłby to jej mąż.) Uprzedzałem panią o wszystkich następstwach takiego czynu ze stanowiska religii, społeczeństwa i rodziny. Pani mnie nie słuchała, a ja nie mogę narażać na hańbę nazwiska, które noszę ja... — i mój syn... — zamierzała powiedzieć, lecz z synka swojego drwić nie mogła i. — nazwiska, które noszę.” I może jeszcze coś w tym rodzaju — dodała. — W ogóle mąż mój, we właściwej sobie urzędowej formie, wyraźnie i dobitnie oświadczy, że nie może mi zwrócić wolności, że poczyni natomiast odpowiednie kroki, aby nie dopuścić do skandalu. I wykona spokojnie i dokładnie wszystko, co zapowie. Oto, co z tego wyniknie. To nie człowiek, tylko maszyna, a gdy się rozgniewa, to w dodatku złośliwa maszyna — zakończyła Anna po chwili, przypominając sobie przy tym męża ze wszystkimi szczegółami: postacią, sposobem mówienia i charakterem... I potępiła go za wszystko, co w nim mogła wyszukać ujemnego, nic mu zgoła, nie przebacząc, w odwecie za tę strasliwą winę, której się sama wobec niego dopuściła.

— Ależ, Anno — rzekł łagodnym, przekonywającym tonem Wroński starając się ją uspokoić — należy mimo to powiedzieć mu wszystko, a potem kierować się tym, jak on postąpi.

— Więc jakże... Może uciec z domu?

— Czemuż by nie? Nie widzę możliwości przedłużania tego stanu rzeczy. Wszak chodzi nie o mnie: widzę, jak pani cierpi.

— Tak, uciec z domu i zostać kochanką pana — przerwała gniewnie Anna.

— Anno, Anno — wyszeptał z łagodnym wyrzutem.

— Tak — mówiła dalej Anna — zostać kochanką pana i zaprzepaścić wszystko...

I znów chciała powiedzieć: mego synka, lecz nie zdołała wyrzec tego słowa.

Wroński nie rozumiał, jak ze swą silną, uczciwą naturą. Anna mogła znosić tą atmosferę fałszu i dlaczego nie pragnęła z nią skończyć. Nie domyślał się, że główną tego przyczyną był ów nie dopowiadany przez nią wyraz: syn. Gdy Anna myślała o synku i o jego uczuciach w przyszłości dla matki, która by porzuciła jego ojca, przejmował ją taki strach przed tym, co uczyniła, że przestawała rozumować. Była już tylko w stanie uspokajać się po kobiecemu złudnymi argumentami, grą słów, pragnąc, aby wszystko zostało po dawnemu, tak by można było zapomnieć o owym strasznym pytaniu: co się stanie z synem?

— Proszę cię, błagam — rzekła nagle zupełnie innym tonem, szczerze i czule, ujmując jego rękę — nigdy nie mów ze mną o tym!

— Ależ, Anno...

— Nigdy!... Pozostaw wszystko mnie. Wiem, jak hańbiąca, jak straszna jest moja sytuacja, ale nie tak to łatwo rozstrzygnąć, jak ci się zdaje. Pozostaw wszystko mnie cię proszę. Nigdy już nie mów ze mną o tym. Czy obiecujesz?... Nie, nie... Przrzeknij!

— Przrzekam ci wszystko, lecz jakże mogę być spokojny, zwłaszcza teraz, po tym, coś mi wyznała... Nie mogę być spokojny gdy ty nie masz spokoju...

— Ja?! Tak, chwilami jestem udręczona, ale to minie, jeśli ty nigdy nie będziesz mi o tym wspominał. Te rzeczy mnie dręczą tylko wtedy, kiedy zaczynasz ze mną o nich mówić.

— Ja tego nie rozumiem — rzekł Wroński.

— Wiem — przerwała — jak trudno przy twojej prawości kłamać, i żal mi ciebie. Nieraz myślę, że przeze mnie zmarnowałeś sobie życie.

— A ja myślałem, i to właśnie teraz: jak ty mogłaś tak dla mnie wszystko poświęcić! Nie mogę sobie wybaczyć, że jesteś nieszczęśliwa.

— Ja? Nieszczęśliwa? — powtórzyła zbliżając się, wpatrzona w niego z miłością, ekstatycznie uśmiechnięta. — Ja przecież jestem jak zgłodniały człowiek, któremu dano jeść. Być może, że mu jest zimno, że ma ubranie w łachmanach, może nawet się wstydzi, ale nie jest nieszczęśliwy. Ja — nieszczęśliwa? Ach nie, to właśnie jest moje szczęście...

W tej chwili usłyszała głos powracającego synka i ogarniając szybkim spojrzeniem taras zerwała się z miejsca. Wzrok jej zapłonął znajomym mu ogniem, nagłym ruchem podniosła swe piękne, pokryte pierścionkami dłonie, ujęła jego głowę, wpatrzyła się w niego przeciągle, zbliżając twarz o rozchylnych wargach do jego twarzy, prędko pocałowała go w usta, w oboje oczu i odepchnęła od siebie. Odchodziła już, lecz Wroński ją przytrzymał. — Kiedy? — zapytał cicho, patrząc w nią jak urzeczonego.

— Dzisiaj o pierwszej! — szepnęła i z ciężkim westchnieniem poszła stając po swojemu szybko i lekko na spotkanie syna.

Sieriozę deszcz zastał w parku; przeczekał go wraz z niańką w altance.

— A więc do widzenia — pożegnała Anna Wrońskiego. — Teraz już trzeba będzie wkrótce wybierać się na zawody. Betsy przyrzekła, że po mnie wstąpi. Wroński spojrział na zegarek i spieszenie odjechał.

XXIV

Kiedy Wroński na tarasie u Kareninów spojrzął na zegarek, był tak wzburzony i zaprzątnięty swymi myślami, że chociaż widział wskazówki na cyferblacie, nie rozpoznał wcale godziny. Wyszedł na drogę i stąpając ostrożnie po błocie zmierzał do swego powozu. Uczucie dla Anny pochłaniało go tak dalece, że nie zastanawiał się zupełnie, która godzina, i czy będzie jeszcze miał czas wpaść do Briańskiego. Pozostawała mu jedynie rutyna pamięci, która wskazywała, co i w jakiej kolejności należy wykonać. Podeszedł do swego stangreta, drzemającego na koźle pod skośnym już cieniem rozłożystej lipy, przystanął na chwilę, by popatrzeć na mieniące się w świetle słupy muszek unoszących się nad zgrzanymi końmi, po czym obudził stangreta, wsiadł do powozu i kazał jechać do Briańskiego. Dopiero po przejechaniu siedmiu wiorst oprzytomniał na tyle, że znowu spojrzął na zegarek i przekonał się, że jest już wpół do szóstej i że się spóźnił na zawody.

Tego dnia miało się odbyć kilka biegów: gonitwa konwoju*, potem dwuwiorstowy bieg oficerski, bieg czterowiorstowy i po nim gonitwa, w której brał udział Wroński. Na swoją gonitwę mógł zdążyć, lecz gdyby miał jeszcze zajechać do Briańskiego, to stanąłby na starcie zaledwie tuż przed własnym biegiem, gdy już cały dwór będzie na miejscu. To było niefortunne. Ponieważ jednak dał Briańskiemu słowo, że u niego będzie, postanowił jechać dalej i polecił stangretowi nie oszczędzać trójki.

Dojechał na miejsce, zabawił pięć minut, po czym popędził z powrotem. Szybka jazda znacznie go uspokoiła. Wszystko, co pomiędzy nim i Anną było tak bolesne, całe

* K o n w ó j — mowa o przybocznym szwadronie cesarskim

niedopowiedzenie pozostałe po ich rozmowie — wszystko to wywietrzało mu z głowy. Z rozkoszą i podnieceniem myślał teraz o zawodach, ó tym, że jednak zdąży. Chwilami tylko rozpalalo się jaskrawym światłem w jego wyobraźni przecucie szczęścia na myśl o dzisiejszej nocnej schadzce.

Im dalej wjeżdżał w atmosferę wyścigów, mijając powozy widzów jadących na zawody z letnisk i z Petersburga, tym wyłącznie pochłaniała go myśl o bliskim biegu.

U siebie na kwaterze nie zastał już nikogo; wszyscy byli na zawodach, a służący oczekiwał go przy wrotach. Podczas gdy się przebierał, lokaj zameldował mu, że drugi bieg już się zaczął, że wiele państwa przychodziło o niego pytać i że ze stajni dwukrotnie przybiegał *groom*.

Przebrawszy się bez pośpiechu (nigdy się nie śpieszył i nigdy nie tracił panowania nad sobą), pojechał do baraków. Stamtąd widać już było morze powozów, pieszej publiczności, żołnierzy, otaczających plac, i trybuny rojące się od widzów. Odbywała się zapewne druga gonitwa, Wroński bowiem u wejścia do baraków usłyszał dzwonek. Przed stajnią spotkał złotego kasztana o białych nogach, Machotinowego Gladiatora, w pomarańczowej z błękitnym derze; uszy konia w nagłowniku oblamowanym niebiesko wydawały się olbrzymie. Prowadzono go już na tor.

— Gdzie jest Cord? — zapytał Wroński stajennego.

— Jest w stajni, siodła konia.

Frou–Frou, już osiodłana, stała w otwartym boksie. Miano ją właśnie wyprowadzić.

— Nie spóźniłem się?

— *All right! All right!* Wszystko w porządku! Wszystko w porządku! — rzekł Anglik. — Niech się pan tylko nie denerwuje.

Wroński z trudem zdołał oderwać wzrok od

zachwycających kształtów ulubionej klaczy, która drżała na całym ciele. Spojrzawszy na nią raz jeszcze, wyszedł z baraku. Podjechał do trybun w najodpowiedniejszej chwili, by nie zwrócić na siebie uwagi. Właśnie kończył się dwuwiorstowy bieg i oczy wszystkich widzów były utkwione w kawalergardzie*, który prowadził, i w lejbhuzarze* tuż za nim. Obaj ostatkiem sił poganiaли konie i zbliżali się do celownika. Ze środka koła i z zewnątrz wszyscy cisnęli się do słupa i ciżba żołnierzy i oficerów kawalergardów głośnymi okrzykami wyrażała radość ze spodziewanego triumfu swego dowódcy i kolegi. Wrońskiemu udało się wejść niepostrzeżenie w tłum prawie w tej samej chwili, gdy rozległ się sygnał zakończenia gonitwy i wysoki, zachlapany błotem kawalergard, który przyszedł pierwszy, opadł na siodło i popuścił cugli swemu pociemniałemu od potu i ciężko dyszącemu siwemu ogierowi.

Siwy ogier niepewnie stawiając nogi, powściągnął swe rozpedzone wielkie cielsko i oficer oglądając się wkoło, jak człowiek przebudzony z ciężkiego snu, uśmiechnął się z przymusem. Ciżba znajomych i nieznajomych wnet go otoczyła.

Wroński starannie unikał tłumy światowej elity, która z dyskretną swobodą gawędziła i przechadzała się wzdłuż trybun. Dojrzał tam i panią Karenin, i Betsy, i bratową, lecz umyślnie nie podszedł do nich, by się nie rozpraszać. Niemniej jednak spotykani co chwila znajomi zatrzymywali go opowiadając o szczegółach poprzednich biegów i zapytywali, dlaczego się spóźnił.

W momencie gdy uczestników gonitwy wezwano na

* Kawalergard — oficer jednego z pułków ciężkiej kawalerii wchodzących w skład gwardii, czyli oddziałów pełniących straż przy cesarzu

* Lejbhuzar — oficer pułku huzarów należącego do przybocznych oddziałów cesarza

trybunę dla wręczenia im nagród i wszyscy ruszyli w tę stronę, do Wrońskiego podszedł jego starszy brat Aleksander, pułkownik w akselbantach*, niewysoki i równie krępy jak Aleksy. Cera jego pijackiej, prostodusznej twarzy była różowa i mimo swego czerwonego nosa był przystojniejszy od brata.

— Czyś dostał moją kartkę? — zapytał. — Nigdy cię w domu zastać nie można.

Aleksander Wroński pomimo hulaszczego, a zwłaszcza pijackiego trybu życia, z którego był znany, był wzorowym dworakiem.

I teraz, mówiąc z bratem o bardzo niemiłej dla niego sprawie, uśmiechał się, jakby żartowali o czymś błahym, ponieważ niejedno spojrzenie mogło być na nich zwrócone.

— Otrzymałem i doprawdy nie rozumiem, o co tobie może tu chodzić — odparł Aleksy.

— Chodzi mi o rzecz następującą: przed chwilą zwrócono mi uwagę, że ciebie nie ma, a poza tym są tacy, co cię widzieli w poniedziałek w Peterhofie.

— Bywają tematy, na które wolno się wypowiadać tylko tym, którzy są bezpośrednio zainteresowani. To, o co się tak troszczysz, należy właśnie do tego rodzaju rzeczy.

— Tak, ale w takim razie nie powinno się służyć w wojsku, nie...

— Proszę cię, bądź łaskaw nie wtrącać się, i basta.

Chmurna twarz Aleksego Wrońskiego pobladła, a wysunięta dolna szczęka poczęła drgać, co było u niego zjawiskiem rzadkim. Nieczęsto się gniewał, lecz gdy wpadał we wściekłość, a szczęka mu latała, stawał się — jak to nieraz bywa z ludźmi o bardzo dobrym sercu — niebezpieczny. Aleksander Wroński wiedział o tym, rzekł

* Akselbant — sznur zawieszony na prawym ramieniu oficerów sztabowych, adiutantów itd.

więc z pojednawczym uśmiechem:

— Chciałem ci tylko oddać list od matki. Odpiszże jej i nie denerwuj się przed gonitwą. *Bonne chance* — dodał uśmiechając się i pożegnał brata.

Wnet po nim jednak znów ktoś zatrzymał Wrońskiego przyjacielskim powitaniem:

— Nie chcesz znać przyjaciół! Jak się miewasz, *mon cher!** — zawołał Obłoński, który i tutaj, na tle petersburskiego szyku, nie mniej niż w Moskwie wyróżniał się rumianą twarzą i lśnącymi, dobrze wyszczotkowanymi faworytami. — Przyjechałem wczoraj i cieszę się bardzo, że będę świadkiem twego triumfu. Kiedy się spotkamy?

— Przyjdź jutro do naszego kasyna — rzekł Wroński, przeprosił go i uściskawszy w pośpiechu rękaw jego palta, odszedł ku środkowi placu, gdzie już wprowadzono konie do wielkiej gonitwy z przeszkodami.

Stajenni odprowadzali do stajen zgrzane i zmęczone konie z poprzednich biegów, a na ich miejscu pojawiały się do następnej gonitwy jeden za drugim nowe, przeważnie angielskiej rasy, z wpadniętymi brzuchami, podobne w swych kapturach do ogromnych, cudacznych ptaków. Po prawej stronie stajenny oprowadzał piękną, wysmukłą Frou-Frou, stąpającą sprężysto na elastycznych, dość długich pęcinach. Ze stojącego nie opodal kłapouchego Gladiatora właśnie zdejmowano derę. Potężne, prześliczne, idealnie prawidłowe kształty ogiera ze wspaniałym zadem i niezwykle krótkimi, jakby nasuniętymi na kopyta, pęcunami mimo woli przykuwały uwagę Wrońskiego. Zamierzał podejść do swojej kłaczy, lecz znów zatrzymał go znajomy.

— A otóż i Karenin — powiedział po chwili rozmowy. — Szuka żony, a ta siedzi pośrodku trybuny. Czy widział ją

* *Mon cher* — mój drogi

pan?

— Nie, nie widziałem — odparł Wroński i nawet nie patrząc na trybunę, gdzie miała się znajdować Anna, podszedł do swojej klaczy.

Nie zdążył sprawdzić siodła, co do którego chciał wydać pewne polecenie, gdy już wezwano zawodników do trybuny dla odprawy i wylosowania numerów. Siedemnastu oficerów o poważnych, surowych, a wielu — o bladych twarzach zebrało się przed trybuną i wzięło numery. Wroński otrzymał numer siódmy. Rozległa się komenda: „Wsiadać!”

Czując, że wraz z resztą jeźdźców znajduje się teraz w centrum ogólnej uwagi, Wroński, jak zwykle w chwilach niezwykłego napięcia, poruszał się powoli i ze spokojem podszedł do klaczy. Cord, by uczcić dzień zawodów, włożył swój odświętny strój: czarny, zapięty surdut, sztywno wykrochmalony wysoki kołnierzyk podpierający policzki, okrągły czarny kapelusz i buty ze sztylpami. Jak zawsze spokojny i godny, stał teraz przed koniem trzymając go za obie wodze. Frou-Frou drżała wciąż jak w febrze, patrząc z ukosa na Wrońskiego spojrzeniem pełnym ognia. Wroński wsunął palec pod popręg, wówczas spojrzała jeszcze bardziej z ukosa, pokazała zęby i stuliła uszy. Anglik ściągnął wargi usiłując uśmiechnąć się z tej kontroli jego siodłania.

— Niech, pan już wsiada, będzie się pan mniej denerwował.

Wroński po raz ostatni spojrzał na współzawodników; wiedział, że podczas biegu ich nie zobaczy. Dwóch jechało już do miejsca startu. Galcyn, jeden z niebezpiecznych rywali, zresztą przyjaciel Wrońskiego, dreptał dokoła gniadego ogiera, który nie dawał się dosiąść. Malutki lejbhuzar w wąskich rajtuzach, skurczony jak kot na końskim zadzie, usiłował naśladować galop angielskich dżokejów.

Książę Kuzowlew siedział blady na swej rasowej klaczy (ze stadniny Grabowskiej), którą Anglik prowadził za cugle. Wroński i wszyscy koledzy znali Kuzowlewa i właściwości jego charakteru: „słabe” nerwy i straszliwą ambicję. Wiedzieli, że Kuzowlew wszystkiego się lęka i że boi się jechać na koniu liniowym. Teraz jednak właśnie, ponieważ groziło to niebezpieczeństwem, ponieważ łatwo było skrócić kark, a przy każdej przeszkodzie stał doktor oraz furgon z lazaretu ze znakiem czerwonego krzyża i z siostrą miłosierdzia — postanowił wziąć udział w zawodach. Spojrzenia ich spotkały się. Wroński mrugnął przy tym na niego życzliwie i z uznaniem... Jednego tylko kolegi nie widział — głównego rywala, Machotina na Gladiatorze.

— Proszę się nie spieszyć — zalecał Cord Wrońskiemu — i proszę pamiętać: przed przeszkodą nie wstrzymywać i nie kierować klaczą. Niech wybiera, jak sama chce.

— Dobrze, dobrze — Wroński ujął za cugle.

— Proszę prowadzić bieg, jeśli to będzie możliwe, ale nie tracić nadziei do ostatniej chwili, nawet jeśli pan zostanie w tyle.

Frou–Frou nie zdążyła jeszcze ruszyć, gdy już Wroński zręcznym, silnym skokiem stanął w stalowym, ryflowanym strzemieniu i lekko a pewnie usadowił się ubitym mocno ciałem na skrzypiącej skórze siodła. Gdy i prawa noga była w strzemieniu, machinalnie wyrównał pomiędzy palcami podwójne wodze. W tej chwili Cord opuścił ręce. Jak gdyby zrazu nie wiedząc, którą nogą najpierw stąpnąć, Frou–Frou wyciągnęła długą szyją cugle i ruszyła kołysząc jeźdźca na swym giętym grzbiecie jak na sprężynach. Cord przyspieszając kroku podążał za nią. Podniecona klacz naciągała wodze to z jednej, to z drugiej strony, jakby starając się oszukać jeźdźca. Wroński na próżno usiłował

uspokoić ją ręką i głosem.

Zbliżali się właśnie do zatamowanej rzeczki, zdążając do miejsca, skąd mieli wystartować. Wielu jeźdźców znajdowało się przed nim, wielu za nim, gdy nagle usłyszał za sobą tętent galopującego po błocie konia i Machotin wyminął go na swym białonogim, kłapouchym Gladiatorze. Jeździec uśmiechnął się przy tym, pokazując długie zęby, ale Wroński spojrział na niego gniewnie. W ogóle go nie lubił, a teraz uważał za najgroźniejszego rywala; poza tym był zły, że Machotin, wyprzedzając go galopem, zdenerwował mu klacz. Frou–Frou poderwała się do galopu z lewej nogi, dała dwa susy i gniewnie targając ściągnięte cugle puściła się drobnym, trzęsącym kłusem, podrzucając jeźdźca na siodle. Zmarszczył brwi również i Cord, sadzący za koniem olbrzymimi krokami.

XXV

W zawodach brało udział siedemnastu oficerów. Miały się one odbywać przed trybunami, na torze w kształcie elipsy obwodu czterech wiorst. Na tej przestrzeni było dziewięć przeszkód: rzeczka; wielka dwuarszynowa, nieruchoma bariera tuż przed trybuną; pusty rów; rów z wodą; wysoka pochyłość; irlandzka bankieta (jedna z najtrudniejszych przeszkód), składająca się z wału ziemnego z pozatykanym na nim chrustem, za którym znajdował się niewidoczny dla konia rów, tak że koń musiał albo za jednym zamachem przeskoczyć i wał, i rów, albo się rozbić; potem jeszcze dwa rowy — jeden z wodą, a drugi suchy. Meta znajdowała się przed trybuną. Bieg zaczynał się jednak nie na obwodzie elipsy, ale z boku, o sto sążni dalej, i już na tej przestrzeni napotykało się pierwszą przeszkodę — zatamowaną rzeczkę,

szeroką na trzy arszyiny, którą można było przesadzić lub przejechać w bród. Jeźdźcy wyrównywali się trzykrotnie, ale za każdym razem któryś z koni wysuwał się naprzód i trzeba było zaczynać od nowa. Doświadczony starter, pułkownik Siestrin, już się zaczynał irytować, gdy nareszcie za czwartym razem mógł krzyknąć: „Ruszaj!”, i jeźdźcy ruszyli z miejsca.

Na pstrą gromadkę jeźdźców, podczas gdy się ustawiali, skierowane były wszystkie oczy i wszystkie lornetki.

— Wystartowali! Jada! — rozległo się ze wszystkich stron po wielkiej ciszy oczekiwania.

Zarówno grupki publiczności, jak i poszczególni widzowie piesi poczęli przebiegać z miejsca na miejsca, aby lepiej widzieć. Już w pierwszej chwili biegu zwarta gromadka jeźdźców rozciągnęła się i widać było, jak po dwóch, po trzech i pojedynczo zbliżali się ku rzece. Widzom zdawało się, że wszyscy oni ruszyli jednocześnie, dla jeźdźców wszelako istniały różnice długości sekundy i miały duże znaczenie.

Podniecona i nazbyt nerwowa Frou–Frou zmarnowała pierwszy moment na starcie, tak że kilka koni ruszyło z miejsca przed nią, ale jeszcze zanim dopadli do rzeki, Wroński, który z całych sił wstrzymywał kładącą się na cugle klacz, z łatwością pozostawił trzech za sobą; przed nim był już tylko kasztanowaty Gladiator, którego zad pracował równo i lekko tuż przed Wrońskim, i wyprzedzająca wszystkich śliczna Diana, niosąca na wpeł żywego ze strachu Kuzowlewa.

W pierwszej chwili Wroński nie panował ani nad sobą, ani nad koniem i aż do pierwszej przeszkody, to jest do rzeki, nie zdołał kierować ruchami Frou–Frou.

Gladiator i Diana zbliżyły się ku rzece razem i prawie

jednocześnie — raz w raz — uniosły się nad nią i znalazły się na drugim brzegu. Tuż za nimi, niepostrzeżenie, jakby w locie uniosła się Frou–Frou, lecz w chwili gdy Wroński uczuł, że jest w powietrzu, nagle zobaczył prawie pod nogami swej klaczy Kuzowlewa, który szamotał się z Dianą na przeciwległym brzegu (Kuzowlew puścił cugle po skoku i Diana przekoziółkowała razem z jeźdźcem). O tych szczegółach Wroński dowiedział się dopiero później, teraz zaś widział tylko jedno: to, że wprost pod nogami, tam gdzie ma stanąć Frou–Frou, może wypaść właśnie noga lub głowa Diany. Frou–Frou wszakże, jak spadający kot, zrobiła w skoku tak zręczny ruch nogami i grzbietem, że ominęła tamtego konia i pomknęła dalej.

„O, najmiłsza!” — pomyślał Wroński.

Po przebyciu rzeki zapanował już całkowicie nad koniem i zaczął go powściągać, zamierzając wziąć wielką barierę po Machotinie. Dopiero na następnym odcinku, gdzie na przestrzeni dwustu sążni nie było żadnej przeszkody, chciał spróbować, czy nie uda mu się wyprzedzić rywała.

Wielka bariera stała tuż przed cesarską lożą. Cesarz, cały dwór i tłum widzów, wszyscy, patrzyli na nich — na niego i na wyprzedzającego go o jedną długość Machotina — w chwili gdy się zbliżali do czarta (tak nazywano nieruchomą, wielką barierę). Wroński czuł te skierowane na siebie ze wszech stron spojrzenia, ale nie widział nic oprócz uszu i szyi swojej klaczy, oprócz biegnącej mu na spotkanie ziemi oraz zadu Gladiatora i jego białych nóg szybko wybijających takt, a pozostających wciąż w tej samej odległości. Gladiator „uniósł się w powietrze, o nic nie stuknął, machnął krótkim ogonem i znikł przed oczu Wrońskiego.

— Brawo! — ozwał się czyjś głos.

W tej samej sekundzie przed oczyma Wrońskiego, tuż

przed nim, mignęły deski bariery. Bez najmniejszej zmiany, tempa koń uniósł się wraz z nim, deski sprzed oczu. Wrońskiego zniknęły i tylko coś za nim stuknęło. Frou–Frou, zdenerwowana przez biegnącego na przedzie Gladiatora, uniosła się trochę zbyt wcześnie przed barierą i stuknęła o nią tylnym kopytem. Tempo jej biegu wszelako nie zmieniło się i kiedy grudka błota ugodziła Wrońskiego w twarz, wywnioskował, że od Gladiatora dzieli go znów ta sama odległość. Znowu miał przed sobą jego zad, jego krótki ogon i te nieustannie widoczne, szybko poruszające się białe nogi.

W chwili gdy Wroński pomyślał, że należałoby teraz zacząć wyprzedzać Machotina, Frou–Frou sama podchwyciła jego myśl, bez żadnej podniety przyspieszyła biegu i poczęła zbliżać się do Gladiatora z najdogodniejszej strony, czyli od strony sznura. Machotin jednak nie dawał mu bandy. Zaledwie Wroński zdążył pomyśleć, że można go także ominąć od strony zewnętrznej, a już Frou–Frou zmieniła nogę i w taki właśnie sposób zaczęła obchodzić Gladiatora. Poczynająca ciemnieć od potu przednia łopatka Frou–Frou zrównała się z zadem Gladiatora. Parę taktów galopu konie przebiegły obok siebie, ale przed przeszkodą, do której się właśnie zbliżali, Wroński, by nie zataczać zbyt wielkiego koła, zaczął pracować cugłami i szybko, na samej pochyłości, minął Machotina. Mignęła mu tylko obryzgana błotem twarz rywala. Zdało mu się nawet, że dostrzegł jego uśmiech. Wyprzedził go, ale czuł go tuż za sobą i nieustannie, bezpośrednio za plecami, słyszał miarowy galop Gladiatora i urywany dech jego nozdrzy, zupełnie jeszcze świeży.

Następne dwie przeszkody, rów i barierę, Wroński wziął z łatwością, ale znów począł go dochodzić z bliska oddech Gladiatora i jego galop. Przynaglił konia i z radością poczuł, że Frou–Frou bez wysiłku przyspieszyła biegu. Tętent

Gładiatora znów począł dobiegać z poprzedniej odległości.

Wroński prowadził gonitwę, tak jak sam zamierzał i jak mu doradzał Cord; teraz był już pewien zwycięstwa. Podniecenie jego, radość oraz czułość dla Frou–Frou nieustannie wzrastały. Miał ochotę obejrzeć się, ale nie śmiał; starał się nakazać sobie spokój i nie przynaglać klaczy, pragnąc, aby zachowała zapas siły równy temu, jakim — podług jego wyczucia — rozporządzał jeszcze Gładiator. Pozostawała jedna i to najtrudniejsza przeszkoda; gdyby ją wziął przed innymi, niewątpliwie byłby pierwszy. Zbliżał się do irlandzkiej bankiety. Zarówno on, jak Frou–Frou z daleka już widzieli bankietę i chwilowe zwątpienie równocześnie ogarnęło i jeźdźca, i konia. Poznał po uszach Frou–Frou jej niezdecydowanie i podniósł szpicrutę, ale wnet instynktownie poczuł, że wątpliwości jego były bezpodstawne: klacz wiedziała, co jej uczynić wypada. Poderwała się ku przodowi, równiutko — tak właśnie, jak się spodziewał — uniosła się i odepchnąwszy się od ziemi, zdała się na siłę bezwładności, która przerzuciła ją daleko poza rów. I z zachowaniem poprzedniego rytmu, bez wysiłku, z tej samej nogi mknęła dalej.

— Brawo, Wroński! — rozległy się głosy grupki widzów, kolegów pułkowych i przyjaciół stojących koło rowu. Niepodobna było nie poznać głosu Jaszwina, ale Wroński go nie dojrzał.

„O, moja cudna!” — myślał o Frou–Frou przysłuchując się temu, co się za nim działo. „Przeskoczył!” — poznał słysząc z tyłu odgłos skoku Gładiatora. Pozostawał jeszcze jeden, ostatni, rowek z wodą, szerokości dwóch arszynów. Wroński nawet nań nie patrzył, a ponieważ chciał teraz znacznie wyprzedzić współzawodnika, zaczął pracować cugłami ruchem kolistym, podnosząc i opuszczając głowę klaczy w

takt jej galopu. Czuł, że koń idzie już ostatkiem sił: nie tylko szyja i łopatki Frou–Frou były mokre, lecz także na karku, na głowie i na ostrych uszach występował kroplisty pot, a oddech był urywany i krótki. Ale Wroński wiedział, że sił tych starczy aż nadto na pozostałe dwieście sążni. Tylko stąd, że czuł się znacznie bliżej ziemi, a ruchy konia stały się jakoś szczególnie miękkie, wnioskował, jak znacznie Frou–Frou przyspieszyła tempa. Rowek przesadziła, jakby go nie widząc, przeleciała nad nim jak ptak; w tej samej jednak chwili Wroński z przerażeniem zdał sobie sprawę, że on sam nie nadążył za ruchem konia i że uczynił — sam nie wiedząc jak — fatalny, nie do darowania ruch opuszczając się na siodło. Położenie jego naraz się zmieniło i poczuł, że zaszło coś strasznego. Nie zdążył jeszcze połapać się, co się stało, a już obok niego mignęły białe nogi kasztanowatego ogiera i Machotin minął go cwałem. Wroński dotykał jedną stopą ziemi i koń walił mu się na tę właśnie nogę. Ledwo zdążył ją wydobyć, gdy Frou–Frou upadła na bok, ciężko chrapiąc i robiąc, aby się podnieść, daremne wysiłki swą cienką, spoconą szyją. Zatrzepotała się u jego stóp na ziemi jak postrzelony ptak... Niezręczny ruch jeźdźca złamał jej krzyż. Wroński jednak zrozumiał to dopiero o wiele później. Tymczasem widział tylko, że Machotin szybko się oddała, on zaś chwiejąc się stoi na błotnistej, nieruchomej ziemi, a przed nim, ciężko dysząc, leży Frou–Frou i przechylając ku niemu głowę patrzy na niego swym prześlicznym okiem. Wroński, wciąż jeszcze nie rozumiejąc, co się stało, ciągnął konia za uzdę. Frou–Frou znów zaczęła jak ryba rzucać się na ziemi skrzypiąc te binkami* siodła i nawet wyprostowała przednie nogi, lecz nie mogąc dźwignąć zadu wnet zachwiała się i znów upadła na bok. Z twarzą wykrzywioną z pasji, bładz, z

* Ty b i n k i albo t e b i n k i — boczne klapy siodła

drgającą dolną szczęką, Wroński obcasem uderzył konia w brzuch i ponownie począł ciągnąć za uzdę, lecz teraz klacz nie poruszyła się nawet; tuląc chrapy do ziemi patrzyła tylko na pana swym wymownym spojrzeniem.

— Aaa! — jęknął Wroński chwytając się za głowę. — Aaa!... Co ja zrobiłem! — wykrzyknął. — I wyścig przegrałem! I w dodatku z własnej, haniebnej, niewybaczalnej winy! I ta nieszczęsna, kochana klacz — zmarnowana! Aaa! Co ja zrobiłem!

Tymczasem zbiegł się dokoła niego tłum widzów, oficerowie jego pułku, doktor, felczer. Na nieszczęście, Wroński czuł, że jest zdrow i cały. Frou–Frou miała złamany kręgosłup, postanowiono ją więc zastrzelić. Wroński nie mógł odpowiadać na pytania ani z nikim rozmawiać. Odwrócił się i nie podnosząc czapki, która przy skoku spadła mu z głowy, opuścił tor, sam nie wiedząc, dokąd idzie. Czuł się nieszczęśliwy. Po raz pierwszy w życiu spotkało go nieszczęście najboleśniejsze, nieszczęście niepowetowane, i to takie nieszczęście, którego sam był przyczyną.

Jaszwin podniósł jego czapkę, dogonił go, odprowadził na kwaterę i w pół godziny później Wroński całkowicie odzyskał równowagę. Wspomnienie tego wyścigu pozostało mu wszakże na długo w duszy jako najbardziej dręczące i bolesne wspomnienie jego życia.

XXVI

Pozornie stosunki Karenina z żoną były takie same jak poprzednio. Jedyne różnica polegała na tym, że Karenin był jeszcze bardziej zajęty niż dawniej. Jak za lat ubiegłych, tak i tego roku wczesną wiosną wyjechał do wód za granicę, by podreperować zdrowie, nadwątlone, jak co rok, wyteżoną

pracą w zimie, i jak zawsze w lipcu powrócił, by natychmiast ze wzmoczoną energią zabrać się do swych zwykłych zajęć. Pani Karenin, jak zawsze, wyjechała na lotnisko, on zaś pozostał w Petersburgu.

Od czasu ich rozmowy po owym przyjęciu u księżnej Twerskiej Aleksy Aleksandrowicz nigdy już więcej nie mówił z żoną o swych podejrzeniach ani o swej zazdrości, a jego zwykły sposób zwracania się do niej, jakby przedrzeźniając kogoś, był w obecnych warunkach niezwykle dogodny. Karenin zdawał się tylko nieco bardziej oziębły, tak jakby miał do żony trochę żalu o tę pierwszą nocną rozmowę, od której ona się uchyliła. W jego stosunku do niej był odcień urazy, nic więcej. „Nie chciałaś się rozmówić ze mną — zdawał się zwracać w myślach do żony — tym gorzej dla ciebie. Teraz ty będziesz mnie prosiła o rozmowę, lecz ja już żadnych wyjaśnień nie zechcę. Tym gorzej dla ciebie — mówił w duchu Aleksy Aleksandrowicz, podobny człowiekowi, który by na próżno próbował ugasić pożar, aż wreszcie, rozgniewany bezowocnością swych wysiłków, powiedziałby: „Jeśli tak, to masz! Spal się cały!”

Ten rozumny, a w sprawach służbowych bystry człowiek nie pojmował całej absurdalności takiego postępowania z żoną. Nie pojmował, ponieważ zanadto się obawiał zdać sobie sprawę ze swej obecnej sytuacji. Zamknął tedy w duszy na klucz i opieczętował tę skrytkę, w której znajdowały się jego uczucia dla rodziny, tj. dla żony i syna. Troskliwy zazwyczaj ojciec, z końcem owej zimy stał się wyraźnie oziębły dla Sierioży i traktował go równie ironicznie jak żonę. Zwracał się do niego: „I cóż, młody człowieku!”

Aleksy Aleksandrowicz był przekonany i twierdził, że nigdy jeszcze nie miał tyle spraw urzędowych co tego roku; nie uświadamiał sobie, że to on sam wciąż wynajdywał dla

siebie w tym roku zajęcia i że był to jeden ze środków, które pozwalały mu nie otwierać owej skrytki, gdzie leżały zamknięte uczucia dla żony i rodziny oraz myśli o nich, tym straszliwsze, im dłużej tam spoczywały. Gdyby ktoś miał prawo zapytać Karenina, co sądzi o postępowaniu żony, to łagodny i spokojny Karenin nic by nie odpowiedział, lecz bardzo by się na pytającego rozgniewał. Dlatego też, ilekroć go zapytywano o zdrowie żony, przybierał wyraz dumny i surowy. Nie chciał nic myśleć o jej postępowaniu i uczuciach, i rzeczywiście nic o nich nie myślał.

Kareninowie zajmowali na stałe willę w Peterhofie i zazwyczaj hrabina Lidia Iwanowna również spędzała tam lato, często widując się po sąsiedzku z Anną. Ale w tym roku nie chciała mieszkać w Peterhofie, nie była u Anny, a nawet dała do zrozumienia Kareninowi, że zażyłość Anny z Betsy i z Wrońskim wydaje się jej niepożądana. Aleksy Aleksandrowicz surowo ją osadził oświadczając, że jego żona jest wyższa ponad wszelkie podejrzenia, i od tego czasu począł unikać hrabiny Lidii Iwanowny. Nie chciał widzieć, więc też i nie widział, że już wiele osób z towarzystwa krzywo patrzy na jego żonę. Nie chciał rozumieć i nie rozumiał, dlaczego Anna specjalnie nalegała na to, by się przenieść do Carskiego Sioła, gdzie — bawiła Betsy i skąd było blisko do letnich kwater pułku Wrońskiego. Nie pozwalał sobie myśleć o tym i nie myślał, zarazem jednak w głębi duszy — nigdy nie wypowiadając tego nawet przed sobą samym i nie mając po temu nie tylko żadnych dowodów, ale nawet podejrzenia — wiedział na pewno, że jest zdradzonym mężem, i był z tego powodu głęboko nieszczęśliwy.

Ileż to razy w ciągu ośmiu lat szczęśliwego pożycia małżeńskiego na widok cudzych niewiernych żon i

zdradzanych mężów Aleksy Aleksandrowicz zadawał sobie pytanie: „Jak można coś podobnego tolerować?! Jak można nie skończyć z taką okropną sytuacją?!” Teraz wszakże, gdy klęska zwała się na niego samego, nie tylko nie myślał, jak położyć temu kres, ale nie chciał nic wiedzieć : o własnej sytuacji. Nie chciał wiedzieć — właśnie dlatego, że była zbyt okropna, zbyt nienaturalna:

Od czasu swego powrotu z zagranicy Aleksy Aleksandrowicz był dwa razy na letnisku. Raz przyjechał na obiad, za drugim razem spędził w domu wieczór wraz z gośćmi, lecz ani razu nie nocował, jak to zwykł był czynić innymi laty.

W dniu wyścigów był bardzo zajęty. Mimo to już z rana, robiąc rozkład dnia, postanowił zaraz po wczesnym obiedzie pojechać na letnisko do żony, a stamtąd na wyścigi, na których miał być cały dwór i gdzie on też być musiał. Do żony zaś chciał wstąpić dlatego, ponieważ postanowił bywać u niej raz na tydzień dla zachowania pozorów. Poza tym tego dnia, jak co piętnastego każdego miesiąca, miał jej zawieźć, wedle ustalonego trybu, pieniądze na wydatki domowe.

Opanowanie myśli, jakie osiągnął Karenin, sprawiło, że przy rozważaniu wszystkiego, co dotyczyło żony, nie pozwolił sobie na rozmyślanie o niej samej.

Ranek ów był bardzo pracowity. Hrabina Lidia Iwanowna przysłała mu w przeddzień broszurę bawiącego podówczas w Petersburgu znakomitego podróżnika, znawcy Chin, i prosiła listownie Karenina o przyjęcie owego podróżnika, człowieka z różnych względów bardzo ciekawego i pożytecznego. Aleksy Aleksandrowicz nie zdążył przeczytać nadesłanej broszury wieczorem i dokończył ją dopiero rano. Potem zjawili się petenci, rozpoczęły się raporty, audiencje, nominacje, dymisje, wymiar gratyfikacji, rent, poborów,

załatwianie korespondencji, słowem, ta, jak ją nazywał Aleksy Aleksandrowicz, powszednia robota, która zabierała mu tyle czasu. Później przyszła kolej na sprawy osobiste — wizytę doktora i plenipotentą. Plenipotent nie zajął zbyt wiele czasu, wręczył tylko potrzebną kwotę i złożył krótkie sprawozdanie ze stanu interesów, które były niezbyt pomyślne, tak się bowiem złożyło, że z powodu częstych wyjazdów — wydatki się tego roku zwiększyły i powstał deficyt. Natomiast doktor, petersburska znakomitość, osobisty znajomy Karenina, zabrał mu wiele czasu. Aleksy Aleksandrowicz nie spodziewał się go tego dnia, był więc zaskoczony, zwłaszcza że doktor począł go szczegółowo wypytywać o stan zdrowia, osłuchał klatkę piersiową, opukał i wymacał wątrobę. Aleksy Aleksandrowicz nie wiedział, że jego przyjaciółka, hrabina Lidia Iwanowna, która zauważyła, że zdrowie jego w tym roku szwankuje, prosiła doktora, by go odwiedził i zbadał. „Niech pan to zrobi dla mnie” — powiedziała.

— Zrobię to dla Rosji, proszę pani! — rzekł doktor.

— Nieoceniony człowiek! — dodała hrabina Lidia Iwanowna.

Doktor był bardzo niezadowolony ze stanu zdrowia Aleksego Aleksandrowicza. Stwierdził znaczne powiększenie wątroby i niedostateczne odżywienie: pobyt u wód nie dał żadnego rezultatu. Przepisał jak najwięcej ruchu i jak najmniej pracy umysłowej, a przede wszystkim polecił unikać zmartwień, co było dla pacjenta równie niewykonalne, jak gdyby zabroniono mu oddychać. Wreszcie doktor pożegnał się pozostawiając Karenina z przykrym uczuciem, że coś mu dolega i że nie ma na to rady.

Wychodząc od pacjenta doktor natknął się w bramie na dobrze sobie znanego Sliudina, szefa kancelarii Karenina.

Kolegowali na uniwersytecie i chociaż widywali się rzadko, cenili się nawzajem i zachowali przyjazne stosunki. Doktor przed nikim by tak szczerze nie wypowiedział swego zdania o zdrowiu Karenina jak przed Sliudinem.

— Jakże się cieszę, że pan był u niego — rzekł Sliudin. — Jakoś z nim kiepsko i zdaje mi się... No i cóż?

— Widzi pan — wyrzekł doktor dając ponad głowę Sliudina znaki swemu stangretowi, żeby zajeżdżał, — Widzi pan — mówił dalej, biorąc w swe białe ręce palec glansowanej rękawiczki i zaczynając go wciągać. — Spróbuj no pan zerwać nienapiętą strunę — przyjdzie to panu z trudnością, lecz gdy się ją napnie aż do granicy jej wytrzymałości i naciśnie choćby tylko jednym palcem — struna pęknie. On zaś przez swą wytrwałość i sumienność w pracy jest napięty do ostatecznych granic, przy nie byle jakim nacisku z zewnątrz — zakończył lekarz podnosząc wymownie brwi. — Będzie pan na zawodach? — zagadną po chwili i zszedł do karety, która tymczasem zajechała. — Tak, tak, oczywiście, to zabiera wiele czasu... — odpowiedział na jakieś słowa Sliudina, których nie dosłyszał.

Natychmiast po wyjściu doktora, którego wizyta tak długo trwała, nadszedł znany podróżnik i Karenin, opierając się na dopiero co przeczytanej broszurze i wykorzystując swoje dawne wiadomości w tej dziedzinie, olśnił przybyłego głęboką wiedzą i szerokością światłych poglądów. Jednocześnie z podróżnikiem zameldowano gubernialnego marszałka szlachty, który przyjechał do Petersburga, i z którym trzeba było się rozmówić. Po jego odjeździe należało dokończyć codziennych zajęć z szefem kancelarii oraz pojechać do pewnej wpływowej osobistości w naglącej i poważnej sprawie. Aleksy Aleksandrowicz zdążył wrócić do domu dopiero o piątej, przed samym obiadem, który zjadł w

towarzystwie Sliudina, po czym zaprosił go, by z nim razem pojechał do niego do willi i na wyścigi.

Sam nie zdając sobie z tego sprawy starał się teraz zawsze, by przy jego spotkaniach z żoną był ktoś trzeci.

XXVII

Anna stała w pokoju na piętrze przed lustrem, przypinając z pomocą Annuszki ostatnią kokardę u sukni, gdy posłyszała grzyt kół na zwirowanym dojeździe.

„Na Betsy jeszcze za wcześnie” — pomyślała i wyrzawszy oknem zobaczyła karecę i wychylający się z niej czarny kapelusz, a pod nim dobrze znajome uszy Aleksego Aleksandrowicza. „Ależ nie w porę! Czyżby na noc?” — pomyślała Anna to, co mogło z tego wyniknąć, wydało się jej tak okropne i potworne, że bez chwili namysłu wyszła uśmiechnięta i promienna na spotkanie przybyłych. Czując, że już się w niej budzi duch kłamstwa i fałszu, poddała mu się od razu i zaczęła mówić nie wiedząc jeszcze co powie.

— Ach, jak to miło! — powiedziała podając rękę mężowi i uśmiechem witając Sliudina, stałego w ich domu gościa. — Mam nadzieję, że zostaniesz na noc? — były to pierwsze słowa, które jej podszeptał duch kłamstwa. — A teraz pojedziemy razem. Szkoda tylko, że obiecałam Betsy... Ma po mnie zajechać.

Aleksy Aleksandrowicz słysząc imię Betsy zmarszczył brwi.

— Nie ośmielę się rozłączać nierozłącznych — rzekł swym zwykłym żartobliwym tonem. — Pojedziemy sobie we dwóch z Michałem Wasiliewiczem. Doktorzy nawet każą mi chodzić. Przejdę się trochę po drodze i będzie mi się wydawało, że jestem u wód.

— Nie ma potrzeby spieszyć się — zauważyła Anna — Może napijecie się panowie, herbaty? — i zadzwoniła.

— Proszę podać herbaty i powiedziec Sierioży, że Aleksy Aleksandrowicz przyjechał. No i cóż, jak twoje zdrowie? Pan jeszcze wcale u mnie nie był, niech pan spojrzy, jak ładnie na tarasie — mówiła Anna zwracając się to do męża, to do Sliudina.

Wszystko to brzmiało bardzo zwyczajnie i naturalnie, lecz mówiła zbyt dużo i za prędko. Czuła to sama, zwłaszcza gdy spostrzegła po zaciekawionym spojrzeniu Sliudina, że ten jakby ją obserwuje.

Sliudin wyszedł natychmiast na taras.

Usiadła obok męża.

— Niezbyt dobrze wyglądasz — rzekła.

— Tak — odparł. — Dzisiaj był u mnie doktor i zabrał mi całą godzinę. Mam wrażenie, że przysłał go ktoś z przyjaciół: zdrowie moje jest przecież tak cenne...

— Naprawdę?! I cóż powiedział?

Zaczęła wypytywać męża o jego zdrowie, o zajęcia; namawiała, aby przeniósł się na lotnisko i odpoczął.

Mówiła to wszystko wesoło, szybko i z osobliwym blaskiem oczu; lecz Karenin teraz już nie przypisywał temu jej tonowi żadnego specjalnego znaczenia. Słyszał tylko słowa i brał je w takim sensie, jaki posiadały. Odpowiadał jej również swobodnie, choć żartobliwie. W całej tej rozmowie nie było nic szczególnego, a jednak Anna nigdy nie mogła przypomnieć sobie później tej krótkiej sceny bez dojmującego uczucia wstydu.

Wszedł Sierioża, poprzedzany przez guwernantkę. Gdyby Aleksy Aleksandrowicz pozwolił sobie na obserwowanie, to zauważyłby, że chłopiec rzucił najpierw na ojca, a potem na matkę nieśmiało i niepewne spojrzenie. Karenin nie chciał

wszelako nic widzieć, toteż nic nie widział.

— A, otóż i młody człowiek! Jak on rośnie! Doprawdy, staje się prawdziwym mężczyzną. Witaj, młody człowieku!

I podał rękę wystraszonemu chłopcu.

Sierioża, który dawniej także bywał wobec ojca nieśmiały, odkąd Karenin zaczął go tytułować młodym człowiekiem i odkąd on sam stanął przed zagadką, czy Wroński jest przyjacielem, czy też wrogiem, całkiem od ojca stronił. Obejrzał się na matkę, jakby szukając u niej ucieczki. Tylko z matką było mu dobrze. Tymczasem Aleksy Aleksandrowie, rozmawiając z guwernantką, trzymał syna za ramię, i Sierioża czuł się tak rozpaczliwie zażenowany, że — jak Anna zauważyła — był bliski płaczu.

Zarumieniała się, gdy syn wchodził, a teraz widząc jego zakłopotanie podbiegła do niego, zdjęła z jego ramienia rękę Karenina, pocałowała go i wyprowadziła na taras, skąd natychmiast powróciła.

— Jednak już czas — rzekła spoglądając na zegarek. — Co to jest, że Betsy nie nadjeżdża!...

— Tak! — odpowiedział Aleksy Aleksandrowicz, wstał, splótł ręce i trzasnął w palce. — Przyjechałem, żeby ci przywieźć pieniądze, gdyż wiem, że i słowika samym bajaniem się nie nakarmi — rzekł. — Zapewne ci już potrzeba?

— Nie, nie potrzeba... Tak, owszem, potrzeba — odpowiedziała nie patrząc na niego i rumieniąc się aż po korzonki włosów. — Ale spodziewam się, że wrócisz tu po zawodach?

— O, tak! — odrzekł. — Otóż i ozdoba Peterhofu, księżna Twerska — dodał po chwili, przypatrując się przez okno zajeżdżającemu angielskiemu powozikowi o wysoko umieszczonym miniaturowym pudle i z zaprzęgiem w

szorach. — Co za szyk! Cudo!. A więc jedźmy i my.

Księżna Twerska nie wysiadała z powozu,, tylko lokaj w sztylpach, pelerynce i czarnym kapelusiku zeskoczył przed gankiem.

— Idę już, bywajcie zdrowi! — zawołała Anna i ucałowawszy syna podeszła do męża wyciągając do niego rękę. — Bardzo to miło z twojej strony, że przyjechałeś.

Aleksy Aleksandrowicz ucałował jej dłoń.

— A zatem do widzenia! Przyjedziesz na herbatę, to doskonale — rzekła Anna i wyszła, jaśniejąca pogodą i wesołością. Skoro tylko jednak mąż znikł jej z oczu, spojrzała na dłoń, której przed chwilą dotknęły jego wargi, i wzdrygnęła się z obrzydzenia.

XXVIII

Gdy Aleksy Aleksandrowicz zjawił się na zawodach, Anna siedziała już obok Betsy na trybunie, gdzie znajdowała się śmietanka petersburskiego towarzystwa. Z daleka jeszcze dostrzegła męża. Ci dwaj ludzie, mąż i kochanek, byli dwoma ośrodkami jej życia, i bez pomocy pięciu zmysłów odczuwała ich obecność. Mąż był jeszcze daleko, a ona już wyczuła, że się zbliża, i mimo woli obserwowała go pomiędzy falami tłumy, wśród których się poruszał. Widziała, jak podchodził do trybuny to protekcyjnie odpowiadając na przypochlebne ukłony, to po przyjacielsku, z roztargnieniem witając się z równymi sobie, to starannie wyczekując spojrzenia możliwych tego świata i wówczas zdejmując przed nimi z uszanowaniem wielki, okrągły kapelusz, uciskający końce uszu.

Anna знаła te wszystkie jego sposoby i wszystkie były jej wstrętne. „Nic poza ambicją, nic poza karierą; to cała treść

jego istoty — myślała — a wzniosłe ideały, umiłowanie kultury, religia — to tylko narzędzia zapewniające powodzenie.”

Z jego spojrzeń na trybunę pań (patrzył wprost na żonę, lecz nie poznawał jej w morzu muślinu, wstążek, piór, parasolek i kwiatów) Anna wywnioskowała, że jej szuka, udawała jednak, że go nie dostrzega.

— Aleksy Aleksandrowiczu! — zawołała na niego księżna Betsy. — Pan pewno nie widzi małżonki; oto jest!

Uśmiechnął się swym chłodnym uśmiechem.

— Taki tutaj blask, że aż mi się mieni w oczach — odrzekł i wszedł na trybunę. Uśmiechnął się do Anny, tak właśnie jak powinien uśmiechnąć się mąż na widok żony, z którą przed chwilą się rozstał. Przywitał się z księżną i innymi znajomymi, oddając każdemu to, co mu się należało, czyli żartując z paniami i wymieniając powitania z mężczyznami. Na dole, koło trybuny, stał właśnie znany powszechnie ze swego rozumu i wykształcenia generał — adiutant, dla którego Karenin miał wielkie uznanie; toteż od razu wszczął z nim rozmowę.

Była właśnie przerwa między biegami, nic więc im nie przeszkadzało. Generał — adiutant krytykował zawody. Karenin stawał w ich obronie. Anna słuchała wysokiego, jednostajnego głosu męża, nie tracąc ani jednego słowa, a każde wydawało się jej pełne fałszu i boleśnie raziło jej uszy.

Gdy rozpoczął się czterowiorstowy bieg z przeszkodami, Anna pochyliła się ku przodowi, nie spuszczać z oczu Wrońskiego, podczas gdy podchodził do konia i wskakiwał na siodło, a równocześnie słyszała ten wstrętny, nie milnący głos. Odczuwała dojmujący lęk o Wrońskiego, lecz o wiele bardziej dokuczał jej ów, jak się zdawało, nieprzerwany dźwięk wysokiego głosu męża o znajomych intonacjach.

„Jestem złą kobietą, jestem kobietą zgubioną — myślała Anna — ale nie lubię kłamać i nie znoszę fałszu, o n zaś (mąż) żyje po prostu kłamstwem. Przecież on wszystko wie i wszystko widzi: jakież są jego uczucia, skoro potrafi rozmawiać z takim spokojem? Gdyby zabił mnie, gdyby zabił Wrońskiego, mogłabym go przynajmniej szanować. Ale nie, potrzebne mu są tylko kłamstwo i pozory” — mówiła do siebie Anna nie zastanawiając się, czego właściwie żąda od męża i jakim chciałaby go widzieć. Nie zdawała też sobie sprawy, że dzisiejsze niezwykle wielomówstwo Aleksego Aleksandrowicza, które ją tak drażniło, było właśnie wyrazem jego wewnętrznego zatrwożenia i niepokoju. Jak dziecko, które uderzywszy się podskakuje, by przy pomocy ruchu mięśni zagłuszyć ból — podobnie „Aleksy Aleksandrowicz odczuwał potrzebę aktywności umysłowej, by zdławić w sobie te myśli o żonie, które mu się narzucały w obecności jej i Wrońskiego, tym bardziej że nazwisko to było na ustach wszystkich. Dziecku najłatwiej przychodzą podskoki, Kareninowi z natury łatwo było mówić mądrze i ze swobodą. Toteż teraz prawił:

— Niebezpieczeństwo jest nieodzownym warunkiem zawodów kawaleryjskich. Jeśli Anglia może się powołać w historii swych wojen na tyle brawurowych czynów dokonanych przez kawalerię, to tylko dzięki temu, że tradycyjnie pielęgnowała u siebie ten rodzaj broni, dbając i o ludzi, i o zwierzęta. Moim zdaniem sport ma olbrzymie znaczenie; my zaś, jak zwykle we wszystkim, widzimy w nim tylko to, co jest powierzchowne.

— Wcale nie powierzchowne — wtrąciła księżna Twerska.
— Powiadają, że już jeden oficer złamał sobie dwa zębra.

Karenin uśmiechnął się jak zwykle uśmiechem, który tylko odsłaniał zęby, lecz nic więcej nie wyrażał.

— Dajmy na to, proszę księżnej — zgodził się — że to już nie jest powierzchowne, tylko wewnętrzne. Nie o to wszakże chodzi — zwrócił się znów do generała, z którym mógł rozmawiać poważnie. — Niech pan generał nie zapomina, że do wyścigu stają wojskowi, którzy obrali sobie właśnie ten, a nie inny rodzaj działalności, a każdy zawód, zgodzi się pan generał, ma też i odwrotną stronę medalu. Wchodzi to po prostu w zakres obowiązków żołnierza. Ohydny sport bokserski lub hiszpański — toreadorów, to są objawy barbarzyństwa, podczas gdy sport celowy świadczy o postępie.

— Nie, nigdy już nie pojedę na wyścigi: zanadto się przejmuję — zawołała księżna Betsy. — Nieprawdaż, Anno?

— I ja się przejmuję, lecz nie mogłabym się oderwać — zauważyła inna dama. — Gdybym była Rzymianką, nie opuszczałabym ani jednego igrzyska.

Anna nic nie powiedziała. Patrzała nieustannie w jeden punkt, nie odejmując lornetki od oczu.

W tej chwili wzdłuż trybuny przechodził generał wysokiej rangi. Aleksy Aleksandrowicz urwał w pół zdania, podniósł się z pośpiechem, lecz z godnością, i złożył przechodzącemu głęboki ukłon.

— Pan nie bierze udziału w wyścigach? — żartobliwie zagadnął generał.

— Wyścig, w którym ja biorę udział, jest trudniejszy — zareplikował z szacunkiem Aleksy Aleksandrowicz.

Mimo że odpowiedź ta nic właściwie nie znaczyła, generał zrobił taką minę, jakby usłyszał mądre słówko od rozumnego człowieka i jakby od razu pochwycił *la pointe de la sauce*.

— Wchodzi tu w grę dwie strony — ciągnął dalej Aleksy Aleksandrowicz — wykonawcy i widzowie. Zgadzam się, że zamiłowanie do widowisk tego rodzaju jest niewątpliwym

świadectwem niskiego poziomu widzów, ale...

— Księżno, załóżmy się! — rozległo się z dołu wołanie Stepana Arkadjicza do Betsy. — Na kogo pani stawia?

— My z Anną na księcia Kuzowlewa — odpowiedziała Betsy.

— A ja na Wrońskiego!... O parę rękawiczek...

— Zgoda!

— Jak tu ładnie, prawda?

Aleksy Aleksandrowicz na chwilą zamilkł, gdy zaczęła się dokoła niego rozmowa, lecz zaraz potem prawił dalej:

— Zgadzam się, aczkolwiek gry będące próbą dzielności...

W tej chwili jednak rozpoczął się start i wszystkie rozmowy ucichły. Aleksy Aleksandrowicz umilkł również. Cała publiczność podniosła się z miejsc, wszyscy zwrócili się w kierunku rzek.. Zawody nie interesowały Karenina, toteż nie przypatrywał się jeźdźcom, ale począł z roztargnieniem wodzić zmęczonym wzrokiem po widzach. Spojrzenie jego zatrzymało się na Annie.

Twarz jej była blada i surowa. Najwyraźniej nie widziała nic i nikogo poza jednym tylko. W rękę kurczowo ścisnęła wachlarz; wstrzymywała oddech... Karenin spojrział na nią i odwrócił się z pośpiechem, by przyjrzeć się z kolei innym twarzom.

„Więc i ta dama, i tamte są też bardzo przejęte, to całkiem naturalne” — rzekł do siebie. Nie chciał patrzeć na Annę, lecz wzrok jego mimo woli zwracał się ku niej. Znowu wpatrywał się w jej twarz, starając się nie wyczytać z niej tego, co się tam tak wyraźnie malowało, i wbrew woli, ze zgrozą znajdował to właśnie, czego wiedzieć nie chciał.

Pierwszy upadek, Kuzowlewa nad rzeką, wstrząsnął całą publicznością, lecz Aleksy Aleksandrowicz poznał

nieomylnie z bladej, triumfującej twarzy Anny, że ten, w którego ona była wpatrzona, nie spadł z konia. Gdy zaś, po wzięciu przez Machotina i Wrońskiego wysokiej bariery, następny jeździec runął na głowę i potłukłszy się stracił przytomność, a szmer grozy przeleciał po wszystkich trybunach — Aleksy Aleksandrowicz widział, że Anna tego nawet nie zauważyła i że z trudnością rozumiała, o czym mówiono dokoła. Teraz już coraz częściej, coraz bardziej badawczo wpatrywał się w żonę, i Anna, chociaż pochłonięta widokiem cwałującego Wrońskiego, poczuła jednak utkwione w nią z boku spojrzenie zimnych oczu męża.

Obejrzała się na mgnienie, popatrzyła na niego pytająco, zmarszczyła lekko brwi i znów się odwróciła. Powiedziała mu jakby: „Ach, wszystko mi jedno”, i więcej już ani razu nie spojrzała w jego stronę.

Był to zły dzień dla zawodów: więcej niż połowa owych siedemnastu pospadała z koni i potłukła się. Pod koniec zapanowało wśród publiczności wzburzenie, tym większe że i cesarz był niekontent.

XXIX

Wszyscy głośno krytykowali zawody i powtarzali rzucone przez kogoś zdanie: „Brak tylko cyrku z lwami!”, a groza była tak powszechna, że gdy Wroński zwał się z konia i Anna głośno krzyknęła, nie wydało się to nikomu niezwykłe. Zaraz potem wszakże w wyrazie jej zaszła zmiana, która była już zdecydowanie nieprzyzwoita. Anna całkowicie straciła panowanie nad sobą, poczęła dygotać jak schwytyany ptak; to chciała się zerwać i dokąść biec, to znów zwracała się do Betsy błagając:

— Jedźmy, jedźmy...

Ale Betsy nawet jej nie słyszała. Przechylona w dół, rozmawiała z generałem, który właśnie do niej podszedł.

Aleksy Aleksandrowicz zbliżył się do Anny i z kurtuazją podał jej ramię.

— Chodźmy już, jeśli masz ochotę — powiedział po francusku, lecz Anna przysłuchując się temu, co mówił generał, nie zauważyła wcale męża.

— On również złamał nogę, tak przynajmniej mówią — opowiadał generał. — Doprawdy, to skandal.

Anna nie odpowiadając mężowi podniosła lornetkę do oczu i patrzyła na miejsce, gdzie spadł Wroński, lecz było to tak daleko i stłoczyło się tam tyle ludzi, że nic nie można było rozpoznać. Opuściła lornetkę i uczyniła ruch, jakby zamierzała zejść z trybuny, lecz w tej samej chwili przy — galopował oficer i raportował coś cesarzowi. Anna wychyliła się i słuchała. — Stiwa! Stiwa!. — poczęła wołać na brata.

Obłoński wszakże nie słyszał jej wołania. Porwała się znów do wyjścia.

— Raz jeszcze proponuję ci moje ramię, jeśli masz zamiar wyjść — powtórzył Karenin i dotknął jej ręki.

Anna z odrazą odsunęła się i nie podnosząc na niego oczu powiedziała:

— Nie, nie, daj mi spokój. Zostanę tutaj. Spozrzegła teraz, że jakiś oficer biegnie przez plac do trybun z tego właśnie miejsca, gdzie Wroński spadł z konia Betsy dawała mu znaki chustką. Oficer przyniósł wiadomość, że jeździec się nie potłukł, lecz koń ma złamany kręgosłup.

Usłyszawszy to Anna osunęła się na swoje miejsce i zakryła twarz wachlarzem. Aleksy Aleksandrowicz widział, że żona płacze i że nie tylko nie może powstrzymać łez, ale nawet zapanować nad łkaniem, które nią wstrząsało. Zasłonił ją sobą, dając jej czas, by się uspokoiła, a po chwili rzekł

znowu:

— Po raz trzeci proponuję ci moje ramię. — Anna patrzyła na niego i nie wiedziała, co powiedzieć. Księżna Betsy przysłała jej z pomocą:

— Nie, panie drogi, ja przywiozłam tu Annę i obiecałam ją odwieźć.

— Księżna wybaczy — powiedział z uprzejmym uśmiechem, lecz patrząc jej w oczy z całą stanowczością — ale widzę, że Anna źle się czuje, i życzę sobie, aby pojechała ze mną.

Anna trwożnie obejrzała się dokoła, posłusznie wstała i położyła rękę na ramieniu męża.

— Poślę do niego, żeby się dowiedzieć, a potem dam ci znać — szepnęła Betsy.

Schodząc z trybuny Karenin jak zwykle rozmawiał ze spotkanymi znajomymi i Anna musiała jak zwykle odpowiadać i rozmawiać, ale była na pół przytomna i szła pod rękę z mężem jak we śnie.

„Czy rzeczywiście się nie potłukł? Czy to prawda? Przyjdzie czy nie? Czy zobaczę go dzisiaj?” — myślała.

W milczeniu wsiadła do mężowskiej karety i w milczeniu wyjechali z szeregu powozów na drogę. Mimo tego, co sam przed chwilą widział, Aleksy Aleksandrowicz jednak nie dopuszczał do siebie myśli o prawdziwej sytuacji żony. Dostrzegł tylko objawy zewnętrzne; stwierdził, że zachowywała się niewłaściwie, i uważał za swój obowiązek zwrócić jej na to uwagę. Było mu wszelako niezmiernie trudno powiedzieć jej to tylko i nic poza tym. Otworzył usta, by zwrócić uwagę żonie, jak niestosownie się zachowywała, lecz mimo woli wyrzekł coś całkiem innego:

— Jakież my mamy, mimo wszystko, pociąg do tych barbarzyńskich widowisk. Zauważyłem...

— Co takiego? Nic nie rozumiem — przerwała pogardliwie Anna.

Poczuł się dotknięty i od razu przystąpił do rzeczy:

— Muszę ci powiedzieć...

„To już decydująca rozmowa” — pomyślała Anna z przestraszaniem.

— Muszę powiedzieć, że dzisiejsze zachowanie się pani było niewłaściwe — ciągnął dalej po francusku.

— Cóż ja zrobiłam niewłaściwego? — zapytała podniesionym głosem Anna zwracając się twarzą do męża i patrząc mu prosto w oczy już bez dotychczasowej sztucznej pogardy, lecz z udaną stanowczością, pod którą z trudem, ukrywała trwogę.

— Proszę nie zapominać... — przestrzegał Karenin wskazując otwarte przednie okienko, za którym siedział stangret.

Podniósł się nieco i zasunął szybę.

— I cóż niewłaściwego pan znalazł? — powtórzyła Anna.

— Desperację, której nie potrafiła pani ukryć, gdy jeden z jeźdźców spadł z konia.

Czekał na odpowiedź, lecz Anna milczała patrząc przed siebie.

— Prosiłem już, by pani tak się zachowywała w towarzystwie, żeby nawet złe języki nie mogły nic pani zarzucić. Był czas, gdy mówiłem o naszym wzajemnym wewnętrznym stosunku, obecnie już o tym nie mówię. Obecnie chodzi mi tylko o stosunek zewnętrzny. Zachowywała się pani niewłaściwie, i życzyłbym sobie, aby się to więcej nie powtórzyło.

Anna nie słyszała nawet połowy słów męża. Odczuwała przed nim strach. Zaprzątnięta była myślą, czy to prawda, że Wrońskiemu nic się nie stało. Czy to o nim mówiono, że jest

zdrów i cały, że koń złamał kręgosłup? Gdy Karenin umilkł, uśmiechnęła się tylko z udaną ironią, a nie odpowiedziała mu nic, ponieważ nie słyszała tego, co mówił. Aleksy Aleksandrowicz zrazu zaczął śmiało, lecz zaledwie sam jasno uświadomił sobie, o czym mówi, wnet i jemu udzielił się lęk, którego doświadczała Anna. Potem spostrzegł jej uśmiech i uległ dziwnemu złudzeniu:

„Śmieje się z mych podejrzeń... Tak, zaraz powie mi to, co wówczas: — że podejrzania moje są bezpodstawne i że to śmieszne z mojej strony.”

Teraz, gdy groziło mu wyjaśnienie całej prawdy, gorąco pragnął, aby — jak i wówczas — żona odpowiedziała mu ironicznie, że podejrzania jego są śmieszne i na niczym nie oparte. To, o czym i tak wiedział, było tak przerażające, że gotów był uwierzyć we wszystko, co Anna powie. Ale wyraz jej twarzy, przestraszony i smutny, nie obiecywał mu już teraz nawet kłamstwa.

— Może się mylę — rzekł w końcu. — W takim razie proszę o przebaczenie.

Nie, pan się nie myli — odparła Anna powoli po francusku, patrząc z desperacką odwagą w zastygłą twarz męża — nie myli się pan. Byłam istotnie w rozpacz, bo inaczej być nie mogło... I teraz słucham pana, ale myślę o nim. Kocham go i jestem jego kochanką. Nie znoszę pana, boję się, nienawidzę... Niech pan ze mną robi, co pan chce.

I osuwając się w kątek karety, rozszlochała się zasłaniając twarz rękoma. Aleksy Aleksandrowicz nie poruszył się, patrzył wciąż przed siebie, lecz jego cała twarz nagle przybrała uroczystą, trupią sztywność i pozostała tak niezmienną, aż przybyli do willi. Gdy kareta zatrzymała się, obrócił znieruchomiłą twarz do żony:

— Więc tak! Ale żądam zachowania pozorów

przyzwoitości do czasu — głos jego drgnął — aż poczynię odpowiednie kroki zabezpieczające mój honor i aż o nich panią zawiadomię.

Wysiadł pierwszy i pomógł jej zejść, po czym, ze względu na obecność służby, uściśnął w milczeniu jej rękę, wsiadł z powrotem do karety i wrócił do Petersburga.

Zaraz potem nadszedł od księżnej Betsy lokaj i przyniósł Annie bilecik.

„Posłałam do Aleksego zapytać o zdrowie. Odpisał mi, że jest zdrow i cały, ale w rozpacz.”

„A zatem o n przyjdzie! — pomyślała Anna. — Jak dobrze zrobiłam, że powiedziałam wszystko.”

Spojrzała na zegarek. Pozostawały jeszcze trzy godziny. Wspomnienie szczegółów ostatniej schadzki rozpało jej krew.

„Mój Boże, jak jasno! To okropne, ale lubię widzieć jego twarz i lubię to fantastyczne światło... Mąż! Ach, tak... Bogu dzięki, że z nim wszystko skończone.”

XXX

Jak wszędzie, gdzie gromadzą się ludzie, tak i w małym, niemieckim uzdrowisku, dokąd wyjechali Szczerbaccy, utartym zwyczajem odbywała się jakby krystalizacja przyjezdnego towarzystwa, wyznaczająca każdemu określone i niezmiennie miejsce. Podobnie jak niezmiennie i w określony sposób cząsteczka wody przybiera na mrozie właściwy sobie kształt śniegowego kryształu, tak właśnie każdy nowo przybywający od razu trafiał na właściwe miejsce.

*Fürst** Szczerbacki *samt Gemahlin und Tochter* i ze

* *Fürst*... — księżę Szczerbacki wraz z małżonką i córką

względu na zajmowane mieszkanie, i ze względu na nazwisko, a także i na znajomych, których znaleźli u wód, skrytalizowali się od razu i zajęli określoną i z góry wyznaczoną pozycję.

U wód bawiła tego roku prawdziwa niemiecka *Fürstin**, wobec czego krystalizacja towarzystwa odbyła się w sposób jeszcze bardziej przyśpieszony. Księżna Szczerbacka zapragnęła koniecznie przedstawić córkę niemieckiej księżnej i zaraz nazajutrz po przyjeździe dopełniła tej ceremonii. Kitty, w swej sprowadzonej z Paryża, bardzo skromnej — a więc bardzo strojnej — letniej sukni, dygnęła nisko i z wdziękiem. Księżna powiedziała: „Spodziewam się, że róże powrócą niedługo na tę śliczną twarzyczkę”, i życie Szczerbackich od razu potoczyło się po wytkniętych szlakach, z których zboczyć już nie było można. Poznali więc i rodzinę angielskiej lady, i niemiecką hrabinę, i jej syna rannego w czasie ostatniej wojny, i uczonego Szweda, a wreszcie monsieur Canut i jego siostrę. Stałym towarzystwem Szczerbackich, które dobrało się samo, była jednak pewna dama z Moskwy, Maria Jewgieniewna Rtiszczewa z córką, do której Kitty nie czuła sympatii, ponieważ tamta również zachorowała z miłości. Należał do tej samej socjety także i moskiewski pułkownik, którego Kitty znała od dzieciństwa i zawsze widywała w mundurze i epoletach, a który tutaj, ze swymi maleńkimi oczkami, odsłoniętą szyją i kolorowym krawacikiem, był niezwykle śmieszny, a poza tym nużący, gdyż nie można się go było pozbyć. Kiedy to wszystko ustaliło się na dobre, Kitty zaczęła się mocno nudzić, zwłaszcza że książe wyjechał do Karlsbadu, ona zaś została z matką sama. Znajomymi osobami nie interesowała się nie oczekując od nich żadnych

* *Fürstin* ... — księżna

nowych wrażeń. Co ją przede wszystkim i najgłębiej u wód zajmowało, to jej własne obserwacje i domysły na temat nieznanym. Kitty już z natury zawsze przypisywała ludziom, zwłaszcza tym, których nie znała, wszystko, co najpiękniejsze. I teraz snując domysły, kto kim jest, w jakim do kogo pozostaje stosunku i jacy to w ogóle ludzie, obdarzała ich w wyobraźni jak najwymyślniejszymi i najwznioślejszymi charakterami, a potem szukała potwierdzenia domysłów w swych spostrzeżeniach.

Spośród takich osób interesowała ją zwłaszcza pewna młoda Rosjanka, która przyjechała do wód z chorą rosyjską damą, madame Stahl, jak ją tu ogólnie nazywano. Madame Stahl należała do wyższej socjety; była tak poważnie chora, że nie mogła wcale chodzić, i tylko w rzadkie pogodne dni ukazywała się publicznie w swoim wózku. Owa madame Stahl nie tyle z powodu choroby, ile przez pychę, jak twierdziła księżna, nie utrzymywała żadnych stosunków z Rosjanami. Pielęgnowała ją młoda panna, która prócz tego, jak spostrzegła Kitty, znała bliżej wszystkich ciężko chorych, a tych było wielu w uzdrowisku, i opiekowała się nimi w sposób jak najbardziej naturalny. Według spostrzeżeń Kitty panienka ta nie była krewną madame Stahl i nie była też jej płatną opiekunką. Pani Stahl nazywała ją Warieńką, inni zaś — „m–lle Warieńką”. Pomijając już to, że Kitty z zaciekawieniem badała stosunek tej panienki do pani Stahl i do innych nieznanym osób, czuła, jak to nieraz bywa, niczym nie wytłumaczoną do niej sympatię, a z wzajemnych spojrzeń wiedziała, że i ona tamtej się podoba.

M–lle Warieńką była nie tyle nie pierwszej młodości, ile raczej istotą jakby w ogóle bez młodości: można jej było dać lat dziewiętnaście równie dobrze jak trzydzieści. Jeśli chodzi o poszczególne rysy, była pomimo niezdrowej cery raczej

piękna niż brzydka i mogłaby nawet uchodzić za całkiem dobrze zbudowaną, gdyby nie zbytnia chudość oraz nieproporcjonalnie do jej średniego wzrostu wielka głowa. Prawdopodobnie dla mężczyzn była pozbawiona uroku. Przypominała piękny kwiat, już przekwitły i bez zapachu, mimo że zachował jeszcze wszystkie płatki. Poza tym nie mogła podobać się mężczyznom, ponieważ brakowało jej tego, czego Kitty posiadała aż nadto: hamowanego temperamentu i świadomości własnego uroku.

Wyglądała zawsze zajęta pracą, której celowość była niewątpliwa, i zdawało się, że dlatego już nic poza tym interesować jej nie może. Kitty poczuła do niej specjalną sympatię, właśnie ponieważ Warieńką była jej przeciwieństwem; czuła, że w osobie Warieńki, w jej trybie życia znajdzie wzór tego, czego Obecnie z utęsknieniem szukała: jak stwarzać sobie w życiu zainteresowania, jak żyć z godnością, nie mając nic wspólnego ze wstrętnym dla niej, czysto światowym stosunkiem panny na wydaniu do mężczyzn, stosunkiem, który wydawał się jej obecnie haniebnym — wystawianiem towaru czekającego na kupców. Im dłużej przyglądała się swojej nieznanym przyjaciółce, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że panna Warieńka jest tą właśnie doskonałą istotą, jaką ona — Kitty — sobie wyobraziła, i tym goręcej pragnęła ją poznać.

Dziewczęta spotykały się kilka razy na dzień i przy każdym spotkaniu oczy Kitty zdawały się pytać: „Kim pani jest? Czym pani jest?. Wszak prawda, że pani jest ową uroczą istotą, którą ja sobie wyobraziłam? Ale, na miłość boską, niechaj pani nie myśli — dodawało jej spojrzenie — że ośmielałam się narzucać ze swoją znajomością. Po prostu zachwycam się panią i lubię panią.” „I ja również panią lubię. Pani jest bardzo, bardzo, miła. Gdybym tylko miała nieco

więcej czasu, lubiłabym panią jeszcze bardziej” — odpowiadało Kitty spojrzenie nieznajomej panny. I rzeczywiście, Kitty sama widziała, że panna Warieńka jest zawsze zajęta: albo zabiera od źródła dzieci jakiejś rosyjskiej rodziny, albo też niesie pled dla którejś z chorych i otula ją nim, albo stara się zająć czymś rozdrażnionego kuracjusza, albo wybiera i kupuje dla kogoś ciastka do kawy.

Wkrótce po przyjeździe Szčerbackich zjawiły się rano u źródła jeszcze dwie osoby, które zwróciły na siebie powszechną uwagę połączoną z antypatią. Był to przede wszystkim bardzo wysoki, przygarbiony mężczyzna z olbrzymimi rękami, w za krótkim, nie dopasowanym do wzrostu, starym palcie. Spojrzenie jego czarnych oczu było naiwne, a zarazem przerażające. Towarzyszka jego, ospowata, niebrzydka kobieta, ubrana była bardzo źle i bez gustu. Rozpoznając w nich Rosjan Kitty zaczęła już układać sobie o nich w wyobraźni piękną i rozczulającą powieść; księżna jednak dowiedziawszy się z kurlisty*, że to Mikołaj Lewin i Maria Nikołajewna, wytłumaczyła córce, jaki z tego Lewina zły człowiek, i wszystkie rojenia Kitty na temat tych dwojga rozwiały się od razu. Nie tyle z uwagi na słowa matki, ile że był to brat Konstantego, para owa stała się nagle dla Kitty przedmiotem antypatii. Ten drugi Lewin, ze swym nawykiem kurczowego wstrząsania głową, budził w niej wstręt nieprzewyciężony.

Zdawało się jej, że w jego wielkich, strasznych oczach, śledzących ją uporczywie, maluje się wyraz nienawiści i szyderstwa, toteż starała się unikać spotkań z Mikołajem.

XXXI

* Kurlista — spis kuracjuszy

Był słotny dzień: deszcz padał całe rano, chorzy tłoczyli się z parasolami w krytej galerii.

Kitty przechadzała się z matką i moskiewskim pułkownikiem, który wesoło paradował w swym europejskim surduciku, kupionym we Frankfurcie w sklepie z gotowym ubraniem. Przechadzali się po jednej stronie galerii starając się nie spotkać Lewina, który spacerował po drugiej. Warieńka, w swej ciemnej sukni i czarnym kapeluszu z opuszczonym rondem, chodziła wzdłuż całego deptaka pod rękę z niewidomą Francuzką. Za każdym razem, gdy dziewczęta się mijały, rzuciły na siebie przyjazne spojrzenia.

— Mamon, czy ja mogę zacząć z nią rozmowę? — spytała Kitty, która obserwowała nieznajomą przyjaciółkę i zauważyła, że ta stanęła przy źródle, gdzie łatwo się mogły osobiście zetknąć.

— Owszem, jeśli tak bardzo sobie tego życzysz. Dowiem się tylko przedtem, kto to taki, i sama pierwsza do niej podejść — odparła matka. — Co ty w niej osobliwego znalazłaś? Zapewne jest panną do towarzystwa. Jeśli chcesz, zapoznam się z madame Stahl. Znałam jej *belle-soeur* — dodała księżna, dumnie podnosząc głowę.

Kitty wiedziała, że księżna jest obrażona na panią Stahl za to, że ta jakby unikała z nią znajomości, toteż nie nalegała.

— Ach, jakaż ona czarująca! — zawołała przyglądając się Warieńce, która podawała właśnie Francuzce szklanekę. — Niech mama patrzy, jakie to wszystko u niej jest naturalne i sympatyczne.

— Bawią mnie twoje *engouements** — rzekła księżna, — Nie, lepiej zavróćmy — dodała na widok Lewina zbliżającego się do nich wraz ze swą damą i doktorem Niemcem, z którym głośno i gniewnie o czymś rozmawiał.

* *Engouements* — pasje

Księżna i Kitty właśnie zawracały, gdy naraz rozległy się już nie podniesione głosy, ale krzyki. Lewin przystanął i krzyczał, doktor również się zdenerwował. Poczęto się dokoła nich skupiać. Księżna z córką szybko się oddaliły, pułkownik zaś przyłączył się do tłumu, aby dowiedzieć się, o co chodzi.

Po paru minutach dogonił swoje panie.

— Cóż się tam stało? — zapytała księżna.

— Wstyd i hańba! — odrzekł pułkownik. — Jednej tylko rzeczy człowiek się zawsze obawia: spotkania Rosjan za granicą. Ten wysoki pokłócił się z lekarzem, nagadał mu impertynencji i zamierzył się na niego laską za to, że doktor leczył go nie tak, jak on chciał. Wstyd doprawdy przed ludźmi!

— Ach, jakie to przykre — rzekła księżna. — I jak się to skończyło?

— Chwała Bogu, wdała się w to ta... ta w kapeluszu podobnym do grzyba, też, zdaje się, Rosjanka — objaśniał pułkownik.

— M—lle Warieńka? — wykrzyknęła uradowana Kitty.

— Tak jest. Ona jedna nie straciła głowy, wzięła tego pana pod rękę, po prostu zabrała go stąd.

— Widzi mama — zwróciła się Kitty do matki — a mama się dziwi, że ja się nią zachwycam.

Poczawszy od następnego dnia Kitty śledząc dalej swą nieznaną sympatię zauważyła, że m—lle Warieńka jest już z Lewkiem i jego towarzyszką na tej samej stopie, co z innymi swymi *protéges**. Zbliżała się często do nich, gawędziła, z nimi i służyła Rosjance, nie znającej żadnego obcego języka, za tłumacza.

Kitty zaczęła jeszcze usilniej błagać matkę, by pozwoliła

* *Proteges* — protegowani

jej nawiązać znajomość z Warieńką. I jakkolwiek księżnej było trochę nieprzyjemnie pierwszej okazać chęć poznania pani Stahl, która pozwalała sobie na jakieś fomy, zasięgnęła jednak wiadomości o Warieńce. Doszedłszy na podstawie szczegółów do przekonania, że w tej znajomości nie może być nic złego, choć i nic specjalnie dobrego, sama zbliżyła się do Warieńki, by zawrzeć z nią znajomość.

Upatrzwszy chwilę, kiedy córka poszła do źródła, a Warieńką zatrzymała się przy sklepie z pieczywem, księżna podeszła do niej.

— Pozwoli pani, że się jej przedstawię — rzekła ze swym pełnym dostojeństwem uśmiechem. — Moja córka jest w pani wprost zakochana. Pani z pewnością nie zna mnie.. Jestem...

— Sympatia ta jest więcej niż wzajemna, proszę księżnej — odpowiedziała skwapliwie Warieńką.

— Jakie dobrodziejstwo wyświadczyła pani wczoraj naszemu nieszczęsnemu rodakowi! — mówiła dalej księżna, Warieńką zarumieniała się.

— Nie przypominam sobie. Zdaje się, że nie zrobiłam nic takiego — odparła.

— Jak to, przecie pani uchroniła tego pana Lewina od nieprzyjemności.

— Ach, księżna o nim mówi... *Sa compagne* zawołała mnie, a ja postarałam się go uspokoić. To bardzo chory człowiek. Był niezadowolony z doktora. Przywykłam opiekować się chorymi tego rodzaju.

— Tak, słyszałam, że pani mieszka w Mentonie ze swoją ciotką, m-me Stahl, zdaje się... Znałam jej *belle-soeur*...

— Ona nie jest moją ciotką. Nazywam ją *maman*, chociaż nie ma między nami żadnego pokrewieństwa. Pani Stahl mnie wychowała — odpowiedziała Warieńka rumieniając się znowu.

Wszystko to mówiła z taką prostotą, szczerą i otwartą

wyraz jej twarzy był tak sympatyczny, że księżna zrozumiała, dlaczego Kitty polubiła tę Warieńkę.

— A cóż będzie z tym Lewinem? — zapytała.

— Pan Lewin wyjeżdża.

W tej chwili wróciła od źródła Kitty, rozpromieniona z radości, że matka rozmawia z jej nieznaną sympatią.

— Widzisz, Kitty, twoja gorąca chęć poznania m—lle...

— Warieńki — z uśmiechem wtrąciła tamta — wszyscy mnie tak nazywają.

Kitty zarumieniła się z radości i długo w milczeniu ścisnęła dłoń swej nowej przyjaciółki. Dłoń ta nie odwzajemniała uścisku i spoczywała nieruchomo w ręce Kitty, — ale podczas gdy dłoń pozostała bierna, twarz m—lle Warieńki opromieniła się spokojnym, radosnym, choć nieco smutnym uśmiechem, który odsłaniał jej wprawdzie duże, ale śliczne zęby.

— I ja od dawna tego pragnęłam — rzekła.

— Ale pani jest taka zajęta...

— Ach, przeciwnie... nie jestem niczym zajęta — zaprotestowała Warieńka, musiała jednak zaraz opuścić swe nowe znajome, bowiem biegły ku niej dwie dziewczynki, córeczki jednego z rosyjskich kuracjuszy.

— Warieńka, mama cię woła!

I Warieńka poszła za nimi.

XXXII

Szczegóły, których księżna dowiedziała się o pochodzeniu Warieńki, o jej stosunku do madame Stahl oraz o samej madame Stahl, były następujące:

Madame Stahl, o której jedni powiadali, że maltretowała swego męża, a drudzy, że to on ją zadręczał swym

niemoralnym żydem, była zawsze chorowita i egzaltowana. Gdy już po rozejściu się z mężem powiła pierwsze dziecko i gdy dziecko to natychmiast po urodzeniu umarło, krewni, znając jej wrażliwość i obawiając się, że ta wiadomość może ją zabić, zamienili dziecko, kładąc na jego miejsce córeczkę nadwornego kucharza, która tej samej nocy urodziła się w tym samym domu w Petersburgu. Była to właśnie Warieńka. Madame Stahl dowiedziała się z biegiem czasu, że dziewczynka nie jest jej córką, lecz wychowywała ją nadal, zwłaszcza że wkrótce potem cała rodzina Warieńki wymarła.

Od dziesięciu przeszło lat madame Stahl mieszkała bez przerwy za granicą, na południu, nie opuszczając nigdy łóżka. Byli tacy, co mówili, że madame Stahl zdobyła sobie — w towarzystwie stanowisko, jako osoba pełna cnót i wysoce religijna; inni dowodzili, że istotnie jest kobietą o wysokim poziomie duchowym, za jaką uchodzi, że żyje wyłącznie dla dobra bliźnich. Nikt nie wiedział, jaką wyznawała religię: katolicką, protestancką, czy też prawosławną. Jedno tylko było pewne — to, że utrzymywała bliskie stosunki z najwyższymi osobistościami wszystkich kościołów i wyznań.

Warieńka przebywała z nią stale za granicą i każdy, kto znał madame Stahl, znał i lubił m—lle Warieńkę, jak ją ogólnie nazywano.

Po zebraniu tych wszystkich informacji księżna nie znalazła nic zdrożnego w znajomości córki z Warieńką, tym bardziej że ta miała doskonałe maniere i odebrała staranne wychowanie, mówiła świetnie po francusku i po angielsku, a nade wszystko — ponieważ wyraziła jej z polecenia pani Stahl ubolewanie, że choroba pozbawia jej opiekunkę przyjemności zapoznania się z księżną. Po zawarciu znajomości z Warieńką Kitty była coraz bardziej pod jej urokiem i co dzień znajdowała w niej nowe zalety.

Księżna dowiedziawszy się, że przyjaciółka jej córki ładnie śpiewa, zaprosiła ją, by przyszła im coś zaśpiewać wieczorem.

— Kitty grywa, mamy nawet fortepian, co prawda nieszczególny, ale pani w każdym razie sprawi nam ogromną przyjemność — mówiła księżna ze swym sztucznym uśmiechem, który był w tym wypadku szczególnie przykry dla Kitty, zauważyła bowiem, że Warieńka wcale nie ma ochoty śpiewać. Przyszła jednak wieczorem i przyniosła ze sobą zeszyt z nutami. Księżna zaprosiła także panią Rtiszczew z córką oraz pułkownika.

Warieńka przyjęła obecność nieznanym osobom z całkowitą obojętnością i podeszła natychmiast do fortepianu. Nie umiała sama sobie akompaniować, lecz biegle śpiewała z nut. Akompaniowała jej Kitty, która dobrze grała. — Ależ pani ma niezwykły talent — rzekła księżna, „gdy Warieńka prześlicznie odśpiewała pierwszą pieśń.

Pani Rtiszczew i jej córka chwaliły również Warieńkę i gorąco dziękowały.

— Niech pani spojrzysz — zauważył pułkownik wyjrawszy oknem — ile osób zebrało się, żeby posłuchać pani śpiewu. — Istotnie, pod oknami stała spora gromadka słuchaczy.

— Bardzo się cieszę, że sprawiłam państwu przyjemność — z prostotą odpowiedziała Warieńka.

Kitty była dumna z nowej przyjaciółki. Zachwycała się jej artyzmem, jej głosem, jej powierzchownością, najbardziej jednak całym jej zachowaniem i tym, że Warieńka najwidoczniej nie przywiązywała żadnej wagi do swego śpiewu i była zupełnie obojętna na pochwały; Zdawała się jakby tylko zapytywać: czy mam jeszcze śpiewać, czy też może już będzie dosyć?

„Gdybym to ja była na jej miejscu — medytowała Kitty —

jakżebym była dumna! Jakbym się cieszyła widząc ten tłum pod oknami! A ją to absolutnie nic nie obchodzi i kieruje nią jedynie chęć zrobienia przyjemności *maman*, inaczej by w ogóle odmówiła. I co ona ma w sobie takiego? Skąd bierze tyle siły, aby o nic nie dbać, być spokojną i niezależną? Jakżebym chciała dowiedzieć się, na czym to polega, i nauczyć się tego od niej” — myślała wpatrując się w jej spokojną twarz. Księżna poprosiła Warieńkę, aby jeszcze coś zaśpiewała, i ta, stojąc wyprostowana przy fortepianie i wybijając na nim takt swą chudą, śniadą ręką, odśpiewała drugą pieśń, tak samo pewnie, wyraźnie i pięknie jak pierwszą.

Kancona włoska była następnym utworem w zeszycie. Kitty odegrała wstęp i obejrzała się na przyjaciółkę”.

— Może byśmy to opuścili — zaproponowała Warieńka rumieniąc się.

Zalęknione i pytające spojrzenie Kitty zatrzymało się badawczo na jej twarzy.

— Dobrze weźmy co innego — odpowiedziała prędko, przewracając kartki, domyśliła się bowiem od razu, że z pieśnią tą związane jest jakieś wspomnienie.

— Nie — Warieńka przytrzymała z uśmiechem nuty — nie, zaśpiewajmy także i to. — I równie pięknie, chłodno i spokojnie jak poprzednio odśpiewała włoską pieśń.

Gdy skończyła, wszyscy znów jej dziękowali; wreszcie udali się na herbatę, a Kitty z Warieńką wyszły przed dom do ogródka.

— Z tą piosenką łączy się dla pani jakieś wspomnienie, prawda? — zagadnęła Kitty. — Niech pani nie mówi jakie — prędko dodała — niech pani powie tylko, czy prawda?

— Dlaczegoż bym nie miała powiedzieć? Owszem, powiem — odrzekła Warieńka i nie czekając na zachętę

dodała: — tak, i to wspomnienie było niegdyś bardzo bolesne. Kochałam kogoś i śpiewałam mu to.

Kitty w milczeniu, z rozrzewnieniem popatrzała na Warieńkę szeroko otwartymi oczyma.

— Kochałam go i on mnie również kochał, ale jego matka nie zgodziła się na to małżeństwo, i ożenił się z inną. Teraz mieszka niedaleko od nas i czasem go spotykam. Pani nie przypuszczała, że w moim życiu także była jakaś miłość? — zapytała Warieńka i w jej pięknej twarzy ledwo zatlił się płomyk, który — Kitty to wyczuła — opromieniał ją niegdyś całą.

— Jak to, nie przypuszczałam?! Gdybym była mężczyzną, to poznawszy panią nie mogłabym już kochać innej. Nie rozumiem tylko, jak on mógł dla dogodzenia matce zapomnieć o pani i unieszczęśliwić panią. Nie miał chyba serca!

— Ach, nie! To bardzo dobry człowiek, a ja nie jestem bynajmniej nieszczęśliwa, przeciwnie — jestem szczęśliwa. Więc nie będziemy już dzisiaj więcej śpiewały? — dodała po chwili, zdążając ku domowi.

— Jaka pani urocza! Jaka pani urocza — zawołała Kitty przystając i całując przyjaciółkę. — Ach, gdybym choć trochę była do pani podobna!

— Dlaczego by pani miała być do kogoś podobna? Tak, jak jest, jest dobrze — łagodnie, ze znużonym uśmiechem odparła Warieńka.

— Ależ nie, wcale nie jestem dobra. Niechże mi pani powie. Niech pani zaczeka: posiedzmy sobie jeszcze trochę — prosiła Kitty sadowiąc ją znów obok siebie na ławce. — Niech pani powie, czy to nie jest obrażające, że ktoś zlekceważył pani miłość, że nie chciał...

— Ależ on wcale nie zlekceważył. Wierzę, że mnie

kochał, ale był uległym synem.

— Tak, lecz gdyby postąpił z panią w ten sposób nie na życzenie matki, ale z własnej woli... — mówiła Kitty czując, że zdradziła swą tajemnicę i że świadczy o tym jej twarz płonąca rumieńcem wstydu.

— To byłby zły uczynek, takiego człowieka bym nie żałowała — powiedziała Warieńka, która domyśliła się oczywiście, że Kitty ma teraz na myśli już nie ją, lecz siebie.

— A ta zniewaga?! — dopytywała się Kitty. — Wszak zniewagi niepodobna zapomnieć, niepodobna... — tu przypomniała sobie spojrzenie, które rzuciła Wrońskiemu na ostatnim balu, w chwili gdy muzyka przestała grać walca.

— Cóż to za zniewaga? Przecie pani nic złego nie zrobiła!

— Gorzej niż coś złego, coś, czego się wstydzę! Warieńka przecząco potrząsnęła głową i położyła dłoń na ręce Kitty.

— Jakież to wstyd? — spytała. — Przecież pani oczywiście nie powiedziała człowiekowi, któremu pani była obojętna, że go pani kocha?

— Oczywiście, że nie. Nigdy mu nie powiedziałam ani słowa, ale on i tak o tym wiedział. Nie, nie, bywają spojrzenia, całe zachowanie... Choćbym żyła sto lat, nigdy tego nie zapomnę.

— I cóż stąd? Nie rozumiem. Chodzi tylko o to, czy pani go jeszcze kocha, czy też nie — rzekła Warieńka: nazywając rzeczy po imieniu.

— Nienawidzę go! Nie mogą sobie darować...

— Czego nie może pani darować?

— Wstydu, zniewagi...

— Mój Boże, gdyby wszyscy byli tacy przeczuleni! Niema przecież ani jednej panny, która by czegoś podobnego nie doświadczyła. A zresztą, to wszystko jest takie błahe....

— A cóż jest ważne? — Kitty ze zdumieniem i

ciekawością wpatrywała się w mówiącą.

— Ach, bardzo wiele rzeczy — odparła tamta z uśmiechem.

— A więc co na przykład?

— Ach, bardzo wiele ważniejszych rzeczy — Warieńka nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. W tej chwili rozległ się z okna głos księżnej:

— Kitty, chłodno już! Albo weź szal, albo wracaj do pokoju.

— Prawda, już czas! — rzekła Warieńka wstając. — Muszę jeszcze wstąpić do m-me Berthe; bardzo mnie o to prosiła.

Kitty trzymała ją za rękę i wpatrywała się w nią błagalnie, z namiętną ciekawością, jakby zapytując: „Więc: cóż jest to najważniejsze, co daje taki spokój? Pani to wie, niechże mi więc pani powie!” — lecz Warieńka nie domyślała się nawet, o co ją błaga spojrzenie Kitty. Pamiętała tylko, że ma być jeszcze u m-me Berthe, a potem musi zdążyć do domu, na herbatę u *maman*, na godzinę dwunastą. Wróciła do pokoju, pozbierała swoje nuty i pożegnawszy się ze wszystkimi skierowała się ku wyjściu.

— Pani pozwoli, że panią odprowadzę — rzekł pułkownik.

— Naturalnie, jakżeby pani mogła wracać sama po nocy! — dodała księżna. — Poślę z panią przynajmniej, Paraszę.

Kitty wiedziała, że Warieńka na wzmiankę o konieczności odprowadzenia jej ledwo mogła powstrzymać uśmiech.

— Ależ nie, zawsze wracam sama i nigdy mi się nie złego nie przytrafia — oświadczyła wkładając kapelusz.

Ucałowała jeszcze raz Kitty i nie powiedziawszy jej, co mianowicie jest w życiu ważne, śmiałym krokiem znikła z nutami pod pachą w półmroku letniej nocy unosząc ze sobą tajemnicę, co jest ważne i co jej daje ten zazdrości godny

spokój i równowagę.

XXXIII

Kitty poznała również panią Stahl i ta znajomość, w połączeniu z przyjaźnią dla Warieńki, nie tylko wywarła na nią ogromny wpływ, ale pocieszała ją w jej strapieniu. Znalazła pociechę, ponieważ dzięki owej znajomości otworzył się przed nią świat zupełnie nowy, nie mający nic wspólnego z jej przeszłością, świat piękny i wzniosły, z którego wyżyn można było spokojnie spoglądać na tę przeszłość. Zrobiła odkrycie, że poza życiem instynktownym, którym dotychczas żyła, istniało życie duchowe. Klucz do tego życia dawała religia, ale religia nie mająca nic wspólnego z tą, którą Kitty znała od dzieciństwa, a która polegała na bywaniu na porannych i wieczornych nabożeństwach w Przytulisku*, gdzie można było spotkać znajomych, i na uczeniu się na pamięć, pod kierownictwem popa, starosłowiańskich tekstów. Była to religia wzniosła, tajemnicza, związana z całym szeregiem pięknych myśli i uczuć, religia, w którą nie tylko można było wierzyć dlatego, że wierzyć kazano, ale którą można było kochać.

Kitty dowiedziała się o tym wszystkim, choć nikt tego przed nią w słowach nie wyraził. Madame Stahl rozmawiała z nią jak z miłym dzieckiem, na które patrzy się z upodobaniem, przypominając sobie własną młodość, i raz jedynie napomknęła, że we wszelkich ludzkich strapieniach pociechę dają tylko miłość i wiara, bo dla Chrystusowego miłosierdzia nie ma zmartwień błahych, po czym zaraz zmieniła temat rozmowy. Ale w każdym ruchu, w każdym słowie, w każdym niebiańskim, jak je nazywała Kitty,

* Przytulisko — mowa o założonych w początku XIX w. W Petersburgu i w Moskwie przytułkach dla wdów po urzędnikach państwowych

spojrzeniu pani Stahl, zwłaszcza zaś w całej historii jej życia, której dowiedziała się od Warieńki, słowem, we wszystkim — rozpoznawała to, „co jest ważne”, a o czym dotychczas nie wiedziała.

Chociaż charakter madame Stahl był niewątpliwie bardzo szlachetny, dzieje życia jej wyjątkowo wzruszające, a mowa wzniosła i tkliwa, Kitty jednak mimo woli spostrzegła w niej pewne rysy, które ją stropiły. Madame Stahl na przykład, wypytując kiedyś Kitty o jej krewnych, uśmiechnęła się wzgardliwie, co było sprzeczne z zasadą dobroci chrześcijańskiej. Zauważyła również, że gdy zastała raz u niej katolickiego księdza, madame Stahl starannie ukrywała twarz w cieniu abażuru i uśmiechała się jakoś osobliwie. Jakkolwiek oba te spostrzeżenia były zupełnie błahe, Kitty stropiła się i powzięła pewne wątpliwości co do madame Stahl. Za to samotna, bez rodziny, bez przyjaciół, zawiedziona w miłości Warieńka, która niczego nie pragnęła i niczego nie żałowała, była skończoną doskonałością, czymś, o czym Kitty mogła tylko marzyć. Przykład Warieńki przekonał ją, że wystarczy zapomnieć o sobie i kochać bliźnich, by osiągnąć spokój, szczęście i piękno. Taką Kitty właśnie być pragnęła i raz zrozumiałwszy, co jest najważniejsze, nie poprzestała na podziwie, lecz natychmiast z całej duszy oddała się temu nowemu, otwierającemu się przed nią życiu. Podług opowiadań Warieńki o postępowaniu madame Stahl i innych osób, które opowiadająca wymieniła, Kitty ułożyła sobie cały plan przyszłego życia. Podobnie jak siostrzenica pani Stahl, Alinę, o której Warieńka wiele jej mówiła, Kitty zamierzała odtąd wyszukiwać wszędzie dokoła siebie nieszczęśliwych, pomagać im w miarę możliwości, rozdawać Pismo święte, czytać Nowy Testament chorym, przestępcom i konającym.

Pociągala ją zwłaszcza myśl o czytaniu zbrodniarzom Nowego Testamentu, tak jak to robiła Aline. Ale wszystko to były skryte marzenia, z których nie zwierzała się ani matce, ani Warieńce.

Zresztą, zanim miał nadejść czas wykonania tych planów na wielką skalę, Kitty już teraz u wód, gdzie tyle było chorych i nieszczęśliwych, łatwo znajdowała okazję do stosowania swych zasad za przykładem Warieńki.

Księżna spostrzegła zrazu tylko, że Kitty znajduje się pod silnym wpływem swego — jak to księżna nazywała — *engouement* dla pani Stahl, a zwłaszcza dla Warieńki. Widziała, że Kitty nie tylko wzoruje się na jej postępowaniu, lecz bezwiednie naśladuje jej ruchy, sposób mówienia, a nawet mrugania oczyma. Następnie jednak spostrzegła, że niezależnie od tego jakby urzeczenia odbywa się — w Kitty poważny przełom wewnętrzny.

Księżna widziała, że Kitty czytuje wieczorami otrzymany od pani Stahl Nowy Testament, czego dawniej nie robiła, że unika swych światowych znajomych, a szuka towarzystwa chorych, będących pod opieką Warieńki, szczególnie zaś niezamożnej rodziny pewnego malarza Pietrowa. Kitty była wyraźnie dumna, że pełni w owej rodzinie funkcje siostry miłosierdzia. Wszystko to było piękne i księżna nie miała nic przeciwko temu, tym bardziej że pani Pietrow była osobą przyzwoitą i że niemiecka księżna, zauważywszy postępowanie Kitty, pochwaliła ją i nazwała aniołem pocieszycielem. Wszystko to byłoby nawet bardzo piękne, gdyby nie przesada. Księżna tymczasem widziała, że Kitty wpada w krańcowość, i zwracała córce na to uwagę.

— *Il ne faut jamais rien outrer** — mawiała.

Córka nic jej nie odpowiadała; myślała tylko w głębi

* *Il ne faut...* — nie należy nigdy w niczym przesadzać.

duszy, że nie może być mowy o przesadzie tam, gdzie chodzi o chrześcijaństwo. Jak można w ogóle mówić o przesadzie w stosowaniu nauki, według której mamy nadstawiać lewy policzek, gdy kto uderzy nas w prawy, i oddawać koszulę temu, kto nam zabrał kaftan? Księżnej wszakże nie podobała się ta przesada, a jeszcze bardziej nie podobało, jej się to, że — jak wyczuwała — Kitty nie chciała jej się szczerze ze wszystkiego zwierzać. Istotnie, Kitty ukrywała przed matką swoje nowe poglądy i uczucia. Ukrywała je nie dlatego, by jej nie szanowała i nie kochała, lecz dlatego właśnie, że to była jej matka. Zwierzyłyby się była każdemu raczej niż matce.

— Jakoś Anna Pawłowna dawno u nas nie była — powiedziała księżna któregoś dnia o pani Pietrow. — Zapraszałam ją, ale wyglądała jakaś niezadowolona.

— Ja nic nie zauważyłam, *maman* — odparła rumieniąc się Kitty.

— Dawno u niej byłaś?

— Wybieramy się jutro razem na przejażdżkę w góry — odpowiedziała Kitty.

— No, to jedźcie — rzekła księżna wpatrując się w zakłopotaną twarz córki i usiłując odgadnąć powód jej zmieszania.

Warienka przyszła dnia tego na obiad i oznajmiła, że pani Pietrow rozmyśliła się i że nie pojedą następnego — dnia w góry. Księżna zauważyła, że Kitty zarumieniła się znowu.

— Kitty, czy miałaś jakieś nieporozumienie z państwem Pietrow? — zaczęła się dopytywać, gdy zostały same. — Czemu ona przestała u nas bywać i przysyłać do nas dzieci?

Kitty odparła, że nic między nimi nie zaszło i że stanowczo nie rozumie, czemu Anna Pawłowna ma jej jakby coś do zarzucenia. Mówiła szczerą prawdę. Nie wiedziała,

dlaczego pani Pietrow zmieniła się w stosunku do niej, ale się domyślała. Tego wszakże powodu, którego się domyślała, nie tylko nie mogła powiedzieć matce, ale nawet samej sobie. Była to jedna z tych rzeczy, o których się wie, ale których nie można wyznać nawet przed sobą, z obawy przed zawstydzającą omyłką.

Wciąż na nowo przesuwiała w pamięci wszystkie fazy swojej znajomości z tą rodziną. Przypominała sobie naiwną radość bijącą z okrągłej, dobrodusznej twarzy Anny Pawłowny przy spotkaniach; przypominała sobie poufne rozmowy o chorym, spiski mające na celu oderwanie go od zabronionej mu przez lekarzy pracy i wyciąganie go na spacer; przypominała sobie przywiązanie młodszego chłopczyka, który ją nazywał „moja Kitty” i który bez niej nie chciał iść spać. Jakie to wszystko było przyjemne! Potem przypominała sobie przeraźliwie chudą postać Pietrowa, jego długą szyję, tabaczkowy surdut, rzadkie kręcone włosy, błękitne, — pytające oczy, które zrazu przejmowały ją lękiem, i jego bolesne usiłowania, by w jej obecności udawać zdrowego i pełnego życia. Przypominała sobie, z jakim wysiłkiem na początku przewyciężała odrazę, którą — podobnie jak wszyscy suchotnicy — budził w niej chory, i z jaką trudnością zawczasu obmyślała, co mu powie. Przypominała sobie to nieśmiałe, rozrzewnione spojrzenie, jakim ją witał, i dziwną mieszaninę współczucia i zakłopotania, a później — poczucia własnej dobroci, które ją przy tym napełniało. Jakie to było przyjemne! Tak było jednak tylko na początku. Teraz, od paru dni, wszystko się nagle popsuło. Anna Pawłowna witała Kitty z udaną uprzejmością i nieustannie obserwowwała ją i męża.

Czyżby właśnie ta wzruszająca radość chorego przy spotkaniach z Kitty była powodem chłodu Anny Pawłowny?

„Istotnie — przypominała sobie Kitty — zrobiła się jakaś sztuczna i to było takie do niej niepodobne, gdy parę dni temu ona, taka zawsze dobra, odezwała się z rozdrażnieniem: «Otóż to właśnie! Wciąż czekał na panią, nie chciał bez pani pić kawy, choć okropnie osłabł.»»,

„A może też było jej przykro, gdy mu wówczas dałam pled? To było coś tak naturalnego, a on to z takim zażenowaniem przyjął, tak długo dziękował, że ja sama poczułam się w końcu niezręcznie. A potem — ten mój portret, który mu się tak udał. A najważniejsze — to spojrzenie nieśmiałe i czułe!... Tak, tak, to prawda! — powtórzyła Kitty ze zgrozą. — Nie, to niepodobieństwo, to być nie może! On jest taki biedny!” — myślała. Wątpliwości te mąciły urok nowego życia.

XXXIV

Przed samym końcem kuracji Kitty powrócił do rodziny książe Szczerbacki, który po Karlsbadzie jeździł do Baden i do Kissingen, do znajomych rodaków, aby zaczerpnąć, jak powiadał, rosyjskiego ducha.

Poglądy księcia i księżnej na życie za granicą były wręcz przeciwne. Księżna zachwycała się wszystkim i mimo swej ustalonej pozycji w towarzystwie rosyjskim, usiłowała za granicą wyglądać na europejską damę. Nie była nią, była rosyjską jaśnie panią — dlatego musiała ciągle udawać, i to ją trochę kępowało. Książe, na odwrót, uważał, że wszystko za granicą jest złe. Życie na modłę europejską ciążyło mu, trzymał się swych rosyjskich przyzwyczajęń i umyślnie starał się za granicą wyglądać mniej na Europejczyka, niż nim w istocie był.

Powrócił szczuplejszy, z obwisłymi workami skóry na

policzkach, lecz w jak najlepszym humorze. Dobry ten humor spotęgował się jeszcze, gdy przekonał się, że Kitty całkiem wyzdrowiała. Wiadomość — o jej przyjaźni z panią Stahl i Warieńką, jak również to, co mu księżna opowiedziała o jakiejś zmianie zaszłej w córce, zaniepokoiły księcia. Obudziła się w nim zwykła zazdrość, jaką zresztą odczuwał w stosunku do wszystkiego, co pociągało córkę, a w czym on nie brał udziału: obawiał się, by nie wymknęła się spod jego wpływu do jakiejś niedostępnej mu strefy. Niemile te nowiny utonęły wszakże w morzu dobrodusznej wesołości, które zawsze miał w sobie i które spotęgowało się jeszcze po karlsbadzkich wodach.

Nazajutrz po przyjeździe księżę, w swym długim palcie, ze swymi charakterystycznie rosyjskimi zmarszczkami i nalanymi policzkami, podpartymi mocno nakrochmalonym kołnierzykiem — w doskonałym humorze wyszedł z córką przejść się po uzdrowisku.

Ranek był piękny. Schludne, wesołe domki z ogródkami, widok rumianych, wesoło pracujących, napojonych do syta piwem niemieckich posługaczek z ich czerwonymi rękami, a do tego jeszcze słońce, radowały serce. Im bardziej jednak zbliżali się do źródła, tym częściej spotykali chorych, których wygląd zdawał się jeszcze bardziej żałosny na tle codziennych warunków dobrze urządzonego niemieckiego życia. Kontrasty te już nie raziły Kitty. Jasne słońce, radosny odbłask zieleni, dźwięki muzyki — były dla niej naturalnym tłem tych wszystkich znajomych twarzy i tych zmian na lepsze czy na gorsze, które dostrzegała u kuracjuszów. Księżciu jednak światło i blask czerwcowego poranka, dźwięki orkiestry grającej wesołego modnego walca, a zwłaszcza widok rozrosłych posługaczek wydawały się czymś nieprzyzwoitym i potwornym wobec tych zebranych

ze wszystkich krańców Europy i wlokących się ze znużeniem truposzów.

Chociaż idąc pod rękę z ukochaną córką doświadczał uczucia dumy i jakby nawrotu młodości, teraz jednak czuł się trochę nieswojo. Wstydził się swych energicznych ruchów, swych wielkich, nalanych tłuszczem rąk i nóg. Czuł się nieomal jak ktoś, kto znalazł się nie ubrany w towarzystwie.

— Przedstawże mnie twoim nowym przyjaciółom — mówił do córki przyciskając łokciem jej rękę. — Polubiłem nawet to twoje paskudne Soden za to, że cię tak postawiło na nogi. Tylko smutno, smutno tu u was. A to kto taki?

Kitty wymieniała mu nazwiska wszystkich znajomych i nieznajomych osób, które spotykali. Przy samym wejściu do ogrodu natknęli się na niewidomą m-me Berthe i jej przewodniczkę i księcia ucieszył zachwyty, jaki odmalował się na twarzy starej Francuzki na sam dźwięk głosu Kitty. Z właściwą Francuzom przesadną uprzejmością m-me Berthe, rozmawiając z księciem, chwalił; go za to, że ma tak uroczą córkę, i wynosiła Kitty pod niebiosa nazywając ją skarbem, perłą i aniołem pocieszycielem.

— No więc jest ona w każdym razie aniołem numer drugi — rzekł książę z uśmiechem. — Bo moja córka nazywa aniołem numer pierwszy m-lle Warieńkę.

— Och! m-lle Warieńka to istotnie prawdziwy anioł — *allez!* — potwierdziła Francuzka.

W pawilonie u źródła spotkali samą Warieńkę. Szła szybko ku nim, niosąc wykwinny czerwony woreczek.

— Papa nareszcie przyjechał! — zawołała do niej Kitty. Warienka, z właściwą sobie prostotą i naturalnością,

uczyniła ruch pośredni pomiędzy ukłonem a dygiem i od razu zaczęła rozmawiać z księciem, jak rozmawiała ze

* *Allez!* — tu: co tu gadać!

wszystkimi, swobodnie i bez przymusu.

— Ma się rozumieć, że znam panią, nawet dobrze znam — odezwał się książę z uśmiechem, z którego Kitty z radością poznała, że przyjaciółka podoba się ojcu. — Dokąd to pani tak śpieszy?

— *Maman* jest tutaj — wyjaśniła Warieńka zwracając się do Kitty. — Całą noc dzisiaj nie spała i lekarz radził jej wyjechać na spacer. Niosę jej robótkę.

— Więc to jest anioł numer pierwszy? — rzekł książę, gdy się oddaliła.

Kitty wyczuła, że ojciec ma ochotę zakpić trochę z Warieńki, lecz że mu się to w żaden sposób nie udaje, gdyż poczuł do niej sympatię.

— No, więc zobaczymy wszystkich twoich przyjaciół — dodał książę — a nawet i madame Stahl, jeśli mnie raczy sobie przypomnieć.

— A czy ty ją znałeś dawniej, papo? — zagadnęła Kitty widząc ze strachem, że przy tym nazwisku w oczach księcia błysnęła iskierka złości.

— Znałem jej męża i trochę ją samą, zanim jeszcze zapisała się do pietystek.

— Papo, co to znaczy pietystka? — zapytała Kitty, przerażona, że to, co ona tak bardzo podziwia w pani Stahl, ma jakąś nazwę.

— Sam dobrze nie wiem. Wiem tylko, że ona za wszystko dziękuje Bogu, nawet za każde nieszczęście. Więc i za to, że jej mąż umarł, Bogu dziękuje, i to właśnie śmiesznie wypada, ponieważ źle ze sobą żyli. A to kto taki? Jakaż on ma żalowaną minę! „ — wykrzyknął książę na widok siedzącego na ławce niepozornego kuracjusza w tabaczkowym paltocie i białych spodniach, które na jego pozbawionych mięśni nogach układały się w dziwaczne fałdy.

Pan ów uklonił się odsłaniając kędzierzawe rzadkie włosy i wysokie czoło, nienaturalnie zaczerwienione od ucisku słomkowego kapelusza.

— To pan Pietrow, malarz — poinformowała Kitty ojca rumieniać się. — A to jego żona — dodała wskazując Annę Pawłównę, która na ich widok jak gdyby umyślnie podążyła za dzieckiem biegającym po alei.

— Jakiż on nieszczęsny, a jaką ma sympatyczną twarz! — orzekł książę. — Czemu do niego nie podeszłaś? Chciał ci coś powiedzieć.

— Więc chodźmy! — rzekła Kitty z determinacją, zawracając w stronę chorego. — Jak się pan dzisiaj czuje? — spytała Pietrowa.

Pietrow wstał opierając się na lasce i spojrzał nieśmiało na księcia.

— To moja córka — rzekł książę. — Pan pozwoli, że się przedstawię.

Malarz skłonił się odsłaniając w uśmiechu dziwnie błyszczące białe zęby.

— Czekaliśmy wczoraj na panią, księżniczko!

To mówiąc zachwiał się, ale natychmiast powtórzył ten ruch udając, że zrobił to naumyślnie.

— Miałam zamiar przyjść, ale Warieńka uprzedziła mnie z polecenia pani Pietrow, że państwo nie pojedą.

— Jak to, że nie pojedziemy? — zaczerwienił się Pietrow i kaszląc szukał żony oczyma. — Aneto! Aneto! — zawołał głośno i na jego cienkiej, białej szyi wystąpiły żyły jak postronki. Anna Pawłowna zbliżyła się.

— To ty zawiadomiłaś księżniczkę, że nie pojedziemy? — nie mogąc dobyć głosu wyszeptał zirytowany Pietrow.

— Dzień dobry, księżniczko! — rzekła Anna Pawłowna z wymuszonym uśmiechem, tak niepodobnym do dawnego jej

sposobu bycia. — Bardzo mi przyjemnie poznać księcia — zwróciła się do niego. — Od dawna już spodziewano się księcia.

— Jaks ty mogła zawiadomić księżniczkę, że nie pojedziemy? — ochryplym szeptem powtórzył malarz z jeszcze większą złością, najwidoczniej coraz bardziej rozdrażniony tym, że głos mu odmawia posłuszeństwa i że nie może nadać swoim słowom zamierzonego wyrazu.

— Ach, mój Boże! Sądziłam, że nie pojedziemy — odparła żona z niechęcią..

— Jakże to, kiedy właśnie... — Pietrow znów zaniósł się kaszlem i machnął ręką, zniechęcony.

Księżę uchylił kapelusza i poszedł z córką dalej.

— Och! — westchnął ciężko — och, cóż za nieszczęśliwi ludzie!...

— O tak, papo! — zawołała Kitty. — A trzeba ci wiedzieć, że mają troje dzieci, nie trzymają służącej i są prawie bez środków do życia. On dostaje coś z Akademii — opowiadała szybko, starając się ukryć zdenerwowanie wywołane dziwną zmianą stosunku Anny Pawłowny do niej.

— A oto i madame Stahl — powiedziała wskazując wózek, w którym pod parasolką, ubrane szaro i niebiesko, leżało coś obłożonego poduszkami. Była to pani Stahl. Za nią stał ponury, rosły posługacz Niemiec, który woził chorą, a obok wózka — wysoki blondyn, szwedzki hrabia, którego nazwisko Kitty wymieniła ojcu. Kilku przechodzących kuracjuszków przystanęło, gapiąc się na chorą damę jak na coś niezwykłego.

Księżę zbliżył się do leżącej i Kitty natychmiast zauważyła w jego oczach niepokojącą iskrę ironii. Podszedł do madame Stahl i bardzo uprzejmie i grzecznie wszczął z nią rozmowę, posługując się tą nieskazitelną francuszczyzną, jaką obecnie

władają już tylko bardzo nieliczni.

— Nie wiem, czy raczy mnie pani pamiętać. Pozwalam sobie przypomnieć się pani i podziękować za dobroć dla mojej córki — rzekł zdejmując kapelusz i trzymając go w ręku.

— Książę Aleksander Szczerbacki, nieprawdaż — rzekła madame Stahl podnosząc na księcia swe niebiańskie oczy, w których Kitty dostrzegła teraz odcień niezadowolenia. — Bardzo się cieszę. Polubiłam córkę księcia!

— A ze zdrowiem pani wciąż kiepsko?

— Tak... Przyzwyczyłam się już do tego — odparła madame Stahl i zapoznała księcia ze szwedzkim hrabią.

— Pani się bardzo niewiele zmieniła — rzekł Szczerbacki. — Nie miałem zaszczytu widzieć pani dziesięć czy jedenaście lat.

— Tak, Bóg zsyła nam krzyż, a wraz z nim daje siły, by go dźwigać. Nieraz człowiek dziwi się, po co wlecze jeszcze to życie. Z tamtej strony! — zwróciła się niecierpliwie do Warienki, otulającej jej nogi pledem nie tak, jak było trzeba.

— Zapewne, aby spełniać dobre uczynki — zauważył książę z uśmiechem w oczach.

— Nie nam o tym sądzić — rzuciła pani Stahl spostrzegając na twarzy księcia odcień ironii. — Więc przyśle mi pan tę książkę, drogi panie? Bardzo panu dziękuję — zwróciła się do młodego Szweda.

— A! — zawołał Szczerbacki i powitawszy pułkownika z Moskwy, który przystanął obok nich, uklonił się pani Stahl, po czym w towarzystwie córki i pułkownika poszedł dalej.

— Oto nasza arystokracja! — rzekł pułkownik. Usiłował powiedzieć to ironicznie, gdyż miał urazę do pani Stahl o to, że nie należał do jej znajomych.

— Zawsze ta sama — zauważył książę.

— To księżę znał ją jeszcze, zanim obłożnie zachorowała?

— Tak. Stało się to za moich czasów.

— Powiadają, że od dziesięciu lat już nie wstaje...

— Nie wstaje, ponieważ ma za krótkie nogi. Jest bardzo źle zbudowana...

— Papo, to niemożliwe! — zawołała Kitty.

— Tak mówią złe języki, moje dziecko. A twoja Warieńka dobrze od niej obrywa — dodał po chwili. — Ach, te chore damy!

— O nie, papo! — sprzeciwiła się gorąco Kitty. — Warieńka ją ubóstwia. Zresztą pani Stahl robi tyle dobrego! Zapytaj, kogo chcesz. Ją i Alinę Stahl wszyscy znają.

— Być może — powiedział księżę przyciskając łokciem rękę córki. — Zawsze jednak jest lepiej, gdy się dobrze czyni w taki sposób, by — kogokolwiek o to spytać — nikt o tym nie wiedział.

Kitty zamilkła nie dlatego, że nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale ponieważ nawet ojcu nie chciała wyznać swych utajonych myśli. Jednak, rzecz dziwna, choć była zdecydowana nie poddać się zdaniu ojca i nie dopuszczać go do swych świętości, poczuła, że ten niemal boski obraz pani Stahl, jaki przez cały miesiąc nosiła w sercu, znikł bezpowrotnie. Tak znika zarys postaci, którą wyobraźnia upatruje w niedbale rzuconej sukni, skoro sobie uświadomimy, że suknia tylko tak się układa. Z jej rojeń pozostała jedynie kobieta o zbyt krótkich nogach, która nie wstaje tylko dlatego, że ma brzydką figurę, i która zadrecza bezbronną Warieńkę za niezręczne okrywanie ją pledem.

I żadne wysiłki wyobraźni nie mogły na nowo przywrócić dawnej madame Stahl.

XXXV

Dobry humor księcia udzielił się wszystkim domownikom, znajomym, a nawet Niemcowi, właścicielowi mieszkania odnajmowanego przez Szczerbackich.

Po powrocie wraz z Kitty od źródła, gdzie zaprosił na kawę pułkownika, panią Rtiszczew i Warieńkę, książę kazał wynieść stół i krzesła do ogródka i nakryć do śniadania pod kasztanem. Wesołość pana domu udzieliła się i gospodarzowi — Niemcowi, i całej służbie, która знаła hojność księcia. W pół godziny później chory doktor z Hamburga, mieszkający na piętrze, z zazdrością przypatrywał się przez okno wesołej kompanii zdrowych Rosjan, zgromadzonej pod kasztanem. Pod drgającym cieniem liści, tworzącym kółeczka, przy stole nakrytym białym obrusem — na którym stał imbryk z kawą, chleb, masło, ser, zwierzyna na zimno — siedziała księżna w stroiku ze wstążkami lila na głowie, rozdając filiżanki i chleb z masłem. Przy drugim końcu książę smacznie zajadając rozmawiał głośno i wesoło. Rozłożył dokoła siebie swoje zakupy: rzeźbione pudełeczka, kardynały*, najrozmaitszych kształtów noże do przecinania kartek, których moc zakupił w różnych uzdrowiskach. Rozdawał je teraz wszystkim, nie wyłączając służącej Lieschen i gospodarza willi, z którym nieustannie dowcipkował w swej zabawnej, kiepskiej niemczyźnie, zapewniając go, że Kitty wyleczyło nie picie wód, lecz doskonałe potrawy z jego kuchni, a zwłaszcza zupa z suszonymi śliwkami. Księżna podżartowywała z lekka z rosyjskich manier męża, ale była wesoła i tak ożywiona, jak jeszcze ani razu przez cały czas pobytu u wód. Pułkownik, jak zwykle, przyjmował żarty księcia z uśmiechem, ale co do Europy, którą, jak mu się zdawało, do kładnie poznał —

* Kardynały — rodzaj gry zręcznościowej polegającej na tym, by spośród miniaturowych drewniaków wyciągnąć kolejno haczykiem jedno po drugim

podzielał zdanie księżnej. Poczciwa pani Rtiszczew pokładała się ze śmiechu przy każdym zabawnym słówku, a Warieńka aż osłabła od cichutkiego, lecz zaraźliwego śmiechu, do którego pobudzały ją żarty księcia. Kitty jej jeszcze nigdy takiej nie widziała.

Wszystko to bawiło ją, lecz nie mogła pozbyć się swoich trosk. Nie umiała rozwiązać zagadnienia, które ojciec bezwiednie jej narzucił, patrząc z humorem na jej przyjaciół i na życie, które tak bardzo polubiła. Poza tym trapiła ją zmiana w stosunkach z państwem Pietrow, która zaznaczyła się tego dnia tak wyraźnie i tak nieprzyjemnie. Wszystkim było wesoło, ale Kitty nie mogła brać w tym udziału, i to jeszcze bardziej ją męczyło. Czuła się jak niegdyś w dzieciństwie, gdy ją zamykano za karę w jej pokoju i gdy stamtąd słuchała wesołego śmiechu sióstr.

— I po co nakupiłeś takie mnóstwo tego wszystkiego? — pytała księżna z uśmiechem, podając mężowi filiżankę kawy.

— Człowiek idzie się przejść, mija jakiś sklep, a tu proszę: „*Erlaucht, Exzellenz, Durchlaucht*”*, więc jak powiedzą mi „*Durchlaucht*”, to już nie mogę wytrzymać — i dziesięć talarów przepadło.

— To wszystko tylko z nudów — zauważyła księżna.

— A pewnie, że z nudów, pewnie, że z nudów... Takie nudy, mamusiu, że nie wiadomo, gdzie się podziać.

— Jak można się nudzić! Tyle ciekawych rzeczy dzieje się teraz w Niemczech — rzekła pani Rtiszczew.

— Ależ ja te wszystkie ich ciekawe rzeczy znam: zupę z suszonymi śliwkami znam, kiszkę z grochem znam, wszystko znam.

— Daruje książkę, ale instytucje ich są ciekawe — wtrącił pułkownik.

* *Erlaucht*... — wasza dostojność, ekscelencja, jaśnie oświecony książę.

— Co w nich ciekawego? Wszyscy oni są aż do obrzydliwości zadowoleni: wszystkich zwyciężyli. A z, czego ja mam być zadowolony? Nie zwyciężyłem nikogo, tylko muszę sam sobie buty ściągać i w dodatku wystawiać je sam za drzwi. Rano wstawaj, człowieku, zaraz się ubieraj i idź do salonu pić kiepską herbatę. Nie to, co w domu!... Budzę się bez pośpiechu, zirytuję się na coś, pogderam sobie, rozczmuchnę się, należycie, wszystko obmyślę, nie śpieszę się.

— Ale czas to pieniądz, niech książę o tym nie zapomina — zaoponował pułkownik.

— Co mi tam czas! Bywa, że i cały miesiąc odda się chętnie za pół rubla, a innym razem za żadne skarby nie sprzedałoby się nawet pół godzinki. Prawda, Katia? Coś ty taka markotna?

— Ależ wcale nie, papo.

— A pani dokąd? Niechże pani jeszcze z nami posiedzi — zwrócił się do Warieńki.

— Muszę już iść do domu — odpowiedziała i znów zaniosła się od śmiechu.

Odzyskawszy powagę pożegnała towarzystwo i weszła do willi po kapelusz. Kitty udała się za nią. Już nawet i Warieńka wydawała się jej obecnie inna: nie gorsza, lecz i nie taka, jaką sobie dawniej wyobrażała. — Dawno już się tak nie śmiałam — rzekła Warieńka biorąc parasolkę i torebkę. — Jaki przemiły człowiek z pani ojca!

Kitty milczała.

— Kiedy się zobaczymy? — spytała Warieńka.

— *Maman* miała zamiar iść do państwa Pietrow. Czy pani nie będzie u nich? — Kitty badawczo patrzyła na Warieńkę.

— Owszem, będę — odpowiedziała Warieńka. — Są na wyjezdny, więc przyrzekłam, że pomogę im się pakować.

— To i ja przyjdę.

— Nie trzeba. Po co?

— Dlaczego pani tak mówi? Dlaczego? Dlaczego? — zawołała Kitty patrząc szeroko otwartymi oczyma na Warieńkę i chwytając za parasolkę, by przyjaciółkę zatrzymać. — Nie, niech pani zaczeka... Dlaczego?

— Tak sobie. Ojciec pani przyjechał, a zresztą przy pani oni się krepują.

— Nie, niech mi pani koniecznie powie, czemu pani nie chce, żebym często bywała u państwa Pietrow? Widzę przecie, że pani tego nie chce! Dlaczego?

— Ja tego nie powiedziałam — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Nie, bardzo, bardzo proszą, niech pani powie!

— Czy mam naprawdę wszystko powiedzieć?

— Wszystko, wszystko! Warieńka uśmiechnęła się:

— Nie ma w tym nic osobliwego, tylko to jedno, że Michał Ałeksiejewicz (tak się nazywał malarz) przedtem zamierzał wyjechać wcześniej, a teraz nie chce wyjeżdżać.

— A więc... — nagiła Kitty nachmurzona, wpatrując się w Warieńkę.

— A więc Anna Pawłowna, nie wiedzieć dlaczego powiedziała, że mąż jej nie chce wyjeżdżać, ponieważ pani tutaj bawi. Oczywiście, że to niedorzeczność, ale jednak ostatecznie pokłócili się o panią. A pani wie, jak tego rodzaju chorzy są drażliwi...

Kitty milczała i stawała się coraz bardziej chmurna, a Warieńka mówiła dalej, by ułagodzić ją i uspokoić widząc, że tamta lada chwila wybuchnie, nie wiadomo, potokiem łez czy słów.

— Więc lepiej niechaj pani tam nie chodzi... Pani to przecież rozumie... Niech się pani nie obraża...

— Dobrze mi tak! Dobrze! — zaczęła szybko mówić Kitty wyrrywając Warieńce parasolkę i unikając jej spojrzenia.

Ta miała ochotę uśmiechnąć się patrząc na dziecinny gniew przyjaciółki, ale bała się ją urazić.

— Jak to: dobrze?! Nie rozumiem. .

— Dobrze mi tak, ponieważ wszystko to była z mojej strony tylko obłuda, wszystko było wymyślone, a nie z serca. Co mnie obchodził ten obcy człowiek? I co z tego wynikło! Stałam się powodem kłótni, bo robiłam coś, o co mnie nikt nie prosił. A to dlatego, że wszystko to jest zwykłym udawaniem! Udawaniem! Udawaniem!

— Ależ w jakim celu miałby ktoś coś udawać? — zagadnęła powoli Warieńka.

— Ach, jakie to brzydkie i głupie! Po co mi to wszystko było... To była czysta hipokryzja! — mówiła otwierając i zamykając parasolkę.

— Ależ w jakim celu?!

— Żeby przed ludźmi, przed sobą, przed Bogiem wydawać się lepszą, żeby wszystkich oszukać. Nie, teraz już nie dam się na to złapać! Być złą — owszem, ale przynajmniej nie kłamać, nie być hipokrytką, oszustką!

— Ale kto jest oszustką? — zapytała z wyrzutem Warieńka. — Pani mówi tak, jakby...

Ale Kitty już nie panowała nad sobą i nie dała jej dojść do słowa.

— Ja nie mówię tego o pani, wcale nie o pani. Pani jest doskonałością. Tak, tak, wiem, że pani jest skończoną doskonałością, lecz co ja na to poradzę, że jestem zła! Nie stałoby się nic podobnego, gdybym nie była zła! Więc niech już będę taka, jaka jestem, ale nic nie będę udawała. Co mnie obchodzi pani Pietrow? Niechaj sobie żyją, jak im się podoba, a ją również będę żyła tali, jak chcę. Nie mogę być

inna... I to wszystko jest nie to, co trzeba, nie to...

— Co mianowicie? — Warieńka nie mogła nic zrozumieć.

— Wszystko. Ja mogę żyć tylko sercem, wy zaś życie według prawideł. Ja pokochałam panią ot tak, po prostu, a pani mnie zapewne tylko po to, by mnie pouczać i zbawić.

— Pani jest niesprawiedliwa — rzekła Warieńka.

— Ależ ja o nikim nie mówię nic złego. Mam na myśli tylko siebie.

— Kitty — rozległ się głos księżnej. — Chodź tutaj i pokaż ojcu swoje koraliki.

Kitty z wyniosłą miną wzięła ze stołu pudełeczko z koralikami i nie pogodziwszy się z przyjaciółką, poszła do matki.

— Co ci się stało? Czemu jesteś taka czerwona? — odezwali się ojciec i matka razem.

— Ach, nic — odrzekła Kitty. — Zaraz wrócę — i znów wybiegła.

„Ona pewnie jest tu jeszcze — myślała. — Mój Boże, co ja jej powiem? Co ja narobiłam! Co ja jej nagadałam! Dlaczego ją obraziłam? Co mam teraz począć? Co powiedzieć?”

Warieńka w kapeluszu, z parasolką w ręku, siedziała przy stole i oglądała sprężynę, którą Kitty złamała. Na widok wchodzącej podniosła głowę.

— Warieńko, proszę, proszę mi przebaczyć! — wyszeptała Kitty podchodząc do niej. — Ja już nawet nie pamiętam, co mówiłam. Ja...

— Doprawdy, nie chciałam zrobić pani przykrości — uśmiechnęła się Warieńka.

Pokój został zawarty. Jednak z chwilą przyjazdu ojca zmienił się dla Kitty ten cały świat, w którym dotychczas żyła. Nie wyparła się go, lecz zdała sobie sprawę, że ludziła

się mniemając, iż może się stać tym, czym być chciała. Jakby ocknęła się i uświadomiła sobie, jak trudno bez obłudy i chępliwości utrzymać się na tej wyżynie, na którą pragnęła się wspiać. Odczuła poza tym cały ciężar tego świata smutków, chorób i zgonów, w którym przebywała. Próby przezwyciężenia się, pokochania tego świata wydały się jej zbyt męczące. Zaczęła tęsknić za świeżym powietrzem, za Rosją, Jerguszowem, dokąd, jak wiedziała z listu, Dolly z dziećmi przeniosła się już była na lato.

Sentyment jej dla Warieńki nie osłabł jednak. Żegnając się z nią, bardzo ją prosiła, by przyjechała do nich, gdy wróci do Rosji.

— Przyjadę, kiedy pani wyjdzie za mąż — obiecywała Waria.

— Kiedy ja nigdy nie wyjdę za mąż.

— No, to ja nigdy nie przyjadę.

— W takim razie tylko po to wyjdę za mąż... Ale niech pani pamięta i dotrzyma obietnicy — rzekła Kitty.

Przewidywania domowego lekarza sprawdziły się. Kitty wróciła do domu, do Rosji, zupełnie wyleczona. Nie była już tak beztroska i wesoła jak dawniej, ale zupełnie spokojna. Jej moskiewskie smutki stały się już tylko wspomnieniem.

CZEŚĆ TRZECIA

I

Sergiusz Iwanowicz Koznyszew zamierzał odpocząć po pracy umysłowej i zamiast udać się jak zwykle za granicę, przyjechał w końcu maja do brata na wieś. Był zdania, że życie wiejskie jest najlepsze, i teraz przyjechał, by się nim rozkoszować. Konstanty Lewin bardzo się z tego ucieszył, tym więcej, że tego lata nie spodziewał się już odwiedzin Mikołaja. Wszelako, mimo miłości i szacunku, jakie żywił dla Sergiusza, czuł się z nim nieswojo, gdyż stosunek brata do wsi wprawiał go w zakłopotanie, a nawet był mu niesympatyczny. Dla Konstantego Lewina wieś była miejscem jego życia, miejscem radości, cierpienia i pracy; dla Sergiusza Iwanowicza była z jednej strony wypoczynkiem po pracy, z drugiej — skuteczną odtrutką przeciwko zepsuciu. Odtrutkę tę Sergiusz zażywał z przyjemnością i ze świadomością jej pożytku. Dla Konstantego wieś była dlatego dobra, że stanowiła pole niewątpliwie pożytecznej pracy, dla Sergiusza Iwanowicza — ponieważ na wsi można, a nawet trzeba było nic nie robić. Poza tym Konstantego drażnił również stosunek Sergiusza Iwanowicza do ludu wiejskiego. Sergiusz mawiał, że kocha lud i zna go, często też rozmawiał z chłopami, bez pozy i bez afektacji, a z każdej takiej gawędy wysnuwał ogólne wnioski pochlebne dla ludu, świadczące o tym, że zna ów lud istotnie. Taki stosunek nie podobał się Konstantemu: dla niego lud był tylko głównym uczestnikiem powszechnej pracy. Mimo całego szacunku i przywiązania do ludu, które miał jakby we krwi, zapewne, jak mawiał, wessane z mlekiem mamki, prostej baby — Konstanty, będąc wraz z chłopami również uczestnikiem

ogólnej pracy, czasami odczuwał zachwyty dla siły, łagodności i poczucia sprawiedliwości tych ludzi, czasem zaś, gdy wspólna sprawa wymagała innych zupełnie zalet charakteru, wpadał we wściekłość nad lekkomyślnością, niechlujstwem, pijaństwem i kłamliwością chłopstwa. Gdyby go ktoś zapytał, czy kocha lud, stanowczo nie wiedziałby, co odrzec, kochał go bowiem i nie kochał jednocześnie, tak jak ludzi w ogóle. Oczywiście, jako człowiek dobry, raczej kochał ludzi, niż nie kochał; tak samo było z ludem. Kochać jednak lub nie kochać ludu jako czegoś odrębnego nie mógł po prostu dlatego, że nie tylko stale przebywał z ludem, nie tylko wszystkie jego własne sprawy były związane z ludem, lecz — że uważał także i siebie za jego część. Nie spostrzegał w sobie ani w chłopach żadnych specjalnych zalet ani wad i nie mógł siebie przeciwstawić ludowi. Poza tym chociaż od dawna żył wśród chłopów jako ich pracodawca i rozjemca, a zwłaszcza doradca (chłopi wierzyli mu i przychodzili do niego po radę z odległości nawet czterdziestu wiorst), nie miał jednak żadnej określonej opinii” o chłopach. Na pytanie, czy zna lud, równie trudno byłoby mu odpowiedzieć jak na pytanie, czy lud kocha. Tak samo nie potrafiłby twierdzić, że zna lud, jak — że zna ludzi. Nieustannie obserwował i poznawał wszelkiego rodzaju ludzi, w tej liczbie także i ludzi — chłopów, których uważał za jednostki ciekawe i dodatnie, a ciągle znajdując w nich nowe cechy, zmieniał swoje poprzednie o nich mniemanie i stwarzał sobie nowe. Inaczej — Sergiusz Iwanowicz. Lubił on i chwalił życie wiejskie, jako przeciwieństwo do takiego rodzaju życia, jakiego nie lubił, i podobnie — kochał lud w przeciwieństwie do tej warstwy ludzi, której nie lubił; miał chłopów za jakieś przeciwieństwo do ludzi w ogóle. W jego metodycznym umyśle wyraźnie zarysowały się określone formy ludowego

bytu, po części wywodzące się istotnie wprost z życia chłopów, lecz przede wszystkim wynikające z owej metody przeciwstawiania. Nigdy też nie zmieniał ani swoich poglądów na lud, ani swej dla ludu sympatii.

Kiedy pomiędzy braćmi zachodziły różnice zdań na ten temat, Sergiusz Iwanowicz zawsze był zwycięzcą, dlatego właśnie, że posiadał określone pojęcie o chłopstwie, o jego charakterze, gustach i właściwościach. Konstancy nie miał na to żadnych ustalonych i niezmiennych poglądów, toteż w tych sporach brat potrafił mu zawsze dowieść, że wikła się w sprzecznościach.

Sergiusz Iwanowicz widział w młodszym bracie zacnego chłopca, z sercem na właściwym miejscu (jak mawiał po francusku), którego umysł jednak, chociaż dość bystry, łatwo ulegał przelotnym wrażeniom i dlatego pełen był przeciwieństw. Z pobłażliwością, jaka przystoi starszemu, objaśniał niekiedy bratu właściwe znaczenie rzeczy, dyskutował z nim jednak bez przyjemności, zbyt łatwo bowiem go pokonywał.

Konstancy Lewin uważał Koznyszewa za człowieka o niezwykle rozumie i wykształceniu, szlachetnego w najwyższym znaczeniu tego słowa, uzdolnionego do działalności dla dobra ogółu. W głębi duszy wszakże, im był starszy i im bliżej poznawał Sergiusza, tym częściej zaczynało mu przychodzić do głowy, że ten talent do działania dla dobra ogółu, którego on sam czuł się zupełnie pozbawiony, to nie była bynajmniej zaleta, lecz przeciwnie — jakiś brak. Nie brak dobrych, uczciwych, szlachetnych chęci i upodobań, lecz brak siły życiowej, tego, co się nazywa temperamentem, owego popędu, który skłania człowieka do wybrania spośród niezliczonych otwartych dlań dróg — jednej tylko, jedynie upragnionej. Im bliżej Konstancy

poznawał brata, tym mocniej przekonywał się, że zarówno Sergiusz, jak i wielu innych działaczy, mających na celu dobro ogółu, nie doszli do owej miłości ogółu z popędu serca, lecz rozsądek im poddał, że należy się tym zająć, i dlatego to uczynili. W tym przypuszczeniu umocnił się Konstanty jeszcze bardziej, gdy spostrzegł, że brat bynajmniej nie bierze goręcej do serca dobra ogółu czy nieśmiertelności duszy niż np. partii szachów lub misternego urządzenia nowej maszyny.

Poza tym Konstanty czuł się nieswojo na wsi z bratem jeszcze i dlatego, że w majątku, zwłaszcza latem, był nieustannie zajęty w gospodarstwie i nie starczyło mu nigdy długiego letniego dnia, by wykonać wszystko, co należało. Tymczasem Sergiusz Iwanowicz odpoczywał, a chociaż nie pracował nad żadnym dziełem, tak się przyzwyczaił do nieustannej aktywności umysłowej, że lubił wypowiadać w pięknej, zwężłej formie myśli, które mu się nasuwały, i — lubił mieć słuchaczy. Oczywiście, że tym słuchaczem bywał zazwyczaj młodszy brat. Dlatego, mimo że stosunki ich były z przyjacielska proste, Konstanty czuł się skrepowany, gdy musiał zostawiać brata samego. Sergiusz lubił położyć się w trawie na słońcu i tak leżąc wygrzewać się i leniwie gawędzić.

— Nie uwierzysz — mawiał do brata — jaką rozkoszą jest dla mnie to rozleniwienie. W głowie mam pustkę, ani jednej myśli...

Konstanty Lewin wszakże nudził się siedząc i słuchając Sergiusza Iwanowicza, a nudził się zwłaszcza dlatego, że widział w wyobraźni, jak tam bez niego wożą nawóz na nie dość spulchnione pole i rozrzucają go Bóg wie jak, skoro nikt nie pilnuje. Dobrze wiedział, że nie przykręcą lemieszki w pługach, jak należy i pozdejmują je, a potem powie się, że takie pługi to kiepski wynalazek i że daleko lepsza jest Socha

Andriejewna* itp.

— Dajże pokój, nie łaż tak w sam upał — perswadował Sergiusz.

— Ależ nie, ja tak tylko, na minutkę, wpadnę do kancelarii — tłumaczył się Lewin i uciekał w pole.

II

Zdarzyło się w pierwszych dniach czerwca, że Agafia Michajłowna, niania i gospodyni w jednej osobie, niosąc do piwnicy słoiczek ze świeżo posolonymi własnoręcznie grzybkami, pośliznęła się, upadła, i zwichnęła rękę w przegubie. Przyjechał wezwany natychmiast młody gadatliwy, świeżo upieczony doktor — lekarz ziemstwa — i obejrzał rękę. Orzekłszy, że nie jest zwichnięta, położył kompres i został na obiedzie. W czasie obiadu w sposób widoczny napawał się rozkoszą rozmowy ze sławnym Siergiejem Iwanowiczem Koznyszewem i chcąc wykazać swój światły pogląd na rzeczy opowiadał wszystkie plotki z powiatu, uskarżając się na niezadowolającą działalność ziemstwa. Koznyszew słuchał go uważnie, stawiał szereg pytań i — podniecony obecnością nowego słuchacza — rozgadał się wypowiadając kilka trafnych i ważkich uwag. Młody lekarz ocenił je okazując przy tym należyty szacunek, a wtedy Koznyszew wpadł w dobrze znany Konstantemu nastrój ożywienia, jaki go zwykle ogarniał przy błyskotliwej, interesującej rozmowie. Po wyjeździe doktora Sergiusz, Iwanowicz wyraził chęć pojechania z wędką nad rzekę. Lubił łowić ryby i jakby chlubił się tym, że potrafi lubić tak głupie zajęcia.

Konstanty, który musiał pojechać do orki i na łąki,

* Socha Andriejewna — żartobliwa nazwa ludowa sochy

ofiarował się podwieźć brata kabrioletem.

Była właśnie ta pora roku, przesilenie lata, kiedy urodzaj już jest przesądzony, kiedy rozpoczyna się troska o siewy na rok następny i sianokosy są bliskie, kiedy szarozielone, wykłoszone już zupełnie żyto lekkim, jeszcze niepełnym kłosem faluje na wietrze; kiedy zielone owsy, z porozrzucanymi po nich kępami żółtej trawy, nierówno wschodzą z późnego siewu; kiedy wczesna hreczka już się wybija liściem, tak że ziemi nie widać; kiedy ubite na kamień przez bydło ugory już do połowy są zaorane, oprócz udeptanych na nich dróg, których socha brać nie chce; kiedy wywiezione, przyschłe z wierzchu kupy nawozu zioną o porannej zorzy zapachem pomieszanym z wonią miodowo kwitnących ziół, a po niżach stoją nieprzerwanym morzem, w oczekiwaniu kosy, pilnie ochraniane łąki, z czerniejącymi na nich stosami łodyg wypielonego szczawiu.

Był to czas, kiedy w robotach rolnych następuje krótka przerwa, zanim się zaczną powtarzające się co rok i co rok wymagające wyteżenia wszystkich sił narodu — żniwa. Urodzaj był wspaniały. Trwały jasne, upalne letnie dni z krótkimi, obfitującymi w rosę nocami.

Aby dostać się na łąki, bracia musieli przejechać przez las. Koznyszew podziwiał nieustannie piękność zarosłego gęstwą listowia lasu. Pokazywał bratu to ciemną od strony cienia, pstrą od żółtawych przysadek, lada chwila mającą zakwitnąć starą lipę, to szmaragdowo lśniące tegoroczne pędy innych drzew. Konstany Lewin nie lubił ani mówić, ani słuchać o pielenie przyrody. Słowa dla niego zdzierały piękno z rzeczy, które oglądał. Potakiwał bratu myśląc o czym innym. Skoro tylko las pozostał za nimi, całą jego uwagę pochłoniął widok odłogowego pola na wzgórku. Miejscami było ono żółte od trawy, gdzieniegdzie zbite i pocięte w kratkę, tu i ówdzie

zawalone kupami nawozu; wreszcie były i kawałki zaorane. Po polu sznurem jechały wozy. Lewin policzył je i z zadowoleniem stwierdził, że wywiozą tyle, ile trzeba. Na widok łąk myśli jego zatrzymały się na sianokosie. Sprzęt siana zawsze wywoływał w nim jakieś głębokie poruszenie. Dojechali i Konstanty zatrzymał konia.

U spodu gęstej trawy leżała jeszcze poranna rosa, toteż Sergiusz nie chcąc przemoczyć nóg poprosił brata, by go dowiózł łąką aż do owego krzaku rokity, gdzie tak dobrze brały okonie. Konstanty wjechał na łąkę, choć żał mu było gnieść wysoką trawę, która mięciutko owijała się dokoła nóg końskich i kół, pozostawiając na mokrych szprychach i piastach nasionka.

Koznyszew przygotował wędki i usiadł pod rokita, Konstanty odprowadził nieco konia, przywiązał go i wszedł, w nie poruszane w tej chwili przez wiatr, olbrzymie, szarozielone morze łąki. W miejscach, dokąd sięgał zalew, jedwabista, obciążona dojrzewającym nasieniem trawa sięgała mu do pasa.

Po przejściu łąki w poprzek Lewin wyszedł na drogę, gdzie spotkał chłopca o spuchniętym oku, niosącego rojownicę z pszczołami.

— A co, złapałeś rój, Fomicz? — zapytał.

— Bogać tam złapałem, Konstanty Mitrycz! Żebym tylko swoich dopilnował! Już po raz drugi mi uciekł... Chwała Bogu, że chłopcy konno go dognali. U pana dziedzica orzą właśnie. Odprzęgli konia i dogonili rój.

— No, co powiesz, Fomicz: zaczynać kosić czy jeszcze zaczekać?

— Ano, po naszymu lepiej czekać do Piotra i Pawła. Ale pan dziedzic zawsze wcześniej kosi... Cóż, dzięki Bogu, trawa rośnie dobra. Bydło będzie miało pod dostatkiem.

— A jak tam z pogodą? Jak ci się zdaje?

— Jak Bóg da. Może i będzie pogoda.

Lewin wrócił do brata. Ten nic nie złapał, ale nie nudził się i zdawał się być w jak najlepszym humorze. Konstanty widział, że Sergiusz, rozochocony rozmową z doktorem, miał chęć pogadać; on zaś sam pragnął jak najprędzej wrócić do domu, by zarządzić wezwanie nazajutrz kosiarzy i raz wreszcie rozstrzygnąć własną niepewność co do sianokosu, która go mocno zaprzętała.

— No cóż? Pojedziemy?. — zapytał.

— Dokąd się tak śpieszysz? Zostańmy trochę. Jak ty sobie przemoczyłeś nogi! Chociaż nic nie złowiłem, ale jest tak przyjemnie! Każde polowanie ma tę dobrą stronę, że obcuje się z przyrodą. Ta stalowa woda — jakież to prześliczne! — mówił Sergiusz Iwanowicz. — Te nadbrzeżne łąki zawsze mi przypominają, wiesz, tę zagadkę: trawa powiada wodzie: „Pokołyszmy się, pokołyszmy...”

— Nie znam tej zagadki — odparł Lewin ponuro.

III

Wiesz co — powiedział Sergiusz Iwanowicz — właśnie myślałem o tobie. Sądząc z tego, co mi naopowiadał ten doktorek, to, co się u was w powiecie dzieje, nie ma najmniejszego sensu. Zresztą to całkiem niegłupi chłopak... Mówiłem ci już i jeszcze raz powtarzam: źle robisz, że nie jeździsz na zebrania i żeś się w ogóle od prac ziemstwa usunął. Jeśli porządni ludzie będą się uchylali, oczywiście wszystko pójdzie na opak. My dajemy pieniądze, a te pieniądze idą na urzędników. Tymczasem nie ma szkół, nie ma felczerów, nie ma akuserek ani aptek, ani w ogóle nic.

— Przecież ja próbowałem — cicho i niechętnie odparł

Lewin. — Nie mogę! Cóż ja na to poradzę!

— Czego mianowicie nie możesz? Wyznaję, że tego nie rozumiem. Nie posądzam cię ani o nieumiejętność, ani o obojętność; czyżby to było po prostu lenistwo?

— Ani jedno, ani drugie, ani trzecie. Próbowiałem, ale widzę, że nic nie mogę zrobić — rzekł Lewin.

Nie zagłębiał się zbyt w to, co brat mówił. Na pastwisku za rzeką majaczyło coś czarnego: nie mógł rozróżnić, czy to koń bez jeźdźca, czy rządcą na koniu.

— Czemuż to nie możesz nic zrobić? Próbowaleś, sądzisz, że ci się nie udało, i tak się zaraz poddajesz? Czy nie masz żadnej ambicji?

— Ambicji w ogóle nie uznaję — zawołał Lewin, mocno dotknięty słowami brata. — Gdyby mi powiedziano za lat” studenckich, że inni rozumieją rachunek całkowity, a ja nie, to wtedy mogłaby w grę wchodzić ambicja. Ale tutaj należałoby najpierw mieć przekonanie, że do tych spraw potrzebne są w ogóle jakieś specjalne zdolności, a przede wszystkim — wierzyć, że sprawy te są aż tak ważne.

— Jak to, czyżby wcale nie były ważne?! — oburzył się Sergiusz Iwanowicz, wielce urażony tym, że brat uważał za mało ważne coś, co jego, Koznyszewa, zajmowało, a zwłaszcza tym, że Konstanty najwidoczniej prawie go nie słuchał.

— Dla mnie nie są ważne, nie pociągają mnie. Cóż chcesz! — odrzekł Lewin, który wreszcie rozpoznał, że to, co spostrzegł, to — rządcą, który zapewne zabierał ludzi od orki. Odwracali właśnie sochy. „Czyżby już skończyli?” — pomyślał.

— Ale posłuchaj — ze zmarszczonymi brwiami mówił starszy brat. Twarz miał rozumną i piękną... — wszystko ma swoje granice. Bardzo to ładnie być dziwakiem i szczerym,

nie lubiącym zakłamania człowiekiem, wiem o tym dobrze. A jednak to, co powiedziałaś, albo nie ma wcale sensu, albo świadczy bardzo źle o tobie. Jak to, uważasz za rzecz mało ważną, że ten lud, który ty — jak sam zapewniasz — przecie kochasz...

„Nigdy tego nie twierdziłem” — pomyślał Lewin.

— ...wymiera na skutek braku pomocy?! Nieokrzesane „babki” położne uśmiercają dzieci, chłopstwo kostnieje w ciemnocie i każdy pisarczyk rządzi nim, jak chce, a ty masz w ręku środki, by temu wszystkiemu zaradzić, i nie czynisz tego, bo według ciebie to nie jest ważne?!

I Sergiusz postawił go przed dylematem: albo jest tak niedorozwinięty, że nie jest w stanie dostrzec wszystkiego, co potrafiłby zdziałać, albo po prostu nie chce wyrzec się swego spokoju, swych ambicji i Bóg wie jeszcze czego..

Konstanty czuł, że pozostaje mu tylko ulec albo wyznać, że brak mu umiłowania spraw ogółu. Uraziło go to i sprawiło mu przykrość.

— I jedno, i drugie — rzekł stanowczo. — Nie widzę, aby można było...

— Jak to, nie można odpowiednio rozłożyć wydatków i zorganizować pomocy lekarskiej?

— Mnie się zdaje, że nie można... Nasz powiat ma cztery tysiące wiorst kwadratowych. Przy naszym nagromadzeniu podśnieżnych zastoin, naszych zamieciach, przy naszym rozkładzie prac w polu nie widzę sposobu, by dotrzeć wszędzie z pomocą lekarską. Zresztą ja w ogóle nie wierzę w medycynę.

— Ależ pozwól... To bardzo niesprawiedliwe... Przytoczę ci tysiące przykładów... No, a szkoły?

— Co ty gadasz? Czyż mogą istnieć wątpliwości co do pożytku oświaty? Jeśli dla ciebie jest dobra, to równie dobra

dla każdego!

Konstanty czuł się moralnie przyparty do muru, uniósł się przeto i niechcący wypowiedział główną przyczynę swojej obojętności dla spraw społecznych.

— Możliwe, że to wszystko jest bardzo dobre. Po cóż jednak mam się troszczyć o zorganizowanie punktów porad lekarskich, z których nigdy nie będę korzystał, i szkół, do których ani ja sam moich dzieci nie będę posyłał, ani chłopci swoich posyłać nie chcą? Nie jestem nawet całkiem przekonany, że je tam posyłać należy.

Sergiusza zdziwił w pierwszej chwili ten nieoczekiwany pogląd na sprawę, lecz natychmiast ułożył nowy plan ataku.

Nic nie mówiąc wyjął jedną z wędek, przerzucił ją gdzie indziej i zwrócił się z uśmiechem do brata:

— Ależ pozwól... Po pierwsze, już dziś punkt lekarski się przydał: posyłałiśmy przecież po lekarza z ziemstwa dla Agafii Michajłowny.

— Wiesz, ja myślę, że jej ręka już się nie wyprostuje...

— To jeszcze pytanie... Poza tym, robotnik, umiejący czytać i pisać tobie samemu więcej się przyda i bardziej go będziesz ceniał.

— Co to, to nie — odparł stanowczo Konstanty. — Robotnik umiejący czytać i pisać jest jako pracownik daleko gorszy. A jeśli chodzi o drogi, to naprawić ich nie można, bo gdy tylko porobi się mosty, to natychmiast je porozkradają.

— Zresztą — rzekł chmurnie Sergiusz, nie lubiący sprzeciwów, a zwłaszcza kontrargumentów, które nieustannie zmieniały temat i wprowadzały wciąż nowe, nieprzewidziane wywody, tak że nie wiadomo było, na co właściwie odpowiadać — zresztą, nie o to chodzi. Pozwól więc... Czy zgadzasz się, że oświata jest dla ludu dobrodziejstwem?

— Zgadzam się — potwierdził niespodzianie Konstanty i

natychmiast spostrzegł się, że powiedział nie to, co myśli. Czuł już, że skoro się raz zgodził, to teraz dowiodą mu, że wszystko, co mówił, to głupstwa nie mające żadnego sensu. Jak mu to Sergiusz udowodni, nie wiedział, lecz był przekonany, że nastąpi to zgodnie „z logiką, i czekał tylko na poparte dowodami wyłuszczenie. Proces ów wypadł daleko prościej, niż przewidywał.

— Jeśli uznajesz oświatę ludu za rzecz dobrą — rzekł Sergiusz — to, jako człowiek uczciwy, musisz mieć sympatię i serce dla tej sprawy i nie możesz odmówić swej współpracy.

— Ależ ja dotąd wcale nie uznałem tej sprawy za dobrą — wtrącił czerwieniąc się Konstanty.

— Jak to? Przecież przed chwilą sam powiedziałeś...

— To znaczy — nie uważam jej ani za dobrą, ani za możliwą.

— Skądże możesz o tym wiedzieć, skoroś nie uczynił w tym kierunku żadnego wysiłku.

— No więc, przypuśćmy — powiedział Lewin, chociaż w istocie nic podobnego nie przypuszczał — przypuśćmy, że tak jest, jak ty powiadasz. Nie wiem jednak, dlaczego bym ja miał się o to troszczyć.

— Jak to rozumiesz?

— Bo skorośmy się już o tym rozgadali, to wytłumaczże mi rzecz całą z filozoficznego punktu widzenia.

— Nie pojmuję, co tu ma filozofia do roboty — odparł Sergiusz Iwanowicz, jak się Konstantemu zdawało, takim tonem, jakby nie uznawał prawa młodszego brata do filozoficznych dyskusji. To go rozgniewało.

— Co ma do roboty? — wykrzyknął ożywiając się. — Sądzę, że podniętą we wszystkich naszych działaniach jest bądź co bądź szczęście osobiste. Tymczasem w instytucjach ziemstwa ja, jako szlachcic, nie widzę obecnie nic takiego, co

mogłoby się przyczynić do mojej pomyślności. Drogi nie stały się lepsze, bo to jest niemożliwe do przeprowadzenia, ale moje konie wożą mnie i po tych złych drogach. Doktor i punkty pomocy lekarskiej są mi niepotrzebne, sędzia pokoju również. Nigdy się do niego nie zwracałem i zwracać nie zamierzam. Szkoły nie tylko nie są mi potrzebne, ale raczej, jak ci już wyjaśniłem — szkodliwe. Dla mnie instytucje ziemstwa — to po prostu obowiązek płacenia osiemnastu kopiejek z dziesięciny, jazdy do miasteczka, noclegi z pluskwami. Muszę tam wysłuchiwać rozmaitych głupstw i paskudztw, a nie skłania mnie do tego żaden osobisty interes.

— Pozwól — przerwał z uśmiechem Sergiusz Iwanowicz — żaden osobisty interes nie służył nam jako bodziec, kiedyśmy walczyli o zniesienie pańszczyzny, a jednak byliśmy jego gorliwymi zwolennikami.

— Ależ nie — gorączkował się coraz bardziej Lewin — zniesienie pańszczyzny to była całkiem inna sprawa. Mieliśmy w tym interes osobisty. Chcieliśmy zrzucić to jarzmo, — które dusiło nie tylko chłopów, ale i nas wszystkich, przyzwoitych ludzi... Tymczasem być powiatowym delegatem ziemstwa, dyskutować o tym, ilu potrzeba czyścicieli ustępów i jak przeprowadzić kanalizację w mieście, w którym nie mieszkam, być jednym z przysięgłych, sędzić chłopą, który ukradł szynkę, i przez sześć godzin wysłuchiwać rozmaitych głupstw, jakie plotą prokuratorzy i obrońcy... Słuchać, jak przewodniczący sądu pyta mojego durnego Aloszkę: „Panie podsądny, czy przyznaje się pan do faktu przywłaszczenia sobie szynki?” — „Niby jak?”

Konstanty już odbiegł od tematu, począł naśladować dialog przewodniczącego z durnym Aloszką i zdawało mu się, że to wszystko należy do rzeczy.

Ale Sergiusz Iwanowicz wzruszył ramionami.

— Czego chcesz przez to dowieść?

— Tego, że praw, które dotyczą mnie, moich interesów, będę bronił, ile tylko sił starczy. Kiedy u nas, studentów, zrobiono rewizję i żandarmi czytali nasze listy, byłem gotów za wszelką cenę bronić praw kultury i wolności, moich praw. Rozumiem powinność wojskową, od której zależy los moich dzieci, moich współpracowników i mój własny. Jestem zawsze gotów dyskutować nad tym, co mnie dotyczy: ale omawiać czterdziestotysięczny budżet ziemstwa albo sądzić durnego Aloszkę — nie, tego nie potrafię, na tym się nie znam.

Konstanty mówił, jakby tama się przerwała. Sergiusz uśmiechnął się:

— A jeśli jutro będziesz musiał stawić się do sądu, czy wolałbyś, żeby to był dawny sąd karny?

— Nigdy nie będę się włączył po sądach. Nigdy nikogo nie zarznię — po co mi sądy! Ach, wiesz — ciągnął dalej, znów odbiegając od tematu do sprawy z nim nie związanej — te nasze instytucje ziemstwa i to wszystko przypomina brzoźki, któreśmy wtykali, jak na Zielone Świątki, by naśladować las, który w Europie sam wyrasta. Czy mam wkładać zapał w podlewanie tych brzoźek? Mam w nie wierzyć?

Sergiusz Iwanowicz wzruszył tylko ramionami wyrażając w ten sposób zdumienie, skąd w ich dyskusji znalazły się brzoźki, mimo że zrozumiał od razu, co Konstanty chciał przez to powiedzieć.

— Ależ pozwól, tak nie można rozumować — zauważył. Lecz Konstanty miał teraz ochotę usprawiedliwić się z wady, do której się poczuwał, tj. z obojętności dla dobra ogólnego, ciągnął więc dalej:

— Zdaje mi się, że żadna działalność nie może być trwała,

jeśli nie jest oparta na interesie osobistym. Jest to prawda ogólna, filozoficzna — wygłosił energicznie, jakby chcąc podkreślić, że na równi ze wszystkimi i on także ma prawo powoływać się na filozofię.

Sergiusz Iwanowicz uśmiechnął się znowu. „I ten także ma jakąś filozofię na usługach własnych upodobań” — pomyślał.

— Lepiej już daj spokój filozofii — rzekł. — Przecież od wieków głównym zadaniem filozofii jest właśnie wynalezienie związku istniejącego pomiędzy dobrem ogółu a dobrem jednostki. Ale to jest właściwie nie na temat; bardziej do rzeczy będzie, gdy poprawię twoje porównanie. Brzózki, o które mnie chodzi, nie są bynajmniej powtykane, lecz jedne z nich są posadzone, inne dopiero posiane. Trzeba obchodzić się z nimi delikatniej. Tylko te narody mają przed sobą przyszłość i mogą rościć sobie prawo do miana narodów historycznych, które posiadają instynkt podpowiadający im, co w ich instytucjach jest ważne i istotne, i które o te instytucje dbają.

Tu Koznyszew przeniósł dyskusję w dziedzinę historyczno — filozoficzną, niedostępną dla Konstantego, i na tym terenie dowiódł mu zupełnej niesłuszności jego poglądu.

— Jeśli chodzi o to, że ci się te rzeczy nie podobają — wybac — ale to już jest nasze rosyjskie leniwo i jaśnie — państwo. Pewien jestem, że u ciebie to tylko chwilowa omyłka i że to minie.

Lewin milczał. Czuł, że poniósł porażkę na całej linii, ale czuł przy tym, że to, co usiłował wyrazić, nie zostało zrozumiane. Nie wiedział tylko, dlaczego tak się stało: czy dlatego, że nie umiał wypowiedzieć jasno tego, co myślał, czy też dlatego, że brat nie chciał lub też nie mógł go zrozumieć. Nie zagłębiał się jednak w te myśli i nie replikując bratu począł medytować nad czymś innym,

całkiem osobistym.

Sergiusz tymczasem zwinął ostatnią wędkę, odwiązał konia i pojechali.

IV

Sprawa ściśle osobista, która pochłaniała Lewina w czasie rozmowy z bratem, była następująca: poprzedniego roku pojechał kiedyś na siano — kos i pokłóciwszy się z rządcą użył swego zwykłego środka na uspokojenie: wziął od chłopą kosę i począł kosić.

Kośba tak mu się spodobała, że brał się do niej potem kilka razy. Wykosił cały trawnik przed domem; a w tym roku ułożył sobie plan, że będzie kosił cały czas razem z chłopami. Od chwili przyjazdu brata wahał się — kosić czy nie? Robił sobie skrupuły, że musiałby zostawiać brata samego całymi dniami, a poza tym obawiał się, by Sergiusz nie śmiał się z niego. Kiedy jednak przeszedł się po łące i przypomniał sobie wrażenia z kośby, już prawie postanowił, że pójdzie kosić. Po drażniącej rozmowie z bratem zamiar ów przyszedł mu znowu na myśl.

„Potrzeba mi ruchu, inaczej charakter na nic mi się zepsuje” — pomyślał i postanowił iść na kośbę, choćby to miało wypaść niezręcznie i wobec brata, i wobec chłopów.

Wieczorem Lewin poszedł do kancelarii, wydał dyspozycję co do robót i wysłał umyślonych po wsiach, by sprowadzić na dzień następny kosiarzy na Kalinową łąkę, największą i najlepszą w majątku.

— Proszę też moją kosę posłać Titowi, żeby ją wyklepał i jutro przyniósł. Być może, że ja sam także pójdę kosić — powiedział usiłując pokryć zmieszanie.

Rządca uśmiechnął się i odrzekł:

— Słucham.

Wieczorem przy herbacie Konstanty rzekł do brata:

— Tak wygląda, że pogoda się ustaliła. Jutro zaczynam sianokos.

— Bardzo lubię kosić — zauważył Sergiusz.

— Ja za tym przepadam. Kiedyś już kosiłem razem z kosiarzami i jutro mam zamiar kosić przez cały dzień.

Sergiusz Iwanowicz podniósł głowę i z zaciekawieniem spojrzął na brata.

— Jak to? Razem z kosiarzami? Przez cały dzień?

— Tak. To bardzo przyjemne — rzekł Konstanty.

— To doskonały, zdrowy ruch, ale chyba nie wytrzymasz — zauważył bez wszelkiej ironii Sergiusz Iwanowicz.

— Już próbowałem. Z początku jest bardzo ciężko, ale potem człowiek się wciąga. Myślę, że nie zostanę w tyle...

— No, no! A jak chłopci na to patrzą? Czy nie podkpiwają, że dziedzic dziwaczy?

— Nie, nie sędzę. Zresztą to taka wesoła, a zarazem trudna praca, że nie ma czasu na rozmyślania.

— Ale jakże ty będziesz z nimi jadł obiad? Przecież nie sposób, żebyś kazał tam sobie przysłać Château Laffitte i pieczoną indyczkę.

— Ależ nie. Przyjadę do domu w czasie ich wypoczynku w południe.

Następnego dnia Konstanty Lewin wstał wcześniej niż zwykle, lecz sprawy gospodarskie zatrzymały go nadspodziewanie długo, toteż gdy przyjechał na łąkę, kosiarze cięli już drugi rząd.

Jeszcze z górki widział w dole zacienioną, skoszoną już część łąki z szarym szeregiem kosiarzy i czarnymi pagóreczkami kaftanów pozruczanych na początku pierwszego rzędu skoszonej trawy.

Im bliżej podjeżdżał, tym lepiej mógł rozróżnić kroczących jeden za drugim rozciągniętą linią chłopów, którzy machali kosami na rozmaity sposób. Jedni byli w kaftanach, inni w koszulach. Naliczył czterdziestu dwóch.

Posuwali się wolniutko po nierównej nizinie łąki, tam, gdzie była dawniej tama. Niektórych swoich Lewin rozpoznał. Machał tu kosą stary, przygarbiony Jermił w bardzo długiej białej koszuli. Był młody chłopak, Waśka, który służył dawniej u Lewina jako stangret; ten brał się z rozmachem do każdego rządka. Był i Tit, mentor Lewina w dziedzinie kośby, mały, chuderlawy chłopina; szedł teraz, trzymając się prościutko, na przedzie i siekł swój szeroki rząd, jakby się tylko bawił kosą.

Lewin zsiadł z konia i zostawiwszy go przy drodze zbliżył się do Tita, który wydobył zza krzaka drugą kosę.

— Jest gotowa, panie dziedzicu. Można się nią golić, a kosić będzie sama — rzekł Tit zdejmując z uśmiechem czapkę i podając Lewinowi kosę.

Lewin wziął ją i zaczął oglądać i próbować. Spoceni, weseli kosiarze po skończeniu swego rzędu jęli wychodzić na drogę i śmiejąc się witali dziedzica. Wszyscy nań spoglądali, lecz nikt nic nie mówił, aż stojący na drodze wysoki starzec bez zarostu, o pomarszczonej twarzy, ubrany w półkożuszek, zwrócił się do niego ze słowami:

— No, panie dziedzicu, skoroś się do tej roboty zabrał, uważajże, byś nie zostawał w tyle! — i Lewin postąpił pomiędzy kosiarzami stłumiony śmiech.

— Postaram się nadażyć — odrzekł stając za Titem i czekając na rozpoczęcie kośby.

— Uważajże — powtórzył stary. Tit zrobił mu miejsce i Lewin poszedł za nim. Trawa była tutaj niska, przydrożna i Lewin, który dawno nie kosił i był zmieszany tyloma

skierowanymi na niego spojrzeniami, w pierwszej chwili kosił źle, chociaż mocno machał kosą. Za jego plecami rozległy się głosy:

— Źle osadzona. Rączka za wysoko. Patrzaj no, jak się musi pochylać — powiedział któryś.

— Napieraj no mocniej na piętę — rzekł drugi.

— Nic nie szkodzi, już dobrze, przyzwyczaj się — dodał stary kosiarz. — Patrzcie no, już mu lepiej” idzie... Za szeroko bierzesz. Rychło się zmęczysz... Nie ma co mówić, gospodarz... Dla siebie się stara! Patrz, jaką brodę zostawiasz! Za tośmy kiedyś brali w skórę.

Dalej trawa była już bardziej miękka, i Lewin, który wszystkiego wysłuchiwał, lecz nic nie odpowiadał, szedł za Titem starając się kosić możliwie najlepiej. Przeszli może ze sto kroków. Tit wciąż szedł naprzód, nie okazując najmniejszego zmęczenia, podczas gdy Lewin zaczął odczuwać strach, że nie wytrzyma, tak był znużony.

Czuł już, że kosi resztką sił, i właśnie chciał prosić Tita, by się zatrzymał, gdy ten sam przystanął, pochylił się, wziął garść trawy., otarł kosę i począł ją ostrzyć. Lewin wyprostował się i obejrzał na idącego tuż za nim kosiarza, który najwidoczniej również zmęczony, nie doganiając go także przystanął i jął ostrzyć kosę. Tit naostrzył obie kosy — swoją własną i Lewina, po czym ruszyli dalej.

Następnym razem powtórzyło się to samo. Tit szedł — rozmach za rozmachem, nie zatrzymując się i bez zmęczenia. Lewin podążał za nim, starając się nie pozostawać w tyle, co mu przychodziło coraz trudniej: Następowwała chwila, gdy czuł, że nie ma już więcej sił, wtedy Tit zatrzymywał cię i ostrzył kosy.

W ten sposób przeszli cały pierwszy rząd i ten długi rząd wydał się Lawinowi specjalnie trudny. Ale za to, gdy doszli

do końca i Tit, wzięwszy kosę na ramię, począł wolna kroczyć z powrotem śladami pozostawionymi przez jego własne obcasy, a Lewin naśladować go poszedł wzdłuż swojego pokosu — było mu nad wyraz dobrze, choć pot łał mu się strugami po twarzy i kapał z nosa, a plecy miał tak mokre, jakby wyszedł z wody. Cieszyła go zwłaszcza pewność, że wytrzyma. Jedno tylko zatruwało tę radość: rząd jego nie był prawidłowy. „Będę mniej machał ręką, a więcej pracował tułowiem” — pomyślał porównując rząd Tita, wyciągnięty jak pod sznurek, ze swoim, rozrzuconym i nierównym.

Tit, jak to zauważył Lewin, przeszedł ten pierwszy rząd ze specjalnym pośpiechem, chcąc zapewne wystawić dziedzica na próbę, a poza tym był to w ogóle rząd wyjątkowo długi. Następne poszły już łatwiej. Mimo to Lewin musiał wyęźać wszystkie siły, by nadażyć za chłopami.

O niczym nie myślał, niczego nie chciał, prócz tych dwóch rzeczy: nie pozostać w tyle za nimi i wykazać się jak najlepszą pracą. Słyszał jedynie szcęk kos i widział poprzedzającą go wyprostowaną postać Tita, która się nieustannie oddalała. Widział wygięte półkole pokosu, powoli i faliście kłaniające się trawy i główki kwiatów tuż koło ostrza swej kosy, a przed sobą koniec rzędu, gdzie nastąpi wypoczynek.

Nie rozumiejąc, skąd się to wzięło, poczuł nagle wśród roboty miłe wrażenie chłodu na rozgrzanych i spoconych ramionach. W czasie wecowania kos popatrzył na niebo: nadciągnęła niska, ciężka chmura i padał rześisty deszcz. Jedni z kosiarzy poszli po kaftany i powkładali je; inni, podobnie jak Lewin, poruszali z rozkoszą ramionami pod przyjemną ochłodą.

Przeszli jeszcze i jeszcze jeden rząd. Trafiały się im rzędy

długie i krótkie, z trawą dobrą i lichą. Lewin stracił zupełnie poczucie czasu i naprawdę nie wiedział, czy jest jeszcze wczesnie, czy już późno. W pracy jego poczęła zachodzić zmiana, która sprawiała mu ogromną przyjemność. Zdarzały się raz po raz pośród roboty chwile, kiedy zupełnie zapominał o tym, co robi, i odczuwał niezwykłą lekkość. W owych chwilach rząd jego stawał się tak równy i prawidłowy jak rząd Tita. Lecz zaledwie przypominało mu się, co właściwie robi, i poczynął się starać, by kosić lepiej, natychmiast odczuwał cały ciężar pracy i pokos wychodził kiepski.

Po przejściu jeszcze jednego rzędu chciał znów nawrócić, gdy Tit zatrzymał się i zbliżywszy się do starca coś mu szepnął. Obaj popatrzyli na słońce. „O czym oni gadają i czemu Tit nie zaczyna nowego rzędu?” — pomyślał Lewin. Nie zgadł, że chłopci kosili już bez przerwy cztery godziny i że nadeszła pora na śniadanie.

— Czas na śniadanie, panie dziedzicu — powiedział stary.

— Doprawdy? A więc śniadajmy.

Lewin oddał kosę Titowi i wraz z chłopami, którzy ruszyli po chleb do złożonych nie opodal kaftanów, poszedł poprzez długie rzędy skoszonego obszaru, z lekka skropione deszczem, do swego konia. Teraz dopiero doszło do jego świadomości, że źle przewidział pogodę i że deszcz zmoczy siano.

— Siano się popsuje — powiedział.

— To nic, panie dziedzicu — pocieszył go stary — w deszcz koś, a w pogodę zagrabiaj!

Lewin odwiązał konia i pojechał do dworu na kawę.

Sergiusz właśnie wstał z łóżka; Lewin wypił kawę i znów wrócił do sianokosu, zanim brat zdążył ubrać się i przejść do jadalni.

V

Po śniadaniu Lewin trafił do rzędu kosiarzy już nie na dawne miejsce, lecz na nowe — pomiędzy starym żartownisiem, co go na sąsiada zaprosił, a młodym chłopem, który ożenił się dopiero na jesieni i pierwszy raz wyszedł na kośbę.

Najpierw kroczył stary, wyprostowany, równo i szeroko stawiając nogi do zewnątrz i — dokładnym, równym ruchem, który, jak się zdawało, nie kosztował go więcej fatygi niż machanie rękami w marszu — odrzucał na bok, jakby dla igraszki, jednostajny, wysoki pokos. Jakby sama tylko ostra kosa, bez jego udziału, ciachała po soczystej trawie. Za Lewinem szedł młody Miszka. Włosy miał opasane powrósem ze świeżej trawy. Sympatyczna, młodzieńcza jego twarz ściągała się konwulsyjnie z wysiłku. Lecz wystarczyło nań spojrzeć, a już się uśmiechał. Widać było, że wolałby raczej umrzeć niż wyznać, że mu ciężko.

Lewin szedł między tymi dwoma. Kiedy nastał największy upał dnia, kośba nie wydawała mu się już tak trudna. Oblewający go pot chłodził, a słońce, które paliło grzbiet, głowę i zakasaną po łokieć rękę, dodawało robocie tężyzny i uporu. Coraz częściej a częściej jeły nań nachodzić owe minuty bezwiedności, kiedy nie, myślał o tym, co robił. Kosa cięła sama. Były to chwile szczęścia. A jeszcze szczęśliwsze były chwile, gdy podchodząc do rzeki, gdzie teraz kończyły się rzędy pokosów, stary ocierał kosę mokrą, gęstą trawą, płukał ją w chłodnej, rzecznej wodzie i zaczerpnąwszy wody puszką od osełki, częstował Lewina.

— A może mojego kwasku! Dobry? Co! — pytał mrugając porozumiewawczo.

I rzeczywiście, Lewin nigdy nie pijał tak pysznego

napitku, jak ta ciepła woda z pływającą po niej rzęsą, o rdzawym od puszki smaku. Natychmiast po tym następowała rozkoszna, powolna przechadzka. Ręka przytrzymywała na ramieniu kosę. Można było otrzeć spływający ciurkiem pot, odetchnąć pełną pierś i oglądać cały rozciągnięty szyk kosiarzy, a także wszystko, co się działo dokoła, w lesie i na polach.

Im dłużej Lewin kosił, tym częściej nachodziły nań chwile zapamiętania, w czasie których już nie ręce machały kosą, lecz sama kosa pociągała za sobą całe świadome siebie, pełne żywotności ciało koszącego. Jakby czarodziejskim sposobem — dokładna, poprawna robota robiła się sama przez się, chociaż nikt o niej nie myślał. To były te minuty najbardziej błogie.

Wysiłek zaczynał się dopiero wówczas, kiedy trzeba było przerywać ów nieświadomy już ruch i zacząć myśleć; na przykład, gdy należało ominąć kępkę lub nie wypielony krzaczasty szczaw. Stary czynił to bez wysiłku. Natrafiając na kępkę zmieniał leciutko ruch i — tu piętą, ówdzie końcem kosy — podcinał kępkę z obu stron króciutkimi uderzeniami. Tak czyniąc, ciągle się wszystkiemu przyglądał i obserwował wszystko, co się przed nim odsłaniało. To zrywał kogutka* i zjadał go sam lub częstował Lewina, to odrzucał końcem kosy gałązkę, to oglądał gniazdko przepiórki, z którego — tuż spod ostrza — wylatywała samiczka, to wreszcie chwycił napotkaną żmiję i podnosząc ją na kosie jak na widelcu, pokazywał Lewinowi, po czym odrzucał na bok.

I dla Lewina, i dla młodego chłopca, który szedł za nim, te wszystkie zmiany ruchu były niełatwe. Obaj, skoro już raz chwycili rytm cięcia, zapamiętywali się i nie potrafili

* K o g u t e k — ludowa nazwa szalwii łąkowej

jednocześnie zmieniać ruchu i obserwować otoczenia.

Lewin nie spostrzegł, jak czas przemijał. Gdyby go ktoś spytał, od jak dawna kosi, powiedziałyby, że od pół godziny, tymczasem już południe było blisko. W pewnej chwili, rozpoczynając nowy rząd, stary zwrócił mu uwagę na dziewczynki i chłopców, podążających ku kosiarzom ze wszystkich stron. Dzieci, ledwo widoczne w wysokiej trawie i na drogach, niosły, pochylając się na bok od wysiłku, zawiniątka z chlebem i pozatykane gałganami dzbanki z kwasem.

— Spójrzcie no, już pełzną nasze żuczki! — zawołał stary wskazując dzieci i przysłaniając ręką oczy popatrzył na słońce.

Skosili jeszcze dwa rzędy. Stary zatrzymał się.

— No, panie dziedzicu, obiad! — zawołał stanowczo. Teraz, po dojściu do rzeki, kosiarze podążyli poprzez pokosy do swoich ubrań, do miejsca, gdzie już posiadały dzieci, które przyniosły posiłek. Chłopi skupili się — jedni pod wozami, inni pod zaroślami rokity, na które ponarzucali trawy.

Lewin przyłączył się do nich; nie miał ochoty jechać do domu. Obecność dziedzica już dawno przestała krępować chłopów. Zabierali się do posiłku. Jedni się myli, młodszy kąpał się w rzece, inni łądzili sobie legowisko do spania lub rozwiązywali tobołki z chlebem i odwijali dzbanki z kwasem.

Stary nakruszył chleba do miski, roztarł go trzonkiem łyżki, nalał z blaszanki wody, jeszcze dodatkowo nakrajał chleba i posoliwszy począł się modlić obrócony ku wschodowi.

— Ano, może mojej wodzianki, panie dziedzicu? — zaproponował klękając przed miską.

Wodzianka była tak wyśmienita, że Lewinowi odechciało się jechać na obiad do domu. Zjadł razem ze starym i

rozgadał się z nim o jego domowych sprawach, które go zainteresowały w najwyższym stopniu, po czym opowiedział starem u tych swoich sprawach, które mogły tamtego zająć. Stary był mu właściwie bliższy niż brat, poczuł dla niego prawdziwą czułość, która mimo woli przejawiała się w uśmiechu. Gdy stary wstał, znów się pomodlił i legł tuż na miejscu pod krzakiem, podłożywszy sobie trawy pod głowę, Lewin zrobił to samo i mimo natrętnych, upartych much i żuczków, łaskoczących mu spoconą twarz i ciało, natychmiast zasnął. Obudził się dopiero, kiedy słońce przeszło na drugą stronę krzaku i zaczęło go dosięgać. Stary dawno już się był obudził. Siedział klepiąc kosy młodych kosiarzy.

Lewin obejrzał się wokół i nie poznał miejsca, na którym usnął, tak się wszystko zmieniło. Olbrzymia przestrzeń łąki była skoszona i lśniła jakimś osobliwym, nowym blaskiem w popołudniowych ukośnych promieniach słońca padających na pachnące pokosy. Wszystko było jakby zupełnie nowe: i krzaki nad rzeką, ze ściętą dokoła trawą, i sama rzeka, której przedtem nie było widać, a która teraz na zakrętach przebłyskiwała stalowo, i ruchliwy, wstający ze snu ludek, i prostopadły mur trawy tam, gdzie koszenie łąki nie było jeszcze skończone, i jastrzębie zataczające kręgi nad skoszoną łąką. Ocknąwszy się całkiem, Lewin jął obliczać, ile też dotychczas skoszono, a ile by jeszcze skosić można do końca dnia.

Jak na czterdziestu dwóch ludzi, wykonano olbrzymią robotę. Cała wielka łąka, którą za pańszczyzny trzydziestu zwykło było kosić w ciągu dwóch dni, była już ścięta; nie skoszone pozostawały jedynie kąty łąki z króciutkimi rządками. Lewin wszakże miał ochotę skosić jak najwięcej jeszcze tego samego dnia i gniewało go słońce, które tak

szybko się zniżało. Nie czuł wcale zmęczenia, pragnął tylko jeszcze i jeszcze, i prędko, jak najprędzej odwalić jak najwięcej roboty.

— No co, czy udałoby się jeszcze skosić Maszkina Górkę, jak sądzisz? — zapytał starego.

— Jak Bóg da. Słońce już nisko. Chyba jeśliby chłopcom dać wódki.

Podczas podwieczorku, gdy kosiarze znowu posiadali, a pałacy zakurzyli papierosy, stary oznajmił, że jeśli skoszą Maszkina Górkę, dostaną wódki.

— Czemu byśmy nie mieli skosić?! No, Tit, zaczynaj! W mig skosimy! Wstawaj, wieczorem się najesz. Zaczynaj! — poczęto wołać, i chłopci kończąc dojadać chleb jęli zachodzić.

— Ano, chłopaki, trzymać się! — rzekł Tit i ruszył naprzód prawie kłusem.

— Idź, idź — dogadywał stary, z łatwością nadażając za Titem — uciekaj, bo i ciebie zetnę! Pilnuj się!

Młodzi i starzy poczęli kosić na wypródki. Mimo pośpiechu jednak nie psuli trawy i rządki kładły się tak samo czysto i równiutko jak przedtem. Resztkę pozostałą w kącie łąki sprzątnęły kosy w mgnieniu oka. Ostatni z kosiarzy kończyli swoje rzędy, gdy pierwsi zarzuciwszy kaftany na ramiona ruszyli na drugą stronę drogi, ku Maszkinej Górce.

Już słońce poczynąło znikać za drzewami, gdy chłopci pobrzękując blaszankami od osełek weszli do małego leśnego parowu wiodącego do Maszkinej Górki.. Trawa pośrodku była tam po pas, delikatna i mięciutka liściasta i przetykana w lesie tu i ówdzie fioletowym pszeńcem.

Po krótkiej naradzie, czy kosić wzdłuż, czy w poprzek — Prochor Jermilin, też kosiarz znakomity, olbrzymi czarny chłop, pierwszy zaczął. Przeszedł wzdłuż jeden rząd nie kosząc, zawrócił i zaczął szerokim rozmachem. Wnet poczęli

się za nim wyrównywać w szereg inni, z góry wężozikiem, a pod górę — aż do samego skraju lasu. Słońce skryło się za lasem. Rosa już padała i kosiarze mieli światło słoneczne tylko na górce, w dole zaś, gdzie zaczynała się kłębić mgła, i po drugiej stronie wężozu posuwali się w rześkim, pełnym rosy cieniu. Praca wrzała.

Podcinana z soczystym dźwiękiem trawa pachniała korzennie i kładła się wysokimi pokosami. Przy krótkich rzędach tłoczyli się ze wszech stron kosiarze; pobrzękując blaszankami i hałasując to zderzającymi się kosami, to zgrzytem osełek przy ostrzeniu kos, wciąż poganiali się wzajem wesołym krzykiem.

Lewin szedł także i teraz pomiędzy młodym chłopakiem a starym chłopem. Ten włożył swój półkożuszek i był ciągle tak samo wesół, gotów do żartu i giętki w ruchach. Tu, w lesie, raz po raz natrafiali na rozbuchane w soczystej trawie podbrzeźniaki, które przecinano kosą. Stary wszelako, napotykając grzyb, za każdym razem schylał się, podnosił go i kładł za pazuchę. „Będę miał gościńca dla starej” — pogadywał.

Kosić mokrą, nieoporną trawę przychodziło łatwo. Za to ciężko było schodzić, to znów wspinać się po stromej pochyłości wężozu. Stary jednak o to nie dbał. Wciąż jednakowo machając kosą, drobnym, pewnym kroczkiem obutych w wielkie łapcie nóg powoli gramolił się na stromiznę i choć trzęsło mu się nie tylko ciało, lecz i zwisające spod koszuli portki, nie darował po drodze najmniejszej trawce ani jednemu grzybowi i zupełnie tak samo jak przedtem podżartowywał z Lewinem i chłopami. Lewin szedł za nim i nieraz zdawało mu się, że z pewnością upadnie wślaząc z kosą na taki stromy pagór, na który i bez kosi trudno było się wdrapać. Nie przewracał się jednak,

gramolił się do góry i czynił wszystko, co czynić należało. Czuł, że jakaś potężna siła idąca z zewnątrz nim kieruje.

VI

Chłopi skosili Maszkiną Górkę, dokończyli ostatnich rzędów i wesoło pomaszzerowali do domu. Lewin wsiadł na konia i z żalem pożegnawszy kosiarzy pojechał do dworu. Kiedy obejrzał się, na górcie już ich nie było widać we mgle, która podnosiła się z dołu. Słysząc było tylko ich szorstkie wesołe głosy i śmiech oraz szcęk zderzających się kos.

Sergiusz Iwanowicz dawno już był po obiedzie i właśnie upił w swoim pokoju wodę z cytryną i lodem, przeglądając przyniesione mu przed chwilą z poczty gazety i czasopisma, gdy Lewin wpadł do niego, z pozlepianymi od potu i splątanymi włosami, w poczerniałej, mokrej na plecach i piersi koszuli, i jął wesoło wykrzykiwać:

— Całą łąkęmy skosili! Ach, jakie to było przyjemne, nie masz pojęcia! A cóżeś ty robił przez ten czas? — Nieprzyjemna rozmowa w przeddzień całkiem mu wyszła — z pamięci.

— Rany boskie! Jak ty wyglądasz?! — powiedział Sergiusz i zrazu niechętnie obejrzał się na brata. — I drzwi, drzwi zamykaj! — zawołał. — Z pewnością wpuściłeś cały tuzin.

Koznyszew nie znosił much i w swoim pokoju otwierał okna tylko w nocy, a drzwi jak najstaranniej zamykał.

— Przysięgam, że ani jednej. A jeśli nawet wpuściłem, to je wyłapię... Nie masz pojęcia, co to za rozkosz! A ty, co ty robiłeś przez cały dzień?

— Ja? spędziłem czas przyjemnie... Ale czyś ty naprawdę cały dzień kosił? Musisz być głodny jak wilk. Kuźma

wszystko ci przygotował.

— Ach nie, nie jestem głodny. Tam jadłem. Ale pójdę się umyć.

— Idźże, idź, a ja zaraz do ciebie przyjdę — mówił Sergiusz i kręcił głową patrząc na brata. — Idźże już prędzej — dodał z uśmiechem i pobierawszy książki, sam gotował się do pójścia za Konstantym. Nagle poweselał i nie miał ochoty się z nim rozstać. — A gdzie byłeś podczas deszczu?

— Jaki tam deszcz?! Ledwo nas pokropił. No, więc zaraz przyjdę. A ty dobrze spędziłeś dzień? To świetnie. — I Konstanty poszedł się przebierać.

Po pięciu minutach bracia znów się spotkali w jadalni. Choć Konstantemu zdawało się zrazu, że nie jest głodny, i chociaż siadł do stołu, po prostu żeby nie urazić Kuźmy, jednak skoro tylko skosztował jedzenia, wydało mu się ono niezwykle smaczne. Sergiusz Iwanowicz patrzył na niego z uśmiechem.

— Ach! Ale przecież jest tu do ciebie list — zawołał. — Kuźma, proszę przynieść list z dołu. Tylko uważaj, żebyś drzwi zamykał.

List był od Obłońskiego. Lewin przeczytał go na głos. Obłoński pisał z Petersburga: „Otrzymałem właśnie list od Dolly; bawi w Jerguszowie i jakoś nie może sobie dać rady. Proszę cię, pojedź do niej i dopomóż jej, poradź; wszak ty wszystko potrafisz. Będzie uszczęśliwiona, gdy cię zobaczy. Jest, biedaczka, całkiem sama, bo teściowa z resztą rodziny nie wróciła dotąd z zagranicy.”

— Doskonale! Oczywiście, muszę do niej pojechać — rzekł Lewin. — Jedźmy zresztą razem. To taka przemiła kobieta. Prawda?

— A czy to daleko?

— Około trzydziestu wiorst. Może nawet czterdzieści. Ale

droga świetna. Doskonale dojedziemy.

— Z przyjemnością — rzekł Sergiusz Iwanowicz nie przestając się uśmiechać.

Wygląd młodszego brata wpłynął na niego wręcz rozweselająco.

— Ale ty masz apetyt! — zauważył patrząc na jego brązowoczerwoną twarz i szyję, schylone nad talerzem.

— Świetny! Nie masz pojęcia, jak taki reżim od razu wypędza wszelkie głupstwa z człowieka. Mam zamiar wzbogacić medycynę o jeden więcej termin: *Arbeitskur**.

— No, ty tego chyba nie potrzebujesz. — Ja nie, ale różni nerwowo chorzy.

— Tak, to by trzeba wypróbować. Wiesz, chciałem pójść popatrzeć na ciebie tam na sianokos, ale był taki wściekły upał, że doszedłem tylko do lasu. Posiedziałem trochę i lasem przeszedłem się aż do wsi. Spotkałem tam twoją dawną mamkę i wysondowałem, co też myślą o tobie chłopci. O ile mogłem wywnioskować, nie pochwalają tego rodzaju rzeczy. Powiedziała: „To nie dla państwa zajęcie.” W ogóle, zdaje mi się, że w pojęciach chłopskich tak zwana „pańska” sfera zajęć jest zupełnie jasno określana i chłopci nie pochwalają, gdy „panowie” wykraczają poza ustalone w ich pojęciu ramy..

— Być może, ale to taka przyjemność, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie zakosztowałem. I nic w niej nie ma zdrożnego. Prawda? — odrzekł Konstanty. — Cóż ja na to poradzę, że im się to nie podoba! A zresztą myślę, że to nic nie szkodzi. Co?

— W ogóle — ciągnął dalej Sergiusz — jesteś, jak widzę, bardzo zadowolony ze swego dnia.

— A tak, bardzo. Skosiliśmy całą łąkę. I z jakim przepysznym starym chłopem tam się zaprzyjaźniłem!

* *Arbeitskur* — kuracja przez pracę

Pojęcia nie masz, co to była za rozkosz.

— Widzę, żeś naprawdę kontent ze swego dnia. I ja również. Po pierwsze, rozwiązałem dwa zadania szachowe; jedno z nich, bardzo przyjemne, zaczyna się od pionka... Pokażę ci później. A potem — rozmyślałem o naszej wczorajszej rozmowie.

— Co takiego? O wczorajszej rozmowie? — rzekł Konstanty, błogo mrużąc oczy i wydając głębokie westchnienie po skończonym obiedzie. — Stanowczo nie był w sta — nie przypomnieć sobie, o jaką wczorajszą rozmowę chodziło.

— Uważam, że masz po części rację. Różnimy się w zdaniach dopiero, gdy ty twierdzisz, że motorem działalności jest interes osobisty, podczas gdy ja sądzę, że każdy człowiek stojący na pewnym stopniu kultury powinien przekładać nade wszystko dobro ogółu. Być może, masz rację, że byłoby lepiej, by działalność publiczna łączyła się z korzyścią jednostki. Z ciebie w ogóle natura nazbyt *prime-sautière**, jak powiadają Francuzi.. Pragniesz działalności żywiołowej, energicznej albo zgoła żadnej.

Lewin słuchał brata i stanowczo nic nie rozumiał i rozumieć nie chciał. Lękał się tylko z jego strony takiego jakiegoś pytania, z którego wyniknie jasno, że wcale nie uważał.

— No więc tak, mój miły — dodał Koznyszew dotykając jego ramienia.

— Ależ owszem, rozumie się. Zresztą, co tam! Ja się wcale przy swoim nie upieram — odrzekł Lewin z dziecinnym, zawstydzonym uśmiechem. „O czym, u licha, mogła być mowa? O co był ten spór? — rozmyślał. — Ma się rozumieć, że i on miał rację, i ja ją miałem, i że wszystko jest

* *Prime-sautière* — porywczą, bezpośrednią, impulsywną.

w najlepszym porządku. Muszę tylko pójść do kancelarii wydać dyspozycje.” Wstał przeciągając się z uśmiechem.

Uśmiechnął się i Sergiusz.

— Jeśli chcesz przejść się, chodź, przejdziemy się razem — powiedział nie mając ochoty rozstawać się z bratem, od którego wiało wprost świeżością i energią. — Chodź, zajdziemy też i do kancelarii, jeśli masz coś do załatwienia.

— Gwałtu, rety! — krzyknął nagle Lewin tak głośno, że Sergiusz się przeraził.

— Co ci jest?

— A cóż z ręką Agafii Michajłowny? — zawołał Lewin i palnął się w czoło. — Zupełnie o niej zapomniałem.

— Daleko lepiej.

— Muszę ja jednak wpaść do niej. Nie zdążysz nawet włożyć kapelusza, a już będę z powrotem.

I obcasy jego załomotały po schodach jak kołatka.

VII

Obłoński przyjechał do Petersburga celem wypełnienia obowiązku znanego wszystkim urzędnikom i w ich oczach zupełnie naturalnego, chociaż dla nie — urzędników niezrozumiałego. Musiał mianowicie przypomnieć o swej osobie w ministerstwie. Jest to obowiązek konieczny, bez wypełnienia którego niepodobna w ogóle być urzędnikiem. Do wypełnienia go trzeba jednak mieć pieniądze. Toteż Obłoński zabrał niemal wszystkie, jakie były w domu, i spędzał wesoło czas w Petersburgu na wyścigach i podmiejskich letniskach, podczas gdy Dolly z dziećmi wyjechała na wieś, by o ile możliwości zmniejszyć wydatki. Wybrała się do swego posagowego majątku, Jerguszowo, tego właśnie, gdzie na wiosnę sprzedawano las, a który był

położony o pięćdziesiąt wiorst od Pokrowskiego, posiadłości Lewina.

Stary wielki dwór w Jerguszowie dawno rozebrano, za to jeszcze książę kazał przebudować i powiększyć oficynę. Oficynę tę dwadzieścia lat temu, kiedy Dolly była dzieckiem, uważano za ustawną i wygodną, mimo że stała — jak wszystkie oficyny — bokiem do alei wjazdowej i była zwrócona na południe. Obecnie jednak budowla była już stara i zgniła. Jeszcze kiedy Stiepan Arkadjicz na wiosnę przyjeżdżał do majątku sprzedawać las, Dolly prosiła go, aby obejrzał dom i kazał wykonać wszystkie potrzebne reperacje. Obłoński, który — jak wszyscy grzeszni mężowie — wielce dbał o wygodę żony, osobiście obejrzał cały dom i dał dyspozycje, by zrobiono wszystko, co, jego zdaniem, było najbardziej nieodzowne. A więc, jego zdaniem, należało obić na nowo kretonem wszystkie meble, zawiesić firanki, uporządkować ogród, przy stawie zrobić mostek, wreszcie posadzić kwiaty. Za to zapomniał o wielu innych naprawdę potrzebnych rzeczach, których brak miał się później stać udręką dla biednej Dolly.

Jakkolwiek Stiepan Arkadjicz bardzo się starał być troskliwym mężem i ojcem, nigdy jakoś nie umiał pamiętać, że ma żonę i dzieci. Miał gusty kawalerskie i tylko nimi się kierował. Po powrocie do Moskwy oznajmił z dumą żonie, że wszystko przygotowane, że dom będzie jak cacko i że bardzo jej radzi spędzić tam lato. Wyjazd żony na wieś dogadzał Obłońskiemu pod każdym względem; zdrowiej dla dzieci, mniej kosztów, a dla niego więcej swobody. Daria Aleksandrowna ze swej strony uważała pobyt latem na wsi za rzecz konieczną dla dzieci, a specjalnie dla córeczki, która nie mogła przyjść do siebie po szkarlatynie. Poza tym było to dla niej wybawienie od drobnych upokorzeń, jakie ją w mieście

spotykały z powodu długów w składzie drzewa, w sklepie rybnym, u szewca itd. wreszcie cieszyła się na wyjazd, gdyż marzyła o ściągnięciu do siebie Kitty, która miała powrócić z zagranicy w środku lata, a której zalecono kąpiele. Kitty pisała z wód, że nic się jej tak nie uśmiecha, jak spędzenie lata z siostrą w Jerguszowie, tak dla nich obu pełnym wspomnień z lat dziecinnych.

Pierwsze chwile pobytu na wsi były dla Dolly niezmiernie trudne. Przebywała tam w dzieciństwie i pozostało jej wrażenie, że wieś jest ratunkiem od wszystkich przykrości, jakie niesie ze sobą miasto, że życie na wsi, chociaż nie wykwiłtne (z tym Dolly łatwo się godziła), było za to tanie i wygodne. Na wsi wszystko jest, wszystkiego można dostać za grosze i dzieciom jest tam dobrze. Tym razem jednak, kiedy przyjechała na wieś jako pani domu, przekonała się, że wyglądało to całkiem inaczej, niż sądziła.

Zaraz nazajutrz po ich przyjeździe lunął rześisty deszcz; i nocą w pokoju dziecinnym i w korytarzu pozaciekał sufit, tak że łóżeczka przeniesiono do jadalni. Nie było kucharki czeladnej. Z dziewięciu dworskich krów, według oświadczenia skotarki, jedne były cielne, drugie — po pierwszym cielęciu, inne — stare, jeszcze inne ciężko się doiły. Krótko mówiąc, mleka i masła nawet dla dzieci nie starczało.. Jaj nie było wcale, a kur w ogóle dostać nie było można, tak że pieczono i gotowano wyłącznie stare, sinawe, żyłaste koguty. Bab do szorowania podłóg też, nie udało się zgodzić, bo wszystkie właśnie były przy kartoflach. Nie jeździło się zupełnie na spacer, gdyż jeden z koni cugowych — dyszlowy — narowił się i rwał. Kąpieli nie można było zażywać, gdyż cały brzeg rzeki był wydeptany przez bydło i niczym nie zasłonięty od strony drogi. Nawet przechadzki piesze były nie do pomyślenia, płot od ogrodu, bowiem był

połamany i bydło wchodziło tamtędy, a wśród stada znajdował się groźny byk, który straszliwie ryczał, zapewne więc był bodliwy. Szafy do ubrań właściwie nie istniały. Te, które były, nie zamykały się, ale za to otwierały się same, kiedy się koło nich przechodziło. Nie było ani saganów, ani kotła w pralni, ani nawet deski do prasowania dla dziewcząt w garderobie.

Daria Aleksandrowna, która miast zażywać spokoju i wypoczynku, stanęła wobec tak strasznych, jak mniemała, klęsk, wpadła zrazu w rozpacz. Krzątała się ze wszystkich sił, bolała nad beznadziejnością położenia i w każdej chwili gotowa była wybuchnąć płaczem. Zarządzający — były wachmistrz, którego Stiepan Arkadjicz polubił za czasów, gdy ten był portierem w jego urzędzie, i któremu dał u siebie posadę ze względu na jego okazały wygląd i pełną szacunku postawę — nie brał najmniejszego udziału w troskach Darii Aleksandrowny, mówiąc tylko z uszanowaniem: „W żaden sposób nie można; tacy to już niegodziwi ludzie, proszę księżnej pani...” — i na tym kończyła się jego pomoc.

Zdawało się, że sytuacja jest bez wyjścia. W domu Obłońskich była wszakże, jak bywa we wszystkich rodzicach, nie narzucająca się wprawdzie oczom, ale ważna i wielce pożyteczna istota — Matriona Filimonowna. Ona to wpływała kojąco na panią domu zapewniając, że wszystko się ukształtuje (było to jej powiedzenie i od niej to zapożyczył je Matwiej), a sama tymczasem, bez pośpiechu i bez nerwów — działała.

Przede wszystkim zaprzyjaźniła się z panią rządczynią. Zaraz pierwszego dnia piła z obojgiem herbatę pod akacjami i omawiała całość spraw. Niebawem powstał pod owymi akacjami istny klub Matryony Filimonowny, gdzie przy współdziałaniu rządczyni, sołtysa i pisarza powoli uradzano,

jak usunąć powstałe komplikacje życiowe. Po tygodniu istotnie wszystko się ukształtowało. Dach naprawiono, kucharkę zgodzono (była to kuma samego sołtysa) i kupiono kury; wnet i krowy zaczęły dawać mleko. Dziury w płocie pozakładano żerdziami; stolarz sklecił magiel, a do szaf dorobiono haczyki, tak że przestały otwierać się samowolnie. Wreszcie i deska do prasowania, owinięta żołnierskim sukniem, oparta o poręcz krzesła i o komodę, ozdobiła garderobę, gdzie zapachniało nareszcie żelazkiem do prasowania.

— No i co! — zawołała Matriona na widok deski. — A księżna pani wciąż desperowała!

Sklecono nawet łazienki ze słomianych mat i Lili zaczęła się kąpać. W ten sposób spełniła się przynajmniej część życzeń Darii Aleksandrowny: życie wiejskie stało się już wygodniejsze, choć bynajmniej nie spokojne. Spokoju z sześciorgiem dzieci być nie mogło. Jedno chorowało, drugie mogło zachorować, trzeciemu coś brakowało, czwarte zdradzało objawy złego charakteru itd., itd. Rzadko, nadzwyczaj rzadko zdarzały się okresy spokoju. Wszelako tego rodzaju kłopoty i niepokoje były dla Darii Aleksandrowny jedynym możliwym szczęściem. Gdyby ich nie było, pozostałaby sama jedna z myślami o mężu, który jej nie kochał. Poza tym, chociaż lęk przed chorobą, same choroby, a także niepokój z powodu złych skłonności dzieci — były dla matki istotnym zmartwieniem, to jednak same dzieci już teraz wypłacały się jej za ciężkie strapienia mnóstwem drobnych radości. Radości owe były tak drobnutki, że aż niewidoczne, jak złoto w piasku, i w chwilach depresji widziała tylko sam piasek. Ale były i dobre chwile... Wówczas widziała tylko momenty radosne, samo złoto.

Obecnie, w samotności wiejskiej, coraz częściej poczyniała uświadamiać sobie te radości. Nieraz wpatrując się w nie robiła wysiłek, by dowieść sobie samej, że się myli, gdyż będąc matką jest w stosunku do dzieci zaślepiona. Mimo to jednak musiała w końcu przyznać, że ma uroczę dzieci, że cała szóstka jest urocza. Każde w innym rodzaju, lecz wszystkie urocze jak rzadko. I była z ich powodu szczęśliwa i dumna..

VIII

Pod koniec maja, kiedy już wszystko było jako tako doprowadzone do porządku, przyszedł list od Stiepana Arkadjicza w odpowiedzi na skargi żony z powodu niewygód wiejskich. Przepraszał, że nie o wszystkim pomyślał, i obiecywał przyjechać, gdy tylko nadarzy się możliwość. Możliwość taka widocznie się nie nastąpiła i aż do pierwszych dni czerwca Daria Aleksandrowna pozostała na wsi sama.

Na Piotra i Pawła, co wypadło w niedzielę, Daria Aleksandrowna pojechała na nabożeństwo i zawiozła wszystkie dzieci do komunii. W czasie poufnych rozmów na tematy filozoficzne z siostrą, matką lub przyjaciółmi Dolly nieraz zdumiewała ich swym wolnomyślicielstwem w stosunku do religii. Miała jakąś swoją własną wiarę w metempsychozę, której trzymała się wiernie, niewiele się troszcząc o dogmaty kościoła prawosławnego. Natomiast w obrębie rodziny — i to wcale nie dla przykładu, lecz naprawdę ze szczerego serca — ściśle trzymała się wszystkich cerkiewnych przepisów. Toteż fakt, że dzieci już około roku nie przystępowały do komunii, mocno ją niepokoił i — z gorącą aprobatą Matriony. — postanowiła

załatwić to obecnie, w ciągu lata.

Już na kilka dni przedtem obmyśliła sobie, jak poubiera dzieci. Szyto, przerabiano i prano różne sukienki i ubranka, wypuszczano obrębki i pruto falbanki, przyszywano guziki i porządkowano wstążki. Jedna z sukienek, którą dla Tani ofiarowała się uszyć Angielka, dużo krwi napsuła Darii Aleksandrownie. Angielka, podjąwszy się przeróbki, porobiła zakładki nie na właściwym miejscu, wykroiła zbyt duże pachy, słowem — zupełnie zepsuła sukienkę która tak spadała z ramion, że przykro było na Tanię patrzeć. Teraz jednak Matriona zaproponowała, by wstawić kliny i dodać pelerynkę, i to poprawiło sytuację, lecz omal nie doprowadziło do kłótni z Angielką. Do następnego ranka wszystko się na szczęście ułożyło i tuż przed dziewiątą, na którą to godzinę proszono popa, by przesunął nabożeństwo — promieniejące radością, wystrojone dzieci stały przed gankiem, koło powozu, czekając na matkę.

Do powozu, zamiast narowistego Kruka, zaprzężono za protekcją Matriony Filimonowny rządowego Kasztana. Daria Aleksandrowna, która zajęła się własną toaletą na ostatku, wyszła w białej muślinowej sukni na ganek, by wsiąść do powozu.

Czesła się tego dnia i ubierała starannie i z pewnym podnieceniem. Kiedyś ubierała się dla siebie samej, po to, aby być piękną i podobać się. Później, im bardziej posuwała się w latach, tym mniej lubiła się ubierać, widziała bowiem, jak bardzo zbrzydła. Teraz jednak znów zaczęła się ubierać z przyjemnością i wzruszeniem, bo ubierała się już nie dla siebie, nie dla własnej urody, lecz aby jako matka tak uroczych dzieci, nie zepsuć ogólnego wrażenia. Przejrzała się w lustrze raz jeszcze z aprobatą. Była na prawdę ładna. Nie tak ładna, jak tego niegdyś przed balem zwykła była pragnąć,

lecz dość ładna, by osiągnąć cel, o który jej obecnie chodziło.

W cerkwi nie było nikogo, prócz chłopów i zagrodników oraz ich bab, lecz Daria Aleksandrowna spostrzegła — albo tak jej się tylko zdawało — zachwyt wywołany przez jej dzieci i przez nią samą. Dzieci nie tylko były prześliczne w swoich strojnych sukienkach, ale także przemiłe, ponieważ tak grzecznie się zachowywały. Alosza co prawda stał nie całkiem spokojnie, kręcił się ciągle, by zobaczyć swą kurtkę z tyłu, ale i tak był niezwykle uroczy. Tania zupełnie jak dorosła osoba doglądała najmłodszych. A mała Lili była tak czarująco i naiwnie wszystkim zdumiona... Trudno było nie uśmiechnąć się, kiedy po komunii powiedziała po angielsku: „*please some more**”.

W powrotnej drodze dzieci czuły, że odbyło się coś uroczystego, i były cichutkie.

W domu też wszystko poszło dobrze, ale w czasie śniadania Grisza zaczął gwizdać, a co gorsza, nie posłuchał Angielki i za karę nie dostał placka. Gdyby się to zdarzyło w jej obecności, matka wobec uroczystego dnia zapobiegłaby karze. Teraz jednak musiała podtrzymać autorytet Angielki potwierdzając, że Grisza placka nie dostanie. To zepsuło nieco ogólny dobry nastrój.

Grisza płakał, twierdząc, że i Nikoleńka gwizdał, a jego nie ukarano, i że on sam płacze nie z powodu placka — to mu jest obojętne! — ale ponieważ boli go niesprawiedliwość. To było już nazbyt smutne i Daria Aleksandrowna postanowiła po porozumieniu się z Angielką przebaczyć Griszy. W chwili jednak gdy do niej szła, ujrzała w wielkim salonie scenę, od której oczy jej zaszły łzami radości, tak że sama od razu ułaskawiła przestępcę.

Winowajca siedział w narożnym oknie sali, a obok niego

* *Please* ... — proszę o jeszcze

stała z talerzykiem Tania, która pod pozorem, że chce dać obiad lalkom, uzyskała od Angielki pozwolenie, by zanieść swoją porcję placka do dzieciennego pokoju. Zamiast lalkom, zniosła ją bratu. Ten, tonąc we łzach nad niesprawiedliwością wycierpianej kary, zajadał przyniesiony placek i powtarzał wśród łkań: „Jedz lepiej sama albo razem będziemy jedli...”

Na Tanię zrazu podziałała litość nad braciszkiem, potem świadomość własnej wspaniałomyślności, tak że miała również łzy w oczach, co jej nie przeszkadzało jeść swojej części.

Gdy ujrzeli matkę, przestraszyli się oboje, lecz dostrzegłszy wyraz jej twarzy zrozumieli, że postępują dobrze, roześmieli się i z ustami pełnymi ciasta jęli ocierać rękoma uśmiechnięte wargi, rozmazując w ten sposób łzy i konfitury na jaśniejących twarzyczkach.

— Jezus Maria! Moja „nowa biała suknia! Taniu! Grisza!
— broniła się matka usiłując ratować sukienkę, lecz uśmiechała się przy tym z triumfem i błogością.

Pozdejmovano dzieciom nowe stroje, dziewczynkom włożono bluzki, a chłopcom stare kurtki i kazano zaprząć do linijki — znowu, ku zmartwieniu rządcy, z Kasztanem jako dyszlowym — aby jechać na grzyby i do kąpieli. Piskliwy jęk najwyższego zachwytu wybuchł w dzieciennym pokoju i trwał aż do samego wyjazdu.

Uzbierano całą kobiałką grzybów; nawet Lili znalazła podbrzeźniaka. Dawniej miss Hull znajdowała grzyb i dopiero go jej pokazywała, ale obecnie mała znalazła sama wielkie, kłapciate grzybsko. Podniósł się ogromny wrzask: „Lili znalazła grzyba!”

Potem dojechali aż do rzeki, postawili konie pod brzózkami i poszli do kąpieli. Stangret Terentij, po

przywiązaniu do drzewa oganiających się od, much koni, sam legł, gniotąc trawę, w cieniu brzozy i kurzył swój ti u t i u Ń. Z wody dochodził go nieustający, radosny dziecięcy wrzask.

Chociaż było rzeczą kłopotliwą doglądać tych wszystkich dzieci i powstrzymywać je od figłów, chociaż trudno było spamiętać te wszystkie pończoszki, majteczki, trzewiczki z nóg różnych rozmiarów i nie pozamieniać ich, a także niełatwo rozwiązywać i zawiązywać, odpinać i zapinać te niezliczone guziczki i tasiemki, Daria Aleksandrowna, która sama zawsze lubiła kąpiel i uważała ją za pożyteczną dla dzieci, nie знаła większej przyjemności niż taką wspólną, z nimi wszystkimi na raz. Było dla niej prawdziwą rozkoszą przebierać rękami w tych wszystkich pulchnych nożynach naciągając na nie pończochy, brać w dłonie i zanurzać te nagie ciała, przysłuchując się to radosnym, to lęklwym piskom, widzieć te twarzyczki zadyszane, z otwartymi szeroko, to przestraszonymi, to wesołymi oczyma, twarzyczki jej pluskających się małych cherubinków.

Gdy już połowa dzieci była ubrana, podeszły do miejsca kąpieli i nieśmiało zatrzymały się powracające z grzybobrania wystrojone baby. Matriona zawołała jedną z nich prosząc ją o wysuszenie koszulki i prześcieradła, upuszczonych do wody, i Daria Aleksandrowna rozgadała się z kobietami na dobre. Baby zrazu śmiały się w kułak i nie rozumiały pytań dziedziczki, prędko wszakże oswoiły się i rozgadały, a w ogóle natychmiast wkupiły się w łaski Darii Aleksandrowny przez swój szczery podziw dla dzieci.

— Ach, ty moja ślicznotko! — zawołała jedna, potrząsając głową, wpatrzona z zachwytem w Tanie. — Jaka to białutka! jak cukier. A chuda!...

— A tak, bo była chora.

— Patrzajcie no, i tego także kąpaliście? — pytała druga o

niemowlę.

— Ależ nie, ono ma dopiero trzy miesiące — z dumną objaśniała księżna Daria.

— Patrzcie go!

— A ty masz dzieci?

— Miałam czworo. Zostało dwoje: chłopczyk i dziewczynka. W zapusty odstawiłam ją od piersi.

— A ile ma?

— O, już drugi roczek.

— Po cóżeś ją tak długo karmiła?

— U nas taki zwyczaj: przez trzy posty.

Ta pogawędka wielce zainteresowała Darię Aleksandrownę: jaki był poród? na co dziecko chorowało? gdzie jest jej mąż? czy często przyjeżdża?

Nie miała ochoty rozstawać się z babami, tak bardzo zajęła ją rozmowa z nimi, tak zupełnie jednakie były właściwie ich zainteresowania. Największą przyjemność sprawiała Darii Aleksandrownie świadomość, jak te wszystkie kobiety podziwiają, że ona ma tak dużo dzieci i że są takie ładne. Baby poza tym rozśmieszyły ją bardzo, a oburzyły Angielkę, ta bowiem stała się powodem niezrozumiałego dla niej samej śmiechu. Jedna z młodych bab przyglądała się Angielce, która ubierała się ostatnia. Gdy ta włożyła na siebie trzecią halkę, młoda nie wytrzymała i zauważyła: „Patrzcie no, nakręciła, nakręciła i ciągle jeszcze jej nie dosyć!” Na to wszyscy wybuchnęli śmiechem.

IX

Daria Aleksandrowna, w chusteczce na głowie, powracała otoczona całym gronem dzieci, które po wykąpaniu miały jeszcze mokre główki, i była już niedaleko domu, gdy

stangret powiedział:

— Idzie ku nam jakiś pan dziedzic, zdaje się, że z Pokrowskiego.

Wyrzała z linijki i ucieszyła się widząc znajomą postać Lewina idącego ku nim w popielatym palcie i popielatym kapeluszu. Zawsze bywała mu rada, ale teraz ucieszyła się specjalnie, mógł ją bowiem oglądać w całej glorii. Nikt lepiej od niego nie potrafiłby ocenić jej wielkości.

Dojrzawszy ją stanął przed jednym z obrazów swego przyszełego rodzinnego życia, takiego, jakie sobie wymarzył.

— Dario Aleksandrowni, księżna wygląda niczym kwoka z kurczętami.

— Jakże się cieszę! — zawołała podając mu rękę.

— Niby księżna rada, a nie dała znać! Brat u mnie teraz gości. Dostałem słówko od Stiwy, że księżna jest tutaj.

— Od Stiwy? — powiedziała ze zdumieniem.

— Tak, pisze mi, że księżna zjechała tu na lato. Przypuszczam, że księżna mi pozwoli przyjść jej trochę z pomocą — dodał i natychmiast zmieszał się, urwał i szedł dalej obok linijki milcząc i gryząc zrywane po drodze lipowe pędy. Powodem jego zmieszania była myśl, że Darii Aleksandrownie może być niemiło przyjmować od obcego pomoc, której powinien jej udzielić mąż. I rzeczywiście, Daria Aleksandrowna nie pochwałała tej manieri męża, by rodzinne sprawy zwałać na kark obcym. Od razu wyczuła, że Lewin to rozumie. Lubiła go właśnie za to subtelne wyczucie, za tę delikatność.

— Oczywiście, zrozumiałem, co to znaczy — ciągnął dalej. — Po prostu księżna życzyła sobie mnie widzieć, z czego jestem bardzo rad. Wyobrażam sobie, że pani domu z miasta musi czuć się na wsi bardzo obco. Jeśli mogę się na coś przydać, to proszę mną rozporządzać.

— O nie! — odparła Dolly. — Z początku było naprawdę niewygodnie, lecz teraz, dzięki mojej starej niani, wszystko jest już doskonale zorganizowane — tu wskazała na Matryonę, która rozumiejąc, że o niej mowa, uśmiechała się wesoło i przyjaźnie. Znała Lewina, wiedziała, że to dobra partia dla panienki, i życzyła sobie, by to małżeństwo doszło do skutku.

— Niechże jaśnie pan siada, zmieścimy się — zaproponowała.

— Nie, wolę iść pieszo. Dzieci, kto chce się ścigać z końmi razem ze mną?

Dzieci mało znały Lewina i nie pamiętały go. Jednak w stosunku do niego nie wykazywały tej dziwnej mieszanki nieśmiałości i wstrętu, jaką dzieci odczuwają w stosunku do wielu nieszczerych dorosłych osób, za co nieraz porządnie im się dostaje. Poza w jakiejkolwiek dziedzinie może oszukać najrozumniejszego, najbardziej nawet przenikliwego człowieka, podczas gdy najgłupsze dziecko rozpozna i okaże wstręt do hipokryzji, choćby najkunsztowniejszej ukrytej. Lewin mógł posiadać wiele przywar, nie było w nim jednak ani cienia fałszu, toteż dzieci odniosły się do niego równie przyjaźnie jak matka. Na jego zaproszenie natychmiast dwoje starszych zeskoczyło z linijki i pobiegło z nim, tak jakby to była ich niańka, miss Pluli albo matka. Lili również zaczęła wyciągać do niego rączki i matka podała mu dziewczynkę. Posadził ją sobie na ramieniu i pocałował biec.

— Proszę się nie bać, proszę się nie bać, Dario Aleksandrownno! — wołał z wesołym uśmiechem do matki. — Nie ma mowy, żebym jej zrobił krzywdę albo ją upuścił.

Patrząc na jego zgrabne, silne, pełne troskliwej delikatności i tylko trochę skrepowane ruchy, matka uspokoiła się zupełnie i spoglądała na nich uśmiechnięta z

wesołą aprobata.

Tutaj na wsi, w towarzystwie dzieci i sympatycznej mu Doiły, Lewin wpadł w nastrój, który nawiedzał go często, a który księżna Daria specjalnie u niego lubiła — stał się po dziecinnemu wesół. Biegał z dziećmi, uczył je gimnastyki, bawił miss Hull swoją złą angielszczyzną i opowiadał Dolly o swych zajęciach na wsi.

Po obiedzie Dolly siedząc z nim na tarasie zaczęła mówić o Kitty.

— Wie pan? Kitty przyjedzie tutaj i spędzi ze mną lato.

— Naprawdę? — powiedział czerwieniąc się i zaraz, chcąc zmienić temat rozmowy, zapytał: — Więc przysłać wam tu dwie krowy? Jeśli księżna już koniecznie chce się ze mną rachować, to proszę mi płacić pięć rubli miesięcznie od sztuki. O ile księżnej nie wstyd.

— Nie, dziękuję. Jużśmy sobie poradzili.

— No dobrze. W takim razie obejrzę tutejsze krowy i jeśli księżna pozwoli, dam wskazówki, jak je karmić. Wszystko zależy od paszy. .

W tym miejscu Lewin chcąc koniecznie zmienić kierunek rozmowy wygłosił o gospodarstwie mlecznym cały wykład, oparty na zasadzie, że krowa jest tylko maszyną do przeróbki paszy na mleko.

Mówił tak, a tymczasem gorąco pragnął dowiedzieć się jakichś szczegółów o Kitty, obawiając się tego zarazem. Bał się znów utracić uzyskany z takim trudem spokój.

— Owszem, ale przecież musiałyby ktoś mieć nad tym wszystkim dozór. A kto ma to tutaj robić? — niechętnie odparła Daria Aleksandrowna.

Gospodarstwo tak dobrze już się za pośrednictwem Matriony zorganizowało, że nie miała ochoty nic w nim zmieniać, a poza tym nie wierzyła, by Lewin znał się na

gospodarstwie wiejskim. Takie wywody jak te, że krowa jest tylko maszyną do produkcji mleka, wydawały się jej podejrzane. Zdawało jej się, że podobne teorie mogą tylko przeszkadzać w gospodarstwie. Sądziła, że wszystko jest daleko prostsze: należy tylko, jak radziła Matriona, dawać Pstrokatce i Białoszce więcej paszy i pojąć i dopilnować, aby kucharz nie wynosił praczce pomyj z kuchni dla jej krowy. To było zupełnie jasne, podczas gdy dowodzenia o paszy mącznej i zielonej budziły wątpliwości i wydawały się mętne. A poza tym miała wielką ochotę pogawędzić z Lewinem na temat Kitty.

X

Kitty pisze mi, że pragnie nade wszystko spokoju i samotności — rzekła Dolly po chwili milczenia. — A jak z jej zdrowiem, czy lepiej? — zapytał wzruszony Lewin.

— Chwała Bogu, zupełnie wyzdrowiała. Co do mnie, nigdy nie wierzyłam, żeby to była piersiowa choroba.

— Ach, jakże się cieszę! — powiedział Lewin i Dolly spostrzegła, jak na jego twarzy, podczas gdy mówił, a potem patrzył na nią w milczeniu, odmalował się wyraz rozczulającej bezradności.

— Konstanty Dmitriewiczu — odezwała się księżna Daria uśmiechając się po swojemu, na pół dobrotliwie, na pół kpiąco — dlaczego pan gniewa się na Kitty?

— Ja?! — zawołał Lewin. — Ależ ja się nie gniewam. — Owszem, gniewa się pan. Dlaczego nie był pan ani u nas, ani u nich, gdy pan bawił w Moskwie?

— Dario Aleksandrownu — bronił się, czerwony aż po korzonki włosów — dziwię się nawet, że księżna, ze swą niezwykłą dobrocią tego nie wyczuwa... Czyż księżna nie ma

dla mnie żadnego współczucia... Przecie księżna wie...

— Co takiego miałabym wiedzieć?

— Księżna wie, że oświadczyłem się księżniczce i że dostałem kosza — wyznał Lewin. I cała czułość, której był przed chwilą pełen, przedzierzgnęła się w uczucie gniewu za doznaną od Kitty obrazę.

— Dlaczego pan myśli, że o tym wiedziałam?

— Bo wszyscy o tym wiedzą.

— Co do tego, to bardzo się pan myli: ja o tym nie wiedziałam, chociaż się domyślałam.

— No, więc teraz księżna już wie...

— Wiedziała tylko, że zdarzyło się coś, co ją strasznie trapiło. Prosiła mnie, żebym jej nigdy o tym nie wspominała, a skoro nawet mnie o tym nie powiedziała, to tym bardziej nikomu innemu. Więc co między wami zaszło.? Niechże mi pan opowie.

— Już powiedziałem.

— Kiedy?

— Kiedy byłem u księżnej ostatnim razem.

— Wie pan, co panu powiem — oświadczyła Daria Aleksandrowna — bardzo, bardzo mi jej żal. Wszak pan cierp jedynie z powodu urażonej, miłości własnej...

— Być może — wtrącił Lewin — a jednak... Przerwała mu:

— Ale jej biednej strasznie, strasznie mi żal. Teraz dopiero wszystko rozumiem.

— Proszę mi wybaczyć, Dario Aleksandrowno — rzekł wstając. — Muszę się już pożegnać. Do widzenia.

— Ależ nie, niech pan zaczeka — i chwyciła go za rękaw — niechże pan zaczeka. Proszę usiąść.

— Proszę, proszę, nie mówmy o tym — powiedział siadając znowu. Uczuł, jak na dnie jego serca poczyna się

dźwigać z bezwładu pogrzebana, jak mniemał, nadzieja.

— Gdybym nie lubiła pana tak, jak lubię, i gdybym tak dobrze pana nie znała... — szepnęła i łzy stanęły jej w oczach.

Uczucie Lewina, na pozór martwe, budziło się coraz silniej do życia, powstawało i znów poczynało nim władać.

— Tak, już teraz wszystko rozumiem — mówiła dalej Daria Aleksandrowna. — Pan tego zrozumieć nie może. Dla was, mężczyzn, zawsze jest jasne, kogo kochacie, ponieważ jesteście wolni i możecie wybierać. Ale dziewczyna, która trwa w wyczekiwaniu, ze swym uczuciem dziewczęcej wstydlivosti, dziewczyna, która widuje was, mężczyzn, tylko z daleka — może nie wiedzieć, kogo kocha, nie zdawać sobie z tego sprawy.

— Tak, jeśli jej serce nic nie mówi...

— Przeciwnie, serce może się nawet odzywać... Ale niech pan tylko zważy: wy, mężczyźni, upatrzycie sobie jakąś pannę, bywacie w jej domu, poznajecie ją bliżej, wyczekujecie, wypatrujecie, Czy istotnie jest w niej to, co lubicie, a wreszcie, gdy przekonacie się, żeście naprawdę pokochali, oświadczacie się...

— To nie jest tak całkiem ściśle.

— Mniejsza o to. Oświadczacie się, kiedy miłość w was dojrzała lub gdy szala przechyliła się u was na stronę jednej z dwóch wybranych. A dziewczyny nikt o nic nie pyta.. Żąda się, by sama uczyniła wybór, tymczasem ona wybierać nie może, może tylko powiedzieć „tak” lub „nie”.

„Tak: wybór pomiędzy mną a Wrońskim” — pomyślał Lewin, a powracający w jego duszy do życia trup skonał po raz wtóry i już tylko boleśnie przygniatał mu serce.

— Dario Aleksandrowno — zawołał — tak się wybiera suknię lub inny jakiś sprawunek, ale nie miłość. Wyboru

dokonano, i tym lepiej, że się tak stało... Powtórzyć tego nie można.

— Pycha, nic tylko pycha! — rzekła Daria Aleksandrowna dając mu niby do zrozumienia, że pogardza nim za tak niskie uczucie, niskie w porównaniu z tym jakimś innym, dostępnym jedynie dla kobiet. — W owym czasie, kiedy się pan oświadczał, Kitty była właśnie w takiej sytuacji, że decydować nie mogła. Wahała się: pan czy Wroński. Jego widywała codziennie, a pana od dawna nie spotykała. Może, gdyby była starsza... Dla mnie na przykład na jej miejscu nie mogłoby być żadnego wahania. Był mi zawsze wstrętny i okazało się, że słusznie.

Lewin przypomniał sobie odpowiedź Kitty. Powiedziała mu: „Nie, to niemożliwe...”

— Proszę księżnej — rzekł wreszcie oschle — cenię niezmiernie zaufanie, jakim księżna mnie darzy. Uważam, że księżna się myli. Ale bez względu na to, czy mam rację, czy nie, ta duma, którą księżna tak lekceważy, sprawia, że dla mnie wszelka nawet myśl o Katarzynie Aleksandrownie jest niemożliwa — proszę mnie zrozumieć — zupełnie niemożliwa.

— Powiem panu tylko jeszcze jedno... Pan zdaję przecie sobie sprawę, że mówię o siostrze, którą kocham jak jedno z moich własnych dzieci. Nie twierdzę, by ona pana kochała, chcę tylko wytłumaczyć, że jej ówczesna odmowa niczego nie dowodzi.

— Doprawdy! — zrywając się zawołał Lewin. — Gdyby księżna wiedziała, jaki mi to ból sprawia — Zupełnie jakby dziecko umarło, a ktoś by zaczął księżnej opowiadać, że byłoby takie a takie, że mogłoby żyć, że mogłaby się księżna nim cieszyć. A tymczasem ono umarło, umarło, umarło..

— Jaki pan śmieszny — rzekła Daria Aleksandrowna i

popatrzyła na niego, nie zważając na jego wzruszenie, ze smutnym uśmiechem. — Tak, już coraz lepiej rozumiem — dodała w zamyśleniu — Więc pan tu nie przyjedzie, dokąd Kitty u nas zabawi?

— Nie, nie przyjadę. Oczywiście, nie będę unikał książniczki, ale o ile to tylko ode mnie będzie zależało, oszczędzę jej przykrości spotkania mnie.

— Jest pan bardzo, bardzo śmieszny — powtórzyła Daria Aleksandrowna wpatrując się w niego z rozrzewnieniem. — No, więc dobrze, niech tak będzie, jakbyśmy o tym wszystkim nigdy nie rozmawiali. Czego chcesz, Taniu? — zwróciła się po francusku do córeczki, która właśnie weszła.

— Mamo, gdzie moja łopatka?

— Mówię do ciebie po francusku, mów więc do mnie tak samo!

Dziewczynka spróbowała, ale okazało się, że zapomniała, jak się to po francusku mówi. Matka podpowiedziała, po czym — w dalszym ciągu po francusku — wskazała jej miejsce, gdzie znajdowała się łopatka. Nie podobało się to Lewinowi.

W ogóle od tej chwili wszystko w tym domu, łącznie z dziećmi, wydawało się Lewinowi niesympatyczne i już wcale nie takie miłe jak przedtem.

„I po co ona gada z dziećmi po francusku? — pomyślał. — Jakie to nienaturalne, jaki w tym fałsz! I dzieci to czują. Nauczy je francuskiego, a oduczy szczerości” — rozmyślał. Nie wiedział, że Daria Aleksandrowna wielokrotnie łamała sobie głowę nad tą kwestią i mimo wszystko w końcu postanowiła, choćby z uszczerbkiem szczerości, w ten właśnie sposób uczyć swoje dzieci francuskiego.

— Dokąd pan się tak śpieszy? Niechże pan jeszcze zostanie.

Lewin został aż do herbaty, ale cała wesołość opuściła go i czuł się nieswojo.

Po herbacie wyszedł do przedpokoju i kazał zajeżdzać. Gdy powrócił, znalazł Dolly wzburzoną, ze zmienioną twarzą i ze łzami w oczach. Podczas jego nieobecności zdarzył się wypadek, który nagle zniweczył całe jej dzisiejsze szczęście i dumę z dzieci. Grisza i Tania pobili się o piłkę i Dolly, która wbiegła na krzyk do dziecinnego pokoju, zastała dzieci wyglądające okropnie. Tania trzymała Griszę za włosy, ten zaś, z twarzą zniekształconą ze złości, bił ją pięściami na chybił trafił. W sercu Dolly, gdy to ujrzała, jakby pękła jakaś struna, jakby znów mrok zapadał nad jej życiem. Zrozumiała, że te jej dzieci, z których była taka dumna, to były nie tylko najzwyczajniejsze, ale niegrzeczne, źle wychowane dzieci, ó ordynarnych, zwierzęcych instynktach, że były to dzieci — złe.

Już teraz o niczym innym nie mogła myśleć ani mówić i nie mogła się powstrzymać od opowiedzenia Lewinowi o swym nieszczęściu.

Lewin widział, że jest zboląła, i starał się dodać jej otuchy przekładając, że to nie dowodzi niczego złego, że wszystkie dzieci się czubią. Wszakże mówiąc to, w głębi duszy myślał: „Nie, ja nie będę wyprawiał takich historii, nie będę ze swymi dziećmi gadał po francusku, ale za to moje dzieci nie będą takie jak te. Nie należy tylko psuć, kaleczyć charakterów dzieci, a będą urocze. Tak, moje dzieci będą urocze, nie takie jak te.”

Pożegnał się i odjechał, a Dolly go nie zatrzymywała.

XI

W połowie lipca stawiał się u Lewina sołtys z majątku jego

siostry, znajdującego się o dwadzieścia wiorst od Pokrowskiego, i przywiózł ogólne sprawozdanie i raport o sianokosach. Główny dochód z majątku przynosiły zalewne łąki. Za poprzednich lat oddawano sianokos chłopom po dwadzieścia rubli za dziesięcinę. Kiedy Lewin wziął na siebie zarząd majątku, zdecydował po obejrzeniu sianokosu, że łąki są więcej warte, i zażądał od chłopów po dwadzieścia pięć rubli od dziesięciny. Chłopi nie tylko nie dali tej ceny, ale podmawiali innych nabywców. Wówczas Lewin sam pojechał do majątku i zarządził, by trawę skosić częściowo najemną siłą roboczą, częściowo za siano. Chłopi miejscowi przeszkadzali w tej innowacji, jak mogli, Lewin jednak przeprowadził swoje i od razu pierwszego roku łąki dały dochód podwójny. Poprzedniego i zaprzeszłego lata chłopi w dalszym ciągu stawiali bierny opór, a sprzęt siana odbywał się podług nowej metody. W tym jednak roku chłopi zgodzili się do koszenia za trzecią część zebranego siana. Obecnie zjawił się sołtys i oświadczył, że wszystkie pokosy są już zebrane w kopy ze względu na grożący deszcz oraz że on sam w obecności oficjalisty z majątku już siano podzielił i dla dworu postawił jedenaście stogów. Niejasne odpowiedzi sołtysa na pytanie, ile było siana na największej łące, pośpiech, z jakim dokonano podziału bez zapytania właściciela, cały ton rozmowy z chłopem nasunęły Lewinowi podejrzenie, że sprawa jest nieczysta. Postanowił pojechać i sprawdzić rzecz na miejscu.

Przybył do wsi w porze obiadowej, postawił konia u przyjaciela, starego chłopca, męża mamki jego brata, i poszedł do starego do pasieki chcąc się od niego wywiedzieć o szczegółach sprzętu siana. Rozmowny, o miłej powierzchowności, stary Parmenycz powitał radośnie Lewina, pokazał mu całe gospodarstwo, opowiedział ze

szczegółami o swoich pszczołach i jak się w tym roku roily, wszelako na zapytania gościa o sianokos odpowiadał niechętnie i niewyraźnie. To jeszcze bardziej utwierdziło Lewina w jego podejrzeniach, poszedł tedy na łąki obejrzyć stogi. Stwierdziwszy, że nie mogło się w nich mieścić po pięćdziesiąt wozów, a chcąc dowieść tego chłopom, polecił natychmiast sprowadzić te podwozy, które woziły siano, i jeden ze stogów przewieźć do szopy. Okazało się, że stóg miał tylko trzydzieści dwa wozy. Mimo zapewnień sołtysa, że siano zrazu posiada pewną pulchność, a potem ulega się w stogach, i mimo jego przysięg, że przy podziale wszystko szło po bożemu — Lewin oświadczył, iż ze względu na przeprowadzony bez jego wiedzy i zezwolenia podział, nie uznaje, że stogi mają po pięćdziesiąt wozów. Po długiej dyskusji postanowiono, że chłopom sobie wezmą te jedenaście stogów — licząc po pięćdziesiąt wozów w stogu — jako swoją część, a część pańską wydzielili się od nowa. Te pertraktacje oraz podział kop na łące trwały do podwieczorku. Kiedy podział już ostatecznie zakończono, Lewin zlecił oficjalsie resztę dozoru, a sam usiadłszy na kopie oznaczonej gałązką rokitnicy przyglądał się z przyjemnością rojącej się od ludzi łące.

Przed nim, w zakręcie rzeki, tuż za niewielkim mokradelkiem, poruszał się żwawo barwny szereg kobiet, wesoło trajkoczących dźwięcznymi głosami, a ich śladem, na jasnozielonym odrastającym już potrawie, szybko tworzyły się szare, kręte wały z roztrzęsionego siana. Tuż za babami szli chłopom z widłami w garści i wnet z wałów urastały szerokie, wysokie, rozłożyste kopice. Na lewo, po sprzątniętej już łące klekotały wozy i wnet, podawane na widłach olbrzymimi ładunkami, znikwały kopy, a na ich miejscu stały już tylko fury, które nakładano wonnym

sianem, ciężko nawisającym na końskie zady.

— Byle tylko zwieźć przy pogodzie! To mi siano! — chwalił stary, który przysiadł się do Lewina. — Istna herbata, nie siano! A uwijają się, jakby kto kaczetom pośladu sypnął! — dodał wskazując na sprzęt kopic. — Od obiadu dobrą połowę zwieźli.

— Czy to już ostatnia? — krzyknął do młodzika, który stojąc na przodku wozu i wymachując końcami konopianych lejc, przejeżdżał właśnie koło nich.

— Ostatnia, tato! — wrzasnął młodzik wstrzymując konia i z uśmiechem obejrzał się na wesołą, również uśmiechniętą, rumianą babę siedzącą w drabinach wozu, po czym popędził dalej.

— A to kto? Wasz syn? — spytał Lewin.

— Mój najmłodszy — uśmiechnął się z rozrzewnieniem stary.

— Jaki z niego zuch!

— Niczego chłopak.

— I już żonaty?

— Tak, dwa lata minęło na świętego Filipa.

— A dzieci mają?

— Jakie tam dzieci! Przez cały rok nic nie rozumiał i wstydził się — objaśniał Lewina stary. — Ale siano, siano!... Prawdziwa herbata! — powtórzył pragnąc zmienić „temat.

Lewin przyglądał się bacznie Wańce Parmenowowi i jego żonie, którzy ładowali nie opodal furę siana. Iwan Parmenow stał na drabiaku, odbierając, równając i udeptując olbrzymie ilości siana, które zrazu nareczami, później widłami podawała mu zręcznie jego młoda, ładna żona. Kobięcina pracowała bez wysiłku, zgrabnie i wesoło. Grube uleżałe siano nie poddawało się od razu, więc je wpierw wzruszała, by móc wsunąć widły. Potem szybkim, sprężystym ruchem napierała

na widły całym ciężarem ciała i natychmiast, przeginając się w pół — przepasana czerwonym pasem — wyprostowywała się i przęąc obfitą pierś pod białym rąbkiem, zgrabnym ruchem zmieniała uchwyt rąk na widłach i podbijała wysoko na wóz olbrzymie naręczce siana. Iwan z pośpiechem, starając się najwidoczniej oszczędzić jej nawet minuty zbytecznego wysiłku, chwycił w szeroko otwarte ramiona podawane siano i układał je na furze. Kobieta podała resztę siana na grabiach, postrząsała z szyi okruchy, które się jej wsypały za koszulę, i poprawiwszy krasną chustkę, zsuniętą z białego, nie opalonego czoła, wlaża pod wóz, aby go opawęzić. Iwan pokazywał jej, jak zaczepić sznur o pawęż i przy tym głośno roześmiał się z jakiegoś jej powiedzenia. W wyrazie twarzy obojga znać było mocną, młodą, niedawno rozbudzoną miłość.

XII

Wóz był wreszcie związany. Iwan zeskoczył i podprowadził za uzdę dobrego, wypasionego konia. Kobieta wrzuciła na wóz grabie i różnym krokiem, wymachując rękami, przyłączyła się do korowodu bab. Iwan, wyjechawszy na drogę, zajął ze swym wozem miejsce wśród innych fur. Baby, z grabiami na ramieniu, świecąc jaskrawością barw i trajkocząc dźwięcznymi, wesołymi głosami, szły za nimi. Jeden niski, dziki, babi głos podjął jakąś pieśń i śpiewał ją sam, aż powtarzając się zwrotkę podchwyciło zgodnie od początku z pół setki rozmaitych, niskich i wysokich, donośnych głosów.

Baby ze swą pieśnią zbliżały się do Lewina, a jemu się zdawało, że to jakaś chmura brzemenna gromem wesołości sunie wprost na niego. Chmura dopadła go, ogarnęła i jego, i

kopę siana, na której leżał, i inne kopy, ogarnęła wozy i całą łąkę wraz z dalekim polem — aż wszystko poruszyło się i zakolysało w takt tej dzikiej, rozhukanej pieśni, z jej pokrzykiwaniem, poświstem i pohukiwaniem. Lewin poczuł zazdrość. Zapragnął takiej zdrowej wesołości; najchętniej byłby wziął udział w tym żywiołowym wyrazie radości. Nie mogąc jednak tego uczynić, musiał i nadal leżąc przypatrywać się i słuchać. Gdy cały ludek wraz z pieśnią znikł mu z oczu i nie było go już słychać, Lewina ogarnęło uczucie ciężkiej melancholii nad swoim osamotnieniem, swoim fizycznym nieróbstwem i tą swoją jakąś wrogością wobec otaczającego świata.

Niektórzy spomiędzy tych właśnie chłopów, co najbardziej kłócili się z nim o siano, tacy, których on uraził, lub tacy, którzy chcieli go oszukać, ci sami chłopcy wesoło mu się kłaniali i najwidoczniej nie mieli i mieć nie mogli do Lewina żadnego żalu. Nie odczuwali żadnej skruchy ani też nawet nie pamiętali już o planowanym przez siebie oszustwie. Wszystko utonęło w morzu wesołej wspólnej pracy. Pan Bóg dał dzień i Pan Bóg dał siły. I dzień, i siły zostały poświęcone pracy, która już sama w sobie stanowi nagrodę. A dla kogo jest ta praca? Jakie będą jej owoce? To są rozważania uboczne i znikome.

Lewin nieraz zachwycał się tym życiem, nieraz zazdrościł ludziom, którzy je wiedli, lecz obecnie po raz pierwszy, specjalnie pod wrażeniem tego, jak Iwan Parmenow traktował swoją młodą żonę, powziął myśl, że przecież od niego tylko zależałaby zmiana. Czemu nie miałby przedzierzgnąć swego tak mu obrzydłego, bezczynnego, sztucznego i egoistycznego bytowania w takie oto pracowite., czyste, wspólne, pełne uroku życie?

Stary, który z nim razem usiadł na kopie, dawno już wrócił

do siebie; wszyscy się porozchodzili. Mieszkający bliżej pojechali do domu, a dalsi mieszkańcy zebrali się na łące na wieczerzę i nocleg. Nikt nie zauważył Lewina, który, wciąż jeszcze leżąc na swej kopie, patrzył, słuchał i medytował.. Zebrana na łące gromadka przez tę krótką noc prawie wcale nie spała. Zrazu przy wieczerzy słyhać było ogólne wesołe rozhowory i śmiechy, potem znowu śmiech i pieśni.

Cały długi dzień pracy nie pozostawił na nich żadnego śladu prócz wesołości. Tuż przed ranną zorzą wszystko ucichło i słyhać było tylko niemilknące żaby w błocie i konie parszające we mgle, co podniosła się na łące przed wschodem. Lewin wreszcie ocknął się, wstał i poznał po gwiazdach, że noc już minęła.

„No, więc co mam zrobić? I jak to zrobić?” — rzekł w duchu, usiłując sam dla siebie sformułować wszystko, co w ciągu tej krótkiej nocy przemyślał i odczuł. Bieg wszystkich jego myśli i uczuć szedł trzema odrębnymi torami. Jeden — to było wyrzeczenie się starego życia, niepotrzebnej wiedzy, nikomu na nic nieużytecznego wykształcenia. To wyrzeczenie było rozkoszą, było dla niego łatwe i proste. Inne znów myśli i wyobrażenia dotyczyły życia, którym pragnął żyć odtąd. Czuł wyraźnie, jaką prostotę, czystość i prawość niosłoby ze sobą takie życie, i był pewien, że znajdzie w nim to zadowolenie, to zaspokojenie i tę godność, których brak tak boleśnie odczuwał. Trzeci za to nurt myśli — jak dokonać tego przejścia od dawnego życia do nowego — obracał się w miejscu. W tej dziedzinie Lewin nic sobie nie mógł jasno wyobrazić. „Ożenić się? Mieć pracę? Pracować z musu? Opuścić Pokrowskie? Kupić gdzie indziej trochę ziemi? Zapisać się do jakiej gminy wiejskiej? Ożenić się z chłopką? Jakże ja to wszystko wykonam? — zapytywał sam siebie i nie znajdował odpowiedzi. — Zresztą, całą noc

nie spałem, więc nawet nie mogę zdać sobie z niczego jasno sprawy — mówił w duchu. — Wyjaśnię to sobie później. Jedno jest pewne, to, że dzisiejsza noc zdecydowała o moim losie. Wszystkie moje poprzednie rojenia o życiu rodzinnym to absurd, zupełnie nie to, co trzeba — zawyrokował. — Wszystko jest daleko prostsze i lepsze...”

„Jakież to piękne! — pomyślał patrząc na dziwaczną jakby z perłowej masy muszlę, całą złożoną z białutkich obłoczków baranków, która stała się pośrodku nieba, nad samą jego głową. — Jakie uroczę jest wszystko w tę śliczną noc. I kiedy ta muszla zdążyła się utworzyć? Niedawno patrzyłem w niebo i nie było na nim nic oprócz dwóch białych smug... Tak... Równie niepostrzeżenie zmieniły się i moje poglądy na życie!”

Opuścił łąkę i poszedł gościńcem w kierunku wioski. Podnosił się wiaterek i robiło się szaro. Nastawała mroczna, pochmurna chwila, poprzedzająca zwykle świt, to całkowite zwycięstwo światła nad ciemnością.

Lewin szedł szybko, patrząc w ziemię, skulony od chłodu., „A to co? Ktoś jedzie” — pomyślał słysząc janczary u chomąt i podniósł głowę. O czterdzieści kroków jechała naprzeciw niego tym samym gościńcem zarosłym murawą, którym szedł, karetą z kuframi na dachu, zaprzężoną w cztery konie. Konie dyszlowe cisnęły się do dyszła unikając kolein, ale zręczny pocztylion, siedzący na koźle bokiem, utrzymywał dyszel nad koleiną, tak że koła stale toczyły się po gładkim.

Lewin zrazu zauważył tylko to jedno i nawet nie myśląc o tym, kto jedzie, z roztargnieniem spojrzął do wnętrza karety.

W kącie drzemiała staruszka, a przy oknie siedziała, najwidoczniej tylko co zbudzona, młoda dziewczyna trzymająca jeszcze oburącz wstążki od białego czepeczka.

Jasna i zadumana, pełna subtelnego i skomplikowanego, a obcego Lewinowi życia, patrzyła, nie widząc przechodnia, na zorzę wschodu.

W chwili kiedy zjawisko już miało zniknąć, najszczerze oczy spojrzały wprost na niego. Poznała go i radosne zdumienie opromieniło jej twarz.

Nie mógł się omylić. Na całym świecie była tylko jedna taka para oczu i była tylko jedna na świecie istota zdolna zogniskować dla niego całą jasność i cały sens istnienia. To była ona, Kitty. Widocznie jechała ze stacji kolejowej do Jerguszowa. I nagle wszystko, co ubiegłej bezsennej nocy tak poruszyło Lewina, wszystkie powzięte przezeń postanowienia — znikły. Ze wstrętem przypomniał sobie swoje rojenia o małżeństwie z chłopką. Tam, tylko tam, w tej prędko oddalającej się po drugiej stronie gościńca karecie, była możliwość rozwiązania zagadki życia, która ostatnimi czasy tak go dotkliwie męczyła.

Nie wyjrzała po raz drugi. Scichł odgłos resorów i janczary już ledwo było słycać. Szczekanie psów oznajmiło, że karetka wjechała do wioski. Dokoła pozostały puste pola, przed nim — wieś i tylko on, samotny i obcy wszystkiemu, idący sam jeden po zaniedbanym gościńcu.

Spojrzał na niebo mając nadzieję odnaleźć tam ową muszlę, która go tak zachwyciła i która uosabiała dla niego cały bieg myśli i uczuć z ostatniej nocy. Na niebie wszakże nie było już nic podobnego do owej muszli. Tam, na niedostępnej wysokości, zaszła już tajemnicza przemiana. Nie było ani śladu muszli, a połowę nieba zaścielał dywan z coraz to drobniejszych obłocznych baranków. Niebo błękitniało i jaśniało, i ciągle z jednaką czułością, ale też jednak niedostępne, odpowiadało na pytające spojrzenie Lewina.

„Nie — rzekł do siebie — jakkolwiek piękne jest to proste i pracowite życie, nie mogę do niego powrócić. Kocham ją.”

XIII

Nikt, prócz osób stojących całkiem blisko Karenina, nie wiedział, że ten na pozór w najwyższym stopniu zimny i pełen rozsądku człowiek miał pewną słabość, zupełnie sprzeczną z ogólnym układem jego charakteru. Aleksy Aleksandrowicz nie mógł patrzeć na łzy dziecka lub kobiety. Widok łez wprawiał go w stan całkowitego rozprężenia i odbierał wszelką zdolność orientacji. Szef kancelarii i sekretarz Karenina obaj znali tę jego właściwość i przestrzegali petentki, aby — o ile nie chcą popsuć z góry całej sprawy — powstrzymywały się od płaczu. „Bo rozgniewa się i nie będzie chciał pani wcale wysłuchać” — mówili. Istotnie, zamęt wewnętrzny, jaki łzy wywoływały w Kareninie, uzewnętrzniał się w nagłym gniewie. „Nie mogę, nie mogę nic dla pani zrobić. Proszę wyjść!” — zwykł był wykrzykiwać w podobnych wypadkach.

Kiedy w drodze z wyścigów Anna oznajmiła mu o swym stosunku do Wrońskiego i zaraz potem rozplakała się kryjąc twarz w dłoniach, Aleksy Aleksandrowicz mimo gniewu, jaki w nim wzbudziła żona, jednocześnie poczuł, że wzbiera w nim ów zamęt wewnętrzny, który łzy w nim zawsze wywoływały. Zdając sobie z tego sprawę i wiedząc, że byłoby nie wskazane w takiej chwili wypowiadać swoje uczucie, starał się powstrzymać od jakichkolwiek w ogóle oznak życia i dlatego nie poruszał się i nie patrzył na żonę. Stąd pochodził ten dziwny, trupi wyraz twarzy, który tak uderzyły Annę.

Gdy dojechali do domu, pomógł jej wysiąść z karety i

opanowując się pożegnał ją ze zwykłą grzecnością, przy czym wypowiedział zdanie, które go do niczego nie zobowiązywało, a mianowicie, że da jej nazajutrz znać o swej decyzji.

Słowa, którymi Anna potwierdziła jego najgorsze przeczucia, sprawiły mu ból okrutny, tym okrutniejszy, że wzmożony owym dziwnym, jakby fizycznym, uczuciem litości wywołanej widokiem jej łez. Gdy jednak pozostał sam w karecie, ku wielkiemu swemu zdumieniu i zadowoleniu poczuł się nagle zupełnie wolny i od tego politowania, i od dręczących go ostatnimi czasy zwątpień i mąk zazdrości.

Czuł się jak człowiek, któremu wyrwano bolący od dawna ząb. Po okropnym bólu i wrazeniu, że wyrrywają mu ze szczęki coś olbrzymiego, większego od całej głowy, chory nagle, jeszcze nie dowierzając własnemu szczęściu, czuje, że to, co od tak dawna zatruwało mu życie, pochłaniało całą jego uwagę, naraz przestało istnieć i że znów może żyć, myśleć i interesować się nie tylko wyłącznie własnym zębem. Tego właśnie uczucia doświadczał teraz Karenin. Ból był niezwykle i straszliwy, ale obecnie już minął i można było znowu żyć i myśleć nie tylko wyłącznie o żonie.

„Bez czci, bez serca, bez religii, zepsuta kobieta! Zawszem to wiedział i widział, chociaż przez litość dla niej starałem się oszukiwać sam siebie” — pomyślał. I zdawało mu się, że zawsze to widział. Przypominał sobie teraz szczegóły dotychczasowego z nią pożycia, które dawniej nie wydawały mu się niczym zdrożnym, obecnie zaś dowodziły jasno, że Anna zawsze była zepsuta. „Popełniłem omyłkę wiążąc z nią swoje życie. Omyłka ta wszelako nie była niczym złym, nie ja tedy powinienem być nieszczęśliwy. Nie ja jestem winien, lecz ona — powiedział sobie. — Ale ona mnie już nie obchodzi. Nie istnieje dla mnie.”

To wszystko, co miało spaść na nią i na syna, w stosunku do którego, tak jak i do niej, uczucia jego uległy zmianie, przestało go w ogóle zajmować. Jedyne rzecz, która go obecnie interesowała, to zagadnienie, jak w najlepszy, najprzystojniejszy, najdogodniejszy dla siebie — a przeto i najsprawiedliwszy — sposób otrząsnąć się z tego błota, którym, padając sama, opryskała i jego, i jak w dalszym ciągu iść nadal swoją własną drogą czynnego, uczciwego i użytecznego życia.

„Nie godzi się, abym ja był nieszczęśliwy dlatego, że nikczemna kobieta popełniła przestępstwo. Muszę tylko obmyślić najlepsze wyjście z tej ciężkiej sytuacji, w której się przez nią znalazłem. I obmyślę je — obiecywał sobie zasepiając się coraz bardziej. — Nie ja pierwszy, nie ja ostatni.” I w wyobraźni jego zarysował się cały szereg wypadków zdrad, jakich ostatnio padli ofiarą różni mężowie, ludzie z wyższego towarzystwa, nie mówiąc już o Menelausie, którego pamięć wskrzesiło wystawienie *Pięknej Heleny**. Dariałow, Połtawski, książę Karibanow, hrabia Paskudin, Dram... Tak, i Dram również... Taki porządny, solidny człowiek... Siemionow, Czagin, Sigonin — przypominał sobie Aleksy Aleksandrowicz. — Dajmy na to, że jakieś bezsensowne *ridicule** okrywa tych ludzi, lecz ja sam nigdy nie widziałem w tym nic oprócz nieszczęścia i zawsze miałem dla nich tylko współczucie” — stwierdzał Karenin, mimo że nie było to prawdą. Nie tylko nigdy nie miał współczucia dla tego rodzaju nieszczęść, lecz im częściej zdarzały się wypadki niewierności żon wobec mężów, tym wyżej stawiał siebie. „Takie nieszczęście może się przytrafić każdemu. Teraz mnie się przytrafiło. Chodzi

* *Piękna Helena* — tu mowa o operetce Jakuba Offenbacha (1819–1880) wystawionej po raz pierwszy w Paryżu w r. 1964.

* *Ridicule* — śmieszność

tylko o to, jak najlepiej dać sobie radę z tą sytuacją.” Tu począł roztrząsać w myśli sposób postępowania ludzi, którzy znaleźli się w takim jak on położeniu. „Dariałow miał pojedynek...

Za młodych lat pojedynek specjalnie pociągał Karenina, właśnie dlatego, że był on człowiekiem fizycznie lęklwym, o czym dobrze wiedział. Nie mógł bez przerażenia wyobrazić sobie wymierzonego do siebie pistoletu i nigdy w życiu nie używał żadnej broni. Właśnie ten lęk był od młodych lat powodem, że narzucała mu się myśl o pojedynku i że niejako przymierzał się do takiej sytuacji, w której byłby zmuszony narazić życie na niebezpieczeństwo. Sukcesy i osiągnięcie solidnego stanowiska w życiu sprawiły, że już dawno zapomniał o tym uczuciu, ale stary nawyk wziął teraz górę. Obawa własnego tchórzostwa i obecnie była w nim tak przemożna, że Karenin długo i wszechstronnie rozważał i pieścił się myślą o pojedynku, chociaż wiedział już z góry, że w żadnym wypadku nie będzie się bił.

„Bez wątpienia, społeczeństwo nasze jest jeszcze tak niekulturalne (nie to co: w Anglii!), że wielu — a pomiędzy nimi byli tacy, o których opinię Karenin specjalnie dbał — widziałoby dobre strony pojedynku. Jaki jednak byłby rezultat? Przypuśćmy, że wyzwę go na pojedynek” — kontynuował swój wewnętrzny monolog Aleksy Aleksandrowicz. Tu żywo wyobraził sobie noc, jaką spędził po wyzwaniu, i skierowaną ku sobie lufę pistoletu; dreszcz go przejął, zrozumiał, że nigdy nic podobnego nie uczyni. „Przypuśćmy, że wyzwę go na pojedynek. Przypuśćmy, że mnie wszystkiego nauczą — myślał dalej — że mnie ustawią, że nacisnę kurek — mówił zamykając oczy — i okaże się, że go zabiłem — rzekł do siebie i trząchnął głową, by odpędzić te głupie myśli. — Czy to ma sens zabić człowieka po to, by

wyjaśnić swój stosunek do występnej żony i do syna? Tak czy tak, musiałbym potem postanowić, co z nią począć. Lecz — co jest jeszcze prawdopodobniejsze i co z pewnością się stanie — zabity lub ranny będę właśnie ja, ja, który nic nie zawiniłem. Ja — poszkodowany — byłbym ranny lub zabity. To byłoby jeszcze bardziej bezsensowne. Lecz nie dość na tym. Wyzwanie na pojedynek będzie z mej strony uczynkiem nieuczciwym, wiadomo mi bowiem z góry, że przyjaciele moi nigdy do tego pojedynku nie dopuszczą, nie pozwolą na to, by życie potrzebnego Rosji męża stanu było narażone na niebezpieczeństwo. Cóż się tedy stanie? To, że naprzód — już przekonany o nieszkodliwym zakończeniu, byłbym chciał jedynie dodać sobie przez to wyzwanie jakiejś próżnej glorii. To byłoby nieuczciwe, to byłby fałsz oszukiwanie innych i samego siebie. Pojedynek jest nie do pomyślenia i nikt się go po mnie nie spodziewa. Celem moim winno być zabezpieczenie mego dobrego imienia, które jest mi niezbędne do prowadzenia bez przeszkód i nadal mej działalności.” Służbowe czynności, które i przedtem miały dla Karenina wielkie znaczenie, nabrały obecnie w jego oczach osobliwej wagi.

Po rozważeniu i odrzuceniu pojedynku Aleksy Aleksandrowicz zabrał się do rozważania rozwodu. Było to drugie wyjście obierane przez niektórych z owych zdradzonych mężów, którzy mu się przypomnieli. Przerzucając w pamięci wszystkie wiadome mu wypadki rozwodu (było ich bardzo wiele i w najwyższym, dobrze mu znanym towarzystwie) Aleksy Aleksandrowicz nie znalazł ani jednego, gdzie by cel był taki, jaki on sam sobie stawiał. We wszystkich tych wypadkach mąż odstępował lub odprzedawał niewierną żonę, i strona, która na skutek przewinienia nie miała prawa zawierać małżeństwa,

wstępowała w oparty na fikcji, niby legalny związek z nowym małżonkiem. Aleksy Aleksandrowicz jednak zdawał sobie sprawę, że w jego wypadku otrzymanie legalnego, tj. takiego rozwodu, gdzie by tylko niewierna żona została obarczona winą, było niemożliwe. Wiedział, że skomplikowane warunki życia, w których się znajdował, nie pozwalały na uzyskanie takich drastycznych dowodów, jakich wymagała ustawa, dla stwierdzenia wiarołomstwa żony, i wiedział, że pewne wysubtelnienie tego życia nie pozwala na użycie tych dowodów, nawet gdyby one istniały. Użycie ich więcej zaszkodziłoby w opinii jemu niż jej.

Próba otrzymania rozwodu mogła jedynie doprowadzić do skandalicznego procesu, który byłby gratką dla jego wrogów, stałby się tematem obmowy i obniżyłby powagę jego stanowiska. Tymczasem głównym celem Karenina było wyświetlenie sytuacji przy wywołaniu jak najmniejszego zamętu. Celu tego nie można było osiągnąć przez rozwód. Poza tym było jasne, że w razie rozwodu, a nawet przy próbie otrzymania go, żona zrywała z mężem i pozostawała przy kochanku. W duszy jednak Karenina, mimo że obecnie odnosił się do Anny, jak mu się zdawało, tylko z pogardliwą obojętnością, pozostało w stosunku do niej jedno uczucie: nie życzył sobie, by mogła połączyć się bez przeszkód z Wrońskim, nie chciał, aby przestępstwo przyniosło jej korzyść. Już sama myśl o tym tak podrażniła Karenina, że zaledwie to sobie wyobraził, aż jęknął z wewnętrznego bólu, zerwał się i przesiadł na inne miejsce w karecie, a potem — zasepiony — długo owijał swe łątwo ziębnące, kościste nogi w puszysty pled podróżny.

„Poza formalnym rozwodem można by też postąpić jak Karibanow, Paskudin i ten zacny Dram, to jest rozstać się z żoną” — myślał dalej, już spokojniejszy. Ale i ten krok

pociągałby za sobą te same niedogodności co rozwód, czyli i wówczas jego dobre imię byłoby narażone na szwank, a co najważniejsze — separacja, tak samo jak formalny rozwód, rzucała Annę w objęcia Wrońskiego. „Nie, to niemożliwe, niemożliwe! — wykrzyknął głośno i znów ją obracać pled na drugą stronę. — Ja nie powinienem być nieszczęśliwy, ale niechże ona i on nie będą szczęśliwi.” Zazdrość dręcząca go w okresie niepewności znikła z chwilą, gdy wyznanie żony wyrwało mu niejako ząb razem z jego bólem. Ale zazdrość ustąpiła innemu uczuciu — pragnieniu, by żona jego nie tylko nie triumfowała nad nim, lecz by spotkała ją kara za zbrodnię. Karenin nie chciał się przyznać do tego uczucia, lecz w głębi serca miał ochotę, by Anna odpokutowała za ujmę przyczynioną jego czci i spokojowi. I na nowo przetasowywał możliwości, jakie nastęrczały pojedynk, rozwód i separacja, i na nowo je odrzucił, pewien, że było tylko jedno wyjście: zatrzymać żonę przy sobie, ukrywszy przed światem to, co się stało, i poczyniwszy wszystkie kroki, by przerwać występny związek, a zatrzymać ją po to zwłaszcza (do czego się sam przed sobą nie przyznawał), by ją ukarać. „Winienem oznajmić jej moją decyzję, mianowicie, że po rozważeniu trudnej sytuacji, do jakiej doprowadziła rodzinę, okazało się, iż wszystkie inne wyjścia byłyby dla obu stron gorsze niż pozorne *status quo** i że takowe gotów jestem z mej strony zachować, lecz pod ścisłym warunkiem, by żona ze swej strony zastosowała się do mojej woli, to jest, by zerwała z kochankiem.” Jeszcze jedna ważna okoliczność posłużyła Kareninowi jako potwierdzenie raz już powziętej decyzji. „Tylko w ten sposób — pomyślał — postępuję zgodnie z religią; tylko przy tego rodzaju decyzji nie odtrącam od siebie występnej żony, lecz

* *Status quo* — stan dotychczasowy

dają jej możność poprawy i nawet — jakkolwiek ciężko by mi to przyjść mogło — poświęcam część mych własnych sił ku jej poprawie i zbawieniu.” Aleksy Aleksandrowicz dobrze wiedział, że nie może mieć na żonę żadnego moralnego wpływu i że z całej tej próby skłonienia jej do poprawy nic oprócz fałszu nie wyniknie. Mimo to i mimo że przez cały czas tych ciężkich przejść ani razu przez myśl mu nie przeszło kierować się zasadami religii — teraz, gdy jego decyzja była, jak mu się zdawało, zgodna z przepisami religii, owa sankcja religijna dla jego postanowień dawała mu pełną satysfakcję i przynosiła nawet pewną ulgę. Ucieszył się na myśl, że również i w sprawie tak życiowo ważnej nikt nie będzie mógł zarzucić mu, że postępuje niezgodnie z przepisami tej religii, której sztandar pośród ogólnej oziębłości i obojętności dzierżył zawsze tak wysoko. Obmyślając dalsze szczegóły Karenin nie widział nawet powodu, dlaczego jego stosunki z żoną nie miałyby pozostać nieomal takie, jak dotychczas. Niewątpliwie, nie będzie nigdy w stanie przywrócić jej swego dawnego szacunku, nie było jednak i być nie mogło żadnej racji, by miał dezorganizować swoje życie i cierpieć tylko dlatego, że Anna była złą i niewierną żoną. „Tak przejdzie czas, wszystko wyrównujący czas, i znów powrócą dawne stosunki — mówił sobie Karenin — to jest, powrócą na tyle, że życie moje nie dozna zamętu. Ona powinna być nieszczęśliwa, lecz ja nic nie zawiniłem i przeto nie powinienem być nieszczęśliwy.”

XIV

Zbliżając się do Petersburga Aleksy Aleksandrowicz nie tylko był już zupełnie zdecydowany na takie rozstrzygnięcie, lecz nawet ułożył sobie w głowie list, jaki napisze do żony.

Po wejściu do portierni rzucił okiem na listy i akta przyniesione z ministerstwa i kazał podać je sobie do gabinetu.

— Proszę kazać wyprząc konie i nikogo nie przyjmować — polecił na zapytanie szwajcara, kładąc z pewną przyjemnością mocniejszy akcent na słowie „nie przyjmować”, co było u niego oznaką dobrego humoru.

Karenin przeszedł się dwa razy po gabinecie i zatrzymał się przed olbrzymim biurkiem, gdzie już uprzednio kamerdyner zapalił sześć świec, trzasnął w, palce, usiadł i począł przebierać w przyborach do pisania. Położył łokcie na stole, przechylił głowę na bok i zaczął pisać nie zatrzymując się ani na chwilę. Pisał do żony opuszczając osobisty zwrot do niej na początku listu; pisał po francusku, posługując się zaimkiem *vous*^{*}, który w tym języku nie ma tego charakteru oziębłości, jaki posiada po rosyjsku.

„W czasie ostatniej naszej rozmowy wyraziłem zamiar powiadomienia Pani o decyzji, jaką poweźmę na temat przez nas wówczas poruszony. Po dokładnym rozważeniu wszystkiego piszę obecnie w celu spełnienia tej obietnicy. Decyzja moja jest następująca: jakiegokolwiek było Pani postępowanie, nie uważam, bym miał prawo zerwać więzy, którymi nieba nas połączyły. Rodzina nie może ulec rozpadowi z powodu kaprysu, samowoli czy nawet zbrodni jednego z małżonków, i życie nasze winno toczyć się tak jak dotychczas. Jest to konieczne dla mnie, dla Pani, dla naszego syna. Jestem zupełnie przekonany, że Pani żałowała i żałuje tego, co stało się powodem niniejszego listu, i że Pani będzie współdziałała ze mną, aby wyrwać z korzeniem przyczynę naszego poróżnienia i zapomnieć o tym, co było. W razie

* *Vous* — wy, pani

przeciwnym sama może Pani sobie wyobrazić, jaki los oczekiwałby Panią i jej syna. Wszystko to mam nadzieję bardziej szczegółowo omówić przy osobistym spotkaniu. Ponieważ letni sezon już się kończy, prosiłbym, aby Pani jak najprędzej, nie później niż we wtorek, przeniosła się do Petersburga. Wszystkie konieczne do tych przenosin rozporządzenia będą wydane. Zwracam uwagę Pani, że wypełnieniu tej mojej prośby przypisuję specjalne znaczenie.

A. Karenin

P. S. Załączam do listu pieniądze, które mogą Pani być potrzebne na wydatki.”

Odczytał list z zadowoleniem, zwłaszcza kontent był, że pamiętał o załączeniu pieniędzy. Nie było w liście ani jednego okrutnego słowa, żadnego wyrzutu, nie było jednak i pobłażliwości. A co najważniejsze, był w nim złoty most ułatwiający powrót. Złożywszy list wygładził go wielkim, masywnym nożem ze słoniowej kości i umieścił w kopercie razem z pieniędzmi. Czuł zadowolenie, które zawsze budziło się w nim przy posługiwaniu się doskonałymi przyborami do pisania, jakie posiadał. Zadzwoił.

— Oddasz to kurierowi, żeby doręczył jutro jaśnie pani w Peterhofie — powiedział i wstał.

— Słucham, wasza ekscelencjo. Czy mam podać herbatę do gabinetu?

Aleksy Aleksandrowicz kazał podać sobie, herbatę w gabinecie i bawiąc się masywnym nożem podszedł do — fotela, przy którym była przygotowana lampa i rozpoczęta książka francuska o napisach eugubińskich. Nad fotelem wisiał w owalnej, złotej — ramie piękny portret Anny, pędzla znakomitego artysty. Aleksy Aleksandrowicz spojrział na portret: nieprzeniknione jej oczy patrzyły na niego szyderczo

i bezczelnie jak w ostatni ów wieczór, gdy doszło między nimi do wyjaśnień. Wygląd doskonale oddanej przez artystę czarnej koronki na głowie, czarnych włosów i prześlicznej białej ręki, o serdecznym palcu pokrytym pierścionkami, zdał się Kareninowi również bezczelny i niezdolnie wyzywający. Popatrzył przez chwilę na portret, wzdrygnął się tak, że aż mu wargi zadygotały wydając dźwięk „brrr!”, i odwrócił się. Rzucił się na fotel i otworzył książkę. Spróbował czytać, lecz nie potrafił już wskrzesić w sobie żywego przedtem zainteresowania eugubińskimi napisami. Patrzył w książkę i myślał o czym innym. Myślał jednak nie o żonie, lecz o pewnej komplikacji, jaka wynikła ostatnimi czasy w jego państwowej działalności i stała się punktem ciężkości jego służbowych zainteresowań. Czuł, że w tej chwili był w stanie głębiej niż kiedykolwiek wniknąć w istotę tej komplikacji i że powstawała w jego głowie — mógł to powiedzieć śmiało, bez fałszywych złudzeń — myśl kapitalna, mogąca rozplątać całą tę kwestię, przynieść mii awans w karierze, zaszkodzić jego wrogom, a w rezultacie dać dużą korzyść państwu. Skoro tylko służący podał herbatę i opuścił pokój, Aleksy Aleksandrowicz wstał i podszedł do biurka. Posunąwszy na środek tekę ze sprawami bieżącymi, z ledwo dostrzegalnym uśmiechem zadowolenia z siebie wyjął z podstawki ołówek i pograżył się w czytaniu trudnego *dossier*, którego specjalnie zażądał, a które miało związek z ową komplikacją. Oto na czym komplikacja polegała. W swym charakterze męża stanu Karenin miał, podobnie jak każdy wybitny urzędnik, pewien rys charakterystyczny, dzięki któremu; przy swej upartej ambicji, opanowaniu, uczciwości i pewności siebie zrobił karierę. Rys ten polegał na lekceważeniu papierowych oficjalności, uproszczeniu korespondencji, na bezpośrednim — o ile się dało — stosunku do żywych spraw, wreszcie na

oszczędności. Tak się zdarzyło; że na sławetnej komisji z drugiego czerwca była postawiona sprawa nawodnienia pól guberni żarajskiej, przynależna do kompetencji ministerstwa Karenina i będąca typowym przykładem niecelowych wydatków i papierowego stosunku do spraw. Aleksy Aleksandrowicz wiedział, że zarzuty były uzasadnione. Sprawa ta zaczęła się jeszcze za jego poprzednika. Istotnie, wydano na irygację pól żarajskiej guberni najzupełniej nieproduktywnie bardzo wiele pieniędzy i cała ta historia nie mogła oczywiście doprowadzić do żadnego rezultatu. Kiedy Aleksy Aleksandrowicz rozpoczął urzędowanie, natychmiast się w tym zorientował i chciał wziąć rzecz w swoje ręce. Zrazu jednak nie czuł się dość pewny siebie. Wiedział, że sprawa ta zahaczała o mnóstwo interesów, że więc nierozsądnie byłoby ją poruszać. Później zajęły go inne sprawy i o tej po prostu, zapomniał — szła naprzód jak wszystkie sprawy, sama przez się, siłą bezwładności. (Wiele osób utrzymywało się z niej, zwłaszcza pewna bardzo porządna i muzykalna rodzina, gdzie wszystkie córki grały na instrumentach strunowych. Karenin znał ową rodzinę i nawet na ślubie jednej ze starszych córek zastępował ojca panny młodej.) Uważał, że zaczepienie tej całej rzeczy przez wrogie ministerstwo było niełojalnością, w każdym bowiem ministerstwie istniały podobne i jeszcze znacznie gorsze sprawy, których nikt, kierując się pewnego rodzaju etykietą służbową, nie poruszał. Skoro jednak obecnie rzucano mu rękawicę, podnosił ją śmiało: żądał powołania osobnej komisji dla skontrolowania i przestudiowania prac komisji nawodnienia pól guberni żarajskiej, ale za to nie oszczędzał także i tamtych panów. Żądał ze swej strony powołania komisji specjalnej dla spraw organizacji obcoplemieńców. Sprawa ta — organizacji obcoplemieńców — wyłoniła się

przypadkowo w Komitecie w dniu drugiego czerwca i Karenin energicznie ją wysuwał jako niecierpiącą zwłoki, wobec pożałowania godnego stanu obcoplemieńców. Na Komitecie stała się ona przedmiotem sporu kilku ministerstw. Ministerstwo niechętne Kareninowi dowodziło, że obcoplemieńcy znajdują się w stanie niezwykłego rozkwitu i że projektowana reorganizacja może podciąć ten rozkwitła także dowodziło, że jeśli istnieją jakieś niedociągnięcia, to tylko dlatego, że ministerstwo Aleksego Aleksandrowicza nie przedsięwzięje kroków przewidzianych przez prawo. Obecnie Karenin miał zamiar żądać: po pierwsze, zwołania nowej komisji, która miałaby za zadanie zbadać na miejscu położenie obcoplemieńców; po drugie — jeśli okaże się, że położenie obcoplemieńców jest istotnie tak złe, jak to wynika z oficjalnych danych, które posiadał komitet, to żeby powołano jeszcze jedną komisję naukowców, która by zbadała przyczyny takiego rozpaczliwego stanu obcoplemieńców z punktu widzenia: a) politycznego, b) administracyjnego, c) ekonomicznego, d) etnograficznego, e) materialnego, f) religijnego; po trzecie, aby zażądano od wrogiego ministerstwa sprawozdania o krokach, które to ministerstwo przedsięwzięło w ciągu ostatniego dziesięciolecia dla zapobieżenia niekorzystnym warunkom, w jakich obecnie bytują obcoplemieńcy, i wreszcie, aby zażądano od tego ministerstwa wyjaśnienia, dlaczego — jak widać z dostarczonych komitetowi informacji L. L. 17015 i 18308 z piątego grudnia 1863 roku i siódmego czerwca 1864 roku — ministerstwo postępowało wręcz sprzecznie z intencją zasadniczej i organicznej ustawy, tom..., paragraf 18 oraz uwaga do paragrafu 36. Twarz Karenina ożywiła się i nabrała rumieńca, podczas gdy szybko szkicował konspekt tych myśli. Po zapisaniu arkusza papieru wstał, zadzwonił i

przesłał naczelnikowi kancelarii pisemko z prośbą o dostarczenie mu potrzebnych informacji; powstawszy przeszedł się po pokoju, znów spojrzął na portret, zmarszczył brwi i uśmiechnął się pogardliwie, po czym zabrał się do książki o eugubińskich napisach, tym razem z od nowa rozbudzonym zainteresowaniem. O jedenastej wieczór Karenin położył się spać, a kiedy leżąc w łóżku przypomniał sobie o zajściu z żoną, nie widział go już w tak czarnych jak uprzednio kolorach.

XV

Mimo że Anna z gniewem i uporem przeczyła Wrońskiemu, gdy ten twierdził, że sytuacja jej jest niemożliwa, i namawiał ją do wyznania wszystkiego mężowi, w głębi duszy uważała swe położenie za fałszywe, nieuczciwe i całym sercem pragnęła zmiany. Wracając z mężem z wyścigów, w chwili wzburzenia wyznała mu wszystko i mimo bólu, jakiego przy tym doznała, była rada, że to uczyniła. Po odjeździe męża mówiła sobie, że jest zadowolona, bo teraz wszystko się wyjaśni i przynajmniej odtąd nie będzie kłamstwa i oszustwa. Zdawało się jej rzeczą niewątpliwą, że obecnie sytuacja jej stanie się już raz na zawsze przejrzysta. Mogła to być sytuacja nieprzyjemna, ale przynajmniej wyraźnie określona i już bez kłamstwa i niejasności. Ból, którego doznała sama i który zadała mężowi wypowiadając wówczas te słowa, będzie obecnie wynagrodzony tym, że wszystko się nareszcie ustali. Tego samego wieczoru spotkała się z Wrońskim, lecz nie mówiła mu o tym, co zaszło pomiędzy nią a mężem, mimo że dla wyjaśnienia sytuacji z pewnością należało mu to powiedzieć. Gdy się obudziła na drugi dzień, pierwszą rzeczą, która jej

przyszła do głowy, były jej własne słowa wypowiedziane do męża. Wydały się jej one czymś tak okropnym, że obecnie nie mogła nawet pojąć, jak potrafiła się zdecydować na wymówienie czegoś tak dziwnego i brutalnego, ani wyobrazić sobie, co z tego wyniknie. Słowa wszakże zostały wymówione i Karenin odjechał bez żadnej odpowiedzi. „Widziałam się z Wrońskim i nic mu nie powiedziałam. W chwili gdy odchodził, chciałam go zawrócić z drogi i powiedzieć mu, ale się rozmyśliłam, ponieważ wydałoby się dziwne, dlaczego mu tego nie powiedziałam od razu. Czemu właściwie nie zrobiłam tego, mimo że miałam ten zamiar?” W odpowiedzi na to pytanie gorący rumieniec wstydu zalał jej twarz. Zrozumiała, co ją powstrzymało. Zrozumiała, że było jej wstyd. Sytuacja, która poprzedniego wieczoru zdawała się wyjaśniona, nagle nie tylko już się jej nie wydawała wyjaśniona, ale była bez wyjścia. Przeraziła się hańby, o której przedtem w ogóle nie myślała. Gdy tylko poczyniała zastanawiać się nad tym, co uczyni teraz mąż, przychodziły jej do głowy najstraszniejsze myśli... Że zaraz zjawi się administrator i wypędzi ją z domu, że hańba jej zostanie ogłoszona całemu światu. Zadawała sobie pytanie, dokąd się uda, gdy ją wypędzą, i nie znajdowała odpowiedzi.

Kiedy myślała o Wrońskim, wyobrażała sobie, że on jej nie kocha, że już mu się sprzykrzyła, że ona nie może mu się przecież narzucić, i czuła z tego powodu wrogość do niego. Zdawało się jej, że słowa wypowiedziane do męża, które odtąd wciąż powtarzała w wyobraźni, wyrzekła do wszystkich i że wszyscy ją słyszeli. Nie śmiała patrzeć w oczy domownikom. Nie mogła się zdecydować, by zawołać pannę służącą, a tym mniej, by zejść na dół i spotkać się z synkiem i guwernantką.

Dziewczyna, która dawno już nadśluchiwała u drzwi,

weszła wreszcie sama do sypialni. Anna pytająco spojrzała jej w oczy i zarumieniła się ze strachu. Służąca przeprosiła, że weszła do pokoju, lecz zdawało się jej, że słyszała dzwonek. Przyniosła suknię i list. List był od Betsy, która przypominała, że tego dnia przed południem mają do niej przyjechać na partię krokietu Liza Mierkałowa i baronowa Sztolc ze swym wielbicielem Kałużskim i ze starym Striemowem. „Przyjedź, kuzynko, choćby po to, żeby przyjrzeć się dzisiejszym obyczajom. Czekam” — kończyła. Anna przeczytała list i ciężko westchnęła.

— Nic, nic mi nie trzeba — powiedziała do Annuszki, która przestawiała na toalecie flakony i szczotki. — Idź już, zaraz się ubiorę i wyjdę. Nic, nic mi nie potrzeba.

Annuszka wyszła. Anna jednak nie zaczęła się ubierać, lecz siedziała wciąż w tej samej pozycji, z opuszczoną głową i rękoma. Od czasu do czasu całym jej ciałem wstrząsało drgnienie, jakby chciała zrobić jakiś gest lub coś powiedzieć, i nieruchomiła na nowo. Powtarzała bez ustanku: „Boże mój! Boże mój!...” Wszakże ani „Boże”, ani „mój” nie miały dla niej żadnego znaczenia. Myśl, żeby na swą sytuację szukać rady w religii, była dla niej — mimo że nigdy nie miewała wątpliwości religijnych co do wiary, w której się wychowała — równie obca jak szukanie” pomocy na przykład u Karenina. Wiedziała z góry, że mogła otrzymać pomoc od religii tylko pod warunkiem wyrzeczenia się tego, co stanowiło dla niej cały sens życia. Było jej nie tylko ciężko, lecz zaczynał ją ogarniać strach przed nowym, zupełnie dotąd nie znanym, stanem wewnętrznym. Czuła, że się w jej duszy wszystko poczyna dwoić, tak jak w zmęczonych oczach nieraz dwoją się przedmioty. Chwilami nie wiedziała, czego się lęka, a czego pragnie. Czy lęka się tego, co było, czy tego, co będzie. Czego pragnie właściwie

— sama nie wiedziała.

„Ach, co ja robię?” — westchnęła czując nagle ból po obu stronach czaszki. Gdy przysła do siebie, spostrzegła, że trzyma się za włosy w okolicach skroni i przyciska je oburącz. Zerwała się i poczęła przechadzać się po pokoju.

— Kawa podana i mamzel z Sieriożą czekają — powiedziała Annuszka wchodząc znów do pokoju i zastając Annę w tej samej co uprzednio pozie.

— Sierioża? Co z Sieriożą? — ożywiła się nagle Anna przypominając sobie po raz pierwszy tego ranka o istnieniu syna.

— Zdaje się, że coś zbroił — odrzekła z uśmiechem Annuszka.

— Jak to — zbroił?

— W narożnym pokoju leżały brzoskwinie. Zdaje się, że po kryjomu zjadł jedną.

Przypomnienie o synku wyrwało nagle Annę ze ślepej uliczki, w której się znajdowała. Powróciła do roli — po części zresztą szczerzej, choć mocno przesadzonej — matki żyjącej tylko dla syna, roli, którą sobie obrała w ostatnich latach, i poczuła z radością; że w sytuacji, w jakiej się znajdowała, jest przecież jedna dziedzina niezależna od stosunku jej do męża i do Wrońskiego. Tą dziedziną był syn. Jakakolwiek będzie jej sytuacja, syna opuścić nie może. Niechby nawet mąż wydał ją na hańbę i wypędził, niechby Wroński ostygł dla niej i wrócił do swego niezależnego życia (pomyślała znów o nim z goryczą i wyrzutem) — ona synka opuścić nie może. Ma w życiu cel i musi teraz działać, działać, żeby zapewnić sobie syna, by go jej nie odebrano. I nawet należy działać szybko, jak najszybciej, dopóki go jej jeszcze nie zabrano. Trzeba wziąć syna i wyjechać. Oto, co należy teraz uczynić. Musiała uspokoić się i wyrwać z tej

dreńczęcej sytuacji. Myśl o działaniu bezpośrednim związanym z synkiem, o tym, by zaraz z nim dokądś wyjechać, uspokoila ją.

Szybko ubrała się, zeszła na dół i energicznym krokiem weszła do saloniku, gdzie jak zwykle czekała na nią kawa i gdzie był już Sierioża z guwernantką. Sierioża w białym ubranku stał przy stoliku pod lustrem i pochyliwszy głowę i plecy z wyrazem natężonej uwagi, który znała i który czynił go podobnym do ojca, coś robił z przyniesionymi przez siebie kwiatami.

Guwernantka wyglądała specjalnie surowo. Sierioża — jak to nieraz czynił — krzyknął przeraźliwie: „A, mama!” — i przystanął, niezdecydowany, jak postąpić: witać się z matką, a kwiaty rzucić, czy też skończyć zaczęty wianek i z nim dopiero do niej podejść.

Guwernantka po przywitaniu długo i dokładnie zaczęła opowiadać o przestępstwie, jakie popełnił Sierioża, lecz Anna jej nie słuchała. Myślała nad tym, czy wziąć ją ze sobą. „Nie, nie wezmę jej — postanowiła. — Pojadę sama z synem.”

— Tak, to bardzo źle — powiedziała i wzięwszy synka za ramię spojrzała na niego surowym, lecz nieśmiałym wzrokiem, który ucieszył i zakłopotał chłopca, po czym pocałowała go. — Niechaj go pani ze mną zostawi — rzekła do zdziwionej guwernantki i nie puszcżając ręki syna usiadła za stołem nakrytym do śniadania.

— Mamo! Ja... ja... nie... — jąkał usiłując odgadnąć z jej miny, co go czeka za brzoskwinie.

— Sierioża — powiedziała, gdy tylko guwernantka wyszła z pokoju — to źle, ale więcej już tego nie zrobisz, prawda? Czy ty mnie kochasz?

Czuła, że ma łzy w oczach. „Czyż mogę go nie kochać? — mówiła sobie wpatrując się w jego przestraszone, a

jednocześnie uradowane oczy. — I czy on naprawdę potępi mnie kiedyś z ojcem pospołu? Nie zlituje się nade, mną?” Łzy spływały już po jej twarzy i aby je ukryć, zerwała się i prawie wybiegła na taras.

Po burzliwych ulewach dni ostatnich pogoda ustaliła się piękna, ale chłodna. Mimo że jaskrawe słońce prześwietlało obmyte przez deszcz liście, powietrze było ostre.

Anna zadrżała i z zimna, i z wewnętrznego lęku, które w tym czystym powietrzu opadły ją z nową siłą.

— Idź już, idź do Marietki — powiedziała do Sierioży, który wyszedł za nią, i poczęła chodzić tam i z powrotem po słomianej macie tarasu. „Czy naprawdę oni mi nie przebaczą? Czy nie rozumieją, że wszystko to inaczej być nie mogło?” — pomyślała.

Zatrzymała się i spojrzawszy na kołyszące się na wietrze czubki osin z wymytymi, mocno błyszczącymi w chłodnym słońcu liśćmi, uświadomiła sobie, że istotnie — nie przebaczą jej, że odtąd wszystko i wszyscy będą dla niej bez miłosierdzia, jak to niebo, jak ta zieloność. Wtedy znów poczuła, że w duszy jej zaczyna się rozdwojenie. „Nie trzeba, nie trzeba myśleć — powiedziała sobie. — Trzeba się wybierać w drogę. Dokąd? Kiedy? Kogo wziąć ze sobą? Tak — do Moskwy wieczornym pociągiem. Annuszka i Sierioża, i tylko najniezbędniejsze rzeczy. Ale przede wszystkim trzeba do nich obu napisać.” Weszła szybko do domu, do swego gabinetu, usiadła przy stole i napisała do męża:

„Po tym, co się stało, nie mogę dłużej pozostawać w domu Pana: wyjeżdżam i zabieram syna. Nie znam prawa i dlatego nie wiem, przy którym z rodziców winien pozostać syn, ale biorę go ze sobą, ponieważ nie mogę bez niego żyć. Niech Pan będzie wspaniałomyślny i zostawi mi go.”

Aż dotąd pisała szybko i bez przymusu, lecz odwołanie się

do wspaniałomyślności, której w mężu uznać nie chciała, i konieczność zakończenia listu czymś bardziej tkliwym — sprawiły, że się zatrzymała.

„Mówić o mojej winie i mojej skrusze nie mogę, ponieważ...”

Znów zatrzymała się nie znajdując pomiędzy swymi myślami żadnego związku. „Nie — powiedziała sobie — nic nie potrzeba”, podarła list, przepisała go na nowo, już bez wzmianki o wspaniałomyślności, po czym zapieczętowała go.

Drugi list trzeba było napisać do Wrońskiego. „Oświadczyłam mężowi” — zaczęła i długo siedziała bezczynnie, nie mając siły pisać dalej. To było takie brutalne, takie niekobiece. „A zresztą, cóż ja mogę mu napisać?” — zastanowiła się. I znowu rumieniec wstydu wystąpił jej na twarz. Przypomniała sobie jego spokój, i uczucie urazy do Wrońskiego sprawiło, że porwała na strzępki arkusik z zaczęтым zdaniem. „Nic nie potrzeba” — orzekła i zamknąwszy *buvard** poszła na górę, gdzie oświadczyła guwernantce i służbie, że dziś jeszcze wyjeżdża do Moskwy, i zaraz zabrała się do pakowania.

XVI

Po wszystkich pokojach willi chodzili teraz stróże, ogrodnicy i lokaje, wynoszący rzeczy. Szafy i komody były pootwierane. Dwa razy biegano do sklepiku po powrozy. Na podłodze leżały gazety do pakowania. Dwa kufry, worki i zesnurowane pledy zniesiono już na dół, do przedpokoju. Karetą i dwie dorożki stały pod gankiem. Anna, która zajęta pakowaniem pozbyła się wewnętrznego niepokoju, układała właśnie na stole w swoim gabinecie rzeczy w podróżnym

* *Buvar d* — teczka z bibułą

worku, gdy Annuszka zwróciła jej uwagę na turkot zajeżdżającego powozu. Anna spojrzawszy w okno, zobaczyła, że to kurier od męża dzwoni do drzwi frontowych.

— Idź i dowiedz się, o co chodzi — rzekła spokojnie, przygotowana na wszystko, i usiadłszy w fotelu złożyła na kolanach ręce. Lokaj przyniósł gruby list adresowany własnoręcznie przez Aleksego Aleksandrowicza.

— Kurier ma polecenie zaczekać na odpowiedź — powiedział służący.

— Dobrze — odrzekła Anna i skoro tylko została sama, trzęsącymi się palcami rozerwała kopertę. Wypadła z niej paczka niezgiętych banknotów w opasce. Anna wyjęła list i zaczęła go czytać od końca. „Poczyniłem przygotowania do przenosin, przypisuję specjalne znaczenie wypełnieniu mojej prośby” — przeczytała. Przebiegła list wstecz dalej, przeczytała wszystko, a potem raz jeszcze cały list od początku. Gdy skończyła, poczuła dotkliwie zimno i wiedziała już, że zważyło się na nią tak straszne nieszczęście, jakiego się nie spodziewała.

Rano żałowała tego, co powiedziała mężowi, i pragnęła, aby te słowa były jeszcze jakby nie wymówione, i oto list uznawał słowa za niebyłe i dawał jej to, czego pragnęła. A wszakże teraz list ten wydawał się jej okropniejszy niż wszystko, co mogła sobie wyobrazić.

„Ma rację, ma rację — powtarzała w myśli. — Oczywiście. On ma zawsze rację, ten chrześcijanin, ten wspaniałomyślny człowiek! Ach, jakież on nikczemny, jaki wstrętny! I tego nikt poza mną nie rozumie i nie zrozumie, a ja tego wytłumaczyć nie potrafię. Powiadają: religijny, moralny, uczciwy, rozumny człowiek, ale nie dostrzegają tego; co ja widziałam. Nie wiedzą, jak przez osiem lat dławił moje życie, dławił wszystko, co było we mnie żywe, i ani

razu nie pomyślał o tym, że jestem żywą i potrzebującą miłości kobietą. Nie wiedzą, jak obrażał mnie na każdym kroku, jaki był zadowolony z siebie. Czyż nie starałam się, nie starałam ze wszystkich sił znaleźć usprawiedliwienie dla swego życia? Czyż nie próbowałam kochać go, a nie mogąc kochać męża, czyż nie kochałam synka? Lecz nadszedł czas i zrozumiałam, że nie mogę się dłużej okłamywać, zrozumiałam, że jestem żywa i nie winna temu, że Bóg mnie taką stworzył, jaka jestem — spragnioną życia i miłości, — I cóż się dzieje teraz?... Niechby lepiej mnie zabił i jego zabił.. Zniosłabym wszystko, wszystko bym przebaczyła... Ale nie... On...”

„Że się też nie domyśliłam, co on zrobi. Oczywiście — to, co jest w zgodzie z jego nikczemnym charakterem. Słuszność będzie po jego stronie, a mnie — już i tak zgubioną — zepchnie on jeszcze niżej, jeszcze głębiej...” „Pani sama może sobie wyobrazić, jaki los oczekiwałby panią i jej syna” — przypomniały się Annie słowa listu. „To groźba, że zabierze mi syna, i zapewne to jest na mocy jakiegoś ich głupiego prawa dopuszczalne. Wiem dobrze, po co on mi to mówi. Nie wierzy w moją miłość dla synka albo ją lekceważy (zawsze przecie ze mnie żartował), ale wie, że synka nie opuszczę, że go opuścić nie mogę; że bez niego nie ma dla mnie życia, nawet z tym, kogo kocham. Wie poza tym, że jeśli porzucą synka i ucieknę od męża, postąpię jak najpodlejsza, najwstrętniejsza kobieta. Wie o tym, wie, że nie będę w stanie tego uczynić.”

„Życie nasze winno toczyć się tak jak dotychczas” — przypomniała sobie inne zdanie listu. „Życie to było i dotąd udreką, a w ostatnich czasach — wprost potwornością. Jakież będzie ono teraz? On to wszystko wie. Wie, że nie mogę odczuwać skruchy za to, że wreszcie oddycham, że kocham,

wie, że oprócz kłamstwa i oszukaństwa nic z tego nie wyniknie, ale chce mnie w dalszym ciągu dręczyć. Znam go i wiem, że jak ryba w wodzie, tak on pływa w kłamstwie i rozkoszuje się nim. Ale nie! Nie zrobię mu tej przyjemności, rozerwę pajęczynę fałszu, którą chce mnie omotać. Niech się dzieje, co chce... Wszystko jest lepsze od kłamstwa i oszustwa.”

„Ale jak? Mój Boże! Mój Boże! Czy była kiedy równie nieszczęśliwa kobieta na świecie...”

— Nie, ja tę sieć rozerwę, rozerwę! — wykrzyknęła zrywając się i tłumiąc łzy. Podeszła do biurka, by napisać do męża inny list, lecz w głębi serca wiedziała już, że nie będzie miała siły nic rozerwać, że nie zdoła zmienić swego dotychczasowego położenia, mimo że było ono pełne fałszu i nieuczciwe.

Siadła przy biurku, ale zamiast pisać oparła głowę na złożonych rękach i poczęła płakać zanosząc się łkaniem, które wstrząsało całą jej piersią, tak jak płaczą dzieci. Płakała nad tym, że jej marzenie o wyjaśnieniu, o ustaleniu jej sytuacji zostało raz na zawsze rozbite. Wiedziała już, że wszystko zostanie po dawnemu, że nawet będzie znacznie gorzej niż dotychczas. Czuła, że ta pozycja w towarzystwie, którą posiadała, a którą jeszcze tego dnia rano lekce sobie ważyła, była jej drogą, że nie będzie miała siły wymienić jej na hańbiące położenie kobiety, która porzuciła męża i syna i poszła za kochankiem. Czuła, że żaden wysiłek nie uczyni jej silniejszą, niż była w istocie. Nigdy nie wyzwoli się ze swą miłością i do końca pozostanie wiarołomną żoną, żyjącą pod ustawiczną grozą przyłapania, zdradzającą męża w hańbiącym związku z człowiekiem obcym, niezależnym, z którym życia zjednoczyć nie może. Wiedziała, że tak się stanie, a było to takie okropne, że nie mogła nawet sobie

wyobrazić, jak się to skończy. I płakała niepoohamowanie, jak płaczą ukarane dzieci.

Usłyszała kroki lokaja i ocknęła się. Odwróciła od niego twarz i udała, że pisze.

— Kurier prosi o odpowiedź — zameldował lokaj.

— Odpowiedź? — Tak — powiedziała Anna — niech zaczeka. Zadzwońię.

„Cóż ja mogę napisać? — myślała. — Co mogę sama postanowić? Cóż ja wiem? Czego właściwie chcę? Co kocham?” Znow poczuła w duszy rozdwojenie i znow przestraszyła się tego uczucia, tak że uchwyciła się pierwszego lepszego pretekstu, jaki jej przyszedł go głowy, by zająć się czymś, co mogłoby oderwać ją od myślenia o sobie... „Muszę się zobaczyć z Aleksym (tak w myślach nazywała Wrońskiego), on jeden może mi powiedzieć, co mam robić. Pojadę do Betsy, może go tam spotkam” — powiedziała sobie, zupełnie przy tym zapominając, że mówiła mu wczoraj, iż nie pojedzie tego dnia do księżnej Twerskiej, wobec czego on również miał tam nie być. Podeszła do biurka, napisała do męża: „Otrzymałam pański list. A.” — zadzwoniła i oddała list lokajowi.

— Nie jedziemy — rzekła do wchodzącej Annuszki.

— Wcale nie jedziemy?

— Nie. Nie rozpakowujcie aż do jutra i proszę zatrzymać karetę. Pojadę do księżnej.

— Jaką suknię mam przygotować dla jaśnie pani?

XVII

Socjeta krokietowych graczy, do której także i Anna była zaproszona przez księżną Twerską, składać się miała z dwóch pań i dwóch ich wielbicieli. Damy owe były głównymi

przedstawicielkami nowo powstałego petersburskiego kółka, które imitując jakąś imitację, przybrało nazwę: *Les sept merveilles du monde**. Należały one do koterii, aczkolwiek wyższej, lecz zdecydowanie wrogiej tej, w której obracała się Anna. Poza tym, stary Striemow, jeden z wpływowych ludzi w Petersburgu, wielbiciel Lizy Mierkałowej, był nieprzyjacielem Karenina w świecie urzędowym. Ze względu na wszystkie te okoliczności Anna uprzednio nie chciała być w tym dniu u księżnej Twerskiej i do tej właśnie odmowy odnosiły się aluzje w liściku. Obecnie jednak postanowiła pojechać z tą wizytą w nadziei spotkania Wrońskiego.

Przyjechała przed innymi gośćmi.

W chwili gdy wchodziła, lokaj Wrońskiego, o starannie rozczesanych bokobrodach, podobny do kamerjunkra, również wchodził do domu. Zdjąwszy czapkę przystanął u drzwi i czekał, aż Anna przejdzie. Anna poznała go i teraz dopiero przypomniała sobie wczorajsze słowa Wrońskiego, że nie będzie u kuzynki. Zapewne właśnie, w tej sprawie przysłał obecnie bilecik.

Zdejmując w przedpokoju okrycie słyszała, jak lokaj, który nawet literę „r” wymawiał jak kamerjunkier, powiedział oddając bilecik: „Od pana hrabiego do księżnej pani.”

Miała ochotę zapytać go, gdzie jest jego pan. Chciała cofnąć się i posłać do Wrońskiego list, prosząc, by przyjechał do niej, albo sarna pojechać do niego. Nie można było jednak uczynić żadnej z tych trzech rzeczy; już wewnątrz domu rozlegały się dzwonki oznajmiające jej przybycie i lokaj księżnej Twerskiej robił już pół — obrotu u otwartych drzwi, oczekując, aż Anna przejdzie do dalszych pokoi.

— Księżna pani jest w ogrodzie; zaraz tam zameldują. Może jaśnie pani pozwoli do ogrodu? — wyrzekł drugi lokaj

* *Les sept*... — siedem cudów świata

w następnym pokoju.

Nastrój niezdecydowania, niejasności ogarnął ją tutaj zupełnie tak samo jak w domu. Gorzej jeszcze, stąd bowiem nie można było nic przedsięwziąć ani widzieć się z Wrońskim i musiała pozostawać w obcym i tak biegunowo inaczej niż ona nastrojonym towarzystwie. A jednak... Miała na sobie toaletę, w której było jej do twarzy, jak o tym sarna wiedziała; nie była samotna, otaczało ją to środowisko uroczystego próżnowania, do którego przywykła i z którym było jej lżej niż w domu. Poza tym nie potrzebowała tutaj namyślać się nad tym — co czynić. Wszystko robiło się samo. Na widok Betsy idącej na jej spotkanie w białej toalecie, której elegancja była uderzająca, Anna uśmiechnęła się do niej jak zwykle. Księżna Twerska szła w towarzystwie Tuskiewicza i młodej krewnej, która ku wielkiej radości rodziców z prowincji spędzała lato u możnej kuzynki.

Zapewne jednak w zachowaniu Anny musiało być coś szczególnego, skoro Betsy natychmiast to zauważyła.

— Źle spałam — odpowiedziała Anna wpatrując się w lokaja, który szedł ku nim i — o ile się orientowała — niósł bilecik od Wrońskiego.

— Tak się cieszę, żeś, przyjechała, kuzynko — rzekła Betsy. — Jestem zmęczona i chciałam właśnie wypić filiżaneczkę herbaty, zanim reszta gości się zjawi. Czy nie poszedłby pan — zwróciła się do Tuskiewicza — wypróbować z Maszą plac krokietowy tam, gdzie przyszyżono trawę. My tymczasem nagadamy się do woli przy herbacie, *we'll have a cosy chat**, nieprawdaż? — uśmiechnęła się do Anny ściskając jej rękę wraz z trzymaną w niej parasolką.

— Tym chętniej, że nie mogę długo bawić, muszę

* *We'll*... — pogawędzimy intymnie, poufnie

koniecznie odwiedzić starą panią Wrede. Od stu lat już jej to obiecuję — rzekła Anna, dla której kłamstwo, obce jej naturze, stało się w towarzystwie czymś nie tylko prostym i naturalnym, ale nawet robiło jej przyjemność.

Po co powiedziała coś, o czym sekundę przedtem nawet nie myślała, nie potrafiłaby wytłumaczyć. Jediną jej pobudką była chęć — skoro nie miała tu spotkać Wrońskiego — zawarowania sobie swobody, by móc się z nim spotkać w jakikolwiek inny sposób. Dlaczego jednak wymieniła właśnie starą frejlinę dworu Wrede, której winna była wizytę, tak jak wielu innym osobom, Anna nie umiałaby wytłumaczyć. A jednak, jak się okazało później, nie byłaby mogła wpaść na nic lepszego, gdyby nawet obmyślała najchytrzejsze fortele celem spotkania się z Wrońskim.

— Ależ nie, za nic w świecie nie puszcę cię, kuzyneczko — odrzekła Bety, uważnie wpatrując się w twarz Anny. — Naprawdę, gdybym cię tak nie lubiła, obraziłabym się. Wygląda, jakbyś się lękała, że towarzystwo moich gości cię skompromituje. Proszę nam podać herbatę do saloniku — poleciła przymrużając jak zwykle oczy przy zwracaniu się do lokaja. Wzięła od niego bilecik i przeczytała go. — *Aleksy nous a fait faux bond** — powiedziała po francusku — pisze, że nie może dzisiaj przyjść. — Mówiła całkiem zwyczajnym, naturalnym tonem, tak jakby myślał, by Wroński był w życiu Anny czymś więcej niż partnerem do krokietu, była od niej daleka.

Anna wiedziała, że Betsy wie o wszystkim, ale słysząc, jak przy niej odzywa się o Wrońskim, zawsze w danej chwili była przekonana, że księżna Twerska niczego się nie domyśla.

— A! — obojętnie przyjęła wiadomość Anna, jakby ją to

* *Nous* ... — zrobił nam zawód

mało interesowało, i ciągnęła dalej z uśmiechem: — Ale w jaki sposób mogłoby mnie towarzystwo bywające tutaj kompromitować? — Cała ta gra słów, to ukrywanie tajemnicy; miało dla Anny, jak dla każdej kobiety, wielki urok. Nie konieczność ukrywania czegoś, ale sam proces ukrywania pociągał ją. — Nie mogę być *plus catholique que le pape** — mówiła. — Striemow i Liza Mierkałowa to śmietanka śmietanki towarzyskiej. Poza tym są wszędzie przyjmowani, a ja — postawiła specjalny akcent na „ja” — nigdy nie byłam surowa ani nietolerancyjna. Nie mam po prostu na to czasu.

— A może nie chcesz spotkać się ze Striemowem, kuzynko? Niechże sobie z twoim mężem kruszą kopię w komitecie, nas to nic nie obchodzi. W towarzystwie jest to najmiłszy z ludzi i namiętnie lubi grać w krokieta. Przekonasz się o tym. I mimo śmieszności jego roli podstarzałego wielbiciela Lizy, warto zobaczyć, jak sobie w tej komicznej sytuacji doskonale daje radę! Jest przemiły. Nie znasz Safony Sztolc, kuzynko? To nowy, zupełnie nowy styl.

Betsy mówiła to wszystko, tymczasem Anna widziała z jej wesołego, inteligentnego spojrzenia, że po trochu orientuje się w jej sytuacji i coś sobie układa. Były we dwie w małym saloniku,

— Muszę jednak napisać do Aleksego — Betsy siadła przy biurku, skreśliła kilka wierszy i włożyła bilecik do koperty. — Proszę go, aby chociaż przyjechał na obiad, bo inaczej jedna z pań nie będzie miała sąsiada przy stole. Zobacz, moja droga, czy dość przekonująco napisałam? Przepraszam, zostawiam cię na chwilę samą. Zapieczętuj to, kuzyneczko, wyślij — zawołała od progu — muszę wydać jeszcze różne dyspozycje.

* *Plus* ... — bardziej katolicki niż sam papież

Bez chwili namysłu Anna siadła do stolika, na którym leżał liścik Betsy, i nie czytając go, dopisała u dołu: „Musimy się widzieć. Proszę przyjechać do ogrodu Wrede. Będę tam o szóstej.” Zapieczętowała list i Betsy po powrocie wręczyła go przy niej lokajowi.

Istotnie, podczas herbaty, którą im na stoliczku będącym tacą przyniesiono do chłodnego małego saloniku, pomiędzy obu kobietami zaczął się ów *cosy chat*, który obiecywała księżna Twerska, i trwał aż do przybycia gości. Panie wypowiadały swoje zdanie o mających nadejść osobach i rozmowa ich zatrzymała się na Lizie Mierkałowej.

— Bardzo jest miła i zawsze była mi sympatyczna — rzekła Anna.

— Powinnaś ją lubić, kuzynko, bo ona szaleje za tobą. Wczoraj podeszła do mnie po wyścigach i była w rozpacz, że cię już nie zastała. Twierdzi, że jesteś prawdziwą bohaterką romansu i że gdyby była mężczyzną, popełniłaby dla ciebie tysiąc głupstw. Striemow powiada, że i tak je popełnia.

— Ale proszę, powiedz mi, bo nigdy tego nie mogłam zrozumieć — powiedziała Anna po chwili milczenia tonem, który wyraźnie świadczył, że nie było to ot tak sobie zadane pytanie i że odpowiedź miała dla niej większą wagę, niż mieć była powinna — powiedz mi, co łączy właściwie Lizę z księciem Kałużskim, tak zwanym Miszką? Mało ich znam. Co to takiego? Betsy z uśmiechem w oczach uważnie spojrzała na Annę.

— To ta nowa maniera — odrzekła. — Wszyscy oni przybrali ten ton. *Ils ont jété leurs bonnets par dessus les moulins**. Ale jest sposób i sposób!

— Tak, ale co ją łączy z Kałużskim?

* *Ils ont...* — przenośnie pozbyli się konwenansów

Betsy nagle wybuchła śmiechem niepoahamowanej wesołości, co się jej rzadko zdarzało.

— Kuzynko, wkraczasz w dziedzinę księżnej Miagkiej! To już pytanie okropnego dziecka* — i znać było, że Betsy chce, ale nie może się pohamować, aż wreszcie znów wybuchnęła tym zaraźliwym śmiechem, jakim śmieją się osoby na ogół trudne do rozśmieszenia. — Należałoby ich o to zapytać — wyrzekła wreszcie, aż płacząc ze śmiechu.

— Ależ nie... Śmiejesz się, kuzynko — powiedziała Anna, która mimo woli również uległa zaraźliwemu śmiechowi — ja jednak nigdy nie mogłam tego zrozumieć. Nie pojmuję w tym wszystkim roli męża.

— Męża? Mąż Lizy Mierkałowej nosi za nią pledy i jest zawsze gotów do usług. A jak tam jest w gruncie rzeczy, tego nikt wiedzieć nie pragnie. Przecież w towarzystwie nie mówi się, a nawet się nie myśli o niektórych szczegółach toalety. Tak samo jest i tu.

— Czy będziesz, kuzynko, na balu u Rolandakich? — odwróciła rozmowę Anna.

— Myślę, że nie — odrzekła Betsy i nie patrząc na przyjaciółkę ostrożnie poczęła nalewać pachnącą herbatę do przezroczystych filiżaneczek. Przysunawszy jedną z nich Annie, wydobyła pachitosa*, włożyła w srebrny ustnik i zapaliła.

— Otóż, widzisz, moja najdroższa — rzekła już bez uśmiechu, biorąc filiżankę do ręki. — Jestem w tym szczęśliwym położeniu, że rozumiem ciebie i rozumiem Lizę; Liza jest jedną z tych naiwnych natur, które jak dzieci, nie rozróżniają, co złe, a co dobre, a w każdym razie Liza nie rozumiała tego, gdy była zupełnie młodziutka. Teraz wie już,

* Okropne dziecko — dosłowne tłumaczenie zwrotu *enfant terrible* oznaczającego w przenośni osobę naiwnie i nietaktownie szczerą.

* Pachitos — rodzaj papierosa z munsztukiem ze słomki

że z takim nierozumieniem jest jej do twarzy, i teraz, być może, istotnie już z rozmysłem nie rozumie — wykladała Betsy z uśmiechem pełnym finezji. — Ale mimo wszystko, jest jej z tym do twarzy i teraz. Przecie na jedną i tę samą rzecz można patrzeć tragicznie, stworzyć sobie z niej udrękę, i można patrzeć na nią po prostu, a nawet wesoło. Może ty, kuzyneczko, skłonna jesteś patrzeć na rzeczy zbyt tragicznie.

— Jakżebym chciała znać innych tak, jak znam samą siebie — powiedziała poważnie Anna w zamyśleniu. — Czy jestem lepszą, czy gorszą od innych? Myślę, że gorszą. — Jakież z ciebie dziecko, kuzynko, jakie dziecko — powtórzyła Betsy. — Ależ otóż i oni.

XVIII

Słysząc było najpierw kroki i męski głos, później głos kobiety i śmiech, a zaraz potem ukazali się oczekiwani goście: Safo Sztolc i aż jaśniejący od zbytku zdrowia młody człowiek, tak zwany Waśka. Znać było po nim, że służy mu odżywianie krwawą wołowiną, truflami i burgundem. Waśka skłonił się damom i spojrzał na nie, ale tylko przez sekundę. Wszedł do salonu za panią Sztolc i postępował tuż za nią, jak na sznurku, przy czym nie spuszczał z niej swych błyszczących oczu, jakby chciał ją zjeść. Safo Sztolc była blondynką o czarnych oczach. Weszła małymi, śmiałymi kroczkami, w pantofelkach na wysokich obcasach, ł mocno, po męsku, uściśnęła rękę paniom.

Anna nigdy dotąd nie spotykała tej nowej sławy i była pod wrażeniem zarówno jej urody i śmiałości obejścia, jak i ekscentryczności jej toalety. Na głowie miała Safo takie fryzjerskie rusztowanie z włosów barwy lekkiego złota — swoich i cudzych — że głowa zdawała się równie duża jak

kształtny, wydatny biust, bardzo z przodu wydekoltowany. Szła z takim rozpędem, że kształt kolan i ud zarysowywał się przez suknię przy każdym ruchu. Mimo woli nasuwało się pytanie, w którym miejscu tej sztucznie z tyłu podbudowanej, kołyszącej się góry naprawdę kończyło się jej małe i kształtne, tak od góry obnażone, a z tyłu i w dole tak przykryte ciało! Betsy pośpieszyła zapoznać ją z Anną.

— Niech państwo sobie wyobrażą, żeśmy o mały włos nie przejechali dwóch żołnierzy — poczęła natychmiast opowiadając pani Sztolc mrugając, uśmiechając się i odrzucając do tyłu tren, który zrazu ułożył się zanadto z boku. — Jechałam z Wašką... Ach tak! Państwo się nie znają. — Tu wymieniając nazwisko młodzieńca przedstawiła go i rumieniąc się roześmiała się głośno ze swej omyłki, czyli z tego, że zaprezentowała go nieznamomej osobie jako „Waškę”.

Waška raz jeszcze skłonił się Annie, ale nic nie powiedział, zwrócił się natomiast do pani Sztolc:

— Wygrałem zakład. Przyjechaliśmy pierwsi.” Proszę teraz płacić — mówił z uśmiechem.

Safo poczęła się śmiać z jeszcze większą wesołością.

— Przecież nie teraz — odrzekła.

— Mniejsza o to, dostanę później.

— Dobrze, dobrze. Ach tak! — zwróciła się nagle do pani domu. — To dobre sobie.. Zupełnie zapomniałam... Przywiozłam księżnej gościa. Oto on.

Nieoczekiwany młody przybysz, którego Safo przywiozła i o którym zapomniała, był jednakże na tyle dostojnym gościem, że pomimo jego młodego wieku obie damy wstały by go powitać. Był to nowy wielbiciel pani Sztolc, który, podobnie jak i Waška, deptał jej ciągle po piętach. Wkrótce przyjechali książę Kałużski i Liza Mierkałowa

ze Striemowem. Liza była to chuda brunetka o wschodnim, leniwym typie twarzy i przepięknych, zagadkowych — jak ogólnie twierdzono — oczach. Rodzaj jej ciemnej toalety (Anna od razu zauważyła i umiała to ocenić) odpowiadał zupełnie jej urodzie. O ile Safo była zamaszysta i zwarta, o tyle tamta — miękka i rozplywająca się.

Annie wszakże Liza wydała się daleko bardziej pociągająca, Betsy mówiła — o niej, że Liza przybiera ton nieświadomego dziecka, lecz kiedy ją Anna zobaczyła, uczuła, że to nieprawda. Była to istotnie nie wiedząca, wprowadzie zepsuta, lecz miłą i bezbronna kobieta. Prawda, że ton jej był taki sam jak ton pani Sztolc i tak samo jak za tamtą chodziło za nią nieodstępnie, pożerając ją oczyma, dwóch wielbicieli: jeden młody, drugi już stary. Lecz było w niej coś, co ją wywyższało ponad otoczenie — miała blask diamentu czystej wody wśród szkiełek. Ów blask świecił z jej prześlicznych, istotnie nieodgadnionych oczu. Znużone a jednocześnie namiętne wejrzenie tych okolonych ciemnym kręgiem oczu uderzało swą bezwzględną szczerością. Każdy, kto w nie spojrział, wierzył, że poznał ją całą, a poznać ją — znaczyło tyle, co pokochać. Na widok Anny twarz Lizy nagle zajaśniała radosnym uśmiechem.

— Ach, jakże się cieszę, że panią widzę! — zawołała podchodząc do niej. — Wczoraj na wyścigach właśnie wybierałam się do pani, ale pani odjechała. Tak bardzo chciałam widzieć panią właśnie wczoraj. Prawda, że to było okropne? mówiła patrząc na Annę spojrzeniem, które zdawało się odsłaniać całą jej duszę.

— Tak, nigdy bym się nie spodziewała, że to wywołuje aż takie wzruszenie — odrzekła rumieniąc się Anna.

W tej chwili całe towarzystwo wstało, by pójść do ogrodu.

— Ja nie pójdę — zdecydowała Liza i przysiadła się do

Anny. — Pani także nie pójdzie? Co to za przyjemność grać w krokieta?

— O nie, ja tę grę lubię — odparła Anna.

— Otóż to właśnie! Jak pani postępuje; żeby się nie nudzić? Dość spojrzeć na panią, a już jest wesoło. Pani żyje, a ja się tylko nudzę.

— Jak to, pani się nudzi?! Przecież pani należy do najweselszego grona w Petersburgu — zaoponowała Anna.

— Może ci, którzy do naszego kółka nie należą, nudzą się jeszcze bardziej, ale nam, mnie na pewno, nie tylko nie jest wesoło, ale strasznie, strasznie nudno.

Safo zapaliła papierosa i odeszła z dwoma młodymi ludźmi do ogrodu Betsy i Striemow pozostali przy herbacie.

— Jak to, nudno? — wtrąciła Betsy.. — Safo opowiadała, że się doskonale wczoraj u pani bawiła.

— Ach, co to były za nudy! — westchnęła Liza Mierkałowa. — Pojechaliśmy po wyścigach całym towarzystwem do mnie. Zawsze ci sami, zawsze ci sami! I zawsze to samo. Przez cały wieczór wylegiwali się po kanapach. Cóż w tym wesołego? Nie... Niech pani mi powie, jak pani to robi, żeby się nie nudzić? — zwróciła się znowu do Anny. — Wystarczy na panią spojrzeć i od razu widać: oto kobieta, która może być szczęśliwa lub nieszczęśliwa, ale na pewno się nie nudzi. Niech pani mnie nauczyci, jak pani to robi?

— Nic specjalnego nie robię — odrzekła Anna i zarumieniła się pod gradem tych natrętnych pytań.

— To najlepszy sposób. — wmieszał się do rozmowy Striemow.

Striemow był to człowiek mniej więcej pięćdziesięcioletni, szpakowaty, bardzo brzydki, ale z twarzą rozumną i pełną charakteru. Liza Mierkałowa było siostrzenicą jego żony.

Spędzał z nią wszystkie wolne chwile. Przy spotkaniu z Anną Karenin, żoną swego wroga na gruncie służbowym, Aleksego Aleksandrowicza, Striemow, jako człowiek obyty i rozumny, starał się być dla niej specjalnie miły.

— Nie robić nic osobliwego — podchwycił z uśmiechem pełnym finezji — to najlepszy sposób. Dawno mówię ci, moja droga — zwrócił się do Lizy Mierkałowej — że na to, aby się nie nudzić, należy nie myśleć, że może być nudno. Zupełnie lak, jak nie należy się obawiać, że się nie zaśnie, kiedy człowiek boi się bezsenności. To właśnie powiedziała nam Anna Arkadiwna.

— Byłabym bardzo rada, gdybym istotnie to powiedziała, gdyż jest to nie tylko bardzo rozumne, ale nawet prawdziwe — uśmiechnęła się Anna.

— Więc niech pani powie, dlaczego nie można zasnąć i dlaczego niepodobna się nie nudzić?

— Żeby zasnąć, trzeba by popracować, a żeby być wesołym, również trzeba popracować.

— Po cóż bym miała pracować, skoro moja praca nikomu nie jest potrzebna? A specjalnie udawać, że coś robię — nie potrafię i nie chcę.

— Jesteś niepoprawna — rzekł Striemow nie patrząc na nią i znów zwrócił się do Anny.

Ponieważ spotykał ją bardzo rzadko, nie mógł jej nie powiedzieć oprócz samych rzeczy zdawkowych, lecz mówił te banalności — o jej projektowanym przeniesieniu do Petersburga, o tym jak hrabina Lidia ją lubi — w sposób, z którego widać było, że stara się z całej siły być dla niej uprzejmy i okazać jej szacunek, a nawet coś więcej niż szacunek.

Wszedł Tuszkiwicz i oświadczył, że całe towarzystwo oczekuje partnerów do krokietu.

— Ależ nie, niech pani zostanie — prosiła Liza Mierkałowa, gdy spostrzegła, że Anna ma już zamiar iść. Striemow przyłączył się do jej nalegań.

— Będzie to nazbyt wielki kontrast, jeśli wprost z tego towarzystwa znajdzie się pani u starej Wrede. A poza tym da jej pani tylko okazję do obmowy, podczas gdy tutaj budzi, pani zupełnie inne, jak najlepsze i całkiem nie sprzyjające obmowie uczucia.

Anna przez chwilę zastanawiała się, niezdecydowana. Pochlebne słowa tego rozumnego człowieka, naiwna, dziecięca sympatia, jaką jej okazywała Liza Mierkałowa, i całe to znajome światowe środowisko — wszystko to było takie łatwe, a oczekiwało ją coś tak trudnego, że przez chwilę zawahała się, czy nie zostać i nie odsunąć od siebie bolesnego momentu wyjaśnień. Ale przypomniawszy sobie, co ją osamotnioną będzie oczekiwało w domu, jeśli nie zdobędzie się na żadną decyzję, przypomniawszy sobie ów straszny; nawet we wspomnieniu, własny gest, jakim chwyciła się oburącz za włosy — pożegnała się i odjechała.

XIX

Wroński, mimo pozorów lekkomyślnego światowego życia, był człowiekiem nienawidzącym nieładu. Jeszcze za młodych lat, w Korpusie Paziów, spotkała go raz upokarzająca odmowa, gdy zabrnawszy poprosił o pożyczkę. Od tego czasu nigdy już do takiej sytuacji nie dopuszczał.

Na to, aby zawsze porządnie prowadzić swoje interesy, miał zwyczaj zależnie od okoliczności, częściej lub rzadziej, mniej więcej pięć razy do roku, skupić się i doprowadzić do zupełnej przejrzystości wszystkie swoje sprawy. Nazywał to

rozzrachunkiem lub *faire la lessive* *.

Obudziwszy się nazajutrz po wyścigach dość późno, nie gwałcąc się i nie kąpiąc wdział kitel, rozłożył na stole pieniądze, rachunki, listy i wziął się do roboty. Petrycki wiedząc, że w takich wypadkach przyjaciel jego bywał zły, po obudzeniu się zobaczywszy go przy biurku, cichutko ubrał się i wyszedł, by mu nie przeszkadzać.

Każdy człowiek, znający aż do najdrobniejszych szczegółów skomplikowanie otaczających go warunków, mimo woli przypuszcza, że ta komplikacja i trudność ich wyjaśnienia to tylko jego osobista, doraźna przypadłość. Nie domyśla się, że inni otoczeni są takimi samymi komplikacjami warunków osobistych jak i on sam. Tak właśnie zdawało się też i Wrońskiemu. Myślał nie bez ukrytej dumy i może nawet nie całkiem bezpodstawnie, że każdy inny dawno by się zaplątał i zaczął niepięknie postępować, gdyby się znajdował wśród okoliczności równie trudnych. Czuł jednak, że właśnie teraz powinien zrobić obrachunki i wyjaśnić sobie swoją sytuację, żeby nie zabrnąć.

Najpierw, jako do rzeczy najłatwiejszej, wziął się do spraw pieniężnych. Spisał swym drobnym pismem na papierze listowym wszystkie swoje zobowiązania, podsumował je i stwierdził, że winien jest siedemnaście tysięcy rubli i parę setek, które odrzucił dla uproszczenia. Obliczywszy gotówkę i książeczkę bankową przekonał się, że ma jeszcze 1800 rubli do końca roku i że aż do Nowego Roku nie będzie miał żadnych wpływów. Przeczytał raz jeszcze listę długów i przepisał dzieląc ją na trzy kategorie. Do pierwszej należały długi, które trzeba było zapłacić natychmiast, a w każdym razie na zapłacenie których trzeba było mieć gotówkę, tak aby na żądanie móc się uiszczyć bez chwili zwłoki. Tego

* *Faire*... — robieniem prania

rodzaju długów było około czterech tysięcy: 1500 za konia i 2500 poręczenia za młodego kolegę Wieniewskiego, który w obecności Wrońskiego przegrał tę sumę do jakiegoś szulera. Wroński już wówczas chciał dać te pieniądze, miał je bowiem przy sobie, ale Jaszwin i Wieniewski upierali się, że oni sami zapłacą, a nie Wroński, który w ogóle wtedy nie grał. Było to bardzo pięknie, Wroński jednak wiedział, że chociaż udział jego w tej brudnej historii ograniczał się tylko do słownego poręczenia za Wieniewskiego, mimo to musi mieć w pogotowiu owe 2500 rubli, by móc je cisnąć łajdakowi i nie mieć z nim więcej do czynienia. A więc w tej najważniejszej rubryce trzeba było mieć 4000. Druga kategoria — osiem tysięcy — zawierała mniej ważne zobowiązania. Były to przeważnie długi związane ze stajnią wyścigową, zaciągnięte u dostawcy owsa i siana, pieniądze, które był winien Anglikowi, siodlarzowi itd. Tu — na to, by uzyskać zupełny spokój, trzeba było wydać około dwóch tysięcy. Ostatnia kategoria długów — w sklepach, restauracjach i u krawca — to długi tego rodzaju, że nie warto było sobie nimi głowy zaprzętać. W rezultacie, potrzeba na wydatki bieżące przynajmniej 6000 rubli, a jest ich tylko 1800. Dla człowieka mającego 100 000 rocznego dochodu, jak szacowano ogólnie fortunę Wrońskiego, takie długi nie mogły, zdawałoby się, stanowić żadnej trudności; chodziło jednak o to, że daleko mu było do owych. 100 000. Olbrzymia ojcowska fortuna, przynosząca około 200 000 rocznie, niebyła podzielona pomiędzy braci. W chwili małżeństwa starszego brata z księżniczką Warią Czyrkow, córką dekabrysty*, która nie posiadała nic zgoła, Aleksy

* D e k a b r y ś c i — szlacheccy rewolucjoniści dążący do obalenia ustroju absolutystyczno-pańszczyźnianego i wprowadzenia rządów konstytucyjnych. Po nieudanym zamachu stanu 14 grudnia 1825 r. Zostali skazani na śmierć lub zesłanie, a majątki ich skonfiskowano.

ustąpił zadłużonemu po uszy bratu cały dochód z majątków ziemskich ojca, zastrzegłszy sobie zaledwie 25 000 rubli rocznie. Powiedział wówczas bratu, że mu tych pieniędzy wystarczy, aż się nie ożeni, a tego zapewne nigdy nie uczyni. Brat, który był dowódcą jednego z najkosztowniejszych pułków, nie mógł żeniąc się nie przyjąć tego podarku. Matka, która miała osobną własną fortunę, dopłacała, poza umówionymi 25 000, jeszcze 20 000 i Aleksy wszystko to wydawał. W ostatnich czasach matka, poróżniwszy się z nim z powodu jego romansu oraz wyjazdu z Moskwy, przestała mu przysyłać pieniądze. Właśnie na skutek tego Wroński, który przyzwyczał się do życia za 45 000 rocznie, a w tym roku miał tylko 25 000, był teraz w kłopotcie. Nie mógł prosić matki o pieniądze dla wydobycia się z kłopotu. Ostatni jej list, otrzymany w przeddzień, specjalnie go podrażnił napomknieniem, że matka była gotowa pomagać mu w osiągnięciu światowych sukcesów i powodzenia w karierze, ale nie w życiu gorszącym całe przyzwoite towarzystwo. Ta próba przekupienia obraziła go do głębi i jeszcze bardziej oziębiła jego uczucia dla matki. Nie mógł jednak cofnąć raz danego wspaniałomyślnego słowa, chociaż — przewidując po trochu pewne niespodzianki od strony romansu z panią Karenin — czuł teraz, że ów wielkoduszny poryw był nieco lekkomyślny, gdyż i nieżonatemu mogło się przydać owe sto tysięcy rocznego dochodu. Nie można jednak było tego odwołać. Wystarczyło sobie przypomnieć bratową, tę przemiłą, kochaną Warię, która przy lada okazji powtarzała, że pamięta o jego szlachetności i ceni ją — by zdać sobie sprawę, że niemożliwością jest odebrać to, co się raz dało. Było to taką samą niemożliwością, jak uderzyć kobietę, ukraść albo skłamać.

Jedno tylko było możliwe i konieczne, i Wroński

zdecydował się na to bez chwili wahania — oto pożyczyć od lichwiarza dziesięć tysięcy, co mógł uczynić bez trudności, obciążając swoje wydatki i sprzedając konie wyścigowe. Powziąwszy tę decyzję, zaraz napisał do Rolandakiego, który nieraz proponował mu kupno jego koni. Potem posłał po Anglika i po lichwiarza i porozkładał na poszczególnych rachunkach pieniądze, które miał przy sobie; następnie napisał chłodną i szorstką odpowiedź na list matki. Wreszcie wydobyl z pugilaresu trzy bileciki Anny, przeczytał je, spalił i przypomniawszy sobie wczorajszą z nią rozmowę popadł w zamyślenie.

XX

Życie Wrońskiego można było nazwać niezwykle szczęśliwym, ponieważ posiadał on kodeks prawideł, nieomylnie określający, co należy, a czego nie należy czynić. Wobec tego, że kodeks ów obejmował bardzo niewielki zakres możliwości, a prawidła były niewątpliwe, Wroński, który nigdy nie wychodził poza ten zakres, nigdy ani przez chwilę nie wahał się wykonać tego, co należało. Prawidła te niezłomnie określały, że szulerowi trzeba zapłacić, a krawcowi — nie trzeba; że nie wolno skłamać wobec mężczyzny, natomiast okłamywać kobiety — wolno; że nie można oszukiwać nikogo — męża jednak można; że samemu nie przebacza się nikomu obrazy, natomiast obrażać innych — wolno itd. Wszystkie te prawidła mogły być niemądre, niemoralne, ale były niewątpliwe, i trzymając się ich Wroński mógł wysoko nosić głowę i czuć się spokojnym. Dopiero z okazji swego stosunku do Anny zaczął wyczuwać w ostatnich czasach, że jego regulamin nie przewidział okoliczności wyjątkowych i że przyszłość niesie ze sobą przeszkody i

wątpliwości, dla których brak nici przewodniej w tym kodeksie.

Obecny jego stosunek do Anny i jej męża był dla Wrońskiego prosty i jasny, prosto i jasno określony w kodeksie, którym się kierował.

Anna była uczciwą kobietą, która podarowała mu swą miłość. Kochał ją, toteż była dla niego kobietą godną takiego samego szacunku co ślubna żona, a nawet jeszcze głębszego. Prędzej dałby sobie odrąbać rękę, niżby miał się posunąć do nieokazania jej najwyższego szacunku, na jaki kobieta liczyć może, już nie mówiąc o urażeniu jej jakimś słowem czy aluzją.

Stosunki Wrońskiego ze światowym towarzystwem były również jasne. Wszyscy mogli wiedzieć o jego romansie, mogli żywić podejrzenia, lecz nikomu nie wolno było o nich mówić. W przeciwnym razie gotów był ich zmusić do milczenia i do uszanowania nie istniejącej czci kobiety, którą kochał.

Najbardziej określony był stosunek do męża. Z chwilą gdy Anna pokochała Wrońskiego, ten uważał jedynie swoje do niej prawo za nietykalne. Mąż był tylko zbyt cenną osobą i przeszkadzał. Niewątpliwie znalazł się w godnej pożalowania sytuacji, ale cóż można było na to poradzić? Mąż miał tylko jedno prawo — żądać satysfakcji z bronią w ręku i od pierwszej chwili Wroński był na to gotów.

W ostatnich wszakże czasach powstało pomiędzy Anną i Wrońskim coś nowego, głębszego, co przerażało go swą nieuchwytnością. Zaledwie w przeddzień oświadczyła mu, że jest w ciąży, i Wroński poczuł, że ta wiadomość i to, czego Anna się po nim spodziewała, nakładało na niego coś więcej niż to, co przewidywał kodeks, którym dotąd kierował się w życiu. Toteż był zaskoczony i w pierwszej chwili, gdy

oznajmiła mu o swym stanie, usłuchał serca, które podszeptało, by zażądał od niej porzucenia męża., Wypowiedział to, lecz teraz, po namyśle, widział jasno, że lepiej byłoby obejść się bez tego; mówiąc to sobie . w duchu obawiał się jednak zarazem, że byłoby to niemoralne.

„Skoro powiedziałem jej, by opuściła męża, to znaczyło, że ma pójść za mną. Czy jestem na to przygotowany? Jakże ją zabiorę teraz, kiedy nie mam pieniędzy? Dajmy na to, że mógłbym to jakoś urządzić... Ale jakże ja ją zabiorę do siebie, będąc na służbie? Jeśli już raz tak powiedziałem, to należy być na to przygotowanym, czyli że trzeba by zdobyć pieniądze i podać się do dymisji.”

Zamyślił się. Pytanie, czy podać się do dymisji, czy nie, nasunęło mu rzecz inną, ukrytą, jemu tylko wiadomą. Kto wie, czy nie była to główna, aczkolwiek utajona treść całego jego życia.

Dawnym marzeniem jego dzieciństwa i młodości, marzeniem, do którego nawet przed sobą się nie przyznawał, lecz które miało taką moc, że i teraz namiętność ta walczyła o lepsze z miłością — była ambicja. Powodzenie uwieńczyło pierwsze jego kroki w towarzystwie i w wojsku, ale przed dwoma laty popełnił gruby błąd: chcąc dowieść swej niezależności i zdobyć awans nie przyjął ofiarowanego mu stanowiska, spodziewając się, że odmowa . doda wartości jego osobie. Okazało się jednak, że był to krok nazbyt śmiały: pozostawiono go jego losowi. W ten sposób, zdobywszy chcąc nie chcąc pozycję człowieka niezależnego, zachował się bardzo mądrze i taktownie, nic nikomu na pozór nie mając za złe i nie tylko nie uważał się za pokrzywdzonego, ale pragnął jedynie, by zostawiono go w spokoju, bo mu z tym najlepiej. Właściwie jednak już od zeszłego roku, kiedy wyjechał do Moskwy, prze— stało mu być najlepiej. Zaczął

zdawać sobie sprawę, że ta niezależność człowieka, który by wszystko potrafił, gdyby, chciał, lecz któremu nic się nie chce, już się nieco opatrzyła i wielu poczyną myśleć, że on nic innego nie potrafi, jak tylko być uczciwym i dobrym chłopcem. Romans jego z panią Karenin, który narobił tyle wrzawy i zwrócił ogólną uwagę, dodał Wrońskiemu nowego splendoru i na czas pewien zaspokoił toczącą go skrycie jak czerw ambicję, przed tygodniem jednak ów skryty głód obudził się z nową siłą. Towarzysz jego lat dziecińczych, Sierpuchowski, należący do tej samej sfery i tego samego towarzystwa, kolega z Korpusu Paziów, z którym jednocześnie skończył szkołę, z którym rywalizował w klasie, na gimnastyce, w figlach i ambitnych marzeniach, ów Sierpuchowski powrócił był właśnie z Azji Środkowej po uzyskaniu tam aż dwóch awansów i orderu, jaki rzadko nadawano tak młodym generałom.

Zaraz po jego powrocie do Petersburga uznano go za nową wschodzącą gwiazdę pierwszej wielkości. Będąc rówieśnikiem Wrońskiego i współpensjonariuszem ze szkoły, był już generałem i oczekiwał na nominację mogącą mieć duże znaczenie ogólnopaństwowe. Tymczasem Wroński był wprawdzie niezależnym, świetnym i kochanym przez prześliczną kobietę, ale — tylko rotmistrzem, któremu pozwolono być niezależnym do woli. „Oczywiście, nie zazdrozczę i nie mógłbym zazdrościć Sierpuchowskiemu, ale z jego awansów widać, że trzeba tylko uchwycić sposobną chwilę, a taki człowiek jak ja mógłby bardzo szybko zrobić karierę. Trzy lata temu miał on taką samą jak ja pozycję. Jeśli podam się do dymisji, będzie to spalanie za sobą mostów, podczas gdy pozostając w wojsku nic nie tracę. Anna sama mówiła, że nie chce żadnej zmiany w swej sytuacji... A ja, posiadając jej miłość, nie mogę przecież

zazdrościć Sierpuchowskiemu!” I pokręcając z wolna wąsy, wstał od stołu i przeszedł się po pokoju. Oczy jego miały mocny blask. Poczul się w tym zdecydowanym, spokojnym i radosnym nastroju, który opanowywał go zawsze po takim generalnym rozrachunku. Wszystko było znowu — jak i za poprzednich rozrachunków — przejrzyste i jasne. Ogołił się, ubrał, wziął zimną kąpiel i wyszedł.

XXI

A ja przyszedłem po ciebie. Twoje wielkie pranie coś długo dziś trwało — powiedział Petrycki. — Cóż, czy już koniec?

— Koniec — odrzekł Wroński uśmiechając się tylko oczami i pokręcając koniuszki wąsów. Jak ostrożnie, jak gdyby po tym doprowadzeniu spraw do porządku każdy zbyt śmiały lub szybki ruch mógł ów porządek zburzyć.

— Jesteś potem zawsze jak po łaźni — zauważył Petrycki. — Przyszedłem od Hryćki — (tak przezwano dowódcę pułku). — Czekają tam na ciebie.

Wroński nic nie odpowiedział; patrzył na niego myśląc o czym innym.

— A, to u niego słyhać muzykę? — spytał nadsluchując; znajome dźwięki puzonów — polki i walce — dochodziły aż tutaj. — Cóż to za uroczystość?

— Sierpuchowski przyjechał.

— Ach, tak! Nic nie wiedziałem.

Uśmiech w oczach Wrońskiego zaznaczył się mocniej. Skoro raz postanowił, że jest szczęśliwy ze swą miłością i że poświęcił dla niej swoją ambicję, a przynajmniej narzucił sobie tę rolę, nie mógł już ani zazdrościć Sierpuchowskiemu, ani mieć mu za złe, że po przyjeździe do pułku nie jego

najpierw odwiedził. Sierpuchowski był dobrym jego przyjacielem i Wroński rad był, że go zobaczy.

— Bardzo się cieszę.

Dowódca pułku Diemin kwaterował w dużym ziemiańskim dworze. Całe towarzystwo było zgromadzone na obszernym tarasie. Pierwszą rzeczą, która rzuciła się w oczy Wrońskiemu na podwórze, byli pieśniarze w letnich mundurach, zgrupowani dokoła beczułki z wódką, oraz krzepka postać rozweselonego dowódcy pułku w otoczeniu oficerów. Stojąc na pierwszym stopniu schodków tarasu wydawał jakieś rozkazy przekrzykując muzykę, która grała Offenbachowskiego kadryla, i dawał znaki stojącym na stronie żołnierzom. Grupka żołnierzy — wachmistrz i kilku podoficerów — podeszła jednocześnie z Wrońskim do tarasu. Dowódca pułku powrócił do stołu, po czym znów wyszedł na ganek z pucharem w rękę i wzniósł toast: „Za zdrowie naszego byłego kolegi i walecznego generała, księcia Sierpuchowskiego. Hura!”

Tuż za dowódcą pułku wyszedł także z kielichem w rękę uśmiechnięty Sierpuchowski.

— A ty coraz to jesteś młodszy, Bondarenko — zwrócił się do stojącego tuż przed nim zuchowatego wachmistrza o czerwonych policzkach, który po odświeżeniu obowiązującego terminu nadal pozostał w wojsku.

Wroński trzy lata nie widział Sierpuchowskiego. Ten zmęśniał, zapuścił bokobrody, ale pozostał jak dawniej wysmukły, zwracający uwagę nie tyle urodą, ile delikatnością oraz szlachetnością rysów i postaci. Jediną zmianą, którą zauważył w nim Wroński, był ów spokojny, niezmienny blask, jaki bije” z twarzy ludzi, którzy osiągnęli powodzenie i którzy są pewni, że ich sukcesy cieszą się ogólnym poklaskiem. Wroński znał ten objaw i zauważył go

natychmiast u Sierpuchowskiego.

Schodząc ze schodów Sierpuchowski spostrzegł Wrońskiego i uśmiechnął się radośnie. Skinął mu porozumiewawczo głową i podniósł puchar na powitanie, dając tym gestem do zrozumienia, że musi podejść najpierw do wachmistrza, który stał przed nim na baczność i już składał usta do pocałunku.

— Otóż i on! — zawołał dowódca pułku. — A Jaszwin mi oznajmił, że jesteś w jednym z twoich ponurych nastrojów.

Sierpuchowski ucałował wilgotne, świeże wargi zucha — wachmistrza i ocierając usta chusteczką podszedł do Wrońskiego.

— Jakże się cieszę! — powiedział ściskając mu rękę i odprowadzając go na stronę.

— Zajmijcie się nim! — krzyknął dowódca pułku do Jaszwina wskazując na Wrońskiego, po czym zeszedł na dół do żołnierzy.

— Czemu wczoraj nie byłeś na wyścigach? Myślałem, że cię tam spotkam rzekł Wroński przyglądając się Sierpuchowskiemu.

— Byłem, ale przyjechałem za późno. Przepraszam — dodał i zwrócił się do swego adiutanta: — Proszę kazać, by to w moim imieniu rozdzielono ... — ile wypadnie na głowę.

— I z pośpiechem wyjął z pugilaresu trzy papierki sturublowe, czerwieniąc się przy tym.

— Wroński! Będiesz coś jadł czy pił? — spytał Jaszwin. — Hej, tam, dajcie panu hrabiemu jeść. A tu masz coś do picia.

Zabawa u dowódcy pułku trwała długo.

Pito wiele. Podrzucano w górę Sierpuchowskiego, później dowódcę pułku. Potem dowódca tańczył z Petryckim przed pułkowymi śpiewakami. Wreszcie dowódca pułku, nieco już

osłabły, usiadł na ławce na dworze i począł przekonywać Jaszwiną o wyższości Rosji nad Prusami, zwłaszcza jeśli chodzi o atak kawalerii. Zabawa na chwilę przycichła. Sierpuchowski wszedł do wnętrza domu, do toalety, żeby umyć ręce, i zastał tam Wrońskiego, który właśnie oblewał się wodą. Zdjął mundur i podstawiają czerwony, obrośnięty kark pod strumień wody z umywalni, rozcierał sobie głowę i szyję dłońmi. Umywszy się przysiadł się do Sierpuchowskiego na kanapkę i rozpoczęła się rozmowa, wielce dla nich obu interesująca.

— Wiedziałem o tobie wszystko przez żonę — powiedział Sierpuchowski. — Cieszę się, żeście się często widywali.

— To przyjaciółka Wari. Są to jedyne kobiety w Petersburgu, które chętnie widuję — uśmiechnął się Wroński. Uśmiechał się dlatego, że przeczuwał, jakiego tematu dotknie ich rozmowa, i że mu to było przyjemne.

— Jedyne? — powtórzył pytająco Sierpuchowski uśmiechając się.

— A ja też miałem wieści o tobie, ale nie przez twoją żonę — odparł Wroński, surowym wyrazem twarzy zamykając drogę do dalszych aluzji. — Cieszyłem się szczerze z twoich sukcesów, ale wcale mnie one nie zdziwiły. Oczekiwałem nawet większych.

Sierpuchowski uśmiechnął się. Widać było, że mu ta opinia sprawia przyjemność i wcale nie uważał za potrzebne tego ukrywać.

— Ja, przeciwnie, przyznaję się szczerze, oczekiwałem mniejszych. Ale i ja się cieszę, bardzo się cieszę. Jestem ambitny; to moja słaba strona i przyznaję się do niej.

— Gdyby ci się tak nie powiodło, to może byś się do niej nie przyznawał — zauważył Wroński.

— Nie sędzę — uśmiechnął się znowu Sierpuchowski. —

Nie powiedziałbym, że nie warto bez tego żyć, ale byłoby nudno. Oczywiście, mogę się mylić, zdaje mi się jednak, że mam pewne zdolności nadające się do tej sfery działania, którą sobie obrałem, i że każda władza — o ile w ogóle będę ją miał — więcej przyniesie korzyści w moim ręku niż w rękach wielu osobników, których znam — prawil dalek Sierpuchowski z promienną świadomością powodzenia. — I dlatego, im bardziej się to zbliża, tym bardziej jestem kontent.

— Być może, że z tobą tak jest istotnie, ale nie jest tak ze wszystkimi. I ja też kiedyś tak myślałem, a tymczasem teraz żyję sobie i znajduję, że nie warto żyć tylko po to — zauważył Wroński.

— Otóż to! Otóż to! — zaśmiał się Sierpuchowski. — Właśnie od tego zacząłem, że słyszałem o tobie, o twojej odmowie... I rzeczywiście pochwalałem ją. Ale jest sposób i sposób. Sądzę, że mając rację co do samej istoty rzeczy, zrobiłeś to nie tak, jak należało.

— Co się stało, to się nie odstanie, a wiesz, że nigdy nie odżegnuję się od tego, co zrobiłem. A poza tym, jest mi z tym bardzo dobrze.

— Do czasu, ale to cię nie zadowoli na dłużej. Nie mówiłbym tego o twoim bracie. To dziecko, miłe dziecko, podobnie jak i nasz dzisiejszy gospodarz. Otóż i on! — dodał słuchając okrzyków „hura!”. — Jego to bawi, ale tobie to nie wystarczy.

— Ja też nie twierdzę, że mi to wystarczy.

— Ależ nie o to tylko chodzi. Tacy ludzie jak ty są potrzebni.

— Komu?

— Komu? Społeczeństwu. Rosji potrzebni są ludzie, potrzebna partia, inaczej wszystko zejdzie na psy.

— Jak mam to rozumieć? Partia Bierieniewa przeciwko rosyjskim komunistom?

— Nie — ściągnął brwi Sierpuchowski, urażony, że ktoś podejrzewa go o taką głupotę — *Tout ça est une blague**. To, zawsze było i będzie. Nie ma żadnych komunistów, ale intryganci zawsze muszą wymyślić jakąś szkodliwą, niebezpieczną grupę. To stary chwyt. Nie, potrzebna jest partia, która by dała władzę ludziom niezależnym, takim jak ty i ja.

— Ale dlaczego? — tu Wroński wymienił kilka osobistości będących u władzy — dlaczegoż to oni mieliby nie być” ludźmi, niezależnymi?

— Po prostu dlatego, że od początku nie mieli i nie mają tej niezależności materialnej, tego nazwiska i że nie urodzili się tak blisko słońca jak my. Ich można kupić pieniędzmi lub pochlebstwem. Po to, aby się utrzymać, muszą wymyślać sobie jakiś kierunek. Więc przeprowadzają tę jakąś swoją ideę, jakąś tendencję, w którą sami nie wierzą, która jest szkodliwa, a cała ta idea to tylko sposób, żeby mieszkać na koszt rządu i pobierać tyle a tyle pensji: *Cela n'est pas plus fin que ça**, gdy się im zajrzy w karty.. Być może, że jestem od nich gorszy i głupszy, chociaż nie widzę, dlaczego miałbym być gorszy. Mam jednak w porównaniu z nimi na pewno tę przewagę, że nas kupić jest daleko trudniej. A tacy ludzie są obecnie potrzebniejsi niż kiedykolwiek.

Wroński słuchał z uwagą. Zajmowała go nie tyle treść słów Sierpuchowskiego, ile jego stosunek do tych spraw Sierpuchowski już zamyślał walczyć z istniejącą władzą i już miał w tej mierze swoje sympatie i antypatie, podczas gdy on sam, kiedy chodziło o służbę, miał na myśli tylko interesy szwadronu. Zrozumiał, jak wielką siłą Sierpuchowskiego

* *Tout ça* ... — to wszystko blaga

* *Cela* ... — to nie jest wcale takie już bardzo subtelne

była jego niewątpliwa zdolność przemyślenia i rozumienia rzeczy, jego inteligencja i dar słowa, tak rzadko spotykane w środowisku, w którym przebywał. I chociaż było mu wstyd, poczuł zawiść.

— A jednak mnie osobiście brak do tego jednej, głównej rzeczy — odrzekł — brak mi żądy władzy. Miałem ją, ale minęła.

— Wybacz, ale to nieprawda — uśmiechnął się Sierpuchowski.

— Przeciwnie, prawda, prawda... teraz, jeśli już mam być szczery — dodał.

— No tak, prawda teraz — to co innego; ale owo teraz nie będzie zawsze trwało.

— To możliwe — przyznał Wroński.

— Powiadasz: to możliwe — ciągnął dalej Sierpuchowski, jakby odgadując jego myśli — a ja ci mówię: na pewno. I dlatego chciałem się z tobą zobaczyć. Postąpiłeś, jak należało, i rozumiem to, ale nie powinienes przy tym się upierać. Proszę cię tylko o *carte blanche**... Ach, nie może być mowy o jakiejś protekcji!... Chociaż, czemu nie miałbym udzielić tobie protekcji raz, skoro ty jej tyle razy mnie udzielałeś! Mam nadzieję, że nasza przyjaźń jest wyższa ponad to. Tak — powiedział z istic kobiecą czulością i uśmiechem. — Daj mi *carte blanche*, wystąp z pułku, a ja cię niepostrzeżenie wciągnę.

— Ależ zrozum: ja niczego nie pragnę — bronił się Wroński — poza tym, żeby wszystko pozostało tak, jak było dotychczas.

Sierpuchowski wstał i zatrzymał się przed nim.

— Powiedziałeś: żeby wszystko pozostało tak, jak było dotychczas. Rozumiem, co to znaczy. Ale posłuchaj.

* *Carte blanche* — w przenośni: wolna ręka

Jesteśmy rówieśnikami. Może zresztą, jeśli chodzi o liczbę, znalazłeś więcej kobiet niż ja. — Uśmiech i gestykulacja Sierpuchowskiego miały na celu uspokoić przyjaciela i zapewnić go, że dotknie bolącego miejsca delikatnie i ostrożnie. — Ale za to ja jestem żonaty i wierzaj mi, że poznając swoją jedyną żonę (jak to ktoś napisał), żoną, którą się kocha, lepiej poznaje się wszystkie kobiety, niż gdyby się ich znało tysiące.

— Zaraz idziemy! — krzyknął Wroński oficerowi, który zajrzał do pokoju i prosił ich do dowódcy pułku.

Miał teraz ochotę wysłuchać Sierpuchowskiego do końca i dowiedzieć się, co ten ma mu do powiedzenia..

— Oto więc moje zdanie: kobiety to główny kamień obrazy na drodze działalności człowieka. Trudno jest coś robić kochając jednocześnie kobietę. Dlatego jedyny sposób, by móc kochać bez przeszkód — to ożenek. Jak by ci tu... Jak ci tu wytłumaczyć dokładnie to, co myślę — mówił Sierpuchowski, który lubił porównania — czekaj, czekaj!... To tak jak na przykład — nieść *fardeau** robiąc jednocześnie rękoma coś innego można tylko wówczas, kiedy *fardeau* jest przymocowane na grzbiecie... To jest właśnie ożenek.. Oto, co poczułem, kiedym się ożenił. Miałem nagle wolne ręce. Ale jeśli chcesz wlec to *fordeau* nie żeniąc się, wówczas będziesz miał ręce tak zajęte, że nic nie zrobisz. Spójrz na Mazankowa, Krupowa: zniszczyli sobie kariery przez kobiety.

— Ale przez jakie kobiety! — zawołał Wroński pamiętając Francuzkę i aktorkę, z którymi tamci mieli romans.

— Tym gorzej! Im solidniejsza jest pozycja towarzyska kobiety — tym gorzej. Wtedy już nie tylko trzeba nieść *fardeau* w obu rękach, ale trzeba je komuś innemu wydzierać.

* *Fardeau* — ciężar, ładunek

— Tyś nigdy nie kochał — powiedział cicho Wroński patrząc przed siebie i myśląc o Annie.

— Możliwe. Ale pamiętaj o tym, co ci powiedziałem. I jeszcze jedno: kobiety wszystkie są większymi materialistkami niż mężczyźni. My z miłości robimy jakąś olbrzymią rzecz, a one są zawsze *terre à terre**.

— Zaraz, zaraz — powiedział do wchodzącego lokaja. Lokaj wszedł jednak nie po to, by ich ponownie wezwać, jak sądził Sierpuchowski; przyniósł liścik dla Wrońskiego.

— Służący od księżnej Twerskiej przyniósł dla pana rotmistrza.

Wroński rozpieczętował list i poczerwieniał.

— Rozboliła mnie głowa; pójdę do domu — rzekł do Sierpuchowskiego.

— Więc żegnaj... I cóż, dajesz mi *carte blanche*?

— Pogadamy o tym później; odszukam cię w Petersburgu.

XXII

Było już po piątej. Aby się nie spóźnić i nie zwracać niepotrzebnie uwagi — jego własne konie były zbyt dobrze znane w okolicy — Wroński spiesznie wsiadł do wynajętego pojazdu Jaszwina i kazał dorożkarzowi jechać co koń wyskoczy. Stara dorożkarska czteroosobowa karetka była obszerna; usiadł tedy w rogu, nogi oparł o przednie siedzenie i zamyślił się.

Mglista świadomość, że sprawy jego są teraz zupełnie przejrzyste, mglista pamięć o przyjaźni Sierpuchowskiego i jego pochlebnym zdaniu, że jest człowiekiem potrzebnym, a przede wszystkim przedsmak spotkania — wszystko to stopiło się w ogólne wrażenie radosnego poczucia pełni

* *Terre à terre* — przyziemne

życia, Poczucie to było tak silne, że Wroński uśmiechnął się bezwiednie. Spuścił nogi, oparł jedną z nich na kolanie i wzięwszy ją w rękę obmacywał sprężystą łydkę, którą stłukł sobie w przeddzień, spadając z konia, po czym rozparłszy się na siedzeniu odetchnął kilka razy pełną piersią.

„Dobrze, ach, jak dobrze!” — rzekł do siebie. Nieraz już przedtem doświadczał radosnej świadomości własnego ciała, nigdy jednak jeszcze nie kochał samego siebie, nie kochał swego ciała tak jak teraz. Miły mu był ów lekki „ból w mocnej nodze, miła — świadomość poruszania się mięśni klatki piersiowej przy oddychaniu. Ten sam pogodny, chłodnawy dzień sierpniowy, który wzbudził w Annie nastrój takiej beznadziejności, jemu wydał się pobudzająco ożywczy i chłodził mu twarz i szyję, które paliły po oblewaniu zimną wodą. Zapach brylantyny, bijący z wąsów, wydał mu się w tym świeżym powietrzu specjalnie przyjemny. Wszystko, co widział przez okno karety, w tym zimnym, czystym powietrzu, przy bladym świetle zachodu, było równie wypoczęte, wesołe i krzepkie jak on sam: a więc i dachy domów, błyszczące w promieniach zniżającego się słońca, i ostre zarysy płotów i kantów budowli, i postacie z rzadka trafiających się przechodniów, i sylwetki pojazdów, i nieruchoma zieloność drzew i traw, i pola regularnie pocięte brzdami kartofli, i ukośne cienie padające od domostw, od drzew, od krzaków i nawet od kartofli na zagonkach. Wszystko było piękne jak ładny pejzaż malarski, tylko co skończony i pokryty werniksem.

— Poganiaj, poganiaj! — krzyknął do furmana wychylając się przez okno, a kiedy ten się obejrzał, podał mu trzyrublowy papierek. Ręka doróżkarza poczęła coś majstrować przy latarni, rozległo się chłaśnięcie batem i kareta szybko potoczyła się po gładkiej szosie.

„Nic, nic nie chcę prócz tego szczęścia — myślał wpatrując się w kościany guziczek od dzwonka, umieszczony pomiędzy przednimi szybkami, i wyobrażając sobie Annę taką, jaka była, kiedy ją widział w przeddzień. — Im dalej, tym ją więcej kocham. Otóż i ogród należący do rządowej willi, w której mieszka stara Wrede. Gdzież ona?... Gdzie?... Jak ją tutaj znaleźć? I czemu wyznaczyła mi spotkanie tu właśnie? Czemu pisze do mnie w liście od Betsy?” — pomyślał dopiero teraz; lecz nie było już czasu na rozmyślanie. Kazał dorożkarzowi stanąć nie dojeżdżając do alei wjazdowej, a sam otworzywszy drzwiczki wyskoczył w biegu z karety i poszedł aleją prowadzącą ku domowi. Nie było tam nikogo, ale spojrzawszy w prawo zobaczył Annę. Twarz miała zasłoniętą woalką, lecz on objął radosnym spojrzeniem specjalny, jej tylko właściwy rytm chodu, pochyłość ramion i osadzenie głowy i — jakby prąd elektryczny przebiegł go całego. Z nową mocą uświadomił sobie własne ciało, począwszy od sprężystych ruchów nóg aż do poruszania się płuc przy, oddechu. Poczul na wargach lekkie łaskotanie. Spotkali się. Uścisnęła mocno jego rękę.

— Nie gniewasz się, że cię wezwała? Musiałam cię koniecznie zobaczyć — rzekła. Poważny a surowy układ jej warg, widoczny pod woalką, wnet wpłynął na zmianę jego nastroju.

— Ja?! Miałbym się gniewać! Ale jakieś tu przyjechała? Do kogo?

— To obojętne — odpowiedziała kładąc rękę na jego ramieniu. — Chodźmy, muszę z tobą pomówić.

Zrozumiał, że coś się stało i że spotkanie ich nie będzie radosne. W jej obecności nie miał własnej woli i jeszcze nie znając przyczyny jej niepokoju czuł już, jak się ten niepokój również i jemu udziela.

— I cóż takiego? Co? — pytał przyciskając łokciem jej rękę i usiłując wyczytać odpowiedź z wyrazu jej twarzy.

Przeszła, milcząc jeszcze kilka kroków, aby nabrać odwagi, po czym nagle przystanąła.

— Wczoraj nie mówiłam ci — rozpoczęła, szybko i ciężko oddychając — że wracając do domu z mężem, powiedziałam mu wszystko... Oświadczyłam mu, że nie mogę być dłużej jego żoną, że... Powiedziałam mu wszystko..

Słuchał, bezwiednie pochylając się ku niej, jakby chciał w ten sposób przynieść jej jakąś ulgę. Lecz gdy tylko wymówiła te słowa, nagle wyprostował się i twarz jego nabrała wyniosłego i surowego wyrazu.

— Tak, tak... Tak jest tysiąc razy lepiej! Rozumiem, jakie to musiało być bolesne — wyrzekł.

Lecz ona nie słuchała jego słów; odczytywała jego myśli z wyrazu twarzy. Nie mogła wiedzieć, że wyraz ten należało przypisać pierwszej myśli, jaka przyszła Wrońskiemu do głowy — że obecnie pojedynek jest nieunikniony. Nigdy jej nie przychodził na myśl pojedynek i stąd zupełnie inaczej wytłumaczyła sobie ten przelotny wyraz surowości.

Gdy otrzymała list od męża, już od razu w głębi serca wiedziała, że wszystko zostanie po dawnemu: że nie będzie miała odwagi wzgardzić swoją pozycją towarzyską, opuścić syna i pójść za kochankiem. Poranek spędzony u księżnej Twerskiej jeszcze ją w tym utwierdził, lecz mimo to spotkanie z Wrońskim było dla niej nadzwyczaj ważne. Miała nadzieję, że on zmieni coś w ich położeniu i że ją uratuje. Gdyby po wysłuchaniu jej, bez chwili wahania, stanowczo i namiętnie powiedział: „Rzuć wszystko i uciekaj ze mną!” — porzuciłaby syna i poszłaby za nim. Słowa jej nie wywarły wszelako na nim takiego wrażenia, jakiego Anna oczekiwała: wydawał się tylko jakby czymś urażony.

— To nie było wcale takie przykre. Wynikło jakoś samo przez się — rzekła z rozdrażnieniem — i patrz... — wyjęła z rękawiczki list męża.

— Rozumiem, rozumiem — przerwał wzięwszy list, nie czytając go jednak i starając się uspokoić Annę. — Jednego tylko pragnąłem, o jedno prosiłem, żeby raz skończyć z tą sytuacją, tak abym mógł poświęcić życie twemu szczęściu.

— Po co mi to mówisz? — przerwała. — Czyż mogę o tym wątpić? Gdybym wątpiła...

— Kto to idzie? — powiedział nagle Wroński wskazując na zdążające w ich stronę dwie panie.

— Może to ktoś, kto nas zna — i pociągając ją za sobą, spiesznie skierował się na boczną dróżkę.

— Ach, wszystko mi jedno! — odrzekła. Wargi jej drgnęły i Wrońskiemu wydało się, że oczy Anny spoglądają na niego spod woalki z dziwnym gniewem. — Mówię ci, że nie o to chodzi... Nie mogę o tym wątpić... Ale patrz, co on mi pisze. Przeczytaj! — i znów przystanęła.

I teraz także, jak w pierwszej chwili na wiadomość o jej zerwaniu z mężem, Wroński, czytając list, nieświadomie poddał się naturalnemu wrażeniu wynikającemu ze stosunku do obrażonego męża. Obecnie, trzymając w rękę jego list, odruchowo wyobrażał sobie wyzwanie na pojedynek, które jeszcze dziś lub też jutro znajdzie w domu, a także sam pojedynek, w czasie którego z tym samym co teraz chłodnym i dumnym wyrazem twarzy wystrzeli w powietrze, a potem będzie czekał na strzał zdradzonego męża. I zaraz przebiegło mu przez głowę to, o czym mu przed chwilą mówił Sierpuchowski i o czym sam rozmyślał tego ranka — że lepiej byłoby się nie wiązać. Wiedział jednak, że p tej myśli nie powinien wspominać Annie.

Po przeczytaniu listu podniósł na nią oczy, ale wzrok jego

był niezdecydowany. Anna wyczuła natychmiast, że on już przedtem sam to rozważał, i wiedziała, że cokolwiek teraz jej powie, nie powie wszystkiego, co myśli. Wiedziała również, że ostatnia nadzieja ją zawiodła. To było nie to, czego się spodziewała.

— Widzisz, co to za człowiek — powiedziała drżącym głosem. — On...

— Wybacz, ale ja się z tego cieszę — przerwał jej Wroński. — Na miłość boską, daj mi skończyć — dodał błagając ją spojrzeniem, by mu dała czas na wytłumaczenie tych słów. — Cieszę się, ponieważ to przecie nie może, absolutnie nie może pozostać tak, jak on to sobie wyobraża.

— Dlaczego nie może? — powstrzymując się od łez szepnęła Anna. Znać po niej było, że jego słowa nie mają już dla niej żadnego znaczenia. Czuła, że los jej się rozstrzygnął.

Wroński zamierzał powiedzieć, że po — nieuniknionym, zdaniem jego — pojedynku sytuacja ta nie będzie mogła trwać dalej, lecz powiedział coś zgoła innego:

— To nie może tak dalej trwać. Mam nadzieję, że go teraz opuścisz? Mam nadzieję — tu zmieszał się i poczerwieniał — że pozwolisz mi urządzić i obmyślić nasze życie. — Jutro... — zaczął.

Nie dała mu dokończyć.

— A mój syn? — zawołała. — Widzisz, co on pisze? Musiałabym go opuścić, a ja nie mogę i nie chcę tego zrobić.

— Ależ na miłość boską, co jest lepsze: rozstać się z synem czy też trwać dalej w tej poniżającej sytuacji?

— Poniżającej — dla kogo?

— Dla wszystkich, a najbardziej dla ciebie.

— Powiedziałeś: poniżającej... Nie mów tak. Słowa takie nie mają dla mnie żadnego sensu — wyrzekła drżącym głosem. Nie chciała, aby teraz mówił jej nieprawdę.

Pozostawała jej już tylko jego miłość i pragnęła móc go kochać. — Zrozum, że dla mnie od chwili, gdy cię pokochałam, wszystko się zmieniło. Jedyne moje dobro, jedyne — to twoja miłość. Gdy ją posiadam, to czuję się tak wywyższona, nieugięta, że nic nie może mnie poniżyć. Jestem dumna z tego położenia, dlatego że... Jestem dumna... że... — Nie powiedziała, z czego mianowicie była taka dumna. Łzy wstydu i rozpacz zdławiły jej głos. Zamilkła i rozplakała się.

Wroński również poczuł, że coś go chwyta za gardło, szczypie w nosie, i pierwszy raz w życiu był bliski płaczu. Nie mógłby powiedzieć, co go tak roztkliwiło. Było mu jej żal i czuł, że nie może jej dopomóc, a zarazem wiedział, że jest przyczyną jej nieszczęścia, że popełnił coś złego.

— Czy rozwód jest niemożliwy? — rzekł niepewnie. Zamiast odpowiedzi zaprzeczyła ruchem głowy. — Czy nie można zabrać syna, a męża jednak opuścić?

— Owszem, ale to wszystko od niego zależy. A teraz muszę do niego jechać — powiedziała oschle. Przeczucie, że wszystko zostanie tak, jak było, nie omyliło jej.

— Będę w Petersburgu we wtorek i wszystko wtedy się rozstrzygnie.

— Tak — potwierdziła. — Ale już nie mówmy o tym. Kareta, którą Anna odprawiła, każąc jej powrócić do bramy ogrodu Wrede, nadjechała. Anna pożegnała się z Wrońskim i udała się do domu.

XXIII

W poniedziałek odbywało się zwykle posiedzenie komisji drugiego czerwca. Karenino wszedł do sali posiedzeń, przywitał się jak zwykle z członkami komisji i jej

przewodniczącym i usiadł na swoim miejscu, kładąc rękę na przygotowane dla niego akta. W ich liczbie były także potrzebne mu informacje oraz naszkicowany projekt oświadczenia, które zamierzał odczytać. Zresztą, informacje były mu właściwie niepotrzebne. Pamiętał wszystko i nawet nie uważał za konieczne powtórzyć w pamięci tego, co powie. Wiedział, że gdy nadejdzie godzina i ujrzy przed sobą oblicze przeciwnika, daremnie usiłującego przybrać obojętny wyraz, mowa jego popłynie sama lepiej, niż mógłby ją obecnie przygotować. Treść jego przemówienia była — czuł to — tak doniosła, że każde słowo będzie miało wagę. Tymczasem, słuchając zwykłego sprawozdania, miał jak najniewinniejszą i najniezszkodliwszą minę. Patrząc na jego białe, o występujących żyłach ręce które długimi palcami tak delikatnie dotykały obu brzegów leżącego przed nim arkusza białego papieru, i na głowę pochyloną na bok z wyrazem znużenia — nikt nie przeczuwał, że za chwilę z ust jego popłyną słowa, które podniosą straszną burzę, pobudzą członków komisji do krzykliwego przerywania sobie nawzajem i zmuszą przewodniczącego do przywoływania zebranych do porządku. Kiedy sprawozdanie było skończone, Karenin oświadczył swym powolnym, cienkim głosem, że ma do zakomunikowania niektóre swoje spostrzeżenia w sprawie organizacji obcoplemieńców. Ogólna uwaga zwróciła się ku niemu. Karenin odchrząknął i nie patrząc na przeciwnika, tylko obrawszy sobie, jak to zawsze zwykł czynić wygłaszając mowę, pierwszą lepszą siedzącą naprzeciwko niego osobę — malutkiego, cichutkiego staruszka, który w komisji nigdy nie miał żadnego zdania — począł wyłuszczać swoje uwagi. Gdy rzecz doszła do zasadniczej i organicznej ustawy, przeciwnik zerwał się i począł oponować. Striemow, będący również członkiem komisji i również dotknięty do

żywego, jał się usprawiedliwiać. W ogóle całe posiedzenie przybrało obrót burzliwy, lecz Karenin zatriumfował. Jego propozycja została przyjęta; mianowano trzy nowe komisje, a nazajutrz w pewnych petersburskich kołach o niczym innym nie mówiono jak o tym posiedzeniu. Sukces Karenina był większy nawet, niż on sam tego oczekiwał.

Na drugi dzień rano, we wtorek, Aleksy Aleksandrowicz obudziwszy się przypomniał sobie z zadowoleniem zwycięstwo dnia poprzedniego i mimo że chciał udawać obojętność, nie mógł ukryć uśmiechu, gdy naczelnik kancelarii pragnąc mu pochlebić powtórzył doszłe do niego nowinki o tym, co się działo na komisji.

Zajęty pracą z naczelnikiem kancelarii, Karenin całkiem zapomniał, że tego dnia był wtorek, dzień, który sam wyznaczył na powrót żony, i zdziwił się, a nawet był niemile zaskoczony, gdy służący przyszedł mu zameldować o jej przyjeździe.

Anna przyjechała do Petersburga wczesnym rankiem. Na skutek jej depeszy posłano po nią karete, toteż Aleksy Aleksandrowicz mógł być wiedzieć o jej przyjeździe. Mimo to, gdy przyjechała, nie wyszedł na jej spotkanie. Powiedziano jej, że jeszcze nie wychodził ze swych pokoi i że jest u niego naczelnik kancelarii. Kazała mu oznajmić, że przyjechała, po czym poszła do swego gabinetu i zajęła się porządkowaniem rzeczy oczekując nadejścia męża. Lecz minęła godzina, a on nie nadchodził. Anna przeszła do jadalni pod pozorem wydania dyspozycji i umyślnie mówiła głośno, oczekując, że mąż się zjawi; nie wyszedł jednak, mimo że słyszała, jak podchodził do drzwi gabinetu odprowadzając naczelnika kancelarii. Wiedziała, że jak zwykle niezadługo wyjedzie z domu w sprawach służbowych, i chciała przedtem z nim się widzieć, tak aby stosunki między nimi zostały od

razu jasno określone.

Przeszła się po salonie, po czym z determinacją skierowała się w stronę jego gabinetu. Gdy weszła, Karenin, już w mundurze, najwidoczniej gotów do wyjścia, siedział oparty łokciami o mały stolik i posepnie patrzył przed siebie. Zobaczyła go, zanim zdążył spojrzeć na nią, i poznała, że o niej myślał.

Na jej widok chciał wstać, rozmyślił się, potem poczerwieniał — czego Anna nigdy przedtem u niego nie spostrzegąca — zerwał się i pośpieszył na jej spotkanie nie patrząc jej przy tym w oczy, tylko na czoło i włosy. Podszedł do niej, wziął ją za rękę i poprosił, by usiadła.

— Cieszę się bardzo, że pani przyjechała — rzekł i usiadł obok niej, pragnąc widocznie coś powiedzieć, lecz zająknął się. Parę razy usiłował przemówić, zacinął się jednak znowu. Mimo że gotując się na to spotkanie Anna wmawiała sobie, że męża lekceważy i że to on jest winien, teraz nie wiedziała, co mu rzec, i poczuła litość. Milczenie trwało dość długo. — Czy Sierioża zdrow? — zapytał i nie czekając na odpowiedź dodał: — Nie będę dziś na obiedzie, a teraz już na mnie pora.

— Chciałam wyjechać do Moskwy — powiedziała.

— Nie... Bardzo, bardzo dobrze pani zrobiła przyjeżdżając — odrzekł i znów umilkł.

Widząc, że mąż nie zdobędzie się na to, by pierwszy zaczął mówić, Anna zdecydowała się:

— Aleksy Aleksandrowiczu — powiedziała patrząc na niego i nie spuszczać oczu przed jego wzrokiem skierowanym na jej uczesanie — wiem, że jestem kobietą występna, złą kobietą, ale jestem taka sama, jaka byłam wówczas, jak już panu mówiłam... I przyjechałam, aby powiedzieć, że nic zmienić nie mogę.

— Nie pytałem panią o to — odparł z nagłą stanowczością

i spojrzął jej z nienawiścią w oczy. — Tak właśnie przypuszczałem. — Pod wpływem gniewu widocznie znów odzyskał pełnię wszystkich swoich władz. — Ja jednak, tak jak wówczas pani mówiłem i jak pisałem — wyrzekł ostrym, wysokim głosem — a teraz powtarzam, nie mam obowiązku o tym wiedzieć... Ignoruję to. Nie wszystkie żony są tak dobre jak pani, by śpieszyć z oznajmieniem tak przyjemnej wiadomości mężowi. — Położył specjalny nacisk na słowo „przyjemnej”. — Ignoruję to aż do czasu, kiedy świat się o tym dowie, ignoruję, dopóki nazwisko moje nie jest zbezczeszczone. I dlatego uprzedzam panią tylko, że stosunki między nami mają pozostać takie jak dotychczas i że jedynie w razie, gdyby pani się kompromitowała, zmuszony będę poczynić kroki, aby bronić swego honoru.

— Ale stosunki między nami nie mogą pozostać takie jak dotychczas — powiedziała Anna nieśmiałym głosem, patrząc na niego z łękiem.

Kiedy znów zobaczyła tę spokojną gestykulację, posłyszała ten przenikliwy, dziecinny i zarazem szyderczy głos, wstręt do niego zniweczył całą poprzednią litość i czuła już tylko trwogę. Za wszelką cenę chciała jednak wyjaśnić swoją sytuację.

— Nie mogę być żoną pana, skoro... — zaczęła. Zaśmiał się ozięble i złośliwie.

— Widać, że rodzaj życia, jaki pani sobie obrała, wywarł wpływ na pojęcia pani. Na tyle szanuję czy też pogardzam... i jedno, i drugie... Na tyle szanuję przeszłość pani, a pogardzam terażniejszością, że byłem daleki od tej interpretacji, którą pani nadała moim słowom.

Anna westchnęła i spuściła głowę.

— Nie rozumiem zresztą, jak przy tym braku przesądów, z jakim — ciągnął dalej gwałtownie — oznajmia pani mężowi

o swojej zdradzie, nie znajdując w tym, jak się zdaje, nic zdrożnego, może pani uważać spełnianie przez żonę obowiązków małżeńskich wobec męża za zdrożne.

— Aleksy Aleksandrowiczu... Czego pan ode mnie chce?

— Chcę nie spotykać tutaj tego człowieka i chcę, aby pani prowadziła się tak, by ani świat, ani służba nie mogli pani nic zarzucić. Chcę, aby pani go nie widywała. Zdaje się, że to niewiele. I za to będzie pani miała prawa uczciwej żony nie spełniając jej obowiązków. Oto wszystko, co mam pani do powiedzenia. Teraz na mnie czas. Nie będę na obiedzie.

Wstał i skierował się ku drzwiom. Anna podniosła się również. Skłonił się i w milczeniu przepuścił ją pierwszą.

XXIV

Noc, którą Lewin spędził na kopie siana, nie przeszła bez śladu: prowadzenie gospodarstwa obrzydło mu, stracił dlań wszelkie zainteresowanie. Mimo wspaniałego urodzaju nigdy jeszcze nie miał — lub zdawało mu się, że nigdy nie miał — tylu niepowodzeń ani tak złych stosunków z chłopami jak tego roku. Przyczyny, tych niepowodzeń i tej wrogości były dla niego obecnie zupełnie jasne. Urok, jaki dla Lewina miała sama praca, wynikające stąd zbliżenie z chłopami, zazdrość, jaką budzili w nim chłopci, ich życie, oraz tęsknota by zacząć żyć tak samo, tęsknota, w ową noc będąca już nie tylko marzeniem, ale zamiarem, którego szczegóły Lewin obmyślał — to wszystko tak zmieniło jego pogląd na rodzaj prowadzonego w Pokrowskiem gospodarstwa, że nie mógł się już nim tak interesować jak dotychczas. Nie mógł także nie dostrzegać swego niewłaściwego stosunku do robotników, bo to było w gruncie rzeczy sednem całej sprawy. Stada krów ulepszonej rasy, takich jak Pawa, cała ta

użyźniona, pługami zorana rola, dziewięć jednakowych, obsadzonych łożyną pól, dziewięćdziesiąt dziesięcin nawozu głęboko woranego w ziemię, siewniki rzędowe itp. — wszystko to byłoby bardzo piękne, gdyby wykonywał to sam lub z towarzyszami, ludźmi czującymi podobnie jak on. Teraz wszelako widział jasno (praca nad książką o gospodarstwie rolnym, w którym głównym czynnikiem miał być robotnik, wiele mu w tym pomogła), że gospodarowanie jego było tylko zażartą i uporczywą walką pomiędzy nim a robotnikami, w której po jednej stronie — jego stronie — trwało nieustanne wytężone dążenie, aby przerobić wszystko na ład uważany za najlepszy, a po drugiej — znajdował się ład naturalny. I widział, że w tej walce, przy największym wysiłku z jego strony, a przy braku wszelkiego wysiłku i nawet zamiaru podjęcia go z drugiej strony — wynik był taki, że gospodarstwo szło, jak samo chciało, i że zupełnie na darmo niszczały piękne narzędzia, dorodne bydło i doskonała ziemia. Najważniejsze jednak było to, że nie tylko szła na marne cała w tym celu zużywana energia, lecz — jak dotkliwie wyczuwał teraz, gdy sens gospodarowania niejako obnażył się przed nim — że cel jego wysiłku nie był godziwy. O co bowiem właściwie toczyła się walka? Bronił każdego swego grosza i musiał go bronić, gdyby bowiem czujność jego choć trochę osłabła, nie starczyłoby mu pieniędzy nawet na zapłacenie robotników, oni zaś ze swej strony walczyli po prostu o to, by pracować bez pośpiechu i wygodnie, tak jak byli przyzwyczajeni. W interesie Lewina leżało, by każdy robotnik wyrobił jak najwięcej i aby przy tym uważał i starał się nie popsuć wialni, konnych grabi, młocarni, słowem — by myślał o tym, co robi. Robotnik zaś wolał pracować w sposób jak najbardziej dla siebie przyjemny, często wypoczywając, a zwłaszcza — pracować

beztrosko, machinalnie, bezmyślnie. Tego lata Lewin widział to na każdym kroku. Polecał skosić koniczynę na siano, wybierając do tego co gorsze dziesięciny zachwaszczone trawą i piołunem, a koszone mu pod rząd najlepsze nasienne, usprawiedliwiając się rozporządzeniem rządcy i pocieszając dziedzica tym, że będzie miał doskonałe siano. On wszakże wiedział, że działo się tak, ponieważ te dziesięciny były łatwiejsze do koszenia. Posyłał przetrząsacz, aby przetrząść siano — łamano go przy pierwszym zaraz pokosie, ponieważ chłopu nie chciało się siedzieć na koźle tuż pod machającymi skrzydłami maszyny. A Lewinowi wówczas powiadano: „Niech się pan dziedzic nie kłopotczy — baby to zaraz roztrząsa.” Nowe pługi psuły się, bo robotnikowi nie przychodziło na myśl, aby w porę opuścić podniesione ostrze pługa, a zawracając pług siłą, zamięczał konie i psuł rolę. I tu również proszono go, by się nie irytował. Konie wypasały pszenicę, ponieważ żaden z robotników nie chciał być nocnym stróżem i mimo że był wyraźny rozkaz, by tego nie robić, robotnicy stróżowali w nocy kolejno, wobec czego Wańka po całodziennym pracy zasnął, a potem przyznał się sam ze skruchą do winy, powtarzając przy tym: „Jak wola pana dziedzica.” Trzy najlepsze ciolki zmarnowano wypuszczając je nie pojone na koniczynowy potraw, a potem za nic nie chciano wierzyć, że rozdeło je od koniczyny, i na pociechę opowiadano Lewinowi, że u sąsiada w trzy dni poszło w ten sposób sto dwadzieścia sztuk bydła. To wszystko działo się nie dlatego, by ktokolwiek był dziedzicowi niezyczliwy albo chciał szkodzić gospodarstwu — przeciwnie, Lewin wiedział, że go lubiano i uważano za „prostego” pana (co jest najwyższą pochwałą), ale robotnicy postępowali tak jedynie dlatego, że lubili pracować wesoło i beztrosko; a jego interes był im nie tylko obcy i

niezrozumiały, lecz z natury rzeczy sprzeczny z ich własnymi najśluszniejszymi interesami. Lewin był już od dawna niekontent ze swego stosunku do gospodarstwa. Widział, że jego łądz przepuszcza wodę, lecz nie mógł znaleźć, a nawet nie szukał miejsca przecieku okłamując się, być może, rozmyślnie. Obecnie jednak nie mógł się dłużej oszukiwać. Prowadzone przezeń gospodarstwo nie tylko już nie budziło w nim zainteresowania, ale czuł do niego wstręt i nie mógł się nim dłużej zajmować.

Dołączyła się jeszcze do tego obecność o trzydzieści wiorst od niego Kitty Szczerbaekiej, z którą pragnął się widzieć, lecz nie mógł się na to zdecydować. Daria Obłońska, gdy był w Jerguszowie, zapraszała go, by przyjechał i ponowił swoje oświadczyzny, dając mu do zrozumienia, że obecnie siostra jej przyjmie je przychylnie. Sam Lewin, zobaczywszy Kitty Szczerbacką, rozumiał, że nie przestał jej kochać, nie mógł wszelako jechać do Obłońskich wiedząc, że ona tam bawi. To, że się jej oświadczył i że ona go odrzuciła, wzniosło pomiędzy nimi przeszkodę nie do przewyciężenia. „Nie mogę jej prosić, by została moją żoną tylko dlatego, że ona nie mogła zostać żoną tego, za kogo sobie wyjść życzyła” — mówił w duchu. Myśl ta wzbudzała w nim chłód i niechęć do niej. „Nie będę w stanie z nią rozmawiać bez uczucia żalu ani patrzeć na nią bez gniewu, a ona wówczas, co jest całkiem naturalne, jeszcze bardziej będzie mnie nie cierpiała. A poza tym, jakże mogę jechać do nich teraz, po tym, co powiedziała mi Daria Aleksandrowna? Czy potrafię ukryć, że wiem o tym, co mi ona powiedziała... Przyjechałbym niby wspaniałomyślnie — by jej przebaczyć, ułaskawić ją. Jak bym ja wyglądał w roli przebaczonego, zaszczyczonego ją łaskawie moją miłością?! I po co mi Daria Aleksandrowna o tym mówiła?! Mógłbym ją przypadkiem spotkać i wtedy

wszystko zrobiłoby się samo, ale teraz to niemożliwe, niemożliwe!”

Daria Aleksandrowna przysłała liścik z prośbą o siodło damskie dla Kitty. „Mówią mi, że pan ma takie siodło — pisała. — Mam nadzieję, że pan je przywiezie osobiście.”

To już było nie do zniesienia. Jak rozumna, taktowna kobieta mogła tak poniżyć siostrę?! Napisał w odpowiedzi z dziesięć listów, ale wszystkie podarł i posłał siodło bez żadnej odpowiedzi. Nie mógł napisać, że przyjedzie, bo przyjechać nie mógł, a napisać, że nie może przyjechać z powodu jakiejś przeszkody lub wyjazdu — byłoby jeszcze gorzej. Posłał siodło bez słowa odpowiedzi i ze świadomością, że zrobił coś, czego powinien się wstydzić. Na drugi dzień poruczył rządcy całe obrzydłe mu już teraz gospodarstwo i wyjechał do odległego powiatu, do majątku swego przyjaciela Swiażskiego, gdzie w okolicy znajdowały się wspaniałe, rojące się od bekasów, bagna. Swiażski pisał niedawno, prosząc, aby wreszcie spełnił powzięty już kiedyś zamiar i przyjechał do niego na wieś. Bekasowe bagna w powiecie surowskim od dawna nęciły Lewina, wciąż jednak z przyczyn gospodarskich odkładał tę jazdę. Obecnie rad był uciec od sąsiedztwa Szczerbackich, a zwłaszcza od gospodarstwa, na polowanie, które we wszystkich zmartwieniach stanowiło dla niego najlepszą pociechę.

XXV

Do powiatu surowskiego nie było ani kolei, ani pocztowego gościńca, tak że Lewin jechał własnymi końmi i tarantasem.

W połowie drogi zatrzymał się u bogatego chłopca, żeby nakarmić konie. Wrota otworzył mu łysy, krzepki jeszcze,

stary chłop z rozłożystą, rudą brodą posiwiałą u policzków i aby przepuścić trojkę, przycisnął się do węgara. Pokazawszy stangretowi miejsce pod szopą na nowym, dużym, szerokim, czystym i uprzątniętym podwórzu, gdzie stały poopalane drewniane sochy, stary poprosił Lewina do izby gościnnej. Czysto ubrana młoda kobieta, w kaloszach włożonych na bosc nogi, schylona wycierała podłogę w nowej sieni. Złękła się zrazu psa, który wbiegł za Lewinem, i krzyknęła, lecz. Wnet roześmiała się ze swego przestachu dowiedziawszy się, że pies nikogo nie rusza. Wskazawszy Lewinowi zakasaną ręką drzwi do izby, pochyliła się znowu, chowając urodziwą twarz, i szorowała w dalszym ciągu.

— Może podać samowar czy jak? — zapytała. — Proszę bardzo.

Izba była wielka z kafłowym piecem i przepierzeniem. Pod świętymi obrazami stał stół malowany we wzory, ławka i dwa krzesła. U wejścia była szafeczka z naczyniami. Okiennice trzymano zamknięte, much było mało i panowała taka czystość, że Lewin począł się niepokoić, czy Łaska, która biegła za bryczką i kapała się w kałużach, nie zawała podłogi, kazał jej więc leżeć w kącie u drzwi. Po obejrzeniu izby Lewin wyszedł na podwórko za chatą. Przystojna młoda kobieta w kaloszach, kołyszając na nosidłach puste wiadra, pobiegła, wyprzedzając go, po wodę do studni.

— A śpiesz się! — wesoło krzyknął za nią stary i podszedł do Lewina. — A co, panie, czy pan jedzie do Miskołaja Iwanowicza Swiażskiego? I on do nas czasami zajeżdża — zaczął z widoczną ochotą do rozmowy i oparł się o balustradę ganku.

Pośród opowiadania starego o jego znajomości ze Swiażskim znów skrzypnęły wrota i na podwórze wjechali robotnicy z pola z sochami i bronami. Konie, zaprzężone do

soch i bron, były wypasione i rosły. Dwaj młodzi robotnicy w perkalowych koszulach i czapkach z daszkiem należeli wyraźnie do rodziny; dwaj pozostali, w zgrzebnych koszulach, to byli ludzie najemni: jeden człek w latach, drugi — młody chłopak. Gospodarz zeszedł z ganku, zbliżył się do koni i zaczął je wyprzęgać.

— A coście orali? — spytał Lewin.

— Obradlaliśmy kartofle. Dzierżawimy także trochę ziemi. Ty, Fiedot, zostaw wałacha, daj mu obrok, zaprzęgniemy innego...

— A co, tato? Kazałem posłać po lemiesz, czy je przyniesiono? — zapytał tęgi, wysokiego wzrostu chłopak, najwidoczniej syn starego.

— Ot tam... w sankach — odpowiedział, stary zwijając zdjęte lejce i rzucając je na ziemię. — Narządź je, a oni tymczasem zjedzą obiad.

Przystojna młoda kobieta z pełnymi wiadrami, ciężącymi jej na ramionach, weszła do sieni. Pojawiały się jeszcze skądś baby młode i ładne, baby w średnim wieku i baby stare i brzydkie — z dziećmi i bez dzieci.

W rurze samowaru poczęło huczeć; robotnicy i członkowie rodziny, uporawszy się z końmi, poszli na obiad. Lewin, który wyjął, z powozu swoje zapasy, zaprosił starego, żeby się z nim napił herbaty.

— Ależ po co, jużemy dzisiaj pili — powiedział stary, z widoczną przyjemnością przyjmując zaproszenie. — Chyba że dla kompanii.

Przy herbacie Lewin dowiedział się całej historii gospodarstwa starego chłopca. Dziesięć lat temu wydzierżawił on od dziedziczki sto dwadzieścia dziesięcin; a w roku ubiegłym kupił je i w dodatku wydzierżawił jeszcze trzysta od sąsiada ziemianina. Niewielką część ziemi, najgorszą,

oddawał kawałkami w dzierżawę, a około czterdziestu dziesięcin pola obrabiał sam z rodziną i z dwoma najemnymi robotnikami. Stary skarżył się, że mu się nie wiedzie, lecz Lewin wyczuwał, że skarżył się tylko dla przyzwoitości i że gospodarstwo jego znajdowało się w stanie kwitnym. Gdyby naprawdę było źle, nie kupiłby ziemi po sto pięć rubli za dziesięcinę, nie ożeniłby trzech synów i bratanka, nie odbudowałby się dwa razy po pożarze, i to coraz dostatniej. Mimo skarg starego widać było, że jest nie bez facji dumny ze swego dobrobytu, ze swych synów, dumny z bratanka i synowych, z krów, koni, a zwłaszcza z tego, że całe gospodarstwo trzyma się kupy. Z rozmowy ze starym Lewin dowiedział się, że ten wcale nie był przeciwnikiem innowacji. Sadził dużo kartofli i jak Lewin widział w przejeździe, jego kartofle już przekwitły i poczynały się zawiązywać, podczas gdy u Lewina dopiero zakwitały. Pod kartofle orał pługą, jak nazywał pożyczony od sąsiada ziemianina pług. Siał także i pszenicę. Drobny szczegół, to mianowicie, że stary, po wypieleniu żyta z pszenicy, wyrwanym żytem karmił konie, po prostu wstrząsnął Lewinem. Ileż to razy, widząc, jak u niego marnuje się ta doskonała pasza, chciał ją zbierać, lecz nigdy nie mógł do tego doprowadzić. U chłopca jednak robiono to i stary nie mógł się dosyć nachwalić tego karmu.

— A cóż innego babinki mają do roboty? Wyniosą to na drogę, a tam już wóz podjedzie.

— A my, ziemianie, nie możemy sobie dać rady z robotnikami — rzekł Lewin podając gospodarzowi szklanke herbaty.

— Pięknie dziękuję — powiedział stary biorąc szklanke; nie wziął jednak cukru, wskazując na resztę swego niedogryzionego kawałka. — Jakże można gospodarować z najemnymi robotnikami? — zauważył. — Nic, tylko ruina!

Ot, choćby i U Swiażskiego. My tutaj dobrze wiemy, jaka tam dobra ziemia... Jak złoto! A i on także urodzajem pochwalić się nie może. Wszystko — z braku dozoru!

— A wy sami przecie z robotnikami gospodarujecie?

— My to co innego, my robimy po chłopsku. Wszystko sami. Jeśli się który nie nada, wyganiamy, bo i z samymi swoimi też damy radę.

— Tato, Finogen kazał, żebyście dziegciu dali — powiedziała wchodząc kobieta w kaloszach.

— Tak to jest, proszę pana! — wyrzekł stary wstając. Przeżegnał się z wolna, podziękował Lewinowi i wyszedł.

Gdy Lewin wszedł do izby mieszkalnej, aby wywołać stamtąd swego stangreta, ujrzał za stołem całą chłopską rodzinę. Baby usługiwały stojąc. Dorodny młody syn, z ustami pełnymi kaszy, opowiadał coś zabawnego i wszyscy śmieli się głośno, zwłaszcza śmiała się wesoło kobieta w kaloszach, dolewając kapuśniaku do misek.

Bardzo być może, że jej urodzive liczko wiele się przyczyniło do wrażenia ładu i składu, jakie wywarł na Lewina ten chłopski dom. W każdym razie wrażenie było tak trwałe, że w żaden sposób nie mógł się go pozbyć i przez całą drogę od starego chłopa do Swiażskiego coraz to przypominało mu się owo gospodarstwo, jak gdyby w tym wrażeniu było coś, co domagało się jakiejś specjalnej uwagi.

XXVI

Swiażski był marszałkiem szlachty* swego powiatu. Był o pięć lat od Lewina starszy i już dawno żonaty. Z nimi razem mieszkała też młodsza siostra żony Swiażskiego, panienka bardzo Lewinowi sympatyczna. Lewin zdawał sobie sprawę,

* Marszałek szlachty — przedstawiciel szlachty i jej interesów na terenie guberni lub powiatu.

że przyjaciel i jego żona bardzo sobie życzą wydać ją za niego. Miał tę niezbitą pewność, jak zawsze młodzi ludzie, tak zwani do wzięcia, chociaż nigdy nie odważyłby się o tym mówić. Wiedział również, że mimo iż pragnął się ożenić i mimo że ta bardzo pociągająca dziewczyna zapewne byłaby doskonałą żoną, nie mógłby się z nią ożenić, nawet gdyby nie był zakochany w Kitty Szczerbackiej, podobnie jak nie mógłby ulecieć do nieba. To, czego się domyślał, zatruwało mu przyjemność, którą sobie obiecywał po odwiedzinach u Swiażskiego.

Po otrzymaniu od przyjaciela listu z zaproszeniem na polowanie Lewin natychmiast przypomniał sobie te komplikacje, lecz w końcu zdecydował, że podejrzewanie Swiażskiego o takie zamiary jest na niczym nie opartym przypuszczeniem i że wobec tego jednak pojedzie. Poza tym w głębi duszy miał ochotę wypróbować siebie i raz jeszcze przyjrzeć się, jak by ta panna do niego pasowała. Życie w domu Swiażskich było nadzwyczaj miłe, a sam pan domu, najdoskonalszy typ działacza ziemstwa, jakiego Lewin znał bardzo go interesował.

Swiażski był to jeden z tych ludzi, którzy zawsze wprawiali Lewina w zdumienie, rozumowanie ich bowiem bardzo logiczne, chociaż nigdy nie samodzielne, szło swoją drogą, a życie, o bardzo wyraźnym i stałym kierunku — swoją, i to nie tylko całkowicie niezależnie od rozumowania, lecz zawsze niemal sprzecznie z rozumowaniem. Swiażski, był człowiekiem niezwykle liberalnym. Pogardzał szlachtą i uważał większość z nich za skrytych — ze strachu tylko trzymających to w tajemnicy — zwolenników pańszczyzny. Mniemał, że Rosja jest krajem zupełnie straconym, czymś w rodzaju Turcji, a rząd rosyjski — tak kiepski, że nigdy nawet nie pozwalał sobie na poważną krytykę jego działalności.

Przy tym wszakże pełnił służbę rządową i był wzorowym marszałkiem szlachty, a na podróż wkładał zawsze czapkę z bączkiem i czerwonym otokiem. Uważał, że żyć po ludzku można tylko za granicą, dokąd też, gdy tylko mógł, wyjeżdżał na dłuższy pobyt a jednocześnie prowadził w Rosji bardzo skomplikowane — wane i postępowe gospodarstwo i z nadzwyczajnym zainteresowaniem studiował wszystko i wiedział o wszystkim, co się dzieje w kraju. Był zdania, że chłop rosyjski znajduje się na stopniu rozwoju przejściowym pomiędzy małpą a człowiekiem, a jednak w czasie wyborów do ziemstwa chętniej od innych ścisłał rękę chłopom i wysłuchiwał ich zdania. Wreszcie, mimo że nie wierzył absolutnie w nic, troszczył się wielce o poprawę bytu duchowieństwa i o zmniejszenie rozległości parafii, zwłaszcza zaś dbał o to, aby cerkiew przy tym pozostawała w jego wsi.

Co do sprawy kobiecej, to stał po stronie skrajnych zwolenników zupełnej swobody kobiet, a specjalnie ich prawa do pracy, ale z żoną żył tak, że wszyscy zachwycali się ich — zgodnym, bezdzietnym, rodzinnym pożyciem, a jej egzystencję tak urządził, że nie robiła i nie mogła nic robić. Zajęta była jedynie wspólną z mężem troską o to, by jak najprzyjemniej i najwesелей spędzać czas.

Gdyby nie to, że Lewin miał zwyczaj doszukiwać się w ludziach najlepszych stron, określenie charakteru Swiażskiego nie stanowiłoby dla niego żadnej trudności ani zagadnienia. Powiedziałyby sobie: dureń albo łajdak, i wszystko byłoby jasne. Ale nie mógł powiedzieć dureń, Swiażski bowiem był człowiekiem nie tylko rozumnym, ale niewątpliwie bardzo wykształconym, choć nie obnosił się ze swym wykształceniem. Nie było tematu, którego by nie znał, wiedzę swą ujawniał wszakże tylko wówczas, gdy bywał do

tego zmuszony. Jeszcze mniej zasługiwał na miano łajdaka, był bowiem niewątpliwie uczciwym, dobrym, inteligentnym człowiekiem, który wesóło, z temperamentem i konsekwentnie uprawiał działalność wysoce cenioną przez całe otoczenie i na pewno nigdy świadomie nie czynił i nie mógł uczynić nic złego.

Lewin starał się zrozumieć i nie rozumiał: toteż spoglądał zawsze na Swiażskiego i na jego życie jak na żywą zagadkę.

„Łączyła ich przyjaźń i dlatego pozwalał sobie na wypytywanie przyjaciela i dobieranie się aż do podstaw jego poglądu na życie, było to jednak zawsze daremne. Ile razy usiłował przeniknąć w duszy Swiażskiego poza obręb bawialnych pokoi; których drzwi stały dla wszystkich otworem, spostrzegął, że Swiażski bywał z lekka zakłopotany; spojrzenie jego zabarwiało się ledwo widocznym lękiem, jakby w obawie, że a nuż Lewin go zrozumie, i dobro — dusznie odpierał atak wesołym konceptem.

Obecnie, po rozczarowaniu, jakie go spotkało w gospodarstwie, Lewin cieszył się bardziej niż zwykle na pobyt u Swiażskiego. Już pomijając to, że go wprowadzał w dobry humor widok tych dwojga gołąbków szczęśliwych, zadowolonych z siebie i ze wszystkich ludzi, oraz widok ich wygodnie urządzonego gniazdka — miał teraz właśnie ochotę, sam tak bardzo niezadowolony ze swego życia, dotrzeć w Swiażskim do tajemnicy, która dawała życiu jego taką przejrzystość, pewnośc i pogodę. Poza tym Lewin wiedział, że spotka tu sąsiadów — ziemian, i rad był specjalnie w danej chwili pogadać i posłuchać rozmów o gospodarstwie, o urodzaju, o godzeniu robotników itp., rozmów, które oczywiście uchodzą za coś bardzo poziomego, lecz które teraz wydawały się Lewinowi czymś ważnym.

„Być może, że za czasów pańszczyźnianych nie było to ważne i może nie jest ważne w Anglii. W obu tych wypadkach przynajmniej warunki są ustabilizowane, ale u nas obecnie, gdy dokonał się przewrót i wszystko zaledwie się organizuje, kwestia, jak się ułożą te warunki, jest jedyną, ważną kwestią w Rosji” — myślał Lewin.

Polowanie wypadło nie tak świetnie, jak się Lewin spodziewał. Bagno wyschło i bekasów w ogóle nie było. Po całym dniu chodzenia upolował zaledwie trzy sztuki, ale za to, jak zawsze z polowania, przyniósł doskonały apetyt, świetny humor i to podniecenie intelektualne, które u niego szło zawsze w parze z gwałtownym ruchem fizycznym. I na polowaniu, i w czasie, gdy zdawało się, że o niczym nie myślał, raz po raz przypominał mu się stary chłop z rodziną. Niedawne to wrażenie wymagało jakby nie tylko jego uwagi, lecz i rozstrzygnięcia czegoś, co się z nim samym wiązało.

Wieczorem przy herbacie z udziałem dwóch ziemian, którzy przyjechali w sprawie jakiegoś opiekuństwa, zaczęła się właśnie taka ciekawa rozmowa, jakiej Lewin oczekiwał.

Lewin siedział przy stole obok pani domu i musiał prowadzić rozmowę z nią i z jej siostrą, siedzącą naprzeciw niego. Pani Swiażska była to niewielkiego wzrostu blondynka z okrągłą twarzą, całą w dołeczkach i uśmiezkach. Lewin starał się za jej pośrednictwem uzyskać rozwiązanie tej tak ważnej zagadki, jaką był dla niego jej mąż; nie miał jednak całkowitej swobody myśli. Czuł się straszliwie zażenowany tym, że naprzeciwko niego siedziała siostra pani domu w sukni, jak mu się zdawało, włożonej specjalnie na jego intencję, ze specjalnym, w kształcie trapezu, dekoltem na białej piersi. To czworokątne wycięcie, mimo że pierś była bardzo biała, a może właśnie dlatego, że była bardzo biała, pozbawiało Lewina swobody myśli. Wyobrażał sobie,

zapewne niesłusznie, że wycięcie było zrobione na jego cześć, i uważał, że nie ma prawa na nie spoglądać. Starał się nie patrzeć w tę stronę, ale czuł się winnym, że to wycięcie w ogóle istnieje. Zdawało mu się, że kogoś jakby oszukuje, że powinien dać jakieś wyjaśnienie, ponieważ jednak nie mógł tego uczynić, nieustannie czerwienił się, był zdenerwowany i zaambarasowany. Zakłopotanie jego udzielało się także i ładniutkiej szwagierce. Za to pani domu, zdawało się, nic nie spostrzegą i umyślnie bawiła go konwersacją.

— Pan twierdzi — ciągnęła dalej zaczęłą rozmowę pani Swiażska — że niepodobna, by mój mąż mógł interesować się Czymś, co jest rosyjskie. Jest wręcz przeciwnie: ma on dobry humor i za granicą, ale nigdy tak dobry jak tutaj. Tutaj dopiero czuje się w swoim żywiole. Ma tyle roboty i posiada istny dar interesowania się wszystkim. Ach, pan nie był jeszcze w naszej szkole?

— Owszem, widziałem. To ten domek opleciony bluszczem?

— Tak, to dział Nastii — tu wskazała na siostrę.

— Czy pani sama uczy? — spytał Lewin usiłując omijać wzrokiem dekolt, ale czując, że gdziekolwiek spojrzy, będzie go jednak widział.

— Tak, uczyłam i uczę sama, ale mamy doskonałą nauczycielkę. Wprowadziłyśmy także gimnastykę.

— Nie, dziękuję bardzo, nie będę pił więcej herbaty — i Lewin czując, że popełnia niegrzeczność, nie będąc jednak w stanie dalej prowadzić dyskursu, wstał czerwieniąc się. — Słyszę tam bardzo ciekawą rozmowę — dodał i podszedł do drugiego końca stołu, gdzie zasiadł pan domu z dwoma ziemianami. Swiażski siedział bokiem do stołu, na którym opierał łokieć; jedną ręką obracał filiżankę, drugą raz po raz ujmował w garść brodę i zbliżał ją do nosa, niby wachając, po

czym znów wypuszczał ją z ręki. Błyszczącymi czarnymi oczyma patrzył wprost na gwałtownie rozprawiającego ziemianina o siwych wąsach; i widać było, że dostrzega coś zabawnego w jego słowach. Ziemianin skarżył się na chłopstwo. Lewin wnet poznał, że Swiażski ma w zanadru taką odpowiedź na skargi swego rozmówcy, która od razu zbiłaby jego dowodzenia, lecz że ze względu na swoje stanowisko w powiecie nie może jej wypowiedzieć, a za to wysłuchuje z pewną satysfakcją komicznych wywodów swego gościa.

Siwowąsy obywatel był najwidoczniej zagorzałym zwolennikiem pańszczyzny, zasiedziałym szlagonem oraz zapalonym gospodarzem wiejskim. Oznaki tego Lewin dostrzegał także i w ubiorze (obywatel miał na sobie niemodny, wytarty surdut, w którym, znać było, że czuje się nieswojo), i w jego rozumnych, zasepionych oczach, i w płynnej rosyjskiej mowie, i w nabytym zapewne przez długoletnią wprawę rozkazującym tonie głosu, i w stanowczych ruchach jego dużych, kształtnych, opalonych rąk, z jedną tylko starą obrączką na serdecznym palcu.

XXVII

Gdyby nie to, że szkoda rzucać, że tyle się w to włożyło wysiłku... machnąłbym na wszystko ręką, sprzedałbym i pojechał, ot, jak Mikołaj Iwanowicz... słuchać *Pięknej Heleny* — powiedział ziemianin i miły uśmiech rozjaśnił jego rozumną postarzałą twarz.

— A jednak pan go nie rzuca, więc widocznie się oplaca — odrzekł Mikołaj Iwanowicz Swiażski.

— Tylko ta jedna z tego korzyść, że mieszkam na swoim i majątek nie z kupna i nie z dzierżawy. Ciągłe się człowiek

zresztą spodziewa, że chłopstwo przecie nabierze rozumu. Tymczasem, nie uwierzy pan, co za pijaństwo, co za rozpusta! Podzielili wszystko tak, że teraz nie mają ani nawet marnego konika, ani nędznej krowiny. Zdycha toto z głodu, a jeśli się go najmie jako robotnika, tylko szuka okazji, żeby coś popsuć, a potem jeszcze ciąga człowieka po sądach pokoju*.

— Może pan się odwzajemnić i jego również zaskarżyć przed sędzią pokoju.

— Ja miałbym skarżyć?! Za nic na świecie! To wywołałoby tyle gadania, że człowiek żałowałby potem, że z tym zaczął! Ot, na przykład w fabryce robotnicy pobrali — zadatki, a potem poszli sobie. I cóż robi sędzia pokoju? Uniewinnia ich. Wszystko trzyma się już tylko na sądzie gminnym* i na władzy wójta*: ten wychłosta takiego na starą modłę, i już. Gdyby tego nie było — to trzeba by wszystko rzucić i uciekać na koniec świata!

Najwidoczniej stary ziemianin rozmyślnie gadał na złość Swiażskiemu, lecz ten nie tylko się nie irytował, ale zdawał się szczerze ubawiony.

— A przecież my prowadzimy swoje gospodarstwa bez stosowania takich środków — rzekł z uśmiechem — ja, Lewin i pan.

Wskazał na drugiego ziemianina.

* Sąd pokoju — sądy pokoju rozstrzygały drobne sprawy karne oraz te sprawy cywilne, których przedmiot sporu miał niewielką wartość.

* Sąd gminny — do kompetencji sądów gminnych należały wszystkie sprawy między chłopami, w których wartość przedmiotu sporu nie przekraczała 100rb, jak również wszystkie sprawy, które procesujący się chłopci przedłożą sądowi gminnemu. Następnie — drobne przestępstwa popełnione w granicach gminy przeciw osobom należącym do tego samego stanu i mieszkającym w tej samej gminie.

* Wójt — na zasadzie ustawy z 19 lutego 1961r., która formalnie zniosła pańszczyznę, chłopci otrzymali rodzaj samorządu terytorialnego, którego jednostką był zarząd gminny z wójtem na czele,

— Tak. U Michała Pietrowicza gospodarstwo idzie, ale niech się pan zapyta — jak? Czy to jest racjonalna gospodarka? — spytał stary ziemianin, wyraźnie popisując się słowem „racjonalna”.

— Moje gospodarstwo jest nieskomplikowane — wtrącił Michał Pietrowicz. — Chwała Bogu! Całe moje gospodarstwo ma na celu tylko jedno: przygotować na czas pieniądza na jesienne podatki. Przychodzą do mnie chłopci: „Ojczulku rodzony, wybaw z kłopotu!” Ostatecznie, są to przecież swoi chłopci, sąsiedzi, więc żal ich człowiekowi. Da się im na pierwszą ratę, ale się im przy tym powiada: pamiętajcie, chłopcy, ja wam pomogłem, to teraz i wy tonie pomóżcie, gdy zajdzie potrzeba — czy przy siewie owsa, czy przy sianokosie, czy przy żniwie; i od razu zastrzega się sobie — po ilu z jednego gospodarstwa. Oczywiście, i pomiędzy nimi bywają ludzie nierzetelni, to prawda.

Lewin, który znał od dawna te patriarchalne sposoby, rzucił porozumiewawcze spojrzenie na Swiażskiego i przerwał Michałowi Pietrowiczowi zwracając się znów do obywatela o siwych wusach.

— Więc jak pan sądzi? — zapytał. — Jak należałoby obecnie prowadzić gospodarstwo?

— Właśnie tak jak Michał Pietrowicz: albo za pół plonu z chłopami, albo oddawać im ziemię w dzierżawę. Można tak robić, ale tym samym niszczy się ogólną zamożność państwa. Tam, gdzie jak u mnie ziemia przy pańszczyźnianej obróbce i dobrej gospodarce dawała dziewięciokrotny plon, przy gospodarce za pół plonu da zaledwie trzykrotny. Emancypacja chłopów zrujnowała Rosję!

Swiażski roześmianymi oczyma spojrział na Lewina dając mu ledwo dostrzegalny ironiczny znak; Lewin jednak nie znajdował, aby słowa ziemianina były śmieszne — rozumiał

je lepiej, niż rozumiał Swiażskiego. A wiele spomiedzy argumentów wysuwanych przez ziemianina w dalszym ciągu, by wytłumaczyć, w jaki sposób emancypacja chłopów zrujnowała Rosję, wydawało mu się nawet bardzo słuszne. Były nowe i nie do obalenia. Ziemianin najwidoczniej wypowiadał — co tak nieczęsto się zdarza — swoją własną myśl, i to taką, do której doszedł nie tylko dlatego, by znaleźć jakąś rozrywkę dla próżnującego umysłu, lecz taką, która wyrosła z warunków jego życia, wykłuła się w wiejskim odosobnieniu i została ze wszech stron gruntownie przemyślana.

— Rzecz polega, uważa pan, na tym, że wszelki postęp może być przeprowadzony jedynie przez zwierzchność — prawil chcąc wyraźnie pokazać, że i jemu nie obce jest wykształcenie. — Weźcie, panowie, reformy Piotra, Katarzyny, Aleksandra. Weźcie historię Europy. A tym bardziej historię postępu w rolnictwie... Choćby na przykład kartofle — przecież je u nas także gwałtem wprowadzono. A nawet sochą nie zawsze orano i ją kiedyś wprowadzono — może za czasów książąt udzielnych — ale na pewno siłą. W nowszych czasach my, obywatele ziemscy, za pańszczyzny prowadziliśmy nasze gospodarstwa z różnymi ulepszeniami. Zarówno suszarki, jak wialnie, racjonalne nawożenie i wszystkie narzędzia — wszystko wprowadziliśmy, bośmy byli wtedy zwierzchnością, chłopci zaś z początku opierali się, a później zaczęli nas naśladować. Teraz, po zniesieniu pańszczyzny, władzę nam odjęto i gospodarstwo nasze tam, gdzie je podniesiono na wysoki poziom, musi znów spaść do najdzikszego, pierwotnego stanu. Ja to tak rozumiem.

— Ale dlaczego? Jeśli jest racjonalne, może pan je prowadzić siłami najemnymi — rzekł Swiażski.

— Nie mam po temu władzy. Przy pomocy jakich ludzi

mam prowadzić gospodarkę?... Niech pan sam powie.

„Otóż to właśnie — siła robocza jako główny czynnik w gospodarstwie” — pomyślał Lewin.

— Przy pomocy robotników.

— Robotnicy nie chcą ani pracować porządnie, ani pracować dobrymi narzędziami. Robotnik nasz jedno tylko potrafi: upić się jak świnia i popsuć wszystko, co dostanie. Konie napoi, gdy są zgrzane, porządną uprzęż porwie, koło okute wymieni i przepije, do młocarni wbije kołek, żeby ją złamać. Złość go bierze na wszystko, co jest nie na jego modłę. To jest powodem obniżenia poziomu gospodarstwa. Całe połacie roli leżą nie uprawione, zarosły chwastem lub rozdano je chłopom, i tam, gdzie produkowano milion ćwierci, dziś produkuje się zaledwie setki tysięcy. Ogólne bogactwo kraju zmniejszyło się. Gdyby zrobiono to samo, ale z planem...

Tu począł wyklądać swój plan emancypacji chłopów, przy którym uniknięto by wszystkich tych niedogodności.

Lewina nie to interesowało i gdy tamten skończył, podjął znów pierwszą tezę swego rozmówcy i zwrócił się do Swiażskiego starając się doprowadzić go do tego, by się wypowiedział serio.

— To, że nasz poziom gospodarczy obniża się i że przy naszym stosunku do robotników nie można racjonalnie prowadzić gospodarstw tak, aby one przynosiły dochód, to zupełna prawda — oświadczył.

— Ja tego nie znajduję — zaoponował, tym razem już serio, Swiażski — widzę tylko, że nie umiemy gospodarować i że ten poziom gospodarstwa, jaki zaprowadziliśmy za pańszczyzny, był nie tylko nie zanadto wysoki, ale przeciwnie, zbyt niski: Nie mamy ani maszyn, ani dobrego inwentarza, ani porządnej administracji, ani też liczyć nie

umiemy. Niech pan spyta gospodarza — ziemianina, co mu się opłaca, a co nie — okaże się, że on sam tego nie wie.

— Ach, ta włoska buchalteria — uśmiechnął się ironicznie stary obywatel. — Żeby człowiek nie wiem jak rachował, skoro mu wszystko popsują, to i tak nie będzie miał żadnego dochodu.

— Dlaczegoż by mieli popsuć? Lichą młocarnię, pański rosyjski deptaczek* połamię, ale mojej parowej — nie. Rosyjskiego konika naszej, jak jej tam? taszczańskiej rasy, bo go trzeba za ogon taszczyć, — zmarnują, ale niech pan zaprowadzi u siebie perszerony lub choćby bitiugi* — tych nie zmarnują. I tak ze wszystkim. Powinniśmy podnosić poziom gospodarki.

— Żeby tylko było za co! Panu łatwo gadać, ale ją muszę syna utrzymywać na uniwersytecie, a malców w gimnazjum, więc dla mnie mowy nie ma o perszeronach.

— Od tego są banki.

— Żeby mi resztę majątku puszczono pod młotek? Nie, dziękuję.

— Nie zgadzam się z tym, że trzeba i można podnieść poziom gospodarstwa jeszcze wyżej — wtrącił Lewin. — Pracuję nad tym i mam na to środki, ale nie mogłem nic zrobić. Nie wiem, komu banki przynoszą pożytek. Jeśli chodzi o mnie, to pieniądze, jakie wkładałem w gospodarstwo, zawsze przynosiły stratę bydlę dawało stratę, maszyna — to samo.

— To, to prawda — siwowąsy obywatel aż się roześmiał z uciechy.

— I nie o mnie jednego tu chodzi — ciągnął dalej Lewin — mogę się powołać na wszystkich właścicieli gospodarujących racjonalnie; wszyscy, z małymi wyjątkami,

* D e p t a c z e k — rodzaj kieratu

* Perszerony... bitiugi — mocne robocze konie pociągowe.

prowadzą gospodarstwa ze stratą. Powiedz no, jak stoi twoje własne gospodarstwo? Czy masz z niego dochód? — rzekł Lewin i natychmiast ujrzał w oczach. Swiażskiego ten przelotny wyraz lęku, który zauważył, ilekroć chciał się zapuścić w umyśle przyjaciela dalej niż do bawialnych pokoi.

Poza tym pytanie to nie było ze strony Lewina całkiem lojalne. Pani Swiażska przed chwilą powiedziała mu przy herbacie, że mąż jej tego lata sprowadzał z Moskwy Niemca, specjalistę od buchalterii, który za pięćset rubli honorarium skontrolował ich gospodarstwo i stwierdził, że przy — nosi ono 3000 rubli z kopiejkami strat. Nie pamiętała, ile było tych kopiejek, ale zdawało się jej, że Niemiec obliczył je aż do ćwierci kopiejki włącznie.

Stary ziemianin na wspomnienie o dochodach z gospodarstwa Swiażskiego uśmiechnął się wiedząc najwidoczniej, jakie sąsiad, marszałek szlachty, mógł mieć dochody.

— Może i nie przynosi mi dochodu — przyznał Swiażski. — To tylko dowodziłoby, że albo jestem złym gospodarzem, albo też wkładam w gospodarkę kapitał, by uzyskać potem większą rentę.

— O Boże, rentę! — ze zgrozą wykrzyknął Lewin. — Może w Europie jest jakaś renta, tam gdzie ziemia już jest zmeliorowana na skutek włożonej w nią pracy, ale u nas im więcej wkłada się w nią pracy, tym ziemia staje się gorsza, to znaczy, że wycieńcza się przez uprawę; nie może więc być żadnej renty.

— Jak może nie być renty! Wszak to elementarne prawo ekonomiczne.

— W takim razie jesteśmy poza prawem. Pojęcie renty u nas nic nie tłumaczy, przeciwnie — gorzej zaciemniać. Powiedz no sam, jak może pojęcie renty...

— Czy nie zjedlibyście, panowie, zsiadłego mleka? Każ nam podać kwaśnego mleka albo malin, moja droga — zwrócił się do żony. — W tym roku maliny trwają niezwykle długo.

I Swiażski wstał w jak najlepszym humorze od stołu, widocznie uważając, że rozmowa się skończyła, i to właśnie w tym punkcie, gdzie dla Lewina właściwie się dopiero rozpoczęła.

Straciwszy w ten sposób rozmówcę Lewin dyskutował dalej ze starym ziemianinem, usiłując mu dowieść, że — wszystkie trudności pochodzą stąd, że ignorujemy właściwości i przyzwyczajenia naszego robotnika. Ziemianin był wszelako, jak wszyscy ludzie samotni i myślący niezależnie, bardzo nieprzenikliwy dla cudzych myśli, za to niezmiernie przywiązany do własnych. Upierał się przy zdaniu, że chłop rosyjski jest świnią i kocha to swoje świństwo, że aby go z tego stanu świńskości wydobyć, potrzebna jest zwierzchność, której nie ma, potrzebny — kij, a myśmy się stali tak liberalni, że ustanowiliśmy zamiast tysięcletniego kija jakichś adwokatów i zorganizowaliśmy więzienia, w których niegodziwych, śmierdzących chłopów karmi się dobrą zupą i oblicza dla nich kubiczne metry powietrza.

— Dlaczego pan tak myśli? — dopytywał się Lewin starając się wrócić do kwestii, że niepodobna znaleźć takiego stosunku do siły roboczej, przy którym praca stałaby się produktywna.

— To się nigdy nie da zrobić z rosyjskim chłopem. Nie ma zwierzchności — odrzekł obywatel.

— Jakież to nowe warunki można by wynaleźć — wtrącił Swiażski, który zjadłszy zsiadłe mleko zapalił papierosa i znów przyłączył się do dyskutujących. — Przecie wszystkie

istniejące formy w stosunku do siły roboczej zostały już określone i zbadane. Pozostałość czasów barbarzyńskich, pierwotna wspólnota ze zbiorową wzajemną odpowiedzialnością, sama przez się podupadła, pańszczyznę zniesiono, pozostaje tylko wolny najem, a jego formy są już określone i gotowe; trzeba je tylko stosować. Parobek, podzienny robotnik i dzierżawca — poza to i my nie wyjdziemy.

— Ale Europa nie jest z tych form zadowolona.

— Wiem, jest niezadowolona i szuka nowych. Zapewne je znajdzie.

— O tym właśnie mówię — nastawa! Lewin. — Dlaczegoż byśmy i my nie mieli szukać z naszej strony?

— Dlatego, że moglibyśmy równie dobrze wynajdywać, na nowo sposoby budowania kolei. One są już gotowe, wynaleziono je.

— Ale skoro nie nadają się dla nas? Skoro są niemądre? — upierał się Lewin.

I znów spostrzegł w oczach Swiażskiego wyraz przestachu.

— Ach to: że ich czapkami zarzucimy, że znajdziemy coś, czego cała Europa szuka! Znam to wszystko. Ale, przepraszam cię, czy wiesz o wszystkim, co zrobiono w Europie w sprawie organizacji robotników?

— Wiem bardzo mało.

— Kwestia ta zajmuje obecnie najcieńsze umysły w Europie. Na przykład kierunek Schulze–Delitscha*... A poza tym cała ta olbrzymia literatura w sprawie robotniczej o

* Herman Schulze–Delitsch (1808–1883) — ekonomista niemiecki, spółdzielca. Według Schulze–Delitscha, rzemieślnicy i robotnicy powinni się jednoczyć w kooperatywach wytwórczych, aby móc skutecznie opierać się naciskowi wielkiego kapitału.

najliberalniejszej, lassalowskiej* tendencji... A to, co zrobiono w Milhuzie*, to już fakt — możecie, panowie, o tym słyszeli?

— Mam o tym pojęcie, ale bardzo niedokładne.

— Ach nie, tylko tak mówisz, a znasz to wszystko nie gorzej ode mnie. Oczywiście, nie jestem profesorem socjologii, ale mnie to interesowało i naprawdę, jeśli to interesuje także i ciebie, to i ty się tym zajmij.

— Ale do czego oni doszli?

— Przepraszam...

Goście wstali, a Swiażski znów osadził w miejscu Lewina, który miał przykry zwyczaj zaglądania do jego duszy poza oficjalne pokoje — i poszedł odprowadzić gości.

XXVIII

Tego wieczoru Lewin nudził się niewymownie z paniami. Był jeszcze bardziej niż zwykle przejęty myślą, że to niezadowolenie z gospodarstwa, jakie sam obecnie odczuwał, nie było niczym wyjątkowym, lecz pokrywało się z ogólnym stanem tej kwestii w Rosji. Zdał sobie sprawę, że stworzenie dla robotników takich jakichś warunków, przy których pracowaliby tak jak u starego chłopca na połowie drogi do Swiażskiego, to nie mrzonka, lecz zagadnienie, które należy rozstrzygnąć. I zdawało mu się, że zadanie to jest wykonalne

* Ferdynand Lasalle (1925–1964) — teoretyk i działacz niemieckiego ruchu robotniczego, przeciwnik rewolucyjnej walki proletariatu z kapitalizmem, Za główne zadanie klasy robotniczej uważał agitację za wprowadzeniem powszechnego prawa wyborczego.

* To, co zrobiono w Milhuzie... — w r. 1853 fabrykant Dollfus zbudował w Milhuzie (Mülhausen, Alzacja) około tysiąca domków dla robotników swojej fabryki. Domki te należały do towarzystwa opieki nad robotnikami, którzy uzyskiwali prawo własności po wpłaceniu przewidzianych rat.

i że należy spróbować.

Pożegnawszy panie obietnicą pozostania nazajutrz jeszcze cały dzień, by pojechać razem konno i obejrzeć ciekawe obsunięcie się ziemi w państwowym lesie, Lewin przed pójściem Spać zaszedł jeszcze do gabinetu gospodarza po książki o sprawie robotniczej, które mu proponował Swiażski. Gabinet był to olbrzymi pokój zastawiony szafami pełnymi książek. Stały tam dwa stoły: masywne biurko pośrodku pokoju i okrągły stół, na którym w kształt gwiazdy były poukładane dokoła lampy ostatnie numery gazet i czasopism w różnych językach. Obok biurka znajdowała się szafeczka do aktów ze złotymi napisami na szufladach głoszącymi ich zawartość.

Swiażski wy dostał książki i usiadł w fotelu na biegunach.

— Co tam oglądasz? — rzekł do Lewina, który stojąc przy okrągłym stole przeglądał czasopisma. — Ach, ale tam jest bardzo ciekawy artykuł — dodał mając na myśli czasopismo, które tamten trzymał w ręku. — Okazuje się, że głównym winowajcą rozbioru Polski był wcale nie Fryderyk — mówił wesoło z ożywieniem. — Okazuje się...

I z właściwą sobie jasnością wykładu opowiedział pokrótce o tych całkiem nowych, bardzo ważnych i interesujących odkryciach. Mimo że Lewina obecnie przede wszystkim zajmowała myśl o gospodarstwie, słuchał go zapytując siebie w duchu: „Co też w nim siedzi? Dlaczego interesuje go rozbiór Polski?” — Gdy Swiażski skończył, Lewin spytał machinalnie: „I cóż z tego?” — Ale nic innego nie było poza tym, że „okazywało się”. Swiażski nie wytłumaczył i nie uważał wcale za konieczne tłumaczyć, czemu go to interesowało.

— Tak. Ale mnie bardzo zaciekawił rozsierzony obywatel — westchnął Lewin. — To rozumny człowiek i pod

wieloma względami mówił prawdę. .

— Dajże pokój! To zajadły skryty zwolennik pańszczyzny, jak oni wszyscy — odrzekł Swiażski.

— A ty jesteś ich marszałkiem...

— Tak, ale ja im marszałkuję w innym kierunku — roześmiał się Swiażski.

— A mnie coś innego bardzo interesuje — rzekł Lewin. — On ma rację, że nasza sprawa, to jest sprawa racjonalnego gospodarowania, źle idzie, że tylko lichwiarskie gospodarstwo, jak u tego cichutkiego jegomościa, jako najprostsze, prosperuje. Ale kto temu winien?

— Oczywiście — my sami. A poza tym, to nieprawda, że gospodarstwo źle idzie. Wasilczykowi idzie dobrze.

— To fabryka.

— A ja jednak nie rozumiem, co cię w tym dziwi. Lud stoi na tak niskim stopniu materialnego i moralnego rozwoju, że oczywiście musi przeciwstawiać się wszystkiemu, co jest dla niego obce. W Europie racjonalna gospodarka idzie dobrze, ponieważ lud jest oświecony, więc i u nas należy dać ludowi oświatę — i tyle.

— Ale jak dać oświatę ludowi?

— Żeby dać ludowi oświatę, potrzeba trzech rzeczy: szkół, szkół i jeszcze raz szkół.

— Ale ty sam powiadasz, że lud znajduje się na niskim stopniu materialnego rozwoju. Co tu pomogą szkoły?

— Wiesz, przypominasz mi anegdotę o radach dawanych choremu: „Czyście próbowali dać choremu na przeczyszczenie?” — „Próbowaliśmy; jest gorzej.” — „Spróbujcie pijawek.” — „Jużeśmy próbowali. Zaszkoziły.” — „No, więc módlcie się.” — „Próbowaliśmy. Wciąż jest gorzej.” — Ja mówię o ekonomii politycznej; ty powiadasz — gorzej. Wspominam o socjalizmie; ty powiadasz., —

gorzej. Wreszcie o oświacie — gorzej.

— Ale cóż tu mogą pomóc szkoły?

— Dadzą ludowi nowe potrzeby.

— Tego to już nigdy nie mogłem zrozumieć — gorąco sprzeciwił się Lewin. — Jakim sposobem szkoły pomogą ludowi do polepszenia jego bytu materialnego? Mówisz, że szkoły, oświata stworzą mu nowe potrzeby. Tym gorzej, bo nie będzie miał środków na ich zaspokojenie. A jakim sposobem to, że będzie umiał dodawać i odejmować i będzie znał katechizm, pomoże mu do polepszenia bytu materialnego, nigdy nie mogłem pojąć. Dwa dni temu spotkałem babę z niemowlęciem i zapytałem ją dokąd idzie. Odpowiedziała mi: „Chodziłam do znachorki, chłopiec aż drygotki dostaje od krzyku, zaniiosłam go na leczenie.”

Spytałem ją, jak znajęca leczy ową „drygotkę”, jak się wyraziła kobiecina..”A sadza dzieciątko do kur na grzędę i coś przy tym powtarza.”

— No więc widzisz sam! Na to, żeby baba nie nosiła dziecka do kur na grzędę, należy... — wesoło mówił Swiażski.

— Ach, nie! — zirytował się Lewin. — Mnie taka kuracja przypomina właśnie leczenie braków u ludów przy pomocy szkół. Lud jest biedny i nieoświecony — widzimy to równie dobrze, jak baba widzi „drygotkę”, ponieważ dziecko krzyczy.. Ale w jaki sposób na tę biedę, nędzę i ciemnotę mają pomóc szkoły, jest tak samo niepojęte jak to, dlaczego na „drygotkę” mają pomóc kury na grzędzie? Trzeba szukać rady na to, co sprawia, że lud jest w nędzy.

— No więc przynajmniej w tym zgadzasz się ze Spencerem*, którego tak — nie lubisz: on również twierdzi,

* Herbert Spencer (1820–1903) — angielski filozof, socjolog; był przeciwny obowiązkowi powszechnego nauczania dzieci robotniczych i chłopskich.

że wykształcenie jest raczej wynikiem większego dobrobytu i większych wygod życiowych, częstych obmywań — jak on to nazywa — niż umiejętności czytania i rachowania...

— Otóż to! Bardzo mi miło, a raczej bardzo żałuję, że się ze Spencerem zgadzamy, tylko że ja to wiem już od dawna. Nie szkoły tu pomogą, ale taki ustrój ekonomiczny, przy którym lud będzie zasobniejszy, będzie miał więcej wolnego czasu — a wtedy będą już i szkoły.

— Jednak w całej Europie szkoły są teraz obowiązkowe.

— A ty sam zgadzasz się w tym względzie ze Spencerem?
— zapytał Lewin.

Ale w oczach Swiażskiego przemknął znów wyraz trwogi; rzekł z uśmiechem:

— Nie, ta „drygotka” jest wspaniała! Czyś to sam słyszał?

Lewin przekonał się już, że nie potrafi znaleźć związku pomiędzy życiem tego człowieka a tym, co on myślał.

Swiażskiemu było najwyraźniej zupełnie obojętne, do czego doprowadzi go rozumowanie; chodziło mu tylko o sam proces rozumowania. Nie lubił jednak, gdy ten proces wpędzał go w ślepy zaułek. Było mu to niemiłe i umyślnie zwracał tok rozmowy na coś wesołego i przyjemnego.

Wszystkie wrażenia tego dnia, poczynając od chłopca na połowie drogi, o którym wspomnienie było niejako podstawą całodziennych wrażeń i myśli, wielce wzburzyły Lewina. Ten miły Swiażski, który miał na podorędziu tylko myśli do ogólnego użytku, a poza tym posiadał jakieś inne, utajone przed Lewinem zasady życiowe, i ten sam Swiażski wraz z tłumem, któremu imię legion, kierujący opinią publiczną za pomocą myśli cudzych; ten rozzłoszczony ziemianin, który miał zupełną rację w swych wywodach przemyślanych wśród życiowej męki, a nie miał racji w swoim gniewie na całą klasę, i to najlepszą klasę społeczną w Rosji; własne jego,

Lewina, niezadowolenie ze swej działalności i mglista nadzieja znalezienia na to rady — wszystko to zlewało się w nastrój, w którym przeważał wewnętrzny niepokój i oczekiwanie bliskiego rozstrzygnięcia.

Zostawszy sam w przeznaczonym dla siebie pokoju, na materacu sprężynowym, który za lada ruchem podrzuca? mu nieoczekiwanie ręce i nogi, Lewin długo nie spał. Ani jedna z rozmów ze Swiażskim, mimo że ten powiedział wiele rozumnych rzeczy, nie zainteresowała Lewina. Natomiast wywody ziemianina wymagały namysłu. Lewin mimo woli przypominał sobie każde jego słowo i wprowadzał w wyobraźni poprawki do tego, co mu sam wówczas odpowiedział.

„Tak! Powinienem był powiedzieć mu: pan twierdzi, że gospodarka nasza źle idzie, ponieważ chłop nienawidzi wszystkich udoskonaleń, tak że musi je wprowadzać zwierzchność. Miałby pan rację, gdyby gospodarstwo bez tych wszystkich udoskonaleń wcale nie szło; tymczasem ono idzie, ale tylko tam, gdzie robotnik postępuje zgodnie ze swymi nawykami, jak u starego na połowie drogi. Pańskie — nasze wspólne — niezadowolenie z gospodarstwa dowodzi, że jesteśmy winni albo my, albo robotnicy. My już dawno idziemy przebojem naprzód po swojemu, po europejsku, nie troszcząc się o właściwości naszej siły roboczej. Spróbujmy spojrzeć na siłę roboczą nie jak na oderwaną jakąś siłę, ale po prostu jak na rosyjskiego chłopca z właściwymi mu instynktami, i zorganizujemy podług tego gospodarstwo. Niech pan sobie wyobrazi (powinienem był mu powiedzieć), że gospodarstwo u pana tak jest prowadzone jak u tego starego chłopca, że znalazł pan sposób, by wzbudzić w robotnikach zainteresowanie i ochotę, by robota się udała, że utrafił pan w tę przeciętną udoskonaleń, którą oni uznają —

wtedy, bez wyjąławiania roli, uzyska pan dwa, trzy fazy większy plon niż dotychczas. A jeżeli go pan podzieli na pół i odda połowę sile roboczej, to i tak nadwyżka, która panu zostanie, będzie większa niż obecnie i robotnik również dostanie więcej. Żeby to wykonać, należy obniżyć poziom gospodarstwa i wzbudzić w robotnikach zainteresowanie wynikami gospodarki. Jak to zrobić, to już jest kwestia opracowania szczegółów, ale nie ma wątpliwości, że to możliwe.”

Pomysł ten ogromnie poruszył Lewina; pół nocy nie spał obmyślając szczegółowo jego wykonanie. Nie miał zrazu zamiaru wyjeżdżać nazajutrz, lecz obecnie postanowił zaraz z samego rana wrócić do domu. Poza tym ta szwagierka z dekoltem u sukni wywoływała w nim uczucie podobne do zawstydzienia i skruchy, jakby popełnił jakiś bardzo zły uczynek. Co najważniejsze zaś — wiedział, że powinien jechać bez zwłoki: trzeba było przedstawić chłopom nowy projekt, zanim będą posiane oziminy, tak aby siał już według nowych zasad. Postanowił przeobrazić całe swoje dotychczasowe gospodarstwo.

XXIX

Wykonanie planu nastęrczało wiele trudności. Lewin robił jednak szalone wysiłki i chociaż nie osiągnął tego, co zamierzał, to jednak bez okłamywania się mógł i nadal wierzyć, że sprawa jest warta zachodu. Jedną z głównych trudności stanowiła niemożność zatrzymania raz puszczzonego w ruch gospodarstwa i zaczęcia wszystkiego od początku. Trzeba było przestawiać maszynę w biegu.

Gdy natychmiast po przyjeździe do domu, tego samego wieczoru, zakomunikował rządcy o swoich planach, ten z

najwyższym zadowoleniem zgodził się z tą częścią jego wywodów, które stwierdzały, że wszystko, co dotychczas robiono, było wierutnym głupstwem i przynosiło straty. Rządca oświadczył, że i on to dawno mówił, — tylko że go nie chciano słuchać, ale na propozycję Lewina, by na równi z robotnikami uczestniczył w charakterze udziałowca w całym gospodarskim przedsięwzięciu — zareagował tylko głęboką melancholią i nie wyrażając żadnego określonego zdania, zaczął zaraz o tym, że trzeba koniecznie zwieźć następnego dnia pozostałe snopy żyta i gdzieś tam przeorać, tali iż Lewin zdał sobie sprawę, że nie pora teraz na podobne z nim rozmowy.

Kiedy począł w tej samej sprawie zagadywać chłopów i proponował im ziemię na nowych warunkach, napotykał znów tę samą przeszkodę: byli tak zajęci codzienną pracą, że nie mieli czasu zastanawiać się nad korzyściami czy złymi stronami takiego przedsięwzięcia.

Naiwny chłopina, Iwan skotarz, zdawało się, zrozumiał dokładnie propozycję Lewina, by z całą rodziną wziąć udział w zyskach, jakie przynosiła obora, i całkowicie to pochwalał. Kiedy Lewin jednak począł mu opisywać przyszłe korzyści, na twarzy Iwana odmalowywał się niepokój i żal, że nie może wszystkiego dosłuchać do końca, i spiesznie wynajdywał sobie jakąś nie cierpiącą zwłoki robotę: zabierał się albo do dorzucania siana widłami na okólnik, albo do nalewania wody, albo do uprzątania nawozu.

Druga przeszkoda polegała na tym, że chłopci żywili niczym nie zwalczoną nieufność, i nie można ich było przekonać, że ziemianin może mieć jakikolwiek inny cel niż ograbienie ich, na ile się tylko da. Byli przekonani, że jego prawdziwy cel (cokolwiek by im mówił) będzie zawsze leżał w czymś, czego im nie powie, bo i oni sami w swoich

wywodach zwykli byli wiele mówić nie wypowiadając tego, co było istotnym ich celem. Poza tym (tu Lewin przekonał się, że ziemianin — tetryk miał rację) jako pierwszy i nieodzowny warunek jakiegokolwiek umowy chłopci stawiali, by nie zmuszano ich do stosowania nowych metod w gospodarstwie ani do nowych narzędzi rolniczych. Zgadzała się, że pług orze lepiej i że kultywator pracuje prędzej, ale wynajdywali tysiące powodów, dla których nie mogli używać ani jednego, ani drugiego. Chociaż Lewin był przekonany o konieczności obniżenia poziomu gospodarstwa, żał mu było wyrzekać się udogodnień tak niewątpliwie korzystnych. Wszakże mimo wszelkich przeszkód dopiął swego i na jesieni sprawa posunęła się naprzód, a przynajmniej tak mu się zdawało.

Zrazu miał zamiar oddać całe gospodarstwo, tak jak było, robotnikom — chłopom i rządcy na nowych zasadach wspólnictwa, lecz bardzo prędko przekonał się, że to niemożliwe, i postanowił podzielić gospodarstwo. Obora, sad, ogród warzywny, sianokosy, pola podzielone na kilka działów miały stanowić osobne pozycje. Naiwny Iwan, skotarz, który, jak się Lewinowi zdawało, najlepiej zrozumiał sprawę, dobrawszy sobie grupę wspólników, przeważnie z własnej rodziny, stał się udziałowcem obory. Odległe pole, które od ośmiu lat ugorowało, zostało wzięte we władanie na zasadach wspólnictwa przez sześć chłopskich rodzin pęd wodzą rozumnego cieśli Fiodora Riezunowa, a chłop Szurajew wziął na tych samych warunkach wszystkie ogrody warzywne. Reszta została po dawnemu, ale te trzy działki stanowiły początek nowego ustroju i całkowicie absorbowwały Lewina.

Prawda, że w oborach wszystko szło nie lepiej niż przedtem i że Iwan gorliwie zwalczał ciepłe pomieszczenie

dla krów oraz masło śmietankowe, twierdząc, że krowy na zimnie potrzebują mniej paszy i że wyrabianie masła ze śmietany lepiej się opłaca. Poza tym żądał jak dawniej pensji i nic go nie obchodziło, że pieniądze, które otrzymywał, stanowiły nie pensję, ale część jego przyszłego dochodu.

Prawda, że kompania Fiodora Riezunowa nie przeorała po raz drugi roli pod siew, jak było umówione, tłumacząc się, że czasu na to nie starczyło. Prawda, że chłopci z tej kompanii, mimo że zgodzili się gospodarować na nowych warunkach, nazywali tę ziemię — nie wspólną, ale dzierżawną. Nieraz chłopci z tej kompanii, a nawet sam Riezunow, mówili do Lewina: „Lepiej by pan dziedzic brał pieniądze za ziemię; i panu dziedzicowi byłoby dogodniej, i my mielibyśmy większą swobodę.” Poza tym chłopci owi wciąż pod różnymi pretekstami odkładali umówioną budowę obory i stodoły na ich ziemi i marudzili z tym aż do zimy.

Prawda, że Szurajew umyślił oddane mu ogrody warzywne poddzierżawić po kawałku innym chłopom. Najwidoczniej zupełnie fałszywie — i jak się zdawało, z rozmysłem fałszywie — zrozumiał warunki, na zasadzie których otrzymał ziemię.

— Prawda wreszcie, że Lewin, rozmawiając z chłopami i tłumacząc im wszystkie korzystne strony takiego przedsięwzięcia, nieraz wyczuwał, że ci słuchali niejako tylko melodii jego głosu, a właściwie byli zupełnie przekonani, że cokolwiek dziedzic będzie mówił, oni oszukać się nie dadzą. Czuł to zwłaszcza, gdy rozmawiał z najrozumniejszym spośród chłopów — Riezunowem. Zauważył w oczach tego ostatniego błyski, które wyraźnie wskazywały na kpiny z dziedzica. Chłop był pewien, że nie wiadomo jak inni, lecz on w żadnym razie oszukać się nie da.

Nie bacząc na to wszystko Lewin uważał, że robota idzie i

że prowadząc ściśle rachunki i obstając przy swoim, dowiedzie im w przyszłości, że taka organizacja jest korzystna. A wówczas już wszystko potoczy się własnym rozpędem.

Te wszystkie sprawy wraz z resztą gospodarstwa, która mu pozostała, i z robotą przy biurku nad opracowaniem książki tak zajęły mu całe lato, że prawie wcale nie polował. W końcu sierpnia dowiedział się od posłańca, który mu odwiózł siodło, że Obłońscy wyjechali do Moskwy. Czuł, że przez swoją niegrzeczność — nieodpisanie na list Darii Aleksandrony, o czym nie mógł wspomnieć bez rumieńca wstydu — spalił za sobą mosty i że już nigdy do Obłońskich nie pojedzie. Tak samo postąpił ze Swiażskim wyjeżdżając wówczas bez pożegnania. Ale do nich także już się więcej nie wybierze. Było mu to obojętne. Nowa organizacja gospodarstwa zajmowała go tak jak jeszcze nigdy nic w życiu. Przeczytał książki dane mu przez Swiażskiego i sprowadził inne, których tamten nie posiadał. Przeczytał także polityczno — ekonomiczne i socjalistyczne książki na ten temat, ale jak tego zresztą oczekiwał, nie znalazł tam nic, co miałoby związek z dziełem przezeń rozpoczętym. W ekonomii politycznej, na przykład u J. S. Milla, którego przestudiował najpierw i z wielkim zapałem, ciągle spodziewając się znaleźć rozwiązanie zajmujących go kwestii — znalazł prawa oparte na stanie gospodarki w Europie, lecz nie mógł zrozumieć, dlaczego by te prawa, nie dające się zastosować w Rosji, miały być prawami ogólnymi. To samo napotkał w książkach socjalistycznych. Były to albo prześliczne, lecz nierealne fantazje, które pociągały go, gdy był studentem, albo poprawki, łatanina stanu rzeczy istniejącego w Europie, z którym jednak sprawa rolna w Rosji nie miała nic wspólnego. Ekonomia polityczna uczyła,

że prawa, na zasadzie których rozwijał się i rozwija dobrobyt Europy, są prawami ogólnymi i niewątpliwymi. Socjalizm twierdził, że dalszy rozwój, według tych praw, prowadzi do zguby. Ani jedno, ani drugie nie dawało wszakże nie tylko odpowiedzi, ale nawet najlżejszej wskazówki na pytanie, co mają Lewin i wszyscy rosyjscy chłopci i obywatele ziemscy począć ze swymi milionami rąk i dziesięcin, aby przez jak największą produkcję przyczynić się do ogólnego dobrobytu.

Skoro raz już się do tego zabrał, czytał sumiennie wszystko, co miało związek z jego tematem, i nawet zamierzał jesienią pojechać za granicę, aby rzecz zbadać na miejscu, tak by nie mogło mu się więcej zdarzyć w tej dziedzinie to, co go tak często spotykało w różnych innych.

Zaledwie zaczął rozumieć myśl swego interlokutora i wyklądać mu swoją, gdy nagle pytano go: „A Kaufman? a Jones? a Dubois? a Mitchell? Pan ich nie czytał? Niechże pan przeczyta; oni to opracowali.”

Dziś jasno widział, że Kaufman i Mitchell nic mu nie mieli do powiedzenia. Wiedział, czego chce. Widział, że Rosja posiada doskonale grunty, doskonałych robotników i że w niektórych wypadkach, jak u tego chłopca na połowie drogi, robotnicy i ziemia produkują dużo, w większości jednak wypadków, gdy na modłę europejską inwestuje się kapitał — produkują mało. Zrozumiał, skąd to pochodzi: robotnicy chcieli pracować i pracowali dobrze tylko we właściwy sobie sposób, sprzeciw zaś ich nie był czymś przypadkowym, ale czymś stałym, wpływającym z ducha ludu. Myślał, że lud rosyjski, którego misją jest zaludniać i uprawiać olbrzymie nie zajęte przestrzenie, zupełnie świadomie, do czasu aż ziemi te nie będą wszystkie zajęte, trzyma się odpowiednich do tego metod i że metody te wcale nie są takie złe, za jakie ogólnie uchodzą. Zamierzał tego dowieść teoretycznie w

swojej książce, a praktycznie w swoim gospodarstwie.

XXX

W końcu września zwieziono budulec dla postawienia zabudowań gospodarskich na ziemi oddanej wspólnocie, a także sprzedano masło z obór i podzielono dochód. Gospodarka w praktyce szła świetnie, tak się przynajmniej wydawało Lewinowi. Na to zaś, aby całą rzecz wyświetlić teoretycznie i skończyć książkę, należało już tylko pojechać za granicę, by zbadać na miejscu, czego tam w tej dziedzinie dokonano, i wynaleźć przekonujące dowody, że wszystko to nie jest tym, czego potrzeba. W marzeniach Lewina dzieło jego miało nie tylko dokonać przewrotu w ekonomii politycznej, ale zupełnie unicestwić tę naukę, kładąc podwaliny nowej — o stosunku ludu do ziemi. Czekał już tylko na możliwość odstawienia swojej pszenicy, aby dostać pieniądze i wyjechać za granicę. Zaczęły się jednak deszcze i nie dały zwieźć pozostałego na polu zboża i kartofli; wszystkie roboty” i nawet dostawa pszenicy — utknęły. Nieprzebyte błoto leżało na drogach; nagły wylew po deszczu zniósł dwa młyny i pogoda z dnia na dzień stawała się gorsza.

30 września ód rana ukazało się słońce i Lewin, w nadziei na pogodę, począł przygotowywać się do podróży. Kazał ładować pszenicę, posłał rządcę do kupca po pieniądze, a sam wybrał się konno na objazd gospodarstwa, żeby wydać ostatnie dyspozycje przed drogą.

Mokry od strug wody, które lały mu się po skórzanym płaszczu to za cholewy, to za kołnier, ale w doskonałym, rześkim i podnieconym nastroju Lewin wracał wieczorem do domu załatwiwszy wszystkie interesy. Pod wieczór niepogoda rozhulała się jeszcze bardziej: krupy śnieżne tak

boleśnie smagały zmokniętego, potrząsającego uszami i głową konia, że szedł zupełnie bokiem; Lewinowi jednak pod baszłykiem było całkiem dobrze. Spoglądał wesoło wokół: to na mętne strugi płynące w koleinach, to na krople zwisające z każdego nagiego sęczka, to na plamę nie roztajałych krup śnieżnych bielejącą na deskach mostu, to na soczyste, dotychczas jeszcze nie uschłe listowie wąwozu, które osypało się gęstą warstwą dokoła ogołoczonego drzewa. Pomimo melancholii otaczającej go przyrody czuł się niezwykle podniecony. Rozmowy z chłopami w oddalonej wiosce dowiodły mu, że poczynają oni przywykać do nowych warunków. Stary zagrodnik, do którego zajechał, żeby się obsuszyć, wyraźnie pochwalił dzieło Lewina i sam miał zamiar przystąpić do wspólnoty dla skupu bydła.

„Trzeba tylko z uporem dążyć do celu, a dopnę swego — myślał Lewin — ten cel naprawdę wart jest pracy i wysiłku. To nie moja własna sprawa, tu chodzi o dobro ogółu. Cała gospodarka, a zwłaszcza położenie całego ludu powinno się zupełnie zmienić. Zamiast nędzy — ogólny dobrobyt; zamiast wrogości — zgoda i wspólność interesów. Słowem — bezkrwawa, ale największa w świecie rewolucja: najpierw w małym kółku naszego powiatu, potem w guberni, w Rosji, wreszcie na całym świecie. Jeśli idea jest słuszna, to nie może nie wydać owocu. Tak, to jest cel, dla którego warto pracować. I to, że ja jestem tylko Kostia Lewin, który w czarnym krawacie przyjechał na bal i któremu Szczerbacka dała kosza, Lewin, który sam przez się jest nędznym i lichym człowiekiem — niczego nie dowodzi. Jestem pewien, że Franklin* również czuł się nędzny i również nie ufał we własne siły, gdy zdawał sobie sprawę, czym jest. To nic nie znaczy. Na pewno miał i on także swoją starą Agafię której

* Benjamin Franklin (1706–1790) — amerykański mąż stanu, uczonec i działacz społeczny. Znane są też jego odkrycia w dziedzinie elektryczności.

zwierzał się ze swych planów.”

Z takimi myślami Lewin podjechał do domu już o zmroku.

Rządca, który jeździł do kupca, powrócił i przywiózł część pieniędzy za pszenicę. Umowa ze starym zagrodnikiem została zawarta, a po drodze rządca dowiedział się, że zboże wszędzie stoi na polu i że te nie zebrane 160 kop zboża u nich to jeszcze nic w porównaniu z tym, co się dzieje u innych.

Zjadłszy obiad Lewin usiadł jak zwykle z książką w fotelu i w dalszym ciągu myślał o swej podróży, łącząc ją z mającą powstać książką. Tego wieczoru znaczenie jego pracy wydawało mu się szczególnie jasne; w myśli układały mu się całe okresy wyrażające istotę jego teorii. „Trzeba to zapisać — pomyślał. — To będzie krótki wstęp, który poprzednio uważałem za niepotrzebny.” Wstał, by podejść do biurka. Łaska, leżąca mu u nóg, także wstała przeciągając się i oglądała się na niego, jakby chciała się spytać, dokąd pójda. Ale nie było czasu na zapisywanie, zjawili się bowiem gumienni po dyspozycje i Lewin wyszedł do nich do sieni. Po odprawie; czyli po wydaniu rozporządzeń na dzień następny, i przyjęciu wszystkich chłopów, mających do niego interesy, Lewin poszedł do gabinetu i zabrał się do roboty. Łaska położyła się pod stołem, a Agafia Michajłowna usiadła z pończochą na swoim miejscu.

Jakiś czas zeszedł mu na pisanie, gdy wtem przypomniał sobie niesłychanie żywo Kitty, odkosza, jakiego od niej dostał, i ostatnie z nią spotkanie. Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

— No i czego panicz się tutaj nudzi! — odezwała się Agafia Michajłowna. — Po co tak ciągle przesiadywać w domu? Niechże panicz jedzie do tych ciepłych wód, dokąd się wybierał.

— Pojutrze właśnie jadę, nianiu. Muszę skończyć robotę.

— Jaka tam panicza robota! Czy mało panicz tych chłopów powynagradzał? I tak już powiadają: nasz dziedzic za to wielkiej łaski dozna od cesarza. Dziw mi tylko: czemu się panicz tyle o chłopów troszczy?

— Ja nie o nich się troszczę, ja dla siebie samego pracuję.

Agafia Michajłowna знаła wszystkie szczegóły planu gospodarczego Lewina, który nieraz wykladał jej swoje teorie ze wszystkimi subtelnościami. Nierzadko z nią dyskutował nie zgadzając się na jej komentarze. Obecnie wszakże niania całkiem inaczej zrozumiała jego powiedzenie.

— O duszy swej, wiadomo, najwięcej myśleć należy — wyrzekła z westchnieniem. — Ot i Parfion Denisycz, mimo że czytać i pisać nie umiał, a umarł tak, że daj Bóg każdemu. — Agafia Michajłowna miała na myśli zmarłego stróża podwórzowego. — Dostał komunię świętą i ostatnie namaszczenie.

— Nie o tym mówię — wyjaśnił. — Mówię, że robię to dla własnej korzyści. Jeśli chłopci lepiej pracują, to i ja mam z tego korzyść.

— Cokolwiek by panicz zrobił, to jeśli z chłopca leń, i tak nic nie pomoże. Ten, co ma sumienie, będzie pracował, a ten, co go nie ma, temu nikt nie da rady.

— Ale przecież Agafia sama mówiła, że Iwan zaczął lepiej chodzić około bydła.

— Ja jedno tylko mówię — ciągnęła dalej stara, najwidoczniej nie przypadkowo, ale z nieubłaganą konsekwencją — ożenić się panicz powinien,, ot co!

To, że Agafia wspomniała właśnie o tym, o czym i on sam w tej chwili pomyślał, zabolalo go i uraziło. Zmarszczył brwi i nic nie powiedziawszy zasiadł znów do swej pracy, powtarzając sobie wszystko, co sam o jej znaczeniu sądził. Od czasu do czasu tylko przysłuchiwał się w ciszy dźwiękowi

drutów niani i przypominając sobie to, o czym wspominać — nie chciał, znów marszczył brwi.

O dziewiątej posłyszał dzwoneczki i głuchy odgłos kołysania się pudła powozu na błotnistej drodze.

— No, otóż ma panicz i gości: nie będzie nudno — powiedziała Agafia Michajłowna i skierowała się ku drzwiom. Lewin ją szybko wyprzedził. Praca nie szła mu teraz i rad był każdemu gościowi.

XXXI

Zbiegłszy do pół schodów Lewin posłyszał znajome pokasywanie w przedpokoju, ale słyszał je niewyraźnie z powodu odgłosu własnych swoich kroków i miał nadzieję, że się omylił; za chwilę wszakże ujrzał całą długą kościstą znajomą postać. Zdawało się, że już nie można było się łudzić, lecz on jeszcze miał nadzieję, że to omyłka i że ten wysoki kaszłący człowiek, który zdejmował futro, to nie jego brat, nie Mikołaj.

Lewin brata kochał, ale przebywanie z nim razem było dla niego męką. Teraz, kiedy pod wrażeniem nagłych wspomnień oraz aluzji Agafii Michajłowny wpadł w jakiś mętny, powikłany nastrój, oczekujące go spotkanie z bratem wydało mu się szczególnie przykre. Zamiast wesołego, zdrowego, obcego człowieka, który by — jak się tego spodziewał — wniósł odprężenie w ten duchowy zamęt, miał zobaczyć się z bratem, który go na wskroś rozumiał, który poruszy w nim najskrytsze myśli i skłoni do całkowitego wypowiedzenia się. A na to Konstanty wcale nie miał ochoty.

Zły na siebie za te brzydkie uczucia, zbiegł do przedpokoju. Skoro tylko zobaczył brata z bliska, osobisty zawód, którego doznał, znikł, a zastąpiła go litość. Już

dawniej Mikołaj przerażał swą chudością i chorobliwym wyglądem, obecnie jeszcze bardziej wychudł i osłabł. Był to pokryty skórą szkielet.

Stał w przedpokoju, konwulsyjnie szarpiąc długą, chudą szyję, z której ściągał szalik, przy czym uśmiechał się dziwnie żałośnie. Widząc ten uległy i pokorny uśmiech Lewin poczuł, jak mu skurecz ścisza gardło.

— No i widzisz: przyjechałem do ciebie — rzekł Mikołaj głucho, ani na chwilę nie odwracając oczu od twarzy brata. — Dawno już chciałem to zrobić, ale byłem ciągle niezdrów. Teraz jest mi lepiej — dodał ocierając brodę wielkimi chudymi dłońmi.

— Tak, tak! — odrzekł Lewin i przeraził się jeszcze bardziej, gdy całując go poczuł pod wargami suchość jego ciała i ujrzał z bliska wielkie, dziwnie błyszczące oczy.

Parę tygodni przedtem Lewin pisał do brata, że po sprzedaży tej niewielkiej reszty, która pozostawała im jeszcze do podziału, ma obecnie do odebrania jako swoją część 2000 rubli.

Mikołaj oświadczył, że przyjechał, by odebrać te pieniądze, a zwłaszcza, aby pobyć trochę w swym gnieździe rodzinnym, dotknąć ziemi i nabrać, jak bohaterowie z legendy, siły do oczekującej go działalności. Minio jeszcze większego przygarbienia i uderzającego przy jego wzroście wychudzenia, ruchy miał szybkie i gwałtowne jak zawsze. Lewin zaprowadził go do gabinetu.

Mikołaj przebrał się niezwykle starannie, czego nie zwykł był czynić dawniej. Przyglądał swe rzadkie, proste włosy i z uśmiechem wszedł na górę.

Był w nastroju jak najserdeczniejszym i najweselszym, takim, jakim go Lewin pamiętał z dzieciństwa. Nawet o Sergiuszu Iwanowiczu napomknął bez złości. Ujrawszy

Agafię Michajłównę pożartował z nią i zaczął rozpytywać o starą służbę. Wiadomość o śmierci Parfiona Denisycza zrobiła na nim przykre wrażenie.. Na twarzy jego odmalował się przestrah; lecz wnet się otrząsnął.

— To przecież był człowiek stary — rzekł i zmienił temat. — Pobędę u ciebie miesiąc, dwa, a potem pojedą do Moskwy. Wiesz, Miagkow obiecał mi posadę: będę urzędnikiem. Urządę sobie teraz życie zupełnie inaczej — dodał. — Wiesz, oddaliłem tę kobietę.

— Marię Nikołajewnę? Jak to? Za co?

— Ach, to obrzydliwa osoba! Narobiła mi masę nieprzyjemności. — Ale jakie to były nieprzyjemności, nie powiedział, nie mógł bowiem przyznać się, że ją wygnał, ponieważ podała mu za słabą herbatę, a zwłaszcza za to, że obchodziła się z nim jak z chorym. — Poza tym w ogóle chcę zupełnie zmienić tryb życia. Robiłem, oczywiście, głupstwa, tak jak wszyscy, ale majątek to najmniejsza rzecz, nie żał mi go. Byleby zdrowie służyło, a z tym, chwała Bogu, teraz jest lepiej.

Lewin słuchał go, zastanawiał się i nie mógł wymyślić, co by powiedzieć. Na pewno Mikołaj czuł to samo. Zaczął rozpytywać brata o jego interesy i Lewin rad był opowiadać o sobie, bo wtedy mógł mówić bez obłudy. Opowiedział mu więc o swoich planach i poczynaniach.

Mikołaj słuchaj, lecz widać było, że go to zupełnie nie interesuje.

Ci dwaj ludzie byli przez pokrewieństwo i zażyłość tak sobie bliscy, że najmniejszy ruch czy ton głosu mówił im więcej niż wszystko, co można wyrazić słowami.

Teraz mieli obaj jedną myśl, która zagłuszała wszystko inne: myśl o chorobie Mikołaja i o zbliżającej się jego śmierci. Ani jeden, ani drugi wszakże nie śmiał o niej mówić

i dlatego wszystko, o czym mówili, nie wypowiadając się o tej jedynej rzeczy, która ich obchodziła, było fałszem. Nigdy jeszcze Lewin nie był taki rad, gdy wieczór się skończył i trzeba było iść spać. Nigdy z nikim obcym ani na żadnej oficjalnej wizycie nie był tak nienaturalny i tak pełen hipokryzji jak tego dnia. Świadomość tej sztuczności i skrucha z jej powodu sprawiały, że stawał się coraz bardziej nienaturalny. Chciało mu się płakać nad umierającym ukochanym „bratem, a musiał słuchać, jak ten urządzi sobie życie, i podtrzymywać tę rozmowę.

Ponieważ w domu była wilgoć i opalano tylko jeden pokój, Lewin umieścił brata na noc w swoim własnym pokoju za przepierzeniem.

Mikołaj położył się i — to spał, to nie spał — ale jak czynią ludzie chorzy, przewracał się na łóżku, kaszłał, a gdy nie mógł dobrze odchrząknąć, coś mruczał. Czasami, gdy go flegma dusiła, ze złością mówił: „A, do diabła!” Lewin długo nie mógł zasnąć słuchając brata. Różne myśli przychodziły mu do głowy, a na końcu każdej z nich była śmierć.

Nieunikniony koniec wszystkiego, śmierć — po raz pierwszy stanęła przed nim z nieprzepartą siłą. I ta śmierć tutaj, w jego ukochanym bracie, jęczącym przez sen i przywołującym, ze zwyczaju; bez różnicy, to Boga, to diabła — była wcale nie tak daleka, jak mu się przedtem zdawało. Istniała przecież i w nim samym, czuł to. Nie dziś — to jutro, nie jutro — to za lat trzydzieści, czy to nie wszystko jedno? A czym była ta nieunikniona śmierć — nie tylko, nie wiedział, nie tylko nigdy nawet o tym nie myślał, ale myśleć nie umiał i nie śmiał.

„Pracuję, chcę czegoś dokonać, a zapomniałem, że wszystko to się skończy, że istnieje śmierć.”

Siedział na łóżku, skurczony w ciemności, objawszy

kolana, i — aż wstrzymując oddech z wysiłku myślowego — medytował. Im — bardziej wszelako myśl natężał, tym było dla niego jaśniejsze, że tak jest niewątpliwie: istotnie zapomniał, przeoczył tę drobną okoliczność, że przyjdzie śmierć i wszystko się skończy, zapomniał, że nawet nie warto było nic rozpoczynać i że nie ma na to rady. To straszne, ale tak jest.

„Ale przecie jeszcze jestem żywy. Więc co teraz robić, co robić?” — mówił sobie w duchu z rozpaczą. Zapalił świecę, ostrożnie wstał, podszedł do lustra i jął oglądać twarz i włosy. Tak. Na skroniach miał kilka siwych włosów. Otworzył usta: w tyle zęby trzonowe zaczynały się psuć. Obnażył swe muskularne ramiona. Tak, siłę miał. Ale Nikolińka, który tam oddycha resztkami płuc, też miał kiedyś zdrowe ciało. I nagle przypomniało mu się, jak się kładli razem spać jako dzieci i tylko czekali, żeby Fiodor Bogdanycz wyszedł, by zacząć rzucać w siebie poduszkami i zaśmiewać się, zaśmiewać niepowstrzymanym śmiechem, tak że nawet strach przed Fiodorem Bogdanyczem nie mógł powstrzymać tego przelewającego się przez brzegi, pieniącego się poczucia radości życia... „A teraz ta wpadnięta pusta pierś... i ja sam nie wiedzący, po co to wszystko i co ze mną będzie...”

— Kcha! Kcha! A, do diabła! czego się tam grzebiesz i nie śpisz? — odezwał się głos brata.

— Tak sobie. Nie wiem. Coś mi się nie śpi.

— A ja dobrze spałem. Już się teraz nie pocę. Zobacz no tylko, dotknij koszuli. Nie ma potu, co?

Lewin przytknął palce do koszuli, po czym wyszedł z za przepierzenia, zgasił świecę, ale jeszcze długo nie spał. Zaledwie wyjaśnił sobie nieco pytanie, jak żyć, a tu już stało przed nim nowe nierozwiązalne zagadnienie — śmierć. „Tak, on umiera i na wiosnę na pewno umrze. Jakże mu tu pomóc,

co ja mogę mu powiedzieć? Co ja o tym wiem? Zapomniałem w ogóle, że to istnieje.”

XXXII

Lewin już od dawna zauważył, że kiedy zbyt ustepliwość i pokora pewnych ludzi wprawia nas w zakłopotanie, to jest to oznaka, że wkrótce stosunki z nimi staną się nie do zniesienia na skutek ich nadmiernych wymagań i agresywności. Przeczował, że tak będzie i z bratem; i rzeczywiście, nie na długo starczyło Mikołajowi łagodności. Już począwszy od następnego ranka stał się podrażniony i uporczywie jął szukać zaczepki z Lewinem, usiłując dokuczyć mu w najdrażliwszych punktach. Lewin poczuwał się do winy, ale nie mógł w tym nic polepszyć. Czuł, że gdyby obaj przestali udawać i rozmawiali ze sobą — jak się to mówi: bez ogródek, czyli o tym co naprawdę myślą i czują, to patrzyliby tylko sobie wzajemnie w oczy i Konstany mówiłby wciąż: „Umrzesz, umrzesz, umrzesz!” — a Mikołaj odpowiadałby: „Wiem o tym, ale boję się, boję się, boję!”... I o niczym więcej by nie rozmawiali, gdyby mówili naprawdę bez ogródek. Ale przecież tak nie można było żyć i dlatego Konstany usiłował robić to, co przez całe życie próbował i „czego nie potrafił robić, coś, co według jego obserwacji tak doskonale robiło tylu innych, a bez czego żyć niepodobna: usiłował mówić nie to, co myślał. Ciągłe jednak czuł, że to brzmi fałszywie, że brat go na tym łapie i że to brata rozdrażnia.

Na trzeci dzień Mikołaj zażądał, by mu Konstany na nowo wyłożył swój plan, i począł nie tylko potępiać go, ale rozmyślnie mylić go z komunizmem.

— Wzięłeś cudzą myśl, lecz ją okaleczyłeś i chcesz

stosować tam, gdzie się jej zastosować nie da.

— Powiadam ci przecież, że to nie ma nic z tamtym wspólnego. Komuniści odrzucają własność, kapitał, dziedziczenie, a ja nie odrzucając tego głównego *stimulusu** — (Lewin miał wstręt do używania takich słów, lecz od czasu gdy zapalił się do swojej książki, mimo woli zaczął coraz częściej używać słów nierosyjskich) — pragnę tylko regulować pracę.

— Otóż to właśnie: wzięłeś cudzą myśl, odciąłeś od niej wszystko, na czym polega jej siła, i teraz chcesz dowieść, że to coś nowego — rzekł Mikołaj i aż mu się krawat przekrzywił od gniewnego skurczu szyi.

— Ależ moja myśl nie ma nic wspólnego...

— Tam — ze złośliwym błyskiem oczu i ironicznym uśmiechem mówił dalej Mikołaj — tam przynajmniej jest urok, jakby to wyrazić, geometryczny urok, jaki wiąże się z przejrzystością, niewątpliwością... Może być, że to utopia. A jednak przypuścmy, że dałoby się zrobić z całej przeszłości *tabula rasa**: nie ma własności, nie ma rodziny, wtedy kwestia pracy zostanie rozwiązana. Ale u ciebie nic z tego wszystkiego nie ma...

— Bo ty mylisz jedno z drugim. Nigdy nie byłem komunistą.

— A ja byłem i uważam, że to jest przedwczesne, ale rozumne i ma przed sobą przyszłość, tak jak chrystianizm w pierwszych wiekach po Chrystusie.

— Ja sędzę, że siłę roboczą należy rozpatrywać z doświadczalno — przyrodniczego punktu widzenia, to jest zbadać ją, rozpoznać jej właściwości i...

— Ależ to zupełnie daremny trud. Siła ta znajduje sama, zależnie od stopnia swego rozwoju, odpowiedni sposób

* *Stimulus* — bodziec

* *Tabula rasa* — tu: wykreślenie z pamięci wszystkiego, co było.

działania. Najpierw byli wszędzie niewolnicy, potem *metayers**. I u nas także istnieje polownictwo, dzierżawa, — praca parobków. Czegóż ty jeszcze szukasz?

Słowa te nagle rozdrażniły Lewina, gdyż w głębi duszy obawiał się, że to może prawda — może on rzeczywiście usiłuje balansować między komunizmem a formami bardziej określonymi, a to zapewne nie jest możliwe.

— Szukam metod produktywnej pracy i dla siebie samego, i dla robotnika. Chcę zorganizować... — zaczął z zapałem.

— Nic nie chcesz zorganizować: po prostu, jak przez całe życie, chce ci się być oryginalnym, wykazać, że nie wyzyskujesz chłopów normalnie, — ale ideowo.

— Dobrze więc, myśl, co chcesz, i zostaw to! — odparł Lewin czując, jak mu niepowstrzymanie drgać zaczyna mięsień w lewym policzku.

— Nie masz i nie miałeś nigdy przekonań, i chcesz tylko schlebiać własnej próżności.

— Niech i tak będzie, i zostaw mnie w spokoju!

— Z największą radością! Dawno na mnie czas. Niech cię diabli! Żałuję tylko, że przyjechałem!

Cokolwiek Lewin czynił potem, by uspokoić brata, ten o niczym nie: chciał słyszeć i mówić, że najlepiej będzie, gdy się rozstaną. Konstanty wiedział, że dla brata życie po prostu stało się nieznośne.

Mikołaj był już zupełnie gotów do drogi, gdy Konstanty znowu przyszedł do niego i sztucznym tonem prosił go o wybaczenie, jeśli go czymś obraził.

— Cóż za wspaniałomyślność! — uśmiechnął się Mikołaj. — Jeśli chcesz koniecznie mieć — rację, to przyznaję, żeby ci zrobić przyjemność, że ją miałaś. Masz rację, ale ja mimo to wyjadę!

* *Metayers* — polownicy (polownictwo — forma dzierżawy za pół plonu)

Dopiero przed samym wyjazdem Mikołaj ucałował brata i rzekł spoglądając na niego z dziwną powagą:

— Mimo wszystko, nie wspominaj mnie źle, Kostia!. — głos mu zadrgał.

I to były jedyne słowa powiedziane szczerze. Lewin zrozumiał, że miały znaczyć: „Widzisz i wiesz, że ze mną jest źle, i być może nie zobaczymy się więcej.” Zrozumiał to i łzy trysnęły mu z oczu. Raz jeszcze ucałował brata, lecz nic mu nie mógł i nie potrafił powiedzieć.

Na trzeci dzień po jego wyjeździe Lewin wyjechał także — za granicę. W pociągu spotkał się ze Szczerbackim, kuzynem Kitty, którego bardzo zadziwił swym posepnym nastrojem. — Co ci jest? — spytał go Szczerbacki.

— A nic, tak... Mało wesołego na świecie.

— Jak to mało? Jedź ze mną do Paryża, zamiast do jakiejś tam Milhuzy. Zobacysz, jak tam wesoło! Nie. Ze mną koniec. Czas już na mnie.

— To dopiero! — roześmiał się Szczerbacki. — A ja właśnie przygotowałem się, żeby zacząć.

— Niedawno i ja tak myślałem, ale teraz wiem, że niezadługo, umrę.

Lewin mówił to, co w ostatnich czasach istotnie myślał. We wszystkim widział śmierć lub zbliżanie się do niej. Zaczęte przezeń dzieło tym bardziej go wszakże pochłaniało; trzeba było przecie jakoś dociągnąć to życie, nim przyjdzie śmierć. Wszystko była dla niego zasnutę mrokiem, lecz właśnie na skutek tej ciemności czuł, że jedyną nicią przewodnią w mroku było jego dzieło, uchwycił się go tedy i trzymał ostatkiem sił.

CZEŚĆ CZWARTA

I

Kareninowie, mąż i żona, mieszkali nadal w tym samym domu, spotykali się każdego dnia, lecz byli sobie zupełnie obcy. Aleksy Aleksandrowicz z reguły widywał się codziennie z żoną, tak aby służba nie miała podstaw do jakichkolwiek przypuszczeń, unikał wszakże obiadów w domu. Wroński nigdy nie bywał u Kareninów, lecz Anna widywała go poza domem i mąż jej o tym wiedział.

Dla każdego z nich trojga sytuacja ta była udęczeniem i żadne nie miałyby siły przeżyć ani jednego dnia w ten sposób, gdyby nie nadzieja, że to się zmieni i że jest to tylko chwilowa bolesna trudność, która przejdzie. Aleksy Aleksandrowicz spodziewał się, że namiętność przeminie, jak mija wszystko, że ludzie o tym zapomną i że nazwisko jego pozostanie nie zhańbione. Anna, od której wszystko zależało i która najbardziej cierpiała nad całą sytuacją, znosiła ją dlatego, że nie tylko spodziewała się, ale była pewna, że się wszystko bardzo prędko przesili i wyjaśni. Nie wiedziała absolutnie, co na to wpłynie, ale była niezłomnie przekonana, że to coś jest już teraz bardzo bliskie. Wroński mimo woli, pod jej wpływem, również oczekiwał czegoś, co niezależnie od niego miało usunąć wszystkie trudności.

W środku zimy Wroński przeżył tydzień bardzo nużący. Przydzielono go do zagranicznego księcia, który przyjechał do Petersburga i któremu pokazywać musiał osobliwości stolicy. Wroński nie tylko sam był reprezentacyjny, lecz posiadał sztukę obejścia łączącego godność z respektem. Przyzwyczajony był do obracania się w towarzystwie tego rodzaju osobistości, dlatego właśnie został przydzielony do

osoby księcia. Obowiązki te jednak wydały mu się bardzo uciążliwe. Księżę życzył sobie nie pominąć niczego, o co by go potem mogli w ojczyźnie zapytać — czy widział to w Rosji, a zresztą z własnej ochoty pragnął, o ile ter było możliwe, użyć wszystkich rosyjskich przyjemności. Obowiązkiem Wrońskiego było objąć przewodnictwo zarówno w jednym, jak w drugim. Co rano jeździli oglądać osobliwości, wieczorami zaś brali udział w narodowych przyjemnościach. Księżę cieszył się niezwykłym, nawet wśród książąt, zdrowiem i za pomocą gimnastyki i właściwej pielęgnacji ciała doszedł do takiej siły, że mimo ekscesów, na jakie sobie pozwalał w używaniu przyjemności, zachował świeżość zielonego, lśniącego holenderskiego ogórka. Wiele podróżował i uważał, że udostępnienie rozrywek właściwych różnym narodom to jedno z najglówniejszych osiągnięć obecnych ułatwień komunikacyjnych. Bywał w Hiszpanii, urządzał tam serenady i poznał bliżej grającą na mandolinie Hiszpankę; w Szwajcarii zabił giemzę; w Anglii galopował w czerwonym fraku, przesadzając płoty i — o zakład ustrzelił dwieście bażantów. W Turcji odwiedził harem; w Indiach jeździł na słoni, a obecnie w Rosji pragnął zakosztować wszelkich specyficznie rosyjskich rozrywek.

Wroński był przy jego osobie niejako głównym, mistrzem ceremonii i miał dużo trudności z ułożeniem rozkładu wszystkich rosyjskich rozrywek, jakie proponowały księciu różne osoby. Były tam i kłusaki, i bliny, i polowanie na niedźwiedzie, i jazda trojką, i Cyganie, i hulanki z tłuczeniem naczyń na rosyjską modłę. Księżę z niezwykłą łatwością przyswajał sobie rosyjskiego ducha: tłukł całe tace naczyń, sadzał sobie na kolanach Cyganekę i wyglądało, jakby zapytywał: I cóż jeszcze? Czy rosyjski duch tylko na tym polega?

W gruncie rzeczy, ze wszystkich, rosyjskich rozrywek podobały się księciu najbardziej — francuskie aktorki, pewna baletnica oraz szampańskie z białą kapslą. Wroński był przyzwyczajony do książąt, lecz nie wiadomo, czy dlatego że sam się bardzo zmienił w ostatnich czasach, czy też że z tym księciem zanadto blisko obcował — ale tydzień ów wydał mu się nieopisanie ciężki do zniesienia. Przez cały tydzień miał bez ustanku uczucie człowieka, którego przydzielono do pilnowania niebezpiecznego wariata, a który zarówno boi się tego wariata, jak lęka się o własny rozum. Czuł, że aby nie doznać uchybienia, koniecznym było ani na sekundę nie porzucać tonu surowego, oficjalnego respektu. Sposób, w jaki książę obchodził się z ludźmi, którzy — ku zdumieniu Wrońskiego — wyłazili ze skóry, by dostarczyć mu rosyjskich przyjemności, był pogardliwy. Jego sądy o rosyjskich kobietach, które pragnął studiować, nieraz wywoływały na twarz Wrońskiego rumieniec gniewu. Ale głównym powodem, dla którego książę stanowił takie udręczenie dla Wrońskiego, była ta okoliczność, że chcąc nie chcąc widział w nim samego siebie. I to, co się w tym zwierciadle odbijało, nie pochlebiało jego próżności. Książę był bardzo głupim i bardzo pewnym siebie, bardzo zdrowym i bardzo o fizyczną czystość dbałym człowiekiem i niczym więcej. Był dzentelmenem — to prawda, i Wroński nie mógł tego negować. Zachowywał rezerwę i nie ubiegał się o względy osób od niego znaczniejszych, był prosty i swobodny z równymi sobie, a pogardliwie dobroduszny z niższymi. Taki sam był Wroński i uważał to za wielką swoją zaletą. W porównaniu z księciem wszakże należał do sfery niższej i ten lekceważący, dobroduszny „stosunek, gdy o niego chodziło, oburzał go do głębi.

„Głupie bydlę! Czyżbym i ja był taki?!” — myślał.

Jakkolwiek tam było, gdy po sześciu dniach pobytu pożegnał księcia w chwili jego wyjazdu do Moskwy i usłyszał podziękowanie, był szczęśliwy, że pozbył się tej fałszywej sytuacji i tego niemiłego lustra. Żegnał go na stacji wracając z polowania na niedźwiedzie, gdzie przez noc całą odbywały się popisy rosyjskiej brawury.

II

Po powrocie do domu Wroński znalazł u siebie bilecik od Anny. Pisała: „Jestem chora i nieszczęśliwa. Nie mogę się oddalać z domu, ale nie mogę także dłużej Cię nie widzieć. Przyjedź wieczorem. O siódmej Aleksy Aleksandrowicz jedzie na posiedzenie i będzie tam do dziesiątej.” Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego wzywa go wprost do siebie, mimo że mąż jej żądał, aby go nie przyjmowała, postanowił wszakże do niej pojechać.

Tej zimy Wroński otrzymał nominację na pułkownika, opuścił więc pułk i mieszkał sam jeden. Po śniadaniu położył się natychmiast na kanapie i nie minęło pięć minut, a już wspomnienia szkaradnych scen, których w ostatnich dniach był świadkiem, pogmatwały się i powiązały się z Anną, a także z chłopem — naganiaczem, który grał dużą rolę przy polowaniu na niedźwiedzie — i Wroński zasnął. Obudził się w ciemności, trzęsąc się ze strachu, i spiesznie zapalił świecę. „Co to było takiego? Co takiego? Co to ja widziałem tak strasznego we śnie?... Tak, tak... Chłop — naganiacz, zdaje się, malutki, brudny, z najeżoną brodą, coś robił... pochylał się nad czymś... I nagle wyrzekł po francusku jakieś dziwne słowa... Tak, nic więcej nie było w tym śnie — powiedział sobie. — Ale dlaczego to było takie przerażające?” I znów ujrzał przed sobą chłopca i przypomniał sobie jego

niezrozumiałe francuskie słowa i dreszcz grozy przebiegł mu po plecach.

„Co za nonsens!” — pomyślał i spojrzął na zegarek.

Było już wpół do dziewiątej. Zadzwoił na służącego, spieszenie się ubrał i wyszedł na ganek, zupełnie zapominając o śnie i zatroskany tylko o to, że się spóźni. Zajeżdżając przed ganek Kareninów spojrzął na zegarek i stwierdził, że była za dziesięć minut dziewiąta. Wysoka, wężutka karetka zaprzężona w parę siwków czekała na dojeździe. Poznał karetkę Anny. „Wybiera się do mnie — pomyślał Wroński — i tak byłoby lepiej. Bardzo mi niemiło wchodzić do tego domu. Ale wszystko jedno; nie mogę się przecież ukrywać” — powiedział sobie i zachowując się w sposób od dzieciństwa przyswojony, jak człowiek, który nie ma się czego wstydzić — wyskoczył z sanek podszedł do drzwi. Drzwi otworzyły się i szwajcar z pledem na ręku zawołał na stangreta. Wroński, który nie miał zwyczaju zauważać drobiazgów, tym — razem „jednak spostrzegł zdziwiony wyraz, z jakim szwajcar na niego popatrzył. W samych drzwiach Wroński zderzył się prawie z Kareninem. Gazowy płomień świecił wprost na bezkrwistą, zapadniętą twarz pod czarnym kapeluszem i biały krawat błyszczący spoza bobrowego kołnierza u paltota. Nieruchome, bez blasku oczy Karenina skierowały się na twarz Wrońskiego; ten uklonił się. Karenin poruszył parę razy, ustami, jakby coś żuł, podniósł rękę do kapelusza i minął go. Wroński widział, jak wsiadł nie oglądając się do karety, jak wziął przez okno pled i lornetkę i odjechał. Wroński wszedł do przedpokoju, brwi miał ściągnięte, — a oczy błyszczały mu dumnie i groźnie. „A to sytuacja — myślał. — Gdyby chciał walczyć, bronić swej czci... Mógłbym wówczas działać, dać wyraz moim uczuciom. Ale ta słabość czy też podłość!... Każe mi grać

rolę oszusta, którym być nie chciałem i nie chcę.”

Od czasu rozmowy z Anną w parku Wrede wiele się w nastawieniu Wrońskiego zmieniło. Ulegając bezwiednie słabości Anny, która oddawała mu się cała i tylko od niego oczekiwała rozstrzygnięcia swego losu, z góry mu się poddając, Wroński od dawna już przestał się spodziewać, by stosunek ten miał się skończyć tak, jak wówczas myślał. Jego ambitne projekty znów odeszły na dalszy plan i — zdając sobie sprawę, że znalazł się poza tym” kręgiem czynności, w którym wszystko było określone — cały oddawał się swemu uczuciu, a uczucie coraz go silniej do niej przywiązywało.

Już w przedpokoju usłyszał jej oddalające się kroki. Zrozumiał, że oczekiwała go, nadśluchiwała, a teraz powróciła do salonu.

— Nie! — zawołała ujrzawszy go i zaraz przy pierwszym słowie oczy jej napełniły się łzami. — Nie, jeśli tak dalej będzie, to stanie się to znacznie, znacznie wcześniej!

— Co, moja miła?

— Co? Ja tu czekam, męczą się godzinę, dwie... Ach nie, już nie będę, nie mogę się z tobą kłócić. Zapewne nie mogłeś... Nie, już nie będę!

Położyła mu obie dłonie na ramionach i długo patrzyła na niego, głębokim, ekstatycznym, a zarazem badawczym spojrzeniem, wyszukując w jego twarzy zmian, które mogły zajść od czasu, gdy go nie widziała. Jak przy każdym spotkaniu, tak i tym razem zestawiała swoje wyobrażenie o nim (nieporównanie piękniejsze, niemożliwe w rzeczywistości) z nim samym, takim, jaki naprawdę był.

III

Czy go spotkałeś? — zapytała, gdy już siedzieli za stołem

pod lampą. — Otóż i masz karę za spóźnienie.

— Tak... Ale jak to się stało? Miał przecież być na posiedzeniu.

— Był tam, wrócił i znów dokądś pojechał. Ale to nic. Nie mów o tym. Gdzie byłeś? Wciąż jeszcze z księciem?

Wiedziała o każdym szczególe jego życia. Chciał powiedzieć, że całą noc nie spał i że potem zasnął, ale wstyd mu się zrobiło patrząc na wzruszenie i radość malującą się na jej twarzy, powiedział tedy, że musiał pojechać z raportem o wyjeździe księcia.

— A więc już skończone? Wyjechał?

— Tak, dzięki Bogu, skończone! Nie uwierzysz, jakie to było dla mnie nieznośne.

— Czemu? Przecież to zwykłe życie młodych mężczyzn, wasze życie — powiedziała marszcząc brwi i biorąc szydełkową robótkę, która leżała na stole, poczęła nie patrząc na Wrońskiego wyplątywać z niej szydełko.

— Dawno już porzuciłem tego rodzaju życie — rzekł, zdziwiony zmianą, jaka zaszła w jej twarzy, i starając się dociec jej znaczenia. — Przyznam się — rzekł pokazując w uśmiechu zwarty rząd białych zębów — że w ciągu ostatniego tygodnia przeglądałem się jak w zwierciadle, patrząc na to życie, i było mi przykro.

Trzymała robótkę w rękach nie robiąc jej i patrzyła na niego dziwnym, błyszczącym i nieprzyjemnym spojrzeniem.

— Dziś rano wpadła do mnie Liza — jeszcze nie lękają się mnie odwiedzać, mimo hrabiny Lidii! — wtrąciła — i opowiadała o waszym wieczorze ateńskim*. Co za obrzydliwość.

— Właśnie chciałem powiedzieć, że...

Ale mu przerwała.

* *Wieczór ateński* — tu ironicznie z znaczeniu hulanki, orgii

— To była ta Thérèse, którą uprzednio znałeś?

— Chciałem powiedzieć...

— Jacyście wy, mężczyźni, obrzydliwi! Nie możecie zrozumieć, że kobieta o czymś podobnym nie zapomina — unosiła się coraz bardziej i w ten sposób ujawniała powód swego rozdrażnienia. — Zwłaszcza kobieta, która nie może znać twego życia. Cóż ja o tobie wiem? Co wiedziałam? — mówiła. — To, coś mi sam o sobie opowiadał. A skąd mogę wiedzieć, że mówiłeś prawdę?...

— Anno! Obrażasz mnie. Czyżbyś mi nie wierzyła? Czy nie mówiłem ci, że nie mam ani jednej, myśli, którą bym przed tobą zataił?

— Tak, tak — odrzekła, Widocznie starając się odpędzić zazdrosne myśli. — Ale gdybyś wiedział, jak mi ciężko! Wierzę ci, wierzę... Więc co mówiłeś?

On jednak nie mógł sobie zrazu przypomnieć, co jej chciał powiedzieć. Te paroksyzmy zazdrości zdarzały się u niej w ostatnich czasach coraz częściej i przerażały go. Jakkolwiek starał się to ukrywać, oziębiały one jego uczucie, chociaż wiedział, że powodem jej zazdrości była miłość dla niego. Ileż to razy powtarzał sobie, że ta miłość jest jego szczęściem; i oto kochała go tak, jak może kochać kobieta, u której miłość przeważała wszystkie dobra na świecie — a przecież teraz był znacznie dalszy od szczęścia niż wówczas, kiedy jechał za nią z Moskwy do Petersburga. Wówczas uważał się za — nieszczęśliwego, choć szczęście było przed nim; teraz zaś czuł, że najlepsza część szczęścia leżała już poza nim. Anna była zupełnie inna od tej, którą pamiętał z pierwszych dni. I fizycznie, i moralnie zmieniła się na niekorzyść. Rozrosła się cała wszerek, a gdy mówiła o aktorce, twarz jej miała wyraz złości, który ją szpecił. Patrzył na nią jak człowiek, który zerwał kwiat i w zwiędłym kwiecie z

trudem rozpoznaje to piękno, dla którego zerwał go i zniszczył. A mimo to czuł, że wówczas, gdy miłość jego była silniejsza, mógł być, gdyby tego mocno zapragnął, wyrwać ją ze swego serca; tymczasem obecnie, gdy — jak mu się w tej chwili zdawało — nie odczuwał dla niej żadnej miłości, wiedział, że jego związek z nią nie może być zerwany.

— No więc, co mi chciałeś powiedzieć o księciu? Już wypędziłam, wypędziłam biesa — dodała. Biesem nazywali między sobą zazdrość. — Więc co mi zacząłeś opowiadać o księciu? Dlaczego było ci z nim tak ciężko?

— Ach, było nie do wytrzymania! — starał się pochwycić nitkę przerwanej myśli. — Księżę nie zyskuje przy bliższej znajomości. Gdyby się go chciało określić, to jest to doskonale odżywione zwierzę, z tych, jakie otrzymują pierwsze medale na wystawach, i nic więcej. — Mówił to ze złością, która ją zainteresowała.

— Jak to? — zaoponowała. — Przecież wiele widział, jest wykształcony.

— Ich wykształcenie — to zupełnie inne wykształcenie. Widać, że posiada wykształcenie tylko po to, by mieć prawo nim pogardzać, tak jak oni wszystkim pogardzają oprócz czysto zwierzęcych uciech.

— Przecież wy wszyscy lubicie te zwierzęce uciechy — zauważyła i znów Wroński spostrzegł, że chmurny jej wzrok poczyna go unikać.

— Dlaczego tak go bronisz? — uśmiechnął się.

— Nie bronię go wcale, jest mi zupełnie obojętny. Sądzę jednak, że gdybyś ty sam tych rozrywek nie lubił, to mógłbyś odmówić wzięcia w nich udziału. Tymczasem dla ciebie oglądać Thérèse w kostiumie. Ewy to przyjemność.

— Znowu, znowu bies! — Wroński wziął jej rękę leżącą na stole i pocałował ją.

— Tak... Ale ja tak nie mogę! Nie wiesz nawet, co wycierpiałam czekając na ciebie! Zdaje mi się, że nie jestem zazdrosna. Nie jestem zazdrosna i ufam ci, kiedy jesteś tutaj ze mną. Ale gdy sam jeden, nie wiadomo gdzie, przeżywasz swoje niezrozumiałe dla mnie życie....

Odsunęła się od niego, wyplątała wreszcie szydełko z robótki i szybko, przy pomocy wskazującego palca, poczęły narastać oczka białej włóczki, lśniącej pod światłem lampy... I szczupła ręka szybko, nerwowo poczęła się obracać w haftowanym mankieciku.

— No więc, jak to było? Gdzieżeś spotkał Aleksego Aleksandrowicza? — nagle głos jej zabrzmiał sztucznie.

— Zderzyliśmy się we drzwiach.

— Czy tak ci się ukłonił? Wydłużyła rysy, przymknęła oczy, prędko zmieniła wyraz, złożyła ręce i nagle w jej pięknej twarzy Wroński ujrzał dokładnie minę, z którą Karenin mu się odkłonił. Uśmiechnął się, a ona roześmiała się wesoło tym miłym głębokim śmiechem, który był jednym z jej największych powabów.

— Stanowczo nie rozumiem go — zauważył Wroński. — Gdyby po tym wyznaniu na lotnisku zerwał z tobą, gdyby mnie był wyzwał na pojedynek... Ale tego nie pojmuję: jak on może tolerować taki stan rzeczy? Przecież on cierpi i to po nim widać.

— On? — uśmiechnęła się. — On jest najzupełniej zadowolony.

— Po co my się wszyscy męczymy, kiedy mogłoby być tak dobrze?

— On się nie męczy. Czy ja go nie znam, czy nie znam tego fałszu, którym przesiąkł cały?... Czyż można, będąc zdolnym do jakiegokolwiek czucia, żyć tak jak on ze mną? On nic nie rozumie, nic nie czuje. Czy mógłby człowiek,

który by cokolwiek czuł, mieszkać w jednym domu ze swoją niewierną żoną? Czy mógłby z nią rozmawiać? Zwracać się do niej na per ty?

I znów mimo woli poczęła naśladować męża: „Ty, *ma chère*, ty, Anno!”

— To nie mężczyzna, nie człowiek, to — kukła! Nikt tego nie wie, tylko ja jedna. Ach, gdybym była na jego miejscu, dawno bym zabiła, rozdarła na strzępy tę żonę, taką żonę jak ja, a nie mówiłabym jej *ty, ma chère, Anno*. To nie człowiek, to maszyna z ministerstwa. On nie rozumie, że jestem żoną twoją, że tu on jest obcy, zbyteczny... Nie mówmy, nie mówmy o tym!

— Nie masz racji, moja miła, nie masz racji — starał się ją uspokoić Wroński. — Ale mniejsza o to, nie mówmy

o nim. Opowiedz mi, co robiła? Co ci jest? Co to za choroba i co powiedział doktor?

Patrzyła na niego z radością, w której była domieszka szyderstwa. Widocznie wynalazła jeszcze jakieś komiczne potworności w mężu i czekała na okazję, by je wyjawic.

Wroński jednak mówił dalej:

— Domyślam się, że to nie choroba, ale twój stan. Kiedyż to ma być?

Szyderstwo w jej oczach zgasło, a zastąpił je inny uśmiech świadomy czegoś, o czym on nie wiedział, i pełen cichego smutku.

— Niedługo już, niedługo. Powiedziałeś, że nasza sytuacja jest bolesna, że należy ją przeciąć. Gdybyś wiedział, jak mnie ona ciąży — i co bym za to dała, żeby cię kochać swobodnie i śmiało! I sama bym się nie zadreczała,

i ciebie bym nie męczyła swoją zazdrością... I to się już stanie niebawem, ale nie w ten sposób, jakiego się spodziewamy.

I na wspomnienie o tym, jak to się stanie, zdała się sama sobie tak godna litości, że łzy stanęły jej w oczach i nie mogła mówić dalej. Położyła dłoń, lśniąca w świetle lampy pierścionkami i własną białością, na jego rękawie.

— To nie będzie tak, jak myślimy... Nie chciałam ci o tym mówić, ale zmuszasz mnie do tego. Niezadługo, wkrótce już wszystko będzie rozwikłane i wszyscy, wszyscy doznamy uspokojenia i nie będziemy się więcej męczyli.

— Nie rozumiem — odrzekł, rozumiejąc ją wszakże.

— Pytałeś — kiedy? Wkrótce. I ja tego nie przeżyję. Nie przerywaj rai! — I poczęła śpiesznie mówić: — Wiem; to wiem na pewno. Umrę i cieszę się, że umrę i wybawię siebie i was obu.

Łzy popłynęły z jej oczu. Pochylił się do jej ręki i począł ją całować starając się okryć wzruszenie, które — jak dobrze wiedział — było całkiem bezpodstawne, lecz którego nie mógł opanować.

— Tak, tak, tak lepiej — ścisnęła mocno jego rękę. — To jedno, jedyne, co nam pozostało.

Oprzytomniał i podniósł głowę.

— Co za absurd! Pleciesz głupstwa bez sensu! — Ach, nie! To prawda.

— Co? Co za prawda?

— To, że umrę. Miałam sen.

— Sen? — powtórzył Wroński i od razu przypomniał mu się chłop, o którym tylko co śnił.

— Tak, sen. Było to już dawno. Zdawało mi się, że wbiegłam do sypialni, że musiałam coś stamtąd wziąć, czegoś się dowiedzieć. Wiesz, jak to bywa we śnie — mówiła z lękiem, szeroko otwierając oczy. — A w sypialni w kącie coś stoi.

— Co za głupstwo! Jak można wierzyć...

Anna wszakże nie pozwoliła sobie przerwać. To, co opowiadała, zbyt było dla niej ważne.

— ...I to coś odwróciło się, i widzę, że to chłop ze zjezoną brodą, malutki i straszny. Chciałam uciec, ale on pochylił się nad workiem i rękami po coś w nim gmera...

Pokazała, jak to on gmerał w worku. Na twarzy jej było przerażenie. I Wroński, któremu przypomniał się jego własny sen, poczuł, jak mu taki sam lęk napęlnia duszę.

— ...Gmera i coraz to powtarza po francusku prędko, prędziutko i wiesz, grasejuje: „*Il faut le battre le fer, le broyer, le pétrir**... Ze strachu postanowiłam się obudzić i obudziłam się też, ale we śnie. Zaczęłam się zastanawiać, co by to miało znaczyć, a Korniej mi powiada: „W połogu umrzesz, matuchno, w połogu, w połogu!”... I obudziłam się...

— Co za brednie, co za brednie! — mówił Wroński, lecz sam wyczuwał, że ton jego głosu nie był wcale przekonywający.

— Dobrze, nie mówmy o tym. Zadzwoń, każę podać herbatę. Poczekaj, teraz już niedługo...

Nagle umilkła. Wyraz jej twarzy momentalnie się zmienił: strach i wzburzenie ustąpiły miejsca cichemu, poważnemu i zachwyconemu skupieniu. Nie mógł pojąć przyczyny tej zmiany. Poczula w sobie drgnienie nowego życia.

IV

Karenin po spotkaniu z Wrońskim na ganku swego domu udał się, tak jak zamierzał, do włoskiej opery, przesiedział tam dwa akty i spotkał się ze wszystkimi, z kim się miał spotkać. Po powrocie do domu uważnie obejrzał wieszaki i

* *Il faut* ... — trzeba kuć żelazo, trzeba je miazdżyć, gnieść...

zauważywszy, że nie było na nich wojskowego płaszcza, poszedł jak zwykle do siebie. Ale wbrew zwyczajowi nie położył się spać, lecz chodził tam i z powrotem po swym gabinecie do trzeciej w nocy. Gniew na żonę, która nie chciała zachować pozorów przyzwoitości i dotrzymać jedyne go warunku, jaki jej postawił, by nie przyjmowała kochanka u siebie, nie dawał mu spokoju. Nie spełniła jego żądania, musiał ją więc ukarać i wykonać swą groźbę: zażądać rozwodu i odebrać jej syna. Zdawał sobie sprawę ze wszystkich trudności z tym związanych, lecz skoro raz zapowiedział, że to uczyni, winien był groźbę urzeczywistnić. Hrabina Lidia już mu napomykała, że będzie to dla niego najlepsze wyjście z sytuacji, a w ostatnich czasach praktyka rozwodów doszła do takiej perfekcji, że Karenin uważał pokonanie formalnych trudności za możliwe. Poza tym, nieszczęścia nigdy nie chodzą w pojedynkę: sprawy organizacji obcoplemieńców oraz nawodnienia pól w zarajskiej guberni ściągnęły na Karenina tyle przykrości w służbie, że w ostatnich czasach stale bywał niesłychanie podrażniony.

Nie spał całą noc i gniew jego, narastający z jakąś olbrzymią progresją, rano osiągnął najwyższe nasilenie. Szybko ubrał się i niosąc niejako pełną krużę gniewu, a bojąc się ją rozlać; by razem z gniewem nie utracić energii potrzebnej do rozmowy z żoną. — wszedł do niej, gdy tylko dowiedział się, że już wstała.

Kiedy wszedł, Anna, której zdawało się, że tak dobrze zna męża, była zaskoczona jego wyglądem. Czoło miał zmarszczone; oczy posepnie patrzyły przed siebie unikając jej spojrzenia; usta były zaciśnięte stanowczo i wzgardliwie. W chodzie jego i ruchach, w dźwięku głosu była energia i zdecydowanie, jakich nigdy przedtem u niego nie widziała.

Wszedł do pokoju i nie witając się z nią skierował się wprost do jej biurka, wziął klucze i otworzył szufladę.

— Czego pan szuka! — krzyknęła.

— Listów kochanka pani — odpowiedział.

— Nie ma ich tutaj — starała się zamknąć szufladę, lecz z tego ruchu wywnioskował, że domysł jego był trafny. Odepchnął brutalnie jej rękę i szybko pochwycił teczkę, w której, jak wiedział, przechowywała najważniejsze papiery. Chciała mu wyrwać teczkę, ale odepchnął ją.

— Niech pani siada! Muszę z panią pomówić — powiedział biorąc teczkę pod pachę i tak ją mocno przyciskając łokciem, że aż mu się ramię w górę uniosło.

Milcząc patrzyła na niego, zdziwiona i onieśmielona.

— Powiedziałem pani, że nie pozwolę na przyjmowanie kochanka w moim domu.

— Musiałam go widzieć, żeby... Zamilkła nie znajdując żadnego wybiegu.

— Nie zamierzam wnikać w szczegóły, po co kobieta musi widzieć się z kochankiem.

— Ja chciałam... Ja tylko... — zarumieniła się gwałtownie. Jego grubiaństwo rozdrażniło ją i dodało jej odwagi. — Czyż pan nie czuje, jaka to łatwa rzecz — obrażać mnie.

— Obrazić można tylko uczciwego człowieka i uczciwą kobietę. Nazywać złodzieja złodziejem to tylko *la constatation d'un fait**.

— Nie znałam jeszcze w panu tej nowej cechy — okrucieństwa.

— Nazywa pani okrucieństwem to, że mąż pozostawia żonie swobodą i daje jej uczciwy dach nad głową pod jednym tylko warunkiem: zachowania pozorów przyzwoitości... To

* *La constatation* ... — stwierdzenie faktu

ma być okrucieństwo!

— To więcej niż okrucieństwo, to podłość, jeśli już pan chce wiedzieć! — z wybuchem gniewu krzyknęła Anna i zerwawszy się z miejsca, chciała odejść.

— Nie! — zawołał swym piskliwym głosem, który w tej chwili podniósł się o jeden ton wyżej niż zwykle. Chwyciwszy ją swymi wielkimi palcami za rękę tak mocno, że na rękę został czerwony ślad od przyciśniętej bransoletki, zmusił ją, by usiadła. — Podłość? Jeśli już pani życzy sobie używać tego słowa, to podłością jest rzucić męża i syna dla kochanka i nadal jeść mężowski chleb.

Pochyliła głowę. Nie tylko nie powiedziała obecnie tego, co w przeddzień mówiła kochankowi: że o n jest jej mężem, a mąż jest kimś zbędnym, lecz nie przyszło jej to nawet na myśl. Uznała całą słuszność jego słów, więc tylko rzekła cicho:

— Nie może pan określić w gorszy sposób mojego położenia, niż ja je sama odczuwam, lecz po co mi pan to wszystko mówi?

— Po co? Po co to mówię? — ciągnął dalej, równie rozjątrzony. — Po to, by pani wiedziała, że skoro nie dotzymała pani warunku o zachowaniu pozorów przyzwoitości, poczynię kroki, by położyć kres tej sytuacji.

— Wkrótce, wkrótce i tak się to skończy — rzekła i znów oczy jej napełniły się łzami na myśl o bliskiej, teraz już pożądanej, śmierci.

— Skończy się prędzej, niż to pani z kochankiem obmyśliła! Pani potrzebne jest zaspokojenie zwierzęcej namiętności...

— Aleksy Aleksandrowiczu! Już mniejsza, że to nieszlachetnie, ale bić leżącego to — nieprzyzwoitość!

— Tak, pani tylko o sobie pamięta... Cierpienia

człowieka, który był mężem pani, nie interesują panią. Panią to nie obchodzi, że całe jego życie rozpadło się w gruzy, nie obchodzi panią to, co on prze... trze... trzecierpiał.

Karenin mówił tak szybko, że język mu się zaplątał, i nie mógł wymówić ostatniego słowa. Wymówił je w końcu: trzecierpiał. Rozśmieszyło ją to, lecz natychmiast zawstydzila się, — że w takiej sytuacji cokolwiek może ją rozśmieszyć, i po raz pierwszy, na jedno mgnienie, wczuła się, przeniosła się niejako w niego i ogarnęła ją litość. Ale cóż mogła powiedzieć lub uczynić? Spuściła głowę i milczała. On również przez chwilę milczał, po czym przemówił znowu, chłodnym już, mniej piskliwym głosem, podkreślając dowolnie niektóre przypadkowe słowa:

— Przeszedłem powiedzieć pani...

Spojrzała na niego. „Nie — pomyślała przypominając sobie wyraz jego twarzy, kiedy zaciał się na słowie trzecierpiał — nie, zdawało mi się tylko. Czyż może człowiek z tymi mętnymi oczyma i tym pełnym zadowolenia z siebie spokojem cokolwiek odczuwać?”

— Nic nie mogę zmienić — szepnęła.

— Przeszedłem oznajmić pani, że jutro wyjeżdżam do Moskwy i nie wrócę więcej do tego domu. Wiadomość o mojej decyzji otrzyma pani przez adwokata, któremu poruczę sprawę rozwodową. Syn mój przeniesie się do mojej, siostry — oświadczył Karenin przypominając sobie z trudnością to, co zamierzał powiedzieć o synu.

— Panu potrzebny jest Sierioża tylko po to, żeby mnie zranić — spojrzała na niego nienawistnie. — Pan go nie kocha... Proszę mi zostawić Sieriożę!

— Tak. Straciłem nawet miłość do syna, ponieważ wiąże się z nim mój wstręt do pani. Mimo to zabiorę go. Żegnaj panią.

Chciał odejść, lecz zatrzymała go. — Aleksy Aleksandrowiczu, proszę zostawić mi Sieriożę! — szepnęła raz jeszcze.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Zostaw mi Sieriożę aż do mego... Wkrótce będę rodziła... Zostaw mi go do tego czasu!

Karenin zaczerwienił się gwałtownie, wyrwał jej swą rękę i wyszedł z pokoju bez słowa.

V

Poczekalnia znanego petersburskiego adwokata, gdy wszedł do niej Karenin, była przepelniona. Trzy panie: jedna stara, druga młoda oraz trzecia — kupcowa, i trzech panów: jeden — bankier Niemiec z pierścieniem na palcu, drugi — brodaty kupiec i trzeci — nasrożony urzędnik w mundurze i z orderem, najwidoczniej już od dawna wyczekiwali. Przy stołach dwóch dependentów pisało skrzypiąc piórami. Przybory do pisania, do których Karenin miał wielką słabość, były niezwykle wykwintne. Nie mógł tego nie zauważyć. Jeden z dependentów nie wstając przymrużył oczy i gniewnie zwrócił się do niego:

— Pan — w jakiej sprawie?

— Mam interes do mecenasa.

— Mecenas jest zajęty — surowo odpowiedział dependent wskazując piórem na czekających, po czym pisał dalej

— Czy nie mógłby jednak znaleźć chwilki czasu? — spytał Karenin.

— Pan mecenas nie dysponuje wolnym czasem, jest stale zajęty. Proszę zaczekać. .

— W takim razie może pan zechce wręczyć mu moją kartę wizytową — rzekł Karenin z godnością, widząc, że nie uda

mu się zachować incognito.

Dependent wziął wizytówkę i — najwyraźniej nie aprobując jej treści — wyszedł z pokoju.

Karenin był w zasadzie zwolennikiem jawności rozpraw sądowych, lecz wobec pewnych wyższych względów, znanych mu w drodze służbowej, nie całkiem zgadzał się w praktyce z niektórymi szczegółami stosowania jej w Rosji, o ile mógł w ogóle potępiać coś, co było zatwierdzone przez najwyższe czynniki. Całe życie zeszło mu na działalności administracyjnej i dlatego, gdy z czymś się nie zgadzał, to ten brak aprobaty bywał u niego złagodzony uznaniem, że omyłki są nieuchronne i że w każdej sprawie istnieje możliwość ich naprawienia. Co do nowej organizacji sądownictwa, to Karenin nie pochwalał „warunków, w jakich postawiono adwokaturę. Dotąd wszakże nie miał z nią nic do czynienia, dlatego krytykował ją tylko teoretycznie; obecnie krytyczne jego nastawienie wzrosło jeszcze z powodu niemiłego wrażenia, jakiego doznał w poczekalni adwokata.

— Zaraz pan mecenas wyjdzie — oznajmił dependent. Istotnie, po dwóch minutach ukazała się długa postać starego prawnika, który konferował z adwokatem, a za nim sam adwokat.

Był to mały, przysadzisty, łysy człowieczek z czarno — rudą brodą, jasnymi wydłużonymi brwiami i wystającym czołem. Wystrojony był jak pan młody, od krawata i podwójnej dewizki aż do lakierowanych trzewików. Twarz miał rozumną, chłopską, lecz ubiór fircykowaty i w złym guście.

— Niech pan pozwoli — rzekł adwokat, zwracając się do Karenina, i z ponurą miną puszczając go przodem zamknął za nim drzwi.

— Może pan będzie łaskaw — wskazał na fotel obok

zawalonego papierami biurka, a sam usiadł na prezydyalnym miejscu, zacierając małe, rączki o krótkich palcach obrośniętych białym włosem i przekrzywiając głowę. Zaledwie jednak zastygł w tej pozie, gdy nad stołem przeleciał mól. Mecenasa z chyżością, o którą nikt by go nie posądził, rozpostarł ręce, złapał mola i znowu przybrał poprzednią” pozę.

— Zanim rozpoczną mówić o mojej sprawie — rzekł Karenin, który ze zdziwieniem wodził oczyma z ruchami adwokata — muszą się zastrzec, że to, o czym pragnę z panem mówić, winno pozostać w tajemnicy.

Ledwo dostrzegalny uśmiech rozsunał rudawę, nawisnę wąsy mecenasa.

— Nie byłbym adwokatem, gdybym nie potrafił zachować powierzonej mi tajemnicy. Lecz skoro pan sobie życzy potwierdzenia...

Karenin spojrzał na jego twarz i zobaczył, że rozumne szare oczy są tak roześmiane, jakby już o wszystkim wiedziały.

— Panu znane jest moje nazwisko — ciągnął — dalej Karenin.

— Znam pana i pańską pożyteczną działalność — tu znów mecenas złapał mola — jak każdy Rosjanin — tu skłonił się.

Karenin westchnął zbierając się z siłami, skoro się jednak wreszcie zdecydował, ciągnął dalej swym piskliwym głosem, bez zażenowania czy zacinania się, akcentując niektóre słowa.

— Mam nieszczęście — zaczął — być zdradzonym mężem i chciałbym drogą legalną zerwać mój związek z żoną, czyli rozwieść się, i to w taki sposób, żeby syn nie pozostał przy matce.

Szare oczy adwokata usiłowały zachować powagę, aż się

jednak iskrzyły od niepohamowanej uciechy. Karenin widział, że nie była to wyłączna radość człowieka otrzymującego korzystne zamówienie; był w niej triumf i zachwyty, był blask podobny do złowieszczonego blasku, który Karenin widywał w oczach żony.

— Pan życzy sobie zasięgnąć mojej porady w celu otrzymania rozwodu?

— Tak, właśnie. Lecz muszę pana uprzedzić, że być może nadużyję łaskawej pana uwagi, przyjechałem — bowiem tylko, by się przedwstępnie pana poradzić. Pragnę rozwodu, lecz formy, w ramach których byłby on możliwy do przeprowadzenia, są dla mnie nader ważne. Jest bardzo prawdopodobne, że gdyby owe formy nie zgadzały się z pewnymi postulatami, wyrzekłbym się przewidzianej prawem drogi.

— O, to zawsze tak bywa — rzekł adwokat — i zawsze będzie zależało tylko od pańskiego uznania.

Spuścił oczy i utkwiał wzrok w stopach Karenina, czując, że widok jego niepohamowanej uciechy może urazić klienta. Spojrzał na mola przelatującego tuż przed nosem i ręka jego drgnęła, nie złapał go jednak przez uszanowanie dla stanowiska Karenina.

— Chociaż nasze ustawodawstwo na ten temat jest mi znane w zasadzie — mówił dalej Karenin — pragnąłbym poznać ogólnie te formy, które bywają w praktyce stosowane do takich spraw.

— Pragnie pan — nie podnosząc oczu odrzekł adwokat, z przyjemnością dostosowując się do tonu klienta — abym wskazał te sposoby, przy pomocy których spełnienie pańskiego życzenia jest możliwe.

I na twierdzące skinienie Karenina ciągnął dalej, niekiedy tylko rzucając okiem na twarz klienta, na której wystąpiły

wypieki.

— Rozwód według naszego ustawodawstwa — wygłosił z lekkim odcieniem krytyki w stosunku do tego ustawodawstwa — jest, jak panu wiadomo, możliwy w następujących wypadkach... Proszę poczekać! — zwrócił się do zaglądnącego we drzwi dependenta, ale jednak wstał, powiedział mu kilka słów, po czym znów usiadł. — W następujących wypadkach; fizyczne braki małżonków, dalej — nieobecność w ciągu pięciu lat, bez dania o sobie, wieści — prawil zginając owłosiony krótki palec — Areszcie cudzołstwo (słowo to wymówił z wyraźnym zadowoleniem). Poddziały są następujące (w dalszym ciągu zginał swe grube palce, mimo że wypadków i podziałów nie można było przecie razem klasyfikować): fizyczne braki męża lub żony i cudzołstwo męża lub żony. — Ponieważ zabrakło mu palców, rozgiął wszystkie i ciągnął dalej: — To jest strona teoretyczna, ale przypuszczam, że zwrócił się pan do mnie, aby dowiedzieć się o praktycznym zastosowaniu ustaw, i dlatego na mocy precedensów muszę pana poinformować, że wszystkie wypadki rozwodów dadzą się właściwie sprowadzić do następujących: o braki fizyczne chodzi, prawda? ani o wyjazd bez dania o sobie wieści?...

Karenin skinął głową twierdząco.

— ...Dadzą się sprowadzić do następujących: cudzołstwo jednego z małżonków z udowodnieniem za obopólną zgodą winy strony przestępczej albo — bez takiej zgody — z udowodnieniem przeprowadzonym wbrew woli winowajcy. Muszę zaznaczyć, że ten ostatni wypadek rzadko się zdarza w praktyce — dodał adwokat i rzuciwszy przelotnie okiem na Karenina zamilkł jak sprzedawca pistoletów, który opisawszy zalety dwóch rodzajów broni oczekuje na wybór klienta. Karenin jednak milczał, toteż mecenas ciągnął dalej: — Za

najwyklesze i najprostsze, najbardziej rozsądne uważam cudzołóstwo za obopólną zgodą. Nie pozwoliłbym sobie tak tego nazywać, gdybym miał przed sobą człowieka niedojrzałego, ale przypuszczam, że pan to zrozumie, jak należy.

Karenin był wszakże w takim zamięcie, że nie od razu zrozumiał cały rozsądek cudzołóstwa za obopólną zgodą. Zakłopotanie to odbiło się w jego spojrzeniu; lecz mecenas przyszedł mu zaraz z pomocą:

— Bywają takie wypadki, że ludzie nie mogą żyć ze sobą. I jeśli oboje są na tym punkcie zgodni, to szczegóły i formalności stają się obojętne. A jednocześnie jest to najprostszy i najpewniejszy środek.

Karenin teraz zrozumiał już rzecz całkowicie. Miał jednak zastrzeżenia natury religijnej, które przeszkadzały w zastosowaniu tego środka.

— W tym wypadku nie wchodzi to w rachubę — odrzekł. — Możliwy jest tylko jeden sposób: dowody winy, bez zgody winowajcy, na podstawie listów, które posiadam.

Na wzmiankę o listach mecenas ściągnął wargi i wydał dźwięk subtelny, pełen pogardliwego współczucia.

— Proszę zważyć... — zaczął. — Tego rodzaju sprawy zależą, jak panu wiadomo, od decyzji władzy duchownej, a ojcowie protopopi* są w tych rzeczach amatorami najdrobniejszych szczegółików — tu mecenas uśmiechnął się w sposób wyrażający zrozumienie dla gustu protopopów. — Listy mogą niewątpliwie posłużyć jako częściowe potwierdzenie winy, lecz dowody winy muszą być zdobyte drogą bezpośrednią, czyli przez świadków. W ogóle, o ile pan zaszczyli mnie swym zaufaniem, poproszę, aby pan pozostawił mi wybór kroków, które trzeba by przedsięwziąć.

* Protopop — starszy pop lub zakonnik w Kościele wschodnim

Kto chce osiągnąć rezultat, ten musi zgodzić się i na środki.

— Jeśli tak... — zaczął nagle Karenin i pobladł, lecz w tej chwili adwokat znów wstał i podszedł do drzwi, do przerywającego po raz drugi rozmowę dependenta.

— Niech pan jej powie, że tu nie handel starzyzną! — oświadczył i wrócił do Karenina.

Po drodze niepostrzeżenie znowu złapał mola: „Ładnie będzie wyglądał mój rypś do lata!” — pomyślał i sposepniał.

— Pan raczył mówić... — zwrócił się do klienta.

Powiadomię pana o mojej decyzji listownie — powiedział Karenin wstając i opierając się o stół. Chwilę stał w milczeniu, po czym rzekł: — Z pana słów wnoszę, że przeprowadzenie rozwodu jest możliwe. Prosiłbym pana o powiadomienie mnie, jakie byłyby pańskie warunki.

— Wszystko da się zrobić, jeśli zostawi mi pan całkowitą swobodę działania — odparł mecenas nie odpowiadając na ostatnie pytanie. Kiedy mogą liczyć na wiadomość od pana? — zapytał posuwając się ku drzwiom i połyskując oczyma i lakierkami.

— Za tydzień. Pan zaś zechce ze swej strony dać mi znać, czy podejmie się pan prowadzenia sprawy i na jakich warunkach.

— Doskonale.

Mecenas uklonił się z szacunkiem, odprowadził do drzwi klienta i pozostawszy sam, oddał się całkowicie radości. Zrobiło mu się tak wesoło, że — wbrew swym zasadom — ustąpił z ceny damie, która się z, nim targowała, przestał łapać mole i powziął ostateczną decyzję, że na zimę należy obić meble aksamitem, jak u Sigonina.

VI

W dniu siedemnastym sierpnia Karenin odniósł wspaniały triumf na posiedzeniu komisji; wszelako skutki tego zwycięstwa podcięły mu nogi. Nowa komisja, której celem było wszechstronne zbadanie życia obco plemieńców, została utworzona i wysłana z niezwykłą szybkością i energią, co spowodował sam Karenin. Po trzech miesiącach komisja złożyła raport. Zbadano warunki bytu obcoplemieńców od strony politycznej, administracyjnej, ekonomicznej, etnograficznej, materialnej i religijnej. Na wszystkie pytania komisja dała świetnie zredagowane odpowiedzi, i to odpowiedzi nie budzące wątpliwości, nie były one bowiem owocem wiecznie błędzącej myśli ludzkiej, lecz rezultatem czynności służbowej. Wszystkie odpowiedzi opierały się na danych oficjalnych, na meldunkach gubernatorów i archijerejów*, które ze swej strony były oparte na doniesieniach powiatowych naczelników i dziekanów, a wynikały z kolei z informacji uzyskanych od kleru parafialnego i urzędów gminnych — stąd wszystkie odpowiedzi komisji były niewątpliwe.. Wszelkie takie kwestie, jak na przykład, dlaczego zdarzają się nieurodzaje, dlaczego mieszkańcy trzymają się swoich wierzeń itp., kwestie, które bez ułatwień, jakie daje machina urzędowa, są w ogóle nie do rozwiązania i których nawet całe stulecia rozwiązać nie są w stanie, doczekały się jasnego i nieomylnego rozstrzygnięcia. I rozstrzygnięcie to wypadło po myśli Karenina. Striemow wszakże, który na ostatnim posiedzeniu poczuł się wielce dotknięty, z chwilą złożenia przez komisję sprawozdania zastosował taktykę nieoczekiwaną dla Karenina. Pozyskawszy kilku innych członków komisji przeszedł nagle na jego stronę i z największym ferworem nie tylko bronił zarządzeń

* Archijerej — arcybiskup w Kościele wschodnim

proponowanych przez Karenina, lecz wysuwał inne, skrajne, w tym samym duchu. Propozycje owe zostały uchwalone, a wtedy taktyka Striemowa wyszła na jaw. Nazbyt krańcowe nowe zarządzenia okazały się tak absurdalne, że i mężowie stanu, i opinia publiczna, i damy intelektualistki, i prasa — wszyscy jednogłośnie je zaatakowali, wyrażając oburzenie i przeciwko samym zarządzeniom, i przeciwko uznanemu za ich twórcę Kareninowi. Striemow ze swej strony uchylił się udając, że szedł jedynie ślepo za projektem Karenina, a że obecnie sam jest zdumiony i oburzony tym, co uczyniono. To podcięło Karenina. Mimo złego stanu zdrowia, mimo rodzinnych nieszczęść nie skapitulował jednak. W komisji nastąpiło rozdwojenie. Jedni z jej członków, ze Striemowem na czele, usprawiedliwiali błąd swój tym, że zaufali komisji rewizyjnej kierowanej przez Karenina, która złożyła raport, i twierdzili, że raport ten to bzdura, plik zapisanego papieru i nic więcej. Karenin zaś wraz z grupą ludzi, zdających sobie sprawę z niebezpieczeństwa takiego rewolucyjnego stosunku do aktów, nadal obstawał przy danych opracowanych przez komisję. Na skutek tego i w wyższych sferach, i nawet w towarzystwie wszystko się poplątało i chociaż wszyscy interesowali się tym ogromnie, nikt nie mógł zrozumieć, czy istotnie obcoplemieńcy niszczeją i giną, czy też znajdują się w rozkwicie. Sytuacja Karenina z powodu tego stanu rzeczy, a także na skutek pogardy, którą ściągnęła na niego niewierność żony — mocno się zachwiała. W tym momencie Karenin powziął ważną decyzję i ku zdumieniu komisji oświadczył, że będzie się ubiegał o zezwolenie, by dla zbadania sprawy samemu pojechać na miejsce. Otrzymawszy zgodę, istotnie wyjechał do oddalonych guberni. Wyjazd ten narobił wiele hałasu, tym więcej że przed udaniem się w podróż Karenin oficjalnie zwrócił pieniądze przyznane mu na

koszta dwunastu koni dla przejazdu na miejsce.

— Uważam, że to bardzo szlachetnie — odrzekła Betsy w rozmowie z księżną Miagką. — Po co płacić za konie pocztowe, skoro wszyscy wiedzą, że teraz wszędzie są koleje?!

Księżna wszakże nie zgadzała się z tym, a opinia Betsy Twerskiej nawet ją rozdrażniła.

— Dobrze księżnej gadać — odrzekła — skoro księżna dysponuje Bóg wie jakimi milionami. Co do mnie, to bardzo lubię, gdy mąż mój latem jeździ na inspekcje. Jemu to dobrze robi i taka przejażdżka jest miła, a ja już to tak zorganizowałam, że za te pieniądze trzymam sobie powóz i płacę dorożki.

Po drodze do dalekich guberni Karenin zatrzymał się na trzy dni w Moskwie.

Nazajutrz po przyjeździe pojechał z wizytą do generała — gubernatora. Na skrzyżowaniu ulic przy Gazietnym Zaułku, gdzie panuje zawsze tłok powozów i dorożek, nagle usłyszał, jak ktoś zawołał go po imieniu tak głośno i wesoło, że musiał się obejrzeć. Na skraju chodnika — w krótkim modnym palcie i modnym niskim kapeluszu na bakier, jaśniejac w uśmiechu białą zębów pośród czerwonych warg, wesoły, młody, promienny — stał Stiepan Arkadjicz — wykrzykując energicznie i uporczywie, by powóz Karenina stanął. Obłoński opierał się o drzwiczki stojącej na rogu karety, z której okna wyglądała kobieca głowa w aksamitnym kapeluszu i dwie główki dziecięce. Uśmiechał się i kiwał ręką na szwagra: Dama również uśmiechała się pełnym dobroci uśmiechem i także dawała ręką znaki Kareninowi. Była to Dolly z dziećmi.

Karenin nie chciał się w Moskwie z nikim widzieć, a już najmniej z bratem swej żony, uchylił tedy kapelusza i

zamierzał minąć Obłońskiego, lecz Stiepan Arkadjicz kazał jego stangretowi zatrzymać się i podbiegł do szwagra brnąc w śniegu.

— To naprawdę grzech nas nie zawiadomić! Od dawna jesteś tutaj? A ja wczoraj byłem u Dussota i widzę na tablicy nazwisko „Karenin”, ale nie myślałem ani przez chwilę, że to ty! — mówił Obłoński wsuwając przez okienko głowę do wnętrza karety Karenina. — Inaczej, zaszedłbym. Jakże się cieszę, że cię widzę! — i przytupywał nogami, uderzając jedną o drugą, by je otrząsnąć ze śniegu.

— To naprawdę grzech, żeś nie dał nam znać! — powtórzył raz jeszcze.

— Nie miałem czasu; jestem bardzo zajęty — rzekł oschle Karenin.

— Chodźmy do żony, ona tak pragnie cię zobaczyć. Karenin odrzucił pled, którym okryte były jego łątwo ziębnące nogi, wysiadł z karety i dobrnął przez śnieg do Darii Aleksandrowny.

— Co to znaczy, Aleksy? Dlaczego nas unikasz? — zapytała Dolly z uśmiechem.

— Byłem bardzo zajęty. Cieszę się, że was oboje widzę — wyrzekł tonem, który mówił jasno, że przeciwnie, bardzo go to martwi. — Jak się miewacie?

— A co się dzieje z moją drogą Anną?

Karenin coś odmruknął i chciał odejść. Stiepan Arkadjicz go przytrzymał.

— Wiesz, co zrobimy jutro: Dolly, zaproś go na obiad! Poprosimy Koznyszewa i Piescowa, żeby mu zaprezentowali moskiewską inteligencję.

— Przyjdź, proszę, mój drogi — powiedziała Dolly — będziemy cię oczekiwali o piątej lub o szóstej, jeśli tak ci jest dogodniej. A cóż się dzieje z moją miłą Anną?

— Jest zdrowa — mruknął chmurnie Karenin. — Bardzo mi było miło — i skierował się ku swojej karecie.

— Przyjdiesz? — zawołała Dolly.

Karenin coś odpowiedział, czego nie dosłyszała wśród ulicznego ruchu.

— Jutro wpadnę do ciebie! — krzyknął za nim Obłoński.

Karenin wsiadł do karety i zagłębił się w niej tak, by nic nie widzieć i samemu nie być widzianym.

— Dziwak! — powiedział Stiwa do żony i spojrzawszy na zegarek podniósł rękę na wysokość twarzy, by pełnym serdeczności gestem pożegnać żonę i dzieci, i zuchowate odszedł trotuarem.

— Stiwa! Stiwa! — zawołała w ślad za nim Dolly i zarumieniała się.

Odwrócił się.

— Muszę przecie kupić palta, dla Griszy i Tani. Dajże mi pieniędzy!

— Drobiazg! Powiedz im, że sam zapłacę — i znikł, wesoło skinąwszy głową znajomemu, który właśnie przejeżdżał.

VII

Następnego dnia była niedziela; Stiepan Arkadjicz zaszedł do Teatru Wielkiego na próbę baletu i wręczył Maszy Cibisow, ładniutkiej, świeżo za jego protekcją zaangażowanej baletniczce, obiecane w przeddzień korale. Za kulisami, w dziennym półmroku teatru zdążył pocałować jej ładniutką twarzyczkę, promieniejącą z radości na widok prezentu. Poza wręczeniem podarunku miał się z nią umówić co do spotkania po balecie. Uprzedziwszy ją, że nie może przyjść na początek przedstawienia, obiecał, że przybędzie na ostatni

akt i zabierze ją na kolację. Z teatru Stiepan Arkadjicz pojechał na Ochotnyj Riad, gdzie sam wybrał ryby i szparagi na obiad, a o dwunastej był już u Dussota. Miał tam odwiedzić trzech znajomych, na szczęście w jednym hotelu: Lewina, który stanął tu po niedawnym powrocie z zagranicy; swego nowego szefa, który świeżo, objął ów wyższy urząd i przeprowadzał inspekcję w Moskwie, oraz szwagra Karenina, by koniecznie zabrać go ze sobą na obiad.

Stiepan Arkadjicz lubił dobrze zjeść, a jeszcze bardziej lubił wydać u siebie obiad niewielki, ale wykwintny — zarówno co do potraw i co do win, jak i pod” względem doboru biesiadników. Program obiadu bardzo mu — się podobał: miały być okonie, zakupione żywe, szparagi i *La pièce de résistance**, cudowny, choć zwyczajny, rozbeł; do tego stosowne wina. Tyle co do jadła i napoju. A co się tyczy gości, mieli być Kitty i Lewin, i — dla niepoznaki — prócz nich kuzynka i młody Szczerbacki oraz *la pièce de résistance* wśród gości: Sergiusz Koznyszew i Karenin, pierwszy z nich — moskwicz i filozof, drugi — petersburżanin i człowiek czynu. Miał być jeszcze znany dziwak i entuzjasta Piescow, liberał, gaduła, muzyk; historyk, najmilszy w świecie pięćdziesięcioletni młodzieniaszek, stanowiący niejako sos i garnirunek do Koznyszewa i Karenina. Miał ich obu podjudzać i szcuć do dyskusji.

Druga rata pieniędzy od kupca za las wpłynęła i jeszcze nie została wydana, Doiły była w ostatnich czasach bardzo dobra i miła, toteż myśl o tym obiedzie pod każdym względem cieszyła Stiepana Arkadjicza. Był w jak najlepszym humorze. Istniały dwie okoliczności nieco przykre, lecz obie tonęły w morzu dobrodusznej wesołości, rozhuśtanym w duszy Stiepana Arkadjicza. Oto jakie: po

* *La pièce*... — tu: główna potrawa

pierwsze, dnia poprzedniego, przy spotkaniu Karenina na ulicy, Obłoński zauważył, że szwagier jest oschły i surowy, a gdy zestawił jego imię i fakt, że Karenin ich nie odwiedził i nie dał znać o sobie, z pogłoskami, jakie sam słyszał o Annie i Wrońskim, to mógł się łącznie domyślić, że między mężem a żoną coś jest nie w porządku.

To była jedna przykrość. Drugą rzeczą nie całkiem przyjemną stanowiło to, że nowy naczelnik, jak wszyscy nowi naczelnicy, miał już z góry reputację strasznego człowieka, wstającego o szóstej rano, pracującego jak koń i wymagającego takiej samej pracy od podwładnych. Poza tym jeszcze nowy naczelnik uchodził za gburę oraz jak wieść niesła, był całkiem przeciwnych poglądów niż te, które wyznawał poprzedni naczelnik i jak dotychczas, sam Obłoński. W przeddzień Stepan Arkadjicz meldował się u niego służbowo w mundurze; nowy naczelnik był bardzo uprzejmy i rozgadał się z nim jak ze znajomym, toteż Stepan Arkadjicz uważał za swój obowiązek złożyć mu obecnie wizytę w surducie. Myśl, że nowy naczelnik może go przyjąć nieuprzejmie, była tą drugą niemiłą okolicznością. Obłoński jednak czuł instynktownie, że się wszystko doskonale ukształtuje. „Wszyscy są ludźmi, tak jak i my grzeszni, po co się złościć i kłócić?” — myślał wchodząc do hotelu.

— Jak się masz, Wasilij — zaczepił znajomego lokaja idącego korytarzem w kapeluszu na bakier. — Widzę, że zapuściłeś bokobrody? Lewin — numer siódmy, nieprawdaż? Zaprowadź mnie, proszę. I dowiedz się, czy hrabia Aniczkin (był to nowy naczelnik) przyjmuje,

— Słucham — odpowiedział z uśmiechem Wasilij. — Dawnośmy księcia pana tu nie widzieli.

— Byłem wczoraj, ale innym wejściem. Czy to numer siódmy?

Lewin pośrodku swego numeru w towarzystwie twerskiego chłopca mierzył właśnie arsyznem świeżą niedźwiedzią skórę, gdy wszedł Obłoński.

— Ach, zabiliście go? — zawołał Stiepan Arkadjicz. — Wspaniała sztuka! Więc to niedźwiedzica? Jak się masz, Archip!

Uściskał rękę chłopca i usiadł na chwilę, nie zdejmując palta ani kapelusza.

— Rozbierzże się i siadaj! — powiedział Lewin zdejmując mu kapelusz.

— Nie, nie mam czasu... Ja tylko na sekundę — odrzekł Stiepan Arkadjicz. Rozpiął palto, ale później zdjął je i przesiedział u przyjaciela całą godzinę, gadając o polowaniu i o sprawach najbardziej intymnych.

— Powiedz mi, proszę, coś ty robił za granicą? Gdzie byłeś? — zapytał, gdy chłopca wyszedł.

— Byłem w Niemczech, w Prusach, we Francji, w Anglii, ale nie w stolicach, tylko w miastach fabrycznych; widziałem dużo nowych rzeczy. I rad jestem, że tam byłem.

— Tak, znam twoją ideę o organizacji robotników.

— Ależ nie: w Rosji kwestia robotnicza powstać nie może. W Rosji istnieje kwestia stosunku ludu roboczego do ziemi, istnieje ona i tam, u nich, ale tam chodzi tylko o naprawę tego, co się popsuło, podczas gdy u nas... Obłoński słuchał Lewina z uwagą.

— Tak, tak! — potakiwał. — Bardzo możliwe, że masz rację. Cieszę się, że jesteś w tak dobrym nastroju: i uganiasz się za niedźwiedziami, i pracujesz, i entuzjazmujesz się. Bo mówił mi Szczerbacki — spotkał cię któregoś dnia — że jesteś jakiś przygnębiony, że wciąż mówisz o śmierci...

— No więc i cóż; nie przestaję myśleć o śmierci — odparł Lewin. — To prawda, że śmierć jest tuż i że wszystko jest

marnością. Powiem ci szczerze: bardzo jestem przywiązany do moich pomysłów i do mojej roboty, ale w gruncie rzeczy — pomyśl tylko! Przecież nasz cały świat to odrobinka pleśni, wyrosła na malusieńkiej planecie, a my sądzymy, że możemy stworzyć coś wielkiego: idee, czyny! Toż to ziarnka piasku.

— Ależ, serce moje, prawisz rzeczy stare jak świat!

— Owszem, stare, Ale wiesz, gdy się je zrozumie jasno, to jakoś wszystko staje się znikome. Gdy człowiek zda sobie raz sprawę, że nie dziś, to jutro umrze i nic z nas nie pozostanie, to wszystko obraca się w nicość! Ja uważam na przykład, że moja idea jest ważna, tymczasem okazuje się, że jest ona równie czcza — nawet gdyby się ją urzeczywistniło — jak podchodzenie tej niedźwiedzicy. Więc człowiek spędza życie szukając zapomnienia na polowaniu czy w pracy, byle tylko nie myśleć o śmierci.

Stiepan Arkadjicz słuchając Lewina uśmiechał się dowcipnie i życzliwie.

— No, oczywiście! Otóż i doszedłeś do tego samego, co i ja. Pamiętasz, jakieś na mnie napadał za to, że dążę w życiu do użycia?

Nie bądź tak srogi, moralisto!

— Mimo wszystko, to w życiu jest dobre, że... — Lewin zaciął się. — Sam zresztą nie wiem. Wiem tylko, że wkrótce umrzemy.

— Po co zaraz „wkrótce”?!

— I wiesz, życie ma mniej uroku, gdy się myśli o śmierci, ale jest się spokojniejszym.

— Przeciwnie, na ostatku jest jeszcze weselej. No, ale na mnie czas — rzekł Stiepan Arkadjicz wstając może po raz

dziesiąty.

— Ależ nie, posiedź jeszcze! — zatrzymywał go Lewin.

— Kiedyż się znowu spotkamy? Bo ja wyjeżdżam jutro.

— A to dobre sobie! Przecież po to przyszedłem tutaj... Przyjdź koniecznie dziś do nas na obiad. Będzie twój brat, mój szwagier Karenin.

— Czy on tu jest? — Lewin miał ochotę zapytać o Kitty. Słyszał, że na początku zimy była w Petersburgu u siostry, żony dyplomaty, i nie wiedział, czy już wróciła, czy nie. Ale się rozmyślił. „Czy będzie tam, czy nie będzie — wszystko jedno.”

— Więc przyjedziesz? — Oczywiście.

— A zatem o piątej. W surducie.

Stiepan Arkadjicz wstał i poszedł na dół do nowego szefa.

Instynkt go nie zawiódł: okazało się, że nowy, straszny szef był człowiekiem nader przystępnym. Obłoński zjadł z nim śniadanie i tak się u niego zasiedział, że do Karenina zdążył zajść dopiero o trzeciej.

VIII

Karenin, powróciwszy ze mszy, spędził cały ranek w domu. Przed południem miał do załatwienia dwie sprawy. Po pierwsze — przyjąć i dać instrukcje delegacji obcoplemieńców znajdującej się właśnie w Moskwie i udającej się do Petersburga, po drugie — napisać obiecany list do adwokata. Delegacja, mimo że powołana z inicjatywy Karenina, była źródłem wielu trudności, a nawet niebezpieczeństw, i Karenin był wielce rad, że zastał ją jeszcze w Moskwie. Członkowie jej nie mieli najmniejszego pojęcia o swej roli ani o obowiązkach. Byli naiwnie przekonani, że zadaniem ich jest przedstawić potrzeby

obcoplemieńców i opisać rzeczywisty stan rzeczy prosząc rząd

o pomoc. Nie rozumieli absolutnie, że niektóre ich oświadczenia i żądania były na rękę partii przeciwnej i dlatego mogli całą sprawę pogrzebać. Karenin dobrze się nad delegatami napracował, nakreślił im program, poza który mieli nie wykraczać, a po odprawieniu ich napisał do Petersburga listy mające nimi pokierować. Prawą jego ręką w tej sprawie miała być Lidia Iwanowna. Była ona niejako specjalistką od deputacji: nikt nie umiał tak jak ona wytworzyć odpowiedniej atmosfery dokoła delegatów

i odpowiednio nimi zadyrygować. Skończywszy z tą sprawą Karenin napisał również list do adwokata, w którym bez dalszych wahań dał mu polecenie, by działał według uznania. Do listu załączył trzy bileciki Wrońskiego do Anny, które znalazł wówczas w jej teczce.

Od dnia gdy Karenin wyjechał z domu z postanowieniem, że nie wróci do rodziny, od chwili gdy będąc u adwokata powiedział już — choćby tylko jednemu człowiekowi — o swych zamiarach, a zwłaszcza od chwili gdy ta życiowa sprawa została przezeń niejako przełożona na język aktów urzędowych, począł coraz bardziej oswajać się z tym zamiarem i widział już teraz wyraźnie możliwość jego wykonania.

Właśnie pieczętował list do adwokata, gdy usłyszał podniesiony ton głosu Obłońskiego, który dyskutował z jego służącym i domagał się, by ten go zameldował.

„Wszystko jedno — pomyślał Karenin — tym lepiej: od razu oznajmię mu, jak stoją sprawy pomiędzy mną a jego siostrą, i wyjaśnię, dlaczego nie mogę być u niego na obiedzie.”

— Prosić! — odezwał się głośno, zgarniając papiery i

układając je w teczce.

— Otóż. — widzisz, że zełgałeś, bo twój pan jest w domu! — odpowiedział głos Obłońskiego lokajowi, który go nie chciał wpuścić. Zdejmując po drodze palto Stiepan Arkadjicz wszedł do pokoju. — No, bardzo się cieszę, że cię zastałem! Więc mam nadzieję... — zaczął wesoło.

— Nie mogę przyjść — rzekł chłodno Karenin, który wstał i nie poprosił gościa, by ten usiadł.

Zamierzał od razu zmienić stosunki ze szwagrem na tak oziębłe, w jakich winno się pozostawać z bratem żony, z którą się wszczęło sprawę o rozwód, ale nie brał w rachubę morza dobroduszości w duszy Stiepana Arkadjicza, które aż przelewało się poza brzegi.

Obłoński otworzył szeroko swe błyszczące jasne oczy.

— Czemu nie możesz? Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał ze zdumieniem po francusku. — Nie, przecie już obiecałeś i my wszyscy liczymy na ciebie.

— Chcę przez to powiedzieć, że nie mogę być u was, ponieważ te stosunki powinowactwa, które dotychczas nas łączyły, obecnie muszą ustać.

— Jak to? To jest niby jak? Dlaczego? — uśmiechał się wciąż jeszcze Stiepan Arkadjicz.

— Dlatego że wszczęłem sprawę o rozwód z pańską siostrą, a moją żoną. Musiałem...

Ale jeszcze nie zdążył dokończyć zdania, gdy Obłoński zareagował całkiem nie tak, jak Karenin tego oczekiwał. Jęknął i usiadł w fotelu.

— Ach nie, Aleksy, co ty gadasz! — krzyknął i na twarzy jego odmalowało się cierpienie.

— Tak jest.

— Przepraszam cię, nie mogę, nie mogę w to uwierzyć. Karenin usiadł. Czuł, że jego słowa działają nie tak, jak się

tego spodziewał, i że będzie musiał dać wyjaśnienia. Poczul także, że jakkolwiek wypadną te wyjaśnienia, stosunek jego do szwagra nie ulegnie zmianie.

— Tak, to bolesna konieczność. Zmuszony jestem żądać rozwodu — powtórzył.

— Powiem ci tylko jedno, Aleksy; znam ciebie jako najlepszego, jako sprawiedliwego człowieka; znam Annę — wybacź, ale nie mogę o niej zmienić zdania — wiem, że to cudowna, najlepsza kobieta, i dlatego, wybacź, nie mogę w to uwierzyć. To jest jakieś nieporozumienie!

— O, gdyby to było tylko nieporozumienie!...

— Pozwól... Rozumiem — przerwał mu Obłoński. — Ale oczywiście... Jedno tylko: nie trzeba się śpieszyć. Nie trzeba, nie trzeba się śpieszyć!

— Ja się nie śpieszyłem — rzekł oziębłe Karenin. — A w takiej sprawie radzić się z nikim nie można. Zdecydowałem się stanowczo.

— To okropne! — westchnął ciężko Obłoński. — Wiesz, Aleksy, ja zrobiłbym jedną rzecz. Błagam cię, zrób to! — mówił dalej. — Sprawa jest jeszcze, o ile dobrze rozumiem, nie wszczęta. Zanim ją rozpoczniesz, zobacz się z moją żoną, pogadaj z nią. Kocha ona Annę jak siostra, kocha i ciebie, i w ogóle to niezwykła kobieta. Na miłość boską, pomów z nią! Zrób mi tę łaskę, błagam cię!

Karenin zamyślił się, a Stiepan Arkadjicz patrzył na niego ze współczuciem, nie przerywając milczenia.

— Pojedziesz do niej?

— Nie bardzo wiem. Właśnie dlatego nie byłem u was. Przypuszczam, że nasze stosunki powinny ulec zmianie.

— Czemu? Zupełnie tego nie pojmuję! Pozwól mi przypuszczać, że poza naszym powinowactwem masz dla mnie, choć w części, te przyjazne uczucia, które ja zawsze

żywiłem dla ciebie... Oraz istotny szacunek — dodał ściskając rękę szwagra. — Gdyby nawet najgorsze twoje przypuszczenia okazały się słuszne — nie pozwalam i nie pozwolę sobie nigdy sądzić ani jednej, ani drugiej strony — nie widzę powodu, dla którego nasze stosunki miałyby się zmienić. A teraz zrób to dla mnie — przyjedź do mojej żony

— Patrzemy inaczej na te sprawy — rzekł oschle Karenin.
— Zresztą, nie mówmy o tym.

— Ależ nie, dlaczegoż byś miał nie przyjechać? Choćby na przykład dzisiaj na obiad? Żona cię oczekuje... Proszę cię, przyjedź, a co najważniejsze, pogadaj z nią. To zdumiewająca kobieta. Na miłość boską, błagam cię na klęczkach!

— Jeśli chcesz tego koniecznie, to przyjadę — westchnął Karenin.

I chcąc zmienić temat rozmowy zapytał o coś, co ich obu interesowało: o nowego naczelnika Obłońskiego, człowieka jeszcze niestarego, który nagle otrzymał tak wysokie stanowisko.

Karenin i przedtem nie lubił hrabiego Aniczkina i zawsze różnił się z nim w poglądach, lecz obecnie nie mógł już pohamować, zrozumiałej dla każdego urzędnika, nienawiści człowieka, który poniósł klęskę służbową, do człowieka, którego spotkał awans.

— No i co, czyś go widział? — spytał Obłońskiego ze zjadliwym uśmiechem.

— A jakże: był u nas wczoraj w urzędzie. Zdaje się, że zna się doskonale na rzeczy i jest bardzo aktywny.

— Tak, ale ku czemu jest skierowana ta aktywność? — rzekł Karenin. — Ku rzeczowej robocie czy ku przeinaczaniu tego, co już jest zrobione? Nieszczęściem naszego państwa jest papierowa administracja, której on jest godnym przedstawicielem.

— Doprawdy nie wiem, co by mu zarzucić można. Nie znam jego poglądów, ale jedno jest pewne — że to przemiły chłop — odrzekł Stiepan Arkadjicz. — Byłem właśnie u niego i naprawdę jest przemiły! Jedliśmy razem śniadanie i nauczyłem go przyrządzać, wiesz, ten nowy trunek: wino z pomarańczami. To bardzo orzeźwiający. Dziwne, że dotąd tego nie znał. Bardzo mu to smakowało. Nie, naprawdę: zacny chłop!

Obłoński spojrział na zegarek.

— Mój Boże, już po czwartej, a ja jeszcze muszę wpaść do Dołgowuszyna. Więc proszę cię, przyjedź na obiad. Nie możesz sobie wyobrazić, jaka by to była przykrość dla mnie i dla żony.

Karenin odprowadził szwagra do drzwi już zupełnie inaczej, niż go był przywitał.

— Obiecałem i będę — odparł posepnie.

— Wierz mi, że cenię to i mam nadzieję, że nie będziesz żałował — rzekł z uśmiechem Stiepan Arkadjicz.

I wkładając po drodze palto, lekko szturchnął lokaja w głowę, roześmiał się i już go nie było.

— O godzinie piątej, w surducie, proszę! — krzyknął raz jeszcze wracając ode drzwi.

IX

Było już po piątej i niektórzy z gości już poprzyjeżdżali, gdy zjawił się sam pan domu. Wszedł jednocześnie z Koznyszewem i Piescowem, którzy spotkali się przy wejściu. Byli to najwybitniejsi przedstawiciele moskiewskiej inteligencji, jak ich nazywał Obłoński. Obaj dzięki zaletom charakteru i umysłu cieszyli się szacunkiem u ludzi. Mieli dla siebie wzajemne uznanie, ale prawie we wszystkim byli

kompletnie i beznadziejnie innego zdania, nie dlatego, by należeli do przeciwnych, kierunków, ale właśnie dlatego, iż jako ludzie tego samego obozu (wrogowie ich nie rozróżniali), posiadali w jego obrębie każdy swój odcień. A ponieważ nic bardziej nie utrudnia zgody niż różnice opinii w rzeczach na w pół oderwanych, więc obaj nie tylko nigdy nie bywali jednego zdania, lecz przywykli już od dawna pokpiwać — bez złośliwości — każdy z niepoprawnych błędów drugiego.

Wchodzili właśnie obaj we drzwi rozmawiając o pogodzie, gdy dogonił ich Stiepan Arkadjicz. W salonie siedzieli już książę Aleksander Dmitriewicz, teść Obłońskiego, młody Szczerbacki, Turowcyn, Kitty i Karenin.

Obłoński natychmiast spostrzegł, że w salonie bez niego źle się dzieje. Daria Aleksandrowna, w swej odświętnej, popielatej jedwabnej sukni, wyraźnie zatroskana i o dzieci, które musiały same jeść w dzieciennym pokoju, i o to, że męża jeszcze nie było, nie potrafiła sama dobrze przetasować całego tego towarzystwa. Wszyscy siedzieli, jak się wyraził stary książę, jak popadianki* na wizycie, najwidoczniej nie rozumiejąc, po co się tu znaleźli, i z trudem wyciskając z siebie słowa, byle tylko nie milczeć. Widać było, że dobroduszny, Turowcyn czuje się nie w swoim sosie, i uśmiech jego grubych warg, którym powitał Stiepana Arkadjicza, mówił nie gorzej od słów: „No, bratku, a toś mnie urządził z tymi uczonymi! Wypić albo pójść do «Château des Fleurs», oto co byłoby raczej w moim guście.” Stary książę siedział w milczeniu, raz po raz spoglądając z ukosa swymi błyszczącymi oczkami na Karenina. Stiepan Arkadjicz poznał, że książę już obmyślił jakieś słóweczko określające tego męża stanu, na którego spraszano ludzi jak

* P o p a d i a n k a — córka popa

na sterleta. Kitty patrzyła na drzwi zbierając siły, aby się nie zarumienić, gdy wejdzie Konstanty Lewin. Młody Szczerbacki, którego nie przedstawiono Kareninowi, usiłował zachowywać się tak, jakby go to nic a nic nie krępowało. Sam Karenin był — według petersburskiej mody, gdy chodziło o obiad z damami — we fraku i białym krawacie i Stiepan Arkadycz poznał po jego minie, że szwagier przyjechał tylko, by dotrzymać słowa, i że przebywanie w tym towarzystwie było dla niego ciężkim obowiązkiem. On to był główną przyczyną chłodu mrozącego wszystkich aż do przyjazdu pana domu. Obłoński po wejściu do salonu przeprosił gości i wyjaśnił, że spóźnił się z winy pewnego księcia, który służył mu stale za kozła ofiarnego przy wszystkich opóźnieniach i niesłownościach. Uczyniwszy to, w jednej chwili pozoznajamiał obecnych i zetknąwszy Karenina z Koznyszewem, podsunął im temat zruszczenia Polski, na który natychmiast rzucili się obaj do spółki z Piescowem. Potem poklepał po ramieniu Turowcyna, szepnął mu coś zabawnego i posadził obok Darii Aleksandrowny i starego księcia. Powiedziawszy Kitty, że dziś bardzo ładnie wygląda, przedstawił Szczerbackiego Kareninowi. Słowem, w parę minut tak przemiesił to towarzyskie ciasto, że salon Obłońskiego mógł służyć innym za wzór i że wszystkie głosy zadźwięczały ożywieniem. Brakowało tylko Konstantego Lewina, ale i to wyszło na dobre, gdyż w jadalnym pokoju Obłoński zauważył ze zgrozą, że portwein i sherry przyniesiono nie od Loewego, lecz od Despres, kazał więc posłać jak najszybciej stangreta do Loewego, po czym podążył z powrotem do salonu.

Po drodze spotkał wchodzącego Konstantego Lewina.

— Czy spóźniłem się.

— Jakżebyś ty mógł się nie spóźnić? — rzekł Obłoński

ujmując go pod ramię.

— Czy macie dużo osób? Kto właściwie jest? — zaczerwienił się mimo woli Lewin strzepując rękawiczką śnieg z czapki.

— Sami swoi. Jest też Kitty. Chodźmy, przedstawię cię Kareninowi.

Stiepan Arkadycz mimo całego swego liberalizmu wiedział, że znajomość z Kareninem musi pochlebiać, i dlatego częstował nim najlepszych przyjaciół. W danej chwili wszelako Lewin nie był w stanie odczuć w pełni zadowolenia, jakie powinna mu być dać ta znajomość. Nie widział Kitty od owego pamiętnego wieczoru, kiedy spotkał Wrońskiego, o ile nie brać pod uwagę momentu, w którym ujrzał ją na gościńcu. W głębi duszy wiedział już, że ją tu dnia tego spotka, lecz chcąc mieć swobodną głowę, starał się wmówić sobie, że o tym nic nie wie. Obecnie jednak, gdy usłyszał, że Kitty tu jest, ogarnęła go nagle taka radość, a zarazem taki strach, że mu zabrakło tchu i nie mógł wypowiedzieć tego, co zamierzał. „Jaka, jaka ona teraz jest? Czy taka jak przedtem, czy taka jak w karecie? Kto wie, czy Daria Aleksandrowna nie mówiła wtedy prawdy? Dlaczego nie miałyby to być prawda?” — myślał.

— I owszem, bardzo proszę, przedstaw mnie Kareninowi — wymówił z trudem i desperacko energicznym krokiem wszedł do salonu. Ujrzał ją.

Nie była ani taka jak dawniej, ani taka jak w karecie; była zupełnie inna.

Była wystraszona, nieśmiała, zawstydzona, a przez to jeszcze bardziej urocza. Spozrzała go natychmiast, gdy wszedł do pokoju. Oczekiwała go. Ucieszyła się i jednocześnie tak się zmieszała z radości, że była chwila — ta właśnie, kiedy podchodził do pani domu i — znów spojrział

na Kitty — gdy zdawało się i jej samej, i jemu, i Dolly, która wszystko widziała, że nie zapanuje nad sobą i rozplacze się. Zarumieniła się, pobladła, znów się zarumieniła i wreszcie przycichła czekając na niego, z drgającymi lekko wargami. Podeszedł, skłonił się i w milczeniu podał jej rękę. Gdyby nie leciutkie drżenie warg i wilgotny blask oczu, uśmiech jej byłby prawie spokojny, gdy się odezwała:

— Takeśmy się dawno nie widzieli! — i z desperacką decyzją uściśnęła jego dłoń swą zimną ręką.

— Pani mnie nie widziała, ale ja panią widziałem — rzekł Lewin z promiennym uśmiechem szczęścia. — Widziałem panią, gdy pani jechała z kolei do Jerguszowa.

— Kiedy? — zapytała ze zdziwieniem.

— Pani jechała do Jerguszowa — mówił Lewin czując, że dławi się z wezbranego w sercu szczęścia. „Jak śmiałem zestawić myśl o czymś nie całkiem niewinnym z tą wzruszającą istotą!... Tak, zdaje się, że to, co twierdziła Daria Aleksandrowna, jest prawdą” — myślał.

Obłoński wziął go za rękę i podeszedł z nim do Karenina.

— Panowie pozwolą, że ich zapoznam — wymienił ich nazwiska.

— Bardzo mi miło spotkać pana znowu — chłodno rzekł Karenin ściskając rękę Lewina.

— Panowie się znają? — zdziwił się Obłoński.

— Spędziliśmy razem trzy godziny w wagonie — uśmiechnął się Lewin — a rozstaliśmy się jak po maskaradzie, zaintrygowani, przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

— To dopiero! Prosimy bardzo — rzekł Stiwa wskazując ręką w kierunku jadalni.

Mężczyźni przeszli do jadalni i otoczyli stół z zakąskami, na którym stało sześć gatunków wódek i tyle samo rodzajów

sera, ze srebrnymi łołatkami i bez łołatek, kawioru, śledzie, konserwy różnego rodzaju i talerzyki z pokrajaną bułką.

Mężczyźni stanęli dokoła wonnych wódek i zakąsek, a rozmowa między Koznyszewem, Kareninem i Piescowem o zruszczeniu Polski przycichła w oczekiwaniu obiadu.

Koznyszew, który celem zakończenia najbardziej abstrakcyjnej i najpoważniejszej dyskusji potrafił jak nikt inny nieoczekiwanie sypnąć garsteczką soli attyckiej* i w ten sposób zmienić nastrój rozmawiających — uczynił to i teraz..

Karenin dowodził, że zniszczenie Polski może się dokonać jedynie po zastosowaniu wyższych zasad, które wprowadzić winna rosyjska administracja. Piescow upierał się, że jeden naród zasymiluje drugi tylko wówczas, gdy ma większą gęstość zaludnienia.

Koznyszew godził się na jedno i na drugie, lecz z pewnymi zastrzeżeniami. Kiedy opuszczano salon, oświadczył z uśmiechem, chcąc zakończyć rozmowę:

— Dlatego istnieje tylko jeden sposób mszczenia obco — plemieńców, oto — mieć jak najwięcej dzieci. Pod tym względem my z bratem jesteśmy najmniej w porządku... A wy, panowie żonaci, zwłaszcza nasz miły gospodarz, działacie całkiem patriotycznie. Ile książę ma dzieci? — zwrócił się z przyjacielskim uśmiechem do pana domu nadstawiając swój mały kieliszek. Wszyscy roześmieli się, a najwesiej — Stiepan Arkadjicz.

— Tak, to najlepszy sposób! — odrzekł żując ser i nalewając w podawany mu kieliszek wódkę jakiegoś specjalnego gatunku. Rozmowa istotnie urwała się na tym żarciku.

— Ten ser jest niezły. Czy pan pozwoli? — zapraszał. Czyś ty znowu uprawiał gimnastykę? — zwrócił się do Lewina,

* Sól attycka — w przenośni: lekka i dowcipna złośliwość

lewą ręką próbując jego mięśni; Lewin z uśmiechem napiął ramię i pod palcami Stiepana Arkadjicza wznosił się pod cienkim suknem surduta stalowy kłębek, okrągły jak ser.

— To dopiero bicepsy! Samson z ciebie!

— Sądzę, że polowanie na niedźwiedzie wymaga wielkiej siły — powiedział mający jak najbardziej mgliste pojęcie o myślistwie Karenin smarując chleb serem, przy czym przerwał cienki jak pajęczyna miękisz kromki.

Lewin uśmiechnął się.

— Wcale nie. Przeciwnie, nawet dziecko może zabić niedźwiedzia — wyjaśnił usuwając się z lekkim ukłonem przed damami, które z kolei wraz z panią domu zbliżały się do stołu zakąsek.

— A pan, jak mi mówiono, zabił niedźwiedzia? — spytała Kitty, daremnie usiłując złapać na widelec niesforny) wyslizgujący się grzybek i wstrząsając koronką, poprzez którą bieląła jej ręka. — Czy tam u pana są niedźwiedzie? — dodała zwracając ku niemu wpół obrotu swą przesłiczną główkę i uśmiechając się.

Zdawałoby się, że nie było w jej pytaniu nic niezwykłego, ale jakież niemożliwe do wyrażenia w słowach znaczenie posiadał dla niego każdy dźwięk, każde poruszenie jej warg, oczu i ręki, gdy to mówiła. Była tam i prośba o przebaczenie, i ufność do niego, i pieszczota, delikatna, nieśmiała pieszczota, i obietnica, i nadzieja, i miłość, w którą nie mógł nie uwierzyć i od której zachłystywał się ze szczęścia.

— Nie, jeździliśmy do twerskiej guberni. Wracając stamtąd, spotkałem w wagonie pani *beau frère'a**, a raczej szwagra pani *beau frère'a* — odrzekł z uśmiechem. — Było to komiczne spotkanie.

I opowiedział wesoło i zabawnie, jak po nieprzespanej

* *Beau frère* — szwagier

nocy wdarł się w półkożuszkę do przedziału Karenina.

— Konduktor, wbrew przysłowiu, sądząc po ubraniu chciał mnie wyrzucić, ale wówczas zacząłem używać wzniesłego stylu. A i pan również — zwrócił się do Karenina nie pamiętając jego imienia i patronimiku* — zrazu chciał mnie wygnać z powodu mego kożucha, ale później stanął pan w mojej obronie, za co jestem bardzo wdzięczny.

— Na ogół prawo pasażerów do wyboru miejsca jest bardzo nieokreślone. — rzekł Karenin wycierając chusteczką końce palców.

— Widziałem, że znajdował się pan w niepewności co do mojej osoby — uśmiechnął się Lewin dobrodusznie — więc pośpieszyłem rozpocząć inteligentną rozmowę, żeby okupić mój półkożuszek.

Koznyszew, nadal rozmawiając z panią domu i słuchając brata jednym uchem, spojrział na niego z ukosa. „Co się z nim dzisiaj dzieje? Wygląda jak triumfator” — pomyślał. Nie wiedział, że Konstanty czuł, jak u ramion wyrastają mu skrzydła. Kitty słuchała jego słów i widać było, że sprawiają jej one przyjemność. Tylko to jedno go zajmowało. Już nie mówiąc o tym pokoju, ale na całym świecie istnieli dla niego jedynie — on sam, nagle ogromnie we własnych oczach ważny, i ona. Czuł, że znajduje się na wyżynie, od której w głowie się kręci, a hen, tam daleko w dole, byli ci wszyscy poczciwi — Kareninowie, Obłońscy i cały świat.

Całkiem niepostrzeżenie, nawet nie spojrzawszy na nich, lecz w taki sposób, jakby innego miejsca w ogóle nie było, Stiwa posadził Lewina obok Kitty,

— No, więc siadaj choćby tutaj — rzekł do Konstantego.

Obiad był równie dobry jak serwis stołowy, jako że Obłoński był amatorem pięknej porcelany. Zupa Marie —

* Patronimik — imię utworzone od imienia ojca i dodane do własnego imienia

Louise udała się wyśmienicie; malusienieczkie paszteciki topniały w ustach, były bez zarzutu. Dwóch lokai i Matwiej, w białych krawatach, uwijali się z potrawami i winem nieznacznie, cicho i zręcznie. Obiad z punktu widzenia materialnego był udany, niemniej wszakże udał się i od strony niematerialnej. Rozmowa, to ogólna, to rozbita na osobne rozmowy, nie milkła, a pod koniec obiadu tak się ożywiła, że mężczyźni wstali od stołu nie przerywając jej i nawet Karenin nabrał życia.

X

Piescow lubił doprowadzać swe wywody do końca i słowa Sergiusza Koznyszewa nie zadowolily go, tym bardziej gdy zdał sobie sprawę, że jego własna opinia nie była słuszna.

— Nigdy nie miałem na myśli — zwrócił się przy zupie do Karenina — że decyduje wyłącznie gęstość zaludnienia, lecz gęstość zaludnienia w połączeniu z pewnymi założeniami, a nie z zasadami, którymi będzie się kierowała administracja.

— Zdaje mi się — bez pośpiechu, apatycznie odrzekł Karenin — że to na jedno wychodzi. Według mego zdania, oddziaływać na inny naród może tylko ten, kto stoi na wyższym stopniu rozwoju, kto...

— Ale chodzi właśnie o to — przerwał mu swym basem Piescow, któremu zawsze było pilno się wypowiedzieć i który zdawał się zawsze całą duszę kłaść w to, co mówił — na czym ma polegać ów wyższy rozwój? Anglicy, Francuzi, Niemcy, kto z nich stoi na wyższym stopniu rozwoju? Kto kogo ma, asymilować? Widzimy, że Ren się sfrancuził, a przecież Niemcy nie stoją niżej! — krzyczał. — Nie, tutaj działa jakieś inne prawo!

— Zdaje mi się, że wpływ będzie zawsze po stronie

prawdziwego wykształcenia — rzekł Karenin podnosząc z lekka brwi.

— Ale na czym mają polegać cechy prawdziwego wykształcenia? — spytał Piescow.

— Przypuszczam, że cechy te są ogólnie znane — odrzekł Karenin.

— Ale czy są naprawdę znane? — z finezyjnym uśmiechem wtrącił Koznyszew. — Obecnie panuje pogląd, że prawdziwe wykształcenie może być tylko czysto klasyczne*; tymczasem jesteśmy świadkami zażartych sporów jednej i drugiej strony i nie da się zaprzeczyć, że i przeciwny obóz ma wiele ważkich argumentów na swoją korzyść.

— Pan sam jest klasykiem. A może czerwonego wina? — zaproponował Obłoński.

— Nie wypowiadam się ani za jednym, ani za drugim rodzajem wykształcenia — z uśmiechem pobłażania, jak dziecku, odpowiedział Koznyszew nadstawiając swoją szklanke — powiadam tylko, że obie strony mają za sobą ważne argumenty — ciągnął dalej, zwracając się tym razem do Karenina. — Jestem klasykiem z wykształcenia, ale w tej dyskusji ja osobiście nie mogę znaleźć dla siebie odpowiedniego stanowiska. Nie widzę decydujących momentów, dla których daje się naukom klasycznym pierwszeństwo przed realnymi*.

— Nauki przyrodnicze mają również wychowawczy wpływ na rozwój człowieka — wtrącił Piescow. — Weźmy choćby astronomię, weźmy botanikę, zoologię, z jej systemem praw ogólnych.

— Nie mogę się z tym całkowicie zgodzić — odrzekł Karenin, — Według mnie, nie można zaprzeczyć, że już sam

* K l a s y c z n y — tu: oparty na znajomości języka oraz kultury greckiej i rzymskiej

* N a u k i r e a l n e — matematyczno–przyrodnicze

proces studiowania form językowych działa dobroczynnie na rozwój ducha. Poza tym trudno negować, że wpływ pisarzy klasycznych jest w najwyższym stopniu umoralniający, podczas gdy, niestety, z wykładem nauk przyrodniczych łączą się te szkodliwe i fałszywe idee, które stanowią plagę naszych czasów.

Koznyszew chciał coś rzec, lecz uprzedził go dźwięcznym basem Piescow, który począł gorąco dowodzić niesłuszności tego poglądu. Koznyszew czekał spokojnie swojej kolei mając najwidoczniej w pogotowiu zwycięską replikę.

— Trzeba wszelako się zgodzić — odezwał się z lekkim uśmiechem do Karenina — że niełatwo jest zważyć wszystkie korzyści i braki tych i tamtych gałęzi wiedzy. Kwestia — które z nich obrać należy, nie zostałyby rozstrzygnięta tak szybko i bezapelacyjnie, gdyby klasyczne wykształcenie nie miało tej przewagi, którą pan tylko co wymienił: moralnego — *disons le mot** — wpływu przeciwnihilistycznego.

— Bez wątpienia.

— Gdyby nie było po stronie nauk klasycznych przewagi, którą im daje wpływ antynihilistyczny, więcej byśmy się namyślali, zważylibyśmy argumenty stron obu — z lekkim uśmiechem prawil Koznyszew — dalibyśmy równe szansę obu kierunkom. Obecnie wszakże wiemy, że w pigułkach klasycznego wykształcenia zawarta jest lecznicza siła antymhilizmu, i śmiało proponujemy je naszym pacjentom. A co — jeśli one wcale tej leczniczej siły nie posiadają? — zakończył szczyptą attyckiej soli. Pigułki Sergiusza Iwanowicza rozśmieszyły wszystkich, a zwłaszcza głośno i wesoło śmiał się Turowcyn, który wreszcie doczekał się czegoś zabawnego, na co jedynie czekał słuchając rozmowy.

* *Disons* ... — nazwijmy rzecz po imieniu

Obłoński zapraszając Piescowa nie przeliczył się: przy jego udziale intelektualna rozmowa nie mogła ani na chwilę ustać. Zaledwie Koznyszew żartem swoim zakończył jedną dyskusję, gdy Piescow natychmiast podjął nową.

— Nie można nawet twierdzić, by rząd to właśnie miał na celu. Rząd najwidoczniej kieruje się ogólnymi założeniami i pozostaje obojętny na wpływ, który mogą wywrzeć stosowane przezeń środki. Na przykład, zasada kształcenia kobiet powinna być uważana za wręcz szkodliwą, tymczasem rząd otwiera żeńskie kursy i uniwersytety.

I rozmowa natychmiast przeskoczyła na nowy temat — wykształcenia kobiet.

Karenin wyraził zdanie, że zwykle miesza się kształcenie kobiet z kwestią ich niezależności i że tylko dlatego kształcenie kobiet można uważać za szkodliwe.

— Ja, przeciwnie, uważam, że te dwie kwestie najściślej się wiążą — orzekł Piescow — to błędne koło. Kobieta jest pozbawiona praw z powodu braku wykształcenia, a jej brak wykształcenia wynika stąd, że nie posiada praw. Nie należy zapominać, że uciemnienie jej jest tak rozpowszechnione i tak dawne, że nieraz wolimy nie uprzytamniać sobie, jaka otchłań dzieli kobiety od nas.

— Pan użył słowa „prawa” — powiedział Koznyszew wyczekawszy, aż Piescow zamilkł — a więc prawo zajmowania stanowisk przysięgłych, członków rad miejskich, ich przewodniczących, prawo urzędnika, członka parlamentu...

— Niewątpliwie.

— Lecz jeśli nawet kobiety, w drodze rzadkiego wyjątku, istotnie są zdolne do zajmowania takich stanowisk, to zdaje mi się jednak, że pan niesłusznie użył wyrazu „prawa”. Ściślej byłoby powiedzieć: obowiązki. Każdy się zgodzi, że

my, pełniąc służbę przysięgłego, członka rady miejskiej czy telegrafisty, uważamy, że pełnimy obowiązek. I dlatego byłoby poprawniej określić, że kobiety pragną pełnić obowiązki, zupełnie zresztą słusznie. Można jedynie przyklasnąć temu ich pragnieniu pomagania mężczyznom w ogólnej pracy.

— Ma pan zupełną rację — zgodził się Karenin. — Zagadnienie, sędzę, polega tylko na tym, czy kobiety są zdolne pełnić te obowiązki.

— Zapewne okaże się, że są nawet bardzo utalentowane — wtrącił Stiepan Arkadjicz — kiedy się wśród nich rozpowszechni wykształcenie. Widzimy to...

— A co z przysłowiem? — wtrącił od dawna przysłuchujący się rozmowie stary książę łyskając małymi, kpiącymi oczkami. — Przy córkach wolno mi zacytować: gdzie włos długi, tam...

— To samo myślano o Murzynach przed ich emancypacją — gniewnie rzucił Piescow.

— Wydaje mi się tylko dziwne, że kobiety szukają nowych obowiązków — wtrącił Koznyszew — podczas gdy, niestety, widzimy, że mężczyźni zazwyczaj od nich stronią

— Z obowiązkami łączą się prawa — władza, pieniądze, zaszczyty; kobiety o to walczą — powiedział Piescow.

— To tak, jakbym ja walczył o prawo zostania mamką i czuł się urażony, że mi go nie chcą przyznać — rzekł stary książę.

Turowcyn wybuchnął głośnym śmiechem, a Koznyszewowi żal się zrobiło, że nie on to powiedział. Uśmiechnął się nawet Karenin.

— Tak, ale mężczyzna nie jest zdolny dawać piersi dziecku — przerwał Piescow — podczas gdy kobieta...

— O, przepraszam, pewien Anglik na statku wykarmił

swoje dziecko — rzekł znowu stary książę pozwalając sobie w obecności własnych córek na pewną swobodę w rozmowie.

— Tyle będzie urzędników kobiet, ilu było takich Anglików — pośpieszył z dowcipem Koznyszew.

— Dobrze, ale co ma robić dziewczyna bez rodziny? — ujął się Obłoński pamiętając o Maszy Czibisow, którą stale miał na myśli, gdy podzielał poglądy Piescowa i podtrzymywał go.

— Gdybyśmy gruntownie zbadali historię takiej dziewczyny, to okazałoby się, że porzuciła ona albo swoją rodzinę, albo rodzinę siostry, gdzie mogła była pełnić pracę kobiecą — nieoczekiwanie wmieszała się z rozdrażnieniem do rozmowy Daria Aleksandrowna, odgadując zapewne, o jakiej to dziewczynie myślał Stiepan Arkadjicz.

— Ależ my bronimy zasady, idei! — dźwięcznym basem replikował Piescow. — Kobieta żąda prawa do niezależności, do wykształcenia. Jest skrępowana, przytłoczona poczuciem, że to niemożliwe.

— A ja jestem skrępowany i przytłoczony tym, że mnie nie przyjmą do Domu Wychowawczego* za mamkę — znów wtrącił stary książę, ku wielkiej ucieście Turowcyna, który ze śmiechu aż upuścił szparag do sosu grubszym końcem.

XI

Wszyscy brali udział w ogólnej rozmowie prócz Lewina i Kitty. Zrazu, gdy była mowa o wpływie jednego narodu na drugi, Lewinowi mimo woli przychodziło na myśl, co mógłby na ten temat powiedzieć, lecz myśli te, dotąd dla

* D o m W y c h o w a w c z y — dom dla dzieci nieślubnych. Domy takie, założone przez Katarzynę II, istniały początkowo w Moskwie i Petersburgu. Następnie Domy Wychowawcze zakładano przy tzw. Zarządach opieki społecznej.

niego tak ważne, teraz tylko przelatywały mu przez głowę, jak we śnie, i nie interesowały go ani trochę. Wydawało mu się nawet dziwne, że inni starają się tyle gadać o rzeczach zupełnie zbędnych. I dla Kitty ta rozmowa o prawach i o wykształceniu kobiet, zdawałoby się, powinna była być ciekawa. Ileż to razy myślała o tym wspominając swą zagraniczną przyjaciółkę Warieńkę i jej ciężką zależność; ile razy, myśląc o sobie, zastanawiała się, co się z nią stanie, jeśli nie wyjdzie za mąż; ile razy dyskutowała na ten temat z siostrą! Teraz jednak zupełnie ją to nie interesowało. Pomiedzy nią a Lewinem trwał ich własna rozmowa, nie rozmowa, a raczej jakaś tajemna łączność, która z każdą minutą wiązała ich coraz ściślej i wywoływała u obojga uczucie radosnego lęku przed tym czymś nieznanym, do którego wkraczali.

Najpierw Lewin na zapytanie Kitty, w jaki sposób mógł ją w ubiegłym roku widzieć w karecie, opowiedział jej, jak ją spotkał na gościńcu wracając z sianokosu.

— To było wcześniej, raniutko rano. Pani zapewne dopiero się obudziła. Mamon pani spała w swoim kąciku. Ranek był cudowny. Idę sobie i myślę: kto tam jedzie czwórka w karecie? Dobra czwórka z janczarami... I na chwilę pani się ukazała: widzę w oknie, jak pani sobie siedzi — ot tak, i oburącz trzyma wstążki od czepeczka. Pani o czymś strasznie się zamyśliła — opowiadał z uśmiechem. — Tak bym chciał wiedzieć, o czym też pani wtedy myślała. O czymś ważnym?

„Czy tylko nie byłam potargana?” — przeleciało jej przez głowę; lecz widząc uśmiech zachwytu, jaki wspomnienie tych szczegółów u niego wywołało, wyczuła, że przeciwnie, wrażenie, które wywarła, było korzystne. Zarumieniona, roześmiała się radośnie.

— Doprawdy, już nie pamiętam.

— Jak pysznie śmieje się Turowcyn — zauważył Lewin, z upodobaniem patrząc na jego wilgotne oczy i wstrząsane śmiechem ciało.

— Czy pan go dawno zna? — spytała Kitty.

— Któż by go nie znał!

— Widzę, że pan go ma za złego człowieka.

— Nie jest zły, tylko nijaki.

— Właśnie że to nieprawda! Niech pan czym prędzej przestanie tak myśleć! — zawołała Kitty. — I ja również lekceważyłam go, ale to... to przemiły i zdumiewająco dobry człowiek. Ma złote serce.

— W jaki sposób mogła się pani o tym przekonać?

— Jesteśmy w wielkiej przyjaźni. Znam go bardzo dobrze. Zeszłej zimy, wkrótce po tym, kiedy... kiedy pan był u nas — wypowiedziała to z uśmiechem skruszonym, a jednocześnie ufnym — wszystkie dzieci Dolly miały szkarlatynę i tak się zdarzyło, że Turowcyn zaszedł do niej. I niech pan sobie wyobrazi — powiedziała szeptem — taka go zdjęła nad nią litość, że został i zaczął jej pomagać w pielęgnowaniu dzieci. — Tak... I przez całe trzy tygodnie mieszkał u nich w domu, pielęgnował dzieci jak niańka.

— Opowiadam właśnie Konstantemu Dmitryczowi o Turowcynie podczas szkarlatyny — powiedziała przechylając się w stronę siostry.

— Tak, to nadzwyczajne, urocze! — rzekła Dolly patrząc na Turowcyna, który czuł, że o nim mowa, i uśmiechnęła się do niego łagodnie. Lewin ponownie spojrzął na Turowcyna i zdziwił się, że mógł uprzednio nie doceniać całego uroku tego człowieka.

— Przepraszam, przepraszam, już nigdy więcej nie będę źle myślał o ludziach! — obiecał wesóło i całkiem szczerze, tak bowiem czuł w tej chwili.

XII

Rozpoczęta dyskusja o prawach kobiet nastęrczała drażliwe w obecności dam kwestie dotyczące nierówności praw w małżeństwie. W czasie obiadu Piescow parę razy potrącił o te zagadnienia, lecz Koznyszew i Obłoński delikatnie go od nich odwodzili. Kiedy jednak wstano od stołu i damy wyszły, Piescow nie poszedł za nimi, lecz zwrócił się do Karenina i począł wyłuszczać główną przyczynę nierówności. Nierówność małżonków, jego zdaniem, polegała na tym, że niewierność żony i niewierność męża bywają karane w nierówny sposób i przez prawo, i przez opinię publiczną.

Stiepan Arkadjicz z pośpiechem podszedł do Karenina i zaproponował mu papierosa.

— Nie, dziękuję, nie palę — spokojnie odparł Karenin ł jakby chcąc umyślnie okazać, że nie boi się tej rozmowy, zwrócił się z chłodnym uśmiechem do Piescowa:

— Przypuszczam, że podstawy takiego poglądu leżą w samej istocie rzeczy — i chciał przejść do salonu, lecz w tej chwili nagle zagadnął go Turowcyn.

— A czy pan słyszał o Priacznikowie? — zapytał podniecony wypitym szampanem. Od dawna czekał okazji, by przerwać ciężące mu milczenie. — Wasia Priacznikow — z dobrotliwym uśmiechem wilgotnych, czerwonych warg zwrócił się przede wszystkim do głównego gościa, Karenina — opowiadano mi dzisiaj, miał w Twerze pojedynek z Kwycym i zabił go.

Człowiek ma zawsze wrażenie, że ciągle uraża się jakby umyślnie w bólace miejsce, więc i teraz Obłoński czuł, że jak na złość rozmowa co chwila godziła w bolesny dla Karenina

punkt. Znowu chciał odciągnąć szwagra, lecz ten zapytał sam z ciekawością:

— O co bił się Priacznikow?.

— O żonę. Zuch z niego: wyzwiał i zabił.

— Ach tak! — obojętnie rzekł Karenin podnosząc brwi i przeszedł do salonu.

— Jakże się cieszę, żeś przyszedł — z lęklwym uśmiechem powiedziała Doiły spotykając go w przechodnim saloniku. — Muszę z tobą pomówić. Usiądźmy tutaj.

Karenin z wyrazem obojętności, który nadawały mu uniesione do góry brwi, usiadł obok Dolly i uśmiechnął się z przymusem.

— Tym lepiej — powiedział — właśnie bowiem pragnąłem cię przeprosić i zarazem pożegnać. Jutro wyjeżdżam.

Daria Aleksandrowna była mocno przekonana o niewinności Anny. Czowała, jak blednie i jak wargi jej drżą z gniewu na tego chłodnego, obojętnego człowieka, który z takim spokojem zamierzał wtrącić w nieszczęście jej niewinną przyjaciółkę.

— Aleksy — powiedziała patrząc mu w oczy z desperacką stanowczością. — Pytałam cię o Annę i nie odpowiedziałeś mi. Co się z nią dzieje?

— Zdaje mi się, że jest zdrowa — nie patrząc na Darię Aleksandrownę odrzekł Karenin.

— Wybacz mi, Aleksy... Nie mam prawa... Ale kocham i szanuję Annę jak siostrę. Proszę, błagam, powiedz mi, co zaszło między wami? Co jej zarzucasz?

Aleksy Aleksandrowicz ściągnął brwi, zamknął prawie zupełnie oczy i spuścił głowę.

— Sądzę, że mąż ci opowiedział o powodach, dla których uważam za konieczne zmienić mój dotychczasowy stosunek

do Anny Arkadiewny — wyrzekł nie patrząc jej w oczy i z niezadowoleniem przyglądając się Szczerbacemu, który przechodził właśnie przez salon.

— Nie wierzę, nie wierzę, nie mogę temu uwierzyć! — zawołała Dolly z energicznym gestem kościstych dłoni, które trzymała zaciśnięte przed sobą. Szybko wstała i położyła rękę na rękawie Karenina. — Tu nam będą przeszkadzali. Chodźmy tutaj, proszę.

Wzburzenie Dolly podziało na Aleksiego Aleksandrowicza: wstał i posłusznie poszedł za nią do pokoju szkolnego Siedli za stołem pokrytym czarną ceratą pociętą scyzorykami.

— Nie wierzę, nie wierzę! — powtarzała Dolly starając się pochwycić jego unikające jej oczu spojrzenie.

— Nie można nie wierzyć faktom, moja droga — rzekł z naciskiem na słowo: faktom.

— Ale cóż ona takiego zrobiła? — spytała. — Co mianowicie?

— Zlekceważyła swoje obowiązki i zdradziła męża Oto — co uczyniła.

— Nie, nie, to być nie może! Nie, na miłość boską, omyliłeś się — Dolly dotknęła dłońmi skroni i zamknęła oczy.

Chłodnym uśmiechem samych tylko warg Karenin zamierzał okazać jej i sobie, że jest pewien swego. Jednak ta gorąca obrona, mimo że go nie zachwiała, rozjątrzyła mu ranę. Począł mówić z większym ożywieniem.

— Bardzo trudno o omyłkę, gdy żona sama oznajmia to mężowi. Oświadczają, że osiem lat wspólnego pożycia i syn, że wszystko to jest pomyłką i że pragnie rozpocząć życie od nowa — powiedział ze złością, ciężko oddychając nosem.

— Anna i występki — nie mogę się z tym pogodzić, nie

mogę temu uwierzyć.

— Moja droga! — rzekł i spojrzał teraz prosto w pocziwą, wzburzoną twarz Dolly, czując, że mu się język poczyna rozwiązywać. — Dużo bym za to dał, żeby wątpliwość była jeszcze możliwa. Kiedy wątpiłem, było mi ciężko, lżej jednak niż teraz. Kiedy wątpiłem, miałem jeszcze nadzieję; ale teraz nadziei nie ma, a mimo to wątpię dalej we wszystko. Do tego stopnia wątpię, że nienawidzę syna i czasami nie wierzę, że to mój syn. Jestem bardzo nieszczęśliwy.

Nie potrzebował tego mówić. Daria Aleksandrowna zrozumiała to, gdy tylko spojrzał jej w twarz; zrobiło się jej go żal i zachwiała się w niej wiara w niewinność przyjaciółki.

— Ach, to straszne, straszne! Ale czy to prawda, że zdecydowałeś się na rozwód?

— Zdecydowałem się na krok ostateczny. Już nic” więcej zrobić nie mogę.

— Nic więcej, nic więcej... — powtórzyła ze łzami w oczach. — Nie, nie wolno ci tak mówić!

— To jest właśnie takie okropne w nieszczęściu tego rodzaju, że nie można, jak w każdym innym wypadku — jakiejś straty, czyjejs śmierci — nieść swego krzyża, bo tu trzeba działać — rzekł, jakby odgadując jej myśl — Trzeba wyjść z tej poniżającej sytuacji, w której się człowiek znajduje; nie można być we troje.

— Rozumiem to, dobrze to rozumiem — powiedziała Dolly i spuściła głowę. Zamilkła myśląc o sobie, o swoich rodzinnych frasunkach i nagle energicznym ruchem podniosła głowę i złożyła błagalnie ręce. — Ale poczekaj! Przecież jesteś chrześcijaninem. Pomyśl o niej! Co się z nią stanie, jeśli ją rzucisz?

— Myślałem o tym, wiele myślałem — powiedział.

Czerwone plamy wystąpiły mu na twarz, a zmacony wzrok patrzył wprost na nią. Dolly już teraz litowała się nad nim z całej duszy. — Tak właśnie postąpiłem wtenczas, kiedy ona sama oznajmiła mi o mojej hańbie: pozostawiłem wszystko, jak było. Dałem jej możność poprawy, starałem się ją ratować. I cóż?! Nie spełniła mego — tak łatwego przecie do spełnienia — żądania, by zachować pozory przyzwoitości — mówił, wzburzony. — Ratować można człowieka, który nie chce ginąć; lecz jeśli ktoś z natury jest tak zepsuty, tak rozpustny, że własna zguba zdaje mu się zbawieniem, to co począć?

— Wszystko, tylko nie rozwód!

— Co znaczy „wszystko”?

— Ach, jakie to przerażające! Będzie wtedy niczyją żoną. Zginie!

— Cóż ja tu poradzę?! — Karenin wzruszył ramionami i podniósł brwi. Wspomnienie ostatniego przestępstwa żony tak go rozdrażniło, że znowu stał się chłodny jak na początku rozmowy. — Dziękuję ci bardzo za współczucie, ale na mnie już czas.

— Nie, zaczekaj! Nie wolno ci jej gubić... Czekaj: powiem ci coś o sobie. Wysłałam za męża i mąż mnie zdradzał: powodowana gniewem i zazdrością, chciałam wszystko rzucić, a sama chciałam... Ale opamiętałam się. A kto mnie wówczas uratował? Anna. I oto żyję, dzieci rosną, mąż wraca do rodziny i czuje, że źle postąpił, staje się czystszy, lepszy... A ja żyję... Przebaczyłam. I ty powinieneś przebaczyć! — Karenin słuchał, lecz słowa jej nie miały już na niego wpływu. W duszy znów mu zawrzała cała wściekłość owego dnia, gdy zdecydował się na rozwód. Otrząsnął się i przemówił ostrym, donośnym głosem:

— Nie mogę i nie chcę przebaczyć. Uważałbym to za

niesłuszne. Uczyniłem dla tej kobiety wszystko, a ona wdeptała to wszystko w błoto, które jest jej żywiołem. Nie jestem człowiekiem złym i nikogo nigdy nie nienawidziłem, lecz jej nienawidzę z całej duszy i nie mogę jej przebaczyć, gdyż jest mi zbyt nienawistna za to całe zło jakie mi wyrządziła! — W głosie jego były łyzy wściekłości.

— Kochajcie tych, którzy was nienawidzą... — jakby ze wstydem szepnęła Daria Aleksandrowna.

Karenin uśmiechnął się wzgardliwie. Znał to od dawna ale nie mogło się to stosować do jego wypadku.

— Owszem, kochajcie tych, którzy was nienawidzą, ale kochać tych, których się samemu nienawidzi — niepodobna. Wybaczcie, że was oboje zmartwił. Każdy ma dość własnych bied! — I już zupełnie opanowany, z całym spokojem pożegnał się i odjechał.

XIII

Gdy wstano od stołu, Lewin miał ochotę przejść za Kitty do salonu, obawiał się jednak, czy nie sprawi jej to przykrości, jako nazbyt widoczne asystowanie. Został więc w kółku mężczyzn, biorąc udział w ogólnej rozmowie. Nie patrzył wprawdzie na Kitty, lecz był świadomy jej ruchów, jej spojrzeń i nawet miejsca, gdzie się znajdowała w salonie. Od razu już, i to bez najmniejszego wysiłku, począł spełniać daną jej obietnicę, by zawsze myśleć życzliwie o wszystkich ludziach i zawsze wszystkich lubić. Rozmowa toczyła się dokoła spółnoty*, w której Piescow widział jakiś specjalny

* Spółnota — mowa o tzw. gminie chłopskiej. Była to forma gospodarczej i społecznej organizacji bytu chłopów rosyjskich istniejąca aż do Rewolucji Październikowej. Reforma r. 1964 poważnie zachwiała instytucją gminy, ziemie bowiem należące do spółnoty stały się faktycznie własnością najbogatszych jej członków. Gmina była błędnie uważana przez narodników za

pierwiastek zwany przezeń „chórowym”. Lewin nie podzielał zdania ani Piescowa, ani swego brata, który — po swojemu — i zgadzał się, i nie zgadzał na specjalne znaczenie rosyjskiej spółnoty. Konstancy nie dyskutował z nimi, lecz starał się w rozmowie pogodzić ich i złagodzić ich sprzeczny. Nie czuł żadnego zainteresowania dla własnych słów, a jeszcze mniej dla wywodów rozmówców i pragnął tylko jednej rzeczy — aby im obu i wszystkim pozostałym było miło i dobrze. Teraz już wiedział, że tylko jedno jedyne jest ważne. I to jedyne zrazu znajdowało się tam, w salonie, a potem jęło się posuwać naprzód i zatrzymało się u drzwi. Nie odwracając się czuł skierowany na siebie wzrok i uśmiech i był zniewolony się obejrzeć. Stała ze Szczerbackim we drzwiach i spoglądała na niego.

— Myślałam, że pani idzie do fortepianu... — rzekł podążając ku niej. — Oto, czego mi na wsi brak — muzyki.

— Nie, przyszliśmy tylko wywołać pana. Dziękuję — tu nagrodziła go uśmiechem jak podarunkiem — że pan podszedł... Że też chce im się spierać! Przecie nikt nigdy drugiego nie przekona.

— Tak, to prawda — zgodził się Lewin. — przeważnie tak bywa, że człowiek spiera się gorąco tylko dlatego, że nie może całkowicie zrozumieć, czego właściwie chce dowieść przeciwnik.

Lewin często zauważał w czasie dyskusji pomiędzy najinteligentniejszymi nawet ludźmi, że po ogromnych wysiłkach, po użyciu olbrzymiej ilości słów i logicznych subtelnostek — spierający się dochodzili wreszcie do wniosku, że to, czego ze wszystkich sił starali się sobie wzajemnie dowieść, od dawien dawna, od samego początku sporu, było im wiadome. Ponieważ jednak każdy z nich do

podstawę i zarodek socjalizmu w Rosji.

czego innego był przywiązany, żaden nie chciał wymienić tego, co mu było drogie, obawiając się, by to właśnie nie stało się przedmiotem sporu. Lewin często doświadczał, że czasami w toku dyskusji odgadywało się to coś, co przeciwnik kochał, wtedy sam człowiek nagle nabierał również do tego serca, od razu dochodziło do zgody i wszystkie argumenty, jako niepotrzebne, odpadały.. Kiedy indziej zaś doświadczenie było odwrotne: sam człowiek zdradzał się z tym, co mu było drogie i co było powodem, że wynajdywał te wszystkie argumenty — i jeśli udało mu się to wypowiedzieć dobrze i szczerze, to przeciwnik nagle składał broń i zaprzestawał sporu. To właśnie chciał Lewin teraz powiedzieć Kitty.

Zmarszczyła czoło starając się zrozumieć, zaledwie jednak zaczął objaśniać, już pojęła:

— Rozumiem: trzeba się dowiedzieć, w imię czego właściwie tamten dyskutuje, co on kocha, wtedy można...

Odgadła w zupełności i wyraziła myśl przez niego samego wyrażoną źle. Lewin uśmiechnął się radośnie: tak uderzające było dla niego przejście od zagmatwanego, rozwlekłego sporu z Piescowem i bratem do tego lakonicznego i jasnego wypowiedzenia, prawie bez słów, najbardziej złożonych myśli..

Szczerbacki ich opuścił, Kitty podeszła do rozstawionego stolika do kart, usiadła i wzięwszy do ręki kredkę poczęła nią kreślić na nowym zielonym suknie rozbieżne koła.

Podjęli znów rozmowę zaczęłą przy obiedzie: o swobodzie i o zajęciach kobiet. Lewin zgadzał się z opinią Darii Aleksandrowny, że dziewczyna, która nie wyszła za mąż, winna znaleźć odpowiednie dla kobiety zajęcie w rodzinie. Jako argument przytaczał, że żadna rodzina nie może się obejść bez pomocnicy, że w każdej biednej czy bogatej

rodzinie są i muszą być niańki — najemnice lub krewne.

— Nie — rzekła Kitty rumieniając się, lecz tym odważniejsz spoglądając na niego swymi szczerymi oczyma — dziewczyna może być w takiej sytuacji, że nie można bez poniżenia wejść do rodziny, lecz musi sama...

Zrozumiał ją od pierwszego słowa.

— O tak! Tak! — potwierdził

— Tak, tak, tak, pani ma rację, pani ma rację!

I zrozumiał obecnie wszystko, czego w czasie obiadu dowodził Piescow o wolności kobiet, tylko dlatego, że dojrzał w sercu Kitty lęk przed staropanieństwem i poniżeniem, i — kochając ją. — odczuł ten lęk i to poniżenie, więc od razu wyrzekł się swych argumentów.

Nastało milczenie. Kitty wciąż rysowała kredą na stole; oczy jej jaśniały łagodnym blaskiem. Poddając się jej nastrojowi czuł w całym swym jestestwie rosnący napór szczęścia.

— Ach! zarysowałam cały stół! — powiedziała i położywszy kredę uczyniła ruch, jakby chciała wstać.

„Jakże będę mógł pozostać sam bez niej?” — pomyślał ze zgrozą i chwycił kredę. — Niech pani zaczeka — powiedział siadając przy stole. — Już dawno chciałem panią o coś zapytać.

Patrzył jej prosto w przyjazne, lecz zaleźnione oczy..

— Proszę, niech pan pyta.

— A więc — i napisał początkowe litery: k. p. m. o. t. b. n. m. c. t. z. n. c. w.? Litery owe miały znaczyć: „Kiedy pani mi odpowiedziała: to być nie może, czy to znaczyło — nigdy, czy wtedy?” Nie było żadnego „prawdopodobieństwa, by Kitty mogła odgadnąć to skomplikowane zdanie; Lewki wszakże spojrzął na nią tak, jakby życie jego zależało od tego, czy ona te słowa zrozumie.

Popatrzyła na niego z powagą, po czym w zamyśleniu oparła czoło na rękę i zaczęła czytać. Z rzadka spoglądała na Lewina pytając go spojrzeniem: „Czy to znaczy to, co ja myślę?”

— Zrozumiałam — rzekła wreszcie, zarumieniona.

— Co to za słowo — spytał wskazując na „n”, które oznaczało słowo nigdy.

— To słowo oznacza nigdy — odrzekła — ale to nieprawda.

Szybko stał to, co było napisane, podał jej kredę i wstał. Napisała: w. j. n. m. i. o.

Dolly pocieszyła się całkowicie po zmartwieniu, jakie jej sprawiła rozmowa z Aleksym Aleksandrowiczem, gdy ujrzała tych dwoje: Kitty, z kredą w rękę i nieśmiałym uśmiechem szczęścia, podnoszącą oczy ku Lewinowi, oraz jego dorodną postać schyloną nad stołem i płonące oczy wpatrzone to w stół, to w Kitty. Nagle rozpromienił się: zrozumiał. To znaczyło: „Wówczas ja nie mogłam” inaczej odpowiedzieć.” Spojrzał na nią pytająco, nieśmiało.

— Tylko wówczas?

— Tak — odpowiedział jej uśmiech.

— A t... teraz? — zapytał.

— No więc, niech pan czyta. Powiem, czego bym pragnęła. Czego bym bardzo pragnęła! — Napisała początkowe litery: ż. p. m.. z. i. p. t. c. b. To znaczyło: „Żeby pan mógł zapomnieć i przebaczyć to, co było.”

Sztywnymi z emocji drżącymi palcami chwycił kredę i łamiąc ją napisał początkowe litery następującego zdania: „Nie mam nic do zapomnienia i przebaczenia; nigdy nie przestałem pani kochać.”

Spojrzała na niego nie przestając się uśmiechać.

— Zrozumiałam — rzekła szeptem.

Usiadł i napisał długie zdanie. Zrozumiała wszystko i nie pytając: czy tak?, wzięła kredę i natychmiast odpowiedziała.

Lewin długo nie mógł zrozumieć tego, co napisała, i coraz to zaglądał jej w oczy. Ze szczęścia ogarnęło go jakieś zamroczenie. Nie mógł absolutnie odcyfrować słów, które Kitty miała na myśli, ale ze ślicznych jej oczu, jaśniejących rozradowaniem, pojął wszystko, o co mu chodziło. Napisał trzy litery, ale jeszcze nie skończył pisać, gdy je już w ślad za jego ręką przeczytała i napisała w odpowiedzi: tak.

— Czy gracie w sekretarza? — zapytał stary książę podchodząc do nich. — No, ale jedźmy, jeśli chcesz zdążyć do teatru.

Lewin wstał i odprowadził Kitty do drzwi. W tej rozmowie powiedzieli sobie wszystko: że ona go kocha i że zapowie ojcu i matce jego wizytę na jutro rano.

XIV

Kitty odjechała i Lewin pozostał sam, poczuł bez niej tak straszliwy niepokój i taką tęsknotę, by dożyć czym prędzej następnego ranka, gdy miał ją ujrzeć znowu i na zawsze się z nią połączyć — że przeraził się jak śmierci tych czternastu godzin, które trzeba było przepędzić bez niej. Czuł potrzebę przebywania i rozmawiania z kimkolwiek, byleby nie pozostawać w samotności, byle jakoś oszukać czas. Najprzyjemniejszym rozmówcą byłby dlań Obłoński, który jednak, jak uprzednio wspominał, wybierał się na przyjęcie, w rzeczywistości zaś na balet. Lewin zaledwie zdążył mu powiedzieć, że jest szczęśliwy, że kocha go i nigdy nie zapomni mu tej przysługi. Spojrzenie i uśmiech Obłońskiego dowiodły mu, że ten rozumiał jego uczucie, jak należało.

— I cóż, teraz już nie czas na śmierć? — powiedział

ściskając mu rękę z rozrzewnieniem.

— Nnniee — zgodził się Lewin.

Daria Aleksandrowna, żegnając go, też jakby mu wieszowała mówiąc:

— Jakże się cieszę, żeście się znów z Kitty spotkali; należy dbać o starą przyjaźń.

Słowa te wszakże nie podobały się Lewinowi. Daria Aleksandrowna, jego zdaniem, nie była w stanie pojąć, jakie to wszystko było podniosłe i dla niej niedostępne. Nie powinna była pozwolić sobie na tę pobieżną wzmiankę. Lewin pożegnał się z Obłońskimi, lecz aby nie pozostać sam, uczepił się brata.

— Dokąd jedziesz?

— Na posiedzenie.

— To i ja z tobą. Czy można?

— Czemuż by nie? Pojedziemy razem. — uśmiechnął się Sergiusz. — Co się dziś z tobą dzieje?

— Co się ze mną dzieje? Szczęście jest ze mną! — odrzekł Lewin spuszcżając szybę karety, w której jechali. — Nic nie masz przeciwko temu? Bo duszno. Szczęście jest ze mną! Dlaczegoś ty się nigdy nie ożenił?

Sergiusz Iwanowicz uśmiechnął się.

— Bardzo się cieszę, zdaje się, że to dobra dziew... — zaczął.

— Nic nie mów, nic nie mów, nic nie mów! — krzyknął Lewin chwytając brata oburącz za kołnierz u futra i mocniej je zaciskając. „Dobra dziewczyna” to były takie pospolite, banalne słowa, nie licujące zupełnie z jego uczuciem.

Sergiusz Iwanowicz roześmiał się nader rzadkim u niego śmiechem — naprawdę wesołym.

— No, ale wolno mi przecież powiedzieć, że jestem z tego rad?

— To ci wolno jutro, jutro, ale nic więcej! Nic, nic... Teraz milcz! — rzekł Lewin i znów ciałniej zatulając na bracie futro dodał: — Bardzo cię lubię! I cóż, czy wolno mi być na posiedzeniu?

— Oczywiście, że tak.

— O czym będziecie dziś mówili? — wypytywał Lewin nie przestając się uśmiechać.

Przyjechali na posiedzenie. Lewin wysłuchał, jak sekretarz jękając się przeczytał protokół, którego najwidoczniej sam nie rozumiał; Lewin wszakże poznał po jego twarzy, jaki z tego sekretarza był sympatyczny, dobry i zacny człowiek. Widać to było ze zmieszania i zakłopotania, z jakim czytał ów protokół. Potem zaczęły się przemówienia. Spierano się o skreślenie jakichś sum oraz o przeprowadzenie jakichś rur, przy czym Koznyszew dał się boleśnie we znaki dwóm członkom i przemawiał o czymś długo i zwycięsko. Inny z członków natomiast, który coś zanotował na papierku, zrazu był onieśmielony, ale później odpowiedział Koznyszewowi bardzo uprzejmie, choć zjadliwie. Wreszcie Swiażski (który też tam był) również się wypowiedział, i to tak pięknie i szlachetnie! Lewin słuchał ich i widział wyraźnie, że właściwie nie było ani tych skreślonych sum, ani rur, ani w ogóle nic w tym rodzaju i że wszyscy oni wcale się nie złościли, tylko że byli to tacy przemili, zacni ludzie i wszystko pomiędzy nimi odbywało się tak pięknie i sympatycznie. Nikt nikomu nie wchodził w drogę i wszystkim było przyjemnie. Dla Lewina jedna rzecz była godna uwagi: oto dnia tego wszyscy oni byli dla niego całkiem przezroczyści, a on z drobnych, dawniej niedostrzegalnych oznak rozpoznawał duszę każdego — i widział jasno, że wszyscy byli dobrzy. A zwłaszcza wszyscy oni lubili Lewina tego dnia. Widać to było ze sposobu, w jaki z nim rozmawiali, jak serdecznie, z

jaką miłością nań patrzyli — ci nawet, którzy go nie znali.

— No i cóż? Kontent jesteś? — zapytał go brat.

— Bardzo. Pojęcia nie miałem, że to takie interesujące! Świetnie, znakomicie!

Swiażski zbliżył się do Lewina i zaprosił go do siebie na herbatę. Lewin w żaden sposób nie mógł zrozumieć ani sobie przypomnieć, co mu się kiedyś w Swiażskim nie podobało, czego właściwie od niego chciał. Przecie to był rozumny i zdumiewająco dobry człowiek. — Bardzo chętnie — odrzekł i zapytał go o żonę i szwagierkę. I na mocy dziwnego skojarzenia myśli, ponieważ w — jego wyobraźni wspomnienie o szwagierce Swiażskiego wiązało się z małżeństwem, wydało mu się, że nie może być właściwszego audytorium dla opowieści o jego szczęściu niż pani Swiażska i jej siostra; był więc bardzo rad z zaproszenia.

Swiażski rozpytywał go o jego dzieło nowatorskie na wsi i jak zwykle nie przypuszczał, by można było wynaleźć coś nie wynalezionego w Europie, ale tym razem nie sprawiało to bynajmniej Lewinowi przykrości. Przeciwnie, czuł, iż Swiażski ma rację, że cała ta sprawa jest nieważna, i oceniał zadziwiającą miękkość i delikatność, z jaką ten unikał podkreślania swej słuszności. Panie Swiażskiego były niezwykle jakoś miłe. Lewinowi zdawało się, że one już — o wszystkim wiedzą i cieszą się z nim razem, ale że przez delikatność tego nie mówią. Przesiedział u nich godzinę, drugą, trzecią, rozmawiając na najróżnorodniejsze tematy, ale mając na myśli tylko to jedno, napełniające mu duszę, i nie spostrzegał się, że mieli go straszliwie dosyć i że od dawna chcieli iść spać. Swiażski, odprowadzając go do przedpokoju, ziewał i dziwił się, co za szczególnie nastrój opanował tego dnia jego przyjaciela. Było po pierwszej. Lewin wrócił do hotelu i przeraził się na myśl, jak zdoła spędzić sam jeden,

oddany na pastwę własnej niecierpliwości, pozostałe jeszcze dziesięć godzin. Dyżurny lokaj, który nie spał, zapalił świecę i chciał odejść, Lewin go jednak zatrzymał.. Ów lokaj, imieniem Jegor, na którego Lewin przedtem nie zwracał uwagi, był, jak się okazało, bardzo rozumnym i zacnym, a zwłaszcza poczciwym człowiekiem.

— Cóż, Jegor, czy to trudno tak całą noc nie spać?

— Cóż robić! Taka nasza służba. U państwa jest spokojniej, ale za to tutaj zarobek jest większy.

Okazało się, że Jegor ma rodzinę: trzech chłopczyków i córkę szwaczkę, którą chce wydać za subiekta w sklepie siodlarskim.

Przy tej okazji Lewin podzielił się z Jegorem myślą, że główna rzecz w małżeństwie to miłość i że z miłością będzie się zawsze szczęśliwym, ponieważ szczęście leży tylko w nas samych.

Jegor wysłuchał uważnie i zdawałoby się — w zupełności zrozumiał myśl Lewina, lecz na jej poparcie zrobił nieoczekiwaną uwagę, że kiedy służył u dobrych państwa, to zawsze był z nich zadowolony, a i teraz jest zupełnie zadowolony ze swego gospodarza, mimo że to Francuz.

„Co za zdumiewająco poczciwy człowiek” — myślał Lewin.

— No, a ty sam, Jegor, kochałeś żonę, kiedyś się z nią żenił?

— Dlaczego miałbym nie kochać — odparł Jegor.

I Lewin spostrzegł, że Jegor jest także w nastroju ekstatycznym i że zamierza wyznać wszystkie swe najskrytsze uczucia.

— Życie moje również jest niezwykle. Już od małości... — rozpoczął z błyszczącymi oczyma. Najwidoczniej udzieliło mu się uniesienie Lewina, podobnie

jak się ludziom udziela skłonność do ziewania.

W tej chwili wszakże ktoś zadzwonił; Jegor wyszedł i Lewin pozostał sam. Na obiedzie u Obłońskich nic prawie nie jadł, odmówił herbaty i kolacji u Swiażskich, a mimo to nie mógł znieść myśli o kolacji. Ubiegłej nocy nie spał, ale i o śnie również nie mógł nawet marzyć. W pokoju było chłodnawo, Lewin „jednak dusił się z gorąca. Otworzył oba lufciki i usiadł za stołem naprzeciw okna. Spoza pokrytego śniegiem dachu widać było rzeźbiony we wzory krzyż z jego łańcuchami, a ponad nim wschodzący trójkąt gwiazdozbioru Woźnicy, z jaskrawo żółtą Kapellą. Spoglądał na krzyż, to na gwiazdę, wciągał w siebie napływające równomiernie do pokoju świeże, mroźne powietrze i jak we śnie wpatrywał się w obrazy i wspomnienia powstające w wyobraźni. Po trzeciej usłyszał na korytarzu kroki i wyjrzał przez drzwi. To znajomy, gracz Miaskin, powracał z klubu. Szedł, posepnie nasrożony i kaszlący. „Biedny, nieszczęsny!” — pomyślał Lewin i aż łzy mu się zakręciły w oczach z miłości i współczucia dla tego człowieka. Chciał z nim pogadać, pocieszyć go; ale spostrzegłszy się, że jest w jednej koszuli, rozmyślił się i znów usiadł przy lufciku, by się kapać w zimnym powietrzu i spoglądać na ów milczący, pełen dla niego znaczenia krzyż o cudownym kształcie i na wznoszącą się coraz wyżej jaskrawo żółtą gwiazdę. Po godzinie szóstej poczęli hałasować froterzy, rozległy się dzwony na jakieś nabożeństwo i Lewin poczuł, że marznie. Zamknął lufciki, umył się, ubrał i wyszedł na ulicę.

XV

Na ulicach było jeszcze pusto. Lewin poszedł ku domowi Szczerbackich. Drzwi frontowe były zamknięte i wszystko

spać. Wrócił do hotelu, wszedł do numeru i zażądał kawy. Przyniósł mu ją dzienny lokaj, już nie Jegor. Lewin chciał się z nim wdać w rozmowę, lecz ktoś zadzwonił na lokaja i ten wyszedł. Lewin spróbował wypić trochę kawy i włożył do ust kawałek rogała, lecz usta jego stanowczo nie wiedziały, co począć z tym rogałem. Wypluł go, włożył palto i znów wyszedł, aby się przejść. Było po dziewiątej, kiedy po raz drugi zjawił się pod gankiem Szczerbackich. W domu ledwo zaczęto wstawać i kucharz szedł właśnie po zakupy. Trzeba było przeżyć jeszcze co najmniej dwie godziny.

Przez całą ową noc i rano Lewin żył zupełnie nieświadomie i czuł się całkowicie oderwany od warunków materialnego bytu. Przez cały dzień nie jadł, dwie noce nie spał, spędził rozebrany kilka godzin na mrozie, a czuł się nie tylko wypoczęty i zdrow jak nigdy, lecz zupełnie niezależny od ciała: poruszał się bez wysiłku mięśni i czuł, że wszystkiego może dokazać. Był pewien, że mógłby w razie potrzeby wznieść się i ulecieć albo zepchnąć z miejsca węgiel domu. Resztę czasu przespacerował po ulicach, wciąż patrząc na zegarek i rozglądając się na wszystkie strony.

Nigdy już później nie widział tego, co wówczas danym mu było zobaczyć. Zwłaszcza wzruszyły go idące do szkoły dzieci, siwe gołębie sfruwające z dachu na chodnik i pszenne chlebki posypane mąką, które powystawiała niewidzialna ręka. Te chlebki, te gołębie i ci dwaj mali chłopcy — to były istoty nieziemskie... Wszystko stało się jednocześnie: chłopczyk podbiegł do gołębia i z uśmiechem spojrzał na Lewina; gołąb zafurkotał skrzydełkami i odfrunął świecąc w słońcu wśród drżących w powietrzu śniegowych pyłków, a z okna wionęło zapachem pieczonego chleba i wysunęły się na zewnątrz małe bochenki. To wszystko było tak niezwykle

piękne, że Lewin roześmiał się i zapłakał z radości. Wykonawszy wielki krąg przez Gazietny Zaułek i Kislówkę wrócił znów do hotelu, położył przed sobą zegarek i usiadł, by oczekiwać godziny dwunastej. W sąsiednim numerze mówiono coś o maszynach i oszustwie; rozległ się poranny kaszel. Ludzie nie zdawali sobie sprawy, że strzałka zegara zbliża się już do godziny dwunastej. Strzałka doszła do mety. Lewin wyszedł na ganek. Dorożkarze najwidoczniej wszystko już wiedzieli. Kłócąc się między sobą i ofiarowując swoje usługi otoczyli Lewina z uszczęśliwionymi minami. Starając się nie urazić innych dorożkarzy i obiecując im, że i z nimi także pojedzie, Lewin najął jednego z nich i kazał jechać do Szczerbackich. Dorożkarz był czarujący w wywiniętym spod kaftana obcisłym białym kołnierzu od koszuli na grubej, czerwonej, mocnej szyi. Sanie miał wysokie, zgrabne, takie, jakimi Lewin już później nigdy nie jeździł, a i koń był dobry, i starał się wprowadzić biec, lecz właściwie nie ruszał się z miejsca. Dorożkarz znał dom Szczerbackich, na znak specjalnego szacunku dla pasażera okrągłym gestem uniósł łokcie, powiedział: „prrr!”, i osadził konia na dojeździe. Szwajcar Szczerbackich na pewno wiedział o wszystkim: widać to było po jego uśmiechniętych oczach i po sposobie, w jaki przywitał Lewina.

— Ale dawno jaśnie pana nie było!

Nie tylko, że wszystko wiedział, ale widać było, że nie posiada się z uciechy i robi wysiłki, by ukryć tę radość. Lewin, spojrzawszy w jego miłe starcze oczy, odkrył w swym szczęściu jeszcze coś nowego.

— Czy państwo już wstali?

— Jaśnie pan pozwoli! A to proszę tutaj zostawić — rzekł z uśmiechem, gdy Lewin zawrócił z drogi, by wziąć czapkę. To musiało mieć jakieś znaczenie.

— Komu mam zaanonsować? — spytał lokaj. Lokaj, młody i nowoczesny, istny frant, był jednak dobrym, pocziwym człowiekiem i również wszystko rozumiał.

— Księżnej pani... Księżciu panu... Księżniczce... — odrzekł Lewin.

Pierwszą osobą, którą ujrzał, była młode Linon. Przechodziła przez salę; i loczki, i twarz jej promieniały. Zaledwie zamienił z nią kilka słów; gdy nagle za drzwiami zaszeleściła suknia, młode Linon znikła z oczu Lewina, jemu zaś udzielił się radosny lęk przed bliskością szczęścia. Spłoszona Francuzka, zostawiając go samego, wyszła innymi drzwiami. Ledwo zdążyła wyjść, a już szybkie, szybkie leciutkie kroki zastukały po parkiecie i jego szczęście, jego życie, on sam (ale lepszy niż on sam), to, czego tak długo szukał i tak długo pragnął, szybko, szybko zbliżało się do niego. Nie szła, lecz sunęła ku niemu niesiona jakąś niewidzialną siłą.

Widział tylko jej jasne szczere oczy, przestraszone rozradowaniem, jakie niesie ze sobą miłość, rozradowaniem, którego i on był pełen. Oczy te jaśniały coraz bliżej i bliżej, oślepiając go miłosnym światłem. Zatrzymała się tuż przy nim, dotykając go; ręce jej uniosły się i spoczęły na jego ramionach.

Uczyniła wszystko, co mogła: podbiegła do niego i podarowała mu się całą, onieśmielona i radosna. Objął ją i przycisnął wargi do jej ust szukających jego pocałunku.

I ona również całą noc nie spała i czekała na niego przez cały ranek. Matka i ojciec zgodzili się bez sprzeciwu i byli uszczęśliwieni jej szczęściem. Oczekiwała go. Chciała pierwsza oznajmić mu o jego i swoim szczęściu. Przygotowywała się do spotkania z nim i sama nie wiedziała, co uczyni. Posłyszała jego kroki i głos i czekała za drzwiami,

aż m—lle Linon wyjdzie. M—lle Linon wyszła. Nie myśląc, nie zadając sobie pytania — co i jak — podeszła do niego i uczyniła to właśnie, co uczyniła.

— Chodźmy do mamy! — powiedziała biorąc go za rękę. Lewin długo nic nie mógł powiedzieć, nie tyle dlatego, że obawiał się zepsuć słowem podniosłość swych, uczuć, ale raczej dlatego, że ilekroć chciał coś rzec, czuł, że mu zamiast słów popłyną łzy radości. Wziął jej rękę i pocałował.

— Czy to może być prawda? — głos jego był bezdźwięczny. — Nie mogę uwierzyć, że mnie kochasz!

Uśmiechnęła się na słowo „ty” i nad nieśmiałością, z jaką spojrział na nią.

— Tak! — wyrzekła powoli, z przekonaniem. — Taka jestem szczęśliwa.

Nie puszczać jego ręki przeszła do salonu. Księżna na ich widok poczęła szybko dyszeć, potem wnet rozplakała się i zaraz znów roześmiała, wreszcie podbiegła do nich krokiem tak energicznym, jakiego się Lewin po niej nie spodziewał, i objąwszy jego głowę pocałowała go, zwilżając mu policzki łzami.

— A więc wszystko skończone! Cieszę się. Kochaj ją!... Cieszę się... Kitty!

— Prędkoście to załatwili! — rzekł stary książę usiłując pozostać obojętnym; Lewin jednak zauważył, że gdy zwrócił się ku niemu, oczy miał wilgotne.

— Od dawna, zawsze pragnąłem tego! — wziął rękę Lewina i przyciągnął go ku sobie. — Jeszcze wtedy, kiedy tej zbytncy strzeliło do głowy...

— Papo! — krzyknęła Kitty i zasłoniła mu usta dłońmi,

— Już nie będę! — obiecywał. — Bardzo, bardzo... się cie... Ach, jakież ze mnie głupiec!...

Objął Kitty, ucałował jej twarz, rękę, znowu twarz i

przeżegnał ją znakiem krzyża.

Lewina ogarnęło nowe uczucie miłości do tego dotychczas obcego człowieka, gdy patrzył, jak Kitty długo i z czułością całowała mięsistą rękę starego księcia.

XVI

Księżna siedziała w fotelu i uśmiechała się w milczeniu, książę usiadł przy niej. Kitty stała obok fotela ojca. Wszyscy milczeli.

Księżna pierwsza wszystko ujęła w słowa i niejako przełożyła wszystkie myśli i uczucia na język zagadnień życiowych. I w pierwszej chwili wydało się to wszystkim jednakowo dziwaczne, a nawet bolesne.

— Więc kiedy? Trzeba pobłogosławić i ogłosić. A kiedy ślub? Jak myślisz, Alexaridre?

— Oto, kto decyduje — odparł stary książę wskazując na Lewina — on tu jest główną osobą.

— Kiedy?... — zaczerwienił się Lewin. — Jutro. Jeśli mnie państwo pytacie, to, moim zdaniem, dzisiaj niech będzie błogosławieństwo, a jutro ślub.

— Daj pokój, *mon cher*, co za głupstwa!

— No więc za tydzień.

— Wariat!

— Ależ dlaczego?

— Zmiłuj się! — radośnie uśmiechnęła się z tego pośpiechu matka. — A wyprawa?

„Czyż doprawdy będzie i wyprawa, i to wszystko? — przeraził się Lewin. — A zresztą, czy może wyprawa i błogosławieństwo, i to wszystko — czy to może zepsuć moje szczęście? Nic go zepsuć nie może!” Spojrzał na Kitty i zauważał, że jej myśl o wyprawie wcale, ale to wcale nie

uraziła... „To jest widocznie potrzebne” — pomyślał.

— Ja przecież na niczym się nie znam, wypowiedziałem tylko, czego bym pragnął — tłumaczył się.

— A więc my zadecydujemy. Obecnie można pobłogosławić i ogłosić.

Księżna podeszła do męża, pocałowała go i chciała odejść, lecz ten ją przytrzymał, objął i czule, jak zakochany młodzieniec, kilka razy ucałował z uśmiechem. Starzy najwidoczniej stracili na chwilę orientację i nie wiedzieli dobrze, czy to oni sami są znowu zakochani, czy tylko ich córka. Gdy księżę z księżną wyszli, Lewin podszedł do narzeczonej i wziął ją za rękę. Już teraz panował nad sobą i mógł mówić, a miał jej wiele do — powiedzenia. Powiedział jednak nie to, co było potrzeba.

— Dobrze wiedziałem, że tak właśnie będzie! Nigdy nie miałem nadziei, ale w duszy zawsze była ta pewność — rzekł. — Wierzę, że to przeznaczenie.

— A cóż dopiero ja! — rzekła.. — Nawet wtedy... — zatrzymała się, lecz zaraz ciągnęła dalej, patrząc nań odważnie swymi prawdomównymi oczyma — nawet wtedy, kiedy odepchnęłam od siebie moje szczęście. Kochałam zawsze tylko pana, ale straciłam głowę. Muszę to powiedzieć... Czy może pan o tym zapomnieć!?

— Może to nawet i lepiej. I mnie pani musi wybaczyć. Muszę pani powiedzieć...

Chodziło o jedno z dwóch wyznań, które miał zamiar jej uczynić. Postanowił zaraz pierwszego dnia powiedzieć jej dwie rzeczy — to, że nie jest tak czysty jak ona, a po drugie, że jest niewierzący. Było to bolesne, lecz uważał, że należy wyznać i jedno, i drugie.

— Nie, nie teraz, później! — zadecydował.

— Dobrze, później, ale nich pan koniecznie powie.

Niczego się nie boję. Muszę wszystko wiedzieć. Teraz już koniec.

Lewin dopowiedział:

— Koniec jest taki, że pani mnie weźmie, jakkolwiek bym był? Nie wyrzeknie się mnie pani? Czy tak?

— Tak.

Rozmowę ich przerwała m–lle Linon, która choć z pewnym przymusem, lecz czule uśmiechnięta, przyszła wieszować swej ukochanej wychowawicy. Nim odeszła, już zjawiła się z życzeniami służba. Potem przyjechali krewni i zaczął się ten rajski chaos, z którego Lewin miał się wynurzyć dopiero nazajutrz po ślubie. Czuł się ustawicznie nieswój, nudził się, lecz natężenie szczęścia narastało z coraz większą mocą. Stale odczuwał, że żądają od niego wielu rzeczy, których nie umiał, robił jednak wszystko, co mu powiedziano, i wszystko go uszczęśliwiała. Myślał, że jego konkury nie będą podobne do żadnych innych, że okoliczności zwykle towarzyszące narzeczeństwu zepsują jego całkiem specjalne szczęście, ale skończyło się na tym, że robił to, co wszyscy, a szczęście jego od tego rosło coraz, bardziej i stawało się coraz, bardziej osobliwe, nie mające ani w przeszłości, ani w przyszłości nic sobie równego.

— Teraz zjedzmy cukierków — mówiła m–lle Linon i Lewin jechał kupować cukierki.

— Bardzo się cieszę — rzekł Swiażski. — Bukiety radzę ci brać u Fomina.

— Co? Bukiety? — i Lewin jechał do Fomina.

Brat mówił mu, że powinien zaciągnąć pożyczkę, ponieważ będzie miał duże wydatki na prezenty...

— To potrzebne są prezenty? — I pędził do Fuldy.

I u cukiernika, i u Fomina, i u Fuldy spostrzegął, że go oczekiwano, że są mu radzi i że celebują jego szczęście tak

jak wszyscy, z którymi w owym czasie miał do czynienia. Niezwykłe było to, że nie tylko go lubiono, lecz że wszyscy przedtem niesympatyczni, zimni, obojętni ludzie byli nim zachwyceni, ustępowali mu we wszystkim, obchodzili się z jego uczuciem z czułością i delikatnością i dzielali z nim przekonanie, iż jest najszcześliwszym, w świecie człowiekiem, ponieważ, narzeczona jego jest szczytem doskonałości. To samo czuła i Kitty. Gdy pani Nordston pozwoliła sobie napomknąć, że byłaby pragnęła dla niej czegoś lepszego, Kitty tak się uniosła i tak przekonywająco dowiodła, że nie może być w świecie nic lepszego od Lewina, że przyjaciółka musiała to uznać i nigdy więcej w obecności Kitty nie witała Lewina inaczej jak z uśmiechem zachwyty.

Jedynym smutnym przeżyciem w owym okresie było wyznanie, które zapowiadał narzeczonej. Poradził się starego księcia i otrzymał jego zezwolenie na oddanie jej swego pamiętnika, gdzie to, co go męczyło, było napisane. Pisał w swoim czasie te pamiętniki z myślą o przyszłej narzeczonej. Dręczyły go dwie rzeczy: utrata niewinności i brak wiary. Jego przyznanie się do niewiary przeszło bez wrażenia. Kitty była religijna, nigdy nie miała wątpliwości co do zasad wiary, mimo to jego zewnętrzna niereligijność zupełnie jej nie obeszła. Kochając go, znała całą jego duszę i widziała w niej to, czego pragnęła; było jej obojętne, że taki stan duszy nazywa się niewiarą.

Drugie wyznanie wszelako wycisnęło jej gorzkie łyzy.

Lewin oddał jej swój dziennik po pewnej walce wewnętrznej. Wiedział, że między nimi nie powinno być tajemnic, i dlatego postanowił, że tak należy uczynić; lecz nie zdał sobie sprawy, jak to może na nią podziałać, nie postawił się na jej miejscu. Dopiero kiedy tego wieczora przyjechał do

nich przed teatrem, wszedł do jej pokoju i zobaczył zapłakaną, zasmuconą twarzyczkę, tak żalowaną na skutek zmartwienia, którego on był przyczyną i którego naprawić się nie dało — zrozumiał tę przepaść, która dzieliła jego haniebną przeszłość od jej głębokiej czystości, i przeraził się tym, co uczynił.

— Niech pan zabierze, niech pan zabierze te okropności! — zawołała odpychając leżące przed nią na stole zeszyty. — Po co mi pan je dał!... Ach, nie, to lepiej mimo wszystko — dodała litując się nad jego zdesperowaną miną. — Ale to straszne, straszne!

Spuścił w milczeniu głowę. Nic nie miał do powiedzenia.

— Pani mi nie przebaczy — wyszeptał.

— Ach nie, już przebaczyłam, ale to okropne!

Mimo to szczęście jego było tak wielkie, że wyznanie to nie nadwreżyło go, tylko nadało mu nowy odcień. Przebaczyła mu; ale od tej chwili uważał się za jeszcze bardziej niegodnego jej, jeszcze głębiej korzył się przed nią moralnie i jeszcze wyżej cenił swoje niezasłużone szczęście.

XVII

Aleksy Aleksandrowicz wracał do swego samotnego numeru hotelowego snując machinalnie w pamięci wrażenia rozmów prowadzonych w czasie obiadu i później. Słowa księżnej Darii o przebaczeniu wzbudziły w nim tylko niechęć. Zastosowanie lub niezastosowanie chrześcijańskiego nakazu we własnym wypadku było zagadnieniem nazbyt trudnym, o którym nie można było mówić mimochodem; zresztą zagadnienie to było dawno rozwiązane przez Karenina w sposób negatywny. Ze wszystkiego, o czym mówiono, najsilniej podziałały na jego wyobraźnię słowa

głupiego, poczciwego Turowcyna: postąpił jak zuch; wyzwiał na pojedynek i zabił. Wszyscy najwidoczniej to pochwalali, chociaż byli zbyt taktowni, by się wypowiadać.

„Zresztą ta sprawa jest już skończona, nie ma nad czym rozmyślać” — rzekł sobie w duchu Karenin. Zajęty wyłącznie mającym nastąpić wyjazdem oraz inspekcją, wszedł do numeru i zapytał towarzyszącego mu portiera o swego lokaja; portier poinformował go, że ten właśnie wyszedł. Karenin kazał podać sobie herbatę, usiadł przy stole i wzięwszy do ręki przewodnik kolejowy Fruma począł układać marszrutę podróży.

— Oto dwie depesze — powiedział wchodząc do pokoju służący. — Przepraszam waszą ekscelencję, przed chwilą dopiero wyszedłem.

Karenin wziął depesze i rozerwał je. Pierwsza zawierała wiadomość o nominacji Striemowa na stanowisko, którego sobie życzył Karenin. Rzucił depeszę, zaczerwienił się i jał przechadzać się po pokoju. „*Quos vult per dere, dementat*” — wyrzekł mając na myśli pod „*quos*” osobistości, które spowodowały tę nominację. Nie gniewało go to, że nie on sam dostał to stanowisko, że go najwidoczniej pominięto, lecz nie pojmował, był zdumiony, jak można było nie spostrzegać, że gaduła i blagier Striemow mniej niż ktokolwiek inny zdatny jest na to miejsce. Jak mogli ci ludzie nie wiedzieć, że przez tę nominację podkopywali samych siebie, swój własny prestiż.

„To znowu będzie coś w tym samym rodzaju” — powiedział sobie zgryźliwie, rozpieczętowując drugą depeszę. Telegram był od żony. Jej podpis niebieskim ołówkiem: „Anna”, najpierw rzucił mu się w oczy.

* *Quos...* — dokładnie: *Quos vult Jupiter pendere, dementat prius*: Kogo Jowisz chce zgubić, temu wprzód roum odbiera.

„Umieram, proszę, błagam, przyjedź. Z twoim przebaczeniem umrę spokojniej” — przeczytał. Uśmiechnął się wzgardliwie i odrzucił telegram. Nie mogło być wątpliwości, że było to oszustwo i podstęp; tak mu się wydało w pierwszej chwili.

„Ona nie cofnie się przed żadnym oszustwem. Ma odbyć połóg. Może to choroba połogowa? Ale jakież mogą mieć w tym cel? Zalegalizować dziecko, mnie skompromitować i przeszkodzić rozwodowi? — myślał. — Lecz tam jest powiedziane: «umieram»... — Przeczytał znów depeszę i nagle uderzył go bezpośredni sens tego, co tam było powiedziane. — A jeśli to prawda? — rzekł do siebie. — Jeśli to prawda, że w chwili cierpień i zbliżania się śmierci żałuje szczerze, a ja, uważając to za kłamstwo, odmówię przyjazdu? To będzie nie tylko okrutne i wszyscy mnie za to potępia, to będzie głupie z mej strony.”

— Piotrze, proszę sprowadzić karetkę. Jadę do Petersburga — rzekł do służącego.

Karenin postanowił, że pojedzie do Petersburga i zobaczy się z żoną: o ile choroba jest tylko udawaniem, to nie powie nic i wyjedzie. Jeśli istotnie Anna jest śmiertelnie chora, to o ile zastanie ją przy życiu, przebaczy jej, a o ile przybędzie za późno, odda jej ostatnią posługę.

I już przez całą drogę nie myślał więcej nad tym, co ma uczynić. Z uczuciem zmęczenia i brudu, wynikającym ze spędzenia nocy w wagonie, Karenin jechał w rannej petersburskiej mgłę wzdłuż pustego Newskiego Prospektu i patrzył przed siebie, nie myśląc o tym, co go oczekiwało w domu. Nie chciał o tym myśleć, wyobrażając bowiem sobie, co zastanie, nie mógł się opędnąć myśli, że śmierć Anny rozwikłaby od razu całą trudność jego sytuacji. Piekarnie, pozamykane sklepy, nocni dorożkarze, dozorczy zamiatający

chodniki — przesuwali mu się przed oczyma, on zaś przypatrywał się wszystkiemu starając się zagłuszyć w sobie myśl o tym, co zastanie i czego pragnąć nie śmiał, a jednak pragnął. Zajechał przed ganek. Dorożka i karetka ze śpiącym stangetrem czekały na dojeździe. Wchodząc do sieni Karenin jakby wyjął z odległego kąta mózgu gotową decyzję i zasięgnął u niej informacji. Było tam zanotowane: „Jeśli to kłamstwo — wyjechać; jeśli prawda — zachować przyzwoite pozory.”

Szwajcar otworzył drzwi, jeszcze zanim Karenin zadzwonił. Szwajcar Pietrow, inaczej zwany Kapitonycz, wyglądał dziwnie w starym surducie, bez krawata i w pantoflach.

— Jak się ma jaśnie pani?

— Wczoraj szczęśliwie urodziła.

Karenin zatrzymał się i poblądł: teraz dopiero jasno zrozumiał, z jaką siłą pragnął jej śmierci.

— A jak się miewa?

Ze schodów zbiegł w porannym fartuchu Korniej.

— Jaśnie pani ma się bardzo źle — odpowiedział. — Wczoraj zjechali się doktorzy, a i teraz doktor jest tutaj.

— Weź rzeczy — rzekł Karenin i czując pewną ulgę na wiadomość, że jednak fest jeszcze nadzieja zgonu, wszedł do przedpokoju.

Na wieszadle wisiał płaszcz wojskowy; Karenin zauważył to i zapytał:

— Kto tu jest?

— Doktor, akuszerka i pan hrabia Wroński. Karenin przeszedł do dalszych pokoi.

W salonie nie było nikogo; z gabinetu Anny wyszła na dźwięk jego kroków akuszerka w czepcu z lila wstążkami.

Zbliżyła się do niego z poufałością, jaką wywołuje

bliskość śmierci, wzięła go za rękę i poprowadziła do sypialni.

— Bogu dzięki, że pan przyjechał! Tylko o panu i o panu ciągle mówi — powiedziała.

— Proszę przędeż o łód — odezwał się z sypialni głos doktora.

Karenin wszedł do gabinetu żony; przy jej biurczku, bokiem do oparcia, siedział na niskim krześle Wroński i płakał z twarzą ukrytą w dłoniach. Zerwał się usłyszawszy głos doktora, odjął ręce od twarzy i ujrzał Karenina. Na jego widok zmieszał się tak dalece, że znów usiadł, wtulił głowę w ramiona, jakby chciał w ten sposób zniknąć, opanował się jednak, wstał i rzekł:

— Ona umiera. Doktorzy powiedzieli, że nie ma nadziei. Jestem zdany na pańską łaskę i niełaskę, ale niech mi pan pozwoli zostać tutaj... Zresztą jestem całkiem w pana mocy, ja...

Karenin ujrawszy łzy Wrońskiego poczuł falę tej duchowej rozterki, która go ogarniała na widok cierpień innych ludzi; odwróciwszy twarz i nie wysłuchawszy go do końca, wszedł szybko we drzwi sypialni. Było stamtąd słyhać głos Anny, która coś mówiła. Był to głos wesoly, ożywiony, o niezwykle wyraźnej intonacji. Karenin wszedł do sypialni i zbliżył się do łóżka. Anna leżała zwrócona ku niemu twarzą: policzki jej gorzały rumieńcem, oczy błyszczały, małe białe ręce, wysunięte z mankietów kaftanika, bawiły się rogiem kołdry zwijając go. Zdawała się nie tylko zdrowa i wypoczęta, ale w doskonałym humorze. Mówiła szybko, dźwięcznie, niezwykle prawidłowo i z wycuciem akcentując słowa:

— Dlatego że Aleksy, mówię o Aleksym Aleksandrowiczu (jaki to dziwny, straszny los, że obaj mają na imię „Aleksy”,

prawda?), nie odmówiłby mi. Zapomniałabym, a on by przebaczył... Ale czemu on nie przyjeżdża? On jest dobry, sam nie wie nawet, jak bardzo dobry... Ach, mój Boże, co to za udręczenie! Dajcie, mi” czym prędzej wody!. Ach, to dla niej dla mojej dziewczyneczki będzie szkodliwe?! No więc dobrze, sprowadźcie jej mamkę, Już się zgadzam, tak nawet będzie lepiej. On przyjedzie i widok jej sprawi mu ból. Oddajcie ją mamce.

— Proszę pani, już przyjechał. Oto jest — mówiła akuszerka starając się zwrócić jej uwagę na Karenina.

— Co za głupstwo! — mówiła Anna dalej, nie spostrzegając męża. — Tak, dajcie mi ją, moją małą dziewczynkę, dajcie. On jeszcze nie przyjechał. Mówicie, że on nie przebaczy, ponieważ go nie znacie. Nikt go nie zna, tylko ja jedna. A nawet dla mnie było to za ciężkie. Trzeba znać jego oczy: Sierioża ma takie same i dlatego nie mogę na nie patrzeć... Czyście dali Sierioży obiad?. Przecie wiem, że zapomną. On by nie zapomniał. Trzeba Sieriożę przenieść do pokoju narożnego i poprosić, żeby Mariette z nim spała.

Nagle skuliła się, przycichła ze strachu, jakby oczekując uderzenia, i jak w obronie podniosła do twarzy obie ręce. Spostrzegła męża.

— Nie, nie — poczęła znów mówić. — Nie boję się go. Boję się śmierci. Aleksy, pójdz tutaj. Spieszę się dlatego, że nie mam czasu, zostało mi niewiele życia; zaraz zacznie się gorączka i wtedy już nic nie będę rozumiała. Teraz, rozumiem, wszystko rozumiem, wszystko widzę.

Ściągnięta twarz Karenina nabrała bolesnego wyrazu; wziął jej ręce, chciał coś powiedzieć, nie mógł tego jednak w żaden sposób wymówić; dolna warga mu drżała, wciąż jeszcze walczył ze wzruszeniem i tylko chwilami podnosił na nią wzrok. A za każdym razem, gdy na nią spojrzał, widział

jej oczy wlepione w siebie z taką wzruszającą, ekstatyczną czułością, jakiej nigdy w nich nie widywał.

— Poczekaj, bo ty nie wiesz... Czekaście, czekajcie... — zatrzymała się, jakby zbierając myśli. — Tak — zaczęła znowu. — Tak, tak, tak. Oto, co chciałam powiedzieć. Nie patrz na mnie z takim zdziwieniem. Jestem zawsze ta sama... Ale jest we mnie inna; boję się jej — ta ona pokochała tamtego; więc musiałam cię nienawidzić, „ ale nie mogłam zapomnieć siebie tej, którą przedtem byłam. Ona — to nie ja. Teraz ja jestem tą prawdziwą, cała nią jestem. I umieram, wiem, że umrę, spytaj się jego. Czuję to i teraz: pudy całe ciążą mi u rąk, u nóg, u palców. Palce są ot takie — ogromne. Ale to wszystko prędko się skończy... Jednego mi tylko potrzeba: przebacz mi, zupełnie mi przebacz! Jestem ohydna, ale niania mówiła mi, że święta męczennica — jakże jej było na imię? — ta była jeszcze gorsza.. I pojedę do Rzymu, tam jest gdzieś pustelnia, i wtedy nikomu nie będę zawadzała; wezmę ze sobą tylko Sieriożę i córeczkę... Nie, ty mi nie możesz przebaczyć! Wiem, że tego przebaczyć nie można! Nie, nie, odejdz, zbyt jesteś dobry! — Trzymała go jedną rozpaloną dłonią za rękę, a odpychała drugą.

Rozprężenie wewnętrzne Karenina rosło z każdą chwilą i doszło do takiego stopnia, że już zaprzestał z nim walczyć. Poczuł nagle, że to, co uważał za wewnętrzny zamęt, było, przeciwnie, błogim stanem duszy dającym mu niespodzianie nigdy dotąd przezeń nie doznawane szczęście. Nie myślał o tym, że zasada chrześcijańska, którą przez całe życie pragnął stosować, nakazywała mu przebaczyć nieprzyjaciołom i kochać ich, a mimo to radosne uczucie miłości i przebaczenia wrogom napełniało mu duszę. Klęczał i oparłszy głowę na przegubie jej ręki, która przez kaftanik paliła go ogniem, szlochał jak dziecko. Anna objęła jego łysiejącą głowę,

przysunęła się i z dumnym wyzwaniem podniosła wzrok ku górze:

— Oto, jaki on jest! Wiedziałam! Teraz żegnajcie wszyscy, żegnajcie!.., Znowu tu przyszli; dlaczego sobie nie idą?... Zdejmcież raz ze mnie te futra.

Doktor odjął jej ręce, ostrożnie złożył ją na poduszce i nakrył po szyję. Posłusznie położyła się na wznak i patrzyła przed siebie promiennym spojrzeniem.

— Zapamiętaj jedno, że trzeba mi było od ciebie tylko przebaczenia, nic więcej nie chcę... Czemu on nie przychodzi? — spytała zwracając się w stronę drzwi ku Wrońskiemu. — Pójdź bliżej, pójdź! podaj mu rękę.

Wroński podszedł aż do brzegu łóżka i spojrzawszy na nią, znów ukrył twarz w dłoniach.

— Odsłoń twarz i popatrz na niego To święty — powiedziała. — No, odsłońże! — wyrzekła z gniewem — Aleksy, odsłoń mu twarz! Chcę go widzieć.

Karenin ujął dłonie Wrońskiego i odsunął mu je od twarzy, przerażającej — wyrazem bólu i zawstydzenia, jakie się na niej malowały.

— Podaj mu rękę. Przebacz mu.

Karenin podał mu rękę nie starając się nawet powstrzymać łez płynących z oczu.

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu — powiedziała — teraz wszystko gotowe. Muszę tylko trochę wyprostować nogi. Ot tak, teraz jest doskonale... Jak te kwiaty są zrobione! Zupełnie bez gustu, wcale niepodobne do fiołków — i wskazała na tapety. — Boże mój! Boże mój! Kiedy się to skończy?! Dajcie mi morfiny. Doktorze! Niechże mi pan da morfiny. O, Boże mój, Boże mój!

I poczęła się miotać na pościeli.

Doktor specjalista a z nim reszta doktorów orzekli, że to

gorączka połogowa, która w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto kończy się śmiercią. Przez cały dzień trwała gorączka, maligna i nieprzytomność. Około północy chora leżała bez czucia i prawie bez pulsu.

Z minuty na minutę, oczekiwano zgonu. Wroński pojechał do domu, rano jednak wrócił po wiadomości. Karenin spotkał go w przedpokoju i rzekł mu:

— Niech pan zostanie, może o pana zapyta — i sam zaprowadził go do gabinetu żony.

Nad ranem znów zaczęło się podniecenie, ożywienie i szybki bieg myśli i słów, a skończyło się to znowu utratą przytomności. Na trzeci dzień powtórzyło się to samo i doktorzy orzekli, że jest nadzieja. Tego dnia Karenin wszedł do gabinetu, gdzie przesiadywał Wroński, zamknął drzwi za sobą i usiadł naprzeciw niego.

— Proszę pana — rzekł Wroński czując, że zbliża się chwila wyjaśnień — nie mogę mówić, nie jestem, nawet w stanie rozumieć. Niech mi pan tego oszczędzi. Wiem, jak panu jest ciężko, ale niech mi pan wierzy, że mnie jest jeszcze gorzej.

Chciał wstać, lecz Karenin wziął go za rękę i powiedział:

— Proszę, niech pan mnie posłucha, panie pułkowniku, jest to konieczne. Muszę panu wyjaśnić uczucia, którymi się kierowałem i nadal kierować będę, tak by pan mnie fałszywie nie rozumiał. Pan wie, że zdecydowałem się na rozwód i nawet wszcząłem już sprawę. Nie taję, że wszczynając ją byłem niezdecydowany i udęczonej; wyznaję, że powodowała mną chęć zemsty na panu i na niej. Gdy otrzymałem depeszę, jechałem tutaj z tymi samymi uczuciami, powiem nawet więcej: pragnąłem jej śmierci. Ale... — tu zamilkł i namyślał się, czy odsłonić mu swe uczucia, czy nie. — Ale ujrzałem ją i przebaczyłem.

Wówczas szczęście, wynikłe z przebaczenia, wskazało mi mój obowiązek i przebaczyłem całkowicie. Chcę nadstawić drugi policzek, oddać koszulę, gdy mi zabierają kaftan, i tylko błagam Boga, by nie odjął mi szczęścia, które wypływa z przebaczenia! — Miał łzy w oczach i jego jasne, spokojne wejrzenie wstrząsnęło Wrońskim. — Oto, jak rzeczy stoją. Może mnie pan wdeptać w błoto, zrobić ze mnie pośmiewisko ludzkie, lecz ja jej nie opuszczę i nigdy nie powiem panu ani słowa wyrzutu — ciągnął dalej. — Mój obowiązek rysuje się przede mną wyraźnie: winienem stać przy niej i uczynię to. Jeśli zapragnie pana widzieć, dam panu znać, ale teraz sądzę, że byłoby lepiej, by pan się oddalił.

Wstał i łkanie mu przerwało mowę. Wroński podniósł się również i pochyłony, w przygarbionej postawie, patrzył na niego spód ściągniętych brwi. Nie rozumiał uczuć Karenina, ale czuł, że jest to coś wzniosłego, coś, co dla niego przy jego światopoglądzie było niedostępne.

XVIII

Po tej rozmowie Wroński wyszedł na ganek domu Kareninów i zatrzymał się, z trudem przypominając sobie, gdzie jest i dokąd” mu wypada iść czy jechać. Czuł się zawstydzony, poniżony, winny i pozbawiony możliwości zmycia z siebie poniżenia. Czuł się wytracony z toru, po którym tak dumnie i łatwo dotychczas kroczył. Okazało się, że wszystkie jego życiowe, zdawałoby się tak niewzruszone, przyzwyczajenia i zasady są fałszywe i nieprzydatne. Zdradzony mąż, którego dotychczas wyobrażał sobie jako żalostną figurę stojącą — w sposób przypadkowy i nieco komiczny — na przeszkodzie jego, Wrońskiego, szczęściu, nagle został przez samą Annę wezwany i wyniesiony na

wyżynę wzbudzającą cześć. A na tej wyźnie zdradzony mąż nie był ani zły, ani sztuczny, ani śmieszny, lecz dobry, pełen prostoty i wielkości. Wroński nie mógł tego nie wyczuwać. Niespodzianie role się zmieniły: Wroński czuł jego wywyższenie i swoje poniżenie; słusność była po stronie męża, a on sam nie miał racji. Odczuł, że mąż nawet w swym bólu był wspaniałomyślny, on zaś nikczemny i małostkowy w swym oszukaństwie. Wszelako świadomość małości wobec człowieka, którym dotychczas niesłusznie pogardzał, była tylko drobną częścią jego cierpienia. Czuł się w tej chwili niewymownie nieszczęśliwy, ponieważ jego namiętność, która, jak mu się zdawało, w ostatnich czasach była już ochłodła, teraz gdy wiedział, że Annę utracił na zawsze, stała się silniejsza niż kiedykolwiek. W czasie choroby poznał ją całkowicie, poznał jej duszę i zdawało mu się, że dotychczas nigdy Anny nie kochał. I właśnie teraz, gdy ją poznał i pokochał tak, jak kochać należało, został wobec niej poniżony i utracił ją na zawsze, pozostawiając jej o sobie jedynie zawstydzające wspomnienie. A najstraszniejszy ze wszystkiego był ten śmieszny i haniebny moment, gdy Karenin odrywał mu ręce od zawstydzonej twarzy. Stał na ganku Kareninów jak nieprzytomny i nie wiedział, co począć.

— Może zawołać, dorożkę? — zapytał szwajcar.

— Tak, poproszę o dorożkę.

Powróciwszy do domu po trzech nie spanych nocach Wroński upadł w ubraniu twarzą na sofę, opierając na złożonych rękach głowę, która mu potwornie ciążyła. Obrazy, wspomnienia i najdziwaczniejsze myśli kolejno z nadzwyczajną szybkością i jasnością następowały po sobie. To widział, jak podając chorej lekarstwo, wylewa je z łyżki, to migwały mu białe ręce akuszerki, to stawała przed oczyma dziwna poza Karenina na podłodze przy łóżku.

„Zasnąć! Zapomnieć!” — rzekł do siebie ze spokojną pewnością zdrowego człowieka, że skoro się zmęczył i chce mu się spać, natychmiast zaśnie. I rzeczywiście, w jednej chwili myśli jeły mu się plątać w głowie i począł zapadać w otchłań niepamięci. Fale morza podświadomości już, już miały mu się zamknąć nad głową, gdy nagle — niby trafiony najsilniejszym ładunkiem elektrycznym — drgnął tak mocno, że podskoczył całym ciałem na sprężynach sofy, i wsparłszy się na rękach, ukląkł przerażony. Oczy miał szeroko otwarte, jakby nigdy nie spał. Ciężar głowy i bezsilność członków, które odczuwał przed chwilą, raptem znikły.

„Może pan mnie wdeptać w błoto” — usłyszał słowa Karenina i zobaczył go przed sobą; widział także twarz Anny z gorączkowym rumieńcem i błyszczącymi oczami zwróconymi z najczulszą miłością nie na niego, lecz na Karenina; widział i swoją, jak mu się zdawało, głupią i śmieszoną postać, gdy Karenin odjął mu ręce od twarzy. Znów wyprostował nogi, rzucił się na sofę w poprzedniej pozie i zamknął oczy.

„Zasnąć! Zasnąć!” — powtarzał, lecz z oczyma zamkniętymi widział jeszcze wyraźniej twarz Anny taką, jaka była w ów pamiętny dla niego wieczór przed wyścigami.

— Tego już nie ma i nie będzie: Anna chce to zetrzeć z pamięci. A ja nie mogę bez tego żyć. Jakże się pogodzimy? Jak my się pogodzimy? — rzekł głośno i począł nieświadomie powtarzać te słowa. Powtarzając je zapobiegał pojawieniu się nowych obrazów i wspomnień, kłębiących mu się w głowie. Powtarzanie słów nie na długo jednak powstrzymało wyobraźnię. Znów — jedna za drugą — poczęły się ukazywać z niesłychaną szybkością najlepsze ich wspólne chwile, a tuż za nimi — niedawne upokorzenie. „Odejź ręce” — powiada głos Anny. Wroński opuszcza ręce

i czuje, jaką ma zawstydzoną i głupią minę.

Wciąż leżał starając się zasnąć, choć czuł, że nie było na to najmniejszej nadziei, i wciąż powtarzał szeptem przypadkowe słowa — urywki jakiejś myśli — usiłując w ten sposób przeszkodzić powstawaniu nowych obrazów. Począł nadśluchować i usłyszał wyrazy powtarzane dziwnym, wariackim szeptem: „Nie umiałem ocenić, nie potrafiłem skorzystać” i „nie potrafiłem ocenić, nie umiałem skorzystać”.

„Co to jest? Czy zwariowałem? — rzekł do siebie. — To możliwe. Czyż nie od tego właśnie się wariuje? Czy nie z takich powodów ludzie palą sobie w łeb?” — odpowiedział w duchu i otworzywszy oczy, ze zdziwieniem spostrzegł tuż obok swej głowy haftowaną poduszkę roboty Wari, swej bratowej. Dotknął chwastu poduszki próbując przypomnieć sobie Warię i ostatnie z nią spotkanie. Myśl o czymś ubocznym była wszelako męką. „Nie... Trzeba zasnąć!” — posunął poduszkę i przywarł do niej głową, lecz musiał robić świadomy wysiłek, by oczy mieć zamknięte. Zerwał się i usiadł. „To się dla mnie skończyło — powiedział sobie.. — Trzeba się zastanowić, co począć. Co mi pozostało!” Myśl Wrońskiego obiegała szybko całe jego życie poza miłością dla Anny.

„Ambicja? Sierpuchowski? Świat? Dwór?” Na niczym nie mógł się zatrzymać. Wszystko to miało kiedyś sens, ale teraz nic z tego nie zostało. Wstał z kanapy, zdjął mundur, odpiął pas i odsłoniwszy włochatą pierś, aby odetchnąć swobodnie, przeszedł się po pokoju. „Tak się dostaje pomieszania zmysłów — powtórzył. — I w takich okolicznościach ludzie palą sobie w łeb... żeby uniknąć wstydu” — dodał z wolna.

Podszedł do drzwi i zamknął je; potem wpatrzony w jeden punkt, zacisnąwszy mocno zęby podszedł do stołu,, wziął

rewolwer, obejrzał go, odbezpieczył i zamyślił się. Przez dwie minuty stał nieruchomo z wyrazem wytężonego namysłu: rewolwer miał w ręku i medytował ze spuszczoną głową. „To się samo przez się rozumie” — rzekł do siebie, jak gdyby logiczny, długotrwały i wyraźny nurt myśli doprowadził go do niezbitnej konkluzji. W rzeczywistości jednak owo dla niego tak przekonywające „to się rozumie” — było tylko rezultatem powtórzenia identycznego kręgu wspomnień i wyobrażeń, jaki przebył już dziesiątki razy w ciągu ostatniej godziny. Były tam te same wspomnienia na zawsze utraconego szczęścia, to samo przeświadczenie o bezsensie wszystkiego, co mu życie przynieść mogło, ta sama świadomość upokorzenia. Identyczna była również kolejność owych uczuć i wyobrażeń.

„To się rozumie” — powtórzył, gdy po raz trzeci myśl rozpoczęła bieg po tym samym zaczarowanym kole wspomnień i rozumowań, i — przyłożywszy rewolwer do lewej strony piersi i mocno targnąwszy całą ręką, tak jakby ją nagle ścisnął w pięść — pociągnął za cyngiel. Nie słyszał dźwięku wystrzału, lecz silne uderzenie w pierś podcięło mu nogi. Chciał uchwycić się za brzeg stołu, upuścił rewolwer, zachwiał się i usiadł na ziemi oglądając się ze zdziwieniem dokoła. Patrząc z dołu na wygięte nóżki stolika, na kosz do papierów i tygrysią skórę, nie poznawał swego pokoju. Szybkie, skrzypiące kroki służącego w salonie sprawiły, że oprzytomniał. Zmusił się z wysiłkiem do myślenia i zdał sobie sprawę, że znajduje się na podłodze, a zobaczywszy na tygryziej skórze i na ręku krew, zrozumiał, że strzelił do siebie;

— Głupia historia! Chybiłem — wyrzekł szukając po omacku ręką rewolweru. Rewolwer leżał tuż obok, on zaś szukał go dalej, W trakcie tych poszukiwań przechylił się w

drugą stronę i — nie mając sił, by zachować równowagę — runął zalany krwią.

Elegancki służący z bokobrodami, który nieraz uskarżał się przed znajomymi na swoje słabe nerwy, tak się przeraził zobaczywszy pana leżącego na podłodze, że pozostawił go spływającego krwią i pobiegł szukać pomocy. W godzinę później przyjechała bratowa Wrońskiego, Waria, i z pomocą wezwanych trzech doktorów, po których posłała na wszystkie strony i którzy zjawili się jednocześnie, położyła rannego na łóżku i pozostała przy nim, aby go pielęgnować.

XIX

Karenin popełnił omyłkę, gdy gotując się do spotkania z żoną nie przewidział wypadku, że skrucha jej będzie szczerą i że on jej przebaczy, ale że ona nie umrze. W dwa miesiące po powrocie z Moskwy odsłonił mu się cały ogrom tej omyłki. Omyłka, którą popełnił, wynikała jednak nie tylko stąd, że nie przewidział tej możliwości, ale także stąd, że do dnia swego widzenia z umierającą żoną sam nie znał własnego serca. Ułoża chorej żony po raz pierwszy w życiu poddał się temu rzewnemu współczuciu, które wywoływały w nim cierpienia innych, a którego przedtem wstydział się, jako szkodliwej słabości. Litość nad Anną, skrucha, że pragnął jej śmierci, i już sama radość płynąca z przebaczenia — sprawiły, że nagle zstąpiło na niego nie tylko ukojenie cierpień, ale spokój ducha, którego nigdy przedtem nie doznawał. Poczul niespodzianie, że właśnie to, co było przyczyną jego nieszczęścia, stało się źródłem duchowej radości, że to, co zdawało się nie do rozstrzygnięcia, kiedy potępił, stawiał zarzuty i nienawidził — stało się proste i jasne z chwilą, gdy przebaczał i kochał.

Przebaczył żonie i litował się nad nią z powodu jej cierpień i skruchy, przebaczył Wrońskiemu i litował się nad nim, zwłaszcza gdy doszły doń pogłoski o jego desperackim czynie. Żał mu było także o wiele bardziej niż przedtem synka i wyrzucał sobie teraz, że zbyt się mało dawniej nim zajmował. A do nowo narodzonej dziewczyneczki żywił jakiś szczególny sentyment: nie tylko litość, ale nawet tklivość. Zrazu jedynie ze współczucia zajął się słabiutkim niemowlęciem, które nie było jego dzieckiem i które tak zaniedbano w czasie choroby matki, że gdyby on się o nią nie był zatroszczył, byłoby umarło. Sam się nie spostrzegł, jak ją pokochał. Po kilka razy na dzień chodził do pokoju dziecinnego i długo tam przesiadywał, tak że mamka i niania, zrazu onieśmielone, przyzwyczyły się do niego. Czasami potrafił pół godziny wpatrywać się milcząc w śpiącą szafranowo — czerwoną, puszystą, całą w bruzdach twarzączkę dziecka i obserwować ruchy marszczącego się czółka i pulchnych rączyn z podwiniętymi palcami, które pocierały oczęta i grzbiet nosa odwróconą stroną dłoni. W takich chwilach Karenin czuł się szczególnie spokojny, w zgodzie ze sobą samym i nie widział w swym położeniu nic nadzwyczajnego, nic takiego, co by należało zmienić.

Im więcej wszelako upływało czasu, tym wyraźniej spostrzegał, że bez względu na to, jak dalece naturalną sytuacja ta była w jego własnych oczach, nie dadzą mu jednak przy tym pozostać. Czuł, że poza dobrą duchową siłą, kierującą jego duszą, istniała inna brutalna, równie potężna lub jeszcze potężniejsza — kierująca jego życiem, i że siła ta nie da mu tego zrezygnowanego spokoju, którego pragnął. Wyczuwał, że wszyscy patrzyli na niego pytająco i ze zdziwieniem, że go nie rozumieli i czegoś po nim się spodziewali. Czuł zwłaszcza, jak nietrwale i sztuczne są jego

stosunki z żoną.

Kiedy minęło roztkliwienie wywołane u niej bliskością śmierci, Aleksy Aleksandrowicz począł spostrzegać, że Anna bała się go, że obecność jego ciążyła jej, że nie była zdolna spojrzeć mu w oczy. Wyglądało, że pragnęła mu coś powiedzieć i nie mogła się na to zdecydować, jakby — przeczuwając, że stosunki ich nie mogą być trwałe — i ona również czegoś od niego oczekiwała.

W końcu lutego zdarzyło się, że nowo narodzona córeczka Anny, nazwana również Anną, zachorowała. Aleksy Aleksandrowicz był rano w dziecinnym pokoju, polecił, by posłano po doktora, po czym pojechał do ministerstwa. Po załatwieniu swoich spraw wrócił około czwartej do domu. Wchodząc do przedpokoju zobaczył piękniśa lokaja w wygalowanej liberii z niedźwiedzią pelerynką, trzymającego białą rotundą na pieścach.

— Kto przyjechał? — zapytał Karenin.

— Księżna Elżbieta Fiodorowna Twerska — odrzekł lokaj i jak się wydawało Kareninowi, uśmiechnął się.

Przez cały ten ciężki okres czasu Karenin spostrzegał, że znajomi z towarzystwa, a zwłaszcza kobiety, darzyli i jego, i Annę specjalnym zainteresowaniem. Zauważył u tych wszystkich znajomych z trudem ukrywaną uciechę z czegoś, tę samą uciechę, którą zobaczył w oczach adwokata, a obecnie w oczach lokaja. Wszyscy byli w takim jakimś zachwycie, jakby kogoś za mąż wydawali. Gdy go spotykali, pytali o zdrowie żony z ledwo ukrywaną wesołością.

Obecność księżny Twerskiej była niemiła Kareninowi, zarówno ze względu na związane z jej osobą wspomnienia, jak i dlatego, że jej w ogóle nie lubił, toteż poszedł wprost do dziecinnego pokoju. W pierwszym pokoju Sierioża leżąc piersią na stole, z nogami na krześle, coś rysował gwarząc

wesoło do siebie. Angielka, która w czasie choroby Anny zajęła miejsce Francuzki, siedząc obok chłopczyka robiła szydełkiem miniardyzy*. Wstała teraz z pośpiechem, dygnęła i pociągnęła Sieriożę za rękaw.

Karenin pogładził synka po włosach, odpowiedział na pytanie Angielki o zdrowie żony i zapytał, co doktor mówił o baby*.

— Doktor, proszę pana, powiedział, że nie ma nic niebezpiecznego, i przepisał kąpiele.

— Ależ ona ciągle jeszcze cierpi — rzekł Karenin nad słuchając, jak dziecko krzyczy w sąsiednim pokoju.

— Ja myślę, że mamka jest nieodpowiednia, proszę pana — powiedziała stanowczo Angielka.

— Dlaczego pani tak myśli? — przystanął na chwilę.

— Tak było u hrabiny Pol, proszę pana. Dziecko leczono, a okazało się, że było po prostu głodne; mamka nie miała mleka, proszę pana.

Karenin zamyślił się, postąpił chwilę w miejscu i wszedł do drugiego pokoju. Dziewczynka leżała z odrzuconą w tył główką, kurcząc się na rękę mamki, i nie chciała ani wziąć do ust podawanej jej pulchnej piersi, ani zamilknąć mimo podwójnego „pst” zarówno mamki, jak i pochylonej nad nią niani.

— Więc dziecku wciąż nie lepiej? — spytał Karenin.

— Bardzo jest niespokojna — szepnęła niańka.

— Miss Edward mówi, że może mamka nie ma pokarmu — zauważył.

— I ja tak myślę, proszę jaśnie pana.

— Więc czemu niania nic nie mówi?!

— Komu mam mówić? Anna Arkadiwna wciąż chora — z niezadowoleniem powiedziała niańka.

* Miniardyza — wążutki szlaczek szydełkowy z ząbkami

* baby — niemowlę

Niańką, stara sługa, była od dawna w domu i jej proste słowa wydały się Kareninowi również aluzją do jego sytuacji.

Dziecko krzyczało coraz głośniej, zanosząc się i chrypiąc; niańka machnęła, ręką, podeszła, wzięła je z rąk mamki i jeła kołysać chodząc z nim po pokoju.

— Trzeba poprosić doktora, aby obejrzał mamkę — powiedział Karenin.

Zdrowa z wyglądu, strojna mamka, w strachu, że utraci miejsce, coś mruknęła pod nosem i upychając do stanika wielką pierś uśmiechała się pogardliwie, że można powątpiewać o jej mleczności. I w tym jej uśmiechu Karenin również wyczytał szyderstwo z jego sytuacji.

— Nieszczęsne dziecko! — rzekła niańka uciszając je i przechadzając się w dalszym ciągu.

Karenin usiadł na krześle i z ponurym wyrazem cierpienia patrzył na chodzącą tam i z powrotem niańkę.

Gdy położono uciszone wreszcie niemowlę do głębokiego łóżeczka i niania poprawiwszy poduszkę odeszła, Karenin wstał i z trudem stąpając na palcach zbliżył się do dziecka. Około minuty milczał i z tą samą posępną miną patrzył na nie, nagle jednak uśmiech poruszył mu włosy i skórę na czole i spłynął na twarz. Wyszedł z pokoju równie cicho, jak wszedł.

W jadalnym zadzwonił i kazał służącemu, który zjawił się na dzwonek, posłać znów po doktora. Był niekontent, że żona nie troszczy się o to prześliczne dziecko, i nie chciał iść do niej w tym nastroju irytacji. Nie miał również ochoty widzieć księżnej Betsy. Anna wszakże mogła być zdziwiona, że nie zajrzał do niej jak zwykle, przewyciężył się więc i poszedł do sypialni. Zbliżając się do drzwi po miękkim dywanie, usłyszał niechcący rozmowę, której słyszeć nie pragnął.

— Gdyby on nie wyjeżdżał, rozumiałabym twoją i jego

odmowę. Ale mąż twój winien być wyższy ponad to — nalegała Betsy.

— Nie ze względu na męża. To ja sama nie chcę. Nie mów tak! — głos Anny był wzburzony.

— Tak, ale niepodobna, kuzynko, byś nie chciała pożegnać człowieka, który strzelał do siebie z twego powodu.

— Właśnie dlatego nie chcę. Karenin zatrzymał się, wystraszony, jakby poczuwając się do winy, i chciał odejść niepostrzeżenie. Rozmyślił się wszelako, uważając, że byłoby to dowodem braku godności, zawrócił więc znowu i kaszlnąwszy zbliżył się do drzwi sypialni. Głosy umilkły i wszedł do pokoju, Anna siedziała na sofce w popielatym szlafroku. Czarne, gęste włosy, krótko ostrzyżone, odrastały na kształt szczotki na jej krągłej głowie. Jak zawsze na widok męża ożywienie znikło z jej twarzy; spuściła głowę i nerwowo obejrzała się na Betsy. Księżna Twerska, ubrana według ostatniej mody, w kapeluszu unoszącym się gdzieś ponad jej głową, jak daszek nad lampą, i w perłowej sukni w ukośne, jaskrawe pasy biegnące na staniku w jedną stronę, a na spódnicy w drugą — siedziała obok Anny, prosto trzymając swą płaską, wysoką figurą. Powitała Karenina skinieniem głowy i drwiącym uśmiechem.

— A! — wyrzekła jakby ze zdziwieniem. — Cieszę się bardzo, że pan jest w domu. Pan się nigdzie nie pokazuje i nie widziałam pana wcale od czasu choroby Anny. Słyszałam o wszystkim, o pana troskliwości... Tak, jest pan nadzwyczajnym mężem! — powiedziała znacząco i przyjaźnie, jakby nadając mu order wspaniałomyślności za jego postępowanie z żoną.

Karenin ukłonił się oziębło i całując żonę w rękę zapytał ją o zdrowie.

— Zdaje się, że jest mi lepiej — odrzekła unikając jego

wzroku.

— Ale masz jakby gorączkowe wypieki — położył nacisk na słowie „gorączkowe”.

— Zanadtośmy się z nią rozgadały — wtrąciła Betsy. — Czuję, że to z mej strony egoizm, i uciekam.

Wstała, lecz Anna nagle zarumieniła się i chwyciła ją szybko za rękę:

— Nie, proszę cię, zostań jeszcze chwilę. Muszę ci powiedzieć... Nie, tobie muszę powiedzieć — tu zwróciła się do Karenina i rumieniec oblał jej szyję i czoło. — Nie chcę i nie mogę nic przed tobą taić — wyrzekła wreszcie.

Karenin począł trzaskać w palce i pochylił głowę.

— Betsy mówiła, że pułkownik Wroński chciał być u nas, żeby się pożegnać przed swoim wyjazdem do Taszkientu. — Nie patrzyła na męża i najwidoczniej starała się wszystko mu opowiedzieć, mimo że przychodziło jej to z wielką trudnością. — Odpowiedziałam, że nie mogę go przyjąć.

— Powiedziałaś, najdroższa, że to będzie zależało od Aleksego Aleksandrowicza — poprawiła Betsy.

— Ależ nie, nie mogę przyjąć, to do niczego nie... — Nagle zatrzymała się i spojrzała pytająco na męża (Karenin nie patrzył na nią). — Po prostu nie chcę...

Karenin zrobił ruch, jakby chciał wziąć ją za rękę.

W pierwszym odruchu usunęła gwałtownie dłoń spod jego ręki — wilgotnej, o grubych, nabrzmiąłych żyłach — która wyciągnęła się ku niej, lecz opanowawszy się z widocznym wysiłkiem, ucisnęła ją.

— Dziękuję ci, droga moja, za zaufanie, ale... — urwał zakłopotany. Czuł z przykrością, że nie może tego, co sam ze sobą rozstrzygał tak łatwo i tak zdecydowanie, roztrząsać w obecności księżnej Twerskiej, ponieważ ta była dla niego uosobieniem owej brutalnej siły, do której dyrektyw musiał

stosować swe życie w oczach świata i która nie pozwalała mu oddawać się uczuciom miłości i przebaczenia. Urwał i spojrzał na księżnę.

— No, bywaj zdrowa, śliczna moja — rzekła Betsy wstając. Pocałowała Annę i wyszła, odprowadzana przez: Karenina.

— Proszę pana Znam pana i wiem, że jest pan człowiekiem prawdziwie wspaniałomyślnym — Betsy zatrzymała się w małym salonie i uściśniła mu raz jeszcze rękę. — Nie należę do bliższej rodziny, lecz tak bardzo lubię i poważam pana, że pozwalam sobie udzielić panu rady: niech pan go przyjmie. Aleksy Wroński jest uosobieniem: honoru i — wyjeżdża do Taszkientu.

— Dziękuję księżnej za jej sympatię i za rady, lecz zagadnienie, czy moja żona może, czy nie może kogoś przyjąć, rozstrzygnie ona sama.

Powiedział to, z przyzwyczajenia unosząc z godnością brwi do góry, lecz zaraz przyszło mu na myśl, że jakichkolwiek słów by użył — o godności w jego sytuacji nie mogło być mowy. I znalazł potwierdzenie swej myśli w hamowanym złośliwym i szyderyczym uśmiechu, z którym Betsy nań spojrzała, gdy wypowiedział to zdanie.

XX

W dużym salonie Karenin skłonił się księżnej na pożegnanie i wrócił do żony. Anna leżała, lecz słysząc jego kroki, szybko usiadła jak uprzednio i spojrzała na niego bojaźliwie. Spostrzegł, że płakała.

— Dziękuję ci bardzo za twoje zaufanie do mnie — powtórzył łagodnie po rosyjsku słowa powiedziane po francusku przy Betsy i usiadł obok Anny. Kiedy używał

języka rosyjskiego i mówił jej „ty”, wyraz „ty” drażnił Annę nie do wytrzymania. — Jestem ci bardzo wdzięczny za twoją decyzję. I ja także sądzę, że nie ma żadnej potrzeby, aby pułkownik Wroński tu się zjawiał, tym bardziej że wyjeżdża. Zresztą:

— Przecie już powiedziałam; po co to powtarzać?! — przerwała mu nagle Anna z rozdrażnieniem, nad którym nie potrafiła zapanować. „Żadnej potrzeby! — powiedziała sobie w duchu. — Żadnej potrzeby, aby człowiek przyszedł pożegnać się z kobietą, którą kocha, z powodu której chciał zginąć i zostać potępionym i która żyć bez niego nie może, Nie ma żadnej potrzeby!” Zacięła wargi i spuściła błyszczące oczy, patrząc na jego ręce o nabrzmiałych żyłach, ręce, które z wolna pocierał jedną o drugą. — Nie mówmy o tym nigdy — dodała spokojnie.

— Pozostawiłem ci decyzję w tej kwestii — zaczął Aleksy Aleksandrowicz — i cieszę się widząc...

— Że moje życzenia są zgodne z twoimi — szybko dokończyła, zirytowana, że mówił tak powoli, gdy i tak już naprzód wiedziała, co powie.

— Tak — potwierdził — a księżna Twerska wielce nietaktownie wtrąca się do bardzo skomplikowanych spraw rodzinnych. I to właśnie ona...

— Nie wierzę ani jednej z tych rzeczy, które o niej opowiadają. — szybko zaoponowała Anna — i wiem, że mnie szczerze kocha.

Karenin westchnął i zmilczał. Anna nerwowo bawiła.. się chwastami szlafroka, spoglądając na męża z tym dręczącym uczuciem fizycznego wstrętu, z powodu którego robiła sobie wyrzuty, ale którego nie mogła, opanować. Obecnie pragnęła tylko jednej rzeczy — by ją uwolnił od swej nieznośnej obecności.

— A ja właśnie posłałem do doktora — rzekł Kalenin.

— Jestem zdrowa; po co mi doktorzy?

— Wiem. To chodzi o malutką: krzyczy. Podobno mamka nie ma dosyć mleka.

— Czemu nie pozwoliłeś mi karmić, gdy o to błagałam? Tak czy owak (Karenin zrozumiał, co oznaczało to „tak czy owak”), to tylko dziecko, więc je zamorzą. — Zadzwoiła i kazała przynieść sobie niemowlę. — Prosiłam, żeby mi dano karmić, nie pozwolono na to, a teraz muszę wysłuchiwać wyrzutów.

— Wcale ci tego nie wyrzucam.

— Owszem, wyrzucasz! O mój Boże, czemu ja nie umarłam! — I zaczęła szlochać. — Wybacz mi, jestem podrażniona, niesprawiedliwa — rzekła opanowując się. —

Ale, proszę, idź już...

„Nie, to nie może tak dalej trwać” — rzekł do siebie stanowczo Karenin po wyjściu od żony.

Nigdy jeszcze nie zarysowało się przed nim z taką wyrazistością, jak niedopuszczalne w oczach świata jest jego położenie i jaką nienawiść żywi do niego żona. Nigdy nie odczuł równie dotkliwie potęgi tej okrutnej a tajemniczej siły, która wbrew jego wewnętrznej postawie nadawała kierunek jego życiu i żądała, aby spełnił jej wolę i zmienił swój stosunek do żony. Widział doskonale, że cały świat, nie wyłączając żony, czegoś od niego żąda, ale czego — tego zrozumieć nie mógł. Czuł, że w odpowiedzi na to gniew mu powstawał w duszy, gniew, który mącił jego spokój i niszczył całą zasługę płynącą z ofiary. Uważał, że dla Anny byłoby lepiej, gdyby zerwała z Wrońskim, lecz skoro wszyscy znajdowali, że to jest niemożliwe, gotów był nawet zgodzić się na wznowienie tego stosunku, byleby hańba nie spadła na dzieci, byleby ich nie utracić i nic w sytuacji nie zmieniać.

Jakkolwiek było to złe, lepsze jednak było niż zerwanie, po którym położenie Anny stawało się poniżające i bez wyjścia, a on sam zostałby pozbawiony wszystkiego, co kochał. Czuł się wszelako bezsilny, wiedział już z góry, że wszyscy są przeciw niemu i że nie pozwolą mu uczynić tego, co obecnie zdawało mu się naturalne i dobre, a zmuszą do zrobienia czegoś, co będzie złe, ale co oni będą uważali za słuszne.

XXI

Betsy jeszcze nie zdążyła wyjść z salonu, gdy we drzwiach spotkał ją Obłoński, który przyjechał prosto od Jelisiejewa, gdzie właśnie nadeszły świeże ostrygi.

— A, księżna! Co za miłe spotkanie! — powitał ją. — Byłem tylko co u księżnej.

— Spotkanie jednogminutowe, bo właśnie wychodzą — rzekła z uśmiechem Betsy wkładając rękawiczkę.

— Niechże księżna zechce zaczekać z wkładaniem rękawiczki i pozwoli ucałować swą rączkę. Za nic nie jestem tak wdzięczny nawrotowi dawnego zwyczaju, jak za modę całowania rączek. — Tu pocałował rękę Betsy. — Kiedyż się zobaczymy?

— Książę wcale nie jest tego wart — uśmiechnęła się Betsy.

— Przeciwnie, bardzo jestem wart: stałem się najpoważniejszym z ludzi. Doprowadzam do porządku nie tylko własne rodzinne sprawy, ale i cudze — tłumaczył ze znaczącą miną.

— Ach, jak to dobrze! — Betsy natychmiast odgadła, że mowa o Annie. Powrócili do salonu i zatrzymali się w rogu. — On ją zadreczy na śmierć — szepnęła porozumiewawczo. — To niemożliwe, niemożliwe.

— Bardzo się cieszę, że księżna tak sądzi — rzekł Stiepan Arkadjicz kiwając głową z miną bolesną i współczującą — dlatego właśnie przyjechałem do Petersburga.

— Całe miasto o tym mówi — ciągnęła dalej.. — To sytuacja nie do zniesienia. Ona po prostu niknie w oczach a on nie rozumie, że Anna to jedna z tych kobiet, które nie potrafią igrać swym uczuciem. Jedno z dwojga: albo powinien był ją stąd wywieźć, postąpić energicznie, albo dać jej rozwód. Ale tak jak rzeczy stoją — przygniata ją to.

— Tak... Właśnie, właśnie... — wzdychał Obłoński. — Dlatego przyjechałem. Właściwie nie wyłącznie dlatego. Zostałem szambelanem, no więc musiałem podziękować. Ale przede wszystkim trzeba z tym zrobić porządek.

— No więc — Boże dopomóż!

Odprowadziwszy księżnę Betsy aż do sieni Stiepan Arkadjicz raz jeszcze pocałował jej rękę powyżej rękawiczki, tam, gdzie bije puls, nagadał jej tyle nieprzyzwoitych głupstw, że nie wiedziała już, czy śmiać się, czy się gniewać, po czym wszedł do siostry. Zastał ją we łzach.

Mimo że był w nastroju aż pieniającym się od wesołości, natychmiast, bez żadnego przymusu, przeszedł na współczujący, poetycko — egzaltowany ton licujący ze stanem Anny. Zapytał ją o zdrowie i — jak spędziła ranek.

— Bardzo, bardzo źle. I dzień, i rano, i wszystkie przeszłe, i wszystkie przyszłe dni!

— Widzę, że się poddajesz posepnemu nastrojowi. Trzeba się otrząsnąć, trzeba spojrzeć życiu prosto w oczy. Wiem, że to trudno, ale...

— Słyszałam, że kobiety potrafią kochać mężczyzn nawet za ich wady — nagle zaczęła Anna — lecz ja go nienawidzę za jego cnotę. Nie mogę z nim żyć. Zrozum, że już sam jego widok mnie wprost fizycznie odstręcza, tracę panowanie nad

sobą. Nie mogę, nie mogę z nim żyć! Co mam więc począć? Byłam nieszczęśliwa i myślałam, że już gorzej być nie może, ale nie wyobrażałam sobie nawet takiego strasznego stanu, jakiego obecnie doświadczam. Czy ty uwierzysz, że wiedząc, jaki to dobry, jaki przezacny człowiek, i że niewarta jestem nawet tyle, co jeden jego paznokieć — mimo to nienawidzę go. Nienawidzę za jego wspaniałomyślność! I nic mi nie pozostaje, chyba...

Chciała powiedzieć „śmierć”, lecz brat nie dał jej dokończyć.

— Jesteś chora i, podrażniona — rzekł — wierzaj mi, że okropnie przesadzasz. Tu nie ma nic aż tak strasznego.

I Stiepan Arkadjicz uśmiechnął się. Na jego miejscu i mając do czynienia z taką desperacją, nikt by sobie nie pozwolił na uśmiech (wydałoby się to brutalne), ale w uśmiechu Stiepana Arkadjicza tyle było dobroci i prawie kobiecej tkliwości, że uśmiech ten nie uraził, lecz łagodził i uspokajał. Jego ciche, pocieszające słowa i ten uśmiech działały odprężająco i kojąco jak olejek migdałowy. Anna to zaraz odczuła.

— Nie, Stiwa — mówiła dalej. — Ze mną jest koniec, koniec! Gorzej niż koniec. Jeszcze nie całkiem zginęłam; jeszcze nie mogę powiedzieć, że wszystko się skończyło; przeciwnie, czuję, że się nie skończyło. Jestem jak napięta struna, która musi pęknąć. Ale to jeszcze nie koniec... I koniec będzie okropny.

— To nic, strunę można powolutku oblużować. Nie ma sytuacji bez wyjścia.

— Myślałam i myślałam. Tylko jedno...

Znów z jej wylękłego wejrzenia zrozumiał, że jej zdaniem, jedyne wyjście — to śmierć, i nie dał jej dokończyć.

— Ani trochę — rzekł. — Pozwól tylko. Nie możesz

ocenić swego położenia tak, jak to mogę ja. Pozwól mi szczerze wypowiedzieć moje zdanie — tu znów uśmiechnął się delikatnie swym migdałowym uśmiechem. — Zacznę od początku: wyszłaś za mąż za człowieka starszego od siebie o lat dwadzieścia. Wyszłaś za mąż bez miłości lub też nic o miłości nie wiedząc. Dajmy na to, że to był błąd.

— Okropny błąd! — szepnęła Anna.

— Ale powtarzam: to jest fakt. Później — powiedzmy nieszczęściem — pokochałaś kogoś, kto nie był twoim mężem. Jest to nieszczęśliwy zbieg okoliczności, ale i to również fakt już dokonany. I mąż twój uznał to i przebaczył. — Stiepan Arkadjicz zatrzymywał się po każdym zdaniu, oczekując na odpowiedź, lecz Anna milczała. — Tak rzeczy stoją. Obecnie kwestia polega na tym: czy możesz żyć w dalszym ciągu ze swoim mężem? Czy tego pragniesz? Czy on sobie tego życzy?

— Nic nie wiem, nic, nic nie wiem.

— Przecie powiedziałaś sama, że nie możesz go znieść. — Nie, tego nie powiedziałam. Cofam to. Nic nie wiem i nic nie rozumiem.

— Tak, ale pozwól...

— Nie zrozumiesz tego. Czuję, że spadam głową na dół w jakąś przepaść, ale że nie powinnam się ratować. I nawet bym nie potrafiła.

— To nic, podstawimy coś i złapiemy cię w powietrzu. Rozumiem ciebie, rozumiem, że nie możesz zdobyć się na wypowiedzenie swoich chęci, swoich uczuć.

— Nic, nic nie pragnę... Tylko żeby już był koniec.

— Ale on to widzi i wie o tym. Czy myślisz, że jest mniej od ciebie udęczoney? Ty się męczysz, on się męczy i do czego to ma doprowadzić? A tymczasem rozwód całą rzecz by rozstrzygnął — Stiepan Arkadjicz z pewnym wysiłkiem

wypowiedział swą myśl przewodnią i spojrzał na siostrę.

Anna nic nie odrzekła i przecząco potrząsnęła swą ostrzyżoną głową, lecz z wyrazu jej twarzy, nagle znów jaśniejącej pięknnością, poznał, iż nie pragnęła rozvodu tylko dlatego, że jej się to wydawało niemożliwym do ziszczenia szczęściem.

— Strasznie mi was żal. Jakże byłbym szczęśliwy, gdyby mi się udało to przeprowadzić — Obłoński uśmiechnął się już nieco śmieiej. — Nic nie mów! Żeby mi tylko Bóg pozwolił wypowiedzieć to tak, jak czuję. Idę do niego.

Anna bez słowa spojrzała na brata zamyślonymi, błyszczącymi oczyma.

XXII

Stiepan Arkadjicz wszedł do gabinetu Karenina z tą uroczystą miną, z jaką zasiadał na przydzielonym fotelu w swym biurze. Karenin chodził po pokoju z założonymi w tył rękami i myślał o tym właśnie, o czym szwagier rozmawiał z jego żoną.

— Czy ci nie przeszkadzam? — spytał Stiepan Arkadjicz. Na widok szwagra poczuł nieczęsto ogarniające go zakłopotanie. Aby je ukryć, wydobyl świezo kupioną papierośnicę otwierającą się w specjalny sposób, powąchał skórę i wyjął papierosa.

— Nie. Czy masz do mnie jaki interes? — niechętnie odparł Karenin.

— Tak, chciałem... muszę po... tak, muszę z tobą pomówić — rzekł Obłoński, sam zdumiony swą niezwykłą nieśmiałością.

Uczucie to było tak nieoczekiwane i dziwne, że Stiwa nie uwierzył głosowi sumienia mówiącego mu: „To co masz

zamiar uczynić, jest złe” — i z wysiłkiem opanował ogarniające go zakłopotanie.

— Mam nadzieję, że wierzysz w miłość moją dla siostry, a szczerze przywiązanie i szacunek dla ciebie — rzekł czerwieniąc się.

Karenin zatrzymał się, ale nic nie odpowiedział; Obłońskiego uderzył wyraz bezbronności, który malował się na jego twarzy.

— Miałem zamiar, chciałem pomówić z tobą o siostrze i o waszym wzajemnym stosunku — ciągnął dalej Stiepan Arkadjicz wciąż borykając się z niezwykłą nieśmiałością.

Karenin uśmiechnął się smutnie, spojrzął na szwagra, bez słowa podszedł do stołu, wziął stamtąd rozpoczęty list i podał go szwagrowi.

— Myślałem i ja o tym bez ustanku. I oto, co zacząłem pisać sądząc, że lepiej wypowiem rzecz na piśmie, i wiedząc że ją moja obecność drażni — rzekł podając mu list.

Stiepan Arkadjicz wziął list, z pełnym zdumienia niezdecydowaniem spojrzął w matowe oczy, nieruchomo w nim utkwione, i począł czytać:

„Widzę, że Ci obecność moja ciąży. Jakkolwiek przekonanie się o tym sprawiło mi wielką boleść, widzę jednak, że tak jest i że inaczej być nie może. Nie obwiniam Cię i Bóg mi świadkiem, że gdy zobaczyłem Cię podczas choroby, z całej duszy postanowiłem zapomnieć o wszystkim, co pomiędzy nami zaszło, i rozpocząć nowe życie. Nie żałuję i nigdy nie będę tego żałował; ale ja pragnąłem tylko jednej rzeczy — Twojego dobra, dobra Twojej duszy, a teraz widzę, że tego nie osiągnąłem. Powiedz mi samą, co da Ci prawdziwe szczęście, a Twojej duszy — spokój. Zdaję się całkiem na Twoją wolę i Twoje poczucie

tego, co słuszne.”

Stiepan Arkadjicz zwrócił list i z tym samym pełnym niezrozumienia zdziwieniem patrzył dalej na szwagra nie wiedząc, co rzec. Milczenie to było dla obu tak kłopotliwe, że wargi Obłońskiego poczęły drgać nerwowo. Milczał nie spuszczać wzroku z Karenina.

— Oto, co chciałem jej powiedzieć — rzekł Karenin i odwrócił się.

— Tak, tak... — Stiepan Arkadjicz niezdolny był do żadnej odpowiedzi, gdyż łyzy ścisnęły mu gardło. — Tak, tak... Rozumiem cię — udało mu się w końcu wymówić.

— Pragnę wiedzieć, czego ona sobie życzy — rzekł Karenin.

— Obawiam się, że ona nie rozumie swojej sytuacji. Nie może sama być jej sędzią — opanowując się mówił Obłoński. — Jest zdruzgotana, tak właśnie, zdruzgotana twoją wspaniałomyślnością. Jeśli przeczyta ten list, nic nie będzie mogła odpowiedzieć, tylko schyli czoło jeszcze niżej.

— Dobrze, ale w takim razie, co będzie? Jak wyjaśnić... jak się dowiedzieć, czego ona pragnie?

— Jeśli mi wolno wypowiedzieć moje zdanie, to sądzę, że to od ciebie zależy: powinieneś wprost wskazać kroki, jakie zamierzasz przedsięwziąć, by położyć kres tej sytuacji.

— A więc znajdujesz, że należy jej położyć kres? — przerwał mu Karenin. — Ale w jaki sposób? — dodał podnosząc nagle ręce do oczu. — Nie widzę żadnego możliwego wyjścia.

— Z każdej sytuacji jest wyjście — żywo odpowiedział Stiepan Arkadjicz wstając. — Był czas, kiedy chciałeś zerwać... Obecnie, jeśli dojdiesz do przekonania, że nie możecie dać sobie wzajemnie szczęścia...

— Szczęście rozmaicie można rozumieć. Ale przypuśćmy że zgodzę się na wszystko, że nic dla siebie nie pragnę — jakież jest wyjście z naszej sytuacji?

— Jeśli chodzi o moje zdanie — rzekł Stiepan Arkadjicz z tym samym łagodzącym, migdałowo — czułym uśmiechem, z którym uprzednio mówił do Anny (ten pocziwy uśmiech był tak przekonywający, że Karenin mimo woli, czując swą słabość i poddając się jej, gotów był uwierzyć jego słowom) — to ona nigdy tego nie powie. Jest tylko jedna możliwość; Anna może pragnąć tylko jednej rzeczy — ciągnął Stiepan Arkadjicz dalej — zerwania wszelkich stosunków i związanych z nimi wspomnień. Moim zdaniem, w waszej sytuacji konieczne jest wyklarowanie nowego stanu rzeczy; ten nowy stan rzeczy może się ustalić tylko, o ile obie strony będą wolne.

— A więc rozwód — przerwał ze wstętem Karenin.

— Tak, sądzę, że rozwód — powtórzył czerwieniąc się Obłoński. — To jest pod każdym względem najrozsądniejsze wyjście dla małżonków w takiej sytuacji jak wasza. Co począć, gdy małżonkowie dojdą do przekonania, że wspólne życie jest dla nich niemożliwe? To się zawsze może zdarzyć. — Karenin ciężko westchnął i przymknął oczy. — Tylko jeden względem może tu jeszcze grać pewną rolę: oto, czy jedno z małżonków nie życzyłoby sobie wejść powtórnie w związki małżeńskie? Jeśli nie, to sprawa jest całkiem prosta — dokończył Stiepan Arkadjicz, coraz bardziej pozbywając się nieśmiałości.

Karenin, z brwiami ściągniętymi ze wzburzenia, bąknął coś pod nosem i nic nie odpowiedział. To wszystko, co Obłońskiemu wydawało się takie proste, przemyślał już był tysiąc razy i wszystko wydawało mu się nie tylko nie całkiem proste, lecz zupełnie niemożliwe. Rozwód, którego szczegóły

już znał, zdawał mu się obecnie niemożliwy, gdyż zarówno godność osobista, jak i szacunek dla religii nie pozwalały mu wziąć na siebie winy fikcyjnego cudzołóstwa, a tym mniej pozwalały na to, by żona, którą kochał i której przebaczył, miała być schwytana na gorącym uczynku i okryta hańbą. Ale rozwód był niemożliwy z innych, jeszcze ważniejszych przyczyn.

Na wypadek rozwodu co by się stało z synkiem? Nie można go było zostawić z matką. Rozwiedziona matka będzie miała swoją nieślubną rodzinę, pośród której sytuacja pasierba i jego wychowanie byłoby, według wszelkiego prawdopodobieństwa, niepomysłne. Zostawić go przy sobie? Wiedział, że z jego strony byłaby to zemsta; tego nie chciał. Ale poza tym rozwód wydawał się Kareninowi najbardziej niedopuszczalnym dlatego, że zgadzając się nań przyczyniłby się do zguby Anny. Słowa wypowiedziane w Moskwie przez Darię Aleksandrownę wryły w jego duszy głęboki ślad; powiedziała wówczas, że decydując się na rozwód myśli tylko o sobie, nie biorąc pod uwagę, że przez to bezpowrotnie gubi Annę. Karenin powiązał te pamiętne słowa ze swym przebaczeniem, ze swym przywiązaniem do dzieci i teraz rozumiał je na swój sposób. Teraz w jego pojęciu zgoda na rozwód, darowanie Annie wolności były równoznaczne z jego strony z zrzeczeniem się ostatniej spójni z dziećmi, które kochał, a dla Anny równało się to utracie ostatniego punktu oparcia na dobrej drodze, było to tyle samo, co oddać ją na zatracenie. Wiedział, że jeśli będzie rozwódką, to połączy się z Wrońskim, a związek ten byłby nielegalny i występny, ba żona — w pojęciu prawa kościelnego — nie może otrzymać ślubu, dokąd jej mąż żyje. „Połączy się z nim, a po roku czy dwóch latach albo on ją porzuci, albo ona nawiąże nowy romans — myślał Karenin. — I ja, zgodziwszy się na

nielegalny rozwód, będę sprawcą jej zguby.” Setki razy zastanawiał się nad tym i był pewien, że rozwód nie tylko jest sprawą całkiem prostą, jak twierdził jego szwagier, lecz że jest w ogóle niedopuszczalny. Nie wierzył ani jednemu słowu Stiepana Arkadjicza, miał tysiąc argumentów na każde z nich, słuchał wszelako szwagra z przeświadczeniem, że przez usta jego przemawia ta potężna, brutalna siła, która kieruje jego, Karenina, życiem i której będzie zmuszony się poddać.

— Chodzi tylko o to, na jakich warunkach, zgodziłbyś się przeprowadzić rozwód. Ona nic nie żąda, nie śmie cię o nic prosić; pozostawia wszystko twojej wspaniałomyślności.

„Mój Boże! Mój Boże! Za co mnie to spotyka?” — pomyślał Karenin i przypominając sobie szczegóły takiej sprawy rozwodowej, w której mąż brał na siebie winę, ukrył ze wstydu twarz w dłoniach tym samym gestem, jakim niedawno zasłonił się Wroński.

— Rozumiem, że jesteś wzburzony. Ale jeśli rozważysz...

„Temu, kto cię uderzy w prawy policzek, nadstaw lewy, a temu, kto ci zabiera kaftan, oddaj i koszulę” — pomyślał Karenin.

— Tak, tak! — wykrzyknął piskliwym głosem — biorę na siebie tę hańbę, oddam nawet syna, ale... czyż nie lepiej byłoby dać temu pokój? Zresztą, rób, co chcesz...

I odwrócony od szwagra, tak by ten nie mógł widzieć jego twarzy, usiadł na krześle przy oknie. Pełen był goryczy i wstydu, ale obok smutku i wstydu czuł radość i rozrzewnienie wobec wielkości własnej ofiary.

Obłoński był wzruszony. Przez chwilę milczał.

— Wierzaj mi, Aleksy — powiedział wreszcie — że Anna oceni twoją wspaniałomyślność. Widocznie taka już była wola boska — dodał. Wypowiedziawszy to, zdał sobie

sprawę, że powiedział głupstwo, i z trudnością powściągnął uśmiech nad własną głupotą.

Karenin chciał coś odpowiedzieć, lecz łyzy mu przeszkodziły.

— Jest to nieszczęście zesłane przez los i trzeba się tak do niego ustosunkować. Co do mnie, stwierdzam, że nieszczęście to jest faktem dokonanym, i staram się dopomóc i jej, i tobie — zakończył Stiepan Arkadjicz.

Wychodząc z pokoju szwagra był wzruszony, co nie przeszkadzało mu cieszyć się z pomyślnego załatwienia sprawy, był bowiem pewien, że Karenin słowa swego nie cofnie. W zadowoleniu jego nie brakło pewnej domieszki; oto układał sobie już z góry, że gdy rzecz cała się zakończy, będzie mógł żonie i bliskim znajomym zadawać pytanie: „Jaka jest różnica pomiędzy mną a Najjaśniejszym Panem? — Kiedy Najjaśniejszy Pan zarządza zmianę warty, to nikt nie ma z tego pożytku, a kiedy ja to zrobiłem, aż trzy osoby na tym skorzystały... Albo: jakie jest podobieństwo pomiędzy mną a Najjaśniejszym Panem? Kiedy... Zresztą, lepiej to jeszcze obmyśle” — rzekł sobie w duchu z uśmiechem.

XXIII

Rana Wrońskiego była niebezpieczna, mimo że kula przeszła obok serca. Dni kilka przeleżał pomiędzy życiem a śmiercią. Kiedy po raz pierwszy był w stanie mówić, tylko bratowa jego, Waria, była obecna w pokoju.

— Waria! — powiedział patrząc na nią surowo. — Strzeliłem do siebie przypadkiem. I proszę cię, nie mów mi nigdy o tym, a innym także zapowiedz. Bo inaczej to za głupio!

Nie odpowiadając mu wręcz, Waria nachyliła się nad nim i zajrzała mu w twarz z radosnym uśmiechem: oczy miał przejrzyste, nie rozgorączkowane, ale wyraz ich był surowy.

— No, dzięki Bogu! — rzekła. — Czy cię już nie boli?

— Trochę tutaj. — Wskazał na pierś.

— Pozwól, że ci zrobię opatrunek.

Spoglądał na nią w milczeniu, podczas gdy go opatrywała, i zaciskał szczęki pod szerokimi kośćmi policzkowymi. Gdy skończyła, dodał jeszcze:

— Jestem przytomny. Proszę cię, postaraj się, by nie gadano, że umyślnie do siebie strzeliłem.

— Nikt tego nie twierdzi. Tylko mam nadzieję, że już nie będziesz więcej strzelał nieumyślnie — uśmiechnęła się do niego pytająco.

— Może i nie będę, a byłoby lepiej... Uśmiechnął się pośepnie.

Mimo uśmiechu i tych słów, które mocno nastraszyły Warię, gdy zapalenie minęło i Wroński zaczął przychodzić do siebie, poczuł, że uwolnił się przynajmniej od części swego cierpienia, postępkim swym bowiem jak gdyby zmył z siebie wstyd i poniżenie, których poprzednio doznawał. Mógł teraz myśleć spokojnie o Kareninie. Uznawał całą jego wspaniałomyślność, ale już się nie czuł nią upokorzony. Poza tym wszedł znowu w dawny nurt życia. Uważał, że ma prawo patrzeć bez zawstyżenia ludziom w oczy, i był w stanie żyć kierując się dawnymi nawykami. Jednego tylko nie mógł wyrwać z serca, mimo ustawicznej walki wewnętrznej: żalu graniczącego z rozpaczą, że na zawsze utracił Annę. W sercu swym niezłomnie postanowił, że teraz, po okupieniu swej winy wobec męża, powinien się jej wyrzec i nigdy więcej nie stawać pomiędzy Anną — z jej skrucą — a Kareninem. Nie mógł wszelako wydrzeć sobie z serca żalu, że utracił jej

miłość, nie mógł zatrzeć w pamięci tych chwil szczęścia, których z nią zaznał, które wówczas tak mało sobie cenił, a których niezapomniany urok nie dawał mu dziś spokoju.

Sierpuchowski wykoncypował dla niego misję do Taszkientu i Wroński zgodził się na tę propozycję bez wahania, lecz im bliższa była chwila wyjazdu, tym cięższa wydawała mu się ofiara, którą składał temu, co uważał za słuszne.

Rana mu się zgoiła i już jeździł po mieście, przygotowując się na wyjazd do Taszkientu.

„Raz tylko ją zobaczyć, a potem zagrzebać się tam... umrzeć...” — myślał i na jednej z wizyt pożegnalnych powiedział to spotkanej tam Betsy. Z tą misją Betsy pojechała do Anny i przywiozła mu odmowę.

„Tym lepiej — pomyślał Wroński po otrzymaniu tej wiadomości.

— To była słabość i wyczerpałoby to resztę moich sił.”

Na drugi dzień rano sama Betsy przyjechała do niego z oznajmieniem, że otrzymała przez Obłońskiego zupełnie pewną wiadomość, jakoby Karenin zgadzał się na rozwód, że więc Wroński może się z Anną widzieć.

Wroński zapomniał nawet odprowadzić Betsy do drzwi, zapomniał o wszystkich swych postanowieniach, nie zapytał, kiedy można i gdzie jest mąż. Natychmiast pojechał do domu Kareninów. Wpadł na schody nic i nikogo nie widząc i szybkim krokiem, z trudem opanowując się, by nie biec, wszedł do jej pokoju. I nie myśląc, nie uważając — czy jest kto u niej, czy nie, objął ją i począł obsypywać pocałunkami jej twarz, ręce i szyję.

Anna przygotowywała się na to widzenie, myślała o tym, co mu powie, lecz nic z tego powiedzieć nie zdążyła: namiętność jego ogarnęła także i ją. Chciała go uspokoić i

uciszyć się sama, ale było za późno. Uczucie jego udzieliło się i jej. Usta jej tak drżały, że nie mogła wymówić ani słowa.

— Tak, ovladnałeś mną zupełnie. Jestem twoja — wyrzekła wreszcie, przyciskając jego rękę do piersi.

— Tak być powinno! — rzekł. — Pokąd jesteśmy żywi, tak być powinno. Wiem to teraz.

— To prawda — mówiła blednąc coraz bardziej i ujmując w swe ręce jego głowę. — A jednak czy to nie przerażające, że po tym wszystkim, co zaszło?...

— To wszystko przejdzie, przejdzie i będziemy tacy szczęśliwi! Nasza miłość — gdyby to było, w ogóle możliwe — od tego czegoś przerażającego bardziej by jeszcze wzrosła — podniósł głowę ukazując w uśmiechu mocne zęby.

Nie mogła nie odpowiedzieć uśmiechem — nie na słowa, lecz na zakochane spojrzenie Wrońskiego. Wzięła jego rękę i gładziła nią swe ziębnięce policzki i ostrzyżone włosy.

— Nie poznaję cię w tych krótkich włosach. Jakaś ty wypiękniała. Wyglądasz jak chłopiec. Ale taka jesteś blada!

— Tak, jestem bardzo słaba — uśmiechnęła się i wargi jej znowu poczęły drżeć.

— Pojedziemy do Włoch, tam wyzdrowiejesz — pocieszał ją.

— Czy to możliwe, że będziemy jak mąż z żoną, sami we dwoje, jak rodzina? — powiedziała patrząc mu z bliska w oczy.

— Zawsze mnie to tylko dziwiło, że kiedykolwiek mogło być inaczej.

— Stiwa powiada, że on na wszystko się zgadza, lecz ja nie mogę przyjąć tej jego wspaniałomyślności — mówiła patrząc w przestrzeń, nie na twarz Wrońskiego. — Nie chcę już rozwodu, jest mi teraz wszystko jedno. Nie wiem tylko, co on postanowi o Sierioży.

Wroński nie mógł pojąć, jak mogła w tym momencie ich widzenia myśleć, pamiętać o synku, o rozwodzie. Czy to nie było obojętne?

— Nie mów o tym, nie myśl — pieścił rękę Anny starając się zwrócić jej uwagę na siebie, bo wzrok jej wciąż go omijał.

— Ach, czemuż nie umarłam, tak byłoby lepiej! — rzekła i łzy bez szlochu popłynęły po jej policzkach, choć usiłowała uśmiechać się, by go nie martwić.

Według dawnych pojęć Wrońskiego ,byłoby rzeczą hańbiącą i niedopuszczalną odmówić zaszczytnej i niebezpiecznej misji w Taszkencie Teraz wszakże zrzekł się jej bez chwili namysłu, a stwierdziwszy w wysokich sferach dezaprobatę swego postępku, niezwłocznie podał się do dymisji.

W Miesiąc później Karenin pozostał w swym mieszkaniu sam jeden z synkiem. Anna zaś wyjechała z Wrońskim za granicę. Nie otrzymała rozwodu i stanowczo się go zrzekła.

TOM DRUGI

CZEŚĆ PIĄTA

I

Księżna Szczerbacka uważała, że było rzeczą niemożliwą, by ślub odbył się przed wielkim postem, do którego pozostawało już tylko pięć tygodni, do tego czasu bowiem można było zdążyć zaledwie z połową wyprawy. Musiała jednak zgodzić się z Lewinem, że po wielkim poście mogłoby być za późno na ślub, gdyż rodzona ciotka księcia Szczerbackiego, staruszka, była bardzo chora i mogła niebawem umrzeć, a wówczas żałoba odwlekłaby ślub na jeszcze dalszy termin. Księżna postanowiła więc podzielić wyprawę na dwie części — dużą i małą wyprawę — i zgodziła się, aby ślub odbył się przed wielkim postem. Małą wyprawę zdecydowała się przygotować w całości zaraz, dużą zaś przesłać później, i wielce się gniewała na Lewina, gdy ten absolutnie nie potrafił odpowiedzieć jej serio, czy się na to zgadza, czy też nie. Takie załatwienie było tym dogodniejsze, że młoda para zaraz po ślubie miała wyjechać na wieś, gdzie rzeczy należące do większej wyprawy nie były potrzebne.

Lewin i nadal znajdował się w tym samym stanie szaleństwa, w którym zdawało mu się, że on sam i jego szczęście są głównym i jedynym celem wszystkiego, co istnieje na świecie, że nie ma potrzeby o nic się troszczyć, gdyż działają i będą działali za niego inni. Nie miał nawet żadnego celu, żadnych planów co do dalszego życia; pozostawiał decyzję innym, ufając, że wszystko doskonale się ułoży. Brat jego Sergiusz, Stiepan Arkadjicz oraz stara księżna dyrygowali nim, gdy chodziło o to, jak miał postąpić, on zaś zgadzał się bez zastrzeżeń na wszystko, co mu proponowano. Brat zaciągnął w jego imieniu pożyczkę,

księżna poradziła, aby po ślubie opuścili Moskwę. Obłoński doradzał wyjazd za granicę. Lewin na wszystko się zgadzał. „Róbcie, co chcecie, skoro was to bawi. Jestem szczęśliwy i szczęście moje nie może ani wzrosnąć, ani zmaleć, cokolwiek byście uczynili” — myślał. Gdy zakomunikował Kitty radę Obłońskiego, aby pojechać za granicę, zdziwił się wielce, gdy Kitty się nie zgodziła i miała na temat ich przyszłości jakieś własne, określone życzenia. Wiedziała, że Lewin ma na wsi ulubione swoje sprawy, których nie tylko nie rozumiała, ale — jak się Lewin spostrzegł — wcale nie chciała zrozumieć. To nie przeszkadzało, że uznawała wielką wagę tych spraw. Dlatego wiedząc, że dom ich jest na wsi, pragnęła jechać nie za granicę, gdzie mieszkać nie mieli, lecz tam, gdzie zamierzali osiąść na stałe. Życzenie jej, tak wyraźnie sformułowane, zadziwiło Lewina, ale ponieważ było mu wszystko jedno, natychmiast poprosił Obłońskiego — tak jakby to było obowiązkiem tego ostatniego — aby pojechał na wieś i urządził tam wszystko według własnego uznania, z właściwym sobie smakiem.

— Posłuchaj no tylko — rzekł raz Stiepan Arkadjicz do Lewina po powrocie z majątku, gdzie urządził wszystko na przyjęcie młodej pary — czy ty masz świadectwo odbytej spowiedzi i komunii?

— Nie, bo co?

— Bez tego nie dostaniesz ślubu.

— Aj, aj, aj! — zawołał Lewin. — Toć ja, zdaje się, już z dziesięć lat jak nie byłem u spowiedzi i nie komunikowałem się. Nawet mi to na myśl nie przyszło.

— Dobre sobie! — zaśmiał się Obłoński. — I to ty mnie nazywasz nihilistą! No, ale tak nie można; musisz to załatwić.

— Ale kiedy? Zostały tylko cztery dni.

Obłoński zorganizował także i to, i Lewin rozpoczął

ćwiczenia nabożne.

Dla Lewina, jako dla człowieka niewierzącego, ale szanującego przekonania innych, obecność na jakichkolwiek obrzędach kościelnych i udział w nich były bardzo przykre. Teraz, w tym uczulonym na wszystko, rozkliwionym nastroju, w jakim się znajdował, przymus udawania był dlań nie tylko bolesny, ale wydawał mu się wprost nie do zniesienia. Właśnie teraz, u szczytu swej glorii, w pełni rozkwitu miałby być zmuszony albo kłamać, albo profanować rzeczy święte. Nie czuł się zdolny ani do jednego, ani do drugiego. Daremnie dopytywał się raz po raz Stiepana Arkadjicza, czy nie można by otrzymać zaświadczenia nie przystępując do sakramentów; ten jednak oświadczył, że to niemożliwe.

— I cóż ci to szkodzi? Toż to tylko dwa dni! Poza tym, to przemiły, mądry staruszek. Wyrwie ci ten ząb tak, że nawet tego nie zauważysz.

Stojąc w cerkwi na pierwszej mszy Lewin spróbował odnowić w pamięci młodzieńcze wspomnienia tych mocnych uczuć religijnych, jakie żywił mając szesnaście, siedemnaście lat, lecz wnet przekonał się, że było to dla niego zupełną niemożliwością. Próbował spojrzeć na to wszystko, jak na nic nie znaczący, niepotrzebny zwyczaj, podobny do zwyczaju składania wizyt, ale czuł, że i tego absolutnie nie potrafi. Stosunek Lewina do religii był — jak i u większości ludzi mu współczesnych — zupełnie nieokreślony: nie mógł zdobyć się na wiarę, ale nie był także całkiem przekonany, że to wszystko było nieprawdą. Dlatego, nie będąc w stanie ani wierzyć, że to, co czynił, miało jakąś wagę, ani ustosunkować się do tego obojętnie, jak do pustej formalności, czuł się przez cały czas tych nabożeństw niezręcznie; wstydził się, że robi coś, czego sam nie rozumie, a więc — jak mówił mu

głos wewnętrzny — coś nieszczerego i niedobrego.

Podczas nabożeństw to słuchał modlitw usiłując wkładać w nie sens, który by się nie sprzeciwiał jego przekonaniom, to znów — czując, że nie może modlitw zrozumieć i zniewolony jest je odrzucić — starał się ich nie słuchać. Zagłębiał się wówczas w swoje myśli, obserwacje i wspomnienia, które podczas tego bezczynnego wystawiania w cerkwi tłukły mu się po głowie z niezwykłym impetem.

Tak stojąc przetrwał mszę i nabożeństwo wieczorne, a nazajutrz, wstawszy wcześniej niż zazwyczaj, udał się na czczo do cerkwi o godzinie ósmej rano, aby wysłuchać nabożeństwa porannego i odbyć spowiedź.

W cerkwi nie było nikogo oprócz inwalidy żebraka, dwóch staruszek i personelu cerkiewnego.

Młody diakon*, z ostro rysującymi się dwiema połówkami długiego grzbietu pod cienką suknią, zbliżył się do niego i podchodząc do stolika przy ścianie, począł natychmiast odmawiać modlitwy poranne. W miarę tej recytacji, zwłaszcza przy częstym i szybkim powtarzaniu tych samych słów: „Gospodi pomiluj”, które brzmiały jak „pomilos, pomilos” — Lewin poczuł, że umysł jego jest zamknięty i opieczętowany i że lepiej go teraz nie ruszać, by nie pogrążyć się w chaos. Dlatego stojąc za plecami diakona, szedł dalej za własną myślą nie słuchając i nie wgłębiając się w to, co tamten mówił. „Zadziwiające, ile ręka jej ma wyrazu” — rozmyślał przypominając sobie, jak dnia poprzedniego siedzieli przy narożnym stole. Nie mieli tematu do rozmowy jak to nieraz w narzeczeństwie bywa, i Kitty, kładąc dłoń na stole, raz po raz otwierała ją i zamykała, aż spojrzawszy na ruchy własnej ręki, sama poczęła się śmiać. Przypomniwał sobie, jak pocałował tę dłoń i jak później oglądał linie

* Diakon — duchowny mający niższe święcenia.

spotykające się w jej różowym wnętrzu. „Znów to «pomilos», — pomyślał Lewin robiąc znak krzyża, składając pokłon i spoglądając na giętki ruch grzbietu bijącego pokłony diakona. „Później ona wzięła moją rękę i oglądała na niej linie. — Dobrą masz rękę — powiedziała.” Tu popatrzył na własną dłoń i na krótką dłoń diakona. „Tak, teraz prędko będzie koniec” — pomyślał. „Nie, zdaje się, że znowu wszystko zacznie się od początku” — dodał nasłuchując. „Nie, już koniec; już się kłania do samej ziemi. To się zawsze robi przed końcem.”

Wziąwszy niepostrzeżenie ręką w pluszowym mankiecie trzyrublowy banknot, diakon obiecał zapisać i — zuchowato stukając nowymi butami po płytach pustej cerkwi — poszedł w głąb do ołtarza. Po chwili wyjrzał stamtąd i dał ręką znak Lewinowi. Zdolność myślenia — tak długo na uwieży — drgnęła teraz w mózgu Lewina, ale ją pośpiesznie uciszył. „Jakoś to będzie” — powiedział sobie i zbliżył się do empory*. Wszedł na stopnie i zawróciwszy w prawo ujrzał popa. Staruszek pop, o rzadkiej siwiejącej brodzie i poczciwych zmęczonych oczach, stał przy pulpicie i przerzucał kartki rejestru. Skłoniwszy się z lekka Lewinowi, począł natychmiast zwykłym głosem recytować modlitwy. Gdy skończył, złożył pokłon aż do ziemi i zwrócił się do Lewina twarzą.

— Oto Chrystus, obecny tutaj w sposób niewidzialny, ma przyjąć pańską spowiedź — rzekł wskazując na krucyfiks. — Czy wierzy pan we wszystko, czego nas naucza święta apostołska Cerkiew? — ciągnął dalej, odwracając oczy od twarzy Lewina i składając ręce pod stulą.

— Wątpiłem i wątpię o wszystkim — powiedział Lewin głosem, który zdał mu się samemu niemiły, i zamilkł.

* Empora — w cerkwi podwyższenie przed ołtarzem, z którego pop czyta Ewangelię.

Pop zaczął kilka sekund, czy Lewin czegoś więcej nie powie, po czym zamknawszy oczy, szybko, z włódimierskim naciskiem na literę „o” wyrzekł:

— Wątpienie jest właściwe słabości ludzkiej, ale winniśmy się modlić, aby Bóg miłosierny nas umocnił. Jakie ma pan szczególne grzechy? — dodał bez najmniejszej pauzy, jakby usiłując nie tracić czasu.

— Głównym moim grzechem są wątpliwości. Wątpię o wszystkim i przeważnie znajduję się w stanie zwątpienia.

— Wątpić — to właściwość ludzkiej słabości — powtórzył pop. — O czymże mianowicie pan wątpi?

— Wątpię we wszystko. Niekiedy wątpię nawet w istnienie Boga — mimo woli wyznał Lewin i aż przeraził się niewłaściwością tego, co wyrzekł. Ale na popa słowa jego zdawały się nie wywierać żadnego wrażenia.

— Jakież mogą być wątpliwości co do istnienia Boga? — rzucił szybko z — ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

Lewin milczał.

— Jakąż wątpliwość może pan mieć co do Stwórcy, gdy wpatruje się pan w Jego dzieło? — prędko ciągnął dalej pop niezmiennym głosem. — Któż to ozdobił gwiazdami sklepienie niebieskie? Kto przyodział ziemię w jej krasę? Jakżeby się to stać mogło bez udziału Stwórcy? — zagadnął spoglądając pytająco na Lewina.

Ten czuł, że niewłaściwie byłoby wdawać się z popem w filozoficzną dyskusję, i dlatego odpowiedział tylko na to, co się odnosiło wprost do sprawy.

— Nie wiem — odrzekł.

— Nie wie pan? W takim razie, jak pan może wątpić, że Bóg wszystko stworzył? — dopytywał się pop z wesołym zdumieniem.

— Ja nic nie rozumiem — rzekł Lewin czerwieniąc się,

czuł bowiem, że słowa jego są niemądre i że w danej sytuacji nie mogą być inne.

— Niechaj się pan modli i prosi Boga... Nawet ojcowie święci miewali wątpliwości i prosili Boga o utwierdzenie ich w wierze. Szatan posiada wielką moc, a my nie powinniśmy mu ulegać. Niech się pan modli, niech pan Boga prosi. Niech się pan modli — powtórzył z pośpiechem.

I zamilkł na chwilę, jakby w zamyśleniu.

— Pan, jak słyszę, ma zamiar wstąpić w związek małżeński z córką mego parafianina i penitenta, księcia Szczerbackiego? — zagadnął z uśmiechem. — To nadzwyczaj zacne dziewczę!

— Tak — czerwieniąc się za popa, potwierdził Lewin. — „I po co takie pytania na spowiedzi?” — pomyślał.

Jakby odpowiadając na jego myśli, pop zaczął mówić:

— Pan zamierza zawrzeć związek małżeński i być może, Bóg obdarzy pana potomstwem, nieprawdaż? Więc jakież wychowanie będzie pan mógł dać swoim maleństwom, o ile pan nie przewycięży w sobie diabelskiej pokusy, która pociąga pana do niewiary? — prawil z łagodnym wyrzutem. — Kochając swoje dziecię, jako dobry ojciec, będzie pan dla niego pragnął nie samego tylko bogactwa, zbytku, zaszczytów, ale będzie pan pragnął, by doznało ono zbawienia, oświecenia w duchu światłem prawdy. Wszak tak? I cóż pan mu odpowie, gdy niewinne maleństwo zapyta pana: „Tatusiu! Kto stworzył wszystko, co mnie na tym świecie zachwyca: ziemię, wody, słońce, kwiaty, trawy?” Czyż doprawdy powie mu pan: „Ja tego nie wiem”? Nie może pan tego nie wiedzieć, skoro Pan Bóg w swej wielkiej łasce odkrył to przed panem. Albo też dziecię spyta pana: „Co mnie czeka poza grobem?” Co pan mu powie, skoro pan nic nie wie? Jak mu pan odpowie? Czy rzuci je pan na pastwę

uroków świata i czarta? To niedobrze! — wyrzekł i umilkł pochyliwszy na bok głowę i wpatrując się w Lewina pocziwymi, łagodnymi oczyma.

Lewin nic tym razem nie odrzekł, nie dlatego, by nie chciał wszczynać z popem sporu, ale dlatego, że nikt mu takich pytań nie zadawał, a do chwili, gdy jego maleństwa miały mu te pytania postawić, było dość czasu, aby zastanowić się nad odpowiedzią.

— Pan wstępuje w okres życia — mówił dalej pop — kiedy należy wybrać drogę i trzymać się jej. Niechaj się pan modli, aby Bóg w miłosierdziu swoim dopomógł panu i zmiłował się nad panem — zakończył. „Niechaj Pan i Bóg nasz, Jezus Chrystus, z łaski i hojności swego ku ludziom miłosierdzia odpuści tobie, synu...” I po odmówieniu formuły absolucyjnej pobłogosławił go i pożegnał.

Dnia tego po powrocie do domu Lewin doświadczał radosnego uczucia, że kłopotliwa sytuacja się skończyła, i to skończyła się tak, iż nie był zmuszony kłamać. Poza tym zostało mu niejasne wspomnienie, że to, co mówił ów dobry i miły staruszek, wcale nie było takie głupie, jak mu się to zrazu wydawało, i że było w tym coś, nad czym należało się zastanowić.

„Oczywiście, nie teraz — myślał Lewin — lecz kiedyś później.” Bardziej niż przedtem czuł obecnie, że ma w duszy coś niejasnego i nieczystego i że stosunek jego do religii jest właśnie taki, jaki dostrzegał tak wyraźnie i jakiego tak bardzo nie lubił u innych, stosunek, za który krytykował swego przyjaciela, Swiażskiego.

Spędzając ów wieczór z narzeczoną u Doiły, Lewin był specjalnie wesół i tłumacząc się Obłońskiemu z podniecenia, w jakim się znajdował, oświadczył, że cieszy się jak pies, którego uczono skakać przez obręcz i który pojawiwszy

wreszcie i dokonawszy tego, czego od niego żądano, skomli, macha ogonem i wskakuje z radości na okno i stoły.

II

W dzień ślubu Lewin wedle zwyczaju (trzymania się wszystkich zwyczajów kategorycznie żądały księżna i Dolly) nie widział narzeczonej i jadł obiad u siebie w hotelu wraz z kilku kawalerami, którzy się przypadkowo u niego zeszli. Byli to — Sergiusz Iwanowicz, Katawasow, kolega Lewina z uniwersytetu, obecnie profesor nauk przyrodniczych, którego Lewin zaciągnął do siebie, spotkawszy go na ulicy, i Czirikow, sędzia pokoju w Moskwie, towarzysz Lewina z polowań na niedźwiedzie, a obecnie jego drużba. Przy obiedzie było bardzo wesoło. Koznyszew był w jak najlepszym humorze: wielce go bawiła oryginalność Katawasowa, a ten czując, że jest oceniony i zrozumiany jak należy, popisywał się tą oryginalnością. Czirikow wesoło i dobrodusznie podtrzymywał każdą rozmowę.

— Otóż to właśnie — mówił Katawasow przeciągając słowa z przyzwyczajenia nabytego na profesorskiej katedrze — cóż to był za zdolny chłopak ten nasz Konstanty Dmitrycz. Mówię tu o nieobecnych, bo go wszak już nie ma. Wtedy, po wyjściu z uniwersytetu, i naukę kochał, i miał ludzkie zainteresowania; tymczasem obecnie połowa jego zdolności skupia się na oszukiwaniu samego siebie, druga zaś usiłuje ten fałsz usprawiedliwić.

— Nigdy nie spotkałem bardziej zaciętego wroga małżeństwa niż pan — zauważył Koznyszew.

— Nie jestem wrogiem małżeństwa. Jestem zwolennikiem podziału pracy. Ludzie, którzy nic innego robić nie potrafią, powinni robić ludzi, a pozostali winni dbać o ich kulturę i

pomyślność. Ja to tak rozumiem, ale istnieje mnóstwo amatorów, którzy chętnie łączą te dwa rzemiosła. Ja do nich nie należę.

— Jakże się będę cieszył, gdy się dowiem, że jesteś zakochany! — rzekł Lewin. — Zaproszę mnie na wesele.

— Ja już jestem zakochany.

— Tak, zakochany w mątwie. Czy wiesz — Lewin zwrócił się do brata — Michał pisze pracę o tym, jak się żywi...

— Tylko bez galimatiasu! Obojętne — o czym piszę. Chodzi o to, że ja rzeczywiście lubię te mątwy.

— Mątwy nie przeszkodzą ci kochać żony.

— Mątwy nie przeszkodzą, ale żona przeszkodzi.

— Dlaczegoż to?

— Zobaczysz. Ty lubisz gospodarstwo, polowanie... No, więc zobaczysz!

— Właśnie był tutaj Archip i mówił, że w Prudnem jest zatręśnienie łosi i dwa niedźwiedzie — wtrącił Czirikow.

— No, to je upolujcie beze mnie.

— Otóż to — rzekł Koznyszew. — Ale i na przyszłość pożegnaj się z polowaniem na niedźwiedzie. Żona cię nie puści!

Lewin uśmiechnął się. Już sama myśl, że go żona nie puści, robiła mu taką przyjemność, że gotów był raz na zawsze wyrzec się satysfakcji oglądania niedźwiedzi.

— A jednak szkoda, że bez pana upolują te dwa niedźwiedzie. Pamięta pan ostatni raz w Chapilowie? Co by to było za pyszne polowanie — nalegał Czirikow.

Lewin nie chciał rozwiewać jego złudzeń wyjaśnieniem, że nic nigdzie nie może być „pyszne” bez Kitty, wobec czego nie odezwał się wcale.

— Nie bez kozery ustalili się zwyczaj zegnania kawalerskiego życia — zaczął znowu Koznyszew. — Choćby

człowiek był nie wiem jak szczęśliwy, to jednak wolności mu żal.

— No, niechże się pan przyzna, że ma pan to samo uczucie, co narzeczony u Gogola*, i że miałby pan ochotę wyskoczyć oknem!

— Na pewno ma takie uczucie, ale się nie przyznaje — roześmiał się głośno Katawasow.

— No więc — okno stoi otworem... Jedźmy zaraz do Tweru! Jeden z tych niedźwiedzi to niedźwiedzica; możemy się dobrać do legowiska... Serio: jedźmy pociągiem o piątą! A tutaj — niech się dzieje, co chce — namawiał z uśmiechem Czirikow.

— Na Boga — żartobliwie odparł Lewin — wiercie mi, że nie mogę znaleźć w sobie owego uczucia żalu za utraconą wolnością!

— Tak, bo masz w duszy taki chaos, że niczego się tam nie doszukasz — powiedział Katawasow. — Poczekaj, aż się nieco opamiętasz, wtedy odnajdziesz ten żal.

— Nie! Rozpoznałbym przecie, poza moim uczuciem (nie chciał przy Katawasowie użyć słowa „miłość”)... i szczęściem, choć odrobinę żalu z powodu utraty wolności. A ja, przeciwnie, właśnie z utraty wolności najbardziej jestem rad.

— Żle! Beznadziejny okaz! — orzekł Katawasow. — No, więc wypijmy na intencję jego wyleczenia albo życzymy mu tylko, by spełniła się choć jedna setna jego marzeń. I to już będzie tak wielkie szczęście, jakiego jego świat nie pamięta.

Wkrótce po obiedzie goście się rozjechali, by zdążyć przebrać się na ślub.

Gdy Lewin pozostał sam i przypomniał sobie te kawalerskie rozmowy, zadał sobie raz jeszcze pytanie, czy

* Narzeczony u Gogola — aluzja do postaci Podkolesina, bohatera komedii Gogola *Ożenek*.

istotnie kryje mu się w duszy owo uczucie żalu za wolnością, o którym tamci wspominali? W odpowiedzi uśmiechnął się. „Wolność? Po co ta wolność? Szczęście polega właśnie na tym, by kochać i pragnąć, by podążać myślą za jej życzeniami, jej myślami, czyli — nie posiadać żadnej swobody. To właśnie jest szczęście!”

„Ale czy znane mi są jej myśli, jej pragnienia?” — podszepnął mu jakiś głos. Spoważniał i zamyślił się. I nagle ogarnęło go dziwne uczucie: zdjął go strach i zwątpienie, zwątpienie o wszystkim.

„A jeżeli ona mnie nie kocha? A jeśli wychodzi za mnie tylko po to, by w ogóle wyjść za mąż? A jeśli sama nie wie, co czyni? — zapytywał sam siebie. — Może się nagle ocknąć i dopiero po wyjściu za mąż zrozumieć, że nie kocha mnie i nigdy kochać nie mogła.” I jęły mu przychodzić do głowy dziwne, jak najgorsze myśli o niej. Poczul zazdrość o Wrońskiego, taką samą jak przed rokiem, tak jakby ów wieczór, gdy ją widział z Wrońskim, był wczorajszym wieczorem. Podejrzewał, że nie powiedziała mu wszystkiego.

Zerwał się szybko... „Nie, to niemożliwe! — powiedział sobie z desperacją. — Pójdę do niej, zapytam, powiem po raz ostatni: jesteśmy oboje wolni, czy nie lepiej dać pokój? Wszystko jest lepsze niż wieczna niedola, hańba, niewierność!!” Z rozpaczą w sercu i ze złością na wszystkich: na siebie, na nią, wyszedł z hotelu i pojechał do Kitty.

Zastał ją w dalszych pokojach: siedziała na kufrze i wydawała jakieś polecenie służącej przebierając w stosie różnokolorowych sukien, porozkładanych na poręczach krzeseł i na podłodze.

— Ach! — wykrzyknęła na jego widok i cała się rozpromieniła z radości. — Jak się masz, jak się pan ma (aż do ostatniego dnia mówiła mu raz „ty”, raz „pan”)? Zupełnie

się nie spodziewałam!... A ja porządkuję moje panięskie suknie: co dla kogo...

— A to bardzo dobrze! — rzekł patrząc ponuro na służącą.

— Idź, idź, Duniasza, potem cię zawołam — powiedziała Kitty. — Co ci jest? — spytała, skoro tylko dziewczyna wyszła, decydując się od razu na „ty”. Zauważyła dziwny wyraz jego wzburzonej i ponurej twarzy i strach ją ogarnął.

— Kitty, ja cierpię! Nie jestem w stanie trapić się tak sam jeden — rzekł z desperacją w głosie, stając przed nią i patrząc jej błagalnie w oczy. Po jej kochającej, szczerzej twarzy poznał zaraz, że z tego, co powiedzieć zamierzał, nic nie wyniknie, lecz odczuwał potrzebę, by ona sama rozproszyła jego wątpliwości. — Przyjechałem, by ci powiedzieć, że jeszcze czas: można to wszystko przekreślić i naprawić.

— Co takiego? Nic nie rozumiem. Co ci jest?

— To, co ci po tysiąc razy mówiłem, bo inaczej myśleć nie mogę... to, że nie jestem ciebie godzien. Niemożliwe, byś ty się zgodziła wyjść za mnie. Pomyśl tylko... Nie możesz mnie przecie kochać... Jeżeli... Lepiej już powiedz — mówił nie patrząc na nią. — Będę nieszczęśliwy. Niechaj wszyscy gadają, co chcą; wszystko jest lepsze niż takie nieszczęście... Lepiej teraz, póki czas...

— Nie rozumiem — odrzekła wystraszona. — Czy to znaczy, że chcesz się cofnąć?... że nie trzeba?...

— Tak, jeśli mnie nie kochasz.

— Oszalałeś! — zawołała rumieniąc się z gniewu. On miał jednak minę tak żalowaną, że zapanowała nad irytacją i zrzuciwszy z fotela suknie, usiadła bliżej niego. — Co masz na myśli? Powiedz mi wszystko.

— Myślę, że niepodobna, byś mnie kochała. Za co byś miała mnie kochać?

— Mój Boże! Cóż ja mogę?... — i Kitty rozplakała się.

— Ach, co ja narobiłem! — wykrzyknął i klękawszy przed nią począł całować jej rękę.

Kiedy w pięć minut później księżna weszła do pokoju, zastała ich już całkiem pogodzonych. Kitty nie tylko przekonała go, że go kocha, ale nawet w odpowiedzi na jego pytanie wytłumaczyła mu — za co. Powiedziała, że kocha go, ponieważ go całkowicie rozumie, ponieważ wie z góry, co mu się spodoba, i ponieważ wszystko, co on lubi, jest dobre. To mu się wydało zupełnie jasne. Gdy weszła księżna, siedzieli obok siebie na kufrze, segregowali suknie i spierali się, ponieważ Kitty chciała brązową sukienkę, którą miała na sobie, gdy Lewin się jej oświadczył, oddać Duniaszy. Lewin nalegał, by tej sukni nikomu nie oddawać. Duniaszy zaś dać niebieską.

— Że też ty tego nie rozumiesz! Duniasza jest brunetką i w niebieskiej nie będzie jej do twarzy... Już ja to wszystko obmyślałam.

Dowiedziawszy się, po co Lewin przyjechał, księżna rozgniewała się na pół serio, na pół żartem i posłała go do domu, by się ubierał i nie przeszkadzał narzeczonej czesać się, bo Charles miał się zaraz zjawić.

— Już ona i tak tymi dniami nic nie je i aż zbrzydła, a ty jeszcze ją denerwujesz swoimi głupstwami — orzekła. — Wynoś się, mój drogi, wynoś się.

Lewin zawstydzony w poczuciu swej winy, lecz uspokojony, wrócił do hotelu. Tam już go oczekiwali — brat, Daria Aleksandrowna i Obłoński, wszyscy w uroczystym stroju, aby go pobłogosławić świętym obrazem. Nie było czasu na marudzenie: Daria Aleksandrowna musiała jeszcze zajechać do domu, by zabrać stamtąd wypomadowanego i ufryzowanego synka, który miał wieźć obraz święty razem z panną młodą. Potem należało posłać jedną z karet po družbę,

a drugą, mającą odwiedzić Koznyszewa, odesłać z powrotem... W ogóle było wiele bardzo skomplikowanych kombinacji. Jedno nie ulegało wątpliwości — to, że nie należało zwlekać, ponieważ było już w pół do siódmej.

Błogosławienie obrazem było nieudane. Obłoński stanął w komicznie uroczystej pozie obok żony, wziął obraz i — poleciwszy Lewinowi kłaniać się aż do ziemi — pobłogosławił go z poczciwie drwiącym uśmiechem i trzykrotnie pocałował. Dolly uczyniła to samo i wnet poczęła śpieszyć się z odjazdem nie mogąc się przy tym połapać w uplanowanym ruchu ekwipaży.

— A więc zróbmy tak: ty jedź po niego naszą karetą, a Sergiusz Iwanowicz niechże będzie tak uprzejmy i odeśle karetę, która go odwiezie na miejsce.

— Oczywiście. Najchętniej.

— A my z nim zaraz przyjedziemy. Czy rzeczy już wysłane? — spytał Stiepan Arkadjicz.

— Wysłane — odrzekł Lewin i kazał, by Kuźma podał mu ubranie.

III

Tłum, przede wszystkim tłum kobiet, otaczał oświetloną z okazji ślubu cerkiew. Ci spomiędzy widzów, którzy nie zdołali dostać się do środka, tłoczyli się u okien popychając się nawzajem, klóćąc się i zagładając przez okratowanie.

Już ponad dwadzieścia karet żandarmeria poustawiała wzdłuż ulicy. Oficer policji nie bacząc na mróz stał u wejścia w lśniącym od ozdób mundurze. Nieustannie zajeżdżały nowe pojazdy i do cerkwi to przybywały ukwiecone damy podtrzymujące treny sukien, to wchodzili mężczyźni zdejmując kepi wojskowe lub czarne kapelusze. Wewnątrz

cerkwi już paliły się oba żyrandole i wszystkie świece przed obrazami. I złoty blask bijący od czerwonego tła Ikonostasu*, i złożone sukienki ikon, i srebro świeczników i lichtarzy, i płyty cerkiewnej posadzki, i dywaniki, i chorągwie w górze u chórów, i stopnie empory, i stare, poczerniałe księgi, i riasy*, i alby — wszystko było zalane światłem. Po prawej stronie ogrzanej cerkwi, w ciżbie fraków i białych krawatów, mundurów i różnych materii: aksamitu, atlasu, w gęstwie włosów, kwiatów, obnażonych ramion i rąk, i długich rękawiczek trwał dyskretny, lecz ożywiony gwar, który dziwnym pogłosem odbijał się od wysokiej kopuły. Ilekroć rozlegało się skrzypnięcie otwieranych drzwi, gwar w tłumie ucichał i wszyscy się oglądali, spodziewając się ujrzeć wchodzących państwa młodych. Drzwi wszelako otwierały się już ponad dziesięć razy i za każdym razem był to albo ktoś ze spóźnionych gości, dama lub mężczyzna, przyłączający się na prawo, do grona zaproszonych, albo widz, któremu udało się oszukać lub prześlagać oficera policji i który ustawiał się na lewo, z tłumem obcych. I krewni i obcy przeszli już byli wszystkie fazy oczekiwania.

Zrazu przypuszczano, że pan młody z panną młodą natychmiast się zjawią, i nie przypisywano temu spóźnieniu żadnej wagi. Potem zaczęto coraz częściej spoglądać na drzwi i zastanawiać się, czy się co nie stało. Wreszcie spóźnienie poczęło już być żenujące, toteż krewni i goście usiłowali udawać, że wcale nie myślą o panu młodym i że są zaabsorbowani rozmową.

Protodiakon*, jakby chciał przypomnieć, że czas jego jest cenny, niecierpliwie odchrząkiwał, aż szyby w oknach drżały.

* Ikonostas — ścianka z ikonami, między głównym ołtarzem a nawą cerkwi.

* Riasa — ubiór duchownych prawosławnych odpowiadający sutannie.

* Protodiakon — duchowny prawosławny pełniący swe funkcje przy cerkwi katedralnej.

Słysząc było, jak znudzeni śpiewacy na chórze próbowali głosów lub wycierali nos. Pop nieustannie posyłał to diaka, to diakona, by się dowiedzieli, czy pan miody się nie zjawił, a i sam, w swej riasie lila z haftowanym pasem, coraz to częściej stawał w bocznych drzwiach w oczekiwaniu pana młodego. Wreszcie, kiedy jedna z pań spojrzawszy na zegarek powiedziała: „To jednak dziwne!”, wszyscy goście zaniepokoiли się i poczęli głośno wyrażać swoje zdziwienie i niezadowolenie. Jeden z družbów pojechał, by przekonać się, co się stało. Tymczasem Kitty, już od dawna całkowicie gotowa, w białej sukni, długim welonie i wianku z kwiatu pomarańczowego, stała wraz ze starszą druhną i swoją zamężną siostrą hr. Lwów w dużym salonie domu Szczerbackich i spoglądała przez okno, już od pół godziny daremnie wyczekując wiadomości o przybyciu pana młodego do cerkwi, o czym miał ją zawiadomić družba.

Przez ten czas Lewin, wprawdzie w spodniach, ale bez kamizelki i fraka, chodził tam i z powrotem po swoim hotelowym numerze, nieustannie stając we drzwiach i wyglądając na korytarz. W korytarzu jednak nie pojawiał się ten, kogo oczekiwał, więc Lewin wracał z rozpaczą i wymachując rękoma zwracał się do Stiepana Arkadijicza spokojnie palącego papierosy.

— Czy był kto kiedy w tak straszliwie głupim położeniu?!

— Przyznaję, że to jest głupie — potwierdził Obłoński uśmiechając się łagodząco. — Ale uspokój się; zaraz ją przywiozą.

— A rzeczywiście! — z tłumioną wściekłością mówił Lewin. — I te idiotyczne wycięte kamizelki! Niemożliwe! — ciągnął dalej, badając wzrokiem pomięty gors swej koszuli. — A co będzie, jeżeli rzeczy już zabrano na kolej! — wykrzyknął z rozpaczą.

— W takim razie włożysz moją.

— Już dawno trzeba to było zrobić.

— Niedobrze jest być śmiesznym... Poczekaj! To się ukształtuje.

Chodziło o to, że kiedy Lewin zażądał ubrania, Kuźma, jego stary służący, przyniósł frak, kamizelkę i wszystko, co było potrzebne.

— A koszula?! — zawołał Lewin.

— Koszulę jaśnie pan ma na sobie — pogodnie wyjaśnił Kuźma.

Kuźma nie domyślił się, że należy zostawić jedną czystą koszulę, i po otrzymaniu polecenia, aby wszystko zapakować i odwieźć do Szczerbackich, skąd wieczorem miał nastąpić wyjazd nowożeńców — wykonał rozkaz i zapakował wszystko, prócz garnituru frakowego. Koszula, włożona rano, była pomięta i wobec mody wyciętych kamizelek nie nadawała się do włożenia. Za daleko było posyłać do Szczerbackich, posłano więc po koszulę do sklepu, lokaj jednak powrócił z niczym; wszystko było zamknięte z powodu niedzieli. Posłano po koszulę do Obłońskich i przywieziono ją, ale była niemożliwie szeroka i krótka. Wreszcie posłano do Szczerbackich, by rozpakować rzeczy. Pana młodego oczekiwano w cerkwi, on zaś, jak zwierzę zamknięte w klatce, chodził po pokoju wyglądając na korytarz i z przerażeniem i rozpaczą przypominał sobie, co nagadał Kitty i co ona teraz może sobie pomyśleć.

Wreszcie winowajca, Kuźma, ledwo łapiąc oddech wpadł do pokoju z koszulą.

— W samą porę. Już kufer ładowano na wóz — gadał.

W trzy minuty później, nie patrząc na zegarek, by gorzej nie jątrzyć ran, Lewin biegł kłusa korytarzem.

— To już nic nie pomoże — bez pośpiechu podążał za nim

Stiepan Arkadjicz. — Ukształtuje się, ukształtuje... powiadam ci.

IV

— Przyjechali! — Oto on! — Który to? — Zapewne ten młodszy? — A ona, patrzcie tylko, biedaczka ledwo żywa! — ozwały się w tłumie głosy, kiedy Lewin, po spotkaniu z Kitty u wejścia, wszedł z nią razem do cerkwi.

Stiepan Arkadjicz opowiedział żonie powód zwłoki i goście uśmiechając się poczęli szeptać pomiędzy sobą. Lewin nic i nikogo nie dostrzegał; nie spuszczał oczu z narzeczonej.

Wszyscy zgadzali się, że Kitty w ostatnich dniach bardzo zbrzydła i że na ślubie była daleko mniej ładna niż zazwyczaj. Lewin jednak był innego zdania. Patrzył na jej wysoką fryzurę z długim białym welonem i białymi kwiatami, na wysoki, stojący marszczony kołnierz, który jakoś specjalnie dziewczęco zakrywał z boku, a odsłaniał z przodu jej długą szyję; patrzył na uderzająco szczupłą talię — i zdawało mu się, że była piękniejsza niż kiedykolwiek... Piękniejsza nie dlatego, by te kwiaty, ten welon, ta sprowadzona z Paryża suknia dodawały jej urody, ale ponieważ, mimo tego sztucznego przepychu stroju, wyraz jej miłej twarzyczki, jej spojrzenia, jej warg pozostał i nadal tym samym, jej właściwym, wyrazem niewinnej szczerości.

— Już myślałam, że chciałeś uciec — rzekła i uśmiechnęła się do niego.

— To, co mi się zdarzyło, jest takie głupie, że aż wstyd o tym mówić! — spłoszył i musiał się obrócić do zbliżającego się Sergiusza Iwanowicza.

— Dobra ta twoja historia z koszulą! — Sergiusz pokiwał głową z uśmiechem.

— Tak, tak — rzucił Lewin nie rozumiejąc o czym mowa.

— No, Kostia, teraz trzeba rozstrzygnąć ważną kwestię — powiedział Obłoński z udanym przejęciem. — Właśnie teraz jesteś specjalnie w stanie ocenić całą jej wagę. Pytają mnie się, czy zapalić świece już napoczęte, czy też nowe? Różnica stanowi dziesięć rubli — dodał składając wargi do uśmiechu. — Powziąłem wprawdzie decyzję, lecz obawiam się, czy się na nią zgodzisz.

Lewin zrozumiał, że to żart, lecz uśmiechnąć się nie mógł.

— Więc jak ma być? Opalone czy nie opalone? Oto jest pytanie!

— Tak, tak! Nie opalone.

— No, więc jestem bardzo rad. Kwestia jest rozstrzygnięta! — uśmiechnął się Stiepan Arkadjicz. — Jak jednak ludzie w tej sytuacji głupieją — powiedział do Czirikowa, gdy Lewin, spojrzawszy na niego nieprzytomnie, wrócił do panny młodej.

— Uważaj, Kitty, żebyś stąpiła pierwsza na dywan — radziła hrabina Nordston podchodząc do nich. — Ładne rzeczy pan wyprawia! — zwróciła się do Lewina.

— Czy ci nie straszno? — zapytała Maria Dmitriewna, stara ciotka.

— Czy ci nie zimno? Błada jesteś. Poczekaj, nachyl się! — powiedziała siostra Kitty, Lwowa, i zaokrąglając swe piękne toczone ręce poprawiła jej kwiaty na głowie.

Dolly zbliżyła się, chciała coś powiedzieć, ale nie mogła przemówić, zapłakała i z przymusem się roześmiała.

Kitty patrzyła na wszystkich równie nieobecnyimi oczyma jak i Lewin. Na wszystko, co do niej mówiono, zdołała odpowiadać jedynie uśmiechem szczęścia, który obecnie przychodził jej tak łatwo.

Tymczasem celebreci cerkiewni powkładali szaty

liturgiczne i pop wraz z diakonem skierowali się w stronę pulpitu stojącego w nawie głównej. Pop zwrócił się do Lewina i wyrzekł do niego coś, czego Lewin nie dosłyszał.

— Niech pan weźmie pannę młodą za rękę i poprowadzi ją — odpowiedział Lewinowi drużba.

Lewin długo nie mógł zrozumieć, czego od niego żądają. Długo poprawiano go i miano mu już dać pokój, wciąż bowiem brał nie tą ręką lub nie za tę rękę, co było trzeba — aż wreszcie zrozumiał, że należało prawą ręką, bez żadnej zmiany postawy, wziąć Kitty również za prawą rękę. Gdy w końcu ujął rękę panny młodej tak, jak należało, pop wyprzedził ich o kilka kroków i zatrzymał się przy pulpicie. Tłum krewnych i znajomych, brzęcząc rozmową i szumiąc trenami sukien, ruszył za nimi. Ktoś pochylił się i poprawił tren panny młodej. W cerkwi zrobiło się tak cicho, że słychać było spadanie kropel wosku.

Staruszek pop w kamiławce*, z błyszczącymi srebrzyście kosmykami włosów założonymi po obu stronach za uszy, wydobył swe małe, starcze ręce spod ciężkiej srebrnej kapy ze złotym krzyżem na plecach i manipulował czymś przy pulpicie.

Obłoński dyskretnie zbliżył się do niego, coś mu szeptnął i mrugnawszy na Lewina, znów się wycofał.

Pop zapalił dwie ozdobione kwiatami świece, trzymając je pochyło w lewym ręku, tak że wosk powoli z nich kapał, po czym obrócił się twarzą do państwa młodych. Był to ten sam pop, który spowiadał Lewina. Spojrzał znużonym i smutnym wzrokiem na pana młodego i pannę młodą, westchnął i wydobywszy spod kapy prawą rękę pobłogosławił nią pana młodego i tak samo, z odcieniem delikatnej czułości, położył palce na pochylonej głowie Kitty. Potem podał im świece i

* Kamiławka — nakrycie głowy, najczęściej z fioletowego aksamitu, noszone przez duchownych prawosławnych.

wziąwszy kadzielnicę, powoli się od nich oddalił.

„Czy to może być rzeczywiste” — pomyślał Lewin i obejrzał się za narzeczoną. Widział jej profil nieco z góry i z ledwie dostrzegalnego ruchu jej warg i rzęs poznał, że poczuła jego wzrok. Nie obejrzała się, lecz jej wysoki marszczony kołnierz drgnął wznosząc się ku malutkiemu, różowemu uszku. Widział, że westchnienie w jej piersi zatrzymało się i że rączka w długiej rękawicze, trzymająca świecę, zadrżała.

Cały ambaras z powodu koszuli i spóźnienia, rozmowa ze znajomymi i krewnymi, ich niezadowolenie, jego własna śmieszna sytuacja — wszystko nagle zniknęło; poczuł radość i strach.

Piękny, postawny protodiakon w srebrnej albie, z ufryzowanymi, odrzuconymi na boki, sterczącymi kędziorami, rześko wystąpił naprzód i uniósłszy na dwóch palcach, zwykłym obrzędowym ruchem, stule, zatrzymał się naprzeciw popa.

„Pobłogosław, Panie!” — rozległy się wolno, jeden za drugim, uroczyste dźwięki, kołysząc falami powietrza.

„Błogosławiony Bóg nasz teraz i zawsze, i na wieki wieków” — kornie i śpiewnie odpowiedział staruszek pop, w dalszym ciągu coś przekładając na pulpicie. I wypełniając sobą całą cerkiew od okien aż do sklepienia, pełny akord niewidzialnego chóru wzniosł się harmonijnie i szeroko, spotężniał, zatrzymał się na chwilę i cicho zamarł.

Modlono się jak zwykle o zesłanie pokoju i zbawienia, modlono się za Wysoki Synod* i za cesarza; modlono się i za obecnie zawierających ślub Konstantego i Katarzynę, sługi

* Synod — najwyższa kolegalna instytucja rosyjskiej prawosławnej Cerkwi, utworzona w r. 1721 przez Piotra Wielkiego. Przewodniczący synodu wyznaczany był przez cara. Synod sprawował władzę duchowną i administracyjną.

boże.

„Pomódlmy się do Boga, by zesłana im została miłość doskonała i spokojna draż boża pomoc” — cała cerkiew jakby tchnęła głosem protodiakona.

Lewin słuchał tych słów i był pod ich wrażeniem. „Skąd oni zgadli, że potrzeba pomocy, właśnie pomocy? — myślał przypominając sobie wszystkie swoje niedawne obawy i wątpliwości. — Cóż ja wiem? Co ja potrafię zrobić w tej zatrważającej sprawie — myślał — bez pomocy. Właśnie pomocy potrzeba mi teraz.”

Gdy diakon skończył ektenię*, pop, z książką w rękę, zwrócił się do młodej pary:

„Boże wieczny, który zbierasz i jednoczysz rozdzielone — czytał łagodnym, śpiewnym głosem — który wyznaczyłeś nierozzerwalne przymierze ich miłości, który pobłogosławiłeś Izaaka i Rebekę i wskazałeś na nich, jako na dziedziców Twej obietnicy, pobłogosław Ty sam sługi Twoje Konstantego i Katarzynę i nakłoń ich do wszelakich dobrych uczynków. Jako żeś jest Bóg łaskawy i miłujący ludzi, chwałę Ci oddajemy — Ojcu, Synowi i Duchowi Świętemu — teraz i zawsze, i na wieki wieków.” — „Amen” — znów rozlał się w powietrzu głos niewidzialnego chóru.

„«Który zbierasz i jednoczysz rozdzielone i który wyznaczyłeś przymierze ich miłości» — jak pełne głębokiej myśli są te słowa i jak odpowiadają temu, co człowiek w takiej chwili odczuwa! — myślał Lewin. — Czy i ona czuje to, co ja?”

Obejrzawszy się spotkał jej wzrok.

I z wyrazu jej oczu wywnioskował, że Kitty zrozumiała to samo, co i on. To nie była zresztą prawda: Kitty prawie zupełnie nie rozumiała słów nabożeństwa, a podczas ślubu

* Ektenia — jedna z modlitw w obrządku prawosławnym, rodzaj litanii.

nawet ich nie słuchała. Nie mogła ich słuchać i rozumieć, tak mocne było jedyne uczucie, które ją napełniało i wciąż rosło — uczucie radości, że dokonywało się w pełni to, co już od półtora miesiąca spełniło się w jej sercu, to, co przez całe te sześć tygodni cieszyło ją i zarazem udręczało. Owego dnia, kiedy w swej brązowej sukni w salonie domu na Arbacie podeszła do Lewina bez słowa i podarowała mu siebie — w duszy jej dnia owego i w owej godzinie nastąpiło zupełne zerwanie z poprzednim życiem i zaczęło się życie całkiem inne, nowe, z gruntu jej nie znane. W rzeczywistości jednak dawne jej życie ciągnęło się dalej. Tych sześć tygodni było dla niej okresem najbardziej błogim i jednocześnie najbardziej dręczącym. Całe jej istnienie, wszystkie pragnienia, nadzieje ześrodkowały się w tym jednym, dotąd jeszcze niepojętym dla niej człowieku, z którym wiązało ją uczucie jeszcze bardziej niepojęte niż sam ów człowiek, uczucie, które ją to zbliżało do niego, to odpychało. A tymczasem przebywała nadal wśród warunków dotychczasowego życia i żyjąc tak, była przerażona sobą, przerażona tą nieprzepartą, kompletną obojętnością dla całej swej przeszłości: dla przedmiotów, przyzwyczajzeń, dla ludzi, którzy ją kochali i kochają, dla urażonej tą jej obojętnością matki, dla drogiego, a dawniej kochanego nade wszystko w świecie i tak czułego ojca. Kitty była to przerażona własną obojętnością, to uradowana tym, co ją do tej obojętności przywiodło. Nie mogła ani myśleć o niczym, ani pragnąć niczego innego oprócz życia z tym człowiekiem, ale to nowe życie jeszcze nie istniało i nawet go sobie wyraźnie nie wyobrażała. Trwała w samym wyczekiwaniu, w radości i obawie przed czymś nowym i nieznanym. A teraz tylko patrzeć, jak oczekiwanie, zagadkowość i jakby skrucha z powodu wyparcia się dotychczasowego życia — wszystko to

się skończy, a rozpocznie się coś nowego, coś, co będąc niewiadomym, musi wprawdzie wzbudzać obawę; straszne jednak czy nie — już się dokonało sześć tygodni temu. Teraz następowało jedynie uświęcenie tego, co od dawna stało się w duszy.

Zwracając się znów do pulpitu pop z trudem ujął mały pierścioneczek Kitty i wzięwszy rękę Lewina włożył tę obrączkę na pierwszy staw jego palca. „Sługa boży Konstanty zawiera ślub ze służebnicą bożą Katarzyną.” I te same słowa powtórzył po włożeniu dużej obrączki na różowy, maleńki, żalony w swej słabości paluszek Kitty.

Parę razy państwo młodzi próbowali odgadnąć, co trzeba było zrobić, i za każdym razem popełniali omyłkę. Pop ich szeptem poprawiał. Wreszcie spełniwszy wszystko, co należało, i uczyniwszy nad nimi znak krzyża obrączkami, znowu oddał dużą — Kitty, a maleńką — Lewinowi, przy czym oboje znów się pomylili. Dwa razy przekładali pierścionki z rąk do rąk i mimo to nie udawało im się uczynić tego, o co chodziło.

Dolly, Czirikow i Obłoński wyszli z tłumu, by im podpowiedzieć; powstało zamieszanie, zaczęły się szepty i uśmiechy, lecz uroczyste wzruszenie malujące się na twarzach państwa młodych nie uległo zmianie; przeciwnie, myląc ręce wyglądali jeszcze uroczyściej niż poprzednio, a uśmiech, z którym Obłoński szeptał, aby teraz każde włożyło swoją własną obrączkę, mimo woli zamarł mu na ustach. Poczul, że każdy uśmiech może ich urazić.

„Boś Ty od początku stworzył płeć męską i żeńską — recytował pop po zamianie pierścionków — i z Twojej woli łączy się z mężem żona ku pomocy i ku poczynaniu rodzaju ludzkiego. Boś Ty sam, Panie Boże nasz, zesłał prawdę jako dziedzictwo i obietnicę Twoją sługom Twym, ojcom naszym,

wybranym Twoim z każdego pokolenia. Wejrzyj na sługę Twego Konstantego i służebnicę Twoją Katarzynę i utwierdź ich ślub w wierze i w jednomysłności, i prawdzie, i miłości.”

Lewin przekonywał się coraz bardziej, że wszystkie jego pojęcia o małżeństwie, jego marzenia o tym, jak urządzi sobie życie, że wszystko to było dziecinadą i że małżeństwo to coś, czego dotychczas nie rozumiał, a teraz rozumie jeszcze mniej, mimo że staje się ono jego udziałem. W piersi coraz wyżej zrywał mu się skurcz, a do oczu napływały natrętne łzy.

V

W cerkwi obecna była cała Moskwa, rodzina i znajomi. Podczas obrzędu zaślubin w rześmistym oświetleniu cerkwi, wśród koła wystrojonych kobiet i pań oraz mężczyzn w białych krawatach, frakach i mundurach nie ustawał przyciszony dyskretnie gwar rozmów. Rozpoczynali je przeważnie mężczyźni, panie bowiem były pochłonięte przypatrywaniem się wszystkim szczegółom ceremonii, którą kobiety zawsze się tak bardzo przejmują.

W kółku najbliższym panny młodej znajdowały się obie jej siostry: Dolly i starsza, pełna spokoju piękność — hrabina Lwów, przybyła z zagranicy.

— Czemu Marie ma suknię lila, prawie jakby włożyła czarną? I to na ślub! — zauważyła Korsuńska.

— Z jej cerą to jedyny ratunek... — odpowiedziała Drubiecka. — Dziwi mnie, że ślub odbywa się wieczorem, na kupiecką modłę.

— Tak jest ładniej. I ja także brałam ślub wieczorem — odrzekła Korsuńska i westchnęła na wspomnienie, jak uroczonie owego wyglądała, jak śmiesznie zakochany był jej mąż i

jak obecnie wszystko jest inaczej.

— Powiadają, że kto bywa drużbą więcej niż dziesięć razy, ten się już nie ożeni; chciałem się wkłęcić po raz dziesiąty, żeby się zaasekurować, ale już nie było miejsca — mówił hrabia Siniawin do ładniutkiej księżniczki Czarskiej, która miała na niego widoki.

Księżniczka w odpowiedzi uśmiechnęła się tylko. Patrzyła na pannę młodą myśląc, jak i kiedy ona sama tak będzie stała z Siniawinem na miejscu Kitty i jak mu wtedy przypomni jego obecny żart.

Szczerbacki mówił do starej frejliny, pani Nikołajew, że zamierza włożyć pannie młodej koronę na szynion, bo to przynosi szczęście.

— Nie należało wcale wkładać szynionu — zauważyła stara frejlina, która już od dawna postanowiła, że jeżeli niemłody wdowiec, na którego zastawiła sidła, z nią się ożeni, to ślub wezmą jak najskromniejszy. — Nie lubię tej całej parady.

Sergiusz Iwanowicz rozmawiał z Dolly i zapewniał ją żartem, że zwyczaj podróży poślubnej rozpowszechnia się dlatego, że nowożeńcy zawsze trochę się wstydzą.

— Brat pański może być dumny: Kitty jest wyjątkowo urocza. Sądzę, że pan mu zazdrości?

— Ja już przez to przeszedłem, księżno — odparł i twarz jego nagle przybrała wyraz smutku i powagi.

Stiepan Arkadjicz opowiadał szwagierce swój kalambur o rozwodzie.

— Trzeba poprawić wianek — zauważyła nie słuchając go.

— Jaka szkoda, że Kitty tak zbrzydła — mówiła pani Nordston do pani Lwów. — Mimo to on niewart nawet jednego jej paluszka. Nieprawdaż?

— Przeciwnie, on mi się bardzo podoba. Nie dlatego, że to mój przyszły *beau frère* — powiedziała pani Lwów. — I jak się doskonale zachowuje. A w tej sytuacji to tak trudno zachować właściwą postawę, nie być śmiesznym. On zaś nie jest ani śmieszny, ani sztywny; widać tylko, że jest wzruszony.

— Zdaje się, że pani się tego spodziewała?

— Prawie że tak, Kitty go zawsze lubiła.

— No, teraz popatrzmy, które z nich pierwsze wejdzie na dywan; ja radziłam Kitty, by o tym pamiętała.

— To obojętne — odrzekła Lwowa. — My wszystkie jesteśmy potulnymi żonami. To rodzinna cecha.

— Ja z Wasilem umyślnie stanęłam pierwsza. A ty, Dolly?

Dolly stała obok nich, słyszała, co mówiły, ale nie odpowiadała. Była rozrzewniona: miała łzy w oczach i byłaby się rozpląkała, gdyby spróbowała przemówić. Cieszyła się patrząc na Lewina i Kitty; poza tym wracała myślą do swego własnego ślubu i spoglądając na promieniejącego Stiepana Arkadjicza zapominała o całej terażniejszości i pamiętała tylko o swym pierwszym niewinnym uczuciu. Myślała przy tym nie tylko o sobie, ale o wszystkich kobietach bliskich i znajomych. Przypominała je sobie w tej uroczystej, jedynej dla nich chwili, gdy podobnie jak Kitty, stały przed ołtarzem z miłością, nadzieją i obawą w sercu, wyrzekając się przeszłości i wstępując w tajemniczą przyszłość. W liczbie tych wszystkich panien młodych, które miała w pamięci, przyszła jej również na myśl kochana jej Anna. Niedawno rozmawiano przy niej o szczegółach przypuszczalnego rozwodu Anny, która przecież także stała kiedyś czysta w swym welonie z pomarańczowym kwieciem. A teraz?!...

— Jakie to strasznie dziwne — rzekła wreszcie Dolly.

Nie tylko siostry, przyjaciółki i krewni bacznie przyglądali się wszystkim szczegółom obrzędu; obcy widzowie — kobiety ze wzruszeniem tamującym oddech obserwowały, bojąc się coś przeoczyć, każdy ruch, każdą zmianę wyrazu twarzy pana młodego i panny młodej i gniewnie milczały lub też w ogóle nie słyszały gadaniny obojętnych mężczyzn, robiących żartobliwe uwagi czy rozmawiających na inny temat.

— Czemu ona taka zapłakana? A może idzie za mąż po niewoli?

— Co to za przymus, kiedy to taki zuch! A może to jaki książę?

— A ta w białej, atlasowej — czy nie siostra czasem? Słuchaj tylko; zaraz diakon ryknie: „Niechaj się lęka swego męża!”

— Czy to chór z cudowskiego monasteru*?

— Nie, z Synodu.

— Pytałam się lokaja. Powiada, że on ją zaraz wiezie do siebie, do rodzowego majątku. Podobno bogaty aż strach: dlatego ją za niego wydali.

— W każdym razie śliczna para.

— A pani spierała się ze mną, Mario Wasiliewno, że krysoliny nosi się odstające. Patrz no pani na tę w *puce** — mówią, że to ambasadorowa — jak na niej przylega, raz tak, a potem w drugą stronę.

— Co za milutka panna młoda, a przybrana jak jagniątko! Co tu gadać, szkoda nas, kobiet, szkoda!

Takie były głosy w tłumie przyglądających się osób, które zdołały dotrzeć do wnętrza cerkwi.

* Cudowski monaster — klasztor katedralny założony w r. 1365, mieścił się na Kremlu.

* *Puce* — tu: suknia koloru ciemnobrunatnego

VI

Kiedy obrzęd zamiany pierścionków został dokonany, sługa cerkiewny rozesłał przed pulpitem, pośrodku cerkwi, kawałek różowej materii, chór odśpiewał kunsztowny i skomplikowany psalm, w którym bas i tenor dawały sobie wzajemnie respons, po czym pop obrócił się ku państwu młodym i wskazał im na rozesłany kawałek różowej tkaniny. Chociaż oboje często i wiele słyszeli o przesądzie, że kto pierwszy stąpnie na dywan, ten będzie w rodzinie głową — ani Lewinowi, ani Kitty nie przyszło to na myśl w chwili, gdy robili tych parę kroków. Nie słyszeli też głośnych uwag i dyskusji nad tym, że — jak dostrzegli jedni — on stanął pierwszy, a — jak zauważyli drudzy — oboje weszli na dywan jednocześnie.

Po zwykłych pytaniach, czy pragną zawrzeć ślub i czy nie są związani obietnicą z kimś innym, oraz odpowiedziach państwa młodych, które w ich własnych uszach miały dziwne brzmienie, zaczęło się nowe nabożeństwo. Kitty słuchała wyrazów modlitwy pragnąc zrozumieć ich sens, lecz się to jej nie udawało. Uczucie triumfu i promiennej radości coraz bardziej — w miarę jak dokonywał się obrzęd — napełniało jej duszę i pozbawiało zdolności uważania.

Modlono się o „cnotę czystości dla nich i o pomyślność dla owocu ich żywota, aby cieszyli się widokiem synów i córek”. Wspominano o tym, że Bóg stworzył kobietę z Adamowego żebra i że „z tego powodu człowiek opuści ojca i matkę, a przyłgnie do żony, i tych dwoje będą jak jedno ciało”, i że „jest to wielka tajemnica”. Proszono, aby Bóg dał im płodność i błogosławieństwo, jakim obdarzył Izaaka i

Rebekę, Józefa, Mojżesza i Seforę*, izby oglądali synów swych synów. „Wszystko jest piękne — myślała Kitty słuchając tych słów — i nie może też być inaczej” — i uśmiech radości jaśniał na jej promiennej twarzy, bezwiednie udzielając się wszystkim spoglądającym na nią.

— Trzeba je całkiem włożyć — rozległy się głosy doradcze, gdy pop włożył im korony, i Szczerbacki, w rękawiczce o trzech guziczkach, ręką, która drżała, podniósł koronę wysoko nad głowę panny młodej.

— Włóż mi ją! — szepnęła z uśmiechem.

Lewin spojrział na nią i uderzył go radosny blask jej twarzy. Uczucie jej mimo woli udzieliło się i jemu: zrobiło mu się, tak jak i jej, jasno i wesoło na duszy.

Radośnie słuchali czytania listu apostołskiego i grzmiącego głosu protodiakona przy ostatnim wersecie, którego obcy widzowie oczekiwali z taką niecierpliwością. Weselem napełniło ich wypicie z płytkiego kielicha ciepłego czerwonego wina z wodą, a jeszcze bardziej rozradowali się, gdy pop, odwinąwszy kapę i wzięwszy ich ręce w swoją, oprowadził ich dokoła pulpitu, podczas, gdy porywy basu wzywały: „Izajasz, raduj się!” Szczerbacki i Czirikow podtrzymujący korony, również uśmiechnięci i nie wiadomo czego — rozradowani, zaplątywali się w tren panny młodej i to pozostawali w tyle, to gdy pop się nagle zatrzymywał, zderzali się z nowożeńcami. Iskierka radości, która rozgorzała w sercu Kitty, udzieliła się jakby wszystkim obecnym w cerkwi. Lewinowi zdawało się, że pop i diakon mieli także ochotę uśmiechać się, podobnie jak i on sam.

Zdjawszy im z głów korony pop przeczytał ostatnią z szeregu modlitw i powińszował zaślubionym. Lewin spojrział na Kitty. Nigdy jej dotychczas takiej nie widział. Była

* Sefora — według Starego Testamentu żona Mojżesza...

prześliczna z tym nowym jaśnieniem szczęścia na twarzy. Lewin pragnął jej coś powiedzieć, lecz nie wiedział, czy ceremonia już jest skończona. Pop wybawił go z kłopotu. Na dobrotliwych jego wargach zjawiał się uśmiech. Powiedział cicho: „Proszę pocałować żonę, a pani niechaj pocałuje męża” — po czym wyjął im z rąk świece.

Lewin delikatnie pocałował jej uśmiechnięte wargi, podał jej rękę i czując nową, dziwną bliskość Kitty, wyszedł z nią razem z cerkwi. Nie wierzył, nie mógł wierzyć, że to prawda. Wierzył tylko wtedy, gdy spotykały się ich zdziwione i nieśmiałe spojrzenia, czuł bowiem, że już stanowili jedność.

Po kolacji, tej samej nocy, państwo młodzi wyjechali na wieś.

VII

Już od trzech miesięcy Wroński z Anną podróżowali po Europie. Odwiedzili Wenecję, Rzym, Neapol i właśnie zatrzymali się w małym włoskim miasteczku, gdzie mieli zamiar zamieszkać na jakiś czas.

Piękny ober z przedziałkiem w gęstych wypomadowanych włosach, zaczynającym się wprost od szyi, ubrany we frak, o szerokim białym gorsie batystowej koszuli i z wiązką breloków nad zaokrąglonym brzuszkiem — włożył ręce w kieszenie i pogardliwie mrużąc oczy dawał surowym tonem odpowiedzi panu, który się przed nim zatrzymał. Słyszając od drugiej strony wejścia kroki zmierzające w górę po schodach, ober odwrócił się i ujrawszy rosyjskiego hrabiego, który zajmował u nich najlepsze pokoje, wyjął przez uszanowanie ręce z kieszeni i schylony w ukłonie, poinformował Wrońskiego, że był kurier i że wynajęcie *palazzo* doszło do skutku. Główny administrator gotów jest podpisać umowę.

— Tak? Bardzo jestem rad — rzekł Wroński. — A pani: czy jest w domu, czy może wyszła?

— Jaśnie pani wychodziła na spacer, ale już wróciła — odpowiedział ober.

Wroński zdjął z głowy miękki — kapelusz o szerokim rondzie ocierając chustką spocone czoło i włosy, które nosił długie do pół uszu i zaczesane do tyłu tak, że zakrywały mu łysinę, po czym spojrzawszy z roztargnieniem na stojącego nadal i przyglądającego mu się mężczyznę, chciał go minąć.

— Ten pan jest Rosjaninem i zapytywał o pana hrabiego — zatrzymał go ober.

Z uczuciem irytacji, że niepodobna nigdzie ukryć się przed znajomymi, pomieszanej z pragnieniem znalezienia jakiejś rozrywki w swym jednostajnym życiu Wroński raz jeszcze obejrzał się na nieznanego, który nieco się oddalił, ale znowu przystanął i obaj rozpromienili się jednocześnie.

— Goleniszczew!

— Wroński!

Istotnie, był to Goleniszczew, kolega Wrońskiego z Korpusu Paziów. Goleniszczew należał w Korpusie do partii liberalnej i wyszedł stamtąd z rangą urzędniczą, ale nigdzie służby nie pełnił. Koledzy stracili się całkowicie z oczu po wyjściu z Korpusu, a później spotkali się tylko raz jeden.

Przy owym zetknięciu Wroński odniósł wrażenie, że Goleniszczew wybrał sobie jakąś przemądrzałą, liberalną drogę życiową i że na skutek tego uważał za właściwe pogardzać karierą i pozycją towarzyską kolegi. Dlatego Wroński przybrał wobec niego wówczas taką chłodną i wyniosłą postawę, jaką niekiedy potrafił przybierać wobec ludzi, a która oznaczała: „Może się panu mój tryb życia podobać lub nie podobać: jest mi to zupełnie obojętne. Jeśli pan chce mnie znać, musi mnie pan szanować.”

Goleniszczew ze swej strony odpowiedział na ton Wrońskiego lekceważącą obojętnością. Zdawałoby się, że takie spotkanie powinno było jeszcze bardziej ich rozdzielić; tymczasem teraz obaj rozpromienili się i aż krzyknęli z radości poznając się wzajemnie. Wroński nigdy nie przypuszczał, że się tak na widok Goleniszczewa ucieszy; zapewne sam nie zdawał sobie sprawy, jak dalece — się nudził. Zapomniał o przykrym wrażeniu, jakie odniósł był przy ostatnim spotkaniu, i z wyrazem szczerzej radości wyciągnął rękę do dawnego kolegi. Podobna radość zastąpiła na twarzy Goleniszczewa dotychczasowy wyraz niepewności.

— Jakże się cieszę z tego spotkania! — zawołał Wroński pokazując w przyjaznym uśmiechu swe mocne, białe zęby.

— A. ja słyszę: Wroński, ale który Wroński — nie wiedziałem. Bardzo, bardzo się cieszę!

— Wejdźmy więc. Co ty tu robisz?

— Mieszkam tutaj już drugi rok. Pracuję.

— Doprawdy?! — zainteresował się Wroński. — Wejdźmy.

I — wedle rosyjskiego zwyczaju — zamiast po rosyjsku powiedzieć to, co miało pozostać tajemnicą wobec służby, zaczął po francusku:

— Czy znasz panią Karenin? Podróżujemy razem. Idę właśnie do niej. — Mówiąc to po francusku, wpatrywał się pilnie w twarz Goleniszczewa.

— Ach tak?! Nie wiedziałem (mimo że wiedział) — odrzekł obojętnie Goleniszczew. — Dawnoś przyjechał? — dodał zaraz.

— Ja? Jestem tu od trzech dni. — Wroński raz jeszcze uważnie wpatrzył się w twarz kolegi.

„Tak, to porządny człowiek i zapatruje się na tę sprawę jak należy — zdecydował rozumiejąc, co oznacza mina

Goleniszczewa i zmiana tematu rozmowy. — Można go przedstawić Annie; zapatruje się na to tak jak trzeba.”

W ciągu tych trzech miesięcy, które Wroński spędził z Anną za granicą, zawsze przy spotkaniu z nowymi ludźmi zadawał sobie pytanie, jak ta nowa osoba będzie się zapatrywała na jego stosunek do Anny, i w większości wypadków u mężczyzn spotykał takie zrozumienie — jak należało. Lecz gdyby kto spytał jego lub tych, którzy rozumieli rzecz „jak należy”, na czym polegało takie zapatrywanie, to i jemu, i im odpowiedź sprawiłaby dużo trudności.

W gruncie rzeczy ci rozumiejący, zdaniem Wrońskiego, sprawę „jak należy” wcale jej nie rozumieli, lecz zachowywali się tak, jak się w ogóle zachowują dobrze wychowani ludzie wobec skomplikowanych i drażliwych spraw, jakie ze wszech stron nastęrczają się w życiu, czyli zachowywali się przyzwoicie, unikając wszelkich aluzji i niemiłych zapytań. Udawali, że w zupełności rozumieją znaczenie i sens sytuacji, że ją uznają, a nawet pochwalają, lecz uważają za niewłaściwe i zbyteczne wdawać się w jakies dociekania.

Wroński odgadł od razu, że Goleniszczew był jednym z takich ludzi, i stąd był mu w dwójnasób rad. Istotnie, Goleniszczew zachowywał się wobec pani Karenin, gdy został do niej wprowadzony, tak jak tylko Wroński mógł sobie tego życzyć. Widać było, że omija bez najmniejszego trudu wszelkie tematy, które mogłyby wywołać zakłopotanie.

Nie znał Anny przedtem i był pod wrażeniem jej urody, a jeszcze bardziej prostoty, z jaką godziła się ze swą sytuacją. Zarumieniła się, kiedy Wroński go przyprowadził, i ten dziecięcy rumieniec, który oblał jej szczerą, urodziwą twarz, niezwykle mu się spodobał. Ale specjalnie podobało mu się,

że Anna natychmiast, jakby rozmyślnie, by w obecności kogoś obcego nie mogło być nieporozumień, nazwała Wrońskiego po prostu Aleksym i powiedziała, że przenoszą się do nowo wynajętego domu, który tutaj nazywają *palazzo*. Ten bezpośredni i prosty stosunek do sytuacji bardzo ujął Goleniszczewa. Patrząc na dobrodusznie wesoły, energiczny sposób bycia Anny i znając obu — Karenina i Wrońskiego — Goleniszczew doszedł do wniosku, że całkowicie ją rozumie. Zdawało mu się, że pojmuje to, czego ona sama zupełnie nie rozumiała, mianowicie — jak mogła unieszczęśliwić męża, porzucić męża i syna, utracić dobre imię, a mimo to zachować tę wesołą żywość i być szczęśliwą.

— Jest w przewodniku — Goleniszczew mówił o pałacu wynajętym przez Wrońskiego. — Jest tam piękny Tintoretto. Z jego ostatniego okresu.

— Wiecie państwo co? Pogoda jest piękna: chodźmy tam, żeby go jeszcze raz obejrzyć — zaproponował Wroński zwracając się do Anny.

— Najchętniej. Zaraz pójde włożyć kapelusz. Panowie mówicie, że jest gorąco? — powiedziała zatrzymując się u drzwi i pytając patrząc na Wrońskiego. I żywy rumieniec znów oblał jej twarz.

Z jej spojrzenia Wroński zrozumiał, że Anna nie wie, jak on pragnie ułożyć swoje stosunki z Goleniszczewem, i że obawia się, czy zachowywała się tak, jak on by tego sobie życzył.

Spojrzał na nią przeciągle i czule.

— Nie, nie bardzo — odrzekł.

I Annie wydało się, że wszystko zrozumiała, a zwłaszcza — to jedno najważniejsze: że jest z niej zadowolony. Uśmiechnęła się i szybkim krokiem wyszła do drugiego pokoju.

Gdy dwaj przyjaciele pozostali sami, zmieszali się nieco. Goleniszczew, wyraźnie zachwycony Anną, chciał coś o niej powiedzieć, lecz nie znajdował słów, Wroński zaś pragnął usłyszeć, co tamten powie, ale zarazem się tego obawiał.

— A więc — zaczął wreszcie, aby nawiązać przecie jakąś rozmowę — więc zamieszkałeś tutaj? I zawsze pracujesz nad tym samym? — ciągnął dalej, przypominając sobie, co mówiono mu o pracy, którą miał jakoby pisać Goleniszczew.

— Tak, piszę drugą część *Dwóch pierwiastków* — Goleniszczew zaczerwienił się z zadowolenia na to pytanie — to jest, mówiąc ściśle, jeszcze jej nie piszę, przygotowuję tylko, zbieram materiały. Ta część będzie daleko obszerniejsza i obejmie prawie wszystkie sprawy. U nas w Rosji nikt nie chce zrozumieć, że jesteśmy dziedzicami Bizancjum — rozpoczął długi, namiętny wykład.

Wroński zrazu był zakłopotany, nie znając nawet i pierwszej części pracy o *Dwóch pierwiastkach*, o której napomknął autor jako o czymś już wiadomym. Potem jednak, gdy Goleniszczew począł wyłuszczać swe myśli i Wroński mógł za nim podążyć, to nawet nie znając *Dwóch pierwiastków* słuchał z zainteresowaniem, Goleniszczew bowiem mówił ze swadą. Co dziwiło i martwiło Wrońskiego, to pewne rozdrażnienie i wzburzenie, z jakimi Goleniszczew rozprawiał na interesujący go temat. Im dalej — tym bardziej pały mu oczy, tym spieszniej odpierał argumenty domniemanych przeciwników, a na jego twarzy malowały się niepokój i uraza. Pamiętając Goleniszczewa jako chudziutkiego, żywego, poczciwego i szlachetnego chłopca, który zawsze był pierwszym uczniem w Korpusie, Wroński nie mógł zrozumieć powodu tego rozdrażnienia i nie pochwalał go. Zwłaszcza nie podobało mu się, że człowiek z dobrego towarzystwa stawiał siebie na jednym poziomie z

jakimiś pismakami, którzy go drażnili, i że się na nich złościł. Czyż warto było? Nie podobało się to wprawdzie Wrońskiemu, wyczuwając jednak, że Goleniszczew nie jest szczęśliwy, współczuł mu. Od ruchliwej, dość przystojnej twarzy Goleniszczewa biło cierpienie,omalże nie obłąd, gdy nie zwróciwszy nawet uwagi na wejście Anny, spiesznie i z uniesieniem wypowiadał swe myśli.

Anna wróciła w płaszczyku i kapeluszu, bawiąc się parasolką, którą trzymała w pięknej ręce. Kiedy stanęła obok Wrońskiego, ten oderwał się od uważnie weń wlepionego żalosego spojrzenia Goleniszczewa i z porywem czulości popatrzył na swą prześliczną, pełną energii i radości życia towarzyszkę. Goleniszczew ocknął się z wysiłkiem; był zrazu ponury i przygnębiony, ale proste, wesole obejście Anny, która czuła życzliwość dla całego świata (bo taką wówczas była), niebawem go rozruszało. Po wypróbowaniu różnych tematów naprowadziła rozmowę na malarstwo, o którym Goleniszczew mówił bardzo interesująco. Anna słuchała go z uwagą. Doszli na piechotę do wynajętego domu i obejrżeli go.

— Z jednej rzeczy bardzo się cieszę — powiedziała Anna w powrotnej drodze — oto Aleksy będzie miał dobre atelier. Weź koniecznie ten pokój — zwróciła się do Wrońskiego po rosyjsku, mówiąc mu ty, zdała już bowiem sobie sprawę, że w ich odosobnieniu Goleniszczew się z nimi zbliży i że nie ma potrzeby nic przed nim ukrywać.

— Czy ty malujesz? — zapytał Goleniszczew i obrócił się szybko ku Wrońskiemu.

— Tak, kiedyś malowałem i teraz zacząłem trochę na nowo — zaczerwienił się Wroński.

— Ma duży talent — oświadczyła Anna z radosnym uśmiechem. — Nie jestem oczywiście znawcą, ale znawcy są

tego samego zdania.

VIII

W tym pierwszym okresie swego wyzwolenia i szybkiego powrotu do zdrowia Anna czuła się niewybaczalnie szczęśliwa i pełna radości życia. Pamięć o katastrofie, jaka spadła na jej męża, nie zatruwała jej szczęścia. Chociaż wspomnienie to było zbyt okropne, by o nim można było w ogóle myśleć, to jednak nieszczęście męża przyniosło Annie zbyt wielkie szczęście, by mogła odczuwać skrucę. Pamięć o wszystkim, co ją spotkało po chorobie: pogodzenie się z mężem, zerwanie z nim, wiadomość o zranieniu Wrońskiego, jego zjawienie się, przygotowania do rozwodu, opuszczenie mężowskiego domu, pożegnanie z synkiem — wszystko to zdawało jej się snem gorączkowym, po którym zbudziła się za granicą przy boku Wrońskiego. Pamięć o krzywdzie wyrządzonej mężowi budziła w niej uczucie podobne do odrazy, pokrewne temu, jakiego doświadczałby tonący, który by oderwał od siebie czepiającego się go człowieka. Człowiek ten utonął. Rzecz oczywista, że to było źle, ale był to jedyny ratunek, i lepiej nie przypominać sobie tych okropnych szczegółów.

W pierwszej chwili zerwania przyszło jej na myśl pewne uspokajające rozumowanie co do jej postępków i teraz, na wspomnienie wszystkiego, co zaszło, przypominała je sobie. „Przeze mnie spadło nieodwołalnie na tego człowieka nieszczęście — myślała — nie chcę więc z tego nieszczęścia czerpać korzyści. Cierpię i ja również i będę cierpiała tracąc to, co mi jest najdroższe: uczciwe imię i syna. Postąpiłam źle, toteż nie pragnę szczęścia, nie chcę rozwodu i będę cierpiała z powodu mojej hańby i rozłąki z synkiem.” Mimo jednak, że

Anna szczerze pragnęła cierpieć — nie cierpiała. I o żadnej hańbie nie mogło być mowy. Z taktem, którego oboje tak wiele posiadali, unikając rosyjskich dam, nigdzie za granicą nie znaleźli się w fałszywym położeniu, wszędzie natomiast spotykali ludzi udających, że rozumieją doskonale ich wzajemny stosunek, rozumieją go daleko lepiej, niż go rozumieli oni sami. Nawet rozłąka z synkiem, którego kochała, nie dręczyła jej z początku. Córeczka, jego dziecko, była taka milutka i Anna się tak do niej przywiązała od czasu, gdy pozostała jej tylko ona jedna, że rzadko myślała o synku.

Żądza życia, która wzmogła się po wyzdrowieniu, była w niej tak silna, a warunki życia takie przyjemne i nowe, że Anna czuła się niewybaczalnie szczęśliwa. Im więcej poznawała Wrońskiego, tym go bardziej kochała. Kochała go i dla niego samego, i za miłość jego ku niej. To, że należał do niej teraz całkowicie, wzniewało w niej nieustanną radość. Jego obecność była jej zawsze miła. Wszystkie cechy jego charakteru, który coraz bliżej poznawała, były jej niewymownie sympatyczne. Powierzchnowość jego po zmianie, jaką spowodowało ubranie cywilne, pociągała ją tak, jakby po raz pierwszy była zakochana. We wszystkim, co mówił, co myślał i czynił, widziała coś szczególnie szlachetnego i wzniosłego. Ten zachwyty przerażał ją samą; szukała — i nic, co by nic było piękne, znaleźć w nim nie mogła. Nie ważyła się okazywać Wrońskiemu, jak bardzo uświadamia sobie swą własną nicość w porównaniu z nim. Zdawało jej się, że wiedząc o tym, gotów przestać ją kochać, a obecnie niczego tak się nie obawiała — mimo że żadnych ku temu nie było powodów — jak utraty jego miłości. Nie mogła jednak nie być mu wdzięczna za jego zachowanie się w stosunku do niej i nie okazywać mu, jak bardzo je sobie ceni. On, który, jej zdaniem, był tak wyraźnie powołany do

działalności państwowej, gdzie powinien był spełniać znakomitą rolę, złożył jej w ofierze swe ambicje, nigdy nie okazując najmniejszego żalu. Traktował ją z większą jeszcze niż przedtem miłością i szacunkiem. Ani na chwilę nie opuszczała go dbałość, by Anna nie odczuła nigdy swego fałszywego położenia. On, taki męski, nie tylko nigdy się jej nie sprzeciwiał, ale nie miał po prostu wobec niej własnej woli i był, zdawało się, zajęty tylko tym, aby uprzedzać jej życzenia. Niepodobna było tego nie oceniać, mimo że ta jego wiecznie napięta uwaga oraz atmosfera troskliwości, jaką ją otaczał, niekiedy jej ciążyły.

Tymczasem Wroński, mimo że to, czego od tak dawna pragnął, spełniło się, nie był całkowicie szczęśliwy. Prędko się przekonał, że spełnienie pragnień dało mu tylko jedno ziarenko piasku z tej całej góry szczęśliwości, którą sobie obiecywał. Urzeczywistnienie to przekonało go o wiecznej omyłce, jakiej ulegają ludzie utożsamiając szczęście ze spełnieniem pragnień. W pierwszym okresie po połączeniu się z Anną, gdy włożył cywilne ubranie, poczuł cały urok wolności jako takiej — nigdy jej bowiem dotąd nie zaznał — oraz urok wolności miłosnej. Cieszył się tym, ale niedługo. Wkrótce stwierdził u siebie niedosyt pragnień, tęsknotę. Bezwiednie począł się chwycić każdego przelotnego kaprysu, biorąc go za pragnienie, za cel. Trzeba było czymś zająć szesnaście godzin dnia, bo za granicą żyli bez żadnych zobowiązań, znajdując się poza tym kręgiem światowego życia pochłaniającym czas w Petersburgu. O rozrywkach kawalerskich, które podczas poprzednich wycieczek za granicę zajmowały Wrońskiego, nie można było nawet marzyć, gdyż jedyna tego rodzaju próba wywołała u Anny przygnębienie nieoczekiwane i niewspółmierne z faktem spożycia późnej kolacji ze znajomymi. Wobec niejasności

sytuacji nie można było również utrzymywać stosunków z towarzystwem miejscowym lub przygodnym rosyjskim. Oglądanie zabytków — pomijając, że były to rzeczy, które już widział — nie miało dla Wrońskiego, jako dla Rosjanina i człowieka inteligentnego, tej niepojętej wagi, jaką zwiedzaniu potrafią przypisywać Anglicy.

Więc jak wygłodzone zwierzę chwyta każdy napotkany przedmiot w nadziei, że znajdzie w nim pożywienie, tak Wroński zupełnie nieświadomie rzucał się to na politykę, to na nowe książki, to na obrazy.

Ponieważ od dzieciństwa miał zdolności do malarstwa i ponieważ, nie wiedząc, co robić z pieniędzmi, począł kiedyś zbierać sztychy, zdecydował się na malarstwo, zaczął się nim zajmować i ześrodkował na nim ów niczym nie zajęty zapas tęsknot, które domagały się zaspokojenia.

Był wrażliwy na sztukę, umiał ją trafnie i ze smakiem naśladować, doszedł tedy do wniosku, że ma w sobie to, co stanowi artystę, po pewnym więc okresie wahania — jaki wybrać gatunek malarstwa: religijny, historyczny, rodzajowy czy realistyczny — zaczął malować. Rozumiał wszystkie odmiany i mógł czerpać natchnienie z którejkolwiek z nich, ale nie mógł sobie wyobrazić, by można było, nie wiedząc zupełnie, jakie bywają rodzaje malarstwa, czerpać natchnienie bezpośrednio z własnej duszy, nie troszcząc się, czy to, co się maluje, będzie należało do jakiegoś określonego rodzaju. Ponieważ Wroński o tym nie wiedział i natchnienie czerpał nie bezpośrednio z życia, lecz pośrednio z życia już wcielonego w sztukę, bardzo szybko i łatwo ulegał natchnieniu i równie szybko i łatwo osiągał, że to, co namalował, było nader podobne do tej odmiany, którą pragnął naśladować.

Francuski wdzięczny i efektowny rodzaj sztuki podobał

mu się bardziej od innych, na taką więc modłę zaczął malować portret Anny w stroju włoskim i portret ten wydawał się bardzo udany zarówno Wrońskiemu, jak i wszystkim, którzy go oglądali.

IX

Stary, zaniedbany pałac miał wysokie plafony ze sztukateriami, freski na ścianach, mozaikowe podłogi, ciężkie, żółte jedwabne zasłony u wysokich okien, wazy na konsolach i kominkach, rzeźbione drzwi i mroczne sale, całe zawieszane obrazami. Już przez samą swą stronę zewnętrzną pałac, po przenosinach, utrzymywał we Wrońskim miłe złudzenie, że on sam nie jest rosyjskim ziemianinem, łowczym dworu bez posady, ale raczej amatorem o wysokiej kulturze i mecenasem sztuk pięknych, a zarazem skromnym artystą, który się wyrzekł świata, stosunków i ambicji dla ukochanej kobiety.

Obrana przez Wrońskiego rola z chwilą przenosin do *palazzo* udała mu się znakomicie: zapoznał się przez Goleniszczewa z kilku ciekawymi ludźmi i na pewien czas całkiem się uspokoił. Pod kierownictwem włoskiego profesora malował studia z natury i interesował się włoskim życiem w średniowieczu. Włoskie średniowiecze tak w tym okresie pochłonęło Wrońskiego, że jał nawet nosić kapelusz i przerzucać pled przez ramię na sposób średniowieczny, z czym mu było bardzo do twarzy.

— Mieszkamy tutaj i o niczym nie wiemy — rzekł raz Wroński do Goleniszczewa, gdy ten zaszedł do nich rano. — Czy widziałeś obraz Michajłowa? — podał mu tylko co otrzymaną rosyjską gazetę, wskazując na artykuł o rosyjskim artyście malarzu mieszkającym w tym samym mieście.

Malarz ów skończył malować obraz, o którym od dawna mówiono, a który był już z góry zakupiony. W artykule zarzucano rządowi i Akademii, że ów znakomity artysta nie cieszy się żadnym poparciem i nie doznaje znikąd pomocy.

— Widziałem go — odrzekł Goleniszczew. — Oczywiście, Michajłow nie jest bez talentu, lecz ulega zupełnie fałszywym tendencjom. Zawsze ten sam Iwanowsko–Straussowsko–Renanowski* stosunek do Chrystusa i do malarstwa religijnego.

— Co przedstawia ten obraz? — spytała Anna.

— Chrystusa przed Piłatem. Chrystus wyobrażony jest jako Żyd, z całym realizmem nowej szkoły.

I Goleniszczew, którego treść obrazu naprowadziła na jeden z jego ulubionych tematów, począł wywodzić:

— Nie rozumiem, jak oni mogą się tak prostacko mylić. Chrystus ma już swoje określone wcielenie w sztuce starych mistrzów. Skoro więc kto chce przedstawić nie Boga, lecz rewolucjonistę czy mędrca, niechże weźmie sobie z historii: Sokratesa, Franklina, Szarlottę Corday*, ale nie Chrystusa. Oni biorą właśnie tę jedną postać, której traktować w sztuce nie wolno, a potem...

— A czy to prawda, że ten Michajłow jest w takiej nędzy? — przerwał Wroński uważając, że jako rosyjski mecenas, winien dopomóc artyście bez względu na to, czy obraz jego jest dobry, czy zły.

— Chyba nie. Jest wybitnym portrecistą. Czy widzieliście państwo jego portret Wasilczykowej? Zdaje się jednak, że on

* Aleksander Andriejewicz Iwanow (1806–1858) — słynny malarz rosyjski, od r. 1830 zamieszkały w Rzymie, poświęcił się malarstwu religijnemu. Fryderyk Dawid Strauss (1808–1874) — filozof, historyk, teolog i publicysta niemiecki. Józef Ernest Renan (1823–1892) — francuski filozof i historyk, autor słynnej książki *Życie Jezusa*.

* Karolina Corday (1768–1793) — morderczyni Marata.

nie chce więcej malować portretów, więc może z tego powodu rzeczywiście jest w biedzie. Ja twierdzę, że...

— A czy nie można by go poprosić o zrobienie portretu Anny Arkadiewny? — znów przerwał Wroński.

— Po co? — zawołała Anna. — Nie chcę żadnego portretu poza tym, który ty namalowałaś. Lepiej niech to będzie portret Annie (tak się nazywała córeczka). Otóż i ona — dodała patrząc przez okno na mamkę, piękną Włoszkę, która wyniosła dziecko do ogrodu, a zarazem nieznacznie rzucając okiem na Wrońskiego. Piękna mamka, która służyła Wrońskiemu jako model głowy do jego obrazu, była jedynym utajonym zmartwieniem w życiu Anny. Wroński malując ją zachwycał się jej urodą i średniowiecznością i Anna nie mając odwagi przyznać się sama przed sobą, że lęka się, by nie powstała w niej zazdrość o tę mamkę, specjalnie rozpieszczała i psuła i ją samą, i jej małego synka.

Wroński spojrział również przez okno, po czym porozumiał się wzrokiem z Anną i zwracając się do Goleniszczewa zapytał:

— A czy ty znasz tego Michajłowa?

— Spotkałem go, ale to cudak, człowiek bez kultury; wiesz, jeden z tych dziwacznych nowych ludzi, których się obecnie często spotyka, tych wolnomyślicieli, którzy zostali *d'embrée** wychowani w zasadach niewiary, negacji i materializmu. Dawniej — gadał Goleniszczew nie spostrzegając, czy też spostrzec nie chcąc, że i Anna, i Wroński mieli ochotę coś powiedzieć — dawniej wolnomyśliciel to był człowiek wychowany w pojęciach religijnych, w pojęciach prawa i moralności, i własną walką i pracą dochodził do wolnomyślicielstwa. Teraz jednak pojawił się nowy typ, wolnomyślicieli z urodzenia, którzy rosną nie

* *d'embrée* — od razu.

słyszając nawet o tym, że istniały kiedyś prawa moralności i religii, że istniały autorytety, wolnomyślicieli, którzy po prostu wyrosli z negacji wszystkiego, czyli wyrosli jak dzicy. Michajłow jest właśnie taki. Jest, zdaje się, synem moskiewskiego nadwornego lokaja i nie posiada żadnego wykształcenia. Kiedy wstąpił do Akademii i począł się cieszyć pewnym rozgłosem, zapragnął, jako człowiek niegłupi, zdobyć wykształcenie i zwrócił się do — jak mu się zdawało — źródła oświaty, a więc do gazet. Rozumiecie państwo, że dawniej człowiek chcący zdobyć wykształcenie — dajmy na to Francuz — rozpocząłby studiować wszystkich klasyków: więc i teologów, i dramaturgów, i historyków, i filozofów, i rozumiecie państwo, jaki wysiłek umysłowy by go czekał. U nas jednak w obecnej dobie Michajłow trafił wprost na literaturę negacji, przyswoił sobie bardzo szybko cały ekstrakt negatywnej wiedzy i na tym koniec. Mało tego: dwadzieścia lat temu byłby znalazł w tej literaturze ślady walki z autorytetami, z poglądami mającymi za sobą całe wieki; z tej walki byłby zrozumiał, że kiedyś istniało coś innego. Teraz trafia wręcz na takie piśmiennictwo, w którym nawet nie raczą dyskutować z dawnymi poglądami, lecz po prostu mówią: nic nie istnieje poza *evolution**, doborem naturalnym, walką o byt — i tyle. Ja w mojej pracy...

— Wie pan co — przerwała Anna, która już dawno dyskretnie porozumiewała się spojrzeniami z Wrońskim i która wiedziała, że go nie interesuje poziom wykształcenia tego artysty, lecz tylko kwestia, jak by mu dopomóc i zamówić u niego portret. — Wie pan co? — energicznie przerwała rozgadanemu Goleniszczewowi: — Chodźmy do niego.

Goleniszczew oprzytomniał i chętnie się zgodził, a

* *Evolution* — ewolucja.

ponieważ artysta mieszkał w oddalonej części miasta, postanowiono wziąć powóz.

W godzinę później Anna obok Goleniszczewa, a Wroński na przednim siedzeniu powozu zajeżdżali przed ładny nowy dom w odległej dzielnicy miasta. Dowiedziawszy się od żony dozorczy, która wyszła na ich spotkanie, że Michajłow pozwala zwiedzać swoją pracownię, ale że teraz jest o dwa kroki stamtąd w swoim mieszkaniu — posłali ją do niego ze swymi biletami wizytowymi, prosząc o pozwolenie obejrzenia jego obrazów.

X

Artysta malarz Michajłow, gdy mu przyniesiono bilety Wrońskiego i Goleniszczewa, był jak zwykle przy pracy. Rano pracował w swym atelier nad wielkim obrazem. Gdy przyszedł do domu, rozgniewał się na żonę, ponieważ ta nie umiała dać sobie rady z żądającą pieniędzy gospodynią.

— Ze dwadzieścia razy ci już mówiłem, żebyś się z nią nie wdawała w dyskusję. I tak jesteś głupia, a kiedy zaczynasz dyskutować po włosku, jesteś potrójnie głupia — powiedział jej na zakończenie długiej sprzeczki.

— Więc nie zalegaj tak z komornym! To nie moja wina. Gdybym miała pieniądze...

— Daj mi pokój, na miłość boską! — krzyknął ze łzami w głosie Michajłow i zatykając uszy przeszedł do swojego gabinecziku za przepierzeniem i zamknął za sobą drzwi. „Za grosz rozsądku!” — powiedział sobie, usiadł przy stole, otworzył teczkę i natychmiast, ze szczególnym zapalem, zabrał się do rozpoczętego rysunku.

Nigdy mu się nie pracowało z taką żarliwością ani tak owocnie, jak kiedy nie wiodło mu się w życiu, a zwłaszcza

gdy się pokłócił z żoną. „Ach, bodajby się choć w ziemię zapaść!” — myślał nie przerywając pracy. Pracował nad rysunkiem potrzebnym do postaci człowieka uniesionego gniewem. Miał już przedtem zrobiony szkic, ale był z niego niekontent. „Nie, tamten był lepszy... Gdzie on jest?” Poszedł do żony i nadąsany, nie patrząc na nią zapytał starszą córeczkę o papier, który im dał. Papier z odrzuconym poprzednio rysunkiem znalazł się, był jednak powalany i zakapany stearyną. Mimo to Michajłow zabrał go, położył u siebie na stole, odsunął się nieco i jął nań patrzeć mrużąc oczy. Nagle uśmiechnął się i zaczął aż gestykulować z radości.

— Tak! Tak! — zawołał i pochwycając ołówek począł szybko rysować.

Stearynowa plama sprawiła, że człowiek na rysunku przybrał nową pozę.

Rysował tę nową pozę i nagle przypomniał sobie energiczną twarz kupca o wystającej dolnej szczęce, od którego kupował cygara. Narysował swemu człowiekowi twarz kupca z takim właśnie podbródkiem i aż się roześmiał z radości. Postać z martwej, zamyślanej, nagle stała się żywa. Już jej nie wolno było zmieniać. Żył, charakter jej był przejrzysty i niewątpliwy. Ałożna było teraz poprawić cały rysunek zgodnie z wymaganiami tej postaci. Można, a nawet trzeba było inaczej ustawić nogi, zupełnie zmienić położenie lewej ręki, odsunąć włosy, ale robiąc te poprawki Michajłow nie zmieniał figury, odrzucał jedynie to, co ją zakrywało. Jakby tylko zdejmował z niej zasłony, spoza których nie była całkowicie widoczna: każdy nowy rys tylko coraz bardziej odkrywał kształt postaci, z całą jej krzepką energią, taką, jaka mu się nagle ukazała wywołana stearynową plamą. Ostrożnie kończył rysunek figury, gdy przyniesiono mu wizytówki:

— Zaraz, zaraz. Wszedł do żony.

— No, więc już dobrze, Sasza, nie gniewaj się! — rzekł do niej, uśmiechając się z nieśmiałą czułością. — I ty nie miałaś racji, i ja jej nie miałem. Wszystko załatwię. — I pogodziwszy się z żoną, włożył oliwkowe palto z aksamitnym kołnierzem, wziął kapelusz i poszedł do pracowni. Udana figura już mu wyleciała z głowy; teraz cieszyło go i przejmowało przybycie do jego pracowni tych dystyngowanych Rosjan, którzy przyjechali powozem.

O swoim obrazie, stojącym w tej chwili na jego sztalugach, miał w gruncie rzeczy jedno tylko mniemanie: to, że nikt nigdy nic podobnego dotąd nie stworzył. Nie sądził, by obraz jego był lepszy od wszystkich płócien Rafaela, lecz wiedział, że tego, co on chciał w nim wyrazić i wyraził, nikt nigdy nie wypowiadał. Był tego zupełnie pewien, i to już od dawna, od chwili, gdy zaczął obraz malować. Sądy ludzkie wszelako — jakiegokolwiek one były — miały dla niego ogromne znaczenie i przejmowały go na wskroś. Każda uwaga, nawet najbardziej błaha, lecz dowodząca, że krytycy widzą choćby najmniejszą cząstkę tego, co on sam w tym obrazie upatrywał, do głębi go poruszyła. Krytykom swym przypisywał stale większą trafność rozumienia od tej, którą sam posiadał, i zawsze oczekiwał od nich czegoś takiego, czego sam w swym obrazie nie widział. I nieraz, jak mu się zdawało, znajdował to coś w sądach widzów.

Szybkim krokiem zbliżał się do drzwi pracowni i mimo że był mocno podniecony, uderzyło go jednak miękkie oświetlenie postaci Anny. Stała u wejścia w cieniu i słuchała Goleniszczewa, który o czymś gorąco rozprawił, a jednocześnie widać było, że pragnie przyjrzeć się nadchodzącemu artyście. Nie zdając sobie z tego sprawy, w drodze ku przybyłym uchwycił, wchłonął to wrażenie,

podobnie jak przedtem wrażenie szczęki kupca sprzedającego cygara, i schował je tam, skąd miał je w razie potrzeby wydobyć. Już z góry zniechęceni opowiadaniem Goleniszczewa o malarzu, zniechęcili się jeszcze bardziej jego wyglądem. Wzrostu średniego, krępy, o nerwowych ruchach, Michajłow wywarł na nich nieprzyjemne wrażenie swym brązowym kapeluszem, oliwkowym paltem i wąskimi spodniami (od dawna już noszono szerokie), a zwłaszcza popolitością swej szerokiej twarzy i mieszaniną nieśmiałości i obawy, by mu nie uchybiono.

— Proszę uniżenie — powiedział starając się przybrać obojętną minę; po czym wszedłszy do sieni wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi.

XI

Po wejściu do pracowni malarz Michajłow raz jeszcze obejrzał przybyłych i odnotował w wyobraźni wyraz twarzy Wrońskiego, a zwłaszcza wyraz jego kości policzkowych. Mimo że instynkt artystyczny malarza funkcjonował bez przerwy, zbierając materiały, mimo że Michajłow był coraz bardziej podniecony zbliżającą się chwilą osądu jego dzieła, to jednak szybko i subtelnie z ledwo dostrzegalnych oznak wyrabiał sobie pojęcie o swych trojgu gościach. Tamten (Goleniszczew) to był tutejszy Rosjanin. Michajłow nie pamiętał ani jego nazwiska, ani gdzie go spotkał i o czym z nim mówił. Pamiętał jedynie jego twarz, tak jak pamiętał wszystkie twarze, jakie widział kiedykolwiek, ale pamiętał również, że była to jedna z tych, które w wyobraźni magazynował w olbrzymim dziale twarzy niby charakterystycznych, lecz bez wyrazu. Bujne włosy i bardzo wysokie czoło nadawały jej pozorną wybitność, tymczasem

wiało od niej tylko nieznacznym, omal że nie dziecinnym niepokojem skupionym u wąskiej nasady nosa. Wroński zaś i pani Karenin byli to zapewne — według oceny Michajłowa — znaczni i bogaci Rosjanie, podobnie wszystkim bogatym Rosjanom nie znający się ani trochę na sztuce, a udający amatorów i znawców sztuki. „Z pewnością obejrżeli już wszystkie starożytności i obecnie zwiedzają pracownie nowoczesnych artystów, szarlatana Niemca i durnia Anglika prerafaelyty*, a u mnie zjawili się tylko dla skompletowania przeglądu” — myślał Michajłow. Znał doskonale manierę dyletantów (im inteligentniejsi, tym gorzej) oglądających pracownie współczesnych artystów tylko po to, by mieć prawo orzec, że sztuka upada i że im więcej się patrzy na nowych, tym bardziej widać jak niedościgli pozostają wciąż wielcy starzy mistrzowie. Michajłow spodziewał się tego wszystkiego, poznawał to wszystko po twarzach gości, po tym lekceważącym roztargnieniu, z jakim rozmawiali pomiędzy sobą, oglądali manekiny i popiersia i przechadzali się swobodnie, w oczekiwaniu, aż on odsłoni obraz. Mimo to jednak, przekładając szkice, podnosząc story i zdejmując prześcieradło, był mocno przejęty, a to tym bardziej że — chociaż wszyscy bogaci i znaczni Rosjanie musieli w jego pojęciu być bydlakami i durniami — Wroński, a zwłaszcza Anna podobali mu się.

— Proszę, niech państwo raczą spojrzeć — rzekł odsuwając się nerwowym ruchem na bok i wskazując na obraz. — Oto Chrystus przed Piłatem, Mateusza rozdział XXVII. — Mówiąc to czuł, że mu wargi poczynają drżeć ze wzruszenia. Cofnął się trochę i stanął za plecami przybyłych.

Przez parę sekund, w czasie których goście patrzyli w

* Prerafaelytyzm — kierunek w malarstwie, który rozwinął się w Anglii w połowie w. XIX. Prerafaelici nawiązywali do wczesnego Odrodzenia, którego malarstwo pociągało ich swoją prostotą i naiwnością.

milczeniu na obraz, Michajłow spoglądał nań również, i to obojętnym okiem obcego widza. Przez te parę sekund już z góry wierzył, że jakaś wyższa, najsprawiedliwsza ocena wyjdzie z ust tych właśnie przybyszów, którymi przed chwilą tak pogardzał. Zapomniał o wszystkim, co dotąd mniemał o swym obrazie przez owe trzy lata, kiedy go malował; zapomniał o wszystkich jego zaletach, co do których nie miał wątpliwości — oglądał go beznamiętnym obcym, nowym spojrzeniem i nie widział w nim żadnych zalet. Na pierwszym planie widniały: zagniewana twarz Piłata i spokojne oblicze Chrystusa, na drugim — postaci sług Piłata i głowa Jana wpatrującego się w to, co się działo. Twarze, które po tylu poszukiwaniach, z tyloma błędami i poprawkami wyrosły wprost z niego, każda obdarzona odrębnym charakterem, każda z osobna niosąca mu tyle męki i szczęścia, a wszystkie tylekroć przedstawiane, by osiągnąć jednolitość, różne odcienie koloru i tonów, uzyskane z takim trudem — wszystko to razem wzięte i oglądane oczyma gości zdało mu się pospolite, po tysiąc razy już powtarzane. Nawet to jego najulubieńsze: twarz Chrystusa, centrum obrazu, która, gdy ją odnalazł w sobie, wprawiła go w taki zachwyt, utraciła swą wartość, gdy spojrział na nią ich oczyma. Widział przed sobą dobrze namalowane (a nawet niedobrze, dostrzegał teraz bowiem wyraźnie mnóstwo wad) powtórzenie tych wiecznych Chrystusów Tycjana, Rafała, Rubensa*, powtórzenie zawsze tych samych żołnierzy i takiego samego Piłata. Wszystko to było pospolite, mizerne, przestarzałe i nawet źle namalowane — pstre i słabe. Będą mieli rację traktując artystę frazesami udanej uprzejmości, a wysmiewając się z niego i litując się nad nim później, gdy

* Tycjan (Tiziano Vecellio, 1480–1576), Rafael (Raffaello Santi, 1483–1520) — wielcy malarze włoscy epoki Odrodzenia. Piotr Paweł Rubens (1577–1640) — wielki malarz flamandzki.

zostaną sami.

Nie mógł dłużej znieść tego milczenia (mimo że nie trwało ono nawet minuty). By przerwać je dowodząc jednocześnie, że nie jest bynajmniej wzruszony, opanował się i wszczął rozmowę z Goleniszczewem.

— Miałem, zdaje się, przyjemność spotykać pana — mówiąc to raz w raz oglądał się to na Annę, to na Wrońskiego, by nie przeoczyć ani jednego odcienia ich wyrazu.

— A jakże! Widzieliśmy się u Rossich, pamięta pan? Na wieczorze, gdzie deklamowała ta młoda Włoszka, nowa Rachel* — ze swobodą odparł Goleniszczew, po czym bez najmniejszego żalu oderwał wzrok od obrazu i zwrócił się do artysty.

Zauważywszy jednak, że Michajłow spodziewa się jakiejś oceny, dodał:

— Obraz pański bardzo się posunął naprzód od czasu, gdym go ostatni raz widział. Jak wówczas, tak i teraz niezwykle mnie uderza postać Piłata. Tak się go rozumie, tego człowieka — dobrego, poczciwego chłopca, ale urzędnika do szpiku kości, który nie wie, co czyni. Lecz mnie się zdaje...

Cała wyrazista twarz Michajłowa nagle zajaśniała, oczy mu rozbłysły. Chciał coś powiedzieć, lecz ze wzruszenia nie mógł wymówić ani słowa i udał, że kaszle. Jakkolwiek nisko szacował znajomość sztuki Goleniszczewa i mimo że słuszna uwaga o wyrazie twarzy Piłata — urzędnika była mało znacząca, a mogło nawet urazić artystę, że Goleniszczew zaczął od czegoś tak błahego, zanim omówiono rzeczy ważniejsze, to jednak Michajłow nie posiadał się z radości, sam bowiem myślał o postaci Piłata to właśnie, co

* Eliza Rachel (1820–1858) — znakomita aktorka francuska, występująca głównie w klasycznych tragediach francuskich.

wypowiedział Goleniszczew. Skojarzenie to było jednym z milionów skojarzeń, które — Michajłow dobrze to wiedział — wszystkie mogły być trafne. To jednak nie zmniejszyło w jego oczach znaczenia uwagi Goleniszczewa. Pokochał go za nią i z przygnębienia przeszedł naraz w uniesienie. Cały obraz wnet ożył mu w oczach i nabrał niewysłowionego skomplikowania żyjących rzeczy. Michajłow znów spróbował powiedzieć, że właśnie tak rozumie Piłata, ale wciąż drżały mu nieposłuszne wargi i nie mógł w ogóle przemówić. Wroński i Anna rozmawiali również, lecz po cichu, tak jak się zwykle mówi na wystawach obrazów; po części, by nie urazić artysty, a poza tym, by nie powiedzieć na głos głupstwa, które tak łatwo palnąć, gdy się mówi o sztuce. Michajłowowi zdawało się, że są pod wrażeniem jego obrazu. Zbliżył się do nich.

— Jaki przedziwny jest wyraz Chrystusa! — rzekła Anna. Ze wszystkiego, co oglądała, najbardziej spodobał jej się ten wyraz: wyczuwała, że to jest właśnie punkt ciężkości obrazu i że ta pochwała zrobi przyjemność artyście. — Widać, że mu żal Piłata.

To znowu był jeden z tych milionów słusznych wniosków, które można było wysnuć z obrazu i postaci Chrystusa. Powiedziała, że Chrystusowi żal Piłata. W wyrazie twarzy Chrystusa nie może zabraknąć współczucia, maluje się na niej bowiem wyraz miłości, nieziemskiego spokoju, gotowości na śmierć, a także świadomość, że słowa są próżne. Rzecz jasna, że Piłat ma coś z urzędnika, a że Chrystus promienieje litością, ponieważ pierwszy uosabia ciało, a drugi — ducha. Wszystko to i wiele innych rzeczy przemknęło przez myśl Michajłowa i znów twarz jego zapłonęła uniesieniem.

— Tak... I jak ta postać jest zrobiona; ile tu powietrza.

Można by ją obejść dookoła — rzekł Goleniszczew dając najwyraźniej do zrozumienia, że nie pochwała treści i koncepcji figury.

— Tak, zdumiewające mistrzostwo! — zgodził się Wroński. — Jak te postacie na drugim planie występują z tła! To się nazywa technika — zwrócił się do Goleniszczewa nawiązując do uprzedniej z nim rozmowy, w której Wroński wyrażał wątpliwość, czy mu się kiedy uda osiągnąć technikę malarską.

— Tak, tak, zdumiewające!. — potwierdzili Goleniszczew i Anna. Mimo podniecenia, w jakim znajdował się Michajłow, uwaga o technice odezwała mu się w sercu bolesnym zgrzytem; spojrzął z gniewem na Wrońskiego i zasepił się nagle. Słyszał często słowo „technika” i stanowczo nie rozumiał, co chciano przez to powiedzieć. Wiedział, że słowem tym określano mechaniczną zdolność malowania i rysowania, całkiem niezależną od treści. Często zauważał, tak jak i teraz w tej pochwie, że się technikę przeciwstawia wewnętrznej wartości obrazu, jak gdyby możliwym było dobrze namalować coś, co jest złe. Wiedział, ile potrzeba uwagi i ostrożności, by zdejmując zasłonę nie uszkodzić samego dzieła, a ile — by zdjąć wszystkie zasłony... Ale nie ma w tym żadnej sztuki malarskiej, żadnej techniki. Gdyby małemu dziecku czy kucharce odsłoniło się to, co on widział, to każde z nich potrafiłoby wyrazić to, co widziało. Natomiast najdoświadczeńszy i najzręczniejszy malarz — technik przy samym tylko mechanicznym uzdolnieniu nie potrafiłby nic namalować, gdyby mu się nasamprzód nie objawiły granice treści. Poza tym Michajłow zdawał sobie sprawę, że skoro mowa o technice, to niepodobna go było za nią chwalić. We wszystkim, co malował i co już był namalował, dostrzegał rzucające się w oczy błędy,

wynikające z nieoględności, z jaką zdejmował zasłony, a których już teraz poprawić nie mógł bez szkody dla całości dzieła. I prawie na wszystkich postaciach i twarzach ciągle jeszcze dostrzegał psujące obraz resztki nie całkiem zdjętych zasłon.

— Jedno można by powiedzieć, jeśli pan pozwoli mi zrobić uwagę... — zaczął Goleniszczew.

— Ach, bardzo mi przyjemnie! Proszę pana o to — i Michajłow uśmiechnął się z przymusem.

— ...Mianowicie to, że u pana to jest nie Bóg — człowiek, ale człowiek — Bóg. Zresztą jestem pewien, że taka właśnie była pana intencja.

— Nie mogłem namalować takiego Chrystusa, jakiego nie noszę w sercu — posepnie rzucił Michajłow.

— Tak, ale w takim razie — o ile mi pan pozwoli powiedzieć to, co myślę... Obraz pana jest tak piękny, że uwaga moja zaszkodzić mu nie może, a zresztą to tylko moje osobiste zdanie. U pana to co innego: tu pobudki są inne. Ale weźmy choćby Iwanowa. Wydaje mi się, że jeśli się ograniczy Chrystusa do roli postaci historycznej, to Iwanów lepiej by zrobił, gdyby wybrał inny temat historyczny — nowy, nie ograny.

— Cóż, kiedy to najwznioślejszy temat, jaki może nastreczyć się sztuce!

— Gdyby się poszukało, można by znaleźć inne. Ale chodzi o to, że sztuka nie znosi sporów i mędrkowania. Tymczasem przed obrazem Iwanowa i wierzący, i niewierzący staje wobec pytania: Bóg to czy nie?... A takie pytanie niweczy jednolitość wrażenia.

— Dlaczego? Zdaje mi się, że u ludzi oświeconych — zaoponował Michajłow — żadnej kwestii na ten temat być już nie może.

Goleniszczew się z tym nie zgodził i — obstając przy swej pierwotnej opinii o jednolitości wrażenia niezbędną w sztuce — pobił na głowę Michajłowa.

Ten był zirytowany, ale nie potrafił nic powiedzieć w obronie swego poglądu.

XII

Anna i Wroński już od dłuższej chwili porozumiewali się wzrokiem, ubolewając nad uczoną gadatliwością towarzysza, aż wreszcie Wroński podążył, nie czekając na gospodarza, do następnego, niewielkiego obrazu.

— Ach, cóż to za cudo, co za cudo! Cudowne! Jakież to śliczne! — wykrzyknęli jednogłośnie.

„Co im się tak spodobało?” — pomyślał Michajłow. Zapomniał był o tym obrazie namalowanym przed trzema laty. Zapomniał o wszystkich cierpieniach i uniesieniach, które go z nim łączyły wówczas, gdy przez kilka miesięcy dzień i noc zajęty był wyłącznie i nieustannie tym właśnie obrazem. Zapomniał o nim tak jak o każdym innym, raz skończonym dziele. Nie lubił nań nawet patrzeć i wystawił go dlatego, że oczekiwał Anglika, który go zamierzał kupić.

— Ten? Tak, to stary szkic — objaśnił.

— Jakie to piękne! — rzekł Goleniszczew, który też był wyraźnie pod urokiem tego obrazu.

Dwaj chłopcy w cieniu wierzby łowili ryby na wędkę. Jeden z nich, starszy, właśnie zarzucił wędkę i starannie kierował popławkiem spoza krzaka, cały pochłonięty tą sprawą; drugi, młodszy, leżał na trawie, oparłszy na rękach głowę o zwichrzonych blond włosach, i zamyślonymi oczyma patrzył na wodę. O czym on tak rozmyślał?

Zachwyty wywołany przez obraz potracił u Michajłowa o

dawne wzruszenie, ale ponieważ obawiał się i nie lubił tego bezpłodnego sentymentu dla przeszłości, więc mimo że pochwały cieszyły go, usiłował skierować gości dalej do trzeciego obrazu.

Wroński wszakże zapytał, czy obraz jest na sprzedaż. W tej chwili Michajłowowi, przejętemu odwiedzinami gości, poruszanie jakichkolwiek spraw pieniężnych było przykre.

— Obraz jest wystawiony na sprzedaż — odrzekł posepnie, nastroszony.

Gdy goście odjechali, Michajłow usiadł przed obrazem Piłata i Chrystusa i powtarzał sobie w myśli wszystko, co odwiedzający powiedzieli albo co — chociaż tego nie powiedzieli — mieli na myśli. I (rzecz dziwna!) to, co miało takie znaczenie gdy goście byli obecni i gdy on sam w duchu przestawiał się na ich stanowisko, nagle straciło dla Michajłowa wszelką wagę. Począł patrzeć na obraz swym własnym najpełniejszym artystycznym spojrzeniem i zeszła na niego pewność, że obraz jest doskonały i o wielkiej doniosłości. Pewność ta była mu potrzebna, by dojść do napięcia wykluczającego wszelkie inne zainteresowania, napięcia, bez którego nie mógł pracować.

Skrót nogi Chrystusa wydał mu się jednak chybiony. Wziął paletę i zabrał się do roboty. Poprawiając nogę, nieustannie wpatrywał się w figurę Jana na drugim planie, którego goście nie zauważyli, a która — miał co do tego pewność — była szczytem doskonałości. Skończył nogę i chciał zabrać się do tamtej postaci, ale czuł się na to zbyt wzburzony. Nie mógł pracować ani kiedy był wystygły, ani kiedy będąc zbyt poruszony, zbyt ostro wszystko widział. Istniał tylko jeden stopień w przejściu od oziębłości do natchnienia, na którym praca była możliwa. Tego dnia zanadto był wzburzony. Chciał zasłonić obraz, lecz się

wstrzymał i z prześcieradłem w rękę, a uśmiechem błogości na wargach, długo wpatrywał się w postać Jana. Wreszcie oderwał się od niej i jakby z żalem zawiesił obraz płachtą, po czym zmęczony, ale szczęśliwy, poszedł do domu.

Wroński, Anna i Goleniszczew w powrotnej drodze byli niezwykle ożywieni i weseli. Rozmawiali o Michajłowie i jego obrazach. Słowo talent, które dla nich oznaczało wrodzoną, niemal fizyczną zdolność, niezależną od rozumu i serca, słowo, którym chcieli objąć wszystko, co przeżywa artysta, raz po raz trafiało się w rozmowie. Było im ono niezbędne po to, by móc określać coś, o czym nie mając najmniejszego pojęcia, chcieli jednak rozmawiać. Mówili, że nie można mu odmówić talentu, ale że talent ów nie mógł się rozwinąć na skutek braku wykształcenia — tej klęski wspólnej wszystkim naszym rosyjskim artystom. Obraz przedstawiający chłopców utrwalił im się jednak w pamięci i coraz to doń powracali.

— Co to za śliczna rzecz! Jak mu się to udało i jaka w tym prostota! On nawet sam sobie nie zdaje sprawy, jakie to piękne. Tak, nie należy tego z rąk wypuścić; trzeba to kupić — mówił Wroński.

XIII

Michajłow sprzedał Wrońskiemu swój obrazek i zgodził się zrobić portret Anny. Umówionego dnia przyszedł i wziął się do dzieła.

Już począwszy od piątego seansu portret wydał się wszystkim, zwłaszcza Wrońskiemu, uderzający, nie tylko ze względu na podobieństwo, ale i na osobliwe piękno. Dziwne było, skąd Michajłow mógł odkryć tę jakąś szczególną piękność Anny. „Trzeba ją tak znać i tak kochać jak ja, by

odnaleźć ten jej najczarowniejszy wyraz, odzwierciedlający piękno duszy” — myślał Wroński, chociaż sam dopiero z tego portretu dowiedział się o tym jej najczarowniejszym wyrazie. Wyraz był wszelako tak prawdziwy, że i Wrońskiemu, i innym zdawało się, iż go od dawna znali.

— Ile ja już czasu ze skóry wyłażę i nic dotychczas nie zrobiłem — miał na myśli portret Anny — a ten tylko popatrzył i już namalował. Ot, co znaczy technika!

— To przyjdzie z czasem — pocieszał go Goleniszczew, którego zdaniem Wroński miał i talent, i — co najważniejsze — kulturę dającą wzniosły pogląd na sztukę. Przekonanie Goleniszczewa o talencie Wrońskiego było tym silniejsze, że sam potrzebował jego sympatii i aprobaty dla swych idei i artykułów. Czuł, że pochwały i poparcie powinny być wzajemne.

W obcym domu, a zwłaszcza w *palazzo* u Wrońskiego, Michajłow był zupełnie innym człowiekiem niż u siebie w pracowni. Zachowywał się z pełnym nieprzychylności szacunkiem, jakby obawiał się spoufalenia z ludźmi, których nie szanował. Tytułował Wrońskiego ekscelencją i nigdy, mimo zaproszeń Anny i Wrońskiego, nie zostawał na obiedzie. Nigdy też nie przychodził inaczej jak tylko na seanse. Anna, wdzięczna za swój portret, okazywała mu więcej uprzejmości niż komukolwiek innemu, a Wroński był dla niego arcygrzeczny i wyraźnie ciekaw jego zdania o swoim obrazie. Goleniszczew przy każdej sposobności wpajał Michajłowowi właściwe pojęcie o sztuce. Michajłow wszakże traktował wszystkich z jednakowym chłodem. Anna wyczuwała z jego spojrzenia, że lubił na nią patrzeć, rozmowy jednak z nią unikał. Na próby Wrońskiego wciągnięcia go do rozmowy o jego malarstwie milczał uporczywie i równie uparcie milczał, kiedy mu pokazano

obraz Wrońskiego. Goleniszczew niedwuznacznie go nudził; nie podejmował z nim żadnej dyskusji.

W ogóle Michajłow przy bliższym poznaniu bardzo im się nie spodobał z powodu swej rezerwy i nieprzyjemnego, jakby wrogiego obejścia. Radzi byli, gdy posiedzenia się skończyły i w rękę ich pozostał prześliczny portret, malarz zaś przestał przychodzić.

Goleniszczew pierwszy wypowiedział wspólną wszystkim myśl, mianowicie, że Michajłow po prostu zazdrościł Wrońskiemu.

— Dajmy na to, że nie zazdrości, bo przecie sam ma talent, ale irytuje go, że ktoś ze sfer dworskich, ktoś zamożny, a w dodatku hrabia (przecie oni tego wszystkiego nienawidzą), bez specjalnego trudu robi równie dobrze, jeśli nie lepiej, coś, czemu on poświęca całe życie. A poza tym chodzi o kulturę, której on nie posiada.

Wroński bronił Michajłowa, lecz w głębi duszy sam również w to wierzył, ponieważ według jego pojęć człowiek z innej, niższej sfery musi być zazdrosny.

Portret Anny — ta sama rzecz malowana z natury przez niego i przez Michajłowa — winien był wykazać Wrońskiemu różnicę pomiędzy nim a Michajłowem, lecz on jej nie dostrzegął. Tyle, że po Michajłowie przerwał malowanie portretu Anny, uważając, że to już zbyteczne. Za to pracował dalej nad obrazem z okresu średniowiecza. I on sam, i Goleniszczew, a zwłaszcza Anna, znajdowali, że obraz ten jest bardzo dobry, daleko bardziej bowiem przypominał znane płótna niż obraz Michajłowa.

Tymczasem Michajłow był — mimo że portret Anny bardzo go zainteresował — jeszcze bardziej od nich rad, gdy seanse się skończyły: nie potrzebował już więcej słuchać gadaniny Goleniszczewa o sztuce i mógł zapomnieć o

malarstwie Wrońskiego. Rozumiał, że niepodobna było zabronić Wrońskiemu bawić się w malarstwo; wiedział, że i on, i wszyscy dyletanci mają wszelkie prawo malować, co im się podoba, ale było mu to niemile. Gdy kto pragnie zrobić sobie dużą lalkę z wosku i całować ją, nie można mu tego zakazać, gdyby wszakże człowiek ten przybył wraz ze swą lalką, usiadł i w obecności zakochanego zaczął ją pieścić, tak jak kochanek pieści tę, którą kocha, to zakochanemu byłoby przykro. Tego rodzaju przykrości doświadczał Michajłow na widok dzieł Wrońskiego: chciało mu się śmiać i był zły, litował się, a jednocześnie czuł się dotknięty.

Rozmówienie Wrońskiego w malarstwie i średniowieczu niedługo trwało. Miał, gdy chodziło o malarstwo, zbyt dużo dobrego smaku, by móc dalej malować swój obraz, dzieło więc przestało robić postępy. Wroński miał mgliste wyczucie, że popełnione przezeń błędy, mało znaczne na początku, staną się krzyczące, o ile będzie malował dalej. Spotkało go to samo co Goleniszczewa, który czuł, że nie ma nic do powiedzenia, ale wciąż sam się oszukiwał wmawiając sobie, że myśl jego jeszcze nie dojrzała, że musi ją donosić, że przygotowuje materiały. Goleniszczewa to wyczerpywało i zgorzkniał, podczas gdy Wroński nie potrafił okłamywać się ani zadrećzać, zwłaszcza zaś nie umiał się złościć. Z właściwą sobie szybkością decyzji, nie tłumacząc się ani usprawiedliwiając, przestał zajmować się malarstwem.

Bez tego zajęcia jednak życie jego i Anny, która zdziwiona była jego zniechęceniem, wydało mu się w tym włoskim miasteczku tak nudne, pałac wydał mu się nagle tak widocznie brudny i stary, tak mu obrzydło patrzeć stale na te same plamy na firankach, na szpary w podłodze, poobijane sztukaterie na gzymsach, a poza tym tak miał dosyć wiecznie tych samych: Goleniszczewa, profesora Włocha i turysty

Niemca — że zmiana trybu życia stała się nieodzowna. Postanowili jechać na wieś do Rosji. W Petersburgu Wroński miał zamiar przeprowadzić z bratem działą, Anna pragnęła zobaczyć synka, lato zaś zamierzali spędzić w dużym rodzinnym majątku Wrońskiego.

XIV

Lewin był już trzy miesiące po ślubie. Czuł się szczęśliwy, ale zupełnie inaczej szczęśliwy, niż się tego spodziewał. Na każdym kroku zawodziły go dawne marzenia lub przeciwnie, spotykał nowy, niespodziany urok. Lewin był szczęśliwy, ale po rozpoczęciu życia rodzinnego spostrzegał na każdym kroku, że było ono czymś zupełnie różnym od tego, co sobie wyobrażał. Na każdym kroku doświadczał uczucia kogoś, kto by się zachwycił z brzegu równym, bezpiecznym biegiem łódeczki po jeziorze, a później sam by do owej łódeczki wsiadł. Człowiek ów przekonałby się, że nie dość jest siedzieć równo nie chwiejąc łódeczką, ale że trzeba się jeszcze orientować nie zapominając bodaj na chwilę o kierunku podróży ani o tym, że pod nogami znajduje się toń wodna, że trzeba wiosłować, a to sprawia ból rękom tego niezwyčajnym. Przekonałby się, że tylko przyglądanie się jest łatwe, a wykonywanie tego wszystkiego, choć bardzo przyjemne, jest nader trudne.

Zdarzało mu się jako kawalerowi, że patrząc na czyjeś małżeńskie pożycie, na drobne troski, kłótnie, zazdrość, uśmiechał się skrycie z pogardą. W jego przyszłym małżeńskim pożyciu nie tylko nic podobnego, jego zdaniem,, zdarzać się nie mogło, ale nawet wszystkie formy zewnętrzne, jak mu się zdawało, winny być pod każdym względem różne od form życia innych. I nagle okazało się, że

pożycie jego z żoną nie tylko nie ułożyło się jakoś osobliwie, ale przeciwnie, całe było złożone z tych najpospolitszych drobiazgów, które Lewin tak poprzednio lekceważył, a które obecnie, wbrew jego woli, nabierały wagi niezwyklej i niewzruszonej. I Lewin widział, że ułożenie tych wszystkich drobnostek wcale nie było takie łatwe, jak mu się to przedtem wydawało. Chociaż sądził, że o życiu rodzinnym posiada jak najdokładniejsze pojęcie, wyobrażał sobie mimo woli, jak wszyscy mężczyźni, życie rodzinne wyłącznie jako napawanie się miłością, która nie powinna doznawać żadnych przeszkód i której nie mogą zakłócać żadne drobne troski. Według pojęć Lewina winien on był wykonywać swoją pracę, a odpoczywać po niej wśród miłosego szczęścia. Do obowiązków żony należało tylko: być kochaną i nic poza tym. Jak wszyscy mężczyźni zapominał, że i ona musiała pracować. I zdumiewało go, że ta poetyczna, ta urocza Kitty nie tylko w pierwszych tygodniach, ale już w pierwszych dniach ich wspólnego życia mogła myśleć, pamiętać i troszczyć się o obrusy, o meble, o materace dla przyjezdnych, o tace, o kucharza i obiad etc. Jeszcze jako narzeczonego zdziwiła go stanowczość, z jaką odrzuciła wyjazd za granicę i postanowiła jechać na wieś, tak jakby wiedziała o czymś bardzo pilnym tam, na miejscu, i jakby była w stanie myśleć nie tylko o swej miłości, ale o rzeczach ubocznych. Czuł się wówczas dotknięty, a i obecnie jej drobiazgowy zabieg i troski kilka razy go uraziły. Widział jednak, że było to dla niej niezbędne, a ponieważ kochał ją, więc choć nie rozumiał, po co jej to potrzebne, i choć pokpiwał trochę z jej kłopotów, przyglądał się im z upodobaniem. Śmiał się z lekka, gdy patrzył, jak ustawiała przywiezione z Moskwy meble, jak urządziła na nowo ich wspólny pokój, jak wieszła firanki, jak wyznaczała pokoje mające niebawem być zajęte przez

gości i przez Dolly. Śmiał się patrząc, jak urzędowała pokój dla swej panny służącej, jak dysponowała obiadem staremu kucharzowi, jak wiodła spory z Agafią Michajłówną, usuwając ją od rozporządzania zapasami. Widział, że stary kucharz uśmiechał się i z upodobaniem wysłuchiwał jej nieudolnych, niemożliwych do wykonania rozkazów; widział, że Agafia Michajłówną z zadumą, ale przyjaźnie kiwała głową wobec nowych spizarnianych zarządzeń młodocianej pani; doceniał niesłychany urok Kitty, gdy ta śmiejąc się i płacząc przychodziła mu oświadczyć, że służąca Masza przywykła ją uważać za panienkę i że dlatego nikt jej nie słucha. Wydawało mu się to miłe, ale dziwne, i myślał sobie, że lepiej byłoby obejść się bez tego wszystkiego.

Nie zdawał sobie sprawy z ogromu zmiany, jaką odczuwała Kitty. W domu, gdy się jej zachciało kapusty z kwasem albo cukierków, nieraz ani jednego, ani drugiego dostać nie mogła; tymczasem obecnie mogła obstałować, co chciała, kupować całe fury cukierków, wydawać ile się jej podobało pieniędzy i zamawiać taki deser, na jaki miała ochotę.

Z radością marzyła teraz o przyjeździe Dolly z dziećmi, zwłaszcza że postanowiła dysponować dla dzieci taki deser, jaki każde z nich lubiło, i spodziewała się, że Dolly pochwali cały jej nowy ład. Nie wiedziała sama, po co i dlaczego, ale gospodarstwo domowe pociągało ją z nieprzepartą siłą. Czując instynktownie zbliżanie się wiosny, a wiedząc, że będą także i dni słotne, wiła, jak umiała, swoje gniazdko, a w pośpiechu jednocześnie wiła je i poznawała, jak się to robi.

Ta drobiazgowa krzątanka Kitty, tak przeciwna ideałom, jakie sobie Lewin wytworzył o wzniosłym szczęściu pierwszych dni małżeństwa, była jednym z rozczarowań, a to miłe zatroskanie, którego sensu nie rozumiał, ale którego

wdziękowi nie mógł się oprzeć, stanowiło jeden z nowych uroków życia.

Lewin utracił również złudzenia, a za to znalazł niespodziany urok w sprzeczkach z Kitty. Nigdy nie byłby zdołał wyobrazić sobie, by między nim a żoną mógł panować inny stosunek poza czułością, czią i miłością. Tymczasem od najpierwszych dni zaczęli się kłócić i Kitty powiedziała mu nawet, że on kocha nie ją, tylko samego siebie, i rozpląkała się żywo przy tym wymachując rękoma.

Pierwsza ich sprzeczka wynikła stąd, że Lewin pojechał do nowego futuru i był poza domem o pół godziny dłużej, niż zamierzał, bo chciał skrócić sobie drogę i zabłądził. Wracał do domu myśląc tylko o Kitty, o jej miłości, o swym szczęściu, a im był bliżej, tym bardziej rozplomieniała się w nim czułość dla niej. Wpadł do pokoju z takim uczuciem, z jakim przybył ongi do Szczerbackich, by się oświadczyć, tylko z jeszcze większym uniesieniem. Tymczasem ona niespodzianie przywitała go z miną posępną, jakiej nigdy dotąd u niej nie widywał. Chciał ją pocałować: odepchnęła go.

— Co ci jest?

— Tak... Ty jesteś wesół... — zaczęła usiłując zachować sarkastyczny spokój.

Zaledwie jednak otworzyła usta, już się jej wyrwały wyrzuty podyktowane przez nedorzeczną zazdrość, wyrzuty za wszystko, co ją udręczało w ciągu tej pół godziny, którą nieruchomo przesiedziała w oknie. Wówczas po raz pierwszy pojął jasno coś, czego nie rozumiał wtedy, gdy wyprowadzał ją z cerkwi pó ślubie. Pojął, że jest mu nie tylko bliska, ale że już sam nie wie, gdzie ona się kończy, a on zaczyna. Wyczuł to z bolesnego rozdwojenia, którego w tej chwili doznawał. Zrazu poczuł się dotknięty, lecz natychmiast zdał sobie

sprawę, że Kitty nie może go urazić, gdyż jest właściwie nim samym. W pierwszej chwili czuł się jak człowiek, który otrzymawszy nagle z tyłu mocne uderzenie, odwraca się oburzony, chcąc się zemścić, szuka winowajcy i — przekonuje się, że niechcący sam się uderzył, więc że nie ma na kogo się gniewać, tylko musi cierpliwie znieść ból.

Nigdy później nie czuł tego z taką mocą, lecz za pierwszym razem długo nie mógł przyjść do siebie. Instynkt podpowiadał mu, by się usprawiedliwić, by dowiódł jej, że to jej wina, lecz przekonywanie jej o tym byłoby ją jeszcze bardziej rozdrażniło i zwiększyło to rozdarcie, które było powodem całego zmartwienia. Z jednej strony, przyzwyczajenie skłaniało go, by przerzucić winę z siebie na nią; z drugiej — silniejsze uczucie nakazywało prędko, jak można najprędzej, zapobiec powiększeniu się rozdarcia, by je zaleczyć. Gniotący ciężar tak niesprawiedliwego oskarżenia bolał go, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby usprawiedliwiając się zrobił jej przykrość. Jak ktoś, kto cierpi w półśnie, Lewin chciał oderwać, odrzucić ból od siebie, lecz ocknąwszy się poznał, że bolące miejsce — to on sam. Należało tylko dopomóc bolącemu miejscu, by zniosło swój ból, co też Lewin postarał się uczynić.

Małżonkowie pogodzili się. Kitty uświadomiła sobie swą winę i choć jej nie wyznała, czułość jej dla męża wzrosła. Byli na nowo w dwójnasób w swej miłości szczęśliwi, co nie przeszkadzało, że takie nieporozumienia powtarzały się, i to nader często, z najbłahszych i najmniej spodziewanych powodów. Nieporozumienia owe pochodziły niekiedy także stąd, że oboje nie wiedzieli jeszcze, co mianowicie każde z nich uważa za ważne, a także stąd, że z początku oboje bywali często w złym humorze. Kiedy jedno było w złym, a drugie w dobrym, trwał między nimi pokój, skoro jednak

zdarzało się, że oboje byli w złym humorze, to starcia wynikały z przyczyn tak niezrozumiałych dla swej błahości, że później ani Kitty, ani Lewin nie mogli sobie przypomnieć, o co się pokłócili. Prawda, że kiedy oboje bywali w dobrych humorach, podwójnie odczuwali radość życia; mimo to jednak ten pierwszy okres był dla nich okresem trudnym.

Przez cały ten czas napięcie łańcucha, którym byli związani oboje, i to jakby targanie nim raz w jedną, raz w drugą stronę dawało im się specjalnie mocno we znaki. W ogóle ów miodowy miesiąc, to jest miesiąc po ślubie, po którym Lewin z opowiadań tyle sobie obiecywał, był nie tylko nie miodowy, lecz we wspomnieniu obojga pozostał jako najboleśniej i najbardziej poniżający okres w ich życiu. Oboje w późniejszym życiu zgodnie starali się wymazać z pamięci wszystkie groteskowe, wstydlive szczegóły tej niezdrowej epoki, gdy oboje rzadko znajdowali się w normalnym nastroju, rzadko bywali ze sobą.

Życie ich wyrównało się dopiero w trzecim miesiącu małżeństwa, po powrocie z Moskwy, dokąd pojechali na kilka tygodni.

XV

Właśnie powrócili byli z Moskwy i cieszyli się samotnością; Lewin siedział przy biurku w gabinecie i pisał; Kitty, w sukni ciemnolila, noszonej przez nią w pierwszych dniach po ślubie, którą tego dnia znów włożyła i którą Lewin specjalnie pamiętał i lubił, siedziała na kanapie — tej samej starożytnej, skórzanej kanapie, stojącej w gabinecie już za czasów ojca i dziadka Lewina — i robiła *broderie anglaise**. Lewin rozmyślał i pisał, w nieustannym radosnym poczuciu

* *Broderie*... — haft angielski.

obecności żony. Nie porzucił wprawdzie ani gospodarskich zajęć, ani książki, w której miał wyłożyć teorię podstaw nowej gospodarki, ale tak jak przedtem zajęcia i myśli zdawały mu się małe i znikome w porównaniu z mrokiem zaścielającym całe jego życie, tak teraz zdawały się znikome i małe w obliczu życia, które rozpościerało się przed nim, całe zalane rześzystym blaskiem szczęścia. Nie przerywał zajęć, ale teraz czuł, że środek ciężkości jego uwagi przeniósł się gdzie indziej i że na skutek tego on sam patrzy inaczej, jaśniej, na swoje sprawy. Przedtem sprawy te były dla niego ucieczką od życia. Przedtem czuł, że bez tych spraw życie jego byłoby nazbyt smutne; obecnie zaś potrzebne mu były owe zajęcia — by życie nie stało się zbyt jednostajnie pogodne. Zabrawszy się znów do swych papierów, odczytał to, co dotychczas napisał, i z zadowoleniem stwierdził, że sprawa warta jest, by się nią zajmować, jako nowa i pożyteczna. Niejedna z dawnych myśli zdała mu się niepotrzebna i skrajna, a kiedy odświeżył w pamięci całe dzieło, dojrzał w nim dużo luk. Pisał obecnie nowy rozdział o przyczynach niekorzystnych warunków dla rolnictwa w Rosji, dowodząc, że powodem ubóstwa w Rosji jest nie tylko nieprawidłowy podział własności ziemskiej i fałszywy kierunek ekonomiczny, lecz że przyczynia się również do tego stanu rzeczy sztucznie zaszczerpiona Rosji powierzchowna cywilizacja, a zwłaszcza system komunikacyjny: koleje, które spowodowały skupienia w miastach, narastanie zbytku, a co za tym idzie, rozwój przemysłu fabrycznego, kredytu i jego towarzysza, gry na giełdzie — wszystko to z uszczerbkiem dla rolnictwa. Uważał, że gdyby zamożność państwa rozwijała się normalnie, to wszystkie te zjawiska wystąpiłyby dopiero po wpakowaniu znacznego nakładu pracy w rolnictwo, które by

wówczas doszło do normalnego, a przynajmniej do jakiegoś określonego stadium. Uważał, że zamożność kraju winna rosnać równomiernie, a przede wszystkim wzrastać tak, by inne gałęzie jego ekonomii nie wyprzedzały rolnictwa. Sądził, że komunikacja winna być przystosowana do stanu, w jakim znajduje się rolnictwo, i że wobec nieprawidłowego użytkowania ziemi w Rosji koleje — powstałe nie ze względu na konieczności ekonomiczne, tylko polityczne — były czymś przedwczesnym i miast oczekiwanego współdziałania wyprzedziły rolnictwo. Wzniesając rozwój przemysłu i kredytu koleje spowodowały zastój w rolnictwie. Podobnie jak jednostronny i przedwczesny rozwój u zwierzęcia któregośkolwiek organu zahamowałby jego rozwój ogólny, tak samo kredyt, komunikacja, ożywienie produkcji fabrycznej — niewątpliwie niezbędne i na czasie w Europie — w Rosji przyniosły jedynie szkodę, usuwając na plan drugi główny z tych punktów — sprawę organizacji rolnictwa.

Podczas gdy Lewin pisał swą pracę, Kitty przypominała sobie, z jaką sztuczną grzecznością mąż jej traktował młodego księcia Czarskiego, który wielce nietaktownie nadskakiwał jej w przeddzień wyjazdu. „Przecież to była zazdrość — myślała. — Mój Boże, jakie to miłe i niemądre! Jest zazdrosny! Gdyby Kostia tylko wiedział, ile dbam o nich wszystkich: tyle co o kucharza Piotra — rozmyślała patrząc, z dziwnym dla niej samej poczuciem posiadania, na tył głowy męża i jego opalony czerwony kark. — Choć szkoda odrywać go od pracy (i tak zdąży!), to jednak chciałabym zajrzeć mu w twarz; ciekawam, czy poczuje, że na niego patrzę? Chcę, żeby się odwrócił. Chcę tego... No!” — i otworzyła szerzej oczy pragnąc wzmocnić w ten sposób działanie wzroku.

— Tak, ściągają ku sobie wszystkie soki żywotne i wywołują sztuczny blichtr — mruknął przestając pisać, a

czując, że Kitty patrzy na niego z uśmiechem, obejrzał się.

— Co takiego? — zapytał i uśmiechnął się wstając. „A jednak obejrzał się” — pomyślała.

— Nic, chciałam tylko, żebyś się obejrzał — odrzekła patrząc na niego, by odgadnąć, czy jest zły, czy nie, że go oderwała od roboty.

— Ach, jak nam dobrze we dwoje! To jest raczej: jak mnie dobrze — i zbliżył się do niej promieniając uśmiechem szczęścia.

— I mnie tak dobrze! Nigdzie nie pojedę, a zwłaszcza do Moskwy.

— A o czym myślałaś?

— O czym?... Myślałam... Nie, nie, idź i pisz: nie odrywaj się — ściągnęła wargi — ja także muszę teraz powycinać te oto dziureczki. Widzisz?

Wzięła nożyczki i poczęła wycinać.

— Ale nie, powiedz, o czym? — rzekł przysiadając się do niej i przyglądając się zaokrąglonym ruchom malutkich nożyczek.

— Ach, o czym ja myślałam? Myślałam o Moskwie, o twojej głowie...

— I za co mnie takie szczęście spotkało? Mnie właśnie? To nienaturalne. To nazbyt piękne — pocałował ją w rękę.

— Mnie się zdaje przeciwnie: im piękniej, tym jest naturalniej.

— A ty masz kosmyczek — delikatnie obrócił jej głowę. — Kosmyczek. Widzisz, tutaj, o! Nie, nie: to poważna sprawa.

Praca doznała przerwy i kiedy Kuźma przyszedł powiedzieć, że herbata podana, odskoczyli od siebie jak winowajcy.

— Czy z miasta już przyjechali? — zapytał Kuźmę Lewin.

— Właśnie przyjechali i rozładowują.

— Przychodź prędzej — zawołała wychodząc z gabinetu — bo inaczej przeczytam wszystkie listy bez ciebie. Zagramy sobie na cztery ręce.

Lewin pozostał sam i uporządkowawszy swe zeszyty oraz nową teczkę, kupioną przez Kitty, począł myć ręce w nowej umywalni, na której znajdowały się nowe, również datujące się od przybycia Kitty, eleganckie przybory. Uśmiechał się do swoich myśli i jednocześnie kiwał nad nimi głową z dezaprobatą: dręczyło go uczucie podobne do skruchy. W jego obecnym życiu kryło się coś, czego się wstydził: pewna zniewieściałość, jakiś styl kapuański*, jak to w duchu nazywał. „Niedobrze jest tak żyć — myślał. — Oto już trzy miesiące nic prawie nie robię; dziś bodaj że po raz pierwszy wziąłem się do roboty i czym się to skończyło? Ledwie zaczął, wnet dałem pokój. Porzuciłem nawet moje zwykłe gospodarskie zajęcia; nawet już nie obchodzę ani nie objeżdżam gospodarstwa. To mi żal od niej odejść, to znów widzę, że ona się nudzi sama. A wszak sądziłem, że przed ślubem żyje się byle jak, ot tak sobie, że to się nie liczy i że dopiero po ślubie rozpocznie się prawdziwe życie. Tymczasem już niedługo miną trzy miesiące, a ja jeszcze nigdy nie spędzałem czasu na takim bezpłodnym próżnowaniu. Nie, tak nie można: trzeba zacząć. Oczywiście, to nie jej wina, nic jej zarzucić niepodobna. To ja sam powinienem był być bardziej stanowczy, wywalczyć sobie swoją męską niezależność. Bo j inaczej można i samemu przywyknąć, i ją do tego przyzwyczaić. Oczywiście — to nie jej wina” — powtarzał sobie.

Trudno jednak, by człowiek niezadowolony nie robił komuś wyrzutów, a czyni je zazwyczaj osobie, która mu jest

* Styl kapuański — od Kapui — miasta w południowych Włoszech słynącego ze świetności, zwłaszcza w czasach starożytnych.

najbliższa. Więc i Lewinowi jak przez mgłę przychodziło do głowy, że wprawdzie sama Kitty nic nie była winna, ale winne było jej wychowanie zbyt powierzchowne i puste („ten dureń Czarski: wiem przecie, że chciała dać mu odprawę, ale nie wiedziała, jak się do tego wziąć”). „Tak, pomijając zainteresowania domowe (te posiada), pomijając ubieranie się i *broderie anglaise*, Kitty nie ma żadnych poważnych zainteresowań. Nie interesuje się ani moją książką, ani moim gospodarstwem, ani chłopami, ani muzyką, chociaż sama nieźle gra, ani lekturą. Nic nie robi i to jej zupełnie wystarcza.” Lewin w głębi duszy potępiał taki stan rzeczy i nie rozumiał, że Kitty przygotowywała się do mającego nastąpić w jej życiu okresu, gdy będzie zmuszona jednocześnie spełniać obowiązki żony i pani domu, a poza tym — rodzić, karmić i wychowywać dzieci. Nie przyszło mu do głowy, że instynkt jej to podpowiadał i że przygotowując się do tego ciężkiego trudu nie żywiła żadnych skrupułów w chwilach beztroski i miłosnego szczęścia, będących obecnie jej udziałem, tylko radośnie wiała swe przyszłe gniazdko.

XVI

Kiedy Lewin wszedł na górę, Kitty siedziała przy nowym srebrnym samowarze, przed nowym serwisem do herbaty. Przy małym stolyczku posadziła starą Agafię Michajłownę z filiżanką herbaty, a sama czytała list od Dolly, z którą stale i często korespondowała.

— Ot, posadziła mnie młoda pani i kazała ze sobą posiedzieć — powiedziała Agafia Michajłowna uśmiechając się przyjaźnie do Kitty.

W słowach tych wyczytał Lewin, że dramat, jaki rozgrywał się ostatnio pomiędzy Agafią Michajłowną a Kitty,

znalazł swe rozwiązanie; skonstatował, że mimo wszystkich zmartwień, jakie starej klucznicy sprawiła młoda pani domu, która odebrała jej berło, Kitty jednak zwyciężyła i zmusiła Agafię do pokochania jej.

— Otóż i przeczytałam twoją korespondencję — rzekła Kitty podając mu nieortograficznie napisany list. — To od tej kobiety, zdaje się, która jest z twoim bratem... Nie, nie czytałam go. A to od nas z domu i od Dolly. Wystaw sobie, że Dolly zawiozła Griszę i Tanie na bal dziecinny do Sarmackich i że Tania miała kostium markizy.

Lewin wszakże nie słuchał jej. Zaczerwienił się biorąc list Marii Nikołajewny, byłej kochanki Mikołaja, i — począł go czytać. Był to już drugi list; w pierwszym doniosła była, że Mikołaj wypędził ją bez żadnej winy z jej strony, i ze wzruszającą naiwnością dodała, że chociaż jest znowu w nędzy, o nic nie prosi i niczego nie pragnie, tylko do rozpaczy ją doprowadza myśl, że Mikołaj Dmitrycz, bez niej zginie marnie z powodu słabego zdrowia. Prosiła, by Konstanty zajął się bratem. Obecnie pisała co innego: odnalazła Mikołaja, znów się w Moskwie zeszli i pojechali razem do pewnego gubernialnego miasta, gdzie on dostał posadę urzędniczą. Tam Mikołaj poróżnił się z naczelnikiem biura i wyruszył z powrotem do Moskwy, ale w drodze tak się rozchorował, że kto wie, czy się z tego podźwignie. Pisała także: „Ciagle o panu wspomina, a i pieniędzy już nie mamy.”

— Przeczytaj, co Dolly o tobie pisze — zaczęła Kitty z uśmiechem, lecz nagle urwała widząc zmienioną twarz Lewina.

— Co ci jest? Co się stało?

— Píše mi, że brat mój, Mikołaj, jest umierający. Pojadę tam. Kitty zmieniła się nagle na twarzy: Tania jako markiza,

Dolly, wszystko to znikło.

— Kiedy jedziesz? — spytała.

— Jutro.

— To i ja z tobą. Czy można?

— Kitty, co to ma znaczyć?! — zawołał z wyrzutem.

— Jak to — co? — uraziło ją, że niechętnie i z rozdrażnieniem przyjął jej propozycję. — Dlaczegoż bym nie miała z tobą jechać? Nie będę ci zawadzała. Ja...

— Jadę tam, ponieważ brat mój jest umierający — tłumaczył Lewin. — Po co miałybyś jechać i ty...

— Po co? Po to — po co i ty jedziesz.

„Nawet w chwili tak dla mnie ważnej ona myśli tylko o tym, że jej samej będzie tu nudno” — pomyślał Lewin. I to posługiwanie się fałszywym pretekstem w tak ważnej sprawie rozgniewało go.

— To niemożliwe — rzekł surowo.

Agafia Michajłowna, widząc, że zanosি się na sprzeczkę, cichutko postawiła filiżankę i wyszła. Kitty nawet tego nie zauważyła. Ton, którym mąż powiedział te słowa, uraził ją, zwłaszcza że widać było, iż jej nie wierzy.

— A ja ci powiadam, że jeśli ty pojedziesz, to i ja pojedę z tobą, bezwzględnie pojedę — wyrzekła gniewnie i szybko. — Dlaczego ma to być niemożliwe? Dlaczego twierdzisz, że niemożliwe?

— Dlatego że trzeba będzie jechać Bóg wie dokąd, po Bóg wie jakich drogach, zajeżdżać do Bóg wie jakich hoteli. Krępowałabyś mnie — perswadował Lewin usiłując zachować zimną krew.

— Ani trochę. Nic mi nie potrzeba. Gdzie ty możesz — tam i ja mogę być.

— No, więc chociażby dla tego jednego, że tam jest ta kobieta, z którą nie możesz się spotkać.

— Nie wiem i wiedzieć nie chcę, kto i co tam jest. Wiem, że brat mojego męża umiera, że mąż mój jedzie do niego, a ja jadę z mężem, aby...

— Kitty! Nie gniewaj się, ale pomyśl tylko... To taka ważna sprawa... Przykro mi myśleć, że w takiej chwili poddajesz się słabości, obawie pozostania samej. Jeśli ci będzie samej nudno, no to pojedź do Moskwy.

— Otóż to! Zawsze mi przypisujesz złe, niegodziwe myśli — w jej głosie znać było łyzy urazy i gniewu. — Ja wcale nie... to nie żadna słabość, ani trochę... Czuję, że obowiązkiem moim jest być z mężem, kiedy on ma zmartwienie. A ty chcesz umyślnie sprawić mi przykrość, umyślnie nie chcesz zrozumieć...

— Nie, to okropne! To jakaś niewola! — wykrzyknął Lewin wstając i nie mogąc dłużej zapanować nad gniewem... I w tej samej chwili poczuł, że zadaje ciosy samemu sobie.

— Więc po coś się żenił? Byłbyś wolny... Po co? Skoro teraz żałujesz?... — Zerwała się i uciekła do salonu.

Gdy poszedł za nią, znalazł ją we łzach. Szlochała.

Począł przemawiać do niej usiłując znaleźć słowa, które by nie tyle przekonały ją, co uspokoiły, lecz ona go nie słuchała i na nic z tego, co mówił, nie chciała się zgodzić. Pochylił się nad nią i wziął jej oporną rękę, pocałował ją; pocałował we włosy i znowu — w rękę. Milczała. Gdy jednak ujął jej twarz w obie dłonie i powiedział: „Kitty!” — nagle ochłonęła, popłakała jeszcze trochę i — pogodzili się.

Postanowiono jechać nazajutrz razem. Lewin zapewnił żonę, że wierzy, iż jej chęć wyjazdu pochodzi jedynie z pragnienia, aby mu się przydać, zgodził się z nią, że obecność Marii Nikołajewny u brata nie jest niczym niewłaściwym, w głębi duszy wszelako był niekontent i z niej, i z samego siebie. Był niezadowolony z Kitty, ponieważ nie potrafiła

przemóc się i nie pozwoliła mu wyjechać, gdy zaszła tego potrzeba (jakie to było dla niego samego dziwne: on, który jeszcze do niedawna nie śmiał wierzyć swemu szczęściu, że Kitty mogła go pokochać — teraz martwił się, ponieważ kochała go zanadto!), i niezadowolony z siebie, bo ustąpił. Co więcej, w głębi duszy nie zgadzał się z twierdzeniem, że kobieta, która żyła z jego bratem, nic Kitty nie obchodzi, i ze zgrozą myślał o wszystkich mogących stąd wyniknąć komplikacjach. Na samą myśl, że jego żona, jego Kitty, może się znaleźć w jednym pokoju z dziewczką publiczną, wzдрыgał się z obrzydzenia i grozy.

XVII

Hotel w gubernialnym mieście, gdzie leżał chory Mikołaj Lewin, był jednym z tych gubernialnych hoteli, które bywają urządzone według nowych, udoskonalonych wzorów i z najlepszym zamiarem zaprowadzenia czystości, wygody, a nawet elegancji. Hotele te w niesłychanie krótkim czasie zmieniają się, pod wpływem uczęszczającej tam klienteli, w brudne zajazdy o pretensjach do nowoczesnych udogodnień i przez tę swoją pretensjonalność stają się gorsze od staroświeckich, po prostu brudnych hoteli. Hotel, o którym mowa, już osiągnął był ten stan. Figurował tam i żołnierz inwalida w brudnym mundurze, pałacy u wejścia papierosy i mający grać rolę portiera; były i schody z lanego żelaza, pełne przeciągów, ponure i antypatyczne; i poufały kelner w brudnym fraku; i ogólna sala z zakurzonym bukietem woskowych kwiatów zdobiących stół. Wszędzie był brud, kurz i niechlujstwo, a zarazem, jakieś nowe, po kolejowemu nowoczesne, pełne zarozumiałstwa zaaferowanie, które wywołało u Lewinów — w zestawieniu z ich młodym

szczęściem — jak najbardziej posepny nastrój, zwłaszcza że wrażenie sztuczności, jakie hotel wywierał, nie dawało się pogodzić z tym, co ich oczekiwało.

Jak zwykle, po zapytaniu, w jakiej cenie numeru sobie życzą, okazało się, że ani jeden porządny pokój nie był wolny. Jeden z dobrych pokoi był zajęty przez kontrolera kolejowego, drugi — przez adwokata z Moskwy, w trzecim mieszkała księżna Astafiewa z okolicy. Pozostawał jeden brudny i pokój, obok którego obiecano do wieczora opróżnić drugi. Zły na żonę — ; ponieważ sprawdzały się jego przewidywania, że w chwili przyjazdu, gdy mu serce zamierało z niepokoju na myśl, jak zastanie brata, musiał kłopotać się o Kitty, zamiast od razu pobiec do Mikołaja — wprowadził ją do przeznaczonego j dla nich numeru.

— Idź już, idź! — powiedziała patrząc na niego nieśmiało, jak winowajczyni.

Nic nie mówiąc wyszedł i wnet natknął się na Marię Nikołajewnę, która dowiedziała się o jego przyjeździe, lecz nie śmiała wejść do pokoju. Była nie zmieniona, taka, jak widział ją w Moskwie. Miała tę samą wełnianą suknię, odkryte ręce i szyję i taką samą pocziwą, tępą, ospowatą, nieco bardziej niż dawniej zaokrągloną twarz.

— No i cóż? Jak on się miewa? Co słyhać?

— Bardzo źle. Nie wstaje. Wciąż oczekuje pana. On... Czy pan przyjechał z małżonką?

Lewin w pierwszej chwili nie zrozumiał, co ją wprowadza w takie zakłopotanie, ona wszakże niebawem mu to wytłumaczyła.

— Ja sobie pójdę; pójdę do kuchni — rzekła. — On się ucieszy. Słyszał o niej i pamięta ją z zagranicy.

Lewin zrozumiał, że miała na myśli jego żonę, i nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Chodźmy, chodźmy! — zawołał.

Zaledwie jednak zdążył zrobić jeden krok, drzwi jego numeru otworzyły się i wyjrzała z nich Kitty. Lewin zaczerwienił się i ze wstydu, i z gniewu na żonę, która go stawiała w tak przykrym położeniu, a Maria zarumieniła się jeszcze bardziej. Cała się skuliła, spłoszyła aż do łez i pochwycawszy oburącz końce chusteczki, poczęła je zwijać w czerwonych palcach, nie wiedząc, co powiedzieć, ani co czynić.

W pierwszej chwili Lewin dojrzał w oczach żony, patrzącej na tę dla niej niezrozumiałą, okropną kobietę, wyraz nienasyconej ciekawości, lecz trwało to tylko sekundę.

— No i co? Jak on się ma? — zwróciła się do męża, a potem do Marii.

— Przecież niepodobna rozmawiać na korytarzu! — Lewin obejrzał się, zirytowany, na mężczyznę, który właśnie dążył w podrygach korytarzem, najwidoczniej zajęty własnymi sprawami.

— No więc wejdźcie państwo — powiedziała Kitty zwracając się do spokojniejszej już Marii, spojrzawszy wszakże na przerażoną twarz męża dodała: — albo lepiej idźcie już, idźcie i przyślijcie potem po mnie — po czym wróciła do pokoju, a Lewin udał się do brata.

Tego, co ujrzał i odczuł u brata, nie oczekiwał zupełnie. Spodziewał się znaleźć go w tym stadium samookłamywania się, które, jak słyszał, tak często zdarza się u suchotników i które nim tak wstrząsnęło w czasie jesiennej wizyty Mikołaja. Spodziewał się, że zewnętrzne oznaki zbliżającego się zgonu — większe osłabienie, większe wychudzenie — wyraźniej u brata wystąpią, ale sądził, że stan będzie mniej więcej taki sam. Sądził, że dozna tego samego uczucia żalu z powodu zbliżającej się chwili utraty ukochanego brata j takiego

samego przerażenia wobec śmierci, jakiego wówczas doświadczył, tylko w większym stopniu. Na to był przygotowany; znalazł wszakże coś całkiem innego.

Malutki, brudny pokoik o malowanych, zaplutyh ścianach, gdzie spoza cienkiego przepierzenia dochodziła rozmowa prowadzona obok, przepojony był duszącym smrodem wydzielin. W pokoiku tym, na odsuniętym od ściany łóżku spoczywało nakryte kołdrą ciało. Jedna z rąk owego ciała leżała na kołdrze i olbrzymia jak grabie dłoń tej ręki w niepojęty sposób była przytwierdzona do cienkiego, długiego drażka, który od początku aż do środka był jednakowej grubości. Głowa leżała na poduszce bokiem i Lewin mógł dojrzeć mokre od potu, rzadkie włosy u skroni i mocno obciążniętą skórą, prawie przezroczyście ciało.

„Czy możliwe, że to przerażające ciało — to Mikołaj, mój brat?!” — pomyślał Lewin, ale gdy zbliżył się i zobaczył jego twarz, nie mógł wątpić dłużej. Mimo strasznej zmiany, jaka zaszła w twarzy, dość było spojrzeć w te żyjące oczy, które podniosły się na wchodzącego, dość — zauważyć lekki ruch ust pod zlepionym wąsem, by zrozumieć straszną prawdę. Ów trup to był jego żyjący brat.

Pełne blasku oczy surowo i z wyrzutem spojrzały na wchodzącego i spojrzenie to od razu określiło żywy stosunek pomiędzy obu żywymi ludźmi. Konstanty wnet rozpoznał we wlepionym w niego wzroku — wyrzut i poczuł skruczę za swoje szczęście.

Kiedy wziął Mikołaja za rękę, ten uśmiechnął się słabym, ledwo dostrzegalnym uśmiechem, lecz surowy wyraz jego oczu pozostał nie zmieniony.

— Nie spodziewałeś się zobaczyć mnie w takim stanie — wyrzekł z trudnością.

— Tak... Nie... — Lewinowi płątały się słowa. — Jak

mogłeś nie dać mi znać wcześniej, to jest jeszcze w okresie mego ślubu? Dowiadywałem się o — ciebie wszędzie.

Aby uniknąć milczenia, trzeba było rozmawiać, ale — o czym, Lewin nie wiedział, tym bardziej że Mikołaj nic nie odpowiadał, tylko patrzył na brata nie spuszczając zeń oczu i widać było, że waży znaczenie każdego słowa. Gdy Konstanty oznajmił, że przywiózł ze sobą żonę, Mikołaj się ucieszył, ale powiedział, że obawia się przerazić ją swym stanem. Zapadło milczenie. Nagle chory poruszył się i począł coś mówić. Lewin, sądząc z wyrazu twarzy brata, oczekiwał, że powie on coś specjalnie ważnego i osobliwego, Mikołaj wszakże jął opowiadać o swym zdrowiu: skarżył się na lekarza, żałował, że nie leczy go znakomity moskiewski doktor, i Lewin zrozumiał, że brat jeszcze nie stracił nadziei.

Chcąc choć trochę odpocząć od bolesnych wrażeń, skorzystał z chwili milczenia i oświadczył, że pójdzie po żonę.

— No, to dobrze; a ja każę tutaj posprzątać. Brudno tu i cuchnie, zdaje mi się. Masza, posprzątaj — wyrzekł z trudnością chory. — A jak skończysz, wyjdź stąd — dodał, pytająco patrząc na brata.

Lewin nic nie odrzekł. Po wyjściu na korytarz zatrzymał się. Obiecał przyprowadzić żonę, lecz obecnie, gdy uświadomił sobie uczucia, jakich sami doznawał, postanowił, że przeciwnie, postara się namówić ją, by nie odwiedzała wcale chorego. „Po co ma się tak zadrećcać jak ja?” — pomyślał.

— No więc co? Jak mu jest? — z lękiem spytała Kitty.

— Ach, jakie to straszne, straszne. I po coś ty przyjechała? — zawołał. Kitty milczała kilka sekund, patrząc nieśmiało i ze współczuciem na męża; po czym zbliżyła się i przytrzymała oburącz jego łokieć.

— Kostia! Zaprowadź mnie do niego: będzie nam lżej we dwoje. Zaprowadź mnie tam tylko, zaprowadź mnie, proszę cię, a sam odejdz — . powiedziała. — Zrozum: mnie daleko więcej boli, gdy widzę ciebie, a jego nie widzę. Tam może będę mogła być użyteczna i tobie, i jemu. Proszę cię, pozwól mi! — błagała męża, tak jakby szczęście całego życia od tego zależało.

Lewin zmuszony był się zgodzić i po przyjsciu do równowagi, zapominając już całkiem o Marii Nikołajewnie, poszedł znów do brata, tym razem z Kitty.

Lekko stąpając i raz po raz podnosząc na męża oczy pełne otuchy i współczucia, Kitty weszła do pokoju chorego i zwracając się bez pośpiechu ku drzwiom, cichutko zamknęła je za sobą. Bezszelestnym krokiem szybko podeszła do łóża boleści w taki sposób, by chory nie potrzebował obracać głowy, natychmiast wzięła w swą chłodną młodą dłoń kościec jego ogromnej ręki, uściśnęła ją i rozpoczęła rozmowę z tym łagodnym, nie drażniącym, pełnym współczucia ożywieniem właściwym jedynie kobietom.

— Spotkaliśmy się, ale jako nieznajomi, w Sodenie. Nie przypuszczałeś wtedy, że zostanę twoją siostrą.

— Nie poznałabyś mnie, prawda? — rozpromienił się uśmiechem na jej wejście.

— Przeciwnie, poznałabym od razu. Jak dobrze zrobiłeś dając nam znać. Nie było dnia, żeby Kostia o tobie nie wspominał i nie niepokoił się o ciebie.

Podniecenie chorego jednak niedługo trwało.

Jeszcze Kitty nie skończyła zdania, a już twarz jego przybrała wyraz surowego wyrzutu, z jakim umierający zazdroszczą żywym.

— Obawiam się, że ci tu nie jest nazbyt wygodnie — zauważyła odwracając się od jego uporczywego spojrzenia i

oglądając pokój. — Trzeba będzie zażądać od gospodarza innego pokoju — zwróciła się do męża — żeby było bliżej nas.

XVIII

Lewin nie mógł spokojnie patrzeć na brata, nie mógł być w jego obecności ani naturalny, ani opanowany. Z chwilą gdy wchodził do chorego, wzrok i uwaga bezwiednie zachodziły mu jakby mgłą, tak że nie dostrzegał i nie rozróżniał żadnych szczegółów sytuacji. Czul straszliwy zaduch, widział brud, nieład, zdawał sobie sprawę z okropnego stanu Mikołaja, słyszał jego jęki i czuł, że nie ma na to rady. Nie przychodziło mu nawet na myśl, by zbadać wszystkie szczegóły stanu chorego, zorientować się, jak leżało pod kołdrą jego ciało, jak pozaginane były te wychudłe golenie, kręgi krzyżowe i grzbiet i czy nie można by ich jakoś lepiej ułożyć, uczynić czegoś, żeby mu było jeśli nie lepiej, to przynajmniej nie tak źle. Zaledwie począł nawet myśleć o tych wszystkich szczegółach, dreszcz mu przebiegał po skórze. Był niezbitnie przekonany, że nic się zrobić nie da ani dla przedłużenia bratu życia, ani dla ulżenia jego cierpieniom. Chory ze swojej strony wyczuwał, że Konstanty uważa wszelką pomoc za niemożliwą, i to go drażniło, a Lewin jeszcze bardziej nad tym cierpiał. Przebywanie w pokoju chorego brata było bolesne, powstrzymanie się od odwiedzin — jeszcze boleśnieszce; toteż pod różnymi pretekstami to wychodził stamtąd, to znów powracał nie mogąc znieść samotności.

Kitty natomiast myślała, czuła, postępowała zgoła inaczej. Widok chorego obudził w niej litość, i litość owa nie wywołała w niej bynajmniej tego przerażenia i odrazy, jakich

doznawał jej mąż, ale przeciwnie — potrzebę czynu, chęć zbadania wszystkich szczegółów stanu chorego i znalezienia rady na nie.

Ponieważ nie miała najmniejszej wątpliwości, że powinna mu pomóc, nie wątpiła również, że jest to możliwe, toteż od razu zabrała się do dzieła. Te same okoliczności, o których myśl wywoływała grozę u jej męża, natychmiast zwróciły i jej uwagę. Posłała do doktora i do apteki, poleciła Marii Nikołajewnie i zabranej z domu pannie służącej pozamiatać i powycierać kurze, to i owo wyszorować; niektóre rzeczy myła i przepłukiwała sama; coś podkładała pod kołdrę. Do pokoju wnoszono i wynoszono z jej polecenia różne przedmioty. Sama po kilka razy chodziła do swego numeru, nie zwracając uwagi na mijające ją w korytarzu osoby, i przynosiła przywiezione prześcieradła, poszewki, ręczniki, koszule.

Lokaj, który w ogólnej sali podawał obiad inżynierom, parę razy przychodził na jej wezwanie z gniewną miną, lecz nie mógł nie spełnić jej poleceń, wydawała je bowiem z taką uprzejmą natarczywością, że nie sposób było się od nich uchylić. Lewin tego wszystkiego nie pochwalał; nie wierzył, aby chory odniósł z tego jakikolwiek pożytek, a przede wszystkim obawiał się, by go nie rozgniewać. Chory jednak, mimo że jak się zdawało, pozostawał obojętny, nie gniewał się, tylko się wstydził i na ogół to, co Kitty z nim robiła, jakby go interesowało. Kiedy po powrocie od doktora, po którego żona go posłała, Lewin otworzył drzwi, zastał chorego w chwili, gdy mu z polecenia Kitty zmieniano bieliznę. Długi, biały kościec grzbietu, z olbrzymimi wystającymi łopatkami i sterczącymi żebrami i kręgami, był obnażony. Maria Nikołajewna wraz z lokajem mieli kłopot z jednym z rękawów od koszuli: nie udawało się im

nakierować weń długiej, zwisającej ręki. Kitty, która spiesznie zamknęła za Lewinem drzwi, nie patrzyła w stronę chorego, lecz gdy Mikołaj jęknął, szybko się zbliżyła.

— Trochę prędzej — powiedziała.

— Proszę się nie zbliżać — z rozdrażnieniem odezwał się chory — ja sam...

— Co takiego? — zawołała Maria Nikołajewna.

Kitty wszakże dosłyszała i zrozumiała, że Mikołaj się kępuje, że mu nieprzyjemnie, by go bratowa miała widzieć nagiego.

— Ja nie patrzę, nie patrzę! — zapewniała poprawiając Mikołajowi rękę. — Mario Nikołajewno, niech pani podejdzie i poprawi z tamtej strony — dodała.

— Pójdź, proszę cię, i przynieś mi flaszeczkę — zwróciła się do męża — jest w małej torbie, w bocznej kieszonce. A tymczasem tutaj dokończą sprzątaniam.

Kiedy Lewin powrócił z flaszeczką, znalazł już chorego w nowej pozycji. Wszystko dokoła niego uległo całkowitej zmianie. Przykry zaduch ustąpił miejsca zapachowi octu toaletowego, który Kitty rozpylała przez rurkę, wysuwając wargi i wydymając różowe policzki. Kurzu nigdzie nie było widać, a pod łóżkiem rozesłany był dywan. Na stole stały porządnie poustawiane flaszki, karafka i leżała niezbędna bielizna wraz z robótką Kitty, *broderie anglaise*. Na drugim stole, przy łóżku chorego, był napój, świeca i proszki. Sam chory w czystej koszuli, umyty i uczesany, z białym kołnierzem dokoła nienaturalnie cienkiej szyi, leżał pomiędzy świeżymi prześcieradłami, na wysoko ułożonych poduszkach i nie spuszczał z Kitty oczu, w których tlił nowy zupełnie wyraz nadziei.

Sprowadzony doktor, którego Lewin odnalazł w klubie, nie był tym, który leczy Mikołaja i z którego chory był

niezadowolony. Nowy doktor wyjął słuchawkę, zbadawszy chorego pokręcił głową i zapisał lekarstwo, po czym ze specjalną dokładnością wytłumaczył najpierw, jak je zażywać, a następnie — jaką zachowywać dietę. Radził jajka surowe albo ledwo ścięte i selcerską wodę z gotowanym mlekiem o określonej temperaturze. Gdy doktor odjechał, chory coś powiedział do brata; Lewin słyszał tylko ostatnie słowa: „twoja Katia”, wszakże ze spojrzenia, jakim chory za Kitty wodził, poznał, że ją chwali. Mikołaj przywołał do siebie Katię, tak ją bowiem nazywał.

— Jest mi już dużo lepiej — powiedział. — Gdybyś ty była przy mnie, dawno bym wyzdrowiał. Tak mi dobrze! — Wziął jej rękę i uniósł do ust, lecz jakby obawiając się, by to jej nie było przykre, rozmyślił się, puścił rękę i tylko ją pogłaskał. Kitty ujęła jego dłoń oburącz i uściśnęła ją.

— Teraz obróćcie mnie na lewy bok i idźcie spać — powiedział.

Nikt tego nie dosłyszał, jedna tylko Kitty zrozumiała go. Zrozumiała, ponieważ myśl jej była nieustannie skupiona na tym, co mogło mu być potrzebne.

— Na drugi bok — wytłumaczyła mężowi — on zawsze sypia na lewym. Obróć go; przykro jest wzywać służbę, a ja nie mam dosyć sił. Może pani? — zwróciła się do Marii Niekołajewny.

— Boję się — odpowiedziała Maria.

Choć dla Lewina było rzeczą przerażającą objąć rękoma to straszne ciało i dotykać tych miejsc pod kołdrą, o których wołał nie wiedzieć, jednak ulegając wpływowi żony, ze zdecydowaną miną, którą Kitty już знаła, zapuścił ręce w głąb pościeli i dźwignął chorego. Mimo siły, jaką posiadał, uderzyło go, jak dziwnie ciężkie były te umęczone członki. Podczas gdy obracał Mikołaja, Kitty szybko i niepostrzeżenie

przewróciła poduszkę, wzruszyła ją, ułożyła głowę chorego i poprawiła mu rzadkie włosy, znów przylepione do skroni.

Chory przytrzymał w palcach rękę brata. Lewin czuł, że Mikołaj chce coś z tą ręką zrobić i kędyś ją pociąga; poddawał się wstrzymując oddech. Istotnie ,chory przyciągnął ją do ust i pocałował. Konstanty zatrzęsł się cały od łkania i nie będąc w stanie wymówić słowa wyszedł z pokoju.

XIX

„Ukrył od mędrców, a objawił dzieciom i nierozumnym.” Tak rozmyślał Lewin o żonie, rozmawiając z nią tego wieczoru.

Myślał o tej wypowiedzi z Pisma świętego nie dlatego, by się miał uważać za mędrca. Nie miał się za mędrca, lecz nie mógł nie zdawać sobie sprawy, że jest inteligentniejszy od żony i od Agafii Michajłowny oraz że gdy i rozmyśla o śmierci, myśli o niej z wyczerpaniem sił całej duszy. Wiedział również, że niejedynym męskim umysłem wielkiej miary, którego zdanie o śmierci było mu nie znane, zastanawiał się nad nią, a mimo to żaden z nich nie posiadał nawet jednej setnej części tej wiedzy o śmierci, jaką posiadały Kitty i Agafia Michajłowna. Bez względu na różnice, jakie dzieliły obie kobiety, starą Agafię i Katię, jak ją nazywał Mikołaj i jak Lewin również ją teraz z przyjemnością nazywał, w tej jednej rzeczy były zupełnie do siebie podobne. Obie nieomylnie wiedziały, czym jest życie i czym — śmierć, i chociaż nie potrafiłyby nigdy odpowiedzieć na te wszystkie pytania, jakie sobie zadawał Lewin, a nawet by tych pytań nie rozumiały, to jednak żadna z nich nie miała wątpliwości co do znaczenia tego zjawiska, i pogląd ten, u obu jednaki, wspólny był nie

tylko im, ale milionom innych ludzi. Dowodem, że wiedziały niezachwianie, czym jest śmierć, było to, że bez jednej sekundy wahania wiedziały, jak należy postępować z umierającymi, i nie obawiały się ich. Lewin natomiast i niektórzy inni, chociaż mieli wiele o śmierci do powiedzenia, najwidoczniej nie wiedzieli, czym ona jest, lękali się jej bowiem i stanowczo nie mieli pojęcia, co zrobić, kiedy ktoś umiera. Gdyby Lewin był obecnie z Mikołajem sam, patrzyłby na niego ze strachem i wyczekiwał — z jeszcze większym strachem — i nic więcej nie potrafiłby zdziałać.

Co gorsza, nie wiedział, o czym mówić, jak patrzeć, jak się ruszać. Mówić o czymś obojętnym wydawało mu się zniewagą; niepodobna było tego czynić; mówić o śmierci, o czymś ponurym, także niepodobna. „Gdy będę na niego patrzył, pomyśli, że badam jego stan: boję się więc patrzeć; a jeśli nie będę patrzył wcale, pomyśli, że jestem zajęty czymś postronnym. Gdy będę chodził na palcach, będzie niekontent, a stawiać całej stopy — jakoś nie wypada.” Kitty natomiast najwidoczniej nie myślała i nie miała czasu myśleć o sobie; myślała o chorym, a ponieważ miała tę swoją jakąś wiedzę o śmierci, wszystko jej się udawało. Opowiadała mu także i o sobie, o swym ślubie; uśmiechała się, współczuła i przemawiała do chorego pieszczotliwie; wspominała o wypadkach wyzdrowienia i — odnosiła sukcesy. Najwidoczniej Kitty po prostu wiedziała... Działanie jej i Agafii Michajłowny nie było jednak czynnością instynktowną, zwierzęcą, bezrozumną, o czym świadczyło, że poza fizyczną pielęgnacją, niesieniem ulgi w cierpieniach, i Agafia Michajłowna, i Kitty uważały, że umierającemu należy się coś jeszcze, coś ważniejszego niż pielęgnowanie ciała, coś, co nie miało nic wspólnego ze stroną fizyczną. Agafia mówiąc o pewnym niemłodym człowieku, który zmarł,

powiedziała: „Cóż, chwała Bogu, dostał komunię i oleje święte. Daj Boże każdemu taką śmierć.” Zupełnie tak samo Katia od razu pierwszego dnia, poza troską o bieliznę, o odleżyny, o napój dla chorego, zdążyła go przekonać o konieczności przyjęcia komunii i ostatniego namaszczenia.

Powróciwszy od chorego na noc do swoich dwóch pokoi Lewin siedział ze spuszczoną głową, nie wiedząc, co począć. Pomijając już kolację, zorganizowanie noclegu, obmyślenie, co im teraz czynić wypada, nie mógł w ogóle z żoną rozmawiać; było mu wstyd. Kitty, przeciwnie — jeszcze bardziej czynna niż zazwyczaj, a nawet bardziej ożywiona — kazała podać kolację, sama rozpakowała rzeczy, sama pomogła posłać łóżka i nie zapomniała nawet o proszku perskim. Miała w sobie podniecenie i szybkość orientacji, która zjawia się u mężczyzn przed bitwą, przed walką, w niebezpiecznych chwilach życia, tych właśnie, kiedy mężczyzna raz na zawsze może wykazać swą wartość, j dowieść, że cała jego przeszłość nie poszła na marne, lecz była przygotowaniem do chwili obecnej.

Wszystko szło jej jak z płatka: jeszcze północ nie wybiła, a już wszystkie rzeczy były porządnie, akuratnie posegregowane i porozkładane w sposób taki jakiś osobliwy, że pokój hotelowy nabrał nagle podobieństwa do ich domu, do jej pokoju: łóżka były posłane, szczotki, grzebienie, lusterka — na swoim miejscu, serweteczki — popodścielane.

Lewin uważał, że nawet i teraz nie godzi się jeść, spać ani rozmawiać, i czuł, że każdy jego ruch jest czymś zdrożnym. Ona, przeciwnie, rozkładała szczoteczki, ale robiła to tak, że nie było w tym nic rażącego.

Jeść jednak żadne z nich nie mogło; długo też nie mogli zasnąć, a nawet długo wcale się nie kładli.

— Cieszę się bardzo, że go namówiłam, by jutro przyjął

ostatnie sakramenta — mówiła Kitty siedząc w matince przed swym składanym lustrem i czesząc gęstym grzebieniem miękkie, pachnące włosy. — Nigdy tego nie widziałam, ale wiem, mama mi mówiła, że są tam modlitwy o wyzdrowienie...

— Czy naprawdę sądzisz, że on może wyzdrowieć? — spytał Lewin patrząc, jak z tyłu wąski przedziałek na jej krągłej głowce zniknął, gdy tylko Kitty przesuwiała grzebień do przodu.

— Pytałam doktora: powiedział, że nie pożyje dłużej niż trzy dni. Ale czy oni mogą coś wiedzieć?! Mimo to bardzo jestem rada, że go namówiłam — powiedziała patrząc poprzez włosy ukosem na męża. — Wszystko jest możliwe — dodała z tym szczególnym, nieco przebiegłym wyrazem, który zawsze przybierała mówiąc o religii.

Po rozmowie o religii, którą odbyli za narzeczeńskich jeszcze czasów, żadne z nich nigdy nie poruszało tego tematu. Kitty zawsze spełniała wszystkie praktyki — uczęszczanie do cerkwi, modlitwy — ze spokojną pewnością, że tak trzeba. Choć zapewniał ją, iż jest wprost przeciwnie, była mocno przekonana, i że mąż jest takim samym chrześcijaninem — albo jeszcze lepszym — jak ona, a że § wszystko, co na ten temat wygłasza, to tylko jeden z takich jego śmiesznych męskich konceptów, podobnie jak to, co mówił o *broderie anglaise*: że ludziska cerują dziury, tymczasem ona je umyślnie robi itp.

— A jednak ta kobieta, Maria Nikołajewna, nie potrafiła tego wszystkiego zorganizować — zauważył Lewin. — 1... muszę wyznać, że jestem bardzo, bardzo rad, żeś przyjechała. Jest w tobie taka czystość, że... — wziął jej rękę, lecz jej nie pocałował (wydawało mu się nieprzyzwoitością całować rękę Kitty,

gdy śmierć była tak blisko), tylko uściśnął patrząc z wyrazem skruchy w jej jaśniejące oczy.

— Byłoby ci tak smutno, gdybyś był tutaj sam — powiedziała podnosząc wysoko ręce, które zasłoniły jej zarumienione z radości policzki. Zwinęła nad karkiem warkocze i upięła je. — Nie — mówiła dalej — ona tego nie potrafiła... Ja, na szczęście, nauczyłam się wielu rzeczy w Sodenie.

— Czy i tam byli ludzie aż tak chorzy?

— Jeszcze ciężiej chorzy.

— Straszne jest, że nie mogę go zapamiętać takiego, jakim był w młodości... Nie dasz wiary, co to był za uroczy młodzieniec. Ale ja go wówczas nie rozumiałem.

— Bardzo, bardzo wierzę. Czuję, że była b y m się z nim bardzo zaprzyjaźniła — powiedziała i przeraziła się własnych słów. Rzuciła okiem na męża i lzy jej stanęły w oczach.

— Tak: byli b y s m y — powtórzył ze smutkiem. — To właśnie jeden z takich ludzi, o których się powiada, że nie są stworzeni dla tego świata.

— Mamy jednak przed sobą wiele takich dni; trzeba iść spać — zdecydowała Kitty spojrzawszy na swój malusieńki zegarek.

XX ŚMIERĆ

Następnego dnia chory przyjął komunię i ostatnie namaszczenie. Podczas tych obrzędów Mikołaj Lewin gorąco się modlił. W jego wielkich oczach utkwionych w świętym obrazie postawionym na stoliku do kart, który przykryto kolorową serwetą, malowało się takie namiętne błaganie i nadzieja, że Konstanty spoglądał na niego ze strachem. Wiedział, że ta żarliwa modlitwa i ta nadzieja utrudnią mu

jeszcze bardziej rozstanie z życiem, do którego był tak przywiązany. Lewin znał brata i podążał za biegiem jego myśli: wiedział, że niewiara jego wynikała nie stąd, by mu łatwiej było żyć bez wiary, ale zrodziła się, ponieważ współczesne naukowe objaśnienia zjawisk świata krok za krokiem zepchnęły na bok to, w co wierzył. Konstanty zdawał sobie sprawę, że obecny nawrót brata nie był rzeczą normalną, spowodowaną rozumowaniem, lecz chwilowym interesownym nawrotem, wywołanym szaleńczą nadzieją wyzdrowienia. Wiedział również, że Kitty wzmogła jeszcze tę nadzieję opowiadając o niezwykłych uleczeniach, o których słyszała. Wiedział to wszystko i doznawał bolesnej udręki patrząc na to błagalne, pełne nadziei spojrzenie, na tę wychudłą dłoń, która z takim trudem kładła znak krzyża, na mocno obciążone skórą czoło, na te wystające ramiona i na rzeżącą, pustą klatkę piersiową, niezdolną już zmieścić życia, o które chory prosił. Podczas udzielania ostatnich sakramentów Lewin również modlił się czyniąc raz jeszcze coś, co — chociaż niewierzący — tyle już razy czynił. Zwracając się do Boga mówił: „Jeśli istniejesz, spraw, by ten człowiek został uleczony (przecie „już wiele razy tak bywało!), a zbawisz jego i mnie.”

Po ostatnim namaszczeniu chory poczuł się nagle daleko lepiej. Przez całą godzinę ani razu nie zakaszał, uśmiechał się, całował rękę Kitty, dziękując jej ze łzami, i twierdził, że dobrze się miewa, że go nic nie boli, że ma apetyt i czuje się silny. Nawet podniósł się o własnej mocy, gdy mu podano : zupę, i poprosił o drugi kotlet. I chociaż nie było żadnej nadziei, chociaż dość nań było spojrzeć, by stwierdzić niepodobieństwo wyzdrowienia, Lewin i Kitty przez tę jedną godzinę żyli w podnieceniu — to uszczęśliwieni, to w obawie, że się może mylą.

— Lepiej mu? — Tak, daleko lepiej. — To zdumiewające.
— Nie, to nic dziwnego. — A jednak naprawdę ma się lepiej
— wymieniali szeptem i uśmiechy.

Złudzenia te niedługo trwały. Chory usnął spokojnie, lecz po półgodzinie zbudził go napad kaszlu. I od razu zagasła zarówno u otaczających, jak i w nim samym wszelka nadzieja, zniweczona przez rzeczywistość cierpienia, zagasła bez żadnych dalszych wątpliwości, nawet bez nawrotu do poprzednich iluzji; stracili ją Lewin i Kitty i stracił sam Mikołaj.

Już nie napomykając o tym, w co przed pół godziną sam wierzył, i jakby wstydząc się nawet tego wspomnienia, zażądał, by mu przyniesiono we flakoniku, nakrytym podziurawionym umyślnie papierkiem, jod do wziewania. Lewin podał mu go i teraz to samo spojrzenie pełne namiętnej nadziei, z którą przyjmował ostatnie sakramenta, chory zwrócił na brata, żądając odeń potwierdzenia słów doktora, że wziewanie jodu czyni cuda.

— A co, czy Katii nie ma? — zapytał ochrypłym głosem, gdy Lewin niechętnie potwierdził zdanie doktora. — Nie? Więc teraz mogę powiedzieć... To dla niej odegrałem tę całą komedię: ona jest taka miła. Ale ty i ja nie możemy się przecie łudzić. W to tutaj wierzę! — oświadczył ściskając w kościstej ręce flakonik i począł nad nim oddychać.

O ósmej wieczór Lewin pił z żoną herbatę w swoim pokoju, gdy wbiegła do nich zadyszana Maria Mikołajówna; była blada i usta jej drżały.

— Kona! — wyszeptwała. — Boję się. Zaraz skona.

Oboje pobiegli do chorego. Ten podniósł się i siedział, zgiąwszy swój długi grzbiet, z głową nisko pochyloną, oparty łokciem o łóżko.

— Co czujesz? — spytał szeptem Lewin po chwili

milczenia.

— Czuję, że odchodzę — z trudnością, ale nadwytwarzaj wyraźnie, powoli wydobywając z siebie słowa wymówił Mikołaj. Nie podniósł głowy i tylko wznosił do góry oczy, nie sięgając nimi aż do twarzy brata. — Katia, wyjdź stąd! — zażądał.

Lewin zerwał się i rozkazującym szeptem skłonił ją, by wyszła.

— Odchodzę — powtórzył Mikołaj.

— Dlaczego tak sądzisz? — zapytał Lewin, byle coś powiedzieć.

— Dlatego, że odchodzę — powtórzył czując jakby specjalne upodobanie do tego wyrazu. — Koniec.

Maria Nikołajewna zbliżyła się do niego.

— Połóż się lepiej; będzie ci lżej — powiedziała.

— Wkrótce będę leżał spokojnie — wyrzekł. — Umarły — dodał szyderczo i z gniewem. — No, więc mnie połóżcie, jeśli chcecie.

Lewin ułożył brata na wznak, siadł obok niego i wstrzymując oddech wpatrywał się w jego twarz. Umierający leżał z zamkniętymi oczyma, ale mięśnie jego czoła poruszały się, jak to bywa u człowieka rozmyślającego głęboko i z wysiłkiem. Lewin bezwiednie myślał razem z bratem o tym, co się w tej chwili z nim działo, lecz mimo całego wyteżenia myśli, która usiłowała podążać za bratem, widział z wyrazu tej spokojnej surowej twarzy i z gry mięśnia ponad brwią, że dla konającego to, co dla Lewina wciąż pozostawało niepojęte, staje się coraz bardziej zrozumiałe.

— Tak, tak; to tak jest — z przerwami, powoli powiedział konający. — Poczekajcie. — Znów milczał chwilę. — Tak! — z naciskiem wyrzekł nagle uspokajająco, jakby się wszystko dla niego rozstrzygnęło. — O Panie Boże! —

ciężko westchnął.

Maria Nikołajewna dotknęła jego stóp. — Stygną — szepnęła.

Chory, jak się zdawało Lewinowi, długo, bardzo długo leżał nieruchomy, ciągle jednak żył jeszcze i od czasu do czasu wzdychał. Nieustannie napięta myśl znużyła Lewina: czuł, że mimo całego wysiłku nie zrozumie, do czego odnosiło się owo tak brata, i że już dawno nie nadaża za konającym. Nie mógł dłużej myśleć o samej sprawie śmierci, lecz mimo woli przychodziło mu do głowy to, co teraz, za chwilę, zmuszony będzie czynić: zamknąć oczy umarłemu, ubrać go, zamówić trumnę. I, o dziwo, czuł zupełną obojętność i nie doświadczał ani smutku, ani uczucia straty, a już najmniej — litości dla Mikołaja. Jeśli żywił w tej chwili dla niego jakieś uczucie, to raczej tylko uczucie zazdrości o tę wiedzę, którą obecnie umierający już posiadał, a której on sam osiąść nie mógł.

Długo jeszcze tak przy nim siedział, wciąż spodziewając się końca, Koniec wszelako nie nadchodził. Drzwi otwarły się i ukazała się Kitty. Lewin wstał, by ją wstrzymać, lecz w chwili gdy podnosił się z krzesła, usłyszał, że trup się poruszył.

— Nie odchódź — powiedział Mikołaj i wyciągnął rękę. Lewin ujął tę rękę i gniewnym gestem nakazał żonie, by wyszła.

Z dłonią trupa w swej dłoni przesiedział jeszcze pół godziny, godzinę i jeszcze godzinę. Teraz już zupełnie o śmierci nie myślał. Myślał, co robi Kitty, kto mieszka w sąsiednim numerze, czy doktor posiada własny dom. Chciało mu się jeść, chciało mu się spać. Ostrożnie uwolnił swą rękę i dotknął nóg brata: nogi były zimne, chory jednak oddychał. Lewin znów spróbował wyjść z pokoju na palcach, lecz

chory znów poruszył się i wyrzekł:

— Nie odchodź.

.....
.....

Świtało. Stan chorego był bez zmiany. Lewin, oswobodziwszy powoli rękę i nie patrząc na umierającego, poszedł do siebie i położył się spać. Gdy się zbudził, zamiast wiadomości o śmierci brata dowiedział się, że chory powrócił do poprzedniego stanu. Znowu zaczął się podnosić na łóżku i kaszleć, zaczął jeść i rozmawiać, znowu przestał wspominać o śmierci, znowu dawał wyraz nadziei, że wyzdrowieje, przy czym stał się jeszcze bardziej rozdrażniony i ponury niż uprzednio. Nikt — ani brat, ani Kitty nie mogli go uspokoić. Gniewał się na wszystkich, wszystkim mówił rzeczy przykre, wymawiał im swoje cierpienia i żądał, by mu sprowadzono znakomitego doktora z Moskwy. Na wszelkie zapytania, jak się czuje, odpowiadał jednakowo, tonem gniewnego wyrzutu:

— Cierpię straszliwie, nie do zniesienia!

Chory istotnie cierpiał coraz bardziej, zwłaszcza z powodu odleżyn, których wygoić już było nie sposób, i coraz bardziej gniewał się na otaczających, czyniąc im o wszystko wymówki, a zwłaszcza o to, że mu nie sprowadzają doktora z Moskwy. Kitty starała się, jak mogła, pomóc mu i uspokoić go, ale wszystko było daremne. Lewin widział, że była już i fizycznie, i moralnie wyczerpana, chociaż się do tego nie przyznawała. Ta atmosfera śmierci, która nocy ubiegłej ogarnęła wszystkich, gdy Mikołaj żegnając się z życiem wezwał brata do siebie — rozproszyła się. Wszyscy wiedzieli, że śmierć jest nieunikniona i niebawem przyjdzie; że chory jest już na pół martwy. Wszyscy pragnęli jednego

tylko — by co prędzej umarł, ale wszyscy kryjąc się z tym podawali mu lekarstwo z flaszeczki, wyszukiwali nowe leki, doktorów,

łudzili jego i siebie i oszukiwali się nawzajem. Był w tym wszystkim fałsz, obrzydliwy, obrażający, bluźnierczy fałsz. Lewin odczuwał ów fałsz szczególnie boleśnie i ze względu na swoje usposobienie, i dlatego że kochał umierającego brata bardziej niż tamci.

Ponieważ od dawna nosił się z myślą pogodzenia braci przynajmniej w obliczu śmierci, napisał był do Sergiusza i teraz, otrzymawszy jego odpowiedź, przeczytał ją Mikołajowi. Sergiusz pisał, że sam przyjechać nie może, i we wzruszających słowach prosił brata o przebaczenie.

Chory nic na to nie odpowiedział.

— I cóż mam mu odpisać? — zapytał Lewin. — Mam nadzieję, że się na niego nie gniewasz?

— Nie, ani trochę! — zniecierpliwił się tym zapytaniem Mikołaj. — Napisz mu, by mi przysłał doktora.

Przeszły jeszcze męczące trzy dni: chory był wciąż w jednakowym stanie. Teraz już każdy, kto widział chorego, pragnął jego śmierci; i hotelowi lokaje, i właściciel, i wszyscy goście, i doktor, i Maria Mikołajewna, i Lewin, i Kitty. Sam tylko chory nie okazywał tego pragnienia, przeciwnie, gniewał się, że mu nie sprowadzają lekarza, brał nadal proszki i mówił o życiu. W rzadkich tylko chwilach, gdy pod wpływem opium zapominał o nieustannych cierpieniach, w półśnie czasami wypowiadał to, co mocniej niż inni odczuwał w głębi duszy: „Ach, gdybyż przyszedł koniec.” Albo: „Kiedy to się skończy!”

Wzmagające się stale cierpienia robiły swoje i przygotowywały go na śmierć. Nie było takiej pozycji, w której by chory nie cierpiał, nie było takiej chwili, kiedy by

utracił świadomość, nie miał ani jednego miejsca w całym ciele, ani jednego członka, który by go nie bolał, nie przyczyniał mu męczarni. Nawet wspomnienia, wrażenia, myśli tego ciała wzbudzały w nim już teraz podobne obrzydzenie jak i samo ciało. Wygląd innych ludzi, ich rozmowy, jego własne wspomnienia — wszystko to było dla niego tylko udręką. Otaczający czuli to i bezwiednie wstrzymywali się w jego obecności od wszelkich nieskrepowanych ruchów i rozmów, od wyrażania jakichkolwiek życzeń. Całe życie chorego zlewało się w jedno uczucie bólu i pragnienia, by się tego bólu pozbyć.

Najwidoczniej dokonywał się w nim przewrót, który miał go skłonić do uznania śmierci za spełnienie pragnień, za szczęście. Dawniej każda poszczególna chęć wywołana przez cierpienie czy przez jakiś brak, jak to: głód, znużenie, pragnienie — bywała zaspokajana przez czynność ciała sprawiającą przyjemność. Teraz wszakże nie tylko ani brak, ani cierpienie nie doznawały żadnego zaspokojenia, ale wszelka próba zaspokojenia ich wywoływała nowe cierpienie. Dlatego wszystkie pragnienia wreszcie stopiły się w jedno: chęć pozbycia się wszystkich cierpień oraz ich źródła — ciała. Nie miał jednak słów, którymi by potrafił wyrazić ową chęć wyzwolenia, i dlatego o tym nie mówił, z nawyku natomiast wymagał spełnienia tych życzeń, których spełnić już nie było można. „Przewróćcie mnie na drugi bok” — żądał i wnet potem chciał, by go znów ułożono jak poprzednio. „Dajcie mi rosół. Zabierzcie rosół. Opowiedzcie co. Dlaczego milczycie?” A skoro zaczynano mówić, zamykał oczy, a na twarzy jego odmalowywał się wyraz znużenia, obojętności i wstrętu.

Na dziesiąty dzień po przyjeździe do miasta Kitty zachorowała: dostała bólu głowy, wymiotów i przez cały

ranek nie mogła wstać z łóżka.

Doktor orzekł, że to choroba wynikła ze zmęczenia i wstrząsów, i zabronił wszelkich wzruszeń.

Po obiedzie wstała jednak i poszła jak zwykle do chorego z robótką. Spojrzał na nią surowo i uśmiechnął się pogardliwie, gdy mu powiedziała, że była chora. Dnia tego nieustannie wycierał nos i żałośnie jęczał.

— Jak się czujesz? — spytała go.

— Gorzej — odpowiedział z trudnością. — Boli mnie.

— Gdzie boli?

— Wszędzie.

— Dzisiaj umrze, niech pani spojrzysz — rzekła Maria Nikołajewna i mimo, że mówiła szeptem, chory, który, jak to zauważył Lewin, był bardzo czujny, musiał ją dosłyszeć. Lewin syknął na nią i rzucił okiem na chorego; Mikołaj słyszał ją, lecz słowa jej nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Spojrzenie jego było wciąż wysilone i pełne wyrzutu.

— Dlaczego pani tak myśli? — spytał Lewin Marię Nikołajewnę, która wyszła za nim na korytarz.

— Bo zaczął skubać na sobie rzeczy.

— Jak to skubać?

— Ot tak — odrzekła obciągając fałdy swej wełnianej sukni. Istotnie, Lewin zauważył, że przez cały dzień chory chwycił i jakby coś chciał z siebie ściągnąć.

Przepowiednia Marii Nikołajewny sprawdziła się.

Chory, ze zbliżeniem nocy, nie miał siły podnieść rąk i tylko patrzył przed siebie, a uważnie skupiony wyraz jego oczu już się nie zmieniał, nawet gdy brat lub Kitty pochylali się nad nim tak, by mógł ich widzieć, patrzył wciąż tak samo. Kitty sprowadziła popa, by odczytał modlitwy za konających.

Podczas gdy pop odmawiał modlitwy za konających,

Mikołaj nie dawał żadnych oznak życia; oczy miał zamknięte. Lewin, Kitty i Maria Nikołajewna stali u posłania. Pop jeszcze nie skończył modlitwy, gdy umierający wyciągnął się, westchnął i otworzył oczy. Odmówiwszy modlitwę pop przyłożył do zimnego czoła krzyż, potem z wolna zawinął go w stułę, jeszcze przez dwie minuty trwał w milczeniu, wreszcie dotknął olbrzymiej, zimnej, bezkrwistej ręki mówiąc:

— Skonał — i zamierzał odejść, gdy nagle zlepione wąsy trupa poruszyły się i w ciszy wyraźnie rozległ się ostry, dokładny dźwięk słów wydobywających się z głębi piersi:

— Jeszcze nie całkiem... Już niedługo.

I po chwili twarz jego rozpogodziła się, pod wąsem ukazał się uśmiech i zebrane kobiety zakrzętały się pieczołowicie około nieboszczyka.

Widok brata i obecność przy jego zgonie wzbudziły na nowo u Lewina to uczucie grozy wobec nieodgadnionej tajemnicy śmierci, tak bliskiej i tak niechybnej, uczucie, które owładnęło nim w ów wieczór jesienny, kiedy to brat do niego przyjechał. Było ono jeszcze silniejsze niż wówczas i Lewin jeszcze mniej niż wtedy czuł się zdolny zrozumieć sens śmierci. To, że była nieunikniona, wydawało mu się teraz jeszcze bardziej przerażające niż przedtem. Dzięki jednak obecności żony nie wpadał w rozpacz i chociaż śmierć była nieuchronna, odczuwał potrzebę życia i miłości. Uświadamiał sobie, że miłość ratowała go od rozpacz i że pod groźbą rozpacz sama stawała się czystsza i trwalsza.

Zaledwie skończyło się na oczach jego jedno misterium — śmierci, i pozostało nadal zagadką, a już rozpoczęło się nowe, równie nieodgadnione misterium, nawołujące do miłości i do życia.

Doktor potwierdził słuszność swoich przypuszczeń co do

Kitty: powodem jej niedomagania była ciąża.

XXI

Od chwili gdy Karenin z rozmów swych z Betsy i z Obłońskim uświadomił sobie, że żądano od niego tylko jednej rzeczy: by pozostawił żonę w spokoju i nie narzucał się jej ze swą obecnością, i odkąd pojął, iż ona sama tego sobie życzy — tak dalece stracił grunt pod nogami, że nie mógł o niczym decydować. Sam nie wiedział, czego chce, i oddając się w ręce tych, którzy z taką przyjemnością zajmowali się jego sprawami, na wszystko się zgadzał. Dopiero kiedy Anna już opuściła jego dom i Angielka przysłała kogoś z zapytaniem, czy ma jadać z nim razem, czy osobno — po raz pierwszy zrozumiał jasno swoją sytuację i przeraził się.

Najtrudniejsze w całym położeniu było to, że Karenin absolutnie nie mógł powiązać i pogodzić swej przeszłości z obecnym stanem rzeczy. Chodziło nie o tę przeszłość, kiedy żył szczęśliwie z żoną. Przejście od tej przeszłości do okresu, gdy dowiedział się o zdradzie żony, już przeboleł; stan ów był ciężki, ale dla niego zrozumiały. Gdyby żona wówczas, po oznajmieniu, że nie jest mu wierna, opuściła go, byłby się zmartwił, byłby nieszczęśliwy, lecz nie byłby się znalazł w tym dla niego samego niezrozumiałym położeniu bez wyjścia, w którym teraz pozostawał. Nie mógł obecnie w żaden sposób pogodzić swego niedawnego przebaczenia, swego rozrzewnienia, swej miłości dla chorej żony i dla cudzego dziecka z tym, co się stało, to jest z tym, że — jakby w nagrodę za to wszystko — pozostał teraz sam jeden, zhańbiony, ośmieszony, nikomu niepotrzebny i przez wszystkich pogardzany.

Przez dwa pierwsze dni po wyjeździe żony Karenin przyjmował petentów, szefa kancelarii, jeździł do Komitetu i szedł na obiad do jadalni — jak zwykle. Nie zdając sobie sprawy, czemu tak czyni, wyteżał w ciągu tych dwu dni całą swą siłę moralną, by wyglądać spokojnie, a nawet obojętnie. Odpowiadając na pytania, co począć z rzeczami i z pokojami Anny, starał się z całej mocy grać rolę człowieka, dla którego to, co się stało, nie było niespodzianką, jakby nie zaszło nic wychodzącego poza obręb zwyczajności. Osiągał swój cel: nikt nie mógłby w nim dojrzeć oznak rozpaczony. Ale na drugi dzień po wyjeździe żony Korniej podał mu rachunek od modniarki, który Anna zapomniała zapłacić, i zameldował, że przyniósł go subiekt ze sklepu. Karenin polecił go zawołać.

— Ekszelencja wybaczy, że ośmielałem się przeszkadzać. O ile jego ekszelencja rozkaże, żebym się z tym zwrócił do jej ekszelencji, to może mógłbym otrzymać adres.

Karenin zamyślił się, przynajmniej tak się wydawało subiektowi, po czym nagle odwrócił się i usiadł przy stole. Oparłszy głowę na rękach, długo tak pozostawał; kilka razy próbował przemówić, nie mógł jednak wydobyć głosu. Korniej zrozumiał uczucia swego pana i poprosił subiekta, by przyszedł innym razem. Pozostawszy sam, Karenin zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie dłużej grać roli człowieka niewzruszenie spokojnego; kazał wyprząc konie z karety, która na niego czekała, i nikogo nie przyjmować. Na obiad także nie poszedł.

Poczuł, że nie zdoła znieść gniotącej go ze wszech stron pogardy i okrucieństwa, które czytał wyraźnie i w twarzy tego subiekta, i Kornieja, i u wszystkich bez wyjątku, kogo tylko w ciągu ostatnich dwóch dni spotykał. Czuł, że nie może obronić się przed nienawiścią ludzką, ta bowiem wynikała nie stąd, by on, Karenin, był człowiekiem złym —

wówczas mógłby starać się poprawić — ale stąd, że dotknęło go haniebne i odrażające nieszczęście. Wiedział, że ludzie będą dla niego niemiłosierni właśnie dlatego, że serce jego jest zdruzgotane. Czuł, że go zniszczą tak jak psy, które dławią na śmierć poszarpanego, skomlącego z bólu towarzysza. Wiedział, że uratować się przed ludźmi można tylko, o ile człowiek ukryje przed nimi swoje rany, i przez całe dwa dni nieświadomie próbował to uczynić. Teraz jednak poczuł, że mu już na tę nierówną walkę braknie sił.

Rozpacz jego wzrastała jeszcze od poczucia, że jest ze swym nieszczęściem zupełnie osamotniony. Nie miał w Petersburgu ani jednego człowieka, któremu by mógł wypowiedzieć wszystko, co przeżywał, który nie współczułby mu jako wyższemu urzędnikowi czy jako członkowi społeczeństwa, ale po prostu jako nieszczęśliwemu człowiekowi. Nie miał nikogo takiego nie tylko w Petersburgu, ale nigdzie na świecie.

Karenin rósł jako sierota. Było ich dwóch braci. Ojca nie pamiętali, matka ich odumarała, gdy Aleksy Karenin miał dziesięć lat. Fortuna była niewielka. Stryj, wysoki urzędnik, niegdyś faworyt nieboszczyka cesarza, wychował obu bratanków.

Po ukończeniu gimnazjum i uniwersytetu z odznaczeniem Aleksy Karenin, z pomocą stryja, wszedł natychmiast na drogę wielkiej kariery urzędniczej i od tej chwili ambicje służbowe całkowicie go pochłonęły. Ani w gimnazjum, ani na uniwersytecie, ani potem w urzędzie Karenin z nikim nie nawiązał przyjaznych stosunków. Najbliższy sercu jego był brat, ale ten, jako urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, mieszkał stale poza krajem, gdzie też umarł niedługo po ślubie Aleksego.

W czasie gdy Karenin był gubernatorem, ciotka Anny,

bogata obywatelka guberni, urządziła spotkanie pomiędzy niemłodym już człowiekiem, ale świeżym gubernatorem, a swoją siostrzenicą i stworzyła taką sytuację, że Karenin czuł się zniewolony albo oświadczyć się, albo opuścić miasto. Wahał się długo: argumentów można było znaleźć równie wiele za tym krokiem co i przeciw, a nie istniał żaden decydujący powód, dla którego miałby zmienić swą zasadę: w razie wątpliwości — powstrzymaj się. Ciotka Anny wmówiła mu wówczas przez osobę trzecią, że już skompromitował pannę i że honor nakazuje mu się oświadczyć. Oświadczył się wtedy i obdarzył narzeczoną i żonę całym uczuciem, do jakiego był zdolny.

Przywiązanie, które żywił dla Anny, wypłeniło mu z serca resztę potrzeby serdecznych stosunków z ludźmi, i teraz pomiędzy wszystkimi znajomymi nie posiadał nikogo bliskiego. Był bardzo ustosunkowany, ale z nikim nie żył bliżej. Karenin znał niemało ludzi, których mógł zaprosić na obiad, zaproponować im współpracę w jakieś interesującej go sprawie, poprosić o protekcję, dla jakiegoś petenta; znał wielu, z którymi mógł szczerze omawiać postępowanie innych osób oraz działalność sfer rządzących. Stosunki z tymi ludźmi były wszelako ujęte w ramy ściśle określone przez obyczaj i konwenans i wyjść z tych ram nie było można. Miał jednego kolegę uniwersyteckiego, z którym zbliżył się w późniejszym okresie i z którym mógłby był pomówić o swym osobistym nieszczęściu, lecz ów kolega był kuratorem dalekiego okręgu szkolnego. Spośród zaś ludzi znajdujących się w Petersburgu najbliżsi byli mu szef jego kancelarii i doktor.

Michał Sliudin, szef kancelarii, był to pełen prostoty, inteligentny, poczciwy i porządny człowiek i Karenin wyczuwał w nim osobistą dla siebie sympatię, ale charakter

ich trwających od pięciu lat stosunków służbowych stał na przeszkodzie do intymnych pomiędzy nimi wypowiedzi.

Po podpisaniu akt Karenin długo milczał spoglądając na Sliudina i kilkakrotnie usiłował, ale nie był w stanie przemówić. Już nawet miał w pogotowiu frazes: „Pan słyssał o moim nieszczęściu?” Ale skończyło się na tym, że powiedział jak zwykle: „A więc pan mi to przygotowuje”, i tak go pożegnał.

Drugą osobą był doktor, również Kareninowi życzliwy: pomiędzy nimi dwoma wszelako od dawna istniał milczący układ, na mocy którego wiadomo było, że obaj są zawaleni pracą i obaj się spieszą.

O swych przyjaciółkach płci żeńskiej i o najbliższej z nich, hrabinie Lidii Iwanownie, Karenin w ogóle nie myślał: wszystkie kobiety jako takie wzbudzały w nim w tej chwili strach i odrazę.

XXII

Karenin zapomniał o hrabinie Lidii Iwanownie, ona jednak nie zapomniała o nim. Właśnie w tej najcięższej chwili samotnej rozpacz przyjechała i weszła do jego gabinetu nie meldowana. Znalazła go w tej samej pozycji, siedzącego z głową opartą na obu rękach.

— *J'ai forcé la consigne** — rzekła wchodząc spiesznym krokiem, zadyszana z wzruszenia i od szybkiego ruchu. — Wiem o wszystkim! Aleksy Aleksandrowiczu! Mój przyjacielu! — mówiła dalej, mocno oburącz ściskając jego rękę i patrząc mu w oczy swymi pięknymi, zamyślonymi oczyma.

Karenin wstał marszcząc brwi i uwolniwszy rękę z jej

* *J'ai forcé*... — przekroczyłam zakaz.

dłoni, podał jej krzesło.

— Niech pani raczy zająć miejsce. Nie przyjmuję, ponieważ jestem chory — rzekł i wargi poczęły mu drżeć.

— Mój przyjacielu! — powtórzyła hrabina Lidia nie spuszczać z niego oczu i nagle brwi jej u nasady uniosły się do góry tworząc na czole trójkąt, a brzydka jej twarz stała się jeszcze brzydsza. Karenin jednak poznał, że hrabina Lidia lituje się nad nim i że zaraz się rozpłaczę. Rozrzewniony, pochwycił jej pulchną rękę i począł ją całować.

— Mój przyjacielu! — powiedziała urywanym ze wzruszenia głosem. — Pan nie powinien poddawać się zmartwieniu. Dotknęło pana wielkie nieszczęście, lecz musi pan znaleźć pociechę.

— Jestem rozbity, unicestwiony, nie jestem już człowiekiem! — Karenin puścił jej rękę, lecz pozostał wpatrzony w jej pełne łez oczy. — Położenie moje dlatego jest takie okropne, że nigdzie, nawet w sobie samym, nie znajduję ostoi.

— Pan tę ostoję znajdzie. Niech jej pan szuka nie we mnie, chociaż proszę, aby pan wierzył w moją przyjaźń — odparła z westchnieniem. — Ostoją naszą jest miłość, ta miłość, którą On nam przekazał. Brzemie Jego jest lekkie — ciągnęła dalej z tym ekstatycznym spojrzeniem, które Karenin tak dobrze znał. — On pana wesprze i wspomogę.

Chociaż w słowach tych nie brakło rozczulenia nad własnymi wzniosłymi uczuciami, choć bił od nich ten nowy, ekstatyczny, od niedawna rozpowszechniający się w Petersburgu mistyczny nastrój, który Kareninowi zdawał się niepotrzebny, słuchał ich teraz z przyjemnością.

— Jestem słaby. Jestem zmiażdżony. Nic podobnego nie przewidywałem i teraz także nic nie rozumiem.

— Mój przyjacielu — powtarzała hrabina Lidia.

— To nie z powodu utraty tego, czego dziś już nie ma. Nie o to chodzi — mówił dalej Karenin. — Nie żał mi... Ale nie mogę znieść wstydu wobec ludzi z powodu mego obecnego położenia. To źle, ale nie mogę, nie mogę...

— To nie pan sam spełnił ten wzniosły uczynek, który wzbudził taki zachwyt we mnie i w innych: to nie pan przebaczył, lecz On, który zamieszkuje w pańskim sercu — rzekła hrabina Lidia wznosząc w zachwyceniu oczy ku górze — i dlatego pan nie powinien wstydzić się swego postępuku.

Karenin zmarszczył brwi i splótnięty ręce jął trzaskać w palce.

— Należałoby znać wszystkie szczegóły — wyrzekł cienkim głosem. — Siły ludzkie, proszę pani, mają swoje granice i ja właśnie znalazłem się u tych granic. Przez cały dzisiejszy dzień musiałem wydawać domowe dyspozycje, wypływające (podkreślił głosem wyraz wypływające) z mojego nowego, samotnego stanu. Służba, guwernantka, rachunki... To mnie dobiło: nie mogłem dłużej wytrzymać. Podczas obiadu... Wczoraj o mały włos nie wstałem od stołu. Nie mogłem znieść sposobu, w jaki mój syn na mnie patrzył. Nie pytał mnie, co to wszystko znaczy, ale miał ochotę spytać; nie mogłem znieść jego spojrzenia. Bał się patrzeć na mnie; lecz nie dosyć tego...

Karenin chciał opowiedzieć o przyniesionym rachunku, lecz głos mu się załamał. Umilkł więc; nie mógł nawet pomyśleć o tym rachunku na błękitnym papierze — za kapelusza, za wstażki — bez napływu litości nad sobą samym.

— Rozumiem to, panie drogi — rzekła hrabina Lidia — wszystko rozumiem. Pomoc i pociechę znajdzie pan nie u mnie, chociaż przyjechałam tylko po to, by pomóc, jeśli to możliwe. Gdybym mogła oszczędzić panu tych wszystkich drobnych upokarzających kłopotów... Rozumiem, że

potrzebna jest tu ręka kobieca, kobiece zarządzenia. Czy pan mi to powierzy?

Karenin z wdzięcznością w milczeniu uściśnął jej rękę.

— Zajmiemy się razem Sieriożą. W rzeczach praktycznych nie jestem biegła, ale zabiorę się do nich i będę pańską szafarką. Niechaj mi pan nie dziękuje: to nie ja sama działam w tej sprawie.

— Jakżebym mógł nie dziękować!

— Ale, panie drogi, niech się pan nie poddaje uczuciu, o którym pan wspominał; niechaj się pan nie wstydzi tego, co jest najwyższym osiągnięciem chrześcijanina: kto się poniża, będzie wywyższony. I powinien pan dziękować nie mnie, ale Jemu, i prosić Jego o pomoc. W Nim jednym znajdziemy spokój, pociechę, zbawienie i miłość — wyrzekła i wzniosłszy oczy ku niebu poczęła się modlić, jak wywnioskował Karenin z jej milczenia.

Słuchał jej teraz i te zwroty, które poprzednio zdawały mu się nie tyle przykre, ile zbyt naturalne, obecnie brzmiały naturalnie i pocieszająco. Karenin nie lubił tego nowego, ekstatycznego ducha. Był człowiekiem wierzącym, interesował się religią przede wszystkim z politycznego punktu widzenia, a nowy kierunek, w którym pozwalano sobie na pewną nową interpretację religii, był mu w zasadzie niesympatyczny dlatego właśnie, że otwierał drzwi dyskusji i analizie. Dotąd odnosił się do nowego kierunku obojętnie, nawet wrogo; z hrabiną Lidią, którą kierunek ten pociągał, nie dyskutował nigdy, a jej zaczepki na ten temat starannie, w milczeniu omijał. Teraz jednak po raz pierwszy słuchał jej słów z przyjemnością i nie znajdował w sobie wewnętrznego sprzeciwu.

— Jestem bardzo, bardzo pani wdzięczny i za uczynki, i za słowa — rzekł, gdy skończyła się modlić.

Hrabina Lidia raz jeszcze uścisnęła obie dłonie przyjaciela.

— Teraz biore się do roboty — rzekła z uśmiechem po chwili milczenia ocierając z twarzy resztki łez. — Idę do Sierioży. Do pana będę się udawała tylko w ostateczności. — Po czym wstała i wyszła.

Hrabina Lidia udała się do pokojów Sierioży i oblewając łzami policzki wystraszonego chłopca oznajmiła mu, że ojciec jego to święty, a że matka jego umarła.

Hrabina Lidia dotrzymała obietnicy: wzięła istotnie na siebie wszystkie troski dotyczące organizacji i zarządu domem Karenina. Nie przesadzała jednak twierdząc, że w praktycznych rzeczach nie jest biegła: wszystkie jej zarządzenia trzeba było zmieniać, były bowiem niewykonalne. Zmieniał je kamerdyner Korniej, który niepostrzeżenie dla wszystkich poprowadził teraz cały dom Karenina, a w czasie ubierania swego pana spokojnie i delikatnie meldował mu o wszystkim, co było konieczne. Pomoc hrabiny Lidii stała się wszakże czymś w najwyższym stopniu realnym: świadomość jej przywiązania i szacunku dały Kareninowi oparcie moralne. Znalazł je również — i świadomość tego cieszyła ją wielce — w chrześcijaństwie, na które go prawie że nawróciła, bo z wierzącego oziębła i leniwie zmieniała w zapalonego i wiernego stronnika tej nowej interpretacji chrystianizmu, jaka rozpowszechniła się w owym czasie w Petersburgu. Karenin łatwo dał się przekonać. Podobnie jak hrabina Lidia oraz inne osoby podzielające jej przekonania był całkiem pozbawiony perspektywy wyobraźni, owego daru wewnętrznego, dzięki któremu pojęcia wywoływane przez wyobraźnię stają się tak realne, że wymagają uzgodnienia nie tylko z innymi pojęciami, ale także z rzeczywistością. Nie widział nic niemożliwego ani niewłaściwego w pojęciu, że śmierć, która istnieje dla

niewierzących, dla niego nie istnieje; nie upatrywał nic niemożliwego w wyobrażeniu, że skoro on, Karenin, posiada pełnię wiary — o której to pełni sam zresztą rozstrzygał — to tym samym staje się bezgrzeszny i już na tej ziemi osiąga całkowite zbawienie.

Karenin co prawda czuł jak przez mgłę, że jego wyobrażenie o własnej wierze jest nazbyt uproszczone, że jest błędne. Wiedział, że wówczas, gdy nie uważając bynajmniej swego przebaczenia za akt siły wyższej, poddał się swemu bezpośredniemu uczuciu, czuł się szczęśliwszy niż obecnie, gdy bezustannie myślał, że w duszy jego przebywa Chrystus i że podpisując papiery spełnia jego wolę.

Obecnie wszakże takie przekonanie było mu niezbędne. Tak bardzo potrzebował w swym poniżeniu tej chociażby tylko fikcyjnej wyżyny, z której, pogardzany przez wszystkich, mógłby innych lekceważyć, że trzymał się jak deski ratunku swego rzekomego zbawienia.

XXIII

Hrabinę Lidię jako bardzo młodą egzaltowaną dziewczynę wydano za mąż za człowieka bogatego, znacznego rodu, najpocziwszego i najprostoduszniejszego w świecie hulakę. Już po miesiącu mąż porzucił ją, a na egzaltowane z jej strony zapewnienia o tkliwym uczuciu odpowiadał jedynie szyderstwem i nawet odnosił się do niej wrogo, czego ludzie znający dobre serce hrabiego i nie dostrzegający żadnych wad u egzaltowanej Lidii nie mogli sobie zupełnie wytłumaczyć. Od tej chwili, chociaż nie mieli rozwodu, mieszkali osobno, a przy spotkaniach z żoną mąż traktował ją ze zjadliwym szyderstwem, którego powodu nie można było dociec.

Hrabina Lidia dawno już przestała kochać się w mężu, lecz nigdy od tego czasu nie przestawała być zakochana. Kochała się w kilku osobach — mężczyznach i kobietach — naraz; kochała się prawie we wszystkich ludziach, choć trochę w czymkolwiek wybitnych. Była zakochana we wszystkich nowych księżnych i księżętach, wstępujących w związki z rodziną cesarską, była zakochana w pewnym metropolicie, w pewnym wikariuszu generalnym i w pewnym popie. Kochała się w dziennikarzu, w trzech Serbach i w Komisarowie. Kochała się w ministrze, w doktorze, w misjonarzu angielskim i w Kareninie. Wszystkie te zakochania — to słabnące, to wzmagające się, nie przeszkadzały jej w utrzymywaniu jak najszerzych i jak najbardziej skomplikowanych stosunków dworskich i światowych. Od chwili wszelako, gdy po nieszczęściu, jakie dotknęło Karenina, wzięła go w szczególną opiekę, od chwili gdy poczęła zajmować się jego domem troszcząc się o to, by Kareninowi było dobrze, uczuła, że tamte jej zakochania są nierealne i że naprawdę kocha tylko Karenina. Uczucie, jakie dla niego obecnie żywiła, wydawało się jej silniejsze od wszystkich poprzednich uczuć. Analizując je i porównując z poprzednimi widziała wyraźnie, że nie byłaby się kochała w Komisarowie, gdyby ten nie był uratował życia cesarzowi, ani w Risticz–Kudzyckim, gdyby nie istniała kwestia słowiańska; Karenina natomiast kochała dla niego samego: za jego wzniosłą, niezrozumiałą duszę, za wysokie brzmienie głosu z przeciągłymi intonacjami, który się jej tak podobał, za znużone spojrzenie, za jego charakter, za miękkie białe ręce o rozdętych żyłach. Nie tylko lubiła go spotykać, ale szukała i u niego oznak wrażenia, jakie ze swej strony wywierała na nim. Pragnęła mu się podobać, nie tylko przez to, co mówiła, ale całą swą osobą. Dla niego zajmowała się teraz, więcej niż

kiedykolwiek, swą toaletą; przyłapywała się na marzeniach o tym, co by się stało, gdyby ona nie była zamężna, a on był wolny. Rumieniła się ze wzruszenia, kiedy Karenin wchodził do pokoju, i nie mogła powściągnąć uśmiechu szczęścia, gdy powiedział jej coś miłego.

Już od dni kilku hrabina Lidia znajdowała się w stanie najwyższego wzburzenia: doszło do niej, że Anna z Wrońskim są w Petersburgu. Należało oszczędzić Kareninowi spotkania z Anną, a nawet bolesnej świadomości, że ta okropna kobieta znajduje się z nim w jednym mieście i że może on ją lada chwila spotkać.

Hrabina Lidia dokonywała przez znajomych wywiadu, jakie były zamiary tych wstrętnych ludzi, jak nazywała Wrońskiego i Annę; starała się w owe dni tak kierować wszystkimi krokami swego przyjaciela, by ten nie mógł się z nimi zetknąć. Młody adiutant, przyjaciel Wrońskiego, od którego otrzymywała informacje, a który miał nadzieję za pośrednictwem hrabiny Lidii dostać koncesję, doniósł jej, że Anna i Wroński zakończyli swoje interesa i nazajutrz wyjeżdżają. Hrabina już poczęła się uspokajać, gdy zaraz nazajutrz przyniesiono jej list, na którego kopercie rozpoznała z przerażeniem charakter pisma pani Karenin. Koperta była z papieru grubego jak kora drzewna; na podłużnym żółtym papierze widniał olbrzymi monogram. List prześlicznie pachniał.

— Kto to przyniósł?

— Poślaniec z hotelu.

Hrabina Lidia długo nie mogła się zdecydować, by usiąść i list przeczytać. Ze wzburzenia dostała ataku astmy, na którą cierpiała; gdy się uspokoiła, odczytała poniższy list napisany po francusku.

„*Madame la Comtesse** — Chrześcijańskie uczucia napęłniające Pani serce pozwalają mi ze śmiałością, która, jak sama to czuję, jest niewybaczalna, udać się do Pani. Czuję się nieszczęśliwa z powodu rozłąki z synem. Błagam o pozwolenie zobaczenia się z nim raz jeden przed moim wyjazdem. Niechaj mi Pani wybaczy, że się przypominam jej pamięci. Zwracam się do Pani, nie do Aleksego Aleksandrowicza, tylko dlatego, że nie chcę przypominaniem o sobie przyczyniać cierpień temu wspaniałomyślnemu człowiekowi. Znając przyjaźń Pani dla niego, jestem przekonana, że Pani mnie zrozumie. Czy Pani przyśle Sieriożę do mnie, czy też ja mam przyjechać o określonej, wyznaczonej godzinie, czy też może Pani da mi znać, kiedy i gdzie mogłabym go widzieć poza domem? Nie spodziewam się odmowy, znam bowiem wspaniałomyślność tego, od którego zależy zgoda na moją prośbę. Pani nie może sobie wystawić tej tęsknoty za ujrzeniem synka, jaka mnie pożera, i stąd nie może też Pani sobie wyobrazić, jak wielką wdzięczność wzbudzi Pani we mnie swym wstawiennictwem.
Anna”

Wszystko w tym liście drażniło hrabinę: i treść, i napomnienie o wspaniałomyślności, a zwłaszcza nonszalancki, jak jej się zdawało, ton listu.

— Powiedz, że odpowiedzi nie będzie — poleciała i zaraz, otworzywszy *buvard*, napisała do Karenina, że spodziewa się go zobaczyć na dworskiej uroczystości galowej w cesarskim pałacu o godzinie pierwszej.

„Muszę z panem pomówić w ważnej i smutnej sprawie. Tam się umówimy — gdzie. Najlepiej u mnie. Będzie pana oczekiwała Pańska herbata. Jest to konieczne. On zsyła nam

* *Madame*... — pani hrabino.

krzyż, ale On też daje siły” — dodała, aby go choć trochę przygotować.

Hrabina Lidia pisywała zwykle do Karenina po dwa lub trzy liściki na dzień. Lubiła ten sposób porozumiewania się z nim, sposób tchnący wykwintem i tajemniczością, których brak odczuwała w osobistych z nim zetknięciach.

XXIV

Uroczystość galowa miała się ku końcowi. Goście, już na odjeźdym, rozmawiali o ostatnich aktualnościach, o świeżo otrzymanych odznaczeniach i o przesunięciach na wyższych stanowiskach urzędniczych.

— Gdyby tak mianować Marię Borysownę ministrem wojny, a szefem sztabu księżną „Watkowską? — mówił siwy staruszek w mundurze haftowanym złotem, zwracając się do pięknej, wysokiej frejliny, która zagadnęła go na temat owych przesunięć.

— A mnie adiutantem? — z uśmiechem powiedziała frejlina.

— Dla pani już jest nominacja: do departamentu wyznań religijnych. A do pomocy dostanie pani Karenina.

— Dzień dobry księciu! — staruszek uściśnął rękę znajomego, który się do nich przyłączył.

— Coście państwo mówili o Kareninie? — spytał książe.

— On i Putiatow otrzymali order Aleksandra Newskiego*.

— Myślałem, że Karenin już go ma.

— Nie. Spójrzcie tylko państwo na niego — staruszek wskazał haftowanym kapeluszem na Karenina, który zatrzymał się we drzwiach z jednym z wpływowych członków Rady Państwa. Miał na sobie dworski mundur z

* Order Aleksandra Newskiego był ustanowiony w r. 1725.

nową czerwoną wstęgą przez pierś. — Jest szczęśliwy i zadowolony jak trzy grosze w woreczku — dodał i urwał, by uścisnąć rękę atletycznie zbudowanego, przystojnego szambelana.

— Przeciwnie, postarzał się — zauważył szambelan.

— Ma kłopoty. Ciągłe pisze projekty. I teraz nie wypuści tego nieszczęśnika, aż mu wszystkiego punkt za punktem nie wyłoży.

— Co? Zestarzał się? *Il fait des passions**. Sądzę, że w chwili obecnej hrabina Lidia jest zazdrosna o jego żonę.

— Co też pan doprawdy! Proszę tylko nie mówić nic złego o hrabinie Lidii.

— Czy to co złego, że jest zakochana w Kareninie?

— A czy to prawda, że pani Karenin jest tutaj?

— Chyba nie tutaj, ale w Petersburgu — owszem. Spotkałem ich wczoraj oboje z Aleksym Wrońskim *bras dessus, bras dessous** na Morskiej.

— *C'est un homme qui n'a pas...** — zaczął szambelan, lecz zamilkł usuwając się z drogi i składając ukłon komuś z cesarskiej rodziny.

Tak bez ustanku mówiono o Kareninie, krytykując go i podkpiwając z niego, podczas gdy on sam, zastąpiwszy drogę członkowi Rady Państwa, którego udało mu się przytrzymać, ani na chwilę (by mu ten nie uszedł) nie przerywając swych wywodów, punkt za punktem wykladał mu swój plan finansowy.

Prawie jednocześnie z odejściem żony spadła na Karenina kłeska najbardziej dla urzędnika bolesna: oto bieg jego kariery uległ zahamowaniu. Zahamowanie nastąpiło i wszyscy to wyraźnie spostrzegli, lecz sam Karenin nie

* *Il fait* ... — robi konkiety.

* *Bras* ... — pod rękę.

* *C'est* ... — jest to człowiek, który nie ma...

uświadomił sobie jeszcze, że kariera jego była skończona. Czy powodem tego był zatarg ze Striemowem, czy katastrofa z żoną, a może Karenin po prostu doszedł do pewnej granicy, która mu była sądzona, dość, że w tym roku dla wszystkich stało się oczywiste, że na terenie służbowym działalność jego się skończyła. Wciąż jeszcze zajmował wysokie stanowisko, należał do wielu komisji i komitetów, był jednak człowiekiem, który się całkowicie wyczerpał i od którego nic więcej nie oczekiwano. Cokolwiek mówił, cokolwiek proponował — słuchano go tak, jakby przedmiot jego propozycji był już od dawna znany i całkiem nieaktualny.

Karenin wszakże nie zdawał sobie z tego sprawy, i na odwrót, będąc usunięty od bezpośredniego udziału w czynnościach urzędowych, wyraźniej niż przedtem dostrzegał braki i błędy w działalności innych i uważał za swój obowiązek wskazywać środki ku ich naprawie. Wkrótce po rozstaniu z żoną zaczął pisać swój pierwszy memoriał o nowym sądownictwie, pierwszy z nieskończonego szeregu nikomu niepotrzebnych memoriałów — z dziedziny wszelkich możliwych gałęzi administracji — jakie było mu sądzone wypracować.

Karenin nie tylko nie zdawał sobie sprawy ze swojej beznadziejnej sytuacji w świecie urzędowym i nie tylko się nią nie martwił, ale był bardziej niż kiedykolwiek kontent ze swej działalności.

„Kto bez żony jest, stara się o to, co Pańskiego jest, jakoby się podobał Bogu, a który z żoną jest, stara się o to, co do świata należy, jakoby się podobał żonie”^{*} — powiada Paweł apostoł, toteż Karenin, który obecnie we wszystkich sprawach kierował się orzeczeniami Pisma świętego, nieraz przypominał sobie ów tekst. Wydawało mu się, że z chwilą

* Kto bez żony jest ... — z listu św. Pawła do Koryntian I, 7,32–33.

gdy pozostał sam, bez żony, bardziej niż przedtem przysługiwał się swymi projektami Bogu.

Widoczne zniecierpliwienie członka Rady Państwa, który pragnął mu się wymknąć, nie robiło na Kareninie żadnego wrażenia. Zaprzeszał swego wykładu dopiero, gdy dostojnik ów wysłiznął mu się korzystając z tego, że mijał ich ktoś z rodziny cesarskiej.

Pozostawszy sam, Karenin pochylił głowę zbierając myśli, po czym obejrzał się z roztargnieniem i podążył ku drzwiom, gdzie spodziewał się spotkać hrabinę Lidię.

„Jacy oni wszyscy silni i fizycznie zdrowi” — pomyślał patrząc na potężnego szambelana o wyszczotkowanych odstających bokobrodach i widząc czerwony kark opiętego w mundur księcia, obok którego musiał przejść. „Dobrze powiedziano, że na świecie wszystko jest złe” — pomyślał znowu, przyglądając się łydkom szambelana.

Stawiając nogi krok za krokiem, bez pośpiechu, Karenin ze swym zwykłym wyrazem znużenia i godności ukłonił się rozmawiającym właśnie o nim panom i wpatrując się we drzwi, szukał oczyma hrabiny Lidii.

— Otóż i Aleksy Aleksandrowicz! — zawołał staruszek ze złośliwym błyskiem oczu, w chwili gdy Karenin go mijał i pełnym chłodu gestem pochyłał głowę. — Jeszcze panu nie powinszowałem — dodał wskazując na świeżo przezeń otrzymaną wstęgę.

— Dziękuję panu — odrzekł Karenin. — Jaki dziś piękny dzień — dorzucił kładąc, wedle zwyczaju nacisk na wyrazie „piękny”.

Wiedział, że z niego szydzą, ale też i niczego prócz nieżyczliwości po nich się nie spodziewał; zdążył się już do tego przyzwyczaić.

Dostrzegając wznoszące się nad wycięciem stanika żółte

ramiona hrabiny Lidii, która ukazała się we drzwiach, i widząc wzywające go piękne, zamyślane jej oczy, Karenin pokazał w uśmiechu swe niezniszczalnie białe zęby i zbliżył się do niej.

Toaleta hrabiny Lidii kosztowała ją wiele zachodu, tak jak w ostatnich czasach wszystkie jej toalety. Miały obecnie cel zupełnie przeciwny temu, do jakiego dążyła przed trzydziestu laty. Wówczas pragnęła się w jakikolwiek sposób upiększyć, a im więcej — tym lepiej. Obecnie była z obowiązku wystrojona tak nieodpowiednio do swych lat i figury, że starała się już tylko o to, by kontrast tego stroju z jej powierzchownością nie wypadł zbyt rażąco. Co do Karenina, to cel był osiągnięty: wydawała mu się powabna. Była dla niego jedyną wysepką nie tylko sympatii, ale i miłości pośród morza niechęci i szyderstwa, jakie go otaczało.

Przechodząc pośród szpaleru kpiących spojrzeń, instynktownie ciągnął do jej rozkochanego spojrzenia, jak roślina dąży do światła.

— Winszuję panu — wskazała oczyma na wstęgę.

Kryjąc uśmiech zadowolenia wrzucił ramionami i zamknął oczy, jakby chcąc powiedzieć, że taka rzecz nie może go cieszyć. Hrabina Lidia wszelako dobrze wiedziała, że stanowiło to jedną z największych jego radości, choć się nigdy do tego nie przyznawał.

— Jak się ma nasz anioł? — hrabina Lidia miała na myśli Sieriożę.

— Nie mogę powiedzieć, bym był całkowicie z niego zadowolony — Karenin podniósł brwi i otworzył oczy — Sitnikow także jest z niego niekontent. (Sitnikow był to pedagog, któremu zlecono światową edukację Sierioży.) Jak już pani mówiłem, jest on jakiś niedbały właśnie w stosunku

do najważniejszych kwestii, które winny poruszać duszę każdego człowieka i każdego dziecka — rozpoczął Karenin wykład swych myśli na jedyny — poza urzędowaniem — interesujący go temat: wychowania syna.

Gdy Karenin z pomocą Lidii Iwanowny powrócił do życia i do pracy, uważał za swój obowiązek zająć się wychowaniem pozostawionego mu syna. Ponieważ nigdy przedtem nie zajmował się sprawami wychowania, obecnie poświęcił czas pewien na teoretyczne studium tego przedmiotu. Po przeczytaniu kilku dzieł z dziedziny antropologii, pedagogiki i dydaktyki ułożył plan wychowania i zaprosiwszy najlepszego petersburskiego pedagoga jako kierownika, przystąpił do dzieła. Sprawa ta nie przestawała go interesować.

— Tak, ale serce? Ja widzę, że on ma serce ojca, a dziecko z takim sercem nie może być złe — rzekła z uniesieniem hrabina Lidia.

— Tak. Być może... Co do mnie, to spełniam mój obowiązek. To jest wszystko, co mogę uczynić.

— Paan przyjedzie do mnie — rzekła hrabina po chwili milczenia — musimy porozmawiać o smutnej dla pana sprawie. Dałabym wiele, by oszczędzić panu pewnych wspomnień, ale są tacy, co myślą inaczej. Otrzymałam list od niej. Ona jest tutaj, w Petersburgu.

Na wspomnienie żony Karenin drgnął, lecz wnet twarz jego uległa owemu martwemu znieruchomieniu, które było wyrazem całkowitej jego bezradności w tej sprawie.

— Spodziewałem się tego — powiedział.

Hrabina Lidia spojrzała na niego ekstatycznie i łzy zachwytu nad wzniosłością jego duszy ukazały się w jej oczach.

XXV

Gdy Karenin wszedł do małego, zacisznego gabineczku hrabiny Lidii, zastawionego starą porcelaną i obwieszono portretami, pani domu jeszcze nie było: przebierała się.

Okrągły stół był zasłany obrusem: stał na nim chiński serwis i srebrny imbryk na spirytusowym palniku. Karenin machinalnie obejrzał niezliczone, znajome mu już portrety zdobiące gabinet i usiadłszy za stołem, otworzył leżący na nim Nowy Testament. Szelest jedwabnej sukni pani domu oderwał go od czytania.

— No, więc zasiądźmy teraz spokojnie — hrabina Lidia, uśmiechem pokrywając wzburzenie, spiesznie przedostała się pomiędzy stołem a kanapą — i pogadajmy sobie przy herbatce.

Po kilku wstępnych słowach, zarumieniona, ciężko dysząc, wręczyła Kareninowi otrzymany przez nią list.

Po przeczytaniu go Karenin długo milczał.

— Nie sądzę, bym miał prawo jej odmówić — rzekł podnosząc nieśmiało oczy.

— Drogi panie! Pan w nikim nie upatruje zła.

— Przeciwnie, upatruję zło we wszystkim. Ale czy to byłoby słuszne?

Twarz jego wyrażała niezdecydowanie. Oglądał się za radą i oparciem, za jakąś wskazówką w sprawie dla niego niezrozumiałej.

— Nie — przerwała mu hrabina. — Wszystko ma swoje granice. Rozumiem niemoralność — twierdziła tak nie całkiem szczerze, bo nigdy nie mogła zrozumieć, co mianowicie skłania kobiety do niemoralności — ale nie rozumiem okrucieństwa, i to wobec kogo? Wobec pana. Jak ona śmie pozostawać w mieście, gdzie pan przebywa! Nie,

naprawdę — póki życia, poty nauki. Więc i ja uczę się rozumieć wzniosłość pana i jej nikczemność.

— I któż z nas rzuci kamieniem? — rzekł Karenin. Znać po nim było, że mu ta rola przypada do smaku. — Wszystko przebaczyłem; mamże teraz pozbawić ją tego, co stanowi potrzebę jej serca, i przeciwstawiać się jej miłości do syna?...

— Ależ, mój przyjacielu, czy to jest naprawdę miłość? Czy to jest szczere? Dajmy na to, że pan przebaczył, że pan przebacza... Ale czy mamy prawo siać zamęt w duszy tego anioła? On ją ma za umarłą, modli się za nią i prosi Boga o przebaczenie jej grzechów... I tak jest lepiej. A teraz — cóż on sobie pomyśli?

— Nie przyszło mi to na myśl — wyznał Karenin.

Hrabina Lidia ukryła twarz w dłoniach i przez chwilę milczała: modliła się.

— Skoro mnie pan pyta o radę — rzekła po skończonej modlitwie odejmując ręce od twarzy — to odradzam. Przecież widzę, jak pan cierpi, jak to panu rozjątrzyło rany. Ale przypuśćmy, że pan jak zwykle zapomni o sobie... Do czego to wszystko doprowadzi? Do nowych cierpień dla pana i do udręczeń dla dziecka. Jeśli pozostało w niej jeszcze coś ludzkiego, sama nie powinna tego pragnąć. Nie, stanowczo odradzam i — jeśli pan pozwoli — napiszę do niej.

Karenin zgodził się i hrabina Lidia napisała po francusku list następujący:

„Łaskawa Pani!

Przypomnienie synowi o Pani może wywołać z jego strony zapytania, na które nie można by odpowiedzieć bez wzniecenia w duszy dziecka ducha krytyki w stosunku do tego, co winno dlań pozostać świętością. Proszę tedy, by Pani zechciała odmowę męża Pani zrozumieć w duchu miłości

chrześcijańskiej. Proszę Boga Wszechmocnego o miłosierdzie dla Pani.

Lidia”

List ten osiągnął utajony cel, do którego hrabina sama przed sobą się nie przyznawała: śmiertelnie Annę uraził. Karenin ze swej strony, po powrocie do domu od Lidii Iwanowny, nie mógł dnia tego oddać się swym zwykłym zajęciom, nie mógł odnaleźć wewnętrznego spokoju, jakim się uprzednio cieszył.

Pamięć o żonie, która tyle wobec niego zawiniła i w porównaniu z którą był, jak słusznie zauważała hrabina Lidia, taki święty, nie powinna była go wzruszać. Mimo to spokojny nie był. Nie mógł zrozumieć książki, którą czytał, nie mógł się oderwać od dręczących wspomnień o swym do Anny stosunku, o błędach, które — jak mu się teraz zdawało — wobec niej popełnił. Pamięć o tym, jak powracając z wyścigów przyjął jej wyznanie o zdradzie (zwłaszcza to, że zażądał zachowania pozorów przyzwoitości, a nie wyzwał Wrońskiego na pojedynek), męczyła go na podobieństwo skruchy. Męczyła go również pamięć o liście, który do niej napisał; a przede wszystkim — nikomu niepotrzebne przebaczenie i troskliwość okazywana cudzemu dziecku paliły mu serce wstydem i żalem.

I takie samo uczucie wstydu i żalu odzywało się w nim teraz, gdy przerzucał w pamięci całą przeszłość przeżyta z Anną i przypominał sobie niezręczne słowa, w jakich się jej po długich wahaniach oświadczył.

„Ale cóżem ja winien?” — mówił sobie, i to zapytanie nasuwało mu zawsze zapytanie drugie, pokrewne: czy inni ludzie, tacy Wrońscy, Obłońscy... tacy szambelanowie o grubych łydkach, inaczej czują, inaczej kochają, inaczej się

żenią? I stawał przed nim w wyobraźni cały szereg tych krwistych, krzepkich, pewnych siebie ludzi, którzy bezwiednie — wszędzie i zawsze bywali przedmiotem jego uwagi i zaciekawienia. Odganiał precz te myśli, starał się sam siebie przekonać, że przecież on, Karenin, istnieje nie dla tutejszego, ziemskiego bytu, ale dla życia wiecznego, że w jego duszy panuje

pokój i miłość. To wszakże, iż popełnił w tym doczesnym, znikomym życiu pewne, jak mu się zdawało, znikome omyłki, dręczyło go tak, jakby to wieczne zbawienie, w które wierzył, wcale nie istniało. Pokusa jednak niedługo trwała i niebawem w duszy Karenina znów zapanował ten spokój i ta wzniosłość, dzięki którym był w stanie zapominać o tym, o czym pamiętać nie pragnął.

XXVI

— No i co, Kapitonycz? — spytał Sierioża powróciwszy wesół i zaróżowiony ze spaceru w przeddzień swych urodzin i oddając swą fałdzistą bekieszę wysokiemu starymu szwajcarowi, który uśmiechał się do małego człowieczka z wysokości swojego wzrostu. — Co, czy był tu dzisiaj ten urzędnik z obwiązaną twarzą? Czy papa go przyjął?

— Przyjął. Jak tylko pan szef kancelarii wyszedł, zaraz go zameldowałem — rzekł szwajcar z figlarnym mrugnięciem. — Proszę pozwolić, ja zdejmę.

— Sierioża — odezwał się Serb guwerner stając we drzwiach prowadzących do wnętrza domu. — Proszę zdjąć sam.

Sierioża jednak, chociaż słyszał słaby głos guwenera, nie zwrócił nań uwagi; stał trzymając się szarfy szwajcara, wpatrzony w jego twarz.

— No i co? Czy papa zrobił dla niego to, co było trzeba? Szwajcar twierdząco skinął głową.

Obowiązany urzędnik, który już siedem razy przychodził o coś prosić Karenina, interesował i Sieriożę, i szwajcara. Sierioża zastał go raz w sieni i słyszał, jak urzędnik żałośnie prosił szwajcara, by go zameldował, twierdząc, że inaczej nic mu nie pozostanie, jak umrzeć wraz z dziećmi.

Później Sierioża spotkał urzędnika w sieni po raz drugi i zainteresował się jego losem.

— I cóż, czy był bardzo kontent? — dopytywał się teraz.

— Jak nie miał być kontent?! Odszedł stąd ledwo że nie w podskokach.

— A czy co przynieśli? — zagadnął chłopiec po chwili milczenia.

— Ano, paniczu — kręcąc głową poinformował szwajcar szeptem — jest tu coś od pani hrabiny.

Sierioża od razu zrozumiał, że to, o czym szwajcar mówi, to podarunek na jego urodziny od hrabiny Lidii Iwanowny.

— Co ty gadasz?! Gdzież to jest?

— Korniej odniósł do papy. Zapewne jakiś porządny prezent.

— A jak duże to było? Czy takie?

— Mniejsze, ale na pewno coś pięknego.

— Książka?

— Nie, prezent. Niechże już panicz idzie. Wasilij Łukicz woła — rzekł szwajcar i słysząc zbliżające się kroki gubernera zdejmował delikatnie rączkę w na pół ściągniętej rękawiczce, trzymającą się jego szarfy, i ruchami głowy wskazywał na nadchodzącego Wunicza.

— Już idę, Wasilij Łukicz! — zawołał Sierioża z tym wesołym i przyjaznym uśmiechem, który zawsze podbijał obowiązkowego Wunicza.

Sierioża był jednak zanadto wesół, świat cały zdawał mu się zbyt — radosny, by mógł się nie podzielić ze swym przyjacielem szwajcarem wiadomością o jeszcze jednym szczęśliwym wydarzeniu w rodzinie, o którym powiedziała mu na spacerze w Letnim Ogrodzie siostrzenica hrabiny Lidii Iwanowny. Szczęśliwe to wydarzenie wydawało mu się szczególnie ważne, zbiegło się bowiem z radością urzędnika i jego własną uciechą z powodu przyniesionych zabawek. Sierioży się zdawało, że to dzień, kiedy wszyscy powinni być zadowoleni i weseli.

— Wiesz? Papa dostał Aleksandra Newskiego.

— Jakżebym mógł nie wiedzieć! Już przyjeżdżali tu winszować.

— I cóż, czy papa jest kontent?

— Jakżeby mógł się nie ucieszyć z łaski carskiej. To znaczy, że się dobrze zasłużył — rzekł szwajcar surowo i poważnie.

Sierioża się zamyślił. Wpatrywał się w twarz szwajcara, znajomą mu aż do najdrobniejszych szczegółów, zwłaszcza w zwisający pomiędzy siwymi bokobrodami podbródek, którego nikt nie widywał poza Sieriożą, patrzącym nań zawsze nie inaczej, jak z dołu.

— No, a córka twoja czy dawno u ciebie była? Córka szwajcara była baletnicą.

— Jakżeby mogła przychodzić w dzień powszedni? One też się uczą. I panicz ma lekcję. Proszę już iść.

Po wejściu do pokoju Sierioża, zamiast usiąść do lekcji, wyraził wobec Wunicza przypuszczenie, że przyniesiona niedawno paczka musi zawierać jakąś maszynę.

— A panu jak się zdaje? — zapytał.

Ale gubernierz myślał jedynie o tym, że należy przygotować lekcję gramatyki dla nauczyciela mającego

przyjść o drugiej.

— Niech mi pan tylko powie — zagadnął nagle Sierioża siedząc już za stołem z książką w ręku — co jest większe od Aleksandra Newskiego? Pan wie, że papa otrzymał Aleksandra Newskiego?

Wunicz odrzekł, że od Aleksandra Newskiego większy jest Włodzimierz*.

— A jeszcze wyżej?

— Najwyższy jest Andrzej Pierwozwany*.

— A jeszcze wyżej od Andrzeja?

— Tego nie wiem.

— Jak to? Pan także nie wie? — i Sierioża, oparłszy łokcie na stole, pograżył się w rozmyślaniach.

Rozmyślania te były niezwykle skomplikowane i różnorodne. Układał sobie, jak to jego ojciec otrzyma naraz i Włodzimierza, i Andrzeja i jak na skutek tego on sam, Sierioża, tego dnia na lekcji będzie daleko grzeczniejszy. A gdy dorośnie, otrzyma wszystkie ordery, także i ten wyższy od Andrzeja, który dopiero będzie wymyślony. Zaledwie ten order wymyślą, już on nań zasłuży. Oni coś jeszcze wyższego wynajdą, a on znów zaraz i na to zasłuży.

Na takich medytacjach mijały chwile i gdy nadszedł nauczyciel, lekcja o określeniu przysłówkowym czasu, miejsca i sposobu nie była przygotowana; nauczyciel nie tylko był niezadowolony, ale się zmartwił. Zmartwienie nauczyciela obeszło Sieriożę. Nie czuł się winien z powodu nienauczenia się lekcji: ilekolwiek się starał, stanowczo nie mógł się nauczyć. Tak długo, dopóki nauczyciel mu ją tłumaczył, wierzył mu i jakby rozumiał, ale skoro tylko zostawał sam, nie mógł stanowczo sobie przypomnieć ani

* Włodzimierz — order Św. Włodzimierza, ustanowiony w r. 1782

* Andrzej Pierwozwany — order Św. Andrzeja Pierwozwanego, ustanowiony w r. 1698

pojąć, jak króciutkie i takie zrozumiałe słowo „nagle” mogło być przysłówkowym określeniem sposobu. Przykro jednak mu było, że zmartwił nauczyciela, i pragnął go pocieszyć.

Wybrał chwilę, kiedy nauczyciel w milczeniu patrzył w książkę.

— Proszę pana, kiedy są pana imieniny? — zapytał niespodzianie.

— Lepiej myślałbyś o tym, co masz zadane, a imieniny nie mają dla rozumnej istoty ludzkiej żadnego znaczenia. Jest to taki sam dzień jak każdy inny, dzień, w którym należy pracować.

Sierioża uważnie spojrzął na nauczyciela, na jego rzadką bródkę, na okulary, które ześliznęły mu się poniżej wrąbka odcisniętego na nosie, i zamyślił się tak głęboko, że już nic nie słyszał z tego, co mu wykladał nauczyciel. Zdawał sobie sprawę, że nauczyciel nie myśli tego, co mówi; wyczuł to z tonu, w jakim słowa były powiedziane. „Ale dlaczego oni wszyscy się przysięgli, by to wszystko mówić w ten sam sposób, a wszystko równie nudne i niepotrzebne? Czemu on mnie odpycha? Za co mnie nie lubi?” — myślał ze smutkiem i nie mógł znaleźć odpowiedzi.

XXVII

Po nauczycielu była lekcja z ojcem. Czekając na ojca Sierioża usiadł przy stole i bawiąc się nożykiem, począł medytować. Jednym z ulubionych zajęć Sierioży było poszukiwanie matki w czasie spaceru.

W śmierć nie wierzył w ogóle, a osobliwie w jej śmierć, mimo tego, co mu oznajmiła hrabina Lidia, a co ojciec potwierdził, i stąd także i potem, gdy mu powiedziano, że

umarła, szukał jej nadal na spacerze. Każdą pełną wdzięku tęższą kobietę o ciemnych włosach brał za swoją matkę. Na widok takiej osoby wzbierało mu w sercu uczucie tkliwości do tego stopnia, że tracił oddech i łzy napływały mu do oczu. Spodziewał się, że tylko patrzeć, a matka podejdzie do niego, podniesie woalkę i cała jej twarz stanie się widoczna. Matka uśmiechnie się, obejmie go, Sieriożę owioną jej perfumy, poczuje miękkość jej ręki i rozplącze się ze szczęścia tak jak wówczas, gdy raz wieczorem położył się u jej nóg, a ona go łaskotała; śmiał się wtedy i gryzł jej białą rękę, całą w pierścionkach. Później, gdy się przypadkiem dowiedział od niani, że matka żyje, ojciec zaś wraz z Lidią Iwanowną wytłumaczyli mu, że dla niego tak jakby umarła, ponieważ była niedobra (temu już wcale nie uwierzył, kochał ją bowiem), wciąż tak samo szukał jej i oczekiwał. Dnia tego była w Letnim Ogrodzie jakaś pani w woalce lila; obserwował ją z biciem serca, podczas gdy szła ku nim ścieżką, spodziewając się, że to ona. Pani owa wszakże nie doszła aż do nich i gdzieś znikła. Dnia tego Sierioża czuł gwałtowniejszy niż kiedykolwiek napływ miłości do matki i w roztargnieniu, oczekując ojca, pokrajał cały brzeg stołu scyzorykiem. Patrzył wprost przed siebie pałającymi oczyma i myślał o niej.

— Papa idzie! — ocucił go głos Wunicza.

Sierioża zerwał się, podszedł do ojca i pocałował go w rękę popatrzył nań baczenie, wypatrując objawów radości z powodu otrzymania przez Karenina Aleksandra Newskiego.

— Dobrze ci się spacerowało? — zapytał Karenin sadowiąc się w swoim fotelu. Przysunął sobie Stary Testament i otworzył książkę. Chociaż ojciec nieraz mówił Sierioży, że każdy chrześcijanin winien dobrze znać historię świętą, on sam, gdy chodziło o Stary Testament, często

zaglądał do książki i Sierioża to zauważył.

— Tak, papo, było bardzo przyjemnie — odparł siadając bokiem na krzesło i kiwając nim, co było zabronione. — Widziałem Nadieńkę (była to siostrzenica Lidii Iwanowny, którą ta wychowywała); powiedziała mi, że papie dano nową gwiazdę. Czy papa jest kontent?

— Po pierwsze, nie kołysz się, proszę cię, na krzesło — odparł Karenin. — A po drugie, nie nagroda jest coś warta, ale praca. Chciałbym, żebyś to sobie uświadomił. A więc jeśli będziesz pracował i uczył się po to, by otrzymać nagrodę, to praca wyda ci się ciężka. Ale jeśli będziesz pracował z zamiłowaniem do pracy (tu Karenin przypomniał sobie, jak sam starał się czerpać otuchę z poczucia obowiązku pośród nudnej roboty dzisiejszego ranka, polegającej na podpisaniu stu osiemnastu akt), to w pracy znajdziesz nagrodę.

Błyszczące czułością, wesołe oczy Sierioży przygaśły, spuścił je przed wzrokiem ojca. To był właśnie ów dawno znajomy ton, którym się ojciec zawsze wobec niego posługiwał i do którego chłopiec nauczył się już dostosowywać. Ojciec stale zwracał się do niego — takie było wrażenie Sierioży — jakby mówiąc do jakiegoś wymyślnego przez siebie chłopczyka — takiego, jacy bywają w książkach — ale nic a nic nie podobnego do Sierioży. Kiedy przebywał z ojcem, zawsze starał się udawać tego chłopca z książki.

— Rozumiesz to, mam nadzieję?. — spytał Karenin.

— Tak, papo — odrzekł Sierioża udając wymyślnego chłopczyka. Miał zadane nauczyć się na pamięć kilku wersetów z Nowego Testamentu i powtórzyć początek Starego. Wersety z Nowego Testamentu Sierioża umiał należycie, ale w chwili gdy je recytował, tak się zapatrzył w kość na czole ojca, która skręcała pod prostym kątem u

skroni, że się pomylił i jednobrzmiące słowo z końca jednego wersetu przeniósł na początek drugiego. Dla Karenina stało się jasne, że chłopiec nie rozumie tego, co mówi, i to go rozdrażniło.

Zmarszczył brwi i począł tłumaczyć coś, co Sierioża już wiele razy słyszał, ale czego nigdy nie mógł spamiętać właśnie dlatego, że nazbyt dobrze to rozumiał — coś w rodzaju, że „nagle” jest określeniem przysłówkowym. Chłopiec patrzył na ojca wystraszonymi oczyma, lękając się tylko jednej rzeczy: by mu ojciec, jak już nieraz bywało, nie kazał powtórzyć tego, co powiedział, i ta myśl tak przerażała Sieriożę, że przestał w ogóle rozumieć. Ojciec jednak nie kazał mu nic powtarzać i przeszedł do lekcji ze Starego Testamentu. Sierioża same zdarzenia opowiedział dobrze, ale kiedy trzeba było odpowiedzieć na pytanie, czego prefiguracją były niektóre z tych zdarzeń — nie wiedział nic zgoła, choć raz już był za tę samą lekcję ukarany. A z tej części zadania, gdzie byli wyliczeni patriarchowie sprzed potopu, nie umiał powiedzieć nic zgoła: kręcił się tylko niezdecydowanie, krajał stół i bujał się na krześle. Nie pamiętał żadnego z nich, oprócz Enocha, który został żywcem wzięty do nieba. Przedtem umiał ich imiona, lecz teraz zupełnie pozapominał, a to tym bardziej, że właśnie Enoch był z całego Starego Testamentu ulubioną jego postacią, z przeniesieniem więc Enocha za życia do nieba związany był dla Sierioży cały długi korowód myśli, w które teraz się pogrążył, z oczyma wlepionymi w dewizkę od zegarka ojca i w guzik jego kamizelki, do połowy tylko zapięty.

W śmierć, o której mu tak często mówiono, Sierioża ani trochę nie wierzył. Nie wierzył, by ludzie, których kochał, mieli umrzeć, a przede, wszystkim nie wierzył, że sam umrze.

Było to w jego pojęciu całkiem niemożliwe i niezrozumiałe. Mówiono mu, że wszyscy ludzie umrą; zapytywał o to nawet osoby, którym ufał, i te potwierdzały mu to; potwierdziła nawet niania, chociaż niechętnie. Enoch jednak nie umarł, czyli że nie wszyscy ludzie umierali.

„Dlaczegoż by więc każdy nie mógł zaskarbić sobie dość zasług u Boga, by zostać wziętym za życia do nieba?” — myślał Sierioża. Ludzie źli, to jest tacy, których nie lubił, niechby tam sobie umierali, ale dobrzy wszyscy mogliby dzielić los Enocha.

— No więc, jacy byli patriarchowie?

— Enoch, Enos...

— Jużes to mówił. Źle, Sierioża, bardzo źle. Skoro nie usiłujesz dowiedzieć się tego, co chrześcijaninowi jest najpotrzebniejsze — rzekł ojciec wstając — to co cię może w ogóle interesować? Ja jestem z ciebie niezadowolony i Piotr Ignatjicz jest z ciebie niezadowolony (to był naczelny pedagog)... Zmuszony jestem cię ukarać.

Ojciec i pedagog byli obaj niezadowoleni z Sierioży; i rzeczywiście chłopiec uczył się bardzo źle. Nie można jednak było powiedzieć, że jest niezdolny; przeciwnie, był daleko zdolniejszy od chłopców, których pedagog stawiał mu za wzór. Z punktu widzenia ojca wyglądało na to, że Sierioża nie chce się uczyć tego, co mu każą; w rzeczywistości jednak chłopiec nie mógł się tego uczyć, a to dlatego, że dusza jego stawiała mu pilniejsze wymagania i bardziej obowiązujące od tych, z którymi przychodzili doń ojciec i pedagog.. Żądania te sprzeciwiały się sobie wzajemnie i Sierioża prowadził istną walkę ze swymi wychowawcami.

Miał lat dziewięć: był dzieckiem, ale znał własną duszę; była mu ona droga, strzegł jej jak źrenicy oka i bez klucza miłości nikogo do niej nie wpuszczał. Wychowawcy skarżyli

się, że chłopiec nie chce się uczyć, tymczasem żądza poznania przepęłniała mu duszę. Uczył się od Kapitonycza, od Nadienki, od Wunicza, ale nie od nauczycieli. Ten strumień wody, której ojciec oraz pedagog spodziewali się na swój młyn, dawno się już przesączył i funkcjonował gdzie indziej.

Ojciec ukarał Sieriożę nie pozwalając mu pójść do Nadienki, siostrzenicy hrabiny Lidii, lecz zakaz ten wyszedł chłopcu na korzyść. Wunicz był w dobrym humorze i pokazał mu, jak się robi wiatraczki. Cały wieczór minął przy pracy, której towarzyszyły marzenia, jak by tu zrobić taki wiatrak, na którym by się można samemu obracać: złapać się rękoma za skrzydła albo dać się przywiązać i — krążyć. O matce Sierioża nie myślał przez cały wieczór, ale gdy się położył do łóżka, nagle ją sobie przypomniał i pomodlił się własnymi słowami, by matka nazajutrz, w dzień jego urodzin, przestała się ukrywać i przyszła do niego.

— Wasilij Łukicz, czy pan wie, o co ja się dodatkowo pomodliłem, ponad to, co obowiązkowe?

— Żeby się lepiej uczyć?

— Nie.

— O zabawki?

— Nie. Pan nie zgadnie... O coś pięknego; ale to sekret. Gdy spełni się, powiem panu. Nie zgadł pan?

— Nie. I nie zgadnę. Powiedz mi sam — uśmiechnął się Wunicz: rzecz u niego rzadka. — No, kładź się. Gaszę świecę.

— Bez świecy jeszcze lepiej widać to, co ja widzę i o co się modliłem. Ot, i o mało co nie wypaplałem sekretu! — roześmiał się wesoło Sierioża.

Gdy zabrano świecę, Sierioża słyszał i czuł obecność matki: stała nad nim i pieściła go kochającym wejrzeniem.

Ale wnet zjawily się wiatraczki, scyzoryk, wszystko się pomieszało i zasnęło.

XXVIII

Po przyjeździe do Petersburga Wroński z Anną zatrzymali się w jednym z najlepszych hoteli: Wroński osobno, na dolnym piętrze, Anna na górze z dzieckiem, mamką i służącą — w dużym apartamencie złożonym z czterech pokoi.

Zaraz pierwszego dnia po przyjeździe Wroński pojechał do brata. Zastał u niego matkę, która przybyła z Moskwy w interesach. Matka i bratowa przyjęły go normalnie, wypytywały o pobyt za granicą, rozmawiały o; wspólnych znajomych, ani słowem jednak nie napomknęły o jego związku z Anną. Brat natomiast, który następnego ranka do niego przyjechał, sam go o nią zagadnął; Aleksy Wroński powiedział bratu wprost, że uważa swój związek z panią Karenin za małżeństwo, że ma nadzieję przeprowadzić rozwód i wtedy się z nią ożeni, aż do tego czasu zaś będzie ją uważał za swoją żonę na równi z jakąkolwiek inną żoną. Prosił też brata o zakomunikowanie tego matce i Warii.

— To, że świat tego nie pochwała, jest mi obojętne — oświadczył — ale! jeśli krewni moi życzą sobie utrzymywać ze mną stosunki rodzinne, to muszą się równie rodzinnie ustosunkować do mojej żony.

Starszy brat, który zawsze liczył się ze zdaniem młodszego, nie wiedział dobrze, czy ma on rację, czy też nie, dokąd świat tej kwestii nie rozstrzygnął; ze swej strony nie miał nic przeciwko temu i poszedł do Anny wraz z Aleksym.

Wroński podczas wizyty brata mówił do Anny, tak jak to czynił przy wszystkich, „pani”, i zachowywał się wobec niej jak wobec dobrej znajomej, lecz wiadomo było, że brat wie o

ich stosunku, i była mowa o tym, że Anna jedzie z Aleksym do jego majątku.

Mimo całego swego towarzyskiego obycia Wroński na skutek tej nowej sytuacji, w której się znajdował, trwał w dziwnym błędzie. Powinien był, zdawałoby się, zrozumieć, że dla niego i dla Anny świat był zamknięty. Tymczasem chodziły mu po głowie jakieś niejasne kombinacje, że jakoby tak bywało tylko w dawnych czasach, a że obecnie, wobec szybkiego postępu (stał się teraz bezwiednie zwolennikiem wszelkiego rodzaju postępu), poglądy osób z towarzystwa się zmieniły, a zatem kwestia — czy będą przyjmowani w towarzystwie, czy też nie — jeszcze rozstrzygnięta nie jest. „Oczywiście — myślał — dworskie koła jej nie przyjmą, ale dobrzy znajomi mogą i powinni zrozumieć to jak należy.”

Można przesiedzieć kilka godzin w tej samej pozycji, z podwiniętymi pod siebie nogami, o ile się wie, że nic nie stoi na przeszkodzie zmianie pozycji; jeśli człowiek jednak wie, że musi tak siedzieć z podwiniętymi nogami, to dostaje kurczów, a nogi mu poczynają drgać i prężyć się w kierunku, w którym by pragnął je wyciągnąć. Takie było uczucie Wrońskiego w stosunku do świata. Chociaż w głębi duszy wiedział, że świat jest dla nich obojga zamknięty, robił próby — czy się też ten świat nie zmienił i czy ich obecnie nie przyjmie?

Niezdługo wszakże przekonał się, że choć dla niego osobiście towarzystwo stało otworem, dla Anny pozostało zamknięte. Jak podczas zabawy w kotka i myszkę ręce, które się przed nim podnosiły, opadały w dół przed Anną.

Jedną z pierwszych pań petersburskiego towarzystwa, którą Wroński spotkał, była jego kuzynka Betsy.

— Nareszcie! — wykrzyknęła radośnie na jego widok. — A gdzie Anna? Jakże się cieszę! Gdzieżeście się zatrzymali?

Wystawiam sobie, jak okropny wydaje się wam nasz Petersburg po waszej cudownej podróży. Wyobrażam sobie wasze miodowe miesiące w Rzymie. A cóż z rozwodem? Czyście to wszystko pozałatwiali?

Wroński zauważył, że zachwyty Betsy ostygł, gdy dowiedziała się, że jeszcze nie mają rozwodu.

— Ukamienują mnie, wiem o tym — rzekła — ale odwiedzę Annę, tak, z pewnością odwiedzę ją. Czy długo tu będziecie?

Istotnie, tego samego dnia przyjechała do Anny, ale ton jej był całkiem od dawnego odmienny. Widać było, że jest dumna ze swej odwagi i że pragnie, by Anna doceniła stałość jej przyjaźni. Pozostała nie dłużej niż dziesięć minut, rozmawiając o światowych nowinkach, a wychodząc rzekła:

— Nie powiedzieliście mi, kiedy rozwód. Przypuścmy, że co do mnie to *j'ai jété mon bonnet par-dessus les moulins**, ale inni podniosą na wasz widok kołnierze* i będą was razili chłodem, dopóki się nie pobierzecie. A to dzisiaj taka prosta rzecz. *Ça se fait**. Więc wyjeżdżacie w piątek? Szkoda, że się więcej nie zobaczymy.

Już z tonu Betsy Wroński mógł wywnioskować, czego może się spodziewać od świata: przeprowadził wszakże jeszcze jedną próbę we własnej rodzinie. Co do matki, nie miał żadnych złudzeń. Wiedział, że matka, która się tak zachwycała Anną przy pierwszym poznaniu, obecnie będzie dla niej bezlitosna, ponieważ Anna złamała karierę jej syna, pokładał natomiast wielkie nadzieje w Warri, żonie swego brata. Zdawało mu się, że jego bratowa nie rzuci na Annę kamieniem, że zachowa się odważnie i z prostotą, czyli — że

* *J'ai jété*... — przenośnie: pozbyłam się konwenansów.

* Podniosą na wasz widok kołnierze — powiedzenie oznaczające w przenośni sztywne obejście.

* *Ça se fait* — to jest w zwyczaju.

odwiedzi ją i przyjmie u siebie.

Zaraz nazajutrz po przyjeździe Wroński pojechał do bratowej, zastał ją samą i wypowiedział jej wprost swe życzenie.

— Wiesz dobrze, Aleksy — rzekła wysłuchawszy go — jak cię kocham i wiesz, że jestem gotowa wszystko dla ciebie zrobić. Milczałam wiedząc, że nie mogę być użyteczna ani tobie, ani Annie Arkadiewnie — wyrazy „Annie Arkadiewnie” — wymówiła staranniej od reszty. — Nie myśl, proszę cię, że ją potępiam. Nigdy w życiu. Być może — ja na jej miejscu postąpiłabym tak samo. Nie wchodzę i nie mogę wchodzić w szczegóły — mówiła podnosząc nieśmiało oczy na jego posepną twarz. — Ale trzeba rzeczy nazywać po imieniu. Chcesz, bym pojechała do niej, przyjmowała ją u siebie i tym samym rehabilitowała ją wobec towarzystwa. Zrozum, że nie mogę tego uczynić. Moje córki podrastają, a poza tym muszę przez wzgląd na męża obracać się w świecie. No więc, przypuśćmy, że złożę wizytę Annie Arkadiewnie... Ona przecie zrozumie, że nie mogę jej do siebie zapraszać albo muszę to tak robić, by u mnie nie spotkała osób, które patrzą na te rzeczy inaczej... Więc ją to tylko , urazi. Podnieść jej nie mogę...

— Wcale nie uważam, by była bardziej upadła niż setki kobiet, które u siebie przyjmujecie! — przerwał jej Wroński, posepniejąc, i wstał.

Nie nalegał, bo zdał sobie sprawę, że decyzja bratowej jest nieodwołalna.

— Aleksy! Nie gniewaj się na mnie. Zrozum, proszę, że to nie moja wina — znów podjęła Waria patrząc na niego z nieśmiałym uśmiechem.

— Nie gniewam się na ciebie — odpowiedział równie posepnie jak przed chwilą — ale mnie to podwójnie boli,

gdyż, pomijając już wszystko inne, oznacza to koniec naszej przyjaźni... Dajmy na to, że nie koniec, ale — ochłodzenie. Rozumiesz, że i dla mnie to inaczej być nie może.

Z tym ją pożegnał.

Wroński zrozumiał, że dalsze próby byłyby daremne i że należy bawić w Petersburgu przez tych kilka dni jak w obcym mieście, unikając wszelkich zetknięć z dawnym światem, by nie doznać przykrości i uchybień, które były dla niego tak bolesne. Jedną z najprzykrzejszych stron ich sytuacji w Petersburgu było to, że wszędzie spotykało się Karenina lub jego nazwisko. Nie można było o niczym zacząć mówić, by wnet rozmowa nie zesłała na Karenina; niepodobna było pojechać nigdzie, by go nie spotkać. Tak się przynajmniej zdawało Wrońskiemu, podobnie jak komuś, kto ma chory palec, wydaje się, że — jakby umyślnie — tym właśnie bolącym palcem o wszystko potraça.

Pobyt w Petersburgu był dla Wrońskiego tym bardziej przykry, że przez cały ten czas dostrzegał u Anny jakiś nowy, niezrozumiały dla niego nastrój. To wydawała się w nim zakochana, to znów oziębła, podrażniona i zagadkowa.

Coś ją dręczyło, coś przed nim ukrywała i zdawała się nie dostrzegać tych uchybień, które jemu zatruwały życie, a które dla niej, przy jej delikatności uczuć, musiały być jeszcze bardziej dotkliwe.

XXIX

Jedną z przyczyn powrotu Anny do kraju była chęć zobaczenia syna. Począwszy od dnia, gdy opuściła Włochy, myśl o tym spotkaniu nie przestawała jej nurtować, a im Petersburg był bliżej, tym jej się ono zdawało ważniejsze i większą niosące radość. Nie zadawała sobie nawet pytania,

jak do tego widzenia doprowadzić. Zdawało się jej rzeczą naturalną, że zobaczy się z synkiem, skoro będzie z nim w tym samym mieście, i dopiero po przyjeździe do Petersburga nagle uprzytomniła sobie jasno obecną swoją sytuację w towarzystwie i zrozumiała, że niełatwo będzie doprowadzić do skutku spotkanie z Sieriożą.

Już od dwóch dni była w Petersburgu i myśl o synku ani na chwilę jej nie opuszczała, a jeszcze nie udało się jej go zobaczyć. Czuła, że nie ma prawa pojechać wprost do domu, gdzie mogła spotkać Karenina. Mogli jej nie wpuścić, uchybić jej. Sama myśl o napisaniu, o szukaniu zetknięcia z mężem, była męką; spokój jej trwał tylko tak długo, dopóki o mężu nie myślała. Mogła zobaczyć Sieriożę na spacerze, po dowiedzeniu się, dokąd i kiedy wychodzi, ale tego jej było za mało. Tak się na to przygotowywała, tyle miała synkowi do powiedzenia, taką miała ochotę ścisnąć go, całować. Stara niania Sierioży mogła być jej w tym pomocna, dać jej dobrą radę, ale już jej w domu Kareninów nie było. Na rozterce i na poszukiwaniach niani zeszyły jej dwa dni.

Dowiedziawszy się o zażyłości Karenina z hrabiną Lidią Iwanowną Anna na trzeci dzień zdecydowała się do niej napisać; list ten stanowił duży wysiłek. Rozmyślnie napisała w liście, że zgoda na widzenie z synkiem będzie zależała od wspinałomyślności męża. Wiedziała, że jeśli hrabina mu list pokaże, to Karenin będzie dalej odgrywał rolę człowieka wspinałomyślnego i nie odmówi jej.

Posłaniec, który poszedł z listem, przyniósł jej odpowiedź jak najbardziej okrutną i nieoczekiwaną, mianowicie — że odpowiedzi nie będzie. Nigdy w życiu nie czuła się tak upokorzona, jak wysłuchując szczegółowego sprawozdania posłańca, którego wezwała do siebie i który opowiedział jej, że najpierw kazano mu długo czekać, a potem oświadczone,

że „żadnej odpowiedzi nie będzie”. Anna czuła się upokorzona, obrażona, uznawała jednak, że hrabina Lidia Iwanowna ma ze swego punktu widzenia rację. Zmartwienie jej było tym większe, że — samotne. Nie mogła i nie chciała dzielić się nim z Wrońskim. Wiedziała, że chociaż to on był głównym sprawcą jej nieszczęścia — kwestia jej widzenia z synkiem wyda mu się czymś zupełnie błahym. Wiedziała, że Wroński nigdy nie zdoła zrozumieć całej otchłani jej cierpienia, i wiedziała, że ze swej strony znienawidzi go za obojętny ton, w którym on jej o tym napomknie... A tego obawiała się najbardziej w świecie, toteż ukrywała przed nim wszystko, co synka dotyczyło.

Przesiedziała dzień cały w domu, usiłując wynaleźć sposób zobaczenia się z Sieriożą. Wreszcie postanowiła napisać do męża. Właśnie układała list, gdy przyniesiono jej odpowiedź hrabiny Lidii Iwanowny. Milczenie hrabiny wpłynęło na uspokojenie i upokorzenie się Anny, list jej natomiast — wszystko to, co przeczytała pomiędzy jego wierszami — tak ją rozdrażnił, złośliwość hrabiny zdała się jej tak oburzającą w porównaniu z jej własną namiętną czułością dla syna, czułością przecież naturalną, że powstał w niej bunt i przestała poczuwać się do winy.

„Ten chłód — ta obłuda! — powiedziała sobie. — Chcą po prostu mnie znieważać, a dziecko zadreńczyć. Mam się przed nimi korzyć? Za nic w świecie! Ona jest ode mnie gorsza: ja przynajmniej nic nie udaję.” I Anna postanowiła natychmiast zaraz nazajutrz, w sam dzień urodzin Sierioży, pojechać prosto do domu męża, przekupić służbę, skłamać, ale za wszelką cenę zobaczyć się z synem i rozbić ten potworny fałsz, którym otoczono nieszczęsne dziecko.

Udała się do sklepu zabawek, ponakupowała ich mnóstwo i obmyśliła plan działania. Przyjedzie tam wcześniej rano, o

ósmej, kiedy mąż z pewnością jeszcze nie jest gotów; będzie trzymała w ręku pieniądze, które da szwajcarowi i lokajowi, aby ci ją wpuścili, i — nie podnosząc woalki — powie, że przybyła powinszować Sierioży w imieniu ojca chrzestnego, z poleceniem pozostawienia zabawek przy łóżku dziecka. Jedyną rzeczą, jakiej nie przygotowała, były słowa, w których miała się zwrócić do synka; dużo się nad tym zastanawiała, ale nic obmyślić nie mogła.

Na drugi dzień o ósmej rano Anna zajechała sama jedna w dorożkarskiej karetkę przed frontowe wejście swego dawnego domu, wysiadła i zadzwoniła.

— Idź, zobacz, co to takiego? Jakaś pani — rzekł Kapitonycz, który jeszcze nie w liberii, lecz w palcie i kaloszach wyjrzał przez okno i zobaczył zawoalowaną damę stojącą tuż przed drzwiami.

Ledwo pomocnik szwajcara, nie znany Annie młodzik, otworzył drzwi — już weszła do środka i wyjąwszy z mufki trzyrublowy banknot, spieszenie wsunęła mu go do ręki.

— Sieriożą... Sergiusz Aleksieicz — powiedziała i wyprzedziła go o parę kroków. Pomocnik szwajcara obejrzał banknot i zatrzymał ją u następnych, szklanych drzwi.

— Jaśnie pani do kogo? — zapytał.

Anna nie słyszała jego słów i nic nie odpowiedziała. Teraz sam Kapitonycz, dostrzegając zmieszanie przybyłej, zbliżył się, przepuścił ją przed sobą u wejścia i zapytał, czego sobie życzy.

— Od księcia Skorodumowa do panicza — powiedziała.

— Panicz jeszcze nie wstał — szwajcar bacznie się jej przypatrywał. Anna zupełnie, się nie spodziewała, by to całkiem niezmienione urządzenie przedpokoju domu, w którym przemieszkała dziewięć lat, mogło wyrzucić na niej tak silne wrażenie. Przez jedną sekundę zapomniała, po co tu

przyszła: tyle radosnych i bolesnych wspomnień ożyło w jej sercu.

— Jaśnie pani raczy zaczekać? — zapytał Kapitonycz pomagając jej zdjąć futrzany płaszczyk.

Po zdjęciu futra zajął Annie w twarz, poznał ją i w milczeniu złożył głęboki ukłon.

— Niech wasza ekscelencja pozwoli — wyrzekł.

Anna chciała coś powiedzieć, „ale głos jej odmówił posłuszeństwa; wzniosła na starego zawstydzone, pełne błagania oczy i spieszonym, lekkim krokiem weszła na schody. Kapitonycz, cały pochylony ku przodowi, biegł za nią, starając się ją dogonić; kalosze zaczęły mu się o stopnie schodów.

— Tam jest nauczyciel, kto wie, czy ubrany; ja zaanonsuję.

Anna podążała dalej znajomymi schodami, nie rozumiejąc tego, co stary gadał.

— Tutaj w lewo proszę pozwolić. Niech jaśnie pani wybaczy nieporządek. Panicz mieszka teraz w dawnym saloniku — informował zadyszany szwajcar. — Niech jaśnie pani raczy zaczekać, aż ja tam najpierw zajrzę — prawil. Dogonił ją wreszcie i uchyliwszy wysokich drzwi, znikł za nimi. — Panicz właśnie się obudził — rzekł, znów ukazując się we drzwiach.

W chwili gdy szwajcar to mówił, Anna postyszała dziecięce ziewnięcie. Po samym tylko ziewnięciu od razu poznała syna i ujrzała go przed sobą jak żywego.

— Puść mnie, puść, idź już! — szepnęła i weszła przez wysokie drzwi. Na prawo ode drzwi stało łóżko, a na nim siedział chłopiec w rozpiętej koszulce i — przegięty całym ciałem — przeciągając się kończył ziewać. W chwili, gdy wargi jego się zamknęły, pojawił się na nich rozmarzony

senny uśmiech i z tymi uśmiechem chłopiec powoli i błogo upadł znów za posłanie.

— Sierioża — szepnęła Anna i podeszła do niego bezszelestnie. Przez cały okres rozłąki z synem, a w ostatnich czasach przy tym wezbraniu miłości, które ją ogarnęło, wyobrażała go sobie jako czteroletniego chłopczyka, takiego, jakim go najbardziej kochała. Obecnie był już nawet nie taki, jakim go zostawiła: oddalił się jeszcze bardziej od tego czteroletniego; jeszcze bardziej schudł i urósł. Co to miało znaczyć?! Jaka szczupła była ta twarz, jakie krótkie włosy! Jakie długie ręce! Jakże się zmienił od chwili, gdy go opuściła! Ale był to mimo wszystko ten sam Sierioża, ze swoim kształtem głowy, ze swymi wargami — swą miękką szyjką i szerokimi ramionkami.

— Sierioża — powtórzyła nad samym uchem malca.

Podniósł się znów, oparty na łokciu, pokręcił w obie strony głową o splecione włosach, jakby czegoś szukając, i otworzył oczy. Spokojnie i, pytająco patrzył przez kilka sekund na stojącą przed nim nieruchomo matkę, potem nagle z uśmiechem błogości, zamykając klejące się od snu oczy, rzucił się, ale tym razem nie z powrotem na łóżko, lecz ku matce, w jej objęcia.

— Sierioża! Mój drogi maleńki! — wymówiła z trudem, zadyszana, obejmując rękoma jego pulchne ciało.

— Mama! — obracał się pod jej dłońmi tak, aby dotknięcie jej dosięgło go całego.

Z sennym uśmiechem, mając oczy wciąż zamknięte, przerzucił kragłe ramionka od poręczy łóżka na jej ramiona, przylgnął do niej, ogarniając ją tym miłym sennym tchnieniem ciepła, właściwym tylko dzieciom, i począł pocierać swą twarz o jej szyję i ramiona.

— Ja wiedziałem — wyrzekł otwierając oczy. — Dziś

moje urodziny. Wiedziałem, że przyjdiesz. Zaraz wstanę.

I mówiąc to zasypiał na nowo.

Anna ogłądała go chciwie. Widziała, jak wyrósł i zmienił się podczas jej nieobecności; poznawała go zarazem i nie poznawała... Poznawała jego — teraz już takie duże — stopy wydobywające się spod kołdry; poznawała te wyszczuplone policzki, te obcięte krótkie loczki nad karkiem, w które go tak często całowała. Dotykała tego wszystkiego po kolei i nie mogła przemówić: łyzy ją dławiły.

— Dlaczego płaczesz, mamó? — zapytał, już całkiem obudzony. — Mamó, czemu płaczesz? — krzyknął ze łzami w głosie.

— Dlaczego?... Już nie będę płakała... Płacę z radości. Tak dawno cię nie widziałam... Już nie będę, nie będę — obiecywała połykając łyzy i odwracając się. — No, a teraz czas, byś się ubierał — dodała spokojniej po chwili milczenia i nie wypuszczając jego ręki, usiadła przy łóżku na krześle, na którym leżało przygotowane ubranie Sierioży.

— Jak ty się beze mnie ubierasz? Jak... — próbowała zacząć mówić zwyczajnie i wesoło, ale nie mogła i odwróciła się znowu.

— Nie myję się teraz wcale zimną wodą: papa nie pozwala. A Wasilija Łukicza widziałas? Przyjdzie tu. Wiesz, że siadłs na moim ubraniu?!

I roześmiał się. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

— Mamó, kochanie! — krzyknął rzucając się znowu ku niej i obejmując ją tak, jakby teraz dopiero naprawdę zrozumiał to, co się stało. — Tego nie trzeba — mówił zdejmując jej kapelusz. I jakby po zdjęciu kapelusza ujrzał ją na nowo, znów począł ją gwałtownie całować.

— Cóżes ty o mnie myślał? Nie myślałes chyba, że umarłam?

- Nigdy w to nie wierzyłem.
- Nie wierzyłeś, kochanie moje?
- Wiedziałem, wiedziałem! — powtarzał swój ulubiony frazes i pochwycawszy rękę pieszczącą mu włosy począł przyciskać jej dłoń do ust i całować.

XXX

Tymczasem Wasilij Łukicz, który zrazu nie domyślał się, co to za dama, a później z rozmowy zorientował się, że to była właśnie owa matka, która porzuciła męża i której on nie znał, dostał się bowiem do tego domu już po jej wyjeździe, miał wątpliwości, czy powinien wejść, czy nie, a może raczej zawiadomić Karenina? Wreszcie zdał sobie sprawę, że jego obowiązkiem jest budzić Sieriożę o określonej godzinie, więc wobec tego nie ma nad czym się zastanawiać, kto tam siedzi, matka czy ktoś inny, tylko trzeba spełnić swoją powinność. Ubrał się tedy, podszedł do drzwi i otworzył je.

Pieszczoty matki i syna, ton ich głosów i to, co mówili, wszystko sprawiło, że zmienił zamiar. Pokiwał głową, westchnął i zamknął drzwi. Poczekam jeszcze dziesięć minut” — rzekł do siebie, chrząkając i ocierając łzy.

Pośród służby domowej panowało przez ten czas silne podniecenie. Wszyscy się dowiedzieli, że przyjechała jaśnie pani, że Kapitonycz ją wpuścił i że pani znajduje się w tej chwili w dzieciennym pokoju, a tymczasem jaśnie pan zawsze między ósmą a dziewiątą sam zachodzi do syna. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że do spotkania małżonków dopuścić niepodobna i że należy mu przeszkodzić. Korniej, kamerdyner, zeszedł do portierni, by dowiedzieć się, kto Annę wpuścił, a dowiedziawszy się, że Kapitonycz przywitał ją i towarzyszył jej do pokoi, robił staremu wymówki.

Szwajcar uparcie milczał, ale gdy mu Korniej powiedział, że warto go za to wygnać ze służby, Kapitonycz skoczył ku niemu i wymachując mu rękoma przed nosem, począł mówić:

— A tak, ty byś jej nie wpuścił! Dziesięć lat przesłużyłem u niej i nic prócz dobroci nie zaznałem, i miałbym teraz pójść powiedzieć jej: proszę iść precz?! Ty się dobrze znasz na polityce! Tak, tak! Lepiej byś pilnował siebie, uważał, jak jaśnie pana obdzierać i jak nosić jego szopy*!

— Prostak! — pogardliwie rzucił Korniej i zwrócił się do wchodzącej niani. — Niech pani sama osądzi, Mario Jefimowno: wpuścił i nic nikomu nie powiedział. Jaśnie pan zaraz wyjdzie ze swoich pokoi i pójdzie do dziecinnego.

— O rety! — zawołała niańka. — Niechże Korniej jaśnie pana zatrzyma albo co, a ja polecę i jakoś ją stąd wyprowadzę. To dopiero historia!

Kiedy niańka weszła do dziecinnego pokoju, Sierioża opowiadał matce, jak to on i Nadia zjeżdżali z górki, jak spadli i trzy razy fiknęli koziołka. Anna słuchała dźwięku jego głosu, widziała jego twarz i jej zmienny wyraz, czuła w swym ręku jego rękę, ale nie rozumiała tego, co mówił. Trzeba było odejść, trzeba się było z nim rozstać; o tym jednym myślała, to tylko czuła. Słyszała i kroki Wunicza, który zbliżał się do drzwi i kaszłał, i kroki nadchodzącej niani; mimo to siedziała jak martwa, niezdolna ani wstać, ani przemówić.

— Pani moja, pani najdroższa! — odezwała się niania zbliżając się do Anny i całując ją w rękę i w ramię. — Ot, i dał Pan Bóg radość naszemu solenizantowi. Nic się jaśnie pani nie zmieniła.

— Ach, nianiu droga, nie wiedziałam, że niania tu jeszcze jest — ocknęła się na chwilę Anna.

* Szop — zwierzę z rodziny niedźwiedzi, tu: futro z szopów.

— Ja tu już nie mieszkam, mieszkam z córką; przysłałam tylko powinszować Sierioży, pani moja najdroższa!

Niania rozpląkała się nagle i znowu poczęła całować rękę Anny. Oczy Sierioży jaśniały. Z promiennym uśmiechem, uchwyciwszy się jedną ręką matki, drugą — niani, tupał po dywanie tłustymi, gołymi nóżkami. Czułość ulubionej niani dla matki napełniała go zachwytem.

— Mamo! Ona często do mnie przychodzi, a kiedy przyjdzie... — zaczął, lecz umilkł, spostrzegłszy, że nianka szeptem coś powiedziała matce i że na twarzy matki odmalował się strach i jakby zawstydzenie, a to było takie do niej niepodobne.

Anna podeszła do niego.

— Kochanie moje — powiedziała. Nie była w stanie wymówić żegnaj, ale wyraz jej twarzy mu to powiedział, tak że zrozumiał. — Miły mój, miły Kutiku! — nazwała go mianem, którym wołała na niego, gdy był mały — nie zapomnisz o mnie? Nie... — i nic więcej wyrzec nie potrafiła.

Później — ileż przychodziło jej na myśl słów, które mogła mu była wtedy powiedzieć! Lecz obecnie nic wymówić nie zdołała ani nie mogła. Sierioża jednak zrozumiał wszystko, co matka pragnęła mu powiedzieć: zrozumiał, że była nieszczęśliwa i że go kochała; zrozumiał nawet to, co niania mówiła szeptem. Słyszał wyrazy: „zawsze po ósmej”, i wiedział, że mowa o ojcu i że matka nie może się z nim spotkać. To było dla niego zrozumiałe, ale jednej rzeczy pojąć nie mógł; skąd na twarzy jej zjawił się wyraz strachu i wstydu. Matka jest niewinna, a mimo to czegoś obawia się i wstydzi. Chciał postawić pytanie, na które odpowiedź rozwiałaby jego wątpliwości, lecz nie śmiał. Widział, że matka cierpi, i było mu jej żal. Przytulił się do niej w

milczeniu i szeptał:

— Nie odchodź jeszcze. On tak prędko nie przyjdzie.

Matka odsunęła go od siebie, aby wyczytać mu z twarzy, czy istotnie myśli to, co mówi; z zalęknionej jego miny przekonała się, że nie tylko miał na myśli ojca, ale że jakby ją zapytywał — co ma o ojcu myśleć.

— Sierioża, drogi mój — powiedziała — kochaj go: on jest lepszy ode mnie, pocziwszy. Zawiniłam wobec niego; gdy będziesz duży, sam to osądzisz.

— Nikt nie jest od ciebie lepszy!... — z rozpaczą wykrzyknął przez łyzy i schwyciwszy matkę za ramiona począł ją z całej siły przyciskać do siebie drżącymi z wysiłku rączkami.

— Serce moje, malusieńki mój! — Anna rozplakała się bezradnie, po dziecinnemu, zupełnie tak jak płakał Sierioża.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Wasilij Łukicz. Jednocześnie rozległy się kroki przy drugich drzwiach; niania z przestachem szepnęła: „Idzie”, i podała Annie kapelusz.

Sierioża upadł na posłanie i począł szlochać z twarzą ukrytą w dłoniach. Anna odjęła mu ręce od twarzy, raz jeszcze ucałowała jego mokre policzki i, wyszła szybkim krokiem; we drzwiach spotkała się z Kareninem. Ujrawszy ją zatrzymał się i skłonił głowę.

Chociaż chwilę przedtem Anna oświadczyła sama, że mąż jej jest lepszy i pocziwszy od niej, teraz jedno przelotne spojrzenie, jakie na niego rzuciła, ogarniając nim całą jego postać ze wszystkimi szczegółami, wystarczyło, by wzniecić w niej wstręt i złość, a także uczucie zazdrości o synka. Szybkim ruchem spuściła woalkę i przyśpieszając kroku, prawie wybiegła z pokoju.

Nie zdążyła nawet rozpakować zabawek, które z taką miłością i takim smutkiem w przeddzień kupowała.

Przywiozła je do domu ze sobą.

XXXI

Anna z całej mocy pragnęła spotkać się z synem; od dawna o tym myślała i przygotowywała się do tego widzenia, nie spodziewała się jednak, by spotkanie tak bardzo nią wstrząsnęło. Powróciwszy do swego odosobnionego apartamenciku w hotelu, długo nie mogła sobie uprzytomnić, co tu właściwie robi. „Tak, wszystko się skończyło i znów jestem sama” — stwierdziła w duchu i nie zdejmując kapelusza usiadła w fotelu przy kominku, wlepiła nieruchomy wzrok w zegar z brązu, stojący na stole pomiędzy oknami i zamyśliła się.

Panna służąca, Francuzka przywieziona z zagranicy, weszła, by jej zaproponować przebranie się. Anna spojrzała na nią ze zdumieniem i odpowiedziała:

— Później.

Lokaj zapytał, czy nie przynieść kawy.

— Później — odparła.

Mamka, Włoszka, ubrawszy małą, weszła i podała ją Annie. Okrągłutka, dobrze odżywiona dziewczynka, ujrzawszy matkę, jak zwykle obróciła gołę, całe w wałeczkach rączki dłońmi na dół i uśmiechając się bezzębną buzią, poczęła rączkami wiosłować jak ryba skrzelami, szeleszcząc przy tym nakrochmaloną fałdzistą haftowaną spódniczką. Jak można było nie uśmiechnąć się, nie ucałować córeczki, nie dać jej do potrzymania palca, który pochwyciła piszcząc i podskakując całym ciałem. Jakże było nie zbliżyć do niej warg, z których jedną, niby całując, wciągnęła do usteczek. Anna uczyniła to wszystko, wzięła ją na ręce, pocałowała jej świeży policzek i gołę łokietki, ale na widok

córeczki uświadomiła sobie jeszcze dotkliwiej, że uczucie, jakie dla niej żywiła, w porównaniu do tego, co czuła dla Sierioży, to nawet nie była miłość. Wszystko było w tej dziewczynce milutkie, lecz nie wiedzieć czemu nie chwyciła za serce. Pierwsze dziecko, chociaż pochodziło od człowieka niekochanego, pochłonęło całą moc miłosną, nie znajdującą sobie nigdzie ujścia. Córeczka urodziła się w najcięższych okolicznościach i nie otoczono jej nawet setną częścią tych starań, jakich przedmiotem był pierworodny. Poza tym, u dziewczynki wszystko było jeszcze w stadium wyczekiwania, tymczasem Sierioża to już był prawie człowiek, i to człowiek ukochany. Już się w nim zmagaly myśli i uczucia, już rozumiał, kochał, wydawał o niej sąd — rozmyślała przypominając sobie jego słowa i spojrzenia... A tymczasem była z nim na wieki rozdzielona nie tylko fizycznie, ale i moralnie, i nie można było tego naprawić.

Oddała córeczkę mamce, pozwoliła jej odejść i otworzyła medalion, który zawierał portrecik Sierioży z czasów, gdy był mniej więcej w obecnym wieku małej. Wstała i zdjawszy kapelusz wzięła ze stolika album, gdzie się znajdowały fotografie synka z innych lat. Chciała porównać i poczęła je wyjmować z albumu. Wyjęła wszystkie, pozostawiła już tylko jedna, ostatnia, najlepsza. Sierioża, w białej bluzie, siedział konno na krześle; oczy miał chmurne, a uśmiech na ustach. To był najwłaściwszy mu i najładniejszy jego wyraz. Małymi, zgrabnymi rękami, których białe, szczupłe palce dnia tego poruszały się szczególnie nerwowo, Anna kilka razy chwyciła za rożek, lecz fotografia wyslizgiwała się i nie można jej było wydostać z albumu. Nożyka do papieru nie było na stole, wyjęła więc sąsiednią fotografię (było to zdjęcie Wrońskiego, w okrągłym kapeluszu na przydługich włosach, zrobione w Rzymie) i użyła jej, by wysunąć

fotografię synka. „A tak, to on” — pomyślała spojrzawszy na fotografię Wrońskiego i nagle uprzytomniła sobie, kto jest sprawcą obecnego jej nieszczęścia. Tego dnia przez cały ranek ani razu nie przyszedł jej na myśl, lecz teraz, gdy ujrzała przed sobą tę męską, szlachetną, tak dobrze sobie znaną i tak kochaną twarz, zrodził się w niej nagły porwy miłości do niego.

„Ale gdzież on jest? Czemu pozostawia mnie sam na sam z cierpieniem?” — pomyślała z wyrzutem, zapominając, że to ona właśnie ukrywała przed nim wszystko, co dotyczyło jej syna. Posłała do Wrońskiego z prośbą, by natychmiast do niej przyszedł, i oczekiwała go z zamierającym sercem, obmyślając słowa, w których zamierzała mu o wszystkim opowiedzieć, i wyobrażając sobie wyrazy miłości, jakimi on ją pocieszy. Posłany służący Wrócił z odpowiedzią, że Wroński ma gościa, ale wnet przyjdzie, i że polecił zapytać, czy pani może go przyjąć wraz z pułkownikiem Jaszwinem, który przyjechał do Petersburga. „Przyjdzie nie sam, a od wczorajszego obiadu — nie i widzieliśmy się — pomyślała — przyjdzie w takich warunkach, że nie będę mogła mu wszystkiego opowiedzieć, przyjdzie z Jaszwinem.” I nagle zaświtała jej dziwna myśl: a może Wroński już jej nie kocha?

Gdy zdarzenia dni ostatnich jęły przesuwac się przed nią, zdało się jej, że widzi we wszystkim potwierdzenie tej okropnej myśli: to, że w przeddzień nie jadł w domu obiadu, i to, że obstawał, by zamieszkali w Petersburgu osobno, i to, że nawet teraz miał do niej przyjść nie sam, jakby unikając spotkania bez świadków.

„Ale powinien mi to powiedzieć. Muszę to wiedzieć. Skoro się o tym dowiem, będę wiedziała, co zrobić” — snuła dalej w myśli, niezdolna nawet wyobrazić sobie sytuacji, w której by się znalazła, gdyby się przekonała o jego;

zobojętnieniu. Myślała, że Wroński już jej nie kocha, czuła się bliska rozpaczy i dlatego ogarnęło ją osobliwe podniecenie; zadzwoniła na pannę służącą i przeszła do ubieralni. Przebierając się, zajęta była toaletą bardziej niż któregokolwiek z ostatnich dni, tak jakby kochanek mógł, już nie kochając jej, znów ją pokochać za to, że miała na sobie suknię i nosiła uczesanie, w których było jej bardziej do twarzy niż w innych.

Zanim jeszcze była gotowa, rozległ się dzwonek.

Gdy weszła do salonu, powitał ją wzrok Jaszwina, nie Wrońskiego, który oglądał fotografie zapomniane na stole i nie spieszył się z podniesieniem na nią oczu.

— My się już znamy — powiedziała kładąc swą maleńką rękę w olbrzymią dłoń zażenowanego (co przy jego ogromnym wzroście i prostackiej twarzy było takie dziwne) Jaszwina. — Z wyścigów ubiegłego roku. — Pozwól — tu szybkim ruchem odebrała Wrońskiemu fotografie syna, które przeglądał, przy czym roziskrzonymi oczyma spojrzała nań znacząco. — Czy udały się w tym roku wyścigi? Bo ja oglądałam tylko wyścigi na Corso w Rzymie. Pan zresztą nie lubi zagranicznego życia — dodała z życzliwym uśmiechem. — Znam pana i znam wszystkie pańskie gusta, chociaż niewiele pana spotykałam.

— Bardzo mi przykro, mam bowiem przeważnie złe gusta — odparł Jaszwin przygryzając lewego wąsa.

Po chwili rozmowy Jaszwin zauważywszy, że Wroński spojrział na zegarek, zapytał Annę, czy długo jeszcze zabawi w Petersburgu, po czym prostując się porozginał swą olbrzymią postać i sięgnął po swoje kepi.

— Zdaje się, że niedługo — odpowiedziała zmieszana, spoglądając na Wrońskiego.

— Więc się już nie zobaczymy? — zwrócił się Jaszwin do

Wrońskiego wstając. — Gdzie będziesz jadł obiad?

— Niech pan zje obiad u mnie — powiedziała Anna stanowczo, jakby zła na siebie za swe zmieszanie, ale mimo to rumieniąc się, jak zawsze, gdy musiała ujawniać na nowo swoją sytuację. — Obiady tu nie są dobre, ale przynajmniej będziecie razem. Aleksy do żadnego ze swych kolegów pułkowych nie jest tak przywiązany jak do pana.

— Bardzo mi będzie miło — z uśmiechu Jaszwin Wroński poznał, że Anna mu się bardzo podoba.

Jaszwin skłonił się i wyszedł; Wroński pozostał nieco w tyle.

— Ty także odchodzisz? — zapytała.

— Już się spóźniłem — odparł. — Idź! Ja cię zaraz dogonię — krzyknął za Jaszwinem.

Wzięła go za rękę i wpatrzona w niego szukała w myślach, co by mu takiego powiedzieć, by został.

— Zaczekaj, muszę ci coś powiedzieć — i ująwszy jego krótką dłoń przycisnęła ją sobie do szyi. — Chyba to nic nie szkodzi, że go zaprosiłam na obiad?

— Doskonale zrobiłaś — odrzekł ze spokojnym uśmiechem, ukazując swe równe zęby i całując jej rękę.

— Aleksy, nie zmieniłeś się w stosunku do mnie? — ścisnęła oburącz jego rękę. — Ja się tutaj zamartwiam. Kiedy my wyjedziemy?

— Niezadługo już, niezadługo. Nie uwierzysz, jak i mnie ciąży tutejsze nasze życie — odrzekł cofając rękę.

— No dobrze, idź już, idź! — powiedziała urażona, i szybko odeszła od niego.

XXXII

Gdy Wroński powrócił, Anny jeszcze nie było w domu.

Jak mu oznajmiono, wkrótce po jego bytności przybyła jakaś dama i te panie razem wyjechały. To, że Anna wyjechała nie mówiąc dokąd, że dotychczas nie wróciła, że rano także jeździła gdzieś, nic mu nie powiedziawszy — wszystko to, w połączeniu z dziwnym podnieceniem, jakie znać było po niej rano, i z tym wrogim tonem, z jakim w obecności Jaszwinia wyrwała mu z rąk fotografie synka, dawało Wrońskiemu do myślenia. Postanowił się z nią rozmówić. Czekał w saloniku. Anna wszakże wróciła nie sama: przywiozła ze sobą ciotkę, starą pannę, księżniczkę Obłońską. Ona to właśnie zjawiała się tego dnia przed południem i z nią Anna pojechała po sprawunki. Anna jakby nie spostrzegła zatroskanej i pytającej miny Wrońskiego i opowiadała mu wesoło o tym, co tego dnia rano kupiła. Widział, że dzieje się z nią coś niezwykłego: gdy jej błyszczące oczy przelotnie zatrzymywały się na nim, spojrzenie ich wyrażało skupioną uwagę; od słów jej i ruchów biła ta nerwowa szybkość i gracia, które w pierwszych dniach zbliżenia tak go oczarowały, a które dziś niepokoiły go i wzbudzały w nim lęk.

Do obiadu było nakryte na cztery osoby. Wszyscy już się zebrali, żeby przejść do malutkiej jadalni, gdy przyjechał Tuskiewicz z poleceniem dla Anny od księżnej Betsy. Betsy przepraszała ją, że nie przyjeżdża się pożegnać: czuje się słaba i prosi, by Anna odwiedziła ją pomiędzy wpół do siódmej a dziewiątą. Słyszając tak wyraźnie podane godziny Wroński spojrzał na Annę, widoczne bowiem było, że przedsięwzięto środki ostrożności, by się u Betsy z nikim nie spotkała. Anna jednak jakby tego nie zauważyła.

— Bardzo żałuję, ale właśnie pomiędzy wpół do siódmej a dziewiątą nie mogę — odrzekła z leciutkim uśmieszkiem.

— Księżna będzie bardzo żałowała.

— I ja również.

— Pani zapewne wybiera się do opery posłuchać Patti*? — zauważył Tuskiewicz.

— Patti? To dobra myśl. Chętnie, o ile można by dostać łożę.

— Ja mogę dostać — zaofiarował się Tuskiewicz.

— Bardzo, bardzo byłabym panu wdzięczna — zawołała Anna. — A może pan zje z nami obiad? „

Wroński ledwo dostrzegalnie wzruszył ramionami; stanowczo nie rozumiał postępowania Anny. Po co przywiozła tę starą księżniczkę? W jakim celu zatrzymywała na obiedzie Tuskiewicza i — co jeszcze dziwniejsze — dlaczego posyłała go po łożę? Czyż było do pomyślenia, aby w swojej sytuacji chciała jechać do opery na przedstawienie abonamentowe z Patti, gdzie spotka towarzystwo składające się wyłącznie ze znajomych? Popatrzył na nią poważnie, lecz odpowiedziała mu na to tym wyzywającym, na pół wesołym, na pół desperackim spojrzeniem, którego sensu nie mógł odgadnąć. Przy obiedzie Anna była zdobywczo wesoła: kokietowała jakby i Tuskiewicza, i Jaszwin. Gdy wstano od stołu i Tuskiewicz pojechał po łożę, a Jaszwin wyszedł na papierosa, Wroński z nim razem zeszedł do siebie. Po chwili wbiegł szybko na górę. Anna już była ubrana w jasną dekolowaną suknię jedwabną, łączoną z aksamitem, uszytą w Paryżu. Na głowie miała drogie białe koronki, które stanowiły dla jej twarzy ramę i niezwykle korzystnie podkreślały jej olśniewającą urodę.

— Czy naprawdę wybierzesz się do teatru? — spytał starając się nie patrzeć na nią.

— Czemu pytasz o to z taką obawą? — znów była urażona, nie patrzył bowiem na nią. — Dlaczegoż bym miała

* Adelina Patti (1846–1919) — znakomita śpiewaczka wioska. Występowała w Petersburgu w latach siedemdziesiątych ub. stulecia.

się nie wybrać do teatru?

Zdawało się, że nie rozumiała znaczenia jego słów.

— Oczywiście, że nie ma żadnego powodu — Wroński ściągnął brwi.

— Właśnie to samo i ja powiadam — potwierdziła, umyślnie nie chcąc dostrzec ironii jego tonu, i ze spokojem zagięła brzeg długiej, perfumowanej rękawiczki.

— Anno, na miłość boską! Co ci jest? — zapytał tak, jak dawniej czynił to jej mąż, chcąc sprawić, by się ocknęła.

— Nie rozumiem, o co się pytasz.

— Wiesz przecie, że nie możesz tam jechać.

— Czemu? Wszak pojedę nie sama: księżniczka Barbara pojechała się przebrać i będzie mi towarzyszyła.

Wzruszył ramionami. Wyglądał zbity z tropu i zrozpaczony.

— Czyż nie wiesz?... — zaczął.

— Ja nie chcę wiedzieć! — prawie krzyknęła. — Nie chcę. Czy żałuję tego, co zrobiłam? Nie, nie i jeszcze raz nie. I gdyby się znów wszystko zaczęło od początku, to samo by się stało. Dla nas, dla mnie i dla ciebie, tylko jedno jest ważne: czy się wzajem kochamy. Nic innego nie wchodzi w rachubę. Dlaczego mieszkamy tu osobno i nie widzimy się? Dlaczego nie mogę pójść do opery? Kocham cię i wszystko mi jedno — powiedziała po rosyjsku, a w oczach jej zamigotał osobliwy zagadkowy blask — o ile tyś się nie zmienił. Czemu nie patrzysz na mnie?

Spojrzał na nią. Widział całą piękność jej rysów i stroju, w którym jej było jak zwykle tak bardzo do twarzy. W tej chwili jednak ta jej uroda i elegancja drażniły go właśnie.

— Uczucie moje zmienić się nie może, wiesz o tym, ale proszę cię, byś nie jechała, błagam o to — powiedział znowu po francusku z czułą prośbą w głosie, lecz z wejrzeniem

pełnym chłodu.

Anna nie słyszała słów, ale dostrzegła chłód w jego oczach, odrzekła więc podrażniona:

— To ja cię proszę o wyjaśnienie mi, dlaczego bym nie miała pojechać?

— Dlatego że to może spowodować... — zmieszał się.

— Nic nie rozumiem. Jaszwin *n'est pas compromettant**, a księżniczka Barbara nie jest w niczym gorsza od innych. Ale otóż i ona.

XXXIII

Wroński po raz pierwszy doznawał wobec Anny uczucia rozdrażnienia, prawie złości, za jej rozmyślne niezdawanie sobie sprawy z własnej sytuacji. Uczucie to wzmagało się jeszcze, bo nie mógł wyjaśnić jej powodu swej irytacji. Gdyby jej mógł rzec wprost, co myślał, powiedziałby: „Ukazać się w tym stroju, ze znaną wszystkim księżniczką, w teatrze, znaczy nie tylko zaakceptować swą sytuację upadłej kobiety, ale i rzucić światu wyzwanie, czyli się na zawsze świata wyrzec.”

Nie mógł jej tego powiedzieć. „Ale jak ona może tego nie rozumieć i co się z nią dzieje?” — myślał. Czuł, jak jednocześnie maleje w nim szacunek dla niej, a wzrasta świadomość jej urody.

Ze ściągniętymi brwiami powrócił do swego numeru i przysiadłszy się do Jaszwin, który wyciągnął swe długie nogi na krześle i pił koniak z selcerską wodą, kazał i sobie podać koniaku.

— Mówisz o Moguczym Lankowskiego? To dobry koń i radzę ci go kupić — Jaszwin spojrział na chmurną twarz

* *N'est pas compromettant* — nie jest kompromitujący.

kolegi. — Ma ścięty zad, ale lepszej głowy i nóg wymarzyć niepodobna.

— Pewnie go kupię — odrzekł Wroński.

Rozmowa o koniach interesowała go, ale ani przez chwilę nie zapomniał o Annie. Nasłuchiwał mimo woli kroków na korytarzu i raz po raz spoglądał na zegar na kominku.

— Anna Arkadiewna kazała powiedzieć, że pojechała do teatru. Jaszwin wlał jeszcze jeden kieliszek koniaku do musującej wody, wypił i wstał zapinając mundur.

— No i cóż? Jedziemy — uśmiechnął się nieznacznie pod wąsem, na znak, że rozumie powód zasepienia Wrońskiego, lecz uważa go za rzecz błahą.

— Ja nie pojedę — odparł chmurnie Wroński.

— Ja muszę pojechać. Obiecałem. No, do widzenia! Albo wiesz co, przyjdź na parter i weź fotel Krasińskiego — dodał Jaszwin wychodząc.

— Nie. Mam robotę.

„Z żoną człowiek ma kłopot, a z nieżoną jeszcze gorszy” — pomyślał Jaszwin opuszczając hotel.

Wroński, zostawszy sam, wstał z krzesła i zaczął chodzić po pokoju.

„Co to dzisiaj? Abonament czwarty. Jest tam i Jegor z żoną, i zapewne moja matka, to znaczy — cały Petersburg. Teraz właśnie weszła, zdjęła futro i ukazała się w kręgu świateł. Tuskiewicz, Jaszwin, księżniczka Barbara... — wyobrażał sobie. — I co ja tutaj robię? Czy może tchórzę, czy też przekazałem opiekę nad nią Tuskiewiczowi? Z którejkolwiek strony na to spojrzeć, zawsze wyjdzie głupio, głupio... I dlaczego Anna stawia mnie w takiej sytuacji?” — zastanawiał się i zrobił niecierpliwy gest.

Przy tym ruchu zaczął o stół, na którym stała woda selcerską i karafka z koniakiem, i o mały włos nie zrzucił jej

na ziemię. Chciał złapać karafkę w powietrzu, upuścił ją, po czym z gniewem pchnął stół nogą i zadzwonił.

— Jeśli chcesz u mnie służyć — powiedział do wchodzącego kamerdynera — to pamiętaj o swoich obowiązkach. Żeby mi się to więcej nie zdarzało. Powinieneś być sprzątnąć ze stolika.

Kamerdyner nie poczuwając się do winy chciał się usprawiedliwić, ale spojrzawszy na pana wywnioskował z jego twarzy, że lepiej będzie milczeć, przeprosił tedy spieszenie i uklękawszy na dywanie ją wybierać całe kieliszki i butelki spośród rozbitych.

— To do ciebie nie należy. Każ lokajowi pozbierać to i przygotuj mi frak.

Wroński wszedł do teatru o wpół do dziewiątej. Był właśnie kulminacyjny punkt przedstawienia. Staruszek woźny zdjął mu futro, a poznawszy, nazwał ekscelencją i zaproponował, by Wroński nie brał numerka, lecz po prostu krzyknął na niego potem: „Fiodor”. W oświetlonym korytarzu nie było nikogo prócz woźnego i dwóch lokai, którzy z futrami przewieszonymi, przez ramię przysłuchiwali się operze u drzwi. Spoza nie domkniętych drzwi słychać było dźwięki delikatnego *staccato* akompaniującej orkiestry i kobiecy głos, który dobitnie skandował muzyczną frazę. Drzwi się otworzyły przed woźnym, który się przez nie wśliznął, i do uszu Wrońskiego wyraźnie doszła kończąca się fraza. Drzwi jednak zaraz się zamknęły, tak że nie dosłyszał zakończenia frazy i kadencji muzycznej i tylko z grzmotu okłasków za drzwiami poznał, że kadencja się skończyła. Gdy wszedł do sali olśniewającej od świateł żyrandoli i gazowych palników z brązu, rumor jeszcze trwał. Na scenie śpiewaczka o obnażonych ramionach pochylała się z

uśmiechem, migocąc brylantami, i zbierała z pomocą tenora, który ją trzymał za rękę, niezręcznie rzucane przez rampę bukiety. Jakiś pan, z przedziałkiem pośród błyszczących od pomady włosów, długimi rękami usiłował podać przez rampę jakiś przedmiot zbliżającej się właśnie śpiewaczce. Cała publiczność zarówno w krzesłach, jak i w łóżach, w podnieceniu pochylała się ku przodowi, krzyczała i biła brawo. Kapelmistrz ze swej estrady pomagał oddawać kwiaty diwie, poprawiając biały krawat. Wroński przeszedł aż do środka parteru, przystanął i począł się rozglądać. Dnia tego jeszcze mniej uwagi niż zazwyczaj zwrócił na znane mu, normalne otoczenie: na scenę, na rumor, na tę całą znajomą, nieinteresującą pstrą ciżbę w pełnym aż po brzegi teatrze.

W łóżach były takie same jak zawsze damy, z jakimiś oficerami w głębi; te same różnokolorowe kobiety — Bóg raczy wiedzieć kto i co — i mundury, i surduty, ten sam brudny tłum na paradyzie. A wśród całej tej publiczności w łóżach i pierwszych rzędach było może ze czterdzieści osób prawdziwych ludzi. Na te oazy Wroński natychmiast zwrócił całą uwagę i z nimi od razu nawiązał kontakt.

Gdy wchodził, akt się właśnie skończył, więc nie zachodząc do łóży brata, przeszedł aż do pierwszego rzędu i stanął przy rampie wraz z Sierpuchowskim, który zgiąwszy kolano, postukiwał obcasem w rampę, a zobaczywszy Wrońskiego z daleka dawał mu uśmiechem znaki, by podszedł.

Wroński dotąd nie spostrzegł Anny, nie patrząc bowiem umyślnie w jej stronę już z kierunku spojrzeń mógł wnioskować, gdzie się ona znajduje. Oglądał się za nią nieznacznie, lecz jej nie szukał, za to, spodziewając się najgorszego, szukał wzrokiem Karenina. Na szczęście tym razem Karenina w teatrze nie było.

— Jak mało ci pozostało z wyglądu wojskowego — zauważył Sierpuchowski. — Mógłbyś być dyplomata, artystą, w ogóle czymś takim...

— Tak, z chwilą powrotu do kraju włożyłem frak — Wroński uśmiechnął się i począł wyjmować lornetkę.

— Wyznaję, że tego ci zazdrozczę. Kiedy powracam z zagranicy i wkładam to na siebie — tu dotknął akselbantów — żał mi swobody.

Sierpuchowski od dawna machnął ręką na karierę służbową Wrońskiego, lubił go jednak po dawnemu, a teraz był dla niego specjalnie uprzejmy.

— Szkoda, żeś się spóźnił na pierwszy akt.

Wroński, jednym uchem słuchając, przesuwał lornetkę od łóż parterowych na łożę pierwszego piętra i oglądał je. Obok damy w turbanie i łysego staruszka, który gniewnie mrugał oczyma, w szkiełku przesuwanej lornetki nagle zobaczył twarz Anny, wyniosłą, uderzająco piękną, uśmiechniętą w swym obramowaniu z koronek. Była w piątej łoży parterowej, o dwadzieścia kroków od niego. Siedziała na przedzie i z lekka odwrócona, mówiła coś do Jaszwinia. Osada jej głowy na pięknych, szerokich ramionach i tłumione podniecenie widoczne w błysku oczu i w całej twarzy przypominały mu Annę zupełnie taką, jaką zobaczył w Moskwie na balu. Obecnie jednak reagował na tę piękność całkiem inaczej. W uczuciach jego dla niej nie było dziś już nic tajemniczego, toteż piękność Anny, mimo że pociągała go jeszcze bardziej niż uprzednio, teraz go raziła. Nie patrzyła w jego stronę, lecz Wroński wiedział, że go dostrzegła.

Gdy wycelował lornetkę w tym kierunku, zauważył, że księżniczka Barbara jest mocniej niż zwykle zaczerwieniona, sztucznie się śmieje i raz po raz ogląda się na sąsiednią łożę, Anna zaś złożyła wachlarz i uderzając nim po czerwonym

aksamicie, wpatruje się w przestrzeń nie widząc i widocznie nie chcąc widzieć tego, co się dzieje w łoży obok. Jaszwin miał wyraz, który zwykł przybierać, gdy mu karta nie szła. Zasepiony, patrzył z ukosa na Ową sąsiednią łożę, wsuwając sobie coraz głębiej do ust koniec lewego wąsa.

W łoży tej na lewo siedzieli Kartasowowie; Wroński znał ich i wiedział, że znała ich również i Anna. Pani Kartasow — mała, chuda kobietka — stała w łoży w obrócona plecami do Anny i wkładała płaszcz, który mąż jej podawał. Twarz miała bladą i gniewną i mówiła coś ze wzburzeniem. Gruby i łysy Kartasow oglądał się nieustannie na Annę i starał się żonę ułagodzić, a gdy wyszła, długo marudził usiłując napotkać spojrzenie Anny, niewątpliwie, by się jej ukłonić, Anna jednak — najwyraźniej umyślnie — nie zwracała na niego uwagi i odwrócona odeń, mówiła coś do Jaszwina, którego ostrzyżona głowa pochylała się nad nią. Kartasow wyszedł nie złożywszy ukłonu i łoża pozostała pusta.

Wroński nie wiedział, co mianowicie zaszło pomiędzy Anną a Kartasowami, odgadł jednak, że zaszło coś upokarzającego dla Anny. Zrozumiał to z tego, co zobaczył, a przede wszystkim z twarzy Anny, która — wiedział to — resztką sił starała się odegrać do końca obraną przez siebie rolę. I rola ta, zachowanie pozornego spokoju, udawała się jej znakomicie. Kto nie znał ani jej, ani koła jej znajomych, kto nie słyszał tych wszystkich wykrzykników współczucia, zgrozy i zdziwienia ze strony kobiet, że Anna odważyła się wystąpić w towarzystwie — i to tak wyzywająco, ze swymi koronkami i swoją urodą — kto tego wszystkiego nie spostrzegł, mógł zachwycać się spokojem i pięknnością tej kobiety i nie podejrzewał nawet, że czuła się ona jak pod pręgierzem.

Widząc już, że coś się stało, lecz nie wiedząc, co

mianowicie, Wroński doświadczył bolesnego niepokoju, podążył więc do łoży brata w nadziei, że tam się czegoś dowie. Wybrawszy z rozmysłem przejście w parterze po stronie przeciwnej od łoży Anny, natknął się wychodząc na dowódcę swego byłego pułku, rozmawiającego z dwoma znajomymi. Wroński usłyszał nazwisko Karenin i zauważył, że dowódca pułku pośpieszył głośno wymówić i jego nazwisko, przy czym znacząco spojrział na swych rozmówców.

— A, Wroński! Kiedy zjawisz się w pułku? Nie wypuścimy cię bez bankietu. Jesteś nasz z kośćcami — zawołał dowódca.

— Nie zdążę, żałuję bardzo. Innym razem — odparł Wroński i pobiegł schodami na górę, do łoży brata.

Stara hrabina, matka Wrońskiego, ze swymi stalowego koloru loczkami, znajdowała się w łoży; Warię z księżniczką Sorokin spotkał w korytarzu pierwszego piętra.

Po odprowadzeniu księżniczki Sorokin do matki Waria uścisnęła rękę szwagra i od razu zaczęła z nim mówić o tym, co go interesowało. Rzadko widywał ją aż tak wzburzoną.

— Znajduję, że to nikczemne i obrzydliwe, i *madame* Kartasow nie miała żadnego prawa... *Madame Karenine*... — zaczęła.

— O co chodzi? O niczym nie wiem.

— Jak to? Nie słyszałeś?

— Powinnaś zrozumieć, że ja ostatni o tym się dowiem.

— Czy może być złośliwsze stworzenie od tej Kartasowowej?

— Cóż ona takiego zrobiła?

— Mąż mi opowiedział... Obraziła panią Karenin. Kartasow zaczął z nią rozmowę z łoży do łoży, a pani Kartasow zrobiła mu scenę. Mówią, że na głos powiedziała

coś ubliżającego i wyszła.

— Pańska *maman* wzywa pana — wyrzwała z łoży księżniczka Sorokin.

— A ja wciąż na ciebie czekam — powiedziała matka z ironicznym uśmiechem. — Zupełnie się nie pokazujesz.

Wroński widział, że matka nie posiada się z radości.

— Dzień dobry, *maman*. Właśnie szedłem do was — rzekł oziębło.

— Dlaczego nie idziesz *faire la cour à madame Karénine** — dodała, gdy księżniczka Sorokin się oddaliła. — *Elle fait sensation. On oublie la Patti pour elle...**

— *Maman*, prosiłem już, aby ze mną o tym nie mówić — rzekł marszcząc brwi.

— Mówię tylko to, co wszyscy mówią.

Wroński nic nie odpowiedział i zamieniwszy parę słów z księżniczką Sorokin, wyszedł z łoży. We drzwiach spotkał się z bratem.

— A, jesteś, Aleksy! — zawołał brat. — Co za nikkzemność! Idiotka i nic więcej... Właśnie miałem tam iść. Chodźmy razem.

Wroński nie słuchał go; prędkim krokiem pośpieszył na dół: czuł, że powinien działać, nie wiedział jednak, co robić. Był wzburzony; gniew jego na Annę z powodu fałszywej sytuacji, w jakiej postawiła i jego, i siebie, zawierał domieszkę litości nad jej cierpieniem. Zszedł na dół na parter i skierował się prosto ku łoży Anny. Stał już tam Striemow i rozmawiał z nią.

— Nie ma już więcej tenorów. *Le moule en est brisé.** — Wroński uklonił się Annie i przystanął witając się ze Striemowem.

* *Faire...* — asystować pani Karenin.

* *Elle...* — wywołuje sensację. Ludzie zapominają dla niej o Patti...

* *Le moule...* — w przenośni: wyginał ich gatunek

— Pan, zdaje się, późno przyszedł i nie słyszał pan najpiękniejszej arii... — powiedziała Anna patrząc nań, jak mu się zdawało, ironicznie.

— Nie jestem znawcą — spojrzał na nią surowo.

— To tak jak pułkownik Jaszwin — rzekła z uśmiechem — który uważa, że Patti za głośno śpiewa.

— Dziękuję panu — i wzięła małą rączką w długiej rękawiczce program podniesiony przez Wrońskiego. W tej chwili skurcz przebiegł jej piękną twarz. Wstała i odeszła w głąb łoży.

Zauważywszy, że przez następny akt łoża Anny stała pustką, Wroński opuścił parter wzniesając sykanie publiczności, która cała zastygła na dźwięki kawatyny, i pojechał do hotelu.

Anna była już w domu. Gdy Wroński wszedł, miała jeszcze na sobie ten sam strój, w którym była w teatrze. Siedziała na pierwszym z brzegu fotelu pod ścianą i patrzyła przed siebie. Spojrzała na niego i wnet przybrała poprzednią pozę.

— Anno — powiedział.

— To ty, ty jesteś wszystkiemu winien! — wykrzyknęła wstając. Łzy rozpaczy i złości były w jej głosie.

— Prosiłem, błagałem, byś do teatru nie jechała. Wiedziałem, że ci będzie przykro.

— Przykro! — zawołała. — To było okropne! Póki życia tego nie zapomnę. Powiedziała, że hańbą jest siedzieć koło mnie.

— Słowa głupiej kobiety! Ale po co było ryzykować, wywoływać...

— Nienawidzę twego spokoju. Nie powinienesz być mnie do tego doprowadzać. Gdybyś mnie kochał...

— Anno! Co tu ma do rzeczy moja miłość...

— Tak, gdybyś kochał mnie tak, jak ja ciebie, gdybyś się zamartwiał tak jak ja... — powiedziała wpatrując się w niego z przestrawem.

Było mu jej żal, ale jednocześnie był na nią zły. Zapewnił ją o swej miłości, widział bowiem, że tylko to jedno mogło ją teraz uspokoić. Nie robił jej wprawdzie wyrzutów, ale w głębi duszy miał do niej żal.

Te zakłęcia miłosne zdawały mu się tak pospolite, że aż mu ich było wstyd, ona jednak upajała się nimi i prawie się uspokoiła. Nazajutrz, całkowicie pogodzeni, wyjechali na wieś.

CZĘŚĆ SZÓSTA

I

Księżna Daria spędzała z dziećmi lato w Pokrowskiem u siostry swej, Kitty Lewin. W jej własnym majątku dom był w zupełnej ruinie, Lewinowie namówili ją więc, by lato spędziła u nich. Obłońskiemu taki obrót rzeczy wielce przypadł do gustu. Bardzo żałował, jak twierdził, że urzędowanie nie pozwala mu na spędzenie lata na wsi razem z rodziną, co byłoby dla niego największym szczęściem, i pozostając na stałe w Moskwie, z rzadka zjawiał się na dzień lub dwa na wsi. Prócz Obłońskich ze wszystkimi dziećmi i guwernantką, bawiła jeszcze tego lata u Lewinów tta księżna, która miała sobie za obowiązek sprawować nadzór nad niedoświadczoną córką znajdującą się w t a k i m stanie. Poza tym Warieńka, zagraniczna przyjaciółka Kitty, dotrzymała obietnicy odwiedzenia jej, skoro Kitty będzie zamężna, i teraz u niej gościła. Byli to sami krewni i przyjaciele żony Lewina i chociaż ich wszystkich lubił, żal mu trochę było własnego lewinowskiego świata i lewinowskiego ładu, stłumionego przez ten napływ „pierwiastka szczyrbacznego”, jak go w duchu nazywał. Spomiędzy jego krewnych gościł u nich tego lata tylko Sergiusz Koznyszew, ale i ten nie zaliczał się do gatunku lewinowskiego, lecz koznyszewskiego, tak że duch lewinowski całkiem zanikał.

W domu Lewina, który od tak dawna był pusty, znajdowało się teraz tyle osób, że wszystkie niemal pokoje były zajęte, a stara księżna codziennie prawie, siadając do stołu, była zmuszona liczyć obecnych i przesadzać trzynastego wnuka lub wnuczkę do osobnego stolika. Toteż

gorliwie gospodarująca Kitty miała wiele kłopotu z zakupem kur, indyczek i kaczek, których — wobec wakacyjnych apetytów gości i dzieciarni — bardzo dużo szło na stół.

Cała rodzina siedziała przy obiedzie. Dzieci wraz z guwernantką i Warieńką snuły plany, dokąd by pójść na grzyby. Sergiusz, cieszący się u wszystkich gości, z powodu swego rozumu i wiedzy, czią graniczącą z uwielbieniem, nagle ku ogólnemu zdziwieniu wmieszał się do rozmowy o grzybach.

— Weźcie i mnie ze sobą; bardzo lubię zbierać grzyby — mówiąc to patrzył na Warieńkę. — Moim zdaniem, jest to znakomite zajęcie.

— Ależ będzie nam bardzo miło — zarumieniła się Warieńka. Kitty rzuciła znaczące spojrzenie na Dolly. Propozycja ze strony uczonego, rozumnego Koznyszewa, by iść zbierać grzyby z Warieńką, potwierdzała niektóre przypuszczenia Kitty, mocno ją w ostatnich czasach pochłaniające. Czym prędzej rozpoczęła rozmowę z matką, by jej porozumiewawcze spojrzenie pozostało nie zauważone. Po obiedzie Koznyszew usiadł ze swą filizanką kawy w salonie przy oknie ciągnąc dalej rozpoczętą rozmowę z bratem i spoglądając na drzwi, którymi dzieci miały wyjść na grzybobranie. Lewin usadowił się obok brata na oknie.

Kitty stała przy mężu, najwidoczniej oczekując końca mało interesującej rozmowy, by mu coś powiedzieć.

— Zmieniłeś się pod wieloma względami od czasu ożenku, i to na lepsze] — mówił Sergiusz uśmiechając się do Kitty i wyraźnie przywiązując mało wagi do rozpoczętej rozmowy — aleś pozostał wierny swej pasji bronienia jak najparadoksalniejszych twierdzeń.

— Katia, stanie ci szkodzi — zauważył Konstanty przysuwając żonie krzesło i spoglądając na nią znacząco.

— No tak... A zresztą, nie ma nawet czasu — dodał Koznyszew widząc wybiegające dzieci.

Na czele całej grupy, prosto w jego kierunku, galopowała boczkiem w swych obcisłych pończoszkach Tania machając koszykiem oraz kapeluszem Koznyszewa.

Z błyszczącymi oczyma, tak przypominającymi piękne oczy ojca, podbiegła śmiało do Sergiusza i podała mu kapelusz udając, że zamierza mu go sama włożyć na głowę, przy czym uśmiechała się pieszczotliwie i nieśmiało, jakby chcąc nieco złagodzić swą poufałość.

— Warieńka czeka — powiedziała wkładając mu delikatnie na głowę kapelusz. Z uśmiechu Sergiusza wywnioskowała, że wolno jej to uczynić.

Warieńka stała we drzwiach przebrana w żółtą perkalikową suknię. Na głowie zawiązała białą chustkę.

— Już idę, idę — Sergiusz wychylił resztę kawy z filiżanki i porozkładał po kieszeniach chustkę i cygarniczkę.

— Co to za cudo ta moja Warieńka! Prawda? — zwróciła się Kitty do męża, gdy tylko Koznyszew wstał. Powiedziała to tak, że Sergiusz mógł ją dosłyszeć, o co jej oczywiście chodziło. — A jaka piękna, co to za szlachetna uroda! Warieńka! — zawołała — czy będziecie w lesie koło młyna? Przyjedziemy tam do was.

— Stanowczo zapominasz o swoim stanie, Kitty — zauważyła stara księżna, z pośpiechem ukazując się we drzwiach. — Nie wolno ci tak krzyczeć.

Warieńka, posłyszawszy wołanie Kitty i upomnienie jej matki, zbliżyła się prędkim, lekkim krokiem. Z szybkiego tempa jej ruchów, z rumieńca okrywającego pełną ożywienia twarz — ze wszystkiego widać było, że dzieje się z nią coś niezwykłego. Kitty wiedziała, co to była za niezwykła rzecz, i uważnie ją obserwowała. Obecnie zawołała na nią tylko po

to, by udzielić jej po cichu błogosławieństwa przed tym ważnym wydarzeniem, które — podług Kitty — musiało się tego popołudnia dokonać w lesie.

— Warieńka, byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby się pewna rzecz stała — szepnęła całując przyjaciółkę.

— A czy pan pójdzie z nami? — zwróciła się zażenowana Warieńka do Lewina, udając, że nie dosłyszała słów Kitty.

— Pójdę, ale nie dalej niż do gumna i tam pozostanę.

— Że ci się też chce! — zaprotestowała Kitty.

— Muszę obejrzeć i policzyć nowe fury — odrzekł. — A ty gdzie będziesz?

— Na tarasie.

II

Na tarasie zebrało się całe niewieście towarzystwo. Panie w ogóle lubiły tam siadywać po obiedzie, lecz dnia tego odbywała się na tarasie także i praca. Poza szyciem koszulek niemowlęcych i robieniem na drutach powijaków, czym zajęte były wszystkie panie, dnia tego smażono tam konfitury według metody, która dla Agafii Michajłowny była czymś nowym. Nie dodawano mianowicie do jagód wody. Kitty wprowadziła ten nowy sposób stosowany u niej w domu. Agafia Michajłowna, na którą dotychczas włożony był ten obowiązek, uważała wprawdzie, że nic z tego, co się dzieje w domu Lewinów, nie może być wręcz złe, ale mimo to dołała wody do truskawek i poziomek twierdząc, że inaczej zrobić się nie da. Przyłapano ją na tym i obecnie smażono maliny na oczach wszystkich, by wpoić w Agafię przekonanie, że konfitury będą dobre i bez wody.

Twarz Agafii była rozpalona i zboląła, włosy potargane; chudymi obnażonymi po łokcie rękoma kołysała w kółko nad

fajerką miedniczkę i chmurnie patrzyła na maliny, pragnąc z całej duszy, by się zgalaretowały, a nie usmażyły. Księżna czując, że gniew Agafii w nią musi być wymierzony, jako w główną doradczynię w sprawie smażenia malin, starała się udawać, że zajęta jest czym innym i że się konfiturą nie interesuje: rozmawiała na inny temat, ale z ukosa raz po raz rzucała okiem na fajerkę.

— Ja zawsze kupuję dziewczętom suknie na wyprzedażach — ciągnęła dalej zaczęłą rozmowę. — Czyby teraz nie zszumować, moje serce? — wtrąciła zwracając się do Agafii Michajłowny. — Nie ma żadnej potrzeby, byś to miała robić sama. Poza tym jest za gorąco — rzekła do Kitty, która wstała.

— Ja to zrobię — powiedziała zrywając się Dolly i poczęła delikatnie przesuwac łyżkę po spienionym cukrze. Aby odczepić przylepione do niej szumowiny, coraz to uderzała łyżką w talerz, który już się był pokrył ją różnokolorowymi, żółtoróżowymi opłyniętymi krwawym syropem szumowinami. „Jak one to będą zlizywały przy herbacie!” — myślała o swych dzieciach przypominając sobie, jak sama będąc dzieckiem zdumiewała się, że dorośli nie jedzą tej najlepszej części konfitur — szumowin.

— Stiwa powiada, że daleko lepiej jest dawać pieniądze — powróciła Dolly do zaczętej interesującej rozmowy: jak najlepiej obdarowywać służbę — ale...

— Pieniądze! Jak można! — jednogłośnie sprzeciwiły się księżna i Kitty. — Oni to bardzo ceniają.

— No, a ja na przykład w zeszłym roku kupiłam dla naszej Matryony nie popelinę, ale coś w tym rodzaju — rzekła księżna.

— Pamiętam, miała to na sobie w dzień imienin mamy.

— Przeuroczy deseń: taki prosty i dystyngowany. Sama

bym sobie zrobiła taką suknię, gdyby ona już tej nie miała. Coś w rodzaju sukni Warieńki: takie ładne i tanie.

— No, teraz, zdaje się, jest gotowe — oświadczyła Dolly kapiąc z łyżki — j syropem.

— Kiedy da się ulać w obwarzaneczki, wtedy już gotowe. Proszę jeszcze trochę posmażyć, Agafio Michajłowno.

— Ach, te muchy — zniecierpliwiła się stara. — Będzie taka jak zawsze — dodała.

— Ach, jaki uroczy: nie płoszcie go! — zawołała nagle Kitty patrząc na wróbla, który usiadł na balustradzie i odwróciwszy rdzeń maliny począł go dziobać.

— Tak, ale odsuń się od fajerki — przestrzegła ją matka.

— *À propos* Warieńki — powiedziała po francusku Kitty (mówiły zresztą czas cały w tym języku, by Agafia ich nie zrozumiała) — czy mama wie, że ja dziś nie wiadomo czemu spodziewam się rozstrzygnięcia? Mama rozumie, o co mi chodzi. Jak by to było dobrze!

— Jaka z niej jednak pierwszorzędna swatka! — zauważyła Dolly. — Jak ona ich delikatnie i zręcznie popycha ku sobie.

— Niech mama powie, co mama o tym myśli?

— O czym tu w ogóle myśleć? On (to o n oznaczało Sergiusza Koznyszewa) mógł zawsze zrobić najświetniejszą partię w Rosji; dziś jest już nie pierwszej młodości, ale mimo to wiem, że i teraz niejedna by za niego wyszła... Ona jest bardzo dobra, on mógłby jednak...

— Ach, nie! Niech mama zrozumie, czemu to wymarzone i dla niego, i dla niej. Po pierwsze, ona jest urocza! — oświadczyła Kitty zaginając jeden palec.

— Że mu się ona bardzo podoba, to fakt — potwierdziła Dolly.

— Poza tym on sam ma taką pozycję w towarzystwie, że

niepotrzebne mu ani światowe walory, ani majątek żony. Potrzebne mu tylko jedno: spokojna żona, dobra i miła.

— Przy niej to już można być pewnym spokoju — potwierdziła Dolly.

— Po trzecie: chodzi o to, by ona go kochała. I to jest... To znaczy — jak by to było dobrze!... Spodziewam się, że lada chwila powrócą z lasu i wszystko się rozstrzygnie. Od razu z oczu im to wyczytamy. Jaka bym ja była rada! A ty jak myślisz, Dolly?

— Nie podniecaj się. Nie powinnaś się tak ekscytować — przestrzegła matka.

— Ależ ja się nie podniecam, mammo. Zdaje mi się, że on się jej dziś oświadczy.

— Ach, jakie to dziwne, kiedy mężczyzna się oświadcza... Jest coś, co dzieli, i nagle to upada — uśmiechnęła się Dolly i wpadła w zadumę przypominając sobie swe minione dni ze Stiwą.

— Mammo, jak się mamie papa oświadczył? — nagle spytała Kitty.

— Nic w tym nie było nadzwyczajnego, zupełnie po prostu — ale twarz księżnej przy tym wspomnieniu cała się rozpogodziła.

— Ależ nie, chodzi o to, jak papa to zrobił. Przecie go mama pewnie kochała, zanim wolno wam było mówić ze sobą.

Kitty znajdowała specjalny urok w tym, że już teraz mogła rozmawiać z matką na równej stopie o tych najważniejszych w życiu kobiety sprawach.

— Rozumie się, że kochałam, i przyjeżdżał do nas na wieś.

— Ale jak się to zdecydowało? No, mammo?

— Zdaje ci się z pewnością, żeście coś nowego wymyślili? Zawsze jest to samo: wszystko rozstrzygnęły spojrzenia,

uśmiechy...

— Jak mama to ładnie określiła! Właśnie: spojrzenia, uśmiechy — pochwaliła Dolly.

— Ale co papa mówił, jakich używał słów?

— A jakich słów użył Kostia?

— Kostia pisał kredą. To było zdumiewające... Jakie mi się to wydaje dawne! — powiedziała Kitty.

I trzy kobiety zamyśliły się o tym samym. Kitty pierwsza przerwała milczenie. Przypomniła się jej cała ta ostatnia zima przed zamążpójściem i jak sobie zawróciła głowę Wrońskim.

— Jedno tylko... ta dawniejsza miłość Warieńki — przyszło jej na myśl w odruchowym zestawieniu z jej własnymi wspomnieniami. — Chciałam jakoś o tym powiedzieć Sergiuszowi, przygotować go. Mężczyźni — dodała — są wszyscy strasznie zazdrośni o naszą przeszłość.

— Nie wszyscy — zaproponowała Dolly. — Sądysz po swoim mężu, którego dotychczas boli myśl o Wrońskim. Czy tak? Nieprawdaż?

— Prawda — w oczach zadumanej Kitty był uśmiech.

— Nie wiem tylko — pośpieszyła księżna bronić czujności swego matczynego dozoru — co za przeszłość mogła go u ciebie niepokoić? To, że Wroński starał ci się przypodobać? To bywa z każdą panną.

— Przecie nie o tym mowa — zarumieniła się Kitty.

— Nie, pozwól, proszę — przerwała księżna — a poza tym ty sama nie dałaś mi pomówić z Wrońskim. Pamiętasz?

— Ach, mamó! — na twarzy Kitty odmalowało się strapienie.

— Kto was teraz może powstrzymać... Wasza zażyłość nie zaszła dalej, niż należało; byłby inaczej miał ze mną do czynienia. Zresztą, moja duszko, nie trzeba, żebyś się

ekscytowała. Proszę cię, pamiętaj o tym i uspokój się.

— Jestem zupełnie spokojna, *maman*.

— Jak się to wtedy szczęśliwie złożyło dla Kitty, że Anna przyjechała — zauważyła Dolly — a nieszczęśliwie dla Anny. Właśnie na odwrót — dodała, uderzona tą myślą. — Wówczas Anna była taka szczęśliwa, a Kitty uważała się za nieszczęśliwą. Zupełnie na odwrót. Nieraz o niej myślę.

— Masz też o kim myśleć! Wstrętna, obrzydliwa kobieta, kobieta bez serca — zawyrokowała matka, która nie mogła przeboleć, że Kitty wyszła nie za Wrońskiego, tylko za Lewina.

— I po co o tym mówić? — niecierpliwie przerwała Kitty. — Ja nigdy o tym nie myślę i myśleć nie chcę... Nie chcę myśleć — powtórzyła nadsluchując znajomych kroków męża na schodach tarasu.

— Czego dotyczyło to: i myśleć nie chcę? — zapytał Lewin.

Nikt mu nie odpowiedział, a i on ze swej strony nie powtórzył pytania.

— Przykro mi, że wniosłem rozdzwięk do waszego niewieściego królestwa — rzekł rozglądając się z niechęcią po obecnych i zdając sobie sprawę, że była mowa o czymś, o czym by przy nim nie mówiono.

Przez jedną sekundę czuł, że dzieli z Agafią Michajłówną niezadowolenie z powodu smażenia malin bez wody i w ogóle z powodu obcego, szczerbackiego wpływu. Uśmiechnął się wszelako i podszedł do Kitty.

— No i cóż? — zapytał patrząc na nią z wyrazem, z jakim obecnie wszyscy się do niej zwracali.

— Nic. Doskonale — uśmiechnęła się Kitty. — A u ciebie co słyhać?

— Mają trzy razy taką nośność jak zwykle wozy. Cóż, czy

się pojedzie po dzieci? Kazałem zaprzęgać.

— Jak to, chcesz wieźć Kitty linijką? — zapytała z wyrzutem matka.

— Stępa przecież, proszę księżnej.

Lewin nie nazywał księżnej *maman*, jak to czynią zięciowie, i sprawiało jej to przykrość. On jednak — mimo że bardzo lubił i szanował teściową — nie mógł jej nazywać *maman* nie uwłaczając pamięci swej nieboszczki matki.

— Niech mama jedzie z nami — zaproponowała Kitty.

— Nie chcę nawet patrzeć na taką lekkomyślność.

— No więc pójdę pieszo. Przecie to dla mnie zdrowo. — Kitty wstała, podeszła do męża i wzięła go za rękę.

— Zdrowo, ale wszystko w miarę — odrzekła księżna.

— No i cóż, nianiu, czy konfitury gotowe? — zagadnął Lewin z uśmiechem starą Agafię, chcąc ją rozweselić. — Czy dobry ten nowy sposób?

— Zapewne dobry... Sądząc według starej mody — konfitury są zanadto wysmażone.

— To nawet lepiej, Agafio Michajłowno, przynajmniej nie sfermentują, bo nasz lód już stopniał i nie ma gdzie konfitur trzymać. — Kitty od razu wyczuła intencję męża i zwróciła się do starej w tym samym celu. — Za to marynaty niani są świetne i nawet mama mówi, że nigdzie tak dobrych nie jadła — dodała uśmiechając się i poprawiając na niej chustkę.

Stara Agafia gniewnie popatrzyła na Kitty.

— Niech mnie jaśnie pani nie pociesza. Kiedy sobie spojrzę na niego i i jaśnie panią, to i tak się rozweselam. — To, że użyła poufałego zwrotu na niego zamiast na jaśnie pana, wzruszyło Kitty.

— Proszę pojechać z nami na grzyby, nianiu. Pokaże nam niania dobre miejsca.

Agafia uśmiechnęła się potrząsając głową, jakby chciała

powiedzieć: „Rada bym się rozgniewać, ale nie potrafię.”

— Zróbcie, proszę, tak jak ja radzę — powiedziała stara księżna — na konfitury trzeba położyć papierek zmoczony rumem. Nigdy nie spleśnieją, nawet bez lodu.

III

Kitty ucieszyła się specjalnie z nadarzającego się sam na sam z mężem. Zauważyła cień przykrości, który przemknął po jego tak żywo na wszystko reagującej twarzy w chwili, kiedy wszedłszy na taras zapytał, o czym mowa, i nie uzyskał odpowiedzi.

Gdy idąc pieszo wyprzedzili innych i nie będąc już w zasięgu spojrzeń z domu wyszli na wyjeżdżoną, zakurzoną i usianą kłosami i ziarnem żyta drogę — Kitty mocniej oparła się o męża i przycisnęła do siebie jego ramię. Lewin już był zapomniał o chwilowym przykrym wrażeniu. Sam na sam z żoną doświadczał teraz, gdy myśl o jej ciąży ani na moment go nie opuszczała, radosnego uczucia, które było dlań jeszcze nowe — uczucia całkowicie wolnego od domieszki zmysłów — rozkoszy z powodu bliskiej obecności ukochanej kobiety. Nie mieli sobie nic do powiedzenia, lecz miał ochotę słyszeć dźwięk jej głosu, który tak samo jak i spojrzenie od czasu ciąży uległ zmianie. Głos na równi ze spojrzeniem nabrał miękkości i powagi właściwej ludziom stale skupionym nad jakimś jednym ukochanym dziełem.

— Czy na pewno się nie zmęczysz? Oprzyj się jeszcze mocniej — powiedział.

— Nie. Jestem taka rada, że możemy ze sobą trochę pobycć sami. Muszę się przyznać, że choć mi jest z nimi bardzo dobrze, żal mi naszych zimowych wieczorów we dwójkę.

— Tamto było dobre, a to jest jeszcze lepsze. I to i tamto

jest lepsze — przycisnął jej rękę do siebie.

— Wiesz, o czym mówiliśmy, gdy wszedłeś?

— O konfiturach?

— Także i o konfiturach; ale później o tym, jak się ludzie oświadcniają —

— A! — Lewin słuchał raczej dźwięku jej głosu niż słów, które

wymawiała. Uważał wciąż na drogę prowadzącą teraz przez las i omijał miejsca, gdzie mogła się jej powinąć noga.

— I o Sergiuszu i Warieńce. Może zauważyłeś?... Bardzo sobie tego życzę — dodała. — Co ty o tym sądzisz? — I zajrzała mu w twarz.

— Nie wiem, co mam sądzić — uśmiechnął się Lewin. — Pod tym względem Sergiusz wydaje mi się bardzo dziwny. Opowiadałem ci przecież...

— Tak, kochał się w tej paniencie, która umarła...

— To się stało, kiedy ja byłem jeszcze dzieckiem; znam tę sprawę tylko ze słyszenia. Pamiętam go z owych dni. Był niesłychanie miły. Ale od tego czasu obserwowałem go nieraz w towarzystwie kobiet; jest bardzo uprzejmy, niektóre z nich podobają mu się, ale czuje się, że są to dla niego po prostu ludzie, nie kobiety.

— Tak, ale teraz wobec Warieńki... Zdaje się, że jednak...

— Może i tak... Ale trzeba go znać... To szczególny, zadziwiający człowiek. Żyje życiem jedynie duchowym. Jest nazbyt czysty i duszę ma zanadto wzniosłą.

— Jak to? Czyżby go to miało poniżyć?

— Nie, ale on tak przywykł żyć życiem wyłącznie duchowym, że nie potrafi się pogodzić z rzeczywistością. A Warieńka — to jednak rzeczywistość.

Lewin teraz przywykł już śmiało wypowiadać swe myśli

nie zadając sobie fatygi, by oblekać je w dokładne słowa; wiedział, że Kitty w takich miłosnych godzinach jak obecna z jednego napomknienia zrozumie, co on chce powiedzieć. Istotnie — zrozumiała go i teraz.

— Tak, ale ona nie ma w sobie tej rzeczywistości, którą na przykład mam ja. Mnie by on nigdy nie pokochał. Ona jest całkowicie uduchowiona.

— Ależ nie, on cię bardzo kocha. Jest mi zawsze tak miło, że wszyscy moi tak cię lubią...

— Tak, on jest dobry dla mnie, ale...

— Nie tak jak nieboszczyk Nikoleńka... Pokochaliście się oboje — dokończył Lewin. — Czemu byśmy mieli o tym nie mówić? — dodał. — Nieraz robię sobie wyrzuty: skończy się na tym, że się o nim zapomni. Ach, jaki to 1 straszny, a zarazem uroczy człowiek... Tak... Więc o czymśmy to mówili?, zagadnął po chwili milczenia.

— Myślisz więc, że on się nie może zakochać? — przetłumaczyła jego słowa na swój język Kitty.

— Nie tyle, że się nie może zakochać — uśmiechnął się Lewin — ile że brak mu tych słabych stron, które są do tego potrzebne... Zawsze mu zazdrościłem, teraz nawet, kiedy taki jestem przecie szczęśliwy, także mu zazdroszczę.

— Zazdrościsz mu, że się nie może zakochać?

— Zazdroszczę mu, że jest ode mnie lepszy — wyjaśnił z uśmiechem Lewin. — On żyje nie dla siebie; całe jego życie upływa w jarzmie obowiązku. I dlatego stać go na spokój i zadowolenie.

— A ty? — spytała z drwiącym, ale pełnym miłości uśmiechem.

Nie byłyby nigdy w stanie wyrazić w słowach biegu myśli, który spowodował ten uśmiech, lecz wniosek z tych myśli stanowiło przekonanie, że mąż jej nie był szczery w swym

zachwycie oraz w swym poczuciu niższości wobec Sergiusza. Kitty wiedziała, że nieszczerłość ta pochodziła z przywiązania do brata, ze skrupułów wywołanych przez zbyt szczęścia, jakiego Lewin doznawał, a zwłaszcza z ustawicznej tęsknoty, by stać się lepszym. Lubiła w nim to i dlatego się uśmiechała.

— A ty? Z czego jesteś niezadowolony? — ten sam rodzaj uśmiechu: towarzyszył zapytaniu.

Jej niedowierzanie, by mógł być z siebie niezadowolony, cieszyło go i bezwiednie starał się ją pobudzić, by wypowiedziała powody tego niedowierzania.

— Jestem szczęśliwy, ale niekontent z siebie... — zaczął.

— Jakże możesz być niekontent, skoro jesteś szczęśliwy?

— To jest... Jak ci to powiedzieć!... W głębi duszy niczego nie pragnę ; poza tym, byś ty się teraz nie potknęła. Ach! nie wolno ci przecie tak skakać! — „j przerwał z wyrzutem, gdy Kitty uczyniła zbyt szybki ruch, by przestąpić leżący na ścieżce sęk. — Ale kiedy poczynam zastanawiać się nad sobą i porównuję siebie z innymi, zwłaszcza z bratem, czuję, że ze mną jest źle.

— Ależ pod jakim względem? — dopytywała się Kitty, wciąż z tym samym uśmiechem. — Czyż i ty nie pracujesz dla innych? A twoje futory? A: twoje gospodarstwo? A twoja książka?

— Nie, nie... Czuję sam, zwłaszcza obecnie... To ty jesteś temu winna! — wyrzekł przyciskając do siebie jej ramię. — Czuję, że to nie to. Robię to ot tak, i po łebkach. Gdybym mógł kochać te sprawy tak, jak kocham ciebie...

Tymczasem ja w ostatnich czasach pracuję jak nad zadaną lekcją.

— No, a co powiesz o papie? — spytała Kitty. — Czy z nim także jest źle, ponieważ nie robił nic dla spraw ogółu?

— Z nim? Nie. Ale trzeba mieć tę prostotę, tę

przejrzystość, tę dobroć, jakie ma twój ojciec, a czyż ja je posiadam? To ty tego wszystkiego narobiłaś. Gdy ciebie nie było i nie było jeszcze t e g o — tu rzucił okiem na jej figurę i Kitty go zrozumiała — pakowałem wszystkie moje siły w te sprawy; teraz tego nie potrafię i mam wyrzuty sumienia. Pracuję zupełnie tak, jakby to była zadana lekcja, markuję...

— No, a czy chciałbyś się teraz zamienić z Sergiuszem? — pytała dalej Kitty. — Czy zechciałbyś tylko pracować nad tą ogólną sprawą i kochać ową zadaną lekcję jak on, i nic poza tym?

— Oczywiście, że nie — odparł Lewin. — Zresztą jestem taki szczęśliwy, że nic a nic nie rozumiem. A tobie się już zdaje, że on się dzisiaj oświadczy? — zapytał po chwili milczenia.

— I tak, i nie. Ale strasznie bym tego chciała. Poczekaj no! — schyliła się i zerwała rumianek rosnący dziko na skraju drogi. — Teraz licz: oświadczy się, nie oświadczy — i podała mu kwiatek.

— Oświadczy się, nie oświadczy — mówił Lewin obrywając białe wąskie, wklęsłe płatki.

— Nie, nie! — schwyciła go za rękę Kitty, która z przejęciem patrzyła mu na palce. — Oderwałeś dwa naraz.

— Dobrze, ale za to ten malutki się nie liczy — zgodził się Lewin obrywając króciutki, niedorozwinięty płatek. — Otóż i linijka nas dogoniła.

— Kitty, czy nie jesteś zmęczona? — zawołała księżna.

— Ani trochę.

— Bo w przeciwnym razie siadaj z nami, o ile te konie są spokojne. Pojedziemy stępa.

IV

W swej białej chustce na kruczych włosach Warieńka, otoczona dziećmi, wesoło się nimi opiekowała. Wyraźnie przejęta możliwością oświadczyn ze strony mężczyzny, który się jej podobał, była bardzo pociągająca. Koznyszew szedł obok niej i nieustannie się nią zachwycił. Wpatrzony w nią, przypominał sobie te wszystkie miłe powiedzenia, jakie od niej słyszał, wszystko, co o niej dobrego wiedział, i coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że uczucie, które dla niej żywi, jest czymś niezwykłym, że doświadczył czegoś podobnego tylko i jeden, bardzo dawno, w dniach wczesnej młodości. Radość, którą napełniała goi jej obecność, wciąż wzrastała i doszła wreszcie do takiego nasilenia, że podając jej do koszyka znaleziony przez siebie olbrzymi na cienkiej nóżce podbrzeźniak z zagiętymi brzegami — spojrzawszy jej w oczy, a spostrzegłszy na twarzy Warieńki rumieniec radosnego zaleknienia, sam się również zmieszał i bez słowa uśmiechnął się do niej w sposób aż nazbyt wiele mówiący.

„Skoro tak jest — powiedział sobie — muszę się namyślić i zdecydować i zamiast poddawać się czarowi chwili jak młodzik.”

— Pójdę teraz samodzielnie zbierać grzyby, inaczej mój plon pozostanie nie zauważony — rzekł i odszedł sam jeden ze skraju lasu, gdzie przechadzali się po niskiej, jedwabistej trawie pomiędzy rzadko rosnącymi starymi brzożami, w głąb, gdzie wśród białych pni brzoż szarzały pnie osin i odcinały się ciemniejsze krzaki leszczyny. Oddaliwszy się o czterdzieści kroków od skraju i znalazłszy się za trzmielinowym krzakiem, który stał w pełnym rozkwicie, ze swymi; różowo-czerwonymi kolczykami, Koznyszew — pewien, że go stamtąd nie widać — zatrzymał się. Dokoła panowała zupełna cisza. Tylko u wierzchołków brzoż, pod którymi się znajdował, jak rój pszczół huczały bez przerwy

muchy. Z rzadka dolatywały też głosy dzieci. Nagle, niedaleko, od skraju lasu odezwał się kontralt Warieński wołającej Griszę. Radosny uśmiech opromienił twarz Koznyszewa. Uświadomił sobie wszakże zaraz, że się uśmiechnął, pokiwał z i niezadowoleniem głową nad swym nastrojem i wydostawszy cygaro począł je zapalać. Długo nie udawało mu się rozniecić zapałki o pień brzozy: delikatna blonka białej kory odlepiła fosfor i płomyk gasł. Wreszcie jedna z zapałek zajęła się i wonny dym cygara jak szeroki rozkołysany obrus widomie posunął się naprzód i zawisł nad krzakiem, aż po zwisające gałęzie brzozy. Wiodąc oczyma za smugą Koznyszew ruszył wolnym krokiem nie przestając się zastanawiać nad nastrojem, w jakim się znajdował.

„Dlaczegoż by i nie? — myślał. — Gdyby to był poryw lub namiętność, gdybym odczuwał tylko ten pociąg — ten wzajemny pociąg (wolno mi powiedzieć wzajemny), ale miałbym przekonanie, że jest on sprzeczny z całym układem mego życia, gdybym czuł, że poddając mu się zdradzę powołanie i moje obowiązki... Ale tak nie jest. Istnieje tylko jeden argument : przeciw: oto po stracie Marie powiedziałem sobie, że pozostanę wierny jej pamięci. Tylko to jedno sprzeciwia się moim sentymentom... I to jest ważne” — myślał Koznyszew zdając sobie jednocześnie sprawę, że ten wzgląd dla niego osobiście nie mógł mieć żadnego znaczenia i chyba tylko jego poetyczna rola mogła uciepnieć w oczach innych. „Ale poza tym, chociaż bym nie wiem jak szukał, nie znajdę żadnych argumentów przeciwko memu uczuciu. Gdyby dyktował mi sam tylko rozum, nie mógłbym zrobić lepszego wyboru.”

Przypominając sobie niezliczone mnóstwo znajomych kobiet i dziewcząt nie mógł wywołać w pamięci ani jednej dziewczyny, co by w tym stopniu łączyła w sobie wszystkie,

ale to wszystkie zalety, jakie — rozważając na zimno — pragnął znaleźć w żonie. Posiadała cały urok i świeżość młodości, nie była jednak dzieckiem i jeśli kochała go, to kochała świadomie, tak jak powinna kochać kobieta. To było jedno. Po drugie: nie tylko nie była światowa, ale miała wyraźny wstręt do światowości. Mimo to znała świat i posiadała te wszystkie formy osoby z dobrego towarzystwa, bez których towarzyska życia była dla Koznyszewa nie do pomyślenia. Po trzecie: była religijna, nie jak dziecko — nieświadomie religijna i dobra, w rodzaju na przykład Kitty, lecz życie jej opierało się na religijnych zasadach. Nawet w drobiazgach Koznyszew znajdował w niej to wszystko, czego wymagał od żony: była niezamożna i samotna, tak że nie wprowadziłaby za sobą do domu męża całej gromady krewnych wraz z ich wpływem, jak to widać było na przykładzie Kitty, wszystko natomiast zawdzięczałaby mężowi, a tego również zawsze pragnął myśląc o rodzinnym życiu w przyszłości. I ta dziewczyna skupiająca w sobie wszystkie owe zalety kochała go. Był człowiekiem skromnym, ale nie mógł tego nie zauważyć. I on kochał ją również. Jedynym względem przemawiającym przeciwko — był jego wiek. Ale jego rasa była długowieczna: nie miał ani jednego siwego włosa, nikt mu nie dawał na oko czterdziestu lat. Tu przypomniawszy sobie słowa Warieńki, że tylko w Rosji ludzie mający pięćdziesiąt lat poczytują się sami za starych, we Francji człowiek pięćdziesięcioletni uważa, że jest *dans la force de l'âge**, a czterdziestolatek ma się za — *un jeune homme**. Cóż jednak znaczył rachunek lat wobec tego, że mógł stwierdzić u siebie taką młodość duszy, jaką cieszył się dwadzieścia lat temu? Nie był to młodość — owo uczucie, które go teraz ogarnęło, gdy po wyjściu z drugiej strony na

* *Dans...* — w sile wieku.

* *Un jeune homme* — młody człowiek.

brzeg lasu znów ujrzał w ostrym świetle ukośnych promieni słońca wdzięczną postać Warieńki w żółtej sukni, jak lekko omijała pieri starej brzozy? Nie byłaż to młodość, gdy wrażenie to zlało mu się w jedno z niezwykle pięknym widokiem na żółkniejące pole owsa zalane ukośnymi promieniami, a za polem — na odległy stary las, pstry od żółcizn i roztopiający się w błękitnym oddaleniu? Poczuł radosny skurcz serca; ogarnęło go rozrzewnienie. Stwierdził, że decyzja jego już zapadła. Warieńka, która właśnie przycupnęła, by zerwać grzyb, elastycznym ruchem podniosła się i zwróciła twarz w jego stronę. Koznyszew rzucił cygaro i skierował się ku niej stanowczym krokiem.

V

„Gdy byłem jeszcze bardzo młody, stworzyłem sobie ideał kobiety, którą mógłbym pokochać i którą rad bym nazwać żoną. Przeżyłem długie życie i teraz po raz pierwszy w osobie pani znalazłem to, czego szukałem. Kocham panią i ofiaruję pani moją rękę.”

Będąc już tylko o dziesięć kroków od Warieńki, która klęcząc broniła grzyb od zakusów Griszy i przywoływała małą Maszę, Koznyszew powtarzał sobie w myśli te słowa.

— Tu, tutaj dzieciaczki! Tu jest ich dużo! — rozbrzmiewał jej przyjemny głęboki fłos.

Ujrawszy zbliżającego się Koznyszewa nie podniosła się z klęczek i nie zmieniła pozy, lecz ze wszystkiego mógł łatwo poznać, że wyczuwa jego powrót i że jest mu rada.

— A co, czy znalazł pan cokolwiek? — spytała zwracając ku niemu ze spokojnym uśmiechem swą piękną twarz spoza białej chustki.

— Ani jednego — rzekł Koznyszew. — A pani?

Nie odpowiedziała, zajęta dziećmi, które ją otoczyły.

— Jeszcze i ten, tam obok gałązki — wskazała małej Maszy malutką surojadkę przeciętą w poprzek sprężystej różowej czapeczki przez suchą trawkę, spod której grzybek usiłował się uwolnić. Waria wstała, gdy Masza rozłamawszy surojadkę na dwie małe połówki podniosła ją. — Przypomina mi to dzieciństwo — zauważyła i razem z Koznyszewem oddaliła się od dzieci.

Przeszli kilka kroków w milczeniu. Warieńka widziała, że towarzysz jej pragnie mówić, domyślała się — o czym, i omdlewała, miotana na przemian radością i strachem. Oddalili się tak bardzo, że już by ich nikt nie mógł dosłyszeć, a on wciąż jeszcze nie zaczynał. Warieńka najlepiej byłaby uczyniła zachowując milczenie. Po chwili ciszy łatwiej byłoby wypowiedzieć to, co wypowiedzieć pragnęli, niż po rozpoczętej rozmowie o grzybach; tymczasem Warieńka wbrew własnej woli, jakby przypadkowo, zauważyła:

— Więc pan nic nie znalazł? Zresztą w środku lasu zawsze jest ich mniej.

Koznyszew westchnął i nic nie odpowiedział; było mu przykro, że Warieńka zaczęła mówić o grzybach. Chciał zwrócić rozmowę ku poprzednim słowom Warieńki o dzieciństwie, lecz jakby wbrew własnej woli, po chwili milczenia nawiązał do jej ostatniej uwagi:

— Słyszałem tylko, że borowiki rosną przeważnie na skraju lasu, chociaż co do mnie, nie umiem rozpoznać borowika.

Przeszło kilka chwil; oddalili się jeszcze bardziej od dzieci i byli zupełnie sami. Serce Warieńki biło tak mocno, że słyszała jego uderzenia i czuła, że rumieni się, blednie i znów się rumieni.

W porównaniu do sytuacji, jaka była jej udziałem u pani

Stahl, małżeństwo z takim człowiekiem jak Koznyszew wydawało się jej szczytem szczęścia. Poza tym była prawie pewna, że jest w nim zakochana. Teraz to się miało rozstrzygnąć. Zdejmował ją strach. Strach, że Koznyszew powie, i strach, że a nuż nie powie.

Należało się oświadczyć teraz albo nigdy: czuł to i Koznyszew. U Warieńki wszystko — i spojrzenie, i rumieniec, i spuszczone oczy — wskazywało na bolesne oczekiwanie. Koznyszew widział to i współczuł jej; zdawał sobie nawet sprawę, że nic nie powiedzieć teraz równałoby się obrazie. Rekapitulował szybko w duchu wszystkie argumenty na korzyść swej decyzji, powtarzał nawet słowa, w których zamierzał być wypowiedzieć oświadczyny. Zamiast tych słów wszelako, powodowany jakimś nagłym skojarzeniem, zapytał znienacka:

— A jakaż jest różnica pomiędzy borowikiem a podbrzeźniakiem? Wargi Warieńki drżały ze wzruszenia, gdy odrzekła:

— Główki prawie że się nie różnią, ale pieniek jest inny.

Skoro tylko zabrzmiały te słowa, oboje — ona i on — zrozumieli, że kłamka zapadła, że to, co miało być wypowiedziane, wypowiedziane nie zostanie. Wzruszenie ich, przedtem dochodzące do zenitu, poczęło opadać.

— Jeśli chodzi o podbrzeźniaka, to pieniek jego przypomina brodę bruneta nie golonego od dwóch dni — wyrzekł już spokojnie Koznyszew.

— Tak, to prawda — uśmiechnęła się Warieńka i bezwiednie oboje zmienili kierunek przechadzki zbliżając się do dzieci. Warieńkę, mimo zmartwienia i wstydu, jednocześnie ogarnęło uczucie ulgi.

Po powrocie do domu i zanalizowaniu wszystkich argumentów Koznyszew uznał, że rozumowanie jego było

błędne. Nie mógł zdradzić pamięci Marie.

— Wolniej, dzieci, wolniej! — krzyknął z pewnym nawet gniewem Lewiira zasłaniając sobą żonę, by ją obronić przed pędzącą ku nim z piskiem radości gromadką dzieci.

W ślad za dziećmi wyszli także z lasu Koznyszew z Warieńką. Kitty nie potrzebowała jej o nic pytać. Ze spokojnych, lecz nieco zażenowanych twarzy obojga poznała, że plan jej się nie udał.

— No i cóż? — spytał ją mąż w czasie powrotu do domu. ,

— Nie chyciło — odpowiedziała Kitty. Uśmiech jej i sposób mówienia przypominały czasem ojca, co Lewin nieraz stwierdzał z zadowoleniem.

— Jak to nie chyciło?

— Ot, tak — wzięła dłoń męża, uniosła ją do ust i dotknęła je zamkniętymi wargami. — Tak się całuje archijereja w rękę.

— U kogo nie chyciło? — roześmiał się.

— U nikogo z obojga. A trzeba by — tak...

— Chłopi nadjeżdżają...

— Nie. Nic nie zobaczyli.

VI

Podczas podwieczorku dzieci — dorośli siedzieli na balkonie i rozmowa toczyła się tak, jakby nic się nie stało, chociaż wszyscy, a zwłaszcza Sergiusz i Warieńką, doskonale wiedzieli, że stało się coś, chociaż negatywnego, ale bardzo istotnego. Byli oboje w tym samym nastroju, przypominającym uczucie, jakie ogarnia ucznia, który po nieudanym egzaminie pozostał w tej samej klasie lub na zawsze został wykluczony z zakładu. Wszyscy obecni j wyczuwając również, że coś się stało, rozmawiali z

ożywieniem na postronne tematy. Lewin i Kitty byli tego wieczoru niezwykle szczęśliwi i rozkochani.. To, że szczęście swe czerpali z wzajemnej miłości, zawierało jakby jakiś niemiły przytyk do osób, które pragnęły tego samego i którym się nie udało — toteż mieli pewne skrupuły.

— Zapamiętajcie moje słowa: Alexandre nie przyjedzie — zauważyła stara księżna.

Tego dnia oczekiwano wieczornym pociągiem Obłońskiego. Stary księżę pisał, że może i on też się wybierze. ,

— I wiem, dlaczego nie przyjedzie — ciągnęła dalej księżna. — Sądzi, że młodych małżonków należy w pierwszych czasach pozostawić samych.

— Przecie i tak papa już się nas całkiem wyrzekł. Zupełnieśmy go nie widzieli — wtrącała Kitty. — I jacy z nas nowożeńcy?! Tacy już jesteśmy starzy.

— A jeśli Alexandre nie przyjedzie, to i ja was pożegnam, moje dzieci — westchnęła smutnie księżna.

— Co też mama naprawdę! — zaprotestowały obie córki.

— Pomyśl tylko, jak on się tam teraz czuje? Przecież...

I nagle zupełnie nieoczekiwanie głos starej księżnej zadrzął. Córki umilkły i spojrzały na siebie. „*Maman* zawsze upatrzy sobie coś smutnego” — powiedziała jedna do drugiej tym spojrzeniem. Nie wiedziały, że chociaż księżna u córki czuła się jak najlepiej, chociaż wiedziała, że jest potrzebna, było jej wraz z mężem niesłychanie smutno od czasu, gdy wydali za mąż ostatnią, najulubieńszą z córek i gniazdo rodzinne opustoszało.

— Czego Agafia Michajłowna sobie życzy? — zwróciła się Kitty do Agafii, gdy ta weszła i stanęła z tajemniczą miną, która na pewno coś oznaczała.

— To o kolację.

— Świetnie — zawołała Dolly. — Idź ty i wydaj dyspozycje, a ja pójde powtórzyć lekcje z Griszą. On dziś w ogóle nic nie robił.

— To przytyk do mnie! Nie, Dolly, ja pójde — i Lewin zerwał się z miejsca.

Grisza, który uczęszczał do gimnazjum, miał przez lato powtarzać lekcje. Dolly jeszcze w Moskwie uczyła się łaciny razem z synem, a po przyjeździe do Lewinów wzięła sobie za zadanie powtarzać z nim, przynajmniej raz na dzień, najtrudniejsze lekcje z arytmetyki i łaciny. Lewin zaproponował, że ją zastąpi; Dolly wszakże będąc przy tym raz obecna zauważyła, że Lewin udziela lekcji inaczej niż korepetytor w Moskwie. Zakłopotana, starając się nie urazić Lewina, stanowczo oświadczyła, że należy przechodzić wszystko podług książki, tak jak to robił nauczyciel, i że już lepiej ona sama będzie dawała lekcje. Lewin zły był na Obłońskiego za to, że z powodu jego lekkomyślności nie on, lecz matka, nie mająca o tym pojęcia, ma pieczę nad kształceniem dzieci, i zły na nauczycieli — że tak kiepsko uczą; szwagierce jednak obiecał prowadzić naukę tak, jak tego żądała. Toteż odtąd uczył Griszę nie po swojemu, lecz według książki; robił to więc niechętnie i nieraz zapominał, że czas na lekcję. Tak było i obecnie.

— Nie, to ja pójde, Dolly, a ty sobie tu posiedź — powiedział. — Odrobimy wszystko po kolei, według książki. Jedno tylko: kiedy przyjedzie Stiwa, pojedziemy z nim na polowanie. Wtedy opuścimy lekcje.

I Lewin poszedł do Griszy.

To samo powiedziała Warieńka do Kitty. Nawet w pełnym szczęścia, dobrze prowadzonym domu Lewinów potrafiła być użyteczna.

— Ja zadysponuję kolacją, a ty sobie zostań tutaj — rzekła

i skierowała się wraz z Agafią ku drzwiom.

— Tak, tak... Pewno nie dostali kurcząt. W takim razie trzeba wziąć nasze... — zaczęła Kitty.

— Już my to z Agafią Michajłówną załatwimy — i Warieńka ulotniła się razem ze starą.

— Jaka to miła dziewczyna! — zauważyła księżna.

— Nie, *mantem*, nie miła, ale po prostu urocza. Drugiej takiej nie ma.

— Więc oczekujecie dziś Stiwy? — wtrącił Koznyszew nie pragnąc oczywiście, by się rozmowa o Warieńce przedłużała. — Trudno znaleźć dwóch szwagrów, którzy byliby mniej do siebie podobni — rzekł z subtelnym uśmiechem. — Jeden, ruchliwy, nie potrafi żyć bez towarzystwa jak ryba bez wody; drugi, nasz Kostia — żywy, prędki, wrażliwy na wszystko, ale niech się tylko znajdzie w towarzystwie, to albo zdrętwieje ze strachu, albo miota się bez sensu jak ryba na piasku.

— Tak, jest bardzo lekkomyślny — oświadczyła księżna zwracając się do Sergiusza. — Chciałam właśnie prosić pana o pomówienie z nim. Ona — tu wskazała na Kitty — nie może pozostawać tutaj: musi koniecznie przenieść się do Moskwy. Tymczasem on chce sprowadzić tutaj doktora...

— *Maman*, Kostia wszystko robi, na wszystko się zgadza — Kitty była zła na matkę, że w takiej sprawie odwołuje się do sądu Koznyszewa.

Wpółśród tej rozmowy rozległo się w alei parskanie koni i turkot kół po żwirze.

Dolly nawet nie zdążyła podnieść się z miejsca, by wyjść na spotkanie męża, a już na dole, z okna pokoju, gdzie odbywała się lekcja, wyskoczył Lewin i zsadził na ziemię Griszę.

— To Stiwa! — krzyknął spod balkonu. — Skończyliśmy,

Dolly, bądź spokojna! — dodał i jak mały chłopak puścił się pędem na spotkanie powozu.

— *Is, ea, id, ejus, ejus, ejus** — wołał Grisza podskakując na drodze.

— I ktoś jeszcze. Pewno papa! — wykrzyknął Lewin zatrzymując się na początku alei. — Kitty, nie schodź po tych stromych schodach. Przejdź naokoło.

Lewin jednak omylił się biorąc siedzącego w powozie przybysza za starego księcia. Kiedy się znalazł bliżej powozu, ujrzał obok Stiepana Arkadjicza nie teścia, lecz przystojnego, tęgiego młodego człowieka w szkockiej czapeczce z długimi końcami wstążek odrzuconymi do tyłu. Był to Wasieńka Wiesłowski, kuzyn Szczerbackich, petersbursko — moskiewski wykwinnięś, „przepocziwy chłopak i zajadły myśliwy”, jak go Obłoński przedstawił.

Wiesłowski bynajmniej nie zażenowany rozczarowaniem, jakie spowodował zjawiając się zamiast starego księcia, przywitał się wesoło z Lewinem, przypominając mu poprzednio już zawartą znajomość, i pochwyciwszy Griszę, przerzucił go do powozu przez wyżła pointera, którego wiozł ze sobą Obłoński.

Lewin nie wszedł; siedł za powozem. Trochę mu było markotno, że nie przyjechał stary książę, którego tym więcej lubił, im dłużej go znał, a trochę był zły, że zjawił się ten Wasieńka Wiesłowski, ktoś całkiem obcy i zbyteczny. Wydał mu się on tym bardziej zbędnym i obcym, gdy wracając pod ganek, gdzie skupiła się cała gwarna gromadka dorosłych i dzieci, zobaczył, że Wasieńka w specjalnie serdeczny i pełen galanterii sposób całuje rękę Kitty.

— Małżonka pańska i ja jesteśmy *cousins**, a poza tym starzy znajomi — rzekł Wasieńka Wiesłowski, ponownie z

* *Is*... — on, ona, jego, jej, jego.

* *Cousins* — kuzyni.

całej siły ściskając dłoń pana domu.

— No i cóż, czy jest zwierzyzna? — zwrócił się do Lewina Obłoński, który ledwo mógł nadażyć powitaniom. — My obaj mamy zamiary jak najbardziej krwiożercze. — Jak to, *maman*, przecież od tego czasu nie było ich w Moskwie. — No, Taniu, to dla ciebie! — Wydostań, proszę, z powozu: jest tam w tyle — rzucał na wszystkie strony jednocześnie. — Wyglądasz tak wypoczęta, Dolleńko — pocałował żonę powtórnie w rękę, przytrzymując ją w swojej i klepiąc jej dłoń drugą ręką.

Lewin, który chwilę temu był w najlepszym humorze, teraz spoglądał chmurnie na obecnych i nic nie znajdowało łaski w jego oczach.

„I kogo on wczoraj całował tymi samymi wargami?” — rozmyślał patrząc na czułość Obłońskiego wobec żony. Spojrzał na Dolly i ona również mu się nie spodobała.

„Przecież ona nie wierzy w jego miłość. Dlaczego więc się tak cieszy? Jakie to obrzydliwe!” — pomyślał.

Rzucił okiem na księżną, która przed chwilą jeszcze była mu tak sympatyczna, i nie podobał mu się sposób, w jaki — jakby to był jej dom — powitała tego Wasieńkę razem z jego wstążkami.

Nawet Sergiusz, który także wyszedł na ganek, wydał mu się antypatyczny z tą udaną serdecznością, z którą powitał Stiwę, chociaż — jak Lewin wiedział — nie lubił i nie szanował Obłońskiego.

I Warieńka była mu wstrętna. Witała się z tym panem ze swym wyglądem *sainte nitouche*^{*}, a tymczasem tylko myślała, jak by się za męża wydać.

A najwstrętniejsza ze wszystkich była Kitty. Dostroila się bowiem do tego wesołego tonu, z którym ów pan traktował

* *Sainte*... — w przenośni: świętoszka, niewiniątko.

swój przyjazd na wieś niby jakieś święto dla siebie i dla wszystkich. Zwłaszcza antypatyczna była z tym szczególnym jakimś uśmiechem, jakim odpowiadała na jego uśmiechy.

Całe towarzystwo weszło do domu rozmawiając hałaśliwie; ledwo jednak wszyscy usiedli, Lewin cofnął się i wyszedł.

Kitty dostrzegła, że z mężem dzieje się coś niezwykłego. Zamierzała zawieźć chwilę, by z nim sam na sam pomówić, lecz on spieszenie się od niej oddalił pod pozorem zajęcia w kancelarii. Już dawno sprawy gospodarcze nie wydawały mu się tak ważne jak obecnie. „Dla nich jest zawsze święto — mówił sobie — tymczasem bywają sprawy nieświęteczne, sprawy, które nie mogą czekać, a bez których obejść się nie sposób.”

VII

Lewin powrócił do domu dopiero, gdy go wezwano na kolację. Na schodach stała Kitty z Agafią: naradzały się nad wyborem win do kolacji.

— Po co robicie taki *fuss**? Dać to, co zawsze.

— Nie: Stiwa tego nie pija... Kostia, poczekaj, co ci jest? — zagadnęła go Kitty starając się nadażyć za nim, lecz on bezlitośnie, nie czekając na nią, odszedł do jadalni i dołączył się tam wnet do ogólnej ożywionej rozmowy, podtrzymywanej przez Wasieńkę Wiesłowskiego i Stiepana Arkadjicza.

— No i cóż, czy jedziemy jutro na polowanie? — spytał Obłoński.

— Proszę bardzo, jedźmy — podtrzymał go Wiesłowski przesiadając się bokiem na inne krzesło i podwijając pod

* *Fuss* — gwałt, zamieszanie.

siebie nogę.

— Ależ z przyjemnością. Pojedziemy. Czy pan już w tym roku polował? — Lewin zwrócił się do niego, uważnie przyglądając się jego nodze. Mówił z udaną uprzejmością, którą Kitty tak dobrze знаła i z którą tak mu było nie do twarzy. — Nie wiem, czy znajdują się dubelty, za to jest dużo bekasów. Tylko trzeba wyruszyć wcześniej. Czy to pana nie zmęczy? Stiwa, nie jesteś zmęczony?

— Ja? Zmęczony?! Jeszcze nigdy w życiu nie byłem zmęczony. Wiecie co, nie kładźmy się tej nocy wcale! Chodźmy się przejść.

— Rzeczywiście, nie kładźmy się spać! Doskonale! — potakiwał Wiesłowski.

— Jesteśmy przekonani, że ty potrafisz i sam nie spać, i innym nie dać spać — Dolly traktowała męża z ledwo dostrzegalną ironią, która teraz stale zabarwiała jej stosunek do niego. — A moim zdaniem, już teraz czas... Ja już idę się położyć, kolacji i tak nie jadam.

— Ależ nie, posiedź z nami, Dolleńko — prosił Obłoński i przeszedł na jej stronę u dużego stołu, przy którym jedzono kolację. — Mam ci jeszcze tyle do opowiedzenia!

— Pewno nic takiego.

— Wiesz, Wiesłowski był u Anny. I znowu tam do nich jedzie. Przecie to tylko siedemdziesiąt wiorst stąd. I ja też koniecznie pojedę. Wiesłowski, chodź no tutaj.

Wasieńka podszedł do dam i usiadł obok Kitty.

— Ach, niechże pan opowie, proszę! Był pan u niej? Jakże ona się miewa? — zwróciła się do niego Daria Aleksandrowna.

Lewin pozostał na drugim końcu stołu i nie przerywając rozmowy ze starą księżną i Warienka dostrzegł, że pomiędzy Obłońskim, Dolly, Kitty i Wiesłowskim zawiązała się

ożywiona i tajemnicza wymiana zdań. Nie dość, że rozmawiali, ale dostrzegął z wyrazu twarzy żony — która nie odrywając oczu wpatrzona była w przystojnego Wasieńkę opowiadającego coś z ożywieniem — że była naprawdę przejęta.

— Bardzo u nich miło — opowiadał Wasieńka o Wrońskim i Annie. — Oczywiście, nie moja rzecz sądzić, ale w domu ich panuje nastrój zupełnie rodzinny.

— I cóż oni mają zamiar robić?

— Zdaje się, że na zimę chcą jechać do Moskwy.

— Dobrze by było, gdybyśmy się mogli u nich spotkać. Kiedy tam się wybierasz? — spytał Obłoński Wiesłowskiego.

— Spędzę u nich lipiec.

— A ty, czybyś nie pojechała? — zagadnął Stiepan Arkadjicz żonę.

— Od dawna wybieram się i pojedę — odrzekła Dolly. — Żał mi jej. Znam ją dobrze; to przemiła kobieta. Pojadę do niej sama, po twoim wyjeździe, żeby i nie sprawić nikomu kłopotu. Nawet lepiej będzie bez ciebie.

— Doskonale — zgodził się Obłoński. — A ty, Kitty?

— Ja? Po cóż bym ja miała jechać? — oblała się rumieńcem Kitty i rzuciła okiem na Lewina.

— Więc pani zna Annę Arkadiewnę? — spytał Wiesłowski. — To pełna uroku kobieta.

— Tak jest — odpowiedziała rumieniąc się jeszcze bardziej, po czym wstała i podeszła do męża.

— Więc jedziesz jutro na polowanie? — spytała.

Tymczasem zazdrość Lewina zdążyła zrobić duże postępy, począwszy zwłaszcza od rumieńca, który oblał twarz Kitty, gdy rozmawiała z Wiesłowskim. Słuchając jej słów rozumiał je teraz po swojemu. Przypominając to sobie później, sam się temu bardzo dziwił, ale w danej chwili wydawało mu się

jasne, że skoro Kitty pyta go, czy jedzie na polowanie, to interesuje ją to — jedynie, ponieważ pragnie wiedzieć, czy mąż sprawi tę przyjemność Wasieńce Wiesłowskiemu, w którym, w pojęciu Lewina, już była zakochana.

— Tak, pojedę — odparł nienaturalnym głosem, który w nim samym budził wstręt.

— Nie, lepiej pozostańcie jutro w domu, inaczej Dolly zupełnie się z mężem nie zobaczy, i zapolujecie pojutrze — rzekła Kitty.

Lewin już teraz tłumaczył sobie sens słów Kitty w sposób następujący!: „Nie rozłączaj mnie z nim. To, że odjedziesz ty — jest mi obojętne, ale daj mi się nacieszyć towarzystwem tego uroczego młodego człowieka.”

— O, jeśli sobie tego życzysz, pozostaniemy w domu przez dzień jutrzejszy — odparł z wyszukaną uprzejmością.

Tymczasem Wasieńka zupełnie się nie domyślając cierpień, jakie spowodował jego przyjazd, wstał z za stołu w ślad za Kitty i podążył za nią, wpatrzony w nią przyjaźnie roześmianymi oczyma.

Lewin dostrzegł to spojrzenie: pobladł i przez chwilę zabrakło mu tchu. „Jak on śmie tak patrzeć na moją żonę!” — wrzało w nim gniewnie.

— A więc jutro? Tylko jedźmy, proszę — powiedział Wasieńka przysiadając się do nich i znów swoim zwyczajem podwinął pod siebie nogę.

Zazdrość Lewina posunęła się jeszcze dalej. Widział już siebie w roli zdradzonego męża, którego żona i kochanek potrzebują tylko po to, by dostarczał im wygodę życiowych i przyjemności... Ale mimo to uprzejmie i gościnnie rozpytywał Wasieńkę o jego polowania, o strzelbę i buty, i zgodził się, by jechać nazajutrz.

Na szczęście dla Lewina stara księżna położyła kres jego

cierpieniom, nie tylko bowiem sama wstała, ale poradziła Kitty, by poszła również spać. Dla Lewina jednak nie obeszło się i tu bez nowego udręczenia. Życząc pani domu dobrej nocy Wasieńka chciał ją powtórnie pocałować w rękę, ale Kitty, rumieniąc się, z naiwną niegrzecznością — za co później matka jej dała burę — usunęła dłoń mówiąc:

— To jest u nas nie przyjęte.

W oczach Lewina Kitty zawiniła pozwalając na takie obejście, a jeszcze bardziej zawiniła okazując tak niezręcznie, że się jej to nie podoba.

— I co za przyjemność iść spać! — zawołał Obłoński, który po kilku wypitych przy kolacji kieliszkach wina wpadł w jak najprzyjemniejszy i najpoetyczniejszy nastrój. — Spójrz no, Kitty — mówił pokazując na wschodzący spoza lip księżyc — jakie to prześliczne! Wiesłowski, oto właściwa chwila na serenadę. Wiesz, on ma ładny głos. Zestroiliśmy w drodze nasze głosy. Przywiózł ze sobą prześliczne romanse, dwa z nich — nowe. Można by je zaśpiewać z m—lle Warieńką.

Gdy się wszyscy rozeszli, Obłoński długo jeszcze przechadzał się z Wiesłowskim po alei i słysząc było, jak próbują zestroić głosy do nowego romansu.

Słuchając ich Lewin siedział zasępiony w fotelu w sypialni żony i odpowiadał uporczywym milczeniem na jej zapytania, co mu jest. Dopiero gdy ona sama z nieśmiałym uśmiechem spytała w końcu: „A może ci się coś nie podobało z Wiesłowskim?”, wybuchnął i wypowiedział wszystko; to, co mówił, uchybiało właściwie także i jemu, toteż wpadał w jeszcze większe rozdrażnienie.

Stał przed nią: spod nastroszonych brwi oczy mu przerażająco błyszcząły; krzepkie ręce cisnął do piersi, jakby nateżając wszystkie siły, by zapanować nad sobą. Twarz jego

była sroga, okrutna, ale malowało się na niej jednocześnie cierpienie, które wzruszyło Kitty. Szczęki mu drgały, a głos się łamał.

— Zrozum, że nie jestem zazdrosny... Cóż to za obrzydliwe słowo! Nie mogę być zazdrosny, nie mogę wierzyć, żebyś ty... Nie potrafię powiedzieć, co czuję, ale to jest okropne... Jestem nie zazdrosny, ale dotknięty i poniżony tym, że ktoś ośmiela się myśleć, śmie patrzeć na ciebie takimi oczyma.

— Ależ jakimi oczyma? — dopytywała się Kitty usiłując skrupulatnie przypomnieć sobie wszystkie powiedzenia i gesty tego wieczoru i połapać się w ich odcieniach.

W gruncie rzeczy znajdowała, że było istotnie coś w tym momencie, gdy Wiesłowski poszedł za nią na drugi koniec stołu, ale nie śmiała wyznać tego nawet przed sobą, a coś dopiero powiedzieć mężowi i jeszcze więcej go tym zmartwić.

— I cóż może być we mnie teraz pociągającego? Jakże ja?

...

— Ach! — krzyknął chwytając się za głowę. — Już lepiej nic nie mów. Czy to ma znaczyć, że gdybyś była pociągająca...

— Ależ nie, Kostia, poczekajże, posłuchaj! — mówiła obracając ku niemu udręczoną, ale pełną współczucia twarzą. — I cóż takiego ostatecznie możesz myśleć? Przecież dla mnie ludzie nie istnieją, nie ma ich, nie ma!... Czy chcesz, żebym nikogo nie widywała?

W pierwszej chwili jego zazdrość oburzyła ją; była zła, że najmniejsza rozrywka, i to jak najbardziej niewinna, miała jej być wzbroniona; ale teraz już chętnie poniosłaby nawet poważniejsze ofiary dla jego spokoju, wyrzekłaby się wszystkiego, byle uwolnić go od męki, którą cierpiał.

— Zrozum, proszę cię, okropność i komizm mojej sytuacji — ciągnął dalej 1 zdesperowanym szeptem — przecież on znajduje się pod moim dachem, przecież właściwie żadnej nieprzyzwoitości nie popełnił, poza tą nonszalancją i podwijaniem nóg pod siebie. On uważa, że to jest w najlepszym tonie, więc muszę być dla niego uprzejmy.

— Ależ, Kostia, przesadzasz — Kitty w głębi serca cieszyła się: miłość jego dla niej była więc aż tak gwałtowna, że szukała sobie ujścia w zazdrości.

— Najokropniejsze jest to, że ty — jesteś taka jak zawsze, i teraz, kiedy, stałaś się dla mnie świętością, kiedy jesteśmy tacy szczęśliwi, tacy wyjątkowo szczęśliwi, nagle taki ladaco... Nie ladaco zresztą, po co ja na niego wymyślam? Nic mi do niego. Ale czemu moje, twoje szczęście?...

— Wiesz co, już rozumiem, skąd to poszło — zaczęła znowu Kitty.

— Skąd? Skąd?

— Widziałam, jakeś patrzył, gdyśmy rozmawiali przy kolacji.

— No tak, tak! — z niepokojem potwierdził Lewin.

Zadyszana ze wzruszenia, opowiedziała mu, o czym była mowa. Lewin milczał chwilę, po czym przyjrzał się jej bladej, wylęknionej twarzy i złapał się nagle za głowę.

— Katia, ja cię zadręczam! Najmilsza, przebacz! To wariactwo! Katia, jestem bezprzykładnie winien. Jak ja mogłem z powodu takiego głupstwa tyle się nacierpieć!

— Ależ nie... Żal mi cię tylko.

— Mnie, mnie żałujesz? Cóż ja jestem? Wariat!... Ale za co ja ciebie?...

Takie to straszne, że każdy obcy człowiek może nam zepsuć szczęście.

— Rozumie się. I to właśnie jest takie dokuczliwe.

— A więc nie! Teraz, przeciwnie, zatrzymam go umyślnie na całe lato i będę go zasypywał uprzejmościami — mówił całując jej ręce. — Jutro... Ach tak, prawda: jutro jedziemy.

VIII

Nazajutrz panie jeszcze były u siebie, gdy zajęchały myśliwskie pojazdy: bryczka myśliwska i wózek, a Łaska, która już od rana domyśliła się, że będzie polowanie, i naskomlała, naskakała się do syta, teraz siedziała na bryczce obok stangreta, zdenerwowana zwłoką, spoglądając krytycznie na drzwi, w których wciąż jeszcze nie ukazywali się myśliwi. Pierwszy zjawił się Wasieńka Wiesłowski w nowych butach z cholewami sięgającymi połowy grubych ud, w zielonej bluzie przepasanej nową ładownicą, która pachniała świeżą skórą, i w swym kołpaczku ze wstążkami. Jego nowiuteńka angielska strzelba nie miała ani antabek* ani rzemienia. Łaska skoczyła ku niemu, przywitała go, skacząc spytała na swój sposób, czy tamci prędko wyjdą, a nie otrzymawszy odpowiedzi przybrała wyczekującą pozę i znów zastygła bez ruchu, z głową przechyloną na bok i nastawionym jednym uchem. Wreszcie drzwi z trzaskiem się otwały i wypadł z nich kręcąc się i obracając w powietrzu Krak, łaciaty pointer Obłońskiego, po czym ukazał się sam Obłoński ze strzelbą w ręce i cygarem w ustach. „Waruj, waruj, Krak!” — wołał pieścizotliwie na psa, który sięgał mu łapami do piersi i brzucha, zaczepiając przy tym o torbę myśliwską. Stiepan Arkadjicz, w łapciach i owijaczach, miał na sobie wystrzępione spodnie, krótkie paletko, a na głowie ruinę jakiegoś kapelusza, ale za to jego strzelba najnowszego modelu — to było istne cacko, a torba i ładownica, mimo że

* Antabka — tu: obwódka osłaniająca cyngle.

mocno zniszczone — w pierwszorzędnym gatunku.

Wasiénka Wiesłowski nie znał się dotąd na takiej prawdziwej elegancji łowieckiej: w łachmanach, ale za to z myśliwskimi przyborami najlepszej klasy. Zrozumiał to obecnie, oglądając Stiepana Arkadjicza, który w tych swoich łachmanach jaśniał elegancją oraz dobrze odżywioną i wesołą pańskąością. Wiesłowski postanowił wystąpić tak samo na najbliższym polowaniu.

— No, a gdzie pan domu? — zapytał.

— Pan domu ma młodą żonę — uśmiechnął się Obłoński.

— Tak, i to prześliczną.

— Już był gotów; pewnie pobiegł jeszcze do niej na chwilkę.

Obłoński zgadł: Lewin raz jeszcze wpadł do żony, by ją na nowo zapytać, czy darowała mu wczorajszą głupotę, i poza tym prosić ją, aby na miłość boską więcej uważała na siebie, a zwłaszcza trzymała się z dala od dzieci, które zawsze mogą ją popchnąć. Musiał jeszcze raz usłyszeć od niej potwierdzenie, że się na niego nie gniewa za ten wyjazd na dwa dni, i prosić, aby nazajutrz przysłała przez konnego bilecik i chociaż w dwóch słowach upewniła go, że wszystko dobrze.

Kitty zasmuciła się jak zwykle rozstaniem z mężem na te dwa dni, ale na widok ożywienia i radości Lewina, którego postać wydawała się jakoś szczególnie wielka i silna w myśliwskich butach i białej bluzie i od którego biła niepojęta dla niej myśliwska ochota — zapomniała o swym zmartwieniu; i pożegnała go na wesoło.

— Przepraszam was, panowie! — zawołał wybiegając na ganek. — Czy śniadanie zapakowane? Dlaczego daliście kasztana z prawej strony? A zresztą — mniejsza o to. Laska, przestań! Siadaj!

— Puścić je do skopiami — polecił skotarzowi, który czekał na niego przy ganku z zapytaniem, co zrobić z młodymi skopkami. — Przepraszam, oto jeszcze jeden nicpoń.

Lewin zeskoczył z bryczki, na której już się był usadowił, i poszedł rozmówić się z przedsiębiorcą robót ciesielskich zbliżającym się do ganku z miarą sążniową w ręku.

— Wczoraj nie przyszedłeś do kancelarii, a teraz mnie zatrzymujesz. O co ci chodzi?

— Niech pan dziedzic zezwoli zrobić jeszcze jeden zakręt. Dodałoby się nie więcej niż trzy stopnie i akurat by dosięgło. Tak będzie wygodniej.

— Gdybyś mnie był posłuchał — rozgniewał się Lewin. — Mówiłem ci — ustal naprzód policzki schodowe, a potem wyciosaj wręby. Teraz się to już nie da naprawić. Rób tak, jak ci kazałem — wyciosaj nowe policzki.

Chodziło o to, że w nowo budującej się oficynie przedsiębiorca zepsuł schody wyciosawszy policzki osobno, a nie łącznie ze stopniami, i nie j obliczywszy spadu, tak że gdy schody postawiono na miejsce, wszystkie stopnie wypadły pochyło. Obecnie chciał pozostawić te same schody, jak były, dodając trzy stopnie.

— Będzie o wiele lepiej.

— Dokądże te schody dojdą z twoimi trzema stopniami?

— Ależ proszę pana dziedzica — tłumaczył przedsiębiorca z pogardliwym uśmiechem — stopnie dojdą aż do samej góry. Jeśli, jak powiadam, weźmie się je od dołu tak — tu zrobił przekonywający gest — schody pójdą, pójdą, aż dojdą.

— Przecież trzy stopnie dodadzą im także długości... Gdzież się to podzieje?

— Jak się doda u dołu, dojdą, gdzie trzeba — uparcie i przekonywająco perswadował przedsiębiorca.

— Dojdą do sufitu i trafią w ścianę.

— Skądże! Przecież doda się u samego dołu. Pójdą sobie, pójdą, aż dojdą.

Lewin wydobył stempel i zaczął rysować schody na piasku.

— No, teraz rozumiesz?

— Słucham — rzekł cieśla, w którego oczach nagle zaświtało zrozumienie. Widać było, że wreszcie pojął, o co chodziło. Widocznie trzeba ciosać nowe.

— No więc rób tak, jak ci kazano! — krzyknął do niego Lewin siadając na bryczkę.

— Ruszaj! Filip, trzymaj no psy!

Teraz, kiedy pozostały za nim wszystkie rodzinne i gospodarskie kłopoty, Lewina ogarnęła taka przemożna radość życia, tak był przejęty oczekiwaniem, że nie chciało mu się rozmawiać. Poza tym doświadczał uczucia skupienia, a zarazem podniecenia, jak każdy myśliwy, gdy chwila działania się zbliża. Jeśli go teraz coś w ogóle interesowało, to wyłącznie takie kwestie, jak: czy znajdą coś na Kołpińskim Błocie, jak wypadnie porównanie pomiędzy Łaską a Krakiem i jak mu się uda tego dnia strzelać? Byle się tylko nie zbłąźnić w oczach obcego człowieka! Byle tylko Stiwa nie przewyższył go celnością strzałów, bo to mu również przychodziło do głowy.

Obłoński doświadczał podobnych uczuć i był równie mało rozmowny, tylko Wasieńka Wiesłowski bez ustanku wesoło gadał. Słuchając go Lewin miał wyrzuty sumienia, że dnia poprzedniego był wobec niego tak niesprawiedliwy. Wasieńka był to rzeczywiście dobry chłopak, prosty, poczciwy i bardzo wesoły. Gdyby Lewin poznał go był za swych kawalerskich czasów, byłby się z nim zaprzyjaźnił. Lewina korcił nieco jego świąteczny stosunek do życia i

pewna elegancka nonszalancja, wyglądająca, jakby Wasieńka przywiązywał wysoką, niewzruszoną wagę do swoich długich paznokci, czapeczki i innych rekwizytów; można mu to jednak było wybaczyć, był bowiem poza tym poczciwy i przyzwoity. Lewinowi przypadło do serca jego dobre ułożenie, doskonały akcent francuski i angielski i w ogóle — że był to człowiek jego sfery.

Wasięnce niesłychanie się podobał stepowy doński koń przyprzęgnięty z lewej strony; ciągle się nim zachwycał.

— Jakie to byłoby piękne: galopować po stepie na stepowym koniu. Prawda? Co? — powtarzał.

Wyimaginował sobie o tej jeździe na stepowym koniu coś dzikiego i poetycznego, coś całkowicie niedorzecznego, lecz jego naiwność — zwłaszcza w połączeniu z urodą, miłym uśmiechem i wdziękiem ruchów — była bardzo zniewalająca. Lewin czuł się dobrze w jego towarzystwie: czy dlatego, że charakter Wasieńki był mu sympatyczny, czy też, że starał się znaleźć Wasięnce same dodatnie strony, by okupić winę dnia poprzedniego.

Po przejechaniu trzech wiorst Wasieńka nagle spostrzegł brak cygar i portfela. Nie wiedział, czy je zgubił, czy zapomniał na stole. W portfelu było trzysta siedemdziesiąt rubli, nie można więc tego było tak zostawić.

— Wie pan co, Lewin, pojedę na tym dońskim przyprzężonym do domu. To będzie świetnie. Co? — zaproponował, już gotów dosiąść przyprzężonego dońca.

— Ależ nie, po co? — przekonywał go Lewin, który szacował Wasieńkę na nie mniej niż sześć pudów żywej wagi. — Poślę stangreta.

I stangret pojechał na przyprzężonym koniu, a Lewin jął powozić pozostałą parą.

IX

— Jakaż będzie nasza marszruta? Opowiedz dokładnie — zagadnął Obłoński.

— Plan jest następujący: teraz jedziemy do Gwoździewa; tam jest po tej stronie błoto z dubeltami, a po tamtej, za Gwoździewem — z bekasami; bywają zresztą i dubelty. Teraz jest za gorąco, ale do wieczora (wiorst będzie dwadzieścia) dojedziemy na miejsce i opolujemy wieczorne pole; zanocujemy, a jutro dopiero pójdziemy na wielkie błota.

— A czy po drodze nic nie ma?

— Owszem, jest, tylko że to by nas zatrzymało, a poza tym jest za gorąco. Są dwa dobre miejsceczka, ale tam na pewno nic nie ma.

Lewin miał sam ochotę na owe miejsceczka, leżały one jednak w pobliżu domu i zawsze był do nich dostęp; poza tym miejsceczka były nieduże i trzech ludzi nie miałyby tam pola do strzału. Stąd odpowiedź, że tam zapewne nic nie ma, nie była z jego strony szczerą. Gdy zrównali się z niewielkim błotkiem, Lewin chciał je minąć, ale doświadczone oko myśliwskie Obłońskiego dostrzegło widoczne z drogi mokradelko.

— Czy tam nie zajrzemy? — spytał wskazując na moczarek.

— Pysznie! Lewin, proszę bardzo — począł nalegać Wasieńka Wiesłowski i Lewinowi nie wypadało odmówić.

Nie zdążyli jeszcze się zatrzymać, a już psy na wyścigi pędziły ku błotku.

— Krak! Łaska!

Psy powróciły.

— We trzech będzie nam za ciasno. Poczekam tutaj — zdecydował Lewin w nadziei, że nic nie znajdą oprócz

czajek, które wypłoszone przez psy, żałośnie lamentowały nad moczarem.

— Ależ nie! Lewin, chodźmy razem! Chodźmy! — wołał Wiesłowski.

— Tam jest za ciasno, naprawdę. Łaska, do nogi! Łaska! Przecie nie potrzeba wam drugiego psa.

Lewin pozostał obok bryczki i tęsknie spoglądał za myśliwymi. Ci przemierzili cały moczarek, ale prócz kurki i czajek, z których jedną Wasieńka zabił, nic tam nie było.

— No więc widzicie, że żal mi było nie błota, ale czasu — zauważył Lewin.

— To nic, to takie przyjemne. Widział pan? — wołał Wasieńka, niezgrabnie wsiadając na bryczkę ze strzelbą i z czajką w rękę. — Jak ją pysznie trafiłem! Nieprawdaż? Czy prędko dojedziemy na właściwe miejsce?

Nagle konie targnęły, Lewin uderzył głową w lufę czyjejś strzelby; gruchnął wystrzał. Wystrzał zresztą rozległ się przed uderzeniem, choć Lewinowi zdawało się inaczej. Rzecz się tak miała, że Wasieńka Wiesłowski spuszczać kurki naciskał jeden cyngiel, przytrzymywał zaś drugi kurek. Nabój poszedł w ziemię, nikomu nie zrobiwszy szkody. Obłoński pokiwał głową, a uśmiech jego nie był pozbawiony wyrzutu, Lewin jednak nie miał serca robić Wiesłowskiemu wymówek. Po pierwsze, każda wymówka poszłaby na karb minionego niebezpieczeństwa i guza, którego Lewin nabił sobie na czole; a po drugie, Wiesłowski był zrazu tak naiwnie zmartwiony, a potem tak się dobrodusznie i zaraźliwie śmiał z ogólnego popłochu, że niepodobna było nie śmiać się z nim razem.

Gdy przybyli do następnego moczaru, który był dosyć duży i mógł zająć sporo czasu, Lewin namawiał, by się nie zatrzymywać. Wiesłowski jednak ponownie go uprosił. I

znów — wobec tego, że błoto było wąskie — Lewin, jako gościnny gospodarz, pozostał przy koniach.

Skoro tylko się zatrzymali, Krak skierował się pomiędzy kępki. Wasieńka pierwszy poskoczył za psem i Obłoński nie zdążył się nawet zbliżyć, a już wyleciał dubelt. Wiesłowski chybił i ptak zapadł na nie skoszonej łące.

Pozostawiono go Wiesłowskiemu; Krak na nowo ptaka znalazł, wystawił i Wiesłowski zabiwszy dubelta powrócił do bryczki.

— Teraz niechaj pan pójdzie, a ja zostanę z końmi — powiedział. Lewinowi poczynała dopiekać łowiecka zazdrość. Oddał lejce Wiesłowskiemu i poszedł na błoto.

Łaska, która od dawna już żałośnie skomlała żaląc się na niesprawiedliwość, popędziła wprost przed siebie do niezawodnego, znanego Lewinowi kępowiska, dokąd Krak nie zaglądał.

— Czemu jej nie zatrzymasz? — zawołał Stiwa.

— Ona nic nie spłoszy — odrzekł Lewin i dumny ze swej suki, pośpieszyli za nią.

Zachowanie się Łaski, w miarę jak zbliżała się coraz bardziej do znajomych kępek, nabierało stopniowo powagi. Mały błotny ptaszek tylko chwilowo przyprawił ją o dystrakcję. Zakreśliła jedno koło przed kępkami, rozpoczęła drugie i nagle drgnęła, po czym zastygła w bezruchu.

— Chodź no, chodź, Stiwa! — zawołał Lewin czując, jak mu serce mocno i bić poczyna i jak raptem — jakby się jakiś rygielek odsunął w jego natężonym słuchu — wszystkie dźwięki utraciwszy miarę odległości poczęły doń dochodzić i bezładnie, ale dobitnie. Słyszał kroki Stiwy, które brał za daleki koński tupot, słyszał chrzęstki odgłos rożka kępy, na który nastąpił i który oderwał się wraz z korzeniami. Lewinowi zdawało się, że to dźwięk lotu dubelta. Słyszał

również niedaleko za sobą jakiś plusk brnięcia po wodzie, którego nie umiał określić.

Wybierając miejsca, gdzie miał postawić nogę, szedł w ślad za psem.

— Pif!

Spod psa gwałtownie wyleciał nie dubelt, ale bekas. Lewin począł wodzić za nim strzelbą, lecz w momencie gdy wycelował, ów plusk w wodzie spotęgował się i zbliżył, a do niego przyłączył się głos Wiesłowskiego, który coś dziwnie donośnie wykrzykiwał. Lewin zdawał sobie sprawę, że bierze na cel punkt znajdujący się w tyle za bekasem, mimo to jednak wystrzelił.

Upewniwszy się, że spudłował, obejrzał się i zobaczył, że konie oraz bryczka znajdują się nie na drodze, ale w błocie.

To Wiesłowski chcąc się przyjrzeć strzelaniu wjechał do błota, gdzie konie uwięzły.

— I co za diabeł go nosi! — rzekł Lewin do siebie i skierował się do ugrzęzłej bryczki.

— Po co pan tu wjechał? — rzekł sucho i przywoławszy stangreta jał wydobywać konie.

Zły był, że mu zepsuto strzał, i zły, że mu konie wpuśczone w grzęzawisko, a zwłaszcza zły, że ani Stiwa, ani Wiesłowski nie pomagali ani jemu, ani stangretowi przy wydobywaniu koni i wyprzęganiu ich, ani jeden bowiem, ani drugi nie mieli pojęcia, na czym właściwie polega zaprzęganie. Lewin mozolił się w milczeniu wraz ze stangretem, nie odpowiadając ani słowa Wasieńce na jego zapewnienia, że tu było całkiem sucho. Później jednak zapaliwszy się do roboty i widząc, jak starannie i gorliwie Wiesłowski ciągnął bryczkę za skrzydło, tak aż je odłamał, Lewin począł czynić sobie wyrzuty, że pod wrażeniem wczorajszego nastroju był dla Wasieńki nazbyt oziębły, postarał się więc specjalną

uprzejmością złagodzić swą oschłość. Gdy wszystko zostało doprowadzone do porządku i pojazdy powróciły na drogę, kazał wypakować śniadanie.

— *Bon appétit — bonne conscience! Ce poulet va tomber jusqu'au fond de mes bottes** — żartował po francusku rozweselony Wasieńka kończąc drugiego kurczaka. — No, teraz nasze biedy się .skończyły; teraz już wszystko pójdzie pomyślnie. Ale ja za swoje grzechy winienem siedzieć na koźle. Nieprawdaż? Co? Nie, nie, ze mnie — prawdziwy Automedon*. Zobaczycie, jak was dowiozę! — bronił się nie oddając lejców, gdy Lewin prosił go, by puścił stangreta na jego właściwe miejsce.

— Nie, muszę okupić moją winę; jest mi świetnie na koźle. — I popędził konie.

Lewin obawiał się nieco, że Wiesłowski zamęczy konie, zwłaszcza lewego kasztana, którego nie umiał zażyć. Mimo woli jednak dał się powodować wesołości Wasieńki: słuchał romansów, które ten na swoim koźle wyśpiewywał przez całą drogę, bawił się jego opowiadaniem i komiczną demonstracją, jak należy na angielską modłę powozić *four in hand**, tak że wszyscy po śniadaniu dojechali do Gwoździowskiego Błota w jak najweselszym nastroju.

X

Wasieńka tak popędzał konie, że przybyli na miejsce zbyt wcześnie i było jeszcze gorąco.

Gdy znaleźli się u największego błota, głównego celu wyprawy, Lewin mimo woli zastanawiał się, jak by tu się

* *Bon appetit...* — Ten ma dobry apetyt, kto ma czyste sumienie! To kurczę padnie aż na dno moich butów.

* Automedon — u Homera woźnica Achillesa; tu: dobry woźnica.

* *Four in hand* — czwórka w lejc.

pozbyć Wasieńki i polować osobno, bez tej zawady. Obłoński najwidoczniej pragnął tego samego. Lewin widział po 1 jego zafrasowanej minie, że jest w nastroju, jaki zwykle ogarnia prawdziwego myśliwego, nim zacznie się polowanie, a poza tym, że knuje coś z właściwą sobie dobroduszną przebiegłością.

— Więc jak pójdziemy? Błoto jest świetne, znać to po jastrzębiach — Obłoński pokazał na dwa krążące nad turzycą wielkie ptaki. — Gdzie jastrzębie, tam na pewno jest i zwierzyna.

— No więc uważajcie, panowie — tu Lewin podciągnął buty i obejrzał kapiszony na strzelbie z miną dość niewesołą. — Widzicie tę turzycę? — wskazał na odznaczającą się swą czarną zielenią wysepkę na olbrzymiej, na pół i skoszonej mokrej łące zalegającej prawy brzeg rzeki. — Błoto zaczyna się oto tu, wprost przed nami, widzicie — tam gdzie zieleń jest mocniejsza. Stąd ciągnie się w prawo, gdzie się pasą konie: są tam kępki i trafiają się dubelty; to samo wokół tej turzycy aż do tamtej olszynki i aż do samego młyna. Widzicie? Tam gdzie zatoka. To najlepsze miejsce. Zabiłem tam raz siedemnaście bekasów. Rozejdziemy się teraz z dwoma psami w przeciwne strony, a spotkamy się znów tam, u młyna.

— No, więc kto na prawo, a kto na lewo? — zapytał Obłoński. — Na prawo jest szerzej: idźcie wy we dwóch, a ja pójde na lewo — mówił to z lekka, niby niefrasobliwie.

— Doskonale. Już my go ostrzelamy. No chodźmy już, chodźmy! — podchwycił Wasieńka.

Rozeszli się tedy takim trybem, Lewin bowiem nie mógł oponować. Zaledwie wkroczyli na błoto, a już oba psy poczęły obkładać pole i skierowały się ku rdzawemu oparzelisku. Lewin znał tę taktykę Łaski, taktykę ostrożną i

nieokreśloną, znał też i samo miejsce, spodziewał się więc całej chmary bekasów.

— Wiesłowski, proszę iść obok mnie! Obok!... — szeptał Lewin ledwo dosłyszalnym głosem do człapiącego za nim po wodzie towarzysza. Kierunek jego lufy mimo woli interesował Lewina po tym niespodzianym wystrzale na Kołpieńskim Błocie.

— Ach nie, nie będę pana krępował. Proszę o mnie nie myśleć. Lewin wszelako mimo woli myślał o nim, pomny na słowa Kitty przy rozstaniu: „Tylko uważajcie, żebyście się nie postrzelali.” Psy podchodziły coraz to bliżej, mijając się; każdy z nich węszył za własną nicią przewodnią. Lewin z taką pewnością spodziewał się bekasów, że cmoknięcia własnego obcasa, wyciąganego z grzęzawiska, brał za ptasi głos; toteż łapał za uchwyt strzelby i ścisnął go w rękę.

— Paf! paf! — rozległo mu się nad uchem. To Wasieńka wypalił do stadka kaczek krążącego nad moczarami, które nadleciało w tej chwili bardzo nie w porę. Lewin nie zdążył się nawet obejrzeć, a już cmoknął jeden bekas, drugi, trzeci i jeszcze z osiem sztuk podniosło się jeden po drugim.

Obłoński ściągnął jednego w momencie, gdy ten miał właśnie rozpocząć swoje zygzaki, i bekas upadł w grzęzawisko jak mała bryłka pierza. Stiwa nie spiesząc się począł mierzyć do drugiego, lecącego jeszcze tymczasem dołem ku turzycy, i ten bekas również spadł jednocześnie z odgłosem wystrzału; widać było, jak wyskakiwał ze skoszonej turzycy, bijąc białym od spodu zdrowym skrzydłem.

Lewinowi mniej się powiodło; wypalił do pierwszego bekasa za prędko i chybił; powiodł za nim strzelbą, gdy ten począł się już wznosić, lecz w tej chwili jeszcze jeden wyleciał mu spod nóg i odwrócił jego uwagę. Chybił po raz

drugi.

Podczas ładowania strzelb wyleciał jeszcze jeden bekas i Wiesłowski, który już zdążył nabić, puścił po wodzie jeszcze dwa naboje drobnego śrutu. Obłoński podniósł swoje dwa bekasy i błyszczącymi oczyma spojrzął na Lewina.

— No, teraz się rozstajemy — powiedział i odszedł w swoją stronę z lekka utykając na lewą nogę. Trzymał strzelbę w pogotowiu i pogwizdywał na psa. Lewin z Wiesłowskim udali się w stronę przeciwną.

Lewinowi zawsze się tak zdarzało, że jeśli pudłował przy pierwszych strzałach, to tracił zimną krew, wpadał w rozdrażnienie i przez cały dzień źle strzelał. Tak było i tego dnia. Okazało się, że bekasów jest bardzo dużo. Wylatywały nieustannie spod psów i spod nóg myśliwym, tak że Lewin miał okazję do poprawy, lecz im więcej strzelał, tym bardziej kompromitował się wobec Wiesłowskiego, który wesoło palił raz koło razu bez względu na odległość, nigdy nie trafiał i wcale się o to nie martwił. Lewin śpieszył się, nie wytrzymywał strzału, gorączkował się coraz bardziej i doszedł już do tego, że strzelał nie mając prawie nadziei, że trafi. Nawet Łaska zdawała się to rozumieć: leniwiej poczęła obkładać pole i pytająco, jakby z wyrzutem, oglądała się na myśliwych. Strzały następowały po strzałach. Dym prochom otaczał myśliwych, a w dużej, obszernej siatce torby myśliwskiej spoczywał zaledwie trzy małe, leciutkie bekasy. A i to jednego z nich zabił Wiesłowski, i drugi był wspólny. Tymczasem z tamtej strony błota słychać było niezbyt częste, ale — jak się Lewinowi zdawało — wiele mówiące strzały Obłońskiego i po każdym z nich rozlegało się wołanie: „Krak, Krak, aport!”

To jeszcze bardziej denerwowało Lewina. Bekasy bez ustanku zataczały kręgi w powietrzu nad turzycą. Młaskanie

na ziemi i krakanie w górze nie milkło ani na chwilę; zewsząd je było słycać; wypędzone uprzednio unoszące się w powietrzu bekasy siadały tuż przed myśliwymi. Zamiast dwóch jastrzębi całe ich dziesiątki z kwileniem krążyły teraz nad moczarem.

Po przejściu większej połowy błota Lewin z Wiesłowskim dotarli i miejsca, gdzie chłopski sianokos, kończący się u turzycy, podzielony był o długie pasemka. Wydeptany pas trawy lub wykoszony rządęk znaczyły go tu ówdzie. Połowa tych pasem była już skoszona.

Lewin obiecał był Obłońskiemu, że się z nim spotkają, chociaż więc trudno się było spodziewać, by na gruntach nie skoszonych można było znale równie dużo zwierzyny, co na skoszonych, poszedł dalej ze swym towarzysze przez skoszone i nie skoszone pasma.

— Ej! myśliwi! — krzyknął do nich jeden z chłopów siedzących obok wyprężonego wozu — chodźcie no południować z nami. Chodźcie na wódkę.

Lewin obejrzał się.

— Chodź, nie wstydz się! — zawołał wesoły brodac o czerwonej twarzy, szczerząc białe zęby i podnosząc zielonkawą, błyszczącą w słońcu butelkę.

— *Qu'est — ce qu'ils disent?** — spytał Wiesłowski.

— Zapraszamy na wódkę. Zapewne robili podział łąk. Ja bym na pana miejscu wypił — rzekł nieco podstępnie Lewin w nadziei, że Wiesłowski da się skusić wódką i zostanie z chłopami.

— A czemu oni tak częstują?

— Tak sobie, z ochoty. Serio, niech pan się do nich przyłączy. To może pana zainteresować.

— *Allons, c'est curieux*.*

* *Qu'est — ce...* — co oni mówią?

* *Allons...* — chodźmy, to ciekawe.

— Niech pan idzie, znajdzie pan potem drogę do młyna — zawołał Lewin i obejrzawszy się zobaczył, jak Wiesłowski, zgarbiony, potykając się na zmęczonych nogach, wyłaził z błota trzymając w wyciągniętej ręce strzelbę i kierował się w stronę chłopów.

— Chodź i ty! — wołał na Lewina chłop. — Nie odmawiaj! Dostaniesz na zakąskę pieroga!

Lewin miał ogromną ochotę na łyk wódki i kawałek chleba. Osłabł i czuł, że z trudem tylko może wyszarpywać z trzęsawiska płaczące się nogi. Przez chwilę wahał się. Ale pies począł wystawiać i natychmiast całe zmęczenie Lewina znikło; poszedł z łatwością do psa po grzęzawisku. Spod nóg mu wyleciał bekas: wypalił i trafił. Pies wystawiał dalej. „Pif.” Drugi bekas wyleciał spod psa. Lewin wystrzelił, ale dzień był pechowy: chybił, a gdy poszedł szukać trafionego — to także i tego nie znalazł. Przetrzęsnał całą turzycę, ale Łaska nie wierzyła, że trafił, i gdy ją posyłał szukać, udawała tylko, w istocie jednak wcale nie szukała.

Poprawa nie następowała, mimo że zabrakło Wasieńki, któremu Lewin przypisywał swoje niepowodzenie. Bekasów i tu także było mnóstwo, tymczasem Lewin dawał pudło po pudle.

Ukośne promienie słońca wciąż jeszcze były upalne: ubranie, na wskroś przemokłe od potu, lgnęło do ciała; lewy, pełen wody but był ciężki i cmokał; po twarzy, umorusanej osadem z prochu, kroplami ściekał pot; w ustach była gorycz, w nosie — woń prochu i rdzawych oparzelisk, w uszach — nieustanne mlaskanie bekasów. Do luf nie można się było dotknąć, tak były rozpalone; serce waliło szybko krótkimi uderzeniami; ręce trzęsły się z podniecenia, zmęczone nogi potykały się i płały na kępkach i w trzęsawisku, a Lewin wciąż szedł i strzelał. Wreszcie dał ostatnie pudło, po czym

rzucił strzelbę i kapelusz na ziemię.

„Nie, tak nie można, trzeba ochłonać!” — rzekł do siebie. Podniósł strzelbę i kapelusz, zawołał Łaskę do nogi i wyszedł z błota na suchy ład. Uczyniwszy to, usiadł na kępcę, zdjął buty, wylał wodę z jednego z nich; potem podszedł do mokradła i napił się wody o rdzawym smaku. Zwilżył rozpalone lufy, obmył twarz i ręce i orzeźwiony, z mocnym postanowieniem niegorączkowania się ruszył znów w kierunku miejsca, gdzie widział siadającego bekasa.

Usiłował zachować spokój, ale powtórzyło się znów to samo: palec jego naciskał cyngiel, zanim oko zdążyło wziąć ptaka na cel. Szło mu coraz gorzej.

Miał w torbie myśliwskiej zaledwie pięć sztuk, gdy wyszedł z moczaru i skierował się ku olszynie, gdzie mieli się spotkać z Obłońskim.

Zanim go dojrzał, spostrzegł jego psa. Spod wywróconego korzenia olchy wyskoczył Krak, cały czarny od cuchnącego błotnego szlamu, i z miną zwycięzcy obwąchał się z Łaską. Za Krakiem ukazała się w cieniu olch dorodna postać Stiwy. Szedł na spotkanie Lewina czerwony, spocony, z rozpiętym kołnierzykiem, wciąż jeszcze z lekka kuszykając.

— No co? Dużoście nastrzelali? — powiedział uśmiechając się wesoło.

— A ty? — zapytał Lewin. Lecz pytanie było zbyteczne, dojrzał bowiem pełniutką torbę.

— Owszem, niczego sobie.

Miał czternaście sztuk.

— Pyszne błotko! Tobie z pewnością przeszkadzał Wiesłowski. We dwóch z jednym psem niewygodnie — zauważył Stiwa chcąc złagodzić swój triumf.

XI

Gdy Lewin ze Stiwą przybyli do chaty chłopca, u którego Lewin zawsze stawał, Wiesłowski już tam był. Siedział właśnie pośrodku chaty i śmiał h swym najbardziej zaraźliwym śmiechem, trzymając się oburącz ławki, z której go ściągał wraz z butami żołnierz, brat gospodyni.

— Właśnie przyszedłem. *Ils ont été charmants.** Wyobraźcie sobie, że mnie napoili i nakarmili. Co za chleb! Cudo! *Délicieux** A wódka — nigdy lepszej nie piłem! I za nic w świecie nie chcieli przyjąć pieniędzy. I wciąż mówili tak jakoś, „że w ząbki kłuje”.

— Jakże mieli brać pieniądze? Oni pana przecie częstowali. Toż nie mieli wódki na sprzedaż! — tłumaczył żołnierz, któremu wreszcie udało się ściągi przemoknięty but razem z poczerniałą pończochą.

Mimo brudu w chacie, zanieczyszczonej przez buty myśliwych i przez uwalane, oblizujące się psy, mimo woni błota i prochu, której była w tej chwili pełna, mimo braku widelców i noży — myśliwi napili się herbaty i zjedli kolacji z takim apetytem, z jakim jada się tylko na polowaniu. Umyci i czyści, poszli do zamiecionej odryny, gdzie stangreci przygotowali posłania dla panów.

Choć mrok już zapadł, nikomu z nich nie chciało się spać.

Rozmowa zrazu wahała się pomiędzy wspomnieniami i opowieściami na temat strzałów, psów i uprzednich polowań, nim natrafiła na temat wzbudza

jacy zainteresowanie wszystkich obecnych. Wasieńka raz po raz rozpływał się z zachwyty nad urokiem takiego noclegu, nad wonią siana, nad malowniczością połamanego

* *Ils ont...* — oni byli czarujący.

* *Délicieux!* — wyśmienity!

wozu (zdjęty z przodka, zdawał mu się połamany), nad poczciwością chłopów, którzy go napoili wódką, nad psami leżącymi — każdy u nóg swego pana. Przy tej okazji Obłoński opowiedział o wszystkich urokach polowania u Maltusa, w którym brał udział ubiegłego lata. Maltus był to znany bogacz, przedsiębiorca kolejowy. Stiwa opowiadał, jakie błota Maltus kupił sobie w guberni twerskiej i jak o nie dbał; opisywał także, jakie ekwipaże, jakie dogkarty* woziły myśliwych i jaki namiot do śniadania ustawiano na skraju błota.

— Nie rozumiem ciebie — rzekł Lewin podnosząc się na swym sianie. — Jak ci ludzie ciebie nie brzydzą? I ja uznaję, że śniadanie z Lafitte'em jest bardzo przyjemne, ale czy cię nie brzydzi właśnie ten zbytek? Wszyscy oni, jak ongiś nasi dzierżawcy dochodów państwowych, zarabiają w taki sposób, że obok zysku dostaje im się ogólna pogarda. Ludzie ci, lekceważąc zrazu tę pogardę, później wykupują się od niej za pomocą owego nieuczciwego zysku.

— Zupełnie słusznie! — potwierdził Wasieńka Wiesłowski. — Słusznie! Oczywiście, Stiwa robi to przez *bonhomie**, a inni powiadają potem: „Przecie i Obłoński tam bywa...”

— Ani trochę — Lewin wyczuł, że Obłoński mówi to z uśmiechem. — Po prostu nie uważam go za bardziej nieuczciwego niż kogokolwiek bądź z bogatych kupców i szlachty. I ci, i tamci wzbogacili się tak samo przez pracę i inteligencję.

— Tak, ale jaką pracę? Czy to jest praca dostać koncesję i odprzedać ją dalej?

— Oczywiście, że praca. Praca — w tym znaczeniu, że gdyby nie istniał on i jemu podobni, to nie byłoby kolei.

* Dogkart — lekki jednokonny wózek myśliwski z przegrodą dla psów.

* *Bonhomie* — poczciwość.

— Ale to inna praca niż praca uczonego czy chłopa.

— Przypuśćmy, ale w każdym razie praca w tym sensie, że działalność takiego przedsiębiorcy w rezultacie daje — kolej. Ale przecie ty uważasz, że koleje nie są użyteczne.

— To jest inna kwestia. Gotów jestem nawet przyznać, że są użyteczne. Ale każdy dorobek nieproporcjonalny do włożonej weń pracy jest nieuczciwy.

— A kto ma określać tę proporcję?

— Dorobek uzyskany drogą nieuczciwą, podstępem — prawil Lewin sam czując, że nie potrafi jasno określić granicy pomiędzy tym, co uczciwe, a co nieuczciwe — to na przykład zysk bankierskich kantorów — ciągnął dalej — to zło, które powstaje przez dorabianie się olbrzymich majątków bez pracy, tak jak się to działo za czasów wydzierżawiania dochodów państwowych, tylko w innej formie. *Le roi est mort, vive le roi!** Ledwo zdążono znieść owe dzierżawy, gdy zjawiły się koleje i banki: znowu zysk bez pracy.

— Tak, to wszystko jest może bardzo słuszne i dobrze pomyślane. Krak, leżeć! — krzyknął Stiwa na psa drapiącego się i przewracającego całe siano. Obłoński był tak pewien swej racji, że zachował spokój i bynajmniej się, nie śpieszył. — Ale nie określiłeś dotąd linii granicznej pomiędzy uczciwą aj nieuczciwą pracą. To, że ja otrzymuję większe pobory niż mój naczelnik biura, choć on się lepiej zna na rzeczy — czy to jest nieuczciwe?

— Nie wiem.

— No więc ja ci powiem: to, że ty osiągasz za swoją pracę przy gospodarstwie zysku, dajmy na to, pięć tysięcy, a nasz gospodarz, choćby nie i wiem jak pracował, nie zyska więcej niż pięćdziesiąt rubli — jest równie nieuczciwe jak to, że ja dostaję więcej niż mój naczelnik biura, i to, że Maltus,

* *Le roi..* — umarł król, niech żyje król!

otrzymuje więcej niż majster kolejowy. Tymczasem konstatuje jakiś wrogi, na niczym nie oparty stosunek społeczeństwa do tych ludzi i wydaje mi się wywołany przez zawiść...

— Nie, to niesłuszne — wtrącił Wiesłowski — nie może tu być mowy o żadnej zawiści. Mimo wszystko jest w tych sprawach coś podejrzanego.

— Pozwól — wtrącił Lewin. — Twierdzisz, że jest niesprawiedliwością to, że ja uzyskuję pięć tysięcy, a chłop pięćdziesiąt rubli. To prawda. To jest niesprawiedliwe i ja to czuję, ale...

— Rzeczywiście. Dlaczego my jemy, pijemy, polujemy, nic nie robimy,

a on jest wiecznie, wiecznie zapracowany? — rzekł Wasieńka, który najwidoczniej po raz pierwszy w życiu wyraźnie o tym pomyślał i dlatego odezwał się zupełnie szczerze.

— Tak, czujesz to, a jednak nie oddasz chłopu swego majątku — Obłoński jakby umyślnie droczył się z Lewinem.

W ostatnich czasach pomiędzy szwagrami wytworzyła się jakby jakaś utajona niechęć, tak jakby odkąd byli żonaci z dwiema siostrami, zaczęła się pomiędzy nimi rywalizacja o to, który z nich lepiej urządził swe życie. Teraz ten wrogi nastrój znalazł swój wyraz w rozmowie poczynającej przybierać charakter osobisty.

— Nie oddaję go, ponieważ nikt ode mnie tego nie żąda, a nawet gdybym chciał to zrobić, to mi go oddać nie wolno — odpowiedział Lewin. — Nie mam go też komu oddać.

— Daj go temu chłopu: na pewno nie odmówi.

— Dobrze, ale jak mam go oddać? Mam z nim pojechać do miasta i zawrzeć akt kupna?

— Tego nie wiem; ale jeśli jesteś przekonany, że nie masz

prawa...

— Wcale nie — jestem o tym przekonany. Przeciwnie, czuję, że nie mam prawa majątku oddawać: mam obowiązki i wobec ziemi, i wobec rodziny.

— Pozwól jednak: jeśli jesteś zdania, że ta nierówność jest niesprawiedliwa, to czemu nie działasz tak, jak...

— Ja przecież działałem, ale działałem tylko negatywnie. To znaczy, że nie będę robił wysiłków, aby powiększyć różnicę, jaka istnieje pomiędzy jego a moim położeniem.

— Nie, wybacz, mój drogi: to już jest paradoks.

— Tak, to wyjaśnienie pachnie trochę sofizmatem — potwierdził Wasieńka. — A co, gospodarzu — zwrócił się do chłopca, który wszedł do stodoły, od czego zaskrzypiały wrota — jeszcze nie śpicie?

— Nie, skądże! Myślałem zrazu, że nasi panowie śpią, ale słyhać, że rozmawiają. Trzeba mi stąd wziąć kosę. Czy ten nie ugryzie? — dodał, ostrożnie stąpając bosymi nogami.

— A wy gdzie będziecie spali?

— My — na pastwisku przy koniach.

— Ach, co za noc — przy słabym świetle wieczornej zorzy Wiesłowski wpatrywał się w skraj chaty i wyprężoną bryczkę, widoczne w wielkiej ramie wrót w tej chwili otwartych. — Ale stamtąd słyhać niewieście głosy; wcale nieźle śpiewają. Kto to tam śpiewa, gospodarzu?

— A to dworskie dziewczęta, tutaj obok.

— Chodźmy się przejść! Przecie i tak nie zaśniemy. Obłoński, chodźmy!

— Jak by to zrobić, żeby i dalej leżeć sobie, i jednocześnie pójść z tobą — odrzekł Obłoński przeciągając się. — Świetnie mi się tutaj leży.

— No więc pójdę sam — zrywając się i wkładając obuwie oświadczył Wiesłowski. — Do widzenia, panowie. Zawołam

was, jeśli będzie wesoło. Poczęstowaliście mnie zwierzyną: teraz i ja o was nie zapomnę.

— Dobry chłopak, nieprawdaż? — rzekł Obłoński, gdy Wiesłowski wyszedł, a chłop wrota zamknął za nim.

— Tak, dobry — potwierdził Lewin, który dalej zastanawiał się nad treścią tylko co przerwanej rozmowy. Zdawało mu się, że wypowiedział swe myśli i uczucia tak jasno, jak tylko potrafił, a tymczasem oni obaj, ludzie przecie niegłupi i szczerzy, jednogłośnie zawyrokowali, że pociesza się sofistmatami. To go zafrasowało.

— Tak, tak, mój drogi. Trzeba wybrać jedno z dwojga: albo stwierdzić, że obecny ustrój społeczny jest sprawiedliwy, a wówczas bronić swoich praw, albo uznać, że się korzysta z niczym nie usprawiedliwionych przywilejów, tak jak to czynię ja, i korzystać z nich z satysfakcją.

— Nie, gdyby one były nie usprawiedliwione, nie mógłbyś korzystać z tych dobrodziejstw z satysfakcją, ja przynajmniej nie mógłbym. Przede wszystkim chodzi o to, by się nie czuć winnym.

— A może by tak rzeczywiście pójść się przejść? — Stiwę najwidoczniej znużył wysiłek umysłowy. — Przecie i tak nie zaśniemy. Naprawdę, chodźmy.

Lewin nic nie odrzekł. Zajęły go tylko co przez niego same wypowiedziane słowa, że działa słusznie tylko w sensie negatywnym. „Czy doprawdy można sprawiedliwie postępować tylko w sensie negatywnym?” — zapytywał sam siebie.

— Jak to świeże siano jednak mocno pachnie! — rzekł Obłoński podnosząc się nieco. — Nie ma mowy, żebym mógł zasnąć. Już tam nasz Wasieńka coś wyczynia. Czy słyszysz śmiechy i jego głos? Może by tam pójść? Chodźmy!

— Ja nie pójdę — odrzekł Lewin.

— A może i to także dla zasady? — uśmiechnął się Stiwa szukając w mroku czapki.

— Wcale nie dla zasady, ale po co bym miał tam iść?

— A wiesz, że ty sobie narobisz kłopotu? — oświadczył Obłoński, który znalazł czapkę i wstał.

— Dlaczego?

— Myślisz, że nie widzę, jakieś się postawił wobec żony? Słyszałem przecie: u was jest sprawą pierwszorzędnej wagi, czy ty pojedziesz na dwa dni na polowanie, czy nie. Wszystko to jest bardzo piękne jako idylla, ale na całe życie nie starczy. Mężczyzna powinien być niezależny; ma on swoje własne, męskie zainteresowania. Mężczyzna musi być męski — powiedział Obłoński otwierając wrota.

— To znaczy, że co? Że ma iść umizgać się do dworskich dziewczek? — zapytał Lewin.

— Dlaczegoż by iść nie miał, jeśli tam jest wesoło? *Ça ne tire pas à consequence**. Żona moja nic a nic na tym nie ucierpi, a ja się rozerwę. Przede wszystkim należy szanować świętość domowego ogniska. Żeby w domu nic takiego się nie zdarzało. Ale rąk sobie nie wiąż.

— Być może — sucho odparł Lewin i obrócił się na bok. — Jutro trzeba wcześniej wyjść. Nie będę nikogo budził, tylko o świcie wyruszę.

— *Messieurs, venez vite!** — zabrzmiał głos Wasieńki, który powrócił do szopy — — *Charmante!** Ja ją odkryłem. *Charmante*, prawdziwa *Gretchen** i jużemy się z nią zaznajomili. Naprawdę prześliczna! — opowiadał z miną tak zadowoloną, jakby dziewczynę specjalnie dla niego wykonano taką ładniutką i jakby chciał pochwalić tego, kto to

* *Ça ne tire pas...* — to nie pociąga za sobą żadnych następstw.

* *Messieurs ...* — panowie, chodźcie prędzej!

* *Charmante!* — urocza!

* *Gretchen* — Małgosia, pełna wdzięku bohaterka *Fausta* Goethego.

dla niego zrobił.

Lewin udał, że śpi, i Obłoński, włożywszy pantofle, zapalił cygaro i wyszedł z szopy. Wkrótce głosy ich ucichły.

Lewin długo nie mógł usnąć. Słyszał, jak konie jego chrupały siano, potem jak gospodarz ze starszym chłopcem zbierali się, aż odjechali na nocne pastwisko; dalej — jak żołnierz po drugiej stronie odryny mościł spanie dla siebie i dla siostrzeńca, małego synka gospodarza. Słyszał, jak chłopczyk cieniutkim głosikiem oznajmił stryjowi swoje zdanie o psach, które wydawały mu się straszne i olbrzymie; potem — jak chłopczyk dopytywał się, kogo te psy będą ścigały, a żołnierz zachrypniętym i sennym głosem mówił mu, że jutro myśliwi pójdą na błoto i będą palili ze strzelby; słyszał, jak wreszcie żołnierz chcąc się pozbyć pytań chłopczyka powiedział: „Spij, Waśka, śpij, bo zobaczysz”, i jak wkrótce począł chrapać. Wszystko ucichło i słychać było tylko rzenie koni i krakanie bekasa. „Czyżby tylko negatywnie? — powtórzył. — No więc co? To nie moja wina.” I począł myśleć o dniu jutrzejszym.

„Jutro od wczesnego rana pójdę i postanowię sobie nie gorączkować się. Bekasów jest zatrzęsienie. Są i dubelty. A jak wrócę, już będzie liścik od Kitty. Tak, Stiwa może ma i rację: nie zachowuję się wobec niej po męsku. Zbabiąłem... Cóż robić. Otóż i znowu negatywność.”

Przez sen posłyszał śmiech i wesołą rozmowę Wiesłowskiego z Obłońskim. Otworzył na chwilę oczy: księżyc wzeszedł, a oni stali obaj w otwartych wrotach rozmawiając, oświetleni ostrym światłem miesięcznym. Obłoński coś mówił o świeżości dziewczyny, porównując ją do ledwo co wyłuskanego, świeżutkiego orzeszka, a Wiesłowski śmiejąc się swym zaraźliwym śmiechem powtarzał słowa, zapewne powiedziane mu przez jednego z

chłopów: „Staraj się co prędzej o swoją własną.” Lewin wyrzekł do nich przez sen:

— Panowie, jutro skoro świt! — i zapadł w sen.

XII

Ocknąwszy się o rannej zorzy Lewin spróbował obudzić towarzyszy. Wasieńka leżący na brzuchu, z jedną nogą w pończosze wyprostowaną, spał tak mocno, że nie można było uzyskać odeń żadnej odpowiedzi. Obłoński przez sen odmówił wyruszenia tak wcześnie. Nawet i Łaska, śpiąca na skraju siat zwinięta w kółeczko, niechętnie wstała i leniwie wyciągała i rozprostowywał tylne łapy. Obuty, ze strzelbą w rękę, Lewin ostrożnie otworzył skrzypiąc wrota odryny i wyszedł na ulicę. Stangreci spali obok pojazdów, konie drzemały; jeden tylko jadł leniwie owies, rozrzucając go chrapami po korycie.

Na dworze dopiero szarzało.

— Cóżes się tak wcześnie zerwał, kochanieńki? — zawołała przyjaźnie, jak do starego znajomego, niemłoda gospodyni, która wyszła z chałupy.

— Na polowanie, ciotko. Czy tędy można przejść na błota?

— Prosto za chałupą, wzdłuż gumien, dobry człowieku, a potem przez konopie; jest tam i ścieżka.

Ostrożnie krocząc bosymi opalonymi stopami, stara przeprowadziła Lewina i odsunęła dla niego zaporę przy gumnie.

— Tamtędy do błota prosto jak strzelił. Nasi tam z wieczora pogнали paść konie.

Łaska biegła wesoło naprzód po ścieżce, Lewin szedł za nią szybkim, lekkim krokiem, nieustannie spoglądając na

niebo. Pragnął, by słońce nic wzeszło, zanim on nie dojdzie na miejsce. Słońce jednak się nie ociągało. Księżyc, który świecił jeszcze, gdy Lewin wyruszał w drogę, teraz już tylko lśnił jak kawałek żywego srebra; gwiazdy porannej, która przedtem narzuć się oku, teraz było trzeba wypatrywać na niebie; plamy na oddalonym poi wprawd nieokreślone, teraz były wyraźnie widoczne. Były to kopy żyta, niewidzialne z braku słonecznego światła rosy w pachnących wysokich konopiach, z których już powyrywano płoskonki, nogi i bluza Lewina były mokre aż powyżej pasa. W przezroczyściej ciszy poranka słyhać było najlżejsze dźwięki. Pszczoła przeleciała idącemu nad uchem z gwizdem lecącej kuli. Przyjrzał się lepiej i dostrzegł drugą i trzecią: wszystkie wylatywały spoza opłotków pasieki i znikaly w kierunku błota. Ścieżka doprowadziła go wprost do błota: można je było rozpoznać po oparach, które się zeń podnosiły to gęściej, to rzadziej, tak że turzyca i kępy łoży, sterczące jak wysepki, kołysały się w tej mgle. Na skraju błota, przy drodze, chłopaki i chłopci stróżujący na nocnym pastwisku, zmorzeni snem przed świtaniem, leżeli ponakrywani kaftanami. Niedaleko od nich chodziły trzy spętane konie. Jeden z nich pobrzękiwał łańcuchem. Łaska, idąc obok pana, to wypadła naprzód, to znów oglądała się na Lewina. Minawszy śpiących chłopów i zrównawszy się z pierwszym mokradelkiem Lewin obejrzał kapiszony i puścił psa. Jeden z koni, syty gniady trzylatek, ujrzawszy Łaskę rzucił się w bok i parsknął zadzierając ogon. Reszta koni również zestrachała się. Chlapiąc po wodzie spętanymi nogami jeły wyskakiwać z błota; kopyta ich, wyszarpywane z gęstego szlamu, wydawały dźwięki podobne do oklasków. Łaska zatrzymała się i z ironią spojrziała na konie, a pytająco na Lewina. Lewin pogłaskał ją i gwizdnął na znak, że można zaczynać.

Zaaferowana suka wesoło pobiegła po kołyszącym się pod nią trzęsawisku.

Wbiegłszy na błoto Łaska od razu spośród znanych sobie woni: korzonków, błotnych roślin, rdzawej wody, i nie znanej, końskiego pomiotu — odróżniła zalatujący od całego tego obszaru wiatr ptaka, tego właśnie wonnego ptaka, który ją ponad wszystko inne podniecał. Tu i ówdzie, na mchu i drobnych błotnych łopianach, zapach ów był bardzo mocny, nie można się jednak było zorientować, w którym kierunku stawał się mocniejszy, a w którym zanikał. Ażeby znaleźć kierunek, należało oddalić się nieco bardziej pod wiatr. Bezwiednie prawie przebiegając łapami Łaska popędziła sztywnym galopem — tak wszakże, aby za każdym susem móc się od razu, o ile zajdzie konieczność, zatrzymać — w prawo, uciekając przed wschodnim wiatrem zrywającym się o świcie. Potem obróciła się przeciwko wiatrowi i zaciągnąwszy się przez rozszerzone nozdrza powietrzem, natychmiast zwęszyła, że już nie tylko ich ślady, ale o n e same są tutaj, tuż przed nią, obecne, i to nie jeden, ale wiele ptaków. Ukróciła tedy szybkość pędu. Były wprawdzie tutaj, ale gdzie mianowicie — jeszcze określić nie mogła. Już poczęła zataczać koło, aby to miejsce rozpoznać, gdy wtem przerwał jej głos pana „Łaska, tu!” — powiedział wskazując jej inny kierunek. Zatrzymała się chwilę w miejscu, zapytując go, czy nie lepiej byłoby pozostać przy tym, co już rozpoczęła. On jednak gniewnym głosem powtórzył rozkaz pokazując na zalane wodą kępowisko, gdzie nic być nie mogło. Usłuchała; udając, by sprawić mu przyjemność, że szuka, przewędrowała całe kępowisko i powróciła na poprzednie miejsce. Tam wnet znowu zwęszyła wiatr ptaków. Teraz, gdy pan już jej nie przeszkadzał, wiedziała, co jej czynić wypada. Nie patrząc sobie pod nogi, zdenerwowana

potykaniem się na wysokich kępkach, wpadając w wodę — z czym jednak jej silne, giętkie łapy dawały sobie radę — poczęła zakreślać koło, które miało wszystko przed nią odsłonić. Ich woń stawała się coraz mocniejsza, narzucała się jej z coraz większą wyrazistością i nagle Łaska uświadomiła sobie zupełnie jasno, że jeden z ptaków jest tutaj, za tą kępką, o pięć kroków od niej. Zatrzymała się i zdrętwiała całym ciałem. Na swoich niskich łapach nic przed sobą dojrzeć nie mogła, ale wiedziała po wietrze ptaka, że siedział nie dalej niż o pięć kroków. Stała w miejscu, czując jego obecność coraz mocniej, i rozkoszowała się oczekiwaniem. Sztywny jej ogon był wyprężony i tylko sam jego koniuszek drgał. Pysk miała nieco rozwarty, uszy nastawione, jedno z nich zagięło się jeszcze w pędzie. Dyszała ciężko, ale dyskretnie, a jeszcze dyskretniej obejrzała się — raczej oczyma niż głową — na swego pana. Pan z miną, którą dobrze знаła, i oczyma, które ją zawsze przerażały, szedł potykając się na kępkach, szedł niezwykle wolno, jak się jej zdawało. Tak się jej tylko zdawało, Lewin bowiem biegł.

Zauważywszy ów specjalny rodzaj obkładania pola przez Łaskę, gdy pies cały przypadał do ziemi i wielkimi krokami tylnych łap jakby wiosłował otwierając przy tym z lekka pysk, Lewin poznał, że Łaska zwęszyła dubelty, i — z króciutką modlitwą do Boga o powodzenie, zwłaszcza przy pierwszym strzale — podbiegł ku niej. Zbliżywszy się tuż, począł z wysokości swego wzrostu patrzeć przed siebie, aż dojrzał oczyma to, co Łaska dostrzegła węchem. W przesmyku pomiędzy kępkami widać było na jednej z nich dubelta, który obróciwszy łepkę, nadśluchiwał. Potem rozprostował nieco skrzydła, znów je złożył, pokręcił niezdarnie kuperkiem i ukrył się za zakrętem.

— Pif! pif! — krzyknął Lewin popychając Łaskę.

„Ależ ja nie mogę stąd odejść — mówiła sobie w duchu Łaska. — Dokądże mam pójść? Stąd czuję je węchem, lecz jeśli ruszę naprzód, nie będę już zupełnie wiedziała, gdzie one są, a nawet — co to za ptaki.” Ale pan znowu ją pchnął kolanem i wzburzonym szeptem powiedział: „Pif, Laseczko, pif.”

„No, więc jeśli on tego chce, to już tak zrobię, ale w takim razie za nic nie ręczę” — pomyślała Łaska i z rozpędu skoczyła naprzód pomiędzy kępki. Teraz już nic węchem nie czuła i tylko widziała i słyszała, nic zgoła nie rozumiejąc.

O dziesięć kroków od miejsca, gdzie się poprzednio ukazał, podniósł się teraz dubelt, z soczystym chrapaniem i specjalnym głuchym odgłosem skrzydeł właściwym dubeltom, i tuż po wystrzale ciężko plasnął białą pierśią o mokre trzęsawisko. Następny nie zwlekał dłużej i bez wypędzenia wyleciał za plecami Lewina.

Gdy Lewin obrócił się w jego stronę, ptak był już daleko, ale go strzał dosięgnął. Dubelt przeleciał jeszcze ze dwadzieścia kroków, wzniosł się prostopadłe do góry i koziołkując jak rzucona piłka, ciężko upadł na suchym miejscu.

„To to rozumiem! — myślał Lewin chowając do torby ciepłe, tłuste dubelty. — No co, Laseczko, co ty na to?”

Gdy Lewin po nabiciu strzelby ruszył dalej, słońce, choć jeszcze nie widne za chmurką, już weszło. Księżyc utraciwszy cały swój blask białął na niebie jak obłoczek; ani jednej gwiazdy nie było już widać. Mokradelka, wpierv srebrzące się od rosy, zdawały się teraz złote. Rdzawe oparzeliska miały kolor bursztynu. Błękit traw przeszedł w żółtą zieleń. Ptaszki błotne krzątały się na krzaczkach u ruczaju błyszczących od rosy i rzucających długi cień. Jastrząb obudził się i siedział na kopie żyta obracając głowę

to w jedną stronę, to w drugą i patrzył z niezadowoleniem na błoto. Kawki leciały na pole, bosi chłopaczyna już pędził konie ku miejscu, gdzie stary chłop drapiąc się po plecach, podnosił się spod przykrywającego go kaftana. Dym od strzałów biał jak mleko na zieloności trawy.

Jeden z chłopców podbiegł do Lewina.

— Stryjku, kaczki tu wczoraj były! — wykrzyknął i począł mu z daleka towarzyszyć.

Lewin zaraz, na oczach tego chłopca, który mu okazywał swą aprobatę, z podwójną przyjemnością zabił jeszcze raz za razem trzy bekasy.

XIII

Przesąd łowiecki, że jeśli myśliwy nie chybi pierwszej sztuki zwierzyny i pierwszego ptaka, to całe polowanie się uda — dowiódł swej słuszności.

Zmęczony, głodny Lewin po przewędrowaniu ze trzydziestu wiorst wrócił uszczęśliwiony na kwaterę o dziewiątej rano, mając dziewiętnaście sztuk błotnego ptactwa i jedną kaczkę, którą przywiązał sobie do pasa, nie zmieściła się już bowiem w torbie. Towarzysze jego dawno się pobudzili, zdążyli wygłodnieć i zjedli śniadanie.

— Czekajcie, czekajcie: wiem, że jest ich dziewiętnaście — mówił Lewin licząc po raz drugi skurczone, zeschłe, pokryte skrzepłą krwią dubelty i bekasy o poskręcanych na bok główkach, nie wyglądające bynajmniej tak okazałe jak wówczas, gdy zrywały się z bagna.

Liczba zgadzała się i zazdrość Obłońskiego uradowała Lewina. Jeszcze większą radość sprawiło mu, że za powrotem na postój zastał już posłańca od Kitty, który przyjechał z liścikiem.

„Jestem zupełnie zdrowa i wesół. O ile się niepokoisz o mnie, to możesz być teraz dwa razy spokojniejszy niż przedtem. Mam nową straż przyboczną: Marię Własjewnę (była to akuszerka, nowa, ważna osobistość w rodzinnym życiu Lewina). Przyjechała dowiedzieć się, jak się miewam. Znalazła, że jestem zupełnie zdrowa, i zatrzymaliśmy ją aż do twego powrotu. Wszyscy są weseli i zdrowi, nie śpiesz się więc, proszę cię, ale jeśli ci polowanie dopisuje, zostań dzień dłużej.”

Te dwie przyjemności — pomyślne polowanie i list od żony — były tak wielkie, że dwie drobne przykrości, jakich niebawem doznał, mało Lewina obeszły. Jedna polegała na tym, że lewy przyprzężny kasztan, najwidoczniej dnia poprzedniego zajeżdżony, nie jadł paszy i był oswiały. Stangret twierdził, że koń jest zerwany.

— Wczoraj go tak zganiali, proszę jaśnie pana — twierdził. — Cóż! Całe dziesięć wiorst polnymi drogami!

Druga przykreść, która mu w pierwszej chwili zepsuła dobry humor, ale z której później śmiał się szczerze, polegała na tym, że ze wszystkich zapasów wydanych przez Kitty w takiej obfitości, iż zdawało się niemożliwym, by zjedzono je nawet w ciągu tygodnia, nic nie zostało. Wracając zmęczony i głodny z polowania, Lewin tak konkretnie marzył o pasztecikach, że zbliżając się do postoju czuł już ich zapach i smak w ustach, tak jak Łaska wietrzyli zwierzynę. Kazał Filipowi natychmiast je sobie podać. Okazało się jednak, że nie tylko pasztecików, ale i kurcząt już nie było.

— To się nazywa mieć apetyt! — śmiał się Obłoński wskazując na Wasieńkę Wiesłowskiego. — I ja na brak apetytu uskarżać się nie mogę, ale ten jest naprawdę fenomenalny...

— Cóż robić! — Lewin spojrzał chmurnie na

Wiesłowskiego. — Filip proszę w takim razie podać wołowinę.

— Wołowina zjedzona, a kość oddałem psom — zaraportował Filip. Lewin poczuł się tak skrzywdzony, że powiedział z gniewem:

— Mogliście mi byli choć cokolwiek zostawić! — Miał ochotę się] rozplakać.

— Więc wypatrosz zwierzynę — polecił drżącym głosem Filipowi starając się nie patrzeć na Wasieńkę — i włóż do środka pokrzyw. A dla mnie postaraj się przynajmniej o mleko.

Trochę później, gdy zaspokoił głód mlekiem, zawstydził się swej nieuprzejmości względem obcego człowieka i zaczął sam żartować ze swej głodowej irytacji.

Wieczorem opolowali jeszcze jedno pole i Wasieńka zabił również kilka sztuk, po czym nocą wrócili do domu.

Droga powrotna była równie wesoła jak droga w tamtą stronę. Wiesłowski to śpiewał, to wspominał z zachwytem swoje przeżycia u chłopów, którzy go poczęstowali wódką i mówili mu: „Kłuje w ząbki”, to znów nocne przygody z orzeszkami i dworską dziewczyną, kiedy to jeden z chłopów spytał go, czy jest żonaty, a dowiedziawszy się, że nieżonaty, powiedział mu: „A ty nie patrz z poządlwością na cudze żony, ale nie zwlekając wystaraj się o swoją własną.” Słowa te specjalnie bawiły Wiesłowskiego.

— W ogóle jestem strasznie z naszej wyprawy zadowolony. A pan? — zwrócił się do Lewina.

— I ja jestem bardzo kontent — szczerze potwierdził Lewin. Cieszyło go zwłaszcza, że nie tylko nie odczuwał już tej niechęci, której doświadczył w stosunku do Wasieńki Wiesłowskiego uprzednio w domu, ale na odwrót, był dla niego jak najbardziej przyjacielsko usposobiony.

XIV

Nazajutrz o godzinie dziesiątej Lewin po skończonej lustracji gospodarstwa zastukał do pokoju, gdzie nocował Wasieńka.

— *Entrez** — zawołał Wiesłowski. — Proszę mi wybaczyć; dopiero co skończyłem moje *ablutions** — tłumaczył się z uśmiechem, stojąc przed Lewinem tylko w bieliźnie.

— Niechże pan się nie krępuje. — Lewin usiadł przy oknie. — Czy pan dobrze spał?

— Jak zabity. A czy dziś dobry dzień do polowania?

— Co pan pija: herbatę czy kawę?

— Ani jedno, ani drugie. Jadam śniadanie. Doprawdy, aż mi wstyd. Pani zapewne już powstawały? Doskonała pora do spaceru. Niech mi pan pokaże konie.

Po obejściu ogrodu i zwiedzeniu stajen Lewin ze swym gościem pogimnastykowali się trochę na drążkach, po czym wrócili do domu i weszli do salonu.

— Cudownieśmy polowali. Tyle wrażeń! — Wiesłowski zbliżył się Kitty siedzącej przy samowarze. — Jaka szkoda, że panie są pozbawione tej przyjemności!

„No więc cóż, musi przecież jakoś do pani domu zagadać” — powiedzą sobie Lewin. Coś mu się znów uwidziało; ta jakaś zwycięska mina, z Wasieńka zwrócił się do Kitty...

Księżna, która siedziała u drugiego końca stołu z Marią Własjewną i Obłońskim, wezwała do siebie Lewina i rozpoczęła z nim rozmowę na temat przeprowadzki córki na czas półogu do Moskwy. Chodziło jej też o przygotowanie mieszkania. Zupełnie tak jak Lewinowi z okazji ślubu przykre zdały się wszystkie zabiegi, które swą popospolitością

* *Entrez* — proszę wejść.

* *Ablutions* — ablucje, mycie się.

pomniejszały wzniosłość tego, co się spełnić miało, tak obecnie tym bardziej raziły go przygotowania do mającego nastąpić porodu, którego termin obliczano jakoś na palcach. Stale usiłował nie słyszeć tych rozmów o sposobie spowijania mającego się narodzić dziecka, usiłował odwracać się i nie dostrzegać jakichś nie kończących się, robionych na drutach pasów, jakichś płóciennych trójkącików, którym Dolly przypisywała szczególną wagę, itp. Wydarzenie narodzin syna (był pewien, że to będzie syn), które mu obiecywano, lecz w które mimo to uwierzyć nie mógł, tak mu się wydawało niezwykle, wyobrażał sobie z jednej strony jako olbrzymie i dlatego nieprawdopodobne szczęście, a z drugiej — jako co niewymownie tajemniczego. Toteż zdawało mu się oburzające i poniżające, by ktoś mógł sobie przypisywać jakąś wiedzę o tym, co miało nastąpić, by miał czynić do tego przygotowania jak do zwyczajnego, przez zwykłych ludzi spowodowanego wypadku.

Księżna wszakże nie rozumiała jego uczuć i sądziła, że ta jego niechęć, by myśleć i mówić na te tematy, pochodzi z lekkomyślności i obojętności, dlatego nie dawała mu spokoju. Poleciała Obłońskiemu, by obejrzał mieszkanie, a teraz przywołała Lewina.

— Ja nic nie wiem, księżno. Róbcie, co chcecie — odrzekł.

— Trzeba postanowić, kiedy się przeniesiecie.

— Doprawdy nie wiem. Wiem, że miliony dzieci rodzi się bez Moskwy i doktorów... dlaczego więc...

— Jeżeli tak sądzisz...

— Ależ nie! Jak zechce Kitty.

— Nie można z nią o tym mówić! Czy chcesz, żebym ją nastraszyła? Nie dalej jak tej wiosny Natalie Golicyn umarła z powodu złego akuszerza.

— Zrobię tak, jak księżna zadecyduje — spochmurniał Lewin. Księżna poczęła mówić dalej, ale już jej nie słuchał. Rozmowa z nią drażniła go; sposepniał jednak nie od tej rozmowy, lecz od tego, co się działo przy samowarze.

„Nie, to niemożliwe” — myślał spoglądając na przechylonego do Kitty Wasieńkę. Mówił coś do niej ze swym ślicznym uśmiechem, a ona rumieniła się i zdawała się przejęta.

Było coś plugawego w pozie Wasieńki, w spojrzeniu, w uśmiechu. Lewin widział nawet coś nieczystego w pozie i wejrzeniu Kitty... I znowu świat w jego oczach zasunął się mrokiem. Znow tak jak wczoraj, nagle, bez najmniejszego przejścia poczuł, że go strącono ze szczytu szczęścia, spokoju, godności — w odmęt rozpaczy, gniewu i poniżenia. Znow wszyscy i wszystko poczęło w nim wzbudzać odrazę.

— Niech więc księżna robi, jak księżna uważa — rzekł i znow się obejrzał.

— Ciężka jest czapka Monomacha* — zażartował z niego Stepan Arkadycz i aluzja ta nie odniosła się bynajmniej tylko do rozmowy z księżną, lecz raczej do właściwej przyczyny złego humoru Lewina, który Obłoński zauważył. — Tak późno, Dolly?!

Wszyscy powstali z miejsc, by powitać Darię Aleksandrownę. Wasieńka także wstał na sekundę, lecz z brakiem kurtuazji dla dam, właściwym nowoczesnej młodzieży, ledwo się uklonił i śmiejąc się z czegoś, nie przerywał rozmowy.

— Masza zamęczyła mnie dzisiaj. Źle spała i strasznie kaprysiła — oznajmiła Dolly.

Rozmowa, którą Wasieńka prowadził z Kitty, dotyczyła

* Czapka Monomacha — według tradycji korona księcia kijowskiego Włodzimierza Monomacha (XI w.), symbol władzy. Tu Obłoński cytuje zdanie z dramatu Puszkina *Borys Godunow*, które stało się przysłowiove.

wczorajszego tematu, a więc Anny i zagadnienia, czy miłość może się wznieść ponad przyjęte w świecie zwyczaje. Rozmowa ta przejmowała Kitty niesmakiem, denerwowała ją i samą swoją treścią, i tonem, w jakim była prowadzona, a zwłaszcza denerwowała ją, bo wiedziała z góry, jak na to zareaguje mąż. W prostocie swej jednak i niewinności nie potrafiła rozmowy przerwać. Nawet nie umiała ukryć czysto powierzchownego zadowolenia, jakie widoczne zajęcie się nią Wiesłowskiego jej sprawiało. Chciała przerwać rozmowę, ale nie wiedziała, co mianowicie ma zrobić. Była pewna, że cokolwiek uczyni, mąż jej zauważy to i wytłumaczy sobie jak najgorzej. I rzeczywiście, gdy zapytała siostrę, co Maszy jest, a Wasieńka oczekując, aż się ta nieciekawa dla niego rozmowa skończy, z obojętnością spoglądał na Dolly, pytanie żony wydało się Lewinowi nienaturalne: był to obrzydliwy podstęp.

— I cóż, czy pojedziemy dziś na grzyby? — spytała, Dolly.

— Jedźmy, proszę. I ja także pojedę — powiedziała Kitty i zarumieniła się. Chciała przez grzeczność zapytać Wasieńkę, czy i on również się wybierze, ale się powstrzymała. — Dokąd to, Kostia? — z miną winowajczyni zagadnęła męża, gdy ten mijał ją stanowczym krokiem. Jej zawstydzenie potwierdziło wszystkie jego domysły.

— W czasie mojej nieobecności przyjechał mechanik. Jeszcze go nie widziałem — odrzekł nie patrząc na nią.

Zeszedł na dół, ale nim zdążył opuścić gabinet, usłyszał znajomy krok żony. Szybko, nie zachowując żadnej ostrożności, szła do niego.

— Czego chcesz? — zapytał oschle. — Jesteśmy zajęci.

— Przepraszam pana — zwróciła się do Niemca mechanika. — Mam kilka słów do męża.

Niemiec chciał odejść, Lewin wszakże go zatrzymał:

— Niechże pan się stąd nie rusza.

— Mam o trzeciej pociąg, nieprawdaż? — zapytał Niemiec. — Nie chciałbym się spóźnić.

— Co masz mi do powiedzenia? — spytał po francusku.

Nie patrzył jej w twarz umyślnie, nie chcąc zauważyć, że — przy swojej ciąży — stała przed nim żalosna i złamana. Drżenia przebiegały jej twarz.

— Ja... ja chcę powiedzieć, że tak żyć nie sposób, że to męczarnia — wyrzekła z trudem.

— Tu obok, w kredensie, są ludzie — zauważył gniewnie — proszę cię bez scen.

— No więc chodźmy tam!

Stali w przejściu; Kitty skierowała się do sąsiedniego pokoju, ale tam Angielka dawała lekcję Tani.

— No, więc chodźmy do ogrodu!

W ogrodzie natknęli się na chłopca gracującego ścieżkę. Oboje już nie zważali na to, że chłop widzi jej zapłakaną twarz i jego wzburzoną minę, nie myśleli, że wyglądają na ludzi uciekających od jakiejś klęski. Szli naprzód spiesznym krokiem, czując, że muszą się wypowiedzieć, przekonać się wzajemnie, że muszą pobyć trochę sam na sam i pozbyć się w ten sposób męczarni, którą przechodzili oboje.

— Tak żyć niepodobna! To męka! Ja cierpię, ty cierpisz. Za co nas to spotyka? — powiedziała, gdy wreszcie dotarli do samotnej ławeczki w rogu lipowej alei.

— Powiedz mi tylko jedno: czy nie było w jego tonie czegoś nieprzyzwoitego, plugawego, ohydnie poniżającego? — mówił stając przed nią w tej samej pozie co wówczas w nocy, z pięściami wspartymi o pierś.

— Owszem, było — odparła drżącym głosem. — Ale, Kostia, czy ty nie widzisz, że nie ma w tym mojej winy? Już

od rana chciałam nadać rozmowie inny ton... Ale ci ludzie... Po co on przyjechał? Tacyśmy byli szczęśliwi! — mówiła. Łkania przerywały jej oddech i wstrząsały całą jej nieco ociężałą postacią.

Zdziwiony ogrodnik stwierdził, że chociaż nic im nie groziło i nie mieli przed czym uciekać i mimo że nic szczególnie radosnego znaleźć na owej ławeczce nie mogli — minęli go, wracając do domu, z uspokojonymi, promiennymi twarzami.

XV

Odprowadziwszy żonę na górę Lewin podążył do pokoi Dolly. Daria Aleksandrowna miała tego dnia wielkie zmartwienie. Chodziła po pokoju i z gniewem mówiła do stojącej w kącie i wniebogłosy płaczącej córeczki:

— I będziesz tak stała cały dzień w kącie, i obiad będziesz jadła sama, i ani jednej lalki na oczy nie zobaczysz, i nowej sukienki ci nie sprawię. — Już sama nie wiedziała, jakie jeszcze kary obmyślić.

— Cóż to za obrzydliwa dziewczynka! — tu zwróciła się do Lewina. — Skąd się u niej biorą te ohydne skłonności?

— I cóż ona takiego zrobiła? — spytał dość obojętnie Lewin, który miał ochotę poradzić się Darii Aleksandrowny w swoich sprawach i był zły, że przyszedł nie w porę.

— Poszła z Griszą do malin i tam... nawet opowiedzieć nie potrafię, co ona tam zrobiła. Po tysiąc razy żałuję miss Elliot. Ta niczego nie upilnuje, to maszyna... *Figurez vous que la petite...**

Tu Dolly opowiedziała przestępstwo Maszy.

— To niczego nie dowodzi; to wcale nie złe skłonności,

* *Figurez vous...* — proszę sobie wyobrazić, że mała...

tylko po prostu figle — uspokajał ją Lewin.

— Ale ty jesteś jakiś nieswój? Po co przyszedłeś? — spytała. — Co się tam dzieje?

Już z tonu tego zapytania Lewin poznał, że to, co miał do powiedzenia, przyjdzie mu z łatwością.

— Nie byłem tam, byłem z Kitty w ogrodzie. Pokłóciliśmy się po raz drugi, od czasu jak... Stiwa przyjechał.

Dolly patrzyła na niego rozumnym i rozumiejącym spojrzeniem.

— A więc powiedz mi z ręką na sercu, czy nie zauważyłaś... nie u Kitty, ale u tego pana tonu, który może być przykry — nie przykry, ale okropny, obrażający dla męża?

— No więc, jak ci to powiedzieć... Stój, stój w kącie! — zawołała do Maszy, która zauważywszy na twarzy matki uśmiech, zrobiła ruch, jakby chciała wyjść ze swego kąta. — Ze światowego punktu widzenia zachowuje się on tak jak „wszyscy młodzi ludzie. *Il fait la cour à, une jeune et jolie femme** a światowy mąż winien jedynie uważać to za rzecz pochlebną.

— Tak, tak — posepnie przytakiwał Lewin — więc zauważyłaś?

— Nie tylko ja, ale i Stiwa zauważył. Powiedział mi wprost po herbacie: *je crois que Wiesłowski fait un petit brin de cour à Kitty**.

— To świetnie, to mi wystarcza. Wyrzucę go z domu — zdecydował Lewin.

— Co ci jest! Zwariowałaś?! — zawołała z przerażeniem Dolly. — Co tobie, Kostia, opamiętaj się! — poczęła się śmiać. — No, możesz już iść do Fanny — zwróciła się do Maszy. — Nie, nie... Jeśli już koniecznie tak chcesz, to

* *Il fait...* — zaleca się do ładnej, młodej kobiety.

* *Je crois...* — zdaje się, że Wiesłowski nadskakuje z lekka Kitty.

powiem Stiwie i on go stąd zabierze. Można mu powiedzieć, że oczekujecie gości. W ogóle, on jakoś nie pasuje do tego domu.

— Nie, nie, już ja sam.

— Ależ z tego wyniknie kłótnia.

— Nigdy w życiu! Sprawi mi to taką przyjemność — istotnie, oczy Lewina rozbłyły wesołością. — Przebacz jej, Dolly! Ona już więcej tego nie zrobi — to się odnosiło do małej zbrodniarki, która zamiast udać się do Fanny, stała niezdecydowana przed matką i patrząc wyczekująco spoode łba, starała się spotkać z jej wzrokiem.

Matka spojrzała na nią. Dziewczynka rozszlochała się i ukryła twarz na kolanach matki. Dolly położyła jej na główce swą szczupłą, delikatną rękę.

„Cóż może być wspólnego pomiędzy nim a nami?” — pomyślał Lewin i poszedł szukać Wiesłowskiego.

Przechodząc przez sień kazał zaprzęgać do powozu z tym, żeby jechać na stację.

— Wczoraj złamał się resor — odrzekł lokaj.

— No więc do tarantasu, byle prędzej. Gdzie jest ten obcy pan?

— Poszedł do swego pokoju.

Lewin zastał Wasieńkę w chwili, gdy ten po wypakowaniu rzeczy z walizki porozkładał na stole nowe romanse i przymierzał skórzane sztylpy do konnej jazdy.

Nie wiadomo, czy było coś w wyrazie twarzy Lewina, czy też Wiesłowski sam zdał sobie sprawę, że *ce petit brin de cour* w tej rodzinie był nie na miejscu: w każdym razie poczuł się nieco (na tyle, na ile to u światowca możliwe) zakłopotany na widok Lewina.

— Pan jeździ konno w sztylpach?

— Tak jest: tak się człowiek mniej ubrudzi. — Wasieńka

postawił tłułą nogę na krześle i jął z dobroduszenie wesołym uśmiechem zapinać dolną haftkę.

Był to niewątpliwie poczciwy chłopak. Lewinowi zrobiło się go żal i wstyd mu było za siebie, jako gospodarza domu, gdy zauważył, że Wasieńka wygląda onieśmielony.

Na stole leżał kawałek kija, który tego ranka złamali na gimnastyce, usiłując podnieść rozpęzniałe drążki. Lewin wziął go do ręki i — nie wiedząc, jak zacząć — począł obłamywać rozłupany koniec.

— Chciałem... — I zamilkł, lecz nagle przypomniawszy sobie Kitty i wszystko, co się zdarzyło, spojrział Wiesłowskiemu ze stanowczością w oczy i rzekł: — Kazałem dla pana zaprząć konie.

— To jest... jak to? — zaczął zdziwiony Wiesłowski. — Dokądże pojedziemy?

— To pan pojedzie... Na kolej — chmurnie wytłumaczył Lewin obrywając włókna rozłupanego drążka.

— Państwo wyjeżdżacie? Czy się co stało?

— Stało się to, że oczekuję gości... — Lewin coraz szybciej obłamywał mocnymi palcami drzazgi sterczące z wystrzępionego kija. — Nie, nie oczekuję gości i nic się nie stało, ale proszę pana, żeby pan wyjechał. Może pan wytłumaczyć sobie moją niegrzeczność, jak pan chce.

Wasieńka wyprostował się.

— To ja pana proszę o wyjaśnienie... — zaczął z godnością, zrozumiałwszy wreszcie.

— Nie mogę nic panu wyjaśnić — cicho i powoli, usiłując pokonać skurcz mięśni policzkowych, wyrzekł Lewin. — I lepiej byłoby, gdyby pan nie pytał.

Drzazgi były już wszystkie obłamane. Teraz Lewin ujął w palce dwa grube rozszczepione końce, rozdarł kij i troskliwie podniósł połówkę, która upadła na ziemię.

Prawdopodobnie widok tych wyprężonych dłoni i gra tych samych mięśni, które tego ranka obmacywał na gimnastyce, wraz z błyskiem w oczach Lewina, jego drgającą twarzą i przyciszoną mową, wpłynęły na Wasieńkę bardziej przekonywająco od słów. Wzruszył ramionami i skłonił się z pogardliwym uśmiechem.

— Czy nie mógłbym się zobaczyć z Obłońskim?

Wzruszenie ramion i uśmiech nie uraziły Lewina. „Cóż mu innego pozostaje?” — pomyślał.

— Zaraz go do pana przyślę.

— Cóż to za nonsens! — zawołał Stiepan Arkadjicz dowiedziawszy się od przyjaciela, że go wypędzają z domu, i poszedł szukać w ogrodzie Lewina, który przechadzał się tam w oczekiwaniu wyjazdu gościa. — *Mais c'est ridicule!** Co cię ugryzło? *Mais c'est du dernier ridicule!** Cóż stąd, że ten młody człowiek...

Widocznie jednak miejsce, w które go to coś ugryzło, jeszcze było bolesne, bo gdy Obłoński począł omawiać powody zajścia, Lewin znów pobrał i spieszenie mu przerwał:

— Proszę cię, nie tłumacz mi powodów! Nie mogę postąpić inaczej! Bardzo mi przykro i ze względu na ciebie, i ze względu na niego. Sądzę jednak, że dla niego wyjazd ten nie będzie wielkim nieszczęściem, tymczasem i mnie, i żonie mojej obecność jego jest niemiła.

— Ależ to obrażające dla Wiesłowskiego! *Et puis c'est ridicule!**

— A dla mnie nie tylko obrażające, lecz bolesne! Nic tu nie zawiniłem i nie ma żadnego powodu, żebym miał cierpieć!

* *Mais c'est ridicule!* — ależ to śmieszne!

* *Mais...* — przecież to w najwyższym stopniu śmieszne!

* *Et puis...* — a poza tym śmieszne.

— Czegoś podobnego bym się po tobie nie spodziewał!
*On peut être jaloux, mais a, ce point, c'est du dernier ridicule?**

Lewin nagle odwrócił się i odszedł w głąb alei, gdzie począł w dalszym ciągu chodzić tam i na powrót. Wkrótce usłyszał turkot tarantasu i spoza drzew dojrzał, jak Wasieńka usadowiony na sianie (w tarantasie na nieszczęście nie było siedzenia), w swej szkockiej czapeczce jechał aleją wjazdową podskakując za każdym wstrząśnięciem pojazdu.

„A to co znowu?” — pomyślał Lewin, gdy lokaj wybiegł z domu i zatrzymał tarantas. Chodziło o mechanika, o którym Lewin całkiem zapomniał. Mechanik mówił coś z ukłonem do Wiesłowskiego, po czym wgramolił się do tarantasu i odjechali razem.

Obłoński i stara księżna byli oburzeni postępkami Lewina. On ze swej strony czuł się nie tylko w najwyższym stopniu *ridicule*, ale pod każdym względem winny i zhańbiony. Przypominając sobie wszakże, ile wraz z żoną przecierpiał, i zadając sobie pytanie, jak postąpiłby innym razem, dochodził do wniosku, że zupełnie tak samo.

Mimo to pod koniec tego dnia wszyscy — z wyjątkiem starej księżnej, nie mogącej Lewinowi jego postępkę wybaczyć — ogromnie się ożywili i rozweselili, jak dzieci po odcierpieniu kary lub dorośli po ciężkim oficjalnym przyjęciu. Wieczorem, w nieobecności księżnej, o wygnaniu Wasieńki mówiło się już jak o jakimś dawnym zdarzeniu. Dolly, która odziedziczyła po ojcu dar zabawnego opowiadania, śmieszyła do łez Warieńkę opowiadając już po raz trzeci czy czwarty, z coraz to nowymi humorystycznymi dodatkami, jak to ona właśnie miała przypiąć sobie na intencję gościa nowe kokardki i jak wchodząc już do salonu

* *On peut être...* — można być zazdrosnym, ale aż tak — to w najwyższym stopniu śmieszne.

usłyszała nagle turkot wasągu i kogóż tam ujrzała — samego Wasieńkę z jego szkocką czapeczką, romansami i sztylpami, usadowionego na sianie.

— Żebyś był choć kazał zaprząć do karety! Ale nie... A potem słyszę: „Zaczekać!” Otóż myślę sobie, zlitowano się nad nim. Aż tu patrzę, posadzili z nim razem grubego Niemca i ruszyli dalej... I moje kokardki się zmarnowały!...

XVI

Daria Aleksandrowna wykonała swój zamiar i wybrała się w odwiedzinę do Anny. Bardzo jej było przykro zmartwić siostrę i urazić szwagra, zrozumiała, że Lewinowie mieli zupełną słuszność nie życząc sobie utrzymywania jakichkolwiek stosunków z Wrońskim; uważała jednak za swój obowiązek być u Anny i okazać, że uczucia jej się nie zmieniły mimo zmiany sytuacji życiowej Anny.

Pragnąc ułożyć swój wyjazd nie mieszając w to Lewinów, Dolly posłała na wieś szukać koni do wynajęcia; Lewin jednak dowiedział się o tym i przyszedł do niej z wymówkami.

— Dlaczego sądzisz, że jazda twoja zrobi mi przykrość? A nawet gdyby tak być miało, to byłoby mi tym bardziej nieprzyjemnie, gdybyś nie wzięła moich koni — przekonywał ją. — Nie powiedziałaś mi ani razu, że naprawdę tam jedziesz. A jeśli chodzi o wynajęcie koni we wsi, to po pierwsze — jest mi to niemiłe, a po drugie — oni się wprawdzie tego podejmą, ale cię nie dowiozą. Mam przecie konie i jeśli nie chcesz mi sprawić przykrości, weź je, niech ci służą.

Dolly musiała się zgodzić i oznaczonego dnia Lewin przygotował dla szwagierki czwórkę oraz drugą na przepręg,

zestawioną z koni roboczych i wierzchowych, bardzo szpetną, lecz zdolną zawieźć Darię Aleksandrownę w ciągu jednego dnia na miejsce. Teraz, kiedy konie były potrzebne i dla odjeżdżającej starej księżnej i dla akuszerki, była to dla Lewina niełatwa sprawa, z obowiązku gościnności wszakże nie mógł pozwolić, by Daria Aleksandrowna, bawiąc u niego, wynajmowała konie. Poza tym wiedział, że tych dwadzieścia rubli, których od niej za jazdę żądano, było w jej budżecie pozycją bardzo poważną. Sprawy pieniężne Dolly, które stały bardzo źle, obchodziły Lewina na równi z własnymi.

Dolly, za jego radą, wyjechała przed świtem. Droga była dobra, powóz — wygodny; konie szły rażno, a na koźle obok stangreta siedział zamiast lokaja oficjalista, przydzielony przez Lewina dla bezpieczeństwa. Dolly zdrzemnęła się, a obudziła dopiero zajeżdżając przed karczmę, gdzie wypadało przeprząć konie.

Po napiciu się herbaty u tego samego bogatego gospodarza, gdzie zatrzymał się Lewin jadąc do Swiażskiego, Daria Aleksandrowna, pogadawszy z babami o dzieciach, a ze starym o hrabi Wrońskim, którego ten bardzo chwalił, o dziesiątej ruszyła w dalszą drogę. W domu, w swej nieustannej trosce o dzieci, nie miała czasu na rozważania. Teraz za to, w ciągu tego czterogodzinnego przejazdu, wszystkie dotychczas tłumione myśli nagle się jej stłoczyły w głowie: przetrząsnęła całe swe życie, jak nigdy przedtem, i to z najróżniejszych stron. Sama dziwiła się swoim myślom. Zrazu myślała o dzieciach, o które — mimo że matka, a przede wszystkim Kitty (do niej miała większe zaufanie) obiecały się nimi opiekować — była jednak niespokojna. „Byle Masza znów nie napsociła; byle Griszy koń nie kopnął; a Lili czy nie popsuje sobie jeszcze bardziej żołądka?” Potem jednak miejsce spraw dziejących się w terażniejszości zajęły

troski o najbliższą przyszłość. Poczęła przewidywać, że na zimę trzeba będzie wynająć w Moskwie nowe mieszkanie, zmienić meble w salonie i sprawić najstarszej córeczce futerko. Później jęły napływać problemy jeszcze dalszej przyszłości: jak wychować dzieci na ludzi. „Córki — to jeszcze nic, ale chłopców?!”

„No więc dobrze, obecnie sama się troszczę o Griszę, ale to tylko dlatego, że jestem wolna, nie rodzę. Na Stiwę, oczywiście, nie ma co liczyć. Już ja je wychowam z pomocą poczciwych ludzi: ale jeśli znowu nastąpi poród?!...” I przyszło jej do głowy, jak niesłuszne jest powiedzenie, że rzucono przekleństwo na kobietę, by rodziła dzieci w boleściach. „Rodzić — to jeszcze nic, ale nosić brzemię — to jest dopiero męka” — pomyślała przywołując na pamięć swoją niedawną ciążę i śmierć tego ostatniego dziecka. Tu przyszła jej na myśl rozmowa z młodą kobietą na postoju. Zapytana, czy ma dzieci, przystojna młoda chłopka odrzekła wesoło:

— Miałam jedną córeczkę, lecz Pan Bóg mnie od niej uwolnił. Pochowałam ją w poście.

— I cóż, czy ci bardzo smutno po dziecku? — spytała Dolly.

— Czegóż miałabym się smucić? Stary i tak ma dużo wnuków. To tylko kłopot ani się za robotę wziąć, ani nic. Tylko człowiek ma związane ręce.

Odpowiedź zdała się księżnej Darii Aleksandrownie wstrętna, mimo że przystojna kobiecina wyglądała poczciwie; teraz jednak przypomniawszy sobie mimo woli jej słowa. Cynizm ten nie był pozbawiony odrobiny słuszności.

„Bo i w ogóle — myślała patrząc wstecz na całe swe życie w ciągu tych piętnastu lat zameścia — ciąża, mdłości, otepienie umysłu, obojętność na wszystko, a przede

wszystkim — szpetota. Kitty, młodziuchna ładniuchna Kitty — nawet ona znacznie zbrzydła, a ja, kiedy jestem w ciąży, staję się szkaradna, wiem o tym. Poród, bóle, potworne bóle, ta ostatnia chwila... Potem karmienie, te bezsenne noce, te straszne cierpienia...”

Dolly aż się wzdrygnęła na samo wspomnienie bólu, jaki jej sprawiały popękane sutki, a przechodziła to przy każdym prawie dziecku. „Później — choroby dzieci, ta wieczna obawa: a wychowanie, złe skłonności (przypomniała sobie zbrodnię malej Maszy w malinach), nauka, łacina — wszystko takie niepojęte, takie trudne. A do tego wszystkiego jeszcze śmierć tych dzieci.” I w wyobraźni jej zjawił się znowu okrutny obraz śmierci ostatniego jej niemowlęcia, chłopczyka, który umarł na krup. Przypomniała sobie jego pogrzeb, ogólną obojętność wobec tej malej różowej trumienki i swój własny samotny ból, od którego pękało serce, ból nad tym bladziutkim czółkiem z kędzierzawymi włoskami u skroni, nad otwartymi, jakby zdziwionymi usteczkami, które widać było w trumience, w chwili gdy na nią kładziono różowe wieczko z krzyżem naszywanym z galonu.

„I po co to wszystko? Co z tego wszystkiego wyniknie? To, że ja sama, bez jednej sekundy spokoju — albo w ciąży, albo karmiąca — wiecznie zła, gderliwa, sama udęczonej i udęczonej innych, ja, która wzbudzam we własnym mężu odrazę, przeżyję swoje życie i że podorastają nieszczęsne, źle wychowane dzieci i wyrosną na nędzarzy. Już i teraz, gdyby nie lato spędzone u Lewinów, nie wiem, jak byśmy ten rok przeżyli. Oczywiście, Kostia i Kitty ;i są tak delikatni, że tego nie odczuwamy, ale to nie może tak dalej trwać. Sami będą mieli dzieci i nie będą mogli nam pomagać: już i teraz jest im ciasno. A może papa, który nie pozostawił sobie nic prawie,

ma nam przyjść na pomoc? Więc nawet dzieci wychować sama nie zdołam, chyba z pomocą innych, z tysiącem upokorzeń. Ale przypuśćmy nawet, że w najlepszym razie dzieci mi już nie będą umierały i że jakoś wyprowadzę je na ludzi, to najwyżej da się osiągnąć tyle, że nie wyrosną z nich nicponie. Oto wszystko, czego mogę dla nich pragnąć, i po to tylko mam przechodzić tyle męczarni, tyle mozołów... Po to zaprzepaścić całe życie!” Znow przysła jej na myśl wypowiedź młodej chłopki budząc w niej ponownie obrzydzenie, lecz musiała przyznać, że słowa te zawierały cząstkę prostackiej prawdy.

— Czy jeszcze daleko, Michajło? — zagadnęła pisarczyka, by się oderwać od myśli, które wzbudzały w niej strach.

— Powiadają, że licząc od tej wioski siedem wiorst.

Powóz zjeżdżał wiejską ulicą w dół na mostek. Po moście, głośno i wesoło rozmawiając, szła gromada rozweselonych bab, niosących na plecach ukrecone powrósła. Baby przystanęły oglądając z zaciekawieniem powóz. Wszystkie ku niej zwrócone twarze zdały się Darii Aleksandrownie tchnące zdrowiem, wesołe i aż drażniły swą radością życia. „Wszyscy żyją, wszyscy rozkoszują się życiem — medytowała dalej, mile kołysana na resorach starego powozu, który minął baby i wjechał rysią na górkę — a ja niczym z więzienia zwolniona ze świata, który mnie troskami zabija, tylko teraz na chwilę zdołałam się ocknąć. Wszyscy żyją: i te baby, i siostra moja Natalia, i Warieńka, i Anna, do której jadę, tylko ja jedna nie żyję.”

„Annę się potępia. Za co? Cóż, czy ja może jestem lepsza? A ja przynajmniej mam męża, którego kocham, nie w taki sposób wprawdzie kocham, jak bym tego sobie życzyła, ale w każdym razie — kocham. Anna swojego nie kochała. Gdzież więc jej wina? Czy w tym, że chce żyć? Bóg nam to

pragnienie włożył do serc. Bardzo być może, że i ja bym to samo zrobiła. Do dziś dnia nie wiem, czy postąpiłam dobrze idąc za jej radą w tym okropnym czasie, gdy Anna odwiedziła mnie w Moskwie. Powinnam była wówczas rzucić męża i rozpocząć życie na nowo... Mogłam jeszcze pokochać i być naprawdę kochana. A teraz — czy tak jest lepiej? Nie mam dla niego szacunku. Jest mi potrzebny — miała na myśli męża — i toleruję go. Czy tak jest lepiej? Wówczas mogłam się jeszcze podobać, pozostawało mi coś z mojej urody” — myślała dalej Dolly i zdjęła ją ochota przejrzeć się w lustrze. Miała w torebce podróżne lustro i chciała je wyjąć, lecz spojrzawszy na plecy stangreta i kiwającego się oficjalisty, pomyślała, że jeśli który z nich się odwróci, będzie jej wstyd, i nie wydobyla lusterka.

Nawet nie przeglądając się w nim osądziła wreszcie, że jeszcze i teraz nie jest za późno. Przypomniał jej się Koznyszew, zawsze dla niej specjalnie uprzejmy, za nim przyjaciel Stiwy, poczciwy Turowcyn, który pielęgnował dzieci w czasie szkarlatyny z nią razem był w niej zakochany. I przyszedł jej na myśl jeszcze pewien zupełnie młody człowiek, który — jak jej żartem opowiedział mąż — uważał, że jest piękniejsza od obu swoich sióstr. Tchnące gwałtowną namiętnością i zupełnie nieprawdopodobne perypetie miłosne poczęły się nasuwać imaginacji Darii Aleksandrowny. „Anna doskonale zrobiła i co do mnie, to wcale nie zamierzam mieć jej tego za złe. Jest szczęśliwa, uszczęśliwia sobą kogoś — nie zmarnowana tak jak ja, ale z pewnością jak zawsze ożywiona, inteligentna, z umysłem na wszystko otwartym” — myślała Dolly i filuterny uśmieszek osiadł na jej wargach, zwłaszcza ponieważ myśląc o romansie Anny — wyobrażała sobie — niejako równolegle do tego romansu — swoją własną, prawie taką samą historię miłosną z jakimś

wyimaginowanym, zbiorowym, zakochanym mężczyzną. Podobnie jak Anna, wyznała wszystko mężowi. Zdumienie i zakłopotanie Stiwy na tę wiadomość skłaniały ją do uśmiechu.

Tak marząc dojechała do zakrętu prowadzącego z gościńca do Wozdwiżskiego.

XVII

Stangret zatrzymał czwórkę i obejrzał się w prawo na pole żyta, gdzie w pobliżu wozu siedziało kilku chłopów. Oficjalista Michajło już miał zeskoczyć z kozła, lecz rozmyśliwszy się krzyknął tylko rozkazująco na jednego z chłopów dając mu znaki, by podszedł do powozu. Powiew odczuwany podczas jazdy ucichł, gdy powóz stanął; spocone konie oganiały się niecierpliwie od oblegających je baków. Metaliczny dźwięk klepania kosa, dochodzący od wozu, ucichł. Jeden z chłopów wstał i począł iść ku powozowi.

— Patrzcie go, jak się rozkleił! — rozgniewał się oficjalista na stąpającego powoli boso po nierównościach niewyjeżdżonej suchej drogi. — Chodźże wreszcie tutaj.

Kędzierzawy stary chłop, o włosach przytrzymywanych kawałkiem łyka, o zgarbionym, ciemnym od potu grzbiecie, przyspieszył kroku i podszedł do powozu kładąc opaloną dłoń na skrzydle.

— Do Wozdwiżskiego, do dworu? do pana hrabiego? — powtórzył. — Zaraz, jak tylko wyjedziesz na górkę. Zawróć w lewo. Prosto perszpektem jak strzelił. A do kogo wy? Do samego hrabiego?

— A czy państwo są w domu, moi drodzy? — spytała w sposób nieokreślony Dolly, nie wiedząc, jak spytać o Annę, nawet gdy chodziło tylko o chłopca.

— Pewno, że w domu — odrzekł chłop przestępując z nogi na nogę i pozostawiając w kurzu dokładny ślad stopy i pięciu palców. Pewno w domu — powtórzył z widoczną ochotą do rozmowy. — Wczoraj nawet goście przyjechali. Gości tam cała chmara... Czego chcesz? — obrócił się do chłopca, który doń coś wołał od wozu. — A ot co! Niedawno przejechali tędy wszyscy konno oglądać żniwiarkę. Teraz pewnie są już w domu. A wyście kto tacy?

— My z daleka — odpowiedział stangret gramoląc się na kozioł. — Więc to blisko?

— Powiadam przecie, że tuż. Jak tylko wyjedziesz... — prawil przesuwając ręką po skrzydle powozu.

Młody, zdrowy, krepły chłopak zbliżył się również.

— A co, może byłaby u was jaka robota przy spręcie? — zapytał.

— Nie wiem, mój miły.

— Skręcisz więc w lewo, a potem — prosto jak strzełił — mówił chłop, który najwidoczniej nie chciał się rozstawać z podróżnymi i miał ochotę porozmawiać.

Stangret ruszył, ale ledwo zawrócili w lewo, chłop począł krzyczeć:

— Stój! Ej, kochanieńki! Zaczekaj! — wołały dwa głosy. Stangret zatrzymał konie.

— O, właśnie jadą! Otóż i oni — krzyknął chłop.

— Patrzcie no tylko, jak sadzą! — tu wskazał na jadących drogą czworo konnych i dwie osoby w szarabanie*.

Byli to: Wroński z dżokejem, Wiesłowski i Anna konno oraz księżniczka Barbara ze Swiażskim w szarabanie. Wracali z przejażdżki, w czasie której oglądali pracę świeżo przywiezionych maszyn żniwiarskich.

Gdy powóz stanął, konni przeszli w stępa: na przedzie

* Szaraban — rodzaj bryczki bez resorów.

Anna z Wiesłowskim. Anna jechała wolnego stępa na niewielkim, zwięzłym angielskim *cobie** o strzyżonej grzywie i krótkim ogonie. Piękna głowa Anny z włosami wymykającymi się spod wysokiego kapelusza, rozkwitłe ramiona, szczupła talia w czarnej amazonce i całe jej spokojne, pełne wdzięku trzymanie się na siodle zrobiły na Dolly duże wrażenie.

To, że Anna jechała konno, wydało się jej w pierwszej chwili czymś niewłaściwym. Dla niej konna jazda pań łączyła się z pojęciem lekkiej, dziewczęcej kokieterii, która jej zdaniem, nie licowała z położeniem Anny; ale przyjrząwszy się jej z bliska, od razu się z jej konną jazdą pogodziła. Mimo światowego wykwintu, wszystko w pozie, ubraniu i ruchach Anny było tak proste, spokojne i pełne godności, że nie mogło być nic bardziej naturalnego.

Obok Anny, na siwym gorączującym się koniu kawaleryjskim, jechał Wasieńka Wiesłowski w swej szkockiej czapeczce z rozwiewającymi się wstążkami. Grube nogi miał wyciągnięte naprzód i najwidoczniej był sobą zachwycony. Daria Aleksandrowna nie mogła powstrzymać na jego widok wesołego uśmiechu. Za nimi jechał Wroński. Miał pod sobą skarogniadego konia wysokiej krwi, po którym znać było, że się rozpałił w galopie i teraz rwał. Jeździec powstrzymywał go, mocno ściskając cugle.

Za nim podążał mały człowieczek w stroju dżokeja. Swiażski z księżniczką w nowiutkim szarabanie zaprzężonym w dużego karego kłusaka doganiali jeźdźców.

Twarz Anny, w chwili gdy w malutkiej, wciśniętej w kącie starego powozu” figurce rozpoznała Dolly, nagle aż zajaśniała od radosnego uśmiechu. Wydała krótki okrzyk, poprawiła się w siodle i pchnęła konia w galop.

* *Cob* — tęgi, silnie zbudowany koń, o krótkiej, grubej szyi.

Podjechawszy do powozu zeskoczyła bez niczyjej pomocy i podtrzymując amazonkę pobiegła naprzeciw Dolly.

— Tak mi się zdawało, ale nie wierzyłam oczom. Co za radość! Nic możesz sobie wyobrazić, jak się cieszę! — mówiła, to przytulając policzek do twarzy Dolly i całując ją, to odsuwając się i oglądając ją z uśmiechem.

— Aleksy, co za szczęście! — tu obejrzała się na Wrońskiego, który; zeskoczył z konia i szedł ku nim.

Wroński zdjął swój wysoki, szary kapelusz i zbliżył się do Dolly.

— Księżna nie uwierzy, jak bardzo się cieszymy z jej przybycia — ; powiedział znacząco podkreślając wypowiedzane słowa, i jego mocne białe zęby błysnęły w uśmiechu.

Wasiénka Wiesłowski nie schodząc z konia zdjął swoją czapkę i powitał przybyłą radosnym wymachiwaniem wstążkami ponad głową.

— To księżniczka Barbara — odrzekła Anna na pytające spojrzenie Dolly, gdy szaraban zrównał się z nimi.

— Aa! — po twarzy Darii Aleksandrowny przemknęła niechęć. Księżniczka Barbara była ciotką jej męża. Dolly znała ją od dawna i nie darzyła jej szacunkiem. Wiedziała już, że księżniczka całe życie spędziła jako rezydentka u bogatych krewnych; ale to, że obecnie przebywała u Wrońskiego, człowieka bądź co bądź obcego, urażało uczucia Dolly, jako spowinowaconej z rodziną męża. Anna zauważyła zmianę w jej twarzy, zmieszała się, zarumieniła; amazonka wypadła jej z ręki, tak że się o nią potknęła.

Daria Aleksandrowna podeszła do stojącego na drodze szarabanu i oziębłe przywitała się z księżniczką. Swiażskiego również znała. Po zapytaniu jej, jak się miewa jego dziwak — przyjaciel ze swą młodą żoną, i po przyjrzeniu się

niedobranemu zaprzęgowi i powozowi o łatanych skrzydłach, zaproponował, by obie panie przyjechały szarabanem.

— A ja się przesiądę do tego wehikułu — dodał. — Koń jest spokojny, a księżniczka doskonale powozi.

— Ach, nie: zostańcie w szarabanie — zaproponowała Anna — a my sobie pojedziemy koczukiem.

Daria Aleksandrowna wprost nie wiedziała, na co wpierv patrzeć: na ten wytworny, nie znany jej dotąd ekwipaż, na ten wspaniały zaprzęg, na

otaczające ją eleganckie, wykwintne postacie. Ale największe wrażenie robiła na niej zmiana, jakiej uległa dobrze jej znajoma i kochana przez nią Anna. Kto inny, kobieta mniej spostrzegawcza, która by uprzednio Anny nie знаła, a zwłaszcza taka, która by nie pomyślała tego wszystkiego, co stanowiło przedmiot rozmyślań Darii Aleksandrowny w drodze, nie zauważyłaby w Annie nic szczególnego. Dolly jednak uderzył ten chwilowy rozkwit urody, który dostrzegła w twarzy przyjaciółki, a który u kobiet zjawia się jedynie jako dar chwil poświęconych miłości. Wszystko w tej twarzy: wyraźniej zarysowane dołki w policzkach i na brodzie, układ warg, uśmiech, który jakby opływał całą twarz, blask oczu, gracia i szybkość ruchów, głęboki dźwięk głosu, a nawet pół gniewny, pół przyjazny sposób, w jaki odpowiedziała Wasieńce, który pytał, czy może wsiąść na jej *coba*, żeby go nauczyć galopu z prawej nogi — wszystko miało szczególniejszy urok. Widać też było, że Anna zdaje sobie z tego sprawę i że ją to cieszy.

Gdy obie panie znalazły się w powozie, obie odczuły nagle zakłopotanie. Annę zmieszało uważne, pytające spojrzenie, które na nią skierowała Dolly; Darię Aleksandrownę zaś stropiły słowa Swiażskiego o wehikule i ogarnęło ją mimo woli zawstydzenie z powodu brudnego starego powozu, do

którego wsiadła z nią Anna. Stangret Filip i oficjalista Michajło doświadczały pokrewnego uczucia. Oficjalista, by pokryć zmieszanie, uwijał się pomagając paniom wsiąść, stangret Filip natomiast sponsepniał i już z góry postanawiał nie dać sobie zaimponować zewnętrzną przewagą. Spojrzawszy na karego kłusaka uśmiechnął się i zdecydował po cichu, że ten kary w szarabanie zda się tylko na szpacyr, ale czterdziestu wiorst w upał bez przeprzążki nie przejdzie.

Wszyscy chłopci siedzący obok wozu podnieśli się z ziemi i — rozweseleni — z ciekawością przyglądali się powitaniu robiąc swoje uwagi.

— A to się cieszą: pewnie dawno się nie widzieli — zauważył niemłody, kędzierzawy chłop z przewiązką z łyka.

— Patrzcie no, wujku Gierasimie, żeby nam tego karego ogiera do zwózki snopów, to by dopiero szło!

— Spójrzcie tylko: ta w portkach — czy to kobieta? — wskazał jeden z nich na Wasieńkę Wiesłowskiego siedzącego na damskim siodle.

— Nie, chłop. Widzisz go, jak zgrabnie smyknał!

— A co, chłopcy, już pewnie nie będziemy spali?

— Co teraz za spanie! — rzekł stary spoglądając z ukosa na słońce. — Południe przecie minęło. Bierzcie się za kosy, chłopcy. Zachodzić!

XVIII

Anna patrzyła na wychudłą, znużoną twarz przyjaciółki, na jej przysypane kurzem zmarszczki i zamierzała wypowiedzieć to, co spostrzegła, mianowicie — że Dolly źle wygląda. Przypomniała sobie jednak, że ona sama wypiękniała i że tamta najwyraźniej to zauważyła. Westchnęła więc tylko i poczęła mówić o sobie.

— Patrzysz na mnie i zastanawiasz się, czy mogę być w moich warunkach J szczęśliwa? No więc — aż mi wstyd się przyznać — ale jestem niewybaczalniej szczęśliwa. Jest mi tak, jakby mnie dotknął jakiś czar; coś jak sen, w którym dzieją się rzeczy straszne, niesamowite, i nagle człowiek się ocknie czując, że już te wszystkie strachy minęły... Obudziłam się. Poza mną leży wszystko, co J było męczarnią i strachem, i teraz już od dawna — zwłaszcza odkąd jesteśmy tutaj — jestem taka szczęśliwa! — Anna nieśmiało, z pytającym uśmiechem patrzyła na Dolly.

— Jakże się cieszę! — uśmiechnęła się Dolly. Słowa te wypadły nieco J mniej ciepło, niż zamierzała. — Cieszę się dla ciebie, Anno. Dlaczego do mnie nie pisałaś?

— Dlaczego... Dlatego że nie śmiałam... Zapominasz o mojej sytuacji...

— Do mnie? Nie śmiałaś? Gdybyś wiedziała, jak ja... Uważam, że... Dolly chciała wypowiedzieć to, co rano przemyślała, lecz wydało jej się to — nie wiadomo czemu — w danej chwili nie na miejscu.

— Zresztą, o tym — później. A to co za budynki? — zapytała, by zmienić temat rozmowy, wskazując na czerwone i zielone dachy, które było widać spoza żywopłotów z bzu i akacji. — Całe miasteczko.

Anna jednak nie odpowiedziała jej.

— Ach, nie, nie! Powiedz, co myślisz o moim położeniu; powiedz, — powiedz, co myślisz?

— Przypuszczam... — zaczęła Daria Aleksandrowna, ale właśnie w tej chwili Wasieńka Wiesłowski, który już zdążył naprowadzić *coba* na galop z prawej nogi, przemknął obok nich cwałem, ciężko opadając w swym króciutkim spencerku na zamsz damskiego siodła.

— Już dobrze idzie! — zawołał.

Anna nie spojrzała nawet na niego, ale Darii Aleksandrownie znów się zdało, że jakoś nie wypada rozpoczynać takiej długiej rozmowy w powozie, wypowiedziała więc myśl swą w skrócie.

— Nic nie myślę — oświadczyła. — Zawsze cię kochałam, a gdy się kogoś kocha, to kocha się całego człowieka, takiego, jaki jest, a nie takiego, jakim by się go mieć chciało.

Anna odwróciła wzrok od twarzy bratowej i przymrużając oczy (było to nowe przyzwyczajenie, którego Dolly dawniej u niej nie знаła) zamyśliła się, chcąc dokładnie zrozumieć sens tych słów. Zrozumiawszy je najwidoczniej tak, jak tego pragnęła, spojrzała na Darię Aleksandrownę.

— Jeśli masz na sumieniu jakie grzechy — powiedziała — to za przyjazd twój tutaj i za te twoje słowa na pewno zostaną ci wszystkie odpuszczone.

Dolly zobaczyła, że Anna ma łzy w oczach. Uścisnęła jej rękę w milczeniu.

— Więc cóż to za budynki? A jakie mnóstwo! — powtórzyła Dolly swe pytanie po chwili milczenia.

— To są domy oficjalistów, fabryka, stajnia — odpowiedziała Anna. — A to już początek parku. Wszystko to było zaniedbane; Aleksy wszystko odnowił. Bardzo lubi ten majątek i — czego się zupełnie nie spodziewałam — z pasją zajął się gospodarstwem. Zresztą, to taka bogata natura! Do czegokolwiek się weźmie, wszystko robi doskonale. Nie tylko się nie nudzi, ale pracuje z zapałem. Kto by się spodziewał, że on właśnie — taki, jakim go znam — będzie świetnym, oszczędnym, a nawet, jeśli chodzi o gospodarskie wydatki, skąpym gospodarzem, ale skąpym tylko w gospodarstwie. Tam gdzie chodzi o dziesiątki tysięcy, w ogóle nawet nie rachuje. — Anna mówiła z radosnym, a

jednocześnie przebiegłym uśmiechem, z jakim nieraz kobiety mówią o ukrytych, im tylko wiadomych właściwościach ukochanego człowieka. — Czy widzisz ten wielki budynek? To nowy szpital. Sądzę, że będzie kosztował ponad sto tysięcy. To jest obecnie jego *dada**. I wiesz, skąd się to wzięło? Chłopi prosili, żeby im taniej ustąpił, zdaje się, łąki. Odmówił im, a wtedy ja zarzuciłam mu skąpstwo. Oczywiście, że to nie tylko z tego powodu, ale wziąwszy wszystko razem, zaraz rozpoczął budowę tego szpitala, chcąc, rozumiesz, dowieść, do jakiego stopnia nie jest skąpy. Jeśli chcesz, *c'est une petitesse**, ale ja go za to jeszcze bardziej kocham. Zaraz zobaczysz dom, dom jeszcze pradziadowski, i Aleksy zupełnie go na zewnątrz nie zmienił.

— Jaki piękny! — Dolly z mimowolnym zdumieniem spoglądała na prześliczny dom z kolumnowym frontonem na tle różnobarwnej zieleni starych drzew ogrodu.

— Prawda, że piękny? A jaki prześliczny widok z domu, z górnego piętra!

Wjechały na żwirowany i ozdobiony kwietnikiem dziedziniec. Dwaj robotnicy okładali świeżo spulchniony klomb kwiatów nieociosanym porowatym kamieniem. Powóz przystanął na krytym zajeździe.

— A, już przyjechali! — Anna spojrzała na wierzchowe konie, które właśnie odprowadzano od ganku. — Prawda, jaki to ładny koń? To *cob*, mój faworyt. Proszę go tu przyprowadzić i przynieść cukru. Gdzie pan hrabia? — spytała dwóch wygalonowanych lokai, którzy wybiegli z domu. — A otóż i on! — spostrzegła wychodzących na jej spotkanie Wrońskiego i Wiesłowskiego.

— Gdzie umieścimy księżnę? — spytał Wroński po

* *Dada* — konik.

* *C'est une...* — to małoduszność, tu właściwie: małostkowość, drobiazgowość.

francusku zwracając się do Anny i nie czekając odpowiedzi raz jeszcze przywitał się z Dolly, całując ją tym razem w rękę. — Myślę, że w dużym balkonowym.

— Ach nie, to za daleko! Lepiej w narożnym; będziemy mogły więcej się widywać. No, chodźmy — powiedziała Anna, która tymczasem karmiła cukrem ulubionego konia.

— *Et vous oubliez votre devoir!** — zwróciła się do stojącego na ganku Wiesłowskiego.

— *Pardon, j'en ai tout plein les poches** — bronił się z uśmiechem, grzebiąc w kieszeni od kamizelki.

— *Mais vous venez trop tard!** — rzekła ocierając chusteczką rękę oślinioną przez konia biorącego cukier. Po czym zwróciła się do Darii Aleksandrowny: — Czy na długo? Na jeden dzień?! To niemożliwe!

— Obiecałam, a poza tym dzieci... — tłumaczyła się Dolly. Była zmieszana i z powodu torebki, którą trzeba było zabrać z powozu, i ponieważ wiedziała, że twarz jej musi być cała zakurzona.

— Nie, Dolly, najdroższa... Zresztą zobaczymy. Chodźmy, chodźmy! — i Anna zabrała ją do jej pokoju.

Nie był to ów paradny pokój, który proponował Wroński, i Anna przeprosiła Dolly za to, że ją tu umieszcza; ale nawet ten pokój, za który wypadało przeprosić, był pełen zbytku, którego Dolly nigdy nie zaznała, a który przypomniał jej pierwszorzędne zagraniczne hotele.

— Serce moje, jakąż ja jestem szczęśliwa! — Anna, jeszcze w amazonce, usiadła na chwilę obok Dolly. — Opowiedz mi o wszystkim w domu. Stiwę widziałam sekundę. Ale on nie potrafi opowiedzieć o dzieciach. Co robi moja faworytka Tania? To już chyba duża dziewczynka?

* *Et vous...* — pan zapomina o swym obowiązku!

* *Pardon...* — przepraszam, mam go pełne kieszenie.

* *Mais vous ...* — ale pan się zjawia za późno!

— Tak, bardzo duża — odrzekła krótko Daria Aleksandrowna, sama dziwiąc się, że tak oschle mówi o dzieciach. — Bardzo nam dobrze u Lewinów — dodała.

— Gdybym była wiedziała — rzekła Anna — że mną nie pogardzisz... Przyjechalibyście całym dworem do nas. Przecie Stiwa od bardzo dawna przyjaźni się z Aleksym — i nagle oblała się rumieńcem.

— Tak, ale nam tak dobrze... — Dolly zmieszała się.

— A zresztą, zaczynam z radości pleść głupstwa. Ach, najmiłsza, jakże ja się z ciebie cieszę! — Anna znów poczęła całować Dolly. — Jeszcze mi nie powiedziałaś, jak i co o mnie sądzisz, a ja chcę wszystko wiedzieć. Ale cieszę się, że zobaczysz mnie taką, jaka naprawdę jestem... Przede wszystkim nie życzyłabym sobie, by myślano, że chcę czegoś dowieść. Niczego nie chcę dowodzić, chcę po prostu żyć, nikomu, prócz siebie samej, zła nie czyniąc. Mam chyba do tego prawo? Zresztą, dużo by o tym gadać. Jeszcze o wszystkim porządnie pomówimy. Teraz pójdę się przebrać, a tobie przyślę pannę służącą.

XIX

Pozostawszy sama, Daria Aleksandrowna obejrzała pokój okiem gospodarnej pani domu. Wszystko, co spostrzegła i zajeżdżając, i w przejściu przez dom, i teraz w swoim pokoju, robiło na niej wrażenie dostatku, elegancji i tej nowoczesnej europejskiej wystawności, o której czytała jedynie w angielskich powieściach, nigdy zaś jeszcze nie napotkała w Rosji, w dodatku — na wsi. Wszystko tu było nowe, poczynając od nowych francuskich tapet, a kończąc na dywanie, który zaścielał cały pokój. Łóżko było sprężynowe z materacykiem i specjalnym wezglowiem; niewielkie

poduszki miały kanausowe* poszewki. Marmurowa umywalnia, toaleta, stolik, brązowy zegar na kominku, firanki i portiere — wszystko było drogie i nowe.

Szykowna panna służąca, która przyszła ofiarować swe usługi, miała fryzurę i suknię modniejszą niż Daria Aleksandrowna i była równie nowa i droga jak cały pokój. Jej uprzejmość, czystość i usłużność zrobiły na Dolly sympatyczne wrażenie, czuła się z nią jednak skrępowana; trochę się wstydziła przed nią swego na nieszczęście przez omyłkę zapakowanego łatanego kaftanika. Wstydziła się tych samych łat i cer, z których w domu była tak dumna. W domu rachunek był prosty: na sześć kaftaników szło dwadzieścia cztery arszyny nansuku po 65 kopiejek za arszyn, co wyniosło ponad 15 rubli, nie licząc dodatków i roboty; łątając zaoszczędzała więc choć te 15 rubli. A jednak przed tą elegancką panną służącą było jej nie tyle wstyd, ile jakoś nieporęcznie.

Doznała wielkiej ulgi, gdy do pokoju weszła dawna jej znajoma Annuszka. Szykowna panna potrzebna była jaśnie pani, Annuszka zaś została z Darią Aleksandrowną.

Annuszka była wyraźnie rozradowana jej przyjazdem i gadała bez przerwy. Dolly zauważyła, że dziewczyna ma ochotę wygłosić swoje zdanie co do położenia swej pani, a specjalnie podkreślić miłość hrabiego dla Anny Arkadiewny i jego oddanie. Dolly starała się ją hamować, skoro tylko Annuszka poruszała ten temat.

— Ja przecież wyrosłam razem z jaśnie panią i kocham ją nade wszystko. Cóż, nie nasza to rzecz — sądzić. A jakże on ją kocha...

— Więc proszę cię, daj to do wyprania, jeśli można — przerwała Dolly.

* Kanausowy — z kanausu, jedwabnej perskiej tkaniny.

— Słucham. Mamy tu dwie osobne zgodzone kobiety do przepierek, a całą bieliznę pierze się maszyną. Pan hrabia sam wszystkiego dogląda. Co to za mąż!...

Dolly rada była, gdy weszła Anna: przyjście jej przerwało gadanie dziewczyny.

Anna przebrała się w bardzo prostą batystową suknię. Dolly uważnie ją obejrzała; wiedziała, co znaczy i jakie sumy kosztuje taka prostota.

— Stara znajoma — wskazała Anna na służącą.

Zakłopotanie jej minęło; była całkiem swobodna i spokojna. Dolly spostrzegła, że Anna zupełnie już się otrząsnęła z wrażenia jakie wywarła na niej wizyta przyjaciółki, i że przybrała ów powierzchowny, obojętny ton, który zdawał się zamykać drzwi do intymnego wnętrza jej uczuć i myśli.

— Jakże się ma twoja córeczka, Anno? — spytała Dolly.

— Annie? (Tak nazywała swoją córkę Annę.) Jest zdrowa. Znacznie lepiej wygląda. Chcesz ją zobaczyć? Chodźmy: pokażę ci ją. Mieliśmy mnóstwo kłopotów — poczęła opowiadać — z niańkami. Wzięliśmy jako mamkę — Włoszkę. Dobra, ale taka głupia! Chcieliśmy ją zwolnić, ale dziecko tak do niej przywykło, że mamka ciągle jeszcze jest u nas.

— A jakżeście się urządzili?... — zaczęła Dolly, chcąc zapytać, jakie nazwisko dziecko będzie nosiło. Zauważywszy jednak, że Anna zasepiła się, zmieniła sens zapytania: — Jakżeście to urządzili? Odłączyliście ją już od piersi?

Lecz Anna nie dała się wywieźć w pole.

— Nie o to chciałaś zapytać... Chciałaś zapytać o jej nazwisko? Nieprawdaż? To trapi Aleksego. Ona nie ma nazwiska. To znaczy nosi nazwisko Karenin — wypowiedziała to, mrużąc oczy tak, że widać było tylko linie

złączonych rzęs. — Zresztą — twarz jej rozjaśniła się nagle — o tym wszystkim pogadamy później. Chodźmy: pokażą ci ją. *Elle est tresgentille**. Już raczkuje.

W pokoju dziecinnym wystawność, która uderzyła Darię Aleksan — drownę w całym domu, jeszcze bardziej narzucała się oczom. Były tutaj i wózekczki sprowadzone z Anglii, i przybory do nauki chodzenia, i kanapa w kształcie bilardu, specjalnie przystosowana do raczkowania, i kołyski, i osobliwe, nowoczesne wanny. Wszystko było angielskie, trwałe, w dobrym gatunku i najwyraźniej bardzo drogie. Pokój był duży, wysoki i widny.

Gdy weszły, dziewczynka siedziała w koszulce na foteliku przy stole i jadła na obiad rosół, którym zalała sobie cały przodzik. Karmiła ją i widocznie sama z nią jadła dziewczyna, Rosjanka, przydzielona do dziecinnego pokoju. Przy dziecku nie było ani mamki, ani bony; znajdowały się obie w sąsiednim pokoju, skąd słyhać było, jak rozmawiały zabawną francuszczyzną, jedynym językiem, jakim mogły się ze sobą porozumiewać.

Słyszając głos Anny wystrojona wysoka Angielka o niesympatycznej twarzy i podejrzanym wyglądzie weszła spieszenie, potrząsając blond lokami, i od razu zaczęła jakieś usprawiedliwienia, chociaż Anna nie zrobiła jej najmniejszej wymówki. Za każdym słowem Anny Angielka powtarzała po parę razy: „*Yes, my lady.*”*

Czarnobrewa, czarnowłosa, rumiana dziewczynka, ze swym mocnym, czerwonym ciałkiem pokrytym gęsią skórką, bardzo przypadła Darii Aleksandrownie do serca, mimo że dziecko surowo spojrzało na nieznaną osobę. Dolly poczuła zazdrość o ten jej zdrowy wygląd. Sposób raczkowania małej także się jej bardzo podobał; ani jedno z

* *Elle...* — jest bardzo milutka.

* *Yes...* — tak, proszę jaśnie pani.

jej dzieci tak nie pełzało. To dziecko, z chwilą gdy je posadzono na dywanie i podwinięto jej do tyłu sukienkę, zachowywało się przeuroczo. Jak małe zwierzątko toczyła po dorosłych błyszczącymi czarnymi oczyma, uśmiechnięta z zadowolenia, że ją podziwiają, i trzymając nóżki z boku i energicznie opierając się na rączkach prędko podciągała cały tyłeczek, po czym znów przekładała rączki przed siebie.

Jednakże ogólna atmosfera dzieciennego pokoju, a już specjalnie Angielka, bardzo się Darii Aleksandrownie nie podobały. To, że Anna mogła ze swoją znajomością ludzi wziąć do córeczki taką niesympatyczną, podejrzanie wyglądającą Angielkę, Dolly mogła usprawiedliwić tylko tym, że żadna przyzwoita osoba nie zgodziłaby się wejść do nieuporządkowanych stosunków rodzinnych Anny. Poza tym od razu, z kilku słów, Dolly doszła do przekonania, że Anna, mamka, bona i dziecko nie są żyte, i że wizyta matki była rzeczą niecodzienną. Anna chciała podać córeczce zabawkę i nie mogła jej znaleźć.

Najbardziej jednak zdumiewające było to, że na pytanie, ile dziecko ma zębów, Anna dała mylną odpowiedź; nic nie wiedziała o ostatnich dwóch.

— Czasami smutno mi, że jestem tu jakby piątym kołem u wozu — rzekła Anna wychodząc z dzieciennego pokoju i podgarnęła tren sukni, by nie zawadzić o stojące przy drzwiach zabawki. — Z pierwszym było inaczej.

— Mnie by się zdawało, że powinno być na odwrót — zauważyła nieśmiało Dolly.

— O, nie! Może wiesz, że go widziałam, widziałam Sieriożę. — I Anna zmrużyła oczy, jakby wpatrując się w coś dalekiego. — Zresztą, pomówimy o tym później. Wierz mi, że jestem jak głodny człowiek, przed którym nagle postawiono obfity posiłek i który nie wie, do czego się

najpierw zabrać. Obfity posiłek to — ty i rozmowy, które mamy przed sobą, rozmowy, których z nikim innym prowadzić bym nie mogła. Nie wiem wprost, od czego najpierw zacząć. *Mais je ne vous ferai grâce de rien**. Muszę się całkiem wypowiedzieć... Ale, ale, powinnam ci jeszcze naszkicować towarzystwo, które u nas zastaniesz — zaczęła na inny temat. — Najpierw damy: a więc księżniczka Barbara. Znasz ją, a ja znam opinię twoją i Stiwy co do niej. Stiwa powiada, że celem jej życia jest dowieść ludziom swej wyższości nad ciotką Katarzyną, i to prawda. Ale jest poczciwa, a ja taka jej jestem wdzięczna. Była chwila w Petersburgu, kiedy koniecznie potrzebowałam *un chaperon**. Nawinęła mi się wówczas... Ale jest naprawdę poczciwa. Ułatwiła mi bardzo sytuację. Widzę, że nie rozumiesz całej trudności mego położenia... tam, w Petersburgu — dodała. — Tutaj jestem zupełnie spokojna i szczęśliwa. No, ale o tym — później... Muszę ci wyliczyć. Więc dalej — Swiażski: to marszałek szlachty i bardzo przyzwoity człowiek, ale przy tym ma jakieś widoki na Aleksego. Rozumiesz, że ze swoją fortuną teraz, gdyśmy osiedli na wsi, Aleksy może mieć bardzo duże wpływy. Dalej — Tuszkiewicz; widywałeś go: był przyjacielem Betsy. Dostał tam dymisję, więc przyjechał do nas. Jest to, jak powiada Aleksy, jeden z tych ludzi, którzy są bardzo mili, jeśli ich uważać za takich, jakimi oni sami radzi by się wydawać, *et puis il est comme il faut**, jak mówi księżniczka Barbara. Potem Wiesłowski... Znasz go przecie. Bardzo miły chłopaczek — zawyrokowała i figlarny uśmiech zaigrał na jej ustach. — Ale co to za dziwaczna historia z Lewinem? Wiesłowski opowiadał coś Aleksemu, aleśmy nie

* *Mais...* — ale niczego ci nie oszczędzę.

* *Un chaperon* — przyzwoitka.

* *Et puis ...* — a poza tym jest przyzwoity.

uwierzyli. *Il est tres gentil et naif** — powiedziała z tym samym uśmieszkiem. — Mężczyźni potrzebują rozrywek: Aleksemu potrzebne jest audytorium, dlatego dbam o to całe towarzystwo. W domu powinno być gwarno i wesoło, tak żeby Aleksey nie zateśnił za żadną nowością. I jeszcze administrator. Jest to bardzo poczciwy Niemiec, dobry fachowiec; Aleksey wielce go ceni. Następnie — doktor, młody człowiek, nie tyle nihilista, ile, wiesz, jada nożem... ale dobry lekarz. Wreszcie — architekt *Une petite cour**.

XX

— Otóż i Dolly, ciociu. Ciocia tak ją chciała widzieć. — Anna i Dolly weszły na wielki kamienny taras, na którym siedziała w cieniu księżniczka Barbara przy krosienkach, haftując fotel przeznaczony dla Wrońskiego. — Dolly mówi, że nie chce nic jeść przed obiadem, ale niech ciocia każe podać śniadanie, a ja pójdę poszukać Aleksego i sprowadzę ich wszystkich tutaj.

Księżniczka Barbara serdecznie, acz nieco protekcyjnie powitała Dolly i zaraz poczęła jej tłumaczyć, że przeniosła się do Anny, ponieważ zawsze kochała ją bardziej niż siostra jej Katarzyna (ta ciotka, która wychowywała Annę), a że teraz gdy się wszyscy od Anny odsunęli, uważała za swój obowiązek pomóc jej w tym przejściowym, najcięższym okresie.

— Mąż da jej rozwód i wówczas wrócę znów do mojej samotni, ale tymczasem mogę być użyteczna i mimo że mi to łatwo nie przychodzi, spełnię mój obowiązek, nie tak jak inni. Jakaś ty miła, jak dobrze zrobiłaś, żeś przyjechała! Żyją ze sobą jak najlepsze małżeństwo: Bóg ich będzie sądził, a nie

* *Il est...* — jest bardzo miły i naiwny.

* *Une petite...* — dwór w miniaturze.

my... Przecie i sam Nikandrow, i Wasiliew z Mamonową, i Liza Nieptunowa... I nikt nic na to nie mówił. A skończyło się nawet tym, że ich wszyscy u siebie przyjmowali. A poza tym *c'est un intérieur si joli, si comme il faut. Tout à fait à l'anglaise. On se réunit le matin au breakfast et puis on se sépare**. Każdy robi, co chce, aż do obiadu. Obiad o siódmej. Stiwa doskonale zrobił, że ciebie przysłał. Powinien się ich trzymać. Wiesz przecie, że on przez matkę i brata wszystko może uzyskać. A poza tym, oni robią tak wiele dobrego. Czy nie mówił ci o swym szpitalu? *Ce sera admirable*⁸ — wszystko z Paryża. Wejście Anny, która znalazła panów w pokoju bilardowym i razem z nimi powróciła na taras, przerwało tę rozmowę. Do obiadu pozostawało jeszcze dużo czasu, pogoda była prześliczna, toteż zaproponowano aż kilka sposobów spędzenia pozostałych dwóch godzin. Sposobów tych istniało w Wozdwieżenskim bardzo wiele, a wszystkie zupełnie różne od tych, które były w użyciu w Pokrowskim.

— *Une partie de lawn tennis** — zawołał ze swym ładnym uśmiechem Wiesłowski. — Pani i ja, Anno Arkadiewno, znowu razem.

— Ach nie, za gorąco. Lepiej przejdźmy się po ogrodzie i pojedźmy łódką, żeby Darii Aleksandronnie pokazać brzegi — zaproponował Wroński.

— Co do mnie, zgadzam się na wszystko — oświadczył Swiażski.

— Sądzę, że Dolly będzie wołała przejść się, nieprawdaż? A już potem pomyślimy o łódce — zadecydowała Anna.

Tak też postanowiono. Wiesłowski z Tuszkiewiczem poszli do budki kąpielowej, obiecując przygotować łódkę i

* *C'est un intérieur...* — to taki miły i przyzwoity dom. Zupełnie w angielskim stylu. Schodzą się wszyscy rano przy śniadaniu, a potem się rozstają.

⁸ *Ce sera.....* — to będzie zachwycające.

* *Une partie...* — partia tenisa.

zaczekać na resztę towarzystwa.

Poszli tedy drogą parami, Anna ze Swiażskim i Dolly z Wrońskim. Dolly była nieco stropiona i zafrasowana znalezieniem się w środowisku tak dla niej nowym. W sferze abstrakcji, teoretycznie, nie tylko usprawiedliwiała Annę, ale nawet pochwalała jej postępek. Jak to nieraz bywa u nieskazitelnych moralnie kobiet, którym znudziła się monotonia życia moralnego, Dolly z oddalenia nie tylko znajdowała usprawiedliwienie dla nieprawej miłości, ale nawet tej miłości zazdrościła. Poza tym kochała Annę z całego serca. W rzeczywistości jednak, gdy ujrzała ją w otoczeniu tych obcych ludzi, z ich nowym dla niej dobrym tonem — poczuła się niepewnie. Zwłaszcza zaś przykro jej było spotkać tu księżniczkę Barbarę, która gotowa była wszystko wybaczyć za dostatki, z jakich czerpała korzyść.

W ogóle Dolly pochwalała w teorii postępek Anny, ale przykro jej było widzieć człowieka, który był tego postępu przyczyną. Wreszcie Wroński nigdy się jej nie podobał. Sądziła, że jest pyszny, tymczasem — poza bogactwem — nie widziała w nim nic, co mogłoby mu dawać powód do dumy. Jednak tu, we własnym domu, Wroński, chociaż na pewno nie miał tego zamiaru, imponował jej jeszcze bardziej niż przedtem i nie mogła z nim przestawać bez skrępowania. Doświadczała wobec niego podobnego uczucia jak to, które ogarnęło ją przy pannie służącej z powodu łatanego kaftaniczka. Tak jak wobec panny służącej nie tyle się wstydziła, ile raczej doznawała zaambarasowania, tak w jego obecności ogarnął ją nie wstyd z powodu własnej osoby, ile raczej zakłopotanie.

Dolly w swym zażenowaniu szukała tematu do rozmowy. Mimo przekonania, że wobec zarozumiałości Wrońskiego wszelkie pochwały domu i ogrodu będą mu niemiłe, nie

znajdując innego tematu powiedziała mu wreszcie, że jego dom bardzo się jej podoba.

— Tak, to bardzo piękny budynek i w dobrym stylu — odrzekł.

— Dziedziniec przed gankiem jest prześliczny. Czy zawsze tak było?

— O nie! — i twarz jego rozpromieniła się z zadowolenia.
— Gdyby księżna widziała, jak to wyglądało jeszcze tej wiosny.

I począł zrazu z pewną rezerwą, a później coraz bardziej porwany tematem — zwracać jej uwagę na różne szczegóły upiększające dom i ogród. Widać było, że poświęciwszy wiele pracy różnym ulepszeniom i ozdobie swej siedziby, czuł potrzebę pochwalenia się nią przed nową osobą i cieszył się z całego serca z pochwał księżnej Darii.

— Jeśli księżna nie czuje się zmęczona i zechce rzucić okiem na szpital, byłaby to niedaleka przechadzka. Chodźmy — dodał po wyczytaniu z jej twarzy, że ją to na pewno nie znudzi.

— Pójdiesz z nami, Anno? — zwrócił się do niej.

— Pójdziemy i my, nieprawdaż? — zapytała Swiażskiego.
— *Mais il nefaut pas laisser le pauvre Wiesłowski et Tuszkiewicz se morfondre là dans le bateau**. Trzeba im dać znać. Tak, to pomnik, który po nim tutaj zostanie — Anna zwróciła się do Darii Aleksandrowny z tym samym wiedzącym, przebiegłym uśmiechem, z którym już uprzednio wspominała o szpitalu.

— O, to kapitalna rzecz! — podchwycił Swiażski, nie chcąc jednak, by to wyglądało na pochlebstwo, dodał natychmiast z lekka krytycznie: — Dziwi mnie mimo wszystko, że pan, tyle czyniąc dla ludu pod względem

* *Mais il nefaut...* — ale nie trzeba pozwolić biednemu Wiesłowskiemu i Tuszkiewiczowi zanudzać się tam w łódce.

zdrowotnym odnosi się z taką obojętnością do szkół.

— *C'est devenu tellement commun les écoles** — odparł Wroński. — Pan rozumie, to nie dlatego, ale po prostu zapaliłem się. Tędy idzie się do szpitala — wskazywał Darii Aleksandrownie boczną dróżkę wiodącą z alei.

Damy otworzyły parasolki i weszły na dróżkę. Po kilku zakrętach i wyjściu przez furtkę Dolly ujrzała przed sobą na wzniesieniu wielki, czerwony, prawie gotowy budynek o skomplikowanej architekturze. Dach z blachy, nie pomalowany, mocno błyszczał w olśniewającym słońcu. Obok gotowej budowli zakładano drugą, już obstawioną dokoła rusztowaniem. Na pomostach robotnicy w fartuchach układali cegły, zalewali ze szkopków murowanie i równali je przy pomocy poziomnicy.

— To u was, jak widzę, robota w rękę się pali! — zawołał Swiażski. — Gdy tu byłem ostatnio, jeszcze dachu nie było.

— W jesieni wszystko będzie gotowe. Wewnątrz już jest prawie zupełnie wykończone — powiedziała Anna.

— A ta nowa budowla?

— Tu będzie mieszkanie doktora i apteka — poinformował Wroński, a widząc zdążającego w ich stronę architekta w króciutkim paletku, przeprosił panie i podszedł do niego.

Okrzywszy dół, z którego robotnicy brali wapno, przystanął wraz z architektem i począł z nim coś żywo omawiać.

— Fronton jednak wypada za nisko — odpowiedział Annie na zapytanie, o co chodzi.

— Mówiłam, że trzeba dać wyższy fundament — zauważyła Anna.

— Oczywiście, że wypadłoby to lepiej, Anno Arkadiewno

* *C'est devenu...* — szkoły stały się czymś tak pospolitym.

— odparł architekt — ale cóż — zaszło przeoczenie.

— Tak, bardzo mnie to interesuje — odrzekła Anna, gdy Swiażski wyraził zdumienie, że się zna na architekturze. — Nowy gmach powinno się było budować tak, by odpowiadał swemu przeznaczeniu na szpital; tymczasem pomysł ten przyszedł później i zaczęto budowę bez planu.

Po naradzie z architektem Wroński przyłączył się do dam i wprowadził je do wnętrza szpitala.

Mimo że zewnątrz jeszcze dorabiano gzymsy, a na parterze wykonywano roboty malarskie, na górze prawie wszystko było już wykończzone. Przybyli weszli po szerokich żelaznych schodach na podest, a stamtąd do pierwszego, obszernego pokoju. Ściany były otynkowane na stiuk marmurowy, wielkie, o dużych szybach okna już wstawione, tylko parkiet jeszcze nie był gotowy. Stolarze, ostrugujący ustawiony pionowo kwadrat, porzucili robotę i pozdejmowawszy tasiemki przytrzymujące im włosy, zbliżyli się, aby się przywitać z państwem.

— To poczekalnia — objaśnił Wroński. — Tu będzie pulpit*, stół, szafa i więcej nic.

— Tutaj, przejdźmy tędy. Nie zbliżaj się do okna — przestrzegala Anna próbując, czy farba już wyschła. — Aleksy, farba już jest sucha — dodała.

Z poczekalni przeszli do korytarza, gdzie Wroński pokazał im urządzenie wentylacyjne według nowego systemu. Potem zobaczyli marmurowe wanny i łóżka o specjalnych sprężynach. Dalej obejrzeli jedną po drugiej sale szpitalne, spiżarnie, bieliźniarnię, jeszcze dalej piece nowej konstrukcji, wreszcie taczki, które przeznaczone były do cichego przewożenia po korytarzach potrzebnych przedmiotów. Widzieli poza tym jeszcze wiele innych rzeczy. Podczas gdy

* Pult — podstawka pod nuty, pulpit.

Swiażski, któremu nieobce były żadne nowoczesne udoskonalenia, umiał się poznać na tym, co widział — Dolly po prostu odczuwała podziw wobec wszystkiego, czego dotychczas nie spotykała. Chcąc wszystko zrozumieć, wypytywała Wrońskiego, co sprawiało mu widoczną satysfakcję.

— Tak, tak. Sądzę, że będzie to jedyny szpital w Rosji urządzony jak należy — zawyrokował Swiażski.

— A czy nie będzie oddziału położniczego? — spytała Dolly. — To takie potrzebne na wsi. Nieraz...

Mimo całej swej kurtuazji Wroński natychmiast jej przerwał.

— To nie jest klinika położnicza, lecz szpital przeznaczony dla wszystkich chorób prócz zakaźnych. Niech księżna tylko spojrzy — i przysunął Darii Aleksandrownie do obejrzenia świeżo sprowadzony fotel dla rekonwalescentów. Usiadł w fotelu i począł go wprawiać w ruch. — Chory nie może chodzić, jest jeszcze słaby albo cierpi na jakąś chorobę nóg, a przy tym potrzebuje świeżego powietrza, jeździ więc sobie, odbywa przejażdżki...

Dolly interesowała się wszystkim, wszystko się jej bardzo podobało, lecz najbardziej podobał jej się sam Wroński ze swoim bezpośrednim naiwnym zapałem. „Ależ to bardzo miły, dobry człowiek” — myślała chwilami i — nie słuchając go, tylko patrząc na niego i starając się przeniknąć grę jego twarzy — usiłowała postawić się na miejscu Anny. Tak jej się teraz w swym zapale podobał, że rozumiała już, jak Anna mogła się w nim zakochać.

XXI

— Ach, nie... Zdaje mi się, że księżna jest zmęczona i że

konie jej nie interesują — zauważył Wroński, gdy Anna zaproponowała przechadzkę aż do stadniny, Swiażski bowiem chciał tam obejrzyć nowego ogiera. — Idźcie sami, a ja odprowadzę księżnę do domu i porozmawiamy sobie — zaproponował — o iii to księżnej dogadza.

— Nic się nie znam na koniach. Bardzo mi będzie miło — odrzekła Dolly, nieco zdziwiona.

Po minie Wrońskiego poznała, że ma on do niej jakiś interes. Nie myliła się. Skoro tylko weszli znowu oboje przez furtkę do ogrodu, spojrzał w stronę, dokąd skierowała się Anna, i pewien już, że ich dosłyszeć ani dojrzeć nie może zaczął:

— Księżna pewnie zgadła, że pragnąłem z nią pomówić? — patrzył na ni roześmianymi oczyma. — Pani jest przyjaciółką Anny, wszakże się nie mylę? — Zdjął kapelusz i biorąc chustkę otarł nią swoją łysiejącą głowę.

Dolly nic nie odpowiedziała, zwróciła tylko na niego wystraszone spojrzenie. Gdy pozostała z nim sam na sam, ogarnęła ją nagle trwoga przelekła się tych roześmianych oczu w tej surowej twarzy.

Najróżnorodniejsze przypuszczenia co do sprawy, o której z nią mówkę zamierzał, przemknęły jej przez głowę: „Zacznie zapraszać mnie do nich wraz z dziećmi w gościnę i będę musiała mu odmówić; będzie chciał, żebym Moskwie zebrała kółko, w którym by Anna mogła bywać... A może poruszy sposób zachowania się Wiesłowskiego wobec Anny? Albo będzie chciał mówić ze mną o Kitty i o swej winie w stosunku do niej?” Przewidywała same nieprzyjemne rzeczy, ale tego, o czym z nią naprawdę mówić pragnął, nie odgadła.

— Księżna ma taki wpływ na Annę, ona tak księżnę kocha — zaczął, — Proszę mi pomóc.

Dolly wpatrywała się nieśmiało i pytająco w te energiczne

rysy, to widne] w słońcu przeświecającym przez lipy, to znów zakryte cieniem, i oczekiwała — co Wroński dalej powie; on jednak szedł obok niej bez słowa, dotykając tylko lekka laską szutru na dróżce.

— Księżna jedna jedyna z kobiet dawniej z Anną zaprzyjaźnionych raczyła nas odwiedzić — księżniczki Barbary nie licząc. Rozumiem, że jeśli księżna tak uczyniła, to nie dlatego, by uważała sytuację naszą za normalną, ale raczej dlatego, że — rozumiejąc, jak bardzo sytuacja ta jest ciężka — księżna mimo to kocha Annę i pragnie jej dopomóc. Czy dobrze księżnę zrozumiałem? — zapytał spojrzawszy na nią.

— O tak — Daria Aleksandrowna zamknęła parasolkę — jednakże...

— Nie — przerwał jej i bezwiednie, zapominając, że narzuca towarzyszce niewygodną pozycję, przystanął, tak że i ona zmuszona była się zatrzymać. Nikt bardziej i mocniej ode mnie nie odczuwa całego ciężaru położenia Anny!

Test to zresztą zupełnie rozumiałe, o ile księżna nie raczy mnie posądzać o brak serca. Ja jestem powodem tego stanu rzeczy i to wpływa na sposób, w jaki tę sytuację odczuwam.

— Rozumiem — odrzekła Dolly chcąc nie chcąc ujęta szczerością i energią wypowiedzi. — Ale właśnie ponieważ pan siebie uważa za powód tego, co się stało, nie jest wykluczone, że pan przesadza... W towarzystwie sytuacja jej jest ciężka, rozumiem to — dodała.

— Tak, to piekło! — rzucił szybko, marszcząc brwi. — Nie można sobie wyobrazić okropniejszych moralnych udręczeń niż te, które Anna przechodziła w Petersburgu przez dwa tygodnie... niechaj mi księżna wierzy.

— Tak, ale tutaj, dopóki ani Anna... ani pan nie będziecie czuli potrzeby światowych stosunków...

— Świat! — rzucił z pogardą. — Na co mógłby mi świat być potrzebny?!

— Do tego czasu — a to może przecie trwać zawsze — będziecie państwo szczęśliwi i spokojni. Widzę ze wszystkiego, że Anna jest szczęśliwa, całkowicie szczęśliwa, zdążyła mi to zresztą sama wyznać — powiedziała Dolly z uśmiechem, ale w tej samej chwili doznała wątpliwości, czy Anna była rzeczywiście szczęśliwa.

Wroński jednak zdawał się nie mieć co do tego żadnych wątpliwości.

— Tak, tak — potwierdził. — Wiem, że odżyła po wszystkich swoich udrękach, jest szczęśliwa. Szczęście jej oparte jest na teraźniejszości. Natomiast ja?... Ja obawiam się tego, co nas czeka... Przepraszam, księżna chciała iść dalej?

— Ach nie! Wszystko mi jedno.

— Więc usiądźmy tutaj.

Dolly usiadła na ogrodowej ławeczce w rogu alei. Wroński stanął przed nią.

— Widzę, że Anna jest szczęśliwa — powtórzył, a Dolly powzięła jeszcze większą wątpliwość, czy była nią istotnie. — Ale czy to może tak trwać? Czyśmy postąpili dobrze, czy źle — to już inna sprawa. Kości zostały rzucone — dodał przechodząc z rosyjskiego na francuski — i jesteśmy związani ze sobą na całe życie. Jesteśmy złączeni najświętszym węzłem miłości. Mamy dziecko i możemy mieć jeszcze dzieci. Prawo jednak — a także cały stan rzeczy — są tego rodzaju, że powstają tysiące komplikacji, których Anna obecnie, w chwili zupełnego odprężenia po wszystkich swoich cierpieniach i próbach, nie widzi, widzieć nie chce. I to jest zrozumiałe. Lecz ja nie mogę ich nie dostrzegać. Moja córka wedle litery prawa nie jest moją córką, tylko córką Karenina. Nie chcę tego fałszu! — rzucił z energicznym

gestem buntu i spojrzął na Darię Aleksandrownę chmurnie i pytająco.

Patrzyła na niego w milczeniu. Mówił dalej:

— A jutro urodzi nam się syn, mój syn, lecz z prawa będzie to także Karenin. Nie stanie się dziedzicem ani mego nazwiska, ani mojej fortuny i choćbyśmy jako rodzina byli najszcześliwsi i mieli mnóstwo dzieci, nie będziei między nimi a mną żadnego związku. Będą to Kareninowie. Niechże księżna zrozumie cały ciężar, całą okropność tego stanu rzeczy. Próbowałem mówić oj tym z Anną, lecz to ją drażni. Nie rozumie, a ja nie mogę jej właśnie wszystkiego powiedzieć. Teraz niech księżna zważy jeszcze jedno. Miłość Anny daje mi szczęście, ale muszę przecie mieć jakieś zajęcie. Znalazłem je i j jestem z niego dumny; uważam je za szlachetniejsze niż kariery moich dawnych kolegów z dworu cesarskiego i ze służby wojskowej. I oczywiście nie zamieniłbym się z nimi na rodzaj zajęcia. Pracuję tutaj siedząc na miejscu, jestem szczęśliwy, zadowolony i nic nam więcej do szczęścia nie brak. Kocham tę pracę. *Cela n'est pas un pis — aller**, przeciwnie...

Księżna Daria zauważyła, że w tym miejscu jego wywodów było coś niewyraźnego, i niezupełnie rozumiała tę dygresję, lecz było dla niej jasne, że skoro raz zaczął się zwierzać z najosobistszych rzeczy, o których z Anną mówić nie mógł, to już wypowiadał się całkowicie. Kwestia jego wiejskich zajęć znajdowała się w tym samym poufnym dziale, co i sprawa jego stosunku do Anny, i

— Proszę mnie posłuchać dalej — ocknął się z zamyślenia. — Co najważniejsze — to niezbędne przy pracy przekonanie, że dzieło moje nieś umrze wraz ze mną, że będę miał następców... Tego mi właśnie brak. Niech księżna

* *Cela*... — to nie jest namiastka.

wyobrazi sobie człowieka, który wie z góry, że dzieci jego i kochanej przezeń kobiety nie będą należały do niego, lecz do kogoś innego, do kogoś, kto ich nienawidzi i nie chce znać. Przecie to okropne!

Zamilkł. Widać po nim było, że był mocno wzruszony.

— Tak, oczywiście. Rozumiem to. Ale co może na to poradzić Anna? — zapytała Dolly.

— Tu właśnie jesteśmy u celu naszej rozmowy — Wroński z wysiłkiem — odzyskał panowanie nad sobą. — Anna może... To tylko od niej zależy... Bo nawet jeśli się chce wnieść do najjaśniejszego pana prośbę o zezwolenie na adopcję, konieczny jest rozwód. A to zależy od Anny. Mąż jej zgodził się już był na rozwód — wtedy Stiepan Arkadjicz zupełnie już to załatwił. A i teraz wiem, że Karenin nie odmówiłby jej. Wystarczyłoby napisać do niego. Wówczas powiedział wprost, że nie odmówi, skoro Anna tego zapragnie. Rozumie się — dodał z goryczą — że jest to tylko jedno z tych faryzeuszowskich okrucieństw, do których jedynie tacy ludzie bez serca są zdolni. Karenin wie, jaką męką dla niej jest każde wspomnienie o nim, i — wiedząc to — żąda od niej listu. Rozumiem, że to dla Anny bolesne, ale powody są tak ważne, że trzeba *passer par dessus toutes ceşfinesses de seniment. Il y va du bonheur et de l'existence d'Anne et de ses enfants**. Już nie mówię o sobie, chociaż mnie jest ciężko, bardzo ciężko — powiedział to, jakby grożąc komuś, ponieważ było mu ciężko. — Więc, proszę księżnej, z całkowitym brakiem skrupułów chwytam się jej osoby jak deski ratunku. Proszę mi pomóc namówić Annę, by napisała do niego i zażądała rozwodu!

— Tak, rozumie się — z namysłem odpowiedziała Dolly, przy czym ostatnie widzenie z Kareninem stanęło jej żywo w

* *Passer par dessus...* — przejść nad tymi wszystkimi subtelnościami uczuć do porządku. Chodzi o szczęście i o egzystencję Anny i jej dzieci.

pamięci. — Tak, oczywiście — powtórzyła stanowczo, z myślą o Annie.

— Niechaj księżna użyje swojego wpływu na nią, niech księżna sprawi, by Anna do niego napisała. Ja nie chcę i nawet do pewnego stopnia nie mogę z nią o tym mówić.

— Dobrze, pomówię z nią. Ale jak to być może, by ona sama o tym nie myślała? — rzekła Dolly; i nagle w tej chwili przyszło jej nie wiadomo czemu na myśl przymrużanie przez Annę oczu, dziwne nowe jej przyzwyczajenie... I przypomniała sobie, że Anna przymrużała oczy właśnie wówczas, gdy chodziło o intymne strony życia. „Tak jakby przymykała oczy na własne życie, by go całego nie widzieć” — pomyślała Dolly. — Z całą pewnością, choćby już ze względu na siebie, a tym bardziej ze względu na nią, będę z nią mówiła — odrzekła Wrońskiemu na jego słowa podziękii.

Wstali i poszli w stronę domu.

XXII

Anna, zastawszy Dolly po powrocie, o nic jej nie zagadnęła, popatrzyła jej tylko w oczy, jakby zapytując o treść rozmowy z Wrońskim.

— Zdaje się, że już czas na obiad — zauważyła. — Zupełnieśmy się jeszcze z tobą nie widziały. Liczę na wieczór. Teraz trzeba pójść się przebrać. Myślę, że i ty także zechcesz to zrobić. Pobrudziliśmy się wszyscy na budowie. Doiły poszła do swego pokoju; ogarnął ją pusty śmiech. Nie miała się w co przebrać, włożyła już bowiem od rana swoją najlepszą suknię. Chcąc jednak dać dowód jakiegoś specjalnego starania z okazji obiadu, poprosiła pokojową, by wyczyściła jej suknię. Poza tym zmieniła mankietiki i kokardkę, a na głowę włożyła koronkę.

— Oto wszystko, czego zdołałam dokonać — uśmiechnęła się do Anny, która weszła do niej przebrana dnia tego już po raz trzeci, znów w bardzo skromną suknię.

— Tak, jesteśmy tu przesadnie ceremonialni — usprawiedliwiała się ze swej elegancji. — Aleksy jest rad z twego przyjazdu jak rzadko. Stanowczo zakochał się w tobie — dodała. — Nie jesteś zmęczona?

Przed obiadem nie było czasu na jakiegokolwiek rozmowy. Po wejściu do salonu zastały już księżniczkę Barbarę i kilku panów w czarnych surdutach. Architekt miał na sobie frak. Wroński przedstawił księżnej Darii doktora i administratora. Architekt został jej przedstawiony jeszcze w szpitalu.

Gruby, starszy lokaj, świecąc okrągłą wygoloną twarzą i nakrochmalonym motylem białego krawata, zaanonsował, że obiad podany. Panie powstały z miejsc. Wroński poprosił Swiażskiego, by ten podał ramię Annie, sam zaś podszedł do Darii Aleksandrowny. Wiesłowski ubiegł Tuskiewicza podając ramię księżniczce Barbarze, tak że Tuskiewicz i doktor poszli do stołu bez pary.

Obiad, sala jadalna, zastawa stołowa, służba, wino i potrawy nie tylko były dostrojone do ogólnego tonu nowoczesnego komfortu panującego w domu, ale zdawały się jeszcze bardziej zbytkowne i jeszcze bardziej nowoczesne niż cała reszta. Dolly przypatrywała się temu nowemu dla siebie luksusowi i jako gospodyni prowadząca dom — mimo że nie sądziła, by coś z tego, co dostrzegała, dało się u niej w domu zastosować, tak dalece wszystko to w swym zbytku przewyższało jej poziom życia — bezwiednie wchodziła we wszystkie szczegóły zadając sobie pytanie, kto i w jaki sposób wszystko to zorganizował. Wasieńka Wiesłowski, mąż jej, a nawet Swiażski oraz wielu innych znajomych nigdy o tym nie myślało i wierzyło na słowo każdemu

przyzwoitemu panu domu, gdy ten usiłował dać odczuć swoim gościom, że to wszystko, co w jego domu jest tak dobrze urządzone, nie jest bynajmniej owocem jego trudu, lecz zrobiło się samo. Tymczasem Dolly wiedziała, że nawet kaszka na śniadanie dla dzieci sama się nie ugotuje, że więc taka skomplikowana i doskonała organizacja jest wynikiem czyjejś wyteżonej troskliwości. Zarówno ze spojrzenia, jakim Wroński obrzucił stół, jak i ze sposobu, w jaki starszemu lokajowi kiwnął głową czy w jaki zaproponował jej samej do wyboru rosół lub botwinę, Dolly poznała, że wszystko w tym domu dzieje się i trwa tylko dzięki staraniom gospodarza. Było jasne, że od Anny rzeczy te zależały tyle, co od Wiesłowskiego. Anna, Swiażski, księżniczka i Wiesłowski wszyscy byli na równi gośćmi, wesoło użytkującymi to, co dla nich przyrządzono.

Tylko w prowadzeniu konwersacji Anna była panią domu. I Dolly zauważyła, że Anna kierowała z właściwym sobie taktem, prostotą, a nawet z przyjemnością, tą zawsze trudną dla pani domu rozmową, gdy przy niewielkim stole zasiadają między innymi ludzie, jak administrator i architekt, zupełnie innej sfery, starający się nie zdradzać zaskoczenia obcym dla nich zbytkiem i niezdolni brać dłuższego udziału w ogólnej rozmowie.

Zaczął się od samotnej przejażdżki Wiesłowskiego i Tuskiewicza łódką: Tuskiewicz począł opowiadać o ostatnich regatach w jachtklubie w Petersburgu. Anna, doczekawszy się przerwy, zaraz zagadnęła architekta chcąc go wciągnąć do rozmowy.

— Mikołaj Iwanycz był pod wrażeniem — mowa była o Swiażskim — jak bardzo się posunęła nowa budowla od czasu, gdy był tutaj ostatnio. Ja sama codziennie tam chodzę i co dzień zdumiewam się, jak szybko to idzie.

— Z panem hrabią dobrze się pracuje — odrzekł z uśmiechem architekt, człowiek z poczuciem własnej godności i obejściem pełnym szacunku i spokoju. — To nie to, co władze gubernialne. Tam się ryżę papieru zużyje, a tutaj — przedłożę hrabiemu plan, przedyskutujemy go i rzecz się załatwia w dwóch słowach.

— Amerykańska metoda — uśmiechnął się Swiażski.

— Tak. Tam się buduje racjonalnie.

Rozmowa przeszła na nadużycia władz w Stanach Zjednoczonych, lecz Anna zaraz przeweksłowała ją na inny temat, tak by administrator mógł brać w niej udział.

— Czyś widziała kiedy żniwiarę? — zwróciła się do Darii Aleksandrowny. — Właśnie wracaliśmy z ogłędzin, gdyśmy ciebie spotkali. Pierwszy raz coś podobnego widziałam.

— Jakże one pracują? — spytała Dolly.

— Zupełnie jak nożyce. Jest tam deska i wiele małych nożyc. Ot tak! Anna wzięła w swe piękne, białe, okryte pierścionkami ręce nożyk i widelec i poczęła pokazywać, jak działa żniwiarza. Zdawała sobie, oczywiście, sprawę, że jej objaśnienia będą całkiem niezrozumiałe, ale wiedząc, że przyjemnie opowiada i że ma piękne ręce, tłumaczyła dalej.

— Przypominają raczej scyzoryki — z umizgiem wtrącił Wasieńka, który nie spuszczał z niej oczu.

Anna uśmiechnęła się nieznacznie, lecz nic na to nie odpowiedziała.

— Karl Fiodorycz, nieprawdaż, że to wygląda jak nożyczki? — zwróciła się do administratora.

— *O ja* — odpowiedział Niemiec. — *Es ist ein ganz einfaches Ding** — i począł tłumaczyć budowę maszyny.

— Szkoda, że nie wiąże snopów. Widziałem na wystawie

* *O ja...* — o tak, to rzecz całkiem prosta.

w Wiedniu taką, która wiązała drutem snopy — wtrącił Swiażski. — Takie byłyby jeszcze praktyczniejsze.

— *Es kommt drauf an... Der Preis vom Draht muss ausgerechnet werden**. — 1 Niemiec, raz wyrwany ze swej rezerwy, zwrócił się do Wrońskiego. — *Das Idsst sich ausrechnen, Erlaucht**. — Już sięgał do kieszeni, gdzie miał obok notatnika, w którym wszystko obliczał, ołówkę, lecz przypomniawszy sobie, że jest przy stole, i widząc obojętne wejrzenie Wrońskiego dał pokój. — *Zu kompliziert* — dodał — *macht zu viel Kłopot**.

— *Wünscht man Dochots sohat man auch Klopots** — zażartował z Niemca Wisienka Wiesłowski. — *J'adore l'allemand** — zwrócił się znów z tym samym zaczepnym uśmiechem do Anny.

— *Ceszez** — przestrzegąła go z żartobliwą surowością.

— Myśleliśmy, że i pana zastaniemy na polu, panie doktorze — zwróciła się do doktora, człowieka wyraźnie słabowitego.

— Byłem tam, ale się ulotniłem — niewesoło zażartował doktor.

— To pan zażył naprawdę ruchu.

— Owszem — kapitałnego.

— A jak się ma ta stara kobieta? Mam nadzieję, że to nie tyfus?

— Tyfus jak tyfus. Ale dobrze się nie ma.

— Jakie to smutne — powiedziała Anna; a splaciwszy w ten sposób daninę kurtuazji w stosunku do domowników,

* *Es kommt drauf an...* — to zależy... Trzeba by obliczyć koszt drutu.

* *Das lasst...* — to da się obliczyć, ekscelencjo.

* *Zu kompliziert...* — to zbyt skomplikowane, za dużo z tym kłopotu.

* *Wünscht man...* — gdy się chce dochodów, ma się też kłopoty.

* *J'adore l'allemand* — uwielbiam język niemiecki.

* *Ceszez* — niech pan przestanie.

zwróciła się znów do własnego kółka.

— A jednak według opisu pani trudno by zbudować maszynę — zażartował Swiażski.

— Ach nie, dlaczego? — odparła Anna z uśmiechem, świadczącym, iż była świadoma, że w jej opisie urządzenia żniwiarki był pewien urok odczuty przez Swiażskiego. Dolly nie podobał się ten nowy u Anny rys młodocianej kokieterii.

— Ale za to na architekturze Anna Arkadiwna zna się zdumiewająco — pochwalił Tuszkiewicz.

— A jakże! Sam słyszałem, jak Anna Arkadiwna wczoraj mówiła o plintach* i strobosach* — dorzucił Wiesłowski. — Czy dobrze mówię?

— Nic w tym nie ma dziwnego, gdy się tyle tego widzi i słyszy — odparła Anna. — A pan z pewnością nie wie nawet, z czego się robi domy?

Dolly spostrzegła, że Anna była nierada z kokieterijnego tonu, jaki panował między nią a Wiesłowskim, lecz sama mimo woli w ów ton wpadała. Wroński bynajmniej nie reagował na to tak jak Lewin. Najwidoczniej nie przykładał do gadaniny Wiesłowskiego żadnej wagi, przeciwnie, pobudzał go jeszcze żartami.

— No, Wiesłowski, powiedz nam, czym się spaja kamienie?

— Oczywiście — cementem.

— Brawo! A co to jest cement?

— To coś w rodzaju kaszy... nie, nie kaszy... kitu — rzekł Wiesłowski wzbudzając ogólną wesołość.

Rozmowa przy obiedzie — bez udziału pograżonych w pośepnym milczeniu doktora, architekta i administratora — ani na chwilę się nie urywała, to ślizgając się po powierzchni,

* Plinta — kwadratowa kamienna podstawa kolumny.

* Strobos — zapewne mowa tu o ślimacznicy, fragmencie ornamentacyjnym głowicy kolumny.

to zahaczając i do żywego kogoś dotykając. Raz nawet została w ten sposób zaczepiona Dolly, i tak ją to wzburzyło, że aż spąsowiała, i później tylko przypominała sobie, czy nie posunęła się za daleko i nie powiedziała czegoś niepotrzebnego a nieprzyjemnego. Swiażski mianowicie napomknął o Lewinie i opowiedział o jego dziwnym poglądzie, że w rosyjskim gospodarstwie maszyny przynoszą tylko szkodę.

— Nie mam przyjemności znać tego pana Lewina — z uśmiechem oświadczył Wroński — ale prawdopodobnie nie widział on nigdy tych maszyn, które krytykuje. A jeśli nawet widział je i wypróbował, zrobił to powierzchownie, i nie była to zagraniczna, lecz jakaś krajowa maszyna. Jakiż on więc może mieć na nie pogląd?!

— Poglądy to on w ogóle ma tureckie — z uśmiechem zauważył zwracając się do Anny Wiesłowski.

— Nie mogę bronić jego poglądów — wtrąciła Dolly, cała w pąsach — mogę jednak zapewnić, że to człowiek bardzo wykształcony i że gdyby tutaj był, wiedziałby, co państwu odpowiedzieć; ja jednak tego nie potrafię.

— Bardzo go lubię; jesteśmy z nim w wielkiej przyjaźni — dobrodusznie uśmiechnął się Swiażski. — *Mais pardon, il est un peu toqué**; na przykład twierdzi, że ziemstwo i sądy pokoju — to wszystko zbyteczne, i w niczym nie chce brać udziału.

— To ta nasza rosyjska bierność — zawyrokował Wroński nalewając sobie lodowatej wody z karafki do kielicha z cieniutkiego szkła. — Ludzie nie poczuwają się do obowiązków, jakie na nich nakładają przysługujące im prawa, i dlatego negują w ogóle te obowiązki.

— Nie znam człowieka, który by bardziej skrupulatnie od

* *Mais...* — ale księżna wybaczy, on ma trochę bzika.

niego wypełniał swe obowiązki — zaproponowała Dolly, poirytowana tonem wyższości Wrońskiego.

— Co do mnie — mówił dalej Wroński, którego najwidoczniej temat ten żywo obchodził — to przeciwnie, tak jak tu stoję, bardzo jestem obowiązany za zaszczyt, jaki mnie spotkał dzięki Mikołajowi Iwanyczowi (tu wskazał na Swiażskiego). Wybrano mnie na sędziego pokoju, toteż uważam obowiązek udawania się na sesję, by rozpatrzyć sprawę chłopca o konia, za równie poważny jak którąkolwiek inną z moich spraw. I będę się czuł zaszczycony, o ile zostanę wybrany na delegata do ziemstwa. W ten sposób tylko mogę się wyplacić za przywileje, którymi się cieszę jako obywatel ziemski. Na nieszczęście, zrozumienie dla roli, jaką powinni odgrywać w kraju właściciele wielkich dóbr, nie istnieje.

Darię Aleksandrownę zaskoczyła ta spokojna pewność własnej słuszności, jaką Wroński wykazywał za stołem we własnym domu. Przypomniała sobie, że Lewin, który był wręcz przeciwnego zdania, u siebie za stołem był równie stanowczy w swych twierdzeniach. Lewina jednak kochała, była tedy po jego stronie.

— Możemy więc liczyć na pana na następnym zjeździe? — zagadnął Swiażski. — Ale trzeba by wcześniej wyjechać, tak żeby już ósmego być na miejscu. Gdyby mi pan zechciał zrobić ten zaszczyt i zająć do mnie?

— Ja się trochę zgadzam z twoim *beau-frere* — rzekła Anna. — Ale nie z tych samych powodów — dodała z uśmiechem. — Obawiam się, że w ostatnich czasach za dużo się namnożyło obowiązków społecznych. Dawniej bywało tak wielu urzędników, że do każdej sprawy potrzebny był osobny urzędnik, a teraz wszyscy są działaczami społecznymi. Aleksy bawi tutaj od pół roku i już jest członkiem pięciu czy sześciu różnych instytucji społecznych

— opieka*, sędzia, radny, przysięgły, coś od koni... *Du train que cela va** cały czas mu na tym zejdzie. Obawiam się, że wobec takiego mnóstwa tych spraw — stają się one czystą formalnością. A pan jest członkiem ilu instytucji? — zapytała Swiażskiego. — Chyba więcej niż dwudziestu?

Anna mówiła żartobliwie, lecz ton jej zdradzał rozdrażnienie. Darię Aleksandrownę, która uważnie obserwowała Annę i Wrońskiego, od razu to uderzyło. Uderzyło ją również, że twarz Wrońskiego przybrała podczas tej rozmowy poważny i zacięty wyraz. Spostrzegłszy to, a także słysząc, jak księżniczka Barbara, aby zmienić temat rozmowy, natychmiast zagadała o petersburskich znajomych, przypomniała sobie owe kilka słów Wrońskiego o jego pracy, niespodzianie wtrąconych w czasie rozmowy z nią w ogrodzie, i zrozumiała, że ze sprawą społecznej działalności Wrońskiego łączy się jakiś rozdzwięk głębszej natury pomiędzy Anną a nim.

Obiad, wina, zastawa — wszystko było doskonałe, ale wszystko to było takie, jakie Dolly spotykała na proszonych obiadach i balach, od których odwykła, i miało ten sam posmak czegoś bezosobistego i sztywnego. W dzień powszedni i w małym kółku było jej to niesympatyczne.

Po obiedzie posiedziano trochę na tarasie. Potem zaczął się tenis. Grający, podzieleni na dwie partie, ustawili się na starannie wyrównanym i ubitym krokietowym placu, po obu stronach siatki rozciągniętej pomiędzy złożonymi słupkami. Dolly zrazu spróbowała grać, ale najpierw długo nie mogła

* Opieka — instytucja zarządzająca majątkami osób niepełnoletnich, nieobecnych w kraju, ubezwłasnowolnionych itp. Była to instytucja stanowa, dotyczyła wyłącznie szlachty, tworzone opieki dla jednego lub kilku powiatów. Na czele ich stali powiatowi marszałkowie szlachty oraz 2–4 przedstawiciele szlachty z wyboru.

* *Du train...* — jeżeli to tak pójdzie dalej.

gry zrozumieć, a gdy ją wreszcie zrozumiała, poczuła się tak zmęczona, że usiadła obok księżniczki Barbary i tylko przyglądała się grającym. Jej partner Tuszkiwicz, również się wycofał, reszta za to grała długo. Swiażski i Wroński grali serio i dobrze: uważnie gonili wzrokiem poślaną im piłkę, nie śpiesząc się i nie ociągając, zręcznie do niej podbiegali, wyczekiwali, aż odskoczy, i podbijając trafnie a celnie rakieta piłkę — przerzucali ją za siatkę. Wiesłowski grał gorzej od innych: za mało miał zimnej krwi, ale za to swą werwą dodawał innym zapału. Okrzyki jego i śmiech nie ustawały. Jak i reszta mężczyzn zdjął — za zgodą dam — surdut i jego rosta, urodziwa postać z białymi rękawami od koszuli, jego rumiana spocona twarz i nagłe ruchy mimo woli wbijały się w pamięć.

Gdy Daria Aleksandrowna położyła się spać tej nocy, widziała, skoro tylko zamykała powieki, Wasieńkę Wiesłowskiego miotającego się po placu tenisowym.

Podczas gry jednak nie było jej wesoło. Nie podobał się jej panujący w dalszym ciągu pomiędzy Anną a Wasieńką zalotny ton, nie podobała się również ta sztuczność, jaka zwykle zachodzi, gdy dorośli ludzie będąc sami, nie razem z dziećmi, bawią się w dziecienną grę. By jednak nie psuć innym zabawy i jakoś czas spędzić, po krótkim wypoczynku znów przyłączyła się do gry i udawała, że ją to bawi. Dnia tego wciąż jej się zdawało, że gra na scenie w towarzystwie lepszych od siebie aktorów i że jej licha gra psuje całą imprezę.

Przyjechała z zamiarem pozostania, o ile się da, przez dwa dni, ale wieczorem, podczas tenisa, postanowiła wyjechać nazajutrz. Ciężkie matczyne troski, których w drodze tak nienawidziła, teraz, po całym dniu spędzonym bez nich, stawały przed nią w innym oświetleniu, były pełne powabu.

Kiedy po wieczornej herbacie i nocnej przejażdżce łódką Daria Aleksandrowna weszła sama jedna do swego pokoju, zdjęła suknię i siadła, by uczesać swe rzadkie włosy na noc, poczuła wielką ulgę.

To, że Anna zamierzała za chwilę przyjść do niej, było jej nawet niemiłe. Byłaby wolała pozostać sama ze swymi myślami.

XXIII

Dolly już miała się położyć, gdy weszła Anna w nocnym negliżu. W ciągu dnia Anna kilka razy rozpoczynała zwierzenia, za każdym jednak razem zatrzymywała się po paru słowach. „Później pogadamy, gdy będziemy same. Tyle mam ci do powiedzenia” — mówiła wtedy.

Teraz były same, Anna jednak nie wiedziała, o czym mówić. Siedziała przy oknie spoglądając na Dolly i przerzucając w pamięci te wszystkie zdawałoby się niewyczerpane zapasy intymnych zwierzeń i — nic nie znajdowała. Zdawało się jej w tej chwili, że już wszystko zostało wypowiedziane.

— Co się dzieje z Kitty? — zapytała i ciężko westchnęła patrząc na Dolly z miną winowajczyni. — Powiedz mi prawdę, Dolly, czy ona się na mnie nie gniewa?

— Gniewać się nie gniewa — z uśmiechem odrzekła Dolly.

— Więc nienawidzi mnie, pogardza mną?

— O nie! Ale wiesz sama: takich rzeczy się nie przebacza.

— Tak, tak — Anna odwróciła się i poczęła patrzeć przez otwarte okno. — Ale to nie była moja wina. I kto był tu winien? Co to w ogóle znaczy: winien? Czyż mogło się stać inaczej? Powiedz, jak myślisz? Czy mogłabyś ty na przykład

nie być żoną Stiwy?

— Doprawdy, nie wiem. Ale powiedz mi lepiej ty...

— Tak, tak, ale nie skończyłyśmy o Kitty. Czy jest szczęśliwa? Mówią, że jej mąż to bardzo dobry człowiek.

— Mało powiedzieć, że dobry. Nie znam lepszego człowieka na świecie.

— Jakże się cieszę! Jak się cieszę!... Mało powiedzieć, że dobry... — powtórzyła jakby do siebie.

Dolly uśmiechnęła się.

— Ale ty mi powiedz o sobie. Muszę z tobą porozmawiać dłużej. Mówiliśmy z... — Dolly nie wiedziała, jak nazywać Wrońskiego. Było dla niej równie nieporęczne nazywać go hrabią, jak i Aleksym Kiryłowiczem.

— Z Aleksym — dokończyła Anna. — Wiem, żeście rozmawiali. Ale ja chciałam się wprost zapytać, co myślisz o mnie, o moim życiu?

— Jakże tak wszystko naraz opowiedzieć... Doprawdy, sama nie wiem.

— Nie, nie... Musisz mi to jednak powiedzieć... Widzisz przecie moje życie. Pamiętaj tylko, że nas oglądasz latem, gdy i ty tu jesteś, i kiedy mamy gości... Ale myśmy tu przyjechali wczesną wiosną. Byliśmy wtedy zupełnie sami i będziemy sami nadal; nic też lepszego sobie nie życzę. Ale wyobraź sobie teraz, że mieszkam tu samotnie, bez niego, to byłoby... Widzę ze wszystkiego, że to się często będzie powtarzało, że Aleksy pół dnia będzie poza domem — powiedziawszy to, przysiadła się bliżej Dolly.

— Rozumie się — uprzedziła jej odpowiedź — rozumie się, że gwałtem go nie zatrzymam. Nie zatrzymuję go i teraz. Właśnie są wyścigi: konie jego biegają i Aleksy tam pojedzie. Jestem z tego bardzo rada. Tylko że... Pomyśl o mnie, wyobraź sobie moją sytuację... Ale co w ogóle o tym gadać!

— uśmiechnęła się. — Więc o czym z tobą mówił Aleksy?

— Mówił ze mną o tym, o czym sama z tobą pragnęłam pomówić, tak że łatwo mi być jego rzecznikiem — o tym, czy nie można, czy nie dałoby się... — Dolly zająknęła się — poprawić, polepszyć twojej sytuacji... Wiesz przecie, jak ja na to patrzę... Ale jednak, o ile to możliwe, trzeba by, żebyście się pobrali...

— To znaczy rozwód? — powiedziała Anna. — Wiesz, jedyna kobieta w Petersburgu, która mnie odwiedziła, to była Betsy Twerska. Znasz ją przecie? *Au fond c'est la femme la plus depravée qui existe** Miała romans z Tuszkiewiczem, oszukując męża w najobrzydliwszy sposób. Ona to właśnie powiedziała, że mnie znać nie chce, dopóki sytuacja moja będzie nielegalna. Nie sądz, bym was porównywała... Znam cię, moje serce. Przypomniałam sobie tylko mimo woli... No, więc cóż ci Aleksy takiego powiedział? — dodała.

— Powiedział, że mu żal i ciebie, i siebie. Może będziesz uważała, że to egoizm, jeśli tak, to taki usprawiedliwiony i szlachetny egoizm! Chciałby po pierwsze, uznać swoją córeczkę, no i być twoim mężem, mieć do ciebie legalne prawa.

— Jakaż żona czy branka może być do tego stopnia niewolnicą, jak nią jestem ja przy obecnym stanie rzeczy? — przerwała Anna posępnie.

— Główna rzecz, której pragnie, to — byś ty nie cierpiała.

— To niemożliwe! No, a dalej?

— Dalej — to najbardziej usprawiedliwione: pragnie, by wasze dzieci miały właściwe nazwisko.

— Co za dzieci?! — Anna odwróciła wzrok od Dolly i zmrużyła oczy.

— Annie, i te, które przyjdą...

* *Au fond*... — w gruncie rzeczy to najbardziej zepsuta kobieta, jaka istnieje.

— Co do tego, Aleksy może być spokojny: nie będę miała więcej dzieci.

— Skądże możesz mieć tę pewność?

— Nie będzie ich, bo ja ich nie chcę.

Mimo całego wzburzenia Anna uśmiechnęła się widząc naiwny wyraz ciekawości, zdumienia i zgrozy na twarzy Dolly.

— Doktor mi powiedział po mojej chorobie...

.....

— To niemożliwe! — zdumiała się Dolly z szeroko otwartymi oczyma. Było to dla niej jedno z tych odkryć, których skutki i konkluzje są tak olbrzymie, że w pierwszej chwili wywołują tylko częściową dezorientację wraz z postanowieniem, że się później długo, długo nad tym pomyśli.

Odkrycie to nagle wytłumaczyło jej istnienie tych wszystkich dotąd nie pojętych dla niej rodzin mających tylko jedno lub dwoje dzieci i wywołało w niej tyle myśli, skojarzeń i sprzecznych uczuć, że nie zdołała nic powiedzieć i tylko ze zdumieniem patrzyła na Annę szeroko otwartymi oczyma. To było właśnie to, o czym marzyła jeszcze tego samego dnia w czasie jazdy, teraz jednak dowiedziawszy się, że to możliwe, przeraziła się. Czuła, że jest to zbyt proste rozstrzygnięcie niezmiernie skomplikowanej sprawy.

— *N'est — ce pas immoral?** — wypowiedziała jedynie po chwili milczenia.

— Dlaczego? Pomyśl tylko: jedno z dwojga — albo zająć w ciąży, to znaczy chorować, albo pozostać przyjacielem, towarzyszem męża, tak dobrze jak męża — rzekła Anna tonem rozmyślnie powierzchownym i lekkim.

* *N'est — ce pas...* — czy to nie jest niemoralne?

— No tak, tak — mówiła Dolly wysłuchując tych samych argumentów, które wynajdywała dla siebie, ale które teraz już nie dźwięczały przekonująco.

— Dla ciebie, dla innych — Anna jakby odgadła jej myśli — może być jeszcze jakaś wątpliwość, ale dla mnie... Zrozum, nie jestem przecież żoną; Aleksy kocha mnie poty, póki mnie kocha. W jaki sposób mamże w nim tę miłość podtrzymać? W taki?

Tu zaokrągliła przed sobą białe dłonie.

W głowie Darii Aleksandronny — jak to bywa w chwilach wzburzenia — wspomnienia i myśli kłębiły się z niezwykłą szybkością. „Ja — medytowała — przestałam być pociągająca dla Stiwy; opuścił mnie i odszedł do innych. Ale ta pierwsza, dla której mnie zdradził, nie utrzymała go przez to, że była zawsze piękna i wesoła: porzucił ją i wziął sobie jeszcze inną. Czyż doprawdy Anna w ten sposób przywiąże do siebie i przytrzyma Wrońskiego? O ile tylko będzie szukał, znajdzie toalety i sposób bycia jeszcze bardziej pociągający i wesoły. Mimo że jej nagie ramiona są takie białe i takie piękne, mimo że piękna jest cała jej rozkwitła postać i rozpalona twarz w gęstwie tych czarnych włosów — znajdzie on kogoś jeszcze piękniejszego tak jak mój odrażający, godny politowania i kochany mąż.”

Dolly nic nie odrzekła, westchnęła tylko; Anna zauważyła to westchnienie i zrozumiała je jako sprzeciw. Mówiła dalej, mając w zapasie argumenty tak nieodparte, że wobec nich nie mogło już być żadnego sprzeciwu.

— Mówisz, że to źle? Ale trzeba przecież rzecz rozważyć — ciągnęła dalej. — Zapominasz o mojej sytuacji. Jak ja mogę w tych okolicznościach pragnąć mieć dzieci? Nie chodzi już o cierpienie: nie lękam się go. Ale pomyśl, kim będą moje dzieci? Nieszczęśnikami noszącymi cudze

nazwisko. Już z racji swego przyjścia na świat będą zniewolone wstydzić się matki, ojca i swego urodzenia.

— Więc właśnie dlatego niezbędny jest rozwód.

Anna wszakże nie słuchała jej. Pragnęła doprowadzić do końca wywody, które służyły jej nieraz do przekonywania samej siebie.

— Po cóż dany mi jest rozum, jeśli nie mam go użyć na to, by nie wydawać na świat nieszczęśliwych?

Rzuciła okiem na Dolly i nie czekając odpowiedzi mówiła dalej:

— Czuję się zawsze winna wobec takich nieszczęsnych dzieci. Skoro ich nie ma — nie są przynajmniej nieszczęśliwe, a gdyby istniały i były nieszczęśliwe, to tylko ja jedna byłabym temu winna.

Przytaczała te same argumenty, które Dolly rozpatrywała w drodze; teraz jednak słuchała ich i nie rozumiała. „Jak można być winnym wobec istot nie istniejących?” — zadawała sobie pytanie. I nagle przyszło jej na myśl: czy mogło być w pewnych okolicznościach lepiej dla jej ulubieńca Griszy, by nigdy nie istniał? I to się jej wydało takie osobliwe, takie dziwne, że aż poczęła kręcić głową, by rozproszyć zamęt kołujących myśli.

— Nie... Nie wiem... Ale to niedobrze — rzekła jedynie z wyrazem wstrętu.

— Tak! Ale nie zapominaj, kim jesteś ty, a kim ja. A poza tym — mimo że Dolly była całkiem argumentów pozbawiona, Anna zaś miała ich pod dostatkiem, uznawała jakby sama, że to istotnie niedobrze — nie zapominaj o rzeczy najważniejszej: oto że ja dziś jestem w zupełnie innej sytuacji niż ty. U ciebie kwestia stoi tak: czy pragniesz nie mieć więcej dzieci, u mnie — czy chcę je mieć w ogóle. A to wielka różnica. Zrozum, że ja w mojej sytuacji nie mogę ich

sobie życzyć.

Księżna Daria nie odpowiadała: poczuła się nagle tak od Anny daleka, że istniały już pomiędzy nimi sprawy, co do których nigdy by się porozumieć nie zdołały i których lepiej było wcale nie tykać.

XXIV

— Więc tym więcej powinna byś uporządkować swoją sytuację, o ile to tylko możliwe — powiedziała wreszcie Dolly.

— Tak, o ile to możliwe — głos Anny zabrzmiał nagle zupełnie inaczej: cicho i smutnie.

— Czyżby rozwód był niemożliwy? Mówiono mi, że twój mąż się zgadza.

— Dolly! Nie chcę o tym mówić.

— No więc dobrze, nie mówmy — Daria Aleksandrowna zauważyła na twarzy Anny cierpienie. — Zdaje mi się jednak, że patrzysz na to zbyt pesymistycznie.

— Ja? Ani trochę. Jestem bardzo wesola i zadowolona. Widziałaś: *je fais des passions**. Wiesłowski...

— Tak, i prawdę mówiąc ton Wiesłowskiego mi się nie podobał — Dolly chciała zmienić temat rozmowy.

— Ach, to jest bez znaczenia! To bawi Aleksego, i tyle. To dzieciak: trzymam go mocno w cuglach, rozumiesz, i kieruję nim, jak mi się podoba. Coś tak, jakby twój Grisza... Dolly! — ton jej zmienił się nagle. — Mówisz, że patrzę czarno. Ty nie możesz tego zrozumieć. To zbyt straszne. Ja usiłuję w ogóle nie patrzeć.

— Ale zdaje mi się, że trzeba przecie raz spojrzeć. Trzeba zrobić wszystko, co jest możliwe.

* *Je fais*... — wzbudzam namiętności.

— Ale cóż jest możliwe? Nic. Ty radzisz mi wyjść za Aleksego za mąż i zarzucasz mi, że o tym nie myślę. Ja — nie myślę o tym! — powtórzyła i rumieniec oblał jej twarz. Wstała, wyprostowała się, ciężko westchnęła i jęła chodzić swym lekkim krokiem tam i z powrotem po pokoju, przystając od czasu do czasu. — Ja — nie myślę! Nie ma dnia i godziny, bym nie myślała i nie robiła sobie wyrzutów — że o tym myślę... Bo przecież myśl o tym może doprowadzić do obłądu. Do obłądu — powtórzyła. — Gdy pomyślę o tym, to już bez morfiny nie zasnę. Ale dobrze. Pomówmy spokojnie. Radzą mi rozwód. Po pierwsze — on mi go nie da. Jest teraz pod wpływem hrabiny Lidii.

Daria Aleksandrowna, wyprostowana na krześle, z bolesnym i współczującym wyrazem wodziła oczyma za chodzącą po pokoju Anną.

— Trzeba spróbować — szepnęła cicho.

— Przypuśćmy: spróbować. Ale co to znaczy? — spytała, najwidoczniej powtarzając myśl po tysiąc razy przemyślaną, którą umiała na pamięć. — To znaczy, że choć ja go nienawidzę, choć uznaję moją wobec niego winę i uważam go za człowieka wspaniałomyślnego — muszę się upokorzyć i napisać do niego... Dajmy na to, że się przezwyciężę i zrobię to. Wówczas albo dostanę obrażającą odpowiedź, albo zgodę. — Anna była właśnie na drugim końcu pokoju i zatrzymała się przy oknie poprawiając coś u firanki. — Dostanę zatem zgodę. A sy... syn? Przecie oni mi go nie oddadzą. Przecie on będzie rósł, pogardzając mną, u ojca, którego ja porzuciłam. Zrozum, że kocham bodaj że na równi — i to obu więcej niż samą siebie — dwie ludzkie istoty: Sieriożę i Aleksego.

Wyszła na środek pokoju i stanęła przed księżną Darią przyciskając pierś rękoma. W białym peniuarze postać jej

wydawała się niezwykle rosła i rozłożysta. Pochyliła głowę i patrzyła spod czoła lśnięcymi, wilgotnymi oczyma na maleńką, chudziutką, drżącą ze wzruszenia Dolly, tak żałośnie wyglądającą w swym cerowanym kaftaniku i nocnym czepeczku.

— Kocham wyłącznie te dwie istoty, tymczasem one się wzajemnie wykluczają. Nie mogę ich zespolic, a tylko tego mi potrzeba. A skoro to się zrobić nie da, reszta jest obojętna. Wszystko jest obojętne, wszystko. Jakoś to się skończy. Dlatego nie mogę, nie lubię o tym mówić. Więc nie rób mi wyrzutów, nie sądź mnie. Ty, taka czysta, nawet zrozumieć nie możesz wszystkiego, co mi ból sprawia.

Zbliżyła się, usiadła obok Dolly i wpatrywała się w jej twarz, po czym ujęła ją, jakby w poczuciu winy, za rękę.

— Co myślisz? Co o mnie myślisz? Nie gardź mną. Nie zasługuję na pogardę. Jestem po prostu nieszczęśliwa. Jeśli jest ktoś nieszczęsny w świecie, to ja — rzekła i odwracając się od Darii Aleksandrowny rozpląkała się.

Pozostawszy sama, Dolly zmówiła pacierz i położyła się do łóżka. Całym sercem było jej żal Anny, podczas gdy z nią rozmawiała; ale nie mogła się zmusić do pozostania przy niej dłużej myślą. Pamięć o domu i o dzieciach wyłaniała się w jej wyobraźni w jakimś nowym blasku, jaśniejąca nowym urokiem. Świat tamten zdał się jej obecnie tak drogi i miły, że za nic w świecie nie byłaby chciała spędzić poza nim ani jednego dnia bez koniecznej potrzeby. Postanowiła bezwzględnie wyjechać nazajutrz.

Anna tymczasem, po powrocie do swego gabinetu, wzięła kieliszek i wpuściła weń kilka kropel lekarstwa, którego przeważającą część stanowiła morfina. Wypiwszy je, posiedziała kilka chwil nieruchomo, po czym już w spokojnym i wesołym nastroju udała się do sypialni.

Gdy weszła, Wroński spojrział na nią badawczo: szukał śladów rozmowy, którą Anna pozostając tak długo u Dolly, mieć z nią musiała. Chociaż jednak widać po niej było, że coś ukrywa, nic nie wyczytał w jej opanowanej, ale pełnej podniecenia twarzy, prócz zwykłego uroku, pod którym zawsze pozostawał, choć nie był on dlań już nowością... Uroku, którego Anna była świadoma i którym rozmyślnie pragnęła kochanka zniewalać. Nie chciał jej pytać, o czym rozmawiały, ale miał nadzieję, że mu sama opowie. Ona wszakże powiedziała tylko:

— Cieszę się, że ci się Dolly spodobała. Prawda, jest przemiła?

— Ależ ja ją od dawna znam. Jest, zdaje się, bardzo dobra, *mais excessivement terre-à-terre**. Mimo to, byłem jej bardzo rad.

Ujął rękę Anny i spojrział jej pytająco w oczy.

Uśmiechnęła się do niego. Zrozumiała to spojrzenie zgoła inaczej.

Nazajutrz, mimo próśb państwa domu, Dolly wyruszyła w drogę. Stangret Lewina, w swym mocno znoszonym kaftanie i kapeluszu na pól pocztylioniskim, ponuro i energicznie podjechał na kryty, wysypany piaskiem zajazd powozem o łątanych skrzydłach, zaprzężonym w czwórkę koni różnej maści.

Pożegnanie Darii Aleksandrowny z księżniczką Barbarą i panami nie wypadło serdecznie. Po upływie tego jednego dnia i ona sama, i państwo domu wyraźnie czuli, że nie pasują do siebie i że lepiej będzie, jeśli zaniechają jakiegokolwiek zbliżenia. Jedną tylko Anna była smutna. Uświadamiała sobie, że teraz, z chwilą wyjazdu Dolly, nikt już nie poruszy w jej sercu uczuć, które się w niej przy tym

* *Mais*... — lecz całkiem bez polotu.

spotkaniu ocknęły. Choć ocknienie to sprawiało ból, zdawała sobie sprawę, że była to najlepsza część jej duszy, a wobec życia, jakie prowadziła, część ta poczynała szybko zarastać chwastem.

Gdy powóz znalazł się w polu, Daria Aleksandrowna poczuła przyjemną ulgę. Właśnie miała ochotę zapytać, jak się stangretowi i kanceliście podobało u Wrońskiego, gdy Filip nagle odezwał się nie pytany:

— Bogacze to oni są, owszem, a owsa dali tylko trzy miarki. Do pierwszych kogutów wszystko do dna wybrały. Co to znaczy — trzy miary! Tylko zakąska! W tym roku owies u zagrodników po czterdzieści pięć kopiejek. U nas — co tu gadać — przyjezdnym daje się tyle owsa, ile konie zjedzą.

— Skąpy dziedzic — potwierdził Michajło.

— No, a konie ich podobały ci się? — zainteresowała się Dolly.

— Konie, ani słowa! I jedzenie dobre. Ale mi czegoś nudno było, proszę księżnej pani. Nie wiem, jak księżnej pani — i stangret obrócił ku niej swą przystojną pocziwą twarz.

— Mnie także. Cóż, czy do wieczora dojedziemy?

— Musimy dojechać.

Po powrocie do domu, gdzie wszystko było w jak najlepszym porządku i jakoś specjalnie miłe, Daria Aleksandrowna z wielką werwą opowiadała o swej podróży, o tym, jak ją dobrze przyjęto, o zbytkownym, wykwinnym życiu Wrońskich, o ich rozrywkach, i nie dała powiedzieć nikomu o nich złego słowa.

— Trzeba znać Annę i Wrońskiego (teraz go bliżej poznałam), by zrozumieć, jacy oni są sympatyczni i rozczulający — mówiła teraz już całkiem szczerze. Zapomniała o tym nieokreślonym nastroju niezadowolenia i

zażenowania, w jakim tam, na miejscu, pozostawała.

XXV

Wroński i Anna mieszkali przez całe lato i część jesieni na wsi, wciąż w tych samych warunkach i wciąż nic nie podejmując, by uzyskać rozwód. Było rzeczą postanowioną, że nigdzie nie wyjadą; im dłużej jednak pozostawali sami, zwłaszcza jesienią, bez gości, tym bardziej oboje czuli, że nie zniosą takiego życia i że trzeba będzie je zmienić.

A zdawałoby się — życie układało się im tak, że trudno było sobie coś lepszego wymarzyć: wszystkiego było w bród, zdrowie im służyło, mieli dziecko, każde z nich miało swoje zajęcia. Anna, nawet gdy nie było gości, wiele czasu poświęcała swojej osobie, wiele czytała — zarówno powieści, jak i książek poważnych, jakie w danej chwili były w modzie. Sprowadzała wszystkie dzieła, o których prenumerowane przez nią zagraniczne gazety i czasopisma odzywały się pochlebnie, i czytała je z tą intensywną uwagą, która bywa wynikiem osamotnienia. Poza tym, w książkach i pismach specjalnych studiowała wszystko, co interesowało Wrońskiego, tak że zwracał się on nieraz do niej o informacje z dziedziny rolnictwa, architektury, niekiedy nawet hodowli koni i sportu. Podziwiał jej znajomość rzeczy, jej pamięć; zrazu miał wątpliwości i szukał potwierdzenia, a wówczas Anna znajdowała w książkach i pokazywała mu to, o co zapytywał.

Zajmowała się również organizacją szpitala; nie tylko pomagała, ale wiele urzędzeń i pomysłów było jej dziełem. Główną jej troską jednak była jej własna osoba w związku z problemem — na ile jest droga Wrońskiemu, na ile jest w

stanie zastąpić mu wszystko, co dla niej porzucił. Wroński, aczkolwiek bardzo sobie cenił to jej pragnienie — jedyny cel w życiu Anny — by nie tylko mu się podobać, ale być mu użyteczną, jednocześnie odczuwał pęta miłosne, którymi usiłowała go omotać, jako ciężar.

Im więcej czasu mijało, im częściej stwierdzał, że jest opłatany tą siecią, tym goręcej pragnął — nie tyle uwolnić się z matni, ile spróbować, czy nie krępuje ona swobody jego ruchów. Gdyby nie ta ciągle wzmagająca się

tęsknota za wolnością i pragnienie uniknięcia scen, które powtarzały się, ile razy miał jechać do miasta na zebranie, Wroński byłby zupełnie zadowolony ze swego życia. Rola, którą sobie obrał, rola bogatego ziemianina, z jakich winien się składać rdzeń rosyjskiej arystokracji — nie tylko przypadła mu w zupełności do gustu, lecz teraz, gdy pół roku na tę modłę przeżył, dawała mu coraz większe zadowolenie. Interesa, które go coraz bardziej zajmowały i pochłaniały, szły doskonale. Mimo olbrzymich wydatków na szpital, na maszyny, na sprowadzone ze Szwajcarii krowy i na wiele innych rzeczy, miał pewność, że nie tylko się nie rujnuje, ale powiększa swą fortunę. Tam gdzie chodziło o dochody: sprzedaż lasu, zboża, wełny, oddawanie gruntów w dzierżawę, Wroński był twardy jak gład i potrafił utrzymać ceny. Tam gdzie, chodziło o zasadnicze kwestie gospodarskie, zarówno w Wozdwiżenskiem, jak i w innych majątkach — trzymał się najprostszycy metod i unikał ryzyka, a w gospodarskich drobiazgach był w najwyższym stopniu oszczędny i przezorny. Mimo że wielce przebiegły Niemiec zrzęcznie usiłował namówić go na różne wkłady, przedstawiając każdorazowo kosztorys tak, że zrazu daleko większa suma zdawała się potrzebna, lecz po zorientowaniu się można było poprzestać na mniejszej i w dodatku osiągnąć

natychmiastowy zysk — Wroński nie poddawał się jego namowom. Wysłuchiwał administratora, wypytywał go, ale dawał swą zgodę jedynie, gdy to, co miano sprowadzić lub urządzić, było czymś ultranowoczesnym, w Rosji nie znanym, gdy było to coś sensacyjnego. Poza tym decydował się na wielki wydatek tylko wówczas, gdy miał zbywający grosz, a wydając go wchodził we wszystkie szczegóły i obstawał przy tym, by za swoje pieniądze dostać coś pierwszorzędnego. Przy takim prowadzeniu interesów, rzecz oczywista, nie tylko nie poderwał swej fortuny, ale ją pomnożył.

W październiku wypadły wybory marszałka szlachty w kaszyńskiej guberni, gdzie leżały majątki Wrońskiego, Swiażskiego, Koznyszewa, Obłońskiego i posiadłość Lewina.

Wybory te zwracały na siebie uwagę ogółu zarówno z powodu osób, jakie w nich brały udział, jak i z różnych innych względów. Dużo o nich mówiono i przygotowywano się do nich. Różni moskwiczanie, petersburżanie i ludzie mieszkający stale za granicą, nigdy więc nie bywający na wyborach, tym razem się zjechali.

Wroński już od dawna obiecał był Swiażskiemu, że również przyjedzie.

Tuż przed wyborami Swiażski, który często bywał w Wozdwiżenskiem, zajechał po Wrońskiego.

W przeddzień pomiędzy Anną i Wrońskim doszło z powodu projektowanego wyjazdu prawie do kłótni. Była to najnudniejsza jesienna pora, przykra na wsi i dlatego Wroński, z góry przygotowany na opór, surowo i oziębło, jak nigdy, oznajmił Annie o swym wyjeździe. Ku jego zdumieniu Anna przyjęła tę wiadomość z wielkim spokojem i spytała go tylko, kiedy powróci. Spojrzał na nią uważnie, nie rozumiejąc jej postawy. Odpowiedziała na jego spojrzenie uśmiechem.

Znał już tę jej właściwość naglej ucieczki w głąb siebie i wiedział, że zdarzało się to tylko, gdy coś sobie po kryjomu postanowiła nie zwierzać mu się ze swych planów. Obawiał się tego jej nastroju, ale miał taką ochotę uniknąć sceny, że udał, a po części nawet szczerze uwierzył w to, w co miał ochotę uwierzyć, to jest w jej rozsądek.

— Mam nadzieję, że nie będziesz się nudziła?

— I ja tak sędę — rzekła Anna. — Otrzymałam wczoraj przesyłkę książek od Gauthier. Nie, nie będę się nudziła.

„Obrała ten ton, tym lepiej — pomyślał — tamto było już zbyt jednostajne!”

I wyjechał na wybory nie próbując nawiązać z nią przedtem szczerzej rozmowy. Pierwszy to raz dopiero, odkąd zaczął się ich stosunek, rozstawał się z nią bez zasadniczej, wszystko wyjaśniającej wypowiedzi. Z jednej strony niepokoiło go to, z drugiej — znajdował, że tak jest lepiej. „Zrazu będzie między nami, tak jak w tej chwili, coś niejasnego, niedopowiedzianego, a potem Anna się przyzwyczai. W każdym razie — wszystko mogę jej poświęcić, ale nie moją męską niezawisłość” — mówił sobie w duchu.

XXVI

We wrześniu Lewinowie przenieśli się do Moskwy w oczekiwaniu połogu Kitty. Lewin już był spędził cały miesiąc na próżniaczce, gdy Sergiusz, który posiadał majątek w kaszyńskiej guberni i gorąco się interesował mającymi nastąpić wyborami marszałka szlachty, postanowił wyruszyć na wybory do Kaszyna. Namawiał też Konstantego, który miał prawo głosu z powiatu sielezniewskiego, by z nim jechał. Lewin musiał poza tym załatwić w Kaszynie bardzo

ważną sprawę mieszkającej za granicą siostry. Sprawa dotyczyła opieki oraz zainkasowania wykupu.

Lewin wciąż jeszcze nie mógł się zdecydować, lecz Kitty widząc, jak mąż nudzi się w Moskwie, radziła mu, by się wybrał z Sergiuszem, a nawet obstałowała dla niego bez jego wiedzy mundur szlachecki, który kosztował osiemdziesiąt rubli. Te osiemdziesiąt rubli, cena munduru, stały się rozstrzygającym bodźcem do podróży i Lewin pojechał do Kaszyna.

Pobyt jego w Kaszynie trwał już dni sześć: chodził codziennie do Domu Szlacheckiego i czynił starania w sprawach siostry, które wciąż się nie kleiły. Wszyscy marszałkowie byli zajęci wyborami i nie można było uzyskać załatwienia najprostszej w świecie sprawy zależnej od biura opieki. Druga rzecz — odbiór pieniędzy — również napotykała na przeszkody. Po długich staraniach o cofnięcie zablokowania pieniądze były wreszcie gotowe do wypłaty; ale notariusz — najuczynniejszy zresztą w świecie człowiek — nie mógł wydać kuponu, gdyż potrzebny był podpis marszałka, a ten udał się na sesję sądową nie przekazawszy nikomu swych funkcji. Wszystkie te zabiegi, chodzenie od Annasza do Kajfasza, rozmowy z prawdziwie poczciwymi, dobrymi ludźmi, którzy rozumieli w zupełności przykrą sytuację petenta, ale nie byli w stanie mu dopomóc — cała ta wyteżona działalność bez żadnego rezultatu wytworzyła u Lewina męczący nastrój, podobny do owego dokuczliwego bezwładu ogarniającego człowieka, który śni, że ma zrobić użytek z siły fizycznej. Nieraz miał to wrażenie w trakcie rozmów ze swym doradcą prawnym, pełnym poczciwości człowiekiem. Prawnik czynił, zdawałoby się, wszystko, co mógł, wyteżał cały swój dowcip, aby wybawić Lewina z opresji. „Niechaj więc pan spróbuje zrobić tak a tak —

mawiał nieraz — niech pan się uda tam a tam” — i układał cały plan celem ominięcia owego fatalnego czynnika, który stał wszystkiemu na zawadzie. Wnet wszakże dodawał: „Ale mimo to sprawa się przeciągnie; niech pan jednak spróbuje.” I Lewin próbował: chodził i jeździł; wszyscy byli poczciwi i uprzejmi, lecz jak na złość — ominięty czynnik znów się wyłaniał, tuż u mety, i znowu zagradzał drogę. Szczególnie dotkliwie było to, że Lewin absolutnie nie mógł dojść, z kim prowadzi walkę, komu to może przynieść korzyść, że jego sprawa pozostanie nie załatwiona. Tego nikt zdawał się nie wiedzieć; nie wiedział także i doradca prawny. Gdyby Lewin mógł był to zrozumieć tak, jak rozumiał, dlaczego do kas biletowych na kolei nie można się dostać inaczej, jak ustawiając się w rząd, nie martwiłby się i nie irytował; lecz gdy chodziło o przeszkody, które napotykał w swoich sprawach, nikt mu nie mógł wytłumaczyć, po co je stawiano.

Lewin swoją drogą od czasu małżeństwa wielce się zmienił; stał się teraz cierpliwszy, a nie rozumiejąc, dlaczego to wszystko było tak, a nie inaczej urządzone, mówił sobie, że skoro nie zna całokształtu, nie może wydawać sądu, że zapewne tak trzeba, i starał się poskramiać w sobie oburzenie.

Tak samo, będąc obecny na wyborach i biorąc w nich udział, starał się nie krytykować, nie wszczynać sporów, lecz na ile to było możliwe, zrozumieć sprawę, której różni uczciwi i dobrzy ludzie, cieszący się jego szacunkiem, byli tak serio i z takim zapalem oddani. Od czasu ożenku życie odsłoniło przed nim tyle nowych poważnych stron, które przedtem na skutek jego lekkomyślnego do nich stosunku zdawały mu się nie zasługiwać na uwagę, że i sprawie wyborów gotów był przypisać poważne znaczenie, którego też szukać nie przestawał.

Sergiusz wytłumaczył mu sens i wielką wagę przewrotu,

jakiego spodziewano się dokonać na wyborach. Gubernialny marszałek szlachty, w którego rękach na mocy ustaw spoczywało tyle ważnych spraw publicznych — i opiekuństwa (te właśnie, które tak się uwzięły na Lewina), i zarząd olbrzymimi sumami szlacheckich pieniędzy, i gimnazja: żeńskie, męskie i wojskowe, i oświata ludowa, według nowej ustawy*, i wreszcie ziemstwo — gubernialny marszałek Snietkow był to człowiek starego szlacheckiego pokroju, który roztrwonił olbrzymią własną fortunę, człowiek zacny, na swój sposób uczciwy, ale nie rozumiejący zupełnie potrzeb nowych czasów. Zawsze i we wszystkim stał po stronie szlachty, przeciwdziałając wprost rozpowszechnianiu oświaty wśród ludu i nadawał ziemstwu, które powinno było odegrać tak olbrzymią rolę, charakter czysto stanowy. Na jego miejsce należało wysunąć człowieka nowego, o zapatrywaniach współczesnych, kogoś sprawnego, zupełnie dotąd nie ogranego, po czym tak się wziąć do rzeczy, by wykorzystać wszystkie prawa, jakie szlachta posiadała — nie jako szlachta, ale jako jeden z czynników ziemstwa — celem osiągnięcia z samorządu ile się tylko da korzyści. W zamożnej guberni kaszyńskiej, zawsze we wszystkim przodującej, zebrały się teraz tak poważne siły, że sprawa przeprowadzona, jak należało, tutaj, mogła posłużyć jako wzór dla innych guberni, w ogóle dla Rosji. Dlatego to rzecz cała miała tak wielkie znaczenie. Na marszałka szlachty zamiast Snietkowa miano wysunąć albo Swiażskiego, albo jeszcze prawdopodobnie Niewiedowskiego, byłego profesora, człowieka niezwykle rozumnego i wielkiego przyjaciela Sergiusza.

* Według nowej ustawy... — zgodnie z reskryptem carskim z grudnia 1873 r., skierowanym do ministra oświaty, szlachta winna była czuwać nad szkolnictwem. Marszałkowie szlachty, zarówno gubernialni, jak i powiatowi, obejmowali przewodnictwo w radach szkolnych.

Zebranie otworzył gubernator, który miał do szlachty przemowę zalecającą, by ludzi wybierano na stanowiska nie z prywaty, lecz dla ich zasług i dla dobra ojczyzny. Wyraził nadzieję, że zacna szlachta kaszyńska, podobnie jak i na poprzednich wyborach, święcie wypełni swój obowiązek i nie zawiedzie najwyższego zaufania monarchy.

Skończywszy przemówienie gubernator opuścił salę, a zebrani hałaśliwie i z gorliwością, a niektórzy nawet z uniesieniem, odprowadzili go i otoczyli, podczas gdy wkładał futro i przyjacielsko rozmawiał z gubernialnym marszałkiem. Lewin, który pragnął wszystko zgłębić i niczego nie chciał przeoczyć, stał tuż blisko w tłumie i słyszał, jak gubernator powiedział: „Proszę, niech pan powie Marii Iwanownie, że żona moja bardzo żałuje, ale że jedzie właśnie do przytułku.” Po czym obecni w doskonałych humorach odebrali każdy swoje futro i udali się wszyscy do cerkwi katedralnej.

W katedrze Lewin razem z innymi podniósł rękę i powtarzając słowa protopopa złożył jak najuroczystszą przysięgę, że spełni to wszystko, czego się gubernator po wyborcach spodziewał. Nabożeństwo cerkiewne zawsze robiło na Lewinie wrażenie; kiedy wymawiał słowa: „całuję krzyż”, i spojrzał na cały tłum ludzi młodych i starych powtarzających to samo — poczuł wzruszenie.

Na drugi i trzeci dzień rozpatrywano sprawę sum szlacheckich* i żeńskiego gimnazjum, rzeczy te, jak twierdził Koznyszew, były zupełnie bez znaczenia, i Lewin, zajęty zabiegami około swoich własnych spraw, tamtymi się nie interesował. Czwartego dnia przy gubernialnym stole odbyła się kontrola sum gubernialnych. Tutaj po raz pierwszy doszło do starcia pomiędzy nową a starą partią. Komisja, której polecono przeprowadzenie kontroli kapitałów, zreferowała

* Sumy szlacheckie — dochody z tych majątków, które pozostawały pod zarządem rady opiekuńczej.

zebranych, że wszystkie sumy są w porządku. Marszałek gubernialny wstał dziękując szlachcie za zaufanie, przy czym wzruszył się do łez, a zebrani wydawali gromkie okrzyki na jego cześć i ściskali mu rękę. Tymczasem jednak ktoś z partii Koznyszewa opowiedział, że słyszał, jakoby komisja wcale nie przeprowadziła kontroli sum uważając tę procedurę za obrażającą dla gubernialnego marszałka. Jeden z członków komisji był na tyle niedyskretny, że potwierdził tę informację. Na to jakiś malutki, na oko bardzo młody, lecz bardzo zjadliwy paneczek począł utrzymywać, że marszałek prawdopodobnie z przyjemnością zdałby rachunek z owych sum i że zbytnia delikatność członków komisji pozbawia go tej moralnej satysfakcji. Wówczas członkowie komisji wyparli się swego oświadczenia, Koznyszew zaś począł logicznie wywodzić, że powinno się uznać albo że sumy zostały, albo że nie zostały przez nich skontrolowane, i drobiazgowo rozwinął dylemat ze wszystkimi szczegółami. Mówca partii przeciwnej oponował Sergiuszowi.

Później przemawiał Swiażski, a po nim raz jeszcze zjadliwy paneczek. Debaty ciągnęły się długo i nie doprowadziły do żadnego wyniku. Lewin dziwił się, że spór nad tym trwał tyle czasu, zwłaszcza że gdy zapytał Sergiusza, czy istotnie przypuszcza, że sumy owe zostały roztrwonione, Sergiusz odrzekł:

— O nie! To uczciwy człowiek. Ale należało zakwestionować tę starą metodę patriarchalnego zawiadywania sprawami szlachty.

Piątego dnia odbyły się wybory marszałków powiatowych; w niektórych powiatach dzień ten był dosyć burzliwy. W powiecie sielezniewskim Swiażski został wybrany jednogłośnie bez balotażu i dnia tego wydał u siebie obiad.

XXVII

Na szósty dzieńznaczono wybory gubernialne. Wielkie i małe sale pełne były szlachty w różnego rodzaju mundurach. Wielu z nich przybyło tylko na jeden dzień. Znajomi, którzy się dawno nie spotykali — jeden z Krymu, drugi z Petersburga, jeszcze inni z zagranicy — odnajdywali się nagle w tych salach. Debatowano przy stole gubernialnym pod portretem cesarza.

W dużej i malej sali wyborcy ugrupowali się podług obozów. Za zbliżeniem się obcych — zarówno z wrogich i podejrzliwych spojrzeń, jak i z nagłego milknięcia rozmów, przy czym niektórzy odchodzili rozmawiając z cicha do odległego korytarza — można było poznać, że każda ze stron miała przed drugą pewne sekrety. Pod względem wyglądu zewnętrznego szlachta bardzo wyraźnie dzieliła się na dwa gatunki: starych i młodych. Starzy nosili po większej części albo szlacheckie staromodne mundury ze szpadą i kapeluszem, lub mundury swej broni, a więc marynarki, kawalerii, piechoty, takie, jakich się dosłużyli. Mundury te miały krój staroświecki z bufkami u ramion i wszystkie zdawały się za małe, za krótkie w talii, a tak ciasne, jakby właściciele z nich powyrastali. Młoda szlachta miała otwarte szlacheckie mundury i białe kamizelki; talia umieszczona była nisko, a ramiona odznaczały się szerokością. Albo też nosiła mundury o czarnych kołnierzach haftowanych w laurowe liście, krojem Ministerstwa Sprawiedliwości. Wśród młodych widać było także dworskie mundury zdobiące tu i ówdzie tłum.

Podział na młodych i starych nie pokrywał się jednak z podziałem na partie. Podług spostrzeżeń Lewina niektórzy z młodych należeli do starej partii, a przeciwnie, niejeden z

bardziej wiekowej szlachty gadał szeptem ze Swiażskim będąc najwidoczniej gorliwym stronnikiem nowej partii.

Lewin w małej salce, gdzie palono papierosy i pokrzepiano się zakąską, stał obok grupy znajomych słuchając tego, co mówiono, i daremnie wyteżając całą swą bystrość, by zrozumieć, o co chodzi. Koznyszew stanowił ośrodek skupiający dokoła siebie innych. W danej chwili słuchał rozmowy pomiędzy Swiażskim i Chlustowem, marszałkiem szlachty z innego powiatu. Chlustow należał do ich partii, lecz nie zgadzał się pójść ze swymi wyborcami prosić Snietkowa, by ten poddał się balotażowi. Swiażski namawiał go, by to uczynił, a i Koznyszew pochwalał ten plan. Lewin nie rozumiał, dlaczego partia przeciwna miałaby prosić marszałka, którego chciała utracić, o postawienie swej kandydatury.

Obłoński, który właśnie przegryzł sobie i wypił, zbliżył się do nich w swym szambelańskim mundurze, ocierając usta uperfumowaną chustką ze szlaczkiem.

— Obsadzamy pozycję — rzekł do Koznyszewa głaszcząc się po bokobrodach.

I posłuchawszy przez chwilę rozmowy zgodził się ze Swiażskim.

— Dosyć i jednego powiatu, a Swiażski jest przecie w jawnej opozycji — wyrzekł. Słowa te zrozumieli wszyscy z wyjątkiem Lewina.

— A co, Kostia, i ty w tym zasmakowałeś — dodał zwracając się do Lewina i biorąc go pod rękę. Lewin byłby jak najchętniej zasmakował, lecz że nie mógł zrozumieć, o co chodziło, więc oddaliwszy się nieco od rozmawiających zwierzył się Obłońskiemu ze swego dylematu — po co opozycja miałaby proponować gubernialnemu marszałkowi, żeby kandydował?

— *O sancta simplicitas!** — rzekł Obłoński i pokrótce a zrozumiale wyłożył przyjacielowi rzecz całą.

Gdyby, jak na poprzednich wyborach, wszystkie powiaty jednogłośnie wysunęły kandydaturę gubernialnego marszałka, to wybrano by go wszystkimi białymi gałkami. Do tego nie należało dopuścić, obecnie zaś osiem powiatów zgadza się postawić kandydaturę Snietkowa; o ile by dwa się cofnęły, to Snietkow może odmówić i cofnąć swą kandydaturę, a wówczas stara partia może wybrać kogoś innego spośród swoich, bo całe obliczenie zawiedzie. Lecz o ile jeden tylko powiat Swiażskiego nie wystawi kandydatury Snietkowa, to ten podda się balotażowi. Nawet go wybiorą i umyślnie jeszcze dorzucą mu głosów, tak że przeciwnicy będą zbici z tropu i gdy się wysunie nowego kandydata, dołożą mu również ze swej strony gałek.

Lewin zrozumiał, ale jeszcze nie całkiem, i chciał zadać kilka dodatkowych pytań, gdy raptem wszyscy poczęli mówić naraz i wszczął się rumor i ruch w kierunku dużej sali.

— Co takiego? Co? Kogo? — Upoważnienie? Dla kogo? Co? — Obalają? — Nie o upoważnienie tu chodzi. — Nie chcą dopuścić Flerowa. — To cóż, że wytoczono mu sprawę! Tak to gotowi nikogo nie dopuścić. To podłość. — Takie jest prawo! — słyszał Lewin z rozmaitych stron i — wraz ze wszystkimi, którzy dokądś śpieszyli w obawie, że mogliby coś przeoczyć — skierował się do wielkiej sali. Tam, popychany przez innych wyborców, zbliżył się do gubernialnego stołu, gdzie odbywał się zacięty spór pomiędzy marszałkiem gubernialnym a Swiażskim i innymi prowodyrami.

* *O sancta*..... — o święta prostoto!

XXVIII

Lewin znajdował się dość daleko. Ktoś ochryple i ciężko oddychający tuż przy nim i ktoś drugi, o skrzypiących grubych podszwach, przeszkadzali mu słyszeć wyraźnie. Z dala dochodził do niego tylko miękki głos marszałka, potem piskliwy — zjadliwca, a wreszcie głos Swiażskiego. Dyskutowali, o ile mógł zrozumieć, nad znaczeniem pewnego artykułu pewnej ustawy oraz nad znaczeniem słów: znajdującego się pod śledztwem.

Cizba rozstąpiła się, aby przepuścić dążącego do stołu Sergiusza Iwanowicza. Koznyszew najpierw odczekał, aż zjadliwiec skończy swe przemówienie, po czym oświadczył, że jego zdaniem, najwłaściwiej byłoby zajrzeć do odnośnego artykułu ustawy, i poprosił sekretarza, by go wyszukał. Artykuł głosił, że na wypadek różnicy zdań rozstrzyga balotaż.

Koznyszew odczytał artykuł i począł tłumaczyć jego znaczenie, lecz w tej chwili przerwał mu wysoki, otyły, przygarbiony ziemianin o farbowanych wąsach, w ciasnym mundurze, którego kołnierz z tyłu podpierał mu szyję. Ziemianin ów podszedł do stołu i uderzając weń sygnetem jał głośno krzyżeć:

— Balotować! Na balotaż go! Nie ma o czym gadać! Dawajcie gałki!

Teraz nagle odezwało się kilka głosów naraz, a wysoki ziemianin z sygnetem, wpadając w coraz większy gniew, krzychał coraz głośniej; niepodobna było jednak rozróżnić słów.

To, co mówił, było jednoznaczne z propozycją Koznyszewa, ale krewki ziemianin najwidoczniej nienawidził i Koznyszewa, i całej jego partii i ta nienawiść udzieliła się

całej jego własnej partii i wywoływała takie samo — acz utrzymane w przyzwoitych karbach — rozjątrzenie ze strony przeciwnej. Podniosły się wrzaski i na chwilę nastąpił taki zamęt, że marszałek gubernialny musiał przywołać zgromadzonych do porządku.

— Do balotażu, do balotażu! Kto szlachcic, ten to zrozumie. My krew przelewamy... Zaufanie monarchy... Nie zważać na marszałka, to nie ekonom... Ależ nie o to chodzi... prosimy do głosowania! Hańba!... — słychać było ze wszystkich stron gniewne, rozjuszone krzyki. Wejrzenia i miny były jeszcze bardziej rozjuszone i obłądne niż słowa. Ziała z nich nieprzejednana nienawiść. Lewin zupełnie nie rozumiał, o co chodzi, i zdumiewała go pasja, z jaką roztrząsano pytanie, czy poddawać pod głosowanie opinię dotyczącą Flerowa, czy też nie. Nie pamiętał — jak mu to później wytłumaczył Sergiusz — o pewnym sylogizmie: dla dobra ogółu należało obalić gubernialnego marszałka, a na to, by go obalić, potrzebna była większość galek, na to zaś, by uzyskać tę większość, należało nadać Flerowowi prawo głosu, wreszcie na to, by uznać Flerowa za uprawnionego do głosowania, musiano skomentować odpowiednio sens artykułu ustawy.

— A jeden głos może zdecydować o całej sprawie. Skoro się chce służyć ogółowi, należy zachować powagę i trzymać się logiki — zakończył Sergiusz.

Lewin jednak zapomniał o tym i było mu bardzo przykro widzieć zacnych ludzi, których darzył szacunkiem, w stanie tak nieprzyjemnego rozjątrzenia i złości. Chcąc uciec od tej ciężkiej atmosfery wyszedł, nie czekając końca dyskusji, do sali, gdzie nie było nikogo prócz służby bufetowej. Zoczywszy krzątających się lokai, którzy przecierali naczynia i ustawiali talerze i kieliszki, Lewin mając przed sobą ich

spokojne, pogodne twarze doznał niespodzianie uczucia ulgi, niby ktoś, kto ze śmierdzącej izby wychodzi na świeże powietrze. Począł się przechadzać tam i z powrotem, przyglądając się im z satysfakcją. Bardzo mu się podobało, jak jeden z nich, starszy już, o siwych bokobrodach, z góry traktując młodych, którzy z niego podzartowywali, uczył ich składać serwety. Lewin miał właśnie zamiar rozpocząć rozmowę ze starym lokajem, gdy sekretarz szlacheckiej opieki, staruszek, którego specjalnością było znać całą szlachtę guberni z imienia własnego i odojcowskiego, odwołał go:

— Konstanty Dmitrycz, prosimy, brat szuka pana. Odbywa się balotaż opinii.

Lewin wszedł do sali, otrzymał białą gałkę i wraz z Sergiuszem podszedł do stołu, przy którym stał Swiażski z miną ceremonialną, acz nieco ironiczną, i swoim zwyczajem zbierał w garść brodę i podsuwał ją sobie pod nos. Sergiusz włożył rękę do pudła, umieścił tam swoją gałkę i ustępując miejsca Lewinowi zatrzymał się przy stole. Lewin podszedł, ale zdążył już całkiem zapomnieć, o co chodziło, więc z zakłopotaniem zwrócił się do Sergiusza i zapytał: „Gdzie ja ją mam włożyć?” Pytał szeptem, a że dokoła rozmawiano, był pewien, że nikt nie dosłyszał. Rozmawiający jednak właśnie umilkli, tak że jego niewłaściwe zapytanie doszło do uszu obecnych. Koznyszew zmarszczył brwi.

— To już zależy od przekonania — rzekł surowo.

Kilka osób uśmiechnęło się. Lewin poczerwieniał, prędko wsunął rękę pod sukno i położył gałkę na prawo, ponieważ miał ją w prawym ręku. Chwilę później przypomniał sobie, że należało włożyć także lewą rękę pod sukno, co też uczynił, ale za późno. Skonfundował się więc jeszcze bardziej i czym prędzej oddalił się aż do ostatnich rzędów.

— Sto dwadzieścia sześć — za Flerowem! Dziewięćdziesiąt osiem — przeciw! — rozległ się głos sekretarza nie wymawiającego litery „r”. Potem zadźwięczał śmiech: znaleziono w urnie guzik i dwa orzechy. Flerow został dopuszczony do głosowania; nowa partia odniosła zwycięstwo.

Stara jednak nie uważała się za pobitą. Lewin usłyszał, jak poczęto proponować Snietkowowi, by kandydował, i zobaczył, jak zebrani otoczyli gubernialnego marszałka, który coś mówił. Podeszedł bliżej. W odpowiedzi otaczającym Snietkow wspominał o zaufaniu szlachty, o ich przywiązaniu do niego, którego on, Snietkow, nie jest wart, cała bowiem jego zasługa polega li tylko na tym, że był oddany szlachcie, której poświęcił dwadzieścia lat służby. Kilka razy powtarzał: „Służyłem, ile sił, rzetelnie i uczciwie... Cenię i jestem wdzięczny...” Nagle zamilkł, gdyż łyzy go dławily, i opuścił salę. Czy te łyzy wywołane były poczuciem krzywdy, jaka go spotkała, czy wynikły z miłości ku szlachcie, czy z niepewnej sytuacji, którą — otoczony przez wrogów — wyczuwał, dość, że rozrzewnienie jego udzieliło się zebranim. Większość obecnych była wzruszona, a Lewin poczuł tkliwość dla Snietkowa.

Marszałek z Lewinem zderzyli się we drzwiach.

— Przepraszam, proszę wybaczyć — odezwał się Snietkow, jakby chodziło o nieznajomego; poznawszy jednak Lewina uśmiechnął się do niego nieśmiało. Lewinowi zdawało się, że tamten chciał coś powiedzieć, lecz że ze wzruszenia nie mógł mówić. Wyraz jego twarzy i całej postaci w mundurze, orderach i białych wygalonowanych pantalonach, gdy tak śpiesznie wychodził, przypomniawszy Lewinowi zaszczutego zwierza, który spostrzega, że sprawa jego źle stoi. Ten jego wyraz dlatego specjalnie poruszył

Lewina, że zaledwie na dzień przedtem zachodził do Snietskowa do domu w sprawie opieki i widział go w całym dostojństwie zacnego rodzinnego żywota. Wielki dom ze starymi rodzinnymi meblami; bynajmniej nie elegancka, niezbyt czysta, lecz pełna szacunku stara służba, najwidoczniej jeszcze dawna pańszczyźniana, która gospodarza nie zmieniła; gruba poczciwa żona w koronkowym czepeczku i tureckim szalu, piastująca ładniutką wnuczkę, córkę córki; zuch synek szóstoklasista, świeżo przybyły z gimnazjum, który witając się z ojcem pocałował jego wielką rękę; poważne a serdeczne słowa i ruchy gospodarza — wszystko to w przeddzień wzbudziło u Lewina odruchowy szacunek i sympatię. Obecnie ten niemłody człowiek wydał mu się wzruszający, godny współczucia, toteż zapragnął powiedzieć mu coś miłego.

— A więc pan pozostaje naszym marszałkiem — odezwał się zamiast powitania.

— Raczej nie — marszałek obejrzał się trwożliwie. — Jestem stary i zmęczony. Są ludzie godniejsi i młodszy ode mnie. Niech oni teraz służą.

I marszałek znikł w bocznych drzwiach.

Nastąpiła minuta najbardziej uroczysta. Zaraz miano przystąpić do wyborów. Prowodrzy każdej z partyj na palcach obliczali czarne i białe gałki.

Spory o Flerowa dały nowej partii nie tylko sam głos Flerowa, ale i wygraną na czasie, tak że można było przywieźć trzech wyborców, którzy — na skutek konszachtów starej partii — zostali pozbawieni możliwości wzięcia udziału w wyborach. Zausznicy Snietskowa spoli dwóch ze szlachty mających słabość do alkoholu, a trzeciemu zabrali umundurowanie.

Dowiedziawszy się o tym nowa partia zdążyła w czasie

dyskusji na temat Flerowa posłać dorożką swoich zwolenników, by umundurowali pozbawionego ubrania kolegę i przywieźli na zebranie jednego ze spitych.

— Jednego przywiozłem. Wodą go otrzeźwiłem — raportował Swiażskiemu ziemianin, któremu zlecono ten wyczyn. — Nic to, zdatny.

— Czy nie nazbyt pijany? Nie przewróci się? — kręcił głową Swiażski.

— Ależ nie! To zuch. Byleby go tutaj nie spolił... Zapowiedziałem bufetowemu, żeby mu pod żadnym pozorem nic nie dawał.

XXIX

Wąska sala, gdzie palono papierosy i jedzono zakąski, była pełna. Podniecenie wciąż rosło i na wszystkich twarzach malował się niepokój. Zwłaszcza podekscytowani wyglądali prowodyrowie, którym wiadome były wszystkie szczegóły, a także ogólna liczba gałek. Byli to organizatorzy mającej nastąpić batalii. Reszta zebranych, na podobieństwo prostych szeregowców przed bitwą, chociaż i gotowała się do boju, tymczasem jednak szukała rozrywek. Jedni przegryzali coś na stojąco albo przysiadając się do stołów; inni przechadzali się tam i z powrotem po długiej sali i paląc papierosy rozmawiali z dawno nie spotykanymi przyjaciółmi.

Lewin nie był głodny; nie palił; nie miał również ochoty zbliżyć się do swoich, to jest do Sergiusza, Stiwy, Swiażskiego i pozostałych, z nimi razem stał bowiem Wroński w mundurze łowczego dworu, rozmawiając z ożywieniem. Już dnia poprzedniego Lewin dojrzał go na wyborach i starannie omijał nie pragnąc się z nim spotkać. Podeszedł do okna i usiadł patrząc na tworzące się grupy i

przysłuchując się temu, co dokoła niego mówiono. Było mu smutno, przede wszystkim dlatego, że wszyscy, jak dostrzegął, byli pełni zapału, zainteresowani i zajęci, a tylko on jeden, poza zgrzybiałym, bezzębnym staruszkiem w mundurze marynarki, który siedział obok niego i bezgłośnie poruszał ustami, nie miał żadnych zainteresowań i nic do roboty.

— Co to za szelma! Mówiłem mu, ale nie! Rzeczywiście! W trzy lata nie zdołał zebrać — energicznie perorował przygarbiony, niskiego wzrostu ziemianin z wypomadowanymi włosami, które leżały mu na haftowanym kołnierzu od munduru. Stukał przy tym mocno obcasami nowych, najwidoczniej specjalnie na wybory włożonych butów. Wreszcie, spojrzawszy z niezadowoleniem na Lewina, gwałtownie się odwrócił.

— Tak, to nieczysta sprawa, nie ma co mówić — potwierdził cieniutkim głosikiem obywatel ziemski niskiego wzrostu.

Tuż za nimi cała grupa ziemian, dotychczas otaczająca grubego generała, spiesznie zbliżała się do Lewina. Znać było, że szukają miejsca, by coś omówić tak, żeby ich nie dosłyszano.

— Jak on śmie twierdzić, że kazałem ukraść mu spodnie. Sądzę, że je przepił. Gwiżdżę na niego i na jego książęcy tytuł. Nie wolno mu tak mówić. To świństwo!

— Ale niechże pan pozwoli. Oni się opierają na artykule — mówiono w innej grupie — żona powinna być zapisana jako szlachcianka.

— Po diabła mi artykuły. Mówię z serca. Na to jesteśmy szlachta. Miej, bracie, zaufanie.

— Chodźmy, ekscelencjo, jest *fine champagne**.

* *Fine champagne* — gatunek koniaku.

Inna znowu grupa towarzyszyła ziemianinowi, który coś głośno wykrzykiwał: był to właśnie jeden z trzech spojonych.

— Zawsze radziłem Marii Siemionownie oddać w arendę, bo nic nie wskóra — miłym głosem mówił ziemianin o siwych wąsach, noszący mundur pułkownika dawnego Sztabu Generalnego. Był to ten sam obywatel, którego Lewin spotkał u Swiażskiego. Poznał go od razu. Ziemianin również mu się przyjrzał i przywitali się.

— Bardzo mi miło. A jakże. Doskonale pamiętam. W zeszłym roku u Mikołaja Iwanowicza, marszałka powiatowego.

— Jakże się panu powodzi w gospodarstwie? — zapytał Lewin.

— Zawsze tak samo. Pracuje się ze stratą. — Ziemianin zatrzymał się obok Lewina. Uśmiech jego był pełen pokory, ale twarz wyrażała spokój i przekonanie, że jest tak, jak być powinno. — A pan w jaki sposób trafił do naszej guberni? — zapytał z kolei. — Przyjechał pan, aby wziąć udział w naszym *coup d'état** — wymówił francuskie słowo bez zająknięcia, lecz ze złym akcentem. — Mamy tu zjazd całej Rosji: i szambelanów, i omal że nie ministrów — wskazał na Obłońskiego, który w swych białych pantalonach i szambelańskim mundurze przechadzał się w towarzystwie generała.

— Muszę panu wyznać, że nie bardzo dobrze rozumiem znaczenie szlacheckich wyborów — rzekł Lewin.

Ziemianin spojrział na niego.

— A cóż tu jest do rozumienia? To nie ma w ogóle żadnego znaczenia. Jest to instytucja przebrzmiała, której funkcje trwają tylko dzięki sile bezwładności. Niechże pan spojrzy na mundury: one również świadczą, że jest to

* *Coup d'état* — zamach stanu.

zgromadzenie sędziów pokoju, członków stałych itp., ale nie szlachty.

— Po cóż więc pan przyjeżdża? — zainteresował się Lewin.

— Przede wszystkim z przyzwyczajenia. Poza tym — trzeba podtrzymywać stosunki. Jest to pewnego rodzaju obowiązek moralny. Wreszcie, prawdę mówiąc, mam w tym i własny interes. Mój zięć pragnie postawić swoją kandydaturę na stałego członka. Są niezamożni; chciałbym, żeby mu się to udało. A tamci panowie po co tu przyjeżdżają? — zapytał wskazując na zjadliwego paneczka, który właśnie przemawiał przy stole gubernialnym.

— To — nowe pokolenie szlachty.

— Niechże będzie i nowe. Ale to nie szlachta. To właściciele ziemscy, a myśmy dziedziczni ziemianie. Podobnie jak i szlachta, sami podcinają gałąź, na której siedzą.

— Przecie i pan powiedział, że to przebrzmiała instytucja.

— Przebrzmiała, bo przebrzmiała, a jednak należałoby się z nią obchodzić z większym szacunkiem. Weźmy chociażby Snietkowa... Czyśmy dobrzy, czy źli, rośliśmy przecie lat z tysiąc. Przypuśćmy, wie pan, że ma pan przed domem założyć ogródek według planu, tymczasem na tym właśnie miejscu rośnie stuletnie drzewo... Mimo że jest stare i koślawe, nie będzie pan dziadygi rąbał dla kwiatowych grządek, raczej klomby tak pan rozplanuje, żeby i drzewo w ogródku się przydało. W jeden rok takiego się nie wyhoduje — powiedział z namysłem i wnet skierował rozmowę na inne tory. — A u pana co słyhać z gospodarstwem?

— Nieświetnie. Tak na pięć procent.

— Tak, ale pan nie policzył siebie. Przecie pan też jest coś wart. Ot na przykład, jeśli o mnie chodzi: do chwili, gdy nie

gospodarowałem, otrzymywałem jako urzędnik trzy tysiące rubli. Obecnie pracuję więcej niż na urzędzie i — tak jak i pan — otrzymuję pięć procent, i to jeśli Bóg da. A praca własna darmo wypada.

— Więc po co pan to robi? Jeśli to jest po prostu strata?

— Ot, robi człowiek. Cóż pan chce? Przyzwyczajenie i wie się, że tak trzeba. Powiem panu jeszcze więcej — ziemianin wsparł łokcie na oknie. Widać było, że się rozgadał — syn mój nie lubi zupełnie gospodarstwa. Najwidoczniej będzie z niego inteligent. Więc nie ma nikogo, kto by trud mój prowadził dalej. A mimo to pracuje się. W tym roku na przykład założyłem sad.

— Tak, tak — potwierdził Lewin. — To święta prawda. I ja zawsze czuję, że gospodarstwo moje w gruncie rzeczy nie opłaca się, a mimo to — pracuję... Człowiek czuje, że ma jakieś obowiązki wobec ziemi.

— Powiem panu jeszcze jedno — mówił dalej ziemianin. — Odwiedził mnie sąsiad kupiec. Oprowadziłem go po gospodarstwie, po ogrodzie. „Nie — powiada mi on — Stiepanie Wasiliczu, wszystko u pana w najlepszym porządku, tylko ogród zapuszczony.” Tymczasem ogród jest w porządku. „Na mój rozum ściałbym tę lipę. Potrzebne są tylko młode. Przecie jeśli mieć tysiąc lip, to z każdej uzyska się chociaż ze dwa łyka. A w tym roku cena na łyko jest dobra. I belek lipowych bym narąbał.”

— A za te pieniądze bywała by kupił albo ziemi za bezcen i oddał chłopom warendę — dokończył za niego z uśmiechem Lewin, który najwidoczniej nieraz spotykał podobne kalkulacje. — I kupiec zrobi majątek. A pan i ja — daj Boże, żebyśmy mogli utrzymać się na swoim i mieli co dzieciom zostawić.

— Słyszałem, że pan się ożenił — zauważył ziemianin.

— Owszem — z dumą i zadowoleniem odparł Lewin. — Tak, jest w tym coś dziwnego — ciągnął dalej. — Więc my tak sobie żyjemy i żyjemy bez żadnej kalkulacji, jakbyśmy — podobni starożytnym westalkom — byli powołani do strzeżenia jakiegoś ognia.

Pod białym wąsem ziemianina ukazał się uśmiech.

— I wśród nas są także tacy — jak choćby na przykład nasz przyjaciel Mikołaj Iwanycz albo hrabia Wroński, teraz tu osiadły — którzy chcieliby zapoczątkować przemysł rolniczy, ale dotąd nie prowadzi to do niczego prócz zatury kapitału.

— Dlaczegoż więc nie postępujemy tak jak kupcy? Dlaczego nie wyrąbujemy ogrodu na łyko? — Lewina myśl ta uderzyła, więc powracał do niej.

— Pan to przecie tak wyraził: aby strzec ognia. Tamto — to nieszlachecka rzecz. A nasza szlachecka rzecz nie odbywa się tutaj, na wyborach, ale tam na własnych śmieciach. Istnieje jakiś instynkt stanowy, który decyduje, co wolno, a czego nie wolno. A choćby i chłop; nieraz ich obserwuję: jeśli porządny chłop, łapie ziemi w arendę, ile tylko może. Choćby nie wiem jak była licha — uprawia ją a uprawia. Też bez żadnego wyrachowania, wprost ze stratą.

— Tak jak i my — potwierdził Lewin. — Bardzo, bardzo miło mi było spotkać pana — dodał widząc idącego ku nim Swiażskiego.

— A myśmy się ot, po raz pierwszy spotkali od tamtego razu u pana — rzekł ziemianin — i zagadaliśmy się.

— I cóż, czy wymyślaliście na nowe porządki? — uśmiechnął się Swiażski.

— Nie obeszło się bez tego.

— Ulżyliście sercu.

XXX

Swiażski wziął Lewina pod rękę i skierował się z nim ku grupie znajomych.

Teraz już niepodobna było ominąć Wrońskiego. Stał z Obłońskim i Koznyszewem i patrzył wprost na zbliżającego się Lewina.

— Bardzo mi miło. Zdaje się, że miałem przyjemność spotkać pana... u księżnej Szczerbackiej — powiedział podając Lewinowi rękę.

— Tak, pamiętam bardzo dobrze nasze spotkanie — odparł Lewin robiąc się purpurowy, po czym zaraz się odwrócił i począł coś mówić do brata.

Wroński uśmiechnął się nieznacznie i naradzał się dalej ze Swiażskim najwidoczniej wcale nie pragnąc nawiązania rozmowy z Lewinem. Lewin natomiast, rozmawiając z bratem, nieustannie oglądał się na Wrońskiego i namyślał się, o czym by z nim zagadać, by zatuszować swe grubiaństwo.

— O co teraz chodzi? — tu Lewin obejrzał się znów na Swiażskiego i Wrońskiego.

— Chodzi o Snietkowa. Powinien albo się zgodzić, albo odmówić — poinformował go Swiażski.

— No i cóż, zgodził się czy się nie zgodził?

— Ani jedno, ani drugie — powiedział Wroński.

— A jeśli odmówi, to kto będzie kandydował? — zapytał Lewin patrząc na Wrońskiego.

— Ten, kto zechce — odrzekł Swiażski.

— Czy ty będziesz kandydował?

— Ja na pewno nie — tu Swiażski zmieszał się i rzucił zaleknione spojrzenie na stojącego tuż obok z Koznyszewem zjadliwego jegomościa.

— Więc kto? Niewiedowski? — pytał dalej Lewin czując,

że robi gafę.

Ale trafił jeszcze gorzej. Niewiedowski i Swiażski byli obaj kandydatami.

— I ja na pewno nie — zaprzeczył zjadliwiec.

To właśnie był Niewiedowski we własnej osobie. Swiażski zapoznał z nim Lewina.

— No co, i ciebie to też wciągnęło? — wesoło mrugnął na Wrońskiego Stiepan Arkadjicz. — To jest jak wyścigi. Można by urządzić totalizatora.

— Tak, to naprawdę wciąga — odparł Wroński. — A skoro się człowiek raz do tej sprawy zabierze, chciałby doprowadzić ją do końca. Walka! — rzucił marszcząc brwi i zaciskając swe mocne szczęki.

— Co za spryciarz z tego Swiażskiego! Wszystko ma tak precyzyjnie obliczone.

— O tak! — potwierdził Wroński machinalnie.

Zapadło milczenie, podczas którego Wroński — trzeba było przecież na coś patrzeć — spojrzął na Lewina: na jego nogi, na mundur, wreszcie na twarz i zauważywszy posepnie wpatrzone w siebie oczy, powiedział, by cośkolwiek w ogóle powiedzieć:

— Jak się to dzieje, że pan mieszkający stale na wsi nie jest sędzią pokoju? Mundur pana nie jest przecie mundurem sędziego.

— Dlatego że uważam sąd pokoju za idiotyczną instytucję — ponuro odparł Lewin, który wciąż wyczekiwał sposobności, by porozmawiać trochę z Wrońskim i zatuszować swe niegrzeczne odezwanie się w pierwszej chwili.

— Ja tak nie sędzę. Jestem zupełnie innego zdania. — Wroński zdziwił się, ale zachował spokój.

— To zabawka — przerwał mu Lewin. — Sędziowie

pokoju są nam niepotrzebni. W ciągu lat ośmiu nie miałem ani jednej sprawy. Ta, którą miałem, została załatwiona na opak. Sędzia pokoju jest o czterdzieści wiorst ode mnie. Na sprawę, która jest warta dwa ruble, muszę posyłać adwokata, który kosztuje piętnaście.

Tu opowiedział, jak chłop ukradł młynarzowi mąkę, a gdy młynarz zrobił mu z tego zarzut, chłop podał go do sądu o potwarz. Wszystko to było ni przypiął, ni przyłatał, a w dodatku niemądre; Lewin czuł to bardzo dobrze.

— Taki to już z niego oryginał! — rzekł Obłoński z najbardziej migdałowym ze swych uśmiechów. — Ale chodźmy już. Zdaje się, że zaczął się balotaż.

I porozchodzili się.

— Nie rozumiem — powiedział Sergiusz, który zauważył niezręczny wyskok brata — nie rozumiem, jak można być do tego stopnia pozbawionym wszelkiego zmysłu politycznego. To jest właśnie to, czego tak niedostaje nam, Rosjanom. Marszałek gubernialny jest naszym przeciwnikiem, a ty zachowujesz się z nim *en ami cochon** i proponujesz mu, aby kandydował. A Wroński — nie będę się z nim przyjaźnił; zaprosił mnie na obiad: nie przyjmę zaproszenia — ale jest po naszej stronie; po cóż robić sobie z niego wroga? A potem... pytasz Niewiedowskiego, czy będzie kandydował. Tego się nie robi.

— Ach, ja nic z tego nie rozumiem! A poza tym — to wszystko głupstwa — chmurnie oświadczył Lewin.

— Mówisz, że to wszystko głupstwa, a gdy się do nich bierzesz, wytwarzasz zamęt.

Lewin umilkł. Weszli razem do wielkiej sali.

Marszałek gubernialny — mimo że czuł w powietrzu uknutą przeciwko sobie intrygę i mimo że nie wszyscy

* *En ami cochon* — za pan brat.

zebrani prosili go, by kandydował — postanowił stanąć do balotażu. Cała sala przycichła; sekretarz grzmiącym głosem oznajmił, że na marszałka gubernialnego wysunięto kandydaturę Michała Stiepanowicza Snietkowa, rotmistrza gwardii.

Powiatowi marszałkowie zaczęli podchodzić do stołu gubernialnego od stołów z talerzykami, na których leżały gałki.

— Połóż na prawo — szepnął Obłoński Lewinowi, gdy ten wraz z bratem podszedł do stołu tuż po marszałku. Lewin jednak zdążył już zapomnieć o kombinacji, którą mu wytłumaczono, i począł się obawiać, czy Stiwa nie pomylił się mówiąc mu „na prawo”. Przecie Snietkow był przeciwnikiem. Zbliżając się do urny trzymał gałkę w prawym ręku, ale sądząc, że to była omyłka, przełożył ją tuż przed podejściem do urny do ręki lewej i oczywiście później położył ją już na lewo. Znaczący tych rzeczy, stojący tuż obok urny i umiejący po samym tylko ruchu łokcia orzec, gdzie kto kładł gałkę, skrzywił się z niezadowoleniem: przenikliwość jego nie potrzebowała się tutaj wysilać.

Zapanowała cisza, słychać było liczenie gałek. Potem jakiś odosobniony głos oznajmił liczbę za i przeciw.

Marszałek został wybrany znaczną większością głosów. Podniósł się rumor i wszyscy pędem rzucili się do drzwi. Wszedł Snietkow. Szlachta otoczyła go winszując.

— No, czy teraz już koniec? — spytał Lewin Sergiusza.

— To dopiero początek — z uśmiechem odpowiedział za niego Swiażski. — Nasz kandydat na marszałka może otrzymać więcej gałek.

Lewin całkiem o tym zapomniał. Dopiero teraz przypomniało mu się, że zachodziła tu jakaś subtelnosc, nudziło go jednak poszukiwanie w pamięci, na czym ona

miała polegać. Ogarnęła go melancholia i zapragnął wydostać się z tego tłumu.

Ponieważ nikt na niego nie zwracał uwagi i zdawało się, że nie jest nikomu potrzebny, po cichutku skierował się do małej salki, gdzie można było coś przegryźć. Ujrzawszy tych samych lokaj doznał wielkiej ulgi. Staruszek lokaj zaproponował mu, by coś zjadł, i Lewin zgodził się. Po zjedzeniu sznycła z fasolką i pogawędce z lokajem o jego dawnych chlebobawcach Lewin nie chcąc wracać do sali, gdzie czuł się tak źle, poszedł spacerkiem na galerię.

Galeria pełna była wystrojonych dam, które przechylały się przez balustradę i usiłowały nie tracić ani jednego słowa z tego, co mówiono na dole. Obok dam siedzieli i stali szykowni adwokaci, nauczyciele gimnazjalni w okularach i oficerowie. Wszędzie była mowa o wyborach, o tym, jak się marszałek zmordował, jaka interesująca była dyskusja. W jednej z grup Lewin usłyszał, że chwalono Sergiusza. Któraś z pań mówiła do adwokata:

— Taka jestem rada, że słyszałam Koznyszewa! Warto było trochę się przegłodzić! Cudownie! Tak wyraźnie było go słyszeć. U panów w sądzie nikt tak nie przemawia. Jeden Majdel, ale i jemu daleko do takiego krasomówstwa.

Upatrzwszy sobie wolne miejsce przy balustradzie Lewin przechylił się i jał patrzeć i słyszeć.

Wszyscy wyborcy siedzieli w swoich przegródkach, powiatami. Pośrodku sali stał ktoś w mundurze i cienkim, donośnym głosem oznajmiał:

— Podany do balotażu na gubernialnego marszałka szlachty rotmistrz sztabu Eugeniusz Iwanowicz Apuchtin.

Zapadła martwa cisza, w której rozległ się pojedynczy, słaby starczy głos:

— Odmawiam.

— Podany radca dworu Piotr Pietrowicz Boi — znów oznajmił głos pierwszy.

— Odmawiam! — rozległ się głos młody, piskliwy.

Ponowiło się to samo i znowu ktoś „odmówił”. Trwało to coś około godziny. Lewin, oparty łokciami o balustradę, patrzył i słuchał. Zrazu zdziwiony, usiłował pojąć, co to w ogóle znaczy; ale gdy przekonał się, że tego zrozumieć nie zdoła, poczuł nudę. Potem przypomniało mu się to całe wzburzenie i złość, które spostrzegł na wszystkich twarzach, więc stracił humor, postanowił opuścić zebranie i zeszedł na dół.

Przechodząc przez sień wiodącą do galerii spotkał przechadzającego się tam i z powrotem smętnego gimnazystę o podsiniawych oczach, na schodach zaś minął parę: damę, która prędko biegła na swych wysokich obcasikach, i jakiegoś lekkoducha — wiceprokuratora.

— Mówiłem pani przecie, że pani się nie spóźni — rzekł prokurator w chwili, gdy Lewin usunął się, by dać przejść damie.

Już był na schodach wyjściowych i wydobywał z kieszonki u kamizelki numerkę swego futra, gdy złapał go sekretarz.

— Konstanty Dmitrycz, prosimy. Głosowanie!

Głosowano nad kandydaturą Niewiedowskiego, której ten tak energicznie niedawno się wyparł.

Lewin podszedł do drzwi sali: drzwi były zamknięte. Na pukanie sekretarza otworzono i obok Lewina przemknęli dwaj czerwoni na twarzy ziemianie.

— Już nie mam sił — rzekł jeden z rozczzerwienionych obywateli. Tuż za nim wysunęła się twarz marszałka guberni, twarz przerażająca przez swój wyraz znużenia i strachu.

— Powiedziałem ci, żebyś nie wypuszcza! — krzyknął na woźnego.

— Toć wpuszczałem, wasza ekscelencjo!

— O Boże! — marszałek guberni, z głębokim westchnieniem ciężko suwając nogami w białych pantoflach, przeszedł z opuszczoną głową środkiem sali do dużego stołu.

Niewiedowski, jak na to liczone, otrzymał pod dostatkiem głosów i został marszałkiem guberni. Wielu zebranych cieszyło się, wielu było zadowolonych, uszczęśliwionych, wielu w zachwycie, wielu innych niezadowolonych i zmartwionych. Marszałek Snietkow nie umiał ukryć rozpaczy. Gdy Niewiedowski wyszedł z sali, otoczono go tłumnie. Zebrani dążyli za nim z uniesieniem, zupełnie tak jak w dniu otwarcia wyborów towarzyszyli gubernatorowi i tak samo jak śpieszyli za Snietkowem, gdy ten został wybrany.

XXXI

Tego dnia na obiedzie u Wrońskiego był nowo obrany gubernialny marszałek szlachty oraz wielu członków zwycięskiej partii.

Wroński przybył na wybory — po części, ponieważ nudził się na wsi i chciał podkreślić wobec Anny swoje prawo do niezależności, po części, by się odwdziaczyć Swiażskiemu za starania na jego korzyść przy wyborach do ziemstwa, a przede wszystkim ponieważ chciał wypełnić co do joty wszystkie obowiązki związane ze stanem szlacheckim i ziemiańskim, które obrał za swoje. Wcale się jednak nie spodziewał, by go wybory tak zainteresowały, tak do żywego obeszły i by potrafił wziąć w nich udział tak pożyteczny. W gronie szlachty był człowiekiem zupełnie nowym, odniósł jednak wyraźny sukces, nie mylił się też mniemając, że już stał się wśród nich wpływowym człowiekiem. Wpływ ten był

uwarunkowany jego wielką fortuną i znakomitością rodu; poza tym Wroński posiadał w mieście piękny apartament, odstąpiony mu przez starego znajomego, Szyrkowa, który przeprowadzał operacje finansowe i założył w Raszynie dobrze prosperujący bank. Dalej — Wroński miał świetnego

kucharza przywiezionego z majątku, już nie mówiąc, że przyjaźnił się z gubernatorem, kolegą z dawnych lat, i to kolegą, którego w szkole protegował. Najbardziej wszakże jednał sobie ludzi prostym, równym stosunkiem do każdego; w krótkim czasie skłoniło to większość szlachty do zmiany zdania co do rzekomej jego pychy. Sam odczuwał, że poza tym narwanym osobnikiem ożenionym z Kitty Szczerbacką, który *à propos de bottes** z szaloną wściekłością nagadał mu furę do niczego niepodobnych głupstw, każdy, z kim się tylko zapoznał, stawał się jego zwolennikiem. Widział jasno, a uznawali to również i inni, że to on przyczynił się poważnie do sukcesu Niewiedowskiego. A i teraz, u siebie za stołem, święcąc uroczyście ten wybór, miał przyjemne uczucie triumfu za swego kandydata. Same wybory nabrały dlań takiego uroku, że już sobie układał, jak — o ile zdoła się przed upływem trzech lat ożenić — sam będzie kandydował, podobnie jak po wygraniu nagrody przez dżokeja miewał ochotę sam brać udział w wyścigu.

W tej chwili właśnie świętowano zwycięstwo jego dżokeja. Wroński przydygotał przy stole; po prawej jego ręce siedział młody gubernator, generał carskiej świty. Dla wszystkich obecnych był on gospodarzem guberni, tym, który otwierał wybory, przemawiał, i u wielu, jak to Wroński zauważył, wzbudzał szacunek i uniżoność. Tymczasem dla Wrońskiego był to Kat'ka Masłow, takie miał w Korpusie Paziów przezwisko — który przy nim czuł się zażenowany i

* *à propos*... — ni stąd, ni zowąd.

którego Wroński starał się *mettre a son aise**. Po lewej ręce miał Niewiedowskiego, z jego młodą, niezłomną i zjadliwą twarzą; Wroński traktował go po prostu, ale z szacunkiem.

Swiażski znosił swą porażkę na wesoło. Dla niego nie była to nawet klęska, jak sam wyznał wznosząc toast na cześć Niewiedowskiego: nie można bowiem było znaleźć lepszego przedstawiciela tego nowego kierunku, za którym winna pójść szlachta. I dlatego — jak mówił — wszystko, co uczciwe, było po stronie dzisiejszego sukcesu i pragnęło go uczcić.

Także i Obłoński rad był, że wesoło czas spędził i że wszyscy byli zadowoleni. W czasie doskonałego obiadu robiono przegląd różnych epizodów wyborczych. Swiażski w komiczny sposób powtórzył płaczliwą orację marszałka i zauważył zwracając się do Niewiedowskiego, że jego ekscelencja będzie musiał wybrać jakąś inną — bardziej skomplikowaną niż łyzy — formę kontroli szlacheckich sum. Inny żartowniś nadmienił, jakoby już zamówiono lokai w białych pończochach z okazji balu u marszałka gubernialnego i że obecnie, o ile nowy marszałek nie wyda balu z lokajami w pończochach, trzeba ich będzie odesłać z powrotem.

Przez cały czas obiadu mówiono o Niewiedowskim „nasz marszałek gubernialny”, a zwracano się do niego *per* „ekscelencjo”.

Wymawiano to z taką samą satysfakcją, z jaką do młodej meżatki mówi się „*madame*” z dodatkiem nazwiska męża. Niewiedowski starał się wykazywać nie tylko obojętność, ale wprost pogardę dla swego stanowiska; było jednak widoczne, że jest uszczęśliwiony i tylko panuje nad sobą, żeby nie okazać zachwyty, nie pasowałoby to bowiem do tego nowego, liberalnego środowiska, do którego wszyscy

* *Mettre*... — ośmielić.

należeli.

W czasie obiadu wysłano kilka depesz do szeregu osób interesujących się przebiegiem wyborów. Także i Obłoński, który był bardzo wesół, wysłał do Darń Aleksandrowny telegram o treści następującej: „Niewiedowski wybrany dwunastu gałkami. Powinszowania. Zawiadom dalej.” Podyktował to na głos i zauważył: „Trzeba ich ucieszyć.” Dolly ze swej strony, po otrzymaniu depeszy westchnęła tylko nad zmarnowanym rublem i domyśliła się, że stało się to pod koniec obiadu. Wiedziała, że Stiwa ma ku końcowi obiadów słabość do *faire jouer le telegraphe**.

Wszystko się odbywało — licząc w to wyśmienity obiad i wina nie od rosyjskich winiarzy, lecz bezpośrednio zagranicznego rozlewu — z dystynkcją, prostotą i wesole. Swiażski dobrał grono około dwudziestu nowych działaczy, liberałów jednakowego pokroju, ludzi przyzwoitych, a zarazem dowcipnych. Wznoszono toasty (także i toasty żartobliwe) i za zdrowie nowego marszałka gubernialnego, i gubernatora, i dyrektora banku, i za zdrowie „naszego gościnnego gospodarza”.

Wroński był kontent: nie spodziewał się zupełnie takiej miłej atmosfery na prowincji.

Pod koniec obiadu rozweselono się jeszcze bardziej. Gubernator zapraszał Wrońskiego na koncert na rzecz braci Słowian*, urządzany przez gubernatorową, która pragnęła go poznać.

— Będzie potem bal. Zobaczysz naszą piękność. Naprawdę — nadzwyczajna.

* *Faire...* — zabawianie się w wysyłanie telegramów.

* Bracia Słowianie — Mowa tu o Serbach, których dążenia wyzwolenicze były popierane przez Rosję carską. W czerwcu 1876 r. Serbia wypowiedziała wojnę Turcji mając na względzie okazanie pomocy powstaniu Słowian w Bośni i Hercegowinie (lato 1875 r.). Powstanie to wywołało żywy oddźwięk w Rosji.

— *Not in my line** — odrzekł Wroński, który lubił to wyrażenie, uśmiechnął się jednak i obiecał być na koncercie.

Gdy miano wstawać od stołu i wszyscy już zaczęli palić, kamerdyner Wrońskiego podał mu na tacce list.

— Umysłny przywiózł z Wozdwiżenskigo — zameldował ze znaczącą miną.

— Zdziwiał się, jak on przypomina zastępcę prokuratora Świącickiego — zauważył jeden z gości o kamerdynerze, podczas gdy Wroński czytał list marszcząc brwi.

List był od Anny; zanim go jeszcze odczytał, już odgadł jego treść. Sądząc, że wybory w pięć dni się skończą, obiecał powrócić w piątek. Była już sobota, wiedział więc, że treścią listu będą wymówki, bo nie wrócił na czas. List przezeń posłany poprzedniego dnia zapewne nie doszedł jeszcze do rąk Anny.

Treść była taka właśnie, jakiej się spodziewał, lecz forma była nieoczekiwana i specjalnie nieprzyjemna: „Annie jest bardzo chora; doktor mówi, że może się wywiązać zapalenie. Tracę tu sama jedna głowę. Księżniczka Barbara nie tylko nie jest pomocna, ale zawadza. Czekalam na ciebie przedwczoraj, a teraz posyłam, by się dowiedzieć, gdzie jesteś i co robisz. Chciałam sama jechać, ale nie zdecydowałam się wiedząc, że ci to będzie nie na rękę. Daj jakąkolwiek odpowiedź, tak żebym wiedziała — co robić.”

„Dziecko chore, a ona chciała sama jechać... Córeczka ich chora, a ton listu taki nieprzyjazny...”

Tu — niewinna wesołość wyborcza, tam zaś — ponura, bolesna miłość, do której był zmuszony wracać... Uderzyło to Wrońskiego przez swój kontrast. Trzeba jednak było jechać: pierwszym tedy pociągiem nocnym wyruszył z powrotem do domu.

* *Not in my line* — nie w moim guście.

XXXII

Przed wyjazdem Wrońskiego na wybory Anna przyszła do przekonania, że sceny, które się pomiędzy nimi powtarzały za każdą jego podróżą, mogą go tylko ochładzać, nie zaś przywiązać; postanowiła więc popracować nad sobą z całych sił, by móc spokojnie znosić rozłąkę. Ale chłodne, surowe spojrzenie, jakie na nią rzucił przychodząc powiedzieć jej o swym wyjeździe, uraziło ją. Jeszcze nie był w drodze, a już spokój jej był zniweczony.

Później, zostawszy sama, rozmyślała nad tym spojrzeniem zapowiadającym prawo do niezależności i doszła jak zwykle do jednego tylko wniosku — do świadomości swego poniżenia. „On ma prawo wyjeżdzać, kiedy i dokąd chce. Ma prawo nie tylko wyjechać, ale porzucić mnie. Ma wszystkie prawa, ja zaś nie mam żadnych. Ale skoro wie o tym, właśnie nie powinien był tak postąpić... A tymczasem on... Spojrzał na mnie tak chłodno i surowo. Oczywiście, to się nie da określić ani wyrazić, ale to się dawniej nie zdarzało i takie spojrzenie wiele znaczy — myślała. — Takie spojrzenie znaczy, że uczucia jego zaczynają stygnąć.”

I mimo przekonania, że to się już zaczęło, nie umiała nic począć, w niczym zmienić swego stosunku do Wrońskiego, zupełnie tak samo jak dotychczas zdolna była zatrzymać go przy sobie li tylko miłością i powabem. I tak samo jak dotychczas, straszne myśli o tym — co będzie, jeśli on ją kochać przestanie, potrafiła zagłuszyć jedynie różnymi zajęciami we dnie, a morfiną w nocy. Prawda, był jeszcze jeden środek: mogła nie zatrzymywać go (nie chciała, by cokolwiek prócz miłości dla niej wpływało na to, by pozostał), lecz związać ze sobą tak, tak pokierować sytuacją,

by porzucić jej nie mógł. Tym środkiem był rozwód i małżeństwo. Poczęła więc tego pragnąć. Postanowiła zgodzić się przy pierwszej sposobności, gdy Wroński lub Stiwa znów o tym napomkną.

Śród takich myśli spędziła bez niego pięć dni, owe pięć dni, które Wroński miał być nieobecny.

Spacery, rozmowy z księżniczką Barbarą, odwiedziny szpitala, a przede wszystkim czytanie, czytanie jednej książki za drugą, zajmowało jej czas. Na szósty dzień wszakże, gdy stangret powrócił ze stacji bez Wrońskiego poczuła, że dłużej nie jest w stanie niczym zagłuszyć myśli o nim i o tym, co on tam robi. W tym samym czasie córeczka jej zachorowała; Anna poczęła ją pielęgnować, lecz to jej nie absorbowало, tym więcej, że choroba nie była groźna. Mimo wszelkich wysiłków nie mogła pokochać tego dziecka, a udawać miłości nie umiała. Dnia tego ku wieczorowi, gdy została sama, ogarnął ją taki strach o Wrońskiego, że już zdecydowała się jechać do miasta, lecz po gruntownym namyśle napisała ten pełen sprzeczności list, który Wroński odebrał, i nie czytając posłała go przez umyślnego.

Następnego ranka otrzymała jego list i przykro jej się zrobiło, że wysłała swój. Strach ją przejmował na myśl, że znów spotka ją takie surowe spojrzenie jak to, które rzucił na nią przed wyjazdem... Zwłaszcza gdy się dowie, że dziecko nie jest poważnie chore. Mimo to była rada, że napisała do Wrońskiego. Teraz już nie miała wątpliwości, że się mu sprzykrzyła, że mu żal rozstawać się ze swobodą, by do niej powrócić, a mimo to rada była, że przecież przyjedzie. Niechże ma jej dosyć, ale niech przy niej pozostaje, tak by mogła go oglądać, wiedzieć o każdym jego kroku.

Siedziała w salonie pod lampą z nową książką Taine'a* i

* Hipolit Taine (1828–1893) — wybitny francuski krytyk i publicysta, początkowo liberał, potem konserwatysta. W r. 1875 ukazał się pierwszy tom

czytała słuchając odgłosów wiatru na dworze i spodziewając się każdej chwili powrotu powozu; kilka razy zdawało jej się, że słyszy turkot kół, ale to była omyłka; wreszcie posłyszała nie tylko turkot kół, ale i głos stangreta, i głuchy stukot pod krytym gankiem. Nawet kładąca pasjanse księżniczka Barbara potwierdziła to, i Anna wstała rumieniąc się, ale zamiast podążyć na dół, jak to uczyniła dwukrotnie poprzednio, zatrzymała się w miejscu. Ogarnęło ją nagle zawstydzienie z powodu swego kłamstwa, ale nade wszystko obawiała się, jak on ją powita. Uraza do niego minęła; bala się już tylko objawów jego niezadowolenia. Przypomniało jej się, że Annie już od dwóch dni była zdrowa. Wzięła ją nawet złość na dziecko, że wyzdrowiało właśnie w chwili wysłania listu. Potem zdała sobie sprawę, że przecież Wroński jest tutaj cały: jego oczy, jego ręce... Usłyszała jego głos... I zapominając o wszystkim, z radością wybiegła mu na spotkanie.

— No i cóż Annie? — zapytał nieśmiało z dołu, spoglądając na zbiegającą ku niemu po schodach Annę.

Siedział na krześle, lokaj ściągał mu ciepłe buty.

— Ach, nic takiego. Ma się lepiej.

— A ty? — spytał otrząsając się ze śniegu.

Wzięła oburącz jego rękę i przyciągnęła ją ku swej kibici nie spuszczać zeń oczu.

— Bardzo się cieszę — rzekł oglądając ją oziębłe, mierząc okiem jej uczesanie, suknię, którą — jak dobrze wiedział — włożyła na jego intencję.

Wszystko to podobało mu się, ale podobało się już tyle razy przedtem. I na twarzy jego zastygła ta kamienna surowość, której Anna tak się obawiała.

— No, więc bardzo się cieszę. Zdrowa jesteś? — zapytał i

wytarłszy chustką mokry zarost pocałował ją w rękę.

„Mniejsza o to — myślała — byleby przy mnie był; a gdy jest przy mnie, wtedy nie może, nie wolno mu mnie nie kochać.”

Wieczór przeszedł w szczęśliwym i radosnym nastroju w towarzystwie księżniczki Barbary, która skarżyła się Wrońskiemu, że Anna zażywała morfinę.

— Cóż robić! Nie mogłam spać... Myśli mi przeszkadzały. Gdy Aleksy tu jest, nigdy jej nie zażywam... Prawie nigdy.

Opowiadał o wyborach i Anna umiała naprowadzić go pytaniami na to, co mu robiło przyjemność — na jego sukcesy. Opowiedziała mu o wszystkim, co go interesowało w domu, a były to same pomyślne wiadomości.

Późno wieczorem, gdy zostali sami, Anna znów pewna swej całkowitej nad nim przewagi zapragnęła zatrzeć przykrość, jaką jej sprawiło spojrzenie karcące ją za list. Rzeka więc:

— Przyznaj się: zirytował cię mój list. Nie uwierzyłeś mi...

I zaledwie to powiedziała, zdała sobie sprawę, że mimo całego rozkochania, jakie nim w tej chwili owładnęło, tego jej nie darował.

— Tak — odrzekł. — List był taki dziwny. To pisałaś, że Annie jest chora, to, że sama chciałaś przyjechać do Kaszyna.

— Tak w istocie było.

— Wcale o tym nie wątpię.

— Owszem, wątpisz. Widzę, że jesteś niekontent.

— Ani trochę. Jestem tylko nierad, że wygląda, jakbyś nie uznawała obowiązków, które...

— Obowiązków chodzenia na koncerty...

— Nie mówmy już o tym... — przerwał jej.

— Dlaczego mamy o tym nie mówić? — powiedziała.

— Chcę tylko powiedzieć, że przecież bywają sprawy, które trzeba koniecznie załatwić. Choćby i teraz: będę musiał jechać do Moskwy w sprawie domu... Ach, Anno, czemu jesteś taka przeczulona? Czyż nie wiesz, że żyć bez ciebie nie mogę?

— Więc skoro tak — rzekła Anna zmienionym nagle tonem — to znaczy, że ci się ten rodzaj życia sprzykrzył... Tak, tak: przyjeżdżasz na jeden dzień i wyjeżdżasz, tak jakbym...

— Anno, jesteś okrutna... Życie gotów jestem oddać. Lecz ona go już nie słuchała.

— Jeśli pojedziesz do Moskwy, to i ja pojedę z tobą. Nie zostanę tutaj. Albo się rozejdźmy, albo żyjmy razem.

— Wiesz przecież, że to moje jedyne pragnienie. Ale na to...

— Potrzebny jest rozwód? Napiszę do niego. Przekonałam się, że tak żyć nie mogę... Ale do Moskwy pojedę z tobą.

— Mówisz to, jakbyś mi groziła... A przecie ja niczego tak nie pragnę, jak tego, byśmy się nie rozstawali — uśmiechnął się Wroński.

W oczach jego wszakże, podczas gdy wymawiał te czułe słowa, błysnęła już nie oziębłość, ale złość człowieka rozwścieczonego pościgiem.

Anna dostrzegła to spojrzenie i dobrze zrozumiała, co ono oznaczało.

„Jeśli rzeczy tak stoją — jest to klęska!” — mówił jego wzrok. Było to jedynie chwilowe wrażenie, nigdy go już jednak nie zapomniała.

Napisała do męża list, w którym prosiła go o rozwód, a z końcem listopada, po rozstaniu się z księżniczką Barbarą, która musiała jechać do Petersburga, przeniosła się razem z

Wrońskim do Moskwy. Oczekując z dnia na dzień odpowiedzi Karenina i co za tym idzie, rozwodu, zamieszkali obecnie razem jak para małżeńska.

CZEŚĆ SIÓDMA

I

Lewinowie mieszkali w Moskwie już trzeci miesiąc. Już dawno minął termin, kiedy — podług najbardziej niezawodnych obliczeń osób znających się na tych rzeczach — Kitty powinna była urodzić; tymczasem ciąża ciągle jeszcze trwała i brakowało jakichkolwiek oznak, by termin połogu miał być obecnie bliższy niż dwa miesiące temu. I doktor, i akuszerka, i Dolly, i matka, a zwłaszcza Lewin, który nie mógł bez przerażenia myśleć o zbliżającej się chwili, wszyscy poczynali się niecierpliwic i niepokoić; jedna tylko Kitty czuła się zupełnie pogodna i szczęśliwa.

Miała wyraźną świadomość, że w sercu jej powstaje nowe uczucie miłości dla przyszłego — dla niej poniekąd już obecnego — dziecka, i z rozkoszą śledziła wzrost tego uczucia. Dziecko nie było już tylko częsteczką jej samej, a nawet chwilami żyło swoistym, niezależnym od niej życiem. Często bywało to bolesne, ale jednocześnie aż się jej śmiać chciało z dziwnej, nigdy dotychczas nie zaznawanej radości.

Wszyscy, kogo tylko kochała, otaczali ją, a wszyscy byli tak dla niej dobrzy, tak jej dogadzali, życie zwracało się ku niej tak przyjemną stroną, że gdyby nie świadomość i poczucie, że to długo nie potrwa — niczego miłszego i lepszego w świecie pragnąć by nie mogła. Jedno tylko zmniejszało urok takiej egzystencji: oto mąż jej przestał być taki, jakim go najbardziej kochała i jakim bywał na wsi.

Lubiła jego spokojny, serdeczny i gościnny sposób bycia na wsi; w mieście, na odwrót, zdawał się wciąż niespokojny, jakby się miał na baczości, jakby się obawiał, by go ktoś nie skrzywdził, a zwłaszcza by nie skrzywdził jej. Tam, na wsi,

najwidoczniej czując się u siebie, nigdzie się nie śpieszył i nigdy nie bywał beczynny. Tu, w mieście, śpieszył się stale, jakby w obawie, by go coś nie ominęło, a nie miał nic do roboty. Litowała się nad nim. Inni — wiedziała o tym — nie dostrzegali w nim nic godnego współczucia. Przeciwnie, gdy Kitty spoglądała na męża w towarzystwie, starając się widzieć w nim, jak to się niekiedy czyni w stosunku do kochanego człowieka, kogoś obcego, po to, by sobie uprzytomnić wrażenie, jakie wywiera on na innych, przekonywała się (z pewną nawet obawą, by nie poddać się zazdrości), że nie tylko nie wzbudzał współczucia, lecz był bardzo pociągający z tą swoją solidnością, swą nieco staroświecką nieśmiałą uprzejmością dla kobiet, swą atletyczną budową i — jak się jej zdawało — uderzającą i wyrazistą twarzą. Ona wszakże widziała go nie od zewnątrz, ale od wewnątrz; widziała, że nie był prawdziwym sobą: nie umiała sobie inaczej określić jego nastroju. Czasami robiła mu w duchu zarzut z tego, że nie potrafi żyć w mieście, innymi razy zdawała sobie sprawę, że trudno mu było urządzić sobie tutaj życie tak, by mu ono odpowiadało.

Istotnie, co miał robić? Nie lubił grać w karty. Nie uczęszczał do klubu. Wiedziała już teraz, do czego prowadziło zadawanie się z ludźmi bawiącymi się — jak Obłoński. Jechało się z nimi pić, a później jechało się gdzieś dalej... Kitty nie mogła bez zgrozy pomyśleć nawet, dokąd w takich wypadkach mężczyźni jeżdżą. Bywać w towarzystwie? Wiedziała przecie, że na to trzeba by upatrywać przyjemność w częstszym przestawianiu z młodymi kobietami; nie mogła więc sobie tego życzyć dla męża. Siedzieć w domu z nią, z jej matką i siostrami? Jakkolwiek miłe były dla niej zawsze te same rozmowy „Ali z Nadią”, jak je nazywał stary książę, rozumiała, że dla męża musiały one być nudne. Cóż mu więc

pozostawało? Dalsza praca nad książką? Próbował tego: zrazu począł chodzić do biblioteki po informacje i notatki do swego dzieła; lecz jak to wobec niej określił, im dłużej próżnował, tym mniej miewał czasu. A poza tym, skarżył się jej, że w mieście nazbyt wiele o swej książce rozmawia i że skutkiem tego myśli o niej pogmatwały mu się i przestały go interesować;

Jedyną korzyścią miejskiego życia było całkowite ustanie kłótni pomiędzy nimi. Czy wpłynęły na to zupełnie inne warunki miejskie, czy też oboje stali się w pewnej mierze delikatniejsi i rozsądniejsi, dość, że w Moskwie całkiem odpadły sceny zazdrości, których przenosząc się do miasta tak się obawiali.

Pod tym względem zaszło nawet bardzo dla nich obojga ważne zdarzenie, mianowicie — spotkanie Kitty z Wrońskim.

Stara księżna Maria Borysowna, chrzestna matka Kitty, która ją zawsze bardzo kochała, zapragnęła koniecznie zobaczyć chrześniaczkę i Kitty, choć ze względu na swój stan nigdzie nie bywała, pojechała z ojcem do czcigodnej staruszki. U niej właśnie spotkała Wrońskiego.

Z okazji tego spotkania Kitty mogła sobie zrobić jeden tylko zarzut: oto ten, że na chwilę, gdy rozpoznała niegdyś tak dobrze znaną sobie postać, obecnie w cywilnym ubraniu, tchu jej nie stało, krew rzuciła się cała do serca, a potem gorący rumieniec — czuła to — oblał jej twarz. Trwało to jednak zaledwie kilka sekund. Jeszcze ojciec jej, który umyślnie głośno zagadnął o coś Wrońskiego, nie skończył z nim rozmowy, gdy Kitty opanowała się już całkiem i była gotowa patrzeć na Wrońskiego i mówić z nim, o ile potrzeba, nie inaczej niż z księżną Marią Borysowną, a przede wszystkim mówić tak, by wszystko, aż do najmniejszej intonacji i uśmiechu, mogło zasłużyć na aprobatę męża,

którego niewidzialną obecność w tej chwili czuła, przy sobie.

Zamieniła z Wrońskim kilka słów, uśmiechnęła się nawet pogodnie na jego żart o wyborach, które nazwał „naszym parlamentem”. (Należało się uśmiechnąć, aby pokazać, że żart zrozumiała.) Zaraz potem wszakże zwróciła się do swej chrestnej matki i ani razu więcej nie spojrzała na Wrońskiego, aż wstał, by się pożegnać; wówczas popatrzyła, ale oczywiście tylko dlatego, że niegrzecznie jest nie patrzeć na kogoś składającego ukłon.

Była wdzięczna ojcu za to, że ani słówkiem nie napomknął jej o tym spotkaniu; poznała jednak z jego wzmożonej czujności po wizycie i podczas zwykłego ich spaceru, że był z niej kontent. Sama była też z siebie zadowolona. Nie spodziewała się wcale, że zdoła znaleźć w sobie dosyć siły, aby zamknąć gdzieś w głębi serca całą pamięć o niedawnym uczuciu dla Wrońskiego, że zdoła nie tylko wydawać się, ale naprawdę być w stosunku do niego zupełnie obojętną i spokojną.

Lewin pokraśniał o wiele bardziej od niej, gdy powiedziała mu o spotkaniu Wrońskiego u księżnej Marii Borysowny. Wyznanie przyszło jej z trudnością, jeszcze jednak trudniej było opowiadać mu w dalszym ciągu o szczegółach spotkania, nie pytał jej bowiem o nic, tylko spoglądał na nią spod , zmarszczonych brwi.

— Bardzo żałuję, że ciebie tam nie było — powiedziała wreszcie. — Nie o samą obecność w pokoju mi chodzi... nie mogłabym była przy tobie zachować się tak naturalnie... W tej chwili czerwienię się daleko, daleko więcej — zapewniała rumieniąc się aż do łez. — Ale żal mi, że nie mogłeś patrzeć przez szparkę.

Szczerze oczy mówiły Lewinowi, że Kitty jest z siebie zadowolona, toteż, mimo jej rumieńców, uspokoił się

natychmiast i począł jej zadawać pytania, a tego właśnie pragnęła. Kiedy już wszystkiego się dowiedział, nawet i tego szczegółu, że tylko w pierwszej sekundzie nie mogła się nie zarumienić, ale że potem wszystko było takie proste i łatwe jak z pierwszym lepszym — Lewin całkiem się rozchmurzył. Powiedział, że jest bardzo rad i że teraz już nie postąpi tak głupio jak na wyborach, lecz postara się przy najbliższym spotkaniu obejść się z Wrońskim jak najprzyjaźniej.

— Co za utrapienie uświadamiać sobie, że jest gdzieś jakiś niby wróg, ktoś, kogo przykro jest spotykać — powiedział w końcu. — Jestem bardzo rad.

II

— Więc zajedź, proszę cię, do Bólów — poleciała Kitty mężowi, gdy ten o jedenastej, przed wyjściem z domu, wszedł do niej. — Wiem, że jesz obiad w klubie; papa cię tam zapisał. A przed południem co będziesz robił?

— Odwiedzę tylko Katawasowa.

— Ale dlaczego tak wcześnie?

— Obiecał zapoznać mnie z Mietrowem. Chciałbym pomówić z nim o mojej pracy; to znany petersburski uczonec.

— Tak? To jego artykuł kiedyś tak chwaliłeś, prawda? No, a potem? — dopytywała się.

— Być może, wstąpię jeszcze do sądu w sprawie siostry.

— A na koncert nie pójdziesz? — przypomniała.

— Cóż ja tam będę robił sam jeden!

— Ależ owszem, idź koniecznie, w programie są te nowe rzeczy... Zawsze się tym tak interesowałeś. Ja na twoim miejscu stanowczo bym poszła.

— No, ale w każdym razie wpadnę jeszcze do domu przed obiadem — oświadczył spoglądając na zegarek.

— Włóż surdut, żeby za jednym zamachem być i u Bólów.

— A czy to bezwzględnie konieczne?

— O tak, bezwzględnie. Boi był u nas. I co ci to szkodzi? Zajdziesz do nich, siądziesz sobie, pogadasz przez pięć minut o pogodzie, wstaniesz i pójdziesz dalej.

— Nie uwierzysz nawet, jakem ja od tego odwykł. Wstydę się po prostu. Jakże to! Przychodzi obcy człowiek, siada, siedzi nie mając żadnego do domowników interesu; im przeszkadza, sam się denerwuje i w końcu idzie sobie.

Kitty poczęła się śmiać.

— Przecie jako kawaler także chodziłeś z wizytami?

— Chodziłem, ale mnie to zawsze żenowało, a teraz tak się odzwyczaiłem, że Bóg mi świadkiem, wolałbym przez dwa dni obiadu nie jeść niż jechać na tę wizytę. To takie strasznie krepujące! Ciągłe mi się zdaje, że oni się obrażą i powiedzą: po coś przyszedł, skoro nie masz żadnego interesu?

— Ależ nie obrażą się. Za to ręczę — roześmiała się Kitty patrząc na jego minę. Wzięła go za rękę. — No, bądź zdrów... Proszę cię, jedź już.

Miał właśnie wyjść po ucałowaniu ręki żony, gdy ta zatrzymała go.

— Kostia, wiesz, że zostało mi już tylko pięćdziesiąt rubli?

— No, to i cóż: zajadę do banku i wezmę... Ile? — zapytał i na twarzy jego ukazał się dobrze jej znany wyraz niezadowolenia.

— Nie, zaczekaj — przytrzymała go za rękę. — Pogadajmy, bo mnie to niepokoi. Zdaje się, że nie wydaję wcale ponad miarę, tymczasem pieniądze płyną jak woda. Coś widocznie jest u nas nie w porządku.

— Ani trochę — odchrząknął i spojrzał na nią spode łba.

Znała to pochrząkiwanie: było oznaką, że jest — nie z niej — ale z siebie samego bardzo niezadowolony. Był nim w

istocie, ale nie dlatego, że dużo wydali, tylko ponieważ przypomniało mu to pewną rzecz, o której, zdając sobie sprawę, że coś tam szwankuje, rad był zapomnieć.

— Kazałem Sokołowowi sprzedać pszenicę i z góry wziąć należność za młyn. Pieniądze w każdym razie będą.

— To nie o to... Ja się obawiam, że w ogóle wychodzi za dużo...

— Ani trochę, ani trochę — powtarzał. — No, bywaj zdrowa, najdroższa.

— Nie, naprawdę nieraz żałuję, że posłuchałam mamy. Tak dobrze byłoby na wsi. Tymczasem tutaj zadrażam was wszystkich i w dodatku to kosztuje...

— Ani trochę, ani trochę. Od czasu gdy się ożeniłem, nigdy jeszcze nie przyszło mi do głowy życzyć sobie, aby cokolwiek u nas było inaczej, niż jest...

— Naprawdę? — zadrżała mu w oczy.

Powiedział to bezmyślnie, jedynie, żeby ją uspokoić, lecz gdy spojrzawszy na nią zobaczył, że te prawdomówne, kochane oczy wpatrzone są w niego pytająco, powtórzył swe oświadczenie, tym razem z całego serca. „Stanowczo nie dosyć o niej pamiętam” — pomyślał i przypomniał sobie, co ją wkrótce czekało.

— Czy prędko już? Jak ci się zdaje? — szepnął biorąc ją za obie ręce.

— Tyle razy już się spodziewałam, że teraz nic nie myślę i w ogóle nie wiem.

— I nie boisz się? Uśmiechnęła się lekceważąco.

— Ani odrobinki — odpowiedziała.

— Więc, na wszelki wypadek, jestem u Katawasowa.

— Nie, nic się nie stanie; nie myśl nawet o tym. Pojadę z papą na spacer na bulwary. Odwiedzimy na chwilkę Dolly. Czekam cię przed obiadem. Ach tak!... Wiesz, że stan rzeczy

u Dolly staje się stanowczo nie do zniesienia: jest po uszy w długach, pieniędzy nie ma. Wczoraj rozmawialiśmy z mamą i z Arsenijem (był to szwagier Kitty — Lwów) i postanowiliśmy, że ty i on zaatakujecie Stiwę. To stanowczo niemożliwe. Z papą nie ma co o tym mówić... Ale gdybyście wy — ty i on...

— Ale cóż my możemy zrobić? — zakłopotał się Lewin.

— W każdym razie, skoro będziesz u Arsenija, rozmów się z nim... On ci powie, cośmy postanowili.

— No, z Arsenijem to już z góry na wszystko się zgadzam. Więc wpadnę do niego, a jeśli mam być na koncercie, to pojedę z Natalie.

Na ganku zatrzymał Lewina stary służący Kuźma — jeszcze z kawalerskich czasów — który obecnie zarządzał ich gospodarstwem w mieście.

— Krasawczyka (był to lewy dyszlowy, sprowadzony ze wsi) podkuto na nowo, ale mimo to dalej kuleje — zameldował. — Co jasnie pan każe z nim zrobić?

W pierwszych czasach pobytu w mieście Lewin interesował się końmi sprowadzonymi ze wsi. Pragnął ten dział urządzić jak najlepiej i najtaniej; ale okazało się, że własne konie wypadają drożej niż dorożki i że dorożkami poza tym tak czy tak trzeba się niekiedy posługiwać.

— Każ posłać po weterynarza. Może to odparzenie.

— A dla jasnie pani? — zapytał Kuźma.

Lewina przestało już razić — tak jak raziło go w pierwszym okresie pobytu w Moskwie — że na to, by przejechać z Wozdwiżenki do Siwcowego Wrażku, trzeba było zaprząć parę mocnych koni do ciężkiej karety i brnąć nią ćwierć wiorsty w mieszaninie śniegu z błotem po to, by później stała tam cztery godziny, za co płaciło się pięć rubli. Wydawało mu się to już teraz normalne.

— Każ, niech dorożkarz da swoją parę do naszej karety — polecił.

— Słucham.

Po tak łatwym i prostym rozstrzygnięciu — dzięki warunkom miejskim — komplikacji, która by na wsi wymagała tyle osobistego wysiłku i namysłu, Lewin wyszedł na ganek, wsiadł do przywołanej dorożki i pojechał na Nikicką. Po drodze nie myślał już o pieniądzach, medytował natomiast nad mającym nastąpić spotkaniem z petersburskim uczonym, socjologiem, z którym zamierzał omówić swoją książkę.

Owe dziwne dla mieszkańca wsi, nieprodukcyjne, a jednak nieuniknione wydatki, które mu narzucano ze wszech stron — stanowiły dla Lewina wstrząs tylko na samym początku pobytu w Moskwie. Obecnie już był do nich przywykł. Przytrafiło mu się to, co, jak powiadają, zdarza się pijakom: pierwszy kieliszek — staje im w gardle jak kołek, drugi — wpada w nie jak sokół, a począwszy od trzeciego — kieliszki cisną się już hurmem jak drobne ptaszęta. Zmieniając pierwszy banknot sturublowy na zakupienie liberii dla lokaja i dla portiera, Lewin mimo woli obliczył, że te nikomu niepotrzebne, lecz stanowczo — o ile o tym można było wnioskować ze zdumienia księżnej i Kitty, gdy napomknął, że można by się bez tego obejść — niezbędne liberie będą kosztowały tyle, co dwóch robotników, czyli trzysta dni roboczych, od Wielkanocy do Wielkiego Postu; a każdy z tych dni — ciężko przepracowany od wczesnego ranka do późnego wieczoru. Ów banknot sturublowy stanął mu jeszcze w gardle jak kołek. Za to następny, rozmienny celem zakupu prowiantu na obiad dla krewnych za cenę dwudziestu ośmiu rubli, chociaż nasunął na myśl Lewinowi, że dwadzieścia osiem rubli to dziewięć ćwierci owsa, który w

pocie czoła i stękając z wysiłku koszono, wiązano w snopy, młócono, wiano, przesiewano i zsyrywano na miejsce, to jednak ten drugi banknot poszedł głódziej. A obecnie rozmieniane setki od dawna już nie wywoływały u Lewina żadnych skojarzeń i wylatywały na podobieństwo drobnych ptasząt. Czy praca wykonywana dla zdobycia pieniędzy jest proporcjonalna do przyjemności, jakiej nam dostarcza to, co się za nie kupuje? Świadomość tego problemu dawno się zatraciło. Z gospodarskiej kalkulacji wiadomo, że istnieje pewna cena, poniżej której zboża się nie sprzedaje. To również poszło w zapomnienie. Żyto, którego cenę tak długo starał się utrzymać, zostało sprzedane o pięćdziesiąt kopiejek na ćwierci taniej, niż za nie dawano przed miesiącem. Nawet i obliczenie, że przy takich wydatkach nie będzie można przeżyć roku bez zaciągnięcia długu — już nie miało żadnego znaczenia. Jedno tylko było niezbędne: mieć pieniądze w banku, mniejsza o to — skąd, tak by zawsze wiedzieć, za co się nazajutrz kupi mięsa. Do tej chwili rachuby go nie zawodziły; miał zawsze gotówkę w banku. Teraz jednak pieniądze te się skończyły i nie wiedział dobrze, skąd zdobyć nowe. To właśnie wprawiło go na chwilę w zły humor, gdy Kitty napomknęła o pieniądzach; nie miał jednak czasu o tym myśleć. Jechał zastanawiając się nad Katawasowem i nad mającą się zawiązać znajomością z Mietrowem.

III

Za obecnej swej bytności w Moskwie Lewin znów się zbliżył ze swym byłym kolegą z uniwersytetu, profesorem Katawasowem, z którym nie widział się od dnia ślubu. Katawasow był mu sympatyczny, ponieważ miał jasny i prosty pogląd na świat. Lewin sądził zresztą, że przejrzystość

światopoglądu Katawasowa wynikała z pewnego ubóstwa jego natury; Katawasow ze swej strony uważał, że brak konsekwencji w myśleniu Lewina wynika z niedyscyplinowania jego umysłu. Jasność, którą Lewin znajdował u Katawasowa, była mu jednak sympatyczna, ów zaś lubił obfitość niedyscyplinowanych Lewinowych myśli, toteż chętnie widywali się i prowadzili ze sobą dyskusje.

Lewin czytał przyjacielowi niektóre wyjątki ze swego dzieła. Podobały mu się one, spotkawszy tedy Lewina dnia poprzedniego na publicznym wykładzie, powiedział mu, że znakomity Mietrow, którego artykuł tak Lewinowi przypadł do gustu, znajduje się w Moskwie, że wielce się zainteresował tym, co mu Katawasow opowiedział o pracy przyjaciela, że nazajutrz przyjedzie do Katawasowa o jedenastej i rad będzie poznać Lewina.

— Miło mi stwierdzić, że jesteś na drodze do poprawy — pochwalił Katawasow witając Lewina w swym malutkim saloniku. — Słyszę dzwonek i myślę sobie: to niemożliwe, by to był on, tak punktualnie... No i co powiesz na tych czarnogórczyków? To wojacy z urodzenia.

— O co chodzi? — zapytał Lewin.

Katawasow pokrótce udzielił mu ostatnich wiadomości, po czym zabrał go do gabinetu i przedstawił niewielkiemu, krępemu, bardzo sympatycznie wyglądającemu panu. Był to Mietrow. Rozmowa przez chwilę zatrzymała się na polityce: rozważano poglądy wyższych sfer petersburskich na ostatnie wydarzenia. Mietrow powtórzył wiadome mu z niezawodnego źródła słowa, jakie miał na ten temat wypowiedzieć cesarz i jeden z ministrów. Katawasow natomiast słyszał także jako rzecz pewną, że cesarz powiedział coś zgoła innego. Lewin starał się uprzytomnić sobie taką sytuację, w której by obie wypowiedzi mogły być

równie dobrze wygłoszone. Na tym zakończyła się rozmowa.

— To właśnie ten mój przyjaciel ma już prawie na ukończeniu dzieło o warunkach naturalnych, w jakich u nas pracuje robotnik na roli — zagał Katawasow. — Nie jestem fachowcem w tym przedmiocie, lecz jako przyrodnikowi, podobało mi się, że autor nie traktuje rodzaju ludzkiego jako czegoś stojącego poza prawami zoologii, ale przeciwnie, uznaje zależność człowieka od środowiska i określa prawa jego rozwoju na zasadach tej zależności.

— Tak, bardzo interesujące — powiedział Mietrow.

— Właściwie zacząłem pisać książkę o gospodarstwie rolnym; a skoro raz już się zająłem głównym narzędziem gospodarki rolnej, to jest robotnikiem — rzekł Lewin czerwieniąc się — mimo woli doszedłem do wyników całkiem niespodzianych.

I poczył nieśmiało, jakby badając teren, wykładać swój pogląd. Wiedział, że Mietrow napisał artykuł zwalczający ogólnie przyjęte polityczno — — ekonomiczne teorie, lecz nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia mógł liczyć na jego sympatię dla swoich nowatorskich poglądów, i nie mógł tego z rozumnej, spokojnej twarzy uczonego odgadnąć.

— Ale w czym mianowicie widzi pan szczególne właściwości rosyjskiego robotnika? — zagadnął Mietrow. — Czy w jego, że tak powiem, zoologicznych cechach, czy też w warunkach, w jakich się znajduje?

Lewin spostrzegł, że już samo to pytanie zawiera myśl, z którą się nie zgadzał, lecz mimo to rozwijał dalej swoją teorię, stwierdzając, że rosyjski robotnik ma zupełnie specyficzny, różny od innych narodów, stosunek do ziemi. Aby dowieść tej tezy, spieszenie dodał, że jego zdaniem ów pogląd ludu rosyjskiego wynika z poczucia, iż ma on misję zaludnienia olbrzymich, nie zajętych obszarów na wschodzie.

— Operując pojęciem o ogólnej misji jakiegoś narodu łatwo jest popaść w błąd — przerwał Lewinowi Mietrow. — Stan robotnika zawsze będzie zależał od jego stosunku do ziemi i do kapitału.

I nie dając mu więcej przyjść do słowa począł wykładać osobliwość swojej własnej teorii.

Na czym ta osobliwość polegała, Lewin nie zrozumiał, a nawet zrozumieć nie próbował. Doszedł do przekonania, że Mietrow, podobnie jak inni uczeni, mimo owego artykułu, w którym zwalczał teorie ekonomistów, patrzył na położenie robotnika w Rosji jedynie od strony kapitału, zarobków i renty. Chociaż musiał uznać, że na wschodzie, w najrozleglejszej części Rosji, renta jeszcze w ogóle nie istnieje, że zarobek dziewięciu dziesiątych osiemdziesięciomilionowej rosyjskiej ludności polega jedynie na wyżywieniu samego robotnika i że kapitał dotąd jeszcze jest tam nie znany w innej formie, jak tylko pod postacią najprymitywniejszych narzędzi — mimo to wszystko rozpatrywał robotnika jedynie z tego punktu widzenia. Zresztą pod wieloma

względami nie zgadzał się z opinią ekonomistów i miał swoją własną nową teorię o płacy zarobkowej, którą wyłożył Lewinowi.

Lewin słuchał niechętnie i zrazu wyrażał sprzeciw. Miał ochotę przerwać uczonemu i wyłuszczyć swoje poglądy, co jego zdaniem sprawiłoby, że dalszy wykład Mietrowa stałby się zbędny; później jednak przekonawszy się, że skoro patrzą obaj na sprawę tak bardzo różnie, nigdy się nie rozumieją, nie stawiał więcej oporu, tylko słuchał. Mimo że to, co mówił Mietrow, już go przestało interesować, odczuwał jednak pewną przyjemność słuchając go. Dogadzało jego próżności, że taki uczony człowiek tak chętnie wypowiadał przed nim

swe myśli, traktował go tak poważnie, a tak dalece ufał jego fachowości, że chwilami całej jakiejś dziedzinie przedmiotu poświęcał zaledwie drobne napomknienie. Lewin przypisywał to wszystko swojej wartości osobistej nie wiedząc, że Mietrow, który już tę sprawę obgadał ze wszystkimi bliskimi przyjaciółmi, z największą ochotą rozprawiał o niej z każdym nowo spotkanym człowiekiem, i w ogóle rad był ze wszystkimi dyskutować na temat, który go interesował, a którego sam sobie jeszcze dostatecznie nie wyjaśnił.

— Ale my się spóźnimy — rzekł Katawasow, który, skoro tylko Mietrow skończył, spojrział na zegarek.

— A tak, dziś jest posiedzenie w Towarzystwie Miłośników Nauk z okazji pięćdziesięciolecia Swinticza — poinformował Lewina na jego zapytanie. — Mieliśmy zamiar, Piotr Iwanycz i ja, tam się wybrać. Obiecałem powiedzieć coś o pracach Swinticza z dziedziny zoologii. Jedź z nami: to będzie bardzo ciekawe.

— Rzeczywiście, już czas — powiedział Mietrow. — Niech pan się zabierze z nami, a stamtąd, jeśli łaska — do mnie. Bardzo bym pragnął posłyszeć coś z pańskiego dzieła.

— Ależ nie; to jeszcze tylko ot tak sobie, nie skończone... Ale na posiedzenie chętnie pojedę.

— A co, czy pan słyszał? Złożyłem *votum separatum** — zawołał Katawasow z drugiego pokoju, gdzie wkładał frak.

I zaczęła się rozmowa o sprawie uniwersyteckiej. Sprawa ta była w Moskwie owej zimy przedmiotem ogólnej uwagi. Trzech starych profesorów w Senacie nie przyjęło opinii młodych profesorów; młodzi wnieśli osobną opinię. Według zdania niektórych — opinia ta była czymś wprost okropnym, inni znów twierdzili, że była to najnaturalniejsza i

* *Votum separatum* — wniosek jednego uczestnika narady różny od wniosku popieranego przez ogół.

najsłuszniejsza opinia w świecie. Profesorowie podzielili się na dwie partie. Jedni, do których należał Katawasow, w przeciwnikach upatrywali sprawców nikczemnego donosu i oszustwa; tamci znów oskarżali pierwszych o dziecinadę i brak szacunku dla autorytetów. Lewin, mimo że nie należał do uniwersytetu, już kilka razy od czasu przybycia do Moskwy słyszał i sam rozmawiał o tej sprawie, miał już nawet na ten temat własny ustalony sąd; wziął więc udział w rozmowie, toczącej się dalej na ulicy do chwili, aż wszyscy trzej dotarli do gmachu Starego Uniwersytetu.

Posiedzenie już się było rozpoczęło. Za stołem zasłanym sukniem, przy którym umieścili się Katawasow i Mietrow, siedziało sześciu ludzi. Jeden z nich coś czytał, pochylony nisko nad rękopisem. Lewin usiadł na jednym z pustych krzeseł stojących dokoła stołu i zapytał studenta obok, co mianowicie czytają. Student obejrzał pytającego z niezadowolaniem i odrzekł: — Biografię.

Chociaż Lewina nie zajmował życiorys uczonego, chcąc nie chcąc począł słuchać i dowiedział się paru interesujących nowych faktów z życia znakomitego człowieka.

Gdy referat się skończył, przewodniczący podziękował, odczytał wiersze poety Mienta, nadesłane na jubileusz i wypowiedział parę dziękczynnych słów pod adresem autora. Potem Katawasow donośnie i krzykliwie wygłosił swoje przemówienie o naukowych pracach jubilata.

Kiedy skończył, Lewin spojrzął na zegarek, stwierdził, że już jest po pierwszej, i pomyślał, że i tak nie zdąży przeczytać Mietrowowi swego dzieła przed koncertem. Zresztą nie miał już na to ochoty. Podczas referatu rozmyślał również o poprzedniej rozmowie. Teraz stało się już dla niego jasne, że chociaż teorie Mietrowa może i mają jakieś znaczenie, to jego, Lewina, teorie również nie są go pozbawione. Myśli ich

mogą stać się bardziej określone i dać jakiś rezultat wówczas tylko, jeśli każdy z nich będzie szedł raz obraną drogą, wymiana natomiast owych myśli na nic się przydać nie może. Zdecydowany nie przyjąć zaproszenia Mietrowa, Lewin podszedł do niego pod koniec posiedzenia. Mietrow zapoznał go z prezesem, który właśnie rozmawiał o politycznych nowinach. Przy tej okazji Mietrow opowiedział prezesowi to wszystko, co uprzednio mówił Lewinowi, ten ostatni zaś robił te same uwagi, które już wygłosił był rano, lecz dla różnaitości dodał także i pewną nową . myśl, która właśnie przyszła mu do głowy. Potem znów zaczęła się rozmowa o sprawie uniwersyteckiej. Z uwagi na to, że Lewin już to wszystko słyszał, pośpieszył wyrazić swe ubolewanie, że nie może skorzystać z zaproszenia Mietrowa, pożegnał się i pojechał do Lwówów.

IV

Książę Lwów, ożeniony z Natalie, siostrą Kitty, całe życie spędzał po zagranicznych stolicach, gdzie się najpierw wychowywał, a potem pozostawał w służbie dyplomatycznej.

Przed rokiem porzucił służbę zagraniczną, nie z powodu jakiegoś zatargu (nigdy z nikim zatargów nie miał), przeszedł tylko do kancelarii dworskiej w Moskwie, by móc dać jak najlepsze wychowanie dwóm swoim synkom.

Chociaż i przyzwyczajenia, i poglądy obu szwagrów były biegunowo różne i mimo że Lwów był od Lewina starszy, owej zimy bardzo się ze sobą zbliżyli i polubili.

Lwów był w domu i Lewin wszedł do niego bez anonsowania.

Książę miał na sobie robdeszan*, a na nogach zamszowe

* Robdeszan — strój domowy, szlafrok.

obuwie; usadowiony w fotelu, przez pince–nez z niebieskiego szkła czytał umieszczoną na pulpicie książkę trzymając delikatnie, z daleka, w pięknej ręce spopielone do połowy cygaro.

Prześliczna, subtelna, ciągle jeszcze młoda jego twarz, której kędzierzawe, lśniące srebrne włosy nadawały wygląd jeszcze bardziej rasowy, rozpromieniła się uśmiechem na widok Lewina.

— To świetnie! A ja właśnie chciałem kogoś posłać do was. I cóż Kitty? Siadaj tutaj, tak będzie przytulniej... — Wstał i przysunął Lewinowi fotel na biegunach. — Czytałeś ostatni okólnik w „Journal de St. Petersbourg”? Uważam, że jest doskonały — mówił akcentem z lekka francuskim.

Lewin powtórzył petersburskie nowinki zasłyszane od Katawasowa, po czym, pogadawszy o polityce, opowiedział o swym spotkaniu z Mietrowem i o przebiegu posiedzenia. Lwów wielce się tym zainteresował.

— Zazdroszczę ci tych kontaktów z ciekawym światem uczonych — powiedział i z chwilą gdy się rozgadał, przeszedł swoim zwyczajem od razu na francuski, którym wygodniej mu się było posługiwać. — Chociaż ja nie mam właściwie na to czasu: służba i zaabsorbowanie dziećmi nie pozwalają mi na to. Poza tym, wstyd powiedzieć, ale wykształcenie moje zanadto szwankuje.

— Nie zdaje mi się — Lewin uśmiechnął się; rozczułało go skromne wyobrażenie, jakie Lwów miał o sobie, i to wyobrażenie bynajmniej nie pochodzące z chęci, by uchodzić za skromnego albo nawet istotnie nim być, lecz po prostu — zupełnie szczerze.

— Ależ owszem! Teraz dopiero czuję, jak mało mam wykształcenia; Nawet na to, by wychowywać dzieci, muszę wiele rzeczy odświeżyć w pamięci, a innych wręcz się

nauczyć. Nie wystarczą tu nauczyciele; potrzebny jest obserwator, podobnie jak u ciebie w gospodarstwie muszą być robotnicy i nadzorca. Czytam oto... — wskazał na gramatykę Busłajewa leżącą na pulpicie — i żądają tego od Miszy, a to takie trudne... Proszę cię, wytłumacz mi. Tutaj on powiada...

Lewin począł mu tłumaczyć, że tego zrozumieć nie można, trzeba się nauczyć na pamięć, Lwów jednak z nim się nie zgadzał:

— Ty z tego drwisz!

— Przeciwnie! Nie możesz sobie wyobrazić, jak pilnie, patrząc na ciebie, zawsze się uczę tego, co i mnie także czeka — wychowywania dzieci.

— Ależ nie ma tu nic, czego by się trzeba uczyć — zaoponował Lwów.

— Wiem tylko jedno — oświadczył Lewin — że nie widziałem nigdy dzieci lepiej wychowanych niż wasze i nie pragnąłbym też mieć lepszych dzieci.

Widać było, że Lwów usiłował nie okazać radości, jaką sprawiły mu te słowa, rozpromienił się jednak cały.

— Niechże tylko będą lepsi niż ja; oto wszystko, czego pragnę. Nie masz pojęcia o tej całej pracy — wyznał — jaką trzeba sobie zadać z chłopcami, którzy, ; tak jak ci moi, zostali zaniedbani przez to ciągle życie za granicą.

— To się wyrówna. To tacy zdolni chłopcy. Główna rzecz — wychowanie moralne. Oto, czego się uczę patrząc na twoje dzieci.

— Mówisz: wychowanie moralne. Nie wyobrażasz sobie, jakie to trudne! Ledwo się oporządzi jedną stronę, wyłaniają się inne i znów zaczyna się walka. Gdyby się nie miało oparcia w religii — pamiętasz? mówiliśmy o tym — to żaden ojciec o swojej tylko własnej sile, bez tej pomocy, nie

potrafiłby dzieci wychować.

Ta zawsze interesująca Lewina rozmowa przerwana została przez piękną Natalie, już ubraną do wyjścia.

— Nie wiedziałam, że jesteś tutaj — powiedziała, najwidoczniej nie tylko nie zmartwiona, ale rada, że przerwała rozmowę na temat, który znała i którego już miała dosyć. — I cóż Kitty? Jestem dziś u was na obiedzie. Wiesz co, Arsenij — zwróciła się do męża — weź ty karete...

I pomiędzy mężem a żoną rozpoczęła się narada, jak spędzić dzień. Ze względu na to, że mąż musiał spotkać się z kimś w sprawach służbowych, a żona miała być na koncercie i na publicznym posiedzeniu południowo-wschodniego komitetu, trzeba było wiele rzeczy postanowić i obmyślić.

Lewin, jako ktoś z rodziny, musiał wziąć udział w tym planowaniu. Zdecydowano, że Lewin uda się z Natalie na koncert i na publiczne posiedzenie, a stamtąd pośle się karete do biura po Arsenija, który zajędzie po żonę i odwiezie ją do Kitty; albo, o ile jeszcze nie będzie gotów ze swymi sprawami, odeśle karete, a Lewin odwiezie szwagierkę.

— Posłuchaj tylko, jak on mnie psuje — rzekł Lwow do żony — upewnia mnie, że chłopcy są doskonałością, a ja przecież wiem, ile złego w nich siedzi.

— Arsenij wpada w przesadę, zawsze to mówię — powiedziała żona. — Dążąc do doskonałości, nigdy się nie jest zadowolonym. I papa ma rację, gdy powiada, że przy naszym wychowaniu wpadano w jedną ostateczność — trzymano nas na antresoli, a rodzice mieszkali na pierwszym piętrze, dziś za to rodziców wsadza się do graciarni, dzieci zaś do najlepszego apartamentu. Dziś rodzice w ogóle nie mają prawa do życia; wszystko — dla dzieci.

— I cóż stąd, skoro tak jest przyjemniej? — pełen uroku uśmiech ukazał się na twarzy Lwowa; położył dłoń na rękę

żony. — Ktoś, kto ciebie nie zna, pomyślałby, że nie jesteś matką, tylko macochą.

— Nie, przesada w niczym nie jest dobra — spokojnie odparła Natalie i położyła mężowski nożyk do papieru na właściwe miejsce na stole.

— No, więc chodźcie tutaj, wzorowi chłopcy — powitał dwóch wchodzących przystojnych synów, którzy, ukłoniwszy się Lewinowi, zbliżyli się do ojca z wyraźnym zamiarem zapytania go o coś.

Lewin miał ochotę z nimi pogadać, posłuchać, co ojcu powiedzą, lecz Natalie rozpoczęła z nim rozmowę, zaraz też wszedł do pokoju ubrany w dworski mundur kolega biurowy Lwowa, Machotin, który miał wraz z nim jechać kogoś witać, i zaczęła się wielce ożywiona rozmowa o Hercegowinie, o księżniczce Koizińskiej, o Radzie Miejskiej i o nagłej śmierci hrabianki Apraksin.

Lewin nie pamiętał o zleceniu Kitty. Dopiero wychodząc do przedpokoju przypomniał sobie o nim.

— Ach, tak! Kitty poleciła mi pogadać z wami na temat Obłońskiego — zwrócił się do Lwowa, gdy ten zatrzymał się na schodach odprowadzając żonę i Lewina.

— Tak, tak; *maman* chce, byśmy my, *les beaux-freres*, go zaatakowali — powiedział z uśmiechem, czerwieniąc się. — Ale naprawdę, skąd ja?...

— No, to ja go zaatakuję — uśmiechnęła się Natalie, która oczekiwała na wynik rozmowy w swej białej rotundzie na pieścach. — Więc jedźmy.

V

Poranek muzyczny zawierał dwa interesujące punkty programu.

Jednym z nich była fantazja *Król Lear na pustkowiu*, a drugim — kwartet poświęcony pamięci Bacha. Obie rzeczy były nowe i nowoczesne, i Lewin pragnął wyrobić sobie o nich własne zdanie. Odprowadziwszy siostrę żony do jej fotela, stanął przy kolumnie i postanowił słuchać jak najuważniej i najsumiennie. Starał się unikać dystrakcji i aby nie psuć sobie wrażenia, nie patrzył na wymachiwanie rąk biało ukrawaczonego dyrygenta, co w tak przykry sposób zwykło mącić uwagę słuchaczy. Nie patrzył również na panie w kapeluszach ze wstążkami, starannie zakrywającymi uszy, arii na wszystkich tych spośród obecnych, którzy pozostawali bezczynni lub zajęci byli najróżnorodniejszymi sprawami, tylko nie muzyką. Starał się też unikać spotkań z melomanami oraz gadułami; stał ze wzrokiem wlepionym w podłogę i słuchał.

Im dłużej jednak przysłuchiwał się fantazji *Król Lear*, tym dalej usuwała się przednim możliwość wytworzenia sobie jakiegoś określonego o niej zdania. Wciąż od nowa rozpoczynał się i jakby wzbierał muzyczny wyraz uczucia, zaraz wszakże rozpadał się na urywki nowych wątków muzycznych lub po prostu na niezwykle złożone, niczym, prócz kaprysu kompozytora, nie powiązane dźwięki. W dodatku i same urywki owych fraz muzycznych, niekiedy nawet udanych, były przykre, powstawały bowiem zupełnie nagle i bez najmniejszego przygotowania. Wesołość i smutek, rozpacz, czułość i triumf zjawiały się niejako bezprawnie, jak uczucia obłąkanego, i niespodzianie mijały, również jak u wariata.

Lewin przez cały czas wykonywania fantazji miał uczucie człowieka głuchego, patrzącego na tańce. Gdy fantazja się skończyła, był całkiem oszołomiony i odczuwał wielkie znużenie: tak długo napięta uwaga nie przyniosła mu w

końcu żadnej satysfakcji. Zewsząd słychać było gromkie oklaski. Wszyscy wstali, poczęli się przechadzać i rozmawiać. Lewin również ruszył z miejsca i jął szukać znawców, by rozproszyć swe wątpliwości porównując je z wrażeniami innych. Ucieszył się widząc, jak jeden z głośnych melomanów rozmawia z Piescowem, którego Lewin znał osobiście.

— Zdumiewające! — buczał Piescow głębokim basem. — Dzień dobry, Konstanty Dmitrycz. Jaki obrazowy, a zarazem, że tak powiem, rzeźbiarski i barwny jest zwłaszcza ten moment, gdzie poznać zbliżanie się Kordelii*, gdzie kobieta, *das ewig Weibliche**, występuje do walki z losem. Nieprawdaż?

— Tak, ale... Skądże się tu bierze Kordelia? — nieśmiało zapytał Lewin, który całkiem zapomniał, że fantazja wyobrażała króla Leara na pustkowiu.

— Oto, gdzie ukazuje się Kordelia... — rzekł Piescow uderzając palcami po lśniącym jak atlas programie trzymanym w rękę i podając go Lewinowi.

Teraz dopiero temu przypomniał się tytuł fantazji. Pośpieszył przeczytać rosyjski przekład słów Szekspira, umieszczony na okładce programu.

— Bez tego niepodobna podążać za muzyką — Piescow zwrócił się do Lewina, towarzysz jego bowiem tymczasem się oddalił, nie miał więc z kim prowadzić dalszej rozmowy.

Podczas antraktu Lewin i Piescow nawiązali dyskusję o zaletach i wadach wagnerowskiego kierunku w muzyce. Lewin dowodził, że omyłka Wagnera i wszystkich jego naśladowców polega na dążności muzyki do wkraczania w dziedzinę innych sztuk. W taki sam sposób, twierdził Lewin,

* Kordelia — jedna z trzech córek króla Leara, tytułowej postaci tragedii Szekspira.

* *Das ewig...* — wieczysta kobiecość.

błądzi poezja, gdy poczyną opisywać rysy twarzy, co należy do malarstwa, a jako przykład tego rodzaju błędu przytoczył pomysł rzeźbiarza, który umyślił wyciosać w marmurze cienie poetyckich wizji, powstających dokoła postaci poety umieszczonej na cokole. — Cienie w tej rzeźbie są w tak małym stopniu cieniami — zauważył Lewin — że nawet trzymają się schodków. — Podobał mu się ten frazes, nie pamiętał jednak, czy go już uprzednio nie był użył, i to właśnie w rozmowie z Piescowem, więc wypowiedziawszy go zmieszał się nieco.

Piescow ze swej strony dowodził, że sztuka jest jedna i że dopiero łącząc wszystkie swe gałęzie może dojść do najwyższych osiągnięć.

Drugiego punktu programu Lewin wysłuchać nie mógł. Piescow stanąwszy obok niego mówił prawie bez przerwy, krytykując tę część za jej zbytnią, przesłodzoną, napuszoną prostotę, przypominającą, jego zdaniem, prostotę prerafaelitów w malarstwie. U wyjścia Lewin spotkał jeszcze wiele osób, z którymi pogawędził i o polityce, i o muzyce, i o wspólnych znajomych. Śród nich spotkał również hrabiego Bołą, o odwiedzeniu którego całkiem był zapomniał.

— No więc jedź tam od razu — poradziła mu szwagierka, której zwierzył się ze swego zapomnienia — może cię wcale nie przyjmą. A później wpadnij po mnie na posiedzenie. Jeszcze mnie tam z pewnością zastaniesz.

VI

— A może państwo dziś nie przyjmują? — zapytał Lewin wchodząc do sieni domu hrabiostwa Boi.

— Owszem, są w domu. Proszę bardzo — rzekł szwajcar zdejmując z Lewina energicznym ruchem futro.

„Jak na złość — mówił sobie w duchu Lewin ściągając z westchnieniem jedną rękawiczkę i rozprostowując kapelusz. — I po co ja tam idę? I o czym mam z nimi gadać?”

Przechodząc przez pierwszy salon Lewin spotkał we drzwiach panią domu, jak z zafrasowaną i surową miną wydawała jakieś polecenie służącemu. Ujrawszy Lewina uśmiechnęła się i poprosiła go do następnego małego saloniku, skąd słychać było głosy. W małym saloniku siedziały w fotelach dwie córki domu oraz znany Lewinowi pułkownik z Moskwy. Lewin zbliżył się i przywitał, po czym zajął miejsce w pobliżu „kanapy trzymając kapelusz na kolanie. .

— Jak zdrowie pańskiej żony? Był pan na koncercie? Myśmy nie mogły: mama musiała być na nabożeństwie żałobnym.

— Tak, słyszałem... Co za niespodziana śmierć — rzekł Lewin. Weszła pani Boi, usiadła na kanapie i również zapytała go o żonę i o koncert.

Lewin odpowiedział i ponownie poruszył temat niespodziewanego zgonu panny Apraksin.

— Zawsze zresztą była słabego zdrowia.

— Był pan wczoraj w operze?

— Tak jest, byłem.

— Lucca* była przepyszna.

— Tak jest, nadzwyczajna — odrzekł i począł, wobec tego, że było mu zupełnie obojętne, co obecni o nim pomyślą, powtarzać to, co setki razy słyszał o właściwościach talentu śpiewaczki. Pani Boi udawała, że go słucha, po czym, gdy Lewin dość długo mówił i w końcu umilkł, pułkownik, dotąd milczący zabrał głos. Poruszył również temat opery, a także oświetlenia sali. W końcu wspomniawszy o *projektowanej*

* Paulina Lucca (1841–1908) — znana śpiewaczka wiośka, kilkakrotnie występowała w operze w Petersburgu.

*folie journee** u Tiuryna, roześmiał się, wstał, narobił nieco zamieszania i wyszedł. Lewin wstał również, lecz z miny pani domu wywnioskował, że byłoby jeszcze za wcześnie zakończyć wizytę. Trzeba było odsiedzieć jeszcze ze dwie minuty. Usiadł więc.

Ponieważ jednak nieustannie rozmyślał nad tym, jakie to wszystko było głupie, nie umiał znaleźć tematu do rozmowy i milczał.

— Czy pan się nie wybiera na publiczne posiedzenie? Podobno to bardzo interesujące — rozpoczęła znów pani Boi.

— Nie, obiecałem tylko mojej *belle-soeur* zajechać tam po nią — odrzekł Lewin.

Nastąpiło milczenie. Matka zamieniła spojrzenie z jedną z córek.

„No, teraz zdaje się już czas — pomyślał Lewin i wstał. Damy uściśniły mu rękę i poleciły, by powiedział od nich *mille choses** żonie.

Szwajcar zapytał podając mu futro:

— Gdzie jasnie pan raczył się zatrzymać? — i natychmiast wpisał adres do wielkiej, ładnie oprawionej księgi.

„Oczywiście — wszystko mi jedno, ale mimo to i wstyd, i strasznie głupio” — pomyślał Lewin pocieszając się, że wszyscy to robią, po czym pojechał na publiczne posiedzenie komitetu, gdzie miał odszukać szwagierkę, by z nią razem powrócić do domu.

Na publicznym posiedzeniu komitetu były tłumy, a wśród nich całe prawie towarzystwo. Lewin trafił jeszcze na sprawozdanie ogólne, które, jak wszyscy twierdzili, było bardzo interesujące. Po odczytaniu sprawozdania zeszło się znajome kółko. Lewin spotkał Swiażskiego, który jał go usilnie zapraszać na świetny odczyt tego wieczoru w

* *Folie journee* — szalony dzień.

* *Mille choses* — tysiąc uprzejmości.

Towarzystwie Rolniczym; natknął się także na Stiwę, właśnie przybyłego z wyścigów, i na wielu innych znajomych; toteż wypowiedział i wysłuchał rozmaitych opinii o posiedzeniu, o nowej sztuce teatralnej i o pewnym procesie. Poczynało go już jednak ogarniać znużenie, toteż przez nieuwagę, mówiąc o procesie, popełnił omyłkę, o której przypominał sobie później z przykrością kilka razy. Rozmawiając o karze, jaka miała spotkać cudzoziemca sądanego w Rosji, i o tym, jak niesłusznym byłoby ukarać go wydaleniem za granicę, Lewin powtórzył coś, co w przeddzień usłyszał w rozmowie z pewnym znajomym.

— Sądzę, że wysłać go za granicę znaczy tyle, co ukarać szczupaka wpuszczając go do wody — rzekł i potem dopiero przypomniał sobie, że ten usłyszany od znajomego koncept, który podawał, jakby za swój, pochodził właściwie z bajki Kryłowa, i że znajomy wziął go z felietonu gazety.

Odwiózłszy szwagierkę do domu, gdzie zastał Kitty zdrową i wesołą, Lewin pojechał do klubu.

VII

W klubie zjawił się w samą porę. Z nim jednocześnie zajeżdżali goście i członkowie. Lewin nie był w klubie od bardzo dawna, od czasu gdy po skończeniu uniwersytetu mieszkał w Moskwie i bywał w towarzystwie. Pamiętał klub, zewnętrzne szczegóły jego urządzeń, zapomniał jednak zupełnie o wrażeniu, jakiego dawniej tam doznawał. Skoro tylko jednak, wjechawszy na szerokie okrągłe podwórze, wysiadł z dorożki i wszedł na ganek, gdzie przepasany szarfą portier pośpieszył na jego spotkanie i z ukłonem bezszelestnie rozwarł przed nim drzwi, skoro, tylko zobaczył w portierni kalosze i futra tych klubowców, którzy

orientowali się, że jest mniej uciążliwe zdejmować kalosze na dole niż iść w nich na górę, skoro tylko usłyszał tajemniczy, sygnalizujący jego nadejście dzwonek i ujrzał, wchodząc po wysłanych dywanem schodach o łagodnym spadzie, posąg na przypiętrzu, a w górnych drzwiach zoczył trzeciego — zestarzałego, ale znanego sobie — portiera w klubowej liberii, otwierającego drzwi bez pośpiechu i bez marudzenia i przyglądającego się przybyłemu — Lewina objęła dawna atmosfera klubu, atmosfera wypoczynku, dostatku i dobrego tonu.

— Poproszę o kapelusz — rzekł portier do Lewina, który zapomniał o regule klubu, aby pozostawiać kapelusze w portierni. — Dawno jaśnie pan u nas nie był. Książę pan wczoraj jeszcze jaśnie pana zapisał. Księcia Stiepana Arkadjicza jeszcze nie ma.

Portier znał nie tylko samego Lewina, ale także wszystkie jego stosunki i pokrewieństwa, dlatego natychmiast wymienił bliskie mu osoby.

Lewin minął pierwszą przechodnią salę z parawanem oraz pokój na prawo z przegródką, za którą mieścił się kiosk z owocami, i wyprzedzając idącego powoli jakiegoś starszego pana, wszedł do jadalni, skąd rozchodził się gwar mnóstwa biesiadników.

Przeszedł wzdłuż prawie całkowicie pozajmowanych stołów, oglądając siedzących. Tu i ówdzie natrafiał na najrozmaitszych, starych i młodych, ledwo znajomych lub też bliskich mu ludzi. Nie było widać ani jednej twarzy gniewnej czy zatroskanej. Zdawało się, że wszyscy pozostawili w portierni, wraz z nakryciem głowy, swe niepokoje i troski i zabrali się do używania, bez zbytnej skwapliwości, materialnych dóbr tego świata. Był tu i stary książę, i Wroński, i Sergiusz Koznyszew.

— A co, spóźniłeś się? — uśmiechnął się do niego stary książę podając mu dłoń przez ramię. — Jak się ma Kitty? — dodał poprawiając serwetkę, wetkniętą za guzik od kamizelki.

— Dobrze, zdrowa jest; jedzą tam w domu obiad we trzy.

— A? Znowu „Ala i Nadia”. No, tu z nami nie ma miejsca. Idź do tamtego stołu i zajmij czym prędzej krzesło — powiedział książę i odwrócił się, by ostrożnie wziąć podawany mu talerz rybnej zupy z miętusa.

— Lewin, tu! — doleciał z pobliza dobroduszny głos. Był to Turowcyn. Siedział z młodym wojskowym, a obok nich stały dwa odwrócone krzesła. Lewin z radością ruszył ku nim; zawsze lubił pocziwego hulakę Turowcyna, gdyż widok jego budził w nim wspomnienie owej decydującej rozmowy z Kitty, ale dnia tego, po tych wszystkich sztucznie przemądrzałych rozmowach, dobroduszna fizjonomia Turowcyna była mu szczególnie sympatyczna.

— To dla ciebie i dla Obłońskiego. Zaraz tu będzie.

Mocno wyprostowany wojskowy, o wesołych, stale roześmianych oczach, był to petersburżanin Gagin. Turowcyn zaznajomił ich ze sobą.

— Obłoński wieszcznie się spóźnia.

— A otóż i on.

— Tylko co przyszedłeś, nieprawdaż? — spytał Obłoński, szybko zdążając ku nim. — Świetnie. Wódkę już piłeś? No, to chodźmy.

Lewin wstał i podszedł wraz z nim do wielkiego stołu, zastawionego butelkami z wódką i najrozmaitszymi przekąskami. Zdawało się, że z paru dziesiątków ich rodzajów można było wybrać sobie coś do gustu, lecz Stiepan Arkadjicz zażądał jakiejś zakąski specjalnej, którą też jeden ze stojących w pobliżu liberyjnych lokai natychmiast przyniósł. Wypili po kieliszku i wrócili do stolika.

Zaraz też, jeszcze przy zupie, podano szampana dla Gagina, który kazał go ponalewać do czterech kieliszków. Lewin nie odmówił i zażądał drugiej butelki. Był wygłodniały, toteż jadł i pił z dużą przyjemnością, a z jeszcze większą — brał udział w wesołej i nieskomplikowanej rozmowie współbiesiadników. Gagin opowiedział przyciszonym głosem nową petersburską anegdotę, która, choć nieprzyzwoita i głupia, była tak zabawna, że głośny śmiech Lewina zwrócił na siebie uwagę sąsiadów.

— To w tym rodzaju co: „ja tego znieść nie mogę!”, wiesz? — wtrącił Obłoński. — Ach, to świetne! Daj no jeszcze butelkę — polecił lokajowi i rozpoczął opowiadanie.

— Piotr Ilicz Winowski przysła — przerwał mu staruszek lokaj podając Stiwie i Lewinowi na tacy dwa cieniutkie kieliszki perlącego się szampana. Obłoński wziął kielich i zamieniwszy spojrzenie z łysym o rudych węsach mężczyzną na drugim końcu stołu, z uśmiechem skinął mu głową.

— Kto to taki? — zapytał Lewin.

— Raz go u mnie spotkałeś, pamiętasz? Dobry chłop.

Lewin poszedł za przykładem Obłońskiego i wziął kielich do ręki.

Anegdota Stiepana Arkadjicza była również bardzo zabawna. Lewin opowiedział z kolei swoją anegdotę, która się także spodobała. Później gawędzono o koniach, o wyścigach tego dnia i o tym, jak brawurowo Atlasnyj Wrońskiego wziął pierwszą nagrodę. Lewin nie zauważył nawet, gdy już byli po obiedzie.

— A otóż i oni! — rzekł pod sam koniec obiadu Obłoński przechylając się przez poręcz krzesła i wyciągając rękę do Wrońskiego, który zbliżył się ku niemu w towarzystwie rosteo pułkownika gwardii. Twarz Wrońskiego jaśniała również ogólnoklubową wesołą dobroduszością. Oparł się,

rozweselony, o ramię Stiepana Arkadjicza, coś do niego przy tym szepcząc, i z tym samym wesołym uśmiechem wyciągnął rękę do Lewina.

— Cieszę się, że się spotykamy — powiedział. — A ja wówczas na wyborach szukałem pana, ale powiedziano mi, że pan już wyjechał — dodał.

— Tak, wyjechałem tego samego dnia. Właśnie mówiliśmy o pańskim koniu. Winszuję panu — rzekł Lewin — to było niezwykle szybkie tempo.

— Przecie i pan ma także stajnię wyścigową.

— Nie, mój ojciec ją miał; ale pamiętam te czasy i znam się na tym.

— Gdzie jadłeś obiad? — spytał Stiwa.

— Jedliśmy przy drugim stole, tam za kolumnami.

— Winszowano mu — wtrącił wysoki pułkownik. — Druga cesarska nagroda! Żebym ja miał takie szczęście w kartach, jakie on ma do koni!

— No, ale po co tracić drogi czas. Idę do *infernium** — dodał pułkownik i odszedł od stołu.

— To jest Jaszwin — wyjaśnił na zapytanie Turowcyna Wroński i usiadł obok nich na wolnym miejscu. Po wypiciu zaproponowanego kielicha postawił nową butelkę. Czy to był wpływ klubowej atmosfery, czy też wypitego wina, dość, że Lewin rozgadał się z Wrońskim o najlepszej rasie bydła i był wielce rad, że nie czuje już wobec tego człowieka żadnej niechęci. Powiedział nawet mimochodem, że żona mówiła mu o spotkaniu go u księżnej Marii Borysowny.

— Księżna Maria Borysowna jest niesłyszana! — wtrącił Obłoński i opowiedział o niej anegdotę, która wszystkich rozśmieszyła. Zwłaszcza Wroński zaśmiewał się tak dobrodusznie, że Lewin zupełnie się do niego przekonał.

* *Infernium* — piekło. Mowa tu zapewne o pokoju lub sali przeznaczonej do gier hazardowych, jaskinia gry.

— No i cóż, skończyliśmy? — Obłoński wstał z uśmiechem. — Więc chodźmy.

VIII

Gdy Lewin wstał od stołu, poczuł, że przy chodzeniu wymachuje jakoś szczególnie prawidłowo i lekko rękami. Szedł z Gaginem przez wysokie klubowe pokoje do salki bilardowej. W dużej sali spotkał teścia.

— No i co? Jak ci się podoba nasza świątynia próżniactwa? — spytał księżę biorąc go pod rękę. — Chodź, przejdziemy się.

— Miałem właśnie zamiar pochodzić sobie i zwiedzić klub. To zajmujące.

— Tak. Dla ciebie. Ale ja mam już inne zainteresowania niż ty. Ty patrzysz sobie na tych staruszków — tu wskazał na zgarbionego klubowca o obwisłej wardze, który, ledwo suwając nogami w miękkim obuwiu, szedł na ich spotkanie — i myślisz, że oni się urodzili w postaci takich burchli*.

— Jak to burchli?

— A widzisz, nawet nie znasz tej nazwy: to nasze klubowe przezwisko. Wiesz, gdy się na Wielkanoc tacza jajka*, to z tych, które się wiele razy przetoczy, robi się wreszcie burchel. Tak samo bywa z nami: jeździ sobie człowiek do klubu i jeździ, aż w końcu staje się ramolem. Właśnie, ty się śmiejesz, a ja i mnie podobni raz po raz patrzymy po sobie — kiedy to i nas zaliczą do burchli. Czy znasz księcia Czczeńskiego? — spytał teść i Lewin poznał z jego miny, że ma zamiar opowiedzieć coś zabawnego.

* Burchel — jajko w miękkiej skorupce.

* Zgodnie z ludową tradycją w czwartek lub w niedzielę powielkanocną na grobach zmarłych urządzano ucztę z resztek święconego. Między innymi podczas tych uczt istniał zwyczaj taczania jajek.

— Nie znam go.

— Co takiego? Jak można nie znać znanego księcia Czeceńskiego! No, ale mniejsza o to. Otóż on stale grywa w bilard. Trzy lata temu jeszcze nie należał do ramolów i trzymał się ostro; innych nazywał burchlami. Ale razu pewnego przyjeżdża do klubu, a nasz portier... wiesz — Wasilij? No, ten grubas. To wielki dowcipniś. Otóż pyta go się Czeceński: „I cóż, Wasilij, czy ten a ten przyjechał? A czy z burchli któryś jest?” A ten mu na to: „Książę pan jest trzeci.” Tak, bratku, tak!

Rozmawiając i witając się ze spotykanymi znajomymi Lewin przeszedł z teściem przez wszystkie pokoje: wielki, gdzie już rozstawione były stoły i gdzie stali partnerzy grali o niewielkie stawki; palarnię, gdzie grano w szachy i gdzie zastali rozmawiającego z kimś Koznyszewa; bilardowy, gdzie w niszy, wokół kanapy, zebrała się przy szampanie wesółą kompania, do której należał Gagin. Zajrzeli i do *infernium*, gdzie przy stole, za którym już zajął miejsce Jaszwin, tłoczyło się wielu poniterujących*. Potem przeszli, starając się stąpać po cichu, do ciemnej czytelni, w której pod lampami zaopatrzonymi w abażury siedzieli: młody człowiek z gniewną miną chwytający dzienniki jeden po drugim oraz łysy generał zagłębiany w czytaniu. Weszli także do pokoju, który stary książę nazywał pokojem inteligentnym: w pokoju tym trzech panów gorąco dyskutowało na temat ostatniej nowiny politycznej.

— Prosimy księcia: już wszystko gotowe — powiedział jeden z jego partnerów odnajdując go i stary Szczerbacki odszedł z nim razem. Lewin trochę posiedział przysłuchując się, ale przypomniały mu się poranne rozmowy i poczuł nagle straszliwą nudę; wstał więc pośpiesznie i poszedł szukać

* Paniterować — stawiać pieniądze na kartę przeciw trzymającemu bank.

Obłońskiego, z którym się dobrze bawił.

Turowcyn siedział z kuflem jakiegoś napitku na wysokiej kanapie w sali bilardowej, a Obłoński z Wrońskim rozmawiali o czymś w oddalonym kącie pokoju przy drzwiach.

— Ona nie tyle się nudzi, ile ta nieokreśloność, ta niepewność sytuacji... — dosłyszał Lewin i chciał się szybko wycofać, lecz Stiepan Arkadjicz przywołał go bliżej.

— Lewin! — powiedział Obłoński i Lewin zauważył, że Stiepan Arkadjicz nie miał wprawdzie łez w oczach, ale że była w nich jakaś wilgoć, która występowała zwykle albo gdy z lekka podpił, albo gdy się roztkliwił. W tej chwili działały oba te czynniki. — Nie odchodź — rzekł i mocno ścisnął go za łokieć, najwidoczniej nie chcąc go za nic w świecie puścić.

— To jest mój szczerzy, bodaj że mój najlepszy przyjaciel — oświadczył Wrońskiemu. — A i ty jesteś mi bodaj jeszcze bliższy i droższy. Chciałbym, żebyście byli, i wiem, że będziecie bliskimi przyjaciółmi, bo obaj jesteście zacnymi ludźmi.

— Cóż, nic nam nie pozostaje, tylko się uściskać — zażartował dobrodusznie Wroński podając rękę Lewinowi.

Ten pośpiesznie ujął wyciągniętą dłoń i mocno ją uściśnął mówiąc:

— Bardzo, bardzo się cieszę.

— Służba, butelkę szampana! — zawołał Obłoński.

— I ja się też bardzo cieszę — odrzekł Wroński.

Mimo jednak życzenia Stiepana Arkadjicza i własnej najlepszej woli, nie mieli jeden drugiemu nic do powiedzenia i obaj zdawali sobie z tego sprawę.

— Czy ty wiesz, że on nie zna wcale Anny? — zwrócił się Obłoński do Wrońskiego. — Chcę go koniecznie do niej zawieźć. Jedźmy, Lewin!

— Doprawdy? — zapytał Wroński. — Anna będzie bardzo rada. Ja bym też zaraz wrócił do domu, ale jestem niespokojny o Jaszwinę i Chcę zostać w klubie, aż on skończy.

— A co? Czy mu karta nie idzie?

— Wciąż przegrywa i tylko ja jeden potrafię go pohamować.

— To w takim razie może zagramy w piramidkę? Lewin, będziesz grał? To doskonale — gadał Obłoński. — Proszę ustawić piramidkę — polecił markierowi.

— Już od dawna gotowa — odrzekł ten ustawivszy kule w trójkąt i zabawiając się przetaczaniem czerwonej.

— No więc grajmy.

Po skończeniu partii Wroński z Lewinem przysiedli się do stołu Gagina i Lewin na propozycję Stiepana Arkadjicza począł stawiać na asy. Wroński to siedział przy stole, otoczony podchodzącymi doń bezustannie znajomymi, to szedł do *infernium*, by mieć oko na Jaszwinę. Lewin zażywał przyjemnego wypoczynku po umysłowym wysiłku poranka. Cieszyło go zakończenie zatargu z Wrońskim, a wrażenie spokoju, przyzwoitości i pogody wciąż go nie opuszczało.

Gdy skończyli, Obłoński wziął Lewina pod rękę:

— No więc jedźmy do Anny. Teraz zaraz, dobrze? Zastaniemy ją. Dawno już obiecywałem jej przywieźć cię. Dokąd wybierałeś się wieczorem?

— Nigdzie specjalnie. Obiecałem Swiażskiemu być w Towarzystwie Rolniczym. Możemy jechać — zgodził się Lewin.

— Świetnie, jedźmy! Dowiedz się, czy moja karetka już jest — zlecił Obłoński lokajowi.

Lewin podszedł do stołu, zapłacił przegrane przy stawianiu na asy czterdzieści rubli, zapłacił — jakąś tajemniczą drogą

wiadome staruszkowi lokajowi, wspartemu o uszak drzwi — swoje klubowe wydatki i w osobliwy sposób wymachując rękoma przeszedł przez wszystkie sale dążąc do wyjścia.

IX

— Karetą Obłońskiego! — gniewnym basem wykrzyknął portier. Karetą zajechała i obaj przyjaciele wsiedli. Klubowa atmosfera spokoju, zadowolenia i niewątpliwej przyzwoitości wszystkiego, co go otaczało, towarzyszyła Lewi — nowi jedynie z początku, póki karetą nie opuściła bramy klubu. Skoro tylko jednak znaleźli się na ulicy i Lewin poczuł kołysanie się pojazdu po nierównej nawierzchni, posłyszał niecierpliwe okrzyki spotykanych dorożkarzy, ujrzał w słabym świetle ulicznym czerwony szyld szynku i sklepiku, atmosfera ta prysła i Lewin począł zastanawiać się nad swym postępowaniem i zadawać sobie pytanie, czy dobrze czyni jadąc z wizytą do Anny. Co powie na to Kitty? Stepan Arkadjicz wszakże nie dał mu czasu na refleksje i jakby odgadując jego wątpliwości, pośpieszył je rozproszyć.

— Jakże się cieszę — rzekł — że ją poznasz. Wiesz? Dolly dawno sobie tego życzyła, Lwów nawet złożył jej wizytę i bywa u niej. Chociaż to moja siostra — ciągnął dalej — mogę śmiało stwierdzić, że to niezwykła kobieta. Sam zobaczysz. Jest w bardzo ciężkim położeniu, zwłaszcza teraz.

— Dlaczego właśnie teraz?

— Toczą się układy z mężem o rozwód. Mąż się zgadza, ale są trudności z powodu syna, i sprawa ta, która powinna była się już dawno zakończyć, wlecze się od trzech miesięcy. Zaraz po otrzymaniu rozwodu Anna wyjdzie za Wrońskiego... Co za głupi stary obyczaj to chodzenie w kółko przy dźwiękach: „Raduj się, Izajasz!” — obyczaj, w

który nikt nie wierzy, a który stoi na przeszkodzie ludzkiemu szczęściu! — wtrącił Stiepan Arkadjicz. — No, i wtenczas sytuacja ich będzie równie solidna jak moja i twoja.

— A na czym polegają trudności? — zainteresował się Lewin.

— Ach, to długa i nudna historia! Wszystko u nas jest jakieś takie nieokreślone. Ale chodzi o to, że czekając na udzielenie rozvodu tutaj, gdzie i jego, i ją każdy zna, Anna mieszka w Moskwie już od trzech miesięcy, nigdzie nie bywa i żadnej z kobiet, prócz Dolly, nie widuje, bo — rozumiesz — nie chce, by ją odwiedzano z litości. Ta idiotka, księżniczka Barbara, opuściła ją również, uważając, że dalszy jej pobyt u nich byłby nieprzyzwoity. W takich okolicznościach, uważasz, inna kobieta nie potrafiłaby nic wysnuć z siebie. A tymczasem ona, sam zobaczysz, jak ona urządziła sobie życie, jaka jest spokojna i pełna godności! Na lewo, przez zaułek, naprzeciw cerkwi! — krzyknął Stiwa wychylając się z okna karety. — Uf, jak gorąco! — i rozchylił mimo dwunastu stopni mrozu swe już i tak rozpięte futro.

— Ależ ona ma córkę; zapewne jest nią zajęta? — zagadnął Lewin.

— Ty, zdaje się, wyobrażasz sobie każdą kobietę wyłącznie jako samice, *une couveuse**. Skoro jest zajęta, to z pewnością zajęta dziećmi. Nie, Anna ją, o ile się zdaje, doskonale chowa, ale to się nie rzuca w oczy. Zajęta jest przede wszystkim pisaniem... Już widzę twój ironiczny uśmieszek, ale to niesłuszne. Anna pisze książkę dla dzieci i nikomu o tym nie opowiada, ale mnie ustępy z niej czytała, a ja dawałem do przejrzenia rękopis Workujewowi... wiesz, temu wydawcy... on zresztą sam także pisze, i on powiada,

* *Une couveuse* — kwoka.

że to znakomita rzecz, a on się na tym zna. Tobie się zaraz zdaje, że z niej literatka? Otóż wcale nie. To przede wszystkim kobieta o gorącym sercu, przekonasz się. Ma teraz u siebie małą Angieleczkę i całą rodzinę, którą się opiekuje.

— Czy to jaka filantropia?

— Tak, ty się zaraz starasz wynaleźć coś ujemnego... To nie filantropia, ale odruch serca. Mieli oni, to jest Wroński miał niedawno trenera Anglika, mistrza w swoim fachu, ale pijaka. Otóż ten się całkiem rozpił, dostał *delirium tremens* i porzucił rodzinę. Anna, zetknąwszy się z nimi, przyszła im z pomocą, zainteresowała się ich losem i teraz cała rodzina jest na jej głowie. A nie jest to zajęcie się kimś ot tak, z daleka, tylko pieniężne. Anna sama przygotowuje chłopców z rosyjskiego języka do gimnazjum, a dziewczynkę wzięła do siebie. Zresztą sam zobaczysz.

Kareta wjechała na podwórze i Obłoński głośno zadzwonił u wejścia, gdzie już stały jedne sanki.

Nie spytawszy otwierającego drzwi dozorca, czy pani jest w domu, Stiwa wszedł do sieni. Lewin podążył za nim, coraz bardziej niepewny, czy to, co czyni, jest złe czy dobre.

Przejrawszy się w lustrze, stwierdził, że jest mocno czerwony, był jednak przekonany, że nie jest pijany, poszedł tedy po wysłanych dywanem schodach za Stiepanem Arkadjiczem. Na górze Obłoński zapytał lokaja, który uklonił mu się jak stałemu bywalcowi, kto jest u Anny Arkadiewny, i dowiedział się, że pan Workujew.

— Gdzie są państwo?

— W gabinecie.

Przeszli niewielką jadalnię o ścianach wyłożonych ciemną boazerią, weszli po miękkim dywanie do gabinetu, gdzie panował półmrok. Stała tam jedna tylko lampa z szerokim ciemnym abażurem. Druga lampa — reflektor paliła się na

ścianie i oświetlała duży, naturalnej wielkości portret kobiety, na który mimo woli Lewin zwrócił uwagę. Był to portret Anny, wykonany przez Michajłowa we Włoszech. Podczas gdy Obłóński wszedł wprost za trelaż*, a rozlegający się stamtąd głos męski zamilkł, Lewin przyglądał się portretowi, występującemu z ram w tym jarzącym oświetleniu, i nie mógł się odeń oderwać. Zapomniał w ogóle, gdzie jest, i nie słuchając dochodzącej go rozmowy nie spuszczał oczu z niezwykłego portretu. To nie był obraz, to była żywa prześliczna kobieta o czarnych, falistych włosach, obnażonym gorsie i ramionach, z zadumany pólusmiechem na wargach ocienionych delikatnym puszkim, patrząca na niego zwycięsko i czule wzrokiem, który odbierał mu pewność siebie. Nie była żywa dlatego tylko, że była piękniejsza, niż bywają żywe kobiety.

— Bardzo się cieszę — usłyszał nagle tuż obok siebie głos, najwidoczniej zwrócony do niego, głos tej właśnie kobiety, którą podziwiał na portrecie. Anna wyszła na jego spotkanie spoza trelażu i Lewin ujrzał w półmroku gabinetu damę z obrazu w ciemnoszafirowej mieniącej się sukni. Inną miała pozę, inny wyraz, ale było w niej to samo nasilenie piękna, które udało się artyście uchwycić na portrecie. W naturze była mniej olśniewająca, za to było w żywym modelu coś pociągającego a nowego, czego brak było w obrazie.

X

Wstała, by go powitać, i nie ukrywała radości, jaką jej sprawił jego widok. Spokój, z którym wyciągnęła do niego maleńką, energiczną rączkę, zapoznając go z Workujewem, a potem wskazując na ładniutką rudawą dziewczynkę, siedzącą

* Trelaż — rodzaj przepierzenia, ozdobnej kraty drewnianej lub metalowej.

z robótką, i nazywając ją swoją wychowanką — znamionował znajome i sympatyczne Lewinowi obejście damy z wielkiego świata, zawsze naturalnej i spokojnej.

— Bardzo, bardzo się cieszę — powtórzyła, a w ustach jej te proste słowa nabrały nie wiedzieć czemu szczególnego znaczenia. — Dawno już znam pana i lubię i za przyjaźń ze Stiwą, i z powodu pańskiej żony... Znałam ją bardzo krótko, lecz pozostawiła mi wrażenie prześlicznego kwiatu, właśnie kwiatu. A teraz już niezadługo będzie matką!

Mówiła ze swobodą i bez pośpiechu, przynosząc niekiedy spojrzenie z Lewina na brata, i Lewin zdał sobie sprawę, że zrobił na niej dobre wrażenie, toteż od razu poczuł się z nią — jakby ją znał od dziecka — lekko, prosto i przyjemnie.

— Myśmy się z Iwanem Pietrowiczem usadowili w gabinecie Aleksego — odpowiedziała na pytanie Stepana Arkadjicza, czy wolno palić — właśnie po to, żeby móc palić — i spojrzawszy na Lewina, zamiast zapytać go, czy pali, przysunęła sobie szylkretową cygarnicę i wyjęła z niej pachitoskę.

— Jak się dzisiaj czujesz? — spytał ją brat.

— Nieźle. Trochę nerwów, jak zawsze.

— Prawda, że niezwykle piękny? — zagadnął Stiwa zauważywszy, że Lewin spogląda raz po raz na portret.

— Nigdy nie widziałem lepszego portretu.

— I niezwykle podobny, nieprawdaż? — dodał Workujew.

Lewin przeniósł wzrok z portretu na oryginał: w chwili gdy Anna poczuła jego spojrzenie, osobliwy blask rozjaśnił jej twarz. Lewin zaczerwienił się i aby ukryć zmieszanie, miał właśnie zapytać ją, jak dawno widziała się z Darią Aleksandrowną, gdy w tej samej chwili Anna zwróciła się do niego.

— Właśnie rozmawialiśmy z panem Workujewem o

ostatnich obrazach Waszczenkowa. Widział je pan?

— Owszem, widziałem — odparł Lewin.

— Ale przepraszam, przerwałam panu. Pan chciał coś powiedzieć?... Lewin spytał, czy dawno widziała się z Dolly.

— Odwiedziła mnie wczoraj, miała wielki żal do gimnazjum za Griszę: zdaje się, że nauczyciel łaciny był dla niego niesprawiedliwy.

— Tak, oglądałem te obrazy; nie bardzo mi się podobały — Lewin powrócił do kwestii przez nią rozpoczętej.

Teraz nie prowadził już bynajmniej konwersacji w taki, niejako zawodowy, sposób, jak to czynił w ciągu ranka; rozmowa z nią nadawała każdemu słowu szczególnie znaczenie. Przyjemnością było mówić do niej, jeszcze przyjemniej — jej słuchać.

Anna mówiła nie tylko naturalnie, ale i rozumnie, rozumnie, a jednocześnie niedbale, nie przykładając żadnej wagi do swych myśli, natomiast — wielką wagę do myśli swego rozmówcy.

Mówiono o nowej tendencji w sztuce, o Biblii ilustrowanej na nowo przez francuskiego artystę*. Workujew zarzucał mu realizm posunięty aż do prostactwa. Lewin wtrącił, że Francuzi doprowadzili konwenans w sztuce do nieosiągalnego dla innych szczytu i że dlatego upatrują specjalną zasługę w nawrocie do realizmu. Widzą poezję w tym, że już nie kłamią.

Nigdy żadna rozumna rzecz, którą Lewin kiedykolwiek wypowiedział, nie sprawiła mu takiej przyjemności jak ta właśnie. Twarz Anny cała nagle się rozpromieniła, tak jej ta myśl trafiła do przekonania. Roześmiała się.

— Śmieję się — zauważyła — tak jak śmieje się człowiek na widok bardzo podobnego portretu. To, co pan powiedział,

* Przez francuskiego artystę... — mowa o ilustracjach Gustawa Dore (1833–1883), które ukazały się w r. 1864.

świetnie określa całą obecną francuską sztukę i malarstwo, i nawet literaturę: Zola, Doudet. Ale być może, że tak bywa zawsze, ludzie budują swoje *conceptions** na zasadzie wymyślonych, konwencjonalnych postaci, a potem gdy się wszystkie *combinaisons** wyczerpią, a wymyślone figury — znudzą, poczynają tworzyć postacie bardziej naturalne, prawdziwe.

— Zupełnie słusznie — zgodził się Workujew.

— A więc byliście w klubie? — zwróciła się do brata.

„Tak, to jest kobieta!” — myślał Lewin i w zapatrzeniu nie odrywał oczu wlepionych w jej piękną, ruchliwą twarz, która teraz nagle całkowicie się przeobraziła. Nie słyszał, o czym mówiła, przechylona do brata, ale uderzyła go zmiana w jej wyrazie. Twarz jej, przedtem tak piękna w swym spokoju, przybrała odcień dziwnego zaciekawienia, a potem gniewu i dumy. Trwało to jednak zaledwie minutę. Przymrużyła oczy, jakby coś sobie przypominając.

— No, zresztą co to kogo obchodzi — rzekła wreszcie i zwróciła się do małej Angielki:

— *Please order the tea in the drawing-room* *.

Dziewczynka wstała i wyszła.

— No i cóż? Czy zdała ten egzamin? — zapytał Stiepan Arkadjicz.

— Doskonale zdała. To bardzo zdolna dziewczynka i ma bardzo miły charakter.

— Skończy się na tym, że ją będziesz więcej kochała niż swoją własną.

— To już czysto męskie powiedzenie. W miłości nie ma żadnego więcej czy mniej. Córkę kocham jednym rodzajem miłości, a tę znów — innym.

* *Conceptions* — koncepcje.

* *Combinaisons* — kombinacje.

* *Please ...* — proszę podać herbatę w salonie.

— Powiadam właśnie Annie Arkadiewnie — rzekł Workujew — że gdyby jedną setną energii, którą wkłada w wychowanie tej Angielki, włożyła w sprawę publiczną wychowania dzieci rosyjskich, to spełniłaby wielkie i pożyteczne dzieło.

— Cóż pan chce, nie mogłam. Hrabia Aleksy Kiryłowicz bardzo mnie do tego zachęcał (wymawiając słowa hrabia Aleksy Kiryłowicz spojrziała na Lewina z nieśmiałą prośbą, a on jej mimo woli odpowiedział wejrzeniem aprobaty pełnej czci) — zachęcał do zajęcia się szkołą na wsi. Posztem tam kilka razy. Dzieci są bardzo miłe, ale to mnie nie pociągało. Pan mówi o energii. Energię czerpie się z miłości. A miłości nie ma skąd wziąć, nakazać jej się nie da. Tę oto dziewczynkę polubiłam, sama nie wiem za co.

I znów spojrziała na Lewina. I uśmiech jej, i spojrzenie — wszystko mówiło mu, że słowa te zwraca tylko do niego, chodzi jej bowiem o jego zdanie, a poza tym z góry jest przekonana, że się wzajemnie rozumieją.

— Rozumiem to doskonale — odrzekł Lewin. — Niepodobna wkładać serca w szkoły i w ogóle w podobne zakłady i sędzę, że dlatego właśnie filantropijne instytucje dają tak nikłe rezultaty.

Anna chwilę milczała, po czym uśmiechnęła się.

— Tak, tak — zgodziła się z nim. — Nigdy tego nie potrafiłam. *Je n'aipas le coeur assez large**, żeby pokochać cały przytułek z tymi wszystkimi niezbyt apetycznymi dziewczynkami. *Cela ne m'a jamais re'ussi**. Ileż jest jednak kobiet, które z tego stworzyły sobie *uneposition sociale**. A teraz tym bardziej — mówiła to smutnie a poufnie, zwracając się pozornie do brata, a właściwie tylko do Lewina — teraz,

* *Je n'ai pas* ... — serce moje nie jest na tyle szerokie.

* *Cela* ... — to mi się nigdy nie udało.

* *Une position sociale* — pozycja towarzyska.

gdy tak mi jest potrzebne jakieś zajęcie, tym bardziej nie potrafię. — I nagle zmarszczyła brwi. (Lewin zrozumiał, że była zła sama na siebie za to, że mówiła o sobie) i zmieniła temat rozmowy. — Wiem o panu — zwróciła się do Lewina — że pan jest złym obywatelem. Broniałam pana, jak mogłam.

— Jakże to pani mnie broniała?

— Zależnie od ataków. Ale, czy nie pozwolą panowie herbaty? — Podniosła się i wzięła do ręki zeszyt w safianowej oprawie.

— Niech mi pani to da, Anno Arkadiewno — Workujew wskazał na książeczkę. — Naprawdę bardzo warto.

— Ach nie, to wszystko jest takie nie opracowane.

— Mówiłem mu już o tym — Obłoński miał na myśli Lewina.

— Zupełnie niepotrzebnie. Moja pisanina to coś w rodzaju tych rzeźbionych pudełeczek, które mi w swoim czasie sprzedawała Liza Mierkałowa jako prace więźniów. Miała pod sobą, będąc prezeską pewnej instytucji, kilka więzień — Anna mówiła to do Lewina — i ci nieszczęśliwcy wykonywali arcydzieła cierpliwości.

Lewin dostrzegł nowy rys u kobiety, która mu się tak niezwykle podobała: poza rozumem, wdziękiem, pięknnością posiadała także i szczerść. Nie zamierzała ukrywać przed nim całej trudności swego położenia. Skończywszy mówić westchnęła, a twarz jej nabrała nagle surowego wyrazu i jakby skamieniała. Z tym wyrazem twarzy była jeszcze piękniejsza niż przedtem, ale wyraz ten był nowy, pochodził spoza tego jaśniejącego i obdzielającego szczęściem kręgu, który malarz uchwycił na portrecie. Lewin rzucił raz jeszcze okiem na obraz, a potem na nią, w chwili gdy wzięwszy brata pod rękę, przechodziła z nim przez wysokie drzwi, i poczuł rozrzewnienie i litość, które wprawiły go samego w

zdumienie.

Poprosiła Lewina i Workujewa, aby przeszli do salonu, a sama pozostała z bratem, by z nim o czymś pomówić. „O rozwodzie, o Wrońskim, o tym, co on tam w klubie robi, a może i o mnie?” — myślał Lewin. I tak był przejęty zagadnieniem, o czym też Anna mówi ze Stiepanem Arkadjiczem, że prawie nie słuchał tego, co mu opowiadał Workujew o zaletach napisanej przez nią powieści dla dzieci.

Rozmowa przy herbacie zawiązała się równie przyjemna i pełna treści. Nikt nie potrzebował tracić ani chwili na poszukiwanie tematów, przeciwnie, znać było, że cisną się one wręcz na usta obecnym, lecz że ci się chętnie hamują, aby wysłuchać tego, co mają do powiedzenia inni. A wszystko, o czym mówili — nie tylko sama Anna, ale także Workujew i Obłoński — nabierało, jak się zdawało Lewinowi, specjalnego znaczenia dzięki pani domu, sposobowi, w jaki słuchała, i jej uwagom.

Nie tracąc ani słowa z ciekawej rozmowy, Lewin przez cały czas zachwycał się Anną: jej pięknnością, rozumem, wykształceniem oraz prostotą i bezpośredniością. To słuchał, to sam mówił, a wciąż rozmyślał o niej, o jej wewnętrznym życiu, starał się odgadnąć, co się w niej działo. On, który dotychczas potępiał ją z taką surowością, teraz na mocy jakiegoś dziwnego procesu myślowego znajdował dla niej usprawiedliwienie, współczuł jej, a zarazem obawiał się, że Wroński nie całkiem ją rozumie. Po dziesiątej, gdy Obłoński wstał, by się pożegnać (Workujew jeszcze przedtem był odjechał),

Lewin miał wrażenie, że zaledwie przed chwilą tu przybyli. Wstał również, ale z żalem.

— Żegnaj pana — rzekła przytrzymując jego rękę i patrząc mu w oczy przykuwającym spojrzeniem. — Bardzo

się cieszę, *que la glace est rompue**.

Puściła jego rękę i przymrużyła oczy.

— Niech pan żonie powie, że lubię ją tak jak dawniej i że jeśli mi nie może wybaczyć położenia, w jakim się znajduję, to pragnę, by mi go nigdy nie wybaczyła. Po to, by móc wybaczyć, trzeba przeżyć to, co ja przeżyłam, a niechże ją Pan Bóg od tego broni.

— Oczywiście... tak, powiem jej — obiecał Lewin czerwieniąc się.

XI

„Co za zdumiewająca, przemiła i godna współczucia kobieta” — myślał wychodząc wraz z Obłońskim z domu na mróz.

— No i cóż? Mówiłem ci — rzekł Stiepan Arkadjicz widząc, że Lewin był całkiem podbity.

— Tak — w zamyśleniu odparł Lewin — to niezwykła kobieta. Mniejsza o to, że rozumna, ale zadziwiająco serdeczna. Strasznie mi jej żal.

— Teraz, jeśli Bóg da, wszystko się już prędko załatwi. A widzisz? Innym razem nie uprzedzaj się — mówił Obłoński otwierając drzwiczki karety. — Bywaj zdrow; dalej nam razem nie po drodze.

Lewin wracając do domu bez ustanku myślał o Annie, o wymianie z nią tych kilku najprostszych zdań, i wywołując szczegółowo w pamięci grę jej wyrazu, coraz bardziej uświadamiał sobie cały ciężar jej losu i czuł coraz większą litość.

W domu Kuźma powiedział mu, że Katarzyna Aleksandrowna ma się dobrze, że dopiero niedawno obie jej

* *Que* ... — że lody zostały przełamane.

siostry odjechały, i podał mu dwa listy, które Lewin przeczytał od razu w przedpokoju, by sobie później nie przerywać. Jeden był od rządcy Sokołowa, który donosił, że pszenicy sprzedać nie można, bo dają tylko pięć i pół rubla, a że z innego źródła pieniędzy wydostać się nie da. Drugi list był od siostry: robiła mu wyrzuty za niezłatwienie dotychczas jej sprawy.

„No więc się sprzedaje za pięć i pół rubla, o ile więcej nie dają” — przeciął bez wahania, z niezwykłą łatwością pierwszą sprawę, która zrazu wydawała mu się taka trudna. „Zdumiewające, jak człowiek ma tutaj zawsze czas zajęty — pomyślał przy drugim liście. Czuł się winien wobec siostry, bo dotychczas nie załatwił tego, o co prosiła. — I dzisiaj znów nie wstąpiłem do sądu, ale dziś naprawdę nie miałem czasu.” I postanowiwszy, że na pewno zrobi to nazajutrz, poszedł do żony. Idąc przebiegł szybko w pamięci, jak spędził cały dzień: rolę zdarzeń dnia wzięły na siebie rozmowy, te, którym się przysłuchiwał, i te, w których brał udział. Wszystkie rozmowy dotyczyły tematów, którymi, będąc sam na wsi, nigdy by się nie zajmował, tymczasem tutaj zdawały się bardzo ciekawe. I wszystkie one miały przebieg zadowolający, z wyjątkiem dwóch momentów budzących wątpliwość: jeden to jego dowcip o szczupaku, drugi — to jakieś uczucie niewłaściwości w tym rzecznym współczuciu, które budziła w nim Anna.

Lewin zastał żonę smutną i znudzoną. Obiad trzech sióstr byłby wypadł bardzo wesoło, ale później czekano na niego, czekano długo, zaczęło być nudno, siostry się porozjeżdżały i Kitty została sama.

— No, a ty co robiłeś? — zapytała patrząc w osobliwie a podejrzenie błyszczące oczy męża. Ale chcąc, by nie doznał żadnego zahamowania i opowiedział jej wszystko, zataiła

przed nim czujną uwagę i z uśmiechem zachęty słuchała jego opowiadania o spędzeniu wieczoru.

— Bardzo byłem rad ze spotkania z Wrońskim. Czułem się z nim zupełnie lekko i zwyczajnie. Rozumiesz, postaram się nadal nigdy go nie widywać, ale cieszę się, że ta fałszywa sytuacja raz się skończyła. — Powiedział to i przypomniawszy sobie, że starając się nigdy go nie widywać, tuż zaraz złożył wizytę Annie, zaczerwienił się. — Powiadają, że lud pije: nie wiem, kto więcej pije, lud czy nasza sfera; lud przynajmniej tylko w święta, a my!...

Kitty wszakże nie była ciekawa, jak pije lud. Spostrzegła, że mąż się zaczerwienił, i pragnęła wiedzieć — dlaczego.

— No, a gdzie byłeś później?

— Stiwa mnie szalenie prosił, bym mu towarzyszył do jego siostry.

Powiedziawszy to, Lewin poczerwieniał jeszcze bardziej i jego wątpliwości, czy zrobił dobrze, czy źle jadąc do Anny, doznały ostatecznego rozstrzygnięcia. Wiedział obecnie, że nie należało tego czynić.

Oczy Kitty rozwarły się i zabłysły jakoś osobliwie na wzmiankę o Annie: zapanowała jednak nad sobą, zataiła wzburzenie i udało jej się usnąć.

— Ach tak! — to było wszystko, co powiedziała.

— Sądzę, że nie będziesz się na mnie za to gniewała. Stiwa mnie prosił, a i Dolly sobie tego życzyła — dodał.

— O nie — odrzekła, ale już dostrzegł w jej oczach, że panuje nad sobą, a to nie rokowało nic dobrego.

— Pani Karenin to bardzo sympatyczna, bardzo godna współczucia i bardzo dobra kobieta — mówił opowiadając o Annie, o jej zajęciach i o tym, co poleciła jej powiedzieć.

— Tak, oczywiście, jest bardzo godna pożałowania — potwierdziła Kitty, gdy skończył. — Od kogo dostałeś list?

Powiedział jej od kogo, i uspokojony opanowanym tonem jej głosu, poszedł się rozbierać.

Wróciwszy do pokoju, zastał żonę w tym samym fotelu; gdy podszedł do niej, spojrzała na niego i wybuchnęła płaczem.

— Co takiego? Co ci jest? — dopytywał się wiedząc już z góry, co jej było takiego.

— Zakochałeś się w tej wstrętnej kobiecie, rzuciła na ciebie urok. Spostrzegłam to po twoich oczach. Tak, tak! Na czym się to może skończyć? W klubie piłeś, grałeś w karty, a potem pojechałeś... i do kogo?! Nie, jedźmy stąd... Zaraz jutro wyjeżdżam.

Długo Lewin nie mógł jej uspokoić. Wreszcie ukoił ją wyznaniem, że współczucie wraz z oszołomieniem po winie zbiły go z tropu tak, że poddał się podstępnemu wpływowi Anny. Obiecał też, że jej będzie unikał. Do jednej rzeczy wszakże najszczerzej się przyznał: oto, że przebywając tak długo w Moskwie i nic nie robiąc, tylko rozmawiając, jedząc i pijąc, uległ otumanieniu. Gadali ze sobą aż do trzeciej rano i wówczas dopiero na tyle się pojednali, że mogli zasnąć.

XII

Po odprowadzeniu gości Anna zamiast usiąść, jęła się przechadzać tam i z powrotem po pokoju. Mimo że nieświadomie (tak postępowała w ostatnich czasach w stosunku do wszystkich młodych mężczyzn) przez wieczór cały robiła wszystko, co mogła, aby obudzić w Lewinie miłość ku sobie, i chociaż wiedziała, że jej się to udało na tyle, na ile to było możliwe z uczciwym żonatym człowiekiem w ciągu jednego wieczoru, i chociaż on się jej bardzo podobał (istniała wprawdzie jaskrawa różnica

między Wrońskim a Lewinem jako mężczyznami, lecz ona po kobiecemu wyczuwała w nich coś im obu wspólnego, coś, co sprawiało, że i Kitty również kochała się i we Wrońskim, i w Lewinie) — pomimo więc tego wszystkiego, skoro tylko Lewin opuścił pokój, przestała od razu myśleć o nim.

Jedną jedyną myśl pod różnymi postaciami prześladowała ją nieodstępnie: „Jeśli ja tak działałam na innych, choćby na tego zakochanego żonkosia, czemu on jest tak oziębły w stosunku do mnie?... Właściwie, nawet nie oziębły, bo mnie kocha, wiem o tym. Ale obecnie dzieli nas coś nowego. Czemu nie ma go przez cały wieczór? Polecił Stiwiu, by mi powiedział, że nie może opuścić Jaszwin i musi pilnować jego gry. Czy Jaszwin jest dzieckiem? Ale dajmy na to, że to prawda: on nigdy nie mówi nieprawdy... Ale poza tą prawdą kryje się coś innego. Korzysta chętnie ze sposobności, by okazać mi, że ma też inne zobowiązania. Wiem o tym i zgadzam się z tym, po co więc dowodzić mi, że tak jest? Pragnie przekonać mnie, że miłość nie powinna krępować jego niezależności. Mnie jednak potrzebne są nie jakieś dowody, lecz sama miłość. Powinien by zrozumieć całą męczarnię mego życia tu, w Moskwie. Czy to jest życie? Ja nie żyję. Lecz oczekuję rozstrzygnięcia, które wciąż się odwleka i odwleka. Znowu nie ma odpowiedzi!... I Stiwa powiada, że nie może jechać do mego męża. Ja natomiast po raz drugi pisać nie mogę... nie mogę nic zrobić, nic rozpoczynać, nic zmieniać. Panuję nad sobą, czekam wymyślając sobie różne sposoby spędzenia czasu: rodzina Anglika, pisanie, czytanie, ale przecie to tylko okłamywanie siebie, także rodzaj morfiny. Powinien by ulitować się nade mną” — mówiła czując, jak lży żalości nad własnym losem cisną się jej do oczu.

Usłyszała niecierpliwym dzwonek Wrońskiego i spieszenie

otarła łzy, i nie tylko je otarła, lecz usiadła pod lampą i otworzyła książkę udając spokój. Trzeba mu było pokazać, że jest niezadowolona, bo nie wrócił o umówionej porze, ale tylko niezadowolona... Nie należało pokazywać swego cierpienia, a zwłaszcza roztkliwienia nad sobą samą. Ona mogła się litować, on nie powinien był mieć do tego okazji. Anna nie pragnęła walki, zarzucała Wrońskiemu, że chce z nią walczyć, lecz sama bezwiednie zajmowała stanowisko obronne.

— No i cóż, nie nudziłaś się? — zapytał zbliżając się do niej pogodny i ożywiony. — Cóż to za okropna namiętność ta gra w karty!

— Nie, nie nudziłam się; dawno już oduczylam się nudów. Byli tu Stiwa z Lewinem.

— Tak, mieli cię odwiedzić. Jakże ci się podobał Lewin? — spytał siadając obok niej.

— Bardzo mi się podobał. Niedawno dopiero odjechali. A co w końcu zrobił Jaszwin?

— Wygrał siedemnaście tysięcy. Staralem się go wyciągnąć; już prawie był ze mną wyjechał. Tymczasem wrócił znów do gry i teraz przegrywa.

— Po cóż więc zostałeś? — spytała podnosząc nagle na niego oczy. Wyraz jej był zimny i wrogi. — Powiedziałaś Stiwie, że zostajesz, by zabrać Jaszwina, a w końcu go jednak zostawiłeś.

Na twarzy Wrońskiego również ukazał się wyraz zimnego pogotowia do walki.

— Po pierwsze: nie prosiłem go wcale, by ci coś ode mnie powtórzył, po drugie: nigdy nie mówię nieprawdy. A przede wszystkim: miałem ochotę zostać i zostałem — rzekł marszcząc brwi. — Anno, po co to?... Po co? — dodał po chwili milczenia, przechylając się ku niej, i wyciągnął

otwartą dłoń w nadziei, że ona włoży w nią swoją rękę.

Rada była z tego zaproszenia do czułości. Jakaś dziwna, zła siła nie dała jej jednak pójść za instynktem, tak jakby warunki walki nie pozwalały jej się poddać.

— Rozumie się, że chciałeś zostać i zostałeś. Robisz wszystko, co chcesz. Ale po co mi to mówisz? Po co? — mówiła, coraz bardziej wzburzona. — Czy ktoś kwestionuje twoje prawa? Chcesz mieć rację, więc miej ją sobie.

Dłoń Wrońskiego zamknęła się; odwrócił się i na twarzy jego odmalowała się jeszcze większa niż poprzednio zaciętość.

— Tobą kieruje tylko upór — powiedziała spojrzawszy na niego i znajdując nagle właściwą nazwę dla miny, która ją tak drażniła — właśnie tylko upór. Dla ciebie to tylko kwestia, czy mnie pokonasz, a dla mnie... — Znów ją zdjęła litość nad sobą i o mało się nie rozpląkała. — Gdybyś jednak wiedział, co to dla mnie znaczy!... Gdy czuję tak jak w tej chwili, że odnosisz się do mnie wrogo, tak właśnie — wrogo, gdybyś wiedział, co to dla mnie znaczy!... Gdybyś wiedział, jak w takich chwilach bliska jestem nieszczęścia, jaki strach odczuwam przed sobą samą, jaki strach! — I odwróciła się tłumiąc łkania.

— Ależ o co nam właściwie chodzi? — zapytał, przerażony wyrazem jej rozpacz, i znowu pochylił się nad nią, ujął jej rękę i pocałował. — O co? Czyż ja szukam rozrywek poza domem? Czy nie unikam towarzystwa kobiet?

— Jeszcze by tego brakowało! — zawołała.

— Powiedz mi więc, co mam czynić, żebyś była spokojna? Gotów jestem wszystko zrobić, żeby ci dać szczęście — był poruszony jej desperacją — nie ma rzeczy, której bym nie zrobił, by ci oszczędzić takiego cierpienia jak obecnie... Anno!

— To nic, to nic! — odrzekła. — Nie wiem sama, może to samotne życie, może nerwy... Nie mówmy już o tym więcej. A cóż wyścigi? Nie opowiedziałeś mi wcale — starała się ukryć wyraz triumfu, bo wszak zwycięstwo było po stronie.

Poprosił o kolację i począł jej opowiadać szczegóły wyścigów, lecz z jego tonu, coraz chłodniejszych spojrzeli poznała, że nie przebaczył jej zwycięstwa i że ten upór, z którym tak walczyła, znów się w nim ustalał. Był bardziej wobec niej oziębły niż przedtem, jakby żałując tego, że się ukorzył. I przypominając sobie słowa, które dały jej zwycięstwo: „Bliska jestem nieszczęścia, lękam się sama siebie”, zdała sobie sprawę, że broń ta jest ryzykowna i że nie będzie jej można użyć po raz drugi. A tymczasem czuła, że obok miłości, która ich łączyła, zakradł się pomiędzy nich jakby zły duch walki, którego nie mogła wypędzić ani z jego, ani tym bardziej ze swego własnego serca.

XIII

Nie ma takich warunków, do których by człowiek nie przywykł, zwłaszcza gdy widzi, że całe jego otoczenie tak samo żyje. Trzy miesiące temu Lewin by nie uwierzył, że mógłby spokojnie zasnąć w okolicznościach, w jakich się obecnie znajdował, że zdołałby żyjąc bez celu i bez sensu, a poza tym nad stan, po pijaństwie (nie mógł nazwać inaczej tego picia w klubie) i niezrozumiałym przyjacielskim zbliżeniu z człowiekiem, w którym niegdyś kochała się jego żona, a jeszcze bardziej po zagadkowej wizycie u kobiety, której nie można było nazwać inaczej niż upadłą, po straceniu głowy dla tej kobiety i sprawieniu przykrości żonie — że zdołałby w tych warunkach spokojnie zasnąć. Pod wpływem jednak zmęczenia, bezsennej nocy i wypitego wina zasnął

mocno i spokojnie.

O godzinie piątej obudziło go skrzypnięcie otwieranych drzwi. Zerwał się i obejrzał wkoło: Kitty nie znajdowała się obok niego na posłaniu, a za przepierzeniem widać było poruszające się światło i posłyszał stamtąd jej kroki.

— Co?... Co to?... — spytał na pół rozbudzony. — Kitty! Co się stało?

— Nic — odrzekła ukazując się spoza przepierzenia ze świecą w ręku. — Było mi niedobrze — uśmiechnęła się jakoś szczególnie uroczo i znacząco.

— Co takiego? Może się już zaczęło? Może naprawdę już? — przeraził się. — Trzeba posłać... — i począł się z pośpiechem ubierać.

— Ależ nie, nie — powiedziała z uśmiechem, powstrzymując go dotknięciem ręki. — To z pewnością nic nie jest. Było mi tylko trochę niedobrze. Ale teraz już przeszło.

Podeszła do łóżka, zgasiła świecę, położyła się i ucichła. Tak mu się spać chciało, że natychmiast usnął, mimo że zdał mu się podejrzany jej cichutki, jakby powstrzymywany oddech, a jeszcze bardziej wyraz specjalnej jakiejś czułości i podniecenia, z którym wychodząc spoza przepierzenia powiedziała mu: „Nic mi nie jest.” Później dopiero przypomniał sobie, jak leciutko oddychała, i zrozumiał wszystko, co się działo w jej miłym, drogim sercu, w czasie gdy leżała obok niego bez ruchu, w oczekiwaniu najważniejszego zdarzenia w życiu kobiety. O godzinie siódmej obudziło go dotknięcie ręki na ramieniu i cichy szept Kitty. Zdawała się wahać pomiędzy żalem, że go musi zbudzić, a chęcią przemówienia do niego.

— Kostia, nie przerażaj się. To nic. Ale zdaje mi się... Trzeba posłać po Elżbietę Pietrownę.

Świeca paliła się znowu. Kitty siedziała na łóżku i trzymała w ręku robótkę na drutach, którą zaczęła była w ostatnich dniach.

— Proszę cię, nie przerażaj się. To nic. Ja się nic a nic nie lękam — powiedziała widząc jego przestraszoną minę i przytuliła jego rękę do swej piersi, a później do ust.

Zerwał się pośpiesznie, nie mogąc opanować strachu, i nie spuszczać z niej wzroku włożył szlafrok i zatrzymał się, wpatrzony w nią bez przerwy. Musiał już iść, lecz nie mógł oderwać wzroku od jej oczu. Czyliż i tak nie kochał zawsze, nade wszystko jej twarzyczki, czyż nie znał jej wyrazu, jej wejrzenia — ale takiej, jak obecnie, nigdy jej jeszcze nie widział. Jakież odrażający, jakież ohydny zdawał się obecnie sam sobie, gdy wobec Kitty takiej, jaka była teraz, przypomniało mu się jej wczorajsze zmartwienie. Zarumieniona jej twarzyczka okolona mięciutkimi włosami, wyglądającymi spod nocnego czepeczka, jaśniała radością i odwagą.

Charakter Kitty zawierał w ogóle minimalną domieszkę sztuczności i konwencjonalności. Lewin jednak był wstrząśnięty tym, co stało mu się jasne teraz, gdy nagle wszystkie obłony opadły i w oczach jej zabłysnął najtajniejszy świat duszy: w tym obnażeniu i uproszczeniu całej jej istoty, ona sama, ta, którą Lewin kochał, była mu jeszcze lepiej widzialna. Patrzyła na niego z uśmiechem; lecz nagle brwi jej drgnęły, podniosła głowę, spiesznie zbliżyła się do męża i wzięwszy go za rękę cała przypadła do niego. Gorący jej oddech owionął go. Cierpiała i jakby skarżyła mu się na swe cierpienia. W pierwszej chwili wydało mu się starym zwyczajem, że to on był winien. W spojrzeniu jej wszakże była tkliwość, stanowiąca dowód, że Kitty nie tylko nie miała do niego żalu, lecz darzyła go za swe cierpienia

miłością. „Jeśli nie ja jestem winien, to któż jest tu winowajcą?” — pomyślał bezwiednie, szukając sprawcy tych wszystkich cierpień, by go ukarać; winowajcy wszakże nie było. Cierpiała, żaliła się i triumfowała zarazem z powodu swych cierpień, cieszyła się nimi i kochała je. Widział, że dzieje się z nią coś niezwykle pięknego, ale co? — nie mógł tego zrozumieć. Było to ponad jego pojęcie.

— Posłałam po mamę, a ty jedź czym prędzej po Elżbietę Pietrownę... Kostia... Już nic... Już przeszło.

Odsunęła się od niego i zadzwoniła.

— No, więc idź. Pasza już tu idzie. Nic mi nie jest.

I Lewin ujrzał ze zdumieniem, że Kitty wzięła robótkę na drutach, którą sobie w nocy była przyniosła, i znów poczęła ją robić.

W chwili gdy Lewin wychodził jednymi drzwiami, drugimi weszła służąca. Przystanął u drzwi i słyszał jak Kitty dawała jej drobiazgowo polecenia i jak z nią poczęła przesuwać łóżko.

Ubrał się, a podczas gdy zaprzęgano konie, dorożek bowiem o tej porze jeszcze nie było, wpadł znowu do sypialni — już nie na palcach, lecz jak mu się zdawało, na skrzydłach. Dwie dziewczyny troskliwie coś przestawiały w pokoju, Kitty chodziła i robiła na drutach, szybko przerzucając oczka i wydając dyspozycje.

— Jadę teraz do doktora. Po Elżbietę Pietrownę już pojechali, ale zajadę także i do niej. Czy nie potrzeba czegoś? Ach tak, może dać znać Dolly?

Spojrzała na niego i widać było, że nie słucha tego, co mówił.

— Tak, tak. Idź już, idź — powiedziała szybko, marszcząc brwi i dając mu znak ręką, by wyszedł.

Już był u wejścia do salonu, gdy nagle z sypialni rozległ

się żaloszny jęk, który natychmiast ucichł. Lewin zatrzymał się i długo nie mógł zrozumieć.

„Przecież to ona” — powiedział sobie i schwyciwszy się za głowę pobiegł na dół.

— Boże, zmiłuj się, przebacz i wesprzyj! — powtarzał. Słowa te jakoś same nieoczekiwanie poczęły mu się cisnąć na usta i Lewin, człowiek przecie niewierzący, wymawiał je nie tylko wargami. Teraz, w tym momencie, wiedział, że nie tylko wszystkie jego wątpliwości, ale i ta niemożność, by wierzyć na sposób rozumowy, którą uważał za swoją właściwość, bynajmniej nie przeszkadzają mu zwracać się do Boga. Wszystko to zostało teraz zdmuchnięte z duszy jak pył. Do kogóż miał się zwracać jeśli nie do Tego, w którego mocy czuł, że się znajduje on sam, ze swą duszą i swoją miłością?

Zaprząg jeszcze nie był gotów i Lewin, którego cała fizyczna siła wraz z całą uwagą były skierowane ku natychmiastowemu działaniu, nie czekając na konia, żeby nie stracić ani jednej minuty czasu, wyszedł piechotą z domu i kazał Kuźmie, by go doganiał.

Na rogu spotkał szybko jadącą nocną dorożkę. W małych sankach, przyodziana w aksamitną salopę, w chustce na głowie, siedziała Elżbieta Pietrowna. Bogu dzięki, Bogu dzięki! — wykrzyknął poznając z uniesieniem radości jej blond włosy i drobną twarzyczkę, która w tej chwili miała wygląd specjalnie poważny, a nawet surowy. Nie zatrzymując dorożki, pobiegł obok niej w stronę domu.

— Od dwóch godzin? Nie dłużej? — zapytała. — Pan zastanie doktora w domu, ale niech go pan nie nagli. I niechaj pan kupi trochę opium w aptece.

— Więc pani sądzi, że przebieg może być pomyślny? Boże, zmiłuj się i dopomagaj! — rzekł Lewin na widok swego konia u bramy i wskoczywszy do sanek usiadł obok

Kuźmy każąc mu jechać do doktora.

XIV

Doktor jeszcze nie był wstał, a lokaj oznajmił, że „pan doktor późno się położył i nie kazał się budzić, ale niedługo wstanie”. Lokaj czyścił właśnie szkła do lamp i zdawał się być tym całkowicie pochłonięty. Lewin zrazu zdumiał się zainteresowaniem, jakie lokaj wykazywał dla szkielek, a obojętnością, z jaką traktował to, co się działo w domu klienta, lecz opamiętawszy się, wnet zrozumiał, że przecie nikt nie wie i nie jest obowiązany wiedzieć o jego, Lewina, uczuciach i że tym bardziej trzeba działać spokojnie, z rozwagą i stanowczością, by zrobić wyłom w tym murze obojętności i osiągnąć swój cel. „Nie należy się śpieszyć, ani też niczego zaniedbać” — mówił sobie czując coraz to większy przyływ energii fizycznej i czujności w stosunku do wszystkiego, czego należało dokonać.

Dowiedziawszy się, że doktor jeszcze nie wstał, Lewin wybrał ze wszystkich planów, jakie mu się nasuwały, następujący: Kuźma pojedzie z bilecikiem do innego lekarza, on sam zaś uda się do apteki po opium, a o ile po jego powrocie doktor jeszcze nie będzie na nogach, to albo trzeba będzie przekupić lokaja, albo o ile to się nie uda, gwałtem, za wszelką cenę obudzić doktora.

W aptece mizerny prowizor pieczętował za pomocą opłatka proszki dla czekającego stangreta (z tą samą obojętnością, z jaką lokaj czyścił szkiełka) i odmówił sprzedaży opium. Hamując się, by nie naglić prowizora i nie unosić się, Lewin wymienił nazwiska doktora i akuszerki, wytłumaczył, po co mu jest potrzebne opium, i począł przekonywać farmaceutę. Ten u kogoś, znajdującego się za

przepierzeniem, zasięgnął po niemiecku rady, czy można sprzedać opium, i po uzyskaniu stamtąd zgody wydobyl flaszeczkę, lejek, z wolna odlał z duzej butelki do malej, nalepil etykietke i zapieczetowal, mimo pr6sb Lewina, by tego nie czyni6. Chcial jeszcze flaszeczkę zawina6, ale tego juź Lewin znieść nie zdołal, energicznie wyrwal mu ją z r6ki i wypadł przez wielkie szklane drzwi z apteki. Doktor jeszcze nie był wstal i lokaj, który obecnie zajal się rozścielaniem dywanu, odmówil zbudzenia go. Lewin wydostal bez pośpiechu banknot dziesięciorublowy i wymawiając z wolna każde słowo, ale też nie tracąc czasu, podal mu banknot i wyjaśnił, że Piotr Dmitrycz (jakże wielki i pełen znaczenia wydał się teraz nagle Lewinowi dotąd tak nieznaczący lekarz!) obiecal zjawić się o każdej porze, że na pewno się nie rozgniewa i że dlatego powinien pana obudzić zaraz.

Lokaj wyrazil zgodę, udal się na górę i poprosil Lewina do poczekalni.

Lewin słyszał, jak doktor za drzwiami kaszlał, chodził, mył się i coś mówił. Przeszły ze trzy minuty: Lewinowi zdawało się, że czeka ponad godzinę. Nie był w stanie pohamować się dłużej.

— Doktorze, doktorze! — odezwał się błagalnym głosem spoza nie domkniętych drzwi. — Na miłość boską, proszę mi wybaczyć. Proszę mnie przyjąć tak, jak pan w tej chwili jest. Czekam juź dwie godziny.

— Zaraz, zaraz! — odezwał się doktor i Lewin ze zdumieniem dosłyszał, że mówi to z uśmiechem.

— Na sekundę...

— Zaraz.

Przeszły jeszcze dwie minuty, w czasie których doktor się obuł, i jeszcze dwie, które strawił na wkładaniu ubrania i czesaniu się.

— Doktorze! — zaczął znowu żalonym głosem Lewin, lecz w tej chwili doktor wyszedł ze swego pokoju już ubrany i uczesany. „Ci ludzie nie mają sumienia — pomyślał Lewin. — Czeszą się, podczas gdy my giniemy!”

— Dzień dobry! — doktor podał mu rękę, jakby drocząc się z nim swoim spokojem. — Niechże się pan tak nie śpieszy. No i cóż?

Usiłując być jak najbardziej rzeczowym Lewin jał zdawać sprawę ze wszystkich zbędnych szczegółów stanu żony, nieustannie przerywając opowiadanie prośbami, by doktor natychmiast z nim jechał.

— Niechże pan tak nie śpieszy. Przecie pan się na tym nie zna. Jestem z pewnością niepotrzebny, ale obiecałem, więc niechże tak będzie, przyjadę. Ale nie ma się po co śpieszyć. Niechże pan się rozgości. A może pan pozwoli kawy?

Lewin spojrzał na doktora: czyżby ten się z niego naigrawał? Ale doktor ani myślał się naigrawać.

— Wiem ja, wiem dobrze — uśmiechnął się — sam jestem człowiekiem familijnym. My, mężowie, jesteśmy w takich chwilach najbardziej godnymi litości ludźmi. Mam pacjentkę, której mąż przy takich okazjach zawsze ucieka do stajni.

— Ale jak pan myśli, doktorze? Czy sądzi pan, że przebieg może być pomyślny?

— Są wszystkie dane ku temu, że wynik będzie szczęśliwy.

— Więc pan zaraz przyjedzie? — Lewin ze złością spojrzał na służącego, który wniósł kawę.

— Za godzinę.

— Nie! Na miłość boską!

— No, więc niech mi się pan pozwoli napić kawy. Doktor zabrał się do swojej kawy. Nastąpiło — milczenie.

— Jednak tych Turków stanowczo biją. Czytał pan

wczorajszą depeszę? — zapytał doktor żując kawałek bułki.

— Nie, ja tak nie mogę! — Lewin zerwał się. — Więc pan będzie za kwadrans?

— Za pół godziny.

— Słowo honoru?

Wracając do domu Lewin spotkał się z nadjeżdżającą księżną; podeszli razem do drzwi sypialni. Księżna miała łzy w oczach, a ręce jej drżały. Ujrawszy Lewina objęła go i rozplakała się.

— No i cóż, Elżbieto Pietrowno, serce moje? — spytała chwytając za rękę akuszerkę, która wyszła na ich spotkanie, promienna, acz zaaferowana.

— Dobrze idzie — odrzekła — namówcie ją, państwo, by się położyła. Będzie jej lżej.

Z chwilą gdy Lewin obudził się i zrozumiał, co się dzieje, postanowił nic nie roztrząsać, nic nie przewidywać, zamknąć niejako na kłódkę wszystkie myśli i uczucia i znieść to, co go czekało, tak by nie denerwować żony, lecz przeciwnie, uspokajać ją i podtrzymywać jej odwagę. Nie pozwalając sobie nawet myśleć o tym, co się stać może, czym się to skończy, a sądząc o czasie trwania porodu z przeprowadzonych przez nią uprzednio wywiadów, gotów był cierpieć i trzymać się w garści około pięciu godzin, co mu się wydawało możliwe. Gdy jednak powrócił od doktora i znów stał się świadkiem jej cierpień, począł coraz częściej powtarzać: „Boże, przebacz i wspieraj”; wzdychać i wznosić oczy ku niebu; wreszcie przeląkł się, że nie zdoła się pohamować i rozplacze się albo ucieknie, taka to była dla niego męczarnia... A przecie minęła dopiero godzina.

Po tej godzinie wszelako przeszła jeszcze jedna, druga, trzecia, całe owe pięć godzin, które postawił sobie jako najdalszą metę cierpliwości, a stan był wciąż jednakowy, i

Lewin wciąż go znosił, nic mu bowiem innego pozostawało, jak tylko wytrzymać. Co chwila czuł, że osiągnięty został kres wszelkiej cierpliwości i że mu serce gotowe pęknąć ze współczucia.

Upływały wszakże minuty i godziny, i jeszcze dalsze godziny i wciąż narastały w nim cierpienia i groza, dochodząc do coraz większego nasilenia.

Dla Lewina przestały teraz istnieć owe zwykle warunki życia, bez których nic sobie wyobrazić niepodobna. Utracił poczucie czasu. Niektóre minuty — te, gdy ona wzywała go do siebie, gdy trzymał jej spoconą rękę, którą to ścisnęła jego dłoń z niezwykłą siłą, to ją odpychała — zdawały mu się długie jak godziny. Były też godziny, które równały się dla niego chwilom. Zdziwi się, gdy akuszerka poprosiła go, by zapalił świecę za parawanem, i dowiedział się, że jest już piąta po południu. Gdyby mu powiedziano, że jest dziesiąta rano, byłby równie mało zaskoczony. Nie zdawał sobie sprawy ani: tego, gdzie się przez ten czas znajdował, ani — co i kiedy się działo. Widział rozpaloną twarz żony, to błędną i udręczoną, to uśmiechniętą i dodającą mu otuchy. Widział i księżną, czerwoną, zdenerwowaną, z rozkręconymi siwymi lokami, z trudem łykającą lzy i zagryzającą wargi; widział i Dolly, i doktor palącego grube papierosy, i akuszerkę, której stanowczy i energiczny wygiął działał uspokajająco, i starego księcia przechadzającego się z chmurną miną p salonie. Widział ich wszystkich, lecz nie zdawał sobie sprawy, skąd przychodzili, dokąd odchodzili i gdzie się w ogóle znajdowali. Księżna raz była doktorem w sypialni, kiedy indziej — w gabinecie, gdzie nagle zjawił się nakryty stół; to znów była to nie księżna, lecz Dolly. Później Lewin przypomniał sobie, że go dokądś posyłano. Raz polecono mu przenieść stół; tapczan; przykładał się do tego z gorliwością,

sądząc, że to dla Kitty, al dowiedział się niebawem, że chodziło o przygotowanie noclegu dla niego samego. Potem kazano mu zapytać o coś doktora, który przebywał w gabinecie. Doktor udzielił odpowiedzi, a potem zaczął rozmowę o nieporządkach w radzie miejskiej. Posłano go też do sypialni, do księżnej, po obraz święty o srebrnej pozłacanej sukience i Lewin wraz ze starą panną służącą księżnej wszedł na szafeczkę, by go zdjąć, przy czym rozbił lampkę. Służąca księżnej starała się go uspokoić i co do żony, i co do stłuczonej lampki. Lewin przyniósł ikonę i umieścił u wezłowania Kitty, starannie zasuważąc obraz za poduszki; ale gdzie, kiedy to się wszystko działo i po co? — nie wiedział. Nie pojmował również, dlaczego księżna brała go za rękę i patrząc na niego ze współczuciem, prosiła, by się uspokoił, a Dolly namawiała go, żeby coś zjadł, i zabierała z pokoju, a nawet doktor spoglądał na niego poważnie i z politowaniem i proponował, że mu przepisze krople.

Wiedział jedynie i czuł, że to, co się teraz odbywa, podobne jest do tego, co dokonywało się przed rokiem w hotelu gubernialnego miasta, na łożu śmierci brata jego Mikołaja. Tylko że tam była żaloba — a tutaj radość. Tamta żaloba wszelako, zarówno jak i ta radość, była tak samo poza wszelkimi zwykłymi warunkami życiowymi, stanowiła w tym zwykłym życiu jakby jakąś lukę, przez którą przeglądało coś wznioślejszego. To, co się obecnie dokonywało, odbywało się równie ciężko i boleśnie, a dusza w tak samo niepojęty sposób wstępowała na widok tej wzniosłości na takie wyżyny, o jakich dotychczas nawet pojęcia nie miała, i dokąd rozsądek za nią podążyć już nie mógł.

„Boże, przebacz i wesprzyj” — powtarzał bez ustanku, czując mimo tak długiego i zdawałoby się zupełnego oderwania od wiary, że obecny jego zwrot do Boga pełen jest

takiej samej ufności i prostoty, jakie żywił za dni dzieciństwa i pierwszej młodości.

Przez cały ten czas władały nim, każdy z osobna, dwa nastroje. Jeden ogarniał go poza obecnością żony, gdy się znajdował w towarzystwie doktora — palącego papierosy, jednego za drugim, i gaszącego je o brzeg przepelnionej popielniczki — albo z Dolly i księciem. Mowa była o obiedzie, o polityce, o chorobie Marii Pietrowny, i Lewin nagle, na jedną chwilę, całkiem zapomniał o tym, co się tu odbywało, i czuł się jakby tylko co zbudzonym ze snu, i był drugi nastrój — w obecności Kitty u jej wezgłowia, kiedy serce ledwie nie pękało ze współczucia i kiedy nieustannie się modlił... Za każdym razem, gdy z owej chwili zapomnienia wyrwał go dolatujący z sypialni krzyk, popełniał ten sam dziwaczny błąd, który zdarzył mu się na początku: za każdym razem po usłyszeniu krzyku zrywał się, biegł, aby się usprawiedliwić, po drodze zaś Przypominał sobie, że to nie jego wina, i wtedy pragnął bronić, śpieszyć na pomoc. Patrząc wszakże na nią zdawał sobie na nowo sprawę, że pomoc nie ma sposobu, nachodził więc na niego strach i wtedy mówił: „Boże, przebacz i wesprzyj.” A im dłużej to się ciągnęło, tym wyraźniejsze stawały się oba nastroje: tym spokojniejszy był poza obecnością Kitty, całkiem o niej zapominając, i tym bardziej dręczące stawały się i same jej cierpienia, i poczucie bezsiły wobec nich. Zrywał się, pragnął dokąś uciec, biegł jednak znowu do niej.

Niekiedy, gdy go raz po raz przywoływała, miał o to do niej żal, lecz widząc jej pokorny uśmiech i słysząc słowa: „Ja ciebie zamęczam”, winił z kolei Boga, a znów na wspomnienie o Bogu wnet poczynał prosić o przebaczenie i zmiłowanie.

XV

Nie wiedział, czy jest późno, czy też wcześniej. Wszystkie świece już się dopalały. Dolly przed chwilą weszła była do gabinetu i zaproponowała doktorowi, by się trochę położył. Lewin siedział słuchając opowiadań doktora o szarlatanie — magnetyzerze, wpatrzony w popiół jego papierosa. Był to okres wypoczynku, zapamiętał się i nie wiedział już zupełnie o tym, co się działo. Słuchał opowiadania doktora i rozumiał je. Nagle rozległ się krzyk, nie dający się z niczym porównać. Krzyk był tak przerażający, że Lewin nawet się nie zerwał, lecz wstrzymując oddech spojrzął na doktora pytająco i ze strachem. Ten przechylił głowę na bok, nadśluchując, i uśmiechnął się z aprobatą. Wszystko było takie niezwykle, że nic już nie zdołało wywrzeć na Lewinie wrażenia. „Tak zapewne trzeba” — pomyślał i dalej siedział bez ruchu. Czyżże to mógł być krzyk? Porwał się i na palcach wpadł do sypialni, wyminął akuszerkę, księżnę i stanął na swoim miejscu u wezgłowia. Krzyk ucichł, ale zaszła za to jakaś zmiana — jaka? nie mógł dojrzeć ani dociec i nawet dojrzeć ani dociec nie pragnął. Widział to jednak z wyrazu Elżbiety Pietrowny: twarz jej była blada i surowa, a przy tym zawsze równie stanowcza, mimo lekkiego drgania szczęk; wzrok miała wlepiony w Kitty. Rozpalona, wymęczona twarzyczka, z pasmem włosów przyklejonym do spoconej skroni, odwróciła się ku Lewinowi szukając jego spojrzenia. Wzniesione ręce szukały jego rąk. Uchwyciwszy jego zimne dłonie w swoje spocone, poczęła je przyciskać sobie do twarzy.

— Nie odchódź, nie odchódź! Nie boję się, nie boję! — wymówiła szybko. — Mamo, proszę mi zdjąć kolczyki przeszkadzają mi. Nie boisz się, prawda? Już niedługo,

niedługo, Elzbiето Pietrowno...

Mówiła prędko, prędziutko i próbowała się uśmiechnąć, lecz nagle skurcz wykrzywił jej twarz, odepchnęła go.

— Nie, to straszne! Umieram, umieram! Idź stąd, idź! — krzyknęła i znów rozległ się ów do niczego innego niepodobny krzyk.

Lewin chwycił się za głowę i wypadł z pokoju.

— To nic, to nic, wszystko dobrze idzie! — zawołała za nim Dolly. Lecz cokolwiek by mu wmawiano, wiedział, że teraz wszystko jest stracone. Oparł głowę o uszak drzwi w sąsiednim pokoju; słyszał stamtąd czyjś, nigdy dotąd przezeń nie słyszany skowyt i ryk, wiedząc, że krzyczy ta, która niegdyś była jego Katią. Dawno już przestał życzyć sobie dziecka. Nienawidził teraz tego dziecka. Nie pragnął już nawet, aby Kitty żyła, pragnął jedynie końca tych straszliwych mąk.

— Doktorze. Co to znaczy? Co to? Boże mój! — rzekł chwytając za rękę wchodzącego doktora.

— Ma się już ku końcowi — odrzekł doktor, a twarz jego była przy tym tak poważna, że Lewin zrozumiał koniec w sensie zgonu.

W zapamiętaniu rozpaczony wpadł do sypialni. Pierwszą rzeczą, jaka go uderzyła, była twarz akuszerki: jeszcze bardziej niż przed chwilą chmurna i surowa. Twarzy Kitty nie było wcale: na miejscu, gdzie się dawniej znajdowała, zobaczył coś, co w straszliwym skurczu wydawało ten potworny dźwięk. Przypadł głową do ramy łóżka czując, jak mu się serce rwie na części. Okropny krzyk trwał niesłabnąco, stawał się jeszcze okropniejszy i — jakby dosięgnąwszy ostatnich granic okropności — nagle ucichł. Lewin nie wierzył własnym uszom, ale wątpić nie było można: krzyk ucichł i słychać było krzątaninę, szelest i

szybkie oddechy, a jej żywy i pełen czułości, rwący się ze szczęścia głos cichutko wypowiedział: „Skończone”.

Podniósł głowę. Z rękoma bezwładnie opadłymi na koldrę, niewymownie piękna i uciszona, Kitty patrzyła na niego bez słów, usiłując, ale nie mogąc się uśmiechnąć.

I nagle Lewin poczuł się przeniesiony z tego tajemniczego i straszliwego, nietutejszego świata, w którym przebywał przez owe dwadzieścia dwie godziny — do dawniejszego świata, zwykłego, lecz jaśniejszego obecnie takim nowym blaskiem szczęścia, że było to ponad jego siły. Wszystkie nazbyt napięte struny pękły naraz. Szloch i łzy radości, których się sam całkiem nie spodziewał, z taką siłą zerwały się w nim wstrząsając całym jego ciałem, że długo nie zdołał nic powiedzieć.

Zwalił się na kolana i trzymając u warg rękę żony okrywał ją pocałunkami, a ręka ta odpowiadała na pocałunki słabymi ruchami palców.

Tymczasem tam, w nogach łóżka, w zręcznych dłoniach akuszerki chwiało się — jak płomyczek nad lampką — życie ludzkiej istotki, która nigdy nie istniała i przedtem, a która, roszcząc sobie takie same prawa i poczuwając się do równej z innymi ważności, będzie żyła i dawała życie sobie podobnym.

— Żyje! Żyje! I w dodatku to chłopczyk! Niech się pani uspokoi! — usłyszał Lewin głos akuszerki, dającej drżącą ręką klapsy dziecku po plecach.

— Czy to prawda, mamó? — odezwał się głos Kitty. Odpowiedziało jej chlupanie księżnej.

A pośród ogólnego milczenia, niby niewątpliwa odpowiedź na słowa matki, rozległ się głos całkiem inny niż te przyciszone, które słyhać było w pokoju. Był to śmiały, zuchwały, całkiem bezwzględny krzyk nowej ludzkiej istoty,

która nie wiedzieć skąd się tutaj znalazła.

Gdyby na chwilę przedtem powiedziano Lewinowi, że Kitty umarła, i że on umarł z nią razem, że mają dzieci w postaci aniołków i że sam Pan Bóg jest tuż przed nimi — wcale by się tym nie zdziwił. Teraz wszelako, powrócony do świata rzeczywistości, musiał natężyć mózg z całej siły, by zrozumieć, że Kitty żyje, że jest w dobrym zdrowiu i że owo tak desperacko skowyczące stworzenie — to jego syn. Kitty żyła, cierpienia się skończyły i Lewin był niewymownie szczęśliwy. To było zrozumiałe i to go najzupełniej uszczęśliwiało... Ale dziecko? Skąd, po co, kto to taki?... Nie mógł tego pojąć w żaden sposób, nie mógł się do tej myśli wdrożyć. Wydawało mu się to czymś zbytecznym, nadmiarem, do którego długo nie mógł się przyzwycząić.

XVI

Po godzinie dziewiątej stary książę, Sergiusz Koznyszew i Obłoński siedzieli u Lewina i pogadawszy nieco o położnicy przeszli na tematy postronne. Lewin słuchał i bezwiednie wracał w czasie rozmowy myślą wstecz do tego, co się stało, zanim nadszedł dzisiejszy poranek, do siebie — takiego, jakim był w przeddzień, zanim się wszystko dokonało. Jakby sto lat minęło od tego czasu. Czuł, że stoi na jakiejś niedosiężnej wyżynie, z której ostrożnie się zniża, by nie urazić tych, z którymi rozmawiał. Mówił z nimi, a nieustannie myślał o żonie, o różnych szczegółach jej obecnego stanu i o synu, usiłując przystosować się do myśli o jego istnieniu. Cały świat niewieści, który po ożenku nabrał dlań nowego, przedtem nie znanego znaczenia, obecnie wzniósł się w jego pojęciu tak wysoko, że nie mógł go objąć wyobraźnią. Przysłuchiwał się rozmowie o wczorajszym

obiedzie w klubie i myślał: „Co się z nią teraz dzieje? Czy zasnęła? Jak się czuje? Może syn, Dymitr, krzyczy?” I w środku rozmowy, w środku zdania, zerwał się i wyszedł z pokoju.

— Daj mi znać, czy można do niej wejść — rzekł stary książę.

— Dobrze, zaraz — odrzekł Lewin i nie zatrzymując się poszedł do żony.

Nie spała; rozmawiała po cichu z matką, układając plan mających nastąpić chrzcin.

Ogarnięta, uczesana, w strojnym czepeczku z czymś niebieskim, leżała na wznak z rękoma na kołdrze i spotkawszy jego wzrok, poczęła go przywoływać oczyma. Spojrzenie jej, już i tak jasne, jaśniało coraz bardziej, w miarę jak się ku niej pochylał. W rysach jej zaszedł ten zwrot od ziemskośći ku nieziemskośći, jaki zachodzi w rysach zmarłych; tam jednak oznacza on pożegnanie, tutaj zaś powitanie. Wzruszenie podobne do wstrząsu, jakiego doznał w chwili porodu, ponownie napełniło mu serce. Ujęła jego rękę i spytała, czy się przespał. Nie mógł nic odpowiedzieć, odwracał głowę, wiedząc już, jak źle panuje nad sobą.

— A ja zdrzemnęłam się, Kostia! — powiedziała. — I tak mi teraz dobrze.

Patrzała na niego i nagle wyraz jej się zmienił.

— Proszę mi go dać — rzekła, usłyszała bowiem pisk dziecka. — Proszę mi go dać, Elżbieto Pietrowno. On go musi przecie także obejrzeć.

— Oto jest, niech go papa obejrzy — powiedziała akuszerka podnosząc i podając coś czerwonego i dziwnie chwiejnego. — Proszę zaczekać, najprzód musimy go ochędożyć — i akuszerka położyła to coś chwiejnego i czerwonego na łóżku, i poczęła rozwijać i znów zawijać

dziecko, i jednym palcem podnosząc je i przewracając, czymś je posypywać.

Lewin spoglądając na to żałośnie malutkie stworzonko robił daremne wysiłki, by znaleźć w swym sercu jakiegokolwiek oznaki ojcowskich dla niego uczuć. Czuł jedynie odrazę. Ale gdy je obnażono, gdy ukazały się cieniusieńkie rączki i nóżki koloru szafranu, mające również paluszki i nawet wielki palec, który odróżniał się od reszty, kiedy zobaczył, jak Elżbieta Pietrowna przyciskała, niby miękkie sprężynki, te czapierzące się rączki, owijając je w płócienne osłonki, ogarnęła go taka litość nad tym stworzeniem i taka obawa, by akuszerka nie zrobiła mu krzywdy, że przytrzymał jej rękę.

Elżbieta Pietrowna poczęła się śmiać.

— Nie ma strachu, proszę pana, nie ma strachu!

Gdy dziecko było już oprzątnięte i zmieniło się w twardą laleczkę, akuszerka pohuśtała je, jakby chcąc się pochwalić wykonaniem swego dzieła, po czym odsunęła się nieco, aby Lewin mógł ujrzeć syna w całej jego okazałości.

Kitty patrzyła z ukosa w tę stronę, nie odrywając oczu.

— Proszę mi go dać, proszę! — powiedziała i zrobiła ruch, jakby chcąc się podnieść na łóżku.

— Co też pani robi? Tego rodzaju ruchów zupełnie pani robić nie wolno! — obruszyła się położna. — Proszę zaczekać; zaraz go pani podam. Pokażemy najpierw tatusiowi, jaki z nas zuch!

I Elżbieta Pietrowna uniosła ku Lewinowi na jednym rękę (palce drugiej ręki podpierały chwiejający się karczek niemowlęcia) tę dziwną, chybotliwą, czerwoną istotkę, która kryła głowę za brzeg pieluszek, ale miała jednak nos, patrzące zezem oczy i cmokające wargi.

— Śliczne dziecko! — orzekła położna.

Lewin westchnął, przygnębiony. To śliczne dziecko wzbudzało w nim jedynie uczucie wstrętu i litości. Były to uczucia całkiem różne od tych, których się spodziewał.

Odwrocił się, podczas gdy akuszerka umieszczała dziecko u matczynej piersi, do której jeszcze było nie przyzwyczajone.

Nagle zabrzmiał śmiech. Lewin podniósł głowę: to śmiała się Kitty. Dziecko chwyciło pierś.

— No, już dosyć, dosyć! — mówiła Elżbieta Pietrowna, ale Kitty nie chciała dziecka oddać; zasnęło na jej rękach.

— Spójrz teraz — Kitty obróciła dziecko ku niemu tak, by mógł je widzieć. Staruszkowata twarzyczka zmarszczyła się jeszcze bardziej i dziecko kichnęło.

Uśmiechając się i z trudnością wstrzymując łzy rozczulenia Lewin pocałował żonę i wyszedł z zaciemnionego pokoju.

Odczuwał wobec tej malej istotki nie to wcale, czego się spodziewał. W uczuciu tym nie było nic pogodnego ani radosnego: przeciwnie, krył się w nim nowy, przygnębiający strach, świadomość, że przybyła mu jeszcze jedna dziedzina łatwa do zranienia. I zrazu świadomość ta była tak męcząca, obawa, by to bezbronne stworzonko nie ucierpiało, tak przemożna, że nawet nie zdawał sobie sprawy z dziwnej, bezsensownej radości, a nawet dumy, jaka go ogarnęła, gdy dziecko kichnęło.

XVII

Interesa Obłońskiego stały nie najlepiej.

Pieniądze za dwie trzecie lasu były już zjedzone i prawie całą resztę wybrał u kupca, z potrąceniem dziesięciu procent. Kupiec więcej pieniędzy nie dawał, tym bardziej, że tej zimy

Daria Aleksandrowna po raz pierwszy obstając przy prawie do swego własnego majątku odmówiła położenia na kontrakcie podpisu stwierdzającego, że pieniądze za resztę lasu otrzymała. Całą gażę pochłaniały wydatki na utrzymanie domu i na spłacenie drobnych długów, którym nigdy nie było końca. Nie mieli ani grosza.

Było to nieprzyjemne, niewygodne, i tak dłużej, zdaniem Stiepana Arkadjicza, trwać nie mogło. Uważał on, że całe zło płynęło z jego zbyt małej gaży. Zajmowana przezeń posada mogła się oczywiście liczyć do wielce korzystnych pięć lat temu, obecnie jednak stosunki całkiem się zmieniły. Pietrow, który był dyrektorem banku, otrzymywał dwanaście tysięcy, Święcicki — jako członek rady nadzorczej pewnego towarzystwa — siedemnaście. Mitin założył bank i brał pięćdziesiąt. „Oczywiście zaspiałem i zapomniano o mnie” — medytował Stiepan Arkadjicz. Począł tedy nadśluchiwać, wypatrywać i wynalazłszy pod koniec zimy bardzo dobre stanowisko ruszył do ataku — najpierw z Moskwy przez ciotki, stryjów, przyjaciół, a później, gdy sprawa dojrzała, na wiosnę sam pojechał do Petersburga. Była to jedna z tych różnego kalibru posad — obecnie w Rosji mnożyło się więcej, niż bywało dawniej, przytulnych posadek łapowniczych — przynoszących od tysiąca do pięćdziesięciu tysięcy rubli rocznego dochodu, a mianowicie stanowisko członka Komisji Połączonych Agentur Wzajemnego Kredytu Kolei Południowych i Instytucji Bankowych. Posada owa wymagała, jak wszystkie tego rodzaju stanowiska, takiej olbrzymiej wiedzy i takiej aktywności, jakie rzadko dadzą się znaleźć u jednego człowieka. Ponieważ człowiek łączący w sobie te wszystkie zalety nie istniał, tedy w każdym razie lepiej było, by posadę taką zajmował ktoś uczciwy niż nieuczciwy. Obłoński był nie tylko człowiekiem

przyzwoitym (bez nacisku na to słowo), ale był człowiekiem uczciwym (z naciskiem) w tym specyficznym znaczeniu, w jakim używa się go w Moskwie, gdy się mówi: uczciwy działacz, uczciwy pisarz, uczciwa gazeta, uczciwa instytucja, uczciwa tendencja — nie tylko mając na myśli to, że dany człowiek czy instytucja są bez zarzutu pod względem moralnym, lecz że przy okazji zdolne są spłatać małego figla rządowi. Obłoński obracał się w Moskwie wśród kół, gdzie słowo to było w użyciu, uważany tam był za człowieka uczciwego (z naciskiem) i stąd miał na tę posadę więcej praw niż ktokolwiek inny.

Stanowisko owo przynosiło od siedmiu do dziesięciu tysięcy rubli rocznie i Obłoński mógł je objąć nie porzucając swej rządowej posady. Zależało to od paru ministerstw, od pewnej damy i od dwóch Żydów. Wszystkie te osoby Obłoński musiał, mimo że grunt był tam wszędzie już przygotowany, odwiedzić w Petersburgu. Poza tym obiecał siostrze swej Annie, że uzyska od Karenina odpowiedź co do rozwodu. Wyprosiwszy więc u Dolly pięćdziesiąt rubli pojechał do Petersburga.

Siedząc w gabinecie Karenina i wysłuchując jego memoriału o powodach złego stanu finansów Rosji Obłoński czekał tylko chwili, gdy ten skończy, by zacząć mówić o swojej sprawie i o Annie.

— Tak, to zupełnie słuszne — rzekł, gdy Karenin zdjawszy pince-nez, bez którego obecnie czytać nie mógł, pytająco spojrział na swego byłego szwagra — to bardzo trafne, ale mimo to zasadą naszych czasów jest wolność.

— Owszem, lecz ja wysuwam inną zasadę, w której mieści się także i zasada wolności — odparł Karenin podkreślając słowo „mieści” i wkładając znów pince-nez, by na dowód przeczytać słuchaczowi ustęp, gdzie to było powiedziane.

I przerzuciwszy pięknie napisany manuskrypt o wielkich marginesach Karenin odczytał ustęp ponownie.

— Jestem przeciwny systemowi protekcyjnemu nie gwoli korzyści poszczególnych osób, lecz dla dobra ogółu, dla dobra klas niższych na równi z wyższymi — wykladał spoglądając na Obłońskiego sponad pince-nez. — Lecz o n i tego pojąć nie mogą; są zajęci jedynie prywatnymi interesami i ulegają urokowi frazesów.

Obłoński wiedział, że gdy Karenin poczyna mówić o tym, co robią i co mówią oni, ci właśnie, którzy odrzucali jego projekty i którzy winni byli wszelkiemu złu, jakie działo się w Rosji, wówczas jest już niedaleko do końca. Dlatego odstąpił na razie od zasady wolności i wyraził całkowitą zgodę. Karenin umilkł i począł w zamyśleniu przerzucać swój rękopis.

— Ale, ale, nawiasem mówiąc — zaczął Obłoński — chciałem cię prosić, byś w sposobnej chwili, gdy spotkasz Pomorskiego, szepnął mu słówko, że chciałem bardzo otrzymać wakujące stanowisko członka Komisji Połączonych Agentur Wzajemnego Kredytu Kolei Południowych.

Już się był przyzwyczyił do wymawiania tej nazwy, tak bliskiej jego sercu, i potrafił wypowiedzieć ją szybko i bezbłędnie.

Karenin najpierw wypytał szwagra, na czym polega działalność tej nowej komisji, a potem zamyślił się: medytował, czy w czynnościach tej instytucji nie było czegoś sprzecznego z jego projektami. Ponieważ jednak działalność nowej placówki była bardzo skomplikowana, a jego projekty miały ogromnie obszerny zasięg, nie mógł się od razu zorientować, zdjął więc pince-nez i oświadczył:

— Niewątpliwie, mogę mu o tym powiedzieć; ale po co ci właściwie to stanowisko?

— Dają dobrą pensję, do dziewięciu tysięcy, a moje środki...

— Dziewięć tysięcy — powtórzył Karenin i zmarszczył brwi. Wysoka cyfra tych poborów przypomniała mu, że ewentualne stanowisko Obłońskiego sprzeciwiałoby się już przez to samo głównemu celowi jego memoriałów, które wszystkie zmierzały ku oszczędności.

— Znajduję i napisałem o tym notatkę, że te olbrzymie pensje naszych czasów są oznaką fałszywej ekonomicznej *assiette** naszej administracji.

— Jakże chcesz! — bronił Obłoński. — Przypuśćmy nawet, że dyrektor banku bierze dziesięć tysięcy. Przecież jego praca jest tyle warta... Albo że inżynier otrzymuje dwadzieścia tysięcy. To też jest rzecz w każdym calu żywa!

— Moim zdaniem pobory są zapłatą za pewien towar i powinny podlegać prawu popytu i podaży. O ile zaś wymiar poborów odstępuje od tej zasady, jak gdy na przykład widzę, że z intytutu wychodzą dwaj inżynierowie, obaj o jednakowej wiedzy i uzdolnieniu, a potem jeden otrzymuje czterdzieści tysięcy, a drugi zadowala się dwoma tysiącami, albo to, że nominacje na dyrektorów banków z olbrzymimi poborami otrzymują absolwenci Wyższej Szkoły Prawniczej, huzarzy, ludzie nie mający żadnej wiedzy zawodowej — to wnioskuje stąd, że pensje wyznacza się nie według prawa popytu i podaży, lecz po prostu stronnictwo. Tu leży właśnie nadużycie, rzecz sama przez się poważna i wywierająca poza tym zły wpływ na służbę państwową. Przypuszczam, że...

Obłoński szybko mu przerwał:

— Tak, ale musisz się zgodzić, że powstaje nowa niewątpliwie pożyteczna instytucja. Jak sobie chcesz, placówka pełna życia! A specjalnie chodzi im o to, by sprawy

* *Assiette* — tu: podstawa.

były załatwiane uczciwie — i Stiwa wymówił ostatnie słowa z właściwym naciskiem.

Moskiewska wykładnia wyrazu *uczciwy* była jednak Kareninowi obca.

— Uczciwość jest właściwością negatywną — powiedział.

— Oddałbyś mi wielką przysługę — nalegał Obłoński — gdybyś zechciał jednak rzec słóweczko Pomorskiemu. Tak tylko, w rozmowie...

— Zdaje mi się, że to raczej zależy od Bołgarinowa.

— Bołgarinow ze swej strony wyraził całkowitą zgodę — powiedział Obłoński czerwieniąc się.

Zaczerwienił się na wzmiankę o Bołgarinowie, tego samego bowiem dnia rano odwiedził tego Żyda i wizyta owa zostawiła mu przykry posmak. Obłoński był mocno przekonany, że sprawa, której chciał służyć, była nowa, żywotna i uczciwa; tego ranka jednak, gdy Bołgarinow, oczywiście rozmyślnie, dał mu na siebie czekać przez dwie godziny w pokoju przyjęć wraz z innymi petentami, poczuł nagły niesmak.

Czy dlatego, że on, potomek Ruryka, książę Obłoński, antyszambrował przez dwie godziny u Żyda, czy też dlatego, że po raz pierwszy w życiu nie szedł za przykładem przodków, którzy służyli wyłącznie rządowi, lecz zamierzał obrać nowe pole działania — w każdym razie czuł się wielce zażenowany. W ciągu tych dwóch godzin czekania u Bołgarinowa Obłoński przechadzając się rażno po poczekalni i rozprostowując bokobrody to nawiązywał rozmowę z innymi petentami, to obmyślał kalambur na temat swego antyszambrowania u Żyda, a przez cały czas ukrywał jak najstaranniej przed innymi — i nawet przed sobą samym — uczucie, jakiego doznawał.

Przez cały ten czas było mu zdecydowanie przykro i czuł się nie wiedzieć dlaczego zaambarasowany: czy dlatego, że ze zdania: „Miałem do Żyda sprawę i wyczekiwałem”^{*} — nic się nie dawało zrobić, czy też z jakiegoś innego powodu. Gdy Bołgarinow w końcu przyjął go — zresztą nadzwyczaj uprzejmie, a przy tym z niekłamaną satysfakcją z powodu jego upokorzenia, i dał mu odpowiedź prawie równoznaczną z odmową — Obłoński postarał się jak najprędzej o tym zapomnieć. I teraz dopiero, przypomniawszy sobie cały incydent, poczerwieniał.

XVIII

— Mam do ciebie jeszcze jedną sprawę, wiesz już jaką: chodzi o Annę — powiedział po krótkiej pauzie, otrząsnąwszy się z przykrego wrażenia.

Skoro tylko Obłoński wymienił to imię, wyraz twarzy Karenina całkiem się zmienił: miejsce dotychczasowego ożywienia zajęło znużenie i martwota.

— Czego wy właściwie ode mnie chcecie? — to mówiąc obrócił się w fotelu i zamknął pince-nez.

— Decyzji, jakiejkolwiek decyzji, mój drogi. Zwracam się do ciebie teraz („nie jako do obrażonego męża”, chciał powiedzieć Obłoński, lecz zląkł się, by to nie popsuło sprawy, wobec czego użył innych wyrazów) nie jako do męża stanu (to znów wypadło ni przypiął, ni przylatał), ale po prostu jako do człowieka i chrześcijanina. Powinieneś zlitować się nad nią.

— To jest, jak to? — ściszym głosem wyrzekł Karenin.

— Tak jest: zlitować się nad nią. Gdybyś ją widział, tak jak ja ją widziałem — spędziłem z nią całą zimę — okazałbyś

* Miałem do Żyda sprawę i wyczekiwałem — w oryginale nieprzetłumaczalna gra słów: było dieło do žida i ja dožidałsia.

jej miłosierdzie. Położenie jej jest okropne, tak właśnie — okropne.

— Zdawało mi się — odparł Karenin dyszkantem nieledwie piskliwym — że Anna Arkadiewna ma wszystko to, czego sama pragnęła.

— Ach, mój drogi, na miłość boską, powstrzymajmy się od wzajemnych zarzutów! Co było, to było; wiesz przecie, czego ona obecnie pragnie i oczekuje — pragnie rozwodu.

— Sądziłem, że Anna Arkadiewna zrzeknie się rozwodu, o ile bym ja zażądał od niej zobowiązania, że mi pozostawi syna. Odpowiedziałem, już raz w tym sensie i przypuszczałem, że sprawa jest załatwiona... Osobiście uważam ją też za załatwioną — dyszkant Karenina przeszedł w przenikliwy krzyk.

— Ależ na Boga, nie unoś się — Obłoński uspokajająco dotknął kolan szwagra. — Nie, sprawa nie jest załatwiona. O ile pozwolisz mi zrekapitulować, to rzecz się miała następująco: gdyście się rozstawali, byłeś nad wszelki wyraz wspaniałomyślny, dałeś jej wszystko — wolność i nawet rozwód. Anna to oceniła... Nie przecz. Owszem, właśnie że oceniła, i to do tego stopnia, że w tym pierwszym okresie, uznając swoją wobec ciebie winę, nie przemyślała wszystkiego, a nawet przemyśleć nie mogła. Wszystkiego się wówczas zrzekła. Rzeczywistość jednak dowiodła, czas pokazał, że sytuacja jej jest ciężka, jest niemożliwa.

— Życie Anny Arkadiewny nie może wzbudzać we mnie żadnego zainteresowania — przerwał Karenin podnosząc brwi.

— Pozwól, że ci nie uwierzę — miękko zaoponował Obłoński. — Obecny stan rzeczy udręcza ją, i to bez żadnej dla kogokolwiek bądź korzyści. Powiesz, że na to zasłużyła. Anna o tym wie i o nic nie prosi, nawet mówi wprost, że o

nic prosić nie śmie. Ale ja, ale my, wszyscy krewni, wszyscy, którzy ją kochamy, my cię prosimy, błagamy. Po co Anna ma się męczyć? Komu to potrzebne?

— Pozwól, zdaje się, że robisz ze mnie w tej sprawie winowajcę? — rzekł Karenin.

— Ależ nie, bynajmniej — przekładał Obłoński dotykając znów jego ręki, jakby miał pewność, że dotknięcie to ułagodzi szwagra. — Mówię tylko jedno: położenie Anny to po prostu męczarnia, a ty możesz przynieść jej ulgę nic przy tym nie tracąc... urządziłbym ci to wszystko tak, że nawet byś nie poczuł... Obiecałeś przecie.

— Obietnicę dałem wówczas. Uważałem, że z chwilą powzięcia decyzji co do syna, rzecz była załatwiona. Poza tym miałem nadzieję, że Anna Arkadiwna będzie na tyle wspaniałomyślna... — Karenin mówił z trudnością: był błądy, wargi mu się trzęsły.

— Przecież ona pozostawia wszystko twojej wielkoduszności. Prosi, błaga tylko o jedno: o wybawienie jej z niemożliwej sytuacji, w jakiej się znalazła. O syna już cię nie prosi. Aleksy, przecież jesteś dobrym człowiekiem: postaw się na sekundę na jej miejscu; w tej sytuacji rozwód — to dla niej kwestia życia i śmierci. Gdybyś jej go wówczas był nie obiecywał, już by się dotychczas była pogodziła ze swym losem, mieszkałaby na wsi. Aleś ty przecie obiecał; napisała więc do ciebie, przybyła do Moskwy; obecnie w Moskwie, gdzie za każdym spotkaniem jakby jej kto nóż w serce wbijał, mieszka już od pół roku oczekując decyzji. Przecież to jest, jakby się kogoś na śmierć skazanego trzymało miesiącami z pętlą na szyi, obiecując — może śmierć, a może ułaskawienie. Zmiłuj się nad nią, a ja już biorę na siebie urządzenie wszystkiego tak, aby... *Vos*

*scrupules...**

— Nie mówię bynajmniej o tym... — przerwał z odrazą Karenin. — Ale jest możliwe, że obiecałem coś, czego nie miałem prawa obiecywać.

— Cofasz więc swą obietnicę?

— Nigdy nie odmawiałem spełnienia rzeczy możliwych, potrzeba mi jednak czasu, by się zastanowić, jak dalece to, co obiecałem, jest możliwe.

— Nie, Aleksy! — Obłoński zerwał się z miejsca — nie chce mi się wprost uwierzyć! Anna jest taka nieszczęśliwa, jak tylko kobieta nieszczęśliwą być może. Nie możesz odmówić jej takiej...

— O ile tylko to, co obiecałem, jest możliwe. *Vous professez d'être un libre penseur**. Lecz ja, jako człowiek wierzący, nie mogę w tak ważnej sprawie postąpić wbrew chrześcijańskim nakazom.

— O ile ja wiem, to w społeczeństwach chrześcijańskich, także i u nas, rozwód jest dozwolony — przekonywał Obłoński. — I nasza Cerkiew toleruje rozwody. Widzimy przecie...

— Toleruje, ale nie w takim wypadku.

— Nie poznaję ciebie, Aleksy — rzekł po chwili milczenia Obłoński. — Przecież to ty, nie kto inny (i jakeśmy to wtedy podziwiali!), przebaczyłeś wszystko i wiedziony chrześcijańskim uczuciem, gotów byłeś wszystkiego się wyrzec? Sameś powiedział wówczas: należy oddać i kaftan, gdy zabierają człowiekowi koszulę. A teraz...

— Proszę bardzo — Karenin nagle podniósł się i blady, z drgającą dolną szczęką, począł mówić swym piskliwym dyszkantem: — Proszę o zaprzestanie, zaprzestanie... tej rozmowy.

* *Vos scrupules* — twoje skrupuły.

* *Vous professez...* — ty uważasz się za wolnomyśliciela.

— Ależ tak! Wybacz, wybacz, jeśli cię uraziłem — z zakłopotanym uśmiechem tłumaczył się Stiepan Arkadjicz — rozumiesz jednak, że jako poseł, musiałem wypowiedzieć to, co mi zlecono.

Karenin podał mu rękę, zamyślił się i wreszcie wyrzekł:

— Muszę namyślić się, poszukać wskazań. Pojutrze dam ci ostateczną odpowiedź. — Słowa te wyglądały na to, że powziął nagle jakiś zamysł.

XIX

Obłoński miał już odejść, gdy wszedł Korniej i zameldował:

— Sergiusz Aleksieicz!

— Kto to taki?... — w środku zapytania Obłoński się jednak zorientował.

— Ach, Sierioża! — zawołał. — „Sergiusz Aleksieicz”! Sądziłem, że to jakiś dyrektor departamentu. — „Anna prosiła mnie nawet, bym się z nim zobaczył” — przypomniał sobie.

I stanął mu w oczach ten nieśmiały, żalony wyraz, z którym Anna powiedziała mu przy pożegnaniu: „Będiesz go pewnie widział. Dowiedz się szczegółowo, gdzie on jest, kogo ma teraz przy sobie. I Stiwa... gdyby można! Przecież to jest możliwe, nieprawdaż?” Zrozumiał aż nadto dobrze, co oznaczało to „gdyby można”: chodziło o przeprowadzenie rozwodu tak, aby oddano jej syna... Obecnie widział, że mowy o tym być nie może, ale rad był zobaczyć siostrzeńca.

Karenin przypomniał mu, że z chłopcem nigdy się nie mówi o matce, i prosił go, by ani słowem o niej nie wspominał.

— Po tamtym widzeniu z matką, któregośmy nie prze-wi-

dzie-li, był bardzo chory — powiedział Karenin. — Baliśmy się nawet o jego życie. Odpowiednia kuracja i morskie kąpiele w lecie polepszyły stan jego zdrowia, a teraz za radą doktora oddałem go do szkoły. I rzeczywiście wpływ kolegów dobrze na niego podziałał: jest całkiem zdrow i dobrze się uczy.

— To dopiero zuch chłopak! Już nie Sierioża, lecz cały Sergiusz Aleksieicz! — Obłoński patrzył z uśmiechem na ładnego, rozrosłego chłopca w niebieskiej kurtce i długich spodniach, który dziarsko i ze swobodą wszedł do pokoju. Wyglądał zdrow i wesół. Ukłonił się wujowi jak komuś obcemu, lecz poznawszy go zarumienił się i spieszenie się odeń odwrócił, jakby czymś urażony czy rozgniewany. Podszedł do ojca i podał mu kartkę ze stopniami otrzymanymi w szkole.

— To całkiem zadowolające — rzekł Karenin. — Możesz odejść.

— Schudł, wyrósł, przestał być dzieckiem: to już chłopak; to mi się podoba — mówił Obłoński. — Czy mnie pamiętasz?

Chłopiec obejrzał się szybko na ojca.

— Pamiętam, *mon oncle** — odrzekł i spojrzał na wuja, po czym znowu spuścił oczy.

Wuj przywołał go bliżej i wziął go za rękę.

— No i cóż, co porabiasz? — zapytał mając ochotę dłużej z chłopcem pogawędzić, a nie wiedząc, jak się do tego zabrać.

Chłopiec rumienił się i w milczeniu usiłował uwolnić swą rękę z dłoni wuja. Skoro tylko Obłoński ją puścił, Sierioża spojrzawszy pytająco na ojca — jak ptak, któremu zwrócono wolność — szybko znikł z pokoju.

* *Mon oncle* — wuju.

Rok minął od czasu, gdy Sierioża widział matkę po raz ostatni. Odtąd nigdy więcej o niej nie słyszał. W tym samym roku oddano go do szkoły, gdzie poznał i polubił kolegów. Marzenia i wspomnienia o matce, które po tym widzeniu wywołały u niego chorobę, obecnie go już nie interesowały. Gdy przychodziły mu do głowy, usilnie je odpędzał, uważając to za coś, czego się należało wstydzić, coś, co było właściwe dla dziewczynek, a nie dla chłopca mającego kolegów. Wiedział, że pomiędzy ojcem a matką istniał zatarg, na skutek którego rozstali się; wiedział, że sążone mu było pozostać z ojcem, starał się więc do tej myśli przywyknąć.

Widok podobnego do matki wuja zrobił mu przykrość, wywoływał bowiem te właśnie wspomnienia, które uważał za wstydlive. Tym bardziej mu to było przykre, że z pewnych słów, jakie dosłyszał czekając u drzwi gabinetu, a potem z wyrazu twarzy ojca i wuja domyślił się, że musiała być między nimi mowa o matce. Nie chcąc krytykować ojca, z którym pozostawał i od którego był zależny, a zwłaszcza nie chcąc poddać się uczuciowości, którą uważał za coś wielce poniżającego, Sierioża starał się wcale nie patrzeć na tego wuja, który się zjawił, by podkopać jego spokój, i usiłował nie myśleć o tym, co ów wuj mu przypominał.

Obłoński jednak wyszedł tuż za nim i widząc siostrzeńca na schodach przywołał go i zapytał, jak spędza czas w szkole poza lekcjami. Sierioża w nieobecności ojca rozgadał się z wujem.

— My się teraz bawimy w kolej żelazną — odpowiedział na pytanie Obłońskiego. — To jest tak: dwóch siada na ławce — ci są pasażerami. A jeden staje na tej samej ławce. Wszyscy się do niej zaprzęgają — można ją ciągnąć rękoma, można i paskiem — a potem pędem wloką ławkę przez wszystkie sale. Drzwi są już naprzód pootwierane. No, i jest

bardzo trudno być tym konduktorem.

— To ten, który stoi, nieprawdaż? — uśmiechnął się Obłoński.

— Tak: bo tu potrzeba i odwagi, i zrzeczności, zwłaszcza gdy nagle pociąg staje lub kiedy ktoś się przewróci.

— Rozumiem. To nie żarty — i Obłoński wpatrywał się ze smutkiem w te błyszczące ożywieniem oczy, tak podobne do oczu matki, oczy już nie dziecięce, już nie całkiem niewinne. I chociaż obiecał Kareninowi, że nie wspomni imienia Anny, coś go skusiło:

— A matkę pamiętasz? — spytał nagle.

— Nie pamiętam — szybko odrzekł Sierioża, zrobił się purpurowy i spuścił oczy. Wuj nie mógł już potem nic z niego wydobyć.

Guwerner Serb po pół godzinie znalazł swego wychowanka na schodach i długo nie mógł rozpoznać, czy chłopiec jest zły, czy też płacze.

— I cóż, pewnieś się potłukł padając? — zapytał. — Mówiłem, że to niebezpieczna zabawa. Trzeba ostrzec dyrektora.

— Gdybym się nawet potłukł, nie dałbym tego po sobie poznać, to pewne!

— W takim razie co ci jest?

— Proszę mi dać spokój! Pamiętam czy nie pamiętam... Co mu do tego? Po co miałbym pamiętać? Dajcie mi święty spokój! — zwrócił się już nie do wychowawcy, lecz do całego świata.

XX

Obłoński w Petersburgu swoim zwyczajem nie próżnował. Poza sprawami, jakie miał do załatwienia w stolicy: swojej

posady i rozwodu siostry, czuł potrzebę orzeźwienia się, jak powiedział, po moskiewskiej stęchliźnie.

Moskwa, mimo swych *cafes chantants** i omnibusów, to było jednak zastale błoto. Tak to zawsze odczuwał Obłoński. Dłuższy pobyt w Moskwie, zwłaszcza na łonie rodziny, wywoływał u niego upadek ducha. O ile długo pozostawał bez przerwy w domu, dochodziło do tego, że zły humor i wyrzuty żony przestawały mu być obojętne, że poczynął się kłopotać o zdrowie i wychowanie dzieci oraz interesować się drobiazgowo urzędem. Nawet to, że miał długi, poczynąło wzbudzać w nim pewien frasunek. Wystarczało jednak, by przyjechał do Petersburga i trochę pobył w kółku, w którym się zazwyczaj obracał, kółku, gdzie się żyło, tak właśnie — żyło, a nie wegetowało jak w Moskwie, wnet myśli te zniknęły, topniały jak wosk za zbliżeniem ognia.

Żona?... Dziś właśnie rozmawiał z księciem Czeczeńskim. Czeczeński miał żonę i rodzinę: jego dorośli synowie byli w Korpusie Paziów... A poza tym miał rodzinę nieślubną, gdzie również istniały dzieci; i księżę Czeczeński, mimo że pierwsza rodzina miała także swoje dobre strony, czuł się szczęśliwy z drugą. Zwykł nawet zabierać najstarszego syna ze sobą do rodziny nieślubnej uważając, jak zwierzał się Obłońskiemu, że było to z pożytkiem dla rozwoju chłopca. Co by na to powiedziano w Moskwie?

Dzieci? W Petersburgu dzieci nie przeszkadzały ojcom żyć i chowały się w instytucjach. Tu nie istniało dzikie pojęcie, rozpowszechnione w Moskwie — jak na przykład w rodzinie Lwowów — że dzieciom należy się od życia samo używanie, rodzicom zaś tylko praca i kłopoty. Tutaj rozumiano, że obowiązkiem każdego jest żyć dla siebie tak, jak powinien żyć kulturalny człowiek.

* *Cafes chantants* — kabarety.

Sprawowanie urzędu? I ono również nie było tutaj tą wytrwałą, beznadziejną dłubaniną, nad którą ślęczało się w Moskwie, przeciwnie, budziło zainteresowanie. Jakaś znajomość, jakaś przysługa, jakieś lotne słówko lub umiejętność zabawnego naśladowania różnych osób — i nagle człowiek robił karierę, jak na przykład Briancew, którego Stiwa spotkał w przeddzień i który był dziś jednym z najwyższych urzędników. Tak, tego rodzaju służba mogła być interesująca.

Najbardziej jednak uspokajająco działał na Obłońskiego petersburski pogląd na sprawy pieniężne. Bartniański, który, sądząc z *train**, jaki prowadził, musiał wydawać co najmniej pięćdziesiąt tysięcy rocznie, powiedział mu na ten temat dnia poprzedniego parę zastanawiających zdań. Przed obiadem, rozgadawszy się z nim, Stiepan Arkadycz rzekł:

— Zdaje mi się, że jesteś w dobrych stosunkach z Mordwińskim; mógłbyś mi oddać przysługę: powiedz mu, proszę cię, słówko w mojej sprawie. Chodzi o stanowisko, które pragnąłbym otrzymać... Jako członek agencji...

— Daj pokój, i tak tego nie zapamiętam... Ale że ci się też chce leźć do tych Żydów z ich sprawami kolejowymi?! Jak sobie chcesz, to przecie paskudztwo!

Obłoński nic mu nie wspomniał o pulsującej życiem placówce. Bartniański by tego nie zrozumiał.

— Potrzebuję pieniędzy: nie mam z czego żyć.

— Przecież żyjesz.

— Żyję, ale mam długi.

— Co ty gadasz? Dużo? — ze współczuciem zapytał Bartniański.

— Bardzo dużo: ze dwadzieścia tysięcy. Rozweselony Bartniański począł się zaśmiewać.

* *Train* — tryb życia.

— Ach, ty szczęśliwcze! — zawołał. — Ja mam długów półtora miliona, nic poza tym nie posiadam i jak widzisz, jako tako sobie żyję.

Obłoński o prawdzie tych słów przekonał się nie z frazesów tylko, lecz z faktów. Żywachow miał trzysta tysięcy długów i majątku ani kopiejki, a żył, i to jeszcze jak żył! Hrabia Krywcow, na którym od dawna postawiono krzyżyk, miał dwie utrzymanki. Pietrowski przepuścił pięć milionów, a żył na dawnej stopie i zajmował nawet w ministerstwie skarbu stanowisko z poborami dwudziestu tysięcy rubli rocznie... Ale poza tym wszystkim Petersburg wywierał na Stiepana Arkadjicza dobroczynny wpływ pod względem fizycznym i odmładzał go. W Moskwie raz po raz stwierdzał, że siwieje, zasypiał po obiedzie, przeciągał się, powoli, ciężko dysząc wchodził na schody, nudził się w towarzystwie młodych kobiet, na balach nie tańczył. W Petersburgu spadało mu z karku dobre dziesięć lat.

Doświadczał tego właśnie, co mu jeszcze w przeddzień opowiadał sześćdziesięcioletni krewniak, książę Piotr Obłoński, który świeżo powrócił był z zagranicy.

— Nie umiemy tu w kraju żyć — prawil. — Wyobraź sobie, że spędziłem lato w Badenie; doprawdy, czułem się tam zupełnie młody. Przy spotkaniu z młodą kobietą — co za myśli!... Zje człowiek obiad, trochę wypije — co za siła w niego wstępuje, co za energia! A jak tylko znalazłem się w Rosji — musiałem wracać do żony, i w dodatku na wieś — nie uwierzysz: już po dwóch tygodniach włożyłem szlafrok, przestałem się przebierać do obiadu. Ani mi w głowie młode kobiety; całkiem się zestarzałem! Tylko zbawienie duszy mi pozostało... Pojechałem do Paryża i znów się podreperowałem.

Stiepan Arkadjicz odczuwał tę samą różnicę co Piotr

Obłoński. W Moskwie do tego stopnia gnuśniał, że gdyby pozostawał tam dłużej, doszedłby, kto wie, czy nie aż do troski o zbawienie duszy; za to w Petersburgu czuł się znów jak przyzwoity człowiek.

Pomiędzy księżną Betsy Twerską a Stiepanem Arkadjiczem istniał od dawna bardzo dziwny stosunek: Stiepan Arkadjicz żartami stale się do niej zalecał i mówił jej — również żartem — największe nieprzyzwoitości wiedząc, że się jej to nade wszystko podoba. Nazajutrz po rozmowie z Kareninem odwiedził ją i czuł się tak bardzo młody, że zabrnął w swoich żartobliwych zalecankach i bezmyślniej gadanie za daleko i nie wiedział już, jak z tego wybrnąć, na nieszczęście bowiem Betsy nie tylko mu się nie podobała, ale czuł do niej wręcz odrazę. Ton ów zaś ustalił się pomiędzy nimi, ponieważ to on się jej bardzo podobał. Ucieszył się więc szczerze, gdy przyjechała księżna Miagkaja i przerwała ich sam na sam.

— A, to i księżę jest tutaj — rzekła na jego widok. — I cóż się dzieje z biedną siostrą księcia? Niechże księżę tak na mnie nie patrzy — dodała. — Od czasu, gdy wszyscy się tak na nią rzucili, i to ci, którzy są od niej sto tysięcy razy gorsi, nabrałam przekonania, że postąpiła zupełnie słusznie. Nie mogę darować Wrońskiemu, że mi nie dał znać, kiedy Anna była w Petersburgu. Byłabym ją odwiedziła i wszędzie z nią bywała. Proszę, niech księżę powie jej ode mnie mnóstwo serdeczności i niechaj mi księżę o niej opowie.

— Istotnie, sytuacja jej jest trudna. Siostra moja... — rozpoczął swe opowiadanie Stiepan Arkadjicz, który w prostocie ducha przyjął słowa księżnej: „Niech mi księżę o niej opowie”, za dobrą monetę. Księżna Miagkaja natychmiast, wedle swego zwyczaju, przerwała mu i poczęła sama opowiadać:

— Zrobiła to, co wszyscy, prócz mnie jednej, robią, ale w ukryciu; ona zaś nie chciała nic udawać i doskonale zrobiła. A jeszcze bardziej ją pochwalam za to, że porzuciła tego półgłówka, szwagra księcia. Przepraszam, że tak mówię. Wszyscy twierdzili bez końca, że to jest człowiek rozumny, ja jedna tylko uważałam go za głupca. Teraz, kiedy się pokumał z Lidią Iwanowną i z Landauem, wszyscy go uważają za półgłówka. Chętnie bym im wszystkim zaprzeczyła, cóż, kiedy tym razem nie mogę.

— Niechże mi księżna wytłumaczy — zdziwił się Obłoński — co to znaczy. Wczoraj byłem u Karenina w sprawie siostry, prosząc go o ostateczną odpowiedź. Odpowiedzi mi nie dał, prosił natomiast o czas do namysłu, a dziś rano zamiast decyzji otrzymałem zaproszenie na wieczór do Lidii Iwanowny.

— Otóż to właśnie! — ucieszyła się księżna Miagkaja. — Będą pytali Landaua o zdanie.

— Jak to Landaua? Dlaczego? Któż to taki?

— To książę nie zna *Jules Landau, le fameux Jules Landau, le clairvoyant*?* To również półgłówek; od niego jednak zależy los pani Karenin. Oto są skutki mieszkania na prowincji: książę o niczym nie wie. Landau, proszę sobie wyobrazić, był *commis** w pewnym sklepie w Paryżu. Razu pewnego poszedł do doktora; tam w poczekalni zasnął i począł przez sen wszystkim pacjentom udzielać porad lekarskich. Rady te były zdumiewająco trafne. Potem żona Juliusza Meleidyńskiego — wie książę? tego chorego — dowiedziała się o nim i sprowadziła go do męża. Landau go leczy; nic mu nie pomógł — chory jest równie słaby jak przedtem — ale Meleidyńscy wierzą w niego i wożą go ze sobą. Przywieźli go też i do Rosji. Tu wszyscy sięgną niego

* *Jules Landau*... — Jules Landau, słynny Jules Landau, jasnowidz.

* *Commis* — sprzedawca.

rzucili i zaczął wszystkich leczyć. Biezzubową wyleczył, a ta go tak pokochała, że aż go adoptowała.

— Jak to? — adoptowała?

— Zwyczajnie, usynowiła. Teraz nie nazywa się on już Landau, lecz hrabia Biezzubow. Ale nie o to chodzi. Lidia — lubię ją bardzo, ale ona ma stanowczo bzika — rzuciła się teraz na tego Landaua i bez niego ani ona, ani Karenin kroku nie zrobią. Dlatego los siostry księcia spoczywa teraz w rękę tego Landaua, inaczej mówiąc, hrabiego Biezzubową.

XXI

Po wyśmienitym obiedzie u Bartniańskiego i dużej ilości wypitego koniaku Obłoński, z nieznacznym tylko opóźnieniem w stosunku do oznaczonej godziny, wchodził w progę hrabiny Lidii.

— Kto jest jeszcze u pani hrabiny? Francuz? — zapytał szwajcara przyglądając się paltotowi Karenina, który tylekroć widywał i obok którego wisiał jeszcze w przedpokoju dziwny płaszcz z jakimś naiwnym zapięciem.

— Aleksy Aleksandrowicz Karenin i pan hrabia Biezzubow — surowo odrzekł szwajcar.

„Księżna Miagkaja zgađła — pomyślał Obłoński wchodząc na schody. — To dziwne! Byłoby jednak dobrze zawrzeć z nią bliższą znajomość. Ma olbrzymie wpływy. Gdyby tak zechciała szepnąć słówko Pomorskiemu, sprawa byłaby załatwiona.”

Na dworze było jeszcze zupełnie jasno, lecz w małym saloniku hrabiny Lidii stopy były spuszczone i paliły się już lampy.

Przy okrągłym stole pod lampą siedziała hrabina z Kareninem, rozmawiając o czymś po cichu. Szczupły,

niewielkiego wzrostu człowiek, o wyraźnie kobiecej budowie bioder i nieco pałakowatych nogach, oglądał w dalszej części pokoju ścianę zawieszoną portretami. Był bardzo blady, przystojny, miał piękne błyszczące oczy, a włosy nosił tak długie, że leżały mu na kołnierzu od surduta. Po przywitaniu się z panią domu i Kareninem Obłoński mimo woli spojrział raz jeszcze w stronę nieznanego.

— *Monsier Landau!* — delikatnie, z uderzającą słodyczą odezwała się hrabina i zapoznała go z Obłońskim.

Landau szybko się obejrzał, z uśmiechem złożył w wyciągniętą rękę Obłońskiego swą nieruchomą, spoconą dłoń i zaraz znów odszedł, by oglądać dalej portrety. Hrabina i Karenin popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

— Bardzo mi przyjemnie widzieć księcia u siebie, zwłaszcza dzisiaj — hrabina Lidia wskazała Obłońskiemu miejsce obok Karenina.

— Przedstawiłam go księciu jako Landaua — dodała po cichu, spojrzawszy wprawdzie na Francuza, a zaraz potem na Karenina — ale właściwie jest to hrabia Biezzubow, jak ksiączę zapewne już wie; on jednak nie lubi tego tytułu.

— Istotnie, słyszałem — odrzekł Stiwa — mówią, że on całkiem wyleczył panią Biezzubow.

— Była dziś u mnie; naprawdę wzbudza litość! — pani domu zwróciła się do Karenina. — Rozstanie to jest dla niej czymś strasznym. To taki cios!

— Czy on rzeczywiście wyjeżdża? — spytał Karenin.

— Tak, wraca do Paryża. Wczoraj słyszał głos — hrabina Lidia spojrziała na Obłońskiego.

— Ach tak, głos! — powtórzył ten wyczuwając, że należy się zachowywać jak najostrożniej w tym gronie, w którym działo się lub miało się dopiero stać coś osobliwego, coś, do czego jeszcze nie miał klucza.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym hrabina Lidia, przystępując niejako do głównego przedmiotu rozmowy, zwróciła się do Obłońskiego z subtelnym uśmiechem:

— Znam księcia od dawna i cieszę się bardzo z bliższego naszego poznania. *Les amis de nos amis sont nos amis**. Lecz na to, by naprawdę być czyimś przyjacielem, należy wmyślać się w stan jego duszy; obawiam się, że książę nie czyni tego w stosunku do Aleksego Aleksandrowicza. Książę rozumie, co mam na myśli — dodała podnosząc na niego swe piękne, pełne zadumy oczy.

— Do pewnego stopnia rozumiem, że sytuacja mego szwagra... — zaczął Obłoński nie całkiem pojmując, o co chodzi, pragnąc przeto ograniczyć się do ogólników.

— Nie mówię o zmianach zewnętrznych — przerwała z powagą hrabina Lidia nie odrywając zakochanego spojrzenia od Karenina, który tymczasem wstał i podszedł do Landaua — zmiana dotyczy jego serca; ma dziś serce odnowione. Obawiam się, że książę nie całkiem zdaje sobie sprawę ze zmiany, jaka w nim zaszła.

— To jest... mogę sobie w ogólnym zarysie tę zmianę wyobrazić. Byliśmy zawsze zaprzyjaźnieni, a teraz... — mówił Stiepan Arkadycz odpowiadając hrabinie czułym spojrzeniem, a jednocześnie usiłując zorientować się, z którym z dwóch ministrów jest ona w bardziej zażyłych stosunkach, u którego z nich więc ma ją prosić o wstawiennictwo.

— Zmiana, która w nim zaszła, nie może osłabić uczucia miłości, jaką żywi on dla bliźnich; przeciwnie, owa zmiana miłość tę jeszcze bardziej rozniecić powinna... Ale czy książę mnie rozumie? Obawiam się, że nie... Może herbaty? — spytała wskazując wzrokiem na lokaja, który podawał tacę

* *Les amis*... — przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi.

z herbatą.

— Nie całkiem, proszę pani. Oczywiście, że to nieszczęście.

— Tak, nieszczęście, które zmieniło się we wzniósłe szczęście, z chwilą gdy odnowione serce Nim się nappełniło — rzekła wpatrzona w Obłońskiego z wyrazem zakochania.

„Poproszę ją, by napomknęła o mojej sprawie obu ministrom” — zdecydował Stiepan Arkadjicz.

— Ach, naturalnie, proszę pani — potwierdził — sędzę jednak, że zmiany takie są tak intymne, że nikt, nawet najbliższy przyjaciel, nie waży się ich poruszać.

— Przeciwnie! Powinniśmy o nich mówić i wzajemnie sobie pomagać.

— Tak, niewątpliwie... Lecz zachodzą czasami takie różnice przekonań, a poza tym... — tu Obłoński uśmiechnął się miękko.

— Nie może być różnic tam, gdzie chodzi o prawdy święte.

— O tak, oczywiście, ale... — Stiepan Arkadjicz zmieszał się i zamilkł, zrozumiał bowiem, że pani domu ma na myśli religię.

— Zdaje się, że on zaraz zaśnie — znacząco szepnął Karenin zbliżając się do hrabiny Lidii.

Obłoński obejrzał się: Landau siedział przy oknie ze spuszczoną głową, oparty łokciami o poręczę fotela. Gdy poczuł zwrócone na niego spojrzenia, podniósł głowę i uśmiechnął się dziecięco naiwnym uśmiechem.

— Nie zwracajcie, panowie, na niego uwagi — powiedziała hrabina Lidia i przysunęła nieznacznie krzesło Kareninowi. — Zauważyłam... — przerwała, bowiem do pokoju wszedł lokaj z bilecikiem. Przebiegła prędko oczyma liścik i przeprosiwszy, z niesłychaną szybkością napisała i

oddała służącemu odpowiedź, po czym powróciła do stołu. — Zauważyłam — kończyła rozpoczęte zdanie — że mieszkańcy Moskwy są niezwykle obojętni w stosunku do religii, zwłaszcza mężczyźni.

— Bynajmniej. Zdaje mi się, proszę pani, że przeciwnie, moskwiczanie mają reputację ludzi najbardziej niezachwianych w wierze — zaprotestował Obłoński.

— Ale zdaje mi się, że ty, niestety, należysz do obojętnych — ze znużonym uśmiechem zwrócił się do niego Karenin.

— Jak można być obojętnym! — zawołała hrabina Lidia.

— Jeśli o to chodzi, to jestem nie tyle obojętny, co zajmuję stanowisko wyczekujące — tu Obłoński zastosował swój najbardziej ujmujący uśmiech. — Nie zdaje mi się, by dla mnie nastąpił właściwy czas do tych spraw.

Karenin i hrabina Lidia zamienili spojrzenia.

— Nigdy nie możemy wiedzieć, czy nastąpił dla nas ten czas, czy nie — surowo zauważył Karenin. — Nie powinniśmy się wcale zastanawiać nad tym, czyśmy gotowi, czy niegotowi; łaska nie kieruje się ludzkimi względami: niekiedy zstępuje na nie przygotowanych, a omija tych, którzy o nią zabiegają, tak jak w wypadku Szawła.

— Nie, zdaje się, że jeszcze nie — powiedziała Lidia Iwanowna, która tymczasem obserwowała ruchy Francuza.

Landau wstał i podszedł ku nim:

— Czy pani pozwoli i mnie posłuchać?

— O tak, nie chciałam tylko panu przeszkadzać — z czułością uśmiechnęła się hrabina Lidia. — Niechże się pan do nas przysiadzie.

— Na to, by nie być pozbawionym światła, wystarczy nie zamykać oczu — ciągnął dalej Karenin.

— O, gdyby książę wiedział, jakiego szczęścia się doznaje, gdy się odczuwa Jego nieustanną obecność w duszy! —

rzekła Lidia Iwanowna z rozanielonym uśmiechem.

— Ale można się przecie czuć niezdolnym do wzniesienia się na takie wyżyny — Stiepan Arkadjicz był świadomy własnej obłudy, skłaniającej go do uznawania religijnych wzniosłości i nie pozwalającej mu przyznać się do swego wolnomyślicielstwa w obliczu osoby, która jednym słówkiem szepniętym Pomorskiemu mogła dlań uzyskać upragnioną posiadłość.

— Księżę ma na myśli, że grzech może w tym przeszkadzać — powiedziała hrabina Lidia. — To błędny pogląd. Dla wierzących grzech nie istnieje; grzech został już okupiony. *Pardon* — dodała patrząc na lokaja, który znów się zjawił z nowym liścikiem. Przeczytała bilecik i poleciła służącemu: „Proszę powiedzieć, że jutro u wielkiej księżnej.” — Dla wierzącego człowieka grzech nie istnieje — mówiła dalej.

— Tak, ale wiara bez uczynków martwa jest — Stiepan Arkadjicz przypomniał sobie to zdanie z katechizmu i zacytował je, broniąc swego punktu widzenia już tylko uśmiechem.

— Znowu ten ustęp z listu Pawła apostoła! — zawołał Karenin zwracając się jakby z pewnym wyrzutem do hrabiny Lidii Iwanowny; widocznie już nieraz o tym rozmawiali. — Ile szkody przyniosło niewłaściwe komentowanie tego ustępu! Nic tak nie zniechęca do religii, jak ta właśnie wykładnia: „Ja nie mam uczynków, wobec czego nie mogę wierzyć”, a przecie to nigdzie nie jest powiedziane. Raczej właśnie powiedziane jest przeciwnie.

— Ponosić trudy dla Pana Boga, pracą, postem zbawiać duszę — odrazą i pogardą wiało od słów hrabiny Lidii — oto barbarzyńskie poglądy naszych mnichów... A przecie to nigdzie nie jest powiedziane. W rzeczywistości wszystko jest

daleko łatwiejsze i prostsze — dodała patrząc na Obłońskiego z tym samym pokrępiającym uśmiechem, z jakim u dworu dodawała otuchy młodym, skrepowanym w nowym otoczeniu frejlinom.

— Zbawieni jesteśmy przez Chrystusa, który za nas cierpiał. Wiara jest naszym zbawieniem — potwierdził Karenin przytakując jej wzrokiem.

— *Vous comprenez l'anglais?** — zapytała hrabina Lidia Iwanowna, a otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, wstała i poczęła szukać czegoś na półeczce z książkami.

— Chcę przeczytać *Safe and Happy*, czyli *Under the Wing** — spojrzała pytająco na Karenina. I odnalazszy książkę usiadła znów na swoim miejscu i otworzyła ją. — To zupełnie krótkie: jest to opis sposobu, w jaki pozyskuje się wiarę i zdobywa szczęście, które napełniając duszę przewyższa wszelką ziemską błogość. Człowiek wierzący nie może być nieszczęśliwy, nie jest bowiem samotny. Zresztą, zobaczycie panowie sami. — Zabierała się do czytania, gdy znów zjawił się lokaj. — Co, pani Borozdin? Proszę powiedzieć, że jutro o drugiej. Tak — wyrzekła wsuwając do książki palec zamiast zakładki i z westchnieniem spojrzała przed siebie pięknymi, zamyślonymi oczyma. — Oto, jakie jest działanie prawdziwej wiary. Znacie, panowie, Marie Sanin; wiecie o nieszczęściu, jakie ją spotkało? Straciła jedyne dziecko i była w rozpacz. I cóż się dzieje? Znalazła owego przyjaciela i obecnie dziękuje Bogu za śmierć swego dziecka. Oto jest szczęście, które człowiek osiąga przez wiarę!

— O tak, to jest bardzo... — zaczął Obłoński, rad, że teraz nastąpi czytanie i że będzie miał sposobność nieco oprzytomnieć. „Nie, lepiej będzie dzisiaj o nic nie prosić —

* *Vous...* — pan rozumie po angielsku?

* *Safe...* — Bezpieczny i szczęśliwy, czyli Pod skrzydłem.

postanowił. — Byle tylko wydostać się stąd bez jakiejś gafy!”

— Pan się będzie nudził — zwróciła się hrabina Lidia do Landaua — pan nie zna języka angielskiego. Ale to krótkie.

— O, ja rozumiem — odrzekł Landau z takim samym jak poprzednio uśmiechem i zamknął oczy.

Karenin i hrabina Lidia porozumieli się wzrokiem i rozpoczęło się czytanie.

XXII

Obłoński był do głębi zaskoczony niezwykłością tego, co usłyszał. Było to dlań czymś zupełnie nowym. Skomplikowane życie petersburskie działało na niego w ogóle pobudzająco, wyzwalając go z moskiewskiego zastoju; lubił jednak tę złożoność i rozumiał ją w sferach sobie bliskich i znajomych, ale w tym obcym dla siebie środowisku był zaskoczony, odurzony i nie mógł naraz wszystkiego objąć. Słuchając głosu hrabiny Lidii i czując na sobie wzrok pięknych oczu Landaua, nie wiedzieć — naiwnych czy przebiegłych, Obłoński zaczął odczuwać w mózgu jakąś osobliwą ocieężałość.

Najróżnorodniejsze myśli poczynają mu się plątać po głowie: „Marie Sanin cieszy się, że straciła dziecko... Żebym to mógł teraz zapalić papierosa!... Aby być zbawionym, należy tylko wierzyć; mnisi nie wiedzą, jak to się robi, wie za to Lidia Iwanowna... Ale czemu ja mam taką ciężką głowę? Od koniaku czy też dlatego, że to wszystko jest takie dziwaczne? Dotychczas, zdaje się, nic niewłaściwego nie zrobiłem... A jednak niepodobna teraz o nic prosić. Podobno oni zmuszają człowieka do modlenia się. Byleby tylko nie zaczęli mnie zmuszać! To już byłoby nazbyt głupie. I co za

idiotyzmy ta kobieta czyta, chociaż akcent ma nawet dobry. Landau to Biezzubow. Dlaczego Biezzubow?” I nagle Obłoński poczuł, że mu się dolna szczęka poczyna nieodparcie nastawiać na ziewanie. Poprawił bokobrody ukrywając ziewnięcie i otrząsnął się ze snu, lecz zaraz potem zdał sobie sprawę, że śpi i że już nawet zbiera mu się na chrapanie. Ocknął się w chwili, gdy głos hrabiny Lidii Iwanowny wymówił słowa: „On śpi.”

Stiepan Arkadjicz oprzytomniał ze strachu, czując, że zawinił i że go przyłapano na gorącym uczynku. Natychmiast jednak pocieszył się, zrozumiał bowiem, że słowa „on śpi” nie odnosiły się do niego, lecz do Landaua. Francuz podobnie jak i Obłoński zasnął; sen Stiepana Arkadjicza wszelako byłby dla obecnych obrazą (zresztą Obłoński nawet i tego nie był pewien, tak niezwykle dziwne wydawało mu się wszystko razem), tymczasem sen Landaua sprawił obecnym, a zwłaszcza hrabinie Lidii, niezwykłą radość.

— *Mon ami** — bardzo ostrożnie, by nie sprawić szelestu, Lidia Iwanowna przytrzymała fałdy jedwabnej sukni i w podnieceniu nazwała Karenina już nie Aleksym Aleksandrowiczem, ale „*mon ami*” — *donnez lui la main. Vous voyez?** Cicho! — syknęła na wchodzącego znów lokaja. — Proszę nikogo nie przyjmować.

Francuz spał — lub udawał, że śpi — z głową na oparciu fotela, a spocona jego ręka leżąca na kolanie wykonywała słabe poruszenia, jak gdyby chciała coś pochwycić. Karenin wstał i mimo że próbował ostrożnie stąpać, zaczepił o stół, zanim doszedł do Francuza i włożył swoją rękę w jego dłoń. Stiepan Arkadjicz wstał również i szeroko otwartymi oczyma, pragnąc — na wypadek gdyby to jednak był sen — czym prędzej się obudzić, patrzył to na Landaua, to na

* *Mon ami* — mój przyjacielu.

* *Donnez...* — proszę mu podać rękę. Pan widzi?

Karenina. Wszystko jednak działo się na jawie, i Obłoński czuł, że ma w głowie coraz większy zamęt.

— *Que la personne qui est arrivee la derniere, celle qui demande qu'elle sorte! Qu'elle sorte!** — rzekł nagle Francuz, nie otwierając oczu.

— *Vous m'excuserez, mais vous voyez... Revenez vers dix heures, encore mieux demain.**

— *Qu'elle sorte!* — ze zniecierpliwieniem powtórzył Francuz.

— *C'est moi, n'est-ce pas?**

Po otrzymaniu odpowiedzi twierdzącej Obłoński, zapomniawszy i o swym zamiarze proszenia hrabiny Lidii o protekcję, i o sprawie Anny, a żywiąc jedno tylko pragnienie, by czym prędzej się stamtąd wydostać, wyszedł na palcach i — jak z domu, w którym panuje zaraza — wybiegł na ulicę, a potem długo gawędził i podżartowywał z dorożkarzem, chcąc co prędzej wrócić do normalnego stanu.

We francuskim teatrze, dokąd trafił na ostatni akt, a potem w tatarskiej restauracji przy szampanie odetchnął nieco, otoczony atmosferą, której był zwyczajny; przez cały jednak wieczór czuł się wyraźnie nieswój.

Po powrocie do domu Piotra Obłońskiego, u którego zatrzymał się w Petersburgu, Stiepan Arkadjicz zastał bilecik od Betsy: pisała, że pragnie bardzo skończyć zaczętą z nim rozmowę i prosi, by ją odwiedził nazajutrz. Zaledwie zdążył przeczytać liścik i skrzywić się z niesmakiem nad jego treścią, gdy z dołu doszło go dudnienie kroków ludzi niosących coś ciężkiego.

* *Que la persone...* — niechaj osoba, która przyszła ostatnia, ta, która zapytuje, wyjdzie! Niechaj wyjdzie!

* *Vous m'excuserez ...* — Proszę wybaczyć, ale książę sam widzi... Proszę zajść okoto dziesiątej albo jeszcze lepiej jutro.

* *C'est moi...* — to o mnie chodzi, nieprawdaż?

Stiepan Arkadjicz wyrzał i przekonał się, że niesiono właśnie odmłodzonego Piotra Obłońskiego. Był tak pijany, że nie mógł wejść na schody o własnych siłach. Na widok Stiwu polecił niosącym, by go postawiono na nogi, i uczepiony kuzyna wszedł za nim do jego pokoju, gdzie zrazu począł mu opowiadać, jak spędził wieczór, a później w trakcie opowiadania zasnął.

Stiepan Arkadjicz wielce podupał na duchu, co mu się rzadko zdarzało, i długo nie mógł usnąć. Wszystko, co mu z jego ostatnich przeżyć przychodziło na myśl, wydawało się obrzydliwe, ale największy wstręt budził w nim wieczór spędzony u hrabiny Lidii: było w nim jakby coś sromotnego.

Nazajutrz otrzymał od Karenina stanowczą odmowę rozwodu i domyślił się, że decyzja owa oparta była na tym, co rzekł dnia poprzedniego Francuz w swym prawdziwym czy też udanym śnie.

XXIII

By można było przedsięwziąć cokolwiek w sferze życia rodzinnego, niezbędne jest, by pomiędzy małżonkami panował albo całkowity rozbrat, albo miłość i zgoda. O ile jednak stosunek jest nieokreślony i nie ma ani rozbratu, ani zgody, wówczas nic przedsięwziąć się nie da.

Liczne rodziny latami całymi trwają w miejscu, które dawno obrzydło obojgu małżonkom, trwają tylko z powodu braku całkowitej zgody lub całkowitego poróżnienia.

Życie w Moskwie, wśród upału i kurzu, gdy słońce świeciło już nie po wiosennemu, ale jak w lecie, gdy wszystkie drzewa na bulwarach dawno okryły się liśćmi, a nawet liście zdążyły już okryć się kurzem — życie to było i dla Wrońskiego, i dla Anny nie do zniesienia. Mimo to pozostawali nadal w

Moskwie, która im się dawno obojgu uprzykrzyła, zamiast wyjechać do Wozdwiżenskiego — ponieważ w ostatnich czasach źle ze sobą żyli.

Dzieliło ich rozdrażnienie, nie mające pozornie żadnej przyczyny, i wszystkie próby wyjaśnień nie tylko tej irytacji nie usuwały, lecz powiększały ją. Było to rozdrażnienie wewnętrzne, które u niej pochodziło z przekonania, że miłość jego ostygła, u niego zaś było wywołane urazą, jaką żywił do Anny o to, że gdy z jej powodu znalazł się w trudnej sytuacji, ona, zamiast ułatwić, jeszcze bardziej mu ją utrudnia. Żadne z nich nie wyznało rzeczywistego powodu swego rozjątrzenia, każde natomiast składało winę na karb strony przeciwnej i przy byle sposobności usiłowało tego sobie wzajemnie dowieść.

Dla Anny cały Wroński, ze wszystkimi jego nawykami, myślami, pragnieniami, całym moralnym i fizycznym układem, był uosobieniem jednego jedyne pierwiastka — miłości do kobiet. Miłości tej — która, jej zdaniem, winna była skupiać się całkiem na niej jednej — ubyło. Wynikało to stąd, według jej rozumowania, że Wroński część tej miłości trwonił na inne lub inną kobietę, i Anna była zazdrosna. Zazdrosna była nie o jakąś określoną kobietę, lecz o ten ubytek, i nie mając na razie żadnego przedmiotu dla swej zazdrości poszukiwała go. Za najmniejszą poszlaką przerzucała zazdrość swą z jednego przedmiotu na drugi. To była zazdrosna o te pospolite kobiety, z którymi, dzięki swym znajomościom z kawalerskich czasów, tak łatwo mógł nawiązać stosunki; to znów — o panie z dobrego towarzystwa, które spotykał; wreszcie skierowywała swą zazdrość ku jakiejś wyimaginowanej pannie, z którą po zerwaniu romansu z Anną miałby rzekomo chcieć się żenić. Najbardziej udrećzał ją ten ostatni rodzaj zazdrości. Wroński

bowiem w momencie nieopatrznej szczerości zwierzył się jej, jak mało zrozumienia ma dla niego matka, skoro odważyła się namawiać go, by się żenił z księżniczką Sorokin.

W zazdrości swej Anna była pełna oburzenia na Wrońskiego i wyszukiwała we wszystkim przyczyn, które by oburzenie to usprawiedliwiały: wszystko, co czyniło jej sytuację bolesną, przypisywała jemu. Przygnębiający okres wyczekiwania, jaki przeżywała w Moskwie, zawieszona niejako pomiędzy niebem a ziemią, zwlekanie i brak decyzji Karenina, swoje osamotnienie — wszystko to składała na karb Wrońskiego. Gdyby ją kochał, doceniałby cały ogrom jej cierpienia i wyzwoliłby ją od niego. Jego winą było, że mieszkała w Moskwie zamiast w majątku; nie potrafił zagrzebać się na wsi tak, jak ona tego pragnęła; potrzebował towarzystwa i stąd wytworzył się ten straszny dla niej stan rzeczy. Wroński zaś nie chciał nawet zrozumieć, jak jej z tym było ciężko. A poza tym także rozłączenie jej na zawsze z synem było jego winą.

Nawet te rzadkie chwile czułości, jakie się pomiędzy obojgiem zdarzały, nie przynosiły jej ukojenia: w czułości Wrońskiego dopatrywała się teraz pewnego odcienia spokojnej pewności siebie, której dawniej nie okazywał i która ją drażniła.

Zmrok już zapadł. Anna oczekując powrotu Wrońskiego z kawalerskiego obiadu, na który się udał, przechadzała się samotnie po jego gabinecie (był to pokój, do którego najmniej dochodził gwar uliczny) i raz jeszcze rozpamiętywała szczegółowo każdy wyraz, jaki padł pomiędzy nimi w czasie kłótni dnia poprzedniego. Idąc wstecz od pamiętnych, obrażających ją wyrazów w ich sporze do powodu, który je wywołał, dotarła wreszcie do początku samej rozmowy. Długo wierzyć się jej nie chciało, by zatarg

mógł się wywiązać z takiej niewinnej, dla obojga obojętnej rzeczy. A wszakże tak było. Zaczęło się wszystko od tego, że Wroński zaczął podkpiwać z gimnazjów żeńskich uważając je za zbyteczne, Anna zaś wystąpiła w ich obronie. Wroński odniósł się bez należytego szacunku do wykształcenia kobiet w ogólności, a specjalnie zauważył, że Angieleczka Hanna, jej protegowana, może się doskonale obejść bez znajomości fizyki.

To zirytowało Annę, która dopatrzyła się w tej uwadze lekceważącego stosunku do jej zainteresowań. Obmyśliła wobec tego i wypowiedziała zdanie, które miało na celu odwet za ból, jaki Wroński jej sprawił.

— Nie spodziewałam się od ciebie takich względów dla mnie, dla moich uczuć, jakie miałby ktoś, kto by mnie kochał; należy mi się jednak zwykła kurtuazja.

Istotnie, Wroński był tak urażony, że aż się zaczerwienił, i powiedział coś opryskliwego. Nie pamiętała już, co mu odparła, dość, że w związku z jej repliką on z kolei zamierzając oczywiście ją zranić rzucił:

— Zadurzenie się twoje w tej małej nie budzi we mnie sympatii, ponieważ uważam, że uczucie to jest nienaturalne.

Na to okrucieństwo, z jakim deptał świeatek z takim wysiłkiem przez nią sklecony, świeatek mający dopomóc do znoszenia jej ciężkiego życia, na ten niesprawiedliwy zarzut, że udaje i że jest sztuczna — Anna wybuchnęła:

— Żałuję mocno, że tylko to, co prostackie i materialne, wydaje ci się naturalne i zrozumiałe — po czym wyszła z pokoju.

Gdy wieczorem do niej przyszedł, pominęli kłótnię milczeniem, oboje wszakże czuli, że zatarg jest wprawdzie chwilowo zażegnany, lecz trwa dalej. Przez cały dzień Wrońskiego nie było w domu i Anna czuła się, wobec ich

poważnienia, taka samotna i smutna, że pragnęła o wszystkim zapomnieć, przebaczyć mu i pojednać się z nim; pragnęła znaleźć winę w sobie, jego zaś usprawiedliwić.

„Sama jestem sobie winna. Jestem przeczulona i zazdrosna bez żadnego powodu. Pogodzę się z nim i pojedziemy na wieś, będę tam spokojniejsza” — postanowiła w duchu.

„Nienaturalne” — przypomniała sobie nagle nie tyle słowo, które ją najbardziej uraziło, ile intencję Wrońskiego, by jej sprawić przykrość.

„Wiem, co chciał powiedzieć: chodziło o to, że to nienaturalne nie kochając własnej córki kochać dziecko cudze. Czyż on się zna na miłości do dzieci?... czy rozumie moją miłość do Sierioży, którą jemu złożyłam w ofierze? To tylko chęć zrobienia mi przykrości! Nie, nie: on kocha inną, inaczej być nie może.”

Spostrzegła nagle, że usiłując zmusić się do spokoju, znów — jakby raz jeszcze zakreślając koło, które już tylekroć przebiegła — powróciła do poprzedniego rozdrażnienia. Naówczas przeraziła się samej siebie. „Czy istotnie jest to niemożliwe do osiągnięcia? Czy ja naprawdę nie potrafię wziąć się w ręce? — powiedziała sobie i znów zaczęła od początku. — Jest szczerzy, kocha mnie i ja go kocham. Rozwód to tylko kwestia dni. Czego nam właściwie potrzeba? Potrzeba nam spokoju, ufności; ja się muszę opanować. Tak, teraz, gdy powróci, powiem, że to była moja wina — mimo że to nieprawda — i wyjedziemy na wieś.”

By nie pozwolić sobie na dalsze rozmyślanie i nie poddać się zdenerwowaniu, Anna zadzwoniła i kazała przynieść kufry dla zapakowania rzeczy potrzebnych do wyjazdu na wieś.

Wroński powrócił o dziesiątej wieczór.

XXIV

— I cóż, czy było wesoło? — zapytała wychodząc na jego spotkanie skruszona i złagodniała.

— Jak zwykle — odrzekł. Wystarczył mu rzut oka, by przekonać się, że Anna jest w jednym ze swoich dobrych nastrojów. Przywykł już do tych przeskoków, a tego dnia ucieszył się specjalnie, ponieważ i sam był także w najlepszym humorze.

— Go widzę! Jak to dobrze! — wskazał na kufry stojące w przedpokoju.

— Tak, trzeba wyjeżdżać. Jeździłam na spacer i było tak ładnie, że zatęskniłam za wsią. Nic cię przecież w mieście nie zatrzymuje?

— Niczego więcej nie pragnę, jak wyjazdu na wieś. Zaraz przyjdę i pogadamy; tylko się przebiorę. Każ podać herbatę.

I poszedł do swego gabinetu.

Jego słowa „jak to dobrze” zabrzmiały prawie obrażająco: tak mówi się do dziecka, które przestało kaprysić. Jeszcze bardziej obrażające było przeciwieństwo pomiędzy jej skruszonym a jego pewnym siebie tonem; przez chwilę czuła, jak wzbiera w niej chęć do walki; ale wzięła się w karby i zdławiła w sobie ten odruch.

Gdy Wroński powrócił, była równie pogodna jak przedtem. Opowiedziała mu w zdaniach po części uprzednio przygotowanych o tym, jak spędziła dzień i jak zamierza zorganizować wyjazd.

— Wiesz, ogarnęło mnie coś jakby natchnienie — mówiła. — Po co mamy tutaj czekać na rozwód. Równie dobrze można przy tym siedzieć na wsi. Prawda? Nie jestem w stanie wyczekiwać dłużej; nie chcę się żywić nadzieją; nie chcę w ogóle nic słyszeć o rozwodzie. Postanowiłam, że to nie

będzie więcej miało wpływu na moje życie. Zgadzasz się?

— O tak! — potwierdził, zaniepokojony wzburzeniem malującym się na jej twarzy.

— Cóżście tam robili? Kto tam był? — spytała po chwili milczenia. Wroński wymienił obecnych. — Obiad był wyśmienity. I regaty, i cała reszta — wszystko było całkiem przyjemne, ale w Moskwie nic się nie robi bez pewnego *ridicule**. Zjawiała się tam jakaś dama, nauczycielka pływania królowej szwedzkiej i dała pokaz swej sztuki.

— Jak to? pływała? — Anna zmarszczyła brwi.

— Tak, w takim czerwonym *costume de natation**. Stara, szkaradna... Więc kiedy jedziemy?

— Cóż to za głupi pomysł! I cóż, czy pokazała jakiś osobliwy sposób pływania? — Anna nie odpowiedziała na pytanie dotyczące wyjazdu.

— Gdzież tam, nic osobliwego. Właśnie i ja twierdzę, że to strasznie głupie. Więc kiedy chciałabyś, J — żebyśmy jechali?

Anna zrobiła głową ruch, jakby usiłując otrząsnąć się z nieprzyjemnych myśli.

— Kiedy? Im prędzej, tym lepiej. Jutro nie zdążymy. Pojutrze.

— Pojutrze?... Nie, zaczekaj. Pojutrze jest niedziela; muszę być u *maman*. — Wroński zmieszał się, skoro tylko bowiem wymienił matkę, spostrzegł, że wzrok Anny w nim utkwiony stał się podejrzliwy. Podejrzenia jej wzmożyły się od jego zmieszania. Spąsowiała i odsunęła się od niego; teraz już ukazywała się jej wyobraźni nie instruktorka szwedzkiej królowej, lecz księżniczka Sorokin, bawiąca na wsi razem z hrabiną Wrońska.

— A nie mógłbyś pojechać tam jutro?

* *Ridicule* — śmieszność.

* *Costume de natation* — kostium kąpielowy.

— Ach, nie! W sprawie, którą muszę tam załatwić, nie zdążę przygotować pełnomocnictwa i pieniędzy na jutro.

— Skoro tak, to nie jedźmy wcale.

— Cóż znowu! Dlaczego?

— Później nie wyjadę: albo w poniedziałek, albo wcale!

— Czemu, na Boga? — zdumiał się Wroński. — To nie ma sensu!

— Dla ciebie nie ma sensu, bo się wcale o mnie nie troszczysz. Nie chcesz zrozumieć, jakie ja pędzę życie. Hanna była jedyną rzeczą, która mnie tu interesowała. Mówisz, że to komedia. Zarzuciłeś mi przecie wczoraj, że córki nie kocham, tylko udaję przywiązanie do Angielki, i że to nienaturalne... Chciałabym wiedzieć, jaki rodzaj życia w tutejszych warunkach mógłby się zdawać naturalny!

Po tych słowach oprzytomniała na chwilę i strach ją ogarnął, sprzeniewierzyła się bowiem swemu postanowieniu; lecz choć zdała sobie sprawę, że spotka ją klęska, nie mogła się pohamować, musiała dowieść, w jak bardzo wielkim znajdował się błądnie. Nie mogła się przed nim ukorzyć.

— Nigdy tego nie mówiłem; powiedziałem tylko, że nie mam przekonania do tej nagłej miłości.

— Czemu nie mówisz prawdy, ty, który się tak zawsze chełpisz swoją prawdomównością?

— Nigdy się nie chełpię i nigdy nie mówię nieprawdy — powiedział cichym głosem, trzymając na wodzy porywający się w nim gniew. — Wielka szkoda, że nie szanujesz...

— Szacunek wymyślono po to, by zasłaniać to puste miejsce, gdzie winna się znajdować miłość. A skoro mnie już nie kochasz, to byłoby lepiej i uczciwiej mi to wyznać.

— Nie, to staje się nie do zniesienia! — wykrzyknął zrywając się z krzesła, po czym stanął przed nią i rzekł powoli: — Dlaczego bierzesz na próbę moją cierpliwość? —

mówił to tak, jakby mógł niejedno jeszcze dodać, lecz się hamował. — I cierpliwość ma swoje granice.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zawołała widząc z przerażeniem w twarzy jego, a zwłaszcza w groźnym i okrutnym spojrzeniu nietajony wyraz nienawiści.

— Chcę powiedzieć... — zaczął, ale umilkł. — Pytam się ciebie, czego ty właściwie ode mnie chcesz? — dodał.

— Czegóż bym mogła chcieć? Mogę chcieć tylko jednej rzeczy, byś nie porzucił mnie, jak to zamierzasz uczynić — rzekła domyślając się wszystkiego, czego nie dopowiedział. — Ale nie o to mi chodzi, to jest rzecz drugorzędna. Chcę miłości i tej miłości nie znajduję. A więc wszystko skończone!

I skierowała się ku drzwiom.

— Czekaj! Czekaj... że! — głęboka zmarszczka między brwiami Wrońskiego nie znikła, zatrzymał jednak Annę za rękę. — O co ci chodzi? Powiedziałem, że wyjazd wypadnie odłożyć na trzy dni, a ty mi na to mówisz, że kłamię, że jestem człowiekiem nieuczciwym...

— I powtarzam, że człowiek, który robi mi wyrzuty, że wszystko dla mnie poświęcił — była to aluzja do jednej z dawniejszych kłótni — to gorzej niż człowiek nieuczciwy, to człowiek bez serca.

— Nie, doprawdy, i moja cierpliwość ma granice! — wykrzyknął puszczając jej rękę.

„Nienawidzi mnie, to jasne” — pomyślała i w milczeniu, nie oglądając się, chwiejnym krokiem wyszła z pokoju.

„Kocha inną kobietę, nie ma żadnej wątpliwości — zdecydowała wchodząc do swego pokoju. — Pragnę miłości, a tej miłości nie ma. A zatem wszystko skończone — powtórzyła słowa wyrzeczone uprzednio do Wrońskiego. — Trzeba z tym zrobić koniec.”

„Ale jak?” — zadała sobie pytanie i osunęła się na fotel przed lustrem.

Poczęła rozmyślać, dokąd się jej teraz wypadnie udać: czy do ciotki, u której się wychowywała, czy do Obłońskiej, czy lepiej będzie, gdy po prostu wyjedzie sama za granicę? Zadawała sobie pytanie, co też o n teraz robi sam jeden w gabinecie i czy to już jest poróżnienie ostateczne, czy też istnieje jeszcze możliwość pojednania. Przychodziło jej również do głowy, co powiedzą teraz o niej jej byli petersburscy znajomi i jak się do tego odniesie Karenin — i wiele, wiele innych myśli o tym, co się stanie po zerwaniu, obiegło ją w tej chwili, nie była nimi jednak całkowicie pochłonięta. Taiła w sobie jeszcze jakąś niejasną myśl, która jedna jedyna ją interesowała, lecz której nie mogła sobie uświadomić. Gdy znów przyszedł jej na myśl Karenin, przypomniawszy sobie swoją chorobę po połogu, wraz z uczuciem, które wówczas bez przerwy w niej trwało. „Czemużem ja nie umarła!” — stanęły jej w pamięci jej własne ówczesne słowa. Tamten nastrój ożył na nowo i nagle zrozumiała ową utajoną w głębi duszy myśl, jedyną myśl, która niosła ze sobą rozstrzygnięcie wszystkich zawilości. „Tak, śmierć!”

„Wstyd i hańba ściągnięta na męża i syna i moje własne straszliwe pohańbienie — wszystko to zostanie okupione przez śmierć. Wystarczy umrzeć, a Wroński uzna swą winę. Będzie mnie żałował, będzie mnie kochał i cierpiał z mego powodu.” Uśmiech litości nad własną dolą zastygł na jej wargach; pozostawała w fotelu zdejmując i wkładając na nowo pierścionki na lewej ręce; wyobraźnia z wielką żywością nasuwała jej różnorodne uczucia Wrońskiego po jej stracie.

Zbliżające się kroki, jego kroki, przerwały tę zadumę.

Nawet się nie odwróciła, niby zajęta układaniem pierścionków.

Zbliżył się i ująwszy jej rękę powiedział cicho:

— Anno, jeśli chcesz, jedźmy pojutrze. Zgadzam się na wszystko. Milczała.

— No i cóż? — zapytał.

— Sam wiesz — odrzekła wybuchając płaczem, którego dłużej pohamować nie mogła.

— Porzuć mnie, porzuć! — powtarzała głosem przerywanym od łkań. — Jutro wyjadę... Zrobię więcej jeszcze... Kimże ja jestem? Upadną kobietą, kamieniem u twojej szyi. Nie chcę przyprawiać cię o cierpienie, nie chcę! Zwrócę ci wolność. Nie kochasz mnie już, kochasz inną!

Wroński błagał, by się uspokoiła, i zapewniał ją, że nie ma ani krzty powodu do zazdrości, że nigdy nie przestał i nie przestanie jej kochać i że kocha ją bardziej niż kiedykolwiek.

— Anno, po co ty i siebie, i mnie tak zamęczasz? — mówił całując jej ręce. Twarz jego wyrażała teraz czułość, zdawało się jej nawet, że rozróżnia w głosie jego brzmienie łez, a na dłoni ich wilgoć. I w jednej chwili rozpaczliwa zazdrość Anny zmieniła się w desperacką, namiętą tkliwość: objęła go okrywając pocałunkami jego głowę, szyję i ręce.

XXV

Świadoma, że pojednanie było całkowite, Anna od rana gorliwie zabrała się do przygotowań, jakie pociągał za sobą wyjazd. Chociaż nie było „j postanowione, czy wyjadą w poniedziałek, czy we wtorek, w przeddzień”, bowiem robili jedno drugiemu ustępstwa, Anna gotowała się pilnie do wyjazdu i było jej zupełnie obojętne, czy nastąpi on dzień wcześniej, czy później. Stała właśnie w swoim pokoju nad

otwartym kufrem przeglądając rzeczy, gdy Wroński, całkiem już ubrany, wszedł do niej wcześniej niż zazwyczaj.

— Zaraz pojedę do *maman*: niech mi przyśle pieniądze przez Jegorowa. Będę w takim razie już jutro gotów do drogi.

Mimo że była w jak najlepszym usposobieniu, wzmianka o odwiedzinach u matki na lotnisku zrobiła jej przykrość.

— To zbyt uczucie, bo ja i tak do jutra nie zdążę — powiedziała i wnet przyszło jej na myśl: „A więc jednak można było tak się urządzić, by zastosować się do moich życzeń.” — Nie, zrób lepiej tak, jak zrazu chciałeś. Przejdź teraz do jadalnego, zaraz tam przyjdę, tylko odłożę na bok rzeczy niepotrzebne — rzekła i dorzuciła Annuszce, stojącej obok z przewieszoną przez ramię całą górą gałganków, jeszcze jakieś rzeczy.

Gdy weszła do jadalni, Wroński jadł podany mu befsztyk.

— Nie uwierzysz, jak mi te pokoje obrzydły — mówiła siadając obok niego i zabierając się do swojej kawy. — Nie ma nic okropniejszego od takich *chambres garnies**. Te zegary, te firanki, a zwłaszcza obicia — to istna zmore.

Myślę o Wozdwiżenskiem jak o ziemi obiecanej. Czy nie ekspediujesz jeszcze koni?

— Nie, odeśle się je po naszym wyjeździe. Czy masz zamiar dokądś pojechać?

— Chciałam pojechać do pani Wilson; mam dla niej parę sukien. Więc stanowczo jutro? — mówiła radośnie; lecz nagle zmieniła się na twarzy.

Kamerdyner Wrońskiego wszedł prosząc o pokwitowanie depeszy, która nadeszła z Petersburga. Nic nie było niezwykłego w tym, że Wroński otrzymał depeszę, wyglądało jednak, jak gdyby pragnął coś ukryć: powiedział służącemu, że pokwitowanie jest w gabinecie, i z pośpiechem zwrócił się

* *Chambres garnies* — pokoje umeblowane.

do Anny.

— Skończę wszystko do jutra na pewno.

— Od kogo miałaś telegram? — powiedziała nie słuchając go.

— Od Stiwy — odrzekł niechętnie.

— Czemuś mi go nie pokazał? Pomiedzy Stiwą a mną nie ma przecież żadnych tajemnic.

Wroński zawołał na służącego i kazał mu przynieść depeszę.

— Nie chciałem ci go pokazywać, bo Stiwa ma manię telegrafowania; po co depeszować, skoro nic nie jest zdecydowane.

— Czy to w sprawie rozwodu?

— Tak, ale on powiada: dotąd nic nie mogłem uzyskać. Obiecuję w tych dniach ostateczną odpowiedź. Oto masz — czytaj.

Anna wzięła depeszę i trzymając ją w drżących rękach przeczytała to, co mówił jej przed chwilą Wroński. Zakończenie brzmiało: „Mało nadziei, ale robię wszystko możliwe i niemożliwe.”

— Już wczoraj mówiłam, że jest mi zupełnie obojętne, kiedy, a nawet czy w ogóle dostanę rozwód — powiedziała Anna i rumieniec okrył jej twarz. — Po co było to przede mną ukrywać! — „On w podobny sposób może przede mną ukryć i też ukrywa swoją korespondencję z kobietami — pomyślała.

— Wiesz, Jaszwin chciał być u nas dziś rano z Wojtowem — rzekł Wroński. — Zdaje się, że wygrał od Piewcowa wszystko, co ten może zapłacić, a nawet coś ponad to: około sześćdziesięciu tysięcy.

— Nie, najpierw powiedz mi — przerwała rozgniewana tą próbą przejścia na inny temat, z której widać było, że

Wroński spostrzega jej rozdrażnienie — czemu sądzisz, że wiadomość ta mnie tak dalece obchodzi, że aż trzeba ją przede mną ukrywać? Powiedziałam już, że nie chcę o tym myśleć i pragnęłabym, abyś i ty równie mało się o to troszczył jak ja.

— Interesuje mnie to, ponieważ lubię jasne sytuacje — odparł.

— Jasność sytuacji polega nie na formach, ale na samej miłości — rozdrażnienie jej wzrastało nie tyle od jego słów, ile irytowała ją ta chłodna równowaga, z jaką przemawiał. — Dlaczego ci o to tak chodzi?

„O Boże, znowu miłość” — spochmurniał Wroński.

— Wiesz przecie dlaczego: dla ciebie, dla dzieci mogących przyjść na świat.

— Nie będzie żadnych dzieci.

— To wielka szkoda — zauważył.

— Potrzeba ci tego dla dzieci, a o mnie nie pomyślisz? — rzekła, całkiem zapominając, że przecie powiedział „dla ciebie, dla dzieci”, a może zgoła tych słów nie słyszała.

Możliwość potomstwa była kwestią pomiędzy nimi od dawna sporną i wielce dla Anny drażliwą. Pragnął dzieci, to znaczy, że nie dbał o jej urodę, tak to sobie tłumaczyła.

— Ach, powiedziałem przecież: „dla ciebie”. Przede wszystkim dla ciebie — powtórzył marszcząc brwi, jakby go coś zabolalo — ponieważ pewien jestem, że twoje przeczulenie pochodzi przede wszystkim z tego, że sytuacja jest taka nieokreślona.

„Tak, teraz gdy przestał udawać, widać całą chłodną nienawiść, jaką ma dla mnie” — nie słuchała jego słów, lecz ze strachem wpatrywała się w tego zimnego, okrutnego sędziego, który jakby naigrawając się z niej, spoglądał ku niej jego oczyma.

— Powód jest inny — rzekła — i pojąć nawet nie mogę, w jaki sposób przyczyną mego, jak to nazywasz, przeczulenia mógłby być fakt, że znajduję się całkowicie w twojej mocy. Gdzież tu jest jakaś nieokreśloność sytuacji? Przeciwnie.

— Szkoda, że nie chcesz zrozumieć — przerwał dążąc wytrwale do wypowiedzenia swej myśli — niejasność polega na twoim mylnym przekonaniu, że jestem wolny.

— Co do tego, możesz być całkiem spokojny — odwróciła się od niego i poczęła pić kawę.

Ujęła filiżankę odchylając mały palec i uniosła ją do ust. Po wypiciu kilku łyków spojrzała na Wrońskiego i z wyrazu jego twarzy wyczytała wyraźnie, że i ręka jej, i gest, i odgłos, jaki jej wargi wydawały przy jedzeniu, budzą w nim odrazę.

— Zupełnie mi wszystko jedno, co myśli twoja matka i z kim chce ciebie ożenić — wyrzekła, a ręka jej stawiająca filiżankę na spodek drżała.

— Ale nie o tym mówimy.

— Przeciwnie, o tym właśnie. I wierzaj mi, że dla mnie kobieta bez serca, niniejsza o to, czy stara, czy młoda i czy jest twoją matką, czy też matką kogoś innego, nie istnieje i nawet znać jej nie chcę.

— Anno, proszę cię, byś się o mojej matce tak bez uszanowania nie odzywała.

— Kobieta, której serce nie umie odgadnąć, na czym polega szczęście jej syna i jego honor, taka kobieta nie ma serca.

— Powtarzam prośbę o nieubliżanie mojej matce, dla której mam szacunek — podniósł głos spoglądając na nią surowo.

Nie odpowiedziała. Patrzyła na niego uporczywie: na twarz jego, na ręce, i wywoływała w pamięci ze wszystkimi szczegółami scenę wczorajszego pojednania i namiętne

pieszczoty Wrońskiego. „Te pieścizoty, zupełnie takie same pieścizoty, rozdawał i nadal będzie i pragnie rozdawać innym kobietom!” — myślała.

— Przecie ty matki wcale nie kochasz. To są wszystko frazesy, frazesy i frazesy! — wzrok jej, gdy to mówiła, zionął nienawiścią.

— Jeśli tak, to trzeba...

— Trzeba się zdecydować i ja się już zdecydowałam — oświadczyła i chciała opuścić pokój, lecz w tej właśnie chwili wszedł Jaszwin. Anna przywitała się z nim i pozostała w jadalnym.

Dlaczego śród burzy, jaka szalała — w jej duszy, i czując, że stoi w punkcie zwrotnym życia, skąd już niedaleko do najstraszliwszych skutków, dlaczego w tej chwili zadała sobie przymus zachowania pozorów przy obcym człowieku, który wcześniej czy później i tak o wszystkim miał się dowiedzieć — nie rozumiała sama. W każdym razie, opanowując od razu szalejącą w niej burzę uczuć, usiadła i poczęła rozmawiać z przybyłym.

— Jakże pana sprawy? Czy odebrał pan dług? — spytała.

— Jako tako; zdaje się, że całości nie otrzymam i we środę będę już musiał wyjechać. A państwo kiedy wyjeżdżacie? — Jaszwin spoglądał raz po raz zmrużonymi oczyma na Wrońskiego i oczywiście domyślał się, że trafił na kłótnię.

— Zdaje się, że pojutrze — odpowiedział Wroński.

— Zresztą, państwoście się już dawno wybierali.

— Ale teraz to już zdecydowane — mówiąc to Anna popatrzyła Wrońskiemu prosto w oczy spojrzeniem, z którego mógł wyczytać, że nie ma nawet co myśleć o możliwości pogodzenia.

— Czyż panu nie żal tego nieszczęsnego Piewcowa? — zwróciła się znów do Jaszwina.

— Nigdy nie zadawałem sobie nawet pytania, czy mi żal, czy nie, proszę pani — odpowiedział. — Przecież cały mój majątek spoczywa tu — wskazał na boczną kieszeń — i teraz jestem bogatym człowiekiem, a dziś pojedę do klubu H może wyjdę stamtąd jako nędzarz. Przecie, kto siada ze mną do kart, również pragnie obedrzeć mnie do koszuli, tak jak ja jego. No więc walczymy ze sobą i na tym polega cała przyjemność.

— A gdyby pan był żonaty — zagadnęła Anna — jak by się do tego ustosunkowała pańska żona?

Jaszwin roześmiał się.

— Zapewne dlatego nigdy się nie ożeniłem, a nawet nigdy nie miałem tego zamiaru.

— A w Helsingforsie? — wtrącił się do rozmowy Wroński i rzucił okiem na Annę, która uśmiechała się właśnie.

Spotkawszy jego wzrok Anna zmroziła go wyrazem powagi, jakby chciała mu rzec: „Nie, nie zapomniałam. Nic się nie zmieniło.”

— Jak to, czyżby pan był kiedy zakochany? — spytała Jaszwina.

— Boże święty, ileż razy! Ale, widzi pani, są tacy, co potrafią zasiąść do kart, z tym wszakże, aby wstać od gry, gdzie przyjdzie chwila *rendez-vous*. Ja zaś mogę się zająć miłością, lecz na tyle tylko, by wieczorem nie spóźnić się na partyjkę... I stosownie do tego się urządzam.

— Nie, ja nie o to pytam. Pytam o prawdziwą miłość. — Chciała dodać Helsingfors, lecz nie zdecydowała się użyć słowa wypowiedzianego przez Wrońskiego.

Zjawił się Wojtow, który miał kupić ogiera; Anna wstała i wyszła z pokoju.

Przed wyjazdem z domu Wroński zaszedł do niej. Zrazu chciała udać, że szuka czegoś na stole, potem jednak

zawstydziała się tego fałszu. Popatrzyła mu (w twarz oziębłym spojrzeniem.

— Czego chcesz? — spytała go po francusku.

— Chcę zabrać rodowód Gambetty; sprzedałem go — powiedział tonem,« który wyraźniej od słów mówił: „Nie mam czasu na wyjaśnienia, zresztą — to by do niczego nie doprowadziło.”

„Nie poczuwam się wobec niej do żadnej winy — mówić sobie. — O ile ma ochotę sama sobie wymierzać karę, *tant pis pour elle**.” W chwili wszakże gdy wychodził z pokoju, wydało mu się, że coś powiedziała, i współczucie i wezbrało mu w sercu.

— Co takiego, Anno? — zapytał.

— Nic nie mówiłam — odrzekła z tym samym chłodem i spokojem. „Jeśli nic, to *tant pis*” — pomyślał, zmrożony ponownie, odwrócił się i wyszedł. Wychodząc ujrzał w lustrze jej twarz bardzo bladą i jej drżące wargi. Już miał się zatrzymać i wyrzec jakieś słowo pociechy, lecz nogi same wyniosły go z pokoju, zanim zdążył obmyślić, co powie. Resztę dnia spędził poza domem, a gdy powrócił wieczorem, służąca powiedziała mu, że jaśnie panią boli głowa i że prosiła, by nikt do niej nie wchodził.

XXVI

Nigdy jeszcze zatarg pomiędzy nimi nie trwał przez cały dzień. Zdarzyło się to po raz pierwszy; a nie było to tym razem poróżnienie, lecz wyraźne przyznanie się do całkowitego zubożenia. Czy podobna było tak na nią spojrzeć, jak to uczynił Wroński wchodząc do pokoju, by zabrać *pedigree** sprzedanego konia? Czy godziło się

* *Tant...* — tym gorzej dla niej.

* *Pedigree* — (z.fr.: *pied de grue* — stopa żurawia) rodowód, zwłaszcza gdy

popatrzeć na nią, widzieć, że serce jej pęka z rozpaczy, i przejść obok niej w milczeniu, z twarzą doskonale obojętną? Nie tylko ochłódł dla niej — on jej nienawidzi, ponieważ kocha inną; było to oczywiste.

I przypominając sobie wszystkie okrutne słowa, które wyrzekł Wroński, Anna dodawała do nich również i takie, które rzecz jasna chciał i mógł do niej skierować, i wpadała w coraz większe rozdrażnienie.

„Nie zatrzymuję pani — mógł jej powiedzieć. — Może pani odejść, dokąd pani sobie życzy. Pani nie chciała rozwieść się z mężem dlatego zapewne, by móc do niego powrócić. Niech pani to uczyni. O ile potrzebuje pani pieniędzy, jestem do pani usług. Jaką sumę pragnie pani otrzymać?”

W imaginacji Anny Wroński przemawiał do niej najokrutniejszymi słowami, jakich może użyć ktoś nieokrzesany, i nie mogła mu ich przebaczyć, tak jakby je był wypowiedział w rzeczywistości.

„A w przeddzień czyż nie przysięgał, że kocha, on, człowiek przecie szczerzy i uczciwy? Czyż nie oddawałam się już wiele razy niepotrzebnej rozpaczy?” — mówiła sobie za chwilę.

Z wyjątkiem odwiedzin u pani Wilson, które jej zajęły dwie godziny, Anna cały dzień strawiła na wątpliwościach, czy istotnie wszystko jest skończone, czy też istnieje nadzieja pojednania i czy należy wyjechać od razu, czy też raczej zobaczyć się z nim przedtem raz jeszcze. Oczekiwała go dzień cały, a wieczorem idąc do siebie i dając polecenie, by mu powiedziano, że ją boli głowa, zdała się na rozstrzygnięcie losu: „Jeśli mimo słów pokojowej przyjdzie do mnie, to oznacza, że mnie jeszcze kocha. Jeśli nie, to

mowa o koniach rasowych. Początkowo znaku stopy żurawiej używano przy kreśleniu drzewa genealogicznego.

wszystko skończone, a wtedy powezmę decyzję, co mam czynić!”

Wieczorem słyszała odgłos zatrzymującego się przed domem powozu, dzwonek, kroki Wrońskiego i wymianę słów ze służącą. Wziął to, co mu powiedziała, dosłownie, nie pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej, i poszedł do siebie. A więc wszystko było skończone.

Jasno, z całą wyrazistością, stanęła teraz przed nią śmierć, jedyny środek, zdolny wskrzesić w jego sercu miłość dla niej, karząc go jednocześnie, środek przesądający jej triumf w walce, którą władający jej sercem zły duch f pomiędzy nimi rozpętał.

Było już obojętne, czy pojedą do Wozdwiżenskiego, czy nie, czy: Karenin da rozwód, czy go nie da; wszystko to było już niepotrzebne. Jedno tylko pozostawało — ukarać go.

Gdy nałała sobie zwykłą dozę opium i pomyślała, że wystarczyłoby wypić całą flaszeczkę, by umrzeć, wydało się to jej takie łatwe i proste, że znów poczęła z rozkoszą wyobrazać sobie, jak Wroński będzie się męczył, żałował jej utraty i kochał ją we wspomnieniu — gdy już będzie za późno. Leżała z otwartymi oczyma w łóżku, wpatrzona przy blasku jedynej świecy w wymodelowany w gipsie gzyms sufitu i w cień od parawanu, zakrywający jego część, i wyobrażała sobie z całą wyrazistością, co Wroński będzie czuł, gdy jej już nie będzie, gdy stanie się ona dla niego już tylko wspomnieniem. „Jak mogłem użyć wobec niej tych okrutnych słów? — powie sobie wtedy. — Jak mogłem wyjść z pokoju nie powiedziawszy jej dobrego słowa? A teraz już jej nie ma... Odeszła od nas na zawsze. Jest tam... „Nagle cień parawanu zakołysał się, zasłonił cały gzyms, cały sufit; inne cienie, zalegające po drugiej stronie, runęły mu na spotkanie; na jeden moment rozwiały się, lecz wnet napłynęły

z nowym rozpędem, zakołysały się, zlały i zapadła ciemność. „Oto śmierć” — pomyślała i ogarnął ją taki strach, że długo nie mogła zrozumieć, gdzie się znajduje, ani znaleźć drżącymi rękoma zapalek, by zapalić nową świecę na miejsce tej, która dopaliła się i zgasła. „Nie, nie, raczej wszystko inne niż to! Chcę żyć, żyć! Kocham go przecież. Kocha mnie i on! Tak już nieraz bywało; to przejdzie” — mówiła sobie ciesząc się z powrotu do życia i czując, jak łązy radości spływają po jej policzkach. I aby otrząsnąć się z przerażenia, zerwała się z łóżka i szybko przeszła do jego gabinetu.

Leżał tam pogrążony w głębokim śnie. Zbliżyła się i trzymając świecę tak, by blask padał na jego twarz, długo nań patrzyła. Teraz, w tym śnie, kochała go tak niewymownie, że nie mogła na jego widok pohamować łez rozrzewnienia; wiedziała jednak, że gdyby się obudził, wyczytałaby w jego wzroku chłód i pewność siebie i że nie mogłaby mu nic o swej miłości powiedzieć, zanimby mu nie dowiodła, jak ciężko wobec niej zawinił. Wróciła do siebie nie budząc go i po zażyciu drugiej dozy opium zapadła nad ranem w ciężki półsen, podczas którego nie zatraciła właściwie świadomości.

Rano nawiedziła ją i obudziła okropna zmora, która kilkakrotnie, jeszcze przed zbliżeniem z Wrońskim, powtarzała się w jej snach. Oto stary człowiek ze zwichrzoną bródką coś majstrował, pochylony nad jakimś żelastwem, wymawiając przy tym raz po raz bezsensowne francuskie wyrazy. Jak zawsze w tym śnie (i na tym właśnie polegała cała jego okropność) Anna miała świadomość, że ów człeczyna nie zwraca zupełnie na nią uwagi, tylko coś straszliwego w tym żelastwie nad nią wykonuje. Zbudziła się, oblana zimnym potem.

Gdy wstała z łóżka, dzień poprzedni przypomniał się jej jak przez mgłę:

„Pokłóciliśmy się. Było tak, jak już nieraz bywało. Powiedziałam, że mnie boli głowa, wobec czego nie wszedł do mnie. Jutro wyjeżdżamy; muszę go widzieć i przygotować się do wyjazdu” — myślała. Dowiedziawszy się, że Wroński jest u siebie, poszła do gabinetu.” Przechodząc przez salon usłyszała, jak przed domem zatrzymał się powóz; wyjrzała więc przez okno i zobaczyła stojącą karekę. Wyglądająca z niej panienska w kapeluszu lila dawała jakieś polecenie dzwoniącemu do drzwi lokajowi; potem słyhać było pertraktacje w przedpokoju, ktoś szedł na górę i za chwilę w pokoju obok rozległy się kroki Wrońskiego. Zbiegł szybko po schodach. Anna powróciła do okna. Wroński ukazał się na ganku z gołą głową i podszedł do karety; panienska w kapelusiku lila oddała mu jakąś paczkę. Wroński powiedział do niej z uśmiechem parę słów, kareta odjechała, on zaś szybko wbiegł po schodach z powrotem.

Mgła osłaniająca jej duszę od rana nagle się rozstała i wszystkie uczucia wczorajszego dnia znów całym ciężarem przygniotły chore jej serce. Teraz już nie była w stanie pojąć, jak mogła poniżyć się do tego stopnia, by pozostawać przez cały dzień w jego domu. Weszła do gabinetu chcąc oznajmić Wrońskiemu o swym postanowieniu.

— To była księżna Sorokin z córką; zajechały tu, żeby mi oddać pieniądze i papiery od *maman*. Wczoraj nie mogłem tego załatwić. Jak twoja głowa, czy lepiej się czujesz? — zapytał ze spokojem, rozmyślnie nie zwracając uwagi na jej uroczysty i pośpny wyraz.

Zatrzymała się pośrodku pokoju i patrzyła na niego w milczeniu. Spojrzał na nią, zasepił się na chwilę, po czym dalej czytał zaczęty list. Obrócił się i z wolna poszła ku drzwiom. Mógł ją zawrócić z drogi, ale była już u progu, a on wciąż milczał i słyhać było tylko szelest kartek papieru w

jego rękę.

— Ale, ale — powiedział, gdy była już we drzwiach — więc jutra stanowczo wyjeżdżamy? Nieprawdaz?

— Pan — tak. Ja — nie — odparła i zwróciła ku niemu głowę.

— Anno, przecież tak żyć niepodobna...

— Pan wyjedzie, ja nie — powtórzyła.

— To jest w końcu nie do zniesienia!

— Pan... pan tego pożałuje — i z tymi słowy wyszła z pokoju. Przestraszony wyrazem rozpaczy, z jaką Anna to wyrzekła, zerwał się i chciał biec za nią, lecz opamiętał się, usiadł i chmurny, z zaciśniętymi zębami, pozostał tak przez chwilę. Ta w wysokim stopniu niewłaściwa groźba specjalnie go jakoś ubodła. „Wszystkiego próbowałem — myślał — jedno mi; tylko pozostaje: nie zwracać uwagi” — i począł zbierać się do drogi. Oprócz spraw na mieście, miał jechać do matki, od której trzeba było uzyskać podpis na pełnomocnictwie.

Anna słyszała odgłos jego kroków w gabinecie i w jadalnym. Zatrzymał się u drzwi salonu. Nie skierował się jednak ku jej drzwiom, lecz tylko polecił, by w jego nieobecności oddano sprzedanego ogiera Wojtowowi, który po niego przyśle. Później słyszała, jak zajechał powóz, jak otwarto drzwi wejściowe i Wroński znów wyszedł z domu. Wnet jednak powrócił do sieni i zaraz ktoś pędem wbiegł na schody; był to kamerdyner — po zapomniane rękawiczki. Stała przy oknie i widziała, jak Wroński, nie odwracając nawet głowy, wziął rękawiczki i dotknąwszy pleców stangreta, coś mu powiedział. Potem, nie patrząc wcale w stronę okien i zajęty wkładaniem rękawiczek, usadowił się w ; powozie, jak zwykle z nogą założoną na nogę, i zniknął wraz z powozem na zakręcie ulicy.

XXVII

— Odjechał! Skończyło się — powiedziała sobie Anna, która nie ruszyła się od okna. I — jak echo tych słów — ożyło w niej wspomnienie mroku po zgaśnięciu świecy i wrażenie straszego snu, zlewając się w jedno i napełniając jej serce lodowatą trwogą.

— Nie, to się stać nie może! — wykrzyknęła i przeszedłszy w głąb pokoju przeciągle zadzwoniła. Bała się teraz tak bardzo pozostać sama, że nie czekając na przybycie lokaja pośpieszyła na jego spotkanie.

— Proszę się dowiedzieć, dokąd pan hrabia pojechał — rozkazała. Służący odrzekł, że pan hrabia pojechał do stajen.

— Pan hrabia kazał powiedzieć, na wypadek gdyby jaśnie pani potrzebowała powozu, że powóz zaraz będzie z powrotem.

— Dobrze. Proszę zaczekać. Zaraz napiszę parę słów; proszę to posłać przez Michajkę do stajen. Tylko prędko.

Usiadła i napisała:

„To moja wina. Wróc do domu: musimy się rozmówić. Na miłość boską, wracaj. Boję się.”

Zapieczerowała kopertę i oddała ją służącemu. Bała się teraz samotności: wyszła więc tuż za nim ze swego pokoju i udała się do dziecinnego.

„Cóż z tego, kiedy to nie to... to nie on! Gdzie są jego niebieskie oczy, jego miły, nieśmiały uśmiech?” — to była jej pierwsza myśl, gdy zobaczyła swą tłuściutką, rumianą córeczkę z jej czarnymi kędzierzawymi włoskami, zamiast Sierioży, którego w swym obecnym zamęcie myśli spodziewała się ujrzeć w dziecinnym pokoju. Dziewczynka, siedząc przy stole, wytrwale i mocno uderzała weń korkiem,

patrząc przy tym bezmyślnie na matkę oczyma czarnymi jak tarki. Na pytanie Angielki Anna odrzekła, że jest całkiem zdrowa i że nazajutrz wyjeżdża na wieś, po czym usiadła obok córeczki i poczęła kręcić przed nią szklany korek do karafki. Głośny, dźwięczny śmiech dziecka i ruchy jego brwi tak żywo przypominały Wrońskiego, że nie mogąc powstrzymać łkań Anna spieszenie wstała i opuściła pokój.

„Czy naprawdę wszystko skończone? Nie, to niemożliwe — myślała. — On wróci. Ale jak będzie mógł mi wytłumaczyć tę żywość, ten uśmiech w czasie rozmowy z nią? Chociaż nawet jeśli mi tego nie wytłumaczy, i tak mu uwierzę... Bo jeśli nie uwierzę, jedno mi tylko pozostaje, a ja tego — nie chcę.”

Spojrzała na zegarek: przeszło dwanaście minut. „Teraz dostał już bilecik i wraca tutaj... Już niedługo, jeszcze może z dziesięć minut... Ale co będzie, jeśli on nie wróci? Nie, to niemożliwe... Nie chcę, by mnie widział zapłakaną, pójdę się umyć. Ach tak: czy ja się w ogóle uczesałam, czy nie?” — zastanowiła się i nie mogła sobie tego uprzytomnić. Dotknęła dłońmi włosów: „Tak, jestem uczesana, ale od kiedy — stanowczo nie pamiętam”. Nie wierząc dotykowi podeszła do zwierciadła, aby się przekonać, czy istotnie jest uczesana, czy też nie. Fryzura była w porządku, lecz Anna nie mogła sobie przypomnieć, kiedy się czesała. „Kto to taki?” — myślała spoglądając w lustro na swą rozpaloną twarz z oczyma o dziwnym blasku, które patrzyły na nią z przestraczem. „Ależ to ja” — zrozumiała wreszcie i oglądając się cała z uwagą poczęła przypominać sobie jego pocałunki, aż ramionami jej wstrząsnął nagły dreszcz.

„Co się ze mną dzieje? Zwariowałam chyba” — pomyślała i przeszła do sypialni, którą właśnie sprzątała Annuszka.

— Annuszka — stanęła przed służącą i patrzyła na nią nie

wiedząc jeszcze sama, co jej powie.

— Jaśnie pani chciała jechać do Darii Aleksandrowny — powiedziała ś pokojowa, jakby rozumiejąc, co się w niej dzieje.

— Do Darii Aleksandrowny? Tak, pojedę do niej.

„Kwadrans w jedną stronę i kwadrans z powrotem. Już wraca, już wnet będzie tutaj.” Wyjęła zegarek i popatrzyła nań. „Ale jak on mógł odjechać zostawiając mnie w takim okropnym stanie? Jak może w ogóle żyć, dokąd się ze mną nie pojedna?” Zbliżyła się do okna i jęła spoglądać na ulicę: sądząc po czasie, posłaniec powinien był już wrócić. Obliczenie jednak mogło być niedokładne i Anna na nowo poczęła przypominać sobie, kiedy Michajło odjechał, i liczyć minuty.

Właśnie podeszła do dużego zegara, by sprawdzić podług niego swój własny, gdy ktoś zajechał. Wyjrzała z okna: powóz Wrońskiego stał przed domem, nikt jednak nie szedł po schodach, a z dołu słyhać było głosu. Był to posłaniec, który wrócił powozem. Anna zeszła na dół.

— Pana hrabiego już nie było. Wyjechał na Niżegorodzką kolej.

— Czego chcesz? Co?... — zwróciła się do wesołego rumianego Michajły, który podawał jej powierzony mu liścik.

„Ach tak, przecież on go nie doręczył” — uświadomiła sobie wreszcie.

— Jedź z tym samym listem na wieś do pani hrabiny Wrońskiej, wiesz, gdzie to jest? I przywieź natychmiast odpowiedź — poleciła posłańcowi.

„A ja? Co ja przez ten czas będę robiła? — pomyślała. — Tak, prawda...”

Pojedę odwiedzić Dolly, bo inaczej naprawdę zmysły stracę. Ach tak: mogę poza tym jeszcze zatelegrafować”. I

napisała depeszę:

„Muszę się z tobą rozmówić. Wracaj natychmiast.”

Wysłała depeszę i poszła się ubierać. Ubrana już i w kapeluszu, znów spotkała się ze wzrokiem spokojnej, nieco już teraz przytyłej Annuszki, w której maleńkich, poczciwych szarych oczach widać było szczere współczucie.

— Annuszka, miła moja, co ja mam począć? — zawołała szlochając i osunęła się na fotel.

— Niech się jaśnie pani tak nie denerwuje! Przecie to się zdarza. Niech jaśnie pani pojedzie, rozerwie się — radziła Annuszka.

— Tak, pojedę — Anna ocknęła się i wstała. — A jeśli w mojej nieobecności nadejdzie depesza, proszę mi ją przysłać do księżnej Darii Obłońskiej... Albo lepiej — nie. Wróć niebawem sama.

„Tak, tak... Nie trzeba myśleć, trzeba się czymś zająć: jechać gdziekolwiek, a przede wszystkim wyjechać stąd, z tego domu” — powiedziała sobie, wsłuchując się z przerażeniem w gwałtowny łomot własnego serca. Wyszła z pośpiechem i wsiadła do powozu.

— Dokąd jaśnie pani rozkaże jechać? — zapytał Piotr zajmując swoje miejsce na koźle.

— Do księstwa Obłońskich, na Znamienkę.

XXVIII

Pogoda była słoneczna. Przez cały ranek padał gęsty drobny deszczyk i wypogodziło się dopiero niedawno. Kryte blachą dachy, płyty trotuarów, krzemienie trafiające się wśród brukowców, koła pojazdów oraz skórzane, miedziane i blaszane części powozów i upręży — wszystko to mocno błyszczało w majowym słońcu. Była godzina trzecia, pora

największego ruchu na ulicach.

Wtulona w wygodne wgłębienie poduszek, kołysana nieznacznie na giętkich resorach powozu zaprzęzonego w idące dobrego kłusa siwki, Anna, wśród nie milkącego turkotu kół i nieustannej szybkiej zmiany wrażeń na świeżym powietrzu, robiła na nowo przegląd wypadków dni ostatnich i widziała swą sytuację w całkiem innych barwach niż w domu. Nawet myśl o śmierci już jej tak nie przerażała ani nie była tak wyraźna, a sama śmierć nie wydawała się bynajmniej nieunikniona. Teraz robiła sobie wręcz wyrzuty, że doszła do takiego poniżenia. „Błagam go, by mi przebaczył. Korzę się przed nim. Uznaję, że zawiniłam. Dlaczego właściwie? Czyż nie mogę żyć bez niego?” I nie zastanawiając się, jak by żyła bez niego, Anna poczęła czytać napisy na szyldach. „Biuro i skład. Dentysta. Tak, opowiem wszystko Dolly... Dolly Wrońskiego nie lubi... będzie mi wstyd, będzie mi przykro, ale jej wszystko opowiem. Ona mnie kocha: pójdę za jej radą. Nie poddam mu się; nie pozwolę, by mnie wychowywał. Filippow: kołacze. Mówią, że firma posyła swoje ciasta aż do Petersburga. Woda w Moskwie jest taka dobra... A sławne źródła i bliny w Mytiszczach*!” — i przypomniała sobie, jak dawno, dawno temu, kiedy miała lat siedemnaście, jeździła z ciotką do klasztoru Świętej Trójcy. „Jechało się wtedy jeszcze końmi. Czy to byłam naprawdę ja, z tymi czerwonymi rękami? Ile z tych rzeczy, które wówczas zdawały mi się tak piękne i niedosiężne, straciło dla mnie wszelką wartość, podczas gdy to, co wówczas było moim udziałem, obecnie stało się niedostępne na wieki. Czy uwierzyłabym wówczas, że zdolna jestem tak nisko upaść? W jaką się on pychę wbije, jaki będzie rad, gdy otrzyma mój bilecik! Ale już ja mu

* Mytiszczka Wielkie — wieś pod Moskwą, skąd w r. 1779 przeprowadzono wodociąg do Moskwy.

dowiodę... Jak ta farba nieprzyjemnie pachnie. Po co oni ciągle malują i budują. Mody i kapelusze” — czytała dalej. Jakiś mężczyzna jej się uklonił; był to mąż Annuszki. „Nasze pasożyty — przypomniała sobie określenie Wrońskiego. — Nasze? Dlaczego — nasze? Straszne jest to, że niepodobna wyrwać przeszłości wraz z korzeniem. Wyrwać nie można, ale można zagłuszyć wspomnienie o przeszłości. I ja to zrobię.” W tym miejscu powstała w jej pamięci przeszłość z Kareninem i sposób, w jaki tę przeszłość startła ze swego życia. „Dolly pomyśli, że porzucam już drugiego męża i że dlatego z pewnością słusność nie jest po mojej stronie. Czyż mi o to chodzi, żeby mieć słusność? Po prostu tak dłużej nie mogę!” — i już zaczęło się jej na płacz zbierać. Widok dwóch śmiejących się dziewcząt rozproszył wszakże ten nastrój i poczęła zgadywać, z czego się śmiały. „Pewno rozmawiały o miłości... Nie wiedzą, jakie to niewesołe, jakie poniżające... bulwar i dzieci. Trzej chłopcy biegną bawiąc się w konie. Sierioża! Wszystko utracę, a jego jednak nie odzyskam. Tak, utracę wszystko, o ile on nie wróci. A może się spóźnił na pociąg i już powrócił. Znów j ci pilno do upokorzenia! — zgromiła siebie w duchu. — Nie, wejdę tam i wprost I powiem Dolly: jestem nieszczęśliwa, zasłużyłam na to. To moja wina, alei jestem nieszczęśliwa, przyjdź mi z pomocą... Te konie, ten powóz — jakże ja się sobą siedzącą w tym powozie brzydzę! — wszystko to należy do niego; ale już ich więcej nie zobaczę.”

Układając sobie słowa, w których miała wszystko wyznać Dolly, i rozmyślnie rozjątrzając rany swego serca, Anna weszła na schody.

— Czy jest kto u państwa? — zapytała w przedpokoju.

— Jest jaśnie pani Lewin — odrzekł lokaj.

„Kitty, ta Kitty, w której Wroński się kochał — pomyślała

Anna — ta, o której z miłością i teraz może wspomina. Żałuje pewnie, że się z nią nie ożenił. A o mnie myśli z nienawiścią i nie może odżałować, żeśmy się ze sobą zbliżyli.”

Siostry w chwili przybycia Anny naradzały się nad karmieniem dziecka. Dolly wyszła sama powitać przybyłą, której wizyta właśnie teraz przeszkadzała w ich rozmowie.

— Jak to, jeszcze nie wyjechałaś? Chciałam właśnie być u ciebie — rzekła Dolly. — Dostałam dziś list od Stiwy.

— Myśmy także otrzymali telegram — odrzekła Anna oglądając się za Kitty.

— Píše, że nie może zrozumieć, czego właściwie chce Karenin, ale że nie wyjedzie z Petersburga bez odpowiedzi.

— Myślałam, że masz gościa. Czy mogę przeczytać ten list?

— Tak, jest u mnie Kitty — zmieszała się Dolly — została w dziecinnym pokoju. Była bardzo chora.

— Mówiono mi. Czy mogę przeczytać list?

— Zaraz ci go przyniosę. Ale mąż twój nie odmawia; przeciwnie, Stiwa ma nadzieję — powiedziała Dolly ode drzwi.

— Ja nie mam nadziei, a nawet już niczego nie pragnę — odrzekła Anna.

„Co to znaczy? Czy Kitty uważa spotkanie ze mną za ubliżające dla siebie? — zadała sobie pytanie, gdy została sama. — Może zresztą i ma rację. Ale nie przystoi, by właśnie ona — ona, która sama kochała się we Wrońskim — okazywała mi to, nawet gdyby to było słuszne. Wiem, że w położeniu, w jakim się znajduję, żadna przyzwoita kobieta nie może mnie przyjmować. Wiem, że od pierwszej chwili poświęciłam wszystko dla niego! I oto moja nagroda. O, jakże go nienawidzę! I po co ja tu przyjechałam? Jest mi jeszcze gorzej, jeszcze bardziej cierpię.” Z sąsiedniego

pokoju dochodziły ją głosy rozmawiających sióstr. „I cóż mam teraz Dolly powiedzieć? Mamże mówić po to, by Kitty była rada, że jestem nieszczęśliwa? Mamże znosić, by mnie traktowała z góry? Za nic, a zresztą Dolly i tak nic nie zrozumie. Nie ma celu z nią o tym mówić. Ciekawa bym tylko była zobaczyć Kitty; chciałabym jej okazać, jak szczerze gardzę wszystkimi i wszystkim i jak wszystko mi jest teraz obojętne.”

Dolly przyniosła list. Anna przeczytała go i w milczeniu znów oddała.

— Już o tym wszystkim wiedziałam — rzekła. — I nic mnie to nie obchodzi.

— Ależ dlaczego? Ja, przeciwnie, mam nadzieję — Dolly z ciekawością spojrziała na Annę. Nigdy jeszcze nie widziała jej tak dziwnie rozdrażnionej. Kiedy wyjeżdżasz? — zapytała.

Anna patrzyła wprost przed siebie zmrużonymi oczyma i nic nie odrzekła.

— Czemuż to Kitty chowa się przede mną? — spytała patrząc na drzwi i zarumieniła się.

— Skądże! Kitty karmi i nie całkiem dobrze jej jeszcze idzie. Dawałam jej więc rady... Bardzo się cieszy i zaraz tu przyjdzie — Dolly, która nie umiała mówić nieprawdy, była przy tych słowach zażenowana. — Ale otóż i ona.

Dowiedziawszy się, kto przyjechał, Kitty nie chciała się ukazać, lecz Dolly jej to wyperswadowała. Kitty weszła do salonu i zarumieniona podała Annie rękę.

— Bardzo mi miło — rzekła drżącym głosem.

Czuła się skrepowana walką, jaka się w niej odbywała pomiędzy wrogim uczuciem wobec tej niedobrej kobiety a pragnieniem zdobycia się na pobłażliwość dla niej. Skoro tylko jednak ujrzała przed sobą piękną, sympatyczną twarz

Anny, cała jej niechęć do niej od razu prysła.

— Nie zdziwiłabym się, gdyby pani się ze mną spotkać nie chciała. Do wszystkiego już przywykłam. Pani była chora? Tak, pani się zmieniła — powiedziała Anna.

Kitty odczuła, że Anna nieprzychylnie się do niej odnosi. Przypisała to zakłopotaniu, jakie wobec niej odczuwać musiała protekcjonalnie ją niegdyś traktująca Anna, i wzbudziło w niej to litość dla niej.

Porozmawiały o chorobie, którą Kitty przebyła, o dziecku, o Stiwie, lecz widać było, że nic Annę nie interesuje.

— Przyjechałam się z tobą pożegnać — rzekła wreszcie wstając.

— Kiedy wyjeżdżacie?

Anna jednak, znów nie dając odpowiedzi, zwróciła się do Kitty.

— Tak. Cieszę się bardzo, że panią widziałam — powiedziała z uśmiechem. — Słyszałam zewsząd tyle o pani, nawet od pani męża. Był u mnie i bardzo mi się podobał — dodała z wyraźnie złą intencją. — Gdzie on jest teraz?

— Wyjechał na wieś — odrzekła rumieniąc się Kitty.

— Niech go pani ode mnie pozdrowi, ale koniecznie.

— Na pewno to zrobię — z całą naiwnością obiecała Kitty patrząc jej prosto w oczy ze współczuciem.

— No więc żegnaj, Dolly! — Ucałowawszy bratową i uściskawszy rękę Kitty Anna szybko wyszła z pokoju.

— Nic nie zmieniona i zawsze tak samo urocza. A jaka piękna! — powiedziała Kitty do siostry, gdy zostały same. — Ale ma w sobie coś wzbudzającego litość. Coś niewymownie żalosego!

— Nie, dziś to było coś zupełnie szczególnego — odrzekła Dolly. — Kiedy ją odprowadzałam do przedpokoju, miałam wrażenie, że była bliska płaczu.

XXIX

Stan Anny, gdy wsiadła znów do powozu, był jeszcze gorszy niż przed wyjazdem z domu. Do wszystkich poprzednich jej udręczeń dołączyła się teraz uraza i uczucie, które sobie wyraźnie uświadomiła przy spotkaniu z Kitty, że jest jak ktoś wyjęty spod prawa.

— Dokąd jaśnie pani rozkaże? — Do domu? — zapytał Piotr.

— Tak, do domu — odrzekła machinalnie, nie myśląc nawet, dokąd jedzie.

„Jak one na mnie patrzyły! Jak na coś przerażającego, niezrozumiałego i ciekawego. O czym ten może opowiadać tamtemu z takim zapalem? — pomyślała spojrzawszy na dwóch przechodniów. — Czy podobna innemu człowiekowi opowiedzieć, co się czuje? Miałam zamiar opowiedzieć Dolly o sobie i dobrze zrobiłam nic jej nie mówiąc. Jak ona by się ucieszyła z mego nieszczęścia! Kryłaby się z tym, ale w gruncie rzeczy nad innymi jej uczuciami przeważałby odruch radości, że jestem ukarana za to szczęście, którego mi zazdrościła. A Kitty cieszyłaby się jeszcze więcej: przejrzałam ją na wylot! Wie ona, że byłam dla jej męża bardziej niż przeciętnie uprzejma, jest zazdrosna i nienawidzi mnie... A w dodatku mną pogardza. W jej oczach jestem kobietą złego prowadzenia. Gdybym nią była, mogłabym męża jej rozkochać w sobie... bylebym tylko chciała. Owszem, chciałam tego nawet... Ten jest z siebie zadowolony — wzrok jej padł na grubego, czerwonego jegomościa, który przy mijaniu się powozów wziął ją za osobę znajomą i uniósł lśniącego kapelusza nad łysą lśniącą głową, zanim przekonał się o swej omyłce. — Zdawało mu

się, że mnie zna, tymczasem zna mnie równie mało, jak ktokolwiek inny na tej ziemi. A ja czyż siebie znam? Znam swoje apetyty, jak mówią Francuzi. Ot, ci na przykład mają ochotę na te brudne lody. To wiedzą z całą pewnością — myślała patrząc na dwóch chłopców, którzy zatrzymali przechodzącego lodziarza, zdejmował właśnie z głowy kubek z lodami*, wycierając końcem ręcznika spoconą twarz. — Wszyscy mamy ochotę na coś słodkiego, coś smacznego, gdy cukierków nie ma, to choćby na brudne lody. To samo — Kitty: skoro i Wroński, to przynajmniej Lewin. A teraz zazdrości mi... I nienawidzi mnie Wszyscy nienawidzimy się wzajemnie: ja nie cierpię Kitty, ona — mnie prawda niewątpliwa... Tiutkin, *coiffeur*. *Je me fais coiffer par Tiutkin...** Powiem mu to, gdy wróci — pomyślała z uśmiechem, w tej samej chwili jednak przypomniała sobie, że już nie ma nikogo, komu by mogła opowiedzieć śmiesznego. — A zresztą nic zabawnego, wesołego w ogóle nie istnieje. Wszystko jest obrzydliwe. Dzwonek na nieszpory. Jak ten kupiec dokładniej robi znak krzyża! Jakby się bał coś opuścić. Po co te cerkwie, te dzwony i kłamstwo? Po to chyba, by ukryć, że wszyscy się wzajemnie nienawidzimy,, zupełnie jak ci dorożkarze, którzy właśnie wymyślają sobie nawzajem z taką złością. Jaszwin powiada: on chce mnie obedrzeć do koszuli, a ja jego. Mat j zupełną rację!”

Pogrążona tak dalece w tego rodzaju myślach, że przestała nawet być świadoma swej sytuacji, zajęła przed ganek i dopiero ujrawszy wychodzącego na jej spotkanie szwajcara, przypomniała sobie wysłany list i depezę.

— Czy jest odpowiedź?

— Zaraz zobaczę — odrzekł szwajcar i zajrawszy do

* Kubek z lodami... — sprzedawcy lodów w Rosji w ten właśnie sposób obnosili swój towar.

* *Tiutkin, coiffeur...* — fryzjer Tiutkin. Czeszę się u Tiutkina.

szuflady wy dostał i podał Annie cienką kwadratową kopertę z depeszą. „Nie mogę przybyć przed dziesiątą. Wroński” — przeczytała.

— A posłaniec nie wrócił?

— Nie, proszę jaśnie pani — odrzekł portier.

„Skoro tak, to już wiem, jak mam postąpić — pomyślała i szybko wbiegła na górę, czując, jak wzbiera w niej nieokreślony gniew i żądza zemsty. — Pojadę do niego osobiście. Zanim odejdę na zawsze, powiem mu wszystko, co o ; nim myślę. Nigdy nikogo nie nienawidziłam tak jak tego człowieka!” — powiedziała sobie. Ujrzawszy kapeluszczyka Wrońskiego na wieszaku, wzdrygnęła się z odrazy. Nie zdawała sobie sprawy z jednej rzeczy: oto telegram jego był odpowiedzią na jej własny, a listu jej Wroński dotychczas nie był otrzymał? Wyobrażała go sobie spokojnie rozmawiającego z matką i z księżniczką! Sorokin i napawającego się jej cierpieniem. „Tak, muszę jechać co prędzej” — powiedziała sobie nie wiedząc jeszcze, dokąd się uda. Pragnęła I uciec jak najszybciej przed uczuciami, które na nią czyhały w tym okropnym miejscu. Służba, ściany, przedmioty, wszystko w domu tym mierziło ją i wywoływało gniew, wszystko gniotło ją niewymownym ciężarem.

„Tak, trzeba jechać na stację kolejową, a jeśli go tam już nie ma — aż na miejsce i tam go przyłapać.” Anna wyszukała w gazecie rozkład pociągów: pociąg odchodził dwie minuty po ósmej. „Zdążę jeszcze.” Kazała przeprać konie i poczęła pakować do walizki rzeczy potrzebne na kilka dni, wiedząc, że już tutaj nie wróci. Pomędzy innymi pomysłami, jakie jej przychodziły do głowy, miała niewyraźny zamiar, by po tym, co się stanie tam na stacji lub w majątku matki Wrońskiego, jechać dalej Niżegorodzką koleją do najbliższego miasta i tam pozostać.

Obiad był podany: podeszła do stołu, powąchała chleb i przekonawszy się, że zapach jakiegokolwiek jadła napełnia ją odrazą, kazała, by powóz zajechał, i wyszła na ganek. Cień domu padał już całkiem w poprzek ulicy. Był pogodny, a na słońcu jeszcze ciepły, wieczór. I Annuszka idąca za nią z rzeczami, i Piotr układający je w powozie, i stangret, który był wyraźnie w złym humorze, wszyscy wzbudzali w niej wstręt i irytowali ją każdym słowem i każdym ruchem.

— Nie będziesz mi już potrzebny, Piotrze.

— A jak będzie z kupnem biletu, proszę jaśnie pani?

— Rób, jak chcesz; wszystko mi jedno — rzekła niechętnie.

Piotr wskoczył na kozioł, ujął się pod boki i kazał jechać na dworzec.

XXX

„Otóż i powóz!... I zaczynam znów wszystko rozumieć” — powiedziała sobie w duchu Anna, skoro tylko koczyk ruszył i zakotłosał się na drobno zabrukowanej jezdni. Znów wrażenia poczęły się przesuwać jedno za drugim.

„Ach, tak... O czym mi się ostatnio tak łatwo myślało? — usiłowała sobie przypomnieć. — Tiutkin, *coiffeur*?... Nie, to nie to. Tak, myślałam o tym, co mówił Jaszwin: walka o byt i nienawiść — oto jedyne rzeczy, które ludzi ze sobą wiążą. Nie, nie, daremnie się śpieszycie — zwróciła się w myśli do wesołej kompanii jadącej powozem zaprzężonym w czwórkę, najwidoczniej w celu zabawienia się za miastem. — Nawet ten pies, któregoście ze sobą zabrali, nic wam nie pomoże. Nie uda się wam uciec od samych siebie.” Rzuciwszy okiem w kierunku, w którym obrócił się właśnie Piotr, ujrzała prawie do nieprzytomności pijanego robotnika fabrycznego z

bezwładnie zwisającą głową, którego wioził dokądś policjant. „Raczej już — zdecydowała — uda się to temu pijakowi. Wroński i ja również nie znaleźliśmy w miłości tego zapamiętania, po którym spodziewaliśmy się tak wiele.” Anna zwróciła jaskrawe światło, w jakim obecnie wszystko oglądała, po raz pierwszy na swój stosunek do Wrońskiego, stosunek, który dotychczas starała się w myślach omijać. „Czego on we mnie szukał? Nie tyle uczuć miłosnych, ile zadowolenia swoje próżności.” Przypominała sobie różne jego powiedzenia w pierwszym okresie ich romansu, wyraz jego, podobny do miny potulnego wyżła. Cały obecny stan rzeczy potwierdzał jej przesłanki. „Tak, był to triumf zaspokojonej próżności. Oczywiście, że była także i miłość, ale większą rolę odgrywała duma z sukcesu. Chełpił się mną. Teraz to minęło. Nie ma już czym się pysznić. Nie pysznić się, j ale raczej wstydzić się trzeba. Wziął ode mnie wszystko, co mógł, a dziś mu już nie jestem potrzebna. Jestem dla niego ciężarem, chociaż stara się nie: postępować nieuczciwie w stosunku do mnie. Wczoraj się zdradził: pragnie i rozwodu i ożenku ze mną, żeby spalić za sobą mosty. Kocha mnie, ale cóż to za miłość? *The zest is gone...** A ten znów chce wszystkich zadziwić i bardzo jest z siebie zadowolony — zauważyła w duchu, patrząc na rumianego młodzieńca, z wyglądu subiekta sklepowego, jadącego na wierzchowcu najwidoczniej wynajętym w maneżu. — Tak, straciłam dla niego urok. Jeśli odejdę, będzie w głębi duszy rad.”

To nie było tylko przypuszczenie: w tym ostrym świetle, które odślaniało teraz przed nią sens życia i sens ludzkich stosunków, widziała to zupełnie wyraźnie.

„Miłość moja staje się wciąż bardziej namiętna i samolubna, a jego miłość stopniowo wygasa, oto dlaczego się

* *The zest...* — przenośnie: płomień wygast

rozstajemy — myślała dalej. — I na to nie ma rady. Dla mnie on jest wszystkim, żądam, by coraz bardziej był mi oddany, on zaś coraz goręcej pragnie ode mnie odejść. Aż do chwili, gdy zaczął się pomiędzy nami romans, szliśmy ku sobie, od tego czasu natomiast zaczęliśmy się niepowstrzymanie od siebie oddalać. Nic tego zmienić nie zdoła. Mówi mi, że jestem zazdrosna bez najmniejszego powodu i ja sama nawet wmawiałam sobie, że zazdrość moja to absurd; ale to nieprawda... Nie jestem zazdrosna jestem niezadowolona. Ale... — tak się nagle wzburzyła prześlaskiem pewnej myśli, że aż poruszywszy się gwałtownie, rozchyliła usta i zmieniła pozycję w powozie. — Gdybym mogła być dla Wrońskiego czymś innym niż tylko kochanką namiętnie i wyłącznie pożądaną jego pieścizną... Lecz ja niczym innym być nie mogę i nie pragnę. Moje pożądanie wzbudza w nim wstręt, a jego wstręt wznieca we mnie urazę; i nie może być inaczej. Przecie wiem doskonale, że nigdy by mnie nie oszukiwał, że nie ma wcale zamiaru żenić się z księżniczką Sorokin, że nie kocha się w Kitty i że mnie nie zdradzi... Wiem o tym wszystkim, lecz co mi po tym. O ile nie kochając mnie będzie dla mnie dobry i czuły z obowiązku, a zabraknie tego, czego ja pragnę — to przecie będzie po tysiąc razy gorsze, niż gdyby miał się na mnie gniewać. To — piekło! Sytuacja obecna pomiędzy nami jest właśnie tym piekłem. Wroński nie kocha mnie już od dawna... A tam gdzie się miłość kończy, zaczyna się nienawiść... Nie znam zupełnie tych ulic: jakieś góry i domy, domy bez końca... A w domach ludzie i znów ludzie. Ileż ich jest, niezliczone mnóstwo... No więc przypuśćmy, że określe, czego mi potrzeba, żeby być szczęśliwą. A zatem: uzyskuję rozwód, Karenin oddaje mi Sieriożę i wychodzę za mąż za Wrońskiego.” Na wspomnienie o Kareninie wyobraziła go sobie zaraz

niezmiernie plastycznie, jak żywego, z jego łagodnym, martwym, przygaszonym spojrzeniem, z białymi dłońmi pokrytymi siecią niebieskich żył, z jego specjalnymi intonacjami, z jego trzaskaniem w palce i — przypominając sobie uczucie, które ich niegdyś łączyło, a które przecie również nazywało się miłością, aż się wzdrygnęła z obrzydzenia. „No więc dobrze: otrzymam rozwód i będę żoną Wrońskiego. I cóż — czy Kitty przestanie patrzeć na mnie . tak, jak patrzała dzisiaj? Nie. A Sierioża — czy przestanie zadawać pytania lub rozmyślać na temat moich dwóch mężów? I jakież to nowe uczucie da się wykrzesać między mną a Wrońskim? Czyż jest w ogóle możliwe coś, co byłoby niekoniecznie jakimś szczęściem, ale przynajmniej nie męczarnią! Nie i jeszcze raz nie! — odpowiedziała sobie teraz bez najmniejszego wahania. — To jest niemożliwe! Samo życie nas rozłącza: ja go unieszczęśliwiam, on mnie, a nie da się przerobić ani mnie, ani jego. Wszystkie próby zawiodły: gwint się zatarł do szczętu... Tak, ta oto żebraczka z dzieckiem sądzi, że należy jej się litość. Czyż nie jesteśmy wszyscy rzućeni na ten świat tylko po to, by się wzajemnie nienawidzić i dręczyć siebie i innych?... Przechodzą ze śmiechem uczniowie gimnazjum... A Sierioża? — podszeptęła jej pamięć. — Sądziłam kiedyś, że kocham syna, i rozpływałam się nad swoją dla niego czułością. A przecież obeszłam się w życiu bez niego, porzuciłam go w zamian za inną miłość i jak długo mi tamta wystarczała, nie skarżyłam się na tę wymianę.” Tu z odrazą uprzytomniła sobie istotę tego, co nazywała tamtą miłością, i ostra widoczność, z którą ukazywało się jej teraz jej własne życie i życie wszystkich ludzi, sprawiła jej radość. „Tak, tak... taka jestem ja i taki sam jest i Piotr, i stangret Fiodor, i tamten kupiec, i wszyscy ludzie zamieszkali daleko za Wołgą, dokąd zapraszają te

plakaty, wszyscy wszędzie i zawsze” — myślała, gdy powóz zajechał wreszcie przed niski budynek Niżegorodzkiej stacji kolejowej i tragarze wybiegli na jej spotkanie.

— Czy wziąć bilety do Obirałowki? — spytał Piotr.

Anna całkiem zapomniała, dokąd i po co jedzie, i zrozumienie pytania służącego przyszło jej z wielką trudnością.

— Tak — odrzekła podając mu sakiewkę z pieniędzmi, po czym wzięła w J rękę swą małą czerwoną torebkę i wysiadła z powozu.

Torując sobie drogę poprzez tłum do poczekalni pierwszej klasy, powoli „i uświadomiła sobie wszystkie szczegóły sytuacji i te różne możliwości pomiędzy którymi wypadnie jej uczynić wybór. I znowu to nadzieja, to rozpacz poczęły rozjątrzać stare, za każdym dotknięciem bolące rany jej udręczonego, ze straszną mocą bijącego serca. Usiadłszy w oczekiwaniu pociągu na mającej kształt gwiazdy kanapce, z odrazą patrzyła na wchodzących i wychodzących (wszyscy oni wzbudzali w niej obrzydzenie) i to myślała, jak przybędzie na stację i napisze do niego bilecik, a nawet jaka będzie treść tego bileciku, to wyobrażała sobie, jak Wroński teraz właśnie (nie rozumiejąc jej cierpień) skarży się matce na swą sytuację, jak wśród tego niespodziewanie ona wchodzi do pokoju i co mu wówczas mówi. Chwilami znów przychodziło jej do głowy, ile szczęścia mogłoby jeszcze dać jej życie, jak boleśnie kocha i nienawidzi Wrońskiego i z jaką strasliwą siłą serce jej bije.

XXXI

Rozległ się dzwonek, minęli ją jacyś młodzi, aroganccy mężczyźni o szkaradnej powierzchowności; szli w wielkim

pośpiechu, a jednocześnie ogromnie byli zajęci wrażeniem, jakie wywierali; przeszedł przez poczekalnię i Piotr ze swą tępą zwierzęcą twarzą, ubrany w liberię i sztyblety, i podszedł do niej, by towarzyszyć jej do wagonu. Hałaśliwi mężczyźni uciszyli się, gdy Anna mijała ich na peronie; jeden z nich szepnął coś o niej drugiemu, oczywiście coś obrzydliwego. Anna po wysokich schodkach dostała się do pustego przedziału i zajęła miejsce na sprężynowej brudnej kanapce, niegdyś białej. Torebka jej podskoczyła na sprężynach i znieruchomiała. Za oknem Piotr z głupawym uśmiechem uchylił na znak pożegnania wygalonowanej czapki; arogancki konduktor trzasnął drzwiczkami i klamką. Potwornie brzydka pani z tiurniurą (Anna wyobraziła ją sobie nagą i aż ją strach zdjął przed jej brzydota), a za nią dziewczynka przebiegły obok wagonu śmiejąc się z afektacją.

— Katarzyna Andriejewna ma wszystko, wszystko jest u niej, *ma tante** — zawołała dziewczynka.

„Nawet tę dziewczynkę zmanierowano, już i ona pozuje” — osądziła w duchu Anna. Pragnąc uniknąć widoku ludzi, szybko wstała i siadła u przeciwległego okna. Wagon był pusty. Usmolony, potworny chłop w czapce, spod której sterczały splecione włosy, przeszedł pod oknem, pochylając się raz po raz nad kołami pociągu. „Skąd mi się ten potworny chłop wydaje jakby znajomy?” — pomyślała Anna i nagle przypomniała sobie swój sen, drgnęła z przerażenia i przesiadła się na miejsce u drzwi po przeciwnej stronie. Właśnie konduktor otwierał je wpuszczając dwoje pasażerów: męża i żonę.

— Czy pani życzy sobie wyjść z wagonu?

Nie odpowiedziała. Ani konduktor, ani nowo przybyli nie zauważyli przerażenia Anny pod jej spuszczoną na twarz

* *Ma tante* — ciotko.

woalką. Wróciła ode drzwi i usiadła w swoim kącie. Para małżeńska usadowiła się po drugiej stronie i oglądała uważnie, acz dyskretnie, jej suknię. Annie oboje zdali się wstrętni. Mąż zapytał, czy mu wolno będzie zapalić; znać było, że chodziło mu nie o papierosa, lecz o wszczęcie rozmowy. Na wyrażoną zgodę począł z żoną rozmawiać po francusku na tematy, o które mu równie mało chodziło jak przedtem o papierosa. Mówili dla pozorów jakieś głupstwa tylko po to, by Anna słyszała ich rozmowę. Rozpoznawała wyraźnie, do jakiego stopnia obrzydli sobie wzajemnie i jak się nienawidzą. Zresztą, jakże można było nie nienawidzić takich nędznych potworów. Zadzźwięczał drugi dzwonek, a zaraz potem wszczął się rumor przesuwanego bagażu, hałas, krzyki i śmiech. Anna doskonale zdawała sobie sprawę, że nikt nie ma właściwie powodu do radości, toteż śmiech ów drażnił ją aż do bólu i miała ochotę zatkać sobie uszy, by go nie słyszeć. Wreszcie zadzwoniono po raz trzeci, rozległ się gwizdek, zgrzyt ruszającej lokomotywy, szczęknął szarpnięty łańcuch i mąż się przeżegnał. „Ciekawa bym dowiedzieć się, co też on przez to rozumie?” — ze złością spojrzała na niego Anna. Omijając damę wzrokiem, patrzyła teraz na pozostałych na peronie odprowadzających, którzy jakby sunęli wraz z całą platformą wstecz. Rytmicznie podrzucany na spojeniach szyn wagon, w którym Anna się znajdowała, mijał peron, kamienny mur, tarczę sygnalizatora, inne wagony; koła poczęły podzwaniać po szynach bardziej potoczyscie, jakby naoliwione; jaskrawym światłem zajrzało w okno wieczorne słońce i wietrzyk jał podrzucać firankę u okna. Anna zapomniała o towarzyszach podróży i kołysana leciutko w takt biegu pociągu, oddychając świeżością powietrza znów zagłębiła się w myślach.

„Na czym to ja stałam? Na tym, że nie mogę sobie

wyobrazić sytuacji, w której życie nie byłoby męczarnią, że wszyscy jesteśmy na to stworzeni, by się zamezczać, że wszyscy o tym wiemy i wszyscy szukamy środków, by się ludzić. Ale jeśli się raz pozna prawdę, co wtedy począć?”

— Po to człowiekowi dany jest rozum, by mógł się pozbyć tego, co mu jest przykre — rzekła po francusku dama i dumna ze swego frazesu, oblizwała z grymasem wargi.

Słowa te były jakby odpowiedzią na myśl Anny.

„Pozbyć się tego, co jest przykre” — powtarzała w duchu, a rzuciwszy okiem na krwistego męża i chudą żonę zrozumiała, że chorowita żona uważa się za istotę nie zrozumianą, a że mąż ją zdradza i dlatego rozmyślnie żonę i utwierdza w jej mniemaniu. Gdy Anna skierowała na nich to swoje ostre światło, zobaczyła całą historię ich życia i wszystkie zakamarki ich dusz, lecz że było to nieciekawe, szła dalej za swą myślą.

„Tak, to mnie bardzo dręczy, a na to mam dany sobie rozum, żebym się udęczeń pozbyła; to znaczy, że się go pozbyć trzeba. Dlaczego nie zdmuchnąć świecy, skoro widok tego wszystkiego wzbudza wstręt? Ale jak? Czemu konduktor przebiegł po tym drążku? Dlaczego ci młodzi ludzie w tamtym wagonie krzyczą? Dlaczego rozmawiają, dlaczego się śmieją? Wszystko jest fałszem, kłamstwem, oszustwem. Wszystko jest złe!”

Gdy pociąg stanął na stacji, Anna wysiadła wraz z tłumem innych pasażerów i odsuwając się od nich jak od trędowatych zatrzymała się na peronie, usiłując przypomnieć sobie, po co tutaj przybyła i co miała zamiar uczynić. Trudno się teraz było połapać w tych wszystkich możliwościach, które jej się uprzednio nastrecały, trudno zwłaszcza wśród hałaśliwej ciżby tych wszystkich obrzydłych, nie dających jej spokoju ludzi. To podbiegali do niej tragarze ofiarując swoje usługi;

to oglądali ją wśród głośnej rozmowy młodzieńcy walący obcasami o deski peronu; to znów spotykani pasażerowie nie umieli jej wymijać. Wreszcie przypomniała sobie, że miała zamiar jechać dalej, o ile nie dostanie odpowiedzi, i zwróciła się do jednego z tragarzy z zapytaniem, czy nie ma na stacji stangreta z listem od hrabiego Wrońskiego.

— Pan hrabia Wroński? Przed chwilą przyjeżdżali stamtąd po księżnę Sorokin z córką. A jak ten stangret wygląda?

W tym miejscu rozmowy Anny z tragarzem stangret Michajło, rumiany, rozradowany, w granatowym eleganckim liberyjnym płaszczu i przy dewizce, wyraźnie dumny z dobrze załatwionego polecenia, podszedł i podał jej list. Otworzyła go i serce jej ścisnęło się boleśnie, zanim go jeszcze przeczytała.

„Bardzo żałuję, że bilecik twój mnie nie zastał. Będę o dziesiątej” — skreślił Wroński niedbale.

„Tak! Spodziewałam się tego!” — powiedziała sobie ze złośliwym uśmiechem.

— Dobrze. Jedź więc do domu — cichym głosem poleciła stangretowi. Mówiła cicho, bo szybkie uderzenia serca nie dawały jej zaczerpnąć tchu. „Nie, nie pozwolę ci, byś mnie dłużej tak dręczył” — pomyślała zwracając się z groźbą nie do Wrońskiego, nie do siebie, lecz do tego kogoś, kto ją zmuszał, by się zadreślała, i minawszy stację poszła dalej wzdłuż peronu.

Dwie przechadzające się po peronie służące odwróciły się za nią i wszczęły dyskusję na temat jej toalety: „To prawdziwe” — orzekły o koronkach przy sukni. Młodzi ludzie nie dawali jej spokoju: znów przeszli obok niej i zajrzeli jej ze śmiechem w twarz, wykrzykując coś afektowanym tonem. Naczelnik stacji mijając ją zapytał, czy ma zamiar jechać dalej. Chłopiec sprzedający kwas oczu z

niej nie spuszczał. „O Boże, co mam ze sobą począć?” — myślała idąc peronem coraz dalej. Na końcu peronu przystanęła. Panie i dzieci, które wyszły na stację na spotkanie pana w okularach, a teraz siniąły się głośno i rozmawiały, umilkły, gdy do nich doszła, i poczęły ją oglądać. Przyśpieszyła kroku i oddaliła się od nich aż na sam brzeg peronu. Zbliżał się właśnie pociąg towarowy. Peron zatrząsł się i Annie wydało się, że znów jedzie pociągiem.

I nagle, przypomniawszy sobie człowieka przejechanego w dzień jej pierwszego spotkania z Wrońskim, zrozumiała, co jej czynić wypada. Szybkim, lekkim krokiem zeszła po schodach idących od pompy kolejowej ku szynom i stanęła tuż przed mijającym ją pociągiem. Patrzyła na spód wagonów, na śruby i łańcuchy i na wysokie żeliwne koła toczące się powoli pierwszego wagonu, usiłując oszacować na oko, gdzie leży środek pomiędzy przednimi a tylnymi kołami i w jakiej chwili środek ten znajdzie się naprzeciw niej.

„Tam!. — powiedziała sobie patrząc na miejsce, gdzie w cieniu wagonu widać było pomieszany z węglem żwir, którym zasypane były podkłady — tam, na sam środek. Jego ukarzę, a sama pozbędę się wszystkich, a przede wszystkim siebie.”

Miała zamiar rzucić się pod pierwszy wagon, gdy jego środek z nią się zrówna, ale czerwona torebka, której nie zdążyła w porę zdjąć z ręki, zatrzymała ją, i było już za późno: środek tymczasem ją minął. Należało czekać na wagon następny. Uczucie pokrewne temu, jakiego doznawała przed kąpielą, gdy miała wejść do wody, ogarnęło ją i przeżegnała się. Ten pospolity gest znaku krzyża wywołał w jej duszy szereg dziewczęcych i dziecinnych : wspomnień i z nagłą mrok, przesłaniający jej wszystko, rozstąpił się, a życie

stańło przed nią na chwilę ze wszystkimi świetlanymi uciechami, jakie przeszłość jej dała. Nie traciła jednak z oczu kół zbliżającego się drugiego wagonu. I dokładnie w tej sekundzie, gdy środek przestrzeni leżącej pomiędzy osiami kół z nią się zrównał, odrzuciła czerwoną torebkę i wtuliwszy głowę w ramiona padła pod wagon na ręce, po czym lekkim ruchem, jakby zaraz miała powstać z ziemi, uklękła. W tej samej chwili przeraziła się tego, co zrobiła.

„Gdzie ja jestem? Co ja robię? Po co?” Chciała się podnieść, uskoczyć w bok; lecz coś olbrzymiego, nieubłaganego pchnęło ją w głowę i powlokło za plecy. „Boże, przebacz mi wszystko!” — wyrzekła czując, że opór byłby daremny. Mały chłopina, mrużąc coś pod nosem, obrabiał jakieś żelastwo. I świeca, przy blasku której czytała księgę pełną niepokoju, fałszu, niedoli i zła, wybuchła jaskrawszym niż kiedykolwiek światłem, oświeciła przed nią wszystko, co dotąd leżało w cieniu, zaskwierczała i poczęła się zmierzchać, aż na wieki zgasła.

CZEŚĆ ÓSMA

I

Upłynęły prawie dwa miesiące, upalne lato przeminęło już do połowy, a Sergiusz Koznyszew teraz dopiero zabierał się do wyjazdu z Moskwy.

W życiu jego zaszły w tym okresie swoiste — wypadki. Już na rok przedtem ukończył był książkę, owoc sześćioletniej pracy, pod tytułem: *Zarys przeglądu założeń i form państwowości w Europie i w Rosji*. Niektóre części tego dzieła oraz przedmowa do niego ukazały się w pismach periodycznych, inne znów Koznyszew na głos odczytywał w gronie bliskich mu ludzi, tak że myśli zawarte w książce nie były już całkowicie nie znane publiczności. Mimo to Koznyszew spodziewał się, że ukazanie się jego dzieła wywoła w społeczeństwie poważny oddźwięk i choć może nie przyczyni się do całkowitego przewrotu w nauce, to jednak spowoduje wielkie poruszenie w sferach naukowych.

Po starannym wykończeniu książka w ubiegłym roku wyszła z druku i została rozesłana księgarniom.

Koznyszew nikogo o nią nie wypytywał, a zagadnięty przez przyjaciół, jak książka się rozchodzi, odpowiadał niechętnie i z udaną obojętnością; nie dowiadywał się nawet w księgarniach, jak postępuje sprzedaż. Mimo to jednak uważnie i z napięciem wyglądał pierwszego wrażenia, jakie dzieło jego wzbudzi u publiczności i w kołach literackich.

Minął wszakże tydzień, drugi, trzeci i w społeczeństwie nie znać było żadnego wrażenia; specjaliści i naukowcy spomiędzy jego przyjaciół czasami wyraźnie przez grzeczność napomykali mu o książce w rozmowie. Pozostali znajomi nic mu o niej nie mówili, bo książka o treści

naukowej całkiem ich nie interesowała. W sferach światowych, które w owym czasie zajęte były czymś zgoła innym, panowała zupełna obojętność. Również i koła literackie przez cały miesiąc ani słowem nie zdradziły zainteresowania dla książki Koznyszewa.

Koznyszew obliczył szczegółowo czas potrzebny do napisania recenzji, przeszedł jednak miesiąc i drugi, a milczenie wciąż trwało.

Tylko „Północny Żuk” w żartobliwym felietonie na temat tracące głos śpiewaka Drabantiego wtrącił nawiasem o książce Koznyszewa kilka lekceważących słów, z których wnioskować było można, że wszyscy się o niej od dawna ujemnie wypowiedzieli i że książka jest ogólnym pośmiewiskiem.!

Wreszcie w początkach trzeciego miesiąca po wyjściu dzieła ukazała się recenzja w poważnym czasopiśmie; Koznyszew znał jej autora, spotkał go raz jeden u Gołubcowa.

Był to młody felietonista, człowiek chorowity, wielkiej odwagi, jako pisarz, lecz niezwykle mało kulturalny i bardzo nieśmiały w obejściu towarzyskim.

Mimo że Koznyszew szczerze lekcewał autora, zabrał się jednak do czytania jego artykułu z pewnym szacunkiem. Artykuł był druzgocący.

Rzucało się w oczy, że felietonista zrozumiał całą książkę tak, jak jej w żaden sposób niepodobna było zrozumieć. Tak zręcznie jednak podobierał cytaty, że ci, którzy książki nie czytali (a oczywiście nie czytał jej prawie nikt), od razu mogli nabrać przekonania, że cała rzecz jest niczym innym jak zbieraniny napuszonych słów, w dodatku nietrafnie użytych (czego dowodziły znaki zapytania), i że autor jest zupełnym nieukiem. Wszystko to było podane z takim

dowcipem, że i sam Koznyszew by się autorstwa nie powstydził; ale to właśnie było fatalne.

Koznyszew, sprawdzając z całą sumiennością słuszność wywodów recenzenta, ani przez chwilę nie zatrzymał się na niedociągnięciach i błędach, z których tamten szydził — było aż nadto widoczne, że całego zestawienia dokonano tendencyjne — jał natomiast odruchowo przypominać sobie aż do najdrobniejszych szczegółów spotkanie z autorem artykułu i swoją z nim rozmowę.

„Czyżbym go czymś uraził?” — zastanawiał się.

I przypomniawszy sobie, jak przy owej okazji poprawił jakieś twierdzenie świadczące o nieuctwie młodego pisarza — przestał się głowić nad pobudkami jego artykułu.

Po tej recenzji nastąpiła, zarówno w druku, jak i w osobistych rozmowach, martwa cisza na temat książki i Koznyszew przekonał się, że praca, nad którą stracił sześć lat, i w którą włożył tyle serca i wysiłku, przeszła bez śladu.

Było to tym bardziej przykre, że po ukończeniu książki, która przedtem zajmowała większą część jego czasu, nie miał żadnej innej pracy pisarskiej na warsztacie.

Był człowiekiem rozumnym, wykształconym, zdrowym, czynnym i nie wiedział, co począć ze swą energią. Część jego czasu zajęta była rozmowami w salonach, na zjazdach, na zebraniach, w komitetach, wszędzie, gdzie było można mówić. Będąc jednak od dawna mieszkańcem miasta, nie dawał się w całości pochłonać rozmowom, jak to czynił podczas swego pobytu w Moskwie jego niedoświadczony przyrodni brat. Pozostawało mu jeszcze dużo nie zajętego czasu i sił umysłowych.

Na szczęście Koznyszewa w tym najprzykrzejszym dla niego okresie niepowodzenia jego książki miejsce różnowierców, kwakrów, głodu w samarskiej guberni,

wystawy i spirytyzmu, zajęła sprawa słowiańska, która uprzednio w sferach towarzyskich dopiero się zarysowywała. Koznyszew i dawniej był jednym z jej pionierów, a obecnie oddał się jej całkowicie.

W środowisku ludzi, do których należał, w owym czasie o niczym innym nie mówiono i nie pisano jak o sprawie słowiańskiej i o wojnie serbskiej. To wszystko, czym się zwykle para dla zabicia czasu próżnujący tłum, robiono teraz na rzecz Słowian. Bale, koncerty, obiady, przemówienia, toalety pań, piwo, restauracje — wszystko świadczyło o sympatiach dla Słowian.

Koznyszew z wieloma rzeczami, które przy tej okazji mówiono i pisano, w szczegółach się nie zgadzał. Nie uszło jego uwagi, że sprawa słowiańska stała się jednym z kaprysów mody, które zwykły na zmianę zaprzętać towarzystwo; wiedział również, że niejeden z popleczników tej sprawy popiera ją dla własnej korzyści lub powodowany ambicją. Zgadzał się, że dzienniki piszą wiele rzeczy zbędnych i przesadnych mając jedynie na celu zwrócenie uwagi na siebie i przekrzyczenie innych. Widział, że w tym ogólnym przypływie energii wysforowali się na czoło i krzyczą najgłośniej wszyscy życiowi pechowcy i bankruci: wodzowie naczelni bez — armii, ministrowie bez teki, dziennikarze bez przydziału, prowodyrzy partii bez zwolenników. Spostrzegał wiele lekkomyślności i śmieszności, ale widział i uznawał także niewątpliwy, wciąż rozrastający się zapał, który łączył w jedno wszystkie klasy społeczeństwa i wzbudzał odruchową sympatię. Rzeź jednowierców i braci, rzeź Słowian budziła współczucie dla ofiar i gniew przeciwko ciemieżcom. Bohaterstwo Serbów i Czarnogórców, walczących o wielką sprawę, wywołało u całego narodu chęć niesienia pomocy braciom nie tylko

słowem, ale czynem.

Łączyło się z tym wszystkim jeszcze jedno zjawisko, które cieszyło Koznyszewa: oto poczęła się wytwarzać opinia publiczna. Społeczeństwo w wyraźny sposób wypowiedziało swe życzenia. Dusza narodu zyskała swój wyraz, jak określał Koznyszew. A im dłużej zajmował się tą sprawą, tym mu się wydawało bardziej oczywiste, że jest to sprawa, która musi urosnąć do olbrzymich rozmiarów, sprawa epokowa.

Poświęcił się całkowicie temu wielkiemu dziełu i myśli o książce zupełnie go opuściły.

Cały jego czas był teraz tak zajęty, że nie mógł nadażyć z odpowiedzią na wszystkie listy i żądania, z którymi się do niego zwracano.

Pracując przez całą wiosnę i część letnich miesięcy, dopiero w lipcu począł się wybierać na wieś do brata.

Jechał na dwutygodniowy odpoczynek, a poza tym pragnął w świętym i świętych narodu, na głębokiej wsi, nacieszyć się widokiem tego wezbrania narodowego ducha, o którym i on sam, i wszyscy mieszkańcy stolicy i innych miast byli zupełnie przekonani. Katawasow, od dawna zamierzając dotrzymać danej Lewinowi obietnicy i odwiedzić go na wsi, brał się z nim razem.

II

Zaledwie Koznyszew z Katawasowem przybyli na stację Kurskiej kolei, gdzie panował dnia tego niezwykły ruch, i wysiadłszy z karety poczęli rozglądać się za lokajem, który podązał za nimi z bagażem, gdy nadjechały cztery dorozżki wiozące ochotników. Oczekiwały ich panie z bukietami i wraz z ochotnikami i tłumem, który runął ich śladem, weszły do wnętrza dworca.

Jedna z dam biorących udział w powitaniu, wychodząc z poczekalni, zwróciła się do Koznyszewa.

— I pan także przyjechał odprowadzić ochotników? — zapytała po francusku.

— Nie, proszę księżnej, jadę do brata na odpoczynek. A księżna ich stale odprowadza? — dodał z ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

— Jakżeby inaczej! Od nas wysłano już ośmiuset, nieprawdaż? Malwiński nie chciał mi wierzyć.

— Więcej niż ośmiuset. A licząc tych, których wysłano nie z Moskwy wprost, więcej niż tysiąc — sprostował Koznyszew.

— Otóż to! Mówiłam! — radośnie wykrzyknęła dama. — A ofiar wpłynęło już około miliona rubli, nieprawdaż?

— Więcej, proszę księżnej.

— A co pan powie na dzisiejszy komunikat? Znowu klęska Turków.

— Tak, czytałem — odparł Koznyszew. Mowa była o ostatniej depezy,

potwierdzającej wiadomość o trzykrotnym w ciągu trzech dni rozbiciu Turków we wszystkich punktach. Turcy znajdowali się w rozsypce, a następnego dnia spodziewano się decydującej bitwy.

— Ach, właśnie przypomniałem sobie: pewien młody człowiek, przemiły zresztą, błaga, by go przyjęto. Nie wiem, dlaczego mu wstręty czynią. Znam go i chciałam pana prosić o słówko w jego sprawie, Lidia mi go przysłała.

Koznyszew najpierw szczegółowo dowiedział się, co było księżnej wiadome o kandydacie, po czym wszedłszy do poczekalni pierwszej klasy napisał bilecik do osobistości, od której przyjęcie zależało, odszukał księżnę i wręczył jej list.

— Wie pan, że Wroński, ten sam właśnie... jedzie tym

pociągiem — rzekła księżna biorąc od Koznyszewa list i uśmiechając się znacząco i z triumfem.

— Słyszałem, że ma jechać, nie wiedziałem jednak kiedy. Jak to tym pociągiem?

— Widziałam go: jest tutaj. Odprowadza go tylko matka. Mimo wszystko... to jeszcze najlepsza rzecz, jaką mógł zrobić.

— O tak! Oczywiście.

Podczas tej rozmowy tłum obok nich ruszył ku nakrytemu do obiadu stołowi. Rozmawiający zbliżyli się również i wysłuchali wypowiedzianej donośnie mowy, którą wygłosił do ochotników pan z pucharem w ręku. „Jest to walka za wiarę, za ludzkość, za naszych braci — wołał coraz głośniejszym głosem. — Moskwa, matka nasza, błogosławi was na ten wzniosły czyn. *Żywio!*”

Żywio! — Niech żyje! — zawołał przez łąki na zakończenie. Wszyscy krzyknęli: *Żywio!*, przy czym nowa cizba wpadła do sali i o mały włos nie przewróciła księżnej.

— No, i cóż księżna na to powie! — zapytał z promiennym uśmiechem Obłoński, który nagle wychynął z tłumu. — Dobrze, z ogniem gadał, prawda? Brawo! I Sergiusz Iwanycz także!... Pan by powinien dorzucić kilka słów od siebie, ot, tak tylko, kilka słów otuchy. Pan by to tak dobrze zrobił — dodał biorąc za rękę Koznyszewa i leciutko popychając go do przodu. Uśmiechał się przy tym z szacunkiem i powściąganą czułością.

— To niemożliwe; właśnie wyjeżdżam.

— Dokądże to?

— Do brata na wieś.

— To spotka się pan tam z moją żoną. Pisałem już do niej, ale pan pierwej ją zobaczy; proszę, niech jej pan powie, że

* *Żywio!* — Niech żyje!

mnie pan widział, i że *all right**. Już ona to rozumie. A zresztą, niech pan będzie łaskaw powiedzieć jej, że zostałem mianowany członkiem Komisji Zjednoczonych... Zresztą, ona i tak rozumie! Wie księżna, *les petites miseres de la vie humaine** — zwrócił się do księżnej, jakby się usprawiedliwiając. — A Miagkaja, nie Liza, tylko Bibiche, posyła jednak na front tysiąc karabinów i dwanaście siostr miłosierdzia. Czy ja to już panu mówiłem?

— Tak, słyszałem — niechętnie odrzekł Koznyszew.

— Właściwie szkoda, że pan wyjeżdża — mówił dalej Stiepan Arkadjicz. Jutro wydajemy obiad dla dwóch odjeżdżających wolontariuszy: Dimer–Bartniańskiego z Petersburga i naszego Wiesłowskiego. Obaj jadą. Wiesłowski niedawno się ożenił. Zuch chłopak! Prawda, proszę księżnej? — tu zwrócił się do damy.

Księżna nic nie mówiąc spojrzała na Koznyszewa. To, że i Koznyszew, i jego towarzyszka mieli jakby ochotę pozbyć się go, bynajmniej nie frasowało Stiepana Arkadjicza. Przypatrywał się z uśmiechem na przemian to pióru na kapeluszu księżnej, to otoczeniu, jakby usiłując sobie coś przypomnieć. Ujrzawszy w pobliżu damę z puszką, przywołał kwaterkę i włożył do skarbonki banknot pięćiorublowy.

— Nie mogę spokojnie patrzeć na te puszki tak długo, jak mam pieniądze w kieszeni — zauważył. — A co państwo powiecie na dzisiejszą depezę?! Zuchy ci Czarnogórcy, co!

— Co księżna mówi?! — zawołał, gdy księżna oznajmiła mu, że tym samym pociągiem jedzie także Wroński. Na sekundę smutek odmalował się na twarzy Stiepana Arkadjicza, lecz chwilę potem, gdy balansując z lekka z jednej nogi na drugą i poprawiając bokobrody wszedł do pomieszczenia, gdzie znajdował się Wroński, już nie pamiętał

* *All right* — wszystko w porządku.

* *Les petites miseres...* — małe niedole życia ludzkiego.

swych rozpaczliwych łkań nad trupem siostry. Widział we Wrońskim tylko bohatera i kogoś, z kim łączyła go stara przyjaźń.

— Mimo wszelkich jego wad — zauważyła księżna do Koznyszewa, skoro tylko Obłoński ich opuścił — należy mu oddać sprawiedliwość. To taka typowa rosyjska, słowiańska natura! Obawiam się jednak, że widok jego sprawi Wrońskiemu przykrość. Cokolwiek by się o nim sądziło, wzrusza mnie los tego człowieka. Niech pan z nim w drodze trochę porozmawia.

— O ile się do tego nadarzy sposobność.

— Nigdy mi nie był sympatyczny. Ale to tutaj jest ekspiacją wielu win. Nie tylko sam jedzie, ale wystawił cały szwadron.

— Słyszałem o tym.

Rozległ się dzwonek. Wszyscy tłumnie ruszyli ku drzwiom.

— Otóż i on! — księżna wskazała na Wrońskiego, który w długim paltocie i czarnym kapeluszu z szerokim rondem szedł prowadząc matkę pod rękę. Obok niej kroczył Obłoński coś z ożywieniem mówiąc.

Wroński patrzył chmurnie przed siebie, jakby go nie słyszał.

Zapewne za wskazówką Obłońskiego obejrzał się w stronę, gdzie się znajdowała księżna ze swym towarzyszem, i w milczeniu uchylił kapelusza. Jego postarzała, o bolesnym wyrazie twarz była jak skamieniała.

Po wyjściu na peron Wroński bez słowa usunął się z drogi matce, po czym znikł za nią w przedziale wagonu.

Na peronie rozległo się *Boże, cesarza chroń**, a potem okrzyki: *hura!* i *żywio!* Jeden z ochotników — wysoki,

* *Boże, cesarza chroń* — pierwsze słowa rosyjskiego hymnu państwowego za caratu (*Boże, caria chrani...*).

bardzo młody, o zapadniętej klatce piersiowej — zwracał na siebie uwagę, powiewając w ukłonie pilśniowym kapeluszem i bukietem kwiatów. Tuż za nim widać było dwóch również kłaniających się oficerów i niemłodego, w zatłuszczonej czapce, człowieka z długą brodą.

III

Pożegnawszy księżnę Koznyszew wszedł wraz z Katawasowem do natłoczonego po brzegi wagonu i pociąg ruszył.

Na dworcu w Carycynie został powitany przez dobrany chór młodzieży męskiej, który odśpiewał pieśń: „Chwała ci... „ Tutaj ochotnicy znowu z ukłonami ukazywali się publiczności. Koznyszew nie zwracał na nich uwagi; tyle miał do czynienia z ochotnikami, że znał ten rodzaj ludzi i to go nie interesowało. Katawasow, który przy swych naukowych zajęciach nie miał okazji ich oglądać, przeciwnie, bardzo się nimi interesował i wypytywał o nich towarzysza.

Koznyszew poradził mu, by się przesiadł do drugiej klasy i sam z nimi pogadał, i Katawasow na następnej stacji poszedł za jego radą.

Zaraz na pierwszym przystanku przeszedł do drugiej klasy i zawarł z ochotnikami znajomość. Siedzieli w kącie wagonu i głośno rozmawiali wiedząc oczywiście, że uwaga pasażerów i wchodzącego Katawasowa zwrócona jest na nich. Najgłośniej rozprawiał wysoki młodzieniec o wklęstej piersi. Byli najwidoczniej pijany i opowiadał o jakiejś awanturze, która się zdarzyła w jego ; zakładzie. Naprzeciw niego niemłody już oficer, w wojskowej austriackiego kroju kamizeli od gwardyjskiego munduru, z uśmiechem słuchał opowiadania i przerywając je od czasu do czasu uwagami.

Trzeci, noszący mundur artylerzysty, siedział przy nich na walizce. Czwarty spał.

Katawasow wdał się w rozmowę z młodzieńcem i dowiedział się, że jest to bogaty kupiec z Moskwy, który przepuścił wielki majątek nie czekając na ukończenie dwudziestu dwóch lat. Nie podobał się Katawasowowi: był zniewieściały, rozpieszczony i chorowity. Biło od niego przekonanie — zwłaszcza teraz, gdy był podpity — że spełnia czyn bohaterski; przechwalał się też w niesłychanie antypatyczny sposób.

Drugi z kolei, dymisjonowany oficer, również wywarł na Katawasowie przykre wrażenie. Był to człowiek, po którym widać było, że już wszystkiego w życiu próbował. Pracował i w kolejnictwie, i jako administrator, i jako dyrektor fabryki. Opowiadając o tym, bez żadnej potrzeby wtrącał rozmaite naukowe terminy, w dodatku nietrafne.

Trzeci, ów artylerzysta, przeciwnie, bardzo się Katawasowowi spodobał. Był to skromny, cichy człowiek, który pełen czci dla wiedzy byłego gwardzisty i dla bohaterskiej ofiarności kupca — o sobie nic nie mówił. Na pytanie Katawasowa, co go skłoniło do wyjazdu na serbski front, z prostotą odrzekł:

— Cóż, wszyscy jadą. Trzeba przecież Serbom dopomóc. Żal ich człowiekowi.

— Tak, a specjalnie was, artylerzystów, tam brak — rzekł Katawasow.

— Ja krótki tylko czas służyłem w artylerii; mogą mnie wcielić równie dobrze do piechoty czy do kawalerii.

— Jak to — do piechoty, skoro tam najbardziej potrzebują artylerzystów — zaproponował Katawasow, który, sądząc z wieku swego rozmówcy, wywnioskował, że musi on mieć dość wysoką rangę.

— Służyłem niedługo w artylerii, jestem byłym junkrem*
— wyjaśnił tamten i począł tłumaczyć, dlaczego nie zdał
jakiegoś egzaminu.

Wszystko to razem zrobiło na Katawasowie przykre
wrażenie i gdy ochotnicy wysiedli na stacji, żeby napić się
wódki, zapragnął znaleźć w rozmowie z kimkolwiek
potwierdzenie swego nieprzychylnego zdania. Jeden z
podróżnych, starszek w wojskowym palcie, przez czas cały
przysłuchiwał się rozmowie, toteż po pozostaniu z nim sam
na sam Katawasow zwrócił się do niego i rzekł ogólnikowo:

— Co za różnaitość sytuacji życiowych u tych wszystkich
udających się na front ludzi — chciał w ten sposób
wypowiedzieć swoją opinię i zarazem wybadać starszka o
jego zdanie.

Był to wojskowy, który brał udział w dwóch kampaniach i
wiedział, jakich ludzi w wojsku potrzeba. Sądząc tych panów
z ich wyglądu i rozmów, a także z tego, z jak hulaszczą
skwapliwością sięgali w drodze po butelkę, uważał ich za zły
materiał na żołnierzy. Poza tym sam był mieszkańcem
powiatowego miasta i miał wielką ochotę opowiedzieć, jak to
z jego miasteczka poszedł na ochotnika jeden tylko
bezterminowo urlopowany żołnierz, pijak i złodziej, który już
u nikogo nie mógł dostać pracy. Wiedząc jednak z
doświadczenia, że przy obecnym nastroju społeczeństwa
niebezpiecznie było wypowiadać opinię sprzeczną ze
zdaniem ogółu, a zwłaszcza — krytykować ochotników,
badał ze swej strony wzrokiem Katawasowa.

— No cóż, tam potrzeba ludzi — rzekł z wesołym
mruknięciem. I począł mówić o ostatniej wiadomości z
frontu, przy czym żaden z nich nie dał poznać po sobie, że
gnębi go niepewność, z kim miała się rozegrać jutrzejsza

* Junkier — stopień w armii carskiej nadawany szlachcicom, oznaczał
podoficera, kandydata na oficera.

bitwa, skoro Turcy według ostatniej depeszy byli rozbici we wszystkich punktach. W końcu rozstali się nie wypowiedziawszy żadnego zdania.

Po powrocie do swego wagonu Katawasow dopuścił się mimowolnego zmyślenia: oto zdając przyjacielowi sprawę ze swych obserwacji odmalował ochotników w taki sposób, że wyszli z tego na morowych chłopców.

Na dużej stacji gubernialnego miasta znów witano wyjeżdżających śpiewem i krzykiem, znowu ukazały się kwestarki i kwestarze z puszkami, a miejscowe panie po wręczeniu ochotnikom kwiatów towarzyszyły im do bufetu; wszystko to jednak odbyło się w daleko skromniejszych rozmiarach niż w Moskwie.

IV

Podczas gdy pociąg stał na stacji gubernialnego miasta, Koznyszew, zamiast pójść do bufetu, począł się przechadzać tam i z powrotem po peronie.

Przechodząc za pierwszym razem obok przedziału Wrońskiego zauważył, że firanki były zasunięte, gdy jednak minął przedział po raz drugi, ujrzał przy oknie starą Wrońską. Przywołała go bliżej.

— Jadę i ja, odprowadzam go do Kurska — powiedziała.

— Tak, mówiono mi — odrzekł Koznyszew. Przystanął i zajrzał do wnętrza wagonu. — Jaki to piękny rys charakteru syna pani — dodał stwierdziwszy, że Wrońskiego w przedziale nie ma.

— Cóż mu pozostaje po takim nieszczęściu?

— Istotnie, straszna rzecz! — powiedział Koznyszew.

— Ach, co ja przeszłam. Ale niechże pan wejdzie...

— Ach, co ja przeszłam! — powtórzyła, gdy Koznyszew

wszedł do przedziału i zajął miejsce obok niej. — Wprost wyobrazić sobie tego niepodobna. Przez sześć tygodni nie przemówił słowa do nikogo, a jadł tylko wtedy, kiedy go o to błagałam... I ani chwili nie można go było samego zostawić. Odebraliśmy mu wszystko, czym mógłby był się zabić. Mieszkaliśmy na parterze, nie można jednak było nic przewidzieć. Pan przecie wie, że przez nią syn mój raz już strzelał do siebie — przy tych słowach brwi staruszki groźnie się zbiegły. — Tak skończyła, jak musiała skończyć tego rodzaju kobieta. Nawet śmierć sobie wybrała podłą, nikczemną.

— Nie do nas należy sąd, proszę pani — westchnął Koznyszew — rozumiem jednak, jakie to wszystko musiało być dla pani bolesne.

— Niech pan nawet nie wspomina! Byłam właśnie u siebie w majątku i syn mój był akurat u mnie. Nagle przynoszą list. Napisał odpowiedź i wysłał. Nie wiedzieliśmy wcale, że ta kobieta była u nas na stacji. Wieczorem, za ledwie poszłam do siebie, mówi mi moja Mary, że na kolei jakaś pani rzuciła się pod pociąg. Jakby mnie coś tknęło. Już wiedziałam, że to nikt inny, tylko ona. Pierwsze moje słowa były: nie mówcie nic mojemu synowi. Ale już mu powiedziano: jego stangret znajdował się na miejscu i wszystko widział. Kiedy weszłam do pokoju syna, był już na pół przytomny — strach brał patrzeć na niego. Nie wyrzekł ani słowa i popędził konno na kolej. Co tam zastał — nie wiem, dość, że przywieziono go bez zmysłów. Nie byłabym go poznała... *Prostration complete**, mówił doktor. Potem zaczęło się coś w rodzaju ataku szału.

— Ach, co tu wiele gadać! — machnęła ręką staruszka. — To były okropne dni! Nie, proszę pana, niech pan mówi, co

* *Prostration*... — całkowity upadek sił.

pan chce, ale to była zła kobieta. Cóż to za jakaś wariacka namiętność?! Byle tylko dowieść jakiejś oryginalności...

Otóż i dowiodła! Siebie doprowadziła do zguby i zniszczyła dwóch zacnych ludzi: swego męża i mego nieszczęsnego syna.

— Cóż się dzieje z jej mężem? — zainteresował się Koznyszew.

— Wziął do siebie jej córkę. Alosza w pierwszych dniach na wszystko się zgadzał, ale teraz bardzo go to trapi, że oddał własne dziecko obcemu człowiekowi. Nie może jednak cofnąć raz danego słowa. Karenin przyjechał na pogrzeb, ale postaraliśmy się, żeby się z Aloszą nie spotkał. Dla niego, jako dla męża, jest to mimo wszystko mniej bolesne. Rozwiązała mu ręce. Ale mój biedny syn oddał się jej cały, rzucił wszystko: karierę, mnie starą, a ona nie miała dla niego nawet odrobiny litości, tylko rozmyślnie i nieodwołalnie go zniszczyła. Niech pan mówi, co pan chce, ale już sama jej śmierć — to śmierć wstrętnej kobiety, kobiety bez wiary. Niech mi Bóg przebaczy, ale nie jestem w stanie, patrząc na ruinę mego syna, nic czuć dla jej pamięci prócz nienawiści.

— Jak się syn pani teraz miewa?

— Bóg naprawdę zesłał nam na ratunek tę serbską wojnę. Stara jestem i nic a nic się na tym nie znam, ale dla niego to zrządenie Boże. Oczywiście, jako matka, boję się o niego; a przede wszystkim mówią, *que ce n'est pas tres hien vu a Petersbourg**... Ale cóż robić. Tylko to jedno może go teraz podnieść na duchu. Jaszwin, przyjaciel jego, przegrał wszystko, co posiadał, i postanowił wyjechać do Serbii; odwiedził mego syna i namówił także i jego. Teraz Aleksy jest tym zajęty. Niech pan z nim pogada, proszę; tak bym

* *Que ce...* — że to nie jest bardzo dobrze widziane w Petersburgu.

chciała go czymś rozerwać. Taki jest smutny... A jeszcze na nieszczęście zęby go rozbolały. Na pewno będzie panu rad. Proszę, niech pan z nim porozmawia; przechadza się po tamtej stronie.

Koznyszew oświadczył, że będzie mu bardzo miło, i przeszedł na drugą stronę pociągu.

V

W cieniu, jaki ukośnie padał od stosów worków zrzuconych na peron, Wroński z rękami w kieszeniach swego długiego palta i w kapeluszu nasuniętym na oczy chodził jak zwierz w klatce, szybko zawracając po dwudziestu krokach. Koznyszew zbliżając się do niego miał wrażenie, że tamten go spostrzegł, lecz udaje, że go nie widzi. Było mu to obojętne: stał ponad wszelkimi osobistymi porachunkami z Wrońskim.

W tej chwili widział w nim tylko wybitnego wykonawcę wielkiego dzieła i uważał za swój obowiązek zachęcić go i wyrazić mu swą aprobatę. Zbliżył się do niego.

Wroński przystanął, wpatrzywszy się lepiej, poznał Koznyszewa, postąpił kilka kroków na jego spotkanie i niezwykle mocno uścisnął mu rękę.

— Pan zapewne wcale nie pragnął się ze mną zobaczyć — rzekł Koznyszew. — Ale może jednak mógłbym panu być w czymś użytecznym.

— Zobaczenie się z panem sprawia mi przykrość mniejszą niż zobaczenie się z kimkolwiek innym — powiedział Wroński. — Niech mi pan wybaczy. Przyjemne już nic w życiu dla mnie być nie może.

— Rozumiem to. Chciałem tylko zaofiarować panu moje usługi — Koznyszew wpatrywał się w twarz Wrońskiego, na

której malowało się wyraźne cierpienie. — Czy nie potrzebuje pan listów polecających do Risticza* lub do Milana*?

— O nie! — Wroński jakby z trudnością go rozumiał. — Jeśli to panu nie przeszkadza, przechadzajmy się raczej. W wagonach jest tak duszno. Listy? Nie, dziękuję panu; po to, żeby umrzeć, nie potrzeba rekomendacji... Chyba do Turków... — tu uśmiechnął się, lecz uśmiechały się tylko jego wargi; w oczach pozostał wyraz cierpienia i gniewu.

— Tak, ale może to ułatwiłoby panu nawiązanie stosunków, które są jednak konieczne, z ludźmi już przygotowanymi, Zresztą, jak pan uważa. Ucieszyłem się bardzo dowiadując się o decyzji pana. Ochotnicy są atakowani z tyłu stron, że taki człowiek jak pan podniesie ich w oczach opinii publicznej.

— Pożytek ze mnie jako człowieka — rzekł Wroński — polega na tym, że życie nie ma dla mnie żadnej wartości. Wiem, że mam dość siły fizycznej, by się wrębać w nieprzyjacielski czworobok i zgnieść wroga lub polec. Cieszę się, że istnieje coś, za co mogę oddać życie, które nie tyle jest mi niepotrzebne, ile obrzydłe. Niechże się komuś na coś przyda. — Tu poruszył niecierpliwie szczęką pod wpływem nieustannego, ćmiącego bólu zęba, który mu nawet przeszkadzał nadawać właściwy odcień poszczególnym słowom.

— Pan się odrodzi, przepowiadam to panu — Koznyszew był poruszony. — Wybawić swych braci od jarzma to cel, dla którego warto umrzeć, ale warto i żyć. Niechaj Bóg ześle panu powodzenie w pana poczynaniach oraz spokój

* Jowan Risticz (1831–1899) — serbski działacz państwowy, członek rady regencyjnej w l. 1868–72. W r. 1876, w okresie wojny z Turcją, był premierem.

* Milan I (1854–1901) — król Serbii, koronował się w r. 1872. W czerwcu 1876 r. wypowiedział wojnę Turcji.

wewnętrzny — dodał i wyciągnął do niego rękę.

Wroński mocno uściśnął podaną sobie dłoń Koznyszewa.

— Tak, jako narzędzie mogę się jeszcze na coś przydać. Ale jako człowiek jestem skończony — rzekł z wolna.

Ćmiący ból trzonowego zęba, napelniający usta śliną, nie pozwalał mu swobodnie mówić. Umilkł i jał się wpatrywać w koła węglarki, z wolna i gładko sunącej po szynach.

I nagle całkiem inny ból — nie ból właściwie, ale raczej ogólne poczucie udreki — sprawił, że na moment zapomniał o bolącym zębie. Widok tendra i szyn, współ z rozmową ze znajomym nie spotykanym od czasu katastrofy sprawił, że przypomniła mu się nagle o n a, a raczej to, co z niej pozostało, gdy wpadł jak wariat do stacyjnego baraku służbowego... Na stole w baraku — bezwstydnie rozciągnięte wpośród obcych ludzi — skrwawione jej ciało, jeszcze pełne nie zastygłego życia; odrzucona w tył nietknięta głowa z ciężkimi warkoczami i włosami skręconymi u skroni; a na prześlicznej twarzy, o na pół otwartych czerwonych wargach, zastygły dziwny wyraz: żałosny dokoła usteczek, a bijący grozą z nieruchomo otwartych oczu, wyraz, który z całym naciskiem powtarzał owo straszne „pan tego pożałuje”, rzucone przez Annę w czasie ostatniej kłótni.

Usiłował wskrzesić ją w pamięci taką, jaka była, gdy ją spotkał po raz pierwszy, również na stacji kolejowej: tajemniczą, prześliczną, kochającą, tęskniącą do szczęścia i dającą szczęście, a nie okrutną i mściwą, jaką pamiętał z tamtej chwili. Usiłował przypomnieć sobie najpiękniejsze momenty, jakie z nią przeżył, były one jednak na zawsze zatrute. Pamiętał ją jedynie w jej triumfie, gdy spełniła swoją groźbę wywołania w nim nikomu niepotrzebnej, a nieukojonej skruchy. Przestał odczuwać ból zęba i skurcz szlochu wykrzywił mu twarz.

Przeszedł się w milczeniu parę razy wzdłuż torów i władając już sobą zwrócił się spokojnie do Koznyszewa:

— Czy po wczorajszej depeszy nie było nic nowego? Tak, wiem, że ponieśli klęskę po raz trzeci i że na jutro spodziewana jest decydująca bitwa.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę o obwołaniu Milana królem i o olbrzymich następstwach, jakie mogły z tego wyniknąć, po czym, gdy rozległ się drugi dzwonek, rozeszli się każdy do swego wagonu.

VI

Koznyszew nie wiedząc, kiedy będzie mógł Moskwę opuścić, nie telegrafował do brata o konie. Lewina nie było w domu, gdy Katawasow i Sergiusz, zakurzeni jak Murzyni, w bryczuszce wynajętej na stacji, o dwunastej w południe zajechali przed ganek w Pokrowskiem. Kitty, która siedziała wraz z ojcem i siostrą na balkonie, poznała szwagra i zbiegła na dół na jego spotkanie.

— Jak wam nie wstyd, panowie, nie dać znać? — zawołała podając rękę Sergiuszowi i nadstawiając mu czoło na powitanie.

— Doskonaleśmy i tak dojechali, nie turbując was — tłumaczył się Koznyszew. — Jestem taki zakurzony, że boję się ciebie dotknąć. Byłem ogromnie zajęty i nie wiedziałem, kiedy zdołam się wyrwać. A tu u was wszystko po staremu — dodał z uśmiechem — rozkoszujecie się cichym szczęściem pozostając w cichej zatoce, poza burzliwymi prądami. Otóż i przyjaciel nasz Fiodor Wasiljicz; i on też wreszcie się wybrał.

— Nie jestem Murzynem: gdy się umyję, stanę się podobny do człowieka — rzekł żartobliwie jak zwykle

Katawasow podając Kitty rękę i błyskając w uśmiechu zębami, które w jego czarnej twarzy zdawały się szczególnie białe.

— Kostia bardzo się ucieszy. Poszedł do futuro. Powinien już tu być.

— Ciągłe zajęty gospodarstwem? Jak to bywa w cichej zatoce — zażartował Katawasow. — A my w mieście świata bożego nie widzimy poza serbską wojną. No, a jak się do tego odnosi mój przyjaciel? Z pewnością inaczej niż wszyscy?

— Tak... Ależ bynajmniej... Tak jak wszyscy — Kitty obejrzała się z pewnym zakłopotaniem na Sergiusza. — Posyłam więc po niego. Mamy tu papę z wizytą. Niedawno wrócił z zagranicy.

I poleciwszy, by posłano po Lewina i dano zakurzonym gościom możliwość umycia się — jednemu w gabinecie, drugiemu w dużym pokoju, który zajmowała zawsze Doiły — zatroszczyła się o śniadanie, po czym wbiegła z powrotem na balkon. Poruszała się z dawną szybkością, wzbronioną na czas ciąży.

— To Sergiusz i profesor Katawasow — oznajmiła.

— W taki upał! Ciężko z nim będzie — westchnął stary Szczerbacki.

— Nie, papo, on jest bardzo sympatyczny i Kostia go bardzo lubi — uśmiechnęła się błagalnie Kitty zauważywszy drwiącą minę ojca.

— Ja przecież nic nie mówię.

— Idź ty, duszko, do nich — zwróciła się Kitty do siostry — i zabaw ich. Spotkali na stacji Stiwę: jest zdrów. A ja pobiegnę do Miti; jak na złość nie karmiłam go od samego rana; teraz się obudził i z pewnością krzyczy. — I czując przyływ pokarmu, szybkim krokiem udała się do pokoju

dziecinnego.

Istotnie, Kitty nie tyle odgadła (jej związek z dzieckiem nie był jeszcze zerwany), ale trafnie wywnioskowała z naporu mleka u siebie, że dziecko odczuwa brak pokarmu.

Wiedziała, że jej synek krzyczy, jeszcze zanim się znalazła w pobliżu dziecinnego pokoju. Istotnie, Mitia krzyczał. Usłyszała jego głos i przyśpieszyła kroku. Lecz im spieszej szła, tym głośniej krzyczał, a głos miał dobry, mocny; znać było tylko po nim głód i zniecierpliwienie.

— Czy już dawno tak krzyczy, nianiu? Już dawno? — mówiła szybko Kitty siadając na krześle i szykując się do karmienia. — Niechże mi go niania prędzej poda. Ach, nianiu, jaka niania nudna, czepeczek przecież można zawiązać i później.

Dziecko zanosilo się od pożądlivego wrzasku.

— Tak nie można, miła moja — perswadowała Agafia Michajłowna, prawie zawsze obecna w dziecinnym pokoju. — Trzeba go należycie oporządzić. Luli, luli! — przyśpiewywała dziecku, nie zwracając uwagi na Kitty.

Niania zniosła dziecko matce. Za nią podążała stara Agafia; twarz jej rozplywała się z czulości.

— On zna mnie, zna. Bóg mi świadkiem, pani moja droga, że mnie poznał! — starała się przekrzywić dziecko Agafia.

Kitty wszakże nie zwracała na jej słowa uwagi: niecierpliwosc jej wzrastała w miarę zniecierpliwienia synka.

Z powodu tego zniecierpliwienia karmienie długo się nie udawało: dziecko nie mogło natrafić na pierś i złościło się.

Wreszcie, po rozpaczliwym, dławiącym wrzasku i bezowocnym krztuszeniu się, sprawa weszła na właściwe tory; na matkę i na syna jednocześnie spłynął spokój; oboje ucichli.

— Cały się też biedaczek spocił — szepnęła Kitty

wsuwając rękę do wnętrza spowicia. — Dlaczego Agafia mówi, że on poznaje? — spytała patrząc z ukosa na spoglądające jakby figlarnie spod nasuniętego czepeczka oczy synka, na jego rytmicznie wydymające się policzki i na rączkę o czerwonej dłoni, która wykonywała koliste ruchy. — To niemożliwe! Gdyby kogoś poznawał, to przede wszystkim mnie by poznał — oświadczyła z uśmiechem, gdy Agafia ponowiła swe twierdzenie.

Uśmiechała się, ponieważ — mimo wyrażonej przez się wątpliwości — sercem wyczuła, że synek nie tylko poznaje Agafię Michajłównę, ale że wie wszystko i nawet rozumie wiele takich rzeczy, o których nikt nie ma pojęcia, a których ona, jego matka, dowiedziała się i rozumieć zaczęła jedynie dzięki niemu. Dla starej Agafii, dla niańki, dla dziadka i nawet dla ojca Mitia był żywą istotką, potrzebującą jedynie fizycznego doglądania, dla matki jednak był on od dawna kimś uduchowionym, z kim łączyło ją już wiele przeżyć wewnętrznych.

— Ano, jak się obudzi, da Bóg, sama pani się przekona. Kiedy tylko — ot tak mu pokazać, zaraz aż się ptaszeczek rozpromieni — prawiała Agafia.

— No dobrze, dobrze, zobaczymy — szepnęła Kitty. — Niech Agafia już idzie... Zasypia.

VII

Starą, na palcach wyszła z pokoju; niania zapuściła story, wypędziła muchy spod muślinowej zasłony nad łóżeczkiem, a z okna wyгнаła tłukącego się o szyby szerszenia i usiadła, by oganiać matkę i dziecko wędnącą witką brzożową.

— Ależ upał! Żeby Pan Bóg zesłał choć mały deszczyk — rzekła w końcu.

— Tak... Ale cicho, sza... — odpowiedziała Kitty, leciutko kołyszając się cała i delikatnie przytulając tłustą, jakby nitką w przegubie przewiazaną rączkę Miti, którą ten, to otwierając, to zamykając oczy, wciąż słabo wymachiwał. Rączka ta korciła matkę. Miała ochotę ją ucałować, obawiała się wszakże to uczynić, by nie obudzić dziecka. Wreszcie ruch rączki ustał i dziecko zamknęło oczy. Z rzadka tylko, nie przestając ssać, podnosiło długie, wygięte rzęsy i spoglądało na matkę wilgotnymi oczyma, które w półmroku zdawały się czarne. Niańka przestała poruszać witką i usnęła. Z góry rozległ się donośniejszy wybuch głosu starego księcia i śmiech Katawasowa.

„Pewno rozgadali się w czasie mojej nieobecności — pomyślała Kitty — a jednak szkoda, że Kosti nie ma. Zapewne znów zaszedł do pasieki. Chociaż mi smutno, że mnie tak często pozostawia samą, żeby tam chodzić, cieszę się, bo to dla niego rozrywka; poweselał ostatnio i lepiej się ma niż na wiosnę.”

— Taki był ponury i tak się męczył, że się o niego bałam. Jakież on jest zabawny! — szepnęła z uśmiechem do siebie.

Wiedziała, czym się jej mąż trapił: powodem była jego niewiara. Gdyby ją spytano, jak sądzi — czy na tamtym świecie będzie on potępiony, o ile wiary nie odzyska, musiałyby uznać, że istotnie byłby potępiony. Mimo to nie martwiła się brakiem wiary u męża i chociaż uznawała, że człowiek niewierzący nie może być zbawiony, i dbała nade wszystko o duszę swego męża — o jego braku wiary myślała z uśmiechem i mówiła sobie, że mąż jest zabawny.

„I po co przez cały rok okrągły wczytuje się w te jakieś filozofie? — medytowała. — Jeśli książki zawierają to, o co mu chodzi, może je przecież zrozumieć. A jeśli nie zawierają prawdy, to po co je czyta? Sam mówi, że chciałby wierzyć.

Więc dlaczego nie wierzy? Zapewne dlatego, że wiele rozmyśla. A rozmyśla tak wiele z powodu osamotnienia. Zawsze sam jeden, zawsze. Z nami nie może o wszystkim rozmawiać... Myślę, że rad będzie z tych gości, zwłaszcza z Katawasowa: lubi z nim dyskutować” — zdecydowała i natychmiast nasunęło się jej zagadnienie, jak będzie dogodniej umieścić Katawasowa — osobno czy razem z Sergiuszem. Tu zaskoczyła ją nagle myśl, która wstrząsnęła nią tak, że aż zaniepokojony Mitia skarcił ją surowym wejrzeniem. „Zdaje się, że praczka jeszcze nie oddała bielizny, a cała bielizna gościnna jest w użyciu. Jeśli nie wydam dyspozycji, to Agafia obdarzy Sergiusza używaną bielizną pościelową.” Na samą myśl o czymś podobnym oblała się rumieńcem.

„Wydam dyspozycje” — postanowiła i wracając do poprzedniego tematu przypomniała sobie, że nie dokończyła myśli o czymś z dziedziny duchowej. Poczęła sobie przypominać... „Tak, tak... że Kostia jest niewierzący” — i na to wspomnienie uśmiechnęła się znowu.

„Ach, niewierzący! Lepiej niech zawsze takim pozostanie, niż gdyby miał się stać podobny do pani Stahl albo do mnie takiej, jaką chciałam być wtedy, za granicą. Nie, Kostia nigdy nie potrafiłby udawać.”

I uprzytomniła sobie wyraźnie dostrzeżony niedawno rys świadczący o wielkiej jego dobroci. Przed dwoma tygodniami nadszedł list od Stiepana Arkadjicza, w którym, pełen skruchy, błagał Dolly, by ta ocaliła mężowski honor i spłaciła jego długi sprzedając majątek. Dolly wpadła w rozpacz; to przeważała u niej nienawiść i pogarda, to znów litość; postanowiła zażądać rozwodu, odmówić prośbie męża, ale skończyło się na tym, że zgodziła się sprzedać część swego majątku. Tu Kitty z mimowolnym uśmiechem

rozzewnienia przypomniła sobie, z jakim zaambarasowaniem Lewin kilkakrotnie nawiązywał do tej sprawy, która go widocznie interesowała, i jak w końcu wpadł na pomysł jedyne go środka mającego pomóc Dolly bez upokorzenia jej i zaproponował, żeby Kitty, której by to nigdy samej nie przyszło do głowy, ustąpiła siostrze swoją część majątku.

„Co z niego za niewierzący! Z tym jego sercem, z tą obawą, by komuś nie zrobić przykrości, nawet dziecku! Wszystko dla innych, nic dla siebie., Sergiusz Iwanowicz uważa po prostu, że Kostia spełnia tylko swój obowiązek, gdy za niego zarządza majątkiem. To samo siostra. Teraz i Dolly z dziećmi jest na jego głowie. A ci wszyscy chłopcy, którzy co dzień do niego przychodzą, tak jakby obowiązkiem jego było im służyć!”

„Bądź ty tylko taki jak twój ojciec, tylko taki” — szepnęła do Miti oddając go niańce i dotykając wargami jego drobnego policzka.

VIII

Od chwili gdy na widok konania ukochanego brata Lewin po raz pierwszy spojrzął na sprawy życia i śmierci pod kątem tych nowych — jak je nazywał — przekonań, które niepostrzeżenie w wieku od dwudziestu do trzydziestu czterech lat zajęły u niego miejsce dziecinnych i młodzieńczych wierzeń, od tej chwili poczęła go nurtować obawa nie tyle śmierci, ile życia bez najmniejszego pojęcia o tym, skąd i po co się życie wzięło i czym ono jest. Organizm, jego rozkład, niezniszczalność materii, prawo zachowania energii, rozwój — to były słowa, które zastąpiły mu dawną wiarę. Słowa te oraz pojęcia z nimi związane zaspokajały w

zupełności potrzeby umysłowe, do samego jednak życia zupełnie się nie nadawały. Lewin spostrzegł nagle, że jest w sytuacji kogoś, kto by wymienił był ciepłe futro na ubranie z muślinu i kto, znalazłszy się po raz pierwszy na mrozie, przekonałby się niezbitcie, już nie przy pomocy rozumowania, ale na własnej skórze, że jest tak dobrze jak nagi i że śmierć w męczarniach będzie jego niechybnym udziałem.

Odtąd Lewin nieustannie — choć nie zdając sobie z tego sprawy i żyjąc po dawnemu — odczuwał strach przed swoją niewiedzą.

Poza tym miał niewyraźne poczucie, że to, co nazywał swymi przekonaniem, nie tylko było właściwie niewiedzą, lecz że był to układ wewnętrzny, który wykluczał ten rodzaj wiedzy, jakiego mu było potrzeba.

Zrazu sam fakt małżeństwa, nowe radości, jakich doznał, i nowe obowiązki, jakie wziął na siebie, całkiem zagłuszyły tamte myśli. Za to w ostatnich czasach, po położeniu żony, gdy bawił beczynnie w Moskwie, poczęło przed nim stawać coraz natarczywiej domagające się rozstrzygnięcia pytanie.

Treść jego była następująca: „O ile nie zgadzam się na te odpowiedzi, które na stawiane mi przez życie kwestie daje chrystianizm, to jakie mianowicie rozwiązania uznaję za słuszne?” I w całym arsenale swych przekonań nie mógł znaleźć nie tylko jakichkolwiek odpowiedzi, ale nawet czegoś, co by odpowiedź przypominało.

Był jak człowiek, który by poszukiwał żywności w sklepach z zabawkami albo bronią.

Odruchowo, nieświadomie, szukał obecnie w każdej rozmowie, w każdym napotkanym człowieku jakiegoś ustosunkowania do tych spraw, jakiegoś ich rozstrzygnięcia.

Najbardziej go w tym wszystkim zdumiewało i złościło, że większość ludzi jego lat i sfery po dokonaniu podobnie jak on

zamiany wierzeń dawniejszych na nowe przekonania, takie same jak jego własne, nie upatrywała w tym żadnej trudności i była całkiem spokojna i zadowolona. W rezultacie męczyło Lewina dodatkowe pytanie: czy ludzie ci są szery? Czy nie udają? A może inaczej niż on sam, może lepiej rozumieją odpowiedzi, które w interesujących go kwestiach daje nauka. Starannie więc badał i zdanie tych ludzi, i książki zawierające rozstrzygnięcie owych problemów.

Od czasu jak sprawy te poczęły go interesować, o jednym zdążył się przekonać: oto mylił się sądząc uprzednio ze swoich młodzieńczych uniwersyteckich wspomnień, że religia stała się czymś przebrzmiałym i że właściwie nie istnieje. Wszyscy przyzwoici ludzie spośród jego bliskich byli wierzący. I stary książe, i Lwów, którego Lewin tak polubił, i Sergiusz, i wszystkie kobiety tego kółka, i wreszcie Kitty — wszyscy oni mieli taką wiarę, jaką miał on sam we wczesnym dzieciństwie, taką, jaką wyznawało dziewięćdziesiąt i dziewięć setnych rosyjskiego ludu, tego ludu, którego sposób życia wzbudzał w nim największy szacunek.

Dalej, po przeczytaniu wielkiej ilości książek, przekonał się, że ludzie podobnych z nim poglądów nic innego przez nie nie rozumieli i że nie wdając się w żadne wyjaśnienia zadowalali się zaprzeczeniem istnienia problemów, bez rozstrzygnięcia których Lewin czuł, że żyć nie potrafi. Usiłowali natomiast rozstrzygać całkiem inne kwestie, zupełnie go nie interesujące, jako to: problem rozwoju organicznego, problem mechanistycznego wytłumaczenia zjawiska duszy itp.

Poza tym w czasie połogu żony zdarzyła mu się rzecz niezwykła: oto on, człowiek niewierzący, począł się modlić i w momencie kiedy się modlił, wierzył. Gdy chwila ta jednak

przeminęła, nie mógł ówczesnemu nastrojowi wyznaczyć w swym obecnym życiu żadnego miejsca.

Nie mógł uznać, że wówczas posiadał prawdę, a teraz znajduje się w błędzie, skoro tylko bowiem poczynił o tym spokojnie rozmyślać, wszystko mu się na nice rozsypywało; nie mógł również wyznać, że się wówczas mylił, bo ówczesny stan duszy wydawał mu się cenny, i gdyby go uznał za haracz spleacony słabości, byłaby to profanacja tamtej chwili. Męczyła go ta rozterka, toteż w usiłowania wydobycia się z niej wkładał całą duszę.

IX

Myśli te nękały go i trapiły raz mniej, raz więcej, nigdy wszelako całkiem go nie opuszczały. Czytał i rozmyślał, a im dłużej czytał i rozmyślał, tym bardziej czuł się oddalony od zamierzonego celu.

Ostatnio, w czasie pobytu w Moskwie, a potem po powrocie na wieś, przekonawszy się, że nie znajdzie odpowiedzi u materialistów, przewertował na nowo Platona i Spinozę, Kanta i Schellinga, Hegla i Schopenhauera, filozofów, którzy tłumaczyli życie niematerialistycznie.

Myśli ich nie zdawały mu się jałowe, dokąd albo czytał, albo sam obmyślał argumenty zbijające teorie inne, zwłaszcza materialistyczne; skoro tylko jednak dochodził w lekturze do rozwiązania problemów lub sam takie rozwiązania obmyślał, zawsze się to samo powtarzało. Idąc zrazu za podanymi definicjami niejasnych wyrazów, jak duch, wola, wolność, substancja i wpadając w świadomie w pułapkę słowną, jaką zastawiali na niego filozofowie lub też którą on sam na siebie zastawiał — zaczynał jakby coś niecoś rozumieć. Wystarczało wszakże stracić z oczu ów sztuczny

proces myślowy i wprost z życia powrócić do tego, co się wprzód, idąc za daną nicią przewodnią, uznawało za zadowalające, a wnet cała ta sztuczna konstrukcja rozpadała się jak domek z kart i stawało się jasne, że składała się ona z tych samych wyrazów, tylko o zmienionym szyku, i nie miała nic wspólnego z tym czymś w życiu, co było ważniejsze od rozumu.

Był taki okres, że czytając Schopenhauera wstawiał na miejsce woli — miłość, i ze dwa dni pocieszał się tą filozofią, zanim się do niej nie zniechęcił, lecz i ona także runęła, gdy później spojrzął na nią wprost z życia.

I ona również nie była niczym innym, jak tym muślinowym, nie dającym ciepła odzieniem.,

Sergiusz, brat jego, radził mu przeczytać teologiczne dzieła Chomiakowa*. Lewin przeczytał tom drugi i mimo polemicznego, wykwintnego a dowcipnego tonu autora, który go zrazu zniechęcił, był uderzony jego nauką o Kościele. Zafrapowało go przede wszystkim twierdzenie, że człowiekowi nie bywa dane ogarnięcie rozumem boskich prawd, jest ono natomiast udziałem zbiorowości ludzi związanych miłością, czyli Kościoła. Ucieszył się, łatwiej bowiem było uwierzyć w istniejący współcześnie żywy Kościół, w którym ześrodkowują się wszystkie ludzkie wierzenia, w Kościół z Bogiem na czele, Kościół, który z tego tytułu jest święty i nieomylny, łatwiej od niego już przyjąć wiarę w Boga, w stworzenie świata, w upadek i zbawienie człowieka — niż zaczynać od Boga, dalekiego i tajemniczego Boga, stworzenia świata itd. Potem wszelako, po przeczytaniu historii Kościoła, pióra pewnego katolickiego

* Aleksy Chomiakow (1804–1860) — m.in. zajmował się zagadnieniami teologicznymi, a zwłaszcza stosunkiem wiary do rozumu, oraz samą ideą Cerkwi prawosławnej w odróżnieniu od Kościoła katolickiego i protestantyzmu. Twierdził, że jedynie prawosławie pozostało wierne idei Kościoła.

pisarza, i historii Cerkwi — pisarza prawosławnego, przekonał się, że oba Kościoły, w istocie swej nieomylnie, nie uznają siebie wzajemnie, i zniechęcił się do interpretacji Kościoła przez Chomiakowa. I ta więc konstrukcja doszczętnie się rozsypała, tak samo jak poprzednio teorie filozoficzne.

Przez całą wiosnę był nieswój i przeżywał okropne chwile.

„Nie wiedząc, czym i po co się tutaj jest, niepodobna żyć... A ponieważ dowiedzieć się tego nie można, więc i żyć nie sposób” — rozumował Lewin.

„W nieskończoności czasu, nieskończoności materii i nieskończoności przestrzeni wyodrębnia się organiczny pęcherzyk; pęcherzyk ów utrzyma się czas jakiś, po czym się rozpryśnie. Ten pęcherzyk — to ja.”

Wniosek bolesny i — nieprawdziwy, lecz jedyny, do jakiego w tej sprawie myśl ludzka po wielu stuleciach wysiłku doszła.

Takie było to ostatnie wierzenie, na którym wspierały się poszukiwania przedsiębrane przez ludzką myśl prawie we wszystkich dziedzinach wiedzy. Takie było ogólnie przyjęte przekonanie; i Lewin odruchowo, sam nie wiedząc jak i kiedy, spomiędzy wszystkich wykładni przyswoił sobie tę właśnie, jako bądź co bądź najbardziej zrozumiałą.

Był to jednak nie tylko fałsz, ale okrutne szyderstwo jakiejś złej mocy, czynnika złośliwego, odrażającego i takiego, któremu nie sposób było ulegać.

Trzeba się było od niego uwolnić, a wybawienie leżało w mocy każdego człowieka. Trzeba było przeciąć tę zależność od zła. Na to był jeden tylko sposób — śmierć.

I Lewin, szczęśliwy ojciec rodziny, zdrów na ciele i na umyśle, był kilka razy tak bliski samobójstwa, że ukrył sznur, żeby się na nim nie powiesić, i bał się iść w pole ze strzelbą,

by się nie zastrzelić.

Nie zastrzelił się jednak ani powiesił; żył nadal.

X

Gdy rozmyślał, czym jest i po co żyje, nie znajdował odpowiedzi i wpadał w rozpacz; lecz kiedy przestawał zadawać sobie te pytania, to wówczas jakby wiedział i czym jest, i po co żyje, bo działał i żył pewnie, bez wahań, a nawet w ostatnich czasach żył w sposób daleko bardziej stanowczy i określony niż dawniej.

Po powrocie na wieś w początkach czerwca powrócił też do zwykłych swych zajęć. Gospodarka wiejska, styczność z chłopami i sąsiadami, gospodarstwo domowe, interesy siostry i brata, które prowadził, współżycie z żoną i krewnymi, troska o dziecko, nowe zainteresowanie pszczelarstwem, absorbującym go od wiosny — wszystko to pochłaniało cały jego czas.

Nie potrzebował motywować tych spraw żadnymi ogólnymi zasadami, tak jak to dawniej zwykł był czynić, i na odwrót, będąc obecnie z jednej strony zniechęcony niepowodzeniem swych poprzednich zamysłów dla dobra ogółu, a z drugiej nazbyt zajęty i swoimi myślami, i samą już ilością spraw, które waliły się na niego ze wszech stron — przestał w ogóle brać dobro publiczne pod uwagę i sprawy te zajmowały go tylko o tyle, o ile zdawało mu się, że powinien robić to, co robił, że inaczej nie może.

Dawniej (zaczęło się to prawie jeszcze w dzieciństwie i aż do lat męskich wciąż wzrastało), ile razy usiłował przedsięwziąć coś, co by przyniosło korzyść wszystkim: ludzkości, Rosji, całej wsi — zauważał, że myśl o tym była wprawdzie przyjemna, lecz że samo wykonanie zawsze jakoś

szwankowało. Nie miał pewności, że ta rzecz jest istotnie konieczna, i działalność, która zrazu wydawała się czymś poważnym, wciąż kurczyła się i kurczyła, aż do całkowitego zaniku. Tymczasem teraz, gdy od czasu ożenku począł się coraz ściślej ograniczać do życia dla siebie, mimo że myśl o jego działalności wcale go specjalnie nie cieszyła, był za to pewien, że to, co czyni, jest konieczne, widział, że osiąga daleko lepsze wyniki niż przedtem i że działalność jego coraz się bardziej rozrasta.

Teraz — niejako wbrew własnej woli — niby pług worywał się coraz głębiej w ziemię, tak że już nawet nie mógłby się wydobyć z roli nie psując orki.

Nie miał żadnych wątpliwości, że rodzina winna żyć tak, jak starym obyczajem żyli ojciec i dziad, to znaczy żyć na takim samym poziomie wykształcenia i tak samo wychowywać dzieci. Było to równie konieczne jak obiad, gdy się jest głodnym; a z kolei dlatego — podobnie jak konieczne jest ugotowanie obiadu — konieczność nakazywała prowadzić maszynę gospodarstwa w Pokrowskiem tak, by mieć z tego dochód. Tak samo niewątpliwie jak to, że należy oddać dług — należało utrzymać ojcowiznę w takim stanie, by syn po jej odziedziczeniu był równie wdzięczny ojcu, jak Lewin swemu dziadkowi za wszystko, co ten pobudował i zasadził. A zatem, nie wolno ziemi wydzierżawiać, ale trzeba uprawiać ją samemu, trzymać bydło, nawozić pola i sadzić las.

Nie można było nie załatwiać interesów Sergiusza, siostry, wszystkich chłopów przychodzących po radę i przyzwyczajonych do tego, tak jak nie można upuścić wziętego na ręce niemowlęcia. Trzeba było zatroszczyć się o wygodę zaproszonej szwagierki z dziećmi oraz żony z synkiem i spędzać z nimi choć niewielką część dnia.

Wszystko to, z dodatkiem polowania na zwierzynę i nowego zamięłowania do pszczelarstwa, zapełniało po brzegi życie Lewina, to samo życie, które, gdy nad nim medytował, nie zdawało się mieć żadnego sensu.

Poza tym jednak, że Lewin z całą pewnością wiedział, co powinien czynić, równie dokładnie wiedział, jak to czynić wypada i która sprawa jest ważniejsza od innych.

Wiedział tedy, że robotników należy najmować jak najtaniej, ale że nie należy ich wyzyskiwać dając im z góry mniejszą płacę niż ta, na jaką zasługują: nie należy tego czynić, mimo że jest to wielce korzystne. Wolno w okresach braku paszy sprzedawać chłopom słomę, choć ich było żal, ale zajazdy i karczmy, mimo że przyniosłyby dochód, trzeba tępić. Za potajemny wyrąb lasu trzeba karać jak najsurowiej, ale za bydło w szkodzie nie powinno się brać grzywny i mimo że to gniewa dozorujących i zmniejsza obawę kary na przyszłość, należy zwracać zajęte bydło właścicielom.

Piotrowi trzeba było pożyczyć pieniędzy, by go wykupić od lichwiarza, który brał od niego dziesięć procent miesięcznie; ale nie należało pobłażać i odraczać spłaty czynszu chłopom, notorycznie złym płatnikom. Nie można było puścić płazem rządcy, że nie dopilnował, by skoszono w porę łączkę, i że trawa się zmarnowała, ale nie można też było kosić na tych osiemdziesięciu dziesięcinach, na których był posadzony las. Nie można było darować winy robotnikowi, który w czas roboczy poszedł do domu z powodu śmierci ojca, i mimo że się człowiek nad nim litował, należało mu wytrącić z należności za przełazikowane cenne miesiące; ale nie wolno było wstrzymać miesięcznego wsparcia starym, do niczego niezdatnym popańszczyźnianym sługom.

Że po powrocie do domu należało najpierw zajść do żony,

która źle się czuła, wiedział Lewin również, a chłopci, którzy czekali na niego od trzech godzin, mogli poczekać jeszcze trochę dłużej. Wiedział jednak także, iż mimo całej uciechy, jaką sprawiało mu osadzanie roju, trzeba się było wyrzec tej przyjemności na rzecz starego pasiecznika i pozostawiając go przy roju pójść gadać z chłopami, którzy odszukali go aż w pasiece.

Czy postępowanie jego było dobre, czy złe — nie wiedział; nie tylko nie miał ochoty dowodzić jego słuszności, lecz unikał dyskusji, a nawet rozmyślań na ten temat.

Wszelki namysł wzniecał w nim wątpliwości i przeszkadzał w decyzji — co trzeba, a czego nie trzeba czynić. Kiedy jednak nie myślał, ale żył, miał świadomość, że w duszy jego stale przebywa nieomylny sędzia i rozstrzyga, który z dwóch uczynków leżących w sferze możliwości jest lepszy, a który gorszy, i skoro tylko postępował nie tak, jak należało, natychmiast zdawał sobie z tego sprawę.

Żył więc nie wiedząc i nie widząc przed sobą możliwości dowiedzenia się, czym jest i po co żyje na świecie, udręczony tą niewiedzą do tego stopnia, że był bliski samobójstwa, a jednocześnie bez wahania torując w życiu właściwą sobie, wyraźnie wytkniętą drogę.

XI

Dzień, w którym Koznyszew przyjechał do Pokrowskiego, był jednym z najbardziej dręczących dla Lewina.

Stał najgorętszy czas roboczy, kiedy to cały lud daje dowody tak niezwykle wytężonej ofiarności w pracy, jaka się nie zdarza w żadnych innych okolicznościach życia. Ceniono by ją daleko wyżej, gdyby ludzie, dający dowody tych zalet, sami je wyżej cenili, gdyby ich ofiarność nie powtarzała się

co rok i gdyby rezultaty jej nie były czymś tak powszednim.

Skoszenie i zżęcie żyta i owsa oraz zwózka tych zbóż, dokończenie košby łąk, powtórna orka odłogu, młócka ziarna i siejba ozimin — wszystko to zdaje się proste i zwyczajne; tymczasem na to, aby wszystko to było zrobione w porę, muszą wszyscy wsiowi ludzie — młody i stary — bez przerwy przez te trzy, cztery tygodnie robić w trójnasób więcej niż zazwyczaj, żywiąc się przy tym kwasem, cebulą i czarnym chlebem, muszą młócić i zwozić snopy nocami, a spaniu poświęcać nie więcej niż dwie do trzech godzin na dobę... I dzieje się to co rok w całej Rosji.

Wobec tego, że Lewin większą część życia spędził na wsi i w bliskich stosunkach z ludem, zawsze w ów czas roboczy czuł, jak to ogólne podniecenie i jemu się udziela.

Już od samego rana pojechał obejrzeć pierwszy zasiew ozimego żyta i owies, który zwożono w sterty, a po powrocie — na czas, by napić się kawy z żoną i szwagierką, które tymczasem powstawały — znów wyszedł z domu, tym razem pieszo na folwark, gdzie miano puścić w ruch nowo ustawioną maszynę do młócki zbóż nasiennych.

Przez cały ów dzień, przy załatwianiu spraw z rządcą i chłopami, a w domu podczas rozmowy z żoną i z Dolly, z dziećmi Dolly i z teściem, Lewin myślał tylko o tej jednej rzeczy, która go poza troską o gospodarstwo pochłaniała, i wszędzie szukał związku ze swym problemem: „Czym ja jestem? Gdzie jestem? Po co jestem tutaj?”

Stojąc w chłodnym cieniu nowo pokrytej suszarni, dotąd jeszcze noszącej na sobie pachnący liść leszczynowych prętów, mocno przylegających do świeżych osikowych żerdzi, na których spoczywała strzecha — Lewin spoglądał przez otwarte wrota, gdzie kłębił się i tańczył cierpki kurz od młócki, to na oświetloną upalnym słońcem trawę u gumna i

na świeżą słomę tylko co wyniesioną z odryny, to na jaskółki z ich pstrymi łebkami i białą pierśią, jak z poświstem wylatywały pod dach i bijąc skrzydełkami, przez chwilę unosiły się w światłach wrót, to wreszcie na ludzi krzątających się w ciemnej, pełnej kurzu suszarni, i dziwne myśli snuły mu się po głowie.

„I po co się to wszystko robi? — myślał. — Po co stoję tutaj i zmuszam ich do pracy? W jakim celu wszyscy krzątają się usiłując okazać mi swoją gorliwość? Dlaczego wyłazi ze skóry stara moja przyjaciółka Matriona? (leczyłem ją, gdy w czasie pożaru została przygnieciona upadającą belką) — zadawał sobie pytanie, spoglądając na wychudłą babę, która przesuwając grabiami ziarno, mocno biła czarnymi od opalenizny stopami w nierówny, twardy tok. — Wówczas wprowadziła wyzdrowiała, ale nie dziś, to jutro lub za dziesięć zakopią ją i nic nie zostanie ani z niej, ani z tej elegantki w czerwonej spódnicy, tej, która takim zgrabnym, delikatnym ruchem odgarniała kłos od plewy. I ją także zakopią, i srokiego wałacha, tego nawet już bardzo niedługo; — myślał patrząc na zadyszane, o rozdętych nozdrzach konisko, jak robiąc : bokami następowało na poruszające się pod nim pochyłe koło. — Zakopią i ją, i j podawacza snopów, Fiodora, z jego kędzierzawą, pełną plewy brodą i rozdartą ; na białym ramieniu koszulą... Tego, który właśnie dzieli snopy i komenderuje, i krzyczy na kobiety, i szybkim ruchem poprawia rzemień na kole rozpędem wym. A co najważniejsze, zakopią nie tylko ich, zakopią także i mnie, i nic z nas nie pozostanie. Po co to?”

Tak medytując, jednocześnie spoglądał na zegarek, żeby sprawdzić, ile w godzinę wymłóca. Musiał to wiedzieć, by podług tego wyznaczyć pracę na cały dzień.

„Już niedługo pierwsza, a zaczęli dopiero trzeci stóg” —

stwierdził i podszedłszy do podawacza polecił mu, podnosząc głos tak, by przekrzyczeć turkot maszyny, żeby tyle nie nakładał.

— Za dużo podajesz na raz, Fiodor! Patrz — zatyka się, dlatego tak wolno idzie. Równiej rozkładaj.

Szczerbiały od kurzu, przylepiającego się do spoconej twarzy, Fiodor coś odkrzyknął, lecz wciąż nie mógł dogodzić Lewinowi, który wreszcie podszedł do walca, odsunął Fiodora i sam jął podawać.

Przepracował tak aż do chłopskiego popołudniowego posiłku, który był tuż, po czym wraz z Fiodorem wyszedł z suszarni i rozgadał się z nim, stojąc obok złożonej na klepisku żółtej sterty zżętego żyta przygotowanego do młócki na nasienie.

Fiodor pochodził z odległej wsi, tej właśnie, gdzie ongiś Lewin oddawał w dzierżawę grunta na zasadach spółdzielczych. Obecnie ziemię ową trzymał w arendzie pewien zagrodnik.

Lewin wszczął z Fiodorem rozmowę o tych gruntach i zapytał, czy Płaton, bogaty i rządny gospodarz z tej samej wsi, nie wzięłyby ich na przyszły rok.

— Cena jest bardzo wysoka, panie dziedzicu, Płaton tego z niej nie wyrobi — odrzekł chłop wybierając zza pazuchy lgnące od potu kłosa.

— A Kiryłow?

— Jakżeby Mitiucha (tak nazwał chłop zagrodnika na znak pogardy) miał nie wyrobić, panie dziedzicu! Przyciśnie, a swoje wydusi. Nie pożałuje duszy chrześcijańskiej. A wujek Fokanycz (tak Fiodor nazywał starego Platona) nie będzie przecie skóry darł z człowieka. Jednemu zborguje, drugiemu pofolguje. No, i w końcu nie wychodzi na swoje. Po ludzku postępuje.

— Po cóż więc im tak folguje?

— A tak... Bo ludzie bywają różni: jeden żyje tylko dla siebie, jak nie przymierzając Mitiucha, sobie tylko kałdun napycha, a znów Fokanycz — to sprawiedliwy człowiek. Ten żyje dla własnej duszy; pamięta o Bogu.

— Jak to pamięta o Bogu? Co to znaczy: żyje dla duszy?
— Lewin podniósł głos prawie do krzyku.

— Wiadomo jak: sprawiedliwie, po bożemu. Przecie ludzie bywają różni. Ot, choćby i pan dziedzic, także przecie człowieka nie skrzywdzi...

— Tak, tak, bywaj zdrów! — Lewin bez tchu, tak był poruszony, odwrócił się, wziął laskę i poszedł szybkim krokiem w kierunku domu. Na słowa Fiodora o tym, że Fokanycz żyje dla duszy, sprawiedliwie, po bożemu, niejasne, ale ważne myśli tłumnie wyrwały się — jakby z jakiegoś zamknięcia — i dążąc wszystkie do jednego celu poczęły mu krążyć po głowie oślepiając go swą jasnością.

XII

Lewin szedł wielkimi krokami gościńcem nie tyle zasłuchany we własne myśli (nie mógł ich jeszcze dobrze rozeznąć), ile wpatrzony w stan swej duszy, stan, jakiego dotąd nigdy nie doświadczał.

Słowa wypowiedziane przez Fiodora wywołały u Lewina skutek podobny do działania iskry elektrycznej, która by nagle przemieniła i scalila całą chmurę zróżnicowanych, słabiutkich poszczególnych myśli, stale go absorbujących. Myśli owe bezwiednie pochłaniały go również w czasie tej ostatniej rozmowy o wydzierżawieniu ziemi.

Czuł, że w duszy rodzi mu się coś nowego, i z rozkoszą dobierał się do tego nowego zjawiska nie wiedząc jeszcze, na

czym ono polega.

„Życie nie dla własnych potrzeb, ale dla Boga. Dla jakiego Boga? Czy może być większy nonsens od tego, co on gada? Powiedział, że nie należy żyć dla siebie, to znaczy, że nie należy żyć dla tych rzeczy, które rozumiemy, które nas pociągają, na które mamy ochotę, ale dla czegoś niepojętego, dla Boga, którego nikt z nas ani zrozumieć, ani określić nie może. I cóż stąd? Czyż nie zrozumiałem tych bezsensownych słów Fiodora? Albo zrozumiałem je, może wątpię o ich słuszności? Lub znajduję, że są głupie, niejasne, niedokładne?”

„Przeciwnie, zrozumiałem je, i to zupełnie tak, jak on je sam rozumie, że zrozumiałem całkowicie, dokładniej, niż rozumiem cokolwiek innego w świecie, i nigdy w życiu nie miałem i mieć nie mogę w tym względzie żadnych wątpliwości. I nie tylko ja sam, ale wszyscy, cały świat, tylko to jedno rozumiemy w zupełności, o tym jednym nie wątpimy i na to jedno z innymi się zgadzamy.”

„Fiodor powiada, że zagrodnik Kiryłow żyje dla swego brzucha. Jest to zrozumiałe i rozsądne. My wszyscy, jako rozsądne istoty, nie możemy żyć inaczej niż dla brzucha. I nagle ten sam Fiodor mówi, że źle jest żyć dla brzucha i że należy żyć dla sprawiedliwości, dla Boga, a ja od jednego napomknienia już go rozumiem! I ja, i miliony ludzi, tych sprzed stuleci i takich, co żyją teraz, ubogich duchem chłopów i mędrców, którzy rozmyślali o tym i pisali, wypowiadając na swój zawiły sposób każdy to samo — my wszyscy zgadzamy się na jedno, gdy chodzi o cel życia i o to, co jest dobre. Mam tylko tę jedną wiedzę wspólną ze wszystkimi ludźmi, wiedzę niezachwianą, niewątpliwą i wyraźną, a przecie nie do wytłumaczenia rozumowo, stoi ona bowiem poza rozumem, nie ma żadnych przyczyn i nie może

mieć żadnych skutków.”

„O ile dobro wynika z jakiejś przyczyny, to już nie jest dobrem; o ile w rezultacie przynosi nagrodę, tak samo już dobrem nie jest. To znaczy, że dobro jest poza łańcuchem przyczyn i skutków!”

„I to właśnie dobro znam i ja, i wszyscy je znamy.”

„A ja szukałem cudów, żałowałem, że nie widział cudu, który by mnie przekonał. Tymczasem to właśnie jest cud jedyny możliwy, zawsze obecny, otaczający mnie ze wszystkich stron, cud, którego nie spostrzegalem!”

„Jakiż może być większy cud?”

„Czyżbym istotnie znalazł rozstrzygnięcie wszystkiego? Czyżby to był naprawdę koniec moich udręczeń?” — myślał Lewin i szedł w kurzu drogą, nie tylko nie bacząc na upał i zmęczenie, ale z uczuciem ulgi po długiej męce. Uczucie to było tak błogie, że nie mógł w nie uwierzyć. Ciężko dysząc ze wzruszenia i nie będąc w stanie iść dalej, zboczył z gościńca w las i usiadł w cieniu osik na nie skoszonej trawie. Zdjąwszy ze spotniałej głowy kapelusz, legł na soczystych trawach leśnych i wsparł głowę na rękę.

„Muszę oprzytomnieć i dobrze to przemyśleć — postanawiał patrząc uważnie przed siebie na nie zgniecioną trawę i obserwując ruchy zielonego żuczka wdrapującego się na łodyżkę perzu i zatrzymanego w drodze przez liść dzięgielnicy. — Weźmy wszystko od początku — mówił do siebie, odsuwając liść dzięgielnicy tak, żeby nie przeszkadzał żuczкови, i chyląc trawkę obok, dla ułatwienia mu przejścia na nią. — Co mnie tak cieszy? Co ja takiego odkryłem?”

„Dotąd mówiłem sobie, że w moim ciele, w ciele tej oto trawy i tego oto żuczka (otóż nie chciał pozostać na tym źdźble, otworzył skrzydełka i uleciał!) zachodzi przemiana

materii według praw fizycznych, chemicznych i fizjologicznych. A poza tym w nas wszystkich, licząc w to i osiny, i obłoki, i mgławiska — dokonywa się rozwój. Rozwój z czego? w co? Nieskończony rozwój i walka?... Jakby mógł w ogóle istnieć jakiś kierunek i jakaś walka w nieskończoności!... I zdumiewało mnie, że chociaż wyteżałem z całej siły myśli w tym kierunku, sens życia i sens moich pobudek i dążności pozostawał dla mnie ukryty. A tymczasem sens moich pobudek istnieje we mnie i jest tak wyraźny, że nieustannie według niego żyję i że zdziwiłem się i ucieszyłem, gdy mi go chłop wystawił: żyć dla Boga, żyć dla duszy.”

„Nic nie odkryłem nowego: dowiedziałem się tylko tego, co już mi było wiadome. Zrozumiałem tę siłę, która nie tylko w przeszłości dała mi życie, ale obdarza mnie nim i teraz. Pozbyłem się fałszu i znalazłem Pana.” I Lewin pokrótce przebiegł w pamięci całą drogę, jaką umysł jego przebył w ciągu dwóch ostatnich lat, poczynając od chwili gdy na widok ukochanego, a beznadziejnie chorego brata powziął wyraźną i oczywistą myśl o śmierci.

Zrozumiawszy wówczas jasno po raz pierwszy, że każdy człowiek ma przed sobą jedynie cierpienie, śmierć i wieczne zapomnienie, zdecydował, że tak żyć nie można, że należy albo wytłumaczyć sobie swoje życie tak, by nie wyglądało ono na złośliwy żart jakiegoś szatana, albo się zastrzelić.

Nie wybrał jednak żadnej z tych obu możliwości, lecz nadal żył, myślał i czuł, a nawet w tym właśnie okresie ożenił się i doznał wielu radości. Gdy nie medytował nad sensem swego życia, był nawet szczęśliwy.

Co to mogło oznaczać? Oznaczało to, że żył, jak należy, lecz fałszywie rozumował.

Żył (nie wiedząc o tym) z tych prawd duchowych, które

wysał wraz z mlekiem, myślał zaś nie tylko wbrew tym prawdom, ale starannie je omijając.

Teraz stało się dla niego jasne, że mógł żyć jedynie dzięki wierzeniom, w których się wychował.

„Czymże bym ja był i jakżebym życie swoje przeżył, gdybym nie miał tych wierzeń, gdybym nie wiedział, że należy żyć dla Boga, a nie po to jedynie, by zaspokajać własne potrzeby. Rabowałbym, kłamał, zabijał... Nic z tego, co stanowi największą radość mego życia, nie istniałoby dla mnie.” I przy największym wysiłku fantazji nie potrafił wyobrazić sobie tej zwierzęcej istoty, którą by sam był, gdyby nie wiedział, po co żyje.

„Szukałem odpowiedzi na moje pytanie. Tymczasem myśl nie mogła na nie odpowiedzieć, bo myśl nie jest z tym problemem współmierna. Odpowiedź dało mi życie samo, obdarzając wiedzą — co złe, a co dobre. Wiedzy zaś tej nie zdobyłem w żaden sposób, ale otrzymałem ją tak jak wszyscy inni, otrzymałem, bom jej przecie znikąd wziąć nie mógł.”

„Skądże mogłem ją wziąć? Może to rozum mi podpowiedział, że należy kochać bliźniego, a nie gnębić go? Powiedziano mi to w dzieciństwie, a ja uwierzyłem z radością, bo oznajmiono mi coś, co już miałem w duszy. A kto zrobił to odkrycie? Nie rozum. Rozum odkrył walkę o byt i prawo nakazujące gnębić tych wszystkich, którzy by się sprzeciwiali zaspokojeniu moich pragnień. To jest wniosek rozumu. A miłości człowieka do człowieka rozum odkryć nie mógł, nie jest to bowiem rzecz rozsądna.”

„Co za pycha!” — rzekł do siebie, odwrócił się i legł na brzuchu, usiłując tak związać w węzeł źdźbła trawy, by ich przy tym nie złamać.

„I nie tylko co za pycha, ale co za głupota tego rozumu! A zwłaszcza co za szwindel, tak właśnie, szwindel rozumu.

Dobrze mówię: szwindel rozumu” — powtórzył raz jeszcze.

XIII

Tu Lewin przypomniał sobie niedawną scenę pomiędzy Dolly i jej dziećmi. Dzieci pozostawione samopas poczęły przypiekać maliny na świecach i wlewać sobie mleko z góry strumieniem do ust. Matka zastała je przy tej rozrywce i w obecności Lewina poczęła im perswadować, ile pracy dorośli wkładają w to, co one niszczą, i tłumaczyć, że pracę tę wykonuje się dla dzieci i że o ile będą tłukły filiżanki, nie będą miały z czego pić herbaty, a o ile porozlewają mleko — nie będą miały co jeść i poumierają z głodu.

Lewin był uderzony spokojnym i pełnym znudzenia niedowierzaniem, z jakim dzieci przyjmowały upomnienia matki. Były tylko zmartwione, że przerwała im interesującą rozrywkę, i nie wierzyły ani jednemu słowu z tego, co mówiła. Nie mogły naturalnie temu wierzyć, bo nie były w stanie objąć myślą całego ogromu dóbr, z którego czerpały, a przeto nie mogły sobie także uświadomić, że to, co niszczyły, było właśnie tym czymś, co je utrzymywało przy życiu.

„To wszystko istnieje samo przez się — rozumowały dzieci — i nie ma w tym nic ani interesującego, ani ważnego, bo to jest coś, co zawsze było i będzie, i pozostaje zawsze jednakowe. Po co miałybyśmy się tym interesować? To jest coś już gotowego, my zaś chciałybyśmy wynaleźć coś własnego i nowiusieńkiego. Więcemy wymyśliły, żeby napełniać filiżanki malinami i potem smażyć je na świeczce, a mleko wlewać prosto w usta jedno drugiemu jak z fontanny. To jest zabawne i nowe, i w niczym nie ustępuje picciu mleka z filiżanek.”

„Czyż my, ludzie dorośli, nie postępujemy zupełnie

podobnie, czyż nie postępowałem tak ja sam usiłując przy pomocy rozumu znaleźć znaczenie sił przyrody i sens życia ludzkiego?” — rozmyślał dalej.

„I czy nie tak samo postępują wszystkie teorie filozoficzne, gdy w dziwaczny, człowiekowi nie przyrodzony sposób prowadzą go do poznania czegoś, o czym on dawno sam już wie, i to z taką pewnością, że bez tego by w ogóle żyć nie mógł? Przecie kiedy się rozwinie teorię któregoś z filozofów, to widać wyraźnie, że filozofowi owemu z góry znany jest główny sens bytu, i to z równą pewnością, choć bynajmniej nie z większą przejrzystością, jak i chłopu Fiodorowi. Czy więc filozofowie nie usiłują tylko wątpliwą drogą rozumową powrócić do czegoś, co jest wszystkim znane?”

„Spróbujcie pozostawić dzieci samopas i niech sobie zdobędą lub zrobią naczynia, niech nadoją mleka itd. Czyby im się wówczas zechciało swawolić? Poumierająby z głodu. Spróbujcie pozostawić nas bez pojęcia o jedynym Bogu i Stwórcy, nas z naszymi namiętnościami i zmysłami!... Albo — bez pojęcia, czym jest dobro, bez wytłumaczenia, czym jest zło moralne.”

„Dalejże, niechaj kto spróbuje coś zbudować bez tych pojęć!”

„My niszczymy tylko dlatego, bośmy duchowo nasyceni... Zupełnie jak dzieci!”

„Skąd mi się wzięła ta radosna, wspólna z chłopem wiedza, która jedna daje mi spokój wewnętrzny? Skąd ja ją znam?”

„Wychowany jako chrześcijanin z pojęciem Boga, wypełniwszy życie swe aż po brzegi dobrami duchowymi otrzymanymi od chrystianizmu, cały przepojony nimi i przez nie żywiony — nie rozumiejąc ich, podobnie jak dzieci,

niszczę, a raczej dążę do zniszczenia tego, czym żyję. Skoro tylko jednak nastaje w życiu jakaś ważna chwila, wówczas — jak dzieci, gdy im chłód i głód doskwiera — znowu powracam do tych dóbr, jeszcze mniej od dzieci, karconych przez matkę za ich dziecięcą swawolę, świadomy, że moje dziecinne rozbisurmanienie policzone mi nie będzie.”

„Tak, to co wiem, wiem nie przez rozum. Mnie tym obdarzono, to mi odkryto; wiem to sercem, wiem z wiary w te najważniejsze rzeczy, których naucza Cerkiew.”

„Cerkiew? Cerkiew!” — powtórzył Lewin i obróciwszy się na drugi bok jał, wsparty na łokciu, patrzeć w dal na stado, które od tej strony schodziło właśnie ku rzece.

„Ale czy ja mogę wierzyć we wszystko, czego naucza Cerkiew?” — rozważał i aby się wypróbować, począł przywozić sobie na myśl wszystko, co mogło rozbić jego obecny spokój. Rozmyślnie począł przypominać sobie doktryny, które mu się zawsze wydawały najbardziej dziwaczne i rażące. „Stworzenie świata? W jakim to ja sposób próbowałem wytłumaczyć istnienie? Samym istnieniem? Niczym?... A dalej: diabeł i grzech? A czym wytłumaczyć zło? I czym Zbawiciela?”

„Ależ ja nic, nic nie wiem i wiedzieć nie mogę, prócz tego, co mi powiedziano, tak jak i wszystkim innym.”

Zdawało mu się obecnie, że ani jedno z wierzeń Cerkwi nie narusza w nim wiary najważniejszej — wiary w Boga i w dobro jako jedyne przeznaczenie człowieka.

Każde z tych wierzeń może być zastąpione wiarą, że należy służyć sprawiedliwości, a nie własnym potrzebom. I żadne z tych wierzeń nie tylko tej wiary nie narusza, lecz jest niezbędne po to, by na ziemi spełniać się mógł ów najważniejszy, wciąż powtarzający się cud, polegający na bezwzględnym zrozumieniu jednej jedynej prawdy —

wspólnej milionom najróżnorodniejszych ludzi: mędrców i kretynów, dzieci i starców, wspólnej wszystkim, licząc w to i Fiodora, i Lwowa, i Kitty, żebraków i królów — i na zbiorowym tworzeniu tego życia duszy, dla którego jedynie opłaci się żyć i które jedno jedyne jest dla nas wszystkich coś warte.

Leżąc na wznak, spoglądał na wysokie pogodne niebo. „Wiem przecie, że jest to bezgraniczna przestrzeń, a nie okrągłe sklepienie. Lecz choćbym nie wiem jak mrużył oczy i wycęzał wzrok, nie mogę widzieć go inaczej niż w postaci okrągłej i ograniczonej przestrzeni i mimo mojej wiedzy o przestrzeni nieskończonej mam niewątpliwie rację, gdy dostrzegam nieprzejrzyste błękitne sklepienie, większą rację, niż gdybym usiłował coś dostrzec poza nim.”

Lewin przestał już w ogóle myśleć i tylko jakby wsłuchiwał się w 1 tajemnicze wewnętrzne głosy, które się skrzętnie a radośnie pomiędzy sobą nawoływały.

„Czyżby to była wiara? — nie śmiał dowierzać swemu szczęściu. — Mój Boże, dzięki Ci!” — wyrzekł tłumiąc zrywający się szloch i ocierając obu dłońmi Izy, których miał pełne oczy.

XIV

Patrząc wprost przed siebie na pasące się w oddali bydło Lewin dojrzał nagle, jak podjechał do stada zaprzężony w Karego wózek z majątku, ze stangretem, który zagadnął o coś pastucha, a niezadługo potem rozległ się, tym razem już w pobliżu, turkot kół i parskanie napasionego konia. Lewin był wszelako tak pogrążony w myślach, że nie zadał sobie nawet pytania, z czym stangret przyjeżdża.

Przyszło mu to dopiero do głowy, gdy ten, będąc już

całkiem blisko, krzyknął do niego:

— Pani dziedziczka mnie przysyła. Przyjechał brat pana dziedzica i jeszcze jakiś pan.

Lewin siadł na wózek i wziął od stangreta lejce.

Jakby zbudzony ze snu, długo nie mógł oprzytomnieć. Oglądał sytego konia, który miał pianę pomiędzy udami i na szyi, tam gdzie lejce ocierały się o skórę, przypatrywał się siedzącemu obok stangretowi Iwanowi i uświadamiał sobie, że istotnie oczekiwał przyjazdu brata i że Kitty zapewne zaniepokoiła się długą jego nieobecnością; potem próbował odgadnąć, kim może być gość, który przybył z Sergiuszem. I brat, i żona, i niewiadomy przybysz ukazali mu się nagle w zupełnie nowym świetle; zdawało mu się, że jego stosunki z ludźmi całkiem się odtąd zmienią.

„Zniknie teraz ta cała obcość, która mnie zawsze dzieliła od brata: nie będę się z nim więcej spierał. Ustaną kłótnie pomiędzy mną a Kitty. Dla gościa, kimkolwiek on jest, będę serdeczny i życzliwy. Z Iwanem i w ogóle z ludźmi — wszystko pójdzie inaczej.”

Ściągając mocno lejcami parskającego z niecierpliwości i rwącego się do biegu poczciwego konia Lewin spoglądał spod oka na siedzącego obok Iwana, który nie wiedząc, co począć z nie zajętych powożeniem rękoma, nieustannie obciskał na sobie koszulę. Szukając pretekstu do rozpoczęcia z nim rozmowy Lewin miał właściwie ochotę powiedzieć mu, że niepotrzebnie podciągnął zbyt wysoko gurt od hołobli, ale taki początek nazbyt przypominał wymówkę, on zaś chciał z Iwanem pogawędzić serdecznie. Nic innego mu jednak nie przychodziło do głowy.

— Niech pan dziedzic weźmie w prawo, bo tu pień — zauważył stangret poprawiając lejce trzymane przez Lewina.

— Proszę nie ruszać lejców i nie dawać mi nauk! —

zniecierpliwiał się ten na wtrącenie się stangreta. Drobiazg ów, jak zwykle, doprowadził go do gniewu. Stwierdził wnet ze smutkiem, jak bardzo się mylił sądząc, że wewnętrzny nastrój będzie miał natychmiastowy wpływ na zmianę jego postępowania w zetknięciu z rzeczywistością.

O ćwierć wiorsty od domu zobaczył Tanie i Griszę biegnących na jego spotkanie.

— Wujku! I mama, i dziadunio, i Sergiusz Iwanycz, i jeszcze ktoś, wszyscy tutaj idą — oznajmili gramoląc się na wózek.

— Kto taki?

— Okropnie straszny! I tak wyrabia rękami — tu Tania wstała i poczęła naśladować Katawasowa.

— Ale stary czy młody? — dopytywał się Lewin, któremu mimika Tani kogoś jednak przypominała.

„Ach, żebyż tylko nie ktoś nieprzyjemny!” — pomyślał.

Dopiero za zakrętem drogi zobaczył idących, a wśród nich rozpoznał Katawasowa w słomianym kapeluszu, wymachującego rękoma tak właśnie, jak pokazywała Tania.

Katawasow bardzo lubił rozprawiać o filozofii, wiedzę o niej jednak czerpał od przyrodników, którzy się filozofią nigdy nie zajmowali. Za ostatniego swego pobytu w Moskwie Lewin prowadził z nim nieraz dysputy. Pierwszą rzecz, jaką sobie Lewin przypomniał rozpoznając Katawasowa na drodze, była jedna z tych rozmów, i to taka, po której Katawasow wyraźnie miał siebie za zwycięzcę.

„Nie będę za nic w świecie prowadził więcej sporów ani lekkomyślnie wypowiadał sądów” — postanowił sobie Lewin.

Zeszedłszy z wózka przywitał się z bratem i Katawasowem, po czym zapytał o żonę.

— Przeniosła Mitię do Koleckiego Lasku (był to lasek w

pobliżu domu). Miała zamiar tam go ulokować, bo w domu jest za gorąco — poinformowała go Dolly.

Lewin zawsze odradzał żonie noszenie dziecka do lasu, uważając, że to niebezpieczne, toteż wiadomość ta zrobiła mu przykrość.

— Nosi się z nim z miejsca na miejsce — uśmiechnął się książę. — Radziłem jej, by spróbowała trzymać go w lodowni.

— Miała zamiar przyjść do pasieki, myślała, że ty tam jesteś. Właściwie tam idziemy — mówiła dalej Dolly.

— No, a co ty porabiasz? — zapytał Sergiusz, który pozostał w tyle i przyłączył się do brata.

— Nic osobliwego: zajęty jestem gospodarstwem jak zwykle — odrzekł Lewin. — Na długo przyjechałeś? Spodziewaliśmy się ciebie od tak dawna.

— Na jakieś dwa tygodnie. Bardzo mam dużo pracy w Moskwie. Przy tych słowach oczy braci spotkały się i Lewin, który zawsze, teraz zaś specjalnie pragnął, by stosunek jego z bratem był przyjacielski, a zwłaszcza bezpośredni, poczuł, że nie może patrzeć na niego bez pewnego skrępowania. Spuścił oczy i nie wiedział, o czym z nim mówić.

Pragnąc wybrać temat miły dla Sergiusza, a zarazem daleki od serbskiej wojny i kwestii słowiańskiej, o których ten napomknął w aluzji do swej pracy w Moskwie, Lewin spytał brata o jego książkę:

— No i cóż, czy były już jakie recenzje?

Koznyszewa zabawił brak bezpośredniości tego pytania; uśmiechnął się.

— Nikt się tym nie interesuje, a ja najmniej — odparł. — Proszę zobaczyć, Dario Aleksandrowno, będzie deszczyk — i wskazał parasolem na ukazujące się nad wierzchołkami osin białe chmurki.

Dość było tych kilku słów, by znów pomiędzy braćmi zapanował nie tyle nieprzyjazny, ile oziębły stosunek, którego Lewin tak bardzo pragnął uniknąć.

Podszedł z kolei do Katawasowa.

— Jak dobrze, że namyśliłeś się i przyjechałeś — rzekł do niego.

— Wybierałem się już dawno. Teraz sobie pogadamy, rozejrzemy się... Przeczytałeś Spencera?

— Nie dokończyłem go — odparł Lewin. — Zresztą nie jest mi już potrzebny.

— A to dlaczego? To ciekawe. Dlaczego?

— Właściwie... Przekonałem się ostatecznie, że nie znajduję rozwiązania interesujących mnie problemów ani u Spencera, ani u innych myślicieli jego pokroju. Obecnie...

Zafrapował go nagle spokojny i wesoły wyraz Katawasowa i tak mu się żal zrobiło owego nastroju, który nie ostałby się naturalnie przy takiej rozmowie, że przypomniał sobie swoje postanowienie i zamilkł.

— Zresztą pogadamy później — dodał. — jeśli chcecie iść do pasieki, to tędy, tą ścieżką.

Doszli wąską drożynką do nie koszonej polanki, porośniętej z jednej strony jednolitą jaskrawą masą pszenca, pośród którego obficie rozrastał się ciemnozielony wysoki ciemiernik. Lewin umieścił swych gości pod gęstym, chłodnawym cieniem młodej osiczyny, na ławeczce i na pieńkach umyślnie przygotowanych dla tych spośród odwiedzających, którzy obawiali się pszczół, sam zaś wszedł do wnętrza ogrodzenia, aby przynieść dzieciom i dorosłym chleba, ogórków i świeżego miodu.

Starając się wykonywać jak najmniej szybkich ruchów i nadstawiając ucha na przelatujące coraz gęściej obok niego pszczoły, doszedł ścieżką do chaty. Gdy był już u wejścia,

jedna z pszczół rozbrzęczała się cieniutko, zaplątana w jego brodę, wyjął więc ją delikatnie. Zdjął wiszącą na kołku w cienieści sieni swoją siatkę, włożył ją i wsunąwszy ręce w kieszenie wszedł do ogrodzonej płotem pasieki, gdzie, równo uszeregowane na wykoszonej przestrzeni i poprzywiązywane do palików łykiem, znajdowały się stare ule, każdy z nich z osobna mu znany z całą jego historią. Wzdłuż płotu stały młode z osadzonymi dopiero tego roku rojami. Aż w oczach ćmiło od krążących swawolnie i krzątających się na jednym miejscu, przed wylotami uli, trutni i pszczół, a pomiędzy nimi przelatywały, z ładunkiem i po nowy ładunek, w niezmiennym kierunku: do lasu, na kwitnącą lipę i z powrotem do uli — pszczoły robotnice.

W uszach brzmiały mu nieustannie różnorodne dźwięki pszczele: to bzyknięcie zaaferowanej, szybko przelatującej robotnicy, to fanfara bezczynnego trutnia, to alarm pszczół wzywający do obrony dobytku przed wrogiem. Po drugiej stronie ogrodzenia stary pszczelarz strugał obręcz i nie spostrzegał dziedzica. Nie wołając go Lewin przystanął pośrodku pasieki.

Rad był z okazji, by pozostać sam i strząsnąć z siebie rzeczywistość, która zdołała już tak obniżyć jego nastrój.

Zdał sobie sprawę, że już zdążył rozżłościć się na Iwana, ozięble potraktować brata i nierozważnie wszcząć rozmowę z Katawasowem.

„Czyżby tamto było tylko chwilowym nastrojem? Czyżby miało przeminąć bez śladu?” — pomyślał. W tym samym jednak momencie nastrój powrócił i Lewin zdał sobie z radością sprawę, że zaszło w nim coś nowego i ważnego. Rzeczywistość tylko na pewien czas zasłoniła odnaleziony przezeń spokój wewnętrzny; spokój pozostał nienaruszony.

Podobne pszczołom, które groźnie krążąc dokoła niego nie

dawały mu się skupić i pozbawiały go całkowitego spokoju fizycznego, musiał się bowiem kurczyć, by się od nich uchronić — kłopoty, jakie obiegły go z chwilą, gdy siadł na wózek, niszczyły jego wewnętrzny spokój. Lecz trwało to tylko, dokąd się wśród nich znajdował, fizyczna jego siła pozostawała przecie pomimo pszczoł nienaruszona. To samo działo się z siłą duchową, którą sobie świeżo uświadomił.

XV

— Wiesz, Kostia, z kim Sergiusz Iwanowicz tutaj jechał? — powiedziała Dolly po obdzieleniu dzieci ogórkami i miodem. — Z Wrońskim! Wroński jedzie do Serbii.

— W dodatku nie sam: prowadzi ze sobą szwadron wyekwipowany na swój koszt! — dodał Katawasow.

— To do niego podobne — zauważył Lewin. — A czy napływ ochotników wciąż jeszcze trwa? — zapytał rzuciwszy okiem na Sergiusza.

Koznyszew nie odpowiedział; był zajęty ostrożnym wyjmowaniem przy pomocy tępego pszczelarskiego noża żywej jeszcze pszczoły wlepionej do miodu ściekłego na dno miseczki, w której spoczywał oparty bokiem plaster.

— I co za napływ! Żeby pan widział, co się wczoraj działo na stacji! — zawołał Katawasow chrupiąc głośno ogórek.

— Ależ jak to należy rozumieć? Na miłość boską, Sergiuszu Iwanowiczu, proszę wytłumaczyć, dokąd jadą ci wszyscy ochotnicy i z kim się biją — zapytał stary Szczerbacki najwidoczniej ciągnąc dalej rozmowę zaczęłą jeszcze w nieobecności Lewina.

— Z Turkami — ze spokojnym uśmiechem odpowiedział Koznyszew. Wydobył właśnie pszczołę, która cała szerniała od miodu, bezradnie poruszała nóżkami, i zsunął ją z noża na

mocny osinowy listek.

— Ależ któż wypowiedział Turkom wojnę? Iwan Iwanowicz Ragozow i hrabina Lidia z panią Stahl?

— Nikt im wojny nie wypowiadał; ludzie współczują cierpieniom swych bliźnich i pragną im dopomóc — odparł Koznyszew.

— Mój teść mówi nie o pomocy — przyszedł Lewin staremu Szczerbackiemu w sukurs — ale o wojnie. Ma na myśli, że ludzie prywatni nie mogą brać udziału w wojnie bez zgody rządu.

— Kostia, patrz: pszczoła! Zobaczysz, że nas pożądlą! — zawołała Dolly opędzając się od osy.

— To nie pszczoła, to osa — sprostował Lewin.

— No i cóż? Jakież jest twoje zdanie? — rzucił mu z uśmiechem wyzwanie Katawasow. — Dlaczegoż to ludzie prywatni nie mają prawa?

— Oto moje zdanie: po pierwsze, wojna jest czymś tak zwierzęcym, okrutnym i przerażającym, że żaden człowiek, a tym bardziej chrześcijanin, nie może brać na swoją osobistą odpowiedzialność rozpoczęcia wojny; może to uczynić jedynie uprawnocniony ku temu rząd, o ile nie ma innego wyjścia. Po drugie: i z nauki, i ze zdrowego rozsądku wynika, że w sprawach państwowych, a zwłaszcza tam gdzie chodzi o wojnę, obywatele zrzekają się własnej woli.

Koznyszew i Katawasow obaj mieli gotową replikę i odezwali się jednocześnie.

— W tym właśnie sęk, bratku, że może zająć wypadek, kiedy rząd nie postępuje po myśli obywateli, i wówczas społeczeństwo daje wyraz swej woli — rzekł Katawasow.

Widać było, że Sergiusz nie solidaryzuje się z tym argumentem; na słowa Katawasowa zmarszczył brwi i wysłowił się inaczej:

— Nie można tak stawiać sprawy. Nie zachodzi tu wypowiedzenie wojny, lecz dojdzie do głosu zwykłych ludzkich, chrześcijańskich uczuć. Tam mordują braci jednej z nami krwi, jednej wiary... A nawet, dajmy na to, że nie braci, nie jednowierców, lecz po prostu — dzieci, kobiety, starców; to wywołuje odruch oburzenia, i naród rosyjski rzuca się na pomoc chcąc położyć kres tym okropnościom. Wyobraź sobie: idziesz ulicą i widzisz, że pijacy biją kobietę lub dziecko. Sądzę, że nie zacząłbyś się wypytywać, czy temu człowiekowi wypowiedziano wojnę, czy też nie, rzuciłbyś się na niego i obroniłbyś ofiarę.

— Ale bym nie zabił — odrzekł Lewin.

— Owszem, zabiłbyś.

— Tego nie wiem. Gdybym to zobaczył, poddałbym się bezpośredniemu odruchowi: tego nie można z góry przewidzieć. Ale takie bezpośrednie uczucie w stosunku do uciumiężenia Słowian nie istnieje i istnieć nie może.

— Może ty go nie żywisz, ale inni je mają — Sergiusz zmarszczył z niezadowoleniem brwi. — Wśród ludu żyją jeszcze legendy o prawosławnym narodzie ciemionym przez „niegodziwych Hagarytów”*. Lud dowiedział się o cierpieniach swych braci i przemówił.

— Możliwe — wymijająco odrzekł Lewin — ja jednak tego nie widzę; sam należę do ludu i wcale tak nie czuję.

— Ani ja — wtrącił stary Szczerbacki. — Będąc za granicą czytałem gazety i muszę wyznać, że jeszcze zanim zasły bułgarskie okropności, zupełnie zrozumieć nie mogłem, dlaczego wszyscy Rosjanie nagle tak pokochali braci Słowian, podczas gdy ja sam nie czułem dla nich najmniejszego sentymentu. Bardzo się tym martwiłem i myślałem, że jestem jakimś wyrodkiem lub że Karlsbad tak

* Hagaryci — tu: aluzja do Turków, których lud w potocznej mowie tak nazywał (od Hagar niewolnicy Abrahama).

na mnie wpływa. Ale po przyjeździe tutaj uspokoiłem się: widzę, że są poza mną ludzie, których interesuje wyłącznie Rosja, a nie bracia Słowianie. Na przykład Konstanty.

— Zdania osobiste nie mają tu najmniejszego znaczenia — zauważył Koznyszew — nie grają one żadnej roli w chwili, gdy cała Rosja, lud cały wypowiedział swą wolę.

— Przepraszam pana, ja tego nie widzę. Lud nie ma o tym wszystkim najmniejszego pojęcia — zaoponował książę.

— Ależ owszem, papo... Jak to nie ma? A w niedzielę w cerkwi? — zauważyła Dolly, która przysłuchiwała się rozmowie. — Proszę dać nam ręcznik — zwróciła się do starego pszczelarza przyglądającego się dzieciom z uśmiechem. — Jest nie do pomyślenia, żeby wszyscy...

— I cóż, że w niedzielę w cerkwi!... Popu kazano przeczytać, więc przeczytał. A ci nic nie zrozumieli, tylko wzdychali, jak to na kazaniu — ciągnął dalej książę. — Potem powiedziano im; że w cerkwi będzie składka na zbożny cel, wyjęli więc każdy po kopiejce i dali. A na co — sami nie wiedzą.

— Lud nie może nie wiedzieć; lud ma zawsze świadomość swego przeznaczenia, a w takich chwilach, jak obecna, przeznaczenie to staje się dlań jasne — stwierdził z naciskiem Koznyszew i spojrzął na starego pasiecznika.

Piękny chłop, o czarnej, nieco szpakowatej brodzie i gęstych srebrnych włosach, stał nieruchomo, trzymając w ręku miseczkę z miodem. Z wysokości swego wzrostu życzliwie spoglądał na państwo, najwidoczniej nic nie rozumiejąc i nie pragnąc zrozumieć.

— Święta prawda — potrzęsnał znacząco głową na słowa Sergiusza.

— Jego się spytajcie; on nic nie wie i nie ma żadnego zdania — powiedział Lewin. — Michajłycz, słyszałeś o

wojnie? — zwrócił się do starego — o tym, co w cerkwi czytano? Co ty o tym myślisz? Czy powinniśmy walczyć w obronie chrześcijan?

— Co mamy myśleć? Cesarz Aleksander Nikołajewicz ma o nas pieczę, więc pomyśli za nas we wszystkich sprawach. On to najlepiej rozezna. Czy nie przynieść jeszcze chleba? Może dla chłopaczka? — zwrócił się do Darii Aleksandrowny pokazując na Griszę, który dojadał skórkę.

— Nie mam potrzeby pytać — obstawał przy swoim Koznyszew. — Widzieliśmy i widzimy ludzi, jak setka za setką porzucają wszystko, aby włączyć się do służby dobrej sprawie, jak przybywają z rozmaitych okolic Rosji i wypowiadają jasno i bezpośrednio, co myślą i jaki cel im przyświeca. Przynoszą swoje groszaki lub sami zaciągają się jako ochotnicy i mówią bez ogródek, dlaczego tak czynią. To przecie coś musi znaczyć!

— Moim zdaniem — począł zapalać się Lewin — znaczy to, że w osiemdziesięciomilionowym narodzie zawsze się znajdują nie tylko setki jak 1 teraz, ale dziesiątki tysięcy ludzi zdeklasowanych, desperatów, którzy są z miejsca gotowi iść czy do szajki Pugaczowa*, czy na wojnę do Chiwy* lub Serbii.

— Powiadam ci przecie, że nie setki i nie desperaci, lecz najlepsi przedstawiciele narodu — przerwał Sergiusz z takim rozdrażnieniem, jak gdyby bronił resztek własnego dobytku. — A składki? W nich przecie naród bezpośrednio wypowiada swą wolę.

— Słowo „naród” jest takie nieokreślone — sprzeciwił się Lewin. — Być może, pisarze gminni, nauczyciele wiejscy, a

* Iść do szajki Pugaczowa — mowa tu o powstaniu chłopskim, którego przywódcą był Kozak doński Jemielian Pugaczow (około 1744–1775).

* Na wojnę do Chiwy — wyprawy do Chiwy były organizowane w latach 1839–40, a następnie w r. 1873.

z chłopów — jeden na tysiąc wiedzą, o co chodzi. Reszta tych osiemdziesięciu milionów, podobnie jak Michajłycz, nie tylko nie daje żadnego wyrazu swej woli, ale nie ma najmniejszego pojęcia, co do czego miałyby ją wyrażać. Jakim prawem możemy się więc tu powoływać na wolę narodu?

XVI

Biegły w dialektyce Sergiusz Iwanowicz nie oponował, tylko przeniósł dyskusję na inny teren.

— Jeżeli chcesz dotrzeć do ducha narodu drogą arytmetycznych obliczeń, to rozumie się, że będzie to bardzo trudne. Głosowanie nie zostało u nas wprowadzone i nie można go wprowadzać, gdyż wcale woli narodu nie wyraża; są jednak inne sposoby. To jest w powietrzu, to się wyczuwa sercem. Już nie mówię o tych głębinowych prądach, które ożyły w nieruchomym morzu ludu i które widoczne są dla każdego nieuprzedzonego z góry oka, ale spójrz na społeczeństwo w jego ściślejszym sensie. Wszystkie najróżnorodniejsze inteligenckie partie, dawniej tak sobie wzajemnie wrogie, zlały się w jedno. Wszelkie właśnie ustały, wszystkie organa publiczne są jednomyślne, wszyscy poczuli żywiołową siłę, która ich porywa i unosi w jednym kierunku.

— Owszem, gazety piszą wszystkie jedno i to samo — potwierdził książę. — To prawda. Ciągłe w kółko to samo, jak żaby przed burzą. Tak głośno, że nic innego nie słychać.

— Żaby albo i nie żaby. Nie jestem wydawcą gazet i nie mam zamiaru ich bronić; to, co mówię, dotyczy jednomyślności kół inteligenckich — Sergiusz Iwanowicz skierował te słowa do brata.

Lewin chciał odpowiedzieć, ale stary książę przerwał mu:

— O tej jednomyślności wiele dałoby się nadmienić. Mam ja oto zięcia, Obłońskiego, pan go przecie zna. Właśnie dostał stanowisko członka komitetu komisji... i czegoś tam jeszcze, czego nie skleję. Nie ma tam nic do roboty — daj pokój, Dolly, to przecie nie żaden sekret! — i dostaje osiem tysięcy rubli pensji. Niech pan spróbuje zapytać go, czy uważa swoją działalność za użyteczną, wnet panu dowiedzie, że jest arcyużyteczna. A to człowiek szczery... No, bo jakże można nie wierzyć w pożyteczność ośmiu tysięcy?

— Tak, nawet prosił mnie, bym oznajmił Darii Aleksandrownie, że stanowisko to otrzymał — niechętnie powiedział Koznyszew znajdując, że uwaga księcia jest nie na miejscu.

— Tak samo, jeśli chodzi o jednomyślność gazet. Wytłumaczono mi to: w czasie wojny podwajają się ich dochody. Jakże więc mogą nie być zdania, że los narodów, że Słowianie... I tak dalej w tym samym duchu?

— Nie przepadam za niektórymi gazetami, ale ten sąd o prasie jest niesprawiedliwy — rzekł Koznyszew.

— Ja bym im postawił tylko jeden warunek — ciągnął dalej książę. — Alphonse Karr* doskonale to wyraził przed wojną z Prusami. „Pan uważa, że wojna jest nieunikniona? Ślicznie: kto propaguje wojnę, ten pójdzie do specjalnego czołowego legionu i do szturm, do ataku, na czele innych!”

— Ładnie by wyglądali redaktorzy — głośno roześmiał się Katawasow; stanęli mu przed oczyma w tym legionie wybrańców znajomi dziennikarze.

— No cóż... Uciekną — zdecydowała Dolly — tylko by tam przeszkadzali.

— Gdyby chcieli uciekać, trzeba by ich z tyłu poganiać kartaczami, ustawić za każdym Kozaka z nahajką — rzekł

* Jan Alfons Karr (1808–1890) — literat i dziennikarz francuski.

książę.

— To żart i niech mi będzie wolno dodać: niesmaczny żart — zauważy Koznyszew. :

— Nie uważam, że to był żart; to jest... — zaczął Lewin, Sergiusz jednak nie dał mu dokończyć.

— Każdy członek społeczeństwa powołany jest do takiej działalności, jaka mu jest właściwa — powiedział. — Intelktualiści również spełniają swoje posłannictwo dając wyraz opinii publicznej. Jednomyślność i jak najpełniejszy wyraz tej opinii to jest zasługa prasy i zarazem objaw, z którego należy się cieszyć. Dwadzieścia lat temu bylibyśmy milczeli jak zakłęci, tymczasem teraz słyhać głos rosyjskiego ludu, który gotów jest jak jeden mąż powstać i poświęcić się dla uciemienionych braci. To jest duży krok naprzód, to objaw siły.

— Ale przecież tu chodzi nie tylko o poświęcenie, ale i o zabijanie Turków — zaryzykował nieśmiało Lewin. — Lud poświęca się i gotów jest na ofiarę, ale dla swojej duszy, nie dla zabójstwa — dodał łącząc bezwiednie obecną rozmowę z myślami, które go tak zajmowały. ,

— Jak to dla duszy? Dla przyrodnika, rozumiesz, jest to wyraz nieco żenujący. Dusza! I cóż to takiego? — uśmiechnął się Katawasow.

— Pftecie wiesz sam, co to jest!

— Bogiem się świadczę, że nie mam o tym najmniejszego pojęcia! — roześmiał się głośno tamten.

— „Przyniosłem nie pokój, ale miecz”, mówi Chrystus — dodał ze swej strony Sergiusz Iwanowicz cytując z całą prostotą, jako coś samo przez się zrozumiałego, ten właśnie ustęp z Nowego Testamentu, który zawsze najbardziej niepokoił Lewina.

— Tak jest istotnie — powtórzył znowu stojący obok nich

stary pszczelarz, w odpowiedzi na czyjeś przypadkowe spojrzenie.

— Nie, bratku, przegrałeś, przegrałeś, z kretesem przegrałeś! — krzyknął wesoło Katawasow.

Lewin zaczerwienił się; było mu przykro, nie dlatego, że poniósł klęskę, ale ponieważ nie powściągnął się i wdał się w dyskusję.

„Nie mogę prowadzić z nimi sporów — pomyślał — oni są w pancerzach nie do przebicia, a ja jestem nagi.”

Widział, że nie uda mu się przekonać brata ani Katawasowa, ale widział również, że ze swej strony nie przychylił się do ich zdania, byli bowiem rzecznikami tej właśnie pychy intelektualnej, która omal że nie stała się przyczyną jego własnej zguby. Nie mógł zgodzić się na to, by kilka tuzinów ludzi — w tej liczbie i jego brat — miało prawo, na podstawie bajania kilkuset przybyłych do stołecznych miast ochotników, twierdzić, że to oni wraz z prasą są wyrazicielami woli i myśli narodu, i to takiej woli, która się uzewnętrznia w zemście i zabójstwie. Nie mógł się na to zgodzić, ani bowiem nie widział przejawów takich myśli u ludu, pośród którego żył, ani nie znajdował ich u siebie (a nie mógł uważać siebie za nic innego, jak tylko za jednego z ludzi, z których składa się lud rosyjski). Co najważniejsze jednak, nie mógł się na to zgodzić, ponieważ wraz z całym ludem wprawdzie nie wiedział i wiedzieć nie mógł, na czym polega ogólne dobro, ale za to wiedział dokładnie, że osiągnąć je można tylko — trzymając się ściśle kodeksu moralnego, dostępnego każdemu człowiekowi. Dlatego nie mógł pragnąć wojny ani być jej rzecznikiem, bez względu na to, o jakie cele ogólne mogło chodzić. Razem ze starym Michajłyczem i z narodem, którego istota znalazła

sobie wyraz w legendzie o wezwaniu Waregów*, mówił: „Panujcie i rządźcie nami. Radziśmy obiecać zupełną uległość. Całą pracę, wszystkie poniżenia, wszystkie ofiary bierzemy na siebie, ale nie naszą rzeczą jest sądzić i postanawiać.” A teraz naród, jak twierdził Sergiusz, sam się rzeka tak drogo okupionego przez się prawa.

Miał jeszcze ochotę powiedzieć, że skoro opinia publiczna jest nieomylnym sędzią, to czemu rewolucja, czemu komuna nie są uważane za równie legalne jak ruch na rzecz Słowian. Wszystko to jednak były argumenty, które nic nie rozstrzygały, a niewątpliwe było tylko jedno — to, że obecna dyskusja drażniła Sergiusza, wobec czego dalszy spór był niewskazany, toteż Lewin umilkł, a potem zwrócił uwagę gości na gromadzące się chmurki i radził iść do domu, żeby uniknąć deszczu.

XVII

Księżę i Koznyszew siedli na wózek i pojechali; reszta towarzystwa ruszyła przyśpieszonym krokiem do domu.

Chmura wszelako — zdając się raz czarna, to znów biała — nadciągała tak szybko, że wypadło jeszcze bardziej przyśpieszyć kroku chcąc zdążyć przed deszczem. Jej wysunięci naprzód harcownicy — nisko nawisłe i czarne, jak dym pomieszany z sadzą, obłoki — biegli z niesłychaną szybkością po niebie. Od domu dzieliło wracających jeszcze ze dwieście kroków, gdy już zerwał się wiatr i z każdą sekundą można było oczekiwać ulewy.

Dzieci pędziły naprzód z radosnym i trwożnym piskiem. Daria Aleksandrowna szamocząc się z trudem śród

* Legenda o wezwaniu Waregów — według podania Słowianie północni w IX w. wezwali Waregów, tj. Normanów: Ruryka, Sineusa i Truwora, by przyszli „panować i władać nimi”.

oblepiających jej nogi spódnic raczej biegła, niż szła, by nie stracić z oczu dzieci. Mężczyźni przytrzymując kapelusze pośpieszali wielkimi krokami. Byli już przed gankiem, gdy spadła duża kropla i rozprysła się o krawędź blaszanego ścieku. Dzieci, a za nimi dorośli schronili się pod dach napełniając się wesołym gwarem.

— Gdzie jest Katarzyna Aleksandrowna? — spytał Lewin Agafię, która wychodziła właśnie na ganek niosąc mnóstwo chustek i pledów.

— Myśmy myśleli, że jest ze wszystkimi — odrzekła.

— A Mitia?

— Zapewne z nianią w Kołeckim Lasku. Lewin złapał pledy i popędził do lasu.

W ciągu tej krótkiej chwili środek chmury już wsparł się o słońce, tak że zrobiło się ciemno jak podczas zaćmienia. Wiatr uparcie, jakby chciał postawić na swoim, hamował kroki Lewina, obrywał liść i kwiat z lip i obnażając białe konary brzoź nadawał im dziwny i szpetny wygląd. Wszystko było pochylone w jedną stronę: akacje, kwiaty, łopuchy, trawa i wierzchołki drzew. Dziewki pracujące w sadzie przebiegły z piskiem pod dach czeladnej. Biała kotara ulewy już zagarnęła cały daleki las i połowę pobliskiego pola, szybko posuwając się w kierunku Kołeckiego Lasku. Czuć było wilgoć deszczu rozpylonego na drobniutkie kropelki.

Lewin pochyliwszy głowę i walcząc z wiatrem, który wydzierał mu chustki, dobiegał do lasu i właśnie dojrzał coś bielejącego za dębem, gdy nagle świat stanął w płomieniach, ziemia zajęła się ogniem, a nad głową sklepienie niebieskie zdało się rozpękać.

Otworzyłszy osłepłe na chwilę oczy, Lewin od razu, poprzez gęstą zasłonę deszczu oddzielającą go teraz od lasu, z przerażeniem zobaczył, jak zielony szczyt znajomego dębu,

stojącego pośrodku, poczyną dziwacznie zmieniać pozycję. „Czyżby od piorunu?” — zaledwie zdążył pomyśleć, a już wierzchołek dębu jął z coraz to rosnącą szybkością znikać za innymi, aż wreszcie rozległ się łoskot olbrzyma walącego się na sąsiednie drzewa.

Błyskawica, odgłos grzmotu i chłód, który z nagłą objął całe jego ciało, zlały się dla Lewina w jedno uczucie grozy.

— Boże! Boże, byle nie w nich! — wyrzekł.

I chociaż natychmiast uświadomił sobie, że prośba, aby jego najdrożsi nie zostali zabici przez dąb, który już leżał obalony, nie miała sensu, powtórzył ją znowu, wiedząc, że nie mógł uczynić nic lepszego nad tę bezsensowną modlitwę.

Dopadłszy pędem do miejsca, gdzie się kobiety z dzieckiem zwykle sadowiły, nie znalazł ich.

Były na przeciwległym krańcu lasu, pod starą lipą, i wzywały go. Dwie postacie w ciemnych sukniach (poprzednio suknie te były białe) stały pochylone nad czymś; była to Kitty z niańką. Deszcz właśnie nacichał i niebo poczynąło się przecierać, gdy Lewin wreszcie dobiegł na miejsce. Dół sukni niańki był suchy, ale suknia Kitty przemokła do cna i oblepiała ją całą. Mimo że deszcz ustał, trwały wciąż w pozie, którą przybrały, gdy rozpętała się burza. Obie stały nachylone nad zieloną budką wózka.

— Żyjecie? Chwała Bogu! — powiedział podbiegając do nich i chlapiąc przekrzywionym, pełnym wody obuwiem po wodzie, która nie zdążyła jeszcze wsiąknąć.

Spod zniekształconego kapelusza różowa, mokra twarzązka Kitty zwróciła się ku niemu z nieśmiałym uśmiechem.

— Jak ci nie wstyd! Nie pojmuję, jak można być tak nieostrożną! — wpadł na nią z gniewem.

— Bóg widzi, że to nie moja wina; właśnie miałyśmy

wracać, kiedy Mitia narobił nam mitręgi. Musiałyśmy go przewijać. Właśnie miałyśmy... — zaczęła się tłumaczyć Kitty.

Mitia był zdrow i cały, nie zmókł i ani na chwilę się nie obudził.

— No, chwała Bogu! Sam nie wiem, co gadam.

Pozbierano przemoknięte pieluszki, niańka wyjęła dziecko z wózka i niosła je na rękę. Lewin szedł obok żony i jakby przepraszając za swą irytację, skrycie przed niańką ścisnął jej rękę.

XVIII

W ciągu całego dnia, jakby zewnętrzną tylko częścią umysłu biorąc udział w najróżnorodniejszych rozmowach, Lewin — mimo zawodu, jakiego doznał przekonawszy się, że nie zaszła w nim spodziewana zmiana — nieustannie czuł w sercu pełnię radości.

Po deszczu było zbyt mokro, żeby iść na spacer; poza tym chmury grożące burzą wciąż jeszcze trwały na horyzoncie, sunąc to tu, to ówdzie po krawędzi nieba — czarne i pomrukujące grzmotem. Całe towarzystwo spędziło resztę dnia w domu.

Nie wszczynano więcej sporów, przeciwnie, po obiedzie wszyscy byli w jak najlepszych humorach.

Katawasow zrazu bawił panie swymi oryginalnymi dowcipami, które mu tyle zawsze zyskiwały sympatii przy pierwszym poznaniu, ale wnet, zagadnięty przez Sergiusza, począł opowiadać o swych ciekawych badaniach nad różnicami charakteru, a nawet fizjonomii, u samców i samic much domowych oraz o ich sposobie życia. Koznyszew był również wesół i zapytany przy podwieczorku przez brata,

wyłożył swój pogląd na przyszłość sprawy wschodniej; uczynił to tak przystępnie i tak udatnie, że obecni cali zamienili się w słuch.

Jedna tylko Kitty nie doczekała końca, bo zawezwano ją do kąpieli Mitii.

W parę minut po jej wyjściu poproszono także i Lewina do dziecinnego pokoju.

Zostawiwszy nie dopitą herbatę i podążając do dziecinnego i on także poczuł żal, że musi przerwać interesującą rozmowę; zaniepokoił się również, po co go zawołano, zdarzało się to bowiem tylko w ważnych wypadkach.

Chociaż nie wysłuchany do końca plan Sergiusza — jak oto wyzwolony czterdziestomilionowy słowiański świat rozpocznie na pewno wraz z Rosją nową epokę w dziejach — zainteresował go, jako coś zupełnie dlań nowego, i mimo że trapiło go zaciekawienie i niepokój, po co go też wzywano, z chwilą gdy po wyjściu z bawialni pozostał sam, myśli powzięte rano natychmiast nim zawładnęły. Wszystkie owe dociekania o znaczeniu czynnika słowiańskiego w historii świata zdały mu się tak znikome w porównaniu z tym, co się dokonywało w jego własnej duszy, że od razu o wszystkim tamtym zapomniał i powrócił do nastroju, w którym się znajdował tego ranka.

Nie powtarzał sobie teraz — jak zwykł był czynić dawniej — całego przebiegu myśli (było mu to już niepotrzebne). Od razu przestawił się na uczucie, które nim kierowało, a które było z tymi myślami związane, odnalazł je w sercu i stwierdził, że jest ono jeszcze mocniejsze i bardziej określone niż przedtem. Nie potrzebował odtwarzać całego łańcucha myśli po to, by odnaleźć upragniony nastrój, jak mu się to zdarzało przy dawniejszych próbach osiągnięcia spokoju.

Przeciwnie, radość i ukojenie były teraz o wiele wyraźniejsze niż przedtem, a myśl nie mogła nadażyć za uczuciem.

Gdy przechodził przez taras, spojrzął na gwiazdy ukazujące się na ciemniejącym już niebie i nagle przypomniał sobie: „Tak, tak... Patrząc na niebo myślałem o tym, że widzialne oczom sklepienie nie jest tylko ułudą. Wówczas nie doprowadziłem myśli do końca: coś sam przed sobą zataiłem — rzekł w duchu. — Ale jakkolwiek to tam jest, sprzeciw jest niemożliwy, wystarczy tylko się namyślić, a wszystko staje się jasne!”.

Dopiero przy wejściu do dzieciennego pokoju przyszło mu do głowy, jaką to mianowicie myśl wówczas sam przed sobą zataił: oto, że skoro głównym dowodem istnienia bóstwa jest dane przez to bóstwo objawienie — czym jest dobro, to czemu objawienie to ogranicza się tylko do Kościoła chrześcijańskiego? W jakim stosunku do tego objawienia stoją wierzenia buddystów i mahometan, którzy przecie również wyznają dobro i dobrze czynią?

Zdawało mu się, że już ma odpowiedź na to pytanie; lecz jeszcze nie zdążył jej sam przed sobą wysłowić, gdy już znalazł się w dzieciennym pokoju.

Kitty stała z zakasаныmi rękawami nad wanienką, w której pluskało się dziecko; usłyszawszy kroki męża obróciła się ku niemu i przywoływała go z uśmiechem. Jedną ręką podtrzymywała główkę unoszącego się na wznak w wodzie i wymachującego nożynami tłustego niemowlęcia, drugą wyciskała nad nim gąbkę. Mięśnie jej przedramienia rytmicznie grały.

— Patrz tylko, patrz! — zawołała, skoro mąż się do niej zbliżył. — Agafia Michajłowna ma rację. On już poznaje.

Chodziło o to, że Mitia, począwszy od tego właśnie dnia, najwidoczniej i niewątpliwie poznawał osoby ze swego

otoczenia.

Skoro tylko Lewin znalazł się przy wannie, dokonano próby i próba ta najzupełniej się udała. Kucharka, którą umyślnie po to sprowadzono, nachyliła się nad dzieckiem. Mitia spochmurniał i począł przecząco potrząsać główką. Wtedy nachyliła się nad nim Kitty — i wnet rozpromienił się w uśmiechu, oparł mocno rączki o gąbkę i parsknął wargami. Zabawny dźwięk wyrażał taką pełnię zadowolenia, że zachwyty ogarnął nie tylko Kitty i niańkę, ale i Lewina.

Wyjęto dziecko z wanny na dłoni, opłukano wodą, zawinięto w prześcieradło, wytarto, a w końcu po przeraźliwym wrzasku podano matce.

— Cieszę się, że wreszcie zaczynasz go lubić — rzekła Kitty do męża po spokojnym usadowieniu się z dzieckiem u piersi na zwykłym miejscu. — Bardzo się cieszę... Bo już zaczynało mi być przykro. Mówiłeś, że nic dla niego nie czujesz.

— Czy naprawdę mówiłem, że nic nie czuję? Ach, nie... Mówiłem tylko, że doznałem rozczarowania.

— Jak to rozczarowania?

— Nie co do jego osoby, lecz co do własnego uczucia: oczekiwałem czegoś więcej. Spodziewałem się, że zaskoczy mnie jakieś nowe, przyjemne uczucie. A tymczasem powstało tylko obrzydzenie, litość...

Słuchała go uważnie spoza dziecka, wsuwając na szczupłe palce pierścionki zdjęte przed kąpielą Mitii.

— A przede wszystkim to — że doznałem daleko więcej obawy i litości niż zadowolenia. Dziś dopiero po strachu, jaki przeszedłem w czasie burzy, poznałem, jak go bardzo kocham.

Kitty promiennie się uśmiechnęła.

— Tak bardzo się przeraziłeś? — zapytała. — I ja

również; choć właściwie więcej się boję teraz, gdy już jest po wszystkim. Pójdę obejrzeć dąb. A jaki sympatyczny jest ten Katawasow. I w ogóle cały dzień był taki przyjemny... I ty taki jesteś miły z Sergiuszem, kiedy się trochę starsz... No, idź już do nich, bo tu po kąpieli zawsze jest gorąco i parno.

XIX

Po wejściu z pokoju dziecinnego Lewin, zostawszy sam, znów sobie przypomniał ową nie całkiem przejrystą myśl.

Zamiast udać się do bawialni, skąd dochodziły głosy, zatrzymał się na tarasie i oparłszy się łokciami o balustradę jął patrzeć na niebo.

Było już całkiem ciemno i w południowej stronie, dokąd skierował wzrok, chmur nie było. Zgromadziły się po stronie przeciwnej. Tam zapalały się błyskawice i pomrukiwały dalekie grzmoty. Lewin słuchał kropli rytmicznie spadających z lip w ogrodzie, patrzył na znajomy gwiazdny trójkąt i przechodzącą przezeń pośrodku Drogę Mleczną z jej rozgałęzieniami. Ile razy zapłonęła błyskawica, znikał nie tylko mleczny szlak na niebie, ale ginęły i co jaskrawsze gwiazdy; skoro tylko jedna błyskawica gasła, znów, jakby ciśnięte czymś celnym rzutem, zjawiały się na dawnych miejscach.

„Co mnie tak trapi?” — powiedział sobie Lewin, z góry czując, że ma już w sercu gotowe rozwiązanie wątpliwości, chociaż nie zna go jeszcze.

„Więc tak... Jedynym oczywistym, niewątpliwym uzewnętrznieniem się bóstwa jest prawo moralne ujawnione światu w objawieniu. Prawo to wyczuwam w sobie i uznajac je, nie tyle łączę się, ile — czy chcę, czy nie chcę — jestem zjednoczony z innymi ludźmi w społeczność wiernych zwaną

Kościółem. No, a żydzi, mahometanie, wyznawcy Konfucjusza, buddyści — czymże są oni? — postawił sobie znowu ryzykowne, jak mu się zdawało, pytanie. — Czyżby te setki milionów ludzi były pozbawione owego największego dobra, bez którego życie nie ma sensu? — tu zamyślił się, lecz wnet pośpieszył z poprawką. — Po co ja zadaję to pytanie — powiedział sobie. — Porusza ono stosunek wszelkich, najróżnorodniejszych wierzeń całej ludzkości do bóstwa. Porusza ogólne ujawnienie się Boga całemu światu, z tymi oto wszystkimi mgławicami. Po co ja stawiam to pytanie? Przede mną samym, przed moim własnym sercem, odsłoniła się ponad wszelką wątpliwość niedostępna rozumowi wiedza, tymczasem ja uparcie usiłuję wyrazić ją rozumowo i za pomocą słów.

Czyż nie jest mi wiadome, że gwiazdy się nie poruszają? — zadał sobie pytanie, spoglądając na planetę o mocnym blasku, która już zmieniła była swą pozycję w stosunku do górnej gałązki brzozy. — A jednak patrząc na ich poruszenia nie mogę sobie wyobrazić krążenia ziemi i nie błądzę, gdy mówię o biegu gwiazd.

A czyż astronomowie mogliby cośkolwiek zrozumieć i obliczyć, gdyby brali w rachubę wszystkie skomplikowane i różnorodne ruchy ziemi? Wszystkie zdumiewające wnioski uczonych o oddaleniu, wadze, poruszeniach i perturbacjach ciał niebieskich opierają się jedynie na dostrzegalnym dla oka krążeniu tych ciał dokoła nieruchomej Ziemi, na tym ruchu, który odbywa się teraz w moich oczach, a który odbywał się w ten sam sposób w obliczu milionów ludzi przez całe wieki, ruchu, który był i będzie zawsze jednaki i może być w każdej chwili sprawdzony. I tak jak wnioski astronomów byłyby czcze i chwiejne, gdyby ich nie opierali na obserwacji dostrzegalnego nieba w stosunku do określonego południka i

określonego horyzontu, tak samo czcze i chwiejne byłyby moje wnioski nie oparte na tym rozumieniu dobra, które dla wszystkich wiecznie było i — będzie jednakowe, które przede mną odsłonił chrystianizm i które mogą być zawsze sprawdzone w mojej duszy. A kwestii innych wierzeń i stosunku ich do bóstwa nie mam ani prawa, ani możliwości rozstrzygać.

— Toś ty wcale nie oszedł? — ozwał się naraz głos Kitty dążącej również przez taras do bawialni.

— A może masz jakąś przykrość? — spytała wpatrując się w męża uważnie przy świetle gwiazd.

Nie byłaby jednak mogła nic rozpoznać, gdyby nie błyskawica, która zgasiła gwiazdy i oświetliła Lewina. Przyjrząwszy się jego twarzy przy tym blasku, i stwierdziwszy, że mąż jest spokojny i pogodny, uśmiechnęła się do niego.

„Ona mnie rozumie — pomyślał — wie, o czym myślę. Powiedzieć jej czy nie? Powiem!” Lecz w chwili gdy zabierał się do mówienia, Kitty odezwała się pierwsza:

— Wiesz co, Kostia, zrób mi tę łaskę, pójdz do narożnego pokoju i sprawdź, jak tam wszystko urządzono dla Sergiusza... Mnie nie wypada. Czy wstawiono nową umywalkę?

— Dobrze, zaraz idę — odrzekł Lewin wyprostowując się i całując żonę.

„Nie, lepiej nic nie powiem — pomyślał patrząc na kroczącą przed nim Kitty. — Jest to tajemnica potrzebna tylko mnie jednemu, ważna i niemożliwa do wysłowienia.

To nowe uczucie nie dokonało we mnie zmiany, nie dało mi szczęścia i nie uświadomiło z nagłą, tak jak o tym marzyłem. Było z nim podobnie jak z uczuciem dla syna: tu także nie spotkała mnie żadna niespodzianka. Wiara — a

może to zresztą nie wiara — ja sam nie wiem, co to takiego, ale uczucie to równie niepostrzeżenie i na skutek cierpienia zakorzeniło mi się w duszy.

Będę się po staremu niecierpliwił na stangreta Iwana, po staremu wdawał się nie w porę w dyskusję, ten sam mur pozostanie pomiędzy moim wewnętrznym świętym świętych a innymi ludźmi nie wykluczając mojej żony; podobnie jak dotychczas, jej przypiszę winę mojego własnego strachu, a potem tego pożałuję; tak samo będę się modlił nie pojmując rozumem, dlaczego to czynię... A jednak odtąd już życie moje, całe moje życie, każda jego minuta, niezależnie od wszystkiego, co się ze mną stać może — nie tylko nie będzie bez sensu jak dawniej, ale posiędzie niezawodny sens tego dobra, które jestem mocen w nie włożyć!”

KONIEC